# Przeminęło z wiatrem

Margaret Mitchell

*Tłumaczyła Celina Wieniewska*

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## ROZDZIAŁ I

Scarlett O’Hara nie była piękna, ale mężczyźni, zadurzeni w niej tak jak dwaj młodzi Tarletonowie, rzadko zdawali sobie z tego sprawę. W twarzy jej zbyt ostro odcinały się delikatne, arystokratyczne, po matce Francuzce odziedziczone cechy, od grubych rysów, odziedziczonych po rumianym ojcu Irlandczyku. Twarz ta jednak, o mocnych szczękach i spiczastym podbródku, przykuwała do siebie uwagę. Oczy miała Scarlett jasnozielone, w oprawie czarnych, sztywnych, ku górze odwiniętych rzęs. Jej szerokie czarne brwi były nieco skośne i przecinały śmiałą, łamaną linią jej śnieżnobiałą skórę — skórę, która stanowiła przedmiot podziwu kobiet Południa i którą Scarlett troskliwie osłaniała czepeczkami, woalkami i mitenkami przed gorącym słońcem Georgii.

Siedząc w to słoneczne popołudnie kwietnia 1861 r. ze Stuartem i Brentem Tarletonami w chłodnym cieniu ganku w Tarze, Scarlett wyglądała jak obrazek. Nowa jej sukienka z zielonego muślinu w kwiatki, o bardzo sutej krynolinie, była dokładnie dobrana do koloru zielonych safianowych pantofelków na płaskich obcasach, które ojciec przywiózł jej niedawno z Atlanty. Suknia doskonale uwydatniała talię Scarlett, mierzącą w obwodzie zaledwie siedemnaście cali — najcieńszą talię w trzech powiatach! — a ciasny stanik uwypuklał jędrne, dobrze jak na jej szesnaście lat rozwinięte piersi. Mimo jednak skromności, jaką tchnęła ta suknia, włosy gładko upięte w kok i białe rączki, spokojnie skrzyżowane na kolanach — prawdziwą swoją naturę trudno było Scarlett ukryć. Zielone oczy w przykładnie uśmiechniętej twarzyczce wyrażały bunt, wolę, radość życia i wyraźnie kłóciły się z jej wytwornym zachowaniem. Maniery Scarlett były wypadkową łagodnych napomnień matki i surowych nakazów murzyńskiej piastunki; wyraz oczu należał wyłącznie do niej.

Bracia-bliżniaki, wygodnie rozłożeni w krzesłach po obu stronach Scarlett, mrużąc oczy patrzyli w słońce przez wysokie szklanki pełne wody miętowej, śmiali się i rozmawiali, krzyżując niedbale długie muskularne nogi w wysokich butach. Liczyli sobie po dziewiętnaście lat, mierzyli przeszło sześć stóp wzrostu, byli szczupli i mocno zbudowani, włosy mieli kasztanowate, twarze bardzo opalono, oczy wesołe i zuchwałe; w swoich jednakowych granatowych marynarkach i spodniach koloru musztardowego tak byli do siebie podobni jak dwa ziarnka bawełny.

Na dworze promienie zachodzącego słońca skośnie padały na podwórze zalewając blaskiem drzewka dereniu, odcinające się gęstą masą białego kwiecia od tła młodej zieleni. Konie chłopców przywiązane były do słupka przy podjeździe; były to wielkie zwierzęta, kasztanowate jak włosy ich panów; pod nogami ich gryzła się sfora chudych, nerwowych psów gończych, które towarzyszyły Tarletonom wszędzie. Osobno, jak przystało arystokracie, leżał łaciaty wyżeł złożywszy pysk na łapach i czekał cierpliwie, aż chłopcy wyruszą do domu.

Między psami, końmi i dwoma chłopcami istniała więź głębsza, niż tego wymagało stałe ich współżycie. Byli wszyscy zdrowymi, beztrosko młodymi zwierzętami, zgrabnymi, gładkimi, wesołymi; chłopcy byli niemniej ogniści od koni, których dosiadali, ogniści i niebezpieczni, dla tych jednak, którzy umieli z nimi postępować, mili i łagodni.

Jakkolwiek cała trójka urodziła się i wyrosła w dostatku, jakkolwiek nie spuszczano ich od dzieciństwa z oczu, twarze ich nie były ani gnuśne, ani miękkie. Mieli w sobie siłę i żywość wieśniaków, którzy całe życie spędzili na otwartym powietrzu i nie łamali sobie głowy nudnymi problemami z książek. Życie w Clayton, północnym powiecie Georgii, było bardzo sielskie i wedle miary miast jak Augusta, Savannah czy Charleston trochę prymitywne. Spokojniejsze i wcześniej skolonizowane części Południa z góry patrzyły na mieszkańców Georgii, tutaj jednak, na Północy, brak znajomości greki i łaciny nie przynosił wstydu, o ile człowiek znał się na rzeczach istotnie ważnych. Do spraw ważnych zaś należała uprawa bawełny, dobre trzymanie się na koniu, celne strzelanie, lekkość w tańcu i galanteria w stosunku do dam oraz mocna, jak na dżentelmena przystało, głowa.

W tych sztukach Tarletonowie trzymali prym; wyróżniali się także przysłowiową niezdolnością nauczenia się czegokolwiek z kart książki. Rodzice ich posiadali więcej pieniędzy, koni i niewolników niż ktokolwiek inny w powiecie, chłopcy jednak byli mniej wykształceni niż większość małorolnych sąsiadów.

Z tej właśnie przyczyny Stuart i Brent zbijali bąki tego popołudnia w Tarze. Właśnie zostali wydaleni z uniwersytetu Georgii, czwartej z rzędu uczelni, która ich w ciągu dwóch ostatnich lat usunęła; a starsi ich bracia, Tom i Boyd, wrócili do domu razem z nimi, ponieważ nie chcieli zostać na uczelni, która tak się obeszła z ich braćmi. Stuart i Brent bardzo byli dumni z tego, że ich wyrzucono, Scarlett zaś, która nie zajrzała do książki od roku, to znaczy od skończenia pensji w Fayetteville, także uważała to wydalenie za zabawne.

— Wiem, że ani wy, ani Tom niezbyt się tym przejmujecie — powiedziała. — Ale co będzie z Boydem? Przecież on postanowił studiować, a przez was musiał przerwać studia w Wirginii, Alabamie, Karolinie Południowej i teraz znowu w Georgii. W tym tempie niczego nie będzie mógł skończyć.

— Och, prawa może się uczyć w kancelarii sędziego Parmalee w Fayetteville — odpowiedział niedbale Brent. — Poza tym, to naprawdę nie ma znaczenia. 1 tak musielibyśmy wrócić do domu przed końcem trymestru.

— Dlaczego?

— Z powodu wojny, gąsko! Wojna wybuchnie lada dzień, a chyba nie przypuszczasz, że któryś z nas usiedziałby wtedy w budzie?

— Żadnej wojny nie będzie — rzekła Scarlett, znudzona. — Tak się tylko mówi. Ashley Wilkes i jego ojciec powiedzieli papie w zeszłym tygodniu, że nasi przedstawiciele w Waszyngtonie dojdą do... do... pokojowego porozumienia z panem Lincolnem w sprawie Konfederacji. Poza tym Jankesi zanadto się nas boją, aby z nimi walczyć. Nie będzie żadnej wojny i nudzi mnie już słuchanie tych głupstw.

— Nie będzie wojny! — zawołali chłopcy z takim oburzeniem, jak gdyby ich ktoś zawiódł.

— Ależ kochanie, wojna będzie z pewnością — rzekł Stuart. — Jankesi boją się może z nami walczyć, ale teraz, gdy generał Beauregard zbombardował Fort Sumtera, będą musieli walczyć, inaczej cały świat uzna ich za tchórzów. Przecież Konfederacja...

Scarlett wydęła usta ze zniecierpliwieniem. — Jeżeli raz jeszcze powiecie słowo „wojna”, pójdę do pokoju i zamknę za sobą drzwi. Żaden temat na świecie nie nudzi mnie tak jak „wojna”, chyba może jeszcze „secesja”. Papa mówi o tym rano, w południe i wieczorem, wszyscy panowie, którzy go odwiedzają, krzyczą o Forcie Sumtera, o prawach Stanów i Abrahamie Lincolnie, a ja tak się nudzę, że aż mi się płakać zachciewa! Chłopcy też o niczym innym nie rozmawiają, tylko o tym i o swoim Oddziale. Na żadnym wieczorku ostatnio nie było zabawy, bo chłopcy o niczym innym nie chcą mówić. Strasznie się cieszę, że Georgia dopiero po Bożym Narodzeniu przystąpiła do secesji, bo w przeciwnym razie świąteczne zabawy także byłyby stracone. Jeżeli jeszcze raz powiecie „wojna”, pójdę do mieszkania.

Gotowa była spełnić pogróżkę, bo nie potrafiła długo znosić rozmowy, która nie kręciłaby się dokoła niej. Mówiąc to uśmiechała się jednak, kokietowała dołeczkami w policzkach i trzepotała czarnymi rzęsami jak skrzydłami motyla. Chłopcy byli tym wyraźnie zachwyceni, na co Scarlett zresztą liczyła, i pośpiesznie zaczęli ją przepraszać. Nie brali jej za złe tego braku zainteresowania. Przeciwnie, bardzo im zaimponował. Wojna była sprawą mężczyzn, nie pań, więc oświadczenie Scarlett uznali za dowód prawdziwej kobiecości.

Przerwawszy rozmowę na nudny temat wojny Scarlett powróciła z zainteresowaniem do nowej sytuacji chłopców.

— Co powiedziała wasza matka na wiadomość, że znowu was wyrzucono?

Chłopcy spojrzeli po sobie z zakłopotaniem, przypominając sobie zachowanie się matki przed trzema miesiącami, po ich ostatnim przymusowym powrocie z uniwersytetu w Wirginii.

— Właściwie — rzekł Stuart — nie miała sposobności nic nam jeszcze powiedzieć. Wszyscy trzej z Tomem wyjechaliśmy z domu wcześnie, zanim mama wstała. Tom pojechał do Fontaine’ów, a my przyjechaliśmy tutaj.

— Czy nic nie mówiła, kiedyście wczoraj przyjechali do domu?

— Wczoraj nam się upiekło. W chwili gdyśmy przyjechali, przyprowadzono także nowego ogiera, którego mama kupiła miesiąc temu w Kentucky i na nim skupiła się uwaga całego domu. To wspaniała bestia, cudowny koń, Scarlett. Musisz poprosić swego ojca, aby przyjechał go obejrzeć — już zdążył ugryźć stajennego i skopać dwóch Murzynów mamy, którzy czekali na jego przybycie w Jonesboro. I właśnie przed naszym przyjazdem omal nie potratował całej stajni i nie zabił Kasztana, starego ogiera mamy. Kiedyśmy zajechali do domu, mama była w stajni z torbą cukru i starała się go ugłaskać, ze skutkiem zresztą. Murzyni poobsiadali wszystkie krokwie, z wytrzeszczonymi ze strachu oczyma, a mama mówiła do konia, jak gdyby mógł ją zrozumieć, i karmiła go z ręki. Nikt nie potrafi się tak z koniem obchodzić jak mama. A kiedy nas zobaczyła, powiedziała: „Wielkie Nieba, a cóż wy tutaj robicie? Gorsi jesteście od plag egipskich!” Koń w tej samej chwili zaczął parskać i wspinać się, więc powiedziała: „Wynoście się stąd! Czy nie widzicie, jaki on podniecony, ten mój najpiękniejszy? Rozmówię się z wami jutro rano!” Położyliśmy się zatem spać, dziś wyjechaliśmy, aby nas mama nie złapała, a Boyda zostawiliśmy, żeby ją udobruchał.

— Czy sądzicie, że zbije Boyda? — Scarlett, jak i reszta powiatu, nie mogła zrozumieć, jak mała pani Tarleton potrafi wymyślać swoim dorosłym synom i zdziela ich szpicrutą przez plecy, gdy okazja tego wymaga.

Beatrice Tarleton była kobietą energiczną. Zajmowała się nie tylko wielką plantacją bawełny, setką Murzynów i ośmiorgiem dzieci, ale i największą w całym powiecie hodowlą koni. Była gwałtowna, łatwo wpadała w gniew z powodu częstych „wykroczeń” swoich czterech synów i jakkolwiek nikomu nie pozwalała smagać batem ani konia, ani niewolnika, uważała, że dobre lanie od czasu do czasu wcale chłopcom nie zaszkodzi.

— Boyda nie zbije na pewno. Nigdy jeszcze na Boyda nie podniosła ręki, bo jest najstarszy, a poza tym najmniejszy z nas — rzekł Stuart, dumny ze swoich sześciu stóp wzrostu. — Dlatego właśnie zostawiliśmy go w domu, aby jej wszystko wytłumaczył. Boże jedyny, właściwie to mama mogłaby już nas przestać tłuc! Mamy po dziewiętnaście lat, Tom ma dwadzieścia jeden, a mama ciągle nas traktuje, jakbyśmy mieli po sześć!

— Czy wasza mama pojedzie na nowym koniu na jutrzejszą barbakoę[[1]](#footnote-1) do Wilkesów?

— Mama chciałaby, ale ojciec powiada, że koń jest zbyt ostry. Poza tym nie pozwolą jej na to dziewczynki. Chcą, aby na jedną przynajmniej zabawę pojechała powozem jak dama.

— Mam nadzieję, że jutro deszczu nie będzie — powiedziała Scarlett. — Od tygodnia już pada prawie dzień w dzień. Nie ma nic gorszego nad barbakoę, która się przekształca w zabawę w salonie.

— Ach nie, jutro będzie ładnie i gorąco jak w czerwcu — rzekł Stuart. — Spójrz, jaki dziś zachód słońca. Nigdy nie widziałem podobnie krwawego. Ładny zachód zawsze wróży pogodę.

Spojrzeli wszyscy poprzez nie kończące się morgi świeżo zoranych pól Geralda O’Hary w stronę czerwonego horyzontu. Teraz, kiedy słońce w plamie purpury skryło się za wzgórza na przeciwległym brzegu rzeki Flint, ciepło kwietniowego dnia przeistoczyło się w lekki, pachnący chłód.

Wiosna przyszła tego roku wcześnie; przyniosła ze sobą ciepłe, krótkie deszcze i nagłe wytryskanie różowych kwiatów brzoskwiń i białych gwiazdek dereni na bagnistych gruntach nad rzeką i na dalekich pagórkach. Orka miała się już ku końcowi i ognista wspaniałość zachodu barwiła kolorem szkarłatu świeżo odwalone skiby czerwonawej georgijskiej gliny. Wilgotna, głodna ziemia, oczekująca ziaren bawełny, była różowawa na wierzchu pierzastych bruzd, cynobrowo-szkarłatna i brązowa tam, gdzie po bokach rowków leżały cienie. Pobielony wapnem murowany dom plantacji wydawał się wyspą na groźnym, czerwonym morzu spienionych, falujących bałwanów, znieruchomiałych w chwili gdy fale o różowych czubach miały rozbić się w pianę. Bruzdy nie były tutaj długie i proste jak na żółtych polach Georgii środkowej czy na błyszczącym czarnoziemie plantacji bliżej wybrzeża. Nierówną, pagórkowatą krainę północnej Georgii orano w najrozmaitszych kierunkach, aby tłusta ziemia nie była zmywana w łożyska rzek.

Ziemia ta, czerwona, koloru krwi po deszczu, pokryta ceglastym pyłem w czasie suszy, była najlepszą w świecie ziemią pod uprawę bawełny. Była to przyjemna kraina białych dworków, spokojnych pól uprawnych i leniwych, żółtych rzek, kraina kontrastów — ostrego blasku słońca i gęstych cieniów. Karczowiska i akry ból bawełny uśmiechały się do gorącego słońca spokojne, ciche. Na skraju pól rosły dziewicze lasy, ciemne i chłodne nawet w najgorętsze południa, tajemnicze, trochę groźne, a szumiące sosny zdawały się czekać z odwieczną cierpliwością, straszyć cichymi westchnieniami: „Strzeż się! Strzeż! Rządziłyśmy tobą długo. Możemy cię znowu odzyskać”.

Do uszu trojga na ganku doszedł tętent kopyt, dzwonienie uprzęży i ostre, beztroskie śmiechy murzyńskie: to parobcy z mułami wracali z pól. Z wewnątrz domu płynął łagodny glos matki Scarlett, Ellen O’Hara, wołającej małą czarną dziewczynkę, która nosiła za nią klucze. Wysoki, dziecinny głosik odpowiedział: „Tak, p’sze pani”, i zaraz rozległy się odgłosy kroków kierujących się tylnymi drzwiami do wędzarni, gdzie Ellen zwykła była wydzielać jedzenie wracającym z pola pracownikom. Słychać było dźwięk porcelany i szczękanie srebra, kiedy Pork, lokaj Geralda, zaczął nakrywać stół do kolacji.

Słysząc te dźwięki bracia uświadomili sobie, że czas wyruszyć w powrotną drogę do domu. Nie bardzo im się chciało stanąć przed matką, ociągali się więc na ganku w Tarze czekając, aby Scarlett zaprosiła ich na kolację.

— Słuchaj, Scarlett. Jeszcze coś co do jutra — rzekł Brent. — Dlatego, że nie było nas tutaj i że nie wiedzieliśmy o zabawie u Wilkesów, nie mamy zamiaru być pokrzywdzeni. Nie masz chyba wszystkich tańców już zajętych, co?

— Niestety, mam. Skądże mogłam wiedzieć, że wy się zjawicie w domu? Nie mogłam się przecież narazić na podpieranie ściany dlatego, że na was czekam.

— Ty miałabyś podpierać ścianę?! — Chłopcy zaśmiali się głośno.

— Słuchaj, kochanie. Musisz dla mnie zarezerwować pierwszego walca, a dla Stuarta ostatniego i musisz siedzieć między nami przy stole. Będziemy siedzieli u wylotu schodów tak jak na poprzednim balu i sprowadzimy sobie starą Jincy, aby nam znowu powróżyła.

— Nie lubię przepowiedni starej Jincy. Powiedziała mi, że wyjdę za pana o kruczych włosach i długich czarnych wąsach, a ja nie lubię brunetów.

— Wolisz rudych, prawda, kochanie? — zaśmiał się Brent. — Ale teraz przyrzeknij nam walca i kolację.

— Jeżeli przyrzekniesz, zdradzimy ci pewien sekret — rzekł Stuart.

— Jaki? — zawołała Scarlett, nagle ożywiona jak dziecko.

— Czy mówisz o tym, co słyszeliśmy wczoraj w Atlancie, Stu? Wiesz przecież, że tego obiecaliśmy nie powtarzać.

— Ale przecież powiedziała nam o tym panna Pitty.

— Jaka panna Pitty?

— Wiesz, ta kuzynka Ashleya Wilkesa, która mieszka w Atlancie, panna Pittypat Hamilton, ciotka Karola i Melanii Hamiltonów.

— Wiem. Nigdy w życiu nie widziałam śmieszniejszej starej panny.

— A więc, kiedyśmy wczoraj w Atlancie czekali na pociąg do domu, powóz jej przejeżdżał koło dworca, zatrzymała się, porozmawiała z nami i powiedziała nam, że jutro u Wilkesów zostaną ogłoszone pewne zaręczyny.

— Och, o tym przecież wiem — rzekła Scarlett z zawodem. — Tego jej głupiego bratanka Karola Hamiltona z Honey Wilkes. Wszyscy już od lat twierdzą, że oni się ze sobą pobiorą, chociaż Karol wcale się do tego nie pali.

— Czy naprawdę uważasz, że Karol jest głupi? — zapytał Brent. — Na Boże Narodzenie pozwalałaś mu się koło siebie kręcić.

— Na to, że się kręci, nie mogłam nic poradzić — odrzekła Scarlett niedbale. — Uważam go za straszną babę.

— To zresztą wcale nie jego zaręczyny zostaną ogłoszone — rzekł z tryumfem Brent — tylko Ashleya z siostrą Karolka, panną Melanią.

Twarz Scarlett nie zmieniła się wcale, tylko wargi jej pobladły — czuła się jak osoba, która nagle otrzymała przeraźliwy cios i w pierwszych chwilach osłupienia nie zdaje sobie sprawy z tego, co się stało. Twarz jej, zwrócona ku Stuartowi, była tak nieruchoma, że ten, niezbyt uważny, pewien był, że Scarlett jest jedynie bardzo zdziwiona i zaciekawiona.

— Panna Pitty powiedziała nam, że chcieli to ogłosić dopiero na przyszły rok, bo panna Mela czuła się ostatnio niezbyt dobrze. Teraz jednak, gdy tyle się mówi o wojnie, obydwie rodziny uważają, że lepiej będzie, jeżeli ślub odbędzie się szybko. Jutro więc wieczorem podczas kolacji zaręczyny zostaną ogłoszone. Teraz, Scarlett, skorośmy ci już powiedzieli sekret, musisz nam przyrzec, że usiądziesz z nami do stołu.

— Bardzo chętnie — powiedziała Scarlett bez zastanowienia.

— I wszystkie walce będą nasze?

— Wszystkie.

— Jesteś słodka! Założyłbym się, że inni chłopcy się powściekają.

— Niech się wściekają — rzekł Brent. — Damy sobie z nimi radę. Słuchaj, Scarlett, usiądź przy nas także i rano.

— Co takiego?

Stuart powtórzył prośbę.

— Z chęcią.

Bracia spojrzeli po sobie tryumfalnie, ale z pewnym zdziwieniem. Mimo że uważali się za wyróżnianych przez Scarlett kawalerów, nigdy dotąd nie mieli tak przekonywających dowodów jej sympatii. Zwykle musieli długo prosić i nastawać, a ona ich zwodziła nie chcąc nigdy powiedzieć ani „tak”, ani „nie”, śmiejąc się, gdy się dąsali, stając się zimną, gdy zaczynali być źli. A teraz nagle przyrzekła właściwie, że im poświęci cały swój jutrzejszy czas — będzie z nimi siedziała rano przy uczcie, obiecała wszystkie walce (a już oni postarają się o to, aby grano tylko walce!) i kolację. Takie osiągnięcie warte było wyrzucenia z uniwersytetu.

Pełni nowego animuszu po tym sukcesie, nie śpieszyli się z pożegnaniem, mówili o balu i barbakoi, o Ashleyu Wilkesie i Melanii Hamilton, przerywając sobie nawzajem; robiąc dowcipy i śmiejąc się z nich, dając do zrozumienia, że czekają zaproszenia na kolację. Upłynęła spora chwila, zanim się spostrzegli, że Scarlett mówi teraz bardzo mało. Nastrój jakoś się zmienił. Jak to się stało — bracia nie wiedzieli, ale przyjemna atmosfera wizyty uleciała bezpowrotnie. Scarlett zdawała się zwracać mało uwagi na to co mówili, jakkolwiek odpowiadała sensownie. Wyczuwając coś, czego nie mogli zrozumieć, zniechęceni tym i zmartwieni, chłopcy walczyli z sobą przez chwilę, po czym niechętnie wstali spoglądając na zegarki.

Słońce stało już nisko nad świeżo zaoranymi polami; wysokie lasy rysowały się ciemną linią za rzeką. Nad podwórzem chyżo krążyły jaskółki, a kurczęta, kaczki i indyki tłoczyły się i puszyły wracając z pól.

Stuart krzyknął: „Jeems!” Po krótkiej chwili wysoki czarny chłopak, w tym samym co bracia wieku, przybiegł bez tchu zza domu i skierował się biegiem do spętanych koni. Jeems był przybocznym sługą młodych Tarletonów podobnie jak psy, towarzyszył im wszędzie. Był od dzieciństwa towarzyszem ich zabaw: dostali go na własność na swoje dziesiąte urodziny. Na widok Murzyna psy podniosły się z pokrytej czerwonym pyłem ziemi i spojrzały wyczekująco w stronę swoich panów. Chłopcy skłonili się, pożegnali, przypominając Scarlett, że będą czekali na nią u Wilkesów z samego rana. Potem szybko zbiegli po podjeździe, wsiedli na konie i galopem puścili się aleją cedrową, powiewając kapeluszami i wołając jeszcze do Scarlett.

Kiedy minęli zakręt zapylonej drogi i Tara znikła im z oczu, Brent zatrzymał konia pod kępą dereni. Stuart także przystanął, a za nim, w odległości kilku kroków, i czarny chłopak. Konie, poczuwszy zwolnienie lejc, pochyliły głowy, aby poskubać miękkiej, wiosennej trawy, cierpliwe zaś psy legły znowu w czerwonym pyle i patrzyły pożądliwie na jaskółki wirujące w gęstniejącym mroku. Szeroka, szczera twarz Brenta wyrażała zdziwienie i lekkie oburzenie.

— Słuchaj — rzekł — czy nie uważasz, że Scarlett powinna nas była zaprosić na kolację?

— Przypuszczałem, że nas zaprosi — odparł Stuart. — Czekałem, aż to zrobi, ale jakoś nic nie powiedziała. Jak to sobie tłumaczysz?

— Wcale sobie tego nie tłumaczę. Wydaje mi się jednak, że powinna nas była poprosić. Ostatecznie, jest to nasz pierwszy wieczór po przyjeździe, a nie widziała nas od dawna. Mieliśmy jej jeszcze wiele rzeczy do powiedzenia.

— Zdawało mi się, że bardzo się ucieszyła, kiedyśmy przyjechali.

— I ja tak myślałem.

— A potem, może pół godziny temu, nagle ucichła, jak gdyby ją głowa rozbolała.

— Zauważyłem to także, ale nie zwróciłem uwagi. Jak myślisz, co jej się mogło stać?

— Nie wiem. Czyżbyśmy powiedzieli coś takiego, co ją rozzłościło?

Obydwaj zastanawiali się przez chwilę.

— Nic mi nie przychodzi na myśl. Poza tym, kiedy Scarlett jest zła, poznać to od razu. Nie stara się panować nad sobą, jak inne panny.

— Tak, i to w niej właśnie lubię. Nie jest napuszona i sztywna, kiedy jest zła, tylko od razu mówi, o co chodzi. Pewien jednak jestem, że tak na nią podziałało coś, co zrobiliśmy czy powiedzieliśmy, bo zamilkła i wyglądała jak chora. Mógłbym przysiąc, że cieszyła się, kiedy nas zobaczyła, i że z początku chciała nas zatrzymać na kolacji.

— A może nas nie poprosiła dlatego, że nas wyrzucono z uniwerku?

— Ach, skądże znowu! Nie bądź głupi. Śmiała się przecież, kiedyśmy jej o tym powiedzieli. Poza tym zaś Scarlett tak jak my nie dba o książki.

Brent odwrócił się w siodle i zawołał młodego Murzyna:

— Jeems!

— Słucham?

— Czy słyszałeś, o czym rozmawialiśmy z panną Scarlett?

— Ależ skąd, paniczu! Czyż ja bym podsłuchiwał rozmowę białych ludzi?

— Czyś podsłuchiwał? Boże drogi! Wy, Murzyni, wiecie o wszystkim, co się dzieje. Kłamco jeden, na własne oczy widziałem, jak przekradałeś się koło ganku i przycupnąłeś za krzakiem jaśminu przy murze. A więc, czy słyszałeś, żeśmy powiedzieli coś takiego, co pannę Scarlett mogło rozzłościć czy urazić’

Zapytany w ten sposób Jeems przestał się upierać, że nie słyszał rozmowy, i zmarszczył czarne czoło.

— Nie, paniczu, nic takiego nie słyszałem, co by ją mogło rozzłościć. Tak mi się zdaje, jakby się panna Scarlett cieszyła, że paniczów widzi, i świergotała wesoło jak ptaszek aż do czasu, gdy panicze powiedzieli, że pan Ashley i panna Mela Hamilton się ze sobą ożenią. Potem panna Scarlett umilkła jak ptak, który widzi jastrzębia.

Bracia spojrzeli na siebie i skinęli głowami, jeszcze nie rozumiejąc.

— Jeems ma rację. Ale nie rozumiem, dlaczego — rzekł Stuart. — Mój Boże! Ashley nie jest przecież dla niej niczym więcej jak przyjacielem. Nie kocha się w nim przecież. Kocha się w nas.

Brent kiwnął głową.

— Ale może — powiedział — Ashley nie powiedział jej, że ogłosi zaręczyny jutro wieczorem, i Scarlett jest zła na niego, że nie zawiadomił o tym jej, swojej starej przyjaciółki, zanim powiedział o tym innym? Dziewczęta wielką wagę przywiązują do tego, aby o takich rzeczach dowiadywać się najwcześniej.

— Wiesz, że to możliwe. Ale cóż z tego, że nic jej nie powiedział? Miał to być sekret i niespodzianka, a mężczyzna ma prawo trzymać swoje zaręczyny w tajemnicy, prawda? My byśmy także o tym nic nie wiedzieli, gdyby ciotka Meli nie wygadała się przed nami. Scarlett z pewnością wiedziała, że Ashley ma się ożenić z Melą. My sami wiemy o tym od lat. Wilkesowie i Hamiltonowie zawsze się pobierają między sobą. Wszyscy Wiedzieli, że Ashley kiedyś się z Melą ożeni, tak samo jak o tym, że Honey Wilkes wyjdzie za jej brata, Karola.

— Dobrze, ale nie mówmy już o tym. Szkoda jednak, że nie zaprosiła nas na kolację. Przysięgam, że nie mam ochoty wracać do domu i wysłuchiwać wymówek mamy, że znowu nas wylano. Tym bardziej że zdarza się to już nie pierwszy raz...

— Może Boyd udobruchał już mamę. Wiesz przecież, jaki z niego świetny adwokat. Zawsze potrafi ją ugłaskać.

— Tak, to prawda, ale musi mieć na to dużo czasu. Musi gadać i gadać, aż mama przestaje wiedzieć, o co chodzi, poddaje się i każe mu swoją wymowę zachować na sąd. Mam jednak wrażenie, że Boyd jeszcze nie zdążył zacząć. Założę się nawet, że mama tak jest podniecona nowym koniem, że przypomni sobie o nas dopiero przy kolacji, kiedy spostrzeże Boyda. Podczas jedzenia będzie wymyślała i parskała. Zrobi się dziesiąta, zanim Boyd będzie jej mógł powiedzieć, że byłoby poniżej naszej godności, gdyby który z nas został w budzie po tym, co nam dwóm powiedział rektor. I dopiero około północy tak jej głowę zawróci, że będzie wściekła na rektora i będzie się pytała Boyda, dlaczego go nie zastrzelił. Nie, nie możemy wracać do domu przed północą.

Bracia popatrzyli na siebie ponuro. Nie bali się ani dzikich koni, ani pijatyk ze strzelaniem, ani opinii sąsiadów, ale surowe słowa matki, poparte razami szpicruty, którą okładała ich poniżej pleców, napawały ich niekłamanym lękiem.

— No, więc słuchaj — powiedział Brent. — Pojedziemy do Wilkesów. Ashley i dziewczęta chętnie nas zaproszą na kolację.

Stuart był zakłopotany.

— Nie, tam nie jedźmy. Mają pewnie zawracanie głowy w związku z jutrzejszą zabawą, a prócz tego...

— Ach, zapomniałem o tym — szybko powiedział Brent. — Nie, wobec tego nie jedźmy tam.

Cmoknęli na konie i przez chwilę jechali w milczeniu. Na ciemnych policzkach Stuarta ukazał się rumieniec zakłopotania. Jeszcze niecały rok temu Stuart starał się o Indię Wilkes, za aprobatą obydwu rodzin i całej okolicy. Opinia twierdziła, że zimna i opanowana India Wilkes wywrze na niego zbawienny wpływ. Tego w każdym bądź razie wszyscy pragnęli. Sam Stuart także by się może zdecydował na tę partię, ale Brent nie był zadowolony. Brent lubił Indię, uważał ją jednak za bardzo brzydką i nudną i po prostu nie mógł się w niej zakochać, by dotrzymać towarzystwa Stuartowi. Wtedy to po raz pierwszy zdarzyło się, że zainteresowania braci nie były zgodne, Brent był więc trochę urażony atencjami brata dla panienki, która nie wydawała mu się ich godna.

Aż tu latem ubiegłego roku, na zebraniu politycznym w lasku dębowym pod Jonesboro, obaj nagle zauważyli Scarlett O’Harę. Znali ją od wielu lat i jeszcze w dzieciństwie bardzo lubili się z nią bawić, bo umiała jeździe konno i wspinać się na drzewa nie gorzej od nich. Teraz jednak ku wielkiemu zdumieniu stwierdzili, że stała się dorosłą panną i w dodatku najbardziej uroczą na świecie.

Po raz pierwszy zauważyli, jak skrzą się jej zielone oczy, jakie ma dołeczki, kiedy się śmieje, jak małe ręce i nogi i jak cienki stan. Żarty ich wywoływały z jej strony wybuchy wesołego śmiechu, więc podnieceni myślą, że ich uważa za niezwykłych chłopców, przeszli samych siebie.

Był to pamiętny dzień w życiu braci Tarletonów. Odtąd, ilekroć rozmawiali o nim, nie przestawali się dziwić, że dopiero wtedy zauważyli wdzięki Scarlett. Nie przyszło im jednak wcale na myśl, iż stało się to dlatego, że Scarlett dnia tego postanowiła ich zdobyć. Nie znosiła po prostu, aby jakikolwiek młody człowiek był nie w niej zakochany, więc widok Indii Wilkes i Stuarta na zebraniu rozbudził w niej instynkty zaborcze. Nie zadowalając się samym Stuartem, zagięła parol także i na Brenta, a okazała tak gruntowną znajomość sztuki zdobywania, że całkowicie podbiła obu chłopców.

Teraz obaj byli zakochani w Scarlett, a India Wilkes i Letty Munroe z Lovejoy, z którą Brent zresztą niezbyt chętnie flirtował, odsunięte zostały na dalszy plan. Nad tym, co pocznie ten z nich, którego Scarlett odrzuci, bracia nie zastanawiali się wcale. Na nieprzyjemne myśli zawsze jest mnóstwo czasu. Chwilowo byli zadowoleni, że podoba im się ta sama panna, bo wcale nie byli o siebie zazdrośni. Sytuacja ta pasjonowała sąsiedztwo i martwiła ich matkę, która nie darzyła Scarlett zbytnią sympatią.

— Zobaczycie, co to będzie, kiedy ta sprytna szelma wybierze jednego z was — mawiała pani Tarleton. — Może zresztą przyjmie was obu, a wtedy będziecie się musieli wynieść do Utah, jeżeli mormoni was zechcą, o czym śmiem wątpić... Jedyne, co mnie obchodzi, to fakt, że w niedalekiej przyszłości staniecie się o siebie zazdrośni z powodu tej dwulicowej małej bestyjki o zielonych oczach i pozabijacie się po pijanemu nawzajem. Co zresztą bardzo mi się uśmiecha.

Od dnia tego zebrania Stuart zaczął się czuć nieswojo w obecności Indii. Nie znaczy to bynajmniej, iżby India słowem czy gestem dała mu kiedykolwiek odczuć, że zauważyła nagłą zmianę jego uczuć. Na to była zbyt dobrze wychowana. Stuart jednak poczuwał się do winy w stosunku do niej. Wiedział, że rozbudził jej uczucia, wiedział, że dziewczyna kocha go jeszcze, i w głębi serca czuł, że nie zachował się wobec niej szlachetnie. Lubił ją bardzo i szanował za chłodną dystynkcję, za wykształcenie i wszystkie zalety, jakie posiadała. Ale, u licha, była bladziutka, nieładna i zawsze jednakowa, podczas gdy Scarlett była błyskotliwa i żywa. Postępki Indii można było zawsze z góry przewidzieć — Scarlett była wciąż inna. To wprawdzie doprowadzało człowieka do rozpaczy, ale miało swój urok.

— No, więc pójdźmy na kolację do Cade’a Calverta. Scarlett powiedziała, że Kasia wróciła już z Charlestonu. Może będzie wiedziała coś nowego o Forcie Sumtera.

— Kasia? Założę się z tobą, że ona nie wie nawet, iż Fort leży u wejścia do portu, tym bardziej zaś, że pełno w nim było Jankesów. Jedyne, co ją zajmuje, to bale, na których była, i adoratorzy, których zdobyła.

— To prawda, ale ona bardzo zabawnie paple. A zresztą chodzi o to, abyśmy przeczekali gdzieś, aż mama pójdzie spać.

— Nie, nie! Lubię Kasię, bo to zabawna dziewczyna, chciałbym usłyszeć nowinki o Caro Rhett i innych charlestońskich znajomych, ale niech mnie diabli wezmą, jeżeli potrafię się zmusić do siedzenia przy kolacji z tą jej jankeską macochą.

— Nie bądź dla niej zbyt surowy, Stuarcie. Ma dobre intencje.

— Wcale jej surowo nie sądzę. Żal mi jej tylko, a nie lubię ludzi, których mi żal. Tak bardzo się stara robić to, co trzeba, i dobrze zabawiać gości, że zawsze zaczyna mówić i robić rzeczy niewłaściwe. Denerwuje mnie. Uważa ponadto, że ludzie z Południa są dzikimi barbarzyńcami. Powiedziała to nawet mamie. Boi się południowców. Ilekroć tam przyjeżdżamy, ma taką minę, jak gdyby się nas śmiertelnie obawiała. Przypomina mi chudą kurę, o przerażonych jasnych oczach bez wyrazu, gotową gdakać i trzepotać skrzydłami za lada ruchem z czyjejkolwiek strony.

— Nie możesz mieć o to do niej żalu. Postrzeliłeś przecież Cade’a w nogę,

— Tak, ale wtedy byłem wstawiony. Inaczej nigdy bym tego nie zrobił — rzekł Stuart. — Cade zresztą nie miał do mnie wcale żalu, jak również Kasia, Raiford i pan Calvert. Tylko ta ich jankeska macocha podniosła krzyk i gadała, że jestem dzikim barbarzyńcą i że przyzwoici ludzie nie są bezpieczni wśród niecywilizowanych południowców.

— Nie możesz jej mieć tego za złe. Jest Jankeską i nie ma zbyt dobrych manier. A poza tym postrzeliłeś naprawdę Cade’a, który jest jej pasierbem.

— No dobrze już, dobrze! Ale to wszystko nie daje jej jeszcze prawa, aby mnie obrażać! Ty jesteś mamy rodzonym synem, a mama wcale się nie przejęła, kiedy Tonio Fontaine zranił ciebie w nogę! Posłała tylko po starego doktora Fontaine, aby cię opatrzył, i zapytała go, dlaczego Tonio tak marnie celuje. Powiedziała, że to pewno wódka źle podziałała na celność jego strzału. Pamiętasz, jak to Tonia rozgniewało?

Obaj chłopcy zaśmiali się głośno.

— Nasza mama to dobry numer! — rzekł Brent z pełnym czułości podziwem. — Można zawsze liczyć na nią: umie się znaleźć i nie robi człowiekowi wstydu przed innymi.

— Tak, ale bardzo się boję, że dzisiaj, gdy wrócimy do domu, zrobi nam wstyd w obecności ojca i dziewcząt — rzekł Stuart posępnie. — Słuchaj, Brent. Mam wrażenie, że będziemy musieli się pożegnać ż podróżą do Europy. Wiesz, że mama nam zapowiedziała, że nie pojedziemy, jeżeli nas wyrzucą z jeszcze jednej uczelni.

— No, więc co z tego? Czy nam na tym zależy? Cóż tam jest do oglądania w Europie? Założę się, że wszyscy cudzoziemcy razem nie mogą nam nic takiego pokazać, czego byśmy nie mieli tutaj w Georgii. Założę się, że konie ich nie są tak szybkie ani dziewczęta tak piękne, i mógłbym przysiąc, że ich żytniówka nie umywa się do żytniówki ojca.

— Ashley Wilkes mówi, że w Europie są piękne krajobrazy i dobra muzyka. Podobało mu się tam bardzo. Ciągle opowiada o swojej podróży.

— No tak, ale wiesz przecież, jacy są Wilkesowie. Trochę zwariowani, jeżeli chodzi o muzykę, książki czy widoki. Mama mówi, że to dlatego, że ich dziadek pochodził z Wirginii. Uważa, iż wszyscy ludzie z Wirginii zbyt wielką wagę przywiązują do tych rzeczy.

— Niech zostaną przy swoich gustach. Daj mi dobrego konia, dobry trunek, przyzwoitą pannę do flirtu i mniej porządną do rozkoszy, a daruję im tę ich Europę... Czy nam właściwie zależy na tej podróży? A przypuśćmy, że bylibyśmy w Europie właśnie teraz, kiedy zbliża się wojna? Nie moglibyśmy zdążyć na czas do domu. Wolę wojnę niż podróż do Europy.

— Ja także, oczywiście... Słuchaj, Brent! Wiem już, dokąd moglibyśmy pojechać na kolację. Przeprawmy się przez moczary do Abla Wyndera. Powiemy mu, że wróciliśmy wszyscy do domu i jesteśmy gotowi do musztry.

— To świetny pomysł! — wykrzyknął Brent z entuzjazmem.- Opowie nam wszystkie nowości i dowiemy się, jaki kolor został ostatecznie wybrany na mundury.

— Jeżeli taki jak żuawów, to raczej skonam, niż się zaciągnę. Czułbym się jak pajac w tych workowatych czerwonych spodniach. Wyglądają jak damskie barchanowe majtki.

— Czy panicze chcą jechać do pana Wyndera? To panicze nic nie dostaną na kolację — rzekł Jeems. — Kucharka ich umarła i jeszcze sobie nie kupili drugiej. Gotuje im robotnica z pola i mówili mi Murzyni, że to najgorsza kucharka w całym powiecie.

— Więc dlaczego, na Boga, nie kupią sobie lepszej?

— Skąd by zaś „biała nędza” mogła sobie pozwolić na Murzynów? Nigdy tam nie było więcej czarnych niż najwyżej czworo.

W głosie Jeemsa brzmiała wyraźna pogarda. Jego własna pozycja społeczna była niezachwiana, ponieważ Tarletonowie mieli ponad stu Murzynów, dlatego więc, podobnie jak wszyscy niewolnicy z wielkich plantacji, patrzył z góry na farmerów posiadających tylko kilku Murzynów.

— Wygarbuję ci skórę za to, coś powiedział! — zawołał ze złością Stuart. — Nie nazywaj mi Abla Wyndera „białą nędzą”. Pewnie, że jest biedny, ale pochodzi z porządnej rodziny i niech mnie kule biją, jeżeli pozwolę komukolwiek, białemu czy czarnemu, wygadywać na niego. W całym powiecie nie ma lepszego od niego człowieka. Inaczej bowiem Oddział nie mianowałby go porucznikiem.

— Tego to wcale nie rozumiem — odparł Jeems nie bacząc na gniew swego pana. — Tak mi się zdaje, że oficerami powinni być prawdziwi panowie, a nie nędza z moczarów. On nie jest żadną „nędzą”! Jakże można go porównywać z prawdziwą „białą nędzą” jak rodzina Slatterych? Abel nie ma tylko majątku. Jest małym farmerem, a nie wielkim plantatorem, i jeżeli chłopcy cenią go tak wysoko, że obwołali go porucznikiem, to nie jest rzeczą byle Murzyna źle o nim mówić. Oddział wie, co robi.

Oddział kawalerii zorganizowano przed trzema miesiącami w dniu, gdy Georgia odłączyła się od Unii, i od tego czasu ochotnicy marzyli o wojnie. Oddział nie miał jeszcze dotąd żadnej nazwy, jakkolwiek pomysłów nie brakło. Każdy miał na ten temat inną ideę, od której nie chciał odstąpić, każdy też dawał projekt kroju i koloru mundurów. „Dzikie koty z Olaytonu”, „Pożeracze ognia”, „Huzarzy Północnej Georgii”, „Żuawi”, „Strzelcy krajowi” (jakkolwiek oddział uzbrojony miał być w pistolety, szable i długie noże, a nie strzelby). „Szarzy z Claytonu”, „Krwawe pioruny”, „Nieustraszeni” — wszystkie te nazwy miały swoich zwolenników. Do czasu ostatecznego wyjaśnienia tej sprawy wszyscy określali organizację jako Oddział i mimo górnolotnej nazwy, którą ostatecznie wybrano, wojsko Georgii zawsze zwane było „Oddziałem”.

Oficerowie wybierani byli przez członków organizacji, ponieważ nikt w całym powiecie, z wyjątkiem kilku weteranów wojny meksykańskiej i seminolskiej, nie miał doświadczenia wojennego, ponadto zaś Oddział nie respektowałby dowódcy, którego by większość członków nie lubiła i dobrze nie znała. Wszyscy lubili czterech młodych Tarletonów i trzech Fontaine’ów, ale z żalem musieli zrezygnować z ich wyboru, bo Tarletonowie mieli zbyt słabe głowy i po pijanemu płatali psie figle, Fontaine’owie zaś byli porywczymi zabijakami. Ashley Wilkes został wybrany kapitanem, ponieważ był najlepszym jeźdźcem w powiecie, chód zaś jego i opanowanie dawały jaką taką gwarancję, że potrafi utrzymać porządek. Raiford Calvert został porucznikiem, bo był przez wszystkich lubiany, zaś Abel Wynder, syn trapera z moczarów i właściciel małej fermy — porucznikiem.

Abel był obrotnym, małomównym olbrzymem, starszym od reszty chłopców; nie miał wykształcenia, ale za to dobry charakter, do kobiet odnosił się równie dobrze, jeżeli nie lepiej niż większość z nich. W Oddziale nie było snobizmu. Ojcowie czy dziadowie jego członków także dorobili się pieniędzy, zacząwszy od małej własności wiejskiej. Co więcej, Abel był najlepszym strzelcem w organizacji; trafiał w oko wiewiórki z odległości siedemdziesięciu pięciu jardów, ponadto zaś znał dobrze życie obozowe, umiał rozpalać ogniska podczas deszczu, tropić zwierzynę i znajdować wodę. Organizacja ceniła te wszystkie zalety — Wynder był powszechnie lubiany, mianowano go więc oficerem. Abel nosił tę godność z powagą, jak gdyby słusznie mu się należała, i nie okazywał żadnej zarozumiałości. Jednakże żony plantatorów i ich niewolnicy nie mogli przejść do porządku dziennego nad faktem, że Wynder nie urodził się dżentelmenem — o czym mężczyźni zupełnie nie pamiętali.

Początkowo do Oddziału należeli wyłącznie synowie plantatorów, dżentelmeni, z których każdy miał własnego konia, własne uzbrojenie, ekwipunek, mundur i ordynansa. W nowym powiecie claytońskim bogatych plantatorów było jednak niewielu, aby więc sformować pełen oddział, trzeba było rekrutów zbierać spomiędzy synów małych farmerów, leśniczych z głębokich lasów, traperów z moczarów, małorolnych i w bardzo nielicznych wypadkach nawet „białej nędzy”.

Małorolni z równym zapałem rwali się do walki z Jankesami jak ich bogatsi sąsiedzi, ale od zaciągnięcia się do Oddziału wstrzymywała ich kłopotliwa sprawa finansów. Nie wszyscy drobni farmerzy posiadali konie. Do prac rolnych używali mułów, a i tych nie mieli wiele, rzadko więcej niż cztery. Farmy nie mogły obyć się bez mułów, nawet na wypadek, gdyby komenda Oddziału chciała je przyjąć — a tego robić nie chciała. „Biała nędza” zaś uważała się za dobrze sytuowaną, jeżeli miała choć jednego muła. Ludzie z głębi lasów i traperzy z moczarów nie mieli ani koni, ani mułów i żyli wyłącznie z płodów swojej ziemi lub z łowów. Trudnili się przeważnie handlem wymiennym i rzadko miewali więcej niż pięć dolarów w gotówce rocznie, konie zatem i umundurowanie były dla nich niedostępne. W ubóstwie swoim byli jednak równie hardzi, jak plantatorzy dumni ze swego bogactwa, i nie przyjęliby od swoich zamożnych sąsiadów niczego, co mogłoby wyglądać na zapomogę. Tak więc, aby nie razić niczyich uczuć, a doprowadzić Oddział do właściwego stanu liczebnego, ojciec Scarlett, Jan Wilkes, panowie Munroe, Tarleton i Calvert — słowem wszyscy wielcy plantatorzy powiatu, z wyjątkiem Angusa MacIntosha — złożyli datki pieniężne na wyposażenie Oddziału w konie i mundury. W rezultacie więc każdy plantator podjął się wyposażenia nie tylko swoich własnych synów, ale i pewnej liczby obcych. Zrobili to w taki sposób, że mniej zamożni członkowie Oddziału mogli przyjąć konie i mundury bez uszczerbku dla własnego honoru.

Oddział zbierał się dwa razy w tygodniu w Jonesboro, aby ćwiczyć i wzdychać do co rychlejszego wybuchu wojny. Jak dotąd wciąż jeszcze brakowało koni, ale ci, którzy konie już mieli, odbywali, jak im się zdawało, „manewry” na łące za gmachem sądu, wzbijali wielkie tumany kurzu, wrzeszczeli co sił w płucach i wymachiwali szablami z czasów rewolucji, zdjętymi ze ścian salonów. Ci, którzy koni nie mieli, siedzieli na schodkach przed składem Bullarda i przyglądali się konnym kolegom, żując tytoń i opowiadając anegdotki. Czasem też urządzali konkursy strzelania. Żadnego z członków Oddziału nie trzeba było strzelania uczyć. Mężczyźni Południa przychodzili niejako na świat z pistoletem w garści, a lata spędzane na polowaniach czyniły z nich wyborowych strzelców.

Z domów plantatorów i chat na moczarach do każdego przeglądu przedstawiano najdziwaczniejsze rodzaje broni. Były tam fuzje, których młodość przypadała na okres pierwszego przekroczenia Gór Allegańskich; stare muszkiety, które miały na sumieniu niejednego Indianina w czasie kolonizowania Georgii, pistolety do siodeł z roku 1812, z wojen z Seminolami i z Meksykiem, okute srebrem pistolety do pojedynku, małe kieszonkowe derringery, dubeltówki i piękne angielskie karabiny o polerowanych kolbach.

Musztra kończyła się zawsze w szynkach Jonesboro i o zmierzchu wynikało tak wiele bójek, że oficerom z trudem przychodziło zapobieganie nieszczęśliwym wypadkom, do czasu gdy przeciwnikami w walkach będą Jankesi. Podczas jednej właśnie z takich burd Stuart Tarleton postrzelił Cade’a Calverta, a Tony Fontaine Brenta Tarletona. Bracia w tym czasie siedzieli w domu, bo świeżo ich wyrzucono z uniwersytetu w Wirginii; do organizującego się oddziału przystali z entuzjazmem, po tym epizodzie jednak, przed dwoma miesiącami, matka wysłała ich na inny uniwersytet i surowo nakazała tam siedzieć. Bardzo brakło im tam wzruszeń musztry i uważali, że nie warto się kształcić zamiast jeździć konno, krzyczeć i strzelać z karabinu w towarzystwie kolegów.

— No, dobrze, jedźmy zatem polami do Abla — zdecydował Brent. — Jeżeli pojedziemy przez bród koło Tary i pastwisko Fontaine’ów, dostaniemy się tam bardzo szybko.

— Dadzą nam do jedzenia najwyżej pieczeń z oposa i kapustę — sprzeciwił się Jeems.

— Ty w ogóle nic nie dostaniesz — zaśmiał się Stuart — bo pojedziesz do domu i powiesz mamie, że nie będziemy na kolacji.

— Nie, nie pojadę! — wykrzyknął Jeems w przerażeniu. — Nie chcę! Wcale mi się nie uśmiecha spotkanie z panią Beatrice. Zapyta mnie pewnie, dlaczegom dopuścił do tego, aby paniczów znowu wyrzucono, i dlaczego nie przyprowadziłem paniczów na kolację do domu, aby mogła was wyłajać. A potem zacznie na mnie jeździć jak na łysej kobyle i w końcu to ja będę wszystkiemu winien. Jeżeli mnie panicze nie zabiorą do pana Wyndera, to zostanę na noc w lesie. Złapie mnie pewnie patrol, ale wolę, żeby mnie patrol zabrał, niż rozmawiać z panią Beatrice, kiedy jest zła.

Bracia spojrzeli na młodego Murzyna z zakłopotaniem i oburzeniem.

— Rzeczywiście jest tak głupi, że może wpaść w ręce patrolu, a to dałoby mamie znowu temat na całe tygodnie. Przysięgam, że z tymi Murzynami to tylko kłopot. Czasami wydaje mi się, że abolicjoniści mają słuszność.

— Nie byłoby sprawiedliwe, gdybyśmy Jeemsa skazali na to, czemu sami boimy się spojrzeć w oczy. Będziemy go musieli zabrać ze sobą. Ale słuchaj, ty bezczelny czarny głuptasie, jeżeli będziesz mi się puszył przed Murzynami pana Wyndera i opowiadał im, że my stale jadamy drób i szynkę, podczas gdy oni mają tylko króliki i oposy, ja powiem mamie o wszystkim. Poza tym, nie pojedziesz z nami na wojnę.

— Ja miałbym się puszyć? Ja... przed tymi tam tanimi Murzynami? Nie, proszę panicza, ja mam lepsze maniery. Pani Beatrice uczyła mnie manier tak samo jak wszystkich paniczów.

— Nie doczekała się pociechy z tych swoich nauk! — zaśmiał się Stuart. — Chodźcie, ruszamy. Zawrócił wielkiego kasztana i spinając go ostrogami, lekko przeskoczył przez płot na miękką ziemię plantacji Geralda O’Hary. Za nimi skoczył Brent, a na końcu Jeems, trzymając się kurczowo kuli i grzywy swego konia. Jeems nie lubił przesadzać płotów, ale dla dotrzymania kroku swoim panom przeskakiwał już niejednokrotnie i przez wyższe.

Gdy w gęstniejącym mroku kierowali się między czerwonymi skibami w dół wzgórza ku rzece, Brent krzyknął na brata:

— Słuchaj, Stu! Czy nie zdaje ci się, że Scarlett chciała nas zaprosić na kolację?

— Byłem pewny, że nas zaprosi — odwrzasnął Stuart. — Co jej się mogło stać?...

## ROZDZIAŁ II

Kiedy Tarletonowie odjechali i umilkły odgłosy kopyt, Scarlett, stojąca dotąd nieruchomo na ganku, zawróciła do swego krzesła jak lunatyczka. Twarz miała sztywną z bólu, usta paliły ją od rozciągania w wymuszonych uśmiechach, którymi pokrywała swój sekret. Usiadła ciężko z jedną nogą podwiniętą pod siebie, a serce jej tak bardzo nabrzmiało cierpieniem, że zdawało się nie mieścić w piersiach. Biło szybko i nierówno, ręce miała zimne, przepełniało ją poczucie klęski. Na twarzy jej malowało się zdumienie rozpieszczonego dziecka — dziecka, którego zachcianki zawsze spełniano i które po raz pierwszy styka się z brutalnością życia.

Ashley zaręczony z Melanią Hamilton!

Och, to chyba nieprawda! Tarletonowie się mylą. Wypłatali jej swoim zwyczajem figla. Ashley na pewno, na pewno nie kocha Meli. Niepodobna się przecież kochać w tak niepozornej osóbce jak Mela. Scarlett przypomniała sobie ze wzgardą drobną, dziecinną figurkę Melanii, jej poważną, owalną twarzyczkę, nieładną, raczej nawet brzydką. Ashley nie widywał jej ostatnio wcale. W Atlancie był co najwyżej dwa razy od czasu, gdy Hamiltonowie bawili rok temu w Dwunastu Dębach. Nie, Ashley nie mógł być zakochany w Meli, ponieważ — och, nie, nie myli się z pewnością! — ponieważ kochał ją! Ona, Scarlett, była jedyną, którą kochał! Tego była pewna!

Scarlett usłyszała z hallu ciężkie, rąbane kroki Mammy, szybko więc usiadła jak należy i postarała się doprowadzić twarz do względnego porządku. Byłoby źle, gdyby Mammy domyśliła się czegoś. Mammy była przekonana, że panuje niepodzielnie nad O’Harami, że rządzi ich ciałami i duszami, że ich tajemnice są jej własnością i węszyła jak pies gończy za najmniejszym nawet śladem sekretu. Scarlett wiedziała z doświadczenia, że jeżeli nie zaspokoi natychmiast ciekawości Mammy, niania omówi sprawę z jej matką, a wtedy Scarlett albo będzie zmuszona wyznać wszystko Ellen, albo wymyślić jakieś odpowiednie kłamstwo.

Z hallu wynurzyła się wielka czarna kobieta o małych, przenikliwych oczkach słonia. Była lśniącej, prawdziwej afrykańskiej czarności. Oddana całą duszą rodzinie O’Harów, stanowiła podporę Ellen, plagę jej trzech córek i postrach reszty służących. Mammy, chociaż Murzynka, miała równie wysokie czy nawet wyższe niż jej właściciele pojęcie o godziwym sposobie postępowania i równie wielką dumę.

Wychowała się w sypialni Solange Robillard, matki Ellen O’Hara, wytwornej, zimnej, wyniosłej Francuzki, która ani dzieciom, ani służbie nie szczędziła kar za najmniejsze wykroczenie przeciw temu, co wypada. Była piastunką Ellen i po jej ślubie przyjechała z nią z Savannah. Mammy lubiła karcić tych, których kochała. A ponieważ miłość jej do Scarlett i duma z niej były niezmierne, proces karcenia trwał prawie nieprzerwanie.

— Czy młodzi panowie odjechali? Dlaczego nie prosiłaś ich, aby zostali na kolacji, Scarlett? Powiedziałam Porkowi, aby położył dla nich nakrycia na stole. Jakież ty masz maniery?

— Och, tak mnie znudzili swoim opowiadaniem o wojnie, że nie mogłabym już tego znieść przy kolacji, tym bardziej że tatuś pewnie by im pomógł i zacząłby pomstować na prezydenta Lincolna.

— Masz równie złe maniery jak zwykła wyrobnica z pola, mimo że i pani Ellen, i ja takeśmy się nad tobą namęczyły. No i dlaczego siedzisz tutaj bez szala? Zaraz schwyci chłód. A przecież powtarzam ci ciągle, że dostaje się gorączki od siedzenia na chłodzie bez ciepłego szala na ramionach. Wejdź do pokoju, Scarlett.

Scarlett odwróciła się od Mammy z udanym lekceważeniem, zadowolona, że Murzynka, zajęta sprawą szala, nie zwróciła uwagi na wyraz jej twarzy.

— Nie, chcę siedzieć tutaj i patrzeć, jak słońce zachodzi. Piękny dziś zachód. Przynieś mi szal. Proszę cię, Mammy, zrób to dla mnie, a ja tu posiedzę, aż papa wróci do domu.

— Masz taki głos, jak gdybyś już złapała katar — rzekła Mammy podejrzliwie.

— Nie, nic mi nie jest — odparła ze zniecierpliwieniem Scarlett. — Przynieś mi szal.

Mammy poczłapała do hallu i Scarlett usłyszała, jak cicho woła do pokojówki na górze:

— Różo, Różo! Zrzuć mi tu szal panny Scarlett. — Potem głośniej: — Przebrzydła Murzynka! Nigdy jej nie ma tam, gdzie powinna być. Teraz muszę sama włazić na schody.

Scarlett usłyszała skrzypienie schodów i cicho wstała. Mammy wróciwszy zacznie znowu kazanie na temat niegościnności Scarlett, Scarlett zaś czuła, że teraz, gdy jej serce pęka, nie zniesie gadaniny o tak błahej sprawie. Kiedy tak stała niezdecydowana, zastanawiając się, gdzie by się ukryć, dopóki ból w sercu nie ustąpi, przyszła jej do głowy myśl, która przyniosła iskierkę nadziei. Ojciec jej pojechał tego popołudnia do Dwunastu Dębów, plantacji Wilkesów, w sprawie kupna Dilcey, tęgiej żony jego lokaja, Porka. Dilcey była przodownicą i akuszerką w Dwunastu Dębach, więc od czasu swego małżeństwa przed sześciu miesiącami Pork dniem i nocą zamęczał swego pana w sprawie jej kupienia do Tary. Tego dnia Gerald czując, że nie oprze się jego namowom, zdecydował się wreszcie kupić Dilcey.

„Z pewnością — myślała Scarlett — papa będzie wiedział, ile jest prawdy w tej strasznej plotce. Jeżeli nawet nie wie nic konkretnego, zauważył pewnie lub wyczuł podniecenie w rodzinie Wilkesów. Jeżeli uda mi się porozmawiać z nim na osobności przed kolacją, dowiem się może prawdy — że mianowicie bliźnięta znowu mi spłatały figla”.

Zbliżała się pora powrotu Geralda. Aby go zobaczyć bez świadków, Scarlett postanowiła poczekać na niego w miejscu, gdzie podjazd łączył się z szosą. Zeszła cicho po schodkach, oglądając się chyłkiem, by upewnić się czy Mammy nie patrzy na nią z okien pierwszego piętra. Nie widząc między firankami szerokiej czarnej twarzy w białym turbanie, wysoko uniosła zieloną kwiaciastą suknię i pobiegła po ścieżce w stronę szosy tak szybko, jak mogły ją unieść nogi w małych, sznurowanych wstążką pantofelkach.

Gałęzie ciemnych cedrów rosnących po obu stronach żwirowanego podjazdu łączyły się tak, że długa aleja wyglądała jak ciemny tunel. Kiedy Scarlett znalazła się pod sękatymi konarami drzew, poczuła się bezpieczna i zwolniła kroku. Zadyszała się, bo miała mocno ściśniętą sznurówkę i nie mogła długo biec, zaczęła więc iść szybkim krokiem. Wkrótce znalazła się u końca alei i na szosie, ale przystanęła dopiero za dużą kępą drzew koło zakrętu.

Zarumieniona i zziajana usiadła na pniu i czekała na ojca. Powinien już być w domu, ale zadowolona była, że się spóźnia. Czekanie pozwoli jej odpocząć i uspokoić się, aby ojciec niczego nie mógł wyczytać z jej twarzy. Nadsłuchiwała tętentu kopyt końskich i wypatrywała ojca zjeżdżającego swoim zwyczajem na złamanie karku z pagórka. Minuty jednak mijały, a Gerald nie przyjeżdżał. Wyjrzała na drogę raz i drugi i ból w jej sercu wezbrał na nowo.

„Och, to na pewno nieprawda! — myślała. — Dlaczego ojciec nie wraca?”

Oczy jej błądziły po krętej szosie, krwawoczerwonej po porannym deszczu. W myślach kreśliła jej kierunek: w dół do leniwej rzeki Flint, poprzez błotniste, zarosłe jej koryto — potem w górę, po zboczu pagórka aż do Dwunastu Dębów, gdzie mieszkał Ashley. Droga ta tylko to teraz znaczyła — wiodła do Ashleya i do pięknego białego domu z kolumienkami, który wieńczył wzgórze niczym grecka świątynia.

„Och, Ashleyu, Ashleyu!” — myślała z szybkim biciem serca.

Zimne przerażenie i poczucie klęski, które przygniotły ją w chwili, gdy młodzi Tarletonowie opowiedzieli jej o zaręczynach, usunęły się teraz na dalszy plan, a miejsce ich zajęła namiętność, zrodzona już dwa lata temu. Teraz wydawało jej się dziwne, że dorastając tak mało uwagi zwracała na Ashleya. W dzieciństwie widywała go często, ale nigdy nie poświęcała mu wiele uwagi. Od tego jednak dnia przed dwoma laty, gdy Ashley wróciwszy z trzyletniej podróży po Europie złożył w Tarze swoje uszanowanie, Scarlett kochała go, po prostu go kochała.

Stała wtedy na ganku, a on konno przejechał przez długą aleję, nosił szare sukienne ubranie i czarny szeroki krawat, który doskonale zdobił plisowaną koszulę. Jeszcze teraz dokładnie pamiętała najmniejsze szczegóły jego stroju, połysk butów, kameę z głową Meduzy w szpilce do krawata, szeroki panamski kapelusz, który Ashley zdjął w chwili, gdy ją spostrzegł. Zatrzymał się, rzucił lejce Murzynowi i stał, patrząc na Scarlett marzącymi, szarymi oczyma, rozjaśnionymi uśmiechem, stał w promieniach słońca, a jasne jego włosy lśniły jak srebrny hełm. Powiedział: Jakżeś ty wyrosła, Scarlett i lekko wszedłszy na schodki pocałował ją w rękę. A jego głos! Nigdy nie zapomni drżenia w sercu, gdy usłyszała jak gdyby po raz pierwszy ten dźwięczny, przeciągły, melodyjny głos.

Zapragnęła go w tej pierwszej sekundzie, zapragnęła tak po prostu i naturalnie, jak pragnie się jedzenia, przejażdżki konnej czy miękkiego łóżka, na którym można by spocząć.

Przez dwa ostatnie lata Ashley towarzyszył jej na bale, pikniki i zebrania w dni sądowe, nie tak często jak młodzi Tarletonowie czy Cade Calvert, nie narzucając się nigdy jak młodsi Fontaine’owie, przeciętnie jednak odwiedzając ją raz na tydzień w Tarze.

Prawda, że nigdy się do niej nie zalecał i że jego jasne, szare oczy nigdy nie rozżarzyły się tym gorącym ogniem, który Scarlett tak często widywała w oczach innych mężczyzn. A jednak mimo to — pewna była, że Ahsley ją kocha. Nie myliła się z pewnością. Instynkt silniejszy od rozsądku i zrodzonej z doświadczenia wiedzy mówił jej, że Ashley ją kocha. Oczy jego, gdy na nią patrzył, nie były zamglone ani dalekie, lecz wyrażały tęsknotę i smutek, który ją zastanawiał. Wiedziała, że Ashley ją kocha. Dlaczego jej o tym nigdy nie mówił? Tego nie mogła pojąć. Ale nie tego tylko jednego w nim nie rozumiała.

Był zawsze dla niej miły, ale daleki, nieprzystępny. Nikt nie wiedział, o czym Ashley myśli, najmniej zaś wiedziała o tym Scarlett. W okolicy, w której każdy mówił, co ma na myśli, z chwilą gdy sobie to pomyślał, rezerwa Ashleya stawała się dręcząca. Celował jak inni młodzieńcy w zwykłych rozrywkach powiatu — polowaniu, grze w karty, tańcu i polityce, i był najlepszym w okolicy jeźdźcem — różnił się tym jednak od innych, że tych przyjemności nie uważał za cel i treść życia. W swoim zainteresowaniu dla książek, muzyki i pisaniu wierszy był zupełnie odosobniony.

Och, czemu był tak jasnowłosy i przystojny, tak uprzejmy i daleki, tak wściekle nudny, gdy mówił o Europie, książkach, muzyce, poezji i rzeczach, które nie interesowały Scarlett wcale — czemu był tak bardzo godzien miłości? W noce po spędzonych z Ashleyem szarych godzinach Scarlett rzucała się bezsennie na łóżku i pocieszała tylko myślą, że już za następnym widzeniem Ashley oświadczy się jej z pewnością. Przychodził jednak następny raz i mijał — a skutku nie było: tylko zżerająca ją namiętność stawała się silniejsza.

Kochała go, pragnęła go, ale nie rozumiała. Była tak bezpośrednia i prosta jak wiatry wiejące nad Tarą i żółta rzeka, która wiła się dokoła, i do końca swoich dni nie miała zrozumieć żadnej skomplikowanej sprawy. W osobie Ashleya po raz pierwszy w swoim życiu zetknęła się z naturą złożoną.

Ashley był potomkiem ludzi, którzy wolny swój czas poświęcali myśleniu, a nie działaniu — snuciu barwnych marzeń, które nie miały w sobie ani cienia realności. Żył w wewnętrznym swoim świecie, o wiele piękniejszym od Georgii, i do rzeczywistości powracał z niechęcią. Przypatrywał się ludziom, ale nie darzył ich sympatią, ani ich nie nienawidził. Przypatrywał się życiu, ale bez smutku i bez zapału. Przyjmował wszechświat i swoje w nim miejsce bez buntu i wzruszając ramionami wracał do muzyki i książek, do swojego lepszego świata.

Czym przykuł do siebie Scarlett, która go nie rozumiała wcale, Scarlett sama nie wiedziała. Inność jego potęgowała jej ciekawość — niczym drzwi, które by nie miały ani klucza, ani zamka. Wszystko to, czego w nim nie rozumiała, wzmagało jej miłość, a jego dziwne, pełne rezerwy zaloty umacniały tylko w niej postanowienie, że zdobędzie go sobie na własność. Że Ashley oświadczy się jej kiedyś — o tym nie wątpiła nigdy, ponieważ była zbyt młoda i zbyt rozpieszczona, aby znać smak niepowodzenia. Teraz zaś jak piorun spadła na nią ta straszna wieść. Ashley zaręczony z Melanią! Nie, to nie może być prawdą!

Ależ przecie dopiero tydzień temu, kiedy o zmroku wracali z Fairhill do domu, Ashley powiedział: — Scarlett, mam ci coś tak ważnego do powiedzenia, że wcale nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Spuściła oczy skromnie, serce jej zabiło szybko i rozkosznie. Pomyślała, że wielki moment wreszcie nadszedł. Potem Ashley dodał: — Nie teraz! Jużeśmy prawie w domu i nie mamy zbyt wiele czasu. Och, Scarlett, jakimże ja jestem tchórzem! — I spiąwszy konia ostrogami szybko pocwałował w stronę Tary.

Scarlett, siedząc teraz na pniu, myślała o tych słowach, które takim ją napełniły szczęściem, i nagle nadała im inne, straszne znaczenie. A cóż, jeżeli chciał jej wtedy powiedzieć o swoich zaręczynach.

Och, oby papa wrócił wreszcie do domu! Nie zniesie tej niepewności ani chwili dłużej. Spojrzała ze zniecierpliwieniem na drogę i znowu doznała zawodu.

Słońce stało teraz poniżej horyzontu i czerwony żar na kraju świata z wolna różowiał. Niebo zmieniało się stopniowo z lazurowego w niebieskozielone i nieziemska cisza wiejskiego zmierzchu kładła się dokoła. Cienisty mrok opadł na pola. Czerwone bruzdy i wyboista wonna droga straciły swą magiczną barwę krwi i stały się zwykłe, brunatne. Za drogą, na pastwisku, konie, muły i krowy czekały spokojnie, położywszy łby na płocie, aż je ludzie popędzą do stajni i obór. Nie lubiły widocznie cienia zarośli brzeżących strumyk na pastwisku, bo strzygły uszami na Scarlett, jak gdyby ceniąc sobie towarzystwo ludzkiej istoty.

W dziwnym półświetle wyniosłe sosny nad brodem, tak soczyście zielone w świetle słonecznym, na tle pastelowego nieba stawały się rzędem czarnych olbrzymów, kryjących leniwą żółtą wodę u swych stop. Na pagórku za rzeką wysokie kominy białego domu Wilkesów zlewały się stopniowo z ciemnością starych, otaczających go dębów i tylko światełka drobne jak łebki szpilek wskazywały, że w tej stronie mieszkają ludzie. Otaczała Scarlett wilgotna, ciepła balsamiczność wiosny, tchnąca wonią zoranej ziemi i młodych nikłych pędów.

Zachód słońca, wiosna i świeża zieleń nie wydawały się Scarlett cudem. Przyjmowała ich piękno za rzecz tak oczywistą jak powietrze, którym oddychała, i woda, którą piła, ponieważ nigdy świadomie nie szukała w niczym piękna — z wyjątkiem twarzy kobiecych, koni, jedwabnych sukien i innych rzeczy namacalnych. Mimo to pogodny półmrok nad polami Tary przyniósł ukojenie jej niespokojnym myślom. Nie wiedząc o tym wcale, że bardzo kocha tę ziemię, kochała ją nie mniej niż twarz matki pod lampą w czasie wieczornej modlitwy.

Geralda ciągle jeszcze nie było słychać na cichej krętej drodze.

Gdyby Scarlett miała czekać zbyt długo, mogła być pewna, że Mammy wyjdzie jej szukać i przy akompaniamencie wymówek zapędzi do domu. Ale w chwili gdy wytężając wzrok wypatrywała ojca na ciemnej drodze, usłyszała stukot kopyt na pastwisku u stóp pagórka i zobaczyła, jak konie i krowy rozbiegają się w popłochu. Gerald O’Hara wracał pędem przez pola do domu.

Wjechał galopem na wzgórze. Z daleka, na rosłym wierzchowcu o cienkich pęcinach, wyglądał jak chłopiec na zbyt dużym koniu. Długie jego siwe włosy rozwiewały się w biegu, poganiał konia szpicrutą i głośnym krzykiem.

Mimo, że tak pełna własnych niepokojów, Scarlett przyglądała się ojcu z czułością i dumą, bo Gerald był doskonałym jeźdźcem.

„Ciekawam, dlaczego ojciec zawsze tak skacze przez płoty, kiedy trochę wypije — myślała. — I robi to stale, mimo tego wypadku w zeszłym roku, gdy złamał sobie kolano. Wcale się nie nauczył rozumu, choć przysiągł mamie pod słowem honoru, że nigdy nie będzie już skakać”.

Scarlett nie bała się ojca i była z nim w zażylszych stosunkach niż z siostrami. Skakanie przez płoty i ukrywanie tego w tajemnicy przed żoną napawało Geralda chłopięcą dumą i przekorną radością, bardzo podobną do przyjemności, jaką Scarlett czerpała z każdego podejścia Mammy. Teraz wstała nawet ze swego pnia, aby się ojcu lepiej przyjrzeć.

Wielki koń dobiegł do płotu, zebrał się w sobie i wzbił w górę jak ptak, jeździec zaś krzyknął z zachwytu, śmignął batem w powietrzu, a siwe włosy rozwiały mu się wokół głowy. Gerald nie widział córki stojącej w cieniu. Na drodze ściągnął cugle, klepiąc z uznaniem konia po szyi.

— Nie ma drugiego w całym powiecie ani w całym stanie, który by ci mógł dorównać — powiedział z dumą do konia; irlandzki akcent ciążył dotąd na jego wymowie, mimo że Gerald już trzydzieści dziewięć lat mieszkał w Ameryce. Potem zabrał się pośpiesznie do przygładzania włosów, poprawiania zmiętej koszuli i krawata, który przekręcił mu się aż za ucho. Scarlett wiedziała, iż celem tego gwałtownego doprowadzania się do porządku było przekonanie żony, że wracał do domu jak przystało na dżentelmena: spokojnie i stępa. Wiedziała także, że teraz ma dobrą sposobność rozpoczęcia rozmowy bez odsłaniania jej istotnego celu.

Roześmiała się głośno. Gerald przestraszył się tego dźwięku. Potem, gdy poznał córkę, rumiana jego twarz przybrała wyraz na poły wyzywający, na poły zakłopotany. Zsiadł z konia z pewnym trudem, bo kolano miał po swoim wypadku sztywne, i zarzucając sobie lejce na ramię, pokuśtykał do Scarlett.

— No co, panienko? — rzekł szczypiąc ją w policzek. — A więc szpiegowałaś mnie teraz, tak, jak w zeszłym tygodniu twoja siostra Zuela. Obgadasz mnie pewnie przed mamusią?

W ochrypłym jego, niskim głosie brzmiało oburzenie, ale i nutka pochlebstwa. Scarlett zamiast odpowiedzi mlasnęła tylko językiem o zęby i wyciągnęła ręce, aby poprawić ojcu krawat. Oddech Geralda przesycony był zapachem whisky i mięty. Unosiła się także dokoła niego woń tytoniu do żucia, dobrze naoliwionej skóry i koni — kombinacja zapachów, które Scarlett zawsze łączyła z osobą ojca i bezwiednie lubiła u innych mężczyzn.

— Nie, papo, ja nie jestem plociuchem jak Zuela — zapewniła go cofając się, aby krytycznym spojrzeniem ocenić jego doprowadzony do porządku wygląd.

Gerald był mężczyzną niskiego wzrostu, mierzył niewiele więcej nad pięć stóp, ale był tak szeroko zbudowany i kark miał tak gruby, że gdy siedział, ludzie nie znający go mogli przypuszczać, że jest roślejszy i wyższy. Szeroki jego tułów spoczywał na krótkich, mocnych nogach, zawsze wytwornie obutych i zawsze szeroko rozstawionych jak u nadrabiającego postawą małego chłopca. Ludzie małego wzrostu są przeważnie śmieszni, gdy nadrabiają miną, karłowaty kogut jednak cieszy się szacunkiem podwórka. Tak też rzecz się miała z Geraldem. Nikt nie ośmieliłby się nawet pomyśleć, że Gerald O’Hara jest śmieszną małą figurką.

Miał lat sześćdziesiąt, kędzierzawe jego włosy były bielutkie, ale sprytna twarz zupełnie nie pomarszczona, a jasnoniebieskie małe oczy pełne beztroskiej młodości człowieka, który nigdy się nie głowił nad sprawami bardziej abstrakcyjnymi niż liczba kart, jakie ma dokupić w pokerze. Miał twarz najtypowiej irlandzką, okrągłą, rumianą, zawadiacką twarz o krótkim nosie i szerokich ustach.

Pod tymi sangwinicznymi pozorami kryło się najczulsze z serc. Nie mógł znieść, gdy niewolnik martwił się z powodu nagany, choćby dobrze zasłużonej, ani gdy miauczał kociak lub płakało dziecko. Wstydził się jednak przyznać do tej słabości. Nie wiedział o tym, że każdy, kto go poznał, w ciągu pięciu minut odkrywał dobroć jego serca. Próżność jego cierpiałaby zresztą nad tym, bo lubił myśleć, że kiedy mocnym głosem wydaje rozkazy, wszyscy drżą i słuchają go ślepo. Nigdy mu nie przyszło na myśl, że tylko jednemu głosowi plantacja jest posłuszna — cichemu głosowi jego żony Ellen. Była to tajemnica, której Gerald nie miał nigdy poznać, bo wszyscy, poczynając od Ellen, a kończąc na najgłupszym parobku, łączyli się w milczącej i dobrotliwej zmowie, żeby utrzymywać go w mniemaniu, iż słowo jego jest prawem.

Scarlett mniej jeszcze od innych przejmowała się gniewem, i krzykami ojca. Była najstarsza w rodzinie i teraz, odkąd Gerald już wiedział, że nie będzie miał synów, którzy by mu zastąpili trzech pochowanych na rodzinnym cmentarzyku, zaczął ją traktować jak równy równego, co bardzo jej przypadło do gustu. Scarlett więcej cech odziedziczyła po ojcu niż jej młodsze siostry, bo Karina, a właściwie Karolina Irena, była wrażliwa i rozmarzona, Zuela zaś — Zuzanna Eleonora — chełpiła się swoją elegancją i dystynkcją.

Co więcej, Scarlett związana była z ojcem milczącym przymierzem. Jeżeli Gerald przyłapał ją na przełażeniu przez płot — bo nie chciało jej się chodzić do odległej o pół mili bramy — lub siedzącą zbyt późno na ganku w towarzystwie adoratora, karcił ją osobiście i gwałtownie, ale nie wspominał o tym Ellen ani Mammy. Kiedy zaś Scarlett widziała, że ojciec przesadza płoty po solennym przyrzeczeniu, że tego nie będzie robił, albo dowiadywała się, ile naprawdę przegrał w pokera — co nie było rzeczą trudną wobec szybkiego kursowania plotek w powiecie — w przeciwieństwie do Zueli nie mówiła o tym nigdy przy stole. Scarlett i ojciec zapewnili się uroczyście nawzajem, że podawanie takich spraw do wiadomości Ellen sprawiłoby jej tylko przykrość, obydwoje zaś pod żadnym pozorem nie chcieli ranić jej serca.

Scarlett przyglądała się ojcu w gasnącym świetle i nie wiedząc dlaczego, poczuła się raźniej w jego obecności. Posiadał w sobie żywotność, przyziemność, pewne, nieokrzesanie, które dobrze na nią działały. Jako istota, nie potrafiąca niczego analizować, nie zdawała sobie sprawy, że dzieje się tak, ponieważ odziedziczyła w pewnej mierze te cechy swego ojca i nawet szesnaście lat wysiłków ze strony Ellen i Mammy nie mogło ich w niej zdusić.

— Teraz wyglądasz bardzo przyzwoicie — rzekła — i nie przypuszczam, aby ktokolwiek domyślił się, żeś znowu broił, chyba że głośno się do tego przyznasz. Zdaje mi się jednak, że po złamaniu nogi w zeszłym roku skakanie przez ten sam płot...

— Niech mnie licho porwie, jeżeli pozwolę własnej córce dyktować sobie, przez co mam skakać, a przez co nie! — krzyknął szczypiąc ją po raz drugi w policzek. — To własna moja sprawa, która nikogo nie powinna obchodzić. Poza tym zaś, panienko, co ty właściwie robisz o tej porze, bez szala, na szosie, sama?

Widząc, że ojciec sprytnym manewrem chce się wykręcić od nieprzyjemnej rozmowy, Scarlett wzięła go pod ramię i powiedziała: — Czekałam tu na ciebie. Nie myślałam, że tak bardzo się spóźnisz. Chciałam wiedzieć, czyś kupił Dilcey.

— Kupić kupiłem, ale cena mnie zrujnowała. Kupiłem ją i jej małą córeczkę Prissy. Jan Wilkes chciał mi je odstąpić darmo, ale nie mogłem przecież dopuścić do tego, aby mówiono, że Gerald O’Hara korzysta w interesach z przyjaźni. Zmusiłem go do przyjęcia trzech tysięcy za obie.

— Na miłość boską, papo, trzy tysiące! Przecież wcale nie musiałeś kupować Prissy!

— Czy to już takie teraz czasy nastały, że rodzona córka krytykuje ojca? — krzyknął Gerald. — Prissy jest miłą dziewczynką, więc...

— Znam ją. Jest głupim, podstępnym stworzeniem — odparła Scarlett spokojnie, niewzruszona krzykiem ojca. — I kupiłeś ją prawdopodobnie tylko na prośbę Dilcey.

Gerald był wyraźnie zbity z tropu i zakłopotany jak zwykle, gdy odkrywano jego dobre uczynki, Scarlett zaś śmiała się już teraz otwarcie z jego naiwności.

— No, a jeżeli tak nawet było? Czy opłaciło mi się kupować Dilcey, gdym wiedział, że będzie mi tu cały czas tęskniła za dzieckiem? Już nigdy w życiu nie pozwolę, aby mój Murzyn żenił się z kobietą z innej plantacji. Zbyt droga przyjemność. No chodź, kochanie, pójdziemy na kolację.

Cienie zgęszczały się teraz, ostatni zielonkawy blask znikł z nieba i lekki chłód mroził wiosenne powiewy. Scarlett jednakże szła ociągając się, rozmyślając nad tym, jak zacząć rozmowę o Ashleyu, by Gerald nie domyślił się jej prawdziwych intencji. Sprawiało jej to trudność, dyplomatyzowanie nie było jej mocną stroną, Gerald zaś był tak do niej podobny, że zawsze odkrywał jej podstępy — ta samo zresztą, jak Scarlett jego. Robił to zaś w sposób raczej nietaktowny.

— Jakże się tam wszyscy miewają w Dwunastu Dębach?

— Jak zwykle. Cade Calvert był tam także, więc kiedy załatwiłem sprawę Dilcey, siedliśmy na balkonie i piliśmy trochę. Cade wrócił właśnie z Atlanty i opowiadał, że wszyscy tam bardzo zdenerwowani i że mówią o wojnie i...

Scarlett westchnęła. Skoro Gerald raz zaczął o wojnie i secesji, mógł mówić bez przerwy przez godzinę lub więcej. Spróbowała więc z innej strony.

— A nic nie mówili o jutrzejszej barbakoi?

— A tak, przypominam sobie teraz, że mówili. Panna... jakże się ona nazywa?... Ta miła mała panieneczka, która tu była w zeszłym roku, wiesz, ta kuzynka Ashleya — już wiem: panna Melania Hamilton — ona i brat jej Karol przyjechali już z Atlanty i...

— Ach, to ona przyjechała?

— Tak, przyjechała. Jest miła, cichutka i nigdy nie pytana słowa nie piśnie, jak przystało prawdziwej damie. Chodź teraz, córko, nie marudź. Matka będzie nas szukać.

Serce Scarlett zadrżało na tę nowinę. Wbrew wszystkiemu wierzyła jeszcze, że coś nieprzewidzianego zatrzyma Melanię Hamilton w Atlancie, gdzie było jej właściwe miejsce — kiedy więc usłyszała, że nawet jej ojcu podoba się łagodne, spokojne usposobienie Meli, tak różne od jej własnego, postanowiła zagrać w otwarte karty.

— A czy Ashley był także z wami?

— Tak, był — Gerald odsunął od siebie córkę i popatrzył przenikliwie w jej twarz. — Jeżeli po to wyszłaś na drogę, aby mnie o niego zapytać, dlaczego mi od razu nie powiedziałaś, tylko owijałaś sprawę w bawełnę?

Żadna odpowiedź nie przychodziła Scarlett do głowy, a przy tym czuła, że rumieni się z przykrości.

— No, dlaczego nie odpowiadasz?

Nadal nic nie mówiła złorzecząc się w duchu, że nie może własnym ojcem mocno potrząsnąć i powiedzieć mu, aby zamknął buzię.

— Ashley był, bardzo grzecznie pytał o ciebie, tak samo jak jego siostry, i wszyscy wyrażali nadzieję, że z pewnością zobaczą cię jutro na barbakoi. Pewien jestem i ja, że cię jutro zobaczą — rzekł chytrze. — A teraz, córeczko, powiedz, co to za sprawa między tobą a Ashleyem?

— Kiedy między nim a mną nie ma żadnej sprawy — odparła krótko, przytulając się do ramienia ojca. — Chodźmy do domu, tatusiu.

— A więc z kolei ty chcesz wracać — zauważył. — Ja jednak zostanę tutaj, póki mi nie wytłumaczysz, jak sprawy stoją. Teraz uprzytomniam sobie, że byłaś ostatnio jakaś dziwna. Czyżby ci Ashley głowę zawrócił? Czy oświadczył ci się?

— Nie — odrzekła krótko.

— I nie oświadczy się wcale — rzekł Gerald.

Pasja nią zatrzęsła, ale ojciec skinieniem ręki nakazał jej spokój.

— Trzymaj język za zębami, panienko! Dziś po południu dowiedziałem się od Jana Wilkesa w najściślejszej dyskrecji, że Ashley żeni się z panną Melanią. Zaręczyny zostaną ogłoszone jutro.

Ręka Scarlett, obejmująca ramię ojca, opadła. A więc to była prawda!

Ból schwycił ją za serce mocno, jak kły dzikiego zwierzęcia. Czuła przy tym na sobie spojrzenie ojca trochę współczujące, trochę zakłopotane problemem, który trudno było rozwiązać. Kochał Scarlett, ale nie lubił, kiedy na niego spadały jej dziecinne kłopoty. Ellen znała wszystkie lekarstwa. Scarlett jej powinna była zwierzać swoje zmartwienia.

— A więc to tak? Więc robiłaś z siebie i z nas wszystkich widowisko? — wrzasnął podnosząc głos jak zwykle w chwilach podniecenia. — Narzucałaś się mężczyźnie, który cię nie kocha — ty, która możesz mieć każdego z naszych tutejszych chłopców?

Złość i zraniona duma przyćmiły w niej na chwilę ból.

— Ja... nie narzucałam mu się wcale. To wszystko... dziwi mnie tylko.

— Zdaje mi się, że kłamiesz! — rzekł Gerald, po chwili zaś, patrząc w jej zbolałą twarz, dodał łagodnie: — Przepraszam cię, córeczko. Zrozum jednak, że jesteś jeszcze dzieckiem i masz całą masę innych wielbicieli.

— Mamusia miała piętnaście lat, kiedy wyszła za ciebie, a ja już mam szesnaście — rzekła Scarlett zdławionym głosem.

— Twoja matka była inna — odparł Gerald. — Nigdy nie była tak płocha jak ty. No, a teraz, Scarlett, uspokój się, zabiorę cię w przyszłym tygodniu do Charlestonu z wizytą do ciotki Eulalii i tam, w tym rozgardiaszu z powodu Fortu Sumtera, zapomnisz o Ashleyu w tydzień.

„Uważa mnie za dziecko — pomyślała Scarlett, z żalu i wściekłości nie mogąc wydobyć z siebie słowa — myśli, że jak mi pokaże nową zabawkę, od razu zapomnę o swoich guzach”.

— No, no, tylko się nie marszcz tak na mnie — ostrzegł ją Gerald. — Gdybyś miała szczyptę rozumu, wyszłabyś już dawno za Stuarta albo Brenta Tarletona. Zastanów się nad tym, córeczko. Wyjdź za jednego z bliźniaków. Plantacje nasze połączą się wtedy, a Jim Tarleton i ja wybudujemy wam piękny dom, właśnie na samej granicy, w tym lasku sosnowym, i...

— Przestań mnie traktować jak dziecko! — zawołała Scarlett. — Nie chcę jechać do Charlestonu ani mieć domu, ani wyjść za żadnego z bliźniaków. Chcę tylko... — Przerwała, ale już za późno.

Glos Geralda brzmiał dziwnie spokojnie. Mówił wolno, jak gdy by wydobywając słowa z rzadka używanego zapasu myśli:

— Chcesz tylko Ashleya i nie będziesz go nigdy miała. A gdyby nawet Ashley chciał się z tobą ożenić, niechętnie bym się na to zgodził, mimo wielkiej przyjaźni, jaka mnie łączy z Janem Wilkesem. — Widząc zaś jej zdumione spojrzenie, ciągnął dalej; — Chcę, aby moja córka była szczęśliwa, a z nim szczęśliwa nie byłabyś nigdy.

— Ach, byłabym, była!

— Pewien jestem, że nie, córeczko. Małżeństwo jest tylko wtedy szczęśliwe, kiedy łączą się ze sobą ludzie podobni.

Scarlett miała zdradziecką ochotę wykrzyknąć: — Ale wy jesteście przecież szczęśliwi z mamusią, a wcale nie jesteście do siebie podobni! — Powstrzymała się w obawie, że ojciec skórę jej wygarbuje za taką zuchwałość.

— My różnimy się bardzo od Wilkesów — ciągnął wolno dalej, szukając słów. — Wilkesowie różnią się od wszystkich naszych sąsiadów... ba, od wszystkich rodzin, jakie kiedykolwiek w życiu znałem. To są dziwni ludzie, najlepiej więc, aby pobierali się między sobą w rodzinie i dziwactwa swoje zachowywali dla siebie.

— Ależ papo, Ashley nie jest...

— Zamilcz, malutka! Nic nie mam przeciw temu chłopcu, bo lubię go bardzo. A kiedy mówię „dziwny”, nie myślę „postrzelony”. Ashley nie tak jest dziwny jak Calvertowie, którzy cały majątek potrafią postawić na konia, czy Tarletonowie, w których każdym pokoleniu zdarza się nałogowy pijak, czy Fontaine’owie, porywcze i brutalne chłopaki, skore do mordowania ludzi pod byle pozorem. Ten rodzaj dziwactwa jest łatwo zrozumiały, to pewne, i z łaski Pana Boga Gerald O’Hara tylko przypadkiem tych wad nie posiada! Nie zdaje mi się także, aby Ashley miał kiedyś uciec od żony z inną kobietą czy bić swoją żonę. Byłabyś szczęśliwsza, gdyby to robił, bo to jest przynajmniej zrozumiałe. Ale on jest dziwny pod innymi względami i zrozumieć go w ogóle nie można. Lubię go, ale według mnie większa część tego, co mówi, nie ma żadnego sensu. Powiedz mi szczerze, malutka, czy ty rozumiesz tę jego gadaninę o książkach i poezji, muzyce, obrazach olejnych i takich tam głupstwach?

— Ach, tatusiu — zawołała Scarlett niecierpliwie — gdybym wyszła za niego, zmieniłabym w nim to wszystko!

— Ach tak, tak ci się wydaje? — rzekł Gerald złośliwie, rzucając jej ostre spojrzenie. — To tylko dowodzi, jak mało wiesz o mężczyznach w ogóle, nie mówiąc już o Ashleyu. Żadna żona w świecie nie potrafi zmienić męża na jotę, pamiętaj o tym. Cóż dopiero mówić o zmianie upodobań jednego z Wilkesów! Cała ich rodzina już taka jest i zawsze wszyscy byli tacy sami. I pewnie zawsze tacy będą. Powiadam ci: oni rodzą się dziwakami. Weźmy chociażby to ich jeżdżenie do Nowego Jorku lub Bostonu na opery czy wystawy obrazów! Albo to sprowadzanie całymi skrzyniami francuskich czy tam niemieckich książek od Jankesów! No i siedzą u siebie, czytając i marząc Bóg wie o czym, zamiast czas spędzać na polowaniu czy kartach, jak inni, prawdziwi mężczyźni!

— Nikt w całym powiecie lepiej nie jeździ konno niż Ashley — rzekła Scarlett, wściekła, że ktoś Ashleyowi zarzuca zniewieściałość — nikt, z jednym może wyjątkiem jego ojca. A jeżeli chodzi o pokera, to któż jak nie Ashley wygrał od ciebie w Jonesboro dwieście dolarów w zeszłym tygodniu?

— Młodzi Calvertowie, jak widzę, naplotkowali ci znowu — rzekł Gerald z rezygnacją — inaczej nie mogłabyś wiedzieć, ile przegrałem. Ashley jeździ konno najlepiej i gra w pokera z najlepszymi graczami, i nawet ze mną, malutka! Nie przeczę także, że kiedy zasiądzie do wypitki, może spoić nawet Tarletonów. Robi te wszystkie rzeczy, ale robi je bez serca. Dlatego twierdzę, że jest dziwakiem.

Scarlett umilkła i serce jej zmartwiało. Nie mogła ojcu nic odpowiedzieć, bo czuła, że ma rację. Ashley tych wszystkich rzeczy, które tak świetnie potrafił, nie robił z przejęciem. Zdradzał mierne zainteresowanie dla spraw, które innych zajmowały najżywiej.

Tłumacząc sobie milczenie Scarlett w sposób właściwy, Gerald poklepał ją po ramieniu i rzekł z tryumfem: — No widzisz, Scarlett! Przyznajesz, że mam rację. Cóż byś ty poczęła z takim mężem jak Ashley? To jacyś pomyleni ludzie, ci wszyscy Wilkesowie. — Po chwili zaś dodał łagodząco: — Jeżeli wspomniałem przed chwilą młodych Tarletonów, to wcale nie znaczy, abym ich popierał. To porządni chłopcy, ale jeżeli upatrzyłaś sobie Cade’a Calverta na przykład, to rozumie się, że także nic nie będę miał przeciw temu. Calvertowie to przyzwoici ludzie, mimo że stary ożenił się z Jankeską. A kiedy mnie już nie będzie... Słuchaj, słuchaj mnie, kochanie! Zostawię Tarę tobie i Cade’owi.

— Nie chcę Cade’a, choćby był ze złota! — wykrzyknęła Scarlett z pasją. — I bardzo bym prosiła, abyś raz na zawsze przestał mi go swatać! Nie chcę Tary ani żadnej innej plantacji. Plantacje nic nie są warte, jeżeli...

Chciała powiedzieć „jeżeli nie ma się mężczyzny, którego się kocha”, ale Gerald rozzłoszczony nonszalancją, z jaką potraktowała jego dar — Tarę, którą poza Ellen kochał najbardziej w świecie, ryknął groźnie.

— A więc ty, Scarlett O’Hara, ośmielasz się mnie powiedzieć, że Tara, ta nasza ziemia, nic nie jest warta?

Scarlett uparcie kiwała głową. Serce zanadto ją bolało, aby mogła się przejmować takim czy innym humorem ojca.

— Ziemia jest jedyną rzeczą w świecie, która jest coś warta — krzyczał Gerald wykonując krótkimi rękami gest oburzenia — bo to jest jedyna trwała rzecz w świecie! O tym nie zapominaj! To jedyna rzecz, dla której warto pracować, warto walczyć i warto umierać.

— Ach, papo — odrzekła wzgardliwie — mówisz jak typowy Irlandczyk!

— A czy ja się kiedykolwiek wypieram tego, że nim jestem? Przeciwnie, dumny jestem z tego. I proszę cię, nie zapominaj nigdy, córeczko, że i ty jesteś pół-Irlandką. A dla każdego, kto ma choćby kroplę krwi irlandzkiej w żyłach, ziemia, na której mieszka, jest jak matka. W tej chwili wstydzę się za ciebie. Ofiarowuję ci najpiękniejszą ziemię w świecie — poza hrabstwem Meath w mojej ojczyźnie — a ty co robisz? Kręcisz nosem!

Gerald zaczął już sam siebie podżegać do stanu przyjemnej pasji, kiedy powstrzymało go nagłe spojrzenie na zbolałą twarz Scarlett.

— Ale to prawda, że jesteś jeszcze młoda. Przyjdzie i na ciebie ta miłość, ziemi — nie można od niej uciec, jeśli się pochodzi z Irlandii. Na razie jesteś dzieckiem, strapionym teraz z powodu chłopca. Kiedy dorośniesz, zrozumiesz, co to znaczy... Mówię ci, Scarlett, zdecyduj się na Cade’a, na jednego z bliźniaków albo na któregoś z młodych byczków Evana Munroe, a zobaczysz, jak pięknie cię urządzę!

— Och, tatusiu!

Gerald jednak był już zupełnie wyczerpany rozmową i zły, że na jego ramiona spadł taki problem. Rozżalony był także, że Scarlett miała zrozpaczoną minę, mimo że ofiarował jej do wyboru najlepszych chłopców okolicy i Tarę na dokładkę. Gerald lubił, aby prezenty jego przyjmowano klaskaniem w dłonie i całusami.

— A teraz dość już dąsów, panienko. Nie jest ważne, kto będzie twoim mężem, byleby to był dżentelmen, południowiec i człowiek dumny. Dla kobiety miłość zaczyna się po ślubie.

— Ach, tatusiu, to taki staroświecki pogląd! Tak typowo irlandzki!

— Ale mimo to słuszny! Cóż mi tam po tych amerykańskich zwyczajach pobierania się koniecznie z miłości — jak służba, jak Jankesi! Najlepsze małżeństwo jest wtedy, gdy rodzice wybierają męża dla córki. Bo powiedz sama, czy taka gąska jak ty może odróżnić przyzwoitego człowieka od łotra? Przypatrz się tylko Wilkesom. Dzięki czemu od wielu pokoleń są silni i dumni? No, pobierają się z ludźmi podobnymi do siebie, bo pobierają się z kuzynami czy kuzynkami, których im wybierają rodzice.

— Och! — zawołała Scarlett, którą znowu targnął ból, bo słowa ojca uświadomiły jej na nowo nieodwołalną prawdę. Gerald patrzył na jej pochyloną głowę i niepewnie przestępował z nogi na nogę.

— Nie masz chyba zamiaru płakać? — zapytał pełen już teraz współczucia, niezgrabnie biorąc ją za podbródek i starając się podnieść jej twarz.

— Nie! — zawołała gwałtownie, wyrywając mu się.

— Zdaje mi się, że kłamiesz, ale dumny jestem z tego. Cieszę się, że masz dumę, malutka. I chcę, abyś tę dumę okazała jutro na zabawie. Nie życzę sobie, aby cała okolica plotkowała i śmiała się z ciebie, że wypłakujesz sobie serce za człowiekiem, który nic do ciebie nie czuł poza przyjaźnią.

„A właśnie że czuł — pomyślała Scarlett ze smutkiem. — Och, i jak czuł! Wiem o tym. Mogłabym przysiąc. Gdyby się tylko była nadarzyła okazja, pewna jestem, że powiedziałby mi o tym. Och, gdyby ci Wilkesowie nie musieli się koniecznie żenić ze swymi kuzynkami!”

Gerald wziął jej ramię i wsunął pod swoje.

— A teraz pójdziemy na kolację i wszystko zostanie między nami. Nie chcę tym wszystkim martwić mamusi, i ty także nic jej nie mów. Wytrzyj sobie nosek, córeczko.

Scarlett wytarła nos w swoją podartą chustkę i ramię w ramię z ojcem poszła przez ciemną aleję wjazdową, za nimi zaś wolno szedł koń. W bliskości domu Scarlett znowu chciała coś powiedzieć, ale w gęstym cieniu ganku zobaczyła matkę. Ellen miała na sobie czepek, szal i mitenki, za nią zaś stała Mammy o twarzy jak chmura gradowa i trzymała w ręku czarną skórzaną torbę, w której Ellen przechowywała bandaże i lekarstwa. Mammy miała wielkie usta o obwisłych wargach, a w chwilach oburzenia dolna jej warga wydłużała się jeszcze dwukrotnie. I teraz była wydłużona, więc Scarlett wiedziała, że Mammy pieni się, bo prawdopodobnie coś się dzieje nie po jej myśli.

— Panie O’Hara! — zawołała Ellen widząc męża swego i Scarlett.

Ellen należała do pokolenia kobiet, które mówiły do męża oficjalnie po siedemnastu latach małżeństwa i urodzeniu sześciorga dzieci. — Panie O’Hara, u Slatterych znowu ktoś chory. Dziecko Emray już się urodziło, umiera podobno i musi zostać ochrzczone. Idę tam z Mammy zobaczyć, co można zrobić.

Głos jej brzmiał pytająco, jak, gdyby zależało jej na zgodzie Geralda — co było formalnością bardzo jego sercu drogą.

— Na miłość boską! — zagrzmiał Gerald. — Czemuż to ta „biała nędza” zajmuje ci czas akurat w porze kolacji i wtedy w dodatku, gdy chciałem ci opowiedzieć, co mówią w Atlancie o wojnie! Ale idź, pani O’Hara. Nie mogłabyś spać spokojnie, gdybyś wiedziała, że coś gdzieś się stało bez twojej pomocy.

— Nie może spać spokojnie, bo lata po nocach, dogląda chorych Murzynów i „białą nędzę”, która sama sobie nie może dać rady — zamruczała Mammy półgłosem, kiedy po schodach szła do czekającego przed bramą powozu.

— Zajmij moje miejsce przy stole, kochanie — rzekła Ellen głaszcząc dłonią w mitence policzek Scarlett.

Mimo nie przelanych, palących łez, Scarlett drgnęła czując dotknięcie matki, czując zapach werbeny, który unosił się z jej szeleszczącej jedwabnej sukni. Dla Scarlett Ellen była cudownym zjawiskiem, które mimo swojej stałej obecności napawało ją nieustannym zachwytem, czcią, spokojem.

Gerald pomógł żonie wsiąść do powozu i nakazał woźnicy jechać bardzo ostrożnie. Tobiasz, który od dwudziestu lat miał pieczę nad końmi Geralda, wydął wargi w niemym oburzeniu, że mu się zwraca uwagę, jak ma powozić. On i siedząca obok niego Mammy stanowili żywy symbol murzyńskiego oburzenia.

— Gdybym nie robił dla Slatterych darmo tego, za co gdzie indziej musieliby płacić — gniewał się Gerald — zgodziliby się na sprzedanie tych nędznych, bagnistych kilku akrów i okolica pozbyłaby się raz na zawsze tej „białej nędzy”.

Potem rozjaśnił się, ciesząc się z góry na nowy figiel, który sobie obmyślił.

— Chodź, córeczko, powiem Porkowi, że zamiast kupić Dilcey, jego sprzedałem Janowi Wilkesowi.

Rzucił uzdę swego konia Murzynkowi stojącemu nie opodal i wszedł po schodach do domu. Zapomniał już zupełnie o złamanym sercu Scarlett i zajęty był wyłącznie myślą o nastraszeniu lokaja. Scarlett szła za nim wolno, a nogi ciążyły jej jak ołowiane. Myślała o tym, że związek jej z Ashleyem nie byłby dziwniejszy od małżeństwa jej ojca z Ellen Robilard. Jak zwykle, tak i teraz zastanawiała się nad tym, jakim sposobem jej hałaśliwy, niesubtelny ojciec zdołał ożenić się z kobietą taką jak jej matka, niełatwo bowiem było znaleźć dwoje ludzi bardziej różnych pod względem urodzenia, wychowania i całego sposobu myślenia.

## ROZDZIAŁ III

Ellen O’Hara miała trzydzieści dwa lata i zgodnie z pojęciami swojego czasu uważana była za kobietę w średnim wieku. Urodziła sześcioro dzieci i pochowała troje. Była wysokiego wzrostu, o głowę wyższa od żwawego, niskiego małżonka, ale poruszała się z tak spokojnym wdziękiem, krynolina opływała jej kształty tak harmonijnie, że wzrost jej nie zwracał uwagi. Szyja jej, wychylająca się z pancerza czarnego taftowego stanika, była okrągła, szczupła, jasna i wydawała się zawsze przechylona lekko ku tyłowi pod ciężarem wspaniałych, upiętych w duży węzeł włosów. Po matce swojej, Francuzce, której rodzice uciekli z Haiti w czasie rewolucji 1791 r., Ellen odziedziczyła czarne włosy i skośne ciemne oczy, ocienione czarnymi rzęsami, po ojcu, żołnierzu napoleońskim, miała długi prosty nos i ścięty podbródek, którego linię łagodził miękki owal policzków. Przeżycia wypisały na twarzy tej dumę, w której nie było pychy, wdzięk, melancholię i zupełny brak humoru.

Ellen byłaby kobietą uderzająco piękną, gdyby oczy jej miały blask, uśmiech — ciepło, a głos — łagodną melodią brzmiący w uszach rodziny i służby — więcej ożywienia. Mówiła akcentem mieszkańców wybrzeża Georgii, zamazując samogłoski, podkreślając spółgłoski i tracąc lekkim nalotem francuszczyzny. Głos jej nigdy nie podnosił się w rozkazie dla służby czy w naganie dla dziecka, ale wszyscy w Tarze byli mu natychmiast posłuszni, a na hałasy i ryki Geralda nie zwracali żadnej uwagi. Jak daleko sięgała pamięć Scarlett, matka jej była zawsze jednakowa, chwaląc czy ganiąc mówiła łagodnie i cicho, wyglądała poprawnie, mimo codziennych niespodzianek w burzliwym domu Geralda była zawsze spokojna i nieugięta — nawet podczas śmiertelnej choroby trzech malutkich synków. Scarlett nigdy nie widziała matki opierającej się o poręcz krzesła, na którym siadła. Nigdy też nie widziała Ellen siedzącej bez robótki w ręku, jedynie podczas posiłków, odwiedzania chorych lub przy prowadzeniu buchalterii plantacji. Robótką w obecności osób trzecich były delikatne hafty — częściej jednak zniszczone koszule Geralda, sukienki córek czy ubrania dla niewolników. Scarlett nie mogła sobie wyobrazić rąk matki bez złotego naparstka ani szeleszczącej sukniami jej postaci bez eskorty małej dziewczynki murzyńskiej, której jedyną funkcją życiową było wyciąganie fastrygi i noszenie skrzyneczki z przyborami do szycia z pokoju do pokoju, podczas gdy Ellen kręciła się po domu doglądając gotowania, sprzątania i szycia ubrań dla niewolników.

Scarlett nigdy nie widziała, aby matka jej była wytrącona z równowagi i aby ubrana była niedokładnie — niezależnie od pory dnia. Kiedy Ellen ubierała się na bal czy na przyjęcie gości lub nawet na dzień sesji sądowej w Jonesboro, trwało to dwie godziny oraz wymagało pomocy dwóch pokojowych i Mammy, zanim była całkowicie z siebie zadowolona. W nagłych jednak okazjach potrafiła się ubrać sama z niesłychaną szybkością.

Scarlett, która zajmowała pokój naprzeciw pokoju matki, od dzieciństwa znała cichy pośpieszny tupot bosych stóp po drewnianej podłodze, naglące stukanie o świcie do drzwi sypialni i przyciszone, przerażone głosy, które szeptały o chorobach, narodzinach i śmierci w jednej ze stojących długim szeregiem chat murzyńskich. Jako dziecko często skradała się do swoich drzwi i podglądając przez szparkę widziała Ellen wynurzającą się z ciemnego pokoju, w którym chrapanie Geralda brzmiało rytmicznie, w smugę migotliwego blasku trzymanej wysoko świecy — Ellen niosącą apteczkę pod pachą, mającą przygładzone włosy i dokładnie na wszystkie guziki zapięty stanik.

Zawsze też czuła ukojenie, gdy słyszała stanowczy choć współczujący szept matki, na palcach idącej korytarzem: — Cicho, uspokójcie się. Obudzicie pana O’Harę. Nie obawiajcie się, choroba nie jest śmiertelna.

Tak, dobrze było zakopać się znowu pod kołdrę wiedząc, że choć Ellen wyszła na noc, wszystko jest w najlepszym porządku.

Rankiem, po całonocnym czuwaniu przy porodach i śmierci, do których ani stary doktor Fontaine, ani młody doktor Fontaine nie mogli na czas przyjechać, Ellen jak zwykle prezydowała przy śniadaniu i tylko jej podkrążone oczy mówiły o umęczeniu, ale głos i zachowanie wcale nie świadczyły o przebytym trudzie. Pod dumną łagodnością kryła się stalowa wytrwałość, która czcią napełniała Geralda, dziewczynki i wszystkich domowników, jakkolwiek Gerald wolałby raczej umrzeć, niż przyznać się do tego.

Czasem, kiedy Scarlett na palcach podchodziła wieczorem do matki, aby ucałować ją na dobranoc w policzek, przyglądała się ustom Ellen — wrażliwym ustom o zbyt krótkiej, zbyt delikatnej górnej wardze, i zastanawiała się, czy kiedykolwiek rozchylały się one w głupiutkim, dziewczęcym chichocie, czy szeptały podczas długich wieczorów sekrety do uszu serdecznych przyjaciółek. Ale nie, to chyba było niemożliwe. Matka zawsze musiała być taka sama, zawsze była źródłem siły, kolumną mądrości, jedyną na świecie osobą, która miała odpowiedź na wszystko.

Scarlett jednak myliła się bardzo, bo przed laty Ellen Robillard z Savannah tak samo chichotała bez powodu jak każda inna piętnastolatka w tym uroczym mieście nadbrzeżnym i całymi wieczorami szeptała w kąciku z przyjaciółkami, wymieniając zwierzenia, mówiąc o wszystkich swoich tajemnicach — z wyjątkiem jednej. Działo się to w roku, gdy o dwadzieścia osiem lat starszy od niej Gerald O’Hara zjawił się w jej życiu — w tym samym roku, kiedy młodość jednocześnie z czarnookim kuzynem Filipem Robillardem opuściła życie Ellen na zawsze. Bo kiedy kuzyn Filip o gorących oczach i niespokojnym charakterze wyjechał z Savannah, zabrał ze sobą wszystek żar serca Ellen, zostawiając dla niepozornego Irlandczyka tylko wystygłą skorupę.

To jednak wystarczyło Geraldowi, obezwładnionemu ze szczęścia, że mógł się w ogóle z Ellen ożenić. Nie zauważył też nigdy, że coś od niej odeszło na zawsze. Jako człowiek rozsądny dobrze wiedział, że cudem nieledwie było, iż on, Irlandczyk z niebogatej, nikomu nie znanej rodziny, pozyskał sobie córkę jednego z najbogatszych i najdumniejszych rodów wybrzeża. Gerald bowiem był człowiekiem, który wybił się własnymi siłami.

Przybył do Ameryki z Irlandii mając lat dwadzieścia jeden.

Przeprawił się przez ocean pośpiesznie, jak przedtem i potem wielu lepszych i gorszych od niego Irlandczyków, mając jedno ubranie na grzbiecie, dwa szylingi w kieszeni i wyznaczoną na swoją głowę cenę, która zdaniem jego była niewspółmierna z jego występkiem. Na tym ziemskim padole nie było bowiem takiego Orańczyka, który byłby wart stu funtów dla rządu angielskiego czy dla samego diabła: jeżeli jednak rząd tak się przejął zabójstwem rządcy wiecznie nieobecnego lorda, był to znak, że Gerald O’Hara musi wiać i to jak najprędzej. Nazwał wprawdzie rządcę „bękartem orańskim”, to jednak zdaniem Geralda wcale rządcy nie uprawniało do obrażenia go gwizdaniem w jego obecności pierwszych taktów „Nad wodami Boyne”.

Bitwa nad Boyne odbyła się co prawda przed stu laty, ale O’Harom i ich sąsiadom wydawało się, że to zaledwie wczoraj wszystkie ich nadzieje i marzenia, bogactwa i ziemie znikły w tumanie kurzu, który pokrył ucieczkę przerażonego Stuarta, gdy Wilhelm Orański i jego znienawidzone wojska w pomarańczowych kokardach dziesiątkowały irlandzkich stronników Stuarta.

Z tych i innych względów rodzina Geralda była skłonna uważać fatalne zakończenie jego sprzeczki za poważne tylko dlatego, że pociągnęło za sobą poważne konsekwencje. Już bowiem od lat żandarmeria angielska krzywo patrzyła na O’Harów, podejrzewając ich o działania przeciwrządowe, i Gerald nie był pierwszym z rodziny, który musiał wziąć nogi za pas i pożegnać Irlandię pod osłoną nocy. Dwóch swoich najstarszych braci, Jakuba i Andrzeja, ledwie pamiętał; wiedział tyle tylko, że byli to młodzieńcy o wąskich wargach, którzy przychodzili i wychodzili w rozmaitych porach nocy w tajemniczych sprawach lub też ku rozpaczy matki znikali na całe tygodnie. Oni to przed wielu laty uciekli do Ameryki, kiedy wykryto mały arsenał karabinów, zakopanych pod chlewem O’Harów. Teraz byli zamożnymi kupcami w Savannah, „choć Bóg jeden wie, gdzie jest to miasto”, jak wtrącała matka, ilekroć wspominała najstarszych synów, i właśnie do nich wysłano młodego Geralda.

Opuścił więc dom rodzinny, opatrzony spiesznym pocałunkiem matki i jej gorącym, wyszeptanym mu w ucho katolickim błogosławieństwem oraz napomnieniem ojca: „Pamiętaj, kim jesteś, i nigdy cudzego nie tykaj”. Pięciu jego rosłych braci pożegnało go pełnym podziwu i lekkiego niedowierzania uśmiechem, ponieważ Gerald był najmłodszym i najmniejszym z całej rodziny.

Wszyscy jego bracia i ojciec mierzyli przeszło sześć stóp wzrostu, ale mały Gerald mając lat dwadzieścia jeden zrozumiał, że pięć stóp i cztery cale — to wszystko, czego może oczekiwać od Wszechmogącego Boga. Gerald nigdy nie rozpaczał z racji swojej niskiej postury; nigdy też nie uważał jej za przeszkodę w zdobyciu tego, czego pragnął. Przeciwnie — ta jego krzepka małość uczyniła go tym, czym się stał, ponieważ dość wcześnie zrozumiał, że ludzie małego wzrostu muszą być silni, aby móc wyżyć wśród wysokich. Gerald był bardzo mocny.

Bracia jego byli ponurymi, spokojnymi ludźmi, w których rodzinna tradycja dawnej, straconej na zawsze chwały jątrzyła się tłumioną nienawiścią i wytryskiwała zgryźliwością. Gdyby Gerald był do nich podobny, obrałby sobie zwykłą drogę O’Harów i krążyłby spokojnie i posępnie między buntownikami. Gerald jednak był „głośny i natarczywy”, jak z miłością powtarzała matka, zapalczywy i skory do wybitki. Przechadzał się między rosłymi O’Harami jak napuszony karłowaty kogut między olbrzymimi kochinchinami, oni zaś kochali go, drażnili, aby śmiać się z jego pasji, poszturchiwali olbrzymimi pięściami tyle ile trzeba, aby brata beniaminka osadzić na właściwym miejscu.

Gerald wcale nie zdawał sobie sprawy z tego, że do Ameryki jedzie z bardzo skąpym bagażem wykształcenia. Nie przejąłby się zresztą zbytnio, gdyby mu to ktoś powiedział. Matka nauczyła go czytać i ładnie pisać. Był dobry w rachunkach. Na tym też kończyła się jego wiedza. Po łacinie umiał tylko odpowiadać do mszy, z historii pamiętał różnorakie krzywdy Irlandii. Nie znał innej poezji prócz Moore’a i innej muzyki prócz odwiecznych pieśni irlandzkich. Mimo że darzył żywym szacunkiem tych wszystkich, którzy mieli więcej wykształcenia od niego, nie bolał nad swoimi brakami. I cóż by mu zresztą przyszło z wykształcenia w nowym kraju, gdzie najciemniejsi ignoranci irlandzcy porobili wielkie fortuny? W tym kraju, który od człowieka wymagał tylko siły i pracowitości?

Bracia jego, Jakub i Andrzej, w których składzie zaczął pracować w Savannah, także nie martwili się jego nieuctwem. Czytelne pismo Geralda, dokładność w rachunkach i umiejętne targowanie się pozyskały mu ich szacunek, podczas gdy znajomość literatury i muzykalność wywołałyby tylko uśmiechy lekceważenia. Ameryka w początkach stulecia dawała Irlandczykom duże możliwości. Jakub i Andrzej, którzy zaczęli swoją karierę od przewożenia towarów wozami z Savannah do miast środkowej Georgii, dorobili się własnego składu, Gerald więc dorabiał się razem z nimi.

Polubił Południe i stał się wkrótce, we własnym przekonaniu, południowcem. Wiele było cech Południa — i południowców — których nigdy nie umiał zrozumieć, ale z właściwym sobie zapałem przejął sposób myślenia i zwyczaje, które rozumiał — pasję do pokera i wyścigów, manię politykowania, kodeks honorowy, prawa Stanów i nienawiść do Jankesów, niewolnictwo i kult bawełny, pogardę dla „białej nędzy” i przesadną kurtuazję dla dam. Nauczył się nawet żuć tytoń. Do picia whisky nie potrzebował się zaprawiać, urodził się z mocną głową.

W gruncie rzeczy jednak nie zmienił się wcale. Zmieniły się jego poglądy i rodzaj życia, ale manier swoich nie byłby zmienił, choćby mógł to zrobić. Podziwiał niedbałą elegancję bogatych plantatorów bawełny i ryżu, którzy na rasowych koniach wjeżdżali do Savannah, poprzedzając karety pełne niemniej eleganckich pań i wozy pełne niewolników. Gerald nigdy nie mógł stać się eleganckim. Niewyraźne leniwe głosy mężczyzn przyjemnie głaskały mu uszy, ale mimo to nie pozbył się nigdy swego twardego irlandzkiego akcentu. Podobał mu się obojętny wdzięk, z jakim ludzie Południa załatwiali ważne sprawy, stawiając fortunę, plantację czy niewolnika na jedną kartę i pokrywając przegraną z beztroskim humorem i takim samym gestem, jakim rzucali groszaki murzyńskim dzieciom. Gerald jednak zaznał biedy i nie umiał tracić pieniędzy wesoło i lekko. Ci Georgijczycy z wybrzeża, ze swymi nagłymi wybuchami gniewu i pełną wdzięku nieodpowiedzialnością, byli czarującymi ludźmi, więc Gerald bardzo ich polubił. W nim jednak, młodym Irlandczyku, świeżo przybyłym z kraju, gdzie wiały wilgotne i przejmujące wiatry, gdzie opary znad moczarów nie niosły choroby, tkwiła niespokojna żywotność, która odróżniała go od leniwych arystokratów kraju półtropikalnej pogody i malarycznych bagien.

Nauczył się od nich tego, co mu było potrzebne, resztę zaś odrzucił. Uznał, że poker jest najpożyteczniejszym obyczajem Południa — poker i dobra głowa. I właśnie wrodzona zdolność do kart i wytrzymałość na trunek przyniosły Geraldowi dwie z trzech jego najcenniejszych zdobyczy, to jest służącego i plantację. Trzecią była jego żona, ale zdobycie jej przypisywał wyłącznie niezbadanej dobroci Pana Boga.

Służący, imieniem Pork, smoliście czarny, pełen godności i biegły w tajnikach męskiej elegancji, był rezultatem całonocnej partii pokera z plantatorem z Wyspy Św. Szymona, który odwagą w bluffowaniu nie ustępował Geraldowi, natomiast nie dorównywał mu w wytrzymałości na nowoorleański rum. Mimo, że poprzedni właściciel Porka ofiarowywał za niego później podwójną cenę, Gerald uparcie odmawiał odstąpienia służącego, ponieważ posiadanie pierwszego niewolnika i w dodatku „najlepszego z lokajów na całym wybrzeżu” było pierwszym krokiem w kierunku spełnienia jego najgorętszych życzeń. Gerald chciał stać się właścicielem niewolników i obszarnikiem.

Postanowił już sobie, że nie spędzi reszty swoich dni wzorem Jakuba czy Andrzeja na targowaniu się w składzie, a wieczorów na sumowaniu długich kolumn cyfr przy świeczce. W przeciwieństwie do braci żywo odczuwał niższość towarzyską ludzi „handlujących”. Gerald pragnął być plantatorem. Nienasycony głód Irlandczyka, który był tylko dzierżawcą gruntów, niegdyś należących do jego praojców, gnał go do zdobycia zielonych akrów własnej ziemi. Jedynym jego wyraźnie wytkniętym celem było posiadanie własnego domu, własnej plantacji, własnych koni, własnych niewolników. Tutaj, w nowym kraju, wolnym od niebezpieczeństw ojczyzny, którą opuścił — podatków zjadających zbiory i wiecznie żywej obawy nagłej konfiskaty — zamierzał wszystko to zdobyć. Z biegiem czasu przekonał się jednak, że dążenie do czegoś i realizacja dążenia — to dwie odmienne rzeczy. Stara arystokracja zbyt mocno rozsiadła się w nadbrzeżnej Georgii, aby Gerald mógł tam kiedykolwiek zdobyć miejsce, jakiego pragnął.

Aż wreszcie ręka Opatrzności i dobra karta w pokerze złożyły się na to, by dać mu plantację, którą później nazwał Tarą, i przenieść go z wybrzeża w wyżynny kraj północnej Georgii.

Pewnej gorącej wiosennej nocy w szynku w Savannah przypadkowo zasłyszane opowiadanie nieznajomego wzbudziło zainteresowanie Geralda. Nieznajomy, który pochodził z Savannah, właśnie wrócił tam po spędzeniu dwunastu lat w głębi kraju. Był jednym z ludzi, którzy wygrali ziemię na loterii urządzonej przez państwo na rok przed wyjazdem Geralda do Ameryki w celu rozdziału wielkich terytoriów, ustąpionych przez Indian. Przeniósł się więc tam i założył plantację. Teraz jednak, kiedy dom mu się spalił, znudziło mu się „to przeklęte miejsce” i chętnie by go się pozbył.

Gerald, którego nigdy nie opuszczało marzenie o posiadaniu plantacji, przedstawił się nieznajomemu. Zainteresowanie jego wzrosło jeszcze, kiedy nowo przybyły zaczął opowiadać, jak to północ Georgii zapełnia się przybyszami z obydwu Karolin i Wirginii. Gerald dość już długo mieszkał w Savannah, aby przejąć się poglądem mieszkańców wybrzeża, że cała reszta stanu to puszcza, w której gąszczu czają się Indianie. W interesach „Braci O’Hara” Gerald odwiedził Augustę, miasto leżące nad rzeką Savannah w odległości jakichś stu mil od brzegu, i zapuścił się w głąb kraju o tyle, że mógł zwiedzić stare miasta na zachód od Augusty. Wiedział, że ta część stanu jest równie gęsto zaludniona jak wybrzeże. Jednak z opisu nieznajomego wynikało, że plantacja jego leży z górą dwieście pięćdziesiąt mil na północo-zachód od Savannah i niewiele mil na południe od rzeki Chattahoochee. Gerald sądził, że na północ od owej rzeki kraj należy jeszcze do Czerokezów, ze zdumieniem więc stwierdził, że nieznajomy śmieje się z jego pytania, czy Indianie nie napadają tam na białych, opowiada natomiast, jak się w tej okolicy rozbudowują kwitnące miasta i rozwijają plantacje.

Nieco później, gdy rozmowa przestała się kleić, z chytrością, którą tuszował niewinny blask jego jasnoniebieskich oczu, Gerald zaproponował partię pokera. Po kilku godzinach, gdy trunki zaczęły częściej krążyć, nadeszła taka chwila, że pozostali partnerzy odrzucili karty, a rozgrywka odbywała się między Geraldem a nieznajomym. Obcy postawił wszystkie swoje sztony, potem akt własności plantacji, Gerald — wszystkie swoje i całą zawartość portfelu. Mimo że pieniądze należały do firmy „Bracia O’Hara”, Gerald nie czuł wyrzutów sumienia, z których by uważał się za stosowne wyspowiadać. Wiedział dobrze, czego chce, a kiedy czegoś chciał, zmierzał ku temu w sposób najprostszy. Ponadto zaś tak bardzo ufał swemu szczęściu i czterem asom, że nie zastanawiał się wcale, w jaki sposób spłaci przegraną, gdyby karta jego przeciwnika okazała się mocniejsza.

— Nie wydaje mi się, żeby pan dobrze na tym wyszedł, ja natomiast bardzo się cieszę, że wreszcie nie będę musiał płacić podatków — westchnął właściciel fulla asowego wołając o atrament i pióro. — Dom mieszkalny spalił się rok temu, a pola zarastają chwastami i karłowatą sosną. Ale co pańskie, to pańskie.

— Nie mieszaj nigdy kart i whisky, chyba że już matka karmiła cię irlandzką gorzałką — oświadczył poważnie tej samej nocy Gerald Porkowi, gdy Murzyn pomagał mu się rozbierać. Służący zaś, który z podziwu dla swego pana starał się mówić irlandzkim akcentem, odpowiedział coś mieszaniną gwary murzyńskiej i irlandzkiej, niezrozumiałą dla nikogo z wyjątkiem ich dwóch.

Mulista rzeka Flint, tocząc się cicho między murem sosen i wierzb obrosłych bluszczem, otaczała nową ziemię Geralda niczym zgięte ramię i obejmowała ją z dwóch stron. Geraldowi, stojącemu na małym pagórku, gdzie dawniej był dom, ta wysoka bariera zieleni wydawała się tak widoczną i pochlebną oznaką posiadania, jak gdyby był to żywopłot posadzony jego ręką. Stał na poczerniałych fundamentach spalonego budynku, patrzył na długą aleję drzew, prowadzącą do szosy, i klął siarczyście, zbyt uradowany, aby składać modły dziękczynne. Jego własnością były bliźniacze rzędy ciemnych drzew, jego własnością pełen chwastów zapuszczony trawnik pod obsypanymi białym kwieciem drzewkami magnolii. Nie uprawiane pola, zarosłe krzewami i karłowatą sosną, które rozciągały swą czerwoną powierzchnię daleko w cztery strony świata, należały do Geralda O’Hary — były jego własne, bo miał twardą, irlandzką głowę na karku i odwagę postawienia wszystkiego na jedną kartę.

Gerald przymknął oczy i w ciszy leżących odłogiem pól poczuł, że znalazł wreszcie spokojną przystań. Tutaj, pod jego stopami, wyrośnie dom z pobielonej cegły. Po drugiej stronie drogi staną nowe płoty, odgradzające pastwiska dla bydła i rasowych koni, a czerwone zbocza pagórków łagodnie spadające ku rzece będą lśniły w słońcu białością edredonu — porośnie je bawełna, całe mile bawełny! Fortuna O’Harów odrodzi się na nowo. Ze swego małego kapitału, z tego, co pożyczył od nie podzielających jego entuzjazmu braci, i z okrągłej sumki, którą wziął na hipotekę ziemi, Gerald kupił pierwszych niewolników i przeniósł się do Tary, aby żyć po kawalersku w czterech pokoikach dawnego domku rządcy, do czasu gdy wznosić się zaczną białe ściany właściwego dworu.

Wykarczował pola, zasadził bawełnę i znowu pożyczył od Jakuba i Andrzeja pieniędzy na kupno nowych niewolników. O’Harowie stanowili zwarty klan i pomagali sobie wzajemnie w okresach tak powodzenia, jak i przeciwności, nie dla jakiejś przesadnej miłości rodzinnej, ale dlatego, iż w ciężkich latach zrozumieli, że aby przetrwać, rodzina musi zwartym frontem przeciwstawiać się światu. Pożyczyli Geraldowi pieniędzy, a te w latach następnych wróciły im się z procentem. Plantacja rozszerzała się stopniowo, bo Gerald skupywał pobliskie grunta i wreszcie nadszedł czas, gdy biały dom przerodził się z marzenia w rzeczywistość.

Zbudowany został pracą niewolników; był niezgrabnym, rozłożystym budynkiem — stał na wzniesieniu, górującym nad zieloną ziemią pastewną, która dochodziła aż do rzeki. Gerald jednak był nim zachwycony, bo już, choć nowy, nosił na sobie patynę lat. Stare dęby, pod którymi przechodzili byli Indianie, ciasno otaczały dom i krzyżowały nad dachem swe gałęzie. Oczyszczony z chwastów trawnik zielenił się koniczyną i trawą bermudzką. Gerald pilnował osobiście, aby był należycie strzyżony. Wszystko w Tarze, od alei cedrów do rzędu białych chat niewolników, tchnęło solidnością i trwałością. Ilekroć Gerald skręcał kłusem w stronę domu i widział przeświecający między gałęziami własny swój dach, serce jego napełniało się taką dumą, jak gdyby widział go po raz pierwszy.

Bo wszytko to stworzył on sam — mały, porywczy Gerald. O’Hara był w znakomitych stosunkach ze wszystkimi sąsiadami, z wyjątkiem MacIntoshów, których grunta łączyły się z jego plantacją po lewej stronie, i Slatterych, których marne trzy akry rozciągały się po stronie prawej, między błotnistym brzegiem rzeki a plantacją Jana Wilkesa.

MacIntoshowie byli na wpół Szkotami, na wpół Irlandczykami i stronnikami dynastii orańskiej, więc choćby nawet posiadali połączone cnoty wszystkich świętych katolickiego kalendarza dziedzictwo to skazywało ich na wieczną niełaskę w oczach Geralda. Prawda, że byli osiedleni w Georgii od siedemdziesięciu lat i że przedtem przez jedno pokolenie mieszkali w Karolinie, ten ich przodek jednak, który pierwszy stanął na ziemi amerykańskiej, pochodził z Ulsteru, a to Geraldowi wystarczyło.

Byli to ludzie małomówni i hardzi. Mało się udzielali, trzymali się razem, a związki małżeńskie zawierali z krewnymi swymi z Karoliny. Gerald nie był jedynym, który ich nie lubił, ponieważ inne rodziny były gościnne i towarzyskie i niezbyt pobłażliwe dla tych, którym cnót tych brakło. Plotki o sympatiach abolicjonistycznych także nie przyczyniały się do popularności MacIntoshów. Stary Angus nie wyzwolił wprawdzie żadnego ze swoich ludzi i popełnił niewybaczalny w oczach sąsiadów błąd, że sprzedał kilku swoich Murzynów handlarzom niewolników, którzy byli w przejeździe do plantacji trzciny w Luizjanie, ale mimo to plotki krążyły dalej.

— To jest niewątpliwy abolicjonista — mawiał Gerald do Jana Wilkesa. — Ale jeżeli Orańczyk ma do wyboru między zasadą a swoim szkockim skąpstwem, zasada musi przegrać.

Z rodziną Slatterych miała się sprawa inaczej. Ponieważ ludzie ci byli niezamożni, mimo że biali, nie darzono ich nawet tym niechętnym szacunkiem, jaki mimo wszystko sąsiedzi żywili dla surowej niezależności Angusa MacIntosha. Stary Slattery, który uparcie trzymał się swoich kilku akrów mimo ciągle ponawianych przez Geralda i Jana Wilkesa propozycji kupna, był słaby i niezaradny. Żona jego była rozczochraną chorowitą kobietą o wyblakłej twarzy, matką całej gromadki pochmurnych i do królików podobnych dzieci — gromadki regularnie powiększającej się co rok. Tomasz Slattery nie miał niewolników i sam przy pomocy dwóch najstarszych synów uprawiał kilka akrów ziemi pod bawełnę, podczas gdy żona i młodsze dzieci zajmowały się tak zwanym szumnie „ogrodem warzywnym”. Jednakże, nie wiadomo dlaczego, bawełna nie udawała się tam nigdy, ogród zaś z powodu ciągłych macierzyńskich kłopotów pani Slattery rzadko kiedy rodził tyle, aby wyżywić sporą rodzinę.

Tomasza Slattery często można było spotkać, gdy wystawał pod domami sąsiadów i prosił o nasiona bawełny do zasadzenia czy połeć boczku „na przetrwanie”. Slattery nienawidził swoich sąsiadów całą siłą, na jaką mógł się zdobyć, ponieważ wyczuwał pod maską grzeczności ich pogardę, a najbardziej chyba nie znosił „bezczelnych Negrów bogaczy”. Murzyńska służba domowa z powiatu uważała się za coś wyższego od „białej nędzy”, Slattery więc jednocześnie i cierpiał z powodu ich nie ukrywanego lekceważenia, i zazdrościł im lepszej sytuacji życiowej. W przeciwieństwie do niego byli dobrze odżywieni, dobrze odziani, doglądani w chorobach i zaopatrzeni na starość. Byli dumni z dobrego imienia swoich właścicieli i szczycili się należeniem do dobrych rodzin, podczas gdy on był dla wszystkich przedmiotem pogardy.

Tomasz Slattery mógłby był sprzedać swoją farmę za cenę jej trzykrotnej wartości każdemu z plantatorów w powiecie. Uważaliby, że pieniądze te są wydane rozsądnie, bo pozbyliby się sąsiedztwa — on jednak wolał siedzieć na miejscu, produkować belę bawełny rocznie i korzystać z litości sąsiadów.

Z całą resztą swego sąsiedztwa Gerald był na stopie przyjaźni i pewnej zażyłości. Wilkesowie, Calvertowie, Tarletonowie i Fontaine’owie uśmiechali się przyjaźnie, kiedy mała figurka na wielkim białym koniu zajeżdżała galopem przed ich domy, uśmiechali się i kazali podawać wysokie szklanki, do których na szczyptę mięty i łyżeczkę cukru nalewano miarkę whisky. Gerald był miły i z biegiem czasu sąsiedzi przekonali się o tym, co dzieci, Murzyni i psy wyczuwały na pierwszy rzut oka, że pod jego grzmiącym głosem i wojowniczym temperamentem kryje się dobre serce, współczujące ucho i otwarta kieszeń.

Przyjazd jego w odwiedziny odbywał się zawsze przy akompaniamencie przeraźliwego szczekania psów oraz krzyków małych Murzyniątek, które wybiegały mu na spotkanie, sprzeczały się o przywilej trzymania mu konia i śmiały z jego dobrodusznych wymyślań. Białe dzieci domagały się, aby brał je na kolana, kiedy przed starszymi narzekał na perfidną politykę Jankesów; córki przyjaciół zwierzały mu się z przeżyć miłosnych, a młodzieńcy z całej okolicy, nie mając odwagi przyznać się ojcom do wysokości długów honorowych, w nim znajdowali wybawiciela.

— A więc już od miesiąca jesteś winien tę sumę, ty szelmo! — krzyczał Gerald. — Na miłość boską, dlaczego wcześniej nie poprosiłeś mnie o pieniądze?

Niepowściągliwość jego języka była zbyt dobrze znana, aby się na niego obrażać, więc młodzi ludzie śmiali się tylko z zakłopotaniem i odpowiadali: — Bo proszę pana, nie chcieliśmy pana niepokoić, a ojciec...

— Ojciec twój jest dobrym człowiekiem, nie ma gadania, i trochę surowym, więc bierz, i żebyś mi więcej o tym nie wspominał.

Żony plantatorów skapitulowały przed O’Harą ostatnie. Ale kiedy Pani Wilkes — „wielka dama i wyjątkowo dyskretna”, jak ją scharakteryzował Gerald — powiedziała mężowi pewnego wieczoru, gdy Gerald odjechał: „Pan O’Hara ma wprawdzie niezbyt powściągliwy język, ale jest dżentelmenem”, znaczyło to, że Gerald zdobył sobie wreszcie pozycję towarzyską.

Nie zdawał sobie wcale sprawy z tego, że proces ten trwał dziesięć lat, nie wiedział, że z początku sąsiedzi dość krzywo na niego patrzyli. W jego jednak mniemaniu nie było żadnej wątpliwości, gdzie przynależy, od chwili gdy znalazł się w Tarze.

Kiedy Gerald skończył trzydzieści trzy lata, był tak krzepki i tak rumiany na twarzy, że wyglądał jak ziemianin z angielskiego sztychu; wtedy też przyszło mu po raz pierwszy na myśl, że nie wystarcza mu już ani Tara, chociaż bardzo bliska jego sercu, ani sąsiedzi o otwartych sercach i otwartych domach. Zapragnął żony. Tara po prostu domagała się pani. Gruba kucharka — dziewka od krów z konieczności wyniesiona do tej rangi — nigdy nie zdążyła przygotować na czas posiłku, a pokojówka niegdyś wyrobnica z pola, zostawiała warstwy kurzu na meblach i nigdy nie miała czystej bielizny pod ręką, tak że przyjazd gości zawsze był powodem bieganiny i podniecenia. Pork, jedyny wykwalifikowany służący w majątku, miał nadzór nad resztą służby, ale nawet i on stał się opieszały i niedbały po kilku latach pobytu u Geralda. W charakterze służącego utrzymywał sypialnię jego w porządku, w charakterze lokaja podawał posiłki z godnością i wielkim stylem, inne jednak sprawy z całym spokojem pozostawiał ich własnemu biegowi.

Z nieomylnym instynktem ludzi prymitywnych Murzyni szybko odkryli, że Gerald należy do gatunku stworzeń głośno ujadających, ale nie gryzących, wykorzystywali więc bezwstydnie jego dobroć. W powietrzu unosiła się stale groźba sprzedania niewolników na Południe lub srogiego batożenia, ale żaden niewolnik z Tary nie został nigdy sprzedany, batożenie zaś odbyło się jeden jedyny raz i dostało się Murzynowi, który nie wytarł ulubionego konia Geralda po jego powrocie z całodziennego polowania.

Żywe, niebieskie oczy O’Hary dostrzegły, jak doskonale są prowadzone domy sąsiadów i z jaką swobodą rządzą służbą gładko przyczesane damy w szeleszczących sukniach. Nie miał pojęcia o nie kończącej się nigdy pracy tych kobiet, obarczonych na całe życie nadzorem nad sprawami kuchni, wychowania dzieci, szycia czy prania. Widział tylko zewnętrzne wyniki i te mu imponowały. Gwałtowną potrzebę ożenku uświadomił sobie jasno pewnego ranka, gdy wybierał się do miasta w dzień sesji sądowej. Pork podał mu jego ulubioną plisowaną koszulę tak niezdarnie zacerowaną na przodzie przez pokojówkę, że była nie do noszenia.

— Mój pan Gerald — rzekł wtedy Pork zwijając koszulę, którą mu O’Hara pieniąc się ze złości podarował — bardzo potrzebuje żony, i to żony, która będzie miała dużo murzyńskiej służby.

Gerald zbeształ Porka za zuchwałość, ale w duszy musiał przyznać Murzynowi rację. Chciał mieć żonę i dzieci i czuł, że jeżeli szybko się o to nie postara, będzie może za późno. Nie miał jednak zamiaru żenić się z byle kim, jak pan Clavert, który za żonę pojął jankeską guwernantkę swoich osieroconych dzieci. Chciał, aby jego żona była damą, i to damą prawdziwą, o równie dobrych manierach i wielkiej dystynkcji jak pani Wilkes i o takiej samej umiejętności prowadzenia domu.

Nasuwały się jednak dwie trudności, jeżeli chodziło o połączenie się związkiem małżeńskim z którąkolwiek z rodzin w powiecie. Pierwszą była skąpa ilość panien w odpowiednim wieku do małżeństwa. Drugą i znacznie poważniejszą to, że Gerald mimo dziesięcioletniego pobytu w tej okolicy był „człowiekiem nowym” i w dodatku cudzoziemcem. O jego rodzinie nic nie było wiadomo. Mimo, że rodziny z środkowej Georgii nie były tak nieprzystępne jak arystokracja nadbrzeżna, nikt nie zgodziłby się wydać córki za człowieka, o którego dziadku nic nie było wiadomo.

Gerald wiedział, że żaden z zaprzyjaźnionych z nim serdecznie sąsiadów, z którymi polował, pił i rozmawiał o polityce, nie odda mu córki. Nie życzył sobie także, aby plotkowano przy kolacji, że ten, tamten czy ów ojciec z żalem odmówił Geraldowi O’Hara prawa starania się o rękę swej córki. Mimo tej świadomości Gerald bynajmniej nie czuł się gorszym od swoich sąsiadów. Nic nie mogło wpłynąć na to, aby Gerald czuł się gorszym od kogokolwiek. Po prostu tylko — w powiecie panował dziwny zwyczaj, że córki dawano wyłącznie za synów rodzin osiadłych na Południu dłużej niż od dwudziestu dwu lat, posiadających dużo ziemi i niewolników i oddających się tylko powszechnie przyjętym grzeszkom.

— Pakuj rzeczy. Jedziemy do Savannah — powiedział Porkowi. — A jeżeli usłyszę, że starasz się mówić irlandzkim akcentem, sprzedam cię od razu, bo ja się już swego akcentu wyzbyłem.

Gerald liczył na to, że Jakub i Andrzej doradzą mu coś w związku z małżeństwem, mogło się także zdarzyć, że któraś z córek ich starych przyjaciół będzie odpowiadała jego wymaganiom i zgodzi się wyjść za niego. Jakub i Andrzej uważnie wysłuchali Geralda, ale nie dodali mu wcale otuchy. Nie mieli w Savannah krewnych, którzy mogliby im dopomóc, bo do Ameryki przyjechali już z żonami. Córki zaś ich starszych przyjaciół od dawna powychodziły za mąż i dochowały się własnego potomstwa.

— Nie jesteś człowiekiem bogatym i nie pochodzisz z dobrej rodziny — rzekł Jakub.

— Mam pieniądze i sam stworzę dobrą rodzinę. Ożenić się z pierwszą lepszą nie mam zamiaru.

— Wysoko mierzysz — krótko zauważył Andrzej.

Zrobili jednak dla Geralda wszystko, co mogli. Jakub i Andrzej byli starymi ludźmi i cieszyli się w Savannah poważaniem. Mieli wielu znajomych i przez miesiąc prowadzili Geralda z domu do domu, na kolacje, wieczorki i pikniki.

— Jest jedna dziewczyna, która wpadła mi w oko — powiedział w końcu Gerald. — Tylko że kiedy przyjechałem do Ameryki, jej jeszcze nie było na świecie.

— Kto to taki?

— Panna Ellen Robillard — rzekł Gerald starając się mówić obojętnie, ponieważ lekko skośne, ciemne oczy Ellen Robillard nie tylko wpadły mu w oko, ale i zaryły się w serce. Mimo spokoju swego, tak niezwykłego w piętnastoletniej dziewczynie, Ellen oczarowała go zupełnie. Co więcej, unosiła się dokoła niej atmosfera rezygnacji czy rozpaczy, która sprawiła, że Gerald odnosił się do niej łagodniej niż do jakiejkolwiek innej istoty na świecie.

— Mógłbyś przecież być jej ojcem!

— Jestem w sile wieku! — zawołał Gerald, dotknięty.

Jakub powiedział spokojnie:

— Jerry, nie ma drugiej dziewczyny w Savannah, u której miałbyś mniejsze szansę. Jest córką bogatego Robillarda, a ci Francuzi są dumni jak sam Lucyfer. A matka jej — Panie świeć nad jej duszą! — była bardzo wielką damą.

— Wszystko mi jedno — rzekł Gerald. — Zresztą matka jej nie żyje, a stary Robillard bardzo mnie lubi.

— Jako człowieka może, ale nie jako zięcia.

— Dziewczyna ciebie w każdym razie nie zechce — wtrącił Andrzej. — Kocha się w tym swoim dzikim kuzynie Filipie Robillard już od roku, mimo że rodzina dzień i noc ją męczy, aby dała temu spokój.

— On od miesiąca już jest w Luizjanie — rzekł Gerald.

— A ty skąd wiesz o tym?

— Wiem — odrzekł Gerald, który nie chciał się przyznać ani do tego, że cennej wiadomości dostarczył mu Pork, ani do tego, że Filip wyjechał na Zachód na wyraźne życzenie swojej rodziny. — Nie przypuszczam też, aby tak w nim była zakochana, by nie móc zapomnieć. W piętnastym roku życia jeszcze się nie zna miłości.

— Robillardowie z pewnością woleliby dla niej tego obwiesia niż ciebie.

Toteż Jakub i Andrzej byli zdumieni nie mniej od innych, gdy rozeszła się wiadomość, że córka Piotra Robillarda wychodzi za małego Irlandczyka z głębi Georgii. Savannah huczała od plotek i domysłów na temat Filipa Robillarda, który wyjechał na Zachód, ale plotki nie przynosiły żadnej odpowiedzi. Dlaczego najładniejsza z córek Robillarda chciała wyjść za człowieka o donośnym głosie i czerwonej twarzy, od którego wyższa była o głowę, pozostało tajemnicą dla wszystkich.

Gerald sam dobrze nie wiedział, jak się to wszystko stało. Wiedział tylko, że zdarzył się cud. I po raz pierwszy w życiu był onieśmielony, gdy Ellen, bardzo blada, ale bardzo spokojna, położyła mu lekką dłoń na ramieniu i powiedziała: — Zostanę pańska żoną, panie O’Hara.

Zdumieni Robillardowie dowiedzieli się ułamka prawdy, ale tylko Ellen i jej piastunka znały dzieje owej nocy, gdy młoda dziewczyna płakała do samego świtu jak skrzywdzone dziecko i wstała rano z dojrzałą decyzją kobiety dorosłej.

Niania z dziwnym przeczuciem zaniosła swojej młodej pani małą paczuszkę z Nowego Orleanu, zaadresowaną obcym charakterem pisma, zawierającą miniaturę Ellen, którą z krzykiem rzuciła na podłogę, cztery jej listy do Filipa Robillarda i krótkie pismo od księdza z Nowego Orleanu z zawiadomieniem, że kuzyn jej został zabity podczas jakiejś awantury w barze.

— To oni go stąd wygnali: ojciec, Paulina i Eulalia! Wygnali go! Nienawidzę ich, nienawidzę ich wszystkich. Nie chcę ich nigdy w życiu widzieć, chcę stąd uciec. Chcę uciec tak daleko, aby nigdy więcej nie zobaczyć ani ich, ani tego miasta, ani nikogo, kto będzie mi przypominał jego...

A kiedy noc miała się już ku końcowi, Mammy, która sama płakała tuląc do siebie ciemną główkę swojej pani, próbowała oponować: — Ależ dziecko, tego zrobić nie możesz.

— Zrobię. To dobry człowiek. Zrobię to albo wstąpię do klasztoru w Charlestonie.

Groźba klasztoru spowodowała w końcu zgodę przerażonego i zbolałego Piotra Robillarda. Był zatwardziałym protestantem, mimo że córki były katoliczkami, i z dwojga złego wolał, aby córka została żoną Geralda O’Hary niż zakonnicą. Ostatecznie nie można było mu nic zarzucić prócz tego, że nie pochodził z odpowiedniej rodziny.

Tak więc Ellen, już jako pani O’Hara, zostawiła za sobą Savannah, której nigdy nie miała zobaczyć, i w towarzystwie niemłodego męża, Mammy i dwudziestki „domowych Murzynów” wyruszyła w stronę Tary.

Następnego roku urodziło się ich pierwsze dziecko, które nazwali Katarzyną Scarlett, po matce Geralda. Gerald był trochę rozczarowany, bo życzył sobie syna, ale mimo to tak ucieszył się z tej małej czarnowłosej córeczki, że poczęstował rumem wszystkich niewolników w Tarze i sam upił się błogo i hałaśliwie.

Jeżeli Ellen kiedykolwiek żałowała swojej nagłej decyzji poślubienia Geralda, nie wiedział o tym nikt, najmniej zaś Gerald, którego rozpierała duma, ilekroć patrzył na żonę. Savannah i wszystkie wspomnienia zostawiła za sobą, gdy opuściła to przyjemne miasto nad morzem, i od chwili przybycia do Tary domem jej stała się północna Georgia.

Opuściła dom rodzinny o liniach tak harmonijnych jak ciało pięknej kobiety czy statek pod żaglami; jasny, pokryty sztukaterią dom we francuskim stylu kolonialnym, do którego prowadziły schody o delikatnych balustradach z kutego żelaza; spokojny, bogaty dom, miły — choć trochę sztywny.

Zostawiła za sobą nie tylko urocze otoczenie, ale i całą cywilizację, w której wyrosła, i znalazła się w świecie tak obcym i odmiennym, jak gdyby przyjechała na inny kontynent.

Tutaj w Georgii teren był nierówny, a ludzie twardzi. Kraj był płaskowyżem u stóp Gór Błękitnych. Gdzie spojrzeć, Ellen widziała czerwone pagórki o wielkich występach spodnich warstw skały oraz wysokie sosny, ponuro wznoszące się wszędzie. Krajobraz zdawał się dziki i trochę straszny dla oczu przywykłych do piękności wysp przybrzeżnych, porosłych szarym mchem i zieloną, bujną roślinnością, do białych przestrzeni piasków rozpalonych podzwrotnikowych słońcem, do płaskich wydm, na których gdzieniegdzie stały palmy.

Tej części kraju nieobce były chłody zimowe zarówno jak żar lata, w ludziach zaś tutejszych kryła się energia i siła, całkowicie Ellen nie znane. Byli mili, uprzejmi, hojni, o bardzo dobrych charakterach, ale twardzi, męscy, skorzy do gniewu. Ludzie z wybrzeża, które opuściła, szczycili się, że wszystkie swoje sprawy, nawet pojedynki i spory, załatwiają z nonszalancją — mieszkańców północnej Georgii znamionowała wielka gwałtowność. Na wybrzeżu życie było dojrzałe i słodkie, tutaj — młode, krzepkie, zielone.

Wszyscy ludzie, których Ellen znała w Savannah, byli jakby urobieni wedle tego samego wzoru, tak podobne były ich poglądy i przyzwyczajenia; tu znalazła nagle wielką rozmaitość charakterów. Osadnicy tutejsi pochodzili z rozmaitych miejsc, a więc z innych części Georgii, z Karoliny i Wirginii, z Europy, z północnych Stanów. Niektórzy z nich, jak Gerald, byli nowymi przybyszami, którzy szukali tutaj szczęścia. Inni, jak Ellen, byli członkami starych rodzin, którzy nie mogli dłużej znieść życia w dawnym otoczeniu i w dalekiej okolicy znaleźli spokojną przystań. Bardzo wielu przeniosło się tylko dlatego, że gnał ich niepokój, który odziedziczyli w spadku po ojcach pionierach.

Ludzie ci, z różnych stron świata i różnego pochodzenia, prowadzili bezceremonialny tryb życia, nowy dla Ellen, do którego nigdy nie mogła się całkowicie przyzwyczaić. Na wybrzeżu wiedziała zawsze, jak zachowa się większość ludzi w każdej sytuacji. Jak postąpią w danej chwili mieszkańcy Georgii — nie można było przewidzieć.

Życie okolicy ożywiła fala zamożności przewalająca się wtedy przez całe Południe. Świat domagał się bawełny, a nowa część Georgii, żyzna i nie zużyta, rodziła ją obficie. Bawełna była pulsem okolicy, sadzenie jej i zbiory stanowiły kurcze i rozkurczę serca czerwonej gleby. Bogactwo rodziło się z falistych bruzd, wraz z nim zaś pewność siebie, wyrosła z zielonych krzaczków i z akrów wełnistej bieli. Jeżeli dzięki bawełnie można było zdobyć majątek w ciągu jednej generacji, o ileż bogatsze będą następne pokolenia!

Ta pewność jutra nadawała życiu smak i rozmach, więc ludzie z powiatu używali życia z entuzjazmem, którego Ellen nigdy nie mogła pojąć. Mieli dość pieniędzy i dość niewolników, aby mieć dużo czasu na przyjemności, poświęcali się im zatem z oddaniem. Nigdy nikt nie był zbyt zajęty, aby nie móc rzucić pracy dla polowania czy wyścigów konnych, i nie było tygodnia bez pikniku w sąsiedztwie czy balu.

Ellen nigdy nie mogła upodobnić się do innych — za wiele z siebie zostawiła w Savannah — ale szanowała ich i z czasem nauczyła się podziwiać szczerość i prostotę tych ludzi, którzy mówili to, co myśleli, i cenili człowieka za to, jakim był.

Stała się najbardziej lubianą kobietą w okolicy. Była oszczędną i dobrą gospodynią, kochającą matką i oddaną żoną. Złamane serce i wyrzeczenie się siebie, które chciała złożyć w darze Kościołowi, poświęciła zamiast tego służbie, dzieciom, domowi i mężczyźnie, który wyrwał ją z Savannah, odsunął od wspomnień i nigdy o nic nie pytał.

Kiedy Scarlett miała rok i była zdrowsza i mocniejsza, niż zdaniem Mammy przystało pańskiemu dziecku, Ellen urodziła drugą córkę, ochrzczoną imionami Zuzanna Eleonora, ale zawsze zwaną Zuelą, w odpowiednim zaś czasie po niej przyszła na świat Karina, zapisana w Biblii rodzinnej jako Karolina Irena. Potem zjawili się trzej chłopcy, z których wszyscy pomarli, zanim nauczyli się chodzić — trzej mali chłopcy, spoczywający teraz pod cedrami na cmentarzyku o sto jardów odległym od domu — pod trzema nagrobkami, z napisem „Gerald O’Hara, junior”.

Od chwili gdy Ellen przyjechała do Tary posiadłość zmieniła się nie do poznania. Mimo że Ellen miała zaledwie piętnaście lat, była dojrzała do obowiązków dziedziczki. Przed małżeństwem młode dziewczęta musiały być przede wszystkim słodkie, łagodne, piękne i strojne, po ślubie jednak wymagano od nich umiejętności prowadzenia gospodarstwa dla przeszło stu osób, białych i czarnych, i wychowywano je z myślą o tym.

Ellen otrzymała takie samo przygotowanie do małżeństwa jak każda dobrze wychowana młoda dama, ponadto zaś miała przy sobie Mammy, która mogła przeistoczyć najtępszego Murzyna w źródło energii. Ellen szybko wprowadziła porządek, godność i wdzięk do domu Geralda i dała Tarze piękno, którego tam nigdy przedtem nie było.

Dom został wybudowany bez określonego planu i w miarę potrzeby dobudowywano pokoje tam, gdzie było ich potrzeba, pod okiem jednak Ellen budynek zyskał wdzięk, który zastąpił brak stylu. Aleja cedrów prowadząca od szosy do domu — charakterystyczna aleja, bez której trudno było sobie wyobrazić dom plantatora w Georgii — była chłodna i cienista i stanowiła tło dla jasnej zieloności innych drzew. Glicynia wijąca się dokoła ganków odcinała się jaskrawo od pobielonych cegieł i wraz z różowymi krzaczkami mirtu i białymi kwiatami magnolii rosnącej przed oknami kryła niezgrabne zarysy domu.

Wiosną i latem trawa i koniczyna na murawie stawały się szmaragdowe i tak kuszące, że ściągały do siebie stada indyków i białych gęsi, które powinny były kręcić się tylko na tyłach domu. Przodownicy tych stadek ciągle robili wypady przed dom, przyciągnięci zielonością trawy i nęcącą obietnicą pączków jaśminu i grządek cynii. Przeciw ich zakusów wystawiano wartę w postaci małego Murzyniątka. Mały, uzbrojony w strzęp ścierki Murzynek siedzący na schodkach ganku był częścią obrazu Tary — częścią bardzo godną politowania, bo ponieważ nie wolno mu było straszyć ptactwa, musiał odganiać je ścierką i sykiem.

Ellen zasadzała kolejno mnóstwo małych chłopców do tego zajęcia, które było pierwszą odpowiedzialną funkcją niewolnika płci męskiej w Tarze. Po ukończeniu dziesiątego roku życia chłopcy byli oddawani na naukę do Dziadzia, starego szewca plantacji, do Amosa, kołodzieja i stolarza, Filipa, krowiarza, albo Kuffiego, poganiacza mułów. Jeżeli nie wykazywali zdolności do żadnego z tych rzemiosł, stawali się parobkami i w opinii Murzynów tracili prawo do jakiejkolwiek pozycji społecznej.

Życie Ellen nie było łatwe ani szczęśliwe, ale nie spodziewała się wcale łatwego życia, szczęście zaś nie było udziałem kobiety. Żyła w świecie mężczyzn i pogodziła się z tym. Mężczyzna był właścicielem majątku, kobieta zaledwie rządziła nim. Mężczyzna zyskiwał pochwały za dobre rządy, a kobieta chwaliła jego mądrość. Mężczyzna ryczał jak byk, kiedy drzazga weszła mu w palec, a kobieta nie śmiała jęczeć przy porodzie, aby mu nie zakłócać spokoju. Mężczyźni byli plugawi w języku i często pijani, kobiety udawały, że nie słyszą ordynarnych słów, pijanych zaś bez słowa układały do snu. Mężczyźni byli brutalni i szczerzy, kobiety zawsze łagodne, wdzięczne i wyrozumiałe.

Ellen wychowana została w tradycji wielkich dam, które nauczyły ją, jak dźwigać brzemię kobiece nie tracąc wdzięku, życzyła więc sobie, aby jej trzy córki także się stały wielkimi damami. Z młodszych córek miała pociechę, bo Zuela tak się starała wszystkim podobać, że z uwagą i posłuszeństwem chłonęła nauki matki, Karina zaś była nieśmiała i łatwa do prowadzenia. Scarlett jednak, nieodrodna córka Geralda, z trudem dawała się urobić na damę.

Ku oburzeniu Mammy najulubieńszymi towarzyszami jej zabaw nie były skromne siostry ani dobrze ułożone panny Wilkes, ale dzieci murzyńskie z plantacji i chłopcy z sąsiedztwa. Właziła też na drzewa i rzucała kamieniami nie gorzej od każdego z nich. Mammy była bardzo strapiona, że takie upodobania przejawia córka Ellen i często napominała ją, aby „zachowywała się jak mała dama”. Ellen jednak miała bardzo pobłażliwy i dalekowzroczny pogląd na tę sprawę. Wiedziała, że towarzysze dziecinnych zabaw wyrastają z czasem na wielbicieli i że pierwszym obowiązkiem dziewczyny jest małżeństwo. Mówiła sobie, że Scarlett jest po prostu bardzo żywa i że zawsze będzie dość czasu, aby nauczyć ją sztuki podobania się mężczyznom.

W tym celu Mammy i Ellen połączyły swoje wysiłki. W miarę jak Scarlett wyrastała, stawała się pod tym względem bardzo pojętną uczennicą, jakkolwiek niczego innego uczyć się nie chciała. Mimo procesji szybko zmieniających się guwernantek i dwóch lat spędzonych na pensji w Fayetteville, wykształcenie Scarlett posiadało luki, żadna natomiast panienka w okolicy nie umiała tańczyć piękniej niż ona. Wiedziała, jak się uśmiechać, aby na twarzy tworzyły się dołeczki, jak się poruszać, aby szeroka krynolina chwiała się zalotnie, jak patrzeć w oczy mężczyźnie, a potem spuszczać wzrok i tak trzepotać powiekami, aby wydawało się, że drży z niepokoju. Przede wszystkim zaś nauczyła się, jak przed mężczyznami ukrywać żywą inteligencję pod maską słodkiej i łagodnej minki dziecka.

Ellen łagodnymi napomnieniami i Mammy przy pomocy ciągłych nagan starały się wpoić Scarlett cnoty, które by z niej uczyniły materiał na doskonałą żonę.

— Musisz być bardziej łagodna, kochanie, bardziej opanowana — uczyła córkę Ellen. — Nie powinnaś przerywać, kiedy panowie coś do ciebie mówią, nawet jeżeli uważasz, że o danej sprawie wiesz więcej od nich. Panowie nie lubią roztropnych panienek.

— Młode panny, które marszczą czoło, nadymają usta i mówią: „To chcę” i „Tego nie chcę”, nigdy nie dostają mężów — przepowiadała Mammy posępnie. — Młode panienki powinny spuszczać oczy i mówić: „Tak, proszę pana, chętnie” i „Ma pan świętą rację”.

Wspólnymi siłami uczyły ją wszystkiego, co dama powinna umieć, ale Scarlett nauczyła się tylko zewnętrznych znamion dobrego wychowania. Wewnętrznej dystynkcji, z której te znamiona powinny wypływać, nie nauczyła się nigdy i nie wiedziała po co by się jej miała uczyć. Pozory zupełnie wystarczały, by zyskiwały jej powodzenie, a o to jej wyłącznie chodziło. Gerald chełpił się, że Scarlett jest najpiękniejszą dziewczyną w pięciu powiatach, i miał trochę racji, bo oświadczali się jej wszyscy młodzi ludzie z sąsiedztwa i wielu nawet z miejsc tak odległych jak Atlanta czy Savannah.

Mając lat szesnaście wyglądała dzięki naukom Mammy i Ellen na osóbkę słodką, czarującą i płochą, była zaś w rzeczywistości uparta, próżna i samowolna. Miała popędliwość i egoizm swego irlandzkiego ojca, przykryte cieniutką warstwą cierpliwości i łagodności odziedziczonej po matce. Ellen nigdy nie zdawała sobie sprawy z tego, że te cechy córki są tylko nabyte, bo Scarlett zawsze starała się pokazać matce z najlepszej strony, ukrywając swoje eskapady, hamując gniew i będąc w stosunku do niej możliwie uległą, ponieważ Ellen potrafiła ją doprowadzić do łez jednym pełnym wyrzutu spojrzeniem.

Mammy jednak nie miała co do Scarlett złudzeń i dokładnie widziała rysy na tej zewnętrznej warstwie poloru. Spojrzenie jej przenikało głębiej od oczu Ellen i Scarlett nie mogła się nigdy poszczycić, że na długo wprowadziła nianię w błąd.

Nie znaczyło to wcale, aby kochające mentorki biadały nad żywością, wesołością i wdziękiem Scarlett. Były to cechy, z których kobiety Południa były dumne. Lękiem napawała je tylko zapalczywość jej i samowolność, odziedziczone po Geraldzie, i chwilami bały się, że nie zdołają stuszować tych szkodliwych właściwości do czasu zrobienia przez Scarlett odpowiedniej partii. Scarlett zaś chciała wyjść za mąż — za Ashleya — i godziła się udawać potulną, zimną i głupią, jeżeli to były zalety przyciągające mężczyzn. Dlaczego mężczyźni te rzeczy lubili, nie umiała sobie wytłumaczyć. Wiedziała tylko, że metoda jest dobra, bo odnosi skutek. Nie starała się nigdy dociec przyczyny tego stanu rzeczy, bo nic nie wiedziała o wewnętrznym mechanizmie ludzkiego umysłu, nawet swego własnego. Wiedziała tylko, że jeżeli zrobi czy powie to a to, mężczyźni niechybnie zareagują tak a tak. Było to proste jak matematyczna formułka i równie dla niej łatwe — bo matematyka była jedynym przedmiotem, w którym Scarlett celowała w szkole.

Jeżeli wiedziała mało o umysłach mężczyzn, jeszcze mniej wiedziała o kobietach, ponieważ kobiety ją nie obchodziły. Nigdy nie miała przyjaciółki i nie czuła jej braku. Wszystkie kobiety, nie wyłączając jej dwóch sióstr, były jej naturalnymi rywalkami w pogoni za tą samą zdobyczą — mężczyzną. Wszystkie kobiety z wyjątkiem jednej — matki. Ellen O’Hara była inna i Scarlett uważała ją za istotę świętą i różną od reszty ludzkości. Kiedy Scarlett była dzieckiem, obraz matki mieszała z obrazem Najświętszej Panny, teraz zaś, kiedy była starsza, nie starała się wcale myśleć inaczej. Ellen była dla niej symbolem tego najwyższego bezpieczeństwa, które znajduje się tylko w niebie czy na łonie matki. Wiedziała, że matka jest uosobieniem sprawiedliwości, prawdy, czułości i głębokiej mądrości, jednym słowem — wielką damą.

Scarlett bardzo pragnęła być podobna do matki. Jedynym szkopułem było to, że kobieta sprawiedliwa, prawdziwa, czuła i poświęcająca się traciła wiele przyjemności w życiu, na pewno zaś — wielu wielbicieli. Życie zaś jest zbyt krótkie, aby można sobie pozwolić na stratę rzeczy tak przyjemnych. Kiedyś, już jako żona Ashleya i starsza pani, kiedy będzie miała na to czas, Scarlett zamierzała stać się podobną do Ellen. Do tego czasu jednak...

## ROZDZIAŁ IV

Tego wieczora przy kolacji Scarlett machinalnie wykonywała funkcje związane z prezydowaniem w zastępstwie matki przy stole, chociaż była wzburzona z powodu strasznej wiadomości o Ashleyu i Melanii. Rozpaczliwie pragnęła powrotu matki od Slatterych, czuła się bez niej zgubiona i samotna. Jakim prawem Slattery’owie z powodu swoich wiecznych chorób zabierali Ellen z domu właśnie w chwili, gdy ona, Scarlett, potrzebowała jej tak bardzo?

Podczas nie kończącego się posiłku podniesiony głos Geralda dzwonił jej w uszach tak dotkliwie, iż myślała, że tego dłużej nie zniesie. Zupełnie zapomniał o przedwieczornej rozmowie ze Scarlett i monologował teraz na temat ostatnich wiadomości z Fortu Sumtera, podkreślając niektóre zdania uderzeniem pięścią w stół i wymachiwaniem ramion. Gerald zwykle sam podtrzymywał rozmowę podczas posiłków i Scarlett, zazwyczaj pochłonięta własnymi myślami, nie słyszała go prawie; tego jednak wieczora nie mogła wyłączyć jego głosu, mimo że wytężała słuch, czy nie usłyszy stukotu kół, zwiastującego powrót Ellen.

Rozumie się, że nie miała zamiaru powiedzieć matce o tym, co tak ciężko przygniotło jej serce, bo Ellen byłaby zgorszona i zmartwiona, że jej rodzona córka kocha człowieka zaręczonego z inną. Ale pochłonięta pierwszą tragedią, jaką przeżywała, tęskniła do samej obecności matki. Czuła się zawsze bezpieczniej, gdy Ellen była przy niej, bo nie było takiej troski, której Ellen nie potrafiłaby zaradzić samym faktem swojego istnienia.

Poderwała się nagle z krzesła słysząc skrzyp kół na podjeździe i znowu usiadła, bo potoczyły się dalej dokoła domu i w stronę podwórza. Nie była to Ellen, bo ona byłaby wysiadła przed frontowym wejściem. Po chwili w ciemności podwórka rozległ się podniecony gwar murzyńskich głosów i donośny murzyński śmiech. Wyglądając przez okno Scarlett spostrzegła, że Pork, który właśnie przed chwilą wyszedł z jadalni, trzymał wysoko smolną głownię, podczas gdy jakieś postacie wysiadały z wozu. Śmiechy i rozmowy brzmiały to głośno, to znowu cichły w ciemności nocnej — przyjemne, swojskie, beztroskie dźwięki, gardłowe i ostre. Potem stopy zaczłapały na schodach i po korytarzu prowadzącym do głównego skrzydła domu i zatrzymały się w hallu przed jadalnią. Szepty ustały na chwilę i do pokoju wszedł Pork, niezwykle podniecony, przewracając oczyma i świecąc białością zębów.

— Proszę pana — oświadczył oddychając szybko, a duma młodego małżonka malowała się na jego błyszczącej twarzy — przyjechała nowa kobieta.

— Nowa kobieta? Nie kupiłem żadnej kobiety — rzekł Gerald udając, że marszczy się groźnie.

— Ale tak, proszę pana, kupił pan! Tak! tak! I właśnie ona tu czeka, bo chce z panem pomówić — odparł Pork chichocząc i zacierając ręce ze wzruszenia.

— No dobrze, przyprowadź tu ją — rzekł Gerald, a Pork odwracając się przywołał z hallu żonę, świeżo przybyłą z plantacji Wilkesów, by stać się teraz mieszkanką Tary. Weszła do pokoju, za nią zaś, prawie zasłonięta obszerną perkalową spódnicą, wsunęła się jej dwunastoletnia córka plącząc się między nogami matki.

Dilcey była wysoka i trzymała się prosto. Mogła mieć lat zarówno trzydzieści, jak sześćdziesiąt. Trudno było odczytać jej wiek z nieruchomych brązowych rysów. Indiańskie pochodzenie wyraźnie malowało się na jej twarzy, zacierając nawet znamiona murzyńskie. Czerwonawy kolor skóry, wąskie wysokie czoło, wystające kości policzkowe, orli nos spłaszczony na końcu i grube murzyńskie wargi — wszystko wskazywało na pomieszanie dwóch ras. Była bardzo spokojna i poruszała się z godnością przewyższającą nawet godność Mammy, bo niania swoją nabyła, Dilcey zaś miała ją we krwi.

Kiedy przemówiła, okazało się, że mówi wyraźniej niż większość Murzynów i staranniej dobiera słowa.

— Dobry wieczór, panienki. Panie Geraldzie, przepraszam, że przeszkadzam, ale przyszłam, aby podziękować panu raz jeszcze za kupienie mnie i mojej małej. Wielu panów kupiłoby może mnie, ale żaden nie kupiłby mojej Prissy po to tylko, żeby mi zaoszczędzić zmartwienia, więc dziękuję panu. Będę się starała jak najlepiej, aby dowieść, że pamiętam o tym.

— Hum, hrr — chrząknął Gerald, zakłopotany, że tak otwarcie mówi się o jego dobroci.

Dilcey zwróciła się do Scarlett i przelotny uśmiech podniósł kąciki jej oczu.

— Miss Scarlett, Pork opowiedział mi, jak to panienka prosiła pana Geralda, aby mnie kupił. Wobec tego daję panience moją Prissy na pokojówkę.

Sięgnęła za siebie i popchnęła małą dziewczynkę do przodu. Prissy była brązowym małym stworzeniem o chudych, ptasich nóżkach i mnóstwie starannie zaplecionych grubymi nićmi warkoczyków, sterczących dokoła jej głowy. Miała przenikliwe, sprytne, rozbiegane oczy i wyraz udanej głupoty na twarzy.

— Dziękuję ci, Dilcey — odrzekła Scarlett — ale obawiam się, że niania sprzeciwi się temu. Niania jest moją pokojową od chwili, gdy się urodziłam.

— Mammy starzeje się — rzekła Dilcey ze spokojem, który by z pewnością rozwścieczył nianię. — Jest doskonałą piastunką, ale panienka już teraz dorosła i potrzebuje zręcznej pokojówki, a moja Prissy służyła pannie Indii przez cały ostatni rok. Umie szyć i czesać włosy jak dorosła osoba.

Szturchnięta przez matkę, Prissy dygnęła niespodzianie i uśmiechnęła się do Scarlett, która także nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

„Sprytna mała smarkula” — pomyślała, a głośno rzekła: — Dziękuję ci, Dilcey, pomyślimy o tym, kiedy moja matka wróci.

— Dziękuję panience. Życzę państwu dobrej nocy — rzekła Dilcey i odwróciwszy się wyszła z pokoju, a za nią podniecony Pork.

Kiedy uprzątnięto po kolacji, Gerald nadal coś mówił, z niewielkim jednak pożytkiem dla siebie i jeszcze mniejszym dla swoich słuchaczek. Grzmiące jego przepowiednie o grożącej wojnie i retoryczne pytania, czy Południe długo jeszcze będzie znosiło zniewagi Jankesów, wywoływały tylko znudzone: „Tak, papo” i „Nie, papo”. Karina, siedząca na taborecie pod wielką lampą, zagłębiona była w romansie o dziewczynie, która przywdziała habit po śmierci ukochanego, i roniąc łzy wzruszenia wyobrażała sobie siebie w białym kwefie. Zuela, haftująca coś do swojej wyprawy, zastanawiała się, czy uda jej się odwieść Stuarta Tarletona od asystowania Scarlett na jutrzejszej zabawie i olśnić go łagodnością i uległością, którymi się w przeciwieństwie do Scarlett mogła szczycić. Scarlett zaś nie przestawała myśleć o Ashleyu.

Jak papa mógł bez przerwy gadać o Forcie Sumtera i Jankesach, kiedy wiedział, że serce jej pęka? Wzorem osób bardzo młodych nie mogła zrozumieć, że można tak egoistycznie nie zwracać uwagi na jej ból i że świat toczy się dalej, mimo jej cierpienia. W myślach jej panował taki chaos jak po przejściu cyklonu i dziwnym się jej wydawało, że jadalnia, w której siedzi, jest tak spokojna, taka sama jak zwykle. Ciężki stół mahoniowy i kredensy, masywne srebro, kolorowe dywaniki na wywoskowanej posadzce wszystko znajdowało się na zwykłych miejscach, jak gdyby nic się zupełnie nie zdarzyło. Jadalnia była miłym i wygodnym pokojem i Scarlett zwykle bardzo lubiła spokojne godziny, które z rodziną spędzała tam po kolacji, dziś jednak nastrój ten był jej nienawistny i gdyby nie obawiała się głośnych pytań ojca, wymknęłaby się przez ciemny hali na dół, do małego gabinetu Ellen, i wypłakałaby swój smutek na starej kanapie.

Gabinet Ellen był pokojem, który Scarlett lubiła najbardziej. Ellen zasiadała tam co rano przed wysokim sekretarzykiem, prowadząc książki plantacji i wysłuchując sprawozdań rządcy Jonasza Wilkersona. Tam też zbierała się czasem rodzina. Gerald siadywał w starym fotelu na biegunach, dziewczynki na zniszczonych poduszkach kanapy, zbyt starej, aby stać w pokojach frontowych, Ellen zaś skrzypiała piórem po księgach. Scarlett chciałaby teraz być w tym pokoiku, oprzeć głowę na łonie matki i płakać w spokoju. Dlaczego mama nie wraca tak długo?

Naraz koła zaskrzypiały ostro na wyżwirowanym podjeździe i cichy głos Ellen, mówiącej coś do stangreta, dotarł do pokoju. Wszyscy podnieśli z ciekawością głowy, kiedy szybkim krokiem weszła do pokoju, zmęczona i trochę smutna. Pokój napełnił się od razu wonią werbeny, która zawsze ulatywała z fałd sukien Ellen — wonią, którą Scarlett wiązała nierozłącznie z matką.

Mammy niosąc skórzaną torbę szła kilka kroków za Ellen; miała wydętą dolną wargę i zmarszczone czoło. Mruczała coś ponuro do siebie, kręcąc się po pokoju i starając się swoje uwagi wypowiadać tak cicho, aby nikt ich nie mógł zrozumieć, dość głośno jednak, aby zauważono jej niezadowolenie.

— Przepraszam, że się tak spóźniłam — rzekła Ellen zrzucając kwiaciasty szal z ramion i dając go Scarlett, którą przechodząc pogłaskała po policzku.

Kiedy Ellen weszła, twarz Geralda rozjaśniła się od razu.

— Czy ten dzieciak już wreszcie ochrzczony? — zapytał.

— Tak, ale biedactwo nie żyje — odparła Elen. — Obawiałam się, że Emma także umrze, teraz jednak myślę, że uda się ją uratować.

Twarze dziewczynek zwróciły się ku niej, przerażone i zdumione, Gerald zaś potrząsnął tylko głową.

— Lepiej może, że ten dzieciak umarł, biedne stworzenie bez oj...

— Późno już. Zmówimy teraz modlitwę — przerwała Ellen tak spokojnie, że gdyby Scarlett dobrze nie znała swojej matki, nie zauważyłaby wcale, iż zmienia temat.

Warto by było dowiedzieć się, kto jest ojcem dziecka Emmy Slattery. Scarlett wiedziała jednak, że prawdy o tym nigdy się nie dowie od matki. Posądzała o to Jonasza Wilkersona, bo często widywała go spacerującego z Emmą o zmierzchu po szosie. Jonasz był Jankesem i kawalerem, okoliczność jednak, że był rządcą plantacji, wykluczała go zupełnie z życia towarzyskiego powiatu. Nie mógł wejść w żadną z szanujących się rodzin, z nikim nawet nie mógł obcować, z wyjątkiem Slatterych i innej hołoty. Ponieważ wszakże pod względem wykształcenia stał o niebo wyżej od Slatterych, nic dziwnego, że nie chciał się żenić z Emmą, mimo że często się z nią przechadzał o zmierzchu.

Scarlett westchnęła, bo bardzo ją męczyła ciekawość. Na oczach jej matki działy się zawsze rzeczy, o których niczego nie można się było dowiedzieć. Ellen starała się ignorować sprawy sprzeczne z jej pojęciem o przyzwoitości i bez wielkiego powodzenia uczyła Scarlett tego samego.

Teraz zbliżyła się do kominka, aby wyjąć z małej szkatułki różaniec, który zawsze tam spoczywał, kiedy Mammy odezwała się bardzo stanowczo:

— Miss Ellen, musi pani zjeść kolację, zanim odmówi modlitwy.

— Dziękuję ci, nianiu, ale nie jestem głodna.

— Ja sama zrobię coś do jedzenia i pani zje — rzekła Mammy z oburzeniem, kierując się w stronę kuchni. — Pork! — zawołała. — Powiedz kucharce, aby rozpaliła ogień. Miss Ellen wróciła.

W miarę jak schody trzęsły się pod jej krokami, monolog stawał się coraz wyraźniejszy, aż wreszcie do uszu siedzących w jadalni zaczęły dochodzić głośne słowa.

— Mówię ciągle, że nie warto nic robić dla „białej nędzy”. To najgorsi, najniewdzięczniejsi ludzie na świecie. A Miss Ellen nie powinna męczyć się dla ludzi, którzy mieliby własnych Murzynów do pomocy, gdyby byli coś warci. Ale ja mówię i mówię...

Głos jej przycichł, kiedy weszła w długi, tylko dachem pokryty korytarz wiodący do kuchni. Mammy miała własną metodą wypowiadania swoich poglądów na każdą sprawę. Wiedziała, że poniżej godności prawdziwych białych państwa jest zwracanie uwagi na to, co mówi Murzynka, kiedy mruczy do siebie. Wiedziała, iż muszą udawać, że nie słyszą, co ona mówi nawet jeżeli jest w sąsiednim pokoju i prawie krzyczy. Sposób ten chronił ją więc od nagany, a nie pozostawiał nikomu wątpliwości co do właściwego jej poglądu na każdą sprawę.

Pork wszedł do pokoju niosąc talerz, nakrycie i serwetkę. Za nim szedł Jack, mały dziesięcioletni Murzynek, jedną ręką zapinając pośpiesznie białą marynareczkę, a w drugiej niosąc wachlarz do opędzania much, zrobiony z pokrajanej w cienkie paski, i przywiązanej do długiej trzciny gazety. Ellen miała piękny wachlarz z pawich piór, ale używano go tylko na specjalne okazje, i to po ciężkiej walce, ponieważ Pork, kucharka i Mammy twierdzili uparcie, że pawie pióra przynoszą nieszczęście.

Ellen usiadła na krześle, które Gerald podsunął: cztery głosy przemówiły do niej jednocześnie.

— Mamo, odpruła mi się koronka u nowej sukienki balowej, którą chcę zabrać na jutro wieczór do Dwunastu Dębów. Czy możesz mi ją przyszyć?

— Mamo, suknia Scarlett jest ładniejsza od mojej, a poza tym ja okropnie wyglądam w różowym. Czyby ona nie mogła włożyć mojej różowej i oddać mi swoją zieloną? Jej w różowym lepiej niż mnie.

— Mamo, czy wolno mi będzie być jutro na balu? Mam już skończonych trzynaście lat...

— Pani O’Hara, czybyś uwierzyła? Cicho, dziewczynki, bo wam łapy poprzetrącam! Cade Calvert był dziś rano w Atlancie i mówi... czy uspokoicie się wreszcie i dacie mi dojść do słowa? i mówi, że tam straszne podniecenie, że mówią tylko o wojnie, milicja się ćwiczy, tworzą wojsko. I mówią, iż z Charlestonu przyszła wiadomość, że nie chcą tam dłużej znosić jankeskich zniewag.

Zmęczone usta Ellen rozciągały się w uśmiechu, kiedy zwróciła się przede wszystkim do męża, jak żonie przystało.

— Jeżeli rozsądni ludzie w Charlestonie tak uważają, to przypuszczam, że i my wkrótce zaczniemy tak myśleć — powiedziała, ponieważ miała głęboko zakorzenione przekonanie, że poza Savannah większość przyzwoitych i rozsądnych ludzi kontynentu mieszka w tym porcie — przekonanie to zresztą dzielili z nią wszyscy mieszkańcy Charlestonu.

— Nie, Karinko, na przyszły rok, dziecko. Wtedy będzie ci już wolno bywać na balach, nosić dorosłe suknie i świetnie się bawić. Nie rób trąbki, kochanie. Będziesz na barbakoi i możesz zostać na kolacji, ale na bale zaczniesz chodzić dopiero, jak skończysz czternaście lat.

— Daj mi swoją suknię, Scarlett. Przyszyję ci koronkę po modlitwie.

— Zuelo, nie podoba mi się ten ton, kochanie. Suknia twoja jest bardzo ładna i bardzo odpowiednia do twojej cery. Dam ci do niej moje granaty na szyję.

Zuela skrzywiła się za plecami matki tryumfalnie do Scarlett, która miała szczery zamiar naszyjnik z granatami wyprosić dla siebie. Scarlett pokazała jej język. Zuela była wstrętna z tym swoim nudzeniem i egoizmem i gdyby nie interwencja Ellen, Scarlett często by jej nacierała uszu.

— A teraz, panie O’Hara, proszę mi opowiedzieć, co pan Calvert jeszcze mówił o Charlestonie — rzekła Ellen.

Scarlett dobrze wiedziała, że matka wcale nie interesuje się ani poetyką, że uważa je za męskie sprawy, którymi żadna prawdziwa dama nie powinna się zajmować. Gerald jednak lubił dzielić się z nią wiadomościami, Ellen zaś przede wszystkim myślała o przyjemnościach męża.

Podczas gdy O’Hara rozwodził się dalej o tym, co wiedział, Mammy postawiła przed swoją panią talerze, złociste sucharki, pierś pieczonego kurczęcia i żółty, ociekający masłem yam. Uszczypnęła małego Jacka, który zabrał się do powolnego poruszania papierowym wachlarzem nad głową Ellen. Mammy stanęła koło stołu śledząc każdy kęs, który Ellen podnosiła z talerza do ust, jak gdyby zamierzała wepchnąć jej jedzenie do gardła, gdyby zauważyła, że Ellen ustaje. Ellen jadła szybko, ale Scarlett widziała, że jest zbyt zmęczona, aby zwracać uwagę na to, co je. Tylko nieubłagany wyraz twarzy niani zmuszał ją do jedzenia.

Kiedy talerz został wreszcie opróżniony, a Gerald był dopiero w połowie opowiadania o złodziejstwie Jankesów, którzy chcieli wyzwolić Murzynów, ale ani grosza nie dawali za ich wolność, Ellen wstała.

— Czy to już czas na modlitwę? — zapytał niechętnie.

— Tak. Już bardzo późno. O, właśnie bije dziesiąta — powiedziała, gdy zaczął dzwonić zegar. — Karina powinna już od dawna spać. Proszę dać lampę, Pork, a ty, nianiu, daj mi książkę do nabożeństwa.

Poganiany ochrypłym szeptem Mammy, Jack postawił wachlarz w kącie i sprzątnął talerze, podczas gdy niania przewracała w szufladzie kredensu szukając zniszczonego modlitewnika Ellen. Pork, wspiąwszy się na palce sięgnął kółka w łańcuchu i wolno ściągnął lampę, aż blat stołu rozjaśnił się, a sufit zatonął w mroku. Ellen zebrała spódnicę i uklękła na podłodze, kładąc otwarty modlitewnik na stole przed sobą i składając na nim ręce. Gerald ukląkł obok niej, Scarlett zaś i Zuela zajęły swoje zwykłe miejsca po przeciwnej stronie stołu, składając liczne i sute halki w poduszeczki pod kolanami, aby mniej je bolało klęczenie na twardej podłodze. Karina, dość mała na swój wiek, nie mogła klęczeć wygodnie przy stole, uklękła więc przed krzesłem, oparłszy łokcie na jego siedzeniu. Lubiła tę pozycję, bo kiedy zapadała w sen podczas modlitw, co zdarzało się często, poręcz krzesła zasłaniała ją przed okiem matki.

Służba domowa szurając zbierała się w hallu i klękała w drzwiach. Mammy, osuwając się na podłogę, głośno stęknęła, Pork klęczał wyprostowany sztywno, Róża i Tiria, pokojówki, wdzięcznie wyglądały w swoich barwnych perkalach, kucharka mizernie i żółto pod białym czepkiem. Jack zaś, ledwie żywy ze zmęczenia, ukląkł możliwie daleko od Mammy. Czarne oczy Murzynów jarzyły się oczekiwaniem, bo modlitwa z białym państwem należała do ważnych wydarzeń dnia. Stare i barwne zdania litanii, pełnej wschodnich metafor, niewiele dla nich znaczyły, ale przynosiły ukojenie ich sercom, kiwali się więc pobożnie, odpowiadając z przeciąganiem: „Panie, zmiłuj się nad nami”, „Chryste, zmiłuj się nad nami”.

Ellen przymknęła oczy i zaczęła się modlić, a głos jej wznosił się i opadał, rozkołysany i łagodny. A gdy dziękowała Bogu za zdrowie i pomyślność swego domu, rodziny swojej i Murzynów, głowy pochyliły się w kręgu żółtego światła.

Kiedy skończyła modlitwę za wszystkich zamieszkałych pod dachem Tary, za ojca swego, matkę i siostry, za troje zmarłych dzieci i „wszystkie biedne dusze w czyśćcu”, wzięła w palce różaniec z białych paciorków i zaczęła zdrowaśki. Niczym tchnienie łagodnego wiatru dochodziły ją odpowiedzi wszystkich obecnych — białych i czarnych.

— Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej.

Modlitwa sprawiła, że mimo tylu przygnębiających przeżyć ogarnęło Scarlett głębokie uczucie spokoju. Wiele rozczarowań dnia i obaw przed jutrem pierzchło, pojawiła się natomiast wyraźna nadzieja. Nie sprawiło tego zwrócenie serca ku Bogu — pobożność Scarlett była raczej powierzchowna. Pokrzepił ją widok pogodnej twarzy matki, zwróconej do tronu Bożego, do jego świętych i aniołów, w modlitwie o błogosławieństwo dla tych, których kochała. Scarlett była pewna, że kiedy Ellen zwracała się ku Bogu, Bóg słuchał.

Ellen skończyła modlitwy, ale Gerald, który nie mógł nigdy znaleźć różańca w porze modłów, zaczął liczyć zdrowaśki ukradkiem na palcach. Gdy zabrzmiał głos ojca, myśli Scarlett rozpierzchły się znowu mimo jej woli. Wiedziała, że powinna była wejrzeć w swoją duszę, Ellen pouczała ją, że pod koniec każdego dnia powinna robić rachunek sumienia, przyznawać się do licznych win i prosić Boga o przebaczenie i siłę do niepowtarzania ich więcej. Scarlett jednak zajęta była wyłącznie wglądaniem w swoje serce.

Opuściła głowę na splecione ręce, tak aby matka nie widziała jej twarzy, i myśli jej znowu powędrowały do Ashleya. Jakże on mógł zgodzić się na poślubienie Melanii, kiedy kochał ją, Scarlett? I kiedy wiedział, jak ona go kocha. Jakże mógł rozmyślnie łamać jej serce?

Aż nagle myśl nowa i świeża rozbłysła jak meteor w jej mózgu.

„Ależ Ashley wcale nie wie, że go kocham!” Omal nie wykrzyknęła na głos ze zdumienia. Wszystko w niej zamarło na długą, przejmującą chwilę, była jakby sparaliżowana, lecz po chwili odzyskała zdolność myślenia.

„Skąd miałby o tym wiedzieć? Zawsze zachowywałam się w stosunku do niego tak obojętnie, dystyngowanie i sztywno, że prawdopodobnie myśli, iż jest mi obojętny i że cenię go tylko jako przyjaciela. Tak, i dlatego pewnie nic mi dotąd nie powiedział o swoich uczuciach! Przypuszczam, że miłość jego jest beznadziejna. I dlatego tak na mnie patrzył...”

Szybko wróciła wspomnieniem do tych czasów, kiedy łapała go na przyglądaniu się jej w dziwny sposób, kiedy szare jego oczy, tak doskonale skrywające myśli, były szeroko rozwarte i obnażone i kiedy malował się w nich wyraz udręki i rozpaczy. „Jest zgnębiony, ponieważ myśli, że kocham Brenta, Stuarta lub Cade’a. I wydaje mu się, że skoro nie może mnie pojąć za żonę, lepiej, aby uległ woli rodziny i ożenił się z Melanią. Gdyby jednak wiedział, że ja go kocham...”

Z nastroju najgłębszej depresji Scarlett przeszła w nastrój podnieconej radości. To było powodem powściągliwości Ashleya i dziwności jego postępowania. Nie wiedział o niczym! Próżność przyszła z pomocą pragnieniu wiary w tę możliwość i przypuszczenie zamieniło się w pewność. Jeżeli Ashley dowie się, że Scarlett go kocha, pośpieszy do niej. Musi tylko...

„Och! — myślała ugniatając palcami pochylone czoło. — Jakaż ja byłam głupia, że nie pomyślałam o tym dotychczas! Muszę zastanowić się tylko, w jaki sposób mu to powiedzieć. Nie zaręczyłby się z Melanią, gdyby wiedział, że go kocham. Nie mógłby przecież!”

Naraz zdała sobie sprawę z tego, że Gerald skończył modlitwę, i że spoczywa na niej wzrok matki. Szybko zaczęła swoich dziesięć zdrowasiek, odliczając paciorki machinalnie, ale odmawiając modlitwę z tak głębokim wzruszeniem w głosie, że Mammy otwarła oczy i obrzuciła ją badawczym spojrzeniem. Kiedy skończyła, i Zuela, a potem Karina odmawiały swoje, głowa jej jeszcze była pełna tych nowych, podniecających myśli.

Nawet teraz nie jest jeszcze za późno! Jakże często zdarzały się w powiecie skandale, gdy narzeczona czy narzeczony uciekali od ołtarza z kimś trzecim. A zaręczyny Ashleya nie są jeszcze nawet ogłoszone! Tak, jest jeszcze bardzo dużo czasu!

Jeżeli Ashleya z Melanią nie łączy miłość, a tylko dawno złożone przyrzeczenie, to chyba łatwo mu przyjdzie złamać obietnicę i ożenić się z nią, Scarlett? Z pewnością zrobi to, kiedy się dowie, że ona go kocha! Musi więc teraz postarać się powiedzieć mu to w jakiś sposób. Sposób już się znajdzie! A wtedy...

Scarlett została nagle wyrwana ze swoich rozkosznych marzeń, bo zapomniała przyłączyć się do chóru odpowiedzi na modlitwy i matka patrzyła na nią z wyrzutem. Kiedy dopełniła obrządku, otworzyła na krótką chwilę oczy i rzuciła szybkie spojrzenie na pokój. Klęczące postacie, łagodne światło lampy, cienie rzucane przez kiwających się Murzynów, nawet znajome przedmioty, które wydawały się jej tak nienawistne przed godziną, w jednej chwili przybrały barwę jej własnych wzruszeń; pokój stał się znowu miły i przyjemny. Nigdy nie zapomni tej chwili ani tej sceny!

— Dziewico Przenajświętsza — zaintonowała matka. Zaczynała się litania do Matki Boskiej. Scarlett więc posłusznie odpowiadała: „Módl się za nami”, gdy Ellen ciepłym altem sławiła przymioty Matki Bożej.

Jak zwykle od dzieciństwa chwilę tę Scarlett poświęcała bardziej uwielbieniu dla Ellen niż dla Najświętszej Panienki. Mimo że było to może bluźnierstwem, Scarlett poprzez zamknięte oczy widziała zawsze twarz Ellen, a nie Błogosławionej Dziewicy, kiedy zaś powtarzano prastare zdania: „Stolico mądrości”, „Różo duchowna”, „Uzdrowienie chorych”, „Ucieczko grzesznych” — były to słowa piękne, ponieważ dotyczyły Ellen. Tego wieczora jednak, powodu zamętu w duszy, Scarlett w całym ceremoniale, w cicho mówionych słowach, w szepcie odpowiedzi odnajdywała piękno przewyższające wszystko, czego doświadczyła dotychczas. I serce jej zwróciło się ku Bogu w szczerej wdzięczności za to, że znalazła się ścieżka i dla jej stóp — wyprowadzająca ją z rozpaczy prosto w ramiona Ashleya.

Kiedy przebrzmiało ostatnie „Amen”, wszyscy wstali z pewnym trudem, a Mammy podźwignięta została na nogi wspólnym wysiłkiem Tiny i Róży. Pork wziął długi fidybus z kominka, zapalił go od płomienia lampy i poszedł do hallu. Naprzeciw kręconych schodów stał tam orzechowy kredens, zbyt wielki do jadalni, na nim zaś szereg lamp i świec w lichtarzach. Pork zapalił jedną lampę i trzy świece i z pełną pompy godnością pierwszego szambelana królewskiej sypialni, oświetlającego drogę parze królewskiej, poprowadził procesję na górę, trzymając światło wysoko nad głową. Ellen, wsparta o ramię Geralda, szła za nim, a potem dziewczynki, każda z własną świecą.

Scarlett weszła do swego pokoju, postawiła świecę na wysokiej komodzie i w ciemnej szafie poszukała sukni balowej, którą trzeba było naprawić. Zarzucając ją sobie na ramię, spokojnie przeszła przez korytarz. Drzwi pokoju rodziców były odemknięte; nim zdążyła zapukać, doszedł ją cichy, ale stanowczy głos Ellen.

— Panie O’Hara, powinien pan zwolnić ze służby Jonasza Wilkersona.

Gerald wybuchnął: — No i gdzie ja znajdę drugiego rządcę, który mnie nie będzie okradał?

— A jednak musi zostać zwolniony, natychmiast, jutro rano. Duży Sam jest dobrym nadzorcą i on go zastąpi do czasu przyjęcia innego rządcy.

— A więc to tak! — powiedział Gerald. — Tak, teraz rozumiem! Więc dobry Jonasz zrobił Emmie...

— Musi być zwolniony.

„A więc tak, więc on jest ojcem dziecka Emmy Slattery — pomyślała Scarlett. — Ach, ale czegóż można się spodziewać po Jankesie i takiej dziewczynie?”

Potem, po krótkiej pauzie, podczas której głos Geralda ucichł, zapukała do drzwi i dała matce sukienkę.

Kiedy Scarlett rozebrała się i zgasiła świecę, plan jej działania na dzień następny opracowany był we wszystkich szczegółach. Był to plan prosty, bo z odziedziczoną po Geraldzie jednotorowością myśli cele swoje widziała przed sobą jasno i szła do nich po najprostszej drodze.

Przede wszystkim będzie „dumna”, jak zalecił jej Gerald. Od chwili przybycia do Dwunastu Dębów będzie możliwie najweselsza i w najlepszym humorze. Nikt nawet nie domyśli się, że była choć na chwilę przejęta sprawą Ashleya i Melanii. I będzie flirtowała z wszystkimi panami. To może okrutne w stosunku do Ashleya, tym bardziej będzie jej jednak pragnął. Nie przepuści żadnemu mężczyźnie w odpowiednim do małżeństwa wieku, począwszy od starszawego, rudego Franka Kennedy, który zalecał się do Zueli, kończąc na nieśmiałym, spokojnym, rumieniącym się Karolu Hamiltonie, bracie Melanii. Mężczyźni będą roili się koło niej jak pszczoły koło ula i Ashley z pewnością odejdzie od boku Melanii i dołączy się do tej grupy wielbicieli. Potem w jakiś sposób Scarlett postara się o kilka minut rozmowy z nim z dala od tłumu gości. Miała nadzieję, że wszystko się tak odbędzie, jak obmyśliła, bo inaczej byłoby o wiele trudniej. Ale jeżeli Ashley nie zrobi pierwszego kroku, zrobi go ona.

Kiedy wreszcie znajdą się na osobności, on będzie miał świeżo przed oczyma obraz cisnących się ku niej innych mężczyzn, będzie pod wrażeniem, że każdy z nich stara się o nią, i w oczach jego znowu pojawi się owo spojrzenie pełne smutku i rozpaczy. Ona wtedy pocieszy go od razu, mówiąc, że mimo swego powodzenia przenosi go nad wszystkich mężczyzn na świecie. I kiedy przyzna się do tego skromnie i słodko, będzie wyglądała bardzo obiecująco. Rozumie się, że zrobi to wszystko w sposób jak najbardziej dystyngowany. Nawet przez myśl jej nie przeszło, iż mogłaby mu otwarcie powiedzieć, że go kocha — tego mówić nie wypada. Ale sposób, w jaki mu to miała powiedzieć, był szczegółem, nad którym nie zastanawiała się wcale. Znała już takie sytuacje — po prostu więc przypomni sobie jedną z nich.

Leżąc w łóżku, w mdłym świetle księżyca, wyobrażała sobie całą tę scenę. Widziała zdziwienie i radość na twarzy Ashleya, kiedy dowie się, że Scarlett jego tylko kocha, i słyszała słowa, jakie wypowie, prosząc ją, aby zechciała zostać jego żoną.

Oczywiście, iż wtedy będzie musiała powiedzieć, że nie może myśleć o poślubieniu mężczyzny, który jest zaręczony z inną, on jednak będzie nalegał, więc ona w końcu da się przekonać.

Potem postanowią uciec jeszcze tegoż dnia do Jonesboro i... Ach może jutro o tej porze Scarlett będzie już panią Wilkes!

Usiadła w łóżku obejmując kolana i przez długą i rozkoszna chwilę czulą się naprawdę panią Wilkes, młodą żoną Ashleya! Potem przejął ją lekki dreszcz. A jeśli nie wszystko uda się tak jak tego chce? Jeżeli Ashley nie zaproponuje jej wcale, aby z nim uciekła? Tę myśl odsunęła od siebie stanowczo.

„Nie chcę o tym teraz myśleć — postanowiła. — Jeżeli zacznę o tym myśleć teraz, będę się musiała martwić. Nie ma powodu, aby sprawy nie miały się ułożyć tak, jak tego chcę — jeżeli Ashley mnie kocha. Tego zaś jestem pewna!”

Podniosła podbródek i jasne jej oczy o ciemnych rzęsach zalśniły w świetle księżyca. Ellen nie powiedziała jej dotąd o tym, że pragnienie i osiągnięcie celu to dwie odmienne sprawy, życie nie nauczyło jej jeszcze, że nie zawsze ten wygrywa wyścig, kto biegnie najprędzej. Pełna odwagi leżała w srebrzystym cieniu i snuła plany takie, jakie zwykle snują szesnastolatki, których życie było tak przyjemne, że klęska wydaje się niemożliwością, ładna zaś suknia i czysta cera — wystarczającą bronią do walki z przeznaczeniem.

## ROZDZIAŁ V

Była godzina dziesiąta rano. Dzień kwietniowy był ciepły i złote światło słoneczne przenikało do pokoju Scarlett poprzez niebieskie firanki szerokiego okna. Kremowe ściany żarzyły się blaskiem, meble mahoniowe świeciły czerwienią wina, podłoga lśniła, jak gdyby była ze szkła, a dywaniki tworzyły na niej różnokolorowe plamy.

W powietrzu czuć już było zbliżanie się lata — georgijskiego, upalnego lata. Balsamiczne, łagodne ciepło przenikało do pokoju, ciężkie od zapachów kwiecia, świeżej zieleni drzew i wilgotnej, niedawno zoranej gleby. Z okna swego Scarlett mogła widzieć dwa rzędy żonkili tłoczących się wzdłuż wirowanego podjazdu i złote masy żółtego jaśminu, które chyliły ku ziemi ukwiecone gałązki. Drozdy i sójki, zajęte walką o posiadanie drzewka magnoliowego pod jej oknami, przekrzykiwały się wzajemnie — sójki ostro, kłótliwie, drozdy płaczliwie i cicho.

Takie urocze poranki zwykle wywabiały Scarlett do okna; oparta łokciami o szeroki parapet upajała się zapachami i dźwiękami Tary. Ale tego dnia nie zwróciła uwagi ani na słońce, ani na lazurowe niebo, tylko pomyślała szybko: „Bogu dzięki, że nie pada”. Na łóżku leżała starannie złożona w dużym tekturowym pudełku zielona jedwabna suknia balowa, rozszywana koronką w kolorze *ecru*. Zapakowana już była na drogę do Dwunastu Dębów, gdzie Scarlett miała ją włożyć na bal. Scarlett jednak wzruszyła tylko ramionami na jej widok. Jeżeli plan jej powiezie się, nie będzie miała okazji nosić tej sukni. Na długo przed balem będzie z Ashleyem w drodze do Jonesboro. Kłopotliwym pytaniem było teraz — jaką suknię ma włożyć na barbakoę?

Która suknia najlepiej podkreśli jej wdzięki, w której spodoba się Ashleyowi najbardziej? I już od ósmej rano mierzyła i odrzucała suknie, teraz zaś stała zirytowana i pełna wątpliwości w koronkowych pantalonach, webowym staniczku i trzech webowych, sutych, przybranych koronką halkach. Rozrzucone części garderoby leżały dokoła na podłodze, łóżku, krzesłach, w barwnych stosach zmiętej materii i wstążek.

Różowa organdynowa z długą, ciemniejszą trochę szarfą była niezła, ale Scarlett nosiła ją ubiegłego lata podczas wizyty Melanii w Dwunastu Dębach i bała się, że Mela ją sobie przypomni. Czarna kreponowa, o bufiastych rękawach i koronkowym kołnierzu, wspaniale podkreślała białość jej skóry, ale postarzała ją zbytnio. Scarlett z niepokojem patrzyła w lustro na swoją twarz szesnastolatki, jak gdyby obawiała się, że dostrzeże na niej zmarszczki i obwisłość podbródka. Nie powinna wyglądać staro i poważnie, ponieważ Melania jest słodka i dziewczęca. Niebieska muślinowa w pasy miała bardzo piękne wstawki z koronki i tiulu wokół brzegu, ale nie było jej w niej specjalnie do twarzy. Odpowiedniejsza byłaby raczej dla Kariny z tym jej delikatnym profilem i zamglonym spojrzeniem. Scarlett jednak wyglądała w niej jak pensjonarka. Nie wolno jej było tak wyglądać, ponieważ Melania była bardzo opanowana. Zielona z kraciastej tafty, o niezliczonych, oblamowanych aksamitkami falbankach, była bardzo twarzowa — Scarlett lubiła ją najwięcej, bo pogłębiała znakomicie zieloność jej oczu. Na przodzie stanika miała jednak najwyraźniej tłustą plamę. Można by było przypiąć w tym miejscu broszkę, cóż jednak będzie, jeżeli bystry wzrok Melanii wyśledzi tę plamę? Pozostawały jeszcze różnokolorowe sukienki kretonowe, które nie były dość odświętne na tę okazję, suknie balowe i zielona muślinowa w deseń, którą nosiła wczoraj. Była to jednak suknia popołudniowa. Nie była odpowiednia na rano, gdyż miała króciutkie rękawki i głębokie wycięcie. Nie było jednak wyboru. Ostatecznie nie miała powodu zakrywać swojej szyi, ramion i piersi, choćby nawet absolutnie nie wypadało pokazywać ich przed południem.

Kiedy stała tak przed lustrem i wykręcała się, aby móc obejrzeć się z profilu, pomyślała, że figury swojej może się zupełnie nie wstydzić. Szyję miała krótką, ale okrągłą, ramiona pełne i poważne. Biust jej, wysoko podniesiony gorsetem, był bardzo ładny. Nigdy nie musiała wszywać jedwabnych poduszeczek w podszewkę stanika, jak to robiła większość szesnastoletnich dziewczynek dla uzyskania odpowiedniej figury i talii. Była bardzo zadowolona że odziedziczyła szczupłe białe ręce i małe stopy Ellen, i chociaż wolałaby może mieć do tego także i wzrost Ellen, była ze swego zupełnie zadowolona. „Jaka szkoda, że nie można pokazywać nóg” — myślała podnosząc halki i z żalem przyglądając się ich ładnej linii. Miała bardzo ładne nogi. Przyznawały jej to nawet dziewczęta w szkole w Fayetteville. Jeżeli zaś chodzi o jej talię — równie cienkiej nie miała żadna dziewczyna w Fayetteville, Jonesboro ani okolicy.

Myśl o talii przypomniała jej znowu sprawy praktyczne. Zielona muślinowa suknia miała w talii siedemnaście cali, Mammy zaś zasznurowała jej gorset jak do czarnej kreponowej, która była o cal szersza, będzie więc ją musiała ścisnąć mocniej. Scarlett otworzyła drzwi i nasłuchiwała chwilę, aż dobiegł ją z hallu odgłos ciężkich kroków niani. Zawołała głośno i niecierpliwie, wiedząc, że może bezkarnie krzyczeć, bo Ellen jest w wędzarni, gdzie wydziela kucharce mięso.

— Są osoby, które myślą, że ja potrafię fruwać — odmruczała Mammy człapiąc po schodach. Weszła nadęta, z miną osoby, która oczekuje walki i gotowa jest ją stoczyć. W wielkich czarnych dłoniach niosła tacę z gorącym jedzeniem. Były tam dwa duże, ociekające masłem yamy, sterta placków jęczmiennych, polanych syropem, wielki plaster szynki. Kiedy Scarlett zobaczyła to wszystko, irytacja w jej twarzy ustąpiła miejsca zaciętej złości. Podczas mierzenia sukien zapomniała o żelaznej zasadzie Mammy, że przed wyjazdem na jakąkolwiek zabawę panny O’Hara muszą tak się najeść w domu, aby nie mogły jeść na wizycie.

— Nic nie pomoże. Nie zjem tego. Możesz to zabrać z powrotem do kuchni.

Mammy postawiła tacę na stoliku i wzięła się pod boki.

— A właśnie, że zjesz! Ani mi się śni, aby znowu było to samo, co na ostatniej barbakoi, kiedy byłam zbyt chora po zjedzeniu dróbek, żeby ci podać tacę przed odjazdem. Musisz zjeść wszystko!

— A właśnie, że nie zjem! Chodź tutaj, Mammy, i zasznuruj mnie ciaśniej, bo już późno. Słyszałam przed chwilą, że powóz zajechał przed dom.

Ton Mammy stał się przypochlebny.

— Scarlett, bądź dobra i zjedz wszystko. Karina i Zuela zjadły wszystko, co im podałam.

— To na nie wygląda — powiedziała Scarlett lekceważąco. — Mają nie więcej rozumu niż królik. Ja jeść nie chcę! Znudziły mi się już te twoje tace. Nie zapomnę ci nigdy tego, że zmusiłaś mnie do najedzenia się w domu przed wizytą u Calvertów, i kiedy podano lody zrobione na lodzie sprowadzonym aż z Savannah, ja mogłam zjeść tylko łyżeczkę. Dziś chcę się dobrze bawić i jeść tyle, ile mi się spodoba.

Czoło Mammy na dźwięk tej strasznej herezji zmarszczyło się groźnie. To, co młodej panience wypada, a co nie wypada, było tak wyraźnie odgraniczone w umyśle niani jak czarne i białe; pośredniej drogi nie było. Zuela i Karina były w jej mocnych dłoniach ustępliwe jak glina i uwag jej słuchały z poszanowaniem. Ze Scarlett trzeba było zawsze stoczyć walkę, aby ją przekonać, że większość jej zachcianek jest niedystyngowana. Zwycięstwa nad Scarlett przychodziły Mammy trudno i używała do nich forteli, nie znanych białym ludziom.

— Możliwe, że tobie nie zależy na tym, co ludzie mówią o naszej rodzinie, ale mnie zależy — terkotała. — Nie będę stała spokojnie i przysłuchiwała się, jak wszyscy na zabawie mówią, że nie umiesz się zachowywać. Powtarzałam ci tysiąc razy, że prawdziwa dama je jak ptaszek. Nie pozwolę, abyś poszła na zabawę do państwa Wilkes i objadała się tam jak jaki parobek czy jak świnia.

— Mama jest prawdziwą damą, a przecież je — sprzeciwiła się Scarlett.

— Kiedy się jest zamężną, już jeść wolno — odparła Mammy. — Kiedy Miss Ellen była w twoim wieku, nigdy nic nie jadła na wizytach, tak samo jak ciocia Paulina i ciocia Eulalia. Więc wszystkie powychodziły za mąż.

— Nie wierzę w to. Na tej barbakoi, kiedy ty byłaś chora i nie dałaś mi nic do jedzenia przed wyjazdem, Ashley Wilkes powiedział mi, że lubi, kiedy młoda panna ma zdrowy apetyt.

— To, co panowie mówią, i to, co myślą, to dwie różne rzeczy. Nie zauważyłam też, aby pan Ashley oświadczył ci się kiedykolwiek.

Scarlett zachmurzyła się, chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Mammy dotknęła ją tak, że nic nie mogła odpowiedzieć. Widząc wyraz uporu na twarzy Scarlett Murzynka zabrała tace i z właściwą swojej rasie łagodną chytrością zmieniła taktykę Kierując się ku drzwiom westchnęła żałośnie.

— No, więc już dobrze. Mówiłam kucharce, kiedy przygotowywała to śniadanie: „Zawsze można poznać prawdziwą damę po tym, że nic nie je” i powiedziałam, że nigdy nie widziałam białej pani, która by mniej jadła od panny Meli Hamilton, kiedy była ostatni raz z wizytą u pana Ashleya — myślę, kiedy była u panny Indii.

Scarlett rzuciła podejrzliwe spojrzenie w stronę Mammy, ale szeroka twarz Murzynki wyrażała zupełną niewinność i żal, że Scarlett nie jest taką damą jak Melania Hamilton.

— Postaw tu tę tacę i zasznuruj mnie ciaśniej — rzekła Scarlett ze złością. — Postaram się potem coś zjeść. Gdybym zjadła teraz, nie mogłabyś mnie ścisnąć dość mocno.

Maskując swój tryumf Mammy postawiła tacę.

— A co mój koteczek włoży?

— To — rzekła Scarlett wskazując na puszystą masę kwiaciastego, zielonego muślinu. W jednej chwili Mammy nasrożyła się znowu.

— Nie, tej sukni nie włożysz. Jest nieodpowiednia na rano. Nie wypada odkrywać szyi przed godziną trzecią, a ta suknia ma krótkie rękawy i duży dekolt. Dostaniesz z pewnością piegów, a ja tego nie chcę, bo dość się namęczyłam smarując cię przez całą zimę serwatką, abyś pozbyła się tych piegów, któreś dostała na słońcu w Savannah. Muszę o tym koniecznie powiedzieć mamie.

— Jeżeli powiesz jej jedno słowo, zanim się ubiorę, nie zjem ani kęsa — rzekła Scarlett chłodno. — Kiedy będę ubrana, nie będzie już czasu, abym się znowu przebierała.

Mammy westchnęła z rezygnacją, bo czuła, że jest pokonana. Z dwojga złego lepiej było, aby Scarlett nosiła poobiednią suknię rano, niż żeby objadała się jak prosię.

— Oprzyj się o coś i wstrzymaj oddech — rozkazała.

Scarlett usłuchała i wypięła się mocno, trzymając się łóżka.

Mammy ciągnęła sznurówkę i szarpała ostro, a kiedy niewielka objętość opancerzonej fiszbinkami talii Scarlett jeszcze się zmniejszyła, duma i rozczulenie ukazały się w jej oczach.

— Nikt nie ma tak cienkiej talii jak moje kociątko — rzekła z zadowoleniem. — Ile razy ściągam Zuelę ciaśniej niż na dwadzieścia cali, prawie mi mdleje.

— Uff! — westchnęła Scarlett ledwie mogąc mówić. — ja nigdy w życiu nie zemdlałam.

— No, nic by nie szkodziło, gdybyś od czasu do czasu mdlała — radziła Mammy. — Taka jestem czasem zuchwała, Scarlett. Chciałam ci już dawno powiedzieć, że to wcale dobrze nie wygląda, że nie mdlejesz, jak widzisz węża czy mysz, czy coś takiego. Nie jak jesteś w domu, ale w towarzystwie. A ja ci przecież mówiłam...

— Och, pośpiesz się! Nie mów tyle. Zobaczysz, że złapię męża. Mimo że nie mdleję i nie płaczę. Ach, mój Boże, ależ mi ciasno! Wkładaj suknię.

Mammy ostrożnie narzuciła dwanaście jardów zielonego muślinu na obszerne halki i zaczęła zapinać z tyłu ciasny, głęboko wycięty stanik.

— Noś szal na ramionach, gdy będziesz na słońcu, i nie zdejmuj kapelusza, nawet jak ci będzie gorąco — nakazywała. — Inaczej wrócisz do domu tak opalona jak stara pani Slattery. Teraz zjedz coś, kochanie, ale nie jedz za prędko. Nie trzeba, aby cię to zemdliło.

Scarlett posłusznie usiadła przed tacą, zastanawiając się, czy potrafi oddychać, kiedy wepchnie w siebie parę kęsów jedzenia. Mammy wzięła duży ręcznik i starannie owiązała go dookoła jej szyi, ściągając białe fałdy nisko na stanik. Scarlett zaczęła od szynki, bo bardzo szynkę lubiła, i żuła wolniutko.

— Chciałabym już jak najprędzej wyjść za mąż — rzekła z żalem, zabierając się ze wstrętem do jarzyny. — Znudziło mi się ciągle udawać i nigdy nie móc robić tego, co chcę. Znudziło mi się udawać, że jem jak ptaszek, i chodzić, kiedy właśnie mam ochotę biegać, i mówić, że słabo mi po walcu, kiedy mogłabym tańczyć przez dwa dni i nie czuć zmęczenia. Znudziło mi się mówić: „Jaki pan nadzwyczajny!” do głupich chłopców, którzy nie mają nawet ćwierci tego rozumu co ja, i udawać, że nic nie rozumiem, aby mężczyźni mogli mi wszystko tłumaczyć i aby byli dumni, że to robią... Nie mogę już jeść.

— Zjedz jeszcze kawałek placka — rzekła Mammy nieubłaganie.

— Dlaczego dziewczyny muszą udawać idiotki, żeby złapać męża? — Może dlatego, że panowie nie wiedzą, czego chcą. Tylko im się zdaje, że wiedzą. I jeżeli daje im się to, czego oczekują, zaoszczędza się sobie wielu przykrości i nie zostaje się starą panną. Bo, widzisz, im się wydaje, że lubią małe dziewczyneczki o ptasich apetytach i ptasich rozumach. Panowie nie lubią się żenić z panienkami, które mają więcej rozumu od nich.

— A jak ci się zdaje, czy mężczyźni nie dziwią się po ślubie, kiedy okazuje się, że żony ich są rozumne? W przyszłości będę robiła i mówiła tylko to, co zechcę, a jeżeli to się ludziom nie spodoba, będzie mi wszystko jedno.

— Nie, nie będziesz tak robiła — powiedziała Mammy z gniewem. — Nie będziesz tak robiła, póki ja żyję. Zjedz te placki. Zamocz je w sosie.

— Mam wrażenie, że Jankeski wcale nie muszą udawać takich gęsi. Kiedy byliśmy zeszłego roku w Saratoga, zauważyłam, że wiele z nich tak postępuje, jak gdyby miały własny rozum, i to nawet w obecności mężczyzn.

Mammy parsknęła.

— Jankeski! Możliwe, że mówią to, co myślą, ale nie widziałam, żeby się wiele z nich zaręczyło w Saratoga.

— Ale Jankesi także chyba się żenią — sprzeciwiła się Scarlett. — Nie wyrastają przecież z ziemi. Muszę się chyba żenić, aby mieć dzieci. A jest ich przecież tylu.

— Ich mężczyźni żenią się tylko dla pieniędzy — odpowiedziała Mammy stanowczo.

Scarlett umoczyła placek jęczmienny w sosie i zaczęła powoli jeść. Może Mammy i miała trochę racji. Musiało być w jej słowach nieco prawdy, bo i Ellen mówiła to samo, choć inaczej i bardzo oględnie. To prawda, że matki wszystkich jej koleżanek kładły swoim córkom do głowy, aby starały się udawać bezradne, czułe stworzenia o płochliwych spojrzeniach. Wprawdzie już przyjmowanie i utrzymywanie takiej pozy wymagało rozumu.

Możliwe, że jest zbyt porywcza. Czasem sprzeczała się z Ashleyem i szczerze wypowiadała swoje poglądy. Może właśnie to i jej zdrowe zadowolenie z długich spacerów i jazdy konnej odwróciło go od niej ku delikatnej Melanii. Może gdyby zmieniła swoją taktykę... Czuła jednak, że gdyby Ashley uległ jej kobiecym sztuczkom, nie potrafiłaby go już nigdy szanować. Mężczyzna, który jest dość głupi, aby dać się nabrać na mizdrzenie się, mdlenie i okrzyki:...Och, jaki pan nadzwyczajny!”, nie jest wart zachodu. Wszyscy jednak bez wyjątku zdawali się to lubić.

Jeżeli Scarlett stosowała dawniej złą taktykę wobec Ashleya — należało to już do minionej przeszłości. Dziś popróbuje innej, właściwszej. Kochała go bardzo i tylko kilka godzin zostało jej na to, by go zdobyć. Jeżeli zemdlenie prawdziwe czy udane pomoże — postara się zemdleć. Jeżeli wdzięczenie się, kokieteria czy pustota spodobają mu się więcej, będzie z rozkoszą udawała głupią gąskę, głupszą jeszcze od Kasi Calvert. Jeżeli zaś okażą się potrzebne mocniejsze środki, ucieknie się do nich. Dziś albo nigdy. Nie było nikogo, kto by mógł Scarlett powiedzieć, że jej własne usposobienie, mimo że przeraźliwie żywe, było daleko bardziej interesujące od wszelkich masek, jakie by mogła nałożyć. Gdyby ktoś jej to powiedział, byłaby zadowolona, ale nie uwierzyłaby zapewne. A epoka, w której żyła, także by w to nie mogła uwierzyć, bo nigdy, przedtem ani potem, naturalność kobieca nie stała tak nisko w cenie.

W powozie, który unosił ją po czerwonej drodze w stronę plantacji Wilkesów, Scarlett odczuwała połączone z wyrzutami sumienia zadowolenie, że matki jej ani Mammy nie będzie na zabawie. Na barbakoi nie będzie nikogo, kto by lekkim podniesieniem brwi czy zmarszczeniem czoła mógł przeszkodzić jej planowi działania. Pewnie, że Zuela z pewnością naplotkuje na nią nazajutrz, ale jeżeli wszystko pójdzie tak, jak Scarlett tego pragnęła, zdenerwowanie rodziny z powodu jej zaręczyn z Ashleyem czy też ucieczki z nim na pewno każe im zapomnieć o wszystkim innym. Tak, była bardzo rada, że Ellen musiała zostać w domu.

Gerald, wypiwszy dla animuszu parę kieliszków koniaku, wymówił rano posadę Jonaszowi Wilkersonowi, Ellen została więc w Tarze, aby przed odejściem rządcy przejrzeć rachunki. Scarlett pocałowała matkę na pożegnanie w małym kantorku, gdzie Ellen siedziała przed założonym papierami sekretarzykiem. Jonasz Wilkerson trzymając kapelusz w ręce stał obok niej, z trudem ukrywając na smagłej, pociągłej twarzy wściekłość z powodu tak bezceremonialnego zwolnienia go z najlepszej w całym powiecie posady. I wszystko to z powodu głupich zalecanek! Powtarzał Geraldowi bez końca, że dziecko Emmy Slattery mogło być równie dobrze spłodzone z nim, jak z kilkunastoma innymi mężczyznami — w co Gerald łatwo uwierzył, ale co mu bynajmniej nie pomogło w oczach Ellen. Jonasz nienawidził wszystkich południowców. Nie cierpiał ich chłodnej uprzejmości w stosunku do niego i pogardy dla jego pozycji społecznej, bardzo dokładnie tą uprzejmością pokrywanej. Najbardziej zaś nienawidził Ellen O’Hara, ponieważ stanowiła symbol tego wszystkiego, co było dlań w południowcach nienawistne.

Mammy, jako najstarsza z kobiet plantacji, została z Ellen, aby jej pomóc, na koźle więc obok Tobiasza siedziała Dilcey, trzymając na kolanach w długim pudle suknie balowe panienek. Gerald cwałował obok powozu na swoim wielkim koniu, rozgrzany koniakiem i zadowolony, że tak się szybko załatwił z nieprzyjemną sprawą Wilkersona. Zrzucił odpowiedzialność na Ellen i wcale się nie zastanawiał nad przykrością, jaką sprawiła jej niemożność pojechania na zabawę i spotkania z przyjaciółmi, dzień bowiem był śliczny, pola jego były piękne, ptaki śpiewały, a on czuł się tak młodo i beztrosko, że nie mógł myśleć o niczym i nikim. Od czasu do czasu nucił głośno ludowe irlandzkie piosenki albo żałosny „Lament nad Robertem Emmetem”.

*Daleko ta ziemia, gdzie grób bohatera...*

Był zadowolony, przyjemnie podniecony perspektywą spędzenia dnia na głośnych rozmowach o Jankesach i wojnie i dumny z widoku trzech ślicznych córek, siedzących w kolorowych krynolinkach pod małymi, zabawnymi umbrelkami z koronki. Ani jednej myśli nie poświęcił swojej rozmowie ze Scarlett, bo zupełnie wyleciała mu z głowy. Myślał o tym tylko, że Scarlett jest

ładna, że może się nią pochwalić i że dnia tego oczy jej są tak zielone jak wzgórza Irlandii. Ostatnia myśl — ponieważ było w niej nieco poezji — spowodowała, że nabrał o sobie lepszego mniemania, więc zaintonował głośno i trochę fałszywie „Zielony nasz sztandar”.

Scarlett patrząc na ojca z czułym lekceważeniem, jakie matki często mają dla swych małych zarozumiałych synów, wiedziała dokładnie, że o zachodzie słońca będzie pijany w sztok. Wracając do domu w ciemności będzie jak zwykle usiłował przesadzać wszystkie płoty między Dwunastu Dębami a Tarą, należało więc mieć nadziej, że z pomocą Opatrzności i instynktu swego konia nie skręci karku. Zapomni o moście, przejedzie rzekę wpław, wróci do domu rycząc głośno i zostanie ułożony do snu na sofie w kantorku przez Porka, który podczas takich okazji zawsze czuwał w hallu frontowym. Zniszczy zupełnie swoje nowe szare sukienne ubranie, co rano go mocno rozzłości, a potem będzie opowiadał Ellen długo i szeroko, jak to koń jego spadł w ciemności z mostka — co będzie oczywistym kłamstwem, w które nikt nie uwierzy, ale które wszyscy przyjmą za dobrą monetę — aby Gerald mógł być dumny ze swojej przebiegłości.

„Papa jest przemiłym, samolubnym, nieodpowiedzialnym człowiekiem” — myślała Scarlett w nagłym przypływie czułości do niego. Była tak zadowolona i podniecona tego ranka, że sympatią swoją ogarniała świat cały, nie wyłączając Geralda. Była śliczna i wiedziała o tym. Pewna była, że zdobędzie sobie Ashleya jeszcze przed wieczorem; słońce grzało ciepło i łagodnie, a wspaniała wiosna Georgii roztaczała się przed jej oczyma. Wzdłuż drogi krzaczki jeżyn zielenią swoich listków zakrywały czerwone wyrwy, wyżłobione zimowymi deszczami, a nagie głazy granitu, wystające gdzieniegdzie z ziemi, chowały się pod gałązkami dzikich róż, otoczone wieńcem nisko rosnących bladoliliowych fiołków. Na zalesionych wzgórzach nad rzeką kwiaty dereniu świeciły ostrą białością, jak gdyby jeszcze śnieg leżał między zielenią. Kwitnące dzikie jabłonie stały osypane białym i różowym kwieciem, pod drzewami zaś tam, gdzie światło słoneczne plamiło podszycie, dzikie powoje słały się jak różnokolorowy, czerwony, pomarańczowy, koralowy dywan. Powiew wiatru przynosił delikatną woń kwitnących krzewów i świat cały pachniał jak najwspanialszy przysmak.

„Do samej śmierci nie zapomnę tego cudnego dnia — myślała Scarlett. — Może będzie dniem mego ślubu”.

I z drżeniem serca wyobrażała sobie, jak oboje z Ashleyem będą jechali szybko przez ten ukwiecony, zielony świat, po południu lub nazajutrz w nocy, do Jonesboro i do księdza. Rozumie się, że będą musieli wziąć powtórny ślub przed księdzem w Atlancie, to jednak będzie już sprawą Geralda i Ellen. Czuła się niezbyt pewnie, gdy myślała, jak blada ze zmartwienia będzie Ellen, gdy się dowie, że rodzona jej córka uciekła z narzeczonym innej dziewczyny, wiedziała jednak, że matka wszystko przebaczy, gdy się dowie o jej szczęściu. Gerald zaś będzie wymyślał i krzyczał, ale mimo swoich wczorajszych uwag, że nie pozwoliłby jej nigdy wyjść za Ashleya, będzie niezwykle zadowolony ze spowinowacenia się z rodziną Wilkesów.

„O to wszystko zacznę się kłopotać już po ślubie” — myślała odsuwając od siebie te troski.

I Scarlett oddała się obezwładniającej radości w tym słońcu, w tej budzącej się wiośnie, tym bardziej że dachy Dwunastu Dębów zaczynały się już ukazywać za rzeką.

„Będę tam mieszkała przez całe życie, przeżyję pięćdziesiąt lub więcej takich samych wiosen, a dzieciom moim i wnukom opowiem, jak piękna była ta wiosna, najpiękniejsza ze wszystkich”. Tak ją ta myśl rozradowała, że przyłączyła się do ostatniej zwrotki „Zielonego sztandaru”, czym zyskała sobie hałaśliwą aprobatę Geralda.

— Nie rozumiem, z czego się tak dziś cieszysz — rzekła złośliwie Zuela, która jeszcze ciągle rozmyślała nad tym, że jednak w balowej zielonej sukience Scarlett wyglądałaby o wiele ładniej od jej prawej właścicielki. Dlaczego też ta Scarlett nigdy nie chciała jej pożyczać swoich sukien i czepków? I dlaczego mama zawsze stawała po jej stronie i mówiła, że Zueli jest nie do twarzy w zielonym? — Wiesz równie dobrze jak ja, że dziś zostaną ogłoszone zaręczyny Ashleya. Papa mi to rano powiedział. A przecież wiem, że się w nim durzysz od dawna.

— No, i co jeszcze wiesz? — zapytała Scarlett pokazując siostrze język i wcale nie tracąc dobrego humoru. Jakże zdumiona będzie panna Zuzanna jutro o tej porze!

— Zuziu, wiesz dobrze, że tak nie jest — sprzeciwiła się Karina. — To przecież Brent podoba się Scarlett. Scarlett zwróciła uśmiechnięte spojrzenie na młodszą siostrę dziwiąc się, jak może istnieć na świecie istota tak łagodna. Cała rodzina wiedziała, że Karina oddała swoje trzynastoletnie serce Brentowi Tarletonowi, który nie myślał o niej nigdy inaczej jak o małej siostrzyczce Scarlett. Pod nieobecność Ellen wszyscy O’Harowie dokuczali jej z tego powodu do łez.

— Kochanie, zapewniam cię, że nie dbam wcale o Brenta — oświadczyła Scarlett, dość rozradowana, aby być wspaniałomyślną. — I on wcale o mnie nie dba. Przecież on czeka, aż urośniesz!

Mała okrągła twarzyczka Kariny pokryła się rumieńcem. Dziewczynka nie wiedziała, czy ma wierzyć, czy nie.

— Och, Scarlett, czy naprawdę?

— Scarlett, wiesz dobrze, iż mama powiedziała, że Karina jest za młoda, aby myśleć o chłopcach, a ty nagle zawracasz jej tym głowę!

— No, więc idź do mamy i poskarż się, jeżeli masz ochotę — odrzekła Scarlett — chcesz, aby mała była jak najdłużej posłusznym dzieckiem, bo czujesz, że za rok będzie z pewnością ładniejsza od ciebie.

— Jeżeli nie przestaniecie mi się dzisiaj sprzeczać, to zdzielę was szpicrutą — ostrzegł Gerald. — Cicho mi zaraz! Zdaje mi się, że słyszę turkot kół. To będą chyba Tarletonowie albo Fontaine’owie.

Kiedy zbliżyli się do skrzyżowania dróg, które po zboczu gęsto zalesionych pagórków prowadziły z Mimozy i Fairhill, stukot kopyt i turkot kół stał się wyraźniejszy, a ostre głosy kobiece, przekomarzające się wesoło, rozległy się zza zasłony drzew. Gerald wysunąwszy się naprzód wstrzymał konia i dał Tobiaszowi znak, aby przystanął na rozstaju.

— To jadą panie Tarleton — oświadczył swoim córkom z wyrazem rozradowania na rumianej twarzy, bo poza Ellen najwięcej ze wszystkich kobiet lubił rudą panią Tarleton. — I ona sama powozi. Ach, to dopiero kobieta, która ma ręce jak stworzone do konia! Lekkie, mocne jak bat, i mimo to tak ładne, że tylko je całować. Wielka szkoda, że żadna z was nie ma takich rąk — dodał rzucając czułe, ale krytyczne spojrzenie na córki. — Karina boi się koni. Zuzia ma ręce jak z żelaza, kiedy się bierze do cugli, a ty, kotku...

— Możliwe, ale mnie w każdym razie koń nigdy nie zrzucił — rzekła Scarlett z oburzeniem. — Pani Tarłeton zaś zlatuje z konia na każdym polowaniu.

— I łamie sobie obojczyk jak mężczyzna — rzekł Gerald. — Ani nie mdleje, ani się nie pieści. Ale teraz dość o tym, bo oto już i one.

Podniósł się w strzemionach i dwornym ruchem zdjął kapelusz, kiedy za zakrętem ukazał się powóz Tarletonów, pełen dziewcząt w kolorowych sukniach, parasolek i powiewających szalów. Na koźle, jak Gerald z daleka zauważył, siedziała pani Tarleton. W powozie, mieszczącym cztery jej córki, piastunkę i suknie balowe w długich tekturowych pudełkach, nie starczyłoby już miejsca dla stangreta. Poza tym zaś, Beatrice Tarleton nigdy chętnie nie pozwalała, aby ktokolwiek, czarny czy biały, trzymał lejce, kiedy jej dłonie nie były zajęte. Szczupła, wąsko zbudowana, tak blada, że wydawałoby się, iż płomienne jej włosy wyciągnęły wszystek pigment z twarzy, była jednakowoż uosobieniem zdrowia i niewyczerpanej energii. Urodziła ośmioro dzieci, równie rudych i żywych jak ona, i wychowała je bardzo dobrze, bo jak mówiono w okolicy, darzyła je taką samą miłością i surową dyscypliną — jak hodowane przez siebie źrebięta. „Trzeba je trzymać w karbach, ale nigdy nie należy ich łamać” — brzmiała dewiza pani Tarleton.

Kochała konie i stale o nich mówiła. Rozumiała je i potrafiła się obchodzić z nimi lepiej od jakiegokolwiek mężczyzny z okolicy. Źrebaki z paddocku wychodziły na trawnik przed domem, podobnie jak i ośmioro dzieci, które nie mogły się pomieścić w domu na wzgórzu; źrebaki, synowie jej, córki i psy myśliwskie chodziły za nią, kiedy robiła obchód plantacji. Przypisywała koniom, zwłaszcza zaś kasztance swojej, Nelly, ludzką inteligencję, a kiedy zajęcia domowe zatrzymywały ją tak, że nie mogła się o zwykłej porze wyrwać na codzienną przejażdżkę, wręczała małemu Murzynkowi cukierniczkę i mówiła: — Daj Nelly trochę cukru i powiedz jej, że zaraz przyjdę.

Z wyjątkiem rzadkich okazji, pani Tarleton chodziła stale w stroju do konnej jazdy, bo czy wybierała się na przejażdżkę, czy nie, zawsze miała zamiar pojeździć konno i dlatego już rano kładła amazonkę. Każdego ranka, w pogodę czy deszcz, siodłano Nelly i prowadzono ją tam i z powrotem przed domem w oczekiwaniu, aż pani Tarleton oderwie się na godzinkę od swoich obowiązków. Fairhill była trudną do prowadzenia plantacją, więc czas niełatwo było znaleźć, przeważnie też Nelly spacerowała całymi godzinami tam i z powrotem, a Beatrice Tarleton chodziła koło swoich zajęć z trenem amazonki, zarzuconym na rękę, świecąc po domu lakierem wysokich butów.

Tego dnia, ubrana w matową, czarną suknię jedwabną o bardzo niewielkiej, niemodnej krynolinie, pani Tarleton wyglądała wcale nie inaczej niż w amazonce, bo suknia była uszyta równie skromnie jak kostium do konnej jazdy, mały zaś czarny kapelusik o długim piórze, spadającym na piwne oko, stanowił dokładną kopię starego kapelusza, który nosiła na polowania.

Strzeliła z bata widząc Geralda i zatrzymała parę swoich niespokojnych koni, cztery zaś dziewczynki wychyliły się z powozu i wydały tak głośne okrzyki powitalne, że kasztany zaczęły się wspinać z przestrachu. Przypadkowy obserwator mógłby przypuszczać, że od ostatniego widzenia się Tarletonów z O’Harami minęły lata, kiedy w istocie minęło dwa dni. Panny Tarleton jednak były bardzo towarzyskie i lubiły swoich sąsiadów, specjalnie zaś panny O’Hara. To znaczy lubiły Zuelę i Karinę. Żadna panna w okolicy, z wyjątkiem może tylko głupiej Kasi Calvert, nie lubiła Scarlett naprawdę.

Latem w powiecie odbywały się pieczenia wołów i bale prawie co tydzień, ale dla rudych panien Tarleton z ich prawie nigdy nie słabnącym zapałem do zabaw, każda barbakoa i każdy bal był sprawą tak podniecającą, jak gdyby był pierwszym w ich życiu. Dziewczęta te były ładne i wesołe i tak teraz ściśnięte w powozie, że krynoliny ich i falbanki wystawały na zewnątrz, a parasolki trącały się co chwila i zderzały nad dużymi kapeluszami z florenckiej słomki, przybranymi różami i czarnymi aksamitkami. Pod rondami kapeluszy widać było wszystkie odcienie rudych włosów — czerwonawe włosy Hetty, złocistoblond Kamili, miedzianokasztanowate Randy i marchewkowe — małej Betsy.

— Udała się pani ta gromadka, łaskawa pani — rzekł Gerald szarmancko, wstrzymując konia koło powozu. — Ale trudno im będzie dorównać matce.

Pani Tarleton mrugnęła okiem i przygryzła z kokieterią dolną wargę, dziewczynki zaś zaczęły wołać: „Mamo, przestań robić oko, bo poskarżymy się papie!” „Słowo daję, panie O’Hara, że mama nigdy nie daje nam dojść do słowa, kiedy zjawia się tak przystojny mężczyzna jak pan”.

Scarlett wraz z innymi śmiała się z tych żartów, ale jak zwykle, swoboda, z jaką panny Tarleton traktowały swoją matkę, dotknęła ją w niewytłumaczony sposób. Zachowywały się w stosunku do matki, jak gdyby była ich rówieśniczką i nie miała więcej niż szesnaście lat. Scarlett myśl sama, że mogłaby tego rodzaju słowa zwrócić do matki, wydawała się bluźnierstwem. A jednak, jednak — stosunek tych dziewcząt do matki był bardzo przyjemny, bo ubóstwiały ją mimo krytykowania jej, łajania i dokuczania. Nie znaczyło to, iżby Scarlett choć przez chwilę myślała, że wolałaby matkę taką jak pani Tarleton — ale przecież czuła, że przyjemnie byłoby móc bawić się razem z matką. Czuła jednak, że nawet taka myśl stanowi nielojalność w stosunku do Ellen, więc bardzo się jej zawstydziła. Wiedziała, że podobne myśli nigdy nie trapią czterech główek pod strzechami rudych włosów i jak zwykle, kiedy czuła się inna od swoich sąsiadek, ogarnęła ją niejasna irytacja.

Mimo że Scarlett potrafiła szybko myśleć i wszelka analiza była jej obca, czuła przecież na wpół świadomie, że chociaż dziewczęta Tarletonów były rozbrykane jak źrebaki i dzikie jak koty w marcu, miały w sobie pewną jednolitość, która stanowiła część ich dziedzictwa. Zarówno ze strony ojca, jak i matki były prawdziwymi córami Georgii, północnej Georgii, i wnuczkami pionierów. Były pewne siebie i swego otoczenia. Wiedziały instynktem, gdzie przynależą, podobnie jak Wilkesowie, od których tak bardzo się różniły — i nie było w nich nigdy takich konfliktów jak te, które szalały w piersi Scarlett, gdy krew spokojnej, przerafinowanej arystokratki z wybrzeża walczyła o lepsze z mocną, przyziemną krwią irlandzkiego chłopa. Scarlett chciałaby móc wielbić i szanować matkę jak świętą, a jednocześnie ciągnąć ją za włosy i móc jej dokuczać. I wiedziała, że musi się zdecydować na jedno lub drugie. Podobne uczucia rozdzierały ją w towarzystwie chłopców — kiedy jednocześnie chciała uchodzić za delikatną i dobrze ułożoną młodą damę, zarazem zaś być tak prostą jak hoża dziewoja, której można skraść parę całusów.

— Gdzie jest Ellen? — zapytała pani Tarleton.

— Wymówiła posadę naszemu rządcy i została w domu, aby przejrzeć z nim rachunki. A gdzie pan Tarleton i chłopcy?

— Och, wyjechali do Dwunastu Dębów już dawno, aby spróbować ponczu i przekonać się, czy dość mocny, jak gdyby obawiali się, że nie zdążą tego zrobić w ciągu dzisiejszego dnia i nocy! Mam zamiar poprosić Jana Wilkesa, aby ich przenocował, nawet jeżeli będą musieli spać w stajni. Pięciu podpitych mężczyzn to dla mnie za dużo. Trzem mogę ostatecznie dać radę, ale...

Gerald pośpiesznie przerwał jej, aby zmienić temat. Czuł, że córki śmieją się za jego plecami, przypominając sobie zapewne, w jakim stanie on sam przyjechał rok temu z zabawy u Wilkesów.

— A dlaczego łaskawa pani nie jedzie dzisiaj konno? Zupełnie pani niepodobna jest do siebie bez Nelly. Przecież pani to istny stentor.

— Stentor, mój panie nieuku? — zawołała pani Tarleton przedrzeźniając Geralda. — Chciał pan powiedzieć centuar. Stentor to był człowiek o głosie donośnym jak dzwon mosiężny.

— Stentor czy centuar, to tam wszystko jedno — odrzekł Gerald nie zmieszany swoją pomyłką, — A pani dobrodziejka także ma głos jak dzwon, kiedy zwołuje pani swoje psy!

— A widzisz, mamo, czego się doczekałaś — rzekła Hetty. — Mówiłam ci, że wrzeszczysz jak dzikus, kiedy wytropisz lisa.

— Ale nie tak głośno jak ty, kiedy niania ci uszy myje — odgryzła się pani Tarleton. — A masz już przecież szesnaście lat. Co do tego zaś, dlaczego nie jadę dziś wierzchem — no, bo Nelly oźrebiła się dziś wczesnym rankiem..

— Co też pani mówi! — zawołał Gerald z prawdziwym zainteresowaniem, w oczach zaś zaświeciła mu typowa dla Irlandczyka miłość do koni. Scarlett znowu poczuła zakłopotanie, porównując swoją matkę z panią Tarleton. Dla Ellen klacze nigdy się nie źrebiły ani krowy nie cieliły. Ba, nawet kury nie składały jaj. Ellen spraw tych po prostu nie dostrzegała. Pani Tarleton jednak nie miała podobnych skrupułów.

— I co się urodziło, czy klaczka?

— Nie, mały śliczny ogierek o nogach długich na dwa łokcie. Musi go pan obejrzeć, panie O’Hara. To prawdziwy koń Tarletonów. Kasztanowaty jak loki Hetty.

— I nawet bardzo podobny do Hetty — powiedziała Kamila i potem z krzykiem skryła się pod masą spódnic, pantalonów i kapeluszy, kiedy Hetty, która rzeczywiście miała długą twarz, zaczęła ją szczypać.

— Moje własne cztery kłaczki są już dziś od rana nieprzytomne — rzekła pani Tarleton. — Wierzgają od chwili, gdy dowiedzieliśmy się rano o zaręczynach Ashleya z tą małą jego kuzynką z Atlanty. Jak jej na imię? Melania? To miłe dziecko, bardzo dobre, ale nigdy nie mogę zapamiętać ani jej imienia, ani twarzy. Nasza kucharka jest żoną lokaja Wilkesów i to właśnie on przyszedł do niej wczoraj wieczorem z nowiną, że zaręczyny Ashleya ogłoszone zostaną dziś wieczorem, a kucharka powiedziała nam o tym dziś rano. Dziewczynki są tym bardzo podniecone, chociaż ja nie mogę zrozumieć, dlaczego. Wszyscy od wielu lat wiedzieli, że Ashley ożeni się z Melanią, jeżeli nie poślubi którejś ze swoich innych kuzynek, panien Burr z Macon. Tak samo, jak wiadomo powszechnie, że Honey Wilkes wyjdzie za brata Melanii, Karola. Niech mi pan powie, panie O’Hara, czy rzeczywiście Wilkesowie uważają związki małżeńskie poza swoją rodziną za nielegalne? Bo jeżeli...

Scarlett nie słyszała już reszty żartobliwych słów pani Tarleton. Przez jedną krótką chwilę wydało jej się, jak gdyby słońce skryło się za ciemną chmurą, przykrywając świat cieniem, odzierając go z barw. Młoda zieleń wyglądała wątle, głogi — blado, rozkwitłe zaś dzikie jabłonie, tak pięknie różowe przed chwilą — wyblakłe i ponuro. Schwyciła się kurczowo poduszek powozu, a parasolka zakołysała się w jej dłoni. Co innego było wiedzieć o zaręczynach Ashleya, a co innego — słyszeć, jak ludzie rozmawiają o tym obojętnie. Po chwili wróciła jej odwaga, słońce zajaśniało znowu i krajobraz odzyskał barwy. Uświadomiła sobie, że Ashley ją kocha. To było pewne. I uśmiechnęła się na myśl, jak zdumiona będzie pani Tarleton, kiedy zaręczyny nie zostaną wieczorem ogłoszone — a za to Ashley ucieknie ze Scarlett. Wtedy pani Tarleton opowie sąsiadom, jaka ta Scarlett chytra, że siedziała w powozie i słuchała tego, co mówi się o Melanii, wtedy, gdy ona i Ashley... — Uśmiechnęła się do własnych myśli, a Hetty, która bacznie obserwowała efekt słów matki, opadła na poduszki powozu ze zdziwioną minką.

— Nie zgadzam się z tym, co pan mówi, panie O’Hara — mówiła pani Tarleton z przekonaniem. — Nic dobrego nie wychodzi z tych małżeństw między kuzynami. Już dostatecznie złe jest to, że Ashley żeni się z małą Hamiltonówną, ale żeby Honey miała wyjść za mąż za tego bladego Karolka Hamiltona...

— Honey nigdy nie złapie innego chłopca, jeżeli nie wyjdzie za Karola — rzekła Randa, okrutna, bo pewna swojego powodzenia. — Nigdy nie miała innego adoratora prócz niego i nawet on nie bardzo jest nią zajęty, mimo że są zaręczeni. Scarlett, czy pamiętasz, jak ci asystował na Boże Narodzenie?

— Nie bądź złośliwa, panienko — skarciła Randę matka. — Kuzynowie nie powinni się ze sobą pobierać, nawet kuzynowie z drugiej linii. To źle się odbija na potomstwie. U ludzi jest inaczej niż u koni. Można połączyć klacz z bratem czy ogiera z córką i jeżeli rasa jest dobra, osiąga się doskonałe rezultaty, ale u ludzi jest inaczej. Możliwe, że w ten sposób doskonali się rasę, ale osłabia się energię życiową.

— Ależ łaskawa pani, muszę się pani sprzeciwić! Czy zna pani lepszą rodzinę od Wilkesów? A pobierają się między sobą od czasów Adama i Ewy!

— I dlatego czas najwyższy, aby już przestali, bo to po nich widać. Och, nie mówię o Ashleyu, bo to przystojny chłopak, chociaż nawet i on... Ale niech się pan przyjrzy tym dwóm wyblakłym pannom Wilkes, biedaczkom! Miłe dziewczynki, przyznaję, ale takie mizerne! Albo ta mała panna Melania. Chuda jak sznurek i wątła, że lada wiatr może ją zdmuchnąć, i bez żadnej energii. Nie ma nawet własnego zdania. „Nie, proszę pani” i „Tak, proszę pani”. To wszystko, co ma do powiedzenia. Rozumie pan, co mam na myśli? Że każda rodzina potrzebuje świeżej krwi, dobrej, mocnej krwi, takiej jak moich rudzielców czy pańskiej Scarlett. Nie, niech mnie pan źle nie rozumie. Wilkesowie to w swoim rodzaju przyzwoici ludzie i pan dobrze wie, że bardzo ich lubię. Trzeba jednak być szczerym! Są przerafinowani, jednocześnie zaś nie dość dobrze rozwinięci. Świetnie nadają się na suchy tor, na dobrą pogodę, ale nie wierzę, aby mogli biegać po rozmokłym torze. Opuściła ich jakoś energia i wydaje mi się, ze przeciwnościom losu nie będą mogli poradzić. To ludzie na dobrą pogodę. Ja zaś lubię zdrowe konie, które potrafią biegać i w słotę! A to ich pobieranie się w rodzinie zrobiło z nich różnych od wszystkich innych dokoła. Zawsze brzdąkają na fortepianie albo ślęczą nad książką. Jestem nawet przekonana, że Ashley woli czytać, niż polować! Tak, naprawdę tak myślę, panie O’Hara! I niech się pan tylko przyjrzy ich kościom. Za cienkie. Przydałyby się im mocne klacze i ogiery.

— Hm — odchrząknął Gerald, naraz ze zmieszaniem uświadamiając sobie, że ta rozmowa, bardzo interesująca i odpowiednia dla niego, zgorszyłaby z pewnością Ellen. Czuł nawet, że nigdy by mu nie darowała, gdyby dowiedziała się, że córki jej przysłuchiwały się takim rzeczom! Pani Tarleton jednak była głucha na wszystko, kiedy raz dorwała się do swego ulubionego tematu — płodzenia — wszystko jedno, czy koni, czy ludzi.

— Wiem, co mówię, bo miałam dwoje kuzynów, którzy się ze sobą pobrali, i zapewniam pana, że wszystkie ich dzieci miały, biedactwa, tak wyłupiaste oczy jak ropuchy. Kiedy zaś moi rodzice chcieli, abym wyszła za kuzyna z drugiej linii, zaczęłam wierzgać jak źrebak. Powiedziałam: „Nie, mamo. To nie dla mnie. Nie chcę, aby moje dzieci miały guzy na pęcinach i zadyszkę”. No i, mimo, że mama zemdlała, kiedy powiedziałam jej o guzach na pęcinach, byłam stanowcza, a babcia mnie poparła. Również znała się dobrze na hodowli koni i przyznała mi rację. I pomogła mi uciec z panem Tarletonem. No i niech pan popatrzy na moje dzieci! Duże, zdrowe i nie ma wśród nich ani chorowitego, ani ułomka, chociaż Boyd mierzy tylko pięć stóp i dziesięć cali. A za to Wilkesowie...

— Niech pani nie przypuszcza, że chcę zmienić temat — wtrącił Gerald szybko, bo zauważył zdumienie na twarzy Kariny i błysk niezdrowej ciekawości w oczach Zueli i przeląkł się, że córki zaczną po powrocie zadawać Ellen pytania, z których okaże się, jak nieodpowiednią był dla nich przyzwoitką. Scarlett, co z przyjemnością zauważył, myślała najwidoczniej o innych sprawach, jak przystało prawdziwej damie.

Hetty Tarleton wybawiła go z opresji.

— Na miłość boską, mamo, jedźmy już dalej! — zawołała niecierpliwie. — Słońce strasznie piecze i czuję po prostu, jak mi piegi wyskakują na szyi.

— Chwileczkę jeszcze, łaskawa pani — rzekł Gerald. — Co Pani postanowiła w sprawie sprzedaży koni dla naszego Oddziału? Wojna może teraz lada dzień wybuchnąć i chłopcy chcieliby wiedzieć, jak się tę sprawę załatwi. To Oddział powiatu claytońskiego, chcemy więc dla niego koni z naszego powiatu. Pani jednak, uparta istota, ciągle nam odmawia sprzedaży tych pięknych zwierząt.

— Być może wcale do wojny nie dojdzie — odrzekła dyplomatycznie pani Tarleton, całkowicie zapominając o Wilkesach i ich dziwnych związkach małżeńskich.

— Ależ łaskawa pani, chyba pani nie...

— Mamo — przerwała znowu Hetty — czy nie możesz rozmawiać z panem O’Harą o koniach w Dwunastu Dębach, a nie tutaj?

— O to właśnie chodzi, panno Hetty — rzekł Gerald — zajmę pani nie więcej niż minutę na zegarze. Wkrótce dojedziemy do Dwunastu Dębów, a tam wszyscy mężczyźni, starzy i młodzi, czekają już na wiadomość o koniach. Ach, serce mi po prostu pęka, kiedy taka miła, śliczna pani, jak pani matka, taka się staje skąpa, gdy chodzi o konie! I gdzież się podział pani patriotyzm, pani dobrodziejko? Czy Konfederacja rzeczywiście nic dla pani nie znaczy?

— Mamo — zawołała mała Betsy — Randa usiadła na mojej sukni i zupełnie mi ją pogniotła!

— No, więc zepchnij Randę na miejsce i bądź cicho. Niech mnie pan teraz wysłucha, Geraldzie O’Hara — odparła, oczy zaś jej zaczęły rzucać ognie. — Niech pan przestanie dopiekać mi Konfederacją! Przypuszczam, że Konfederacja znaczy dla mnie nie mniej niż dla pana, bo mam czterech synów w Oddziale, a pan żadnego! Chłopcy moi umieją sobie jednak radzić sami, a konie moje tego nie potrafią. Oddałabym z chęcią konie za darmo, gdybym wiedziała, że jeździć na nich będą chłopcy, których znam, prawdziwi panowie, przyzwyczajeni do rasowych zwierząt. Nie wahałabym się wtedy ani chwili. Ale żeby na moich pięknych konikach jeździli ludzie z lasów i inna hołota, która co najwyżej umie dosiadać mułów? Nie, mój panie! Po nocach bym spać nie mogła z obawy, że mają odparzoną skórę od siodeł i że ich dobrze nie czyszczą. Czy pan myśli, że pozwolę, aby nieokrzesani głupcy jeździli na moich delikatnych koniach, aby im cuglami rozdzierali pyski i bili je do utraty rozumu? Aż mnie dreszcz teraz przechodzi, gdy o tym myślę! Nie, panie O’Hara, bardzo to ładnie z pana strony, że chce pan nabyć właśnie moje konie, ale niech lepiej pojedzie do Atlanty i kupi jakieś stare szkapy dla swoich gburów. Nie zauważą nawet różnicy.

— Mamo, czy doprawdy nie ruszymy nigdy? — zapytała Kamila przyłączając się do zniecierpliwionego chóru sióstr. — Wiesz przecie dobrze, że w końcu i tak oddasz im te swoje ukochane koniki. Kiedy tatuś i chłopcy zaczną mówić o tym, jak bardzo Konfederacja potrzebuje koni, będziesz płakała, ale je oddasz.

Pani Tarleton uśmiechnęła się i potrząsnęła lejcami.

— Nieprawda, nie zrobię tego nigdy — powiedziała, lekko muskając konie batem. Powóz szybko ruszył.

— To miła kobieta — rzekł Gerald wkładając kapelusz i zawracając do swego powozu. — Ruszaj, Toby. Zmęczymy ją prośbami i wydostaniemy od niej konie. Rozumie się, że w gruncie rzeczy ma rację. Ma rację. Jeśli człowiek nie jest prawdziwym panem, nie powinien jeździć konno. Niech idzie do piechoty. Najgorsze jednak, że nie mamy w naszym powiecie dostatecznej ilości synów plantatorów dla utworzenia całego Oddziału. Coś powiedziała, kotku?

— Papo, proszę cię, jedź za nami albo przed nami. Wzbijasz taką masę kurzu, że aż się dławimy — rzekła Scarlett, która czuła, że nie zniesie rozmowy. Rozmowa odrywała ją od własnych spraw, a bardzo jej zależało na tym, aby doprowadzić do porządku zarówno myśli, jak i twarz, zanim dojedzie do Dwunastu Dębów. Gerald spiął posłusznie konia i w tumanie czerwonego kurzu podążył za powozem Tarletonów, aby dalej rozmawiać o koniach.

## ROZDZIAŁ VI

Przejechali, przez rzekę i powóz zaczął wspinać się pod górę, Zanim jeszcze ukazała się ich oczom plantacja Wilkesów. Scarlett zauważyła słup dymu wznoszący się leniwie nad koronami wysokich drzew i poczuła zmieszane apetyczne zapachy płonących głowni orzechowych i pieczonych w całości wieprzów i baranów.

Rowy, w których ogniska paliły się przez całą noc, poprzedzającą barbakoę, teraz pewnie będą już pełne jasnoczerwonych popiołów, mięsiwa zaś będą się nad nimi obracały na rożnach, a sok z sykiem będzie ściekał na węgle. Scarlett wiedziała, że zapachy niesione wiatrem idą z gaju dębowego na tyłach głównego budynku plantacji. Jan Wilkes zawsze urządzał barbakoę na łagodnej pochyłości, która wiodła do ogrodu różanego; było to miłe, cieniste miejsce, o wiele przyjemniejsze od tego na przykład, które wybierali zwykle Calvertowie. Pani Calvert nie lubiła mięsa pieczonego na rożnie i oświadczyła, że zapach po nim czuć w domu całymi tygodniami, tak że goście musieli się zawsze prażyć na płaskim, nie ocienionym miejscu, o ćwierć mili od domu. Jan Wilkes jednak, w całym stanie słynący z gościnności, wiedział dokładnie, gdzie urządzać barbakoę.

Długie stoły na kozłach, pokryte najpiękniejszą bielizną stołową Wilkesów, stały zawsze w najgłębszym cieniu, po obu zaś ich stronach ustawiano ławy bez oparcia; krzesła, poduszki i stół z mieszkania rozstawione były na polanie dla tych, którzy nie lubili siedzieć na ławach. W takim odstępie od gości, aby dym do nich nie dochodził, wykopane były owe długie rowy, gdzie piekły się mięsa, obok nich zaś stały wielkie kotły, z których unosił się przyjemny zapach mięsnego sosu i duszącego się w nim mięsiwa.

Pan Wilkes zawsze mobilizował co najmniej dwunastu Murzynów, którzy biegali z tacami tam i z powrotem, obsługując gości. Za stołami rozpalone było drugie ognisko, gdzie służba domowa, stangreci i pokojówki dam miały własny festyn, składający się z placków, yamów i flaków wieprzowych, które tak miłe były podniebieniu Murzynów — a w sezonie jeszcze i arbuzów na zaspokajanie pragnienia.

Gdy zapach kruchej, świeżej wieprzowiny doszedł jej nozdrzy, Scarlett pociągnęła z uznaniem nosem, pełna nadziei, że do czasu, gdy pieczeń będzie gotowa, zbudzi się w niej apetyt. W danej chwili była tak najedzona i tak ściśnięta, iż bała się, że lada chwila dostanie torsji. To byłoby dla niej straszne, bo tylko starzy panowie i bardzo stare panie mogły sobie na to pozwolić bez obawy potępienia przez opinię.

Wjechali na szczyt wyniosłości i biały dom Wilkesów wyłonił się przed nią w całej swej doskonałej symetrii: z wysokimi kolumnami, szerokimi werandami, płaskim dachem piękny był jak urodziwa kobieta, która tak jest pewna swej urody, że potrafi być miła i uprzejma dla wszystkich. Scarlett lubiła Dwanaście Dębów może bardziej nawet niż Tarę, bo dom Wilkesów odznaczał się statecznym pięknem i dojrzałą godnością, jakiej dom Geralda nie posiadał.

Szeroki, kręty podjazd pełen był już koni wierzchowych, powozów i gości wysiadających i głośno witających przyjaciół. Uśmiechnięci Murzyni, podnieceni jak zwykle podczas przyjęć, prowadzili konie w podwórze, aby je rozsiodłać i wyprząc. Chmary dzieci, czarnych i białych, z krzykiem biegały po jasnozielonej trawie, bawiły się w klasy i w berka i głośno przechwalały, ile będą jadły. Szeroki hall, dzielący dom na dwie połowy, pełen był ludzi, a kiedy powóz O’Harów zajechał przed front, Scarlett zobaczyła barwne jak motyle dziewczęta w krynolinach, wchodzące i schodzące ze schodów, obejmujące się wpół, przystające, aby przechylić się przez rzeźbioną pięknie poręcz i pośmiać się z młodymi ludźmi w hallu na dole.

Przez duże balkonowe okna spostrzegła starsze kobiety, siedzące w salonie, stateczne w ciemnych jedwabiach, wachlujące się z godnością i rozmawiające o dzieciach, chorobach i o tym, kto się z kim ożenił i dlaczego. Lokaj Wilkesów, Tom, kręcił się spiesznie po hallu ze srebrną tacą w ręku, kłaniając się i uśmiechając, gdy wręczał wysokie szklanki młodym ludziom w tabaczkowych i szarych spodniach i cienkich plisowanych koszulach.

Słoneczna frontowa weranda była pełna gości. „Tak, nikogo tu nie brak z całego powiatu” — myślała Scarlett. Czterej młodzi Tarletonowie z ojcem opierali się o wysokie kolumny — bliźnięta Stuart i Brent tuż przy sobie, nierozłączni jak zwykle, Body i Tomasz bliżej ojca, Jima Tarletona. Pan Calvert stał obok swojej jankeskiej żony, która po piętnastu latach pobytu w Georgii jeszcze czuła się obco. Wszyscy byli dla niej grzeczni i uprzejmi, ponieważ trochę się nad nią litowali, nikt jednak nie mógł zapomnieć o tym, że była Jankeską, i w dodatku dawną guwernantką dzieci pana Calverta. Obok niej stali dwaj synowie Calverta, Raiford i Cade, z jasnowłosą siostrą, Kasią, i docinali smagłemu Józefowi Fontaine i Sally Munroe, przyszłej jego narzeczonej. Aleksander i Antoni Fontaine szeptali coś do ucha Dimity Munroe i doprowadzali ją do głośnego chichotu. Zjechały się całe rodziny aż z odległego o dziesięć mil Lovejoy, z Fayetteville i z Jonesboro, kilka nawet z Atlanty i Macon. Dom zdawał się nie mieścić całego tego tłumu; wypełniony był nieprzerwanym gwarem rozmów, śmiechów, chichotów, ostrych kobiecych pisków i okrzyków.

Na stopniach ganku stał siwy Jan Wilkes, wyprostowany, promieniejący tym spokojnym wdziękiem i gościnnością, które były tak ciepłe i niezawodne jak słońce letnie w Georgii. Obok niego stała Honey krygując się i chichocząc, ilekroć witała nowo przybyłych.

Nerwowość i oczywiste pragnienie Honey, aby zrobić wrażenie na każdym z obecnych mężczyzn, kontrastowały bardzo z dystynkcją jej ojca; Scarlett pomyślała mimo woli, że może jednak było trochę prawdy w słowach pani Tarleton. Nie ulegało wątpliwości, że w rodzinie Wilkesów przystojni byli tylko mężczyźni. Gęste, ciemnoblond rzęsy ocieniały szare oczy Jana i Ashleya Wilkesów — oczy Honey i Indii miały oprawę skąpą i wypłowiałą. Honey wyglądała jak królik, India zaś była wyraźnie brzydka.

Indii nie było nigdzie widać, więc Scarlett domyśliła się, że pewnie jest w kuchni, zajęta wydawaniem ostatnich poleceń służbie. „Biedna India — myślała Scarlett — zawsze miała tyle kłopotów z prowadzeniem domu po śmierci matki, że nie miała okazji znaleźć sobie innego wielbiciela poza Stuartem Tarletonem. Nie moja też wina, że Stuart mnie uznał za ładniejszą”.

Jan Wilkes zszedł ze schodów, aby podać ramię Scarlett. Kiedy siadła z powozu, zauważyła, że Zuela wdzięczy się jakoś, domyśliła się więc, że pewnie dostrzegła w gronie gości Franka Kennedy’ego.

Że też Zuela nie może sobie znaleźć lepszego adoratora niż ta stara panna w spodniach! — myślała Scarlett lekceważąco, stojąc na ziemi, i uśmiechając się do Jana Wilkesa.

Frank Kennedy biegł w kierunku powozu, aby pomóc wysiąść Zueli, ona zaś takie wyczyniała grymasy, że Scarlett miała ją ochotę uderzyć. Kennedy miał może więcej ziemi niż inni plantatorzy w powiecie i był dobrotliwym człowiekiem, ale cnoty te nic nie znaczyły wobec faktu, że miał lat czterdzieści, był niepozorny i nerwowy, że miał rzadką, żółtawą bródkę i starokawalerskie, pretensjonalne maniery. Mimo to jednak, pamiętając o swoim planie, Scarlett zdusiła w sobie niechęć i tak się do niego słodko uśmiechnęła, że zatrzymał się z wyciągniętym ku Zueli ramieniem i gapił się ze zdumieniem na Scarlett.

Scarlett wesoło rozmawiała z Janem Wilkesem, lecz oczy jej powędrowały tymczasem w tłum w poszukiwaniu Ashleya, którego nie mogła nigdzie dostrzec. Tymczasem z różnych stron rozległy się okrzyki powitania, a Stuart i Brent Tarletonowie podskoczyli ku niej. Panny Munroe przybiegły i zaczęły się zachwycać jej suknią i w jednej chwili otoczyła ją całą grupa młodzieży, przekrzykującej się nawzajem, aby dać się usłyszeć w tym gwarze. Gdzie jednak podziewał się Ashley? I Karol, i Melania? Starała się nie zwracając niczyjej uwagi rozglądać się dokoła i zajrzeć do hallu, między inne roześmiane grupki.

Kiedy tak rozmawiała, śmiała się i rzucała wokoło szybkie spojrzenia, oczy jej spoczęły nagle na nieznajomym panu, który stał samotnie w hallu i przyglądał się jej z chłodną impertynencją, tak iż jednocześnie odczuła czysto kobiece zadowolenie, że spodobała się mężczyźnie, i zawstydzenie, że może suknia jej jest wycięta zbyt głęboko. Nieznajomy wyglądał raczej poważnie, bo na jakie trzydzieści pięć lat. Był wysoki i tak mocno zbudowany, że Scarlett pomyślała, iż nigdy dotąd nie widziała mężczyzny o tak szerokich ramionach, tak muskularnego — aż zbyt muskularnego jak na dżentelmena. Kiedy oczy jej spotkały się z jego wzrokiem, uśmiechnął się ukazując bardzo białe zęby pod krótko przystrzyżonym czarnym wąsem. Był śniady, ogorzały jak pirat, oczy także miał śmiałe i czarne jak oczy pirata, który taksuje wartość złupionego statku czy porwanej dziewczyny. Na twarzy jego malowała się zimna zuchwałość, usta zaś uśmiechały się tak cynicznie, że Scarlett aż dech zaparło. Czuła, że powinna być takim spojrzeniem obrażona, i była na siebie zła, że wcale tak nie jest. Nie wiedziała, kim był nieznajomy, wyglądał jednak jak człowiek o dobrej krwi w żyłach. Dowodził tego cienki orli nos pod pełnymi wargami, wysokie czoło i szeroko osadzone oczy.

Oderwała od niego wzrok nie uśmiechnąwszy się wcale, on zaś odwrócił się, ponieważ ktoś zawołał: — Rett Butler! Gdzie się pan podziewa? Chcę pana przedstawić pewnej pani o bardzo twardym sercu!

Rett Butler? Nazwisko to nie było obce, łączyło się niejasno z czymś przyjemnie skandalicznym — Scarlett jednak zanadto była teraz zajęta Ashleyem, aby dłużej zastanawiać się nad tą sprawą.

— Muszę pobiec na górę i przygładzić sobie włosy — oświadczyła Stuartowi i Brentowi, którzy chcieli ją odciągnąć na bok. — Poczekajcie tu na mnie i nie odchodźcie z żadną inną panną, bo się pogniewam.

Czuła, że ze Stuartem będzie miała tego dnia kłopot, jeżeli zechce flirtować z kimś innym. Wypił już sporo i miał zuchwałe, wyzywające spojrzenie, które, jak wiedziała z doświadczenia, wróżyło niechybną bójkę. Zatrzymała się w hallu, aby przywitać się ze znajomymi i z Indią, która wynurzyła się z głębi domu z potarganymi włosami i czołem zroszonym potem. Biedna India! Dość już smutne było to, że miała wypłowiałe włosy i rzęsy i wystający, świadczący o uporze podbródek, lecz na domiar wszystkiego miała już dwadzieścia lat i była starą panną. Scarlett zastanowiła się, czy India bardzo jej ma za złe odbicie Stuarta. Wiele osób twierdziło, że kocha się w nim nadal, trudno jednak było poznać, co się dzieje w sercu kogokolwiek, kto nosił nazwisko Wilkes. Jeżeli miała to Scarlett za złe, nie okazała tego nigdy, traktując ją zawsze z taką samą chłodną, uprzejmą grzecznością.

Scarlett zamieniła z Indią parę miłych słów i zaczęła wchodzić po szerokich schodach na górę, gdy nagle nieśmiały jakiś głos zawołał ją po imieniu. Odwracając się spostrzegła Karola Hamiltona. Był to ładny chłopiec o gęstych, miękkich, spadających na czoło brązowych lokach i ciemnobrązowych, czystych i łagodnych oczach wyżła. Nosił eleganckie tabaczkowe spodnie i czarny tużurek, a na plisowanej koszuli czernił mu się szeroki, najnowszej mody krawat. Zarumienił się lekko, kiedy Scarlett odwróciła się u niemu, bo był jeszcze bardzo nieśmiały w stosunku do panien. Jak większość lękliwych mężczyzn, podziwiał płoche, żywe, zawsze pewne siebie dziewczęta w rodzaju Scarlett. Scarlett nigdy nie darzyła go niczym więcej niż zdawkową uprzejmością, teraz więc radosny uśmiech, jakim go przywitała, i wyciągnięcie obu rąk oszołomiło go zupełnie.

— Więc to rzeczywiście pan, panie Karolu, pan jest tym przystojnym chłopcem?! Założę się, że przyjechał pan z Atlanty wyłącznie po to, aby złamać moje biedne serce!

Karol aż osłupiał z radości, kiedy trzymał jej małe, ciepłe dłonie w swoich i patrzył w roześmiane zielone oczy. Dziewczęta mówiły tego rodzaju rzeczy innym chłopcom, ale nigdy jemu. Nie rozumiał, dlaczego traktują go zawsze jak młodszego brata i mimo że są dla niego bardzo miłe, nigdy się z nim nie przekomarzają. Zawsze pragnął, aby panienki flirtowały z nim i żartowały tak jak z innymi chłopcami, mniej od niego przystojnymi i mniej bogato wyposażonymi w dobra tego świata. Podczas nielicznych okazji, kiedy to się wreszcie zdarzało, nie wiedział, co odpowiedzieć, i cierpiał katusze z powodu swojego zakłopotania i niezdarności. Potem nie mógł zasnąć w nocy, bo układał sobie komplementy, które mógł był powiedzieć. Rzadko jednak miewał ku temu drugą sposobność, ponieważ panienki po pierwszej nieudanej próbie przestawały się nim zupełnie interesować.

Nawet w stosunku do Honey, z którą był nieoficjalnie zaręczony i z którą miał się ożenić, jak tylko obejmie w posiadanie swój majątek, był nieśmiały i milczący. Chwilami miał nieprzyjemne wrażenie, że kokieteria Honey i jej władcze spojrzenia nie przynoszą mu wcale zaszczytu, bo Honey tak lubiła chłopców, że te metody stosowałaby z pewnością i do każdego innego, jeżeliby miała tylko po temu sposobność. Karol wcale nie był zachwycony perspektywą poślubienia jej, bo nie budziła w nim żadnego z tych gwałtownych uczuć, które, jak wiedział z książek, przystoją zakochanemu. Zawsze pragnął być kochanym przez jakąś piękną, pełną ognia istotę, żywą i nawet złośliwą.

Aż tu nagle Scarlett O’Hara mówi mu o swoim złamanym sercu!

Starał się coś szybko odpowiedzieć i nie mógł, więc w duchu błogosławił ją, że sama podtrzymuje rozmowę, która nie wymaga odpowiedzi. To, co mówiła, było zbyt przyjemne, aby mogło być prawdziwe.

— Niech pan tu poczeka na mnie, aż wrócę, bo chcę, aby pan usiadł koło mnie przy stole. I niech pan się nie zaleca do innych dziewcząt, bo jestem bardzo zazdrosna. — Te, nie inne słowa spłynęły z czerwonych ust z dołeczkami po bokach, a czarne rzęsy skromnie przesłoniły zielone oczy.

— Nie, nie będę się do nikogo zalecał — zdołał wreszcie wykrztusić nie wyobrażając sobie, iż Scarlett w tej chwili pomyślała, że wygląda jak cielę prowadzone na rzeź.

Uderzyła go złożonym wachlarzem lekko po ramieniu i zawróciła, aby iść na górę, kiedy oczy jej znowu spoczęły na Retcie Butlerze, który stał samotny w odległości kilku kroków od Karola. Słyszał najwidoczniej całą rozmowę, bo uśmiechnął się do niej chytrze jak kot i znowu obrzucił ją spojrzeniem zupełnie pozbawionym uniżoności, do której była przyzwyczajona.

— Do stu tysięcy par beczek! — rzekła do siebie Scarlett w oburzeniu, posługując się ulubionym przekleństwem Geralda. — Przecież ten człowiek tak patrzy... jak gdyby domyślał się, jak wyglądam bez koszuli — i odrzucając dumnie głowę w tył poszła wreszcie na górę.

W sypialni, gdzie leżały okrycia panienek, zastała Kasię Calvert mizdrzącą się przed lustrem i zagryzającą wargi, aby stały się czerwieńsze. Kasia miała zatknięte za pasek świeże róże, dobrane do koloru policzków, a niebieskie jej oczy wyrażały podniecenie.

— Kasiu — zapytała Scarlett starając się podciągnąć suknię wyżej — kto to taki ten niemiły człowiek nazwiskiem Butler

— Więc ty naprawdę nic nie wiesz? — wyszeptała Kasia z przerażeniem, rzucając podejrzliwe spojrzenie do sąsiedniej pokoju, gdzie Dilcey plotkowała z piastunką Honey i Indii. Wyobrażam sobie, jaki pan Wilkes niezadowolony, że on tu przyjechał, ale był z wizytą u Pana Kennedy’ego w Jonesboro — kupował bawełnę czy coś w tym rodzaju — i oczywiście pan Kennedy musiał go ze sobą zabrać. Nie mógł przecież przyjechać tu i jego samego zostawić

— Ale co w tym złego?

— Ależ, moja kochana, on przecież nigdzie nie jest przyjmowany!

— Rzeczywiście?

— Tak.

Scarlett przeżuwała tę wiadomość w milczeniu, bo nigdy dotąd nie znalazła się pod jednym dachem z człowiekiem, którego nie przyjmowano. Było to bardzo podniecające.

— A cóż on takiego zrobił?

— Och, Scarlett, on ma okropną reputację! Nazywa się Rett Butler, pochodzi z Charlestonu i rodzina jego należy tam do najlepszych, ale nie chcą o nim nawet słyszeć. Caro Rett opowiadała mi o nim zeszłego lata. On nie jest z nią spokrewniony, ale ona wszystko o nim wie, jak zresztą wszyscy w Charlestonie. Wyrzucono go z Akademii Wojskowej w West Point. Pomyśl tylko! I z powodu tak strasznych rzeczy, że Caro nawet o nich nie wie. Prócz tego ma jeszcze na sumieniu tę sprawę pewnej panny, z którą się nie ożenił.

— Ach, powiedzże mi, proszę, jak to było!

— Kochanie, czy rzeczywiście nic nie wiesz? Caro opowiedziała mi to wszystko latem, matka jej pewnie by umarła ze zmartwienia, gdyby wiedziała, że Caro o tym wie. A więc ten pan Butler jeździł z pewną panną kabrioletem po Charlestonie. Nie wiem dokładnie, kto to taki, ale mam pewne podejrzenia. Nie musiała być bardzo dobrze wychowana, bo nie wychodziłaby z nim przecież przed wieczorem bez przyzwoitki. No, wyobraź sobie, moja droga, pewnego dnia nie było ich prawie przez cały wieczór, a kiedy wreszcie wrócili do domu, opowiedzieli, że koń poniósł i rozbił kabriolet i że zabłądzili w lesie. I zgadnij, co było dalej?

— Nie mogę. Powiedz mi sama — rzekła Scarlett z zapałem, spodziewając się czegoś najgorszego. — Następnego dnia oświadczył, że się z nią nie ożeni.

— Och! — rzekła Scarlett, zawiedziona. — Powiedział, że nic jej złego nie zrobił i nie widzi powodu, aby się z nią ożenić. Rozumie się, że brat jej wyzwał Butlera na pojedynek, ale Butler powiedział, że raczej pozwoli się zastrzelić niż ożeni się z głupią gęsią. Mieli więc pojedynek, Butler zranił brata tej panny, który potem umarł, a sam musiał opuścić Charleston i teraz nie jest przyjmowany — zakończyła Kasia z tryumfem i w samą zresztą porę, bo Dilcey weszła do pokoju, aby zająć się toaletą Scarlett.

— A czy ta panna miała dziecko? — wyszeptała Scarlett do ucha Kasi.

Kasia gwałtownie potrząsnęła głową. — Ale była skompromitowana i bez tego — zasyczała w odpowiedzi.

...Bardzo bym chciała, żeby Ashley mógł mnie skompromitować — nagle pomyślała Scarlett. — Jest takim dżentelmenem, że na pewno by się ze mną potem ożenił. Poczuła jednak mimo woli niejasny szacunek dla Retta Butlera, że nie chciał się ożenić z dziewczyną, która okazała się gęsią.

Scarlett siedziała na kanapie z drzewa różanego, w cieniu wielkiego dębu na tyłach domu; falbanki i zakładki jej sukni spadały kaskadą dokoła niej i widać było spod nich koniuszki zielonych safianowych pantofelków — nie więcej niż dwa cale, to jest tylko tyle, ile mogła pokazać prawdziwa dama bez szkody dla swej opinii. W rękach trzymała talerz z ledwo tkniętym jedzeniem. Otaczało ją aż siedmiu kawalerów. Zabawa doszła zenitu; ciepłe powietrze wypełnione było gwarem śmiechów i rozmowy, szczękaniem sztućców i mocnym zapachem pieczonego mięsiwa i wonnych sosów. Chwilami, gdy lekki wiatr zmieniał kierunek, kłęby dymu od ognisk w długich rowach unosiły się nad tłumem gości, witane przez panie okrzykami udanej zgrozy i gwałtownym machaniem wachlarzy.

Większość młodych panien siedziała w towarzystwie swoich partnerów na długich ławach przy stołach, Scarlett jednak, zdając sobie sprawę z tego, że posiada tylko dwa boki i że wobec tego tylko dwóch mężczyzn naraz może przy niej siedzieć, postanowiła usiąść osobno, aby zebrać wokoło siebie jak najwięcej chłopców.

W altanie siedziały kobiety zamężne, a ciemne ich suknie stanowiły surowy akcent w otaczającej je barwnej wesołości. Mężatki bez względu na wiek, zawsze skupiały się razem, z dala od roześmianych dziewcząt, kawalerów i zabawy — ponieważ na południu kobiety zamężne nie mogły już uchodzić za piękne. Począwszy od babci Fontaine, której podeszły wiek pozwalał przyznawać się do ataków czkawki, aż do siedemnastoletniej Alicji Munroe, walczącej z mdłościami pierwszej ciąży, wszystkie zagłębione były w nie kończących się genealogicznych i ginekologicznych rozmowach, bardzo przyjemnych i nie mniej pouczających. Rzucając w ich stronę pogardliwe spojrzenia Scarlett pomyślała, że wyglądają jak stado ociężałych wron. Kobiety zamężne nigdy nie miały żadnych rozrywek. Nie przychodziło jej na myśl, że z chwilą gdy poślubi Ashleya, samo przez się zostanie relegowana do altanek i frontowych salonów, do towarzystwa statecznych matron w ciemnych statecznych jedwabiach i na zawsze będzie pozbawiona zabaw i przyjemności. Podobna w tym do większości dziewcząt, sięgała wyobraźnią do ołtarza i nie dalej. Ponadto zaś była teraz zbyt nieszczęśliwa, aby móc myśleć o rzeczach tak dalekich.

Opuściła wzrok na talerz i uszczknęła kawałek herbatnika z elegancją i tak wyraźnym brakiem apetytu, że z pewnością zyskałaby pochwalę Mammy. Mimo że miała koło siebie aż nadmiar adoratorów, czuła się bardzo nieszczęśliwa. W niezrozumiały jakiś sposób plany obmyślone w nocy zawiodły zupełnie, jeżeli chodziło o Ashleya. Zdołała zwabić do siebie tuziny innych kawalerów, tylko nie Ashleya, teraz więc wypełniały ją na nowo straszne, te same co wczoraj obawy, które sprawiły, że serce jej biło najpierw szybko, potem powoli, a policzki czerwieniły się i bladły na przemian.

Ashley nie starał się nawet przyłączyć do stłoczonej wokoło niej grupki, co więcej — od chwili przyjazdu i przywitania się nie mogła z nim nawet słowa na osobności zamienić. Podszedł do niej wprawdzie w ogrodzie, wtedy jednak u boku jego wisiała Melania — Melania, ledwie sięgająca mu szyi. Melania była szczupłą, wąsko zbudowaną dziewczyną, która sprawiała wrażenie dziecka, przebranego w obszerną krynolinę jej matki — wrażenie, które potęgował jeszcze nieśmiały, prawie wystraszony wyraz jej zbyt wielkich, piwnych oczu. Miała gęste, ciemne włosy, tak skromnie przyciśnięte siatką, że ani jeden kosmyczek nie wymykał się spod niej, i ciemna ta masa podkreślała linię owalu jej twarzy. Była to twarz w kształcie serca, zbyt szeroka w kościach policzkowych, o zbyt spiczastym podbródku, słodka, nieśmiała i niezbyt ładna, tym bardziej że Melania nie znała żadnych kobiecych sztuczek, dzięki którym mogłaby swój brak urody zatuszować. Wyglądała na istotę tak prostą jak ziemia, tak dobrą jak chleb, tak czystą jak woda źródlana — i była taka rzeczywiście, miała w ruchach spokojną dystynkcję, która była bardzo ujmująca i nad wiek poważna, bo Melania miała dopiero siedemnaście lat.

Suknia jej z szarej organdyny, przepasana wiśniową atłasową szarfą, masą falbanek i plisek tuszowała dziecinną chudość figurki, a żółty kapelusz o długich wiśniowych wstążkach doskonale podkreślał kremowość jej skóry. Ciężkie kolczyki zwisały pod zaplecionymi w kukiełki włosami i chwiały się w bliskim sąsiedztwie jej piwnych oczu o blasku leśnego jeziorka w zimie, gdy zżółkłe liście przeświecają przez spokojną wodę.

Melania witając się ze Scarlett uśmiechnęła się życzliwie i powiedziała, że Scarlett ma bardzo piękną suknię. Scarlett zaś nie mogła się nawet zmusić do oddania komplementu, tak bardzo chciała porozmawiać na osobności z Ashleyem. Od owej chwili Ashley siedział na stołeczku u stóp Melanii, z dala od innych gości, i spokojnie z nią rozmawiał uśmiechając się tym leniwym uśmiechem, który Scarlett tak lubiła. Co gorsza zaś, pod wpływem jego uśmiechu twarz Melanii rozjaśniła się tak bardzo, że nawet Scarlett musiała przyznać, iż zrobiła się prawie ładna. Kiedy Melania patrzyła na Ashleya, jaśniała wewnętrznym ogniem i miłość jej do niego wyraźnie malowała się w jej oczach.

Scarlett starała się nie widzieć tych dwojga, ale nie mogła, po każdym więc spojrzeniu w ich stronę stawała się podwójnie wesoła, śmiejąc się do swoich adoratorów, mówiąc głupstwa, docinając im, w odpowiedzi na komplementy potrząsając głową tak silnie, że aż jej kolczyki podzwaniały. Powtórzyła „tere fere” niezliczoną ilość razy i oświadczyła, że nikomu nie wierzy, ponieważ wie, że nie należy dawać wiary temu, co mówi jakikolwiek mężczyzna. Ashley jednak nie zwracał na nią zupełnie uwagi. Patrzył tylko na Melanię i coś do niej mówił, Mela zaś patrzyła na niego i twarz jej wyrażała zachwyt, że do niego należy. Scarlett była więc bardzo nieszczęśliwa.

Zdawałoby się na pozór, że nie ma do tego żadnych powodów. Była niewątpliwie królową zabaw i ośrodkiem zainteresowania. Furora, jaką czyniła wśród mężczyzn, oraz widoczna zazdrość innych dziewcząt kiedy indziej bawiłyby ją niezmiernie.

Karol Hamilton, rozzuchwalony uprzejmością Scarlett, nie odstępował od jej boku, mimo że bracia Tarleton starali się go wspólnymi siłami odciągnąć. Trzymał wachlarz Scarlett w jednej ręce, nie tknięty talerz z pieczenią w drugiej i uparcie odwracał wzrok od Honey, która bliska była już łez. Cade siedział po drugiej stronie, skubiąc suknię Scarlett, aby zwrócić na siebie jej uwagę, i patrząc się pełnymi złości oczyma na Stuarta. Między nim a bliźniętami atmosfera była napięta — padło już wiele ostrych słów. Frank Kennedy kręcił się dokoła zapobiegliwie jak kura mająca tylko jedno kurczątko, biegając spod dębów do stołu i z powrotem i znosząc Scarlett przysmaki, jak gdyby nie było do tego kilkunastu służących. W rezultacie Zuela nie mogąc już, jak przystało damie, dłużej ukrywać swojej pasji, patrzyła z głuchą nienawiścią na siostrę. Mała Karina także była bliska łez, bo mimo zapewnień Scarlett Brent powiedział jej tylko: — Jak się masz, mała? — i pociągnął za wstążkę we włosach, po czym całą swoją uwagę poświęcił Scarlett. Był dla niej zwykle bardzo miły i traktował ją z uniżonością, jak zupełnie dorosłą pannę. Karina więc marzyła tajemnie o dniu, w którym wolno jej będzie upiąć włosy, włożyć długą suknię i uznać Brenta za prawdziwego wielbiciela. Teraz zaś nagle zdawało się, jakby przerzucił się zupełnie na stronę Scarlett. Panny Munroe starały się nie okazywać zdenerwowania z powodu zdrady smagłych Fontaine’ów, niemniej jednak wściekały się w duszy, że Tonio i Aleks stoją w otaczającym Scarlett gronie i najwyraźniej czekają na miejsce przy niej, gdyby je zwolnił którykolwiek z chłopców. Swoją opinię o postępowaniu Scarlett zakomunikowały delikatnym wzniesieniem brwi Hetcie Tarleton. „Flirciara” było jedynym właściwym określeniem Scarlett. Jednocześnie otwarły koronkowe parasolki, oświadczyły, że nic więcej już jeść nie będą, i kładąc lekkie dłonie na ramionach najbliżej siedzących mężczyzn, łagodnie poprosiły, aby zaprowadzili je do ogrodu różanego, fontanny i pawilonu w ogrodzie, który chcą obejrzeć. Ten strategiczny odwrót z honorem zauważyły wprawdzie wszystkie obecne kobiety, lecz nie widział go żaden mężczyzna.

Scarlett wybuchła śmiechem, kiedy stwierdziła, że panny Munroe i Hetty usuwają spod zasięgu jej wdzięku trzech mężczyzn pod pozorem oglądania rzeczy znanych na pamięć i wytężyła wzrok, aby zobaczyć, czy Ashley to zauważył. Ashley jednak bawił się szarfą Melanii i uśmiechał się do niej. Ból ścisnął serce Scarlett. Czuła, że mogłaby z najwyższą rozkoszą podrapać do krwi kremową skórę Melanii.

Kiedy odwracała wzrok od Melanii, spotkała się ze spojrzeniem Retta Butlera, który stał z boku rozmawiając z Janem Wilkesem. Obserwował ją, gdy spojrzała na niego, zaśmiał się bezceremonialnie. Scarlett miała nieprzyjemne poczucie, że człowiek ten, nie przyjmowany w towarzystwie, jest spośród obecnych jedynym, który wie, co kryje się za jej dziką wesołością, i doskonale się tym bawi. Jego by także z rozkoszą podrapała.

„Jeżeli tylko dożyję końca tej barbakoi — myślała — to zostanę po południu, gdy wszystkie dziewczęta pójdą spać, na dole, i postaram się rozmówić z Ashleyem. Jestem pewna, że zauważył, jakie mam powodzenie. — Pokrzepiła serce tą nadzieją. — Rozumie się, że on musi się opiekować Melanią, jako swoją kuzynką, bo zupełnie nie ma powodzenia, i gdyby nie on, musiałaby podpierać ścianę”.

Myśl ta dodała jej nowej otuchy; wszystkie swoje wysiłki skierowała teraz w stronę Karola, którego piwne oczy patrzyły na nią z oddaniem. Dla Karola dzień ten był cudowny, wymarzony, jedyny, zakochał się też w Scarlett bez pamięci. Wobec tego uczucia myśl o Honey odsunęła się w głęboki cień. Honey była świergotliwym wróblem — Scarlett barwnym, rajskim ptakiem. Docinała mu, wyróżniała, zasypywała pytaniami i sama na nie odpowiadała, tak że mógł się jej wydawać bardzo mądrym, chociaż nic niej mówił. Inni chłopcy byli zdziwieni i niezadowoleni z tego widocznego wyróżniania Karola, bo wiedzieli, że Karol byłby zbyt nieśmiały, aby z własnej inicjatywy skleić dwa słowa, ale dobre wychowanie wstrzymywało ich od okazania mu niechęci. Wszyscy byli wzajemnie o siebie zazdrośni i tryumf Scarlett byłby zupełny, gdyby nie obojętność Ashleya.

Kiedy wreszcie ostatnie kęsy wieprzowiny, drobiu i baraniny zostały spożyte, Scarlett zaczęła wyglądać chwili, gdy India wstanie i zaproponuje, aby panie przeszły do pokojów. Była już druga i słońce mocno przygrzewało. India jednak, znużona trzydniowymi przygotowaniami do zabawy, była szczęśliwa, że może odpocząć w cieniu altany, i mówiła coś bardzo głośno do głuchego starszego pana z Fayetteville.

Leniwa senność ogarniała zebranych. Murzyni kręcili się wolniej, uprzątając ze stołów resztki jedzenia. Śmiechy i rozmowy przycichły, niektóre grupy zamilkły zupełnie. Wszyscy czekali na znak gospodyni, że pierwsza część zabawy została zakończona. Wachlarze poruszały się wolniej, a niektórzy z panów już drzemali, zmęczeni gorącem i sytością. Barbakoa skończyła się, a ponieważ słońce stało wysoko, wszyscy radzi byliby odpocząć.

W tej przerwie między poranną ucztą a balem całe towarzystwo wydawało się ciche i spokojne. Tylko chłopcy nie stracili jeszcze energii, która niedawno ożywiała cały tłum gości. Przechodząc od jednej grupy do drugiej, przeciągając słowa, wydawali się postawą podobni do ogierów pełnej krwi i równie jak one niebezpieczni. Lenistwo poobiednie udzieliło się wprawdzie i im, pod nim jednak czaiła się krewkość, zawsze gotowa do wybuchu. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety byli przystojni, namiętni, gwałtowni i mimo maski układnych manier niezupełnie ucywilizowani. Znowu przeszedł czas jakiś; słońce stawało się coraz gorętsze, więc Scarlett a z nią inni znowu spojrzeli w stronę Indii. Rozmowa już całkiem przygasła, kiedy we względnej ciszy rozległ się naraz głos Geralda, głośny i pełen pasji. Stojąc w niejakiej odległości od stołów biesiadnych namiętnie spierał się o coś z Janem Wilkesem.

— Do stu tysięcy par beczek, człowieku! Prosić o pokojowy układ z Jankesami? Po tym, jakżeśmy wystrzelali tych zbójów w Forcie Sumtera? Pokojowe załatwienie sprawy? Południe bronią wykaże, że nie pozwoli się znieważać i że występuje z Unii nie z łaski Unii, ale w poczuciu swojej siły!

„Ach, mój Boże! — pomyślała Scarlett. — Co też ten ojciec robił! Teraz będziemy tu tkwili do samej północy!”

W jednej chwili senność opuściła rozleniwiony tłum i jakby prąd elektryczny przeszył powietrze. Mężczyźni zerwali się z ław i krzeseł wymachując gwałtownie rękami i starając się przekrzyczeć jeden drugiego. Nie rozmawiano o polityce i możliwości wojny przez cały ranek, ponieważ pan Wilkes prosił, aby sprawami tymi nie nudzono dam. Teraz jednak, gdy Gerald wrzasnął „Ford Sumtera”, nikt z obecnych nie pamiętał o prośbie gospodarza.

„Rozumie się, że będziemy walczyć. — Złodzieje jankescy. — Pobijemy ich za miesiąc. — Przecież jeden południowiec da radę dwudziestu Jankesom. — Damy im lekcję, której tak prędko nie zapomną. — Pokojowe rozwiązanie? Przecież to oni nie dają nam spokoju. — A czy Lincoln nie obraził naszych przedstawicieli? — Tak, nie mogli się do niego dostać przez całe tygodnie. — Przysiągł, że nakaże ewakuować Fort Sumtera! — Chcą wojny, dobrze. Postaramy się, aby im się odechciało!” Ponad wszystkimi zaś glosami górował głos Geralda. Scarlett słyszała tylko: „Święte prawo naszych Stanów, na Boga!” — wykrzykiwane raz po raz. W przeciwieństwie do swej córki, Gerald bawił się znakomicie. Secesja, wojna — słowa te, które już od dawna były dla Scarlett bardzo nudne z powodu zbyt częstego ich powtarzania, teraz stały się nienawistne, bo znaczyły, że mężczyźni będą stali tu godzinami i rozprawiali gorączkowo, ona zaś nie będzie miała okazji porozmawiać z Ashleyem. Wiadomo, że wojny nie będzie, i wszyscy o tym dobrze wiedzą. Po prostu lubią tylko o tym rozmawiać. Karol Hamilton nie zerwał się razem z innymi i teraz zostawszy prawie sam ze Scarlett, przysunął się do niej bliżej i z odwagą, zrodzoną z nagłej miłości, szeptał jej wyznania.

— Panno O’Hara, ja... ja już postanowiłem, że jeżeli będzie wojna, pojadę do Południowej Karoliny i tam wstąpię do wojska. Mówią, że pan Wade Hampton organizuje tam oddział kawalerii, a ja oczywiście chciałbym służyć pod jego dowództwem. To wspaniały człowiek i najlepszy przyjaciel mego zmarłego ojca.

Scarlett myślała: „Na co on właściwie czeka, że krzyknę: Hip, hip, hura!?” — bo mina Karola świadczyła wyraźnie o tym, że odsłania jej serdeczną tajemnicę. Nie przyszło jej na myśl, co by i mogła odpowiedzieć, więc tylko patrzyła na niego dziwiąc się w duchu, dlaczego mężczyźni są tak głupi, żeby przypuszczać, iż kobiety interesują się takimi sprawami. Karol przyjął to za wyraz zdumionej aprobaty i ciągnął dalej szybko i odważnie:

— Jeżeli ja wyjadę, czy... czy będzie pani trochę przykro, panno O’Hara?

— Będę co wieczór płakała w poduszkę — rzekła Scarlett żartem. Karol jednak przyjął to oświadczenie dosłownie i zaczerwienił się z radości. Ręka Scarlett ukryta była w fałdach sukni, poszukał jej więc ostrożnie i mocno uścisnął, przerażony własną śmiałością i jej przyzwoleniem.

— Czy będzie się pani za mnie modliła?

„Co za osioł!” — pomyślała Scarlett niechętnie, rozglądając się ukradkiem dokoła, w nadziei, że czyjeś zjawienie się wybawi ją może z kłopotu.

— Czy tak?

— Ale tak, rozumie się, panie Hamilton. Będę odmawiała co najmniej trzy różańce na wieczór.

Karol rozejrzał się dokoła, zaczerpnął tchu i wyprostował się. Byli teraz zupełnie sami — podobna okazja mogła mu się już nigdy nie zdarzyć. A nawet gdyby się zdarzyła, nie wiadomo, czy wtedy zdobyłby się na odwagę.

— Panno O’Harą, mam pani coś do powiedzenia. Ja panią kocham!

— Hm? — zapytała Scarlett nieuważnie, starając się poprzez gromadę sprzeczających się mężczyzn zobaczyć Ashleya, ciągle jeszcze siedzącego u stóp Melanii.

— Tak — wyszeptał Karol, zachwycony, że Scarlett nie wybuchła śmiechem ani płaczem, ani nie zemdlała, co w jego przekonaniu byłoby w podobnych okolicznościach normalną reakcją młodej panienki. — Kocham panią! Jest pani naj... naj... — i nagle po raz pierwszy w życiu rozwiązał mu się język — najpiękniejszą dziewczyną, jaką znam, najmilszą, najlepszą i najsłodszą i kocham panią z całego serca. Nie śmiem mieć nadziei, że mogłaby Pani pokochać takiego jak ja, droga panno Scarlett, ale gdyby mogła mi pani dać choć trochę nadziei, zrobiłbym wszystko w świecie, aby i pani mnie pokochała. Zrobiłbym...

Karol przerwał, ponieważ nie przychodziło mu na myśl nic dostatecznie trudnego do spełnienia, co by Scarlett przekonało o głębi jego uczuć, dodał więc po prostu: — Chciałbym się z panią ożenić.

Scarlett na dźwięk słowa „ożenić się” w jednej chwili wróciła do rzeczywistości. Myślała o małżeństwie i o Ashleyu, spojrzał więc na Karola ze źle ukrywaną irytacją. Że też ten cielak narzucił się jej ze swymi uczuciami właśnie w dniu, gdy była tak skłopotana, że odchodziła od zmysłów. Spojrzała w jego brązowe i pełne błagania oczy i nie dostrzegła, że wyrażają pierwszą nieśmiałą miłość, uwielbienie dla ideału, który wreszcie się znalazł, dzikie szczęście i niezmierną czułość, wypełniające go po brzegi. Scarlett przyzwyczajona była do oświadczyn mężczyzn daleko bardziej pociągających od Karola Hamiltona i tak rozsądnych, że nigdy nie ośmieliliby się oświadczyć na barbakoi, gdy miała kroć ważniejsze sprawy w głowie. Widziała przed sobą dwudziestoletniego chłopca, czerwonego jak burak i bardzo śmiesznego. Bardzo by pragnęła móc mu powiedzieć, jak głupio wygląda. Machinalnie jednak nasunęły się na jej wargi słowa, które Ellen nakazywała mówić w podobnych okolicznościach, i spuszczając z przyzwyczajenia oczy wyszeptała: — Panie Hamilton, doceniam całkowicie wielki zaszczyt, jaki przynosi mi pańska propozycja pojęcia mnie za żonę, ale wszystko to stało się tak nagle, że doprawdy nie wiem, co mam panu odpowiedzieć.

Był do doskonały sposób połechtania próżności mężczyzny a jednocześnie utrzymywania go w niepewności. Karol więc złapał się nań, jak gdyby przynęta ta była czymś nowym, a on pierwszym, który się na nią łapie.

— Będę czekał wiecznie! Musi pani być najpierw zupełnie pewna swoich uczuć. Błagam panią, panno Scarlett, niech mi pani powie tylko, że mogę mieć nadzieję!

— Hm — rzekła Scarlett zdoławszy tymczasem zauważyć, że Ashley, który nie brał udziału w rozmowie o wojnie, znowu uśmiecha się do Melanii. Gdybyż przynajmniej ten głupiec, który dobijał się o jej rękę, chciał zamilknąć na chwilę, mogłaby dosłyszeć, co tamci do siebie mówią. Musi usłyszeć, co mówią! Co też takiego mogła powiedzieć Melania, aby w oczach Ashleya odmalowało się takie zainteresowanie?

Słowa Karola znowu zagłuszyły głosy tych dwojga.

— Och, ciszej, proszę! — syknęła do niego, ściskając mu dłoń nie patrząc nań wcale.

Karol zdumiony, a z początku przerażony, zarumienił się na to napomnienie, potem zaś widząc oczy Scarlett skierowane na jego siostrę, uśmiechnął się z ulgą. Scarlett obawiała się, aby ktoś nie posłyszał ich rozmowy. Była zakłopotana, onieśmielona i niespokojna, czy ich ktoś nie słyszy. Karol poczuł w sobie napływ męskiej energii, jakiego dotąd nigdy nie doświadczył, bo po raz pierwszy w życiu udało mu się wprawić kobietę w zakłopotanie. Wrażenie było upajające. Ułożył twarz swoją w wyraz beztroskiej, jak mu się zdawało, obojętności i ostrożnie oddał Scarlett uścisk, aby jej dowieść, że jest mężczyzną światowym, który rozumie i przyjmuje jej wymówkę.

Nie poczuła nawet tego dotknięcia, bo usłyszała wreszcie wyraźnie słodki głos Melanii, największy z jej wdzięków. — Przykro mi, ale nie mogę się z tobą zgodzić, jeżeli chodzi o dzieła pana Thackeraya. To przecież cynik. To nie dżentelmen taki jak na przykład pan Dickens.

„Jakże można mężczyźnie mówić takie głupstwa” — pomyślała Scarlett, gotowa z zadowolenia parsknąć śmiechem. A więc Melania jest typową emancypantką, wszyscy zaś wiedzą dobrze, co mężczyźni sądzą o emancypantkach... Sposobem zainteresowania mężczyzny i podtrzymywania tego zainteresowania było mówienie o nim, potem zaś stopniowo przenoszenie rozmowy na temat samej siebie — i utrzymanie jej długo na tym temacie. Scarlett uczułaby pewien niepokój słysząc, że Melania mówi: — Jaki ty jesteś nadzwyczajny! — albo: — Że też potrafisz myśleć o takich sprawach! Mój mały głupi mózg pękłby z pewnością, gdybym spróbowała coś takiego pomyśleć! — Melania jednak, mając mężczyznę u swoich stóp, mówiła z nim tak poważnie jak w kościele. Iskierka nadziei znowu rozbłysła, tak że Scarlett zwróciła rozjaśnione oczy na Karola i uśmiechnęła się z radości. Wniebowzięty tym dowodem jej sympatii, schwycił jej wachlarz i zaczął nim wymachiwać tak energicznie, że włosy Scarlett się zwichrzyły.

— Ashleyu, nie byłeś jeszcze łaskaw podzielić się z nami swoim zdaniem — rzekł Jim Tarleton odchodząc od grupki krzyczących mężczyzn; Ashley przeprosiwszy Melanię powstał i skłonił przed nią. „Nikt na świecie nie jest równie piękny” — pomyślała Scarlett obserwując, ile wdzięku ma jego niedbała poza i jak cudownie gra słońce na jego złotych włosach i wąsach. Nawet starsi mężczyźni umilkli, aby przysłuchiwać się jego słowom.

— Oczywiście, panowie, że jeżeli Georgia postanowi walczyć to i ja będę walczył. Po co bym w przeciwnym razie przystępował do Oddziału? — powiedział. Szare jego oczy otwarły się szeroko i zwykła ich senność ustąpiła miejsca powadze, jakiej Scarlett nigdy w nich nie widziała. — Ale podobnie jak mój ojciec mam nadzieję, że Jankesi dadzą nam spokój i wojny nie będzie. — Podniósł z uśmiechem dłoń, gdy doszły go niezadowolone głosy młodych Fontaine’ów i Tarletonów. — Tak, tak, wiem, że zostaliśmy znieważeni i że nas okłamano, ale gdybyśmy to my byli w położeniu Jankesów i oni chcieli wystąpić z Unii, czybyśmy postąpili na ich miejscu inaczej? Pewien jestem, że tak samo. Nie podobałoby się to i nam.

„Znowu swoje — pomyślała Scarlett. — Zawsze się stawia w cudze położenie”. Dla niej istniał zawsze tylko jeden sposób myślenia. Czasem trudno było zrozumieć Ashleya.

— Nie bądźmy zbyt zapalczywi i nie domagajmy się wojny. Większość nieszczęść świata zrodziła się z wojen. A kiedy wojny się kończyły, nikt nigdy nie wiedział, co było ich powodem.

Scarlett pociągnęła nosem. Dobrze, że Ashley miał nieskazitelną opinię człowieka odważnego, bo inaczej mogłoby z nim być źle. Ledwo to pomyślała, a Ashleya otoczył gwar sprzeciwiających się, namiętnych i oburzonych głosów.

W altanie głuchy starszy pan z Fayetteville trącił Indię.

— O co to chodzi? Co oni mówią?

— O wojnie! — wrzasnęła mu India do ucha. — Chcą się bić z Jankesami!

— A, wojna! — krzyknął szukając koło siebie laski i podnosząc się z krzesła z nagłym przypływem energii od lat uśpionej, i ja im coś powiem o wojnie. Ja byłem na wojnie. Ja byłem na wojnie! — Nieczęsto się zdarzało, aby pan McRae miał sposobność porozmawiać o wojnie, bo córki trzymały go bardzo krótko.

— Wy, wojownicze młode byczki, posłuchajcie i mnie teraz. Nie palcie się do wojny. Ja walczyłem, więc wiem. Byłem na wojnie seminolskiej i byłem tak głupi, że na meksykańską także poszedłem. Nikt z was nie wie, co to wojna. Wydaje wam się, że jedziecie sobie na pięknych koniach, dziewczęta obrzucą was kwiatami, a potem wrócicie jak bohaterzy. A więc nie, nie, panowie. Wojna to głód, odra i zapalenie płuc, to kiszki. Tak, panowie, nie wiecie, co wojna robi z kiszkami człowieka — dyzenteria i takie rzeczy, i...

Panie były zaczerwienione po uszy. Pan McRae stanowił zabytek trwalszej przeszłości, podobnie jak babcia Fontaine ze swoimi kłopotliwie głośnymi czkawkami, ery, o której wszyscy chcieli zapomnieć.

— Pobiegnij i sprowadź tu dziadka — syknęła jedna z córek starszego pana do młodej, stojącej obok niej dziewczynki. — Przysięgam — wyszeptała do wzburzonych matron wkoło siebie — że ojciec staje się co dzień gorszy. Czy panie uwierzą, że dziś, dziś rano powiedział Marysi, która ma dopiero szesnaście lat: „Słuchaj, panienko...” — I głos jej rozpłynął się w szepcie, gdy tymczasem wnuczka pana McRae starała się go zawrócić do jego miejsca w altanie.

W całej grupie, kręcącej się pod drzewami, złożonej z uśmiechniętych nerwowo dziewcząt i z namiętnie rozprawiających mężczyzn, tylko jeden człowiek wydawał się zupełnie spokojny. Spojrzenie Scarlett padło na Retta Butlera, który opierał się o drzewo z rękami głęboko wsuniętymi w kieszenie spodni. Stał teraz sam, bo pan Wilkes odszedł od niego, i nie odzywał się ani słowem, gdy rozmowa stawała się coraz gorętsza. Czerwone jego wargi pod krótko przystrzyżonym wąsem były lekko skrzywione, w oczach zaś świeciło wyraźne lekceważenie, jak gdyby słuchał dziecinnych przechwałek. „Ma bardzo nieprzyjemny uśmiech” — pomyślała Scarlett. Słuchał spokojnie, dopóki Stuart Tarleton, ze zwichrzonym włosem i płonącymi oczyma, nie zaczął powtarzać: — Jak to, pobijemy ich w miesiąc! Dżentelmeni zawsze się biją lepiej od hołoty. W miesiąc... co mówię — w ciągu jednej bitwy.

— Panowie — rzekł Rett Butler miękkim akcentem, wyraźnie świadczącym o jego pochodzeniu, i nie zmienił pozycji ani nie wyjął nawet rąk z kieszeni — czy mogę powiedzieć słowo? Z zachowania jego podobnie jak z oczu biła pogarda tuszowana pozorami uprzejmości, która w dziwny sposób ośmieszała zachowanie się reszty mężczyzn.

Cała grupa zwróciła się ku niemu z grzecznością zawsze należną obcemu.

— Czy ktokolwiek z was, panowie, pomyślał o tym, że na południe od linii Mason-Dixona nie ma ani jednej fabryki broni? Albo o tym, ile jest na Południu odlewni żelaza? Albo przędzalni wełny, bawełny i garbarni? Czy uświadomili sobie panowie, że nie mamy ani jednego okrętu wojennego i że flota Jankesów zamknie nam w ciągu tygodnia wszystkie porty, tak że nie będziemy mogli wywozić naszej bawełny za granicę? Oczywiście, pewien jestem, że panowie już o tym pomyśleli.

„Ależ on najwyraźniej uważa, że nasi chłopcy to banda głupców!” — pomyślała Scarlett z oburzeniem i krew uderzyła jej na policzki.

Widocznie myśl ta nasunęła się nie tylko jej jednej, bo niektórzy młodzi ludzie zaczęli srożyć się marsowo. Jan Wilkes niby niechcący wrócił szybko na poprzednie swoje miejsce obok gościa, jak gdyby przypominając obecnym, że człowiek ten jest obcym i że w towarzystwie znajdują się damy.

— Bieda z większością nas południowców jest w tym — ciągnął dalej Rett Butler — że albo mało podróżujemy, albo mało korzyści wynosimy z naszych podróży. Rozumie się, że wszyscy panowie wiele podróżowali. Ale co panowie widzieli? Europę, Nowy Jork i Filadelfię, panie zaś były oczywiście w Saratoga — w tym miejscu skłonił się lekko grupie dam w altanie. — Widzieli panowie hotele i muzea, bale i domy gry. I wróciliście do domu przekonani, że nie ma takiego miejsca na świecie jak nasze Południe. Jeżeli chodzi o mnie, to urodziłem się w Charlestonie, ale ostatnich kilka lat spędziłem na Północy. — Jego białe zęby odsłoniły się w uśmiechu, jak gdyby zdawał sobie sprawę z tego, że wszyscy obecni wiedzą, dlaczego nie mieszka już w Charlestonie, i wcale się tym nie przejmował. — Widziałem wiele rzeczy, których nikt z państwa nie widział. Tysiące emigrantów, którzy z ochotą będą walczyć za Jankesów, za wikt i kilka dolarów, fabryki, odlewnie, stocznie, kopalnie żelaza i węgla. Wszystko to, czego my nie mamy. Bo my przecież mamy jedynie bawełnę, niewolników i pewność siebie. Nie my Jankesów, lecz Jankesi nas pokonają w miesiąc.

Przez długą chwilę panowało naprężone milczenie. Rett Butler wyjął cienką batystową chustką z kieszeni marynarki i niedbale strząsał sobie jakieś pyłki z rękawa. Naraz złowróżbny szmer rozległ się wśród zebranych, spod altany zaś doszedł dźwięk podobny do brzęczenia ula rozdrażnionych pszczół. Mimo że Scarlett czuła, iż gorąca krew oburzenia pali jej policzki, rozsądnie podchodząc do sprawy musiała przyznać, że człowiek ten ma racje i że to, co mówi, brzmi sensownie. Nigdy w swoim życiu nie widziała fabryki ani nie znała nikogo, kto by miał fabrykę. Choćby jednak słowa Butlera były prawdą — jako dżentelmen nie miał prawa wygłaszać podobnych poglądów, i to w dodatku w towarzystwie, kiedy każdy chciał się jak najlepiej bawić.

Stuart Tarleton namarszczywszy czoło wysunął się naprzód, a tuż za nim Brent. Bracia byli doskonale wychowani, więc można było być pewnym, że na barbakoi nie zrobią sceny, choćby byli do niej sprowokowani. Mimo to jednak wszystkie panie uczuły przyjemne podniecenie, bo nieczęsto miały sposobność widzieć kłótnie czy bójki. Zwykle słyszały o tym z trzecich ust.

— Panie — rzekł Stuart z naciskiem — jak pan to rozumie?

Rett popatrzył na niego uprzejmie, ale drwiąco.

— Rozumiem to — odrzekł — tak jak Napoleon, o którym pan może słyszał, a który kiedyś powiedział: „Bóg jest po stronie najsilniejszej armii!” — I zwracając się do Jana Wilkesa rzekł z uprzejmością wcale nie udaną: — Przyrzekł pan pokazać mi swoją bibliotekę. Czy bardzo panu nie na rękę, abym obejrzał ją teraz? Obawiam się, że będę musiał wrócić do Jonesboro wcześnie przed wieczorem, bo mam tam jeszcze coś do załatwienia.

Odwrócił się ku zebranym, stuknął obcasami i skłonił się jak profesor tańca, bardzo szarmancko jak na tak wysokiego mężczyznę i z taką impertynencją, jak gdyby wymierzył policzek. Potem w towarzystwie Jana Wilkesa przeszedł trawnik, wysoko unosząc swoją ciemną głowę, a dźwięk jego nieprzyjemnego śmiechu doszedł wyraźnie do gości zgromadzonych przy stołach.

Zapanowało zdumione milczenie, potem zaś rozległy się szmery.

India leniwie wstała ze swego miejsca w altanie i skierowała się ku Stuartowi. Scarlett nie słyszała, co mu mówi, ale spojrzenie jej, gdy patrzyła na niego, zbudziło w niej coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Było to takie samo spojrzenie jak to, które Melania zwracała na Ashleya, ale Stuart nie zrozumiał go wcale. A zatem India kochała Stuarta. Scarlett pomyślała nagle, że gdyby tak wyzywająco nie flirtowała ze Stuartem na zebraniu politycznym rok temu, Stuart byłby się dawno z Indią ożenił. Po chwili jednak wyrzuty te rozwiały się pod wpływem nowej myśli, że nie jest jej winą, jeżeli inne dziewczyny nie umieją utrzymać przy sobie swoich wielbicieli.

Stuart uśmiechnął się wreszcie do Indii wymuszonym uśmiechem i skinął głową. India prosiła go prawdopodobnie, aby nie szedł za panem Butlerem i nie robił awantury. Pod drzewem zapanował teraz lekki zamęt, bo goście poczęli wstawać i strząsać okruszynki. Mężatki zwoływały piastunki i małe dzieci i zbierały swój przychówek, aby przygotować się do odjazdu, a grupy dziewcząt śmiejąc się i rozmawiając kierowały się w stronę domu, aby poplotkować w sypialniach i zdrzemnąć się trochę przed balem.

Wszystkie panie z wyjątkiem pani Tarleton opuściły plac na tyłach domu, oddając miejsca w altanie i pod drzewami do dyspozycji mężczyzn. Panią Tarleton zatrzymał Gerald, pan Calvert i inni panowie, którzy chcieli otrzymać od niej odpowiedź w sprawie koni dla Oddziału.

Ashley zbliżył się do Karola i Scarlett uśmiechając się w zamyśleniu.

— Zuchwały człowiek, prawda? — zauważył patrząc za odchodzącym Butlerem. — Wygląda jak jeden z Borgiów.

Scarlett zaczęła szybko zbierać myśli, ale nie mogła sobie przypomnieć rodziny w powiecie, Atlancie czy Savannah, która by nosiła to nazwisko.

— Nie znam ich. Czy jest ich krewnym? Kim oni są?

Twarz Karola przybrała dziwny wyraz: niedowierzanie walczyło na niej ze wstydem i miłością. Zwyciężyła miłość, ponieważ zdał sobie sprawę z tego, że gdy dziewczyna jest słodka, łagodna i piękna, może nie posiadać wykształcenia, które by tylko szkodziło jej wdziękom. Odpowiedział więc szybko: — Borgiowie byli Włochami.

— Ach — rzekła Scarlett, już bez zainteresowania — a zatem cudzoziemcami.

Zwróciła się z najpiękniejszym z uśmiechów do Ashleya, on jednak z jakiejś sobie tylko znanej przyczyny nie patrzył na nią wcale. Patrzył na Karola i na twarzy jego malowało się zrozumienie i jakby litość.

Scarlett stała na klatce schodowej i przez poręcz patrzyła na hall. Był zupełnie pusty. Z sypialni o piętro wyżej dochodził nie kończący się gwar głosów, podnoszących się i opadających, przerywany wybuchami śmiechu i okrzykami: „Nie, nie wierzę, żeś to zrobiła!” i „A co on wtedy powiedział?” Na łóżkach i na sofach w sześciu wielkich sypialniach dziewczęta układały się na spoczynek, zdjąwszy suknie, rozluźniwszy gorsety, porozpuszczawszy włosy. Drzemka popołudniowa była powszechnym zwyczajem w okolicy i nigdy nie była bardziej konieczna niż podczas całodziennych zebrań towarzyskich, zaczynających się wczesnym rankiem, a kończących balem trwającym do późnej nocy. Przez pół godziny dziewczęta gadały i śmiały się, potem służące zamykały okiennice, w ciepłym półmroku rozmowy przycichały do szeptów i wreszcie zalegało milczenie, przerywane cichymi, regularnymi oddechami.

Scarlett upewniła się, że Melania leży na łóżku z Hetty Tarleton i Honey, potem zaś wyśliznęła się z pokoju i zeszła o piętro niżej. Z okna mogła widzieć mężczyzn siedzących w altanie i pijących z wysokich szklanek, wiedziała więc, że nie ruszą się stamtąd, aż przed wieczorem. Oczy jej wypatrywały Ashleya, ale nie było go tam widać. Nadsłuchiwała przez chwilę i wreszcie usłyszała jego głos. Stał jeszcze przed frontem domu i żegnał odjeżdżające z dziećmi panie.

Z mocno bijącym sercem Scarlett szybko zeszła na dół. Co będzie, jeżeli spotka teraz pana Wilkesa? Co powie na usprawiedliwienie swego kręcenia się po domu, kiedy inne dziewczęta odpoczywają? Trudno — musi zaryzykować.

Kiedy doszła do ostatniego stopnia, usłyszała, że służba, krzątająca się w jadalni pod rozkazami lokaja, przenosi stoły i krzesła, aby zrobić miejsce do tańca. Drzwi do biblioteki po drugiej stronie obszernego hallu były uchylone — tam więc wsunęła się cichutko. Chciała tu poczekać, aż Ashley pożegna gości, i zawołać go, kiedy wejdzie do domu.

Biblioteka pogrążona była w półmroku, bo okna były zasłonięte. Mroczny pokój o wysokich półkach, pełnych książek w ciemnych oprawach, podziałał na Scarlett przygnębiająco. Nie było to nazbyt odpowiednie miejsce dla takiego spotkania. Wielka ilość książek zawsze ją przygnębiała, podobnie jak ludzie, którzy lubili czytać. To znaczy wszyscy tacy ludzie z wyjątkiem Ashleya. Drogę w półcieniu zagradzały jej wysokie meble, głębokie fotele o wysokich oparciach i szerokich poręczach, specjalnie jak gdyby wykonane dla rosłych Wilkesów, i miękkie, niskie, aksamitne fotele z aksamitnymi podnóżkami — przeznaczone dla dziewcząt. W znacznej odległości, po przeciwnej stronie podłużnego pokoju stała przed kominkiem wielka kanapa, ulubione miejsce Ashleya a jej wysokie oparcie wyglądało, jak olbrzymie jakieś, śpiące zwierzę.

Scarlett przymknęła za sobą drzwi zostawiając tylko małą szparkę i starała się zapanować nad przyśpieszonym biciem serca. Usiłowała przypomnieć sobie, co ubiegłej nocy umyśliła powiedzieć Ashleyowi, ale na próżno — nic już nie pamiętała. Czy obmyśliła coś sobie i zapomniała, czy też planowała tylko, że to Ashley jej coś powie? Nie przypominała sobie nic i zimny strach obleciał ją nagle. Gdyby tylko serce przestało jej tak mocno walić, może by mogła coś sobie teraz uplanować. Ale szybkie uderzenia wzmogły się jeszcze, gdy usłyszała, że Ashley pożegnawszy wszystkich wchodzi do hallu frontowego.

Pamiętała jedynie, że go kocha — że kocha w nim wszystko, od wyniosłego osadzenia dumnej głowy począwszy, aż po nogi w zgrabnych wąskich butach, że kocha nawet jego drwiący chwilami śmiech i nawet niezrozumiałe milczenie. Och, gdybyż tylko wszedł teraz po prostu i wziął ją w ramiona, tak aby nic nie musiała mówić! Przecież Ashley ją kocha! — Może gdybym się pomodliła... — Przycisnęła palcami powieki i zaczęła mamrotać do siebie: — Zdrowaś Maria, łaskiś pełna...

— Cóż to, Scarlett — usłyszała głos Ashleya, docierający do niej, mimo że zaszumiało jej w uszach. Pogrążyło ją to w ostateczne zakłopotanie. Stał w hallu i patrzył na nią przez pół otwarte drzwi z drwiącym uśmiechem na ustach.

— Przed kim się tutaj kryjesz, przed Karolem czy przed Tarletonami?

Głośno przełknęła ślinę. A więc zauważył, jak chłopcy cisnęli się dokoła niej! Jakże go kochała teraz, kiedy stał tak z przymrużonymi oczyma, nie widząc zupełnie jej zmieszania. Nie mogła mówić, wysunęła tylko dłoń i wciągnęła go do pokoju. Wszedł, zdziwiony i zaciekawiony. Wyczuwał w niej jakieś naprężenie, oczy jej płonęły dziwnie, jak nigdy przedtem, i nawet w półmroku widać było, że policzki jej pokryte są rumieńcami. Machinalnie zamknął za sobą drzwi i wziął ją za rękę.

— O co chodzi? — zapytał prawie szeptem.

Od dotknięcia jego ręki zaczęła drżeć. A więc wszystko zdarzy się rzeczywiście, tak jak to sobie wymarzyła... Mnóstwo skłębionych myśli przemknęło jej przez głowę, ale żadna nie dała się zamienić w słowa. Drżała więc tylko i patrzyła mu w oczy. Dlaczego nic nie mówi?

— O co chodzi? — powtórzył. — Czy chcesz mi powierzyć jakiś sekret?

Nagle odzyskała mowę, równie nagle opadły z niej wpajane przez całe lata nauki Ellen; szczera irlandzka natura Geralda przemówiła przez usta córki.

— Tak, sekret. Kocham cię.

Przez chwilę zapanowało milczenie tak ostre, że wydawać się mogło, iż żadne z nich nie oddycha. Potem Scarlett przestała drżeć, a wypełniło ją szczęście i duma. Czemu nie powiedziała mu tego wcześniej? O ile by to było prostsze niż te dystyngowane sztuczki, których ją uczono! Oczy jej spoczęły na jego oczach.

Malowała się w nich konsternacja, niedowierzanie i jeszcze coś — co też to takiego było? Tak! To Gerald wyglądał podobnie, gdy ulubiony jego koń złamał pewnego dnia nogę, gdy musiał go własnoręcznie zastrzelić. Cóż za głupia myśl. Dlaczego jednak Ashley wyglądał tak dziwnie i nic nie mówił? Naraz twarz jego oblekła się w maskę: uśmiechnął się uprzejmie.

— Czy nie wystarczy ci, że zdobyłaś sobie serca wszystkich innych obecnych tu mężczyzn? — rzekł ze znaną jej uprzejmą, drwiącą nutką w głosie. — Czy chcesz, aby i mnie w tej liczbie nie zabrakło? Wiesz przecież dobrze, że moje serce zawsze należało do ciebie. Ostrzyłaś sobie na nim zęby.

Coś się popsuło — popsuło na zawsze! Nie tak to sobie wszystko wyobrażała. W szalonym młyńcu myśli krążących bezładnie po jej mózgu — jedna zaczynała przybierać formę. Z jakiegoś powodu... Ashley udawał, że uważa, iż Scarlett bawi się z nim teraz. Wiedział jednak, że tak nie jest. Scarlett wyczuwała to dokładnie.

— Ashley, Ashley! Powiedz mi... musisz... och, nie dokuczaj mi teraz! Czy serce twoje należy do mnie? Och, mój drogi, ja koch...

Szybko zakrył jej ręką usta. Maska opadła.

— Nie powinnaś mówić takich rzeczy, Scarlett! Nie wolno ci. Nie myślisz tego serio. Znienawidzisz siebie za to, żeś je mówiła i mnie za to, że je słyszałem.

Odrzuciła głowę do tylu. Gorący, szybki prąd przeszedł po niej,

— Nie potrafię cię nigdy znienawidzić. Mówię ci, że cię kocham, i wiem, że zależy ci na mojej miłości, bo... — Przerwała. Nigdy dotąd nie widziała takiego bólu w twarzy ludzkiej. — Ashleyu, prawda, że zależy ci na mojej miłości, powiedz?

— Tak — rzekł głucho. — Tak, Scarlett.

Gdyby powiedział, że ją nienawidzi, nie przeraziłaby się więcej. Skubała nitki z jego rękawa, nie mogąc wydobyć głosu.

— Scarlett — powiedział — czy nie możemy odejść stąd teraz i zapomnieć, że kiedykolwiek powiedzieliśmy sobie te słowa?

— Nie — wyszeptała. — Ja nie mogę... Jak to rozumiesz? Czy rzeczywiście nie chcesz mnie poślubić?

— Żenię się z Melanią — odrzekł.

Teraz dopiero spostrzegła, że siedzi w niskim, aksamitnym fotelu, Ashley zaś spoczywający u jej stóp trzyma obie jej ręce w swoich i mocno ściska. Mówił jakieś rzeczy — rzeczy, które nie miały znaczenia. Głowa jej była teraz pusta, pusta bez ani jednej z tych myśli, które szalały w niej jeszcze przed chwilą — słowa zaś jego nie zostawiały większego śladu niż deszcz spływający po szkle. Trafiały do głuchych uszu — słowa szybkie, czułe i pełne litości, jak gdyby to ojciec kierował je do zbolałego dziecka.

Przyszła do siebie na dźwięk imienia Melanii i spojrzała w przejrzyste, szare oczy Ashleya. Ujrzała malującą się w nich tę dziwną obcość, która tak ją zawsze przerażała i... jakby wstręt jakiś do samego siebie.

— Ojciec ogłosi nasze zaręczyny wieczorem. Ślub ma się odbyć prędko. Byłbym ci to powiedział, ale myślałem, że wiesz... Myślałem, że wszyscy o tym wiedzą... od wielu lat. Nigdy nie przypuszczałem, abyś ty... Masz tylu adoratorów. Myślałem, że Stuart...

Życie, czucie i rozumienie z wolna wracały do niej.

— Ale powiedziałeś przed chwilą, że zależy ci na mojej miłości.

Ciepłe jego ręce zacisnęły się na jej dłoniach.

— Droga moja, czy chcesz koniecznie, abym mówił ci rzeczy, które cię dotkną?

Milczenie jej zaciążyło na nim.

— Co mam zrobić, abyś mogła zrozumieć? Ty, która jesteś taka młoda i niedoświadczona, nie możesz sobie wcale zdać sprawy z tego, czym jest małżeństwo.

— Wystarczy mi, że cię kocham.

— Miłość to nie dosyć, aby być w małżeństwie szczęśliwym, gdy dwoje ludzi tak się od siebie różni, jak ty i ja. Ty chciałabyś mieć w mężczyźnie wszystko, Scarlett — jego ciało, serce, duszę, myśli. A gdybyś ich mieć nie mogła, czułabyś się nieszczęśliwa. Ja zaś nie mógłbym ci oddać całego siebie. Nie mógłbym oddać całego siebie nikomu. Nie chciałbym też całej twojej duszy i całego umysłu. Ty zaś byłabyś tym dotknięta i musiałabyś mnie znienawidzić — i to gorzko! Znienawidziłabyś książki, które czytam, i muzykę, którą lubię, bo zabierałaby mnie od ciebie, choćby tylko na chwilę. A ja, może ja...

— Czy ty ją kochasz?

— Melania podobna jest do mnie, pochodzi z tej samej rodziny, rozumiemy się dobrze: Scarlett! Scarlett! Czy nie potrafisz zrozumieć, że para małżeńska nie może żyć ze sobą we względnym spokoju, jeżeli mąż i żona nie są do siebie podobni?

Ktoś już to jej kiedyś powiedział: „Pobierać się ze sobą muszą ludzie podobni, bo inaczej nie ma szczęścia!” Kto to był? Wydawało jej się, jakby to słyszała milion lat temu, ale to i tak nie miało znaczenia.

— Ale mówiłeś przecie, że nie jestem ci obojętna.

— Nie powinienem był tego powiedzieć.

Gdzieś w głębi jej mózgu rozżarzył się jakiś płomień i złość zaczęła górować nad wszystkim innym.

— No, ale skoro byłeś już tak przewrotny, żeś to powiedział...

Twarz jego pobladła.

— Byłem przewrotny, że to powiedziałem, ponieważ wiem, że żenię się z Melanią. Skrzywdziłem ciebie, a więcej jeszcze Mellanię. Nie powinienem był tego powiedzieć, ponieważ czułem, że mnie nie zrozumiesz. Jakże mogę nie kochać ciebie, która ma tę pasję życiową, jakiej mnie brak zupełnie... Ciebie, która może kochać i nienawidzić z namiętnością, na jaką mnie nie stać... Ty jesteś pierwotna jak ogień, wiatr i dzika natura, a ja...

Pomyślała o Melanii i wyobraziła sobie jej łagodne brązowe oczy o rozmarzonym spojrzeniu, jej spokojne małe rączki w czarnych koronkowych mitenkach, jej wyrozumiałe milczenie. I nagle obudziła się w niej ta sama wściekłość, która Geralda skłoniła do zabójstwa, a irlandzkich jej przodków pchała do czynów, które przypłacali gardłem. Nic w niej nie zostało po dobrze wychowanych Robillardach, którzy obojętnym milczeniem przyjmowali wszystkie przeciwności losu.

— Dlaczego nie mówisz jaśniej, ty tchórzu! Boisz się małżeństwa ze mną! Wolisz żyć z tą głupią, małą dziewczyną, która nie umie ust otworzyć, chyba żeby powiedzieć „Tak” lub „Nie”, wolisz płodzić z nią podobne do niej, wylęknione bachory! Dlaczego...

— Nie mów tak o Melanii!

— Nie ty mi będziesz zabraniał! Jakim prawem mógłbyś mi zabronić? Ty tchórzu! Utrzymywałeś mnie w przekonaniu, że się ze mną ożenisz...

— Bądź sprawiedliwa — łagodził. — Czy kiedykolwiek...

Nie chciała być sprawiedliwa, mimo iż wiedziała, że Ashley ma rację. Nigdy w stosunku do niej nie przekroczył granic przyjaźni. Kiedy pomyślała o tym, nowy gniew ją ogarnął, gniew zranionej dumy i kobiecej próżności. Narzucała mu się, a on nie dbał o nią wcale. Wolał od niej wybladłą idiotkę Melanię. Och, po stokroć lepiej byłoby, gdyby posłuchała przykazań Ellen i Mammy i nigdy, nigdy nie dała mu nawet poznać, że go lubi — wszystko byłoby lepsze od tego palącego wstydu!

Skoczyła na równo nogi, z zaciśniętymi dłońmi, i on także wstał — a twarz jego wyrażała niemy ból człowieka, który musi patrzeć w oczy bolesnej ponad miarę rzeczywistości.

— Będę cię nienawidziła do samej śmierci, ty tchórzu, ty podły, nikczemny... — Jakie by mu powiedzieć słowa? Nie przychodziło jej na myśl nic dostatecznie strasznego.

— Scarlett, proszę cię...

Wyciągnął ku niej rękę, ona jednak nie zastanawiając się uderzyła go w twarz z taką siłą, na jaką było ją stać. Policzek rozległ się w cichym pokoju jak trzaśniecie z bata; wściekłość Scarlett minęła od razu i serce jej wypełniło się rozpaczą.

Czerwony znak od uderzenia widać było wyraźnie na białej, zmęczonej twarzy Ashleya. Nic nie powiedział, tylko podniósł jej bezwładną dłoń do ust i pocałował. Potem wyszedł z pokoju, zanim mogła coś powiedzieć, i cicho zamknął za sobą drzwi.

Scarlett usiadła; reakcja po ataku wściekłości podcięła jej zupełnie kolana. Ashleya nie było — ale pamięć o jego twarzy, którą uderzyła, będzie ją prześladowała do samej śmierci.

Słyszała, jak stłumione jego kroki cichły w długim korytarzu; w owej chwili dopiero uprzytomniła sobie całą brzydotę swego postępowania. Straciła go na zawsze. Teraz będzie ją nienawidził i ilekroć spojrzy na nią, będzie pamiętał, jak mu się narzucała, mimo że nie dawał jej żadnej zachęty.

„Jestem wcale nie lepsza od Honey” — pomyślała nagle, uświadamiając sobie, jak wszyscy, a najbardziej ona, śmieli się lekceważąco z postępowania Honey. Przypomniała sobie niezdarne jej zachody i głupie szczebioty, gdy zdołała się uwiesić u ramienia chłopca, i myśl ta znowu wywołała w niej wściekłość na siebie samą, na Ashleya, na cały świat. Ponieważ nienawidziła siebie, nienawidziła wszystkich ludzi z całą furią odrzuconej i zdeptanej miłości szesnastolatki. W uczuciu jej mało było prawdziwej czułości i ciepła. Składała się na nie głównie próżność i ślepe zaufanie do własnych wdzięków. Teraz przegrała z kretesem, bardziej jednak dominującą od żalu z powodu poniesionej klęski była obawa, że wystawiła się na pośmiewisko. Czy naprawdę okazała się tak natarczywa jak Honey? Czy wszyscy się z niej już śmieją? Zaczęła drżeć na samą myśl o tym.

Dłoń jej osunęła się na mały stoliczek. Niechcący zaczęła się bawić małym wazonikiem porcelanowym, na którym wdzięczyły się dwa amorki. Pokój był tak cichy, że byłaby najchętniej krzyknęła, aby przerwać to nieznośne milczenie. Musiała coś zrobić, aby nie zwariować. Podniosła wazonik i rzuciła go przez cały pokój w kierunku kominka. Przeleciał tuż nad wysoką poręczą kanapy i rozbił się z lekkim szczękiem o marmur kominka.

— Tego już za wiele — odezwał się jakiś głos zza kanapy.

Nic nigdy w życiu nie przeraziło jej ani nie zdumiało tak bardzo. Z przerażenia zaschło jej w gardle i nie mogła wydobyć głosu. Złapała się poręczy fotela, gdy zaś Rett Butler podniósł się z kanapy, na której leżał, i skłonił przed nią z przesadną grzecznością, zrobiło jej się słabo.

— Nie dość, że przerwano mi popołudniową drzemkę sceną, której zmuszony byłem wysłuchać, dlaczego jeszcze życie moje ma być narażone na niebezpieczeństwo?

Nie był duchem. Stał tam naprawdę. A więc w imię wszystkich świętych, musiał wszystko słyszeć!

Resztkami sił Scarlett starała się nad sobą zapanować.

— Panie, powinien pan był wcześniej zdradzić swoją obecność!

— Doprawdy? — Białe jego zęby błyszczały w uśmiechu, a zuchwałe, ciemne oczy śmiały się do niej. — To pani jednak była intruzem. Muszę czekać na pana Kennedy’ego, a czując, że stałem się na dworze personą non grata, pomyślałem, że lepiej moją niemiłą obecność przenieść tutaj, gdzie przynajmniej nikt mi nie będzie przeszkadzał. Niestety jednak! — wzruszył ramionami i zaśmiał się cicho.

Pasja znowu zagrała w niej na myśl, że ten źle wychowany i impertynencki mężczyzna słyszał wszystko — słyszał słowa, które chciałaby wymazać choćby za cenę życia!

— Podsłuchiwanie... — zaczęła wściekle.

— Podsłuchiwanie bywa czasem wysoce zajmującym i kształcącym zajęciem — śmiał się. — Z długiego doświadczenia w podsłuchiwaniu mogę...

— Panie — powiedziała — nie jest pan dżentelmenem!

— Bardzo słuszna uwaga — odpowiedział niedbale. — A pani, panno O’Hara, nie jest damą. — Mogło się wydawać, że bawi się doskonale w jej towarzystwie, bo znowu zaśmiał się cicho. — Żadna kobieta nie może pozostać damą powiedziawszy i zrobiwszy to, czego byłem świadkiem. Muszę jednak stwierdzić, że damy nigdy mnie zbytnio nie pociągały. Wiem, co sobie myślą, ale zawsze brak im odwagi czy też zbyt są dobrze wychowane, aby mówić prawdę. To zaś czasem staje się nudne. Ale pani, droga panno O’Hara, jest dziewczyną o bardzo rzadkiej, wspaniałej odwadze, chylę więc przed panią czoło. Trudno mi zrozumieć, jakie powaby może mieć wytworny pan Wilkes dla osoby o pani burzliwym temperamencie. Powinien był dziękować Bogu na klęczkach za dziewczynę z taką jak pani — jak się wyraził — „pasją życiową

„, ale ponieważ jest ślamazarnym głupcem...

— Pan niewart jest butów mu czyścić! — wykrzyknęła z pasją.

— A miała go pani przecież nienawidzić do samej śmierci! — opadł na kanapę i zaśmiał się głośno.

Gdyby mogła go zabić, zrobiłaby to z rozkoszą. Zamiast tego jednak opuściła pokój z godnością, na jaką było ją stać, i mocno zatrzasnęła za sobą ciężkie drzwi.

Biegła po schodach tak szybko, ze kiedy doszła do ich szczytu, zdawało jej się, że zemdleje. Przystanęła opierając się o poręcz, serce biło jej ze złości, upokorzenia i wysiłku tak mocno, że rozsadzało stanik. Starała się głęboko oddychać, ale Mammy zanadto ją ścisnęła gorsetem. Jeżeli zemdleje i ludzie znajdą ją tutaj na schodach, co sobie pomyślą? Och, niech myślą, co chcą; Ashley i ten Butler, i te głupie dziewczyny, które tak są o nią zazdrosne! Po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie nosi przy sobie soli trzeźwiących, jak inne dziewczęta — ale nie miała nawet własnego flakonika. Tak się zawsze szczyciła, ze nigdy jej się w głowie nie kręci. W żaden sposób nie wolno jej teraz zemdleć!

Stopniowo uczucie słabości zaczęło ustępować. Już za minutę będzie się czuła zupełnie dobrze i wtedy wsunie się cicho do małej garderoby przy sypialni Indii, rozluźni gorset, wejdzie do pokoju i położy się na którymś z łóżek obok śpiących dziewcząt. Starała się uspokoić serce, bo czuła, że wygląda jak szalona. Jeżeli choć jedna z dziewcząt jeszcze nie śpi, domyśli się od razu, że stało się coś złego. A nikt, nikt na świecie nie powinien wiedzieć, że się coś stało.

Przez duże okno klatki schodowej widziała mężczyzn siedzących jeszcze na krzesłach pod drzewami i w altanie. Jakże im zazdrościła! Jak to musi być wspaniale, kiedy się jest mężczyzną i nigdy nie przeżywa takich upokorzeń jak to, które ją spotkało. Gdy tak im się przyglądała wpółprzytomna i zgorączkowana, usłyszała, że ktoś podnieconym głosem pytał o coś któregoś z Murzynów. Żwir zazgrzytał znowu i przed oczyma jej przemknął jeździec, który skierował się w stronę grup rozleniwionych mężczyzn pod drzewami.

Pewno jakiś spóźniony gość — dlaczego jednak przejechał przez trawnik, który był dumą Indii? Nie mogła go poznać, ale gdy zeskoczył z konia i schwycił Jana Wilkesa za ramię, widziała, że na twarzy jego maluje się podniecenie. Tłum mężczyzn zebrał się dokoła niego, wysokie szklanki stawiano bezładnie na stoły i ziemię, odkładano wachlarze z liści palmowych. Mimo odległości słyszała gwar głosów, pytań, wołań, wyczuwała gorączkowe napięcie mężczyzn. Potem ponad zmieszane dźwięki wybił się głos Stuarta Tarletona w tryumfalnym krzyku: „Jii — aaj — iij”, jak gdyby nawoływał kogoś na polowanie. Scarlett nie wiedząc o tym, usłyszała wtedy po raz pierwszy okrzyk powstańców.

Kiedy się tak przypatrywała, czterej Tarletonowie, za nimi zaś bracia Fontaine odłączyli się od reszty gości i pobiegli w stronę stajni, wrzeszcząc na cały głos: — Jeems! Hej, Jeems! Siodłaj konie!

„Pożar musiał gdzieś wybuchnąć” — pomyślała Scarlett. Ale pożar czy nie pożar, jej zadaniem było przedostać się do sypialni, zanim zostanie odkryta.

Serce jej biło teraz mniej silnie; na palcach przeszła przez cichy hali. Ciężka, ciepła senność rozlała się po domu, który zdawał się spać tak spokojnie jak dziewczęta i wypoczywać przed wieczorem, gdy stanie w całej swej krasie — pełen muzyki i blasku świec. Scarlett uchyliła ostrożnie drzwi ubieralni i wsunęła się do pokoju. Rękę jeszcze miała na klamce, gdy przez szparę przeciwległych, prowadzących do sypialni drzwi doszedł jej uszu cichy szept Honey Wilkes.

— Uważam, że Scarlett zachowywała się dzisiaj bardzo nieodpowiednio.

Scarlett poczuła, że serce jej znowu zaczyna bić niespokojnie, i przyłożyła doń bezwiednie rękę, jak gdyby, chcąc je tym naciskiem ukoić. „Podsłuchiwanie bywa często bardzo pouczającym zajęciem” — zabrzmiało jej w pamięci. Czy miała się cofnąć Czy dać poznać swoją obecność i zawstydzić Honey, co by jej się słusznie należało? Następny głos wstrzymał ją od tego zamiaru. Zaprząg mułów nie mógłby jej z miejsca poruszyć, usłyszała bowiem głos Melanii.

— Och, Honey, przestań! Nie bądź niesprawiedliwa. Ona jest po prostu wesoła i żywa. Uważam, że jest czarująca.

„Och — pomyślała Scarlett wbijając paznokcie w stanik. — Żeby się ta wyblakła smarkula wstawiała za mną!”

To było trudniejsze do zniesienia niż obmowa Honey. Scarlett nigdy nie wierzyła żadnej kobiecie i nigdy żadnej kobiecie, z wyjątkiem swojej matki, nie przypisywała innych motywów postępowania niż egoizm. Melania wiedziała, że może być pewna Ashleya, i dlatego mogła sobie pozwolić na udawanie takiej dobroci. Scarlett nie miała wątpliwości, iż Melania w ten sposób szczyci się swoją zdobyczą i zdobywa uznanie za to, że tak jest miła. Scarlett często używała tych samych chwytów w rozmowie z mężczyznami o innych dziewczynach i zawsze udawało jej się przekonać głupich chłopców o swojej słodyczy i dobroci.

— No, moja droga — rzekła Honey złośliwie — ty chyba jesteś ślepa.

— Cicho, Honey — zabrzmiał głos Sally Munroe. — Słychać cię w całym domu.

Honey ściszyła głos, ale ciągnęła dalej:

— Widziałyście przecie same, że flirtowała z każdym, z kim się dało, nawet z panem Kennedym, który adoruje jej własną siostrę. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam! I Karolowi też zawracała głowę — Honey zachichotała z zakłopotaniem. — A wiecie przecież, że Karol i ja...

— Czy rzeczywiście? — zaszeptały zgorączkowane głosy.

— No, nie mówcie nikomu, dziewczynki... jeszcze nie! Znowu zabrzmiały chichoty i łóżko zaskrzypiało, jak gdyby ktoś obejmował Honey. Melania zdaje się wyszeptała, że jest bardzo szczęśliwa, iż Honey będzie jej siostrą.

— Za to ja wcale nie będę zadowolona, że Scarlett będzie moją siostrą, bo to jest największa flirciara, jaką świat widział — rzekł zasmucony głos Hetty Tarleton.

— Ona jest już prawie zaręczona ze Stuartem. Brent wprawie mówi, że ona wcale o Stuarta nie dba, ale to dlatego, że Brent jest w niej także zakochany.

— Jeżeli chcecie znać moje zdanie — rzekła Honey z tajemniczą powagą — to oświadczam wam, że jest tylko jeden chłopiec, który się Scarlett podoba. Jest nim Ashley!

Kiedy szepty znowu zlały się razem, gwałtownie, pytająco, Scarlett poczuła, że przechodzi ją dreszcz obawy i upokorzenia. Honey była głupia, nie umiała się obchodzić z mężczyznami, ale posiadała kobiecą intuicję, której Scarlett nie doceniała. Przykrość i ból, jakie przecierpiała w bibliotece w obecności Ashleya i Retta Butlera, były niczym w porównaniu z tym. Mężczyznom można było ufać, że będą dyskretni, nawet mężczyznom takim pan Butler, ale jeżeli Honey Wilkes zacznie ujadać jak pies na polowaniu, cała okolica będzie wiedziała o wszystkim jeszcze przed wieczorem. A Gerald dopiero wczoraj mówił, że nie życzy sobie, aby cały świat śmiał się z jego córki! To się dopiero będą śmieli! Poczuła strużki potu na plecach.

Głos Melanii, spokojny, opanowany, trochę karcący, wybił się ponad inne:

— Honey, wiesz przecie dobrze, że tak nie jest. I dlatego brzydko, że tak mówisz.

— A właśnie, że tak jest, Melu, i gdybyś nie była tak bardzo zajęta wyszukiwaniem dobra w osobach, które wcale dobre nie są, z pewnością byś zauważyła. I bardzo się cieszę, że tak jest. To jej dobrze zrobi. Jedyna rzecz, jaką Scarlett O’Hara potrafi robić, to zamęt i odbijanie dziewczętom wielbicieli. Świetnie o tym wiecie, że zabrała Indii Stuarta, mimo że wcale go nie kocha. A dziś starała się nam odbić Kennedy’ego, Ashleya i Karola...

„Muszę wracać do domu! — pomyślała nagle Scarlett. — Chcę do domu!”

Gdybyż tylko mogła magicznym jakimś sposobem przenieść się do Tary, gdzie było bezpiecznie! Gdybyż mogła być z Ellen i patrzeć na nią tylko lub wtulić się w jej suknię, wypłakać się i wykrzyczeć na jej łonie! Jeżeli usłyszy jeszcze jedno słowo, wbiegnie do pokoju i będzie garściami wyrywała jasne, zwichrzone włosy Honey, a na Melanię Hamilton napluje, aby pokazać jej, jak sobie ceni jej litość. Tylko że dziś zachowała się już dość ordynarnie, wcale nie lepiej niż „biała nędza”, i to właśnie było najgorsze.

Przycisnęła rękami spódnicę, aby nie szeleściły, i cofnęła się ukradkiem, jak tropione zwierzę. „Do domu — myślała zbiegając do hallu koło zamkniętych drzwi i cichych pokojów — chcę wracać do domu!”

Była już na frontowym ganku, kiedy nowa myśl wstrzymała ją nagle. Przecież nie może wrócić do domu! Nie wolno jej uciec! Musi przejść przez to piekło, znieść złośliwość dziewcząt, własne upokorzenie i ból. Ucieczka dałaby im jeszcze więcej materiału do plotek.

Biła zaciśniętymi pięściami w wysoką białą kolumnę i żałowała, że nie jest Samsonem, że nie może zburzyć Dwunastu Dębów i pod ich gruzami pogrzebać wszystkich obecnych. Pokaże im jeszcze! Jeszcze pożałują! Nie wiedziała dobrze, jak i co im pokaże, ale chciała to koniecznie zrobić. Dotknie ich dotkliwiej, niż oni ją dotknęli.

Na chwilę zapomniała o Ashleyu jako przedmiocie swojej miłości, przestał być tym wysokim, rozmarzonym chłopcem, którego kochała, i stał się cząstką Wilkesów, Dwunastu Dębów, powiatu — tych wszystkich zaś nienawidziła, ponieważ się z niej śmieli. Próżność była silniejsza od miłości w tym jej szesnastoletnim gorącym sercu, w którym nie było teraz miejsca na nic prócz nienawiści.

„Nie pojadę do domu — postanowiła. — Zostanę tutaj i pokażę im, co umiem. I nigdy nie powiem o niczym mamie. Nie, nie powiem nikomu”. — Postanowiła zawrócić i wejść znowu na górę, do innej sypialni.

Odwracając się zobaczyła Karola wchodzącego do domu z przeciwnej strony długiego hallu. Podbiegł do niej, gdy ją zobaczył. Włosy miał zwichrzone, a twarz purpurową z podniecenia.

— Czy wie pani, co się stało!? — wołał z daleka, zanim jeszcze stanął przy niej. — Czy słyszała pani? Paweł Wilson właśnie przyjechał z Jonesboro z wiadomością!

Przerwał na chwilę, aby złapać oddech. Nic nie odpowiedziała i tylko patrzyła na niego.

— Pan Lincoln zwołuje ochotników, chce zebrać siedemdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy!

Znowu pan Lincoln! Czy mężczyźni rzeczywiście nie mogą się nigdy zdobyć na myślenie o ważniejszych sprawach? Ten dureń zapewne przypuszcza, że teraz, gdy Scarlett ma złamane serce i zaszarganą na zawsze reputację, może ją obchodzić pan Lincoln!

Karol patrzył na nią. Twarz jej była biała jak papier, a wąskie oczy lśniły jak szmaragdy. Nigdy dotąd nie widział takiego ognia w twarzy żadnej dziewczyny, takiego blasku w niczyich oczach.

— Taki ze mnie niezdara — rzekł — powinienem był to pani ostrożniej powiedzieć. Zapomniałem o wrażliwości kobiet. Przepraszam, że panią przestraszyłem. Nie jest pani słabo, prawda? Czy może podać pani szklankę wody?

— Nie — odrzekła i udało jej się zręcznie jakoś uśmiechnąć.

— Może usiądziemy na ławce? — zapytał biorąc ją pod ramie.

Skinęła głową, a on ostrożnie sprowadził ją z frontowych schodów i powiódł przez trawnik do żelaznej ławki, która stała pod najstarszym dębem przed domem. „Jak kruche i czułe są kobiety” — myślał; samo napomknięcie o wojnie i gwałtach przyprawia je o słabość. Pod wpływem tej myśli poczuł się bardzo męskim i starał się być wyjątkowo delikatnym, kiedy pomagał jej usiąść. Wyglądała tak dziwnie, a biała jej twarz promieniała tak niezwykłą pięknością, że serce zabiło mu mocniej. Czy możliwe, aby o niepokój przyprawiła ją myśl, że i on pójdzie na wojnę? Nie, to zarozumiałość z jego strony, żeby coś takiego pomyśleć? Dlaczego jednak Scarlett przyglądała mu się tak dziwnie? I dlaczego drżały jej ręce, gdy gniotła w nich koronkową chusteczkę? Gęste zaś i czarne jej rzęsy trzepotały tak właśnie jak rzęsy panienek w romansach, które czytał — nieśmiało i miłośnie.

Trzy razy odchrząknął i trzy razy chciał zacząć mówić, nie udawało mu się jednak. Spuścił oczy, ponieważ zielone jej spojrzenie przeszyło go na wskroś, zupełnie tak, jak gdyby patrzyła gdzieś poza niego.

„Ma masę pieniędzy — myślała szybko Scarlett układając sobie pewien plan w myślach. — Nie ma rodziców, którzy by się mogli do mnie wtrącać, i mieszka w Atlancie. I gdybym teraz od razu wyszła za niego, pokazałabym Ashleyowi, że nie dbam o niego ani trochę, że tylko zawracam mu głowę. Honey po prostu się wścieknie. Nigdy już, nigdy nie złapie innego i wszyscy będą się z niej śmieli do rozpuku. I Melania zła, bo kocha Karola. I Stuart, i Brent. — Nie wiedziała dokładnie, dlaczego im także chce sprawić przykrość — dlatego chyba jedynie, że mieli wstrętne siostry. — I wszyscy będą źli, kiedy będę przyjeżdżała z wizytami w pięknym powozie, z kuframi pięknych sukien, i będę miała własny dom. I nigdy, już nigdy nikt nie będzie się śmiał ze mnie”.

— Rozumie się, że wszystko to oznacza wojnę — rzekł wreszcie Karol po jeszcze kilku nieudanych próbach. — Ale niech się pani nie martwi, panno Scarlett, wojna skończy się w miesiąc, bo rozbijemy ich w puch! Tak, w puch! Muszę za wszelką cenę sam być przy tym. Zdaje mi się, że bal dzisiejszy będzie nieudany, bo Oddział ma zbiórkę w Jonesboro. Tarletonowie pojechali po okolicy z tą nowiną. Wiem, że wszystkie panie będą tym bardzo zmartwione.

Scarlett powiedziała: — Och — bo nic lepszego nie przychodziło jej na myśl, ale i to wystarczyło.

Powoli przychodziła do siebie i zbierała myśli. Mróz jakiś ściął wszystkie jej uczucia i wydawało jej się, że już nigdy nie będzie się mogła rozgrzać. Czemu by nie wziąć sobie za męża tego ładnego, zarumienionego chłopca? Był nie gorszy od każdego innego, a zresztą było jej wszystko jedno. Nie, już nigdy nic jej nie obejdzie naprawdę, choćby miała dziewięćdziesiąt lat.

— Nie mogę jeszcze teraz zdecydować, czy wyruszyć z legionem Południowej Karoliny pod wodzą pana Wade’a Hamptona, czy z gwardią miasta Atlanty.

Znowu powiedziała „Och”, oczy ich spotkały się i trzepoczące powieki Scarlett podbiły Karola zupełnie.

— Czy poczeka pani na mnie, panno Scarlett? To będzie cud, jeżeli będę miał pewność, że pani czeka na mnie aż do naszego zwycięstwa! — Z zapartym oddechem czekał na jej wyrok, patrząc na kąciki jej warg, po raz pierwszy przyglądając się cieniom dokoła jej ust i myśląc, że bardzo by ją chciał pocałować. Dłoń jej, wilgotna od potu, wsunęła się pod jego dłoń.

— Nie chciałabym czekać — powiedziała i oczy jej zaszły mgłą.

Karol, otworzywszy usta ze zdumienia, mocno ściskał jej rękę. Obserwując go spod spuszczonych powiek Scarlett pomyślała zimno, że wygląda jak żaba. Zająknął się kilka razy, zamknął usta, otworzył je znowu i zarumienił się po uszy.

— Czy wolno mi przypuszczać, że pani mnie kocha?

Nic nie odpowiadając opuściła niżej głowę, Karol zaś ponownie ze stanu ekstazy wpadł w zakłopotanie. Może mężczyzna nie powinien zadawać panience takich pytań? Może nie przystoi jej na nie odpowiadać? Ponieważ Karol nigdy dotąd nie był w takiej sytuacji, nie wiedział teraz, jak ma postąpić. Chciał krzyczy i śpiewać, całować Scarlett i tarzać się po trawie, a potem rozpowiadać wszystkim, białym i czarnym, że Scarlett go kocha. Chwilowo jednak ściskał jej rękę tak mocno, że pierścionki wpijały się w jej ciało.

— Czy chce pani poślubić mnie wkrótce, panno Scarlett?

— Hm — powiedziała wygładzając fałdy sukni.

— Może wobec tego urządzimy podwójne wesele, razem z Mel...

— Nie! — odpowiedziała gwałtownie, a oczy jej zaświeciły złowieszczo. Karol poznał, że znowu zrobił błąd. Rozumie się — każda dziewczyna woli mieć swoje własne wesele — i nie dzielić się z nikim tryumfem. Jakaż ona była miła, że nie zwracała uwagi na jego nietakty. Gdyby było ciemno, miałby chyba więcej odwagi, pocałowałby ją w rękę i powiedział to wszystko, na co miał ochotę.

— Kiedy mógłbym porozmawiać z pani ojcem?

— Im wcześniej, tym lepiej — powiedziała modląc się, aby rozluźnił uścisk jej dłoni i aby nie musiała krzyknąć z bólu.

Karol zerwał się z ławki, a Scarlett myślała przez chwilę, że wywinie koziołka. Opanował się jednak. Spojrzał na nią rozpromienionym wzrokiem, w którym odbijała się cała jego prosta, czysta dusza. Nigdy jeszcze dotąd nikt tak na nią nie patrzył i nikt nie miał nigdy tak na nią patrzyć, w swojej dziwnej obojętności zdołała jednak tylko pomyśleć, że Karol wygląda jak cielak.

— Pójdę teraz i odszukam pani ojca — powiedział cały w uśmiechach. — Nie mogę już czekać. Czy wybaczy mi pani... najdroższa? — To pełne czułości słówko przyszło mu z trudem, ale raz je wypowiedziawszy, powtórzył je znowu z wielką przyjemnością.

— Dobrze — odrzekła — poczekam tutaj. Bardzo tutaj chłodno i przyjemnie.

Przebiegł przez trawnik, nikł za domem i Scarlett została sama pod szumiącym dębem. Mężczyźni odjeżdżali spiesznie sprzed stajen, za nimi zaś służący — Murzyni. Młodzi Munroe’owie wymachiwali na odjezdnym kapeluszami, a Fontaine’owie i Calvertowie śpiewając jechali już gościńcem. Czterej Tarletonowie minęli ją pędem. Brent krzyknął do niej: — Mama daje nam swoje konie! Iii — aaj — ii! — Kępki trawy wzbiły się w powietrze i Scarlett znowu została sama.

Biały dom o wysokich kolumnach wznosił się przed nią, zawinięty w swojej dystyngowanej rezerwie. Już nigdy nie będzie jej domem. Ashley nigdy nie przeniesie jej na rękach przez próg jako swojej oblubienicy. Och, Ashleyu, Ashleyu! Co ja zrobiłam! Głęboko w duszy, pod pokładami zranionej dumy i zimnego wyrachowania, coś boleśnie zadrgało. Rodziło się w niej dojrzałe uczucie, mocniejsze od próżności i upartego egoizmu. Kochała Ashleya, wiedziała, że go kocha, i nigdy bardziej za nim nie tęskniła jak w owej chwili, gdy Karol znikał za zakrętem wąskiej ścieżki.

## ROZDZIAŁ VII

W dwa tygodnie później Scarlett została żoną Karola, w ciągu następnych dwóch miesięcy stała się wdową. Szybko wyzwoliła się z więzów, które nałożyła na siebie tak spiesznie i bez namysłu, ale nigdy już odtąd nie miała zaznać beztroskiej swobody swoich przedmałżeńskich dni. Wdowieństwo nastąpiło natychmiast po pierwszych przeżyciach małżeńskich, ale ku jej przerażeniu i macierzyństwo nie dało na siebie czekać.

W następnych latach swego życia, myśląc o owych ostatnich dniach kwietnia 1861 r., Scarlett nie mogła ich sobie dokładnie przypomnieć. Czas i wydarzenia mieszały się ze sobą, przeplatały jak w koszmarnym, nierealnym i nieprawdopodobnym śnie. A do samej śmierci miała we wspomnieniach tego okresu puste, białe plamy. Szczególnie niejasny był okres między oświadczynami Karola a ślubem. Dwa tygodnie! Tak krótkie zaręczyny byłyby w czasie pokoju niemożliwe. Normalnie musiałyby trwać przez rok albo co najmniej sześć miesięcy. Ale Południe było rozdarte wojną, wypadki następowały po sobie tak szybko, jak gdyby je nanosił silny wiatr, i powolne tempo dawnych dni wydawało się minione na zawsze. Ellen załamywała ręce i doradzała zwłokę, aby Scarlett mogła sobie jeszcze raz w spokoju wszystko przemyśleć. Na rady jej jednak Scarlett była głucha i nieczuła. Musi wyjść za mąż! I to w dodatku prędko. W ciągu dwóch tygodni.

Dowiedziawszy się, że ślub Ashleya został przesunięty z jesieni na dzień pierwszy maja, tak aby Ashley mógł wyruszyć na wojnę, jak tylko Oddział zostanie powołany, Scarlett ustaliła datę swego ślubu o dzień wcześniej. Ellen protestowała, Karol jednak, pełen nagłej wymowy, bardzo nastawał, bo śpieszył się do Południowej Karoliny, gdzie chciał wstąpić do legionu Wade’a Hampna; Gerald popierał oboje młodych. Był podniecony wojną, zadowolony, że Scarlett robi tak dobrą partię, czemu by więc miał stawać na drodze miłości młodych, zwłaszcza w czasie wojny? Ellen przegłosowana, dała w końcu swoją zgodę, jak wszystkie inne matki na całym Południu. Spokojny ich świat został wywrócony do góry nogami i namowy ich, prośby i rady nie znaczyły nic wobec potężnych sił, które wszystko zmiatały.

Południe pijane było entuzjazmem i podnieceniem. Wszyscy byli pewni, że jedna bitwa zakończy wojnę, więc młodzi ludzie zaciągali się spiesznie, aby zdążyć przed końcem wojny — spiesznie żenili się z ukochanymi, potem zaś pędzili do Wirginii, aby gromić Jankesów. W powiecie odbywało się mnóstwo ślubów i nie było czasu na smutek rozstania. Wszyscy byli tak zajęci i zgorączkowani, że nie myślano o sprawach poważnych. Panie szyły mundury, robiły skarpetki na drutach i zwijały bandaże, mężczyźni odbywali musztrę i strzelanie. Pociągi pełne wojska co dzień przejeżdżały przez Jonesboro w drodze na północ — do Atlanty i Wirginii. Niektóre oddziały złożone z synów najlepszych rodzin miały barwne mundury — czerwone, jasnoniebieskie i zielone; inne grupy odziane były w samodziały i czapy z szopów, inne, nie umundurowane, nosiły cienkie sukna i piękną bieliznę; wszystkie były na wpół wyćwiczone, na wpół uzbrojone, upojone podnieceniem i krzyczące, jak gdyby wybierały się na piknik. Widok tych mężczyzn wzniecił panikę wśród chłopców w powiecie, że wojna skończy się, zanim dotrą do Wirginii, przyśpieszono więc jeszcze termin wymarszu Oddziału.

Pośród tego zamętu czyniono przygotowania do ślubu i Scarlett, zanim zdołała zebrać myśli, przybrana została w ślubną suknię i welon Ellen i sprowadzona przez ojca po szerokich schodach Tary do hallu pełnego gości. Potem przypomniała sobie jak we śnie tysiące świec jarzących się na ścianach, twarz matki pełną miłości i trochę zdumioną, wargi jej szepcące modlitwę o szczęście córki, Geralda zaczerwienionego od koniaku i dumy, że córka poślubia wraz z Karolem pieniądze oraz dobre i stare nazwiska — i Ashleya, stojącego u dołu schodów i podającego ramię Melanii. Kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy, pomyślała: „To nie może być prawdą. W żaden sposób. To koszmar. Zbudzę się i przekonam, że to sen. Nie będę o tym myślała teraz, bo rozpłaczę się w obecności wszystkich tych ludzi. Nie mogę teraz myśleć, pomyślę o tym później, kiedy będzie mi łatwiej, kiedy nie będę widziała jego oczu”.

Wszystko działo się rzeczywiście jak we śnie: przeszli przez szpaler uśmiechniętych ludzi, twarz Karola byłą czerwona i głos zająkliwy, ale własne jej odpowiedzi były zdumiewająco wyraźne, niezwykle jasne. Potem powinszowania, pocałunki, toasty i tańce — wszystko, wszystko jak we śnie. Nawet pocałunek Ashleya, nawet cichy szept Melanii: — Teraz jesteśmy prawdziwymi siostrami — były nierzeczywiste. Nawet zdenerwowanie wywołane atakiem spazmów, którym uległa tęga, łatwo wzruszająca się ciotka Karola, panna Pittypat Hamilton, miało cechy koszmaru.

Gdy jednak skończyły się wreszcie tańce i toasty i zbliżał się świt, gdy wszyscy goście z Atlanty, którzy nocowali w Tarze i w domu rządcy, ułożyli się do snu na łóżkach, sofach i siennikach na podłodze, a wszyscy sąsiedzi rozjechali się do domów, aby wypocząć przed weselem w Dwunastu Dębach, nierealny trans rozbił się jak kryształ w zetknięciu z rzeczywistością. Rzeczywistością był zaczerwieniony Karol, wyłaniający się z jej garderoby w samej tylko nocnej koszuli i starający się uniknąć przerażonego wzroku Scarlett, który mu rzuciła znad wysoko na twarz naciągniętej kołdry.

Wiedziała oczywiście, że małżonkowie zajmują to samo łóżko, ale nigdy nie przywiązywała do tej sprawy szczególnej wagi. Wydawało jej się to zupełnie naturalne w przypadku ojca i matki, ale nigdy nie wyobrażała sobie tego w stosunku do siebie samej. Teraz po raz pierwszy od czasu barbakoi uświadomiła sobie, co wzięła na swoje barki. Myśl, że ten obcy chłopiec, za którego nie chciała właściwie wyjść za mąż, wchodzi do jej łóżka w chwili, gdy serce jej pęka z żalu z powodu nieprzemyślanego postępku i z rozpaczy, że na zawsze straciła Ashleya — myśl ta była nie do zniesienia. Kiedy Karol nieśmiało zbliżył się do łóżka, wyszeptała ochryple:

— Krzyknę głośno, jeżeli się do mnie zbliżysz. Zrobię to. Na cały głos! Odejdź ode mnie! Nie śmiej mnie dotknąć!

Karol Hamilton spędził zatem noc poślubną w fotelu w kącie pokoju, niezbyt nawet nieszczęśliwy, bo rozumiał, a raczej zdawało mu się, że rozumie skromność i delikatność swojej żony. Godził się poczekać, aż miną jej pierwsze obawy — tylko że... Westchnął szukając wygodnej pozycji, bo wiedział, że już wkrótce wyruszy na wojnę.

Jakkolwiek własny jej ślub był dostatecznie koszmarny, ślub Ashleya był bodaj jeszcze gorszy. Scarlett stała w swojej jabłkowej „poślubnej” sukni w salonie w Dwunastu Dębach, w świetle setek świec, w tym samym tłumie co poprzedniego dnia, i patrzyła, jak nieładna mała Melania Hamilton rozświetliła się pięknością, w chwili gdy stała się Melanią Wilkes. W owej chwili Ashley odszedł od Scarlett na zawsze. Jej Ashley. Nie, teraz już nie jej Ashley. Czy kiedykolwiek należał właściwie do niej? Wszystko mąciło się jej w głowie, a głowę miała bardzo zmęczoną, bardzo zbolałą. Powiedział jej, że ją kocha, co więc właściwie ich rozdzieliło? Gdyby choć to pamiętała. Uspokoiła plotkujące języki w okolicy, wychodząc za Karola, ale czyż miało to teraz jakiekolwiek znaczenie? Kiedyś wydawało jej się to bardzo ważne, teraz straciło naraz swą wartość. Ważny był jedynie Ashley. Odszedł od niej, ona zaś była teraz żoną człowieka, którego nie tylko nie kochała, ale dla którego czuła wyraźną pogardę.

Och, jakże żałowała tego wszystkiego! Często słyszała zdania, że człowiek jest sam sobie najgorszym wrogiem, ale wydawało jej się to zawsze nieuzasadnionym przysłowiem. Teraz dokładnie zrozumiała jego znaczenie. Jednocześnie zaś z palącym pragnieniem oswobodzenia się od Karola i powrotu do Tary w charakterze, dawnej, niezamężnej dziewczyny — męczyła ją świadomość, że sama sobie jest winna. Ellen chciała ją powstrzymać, ale Scarlett jej nie posłuchała.

Tak zatem przetańczyła w osłupieniu całą noc na weselu Ashleya. Rozmawiała machinalnie, uśmiechała się naiwnie i dziwiła głupocie ludzi, którzy uważali ją za szczęśliwą oblubienicę, a nie wiedzieli, że ma złamane serce. Dzięki Bogu, że tego nie było widać!

Tej nocy, kiedy Mammy rozebrała ją i odeszła, a Karol znowu nieśmiało wyłonił się z garderoby zastanawiając się, czy i drugą noc spędzi w fotelu, Scarlett wybuchła płaczem. Płakała tak bardzo, że Karol wgramolił się do łóżka, aby ją pocieszyć, płakała bez słów, aż w końcu nie stało jej już łez i tylko cicho szlochała na jego ramieniu.

Gdyby nie było wojny, po ślubie nastąpiłby tydzień wizyt po całej okolicy, bale i barbakoje na cześć dwóch młodych par, potem zaś podróż poślubna do Saratogi czy Białej Siarki. Gdyby nie było wojny, Scarlett wkładałaby co dzień nową suknię na przyjęcia do Fontaine’ów, Calvertów czy Tarletonów. Teraz jednak nie było zabaw ani podróży poślubnych. W tydzień po ślubie Karol wyjechał, aby oddać się pod rozkazy pułkownika Wade’a Hamptona, a w dwa tygodnie później wyruszył Ashley z całym Oddziałem i powiat został osierocony.

W czasie dwóch tygodni Scarlett nie widziała Ashleya sam na sam ani na chwilę, nie miała też okazji z nim porozmawiać. Nawet w strasznej minucie rozstania, kiedy w drodze na kolej wstąpił do Tary, nie była z nim sama. Melania, w czepku i szalu, stateczna w swojej świeżo pozyskanej godności mężatki, wisiała u jego ramienia, poza tym zaś wszyscy mieszkańcy Tary, biali i czarni, zebrali się, aby widzieć, jak pan Ashley jedzie na wojnę.

Melania powiedziała: — Pocałuj Scarlett, Ashleyu. To teraz moja siostra — więc Ashley pochylił się i dotknął zimnymi wargami policzka Scarlett, twarz zaś jego była napięta i bez uśmiechu. Pocałunek ten wcale nie sprawił Scarlett przyjemności, tak ją bolało, że zawdzięcza go Melanii. Mela objęła ją na pożegnanie.

— Musisz przyjechać do Atlanty z wizytą do mnie i cioci Pittypat, dobrze? Ach, kochanie, tak byśmy pragnęły twego przyjazdu! Chcemy bliżej poznać żonę Karolka...

Minęło pięć tygodni, podczas których nadchodziły od Karola z Południowej Karoliny nieśmiałe, patetyczne i pełne miłości listy, w których mówił o swoich planach na przyszłość, kiedy wojna się skończy, o tym, że dla Scarlett pragnie zostać bohaterem, i o tym, jak wielbi swego dowódcę, Wade’a Hamptona. W siódmym tygodniu nadszedł telegram od samego pułkownika Hamptona, a potem list — miły, wzniosły list kondolencyjny. Karol umarł. Pułkownik byłby depeszował wcześniej, ale Karol, nie przywiązując, wagi do swej choroby, nie chciał niepokoić rodziny. Nieszczęsny chłopiec został odarty nie tylko z miłości, którą, jak mu się zdawało, zdobył, ale i z nadziei sławy i bohaterstwa na polu walki. Umarł niesławnie i szybko na zapalenie płuc, które wywiązało się po odrze, umarł — wyszedłszy na spotkanie Jankesów nie dalej niż obóz w Południowej Karolinie.

We właściwym czasie urodził się syn Karola, a ponieważ w modzie było nazywanie chłopców po dowódcach ich ojców, nazwany został Wade’em Hamptonem Hamilton. Gdy Scarlett przekonała się że jest w ciąży, płakała z rozpaczy i pragnęła śmierci, donosiła jednak dziecko z minimalną przykrością, urodziła je łatwo i wróciła do zdrowia tak szybko, że Mammy powiedziała jej w zaufaniu, że to jest po prostu nieprzyzwoicie: damy powinny cierpieć więcej. Mało miała serca dla tego dziecka, ale starała się to ukrywać. Nie życzyła go sobie, zła była, że przyszło, teraz zaś, kiedy już było, trudno jej było uwierzyć, że to jest jej dziecko, cząstka jej samej. Mimo że fizycznie przyszła do siebie po urodzeniu Wade’a w bezwstydnie krótkim czasie, psychicznie czuła się źle. Opuścił ją humor, chociaż cała plantacja starała się ją rozerwać. Ellen chodziła po domu z nachmurzonym, zatroskanym czołem, Gerald klął częściej niż dawniej i przywoził jej z Jonesboro niepraktyczne podarki. Nawet stary doktor Fontaine dziwił się, że jego mikstura z siarki, melasy i ziółek nie odnosi pożądanego skutku. Powiedział Ellen na stronie, że złamane serce czyni Scarlett na przemian to kłótliwą, to obojętną na wszystko. Ale Scarlett, gdyby zechciała mówić, mogłaby im powiedzieć, że cierpienie jej miało inną przyczynę i było o wiele bardziej skomplikowane. Nie wyznała nikomu, że na jej stan wpływa ostateczna nuda, niezadowolenie z tego, że jest matką, przede wszystkim zaś nieobecność Ashleya.

Nudziła się bardzo i bez przerwy. W powiecie nie było zabaw i życie towarzyskie zamarło, od kiedy milicja wyruszyła na wojnę. Wszyscy ciekawsi młodzi ludzie wyjechali — czterej Tarletonowie, dwaj Calvertowie, Fontaine’owie, Munroe’owie i co młodsi i przystojniejsi chłopcy z Jonesboro, Fayetteville czy Lovejoy. Tylko starsi mężczyźni, kaleki i kobiety zostały, spędzając czas bądź na szydełkowaniu i szyciu, bądź na sadzeniu bawełny i zboża i hodowaniu coraz większej ilości wieprzów, owiec i krów dla armii. Prawdziwych mężczyzn widać było wtedy tylko, gdy oddział zaopatrywania pod wodzą niemłodego wielbiciela Zueli, Franka Kennedy’ego, przyjeżdżał raz na miesiąc na zbiórkę żywności. Mężczyźni w tym oddziale nie byli interesujący, widok nieśmiałych zalotów Franka tak Scarlett rozstrajał, że nie mogła nawet grzecznie do niego mówić. Gdybyż on i Zuela chcieli z tym raz wreszcie skończyć!

Nawet jednak gdyby i ci mężczyźni byli ciekawsi, nie stanowiłoby to dla Scarlett wielkiej różnicy. Była teraz wdową i serce jej umarło. Tak przynajmniej wszyscy myśleli oczekując od niej odpowiedniego postępowania. Irytowało ją to tym bardziej, że mimo starań mogła przypomnieć sobie Karola jedynie z miną prowadzonego na rzeź cielęcia, w chwili gdy powiedziała mu, że przyjmuje jego oświadczyny. I nawet ten obraz już się zacierał. Była jednak wdową i musiała się odpowiednio zachowywać. Nie dla niej już przyjemności panienek. Musiała być poważna i chłodna. Ellen podkreśliła to z naciskiem, kiedy raz przyłapała Scarlett śmiejącą się wesoło na huśtawce w ogrodzie z jednym z oficerów Franka. Bardzo tym przejęta powiedziała, że niewiele trzeba, by ludzie zaczęli źle mówić o kobiecie, która jest wdową. Prowadzenie się wdowy musiało być dwa razy bardziej nieskazitelne od postępowania mężatki.

„A Bóg tylko jeden wie — myślała Scarlett słuchając uważnie cichych uwag matki — jak mało rozrywek mają mężatki. Lepiej już więc wdowy grzebać żywcem”.

Wdowa musiała nosić obrzydliwe czarne suknie bez jaśniejszej choćby wypustki, bez kwiatka, wstążki, koronki czy nawet biżuterii, z wyjątkiem żałobnych broszek z onyksu czy naszyjników z włosów zmarłego. A welon krepowy na czepku musiał sięgać kolan i dopiero po trzech latach wdowieństwa mógł być skrócony do ramion. Wdowy nie mogły rozmawiać z ożywieniem ani śmiać się głośno. Nawet kiedy się uśmiechały, uśmiech ich musiał być smutny, prawie tragiczny. A co najstraszniejsze, w żaden sposób nie mogły przejawiać zainteresowania towarzystwem męskim. Gdyby zaś pan jakiś był tak źle wychowany, iżby zdradzał zainteresowanie osobą wdowy, powinna go od razu osadzić na miejscu bardzo krótko i z godnością wypowiedzianą uwagą o zmarłym mężu. „O tak — myślała Scarlett posępnie — niektóre wdowy wychodzą nawet za mąż, ale tylko wtedy, gdy są stare i zwiędłe. Choć Bóg jeden wie, jak dochodzi nawet do tego, kiedy stale są pod obserwacją sąsiadów. Zresztą wychodzą zwykle za jakichś starych, obrzydliwych wdowców z wielkimi plantacjami i mnóstwem dzieci”.

Małżeństwo było już złem dostatecznie wielkim — ale wdowieństwo — ach, wtedy życie zawiązane było na zawsze! Jak głupi byli ludzie, którzy mówili, że mały Wade pewnie jest dla Scarlett wielką pociechą, teraz, po śmierci Karola. Jakże nonsensownie powtarzali, że teraz ma cel w życiu! Każdy po kolei mówił, jak to dobrze, że przynajmniej zostało jej dziecko jako pośmiertny dowód miłości Karola, ona zaś oczywiście nie wyprowadzała nikogo z błędu. Bardzo mało zajmowała się Wadem i czasem trudno jej było uświadomić sobie, że rzeczywiście jest jej dzieckiem.

Co ranka, w chwilę po przebudzeniu się, była znowu Scarlett O’Hara. Słońce padało jasną plamką na drzewko magnoliowe pod jej oknem, drozdy śpiewały i przyjemny zapach smażącej się szynki dochodził do jej nozdrzy. Była znowu młoda i beztroska, potem słyszała rozdrażniony, głodny płacz, i zawsze, zawsze z wielkim zdumieniem myślała: „Skąd się wzięło w domu niemowlę?” Potem dopiero przypominała sobie, że to płacze własne jej dziecko. Wszystko to było bardzo męczące.

A Ashley! Wspomnienie o nim trapiło ją najbardziej. Po raz pierwszy w życiu nienawidziła Tary, nienawidziła długiej, czerwonej drogi, prowadzącej przez wzgórze ku rzece, nienawidziła czerwonych pól z młodymi pędami bawełny. Każda piędź ziemi, każde drzewo i strumyk, każda ścieżka i miedza przypominały jej o ukochanym. Należał do innej kobiety i poszedł na wojnę, ale duch jego błądził jeszcze w półmroku po drogach, jeszcze uśmiechał się do niej sennym, szarymi oczyma z cienia pod gankiem. Ilekroć słyszała stukot kopyt końskich, dochodzący od rzeki i Dwunastu Dębów, myślała przez krótką, cudowną chwilę — to Ashley jedzie!

Nienawidziła teraz Dwunastu Dębów, a dawniej je kochała! Nienawidziła ich, a jednak ciągnęło ją tam — aby słuchać rozmów Jana Wilkesa i dziewcząt o Ashleyu, aby czytać urywki jego listów z Wirginii. Sprawiało to jej ból, ale musiała słuchać. Nie lubiła sztywnej Indii i głupiej, gadatliwej Honey, wiedziała dobrze, że i one jej nie lubią, ale nie mogła ich nie odwiedzać. Ilekroć wracała z Dwunastu Dębów, kładła się nachmurzona na łóżko i nie chciała wstawać do kolacji.

Ten jej wstręt do jedzenia najbardziej martwił Ellen i Mammy. Niania przynosiła jej smakowite kąski na tacy, napomykając, że teraz, kiedy jest wdową, może jeść, ile jej się podoba, ale Scarlett nie miała apetytu.

Kiedy doktor Fontaine powiedział Ellen z całą powagą, że złamane serce nierzadko prowadzi do anemii i do grobu, Ellen pobladła, bo nosiła w sercu tę samą obawę.

— Czy nie można nic na to poradzić, panie doktorze?

— Zmiana otoczenia będzie dla niej rzeczą najlepszą w świecie — odrzekł doktor, któremu zależało także na pozbyciu się trudnej pacjentki.

Tak więc Scarlett bez wielkiego entuzjazmu, wyjechała z dzieckiem, aby najpierw złożyć wizytę braciom ojca w Savannah, a potem siostrom Ellen, Paulinie i Eulalii w Charlestonie. Wróciła jednak do Tary o miesiąc wcześniej, niż się jej spodziewano, nie tłumacząc wcale przyczyny nagłego powrotu. W Savannah wszyscy byli dla niej bardzo mili, ale Jakub, Andrzej i ich żony byli starzy i najchętniej siedzieli spokojnie w domu i rozmawiali o przeszłości, która Scarlett nie interesowała. To samo powtórzyło się u Robillardów. Charleston zaś wydał się Scarlett okropny.

Ciotka Paulina i mąż jej, mały staruszek, bardzo oficjalny i grzeczny, ale żyjący jeszcze w poprzedniej epoce — zamieszkiwali plantację nad rzeką, o wiele bardziej odosobnioną niż Tara. Najbliższy ich sąsiad mieszkał w odległości dwudziestu mil od nich, odcięty dżunglami cyprysów, gajami dębów, moczarami. Dęby, obrosłe firankami szarego mchu, napełniały Scarlett zgrozą i przypominały opowiadania Geralda o duchach w Irlandii, które błąkają się w szarych, świetlistych oparach. Nie było tam nic do roboty, trzeba było przez cały dzień szydełkować, a wieczorami słuchać, jak wuj Carey czyta wyjątki z budujących dzieł pana Bulwer-Lyttona.

Eulalia, ukryta za wysokim murem wielkiego domu na Baterii w Charlestonie, nie była bynajmniej bardziej zajmująca. Scarlett, przyzwyczajona do szerokich przestrzeni, czuła się tam jak w więzieniu. Życie towarzyskie było tutaj bardziej ożywione niż u ciotki Pauliny, ale Scarlett nie lubiła tych gości pełnych fum, tradycji, sądzących ludzi wedle tego, czy pochodzą z dobrej rodziny. Wiedziała bardzo dobrze, że uważają ją za dziecko mezaliansu i że tutaj ciągle się jeszcze dziwią, jak panna Ellen Robillard mogła wyjść za mąż za jakiegoś tam Irlandczyka. Scarlett czuła, że ciotka Eulalia stara się ją za jej plecami usprawiedliwiać. Gniewało ją to, bo do nazwiska przywiązywała równie mało uwagi jak jej ojciec. Była dumna z Geralda i z tego, czego dokonał bez niczyjej pomocy, dzięki swojej mądrej, irlandzkiej głowie. Mieszkańcy Charlestonu bardzo byli dumni z powodu Fortu Sumtera. Na miłość boską, że też nie zdawali sobie sprawy z tego, że gdyby to nie oni byli tak głupi, aby oddać strzał, który rozpętał wojnę — zrobiłby to z pewnością ktoś inny? Poza tym Scarlett przywykła była do energicznych głosów północnej Georgii i rozwlekłe głosy ludzi z nizin wydawały jej się afektowane. Wydawało jej się, że jeżeli kiedykolwiek usłyszy znowu głosy mówiące „paalma” zamiast „palma”, „doom” zamiast „dom” oraz „maama” i „paapa” zamiast „mama” i „papa”, rozpłacze się na głos. Irytowało ją to tak bardzo, że podczas pewnej oficjalnej wizyty zaczęła mówić, ku rozpaczy ciotki, irlandzkim akcentem Geralda. Potem wróciła do Tary. Wolała, aby męczyły ją wspomnienia o Ashleyu niż akcent charlestończyków.

Ellen, dniem i nocą zajęta podwajaniem wydajności Tary dla potrzeb Konfederacji, przeraziła się, gdy jej najstarsza córka wróciła z Charlestonu chuda, blada i bardzo złośliwa. Pamiętała dotąd o dawnym swoim bólu, więc teraz całe noce leżała przy chrapiącym Geraldzie i starała się wymyślić, w jaki sposób mogłaby pocieszyć czy rozerwać Scarlett. Ciotka Karola, panna Pittypat Hamilton, pisała do niej wiele razy, prosząc, aby pozwoliła Scarlett pojechać do Atlanty na dłużej, teraz więc po raz pierwszy Ellen zaczęła się poważniej zastanawiać nad jej projektem.

Panna Hamilton i Melania mieszkały same w swoim wielkim domu i „bez męskiej opieki — pisała panna Pittypat — teraz kiedy nie ma naszego, drogiego Karolka. Oczywiście, że jest w mieście jeszcze i brat mój, Henryk, on jednak nie mieszka z nami. Może Scarlett wspominała Pani o Henryku? Delikatność wzbrania mi pisać o nim więcej. Mela i ja będziemy się czuły o tyle lepiej i pewniej, gdy i Scarlett będzie z nami! Trzy samotne kobiety to zawsze więcej niż dwie. I może się zdarzyć, że droga Scarlett znajdzie tutaj w swoim smutku pociechę, pielęgnując jak Mela naszych dzielnych chłopców w szpitalach... Rozumie się, że Mela i ja bardzo byśmy chciały zobaczyć naszego drogiego bratanka...” Tak więc kufer Scarlett został znowu napełniony jej żałobną wyprawą i znowu puściła się w podróż. Do Atlanty zabrała Wade’a Hamptona, piastunkę jego, Prissy, głowę pełną napomnieć Ellen i Mammy co do tego, jak się ma prowadzić, oraz sto dolarów w banknotach Konfederacji, które dał jej Gerald. Nie bardzo chciało jej się jechać do Atlanty. Uważała ciotkę Pitty za najgłupszą ze starych panien, a myśl, że będzie mieszkała pod jednym dachem z żoną Ashleya, była dla niej straszna. Dom jednak i jego wspomnienia były już dłużej nie do zniesienia, widziała więc chętnie każdą zmianę.

# CZĘŚĆ DRUGA

## ROZDZIAŁ VIII

Kiedy w majowy dzień 1862 r. pociąg unosił ją na północ, Scarlett myślała, że Atlanta z pewnością nie może być tak nudna jak Charleston czy Savannah, i mimo niechęci do panny Pittypat i Melanii oczekiwała pewnej przyjemności z powrotu do miasta, w którym była po raz ostatni zimą przed wybuchem wojny.

Atlanta interesowała ją zawsze najbardziej ze wszystkich miast, bo kiedy była dzieckiem, dowiedziała się od Geralda, że miasto jest w tym samym co ona wieku. Gdy dorosła, przekonała się, że Gerald naciągnął trochę prawdę, co często robił chcąc, aby słowa jego wypadły ciekawiej; w rzeczywistości jednak Atlanta była tylko o dziewięć lat od niej starsza i jak na miasto, była niezwykle młoda w porównaniu z wszystkimi innymi miastami, o których Scarlett słyszała. Savannah i Charleston miały powagę właściwą swemu wiekowi — pierwsze zbliżało się do dwóchsetnych urodzin, drugie liczyło lat ponad dwieście, co w młodych oczach Scarlett czyniło je podobnymi do starych babuń, wachlujących się leniwie w słońcu. Atlanta jednak należała do tego samego pokolenia co Scarlett i miała w sobie właściwe młodości nieopanowanie rozmach i upór.

Wersja Geralda oparta była na fakcie, że Scarlett i Atlanta zostały w tym samym roku ochrzczone. W ciągu dziesięciu lat przed urodzeniem Scarlett miasto nazywało się kolejno Terminus, potem Martasville i dopiero w roku urodzenia Scarlett stało się ostatecznie Atlantą.

Kiedy Gerald przeprowadził się do północnej Georgii, Atlanty nie było wcale, nie było nawet śladu wioski: stała tam puszcza. Ale już w następnym roku, 1836, państwo dało zezwolenie na budowę w kierunku północno-zachodnim linii kolejowej, przecinającej terytorium niedawno wykupione od Czerokezów. Wiadome było, że kolej ma łączyć Tennessee z Zachodem, ale punkt węzłowy w Georgii był nieokreślony aż do czasu, gdy w rok później inżynier pewien wbił palik w czerwoną ziemię dla oznaczenia południowego kresu tej linii i wówczas Atlanta, jako Terminus, zrodziła się do życia.

W owym czasie wcale nie było jeszcze kolei w północnej Georgii, ilość ich zaś w pozostałych częściach kraju była znikoma. Bezpośrednio jednak przed małżeństwem Geralda z Ellen mała osada o dwadzieścia pięć mil na północ od Tary przerodziła się w miasteczko, a szyny przesunęły się z wolna dalej na północ. Potem zaczęła się prawdziwa era rozbudowy kolei. Ze starego miasta Augusty puszczono w kierunku zachodnim drugą kolej, która połączyła się z nową linią do Tennessee. Ze starej Savannah zbudowano kolej z początku do Macon, w sercu Georgii, potem dalej na północ, przez powiat Geralda do Atlanty, gdzie połączyła się z dwiema poprzednimi liniami i w ten sposób ułatwiła transporty między portem Savannah a Zachodem. Z tego samego punktu węzłowego, z młodej Atlanty, budować zaczęto nową, czwartą linię, na południowy zachód, od Montgomery i Mobile.

Zrodzona dzięki kolejom Atlanta rosła w miarę rozrastania się ich sieci. Z chwilą wykończenia czterech linii, Atlanta zyskała połączenie z zachodem, południem, z wybrzeżem i przez Augusta z północą i wschodem. Stała się w ten sposób rozstajem wszelkich podróży w kierunku północnym i południowym, wschodnim i zachodnim, i małe miasteczko wkroczyło w fazę gwałtownego rozwoju.

Na przestrzeni czasu niewiele dłuższej niż siedemnaście lat — wiek Scarlett — Atlanta z palika wbitego w ziemię przeistoczyła się w kwitnące małe miasto o dziesięciotysięcznej ludności, stanowiące ośrodek uwagi całego stanu. Starsze, spokojniejsze miasta skłonne były patrzeć na to młode i zapobiegliwe miasto z uczuciem kury, która wysiedziała kacze jajo. Co było przyczyną, że Atlanta różniła się tak zasadniczo od innych miast Georgii? Dlaczego rozrastała się tak szybko? Ostatecznie, myślały, nie ma czym się pochwalić, chyba koleją i garstką rozpychających się łokciami ludzi.

Ludzie, którzy zaludnili miasto kolejno zwane Terminus, Martasville i Atlanta, rozpychali się istotnie. Niespokojni, energiczni mieszkańcy starszych części Georgii i dalszych stanów ciągnęli do tego miasta, które rozbudowywało się dokoła stacji kolejowej, przybywali pełni entuzjazmu. Budowali składy przy pięciu błotnistych uliczkach koło stacji. Domy stawiali na Whitehall i ulicy Waszyngtona i wzdłuż wysoko położonej drogi, wydeptanej mokasynami niezliczonych pokoleń Indian i zwanej Traktem Brzoskwiniowym. Dumni byli ze swego miasta, dumni z jego rozwoju, dumni z siebie, że się do tego przyczynili. Niechaj starsze miasta nazywają Atlantę, jak chcą, Atlanta nic sobie z tego nie robi.

Scarlett lubiła Atlantę z tych samych względów, dla których potępiały ją Savannah, Augusta czy Macon. Podobnie jak ona, miasto było mieszaniną tego, co w Georgii stare i nowe, przy czym elementy nowe, uparte i mocne, często pokonywały stare. Ponadto zaś czuła jakąś osobistą łączność z miastem, które narodziło się — czy też zostało ochrzczone — w tym samym czasie, co i ona.

Poprzedniego wieczora padał ulewny deszcz, w chwili jednak gdy Scarlett przybyła do Atlanty, świeciło ciepłe słońce, które starało się osuszyć ulice zamienione w kręte potoki czerwonego błota. Na nie zabudowanym placu dokoła stacji miękka ziemia ubijana była i znowu rozrywana nieustannym ruchem kół i wreszcie stała się podobna do olbrzymiej gnojówki: miejscami pojazdy tonęły w błocie aż po piasty kół. Nie kończący się szereg furgonów wojskowych i ambulansów, ładujących i wyładowujących zapasy i rannych z pociągów, czynił zamęt jeszcze większym: wozy z trudem torowały sobie drogę, woźnice klęli, muły zapadały w błoto, które rozpryskiwało się szeroko dokoła.

Scarlett stanęła na najniższym stopniu wagonu, blada i piękna w swojej żałobie, w welonie okrywającym ją prawie do kostek. Nie chcąc zawalać trzewików i brzegu sukni wahała się, czy zejść, rozglądała się, czy wśród zgiełkliwej ciżby wozów, bryczek i powozów nie dostrzeże panny Pittypat. Zażywnej różowej damy nie było jednak widać, ale spostrzegłszy, że Scarlett nerwowo kogoś szuka, zbliżył się ku niej, człapiąc przez błoto, szczupły stary Murzyn o siwiejących kędziorach i bardzo okazałej powierzchowności.

— Czy pani jest Miss Scarlett? Ja jestem Piotr, stangret panny Pittypat. Niech pani nie przechodzi przez błoto — rozkazał surowo, widząc, że Scarlett zaczęła zbierać spódnicę, aby zejść z wagonu. — Jest pani nie lepsza od panny Pitty, a ta jak dziecko, ciągle sobie nogi moczy. Przeniosę panią.

Mimo swojej pozornej słabości podniósł Scarlett bez trudu i przyglądając się Prissy, która stała na peronie z dzieckiem na ręku, zatrzymał się na chwilę. — Czy to jest niania dziecka? Miss Scarlett, ona przecież jest za młoda na piastunkę jedynego dziecka naszego pana Karola! Ale tym zajmiemy się później. Ty mała, idź za mną i nie upuść czasem dziecka!

Scarlett nie protestowała, że ją Piotr niesie aż do powozu i że tak śmiało krytykuje ją i Prissy. W drodze przez błoto, gdy Prissy z obrażoną miną brnęła za nimi, przypomniała sobie, co Karol opowiadał jej o wuju Piotrze.

„Był z moim ojcem w kampanii meksykańskiej, pielęgnował ojca, kiedy ojciec został ranny — właściwie uratował mu życie. Wuj Piotr wychował Melanię i mnie, bo byliśmy zupełnie mali, kiedy nasi rodzice umarli. Ciotka Pitty poróżniła się w tym czasie ze swoim bratem, naszym wujem Henrykiem, więc zamieszkała z nami, aby się nami opiekować. Jest jednak zupełnie niezaradna — jak duże dziecko — i tak też ją wuj Piotr traktuje. Za nic w świecie nie powzięłaby żadnej decyzji, wobec tego Piotr ją stale w tym wyręcza. To on zdecydował, że powinienem dostawać większą rentę, gdy skończyłem piętnaście lat, i on upierał się, abym pojechał do Harvard na Północ, podczas gdy wuj Henryk wolał, abym studiował w Georgii. On też postanowił, kiedy Mela ma upiąć włosy i zacząć chodzić na bale. To on mówi cioci Pitty, kiedy ma siedzieć w domu, bo jest zbyt zimno czy zbyt mokro, i kiedy ma wkładać szal... To najmądrzejszy Murzyn, jakiego znam, i najbardziej oddany. Całe jednak nieszczęście, że tyranizuje naszą trójkę i że wie, iż nie potrafimy mu się sprzeciwić”.

Słowa Karola potwierdziły się, gdy Piotr wdrapał się na kozioł i wziął bat do ręki.

— Panna Pitty jest zdenerwowana, że nie mogła przyjechać po panią na stację. Bała się, że panienka będzie obrażona, ale ja powiedziałem, że obłoci się tylko i zniszczy nową suknię i że ja wszystko biorę na siebie. Panno Scarlett, niech lepiej panienka weźmie dziecko. Ta mała tak wygląda, jakby miała ręce z waty.

Scarlett popatrzyła na Prissy i westchnęła. Prissy rzeczywiście nie była najlepszą piastunką. Niedawna jej metamorfoza z chudego podlotka z warkoczykami i w krótkiej sukience w piastunkę w długiej perkalowej sukni i wykrochmalonym białym turbanie zostawiła na niej niezatarte piętno. Nigdy by nie doszła w tak wczesnym wieku do takiej godności, gdyby nie okoliczność, że wojna i nałożona na Tarę kontrybucja czyniły dla Ellen wyzbycie się Mammy, Dilcey czy nawet Róży lub Tiny niemożliwym. Prissy nigdy w swoim życiu nie była dalej niż o milę od Tary czy Dwunastu Dębów, wyniesienie więc do godności niani i perspektywa podróży ledwie się mogły zmieścić w jej małej czarnej główce. Krótka jazda koleją z Jonesboro do Atlanty tak ją zdenerwowała, że Scarlett zmuszona była przez całą drogę trzymać dziecko na kolanach. Teraz widok tylu domów i ludzi dopełnił miary podniecenia Prissy. Kręciła się na wszystkie strony, pokazywała palcem, podskakiwała i tak potrącała dziecko, że zaczęło boleśnie krzyczeć.

Scarlett tęskniła do mocnych, tęgich ramion Mammy. Wystarczyło, aby Mammy wzięła dziecko na ręce, a uspokajało się natychmiast. Mammy jednak została w Tarze i nic na to nie można było poradzić. Nie pomogłoby także, gdyby Scarlett odebrała od Prissy małego Wade’a. Wrzeszczałby na jej kolanach tak samo jak na kolanach Murzynki. Poza tym z pewnością zacząłby szarpać wstążki jej czepka i pogniótłby jej suknię. Tak więc wolała udać, że nie słyszy uwagi wuja Piotra.

„Może kiedyś nauczę się obchodzić z dziećmi — myślała z irytacją, kiedy powóz trzęsąc się i podskakując wydobywał się z błota koło stacji — ale nigdy nie będę lubiła się z nimi bawić”. A kiedy buzia Wade’a zrobiła się fioletowa od krzyku, warknęła ze złością: — Daj mu smoczek, Prissy. Niech wreszcie przestanie! Wiem, że jest głodny, ale nic na to nie poradzę.

Prissy wyjęła smoczek, który jej rano dała Mammy, i dziecko uspokoiło się od razu. Kiedy zapanował spokój i Scarlett mogła poświęcić się bez przeszkód obserwowaniu nowego otoczenia, humor jej poprawił się znacznie. A nawet, gdy wuj Piotr wymanewrował wreszcie powóz z błota i wjechał na ulicę Brzoskwiniową, poczuła pierwsze od wielu miesięcy uczucie zainteresowania. Jakże się to miasto rozrosło! Była tutaj zaledwie przed rokiem, więc wydawało jej się nieprawdopodobne, że przez ten krótki czas Atlanta mogła się tak zmienić.

Przez ubiegły rok tak była pochłonięta własnymi smutkami, tak znużona rozmowami o wojnie, że nie wiedziała wcale, iż od chwili rozpoczęcia walk Atlanta przeistoczyła się zupełnie. Te same linie kolejowe, które w czasie pokoju czyniły z miasta ośrodek handlowy, w czasie wojny uczyniły zeń niezmiernie ważny punkt strategiczny. Położone z dala od frontu miasto i jego koleje stanowiły ogniwa łączące dwie armie Konfederacji: armię Wirginii z armią Tennessee i Zachodu. Jednocześnie Atlanta łączyła obie te armie z głębokim Południem, skąd przychodziły rezerwy. Teraz, wobec wzrastających potrzeb wojennych, Atlanta stała się jeszcze ośrodkiem przemysłowym, bazą sanitarną i jednym z głównych punktów zbiórek żywności i środków zaopatrywania dla wojska.

Scarlett rozglądała się w poszukiwaniu małego miasteczka swoich wspomnień. Nie istniało już. Miasto, na które patrzyła, przypominało dziecko, które przez noc wyrosło na ruchliwego, wielkiego olbrzyma.

Atlanta huczała jak ul, dumna ze swego znaczenia dla Konfederacji. Praca nad przeistoczeniem ośrodka rolniczego w przemysłowy wrzała dniem i nocą. Przed wojną przędzalni wełny i bawełny, fabryk broni i maszyn było na południe od Marylandu zaledwie kilka — czym wszyscy południowcy bardzo się szczycili. Południe wydawało mężów stanu i żołnierzy, plantatorów i lekarzy, prawników i poetów, ale ani inżynierów, ani mechaników. Niechaj Jankesi obierają tak podłe kariery. Teraz jednak, gdy porty Konfederacji zablokowane były przez jankeskie okręty, a z Europy przeciekała tylko znikoma ilość towarów, przemycanych przez blokadę, Południe starało się produkować na gwałt własne materiały wojenne. Północ zaopatrywana była przez świat cały w surowce i żołnierzy, tysiące Irlandczyków i Niemców zaciągały się do Armii Unii, skuszone dobrym żołdem. Południe mogło liczyć wyłącznie na siebie.

W Atlancie były już więc fabryki wyrabiające niezdarne maszyny do wyrobu broni — niezdarne, ponieważ na Południu brak było maszyn i prawie każde kółko czy śrubka musiały być robione wedle rysunków przesyłanych potajemnie z Anglii. Na ulicach miasta widać było teraz obce twarze; obywatele, którzy jeszcze rok temu nastawiliby uszu na dźwięk zachodnioamerykańskiego akcentu, teraz nie zwracali uwagi na brzmienie obcej wymowy Europejczyków, którzy przedarli się przez blokadę, aby produkować maszyny i broń dla Południa. Byli to fachowcy, bez których trudno by przyszło robić pistolety, karabiny, armaty i proch.

Słyszało się nieledwie bicie serca miasta, kiedy praca wrzała dniem i nocą, aby przez arterie linii kolejowych rozprowadzić broń i amunicję na oba fronty. Pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały o każdej porze. Sadze z nowo wybudowanych fabryk padały na mury białych domów. Nocą płonęły ognie pieców hutniczych, młoty zaś stukały długo po ułożeniu się miasta na spoczynek. Tam gdzie jeszcze rok temu stały puste place, teraz wznosiły się nowe fabryki uprzęży, siodeł i obuwia, zakłady artyleryjskie, walcownie i odlewnie, produkujące szyny i wagony towarowe dla zastąpienia tych, które niszczyli Jankesi, oraz wiele pomniejszych warsztatów, w których wyrabiano ostrogi, klamry do uprzęży, namioty, guziki, pistolety i szable. Odlewnie zaczynały już odczuwać brak surowca, bo z powodu blokady coraz bardziej brakowało złomu, zaś kopalnie w Alabamie częściowo nieczynne, ponieważ wszyscy górnicy poszli na front. Sztachety żelazne, żelazne altanki, bramy czy posągi, zdobiące trawniki Atlanty od dawna już powędrowały do pieców odlewniczych.

Przy ulicy Brzoskwiniowej i jej przecznicach rozlokowały się sztaby rozmaitych oddziałów armii, zawsze pełne umundurowanych ludzi — intendentura, korpus łączności, korpus pocztowy, transportowy i sądowy. Na krańcach miasta mieściły się stajnie remontowe, gdzie w wielkich zagrodach tłoczyły się konie i muły, przy bocznych zaś ulicach stały szpitale. Kiedy wuj Piotr objaśniał jej to wszystko, Scarlett pomyślała, że Atlanta jest chyba miastem rannych, bo szpitali ogólnych, szpitali chorób zakaźnych i zakładów dla ozdrowieńców było bez liku. I co dzień pociągi, przystające przy Pięciu Znakach, wyrzucały jeszcze więcej chorych i rannych.

Małe miasteczko sprzed roku należało do przeszłości, a szybko rozwijające się miasto ożywione było nieustanną energią i gwarem. Widok tego pośpiechu podziałał na Scarlett, przywykłą do wiejskiego spokoju i bezczynności, bardzo jej się spodobał. Nerwowa atmosfera miasta podniosłą ją na duchu. Wydawało jej się, że czuje, jak przyśpieszony, mocny puls miasta bije w zgodzie z jej własnym.

Kiedy powóz wolno podskakiwał po wybojach głównej ulicy przypatrywała się z zainteresowaniem nowym twarzom i nowym gmachom. Trotuary pełne były umundurowanych mężczyzn, noszących odznaki wszystkich rang i wszystkich rodzajów broni, na wąskiej jezdni tłoczyły się pojazdy — powozy, bryczki, ambulanse i furgony wojskowe z cywilnymi woźnicami, którzy klęli gdy muły zapadały w koleiny; kurierzy w szarych mundurach cwałowali przez ulice niosąc rozkazy i depesze od jednego dowództwa do drugiego, rekonwalescenci kuśtykali wolniutko, wspierani przez współczujące damy; z placów musztry, gdzie z rekrutów czyniono żołnierzy, słychać było bicie w bęben i urywane rozkazy. Ze ściśniętym gardłem Scarlett po raz pierwszy ujrzała niebieskie mundury jankeskie, kiedy wuj Piotr pokazał jej końcem bata oddział wymizerowanych żołnierzy, prowadzonych przez pluton konfederatów na stację, skąd miano ich przetransportować do obozu jeńców.

„Och — pomyślała Scarlett, po raz pierwszy od czasu pamiętnej barbakoi ożywiając się trochę — zdaje się, że spodoba mi się tutaj. To takie podniecające!”

Miasto było żywsze nawet, niż przypuszczała, ponieważ nowych barów otwarto całe mnóstwo; prostytutek, ciągnących za wojskiem, były roje, a domy nierządu, ku zgorszeniu pobożnych osób, prosperowały wspaniale. Hotele, pensjonaty i domy prywatne pełne były gości, którzy przyjeżdżali w odwiedziny do rannych, leczących się w wielkich szpitalach Atlanty. Zabawy, bale, wenty odbywały się co tydzień; ślubów wojennych było bez liku; oblubieńcy, przybyli na urlop w szarych mundurach ze złotymi szamerunkami i panny młode w szmuglowanych jedwabiach — przechodzili pod szpalerem obnażonych szabli. Toasty wznoszono przemycanym szampanem, potem zaś przelewano łzy rozstania. Po ciemnych, wysadzonych drzewami ulicach niosły się co noc roztańczone kroki, salony rozbrzmiewały dźwiękami pianina i sopranami, które zmieszane z głosami żołnierzy śpiewały melancholijnie: „Gdy trąbki obwieszczą rozejm” lub „Nadszedł twój list, za późno, niestety” — żałosne ballady, które sprowadzały łzy wzruszenia do oczu, nie znających jeszcze prawdziwych cierpień.

W miarę jak posuwali się ulicą przez lepkie błoto zasypywała Piotra pytaniami, na które odpowiadał wskazując jej rozmaite rzeczy końcem bata, bardzo dumny, że może się pochwalić swoimi wiadomościami.

— To jest arsenał. Tak, tam jest skład armat i tym podobnych rzeczy. Nie, to nie są składy, tylko biura blokady. Doprawdy, panienka nie wie, co to są biura blokady? To są biura, gdzie siedzą cudzoziemcy, którzy kupują naszą konfederacką bawełnę, przewożą do Charlestonu i Wilmingtonu i za to dostarczają prochu. Nie, nie wiem, jacy to są cudzoziemcy. Miss Pitty mówi, że to Anglicy, ale ja nie rozumiem ani słowa z tego, co mówią. Tak, teraz jest bardzo dużo dymu i sadze niszczą jedwabne story panny Pitty. To z odlewni i z walcowni. A jaki to hałas robią w nocy! Nikt spać nie może. Nie, nie mogę przystanąć, żeby panienka wszystko zobaczyła. Przyrzekłem pannie Pitty, że przywiozę panienkę do domu... Miss Scarlett, proszę się ukłonie. Pani Merriweather i pani Elsing kłaniają się panience.

Scarlett przypomniała sobie niejasno dwie panie tego nazwiska, które były na jej ślubie, wiedziała także, że są najlepszymi przyjaciółkami panny Pitty. Odwróciła się więc szybko w kierunku wskazanym przez Piotra i ukłoniła się uprzejmie. Dwie damy siedziały w powozie przed składem materiałów. Właściciel i dwaj subiekci stali na chodniku, rozkładając przed paniami sztuki materiału. Pani Merriweather była wysoką, tęgą kobietą, tak ściśniętą gorsetem, że biust jej sterczał groźnie naprzód jak dziób okrętu. Do siwych jej włosów przysztukowana była fryzowana grzywka, wyzywająco brązowa i kłócąca się wyraźnie z resztą fryzury. Pani Merriweather miała okrągłą, bardzo czerwoną twarz, która wyrażała dobrotliwy spryt, wolę i despotyzm. Pani Elsing była młodsza od niej — szczudła i wątła; była kiedyś znaną pięknością i dotąd jeszcze cechowała ją zwiędła elegancja i wytworna wyniosłość. Dwie te damy i trzecia jeszcze, pani Whiting, stanowiły podpory Atlanty. Królowały nad trzema kościołami — zarówno nad księżmi, jak nad członkami chóru i parafianami. Organizowały wenty i wieczory szycia dla biednych, patronowały balom i piknikom, wiedziały, kto zrobił dobrą partię, a kto nie, kto ukradkiem oddawał się pijaństwu, kto spodziewał się dziecka i kiedy. Były autorytetami w sprawie genealogii wszystkich, którzy „liczyli się” w Georgii, Południowej Karolinie i Wirginii, innymi zaś stanami nie interesowały się zupełnie, ponieważ były przekonane, że nikt, „kto się liczy”, nie może z nich pochodzić. Wiedziały, co jest zachowaniem się odpowiednim, a co nie, i nie wahały się dzielić z innymi swoją opinią — pani Merriweather głośno, pani Elsing przeciągając wytwornie, przyciszonym głosem, pani Whiting zaś zrozpaczonym szeptem, który miał wyrażać wstręt jej do poruszania podobnych tematów. Trzy te damy nie cierpiały się i nie ufały sobie tak serdecznie jak członkowie pierwszego rzymskiego Triumwiratu, a ścisła ich przyjaźń wynikała prawdopodobnie z tej właśnie przyczyny.

— Powiedziałam już Pitty, że musisz pracować w moim szpitalu! — zawołała pani Merriweather uśmiechając się do Scarlett. — Nie angażuj się z panią Meade ani z panią Whiting.

— Nie, proszę pani — rzekła Scarlett nie mając pojęcia, o czym pani Merriweather mówi, ale odczuwając przyjemność z powodu tak ciepłego przywitania. — Mam nadzieję, że zobaczymy się wkrótce.

Powóz sunął powoli dalej i na chwilę zatrzymał się nawet, aby pozwolić przejść z koszami pełnymi bandaży, dwóm paniom, które skacząc z kamienia na kamień usiłowały przedostać się na drugą stronę zabłoconej jezdni. W tej samej chwili zauważyła Scarlett kobietę w dość jaskrawej sukni — zbyt jaskrawej jak na ulicę — i w szalu indyjskim o długiej frędzli. Odwróciła się, aby jej się lepiej przyjrzeć: była to wysoka, ładna kobieta o wyzywającej twarzy i gęstych rudych włosach, o odcieniu, który nie wydawał się naturalny. Po raz pierwszy w życiu Scarlett widziała kobietę, która z pewnością „coś robiła” ze swoimi włosami, toteż przyglądała jej się jak urzeczona.

— Wuju Piotrze, kto to taki?

— Nie wiem.

— Z pewnością Piotr wie. Pewna tego jestem. Kto to jest?

— Nazywa się Bella Watling — rzekł wuj Piotr, pogardliwie wysuwając dolną wargę.

Scarlett od razu zauważyła, że nie poprzedził nazwiska słowem „panna” ani „pani”.

— Kim ona jest?

— Panno Scarlett — rzekł Piotr surowo, okładając batem przerażonego konia — panna Pitty z pewnością nie będzie zadowolona, Jak panienka będzie zadawała niepotrzebne pytania. W tym mieście pełno jest teraz ludzi, o których nawet wspominać nie warto.

„Dobry Boże! — pomyślała Scarlett milknąc od razu. — To pewnie jest kobieta złego prowadzenia!”

Nigdy dotąd nie widziała tego rodzaju kobiet, odwróciła więc głowę i długo patrzyła za nieznajomą, dopóki nie straciła jej z oczu.

Składy i nowe wojenne budynki rozrzucone były teraz rzadziej i między nimi było więcej pustych placów. Zostawili wreszcie za sobą dzielnicę handlową i zaczęli mijać domy prywatne. Scarlett poznawała je jak starych znajomych: więc dom Leydenów — dystyngowany i okazały; Bonnellów — o małych białych kolumienkach i zielonych okiennicach; spokojny czerwony dom rodziny McLure za żywopłotem z bukszpanów. Posuwali się teraz wolniej jeszcze niż dotąd, bo z ganków, ogrodów i okien wołały do Scarlett znajome panie. Niektóre znała pobieżnie, inne przypominała sobie, większości jednak nie znała wcale. Pitty z pewnością rozgłosiła wiadomość o jej przyjeździe na całe miasto. Małego Wade’a trzeba było ciągle podnosić i pokazywać, aby mogły go obejrzeć panie, które mimo błota odważyły się zbliżyć do brzegu chodnika. Wszystkie wołały, że Scarlett musi należeć do ich kółek szycia i dziergania i do komitetów szpitalnych, przyrzekała więc na prawo i lewo.

Kiedy mijali niezgrabny dom o zielonych okiennicach, mała Murzynka, wyglądająca ich ze schodów, zawołała „o, już jedzie” i z domu wyszedł doktor Meade z żoną i trzynastoletnim synkiem Filipem, wydając okrzyki powitania. Scarlett przypomniała sobie, że i ich poznała na swoim ślubie. Pani Meade weszła na słupek przed domem i wyciągała szyję, aby zobaczyć dziecko, doktor jednak nie zważając na błoto przedarł się do samego powozu. Był wysoki, bardzo chudy, miał spiczastą siwą bródkę, ubranie zaś wisiało na nim luźno jak na wieszadle. Atlanta uważała go za źródło wszelkiej siły i wszelkiej mądrości, nic więc dziwnego, że i on sam w to w końcu uwierzył. Chociaż miał zwyczaj wyrażania się jak wyrocznia i trochę napuszony sposób bycia, był może najprzyzwoitszym człowiekiem w mieście.

Teraz uściskał rękę Scarlett, połechtał Wade’a w brzuszek, wypowiadając zdawkowe zachwyty, po czym oświadczył, że ciotka Pittypat zobowiązała się słowem, iż Scarlett będzie z pewnością należała do komitetu opieki nad chorymi, któremu przewodniczyła pani Meade.

— Ależ ja to już przyrzekłam stu paniom! — zawołała Scarlett.

— I pani Merriweather, założę się! — wykrzyknęła pani Meade z oburzeniem. — A niechże ją wszyscy! Ona z pewnością wychodzi do wszystkich pociągów!

— Przyrzekłam, bo nie wiedziałam, o co tu chodzi — wyznała Scarlett. — Co to właściwie takiego te „kobiety szpitalne”?

Zarówno doktor, jak i jego żona zdawali się być zgorszeni jej ignorancją.

— No tak, była pani zakopana na wsi i dlatego nie wie pani o niczym — usprawiedliwiała ją pani Meade. — Utworzyłyśmy komitety, które pielęgnują chorych w rozmaitych szpitalach i w różne dni. Opiekujemy się rannymi, pomagamy lekarzom, robimy bandaże, szyjemy odzież, a kiedy ranni czują się dość dobrze, aby wypisać się ze szpitala, zabieramy ich do swoich domów, gdzie odbywają rekonwalescencję przed powrotem do wojska. Opiekujemy się także żonami i rodzinami niezamożnych czy biednych żołnierzy. Doktor Meade pracuje w szpitalu Instytutu, gdzie ja mam swój komitet. Wszyscy twierdzą, że doktor dokazuje cudów i...

— Ale, ale, pani Meade — rzekł doktor z czułością. — Nie chwal mnie tak prosto w oczy! Muszę przynajmniej to robić, skoro nie pozwalasz mi się zaciągnąć do wojska.

— Kto, ja? — zawołała z oburzeniem. — To miasto ci nie pozwala! Scarlett, kiedy ludzie dowiedzieli się, że mąż mój chce jechać do Wirginii i wstąpić do armii w charakterze lekarza, wszystkie panie podpisały petycję, aby został w mieście. Rozumie się, że miasto nie dałoby sobie bez niego rady.

— Ale, ale, pani Meade — rzekł doktor lubując się najwidoczniej w tych pochwałach. — Może to dość, że mamy już jednego chłopca na froncie.

— A ja pójdę na przyszły rok! — zawołał mały Filip podskakując z podniecenia. — Będę doboszem! Już się uczę grać na bębnie. Czy chce pani posłuchać? Zaraz przyniosę mój bębenek.

— Nie, nie teraz — rzekła pani Meade, z wyrazem nagłego niepokoju w twarzy, przyciągając chłopca do siebie. — Nie pójdziesz jeszcze w przyszłym roku, kochanie. Może dopiero za dwa lata.

— Wtedy już przecież wojny nie będzie! — zawołał niecierpliwe wyrywając się matce. — A przyrzekłaś mi przecież!

Oczy rodziców spotkały się nad głową chłopca i Scarlett zauważyła to spojrzenie. Starszy ich syn, Darcy, był w Wirginii, całe więc uczucie przelewali teraz na młodszego, pozostałego w domu.

Wuj Piotr chrząknął znacząco.

— Pannie Pitty było słabo, kiedy wyjeżdżałem z domu, i z pewnością zemdleje, jeżeli nas długo nie będzie.

— Do widzenia. Zajdę do was po południu! — zawołała pani Meade. — Niech pani powie ode mnie Pitty, że jeżeli nie przystąpi pani do mego komitetu, stan jej pogorszy się z pewnością znacznie.

Powóz ruszył i potoczył się po błotnistej drodze.

Scarlett uśmiechała się, oparta o poduszki. Już czuła się lepiej niż w ostatnich miesiącach. Atlanta — tłumna, ludna, śpiesząca się, nerwowa, była miejscem bardzo przyjemnym, bardzo podniecającym, o wiele milszym od samotnej plantacji za Charlestonem, gdzie głosy aligatorów przerywały nocną ciszę; milszym od Charlestonu drzemiącego w ogrodach za wysokimi murami; milszym od Savannah o szerokich, wysadzanych palmami ulicach i zamulonej rzece. Tak, chwilowo milszym nawet od Tary — chociaż Tara bardzo była droga jej sercu.

Dziwnie żywotne było to miasto o wąskich błotnistych uliczkach, miasto między czerwonymi pagórkami — surowe i pierwotne, doskonale odpowiadające surowości i pierwotności Scarlett, ledwie przykrytej warstwą poloru. Toteż Scarlett uczuła nagle, że miejsce jej jest tutaj, nie w pogodnych i cichych starych miastach nad żółtymi wodami.

Domy stały teraz w coraz większych odstępach, jedne od drugich. Wychylając się Scarlett zobaczyła wreszcie czerwone mury i gontowy dach domu panny Pitty. Był to jeden z ostatnich domów na północy miasta. Za nim ulica Brzoskwiniowa zwężała się i gubiła pod starymi drzewami pobliskiego lasu. Ładny drewniany parkan pomalowany był na biało, a ogródek przed domem żółcił się ostatnimi żonkilami sezonu. Na stopniach frontowych stały dwie kobiety w czerni, za nimi zaś tęga Mulatka z dłońmi ukrytymi pod fartuchem, ukazując białe zęby w uśmiechu. Tłuściutka panna Pittypat przestępowała ze wzruszenia z nogi na nogę i jedną ręką przyciskała obfitą pierś, aby uspokoić bicie serca. Scarlett ujrzała Melanię stojącą obok niej i z nagłym przypływem niechęci zdała sobie sprawę, że plamą na słońcu jej pobytu w Atlancie będzie ta drobna osóbka w żałobnej czerni z gładko, poważnie przyczesanymi włosami i czułym uśmiechem powitania na owalnej twarzyczce.

Kiedy mieszkaniec Południa decydował się na zapakowanie kufra i wyjazd w odwiedziny o dwadzieścia mil od domu, wizyta rzadko trwała krócej niż miesiąc, zwykle zaś znacznie dłużej. Południowcy tak samo lubili jeździć z wizytami, jak i przyjmować u siebie i czasem krewni, przyjeżdżający na Boże Narodzenie, zostawali aż do lipca. Młode pary, odbywające poślubną turę oficjalnych wizyt, zatrzymywały się czasem w miłym jakimś domu do chwili urodzenia drugiego dziecka. Starsi wujowie czy ciotki przyjeżdżali na obiad w niedzielę i zostawali przez długie lata, aż do swojej śmierci. Goście nie sprawiali żadnych kłopotów, bo domy były duże, służba liczna, a wyżywienie kilku dodatkowych osób było drobiazgiem w tym kraju wszelakiej obfitości. Z wizytami jeździli ludzie każdego wieku i płci — młode małżeństwa, matki przedstawiające krewnym nowo narodzone dzieci, rekonwalescenci, sieroty, panny, które rodzice wysyłali z domu, aby przeszkodzić nieodpowiedniej partii, i panny, które osiągnąwszy niebezpieczny wiek nie zdołały się zaręczyć i teraz jechały „na wyswatanie” do krewnych w inne okolice. Goście stanowili urozmaicenie i rozrywkę w wolno płynącym życiu Południa, zawsze więc byli mile widziani.

Scarlett przyjechała do Atlanty nie mając pojęcia na jak długo. Gdyby pobyt jej okazał się równie nieudany jak w Savannah czy Charlestonie, miała wrócić do domu za miesiąc. Jeżeliby się czuła dobrze, mogła zostać, jak długo chciała. Ledwie jednak przyjechała, ciotka Pitty i Melania zaczęły z nią walkę, aby przeprowadziła się do nich na stałe. Wytaczały wszelkie możliwe argumenty.

Chciały ją mieć przy sobie, ponieważ ją kochały. Były same i bały się nocą w tym wielkim domu, ona zaś była taka śmiała, że dodawała im odwagi. Była tak urocza, że widok jej pocieszał je w smutku. Teraz, po śmierci Karola, miejsce jej i jej syna było przy jego rodzinie. Ponadto zaś połowa domu należała teraz do niej, zapisana testamentem Karola. Co najważniejsze zaś — Konfederacja potrzebowała każdej pary rąk do szycia, szydełkowania, zwijania bandaży i pielęgnowania rannych.

Wuj Karola, Henryk Hamilton, który mieszkał po kawalersku w hotelu „Atlanta” koło stacji, także poważnie rozmawiał ze Scarlett na ten temat. Był to niski, tęgi, gniewliwy pan o różowej twarzy, długich siwych włosach i absolutnym braku wyrozumiałości dla kobiecych strachów i humorów. Z tego też względu ledwie raczył rozmawiać z panną Pittypat. Od dzieciństwa krańcowo różnili się usposobieniem, pogniewali się zaś zupełnie z powodu krytyki Henryka co do sposobu wychowania Karola: „Robisz wstrętną babę z syna żołnierza!” Przed wielu laty Henryk tak siostrze nawymyślał, że dotąd Miss Pitty wspomina go tylko przyciszonym głosem i tak niechętnie, iż obcy człowiek mógł łatwo pomyśleć, że zacny stary adwokat jest co najmniej mordercą. Kłótnia wybuchła pewnego dnia, gdy Pitty chciała podjąć pięćset dolarów z kapitału, nad którym pieczę miał Henryk, i ulokować tę sumą w akcjach nie istniejącej kopalni złota. Henryk odmówił jej wypłacenia tej sumy i stwierdził kategorycznie, że Pitty nie ma więcej rozumu od kwoki i że on, Henryk, dostaje szału, gdy przebywa w jej towarzystwie dłużej niż pięć minut. Od tego dnia Pitty widywała się z nim tylko oficjalnie raz na miesiąc, gdy jechała do jego kancelarii po pieniądze na utrzymanie. Po tych krótkich wizytach kładła się do łóżka na resztę dnia, na przemian łkając i wąchając sole trzeźwiące. Melania i Karol, którzy byli z wujem w doskonałych stosunkach, nieraz proponowali jej, że ją chętnie wyręczą, Pitty jednak w odpowiedzi zaciskała tylko dziecinnie usta i odmawiała. Henryk był krzyżem, który musiała dźwigać. Karol i Melania wnioskowali z tego, że ciotka czerpała głęboką przyjemność z tych regularnych wzruszeń — jedynych w jej spokojnym życiu.

Wuj Henryk polubił Scarlett od razu, ponieważ, jak mówił, widział, że mimo swoich głupich póz posiada parę ziarenek rozsądku. Był kuratorem majątku nie tylko Melanii i Pitty, ale także i tego, który Scarlett odziedziczyła po Karolu. Scarlett była przyjemnie zdziwiona dowiedziawszy się, że jest osobą zamożną, bo prócz połowy domu ciotki Pitty, Karol zostawił jej jeszcze i ziemię, i place w mieście. Składy zaś i sklepy na ulicy przy dworcu, które stały na jej placach, od chwili wybuchu wojny wzrosły trzykrotnie w cenie. Właśnie podczas zaznajamiania jej z tymi sprawami finansowymi wuj Henryk poruszył sprawę przeniesienia się jej na stałe do Atlanty.

— Kiedy Wade Hampton dorośnie, będzie bogatym młodzieńcem — powiedział. — Jeżeli Atlanta rozwijać się będzie dalej w tym tempie, majątek jego pomnoży się dziesięciokrotnie w ciągu dwudziestu lat, należałoby zatem chłopca wychowywać tam, gdzie jego majątek, aby nauczył się go pilnować, no i opiekować się także fortuną Pitty i Melanii. Będzie wkrótce jedynym mężczyzną w naszej rodzinie, bo przecież ja wiecznie żyć nie będę. Jeżeli chodzi o Piotra, to uważał za sprawę przesądzoną, że Scarlett zostaje w mieście na zawsze. Nie mógłby pojąć tego, by jedyny syn Karola wychowywał się nie pod jego okiem. Scarlett słysząc te argumenty uśmiechała się i nic nie odpowiadała, nie chcąc się do niczego zobowiązywać, póki nie wiedziała, czy spodoba jej się w Atlancie i czy będzie się dobrze czuła w otoczeniu rodziny męża. Wiedziała także, że będzie musiała zyskać zgodę Geralda i Ellen. Ponadto zaś teraz, gdy była z dala od Tary, bardzo za nią tęskniła: brak jej było czerwonych pól, zielonych krzaczków bawełny i ciszy o zmierzchu. Po raz pierwszy zaczęła niejasno rozumieć, co miał na myśli Gerald mówiąc, że miłość do ziemi ma się we krwi.

Nie dawała więc chwilowo ostatecznej odpowiedzi co do czasu trwania swojej wizyty i tymczasem wżywała się w atmosferę czerwonego domu u wylotu ulicy Brzoskwiniowej.

Mieszkając z rodziną Karola w domu, w którym wyrósł, Scarlett zaczynała teraz lepiej rozumieć tego chłopca, który uczynił ją żoną, wdową i matką w tak szybkim czasie. Łatwo było pojąć dlaczego był tak nieśmiały, tak skromny i pełen ideałów. Jeżeli Karol odziedziczył nawet pewne cechy po surowym, nieustraszonym, porywczym żołnierzu, jakim był jego ojciec, to zatarły się one już w dzieciństwie pod wpływem kobiecej atmosfery, w której się wychował. Przywiązany był bardzo do dziecinnej Pitty a Melanię kochał głębiej niż przeciętny brat siostrę, trudno zaś było znaleźć dwie łagodniejsze i mniej od nich zaradne kobiety.

Ciotka Pittypat ochrzczona została właściwie przed sześćdziesięciu laty imionami Sara Janina, ale od niepamiętnych czasów, gdy tak ją przezwał ojciec, imię to przylgnęło do niej. Przez liczne lata, które nastąpiły po tym drugim chrzcie, wiele w niej zaszło zmian, które ów przydomek uczyniły śmiesznie nieodpowiednim. Z szybko drepczącej dziewczynki zostały jej jedynie dwie drobne stopy, zbyt małe w stosunku do tuszy, i skłonność do wesołego, bezmyślnego szczebiotu. Pitty była tęga, różowa na twarzy, siwiutka i zawsze trochę zadyszana z powodu zbyt ciasno zasznurowanego gorsetu. Trudno jej było chodzić dalej niż do najbliższej przecznicy na tych jej małych nóżkach, wtłoczonych w zawsze przyciasne pantofle. Serce jej biło mocniej za lada wzruszeniem i Pitty nie wstydziła się mdleć, ile razy nadarzała się jej sposobność. Wszyscy wiedzieli dobrze, że te omdlenia są przeważnie udane, ale za bardzo ją lubili, by jej o tym mówić. Lubili ją, psuli jak dziecko i nie brali poważnie — wszyscy z wyjątkiem brata jej, Henryka.

Pitty przekładała plotki nade wszystko inne, nawet nad rozkosze stołu, i całymi godzinami potrafiła pleść o cudzych sprawach w niewinny, dobrotliwy sposób. Nie pamiętała nigdy nazwisk, dat ani nazw miejscowości i często mieszała uczestników jednego dramatu z bohaterami innego, co zresztą nikogo nie wprowadzało w błąd, bo nikt nie słuchał tego, co mówiła. Nikt nie opowiadał jej rzeczy naprawdę drastycznych czy prawdziwych skandali, bo należało szanować jej dziewicze uszy, mimo że miała lat sześćdziesiąt — wszyscy też przyjaciele opiekowali się nią i pieścili jak duże dziecko.

Melania pod wieloma względami podobna była do ciotki. Miała tę samą nieśmiałość, rumieniła się równie często i niespodzianie, była tak samo skromna, ale posiadała sporo rozumu. „Tak, przyznaję, w niektórych sprawach” — myślała Scarlett niechętnie. Podobnie jak ciotka Pitty, Melania miała twarz niewinnego dziecka, które nigdy nie zaznało niczego prócz prostoty, dobroci, prawdy i miłości — dziecka, które nie widziało zła ni podłości i nie umiałoby się nawet na nich poznać. Ponieważ sama była zawsze szczęśliwa, chciała, aby wszyscy dokoła niej byli szczęśliwi lub przynajmniej zadowoleni. Z tego względu stale dopatrywała się cech dobrych we wszystkich ludziach i o tych tylko mówiła. Nie było tak niezręcznej służącej, aby Mela nie odkryła w niej niezwykłego oddania czy dobroci, nie było tak brzydkiej dziewczyny, aby nie dopatrzyła się w niej ładnej figury czy szlachetnego charakteru, ani tak bezwartościowego i nudnego mężczyzny, któremu by się nie przyjrzała z punktu widzenia możliwości, a nie dokonań.

Z powodu tych jej zalet, które wypływały z prawdziwie szlachetnego serca, każdy garnął się do niej, któż bowiem mógłby się oprzeć osobie odkrywającej w bliźnich swoich cechy dodatnie, których istnienia nawet się nie domyślają? Miała więcej przyjaciółek niż jakakolwiek inna panienka w mieście i nawet więcej przyjaciół, mimo że nie miała wielbicieli, bo brak jej było egoizmu i uporu w zdobywaniu sobie serc męskich.

Melania postępowała właściwie tak, jak tego uczono wszystkie panienki na Południu — starała się, aby wszyscy w jej otoczeniu byli zadowoleni i dobrze się czuli. Ten właśnie spisek kobiet sprawiał, że południowcy stali się tak bardzo miłymi ludźmi. Kobiety wiedziały, że kraj, w którym mężczyźni są zadowoleni, pewni siebie i bezpieczni w swojej przez nikogo nie zadraśniętej próżności, stanie się z pewnością rajem dla kobiet. Od kolebki więc aż do grobu starały się, aby rzeczywiście byli zadowoleni z siebie, a pogodni mężczyźni odpłacali im szczodrze w monecie galanterii i uwielbiania. Mężczyźni chętnie dawali kobietom wszystko w świecie, odmawiając im jedynie rozumu. Scarlett miała te same metody postępowania co Melania, ale uciekała się do nich z wystudiowanym artyzmem i doskonałym sprytem. Różnica między nimi dwiema polegała na tym, że podczas gdy Melania mówiła przyjemne i pochlebne rzeczy z chęci sprawienia ludziom choćby krótkotrwałej radości, Scarlett zawsze miała w tym ukryty swój cel.

Przebywając w towarzystwie Pitty i Meli, dwóch najbardziej ukochanych kobiet, Karol nie dowiedział się niczego o twardej rzeczywistości życia, dom zaś, w którym wyrósł na mężczyznę, był miękki jak ptasie gniazdko. W porównaniu z Tarą był to spokojny, staromodny, wytworny dom. Scarlett bardzo w nim brakło męskiego zapachu koniaku, tytoniu i pomady do włosów, ochrypłych głosów i soczystych przekleństw, strzelb, siodeł, lejc i wałęsających się pod nogami psów. Brakło jej odgłosów kłótni, które rozlegały się w Tarze, ilekroć się Ellen odwróciła — kłótni Mammy z Porkiem, Róży z Tiną, jej własnych przykrych sprzeczek z Zuelą, wrzaskliwych pogróżek Geralda. Nic dziwnego, że Karol był „babą”, skoro wychował się w takim domu. Tutaj nigdy nie czuło się zdenerwowania, głosy nigdy nie podnosiły się, każdy łagodnie stosował się do życzeń drugiego i w końcu wszyscy robili to, czego sobie życzył czarny, siwiejący despota w kuchni. Scarlett, która wyrwawszy się spod kontroli Mammy, spodziewała się większej swobody, przekonała się z żalem, że na dystyngowane zachowanie się, zwłaszcza jeżeli chodzi o wdowę po panu Karolu, wuj Piotr ma nawet surowsze poglądy niż Mammy.

W takiej atmosferze Scarlett przychodziła powoli do siebie i nim się spostrzegła, odzyskała dawny humor. Miała zaledwie siedemnaście lat, wspaniałe zdrowie i energię, a rodzina Karola starała się, jak mogła, aby jej życie umilić. Jeżeli im się to nie udawało w pełni, nie była to ich wina, bo nikt nie mógł jej przecie usunąć z serca bólu, który odświeżał się, ilekroć wypowiadano imię Ashleya. Melania zaś wspominała go tak często! Poza tym jednak i Melania, i Pitty były niezmordowane, aby ukoić smutek który, jak sobie wyobrażały, zżerał Scarlett. Własny swój ból odsunęły na bok, aby tylko ją rozerwać. Troskały się o jej jedzenie, o godziny popołudniowego spoczynku i pory przejażdżek powozem. Nie dość, że podziwiały ją z zapałem — chwaliły jej rozum, figurę, małe ręce i nogi, białą skórę — ale powtarzały jej to często, głaszcząc ją, obejmując i całując dla podkreślenia prawdy swoich czułych słów.

Scarlett nie bardzo dbała o pieszczoty, ale topniała pod wpływem komplementów. Nikt w Tarze nie mówił jej nigdy tak przyjemnych słów. Mammy cały swój czas poświęcała właściwie tępieniu jej zarozumiałości. Mały Wade także przestał jej teraz przeszkadzać, bo cała rodzina i wszyscy sąsiedzi, biali i czarni, ubóstwiali go i ciągle spierali się, kto ma go trzymać na kolanach. Melania zwłaszcza bardzo go kochała. Nawet kiedy wrzeszczał jak oszalały, Melania uważała, że jest rozkoszny, i mówiła mu to, dodając: — Och, najmilsze moje kochanie! Jakżebym chciała, abyś był mój!

Czasem Scarlett z trudem mogła ukryć swoje prawdziwe uczucia — bo nie przestała uważać ciotki Pitty za wyjątkowo głupią starą pannę, a niezdarność jej i ciągłe mdlenia irytowały ją bardzo. Melanii nie lubiła z zazdrosną niechęcią, która ciągle wzrastała. Czasem musiała wychodzić nagle z pokoju, gdy Mela, rozpromieniona z miłości i dumy, mówiła o Ashleyu albo czytała na głos jego listy. Ale mimo to życie płynęło tak szczęśliwie, jak to było możliwe w danych okolicznościach. Atlanta była z pewnością bardziej interesująca od Savannah, Charlestonu czy Tary i tyle dawała niezwykłych, wojennych zajęć, że Scarlett nie miała czasu na rozmyślania czy zadumę. Czasem tylko, gasząc świecę i składając głowę na poduszkę, wzdychała i myślała: „Gdybyż Ashley nie był żonaty! Gdybym ja nie musiała pracować w tym przebrzydłym szpitalu! Ach, gdybyż mi było wolno mieć wielbicieli!” Od pierwszej chwili nie lubiła opiekowania się chorymi, ale nie mogła się od tego obowiązku uchylić, bo należała do komitetów pani Meade i pani Merriweather. Znaczyło to, że cztery ranki tygodniowo musiała spędzać w dusznym, śmierdzącym szpitalu, ubrana w fartuch zakrywający ją od szyi do stóp i w turban z ręcznika. Wszystkie mężatki w Atlancie, stare czy młode, pracowały w szpitalu i czyniły to z entuzjazmem, który Scarlett wydawał się prawie fanatycznym. Uważały za oczywiste, że i ona płonie tym samym zapałem, i byłyby bardzo zgorszone, gdyby wiedziały, jak mało Scarlett interesuje się wojną. Gdyby nie ciągła obawa, że Ashley może zostać zabity, wojna nie obchodziłaby jej wcale, chorych zaś pielęgnowała dlatego po prostu, że nie wiedziała, jak się od tego wykręcić.

Rozumie się, że zajęcie to nie miało w sobie nic romantycznego. Dla Scarlett było synonimem jęków, maligny, śmierci i smrodów. Szpitale pełne były brudnych, zarośniętych, owszonych mężczyzn, którzy śmierdzieli strasznie i mieli rany dość okropne, aby każdego przyprawić o mdłości. Szpitale cuchnęły gangreną i odór ten prześladował ją zwykle jeszcze długo po wyjściu na ulicę — był to słodkawy opar choroby, który lgnął do włosów i rąk, męczył w snach. Muchy, komary i moskity brzęczącymi, dźwięcznymi rojami wypełniały sale szpitalne tak dokuczając chorym, że aż klęli lub płakali. Scarlett zaś, drapiąc się sama od ukąszeń, wachlowała rannych liśćmi palmowymi tak długo, aż zaczynały ją boleć ramiona, i życzyła wszystkim nagłej śmierci.

Melania jednak zdawała się nie zwracać uwagi na zapachy, rany czy nagość — co Scarlett uważała za rzecz niezwykłą w kobiecie tak bojaźliwej i skromnej. Czasem, kiedy doktor Meade oczyszczał zaropiałe rany, Melania trzymając miski i instrumenty była bardzo blada. Raz nawet, po jakiejś operacji, Scarlett zastała ją w schowku na bieliznę, spokojnie wymiotującą w ręcznik. Jak długo jednak była przy rannych, Melania była miła, współczująca i tak pogodna, że wszyscy mężczyźni nazywali ją aniołem miłosierdzia. Scarlett także by była rada mieć taki przydomek, ale aby go zyskać, należało dotykać mężczyzn pokrytych wszami, wsadzać palce do gardła nieprzytomnych pacjentów, dla sprawdzenia, czy nie połknęli kawałka tytoniu do żucia, bandażować kikuty i oczyszczać z robaków jątrzące się rany. Nie, stanowczo nie lubiła pielęgnowania chorych.

Może by to wszystko stało się znośniejsze, gdyby było jej wolno olśniewać wdziękami rekonwalescentów, z których niektórzy byli przystojni i z dobrych rodzin, tego jednak robić nie mogła z powodu swego wdowieństwa. Młode panienki, którym nie wolno było pielęgnować, aby nieprzystojne widoki nie obrażały ich dziewiczych oczu, miały pod swoją opieką ozdrowieńców. Nie związane małżeństwem ani wdowieństwem, robiły wielkie podboje i nawet najbrzydsze dziewczęta, jak ponuro obserwowała Scarlett, bez trudu zdobywały sobie teraz narzeczonych.

Poza beznadziejnie chorymi lub ciężko rannymi mężczyznami Scarlett widywała wyłącznie kobiety, i to ją także gniewało, ponieważ nie lubiła kobiet ani im nie ufała, co gorsze zaś, nudziła się bardzo w ich towarzystwie. Trzy razy w tygodni musiała jednak chodzić z Melanią na wieczory szycia lub zwijania bandaży. Dziewczęta, które znały Karola, były dla niej na tych zebraniach miłe i uważne, zwłaszcza Fahny Elsing i Maybelle Merriweather, córki dwóch znakomitych dam miasta. Odnosiły się jednak do niej z szacunkiem, należnym osobie starszej i doświadczonej, ciągłe zaś ich rozmowy o tańcach i kawalerach budziły w Scarlett i zazdrość, że nie dzieli ich rozrywek, i żal, że wdowieństwo odgradza ją od nich na zawsze. Była przecież trzy razy ładniejsza od Fanny i Maybelle! Och, jak niesprawiedliwe było życie! Jak źle, że wszyscy myśleli, iż serce jej jest w grobie, kiedy to było nieprawdą! Było w Wirginii, z Ashleyem!

Mimo jednak tych drobnych nieprzyjemności Atlanta bardzo się Scarlett podobała. Wizyta jej przeciągała się coraz dłużej, a tygodnie mijały szybko.

## ROZDZIAŁ IX

Tego letniego poranka Scarlett siedziała w oknie swojej sypialni i ze smutkiem przyglądała się wozom i powozom pełnym dziewcząt, żołnierzy i przyzwoitek, wyjeżdżającym z ulicy Brzoskwiniowej do lasu po gałęzie do udekorowania sali, w której wieczorem miała się odbyć wenta na rzecz szpitali. Na czerwonej drodze cienie wysokich drzew mieszały się z plamami słonecznego blasku, a kopyta końskie wzbijały małe tumany rdzawego pyłu. Wóz, jadący na przedzie, mieścił czterech tęgich Murzynów z siekierami do ścinania gałęzi oraz przykryte serwetkami kosze, kobiałki pełne prowiantów i kilkanaście arbuzów. Dwaj czarni przy dźwiękach banjo i harmonii śpiewali we własnej przeróbce pieśń „O zuchach z kawalerii”. Za nimi sunęła wesoła kawalkada — osłonięta od słońca małymi parasolkami: dziewczęta w kwiecistych perkalowych sukniach, lekkich szalach, czepkach i mitenkach; starsze panie, łagodnie uśmiechające się wśród śmiechów i rzucanych z powozu do powozu żartów i docinków; rekonwalescenci ze szpitala, wciśnięci między tęgie opiekunki i szczupłe dziewczęta, nadskakujące im troskliwie; oficerowie na koniach, towarzyszący powozom stępa — koła skrzypiały, dźwięczały ostrogi, połyskiwały złote szamerunki, parasolki chwiały się, wachlarze poruszały, rozbrzmiewał śpiew Murzynów. Kto żyw, wyjeżdżał za miasto po zieleń i na pikniki w lesie. „Wszyscy — myślała Scarlett ponuro — z wyjątkiem mnie”.

Wszyscy wołali do niej i machali chusteczkami przejeżdżając koło jej okna, starała się więc odpowiadać równie wesoło, ale przychodziło jej to z trudem. Ostry, dojmujący ból ściskał jej serce i wolno podchodził do gardła, do oczu zaś napływały łzy.

Wszyscy jechali na piknik, tylko nie ona. I wszyscy szli na wentę i bal wieczorem — z wyjątkiem jej, Scarlett. Ściślej — wszyscy z wyjątkiem jej, Pittypat, Meli i innych nieszczęsnych kobiet, które były w żałobie. Ale Mela i Pitty nic sobie z tego nie robiły. Nawet nie przyszło im na myśl, że mogłyby się wybrać. Scarlett — przeciwnie. Chciała iść na bal — strasznie chciała!

Była to po prostu krzycząca niesprawiedliwość. Pracowała nad przygotowaniem wenty dwa razy więcej od każdej dziewczyny. Zrobiła pończochy, czapeczki dziecinne, kołderki wełniane, rękawiczki, ząbki koronkowe, wymalowała porcelanowe miseczki i filiżanki dla wąsatych panów. Na kilkunastu poszewkach wyhaftowała sztandar Konfederacji. (Gwiazdy wyszły wprawdzie trochę krzywo, niektóre były prawie okrągłe, inne miały sześć czy nawet siedem ramion, ale efekt ogólny był dobry). Przez wczorajszy dzień pracowała aż do zupełnego wyczerpania w zakurzonej szopie przy zbrojowni, przystrajając żółtą, różową i zieloną bibułką stoiska pod ścianami. Wobec dozoru pań z Komitetu Szpitalnego była to zwykła ciężka praca, a nie przyjemność. Praca w obecności pani Merriweather, pani Elsing czy pani Whiting nigdy nie była przyjemnością, ponieważ poganiały człowieka, jakby był nie lepszy od zwykłego Murzyna. I w dodatku trzeba było jeszcze wysłuchać, jak przechwalają się powodzeniem swoich córek. Co najgorsze zaś, Scarlett, pomagając Pitty i kucharce w pieczeniu tortów na loterię fantową, sparzyła sobie dwa palce.

Teraz zaś, napracowawszy się jak wyrobnica, musiała się z godnością wycofać, kiedy zabawa miała się właśnie rozpocząć. Och, to wcale nie było sprawiedliwe, że mąż jej nie żył, a dziecko wrzeszczało w sąsiednim pokoju, i że musiała być poza nawiasem wszystkich przyjemności! Jeszcze rok temu mogła tańczyć i nosić kolorowe suknie zamiast tej wstrętnej żałoby i była właściwie zaręczona z trzema chłopcami na raz. Miała dopiero siedemnaście lat i nie wytańczyła się jeszcze wcale. Och, to było bardzo niesprawiedliwe! Życie omijało ją jak te wozy na rozgrzanej drodze — życie, szare mundury, dźwięczące ostrogi, kwieciste suknie organdynowe i śpiewy przy banjo. Starała się uśmiechać i nie wymachiwać ze zbytnim zapałem chustką do mężczyzn, których znała doskonale, bo oglądała ich w szpitalu, trudno jednak było nie pokazywać dołeczków, trudno udawać, że serce jest w grobie — kiedy tak wcale nie było.

Kłanianie się i powiewanie chusteczką nagle jednak ustało, kiedy do pokoju Scarlett weszła Pittypat, zadyszana jak zwykle po wdrapaniu się na schody, i odciągnęła ją bezceremonialnie od okna.

— Czyś ty postradała zmysły, kochanie, że kłaniasz się mężczyznom z okna swojej sypialni? Scarlett, jestem doprawdy zgorszona! Co by twoja matka na to powiedziała?

— Przecież nikt nie wie o tym, że to moja sypialnia.

— Ale może się komuś zdawać, że to twoja sypialnia, i to na jedno wychodzi. Kochanie, nie powinnaś robić tego rodzaju rzeczy. Wszyscy zaczną mówić o tobie, że jesteś zalotna. Ponadto zaś pani Merriweather z pewnością wie, że to twoja sypialnia.

— Przypuszczam więc, że to ta stara plotkara o tym rozgada.

— Cicho, kochanie! Dolly Merriweather jest moją najlepszą przyjaciółką.

— Mimo to jest plotkarką, ciociu. Ach, ciociu, niechże ciocia nie płacze! Zapomniałam zupełnie, że jestem w sypialni. Nigdy już tego nie zrobię... Chciałam po prostu zobaczyć ich odjazd. Bardzo żałuję, że nie jestem z nimi.

— Kochanie!

— Nic na to nie poradzę. Tak mnie już znudziło siedzenie w domu.

— Scarlett, przyrzeknij mi, że nie będziesz więcej mówiła podobnych rzeczy. Ludzie zaczęliby zaraz gadać. Powiedzieliby, że nie okazujesz szacunku dla pamięci biednego Karola...

— Och, ciociu, przestań płakać!

— No widzisz, teraz i ty zaczynasz płakać — łkała Pittypat. Z pewną satysfakcją szukając w kieszeni chusteczki.

Dziwny ból doszedł już wreszcie do gardła, Scarlett rozpłakała się więc na głos — nie z żalu za biednym Karolkiem, jak sobie wyobrażała Pitty, ale dlatego, że turkot kół i śmiechy wreszcie ucichły. Melania wpadła ze swego pokoju ze zmarszczonym z niepokoju czołem, z rozpuszczonymi czarnymi włosami i szczotką w ręce.

— Najdroższe moje! Co się stało?!

— Karolek! — łkała Pittypat, oddana już całkowicie przyjemności głośnego płaczu, i złożyła głowę na ramieniu Meli.

— Och — rzekła Mela, sama bliska płaczu na dźwięk imienia brata. — Bądź silna, ciociu. Nie płacz. Och, Scarlett.

Scarlett rzuciła się na łóżko i płakała w głos, łkając z żalu za swoją straconą młodością, za rozrywkami, które były jej wzbronione, łkając z rozpaczą i oburzeniem dziecka, które płaczem mogło niegdyś wiele wskórać, a teraz wie, że i łzy nic nie pomogą. Ukryła głowę w poduszkę, płakała i kopała nogami puchową kołdrę.

— Wolałabym już nie żyć! — łkała gwałtownie. Na widok takiego bólu łzy Pittypat ustały, Mela zaś pobiegła w stronę łóżka, aby pocieszyć bratową.

— Najmilsza, nie płacz! Pomyśl, jak bardzo Karol cię kochał, i niechaj cię to pokrzepi! Staraj się myśleć o swoim dzieciątku!

Oburzenie, że jej nie rozumieją, połączone z żalem, że jest poza nawiasem życia, odebrały Scarlett głos. Dobrze się stało, bo gdyby mogła mówić, wykrzyczałaby wiele prawd prostymi słowami Geralda. Melania klepała ją po ramieniu, Pitty zaś krzątała się ciężko po pokoju i zasuwała firanki.

— Niech ciocia tego nie robi! — krzyknęła Scarlett podnosząc czerwoną i zapuchniętą twarz z poduszki. — Nie jestem jeszcze zupełnym trupem, aby mi tu ciocia firanki zasuwała w biały dzień, chociaż Bóg świadkiem, że wolałabym nie żyć! Och, proszę, idźcie sobie i dajcie mi święty spokój!

Znowu ukryła twarz w poduszkę. Po krótkiej naradzie szeptem, dwie pochylone nad nią kobiety wyszły wreszcie z pokoju. Słyszała, jak Melania cicho mówi na schodach do Pittypat:

— Ciociu Pitty, wolałabym, abyś nie mówiła ze Scarlett o Karolu. Wiesz dobrze, jak to na nią działa. Biedactwo, robi tak dziwną minę i stara się wstrzymać łzy. Nie powinniśmy jej tego utrudniać.

Scarlett kopnęła kołdrę w bezsilnej wściekłości, starając się przypomnieć sobie jak najgorsze przekleństwo.

— Do stu tysięcy par beczek! — zawołała wreszcie i trochę jej ulżyło. Że też Melania mogła z taką rezygnacją siedzieć w domu, nie mieć żadnych rozrywek, nosić żałobę po bracie, gdy miała dopiero osiemnaście lat! Melania zdawała się nie wiedzieć czy też nie zwracać uwagi na to, że życie omija ją ze srebrzystym dźwiękiem ostróg.

„Bo z niej taka ślamazara — myślała Scarlett gniotąc poduszkę. — I nigdy nie miała takiego powodzenia jak ja, więc wyrzeczenie nie przychodzi jej tak ciężko jak mnie... A... poza tym ma Ashleya, a ja... ja... ja nie mam nikogo!” I na tę bolesną myśl znowu zaczęła szlochać.

W tym ponurym nastroju przesiedziała u siebie aż do południa i nawet wtedy widok młodzieży powracającej z pikniku i wozów naładowanych zielenią, paprocią i bluszczem nie poprawił jej humoru. Wszyscy byli pomęczeni, ale weseli, znowu jej się kłaniali i ona znowu odpowiadała posępnie. Życie było sprawą beznadziejną i żyć z pewnością nie było warto.

Wyzwolenie przyszło w postaci najmniej spodziewanej, kiedy w czasie poobiedniej drzemki przyjechały pani Merriweather z panią Elsing. Zdumione, że goście zjawiają się o tak niezwykłej porze, Melania, Scarlett i ciotka Pittypat zerwały się ze snu, szybko zapięły staniki, przygładziły włosy i zeszły do salonu.

— Dzieci pani Bonnel mają odrę — zaczęła pani Merriweather, wyrażając spojrzeniem, że uważa panią Bonnel osobiście za to odpowiedzialną.

— A panny McLure wezwano do Wirginii — rzekła pani Elsing ledwie słyszalnym głosem, wachlując się leniwie, jak gdyby ani to, ani nic innego nie miało właściwie znaczenia. — Dallas McLure został ranny.

— Jakie to straszne! — zawołały chórem trzy panie Hamilton. — Czy biedny Dallas...

— Nie. Ma tylko przestrzelone ramię — wyjaśniła pani Merriweather szybko. — Chodzi o to, że wszystko to razem nie mogło się zdarzyć w czasie mniej odpowiednim. Panny McLure jadą na Północ, aby go sprowadzić do domu. Ale na Boga, nie mamy czasu, aby tu siedzieć i rozmawiać z wami. Musimy prędko wracać do zbrojowni i skończyć dekorowanie sali. Pitty, potrzebujemy ciebie i Meli wieczorem na zastępstwo pani Bonnel i panien McLure.

— Ależ, Dolly, my nie możemy pójść...

— Nie mów „nie możemy”, Pittypat Hamilton — powiedziała pani Merriweather stanowczo. — Potrzebna nam jesteś do nadzoru nad Murzynami, którzy będą podawali. To była funkcja pani Bonnel. A ty, Melu, musisz się zająć stoiskiem panien McLure.

— Och, my naprawdę nie możemy... przecież biedny Karol nie żyje dopiero od...

— Wiem, co się dzieje w waszych sercach, ale dla Sprawy nie istnieją zbyt wielkie ofiary — wtrąciła pani Elsing cicho i przekonywająco.

— Och, bardzo byśmy chciały wam pomóc, ale... czy nie możecie znaleźć jakichś młodych, ładnych dziewcząt na zastępstwo?

Pani Merriweather parsknęła głośno.

— Nie wiem, co się stało tym dzisiejszym pannom. Nie mają poczucia odpowiedzialności. Wszystkie dziewczęta, które nie mają stoisk, wykręcają się od nich jak najęte. Och, ja wiem dlaczego. Po prostu chcą mieć więcej czasu na zawracanie głowy oficerom, i to wszystko. A prócz tego boją się, że za stołami nie będzie widać ich nowych sukien. Życzyłabym sobie, aby ten przemytnik — jakże on się nazywa?...

— Kapitan Butler — podsunęła pani Elsing.

— Życzyłabym sobie, aby sprowadzał więcej lekarstw dla szpitali, a mniej krynolin i koronek. Wszystkie suknie, jakie będę dzisiaj podziwiała, pochodzą od niego. Kapitan Butler... dźwięk tego nazwiska przyprawia mnie o mdłości. Słuchaj, Pitty, nie mam teraz czasu na przekonywanie was. Musicie przyjść. Ciebie nikt nie dostrzeże w tylnym pokoju, a Mela nie będzie się rzucała w oczy. Stoisko tych biednych panien McLure jest w samym kącie i dość nieładne, więc nikt nie zobaczy.

— Uważam, że powinnyśmy pójść — rzekła Scarlett starając się zdławić swój zapał i nadać twarzy wyraz powagi i spokoju. — Tyle chociaż możemy zrobić dla szpitala.

Żadna z pań nie wymieniła nawet imienia Scarlett, odwróciły się więc i spojrzały na nią ostro. Nawet w tej krytycznej chwili nie ośmieliły się zaproponować wdowie od ledwie roku ukazania się w towarzystwie. Scarlett wytrzymała ich spojrzenie otwierając oczy w dziecinnym zdumieniu.

— Uważam, że powinnyśmy pójść i postarać się pomóc, wszystkie trzy. Myślę, że i ja powinnam być z Melą przy stoisku, bo uważam, że będzie lepiej wyglądało, jeżeli pójdziemy razem, niż gdyby poszła tylko jedna z nas. Czy zgadzasz się ze mną, Melu?

— Hm... — zaczęła Mela bezradnie. Perspektywa ukazania się podczas żałoby w publicznym miejscu, na zabawie, była tak niesłychana, że nie wiedziała, co ma robić.

— Scarlett ma rację — powiedziała pani Merriweather zaobserwowawszy, że opór Meli słabnie. Wstała i poprawiła suknię. — Wszystkie trzy musicie przyjść. No, Pitty, nie zaczynaj mi się tylko wymawiać. Pomyśl tylko, jak bardzo szpital potrzebuje pieniędzy na nowe łóżka i lekarstwa. Przekonana jestem, że Karolek chętnie by pomógł sprawie, dla której zginął.

— No, więc dobrze — rzekła Pittypat, jak zwykle bezradna w zetknięciu z silniejszą indywidualnością — skoro uważasz, że ludzie to zrozumieją.

„Zbyt dobre, aby było prawdziwe! Zbyt dobre, aby było prawdziwe!” — śpiewało rozradowane serce Scarlett, gdy wsuwała się niepostrzeżenie do stoiska przystrojonego różowożółtą bibułką. A więc rzeczywiście była na zabawie! Po całorocznym odosobnieniu, po czarnej krepie, przyciszonych głosach i wariowaniu z nudów, rzeczywiście była na zabawie! Na największej ze wszystkich, które kiedykolwiek odbyły się w Atlancie. Mogła widzieć ludzi i światła, słyszeć muzykę i na własne oczy oglądać piękne koronki, atłasy i stroje, które słynny kapitan Butler przemycił przez blokadę podczas swojej ostatniej podróży.

Usiadła na małym stołeczku za kontuarem stoiska i rozglądała się po długiej hali, która jeszcze do południa była nagą i brzydką salą musztry. Ileż się panie musiały napracować, aby doprowadzić zbrojownię do tego stanu! Teraz wyglądała pięknie. „Wszystkie świece i lichtarze Atlanty zebrano dziś w tej sali” — myślała. Srebrne, dwunastoramienne, porcelanowe, zdobne u podstawy ślicznymi figurynkami, stare, wyniosłe świeczniki, pełne pachnących berberysem świec różnych wielkości i kolorów — stały na kozłach do broni pod ścianami, na długich, przystrojonych kwiatami stołach, na kontuarach stoisk, nawet na parapetach otwartych okien, gdzie płomienie ich chwiały się lekko od ciepłych, letnich powiewów.

Wielka, brzydka lampa, wisząca pośrodku sali na zardzewiałych łańcuchach, była przystrojona nie do poznania gałązkami bluszczu i dzikiego wina, już zwiędłymi od gorąca. Kąty sali oddzielone były wonnymi gałęziami sośniny, tworząc altany dla opiekunek i starszych pań. Girlandy bluszczu i dzikiego wina wisiały wszędzie, na ścianach, nad oknami, na kolorowych draperiach stoisk. I wszędzie między zielenią, na sztandarach i chorągwiach, świeciły jasne gwiazdy Konfederacji na niebieskoczerwonym tle.

Podium dla orkiestry wyglądało wyjątkowo pięknie. Ukryte było za parawanem zieleni i gwiaździstej draperii: zebrano tam wszystkie rośliny doniczkowe z całego miasta — pelargonie, hortensje, kaktusy, nawet cztery ulubione fikusy pani Elsing ustawiono na honorowych miejscach w czterech rogach podwyższenia.

W udekorowaniu przeciwległej strony sali panie przeszły same siebie. Na ścianie tej wisiały wielkie portrety prezydenta Davisa i „małego Aleksa” z Georgii, Aleksandra Stephensa, wiceprzewodniczącego Konfederacji. Nad portretami rozpięto olbrzymi sztandar, pod nim zaś na długich stołach stał plon ogrodów Atlanty — paprocie, róże szkarłatne, żółte i białe, naręcza długich mieczyków, masy różnokolorowych nasturcji, wysokie, sztywne malwy, górujące ciemnopąsowymi i kremowymi koronami nad resztą kwiatów. Pomiędzy kwiatami płonęły świece pogodnie jak na ołtarzu. Na to wszystko zdawały się patrzeć dwa portrety dwóch bardzo różnych ludzi: Davis o chudych policzkach i chłodnych oczach ascety, z dumnie zaciśniętymi wąskimi wargami; Stephens o ciemnych, ognistych, głęboko osadzonych oczach i twarzy, na której humor zmazywał wyraz bólu i cierpienia. Ci dwaj ludzie byli powszechnie wielbieni.

Starsze panie z komitetu, na których barkach spoczywała odpowiedzialność za powodzenie wenty, kręciły się z taką ważnością jak statki pod wszystkimi żaglami, przynaglały spóźnione mężatki i chichoczące dziewczęta do stoisk, a potem wracały do tylnych pokojów, gdzie przygotowywano bufet. Ciotka Pitty podreptała za nimi.

Muzycy jeden po drugim wchodzili na estradę, czarni, uśmiechnięci, o tłustych policzkach, świecących już od potu, i zaczynali stroić skrzypce, pociągając z powagą smyczkami. Stary Levi, stangret pani Merriweather, który dyrygował orkiestrą na wszystkich wentach, balach i ślubach, od czasu gdy Martasville przemianowano na Atlantę, dał znak smyczkiem, że muzyka się rozpoczyna.

Prócz gospodyń było jeszcze niewiele osób, toteż wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Potem skrzypce, basetle, harmonijki i banjo zgodnie i wolno zaczęły grać „Lorenę” — do słuchu chwilowo, ponieważ tańce miały się rozpocząć później, gdy wszystkie stoiska wyzbędą się towarów. Scarlett czuła, jak serce jej bije mocniej, gdy doszły ją tony melancholijnego walca.

*Słońce nisko na niebie, Loreno,*

*Lata z wolna mijają, Loreno...*

*Znowu śniegi pokryły murawę,*

Raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy, balancez, obrót — dwa-trzy. Jaki to piękny walc! Scarlett rozłożyła ręce, przymknęła oczy i kołysała się lekko w takt smutnej melodii. W tych tragicznych rymach o minionej miłości Loreny było coś takiego, co ją wzruszyło i sprowadzało do oczu łzy.

Naraz, jak gdyby powołane do życia tonami walca, z oświetlonej promieniami księżyca ulicy zaczęły dochodzić dźwięki, stukot kopyt końskich i turkot kół, śmiechy i kłótliwe nawoływania się Murzynów, spierających się o miejsca postoju swoich powozów. Zgiełk zapanował na schodach i beztroska wesołość, świeże głosy dziewczęce mieszały się z niskimi tonami ich towarzyszy, słychać było powitania i okrzyki radości, gdy panienki witały się ze znajomymi, z którymi rozstały się nie dalej niż po południu.

Sala ożywiła się w jednej chwili. Pełna była dziewcząt w jasnych, kolorowych sukniach o wielkich krynolinach, spod których wyglądały koronkowe pantalony; pod falbankami staników rysowały się małe, młode piersi; koronkowe szale były niedbale zarzucone na ramiona; wachlarze, haftowane szychem i malowane, z puchu łabędziego i z pawich piór — zwisały na cienkich aksamitkach u przegubu dłoni; brunetki miały włosy gładko odgarnięte z uszu i upięte w koki tak ciężkie, że ściągały ich głowy do tyłu; blondynki o masach jasnych włosów zwiniętych w loki nosiły złote, długie kolczyki, podzwaniające koło uszu. Koronki, jedwabie, szamerowania i wstążki, przemycane przez blokadę, pokazywano z tym większą dumą, że stanowiły dodatkowy afront w stosunku do Jankesów.

Nie wszystkie kwiaty miasta ustawiono w hołdzie przed portretami przywódców Konfederacji. Najmniejsze, najpiękniej pachnące przystrajały suknie młodych dziewcząt. Herbaciane róże były zatknięte za różowe uszka, gałązki jaśminu i pączki różane w formie okrągłych bukiecików wpięte były w kaskady loczków lub skromnie wsunięte za atłasowe szarfy — aby przed upływem nocy znaleźć się jako cenna pamiątka na sercach żołnierzy w szarych mundurach.

W tłumie tyle było mundurów, tylu mężczyzn, których Scarlett znała z łóżek szpitalnych, z ulicy, z placu musztry! Mundury były wspaniałe, dumnie błyszczące guzikami i plecionym szamerowaniem na mankietach i kołnierzach, czerwone zaś, żółte i niebieskie pasy na spodniach — odznaki rozmaitych rodzajów broni — znakomicie odcinały się od szarości tła. Purpurowe i złote szarfy chwiały się tam i sam, szable lśniły i uderzały o świecące buty, ostrogi dzwoniły i brzęczały.

„Jacy to wspaniali mężczyźni” — myślała Scarlett z dumą w sercu, obserwując, jak rzucają powitania, kłaniają się znajomym, pochylają nisko nad dłońmi starszych pań. Wszyscy wyglądali bardzo młodo, mimo sumiastych płowych wąsów czy ciemnych bród, bardzo pięknie i walecznie, zwłaszcza ci z rękami na temblaku czy bandażami na czołach, mocno odcinającymi się od opalonych twarzy. Niektórzy chodzili o kulach, a panny troskliwie drepczące przy nich, aby dotrzymać im kroku, wyraźnie były dumne z bohaterstwa swoich towarzyszy. Pomiędzy mundurami był jeden pysznie kolorowy, zaćmiewający barwne szatki panien i wyróżniający się z tłumu jak ptak podzwrotnikowy — mundur żuawa z Luizjany, o bufiastych, niebieskobiałych spodniach w pasy, kremowych getrach i obcisłej, czerwonej marynarce. Nosił go ciemny, uśmiechnięty, niski młodzieniec z ręką na temblaku, przysięgły wielbiciel Maybelle Merriweather, nazwiskiem Rene Picard. Ze szpitali przyszli wszyscy ci, którzy mogli chodzić, zjawili się wszyscy żołnierze na urlopach oraz urzędnicy kolejowi i pocztowi z całego okręgu między Atlantą a Macon. Jakież zadowolone będą panie! Szpital z pewnością zarobi furę pieniędzy!

Z ulicy słyszeć się dało bicie w bębny, dudnienie stóp, pełne podziwu okrzyki stangretów. Zabrzmiała pobudka i basowy głos nakazał rozejść się. Po chwili oddział rezerwowej gwardii w barwnych mundurach zatupotał na wąskich schodach i zapełnił salę, kłaniając się, salutując, ściskając dłonie. Do gwardii należeli młodzi chłopcy, dumni z tej zabawy w wojnę, niecierpliwie czekający chwili, gdy wyruszą za rok do Wirginii, jeżeli wojna potrwa tak długo; starzy ludzie o siwych brodach, paradujący w mundurach i szczycący się sławą swoich synów na froncie. Do milicji należeli mężczyźni w średnim wieku i kilku starszych, ale także i garstka chłopców w wieku poborowym. Ci nosili się nie tak dziarsko jak młodsi i starsi od nich wiekiem — bo już ludzie zaczynali sarkać, że nie zaciągnęli się do armii.

Dziwne się wydawało, że wszyscy zdołali się pomieścić w sali! Chwilę temu wydawała się ogromna, teraz zaś była natłoczona po brzegi, gorąca od zapachu wody kolońskiej, pomady do włosów, kwiatów i palących się świec, duszna od pyłu, wzbijanego szuraniem tylu par stóp po podłodze. Zgiełk i gwar głosów zagłuszał nawet muzykę; jak gdyby przejęty radością i podnieceniem tłumu, stary Levi przerwał „Lorenę” w pół taktu i ostro pociągnął smyczkiem. Rzępoląc zajadle orkiestra zaczęła grać pieśń „Niebieski Sztandar”.

Sto głosów podjęło ją wesoło. Trębacz gwardii wdrapawszy się na podium przyłączył się do muzyki w chwili, gdy zaczęto chórem śpiewać, srebrzyste wysokie tony trąbki wybijały się ponad śpiew tłumu, wywoływały gęsią skórkę na nagich ramionach pań i zimne dreszcze głębokiego wyruszenia:

*Niech nam żyje, niech żyje, niech żyje!*

*Niech nam żyje nasz sztandar niebieski!*

*Z jedną gwiazdą niebieski nasz sztandar!*

Zaintonowali drugą zwrotkę. Scarlett śpiewając wraz z innymi słyszała za sobą wysoki sopran Melanii, przejmujący i czysty jak dźwięk trąbki. Odwróciwszy się ujrzała Melę z przyciśniętymi do piersi rękami, z zamkniętymi oczyma, z których kącików sączyły się łzy. Gdy muzyka umilkła, uśmiechnęła się dziwnie do Scarlett i ocierając oczy skrzywiła się, jak gdyby chciała się usprawiedliwić.

— Jestem taka szczęśliwa — szepnęła — i tak dumna z naszych żołnierzy, że nie mogłam powstrzymać się od płaczu.

W oczach jej malował się fanatyczny blask, który rozświetlił jej twarzyczkę i uczynił ją prawie piękną.

Równie promienne były twarze innych kobiet. Gdy skończyła się pieśń, łzy dumy spływały po różowych i pomarszczonych policzkach, na wargach kwitły uśmiechy, oczy błyszczały, gdy zwracały się na mężczyzn — kochanków, synów i mężów. Wszystkie były piękne tą olśniewającą urodą, która przeistacza najbrzydszą kobietę, gdy czuje, że jest osłaniana i kochana przez mężczyznę, i gdy miłość tę oddaje tysiąckrotnie.

Kochały swoich mężczyzn, wierzyły w nich, ufały im do ostatniego tchnienia. Jakże mogła spaść na nie kiedykolwiek klęska, gdy między nimi a Jankesami stał mocny jak stal mur szarych mundurów? Czy istnieli kiedykolwiek w historii dzielniejsi od nich mężczyźni, bardziej bohaterscy, rycerscy lub czuli? Cóż innego jak walne zwycięstwo mogło uwieńczyć Sprawę tak słuszną i tak sprawiedliwą? Sprawę, którą ukochały równie gorąco jak mężczyzn, Sprawę, której oddały serca, pracę swych rąk, Sprawę, o której mówiły, myślały i śniły — Sprawę, której poświęciłyby swoich najbliższych, gdyby zaszła tego potrzeba, i stratę swoją obnosiły tak dumnie, jak żołnierze bojowe sztandary.

Była to szczytowa chwila poświęcenia i miłości, apogeum Konfederacji, bo ostateczne zwycięstwo było za pasem. Tryumfy Stonewalla Jacksona w Dolinie i klęska Jankesów w siedmiodniowej bitwie pod Richmondem wyraźnie o tym świadczyły. Jakżeby zresztą mogło być inaczej pod wodzą takich ludzi jak Lee

i Jackson? Jeszcze jedno zwycięstwo i Jankesi padną na kolana błagając o pokój, mężczyźni wrócą do domów, rozpoczną się powitania, nastanie radość. Jeszcze jedno zwycięstwo, a wojna będzie skończona!

Rozumie się, że były domy pogrążone w żałobie, że były dzieci, które nigdy nie miały widzieć twarzy ojców, i bezimienne groby nad samotnymi strumykami w Wirginii czy w cichych górach Tennessee, ale czyż sprawa nie była warta takiej ceny? O jedwab, herbatę czy cukier było trudno, ale z tego żartowało się tylko. Zresztą odważni ludzie sprowadzali te rzeczy przez blokadę, pod samym nosem Jankesów, i to czyniło posiadanie ich o wiele bardziej podniecającym. Wkrótce już jednak Rafał Semmes i flota konfederacka zajmą się okrętami wojennymi Jankesów i porty znowu otworzą się szeroko. Prócz tego Anglia przyjdzie Konfederacji z pomocą, bo fabryki angielskie musiały stanąć z powodu braku bawełny z Południa. Oczywiście arystokracja angielska całym sercem była po stronie Konfederacji, ponieważ arystokracji zawsze łatwo porozumieć się z sobą, aby przeciwstawić się rasie groszorobów w rodzaju Jankesów.

Tak więc kobiety szeleściły jedwabiami, śmiały się i patrząc na swoich mężczyzn wzrokiem pełnym dumy, czuły, że miłość w obliczu niebezpieczeństwa i śmierci jest podwójnie słodka, co przynosi ze sobą dziwne podniecenie.

Kiedy Scarlett znalazła się w tłumie, serce jej zaczęło walić ze wzruszenia, że po tak długiej przerwie znowu jest na zabawie, gdy jednak spostrzegła niezrozumiałe dla niej podniecenie na otaczających ją twarzach, radość jej szybko uleciała. Wszystkie obecne na balu kobiety jaśniały wzruszeniem, którego ona nie odczuwała. To wprawiało ją w zakłopotanie i przygnębienie. Sala przestała się jej wydawać piękna, dziewczęta nie były już strojne, a zapał dla Sprawy, który malował się na wszystkich twarzach, wydał jej się nagle — po prostu śmieszny!

W minucie olśnienia, od którego nagłości aż otwarła usta, zrozumiała, że nie dzieli z tymi kobietami ani ich zawziętej dumy, ani chęci poświęcenia dla Sprawy i siebie, i wszystkiego, co posiadały. Zanim zdążyła z przerażeniem pomyśleć: „Nie, nie! Nie powinnam mieć podobnych myśli! To straszne, to grzeszne!” — wiedziała, że Sprawa dla niej nic nie znaczy i że nudzi ją wysłuchiwanie tego, co o niej mówią ludzie o płonących fanatyzmem oczach. Sprawa nie wydała jej się święta. Wojna nie była rzeczą świętą, ale szkodliwą — bo zabijała setki mężczyzn, pochłaniała wiele pieniędzy i uniemożliwiała zbytek. Scarlett uświadomiła sobie w owej chwili, że znudzona jest wiecznym szydełkowaniem, zwijaniem bandaży i skubaniem szarpi, które niszczyło jej paznokcie. I ach, tak bardzo była zmęczona szpitalem! Wzbudzał w niej wstręt odór ropiejących ran, nudziło słuchanie wiecznych jęków, przerażona była zmianami, jakie śmierć malowała na zapadłych twarzach.

Rozejrzała się ostrożnie dokoła, kiedy te zdradzieckie, bluźniercze myśli przechodziły jej przez głowę — bojąc się, aby ich nikt przypadkiem nie wyczytał z jej twarzy. Och, czemuż nie mogła czuć tak jak inne kobiety! Były szczere i prawdziwe w tym swoim oddaniu Sprawie. Myślały naprawdę tak, jak mówiły.

A gdyby ktoś kiedykolwiek zaczął podejrzewać, że ona... Nie, nie nikt nie powinien dowiedzieć się o tym. Musi w dalszym ciągu udawać entuzjazm i dumę, których wcale nie czuje, grać nadal swoją rolę wdowy po oficerze Konfederacji, wdowy, która znosi dzielnie swój ból, która czuje, że śmierć jej męża nie poszła na marne, bo przyczyniła się do tryumfu Sprawy.

Och, dlaczego była tak różna, tak inna od tych pełnych oddania kobiet? Nigdy nie będzie umiała pokochać niczego ani nikogo tak bezinteresownie, jak one. Jakież przykre było to uczucie, uczucie dziwnej jakiejś samotności — a Scarlett nigdy dotąd nie czuła się samotna ani cieleśnie, ani duchowo. Z początku starała się zagłuszyć te myśli, ale bezwzględna i twarda uczciwość w stosunku do samej siebie, która była cechą jej natury, nie pozwoliła na to. Tak więc, podczas gdy wenta trwała, podczas gdy razem z Melanią załatwiała kupujących, którzy podchodzili do ich stoiska, Scarlett nie przestawała intensywnie myśleć, starając się usprawiedliwić sama przed sobą — co było dla niej zresztą nietrudnym zadaniem.

Inne kobiety były głupie i histeryczne z tym swoim wiecznym gadaniem o patriotyzmie i Sprawie, a i mężczyźni byli nie lepsi, mówiąc w kółko o koniecznościach życiowych i o sprawach Stanów. Ona jedna, Scarlett z O’Harów Hamilton, posiadała zdrowy, twardy, irlandzki rozsądek. Nie miała zamiaru błaźnić się udawaniem przesadnego oddania dla Sprawy, ale nie chciała zdradzać prawdziwych swoich uczuć — to byłoby nie mniej głupie. Była dość rozsądna, aby do sytuacji tej odnieść się praktycznie; nikt nie powinien się dowiedzieć, co rzeczywiście czuje. Jak by się wszyscy obecni dziwili, dowiedziawszy się, co Scarlett myśli naprawdę! Jak by się zgorszyli, gdyby nagle weszła na estradę i oświadczyła, że uważa, iż wojna powinna się skończyć, aby wszyscy mogli wrócić do domu i zająć się zbiorem bawełny, aby znowu były zabawy, wielbiciele i mnóstwo jasnozielonych sukien. Na krótką chwilę ta próba rozgrzeszenia samej siebie podniosła ją na duchu, po sali jednak rozglądała się w dalszym ciągu z niechęcią. Kiosk panien McLure był mało okazały, jak zresztą uprzedziła pani Merriweather, zdarzały się więc długie okresy, kiedy nikt nie podchodził w tę stronę i Scarlett musiała się przyglądać z zazdrością rozbawionemu tłumowi. Melania wyczuwała jej nastrój, ale przypisując go tęsknocie za Karolem nie starała się wszczynać rozmowy. Zabijała czas układaniem przedmiotów na sprzedaż w sposób bardziej dekoracyjny, podczas gdy Scarlett siedziała bezczynnie i ponuro patrzyła na salę. Nawet kwiaty pod portretami Davisa i Stephensa przestały jej się podobać.

„Wygląda to jak ołtarz — sarkała w duchu. — Można by pomyśleć, że to Bóg Ojciec i Syn Boży, tak ich tu adorują!” Pomyślawszy to, przerażona swoją śmiałością przeżegnała się szybko i ze skruchą, ale po chwili niepokój jej minął.

„Bo przecież to prawda! — polemizowała ze swoim sumieniem. — Wszyscy odnoszą się do nich jak do świętych, a to tylko ludzie, i w dodatku bardzo brzydcy”.

Pewnie, że pan Stephens nie odpowiadał za swój wygląd, bo przez całe życie był ciężko chory, ale pan Davis... Spojrzała na dumną twarz o czystych rysach kamei. Najbardziej irytowała ją kozia bródka. Mężczyźni powinni być albo gładko ogoleni, albo mieć wąsy lub porządną brodę.

„Ta kostropata bródka tak wygląda, jak gdyby nie mógł sobie na większą pozwolić” — myślała nie dostrzegając chłodnej mądrości, malującej się na twarzy człowieka, który wziął na siebie odpowiedzialność za stworzenie nowego narodu.

Nie, Scarlett wcale już teraz nie była zachwycona — a z początku tak się cieszyła, że znowu jest między ludźmi! Teraz już jej nie wystarczyło, że na nich patrzy. Była na wencie, ale nie brała w niej udziału. Nikt nie zwracał na nią uwagi i była jedyną niezamężną młodą kobietą, która nie miała adoratora. A przez całe swoje życie była zawsze ośrodkiem uwagi! Działa jej się wielka niesprawiedliwość! Miała siedemnaście lat i stopy jej niecierpliwie uderzały o podłogę, tak bardzo chciało jej się hasać i tańczyć. Miała siedemnaście lat, męża na cmentarzu w Oakland, małe dziecko w domu ciotki Pitty — i wszyscy byli przekonani, że nie powinna narzekać na swój los. Miała bielsze piersi, cieńszą talię i mniejsze nóżki od wszystkich obecnych na sali dziewcząt, ale musiała zachowywać się, jak gdyby leżała w grobie obok Karola pod płytą z napisem: „Ukochana żona itd.”

Nie była już dziewczyną, która może tańczyć i flirtować, i nie była kobietą, która musi siedzieć z innymi mężatkami i krytykować tańczące i flirtujące dziewczęta. Nie była jeszcze w wieku odpowiednim do wdowieństwa. Wdowy powinny być stare — tak bardzo stare, aby nie mieć już ochoty do tańca, flirtu lub olśniewania ludzi. Och, to doprawdy było niesprawiedliwe, że Scarlett musiała siedzieć skromnie w kącie i być obrazem wdowiej godności i przyzwoitości, gdy miała zaledwie siedemnaście lat! Nie było sprawiedliwie, że musiała spuszczać oczy i mówić cichym głosem, gdy mężczyźni, nierzadko przystojni, podchodzili do jej stoiska.

Na każdą dziewczynę w Atlancie przypadało trzech mężczyzn. Nawet najbrzydsze dziewczęta nosiły się jak piękności — ach, i co najgorsze, miały śliczne, prześliczne suknie!

Scarlett zaś siedziała ponura jak czarny kruk w ciężkiej, podpiętej pod samą szyję taftowej sukni z długimi rękawami, bez najmniejszej wypusteczki czy skrawka koronki, bez żadnego klejnotu, z wyjątkiem onyksowej broszki Ellen — siedziała i patrzyła, jak wyświeżone dziewczęta wiszą u ramion przystojnych chłopców. I wszystko dlatego, że Karol Hamilton zachorował na zapalenie płuc! Nie umarł nawet w blasku bohaterstwa, w bitwie, i Scarlett nie mogła się nim głośno szczycić.

Pełna buntu oparła łokcie na kontuarze i spoglądała na tłum, wbrew często powtarzanej nauce Mammy, aby nie opierała się na łokciach, bo zrobią się pomarszczone i brzydkie. Cóż więc z tego, że zrobią się brzydkie? Już nigdy prawdopodobnie nie będzie miała okazji pokazania ich. Rozglądała się pożądliwie po migających przed nią sukniach, kremowych jedwabnych z girlandami pączków różanych, różowych atłasowych z osiemnastoma falbankami obrzeżonymi czarną aksamitką; jasnoniebieskich taftowych o szerokich spódnicach i kaskadach pienistych koronek; patrzyła na obnażone ramiona, na prześliczne kwiaty przy stanikach. Maybelle Merriweather, wsparta na ramieniu swego żuawa, szła w stronę sąsiedniego stoiska w zielonej sukni muślinowej, tak szerokiej, że talia jej wydawała się aż nieprawdopodobnie cienka. Suknia była bardzo zmarszczona i miała falbanki z kremowej koronki Chantilly, sprowadzonej z Charlestonu ostatnim transportem przemyconych towarów. Maybelle więc puszyła się w niej tak bezczelnie, jak gdyby to ona go przemyciła, a nie słynny kapitan Butler.

„Mój Boże, jak mnie byłoby do twarzy w tej sukni — myślała Scarlett z dziką zawiścią w sercu. — Maybelle ma talię jak krowa. Ten odcień zielonego jest moim kolorem i tak świetnie podkreśliłby moje oczy! Czemu właśnie blondynki upierają się, aby nosić zielony? Maybelle ma skórę koloru stęchłego sera. I pomyśleć tylko, że nigdy już nie będę mogła nosić zielonego, nawet jak już zdejmę tę żałobę! Nawet jak mi się uda powtórnie wyjść za mąż! Będę musiała nosić wstrętne suknie szare, brązowe i lila”.

Przez chwilę znowu zastanawiała się nad niesprawiedliwością losu. Jakże krótko trwał czas wesołości, pięknych sukien, tańca, kokietowania... Tylko kilka krótkich, zbyt krótkich lat! Potem wychodziło się za mąż, nosiło ciemne suknie, miało dzieci, traciło figurę, siedziało na balach w kącie, w towarzystwie innych rozsądnych mężatek, i tańczyło tylko z mężem albo ze starszymi panami, którzy deptali po nogach. A jeżeli się tego nie przestrzegało, inne panie zaczynały obmawiać, wtedy zaś traciło się reputację i przynosiło wstyd rodzinie. Jakąż stratą czasu było uczenie się przez całą młodość, jak się podobać i jak przyciągać mężczyzn, jeżeli wiedzę tę stosowało się przez rok lub najwyżej dwa! Kiedy przypomniała sobie nauki, jakich udzielały jej Ellen i Mammy, wiedziała, że były dobre i gruntowne, ponieważ dawały dobre wyniki. Istniały ustalone prawa, których trzeba się było ściśle trzymać, aby wszelkie wysiłki uwieńczone były powodzeniem.

W stosunku do starszych pań należało być miłą, prostą i udawać możliwie głupią, bo stare kobiety były chytre i przyglądały się dziewczętom zazdrośnie jak koty, gotowe do skoku za lada nieostrożnym spojrzeniem czy słowem. W stosunku do starszych panów panna powinna być zuchwała, cięta, nieledwie wyzywająca, aby łechtać próżność tych starych durniów. Czuli się wtedy młodo, szczypali w policzki i oświadczali, że jest się małą kokietką. Rozumie się, że wtedy należało się czym prędzej zarumienić, gdyż inaczej nie przestaliby wcale szczypać (bo sprawiało im widoczną przyjemność), i powiedzieliby synom, aby wystrzegali się takiej flirciary.

W stosunku do młodych dziewcząt i młodych mężatek trzeba było być słodką jak miód, całować je przy każdej okazji, choćby się je widywało po dziesięć razy dziennie. Trzeba je było czule obejmować i dać się obejmować przez nie, choćby się tego niecierpiało. Należało się bezkrytycznie zachwycać ich sukniami i dziećmi, docinać przyjaźnie na temat powodzenia, chwalić mężów, skromnie chichotać i twierdzić, że własne wdzięki bledną w porównaniu z ich urokami. Przede wszystkim zaś nie należało nigdy mówić tego, co się myśli, bo i one tego w żadnym wypadku nie robiły.

Mężom innych kobiet dawało się spokój, choćby byli odpalonymi wielbicielami i bardzo się podobali. Jeżeli było się zbyt uprzejmą dla młodych mężów, żony ich oświadczały, że się jest flirciarą, zyskiwało się złą reputację i trudno było znaleźć starającego się.

Natomiast z młodymi kawalerami — ach, tutaj sprawa przedstawiała się całkiem inaczej! Można się było do nich cicho śmiać, a kiedy spiesznie podchodzili i pytali o powód śmiechu, odmawiało się odpowiedzi, zaczynało śmiać głośniej i w ten sposób zapewniało sobie nieustanne pytania i ciągłą asystę. Można było spojrzeniem przyrzec wiele podniecających rzeczy, które mężczyznę zmuszały do rozmowy sam na sam. A kiedy wreszcie to się stało, można było udawać bardzo, bardzo obrażoną lub bardzo, bardzo złą, gdy mężczyzna chciał ukraść całusa. Można go było zmusić do przeprosin, że jest tak brutalny, przebaczyć mu tak słodko, żeby znowu nie odstępował i starał się pocałować po raz drugi. Czasem, ale niezbyt często, pozwalało się na pocałunek. (Tego jej Ellen i Mammy nie uczyły, przekonała się jednak sama, że to bardzo skuteczne). Potem zaczynałaś płakać i oświadczałaś, że nie wiesz, co cię naszło, i że teraz z pewnością młodzieniec straci dla ciebie, szacunek. Wtedy zaczynał czule ocierać łzy i zwykle oświadczał się od razu, aby dowieść, jak bardzo cię szanuje. A poza tym można było... Och, można było na tyle rzeczy pozwolić sobie z kawalerami i Scarlett tak dobrze je znała — niuanse zalotnych spojrzeń, półuśmiech zza wachlarza, poruszanie biodrami, aby krynolina chwiała się jak dzwon, łzy, śmiechy, pochlebstwa, okazywanie sympatii. Ach, żadna z tych sztuczek nigdy nie zawiodła — nigdy, poza przypadkiem Ashleya. Nie, było krzyczącą niesprawiedliwością przyswojenie sobie tych wszystkich mądrych sztuczek, używanie ich przez tak krótki czas i odrzucenie na zawsze. Jak by to było cudownie, gdyby można było nie wychodzić za mąż, zawsze pięknie wyglądać w bladozielonych sukniach i wiecznie być otoczoną rojem przystojnych mężczyzn! Tylko że jeżeli to trwało zbyt długo, zaczynało się być starą panną jak India Wilkes i wszyscy mówili „biedne stworzenie”, niemiłym, pełnym fałszywego współczucia tonem. Nie, ostatecznie lepiej nawet może było wyjść za mąż i zachować swoją dumę nawet za cenę wyrzeczenia się przyjemności.

Och, jakież niedobre było życie! Czemuż była taką idiotką i poślubiła akurat Karola, aby życie jej skończyło się, gdy miała lat zaledwie szesnaście!

Przerwała to swoje pełne oburzenia i buntu rozmyślanie, bo tłum zaczął się skupiać pod ścianami. Panie trzymały krynoliny, aby ich nieostrożne pchnięcie nie przesunęło i nie ukazało więcej pantalonów, niż wypada. Scarlett wspięła się na palce i zobaczyła, że kapitan milicji wchodzi na podium. Wrzasnął jakiś rozkaz i połowa kompanii zrównała szeregi. Zaczęła się musztra w szybkim tempie, która sprowadziła im pot na czoła i zyskała brawa i wiwaty ze strony zgromadzonych. Scarlett klaskała w dłonie wraz z innymi, a kiedy milicjanci rozeszli się zmęczeni w stronę kiosków z limoniadą i ponczem, zwróciła się do Melanii, czując, że powinna czym prędzej powiedzieć coś na temat Sprawy.

— Wspaniale się prezentują, prawda? — zaczęła.

Melania zajęta była przekładaniem wełnianych wyrobów na konturze.

— Większość z nich prezentowałaby się znacznie lepiej w szarych mundurach i w Wirginii — odrzekła nie starając się wcale ściszyć głosu.

Kilka dumnych matek milicjantów, stojących nie opodal, usłyszało jej uwagę. Pani Guinan zrobiła się purpurowa, a potem zbladła, ponieważ jej dwudziestopięcioletni Willy także należał do kompanii.

Scarlett zdumiona była, że tego rodzaju słowa wychodzą z ust Meli.

— Ależ Melu!

— Wiesz dobrze, że mam rację, Scarlett. Nie mówię o małych chłopcach ani o starcach. Ale bardzo wielu członków milicji doskonale nadaje się do noszenia broni i to właśnie powinni teraz robić.

— Ale, ale... — zaczęła Scarlett, która nigdy dotąd nie zastanawiała się nad tym. — Ktoś przecie musi zostać w domu, aby... — (Co to powiedział Willy Guinan tłumacząc jej swoją obecność w Atlancie?) — Ktoś musi zostać w domu, aby bronić naszego stanu przed inwazją.

— Nikt na nas nie szykuje inwazji i nie ma zamiaru tego zrobić — odrzekła Mela chłodno, patrząc w stronę grupy milicjantów. — Najlepszym zaś sposobem obrony przed najeźdźcą jest obecność w Wirginii i walka z Jankesami. Co się zaś tyczy tego gadania, że milicja zostaje tutaj, aby zapobiec buntowi Murzynów, to jest to przecież największe głupstwo, jakie kiedykolwiek słyszałam. Czemuż by się nasi ludzie mieli buntować? To wymówka dla tchórzy! Założę się, że pobilibyśmy Jankesów w miesiąc, gdyby wszystkie milicje stanowe poszły do Wirginii. Otóż to!

— Ależ Melu! — zawołała znowu Scarlett patrząc na nią ze zdziwieniem.

Ciemne, łagodne oczy Meli rzucały gniewne błyski.

— Mój mąż nie bał się iść na wojnę ani twój. Ale wolałabym, aby obaj nie żyli, niżby mieli tu siedzieć w domu. Och, kochanie, wybacz mi! Jakże jestem bezmyślna i okrutna!

Pogłaskała ją czule po ramieniu. Scarlett nie odwracała od niej wzroku. Nie myślała jednak wcale o zmarłym Karolu. Myślała o Ashleyu. Czy mogłoby się zdarzyć, aby i on zginął? Odwróciła się szybko i uśmiechnęła machinalnie, widząc zbliżającego się doktora Meade.

— Jak się miewacie, dziewczęta? — przywitał je. — Ładnie z waszej strony, żeście przyszły. Wiem, jakim to jest dla was poświęceniem. Ale wiem także, że zrobiłyście to dla Sprawy. Zawierzę wam pewien sekret. Mam doskonały sposób na przysporzenie szpitalowi pieniędzy, obawiam się jednak, że niektóre z pań będą się bardzo na mnie oburzały.

Przerwał i śmiał się cicho, skupiać swoją siwą bródkę.

— Cóż to takiego? Niech nam pan doktor powie!.

— Po namyśle postanowiłem, że i wam nic nie powiem. Musicie mnie jakoś poprzeć w wypadku, gdyby komitety kościelne chciały mnie za to przepędzić z miasta. No, ale robię to wszystko dla szpitala. Zobaczycie. Nigdy niczego podobnego nie było.

Odszedł uroczyście w stronę grupy dam w kącie. W chwili gdy młode kobiety chciały wspólnie odgadnąć ów sekret, do kiosku zbliżyli się dwaj starsi panowie oświadczając głośno, że proszą o dziesięć metrów wstawki: „Ostatecznie starsi panowie są lepsi od żadnych” — pomyślała Scarlett odmierzając wstawkę i godząc się skromnie na głaskanie po podbródku. Potem staruszkowie powędrowali do kiosku z limoniadą, a miejsce ich zajęli inni. Stoisko Scarlett i Meli nie przyciągało tylu kupujących, co inne, z których rozlegał się głośny śmiech Maybelle Merriweather, chichoty Fanny Elsing i wesołe przekomarzanie się panien Whiting. Mela sprzedawała mężczyznom niepotrzebne przedmioty tak spokojnie i fachowo jak sklepowa, Scarlett zaś starała się ją naśladować.

Przed innymi stoiskami były tłumy. Nieliczni panowie, którzy podchodzili do Scarlett i Meli, mówili o tym, że chodzili na uniwersytet z Ashleyem, który jest wspaniałym żołnierzem, albo pełnym szacunku tonem wspominali Karola, stwierdzając, że śmierć jego jest dla Atlanty niepowetowaną stratą.

Nagle muzyka zaczęła grać skoczne melodie. Scarlett wydało się, że zacznie głośno płakać. Chciała tańczyć, bardzo chciała tańczyć! Patrzyła na salę, przebierała nogami w takt muzyki, a zielone jej oczy świeciły gorączkowo. W najdalszym rogu sali mężczyzna świeżo przybyły i stojący jeszcze w drzwiach zobaczył jej spojrzenie, poznał ją i zaczął się bacznie przypatrywać tym płonącym oczom w nadąsanej, pełnej buntu twarzy. Potem uśmiechnął się do siebie widząc niemą zachętę, jaką zrozumiałby każdy mężczyzna.

Nosił czarne korty, był wysoki, wyższy od stojących w pobliżu oficerów — szeroki w ramionach i wąski w stanie, a stopy jego w lakierowanych trzewikach były śmiesznie małe. Poważne, czarne ubranie, biała plisowana koszula i spodnie, obciągnięte rzemykami pod podeszwami butów, dziwnie kłóciły się z jego figurą i twarzą; był przesadnie wymuskany, nosił strój dandysa na ciele potężnym i zdradzającym siłę pod pozorami leniwego wdzięku. Nieznajomy był brunetem, czarne zaś jego wąsy, niewielkie i krótko przystrzyżone, sprawiały cudzoziemskie wrażenie przy wspaniałych sumiastych wąsach kawalerzystów. Wyglądał na człowieka o nieposkromionych apetytach i był zapewne taki. Unosiła się dokoła niego atmosfera pewności siebie i nieprzyjemnej zuchwałości, a w śmiałych jego oczach, wlepionych w Scarlett, malowała się złośliwość. Wreszcie czując na sobie jego spojrzenie, zwróciła się ku niemu.

Mózg jej przeszyło niejasne wspomnienie, ale nie mogła sobie uświadomić, skąd zna tego człowieka. Ponieważ jednak był pierwszym od wielu miesięcy mężczyzną, który zdradził zainteresowanie jej osobą, rzuciła mu wesoły uśmiech. Lekko dygnęła, kiedy się skłonił, w chwili zaś, gdy wyprostował się i skierował w jej stronę giętkim, jak gdyby od Indian zapożyczonym krokiem, omal nie krzyknęła z przerażenia, ponieważ przypomniała sobie, kto to taki. Stała jak skamieniała, podczas gdy on torował sobie drogę przez tłum. Potem odwróciła się instynktownie, zdecydowana uciec do bufetu, ale suknia jej zaczepiła się o jakiś wystający gwóźdź. Szarpnęła nią wściekle, rozdarła, za późno... Nieznajomy był już przy niej.

— Zechce mi pani pozwolić — rzekł pochylając się i odczepiając falbankę. — Nie spodziewałem się, że mnie pani sobie przypomni, panno O’Hara.

Głos jego brzmiał przyjemnie, był opanowanym i melodyjnym głosem dżentelmena, lekko zatrącającym akcentem charlestońskim.

Spojrzała na niego błagalnie, zaczerwieniona po uszy na wspomnienie ostatniego z nim widzenia, i spotkała spojrzenie bardzo czarnych oczu, lśniących bezlitosną wesołością. Że też ze wszystkich ludzi na świecie nawinąć się dziś musiał właśnie ten straszny człowiek, świadek owej sceny z Ashleyem, która dotąd nie dawała jej spać po nocach. Ten łajdak, który uwodził dziewczęta i nie był przyjmowany w szanujących się domach; ten godzien pogardy mężczyzna, który powiedział — i słusznie — że Scarlett nie jest damą.

Melania odwróciła się na dźwięk jego głosu. Po raz pierwszy w życiu Scarlett podziękowała Bogu za istnienie szwagierki.

— Co to? Ależ to pan Rett Butler, prawda? — rzekła Melania z miłym uśmiechem i wyciągnęła rękę. — Poznałam pana...

— ...podczas pamiętnej okazji ogłoszenia pani zaręczyn — skończył za nią, pochylając się nad jej dłonią. — Cieszę się, że mnie sobie pani przypomina.

— I co też pan porabia z dala od Charlestonu, panie Butler?

— Nudne interesy to sprawiają, łaskawa pani. Odtąd będę częściej wpadał do Atlanty. Doszedłem do przekonania, że samo sprowadzanie towarów nie wystarcza, należy jeszcze zająć się ich rozdziałem.

— Sprowadzanie towarów... — zaczęła Mela marszcząc czoło i nagle uśmiechnęła się radośnie. — A zatem to pan chyba jest słynnym kapitanem Butlerem, o którym tyle słyszymy! Przecież wszystkie obecne tutaj panny noszą suknie, które pan przewiózł przez blokadę! Scarlett, czy to nie nadzwyczajne?... Co ci jest, kochanie? Słabo ci? Usiądź na chwilę.

Scarlett opadła na stołek oddychając tak szybko, że bała się, iż pęknie jej sznurówka. Och, że też mogła się zdarzyć rzecz taka straszna! Nigdy nie przypuszczała, że jeszcze spotka tego człowieka. Butler wziął jej czarny, leżący na kontuarze wachlarz i zaczął ją wachlować troskliwie, zbyt troskliwie, bo choć twarz jego była poważna, oczy nie przestawały się śmiać.

— Bardzo tu jest duszno — powiedział. — Nic dziwnego, że panna O’Hara poczuła się słabo. Czy wolno mi panią podprowadzić do okna?

— Nie — odparła Scarlett tak ostro, że Mela popatrzyła na nią ze zdumieniem.

— Scarlett nie jest panną O’Hara — powiedziała. — Jest teraz panią Hamilton. Jest moją siostrą — i Mela spojrzała na nią z czułością. Scarlett uczuła, że mogłaby udusić kapitana Butlera za wyraz, jaki pojawił się na jego śniadej twarzy pirata.

— Pewien jestem, że bardzo to sobie obydwie piękne panie cenią — rzekł, lekko się skłaniając. Podobną uwagę zrobiłby każdy mężczyzna na jego miejscu, w jego ustach jednak zabrzmiała tak, jakby myślał coś wręcz przeciwnego.

— Sądzę, że i mężowie pań są tu dzisiaj na tej wspaniałej zabawie? Bardzo by mi było przyjemnie odnowić z nimi znajomość.

— Mąż mój jest w Wirginii — rzekła Mela, dumnie podnosząc głowę. — Ale Karol... — Głos jej załamał się nagle.

— Umarł w polu — rzekła Scarlett wyraźnie, prawie ze złością. „Czy ten potwór naprawdę nie ma zamiaru odejść?” Mela patrzyła na nią z przerażeniem, kapitan zaś uczynił gest skruchy.

— Drogie panie, jakże ja mogłem! Proszę mi wybaczyć. Pozwólcie mi jednak powiedzieć, że umrzeć za ojczyznę, to żyć wiecznie.

Melania uśmiechnęła się do niego przez łzy, Scarlett zaś poczuła, że gniew i bezsilna nienawiść szarpią jej trzewia. Znowu zrobił miłą uwagę, komplement w tym samym stylu, jaki by każdy inny dżentelmen zrobił w podobnych okolicznościach, myślał jednak coś wręcz odmiennego. Kpił z niej. Wiedział, że nie kochała Karola. A Mela była tak głupia, że nie umiała przejrzeć jego myśli. „Och, na miłość boską, niechże ich tylko nikt nie przejrzy! — myślała z przerażeniem. — Czyżby zdobył się na rozpowiadanie tego, co wie? Nie był dżentelmenem, trudno zaś przewidzieć, co potrafią mężczyźni, którzy nie są dżentelmenami”. Scarlett nie wiedziała, jaką miarą ich mierzyć. Spojrzała na niego i zobaczyła, że usta jego ściągnęły się grymasem udanego współczucia, podczas gdy nie przestawał jej wachlować. Wygląd jego dziwnie na nią podziałał. Nagle wraz z nowym przypływem niechęci do Butlera wróciła jej siła. Bez słowa wyrwała mu wachlarz z ręki.

— Czuję się już dobrze — rzekła cierpko. — Nie potrzebuje pan targać mi niepotrzebnie włosów.

— Scarlett, kochanie! Panie kapitanie, musi jej pan wybaczyć. Ona, ona zmienia się nie do poznania, kiedy wypowiada się przy niej imię naszego biednego Karola. Ponadto zaś... możliwe, że nie powinniśmy były tu przychodzić. Jesteśmy jeszcze w żałobie, rozumie pan, a dla Scarlett to duży wysiłek... widok tych tańców i wesołości. Biedactwo!

— Rozumiem doskonale — rzekł Butler z wymuszoną powagą, kiedy jednak odwrócił się i obrzucił Melanią spojrzeniem, sięgającym samego dna jej łagodnych, strapionych oczu, wyraz jego twarzy zmienił się i w ciemnych oczach odmalowały się szacunek i sympatia. — Dzielna z pani kobieta, pani Wilkes.

„A o mnie ani słowa!” — pomyślała Scarlett z wściekłością, podczas gdy Mela uśmiechnęła się z zakłopotaniem i odpowiedziała:

— Ależ skąd, panie kapitanie! W ostatniej chwili okazało się, że komitet potrzebuje nas do tego kiosku, bo... Prosi pan o powłoczkę? Ta z wyhaftowaną flagą jest bardzo ładna.

Melania zwróciła się do trzech kawalerzystów, którzy stanęli przy kontuarze. Przez chwilę myślała, że kapitan Butler jest bardzo sympatyczny. Potem pomyślała, że lepiej byłoby, gdyby coś grubszego niż satyna oddzielało brzeg jej sukni od spluwaczki, stojącej tuż za kioskiem, bo kawalerzyści celując w spluwaczkę bynajmniej celnie nie trafiali. Potem zapomniała o kapitanie, Scarlett i spluwaczce, bo podchodziło do niej coraz więcej kupujących.

Scarlett siedziała bez ruchu na taborecie wachlując się, nie śmiejąc spojrzeć w górę i życząc sobie gorąco, aby kapitan Butler jak najprędzej wrócił na swój statek, gdzie było jego miejsce.

— Czy mąż pani nie żyje od dawna?

— O, tak, już od dawna. Od roku blisko.

— Dla pani to eon cały, jak sądzę.

Scarlett nie wiedziała, co to jest eon, ale ponieważ w głosie kapitana brzmiało wyzwanie nie odpowiedziała nic.

— Czy długo była pani zamężna? Proszę mi wybaczyć te pytania, ale tak dawno nie byłem w tych okolicach...

— Dwa miesiące — rzekła Scarlett niechętnie.

— To straszna tragedia — powiedział lekko.

„A niechże go wszyscy — myślała z pasją. — Gdyby ktokolwiek inny był na jego miejscu, mogłaby go zmrozić spojrzeniem i powiedzieć mu, żeby sobie poszedł. On jednak wie o Ashleyu i wie, że nie kochałam Karolka. Mam więc związane ręce”. — Nie odpowiedziała, nie spuszczając wzroku z wachlarza.

— I dziś pokazuje się pani po raz pierwszy w miejscu publicznym?

— Wiem, że to dziwnie wygląda — wyjaśniła pośpiesznie. — Chodzi o to, że panny McLure, które miały zająć się tym kioskiem, musiały wyjechać, a że nie było nikogo na zastępstwo, więc Melania i ja...

— Nie ma zbyt wielkich ofiar dla Sprawy.

To samo powiedziała przecież pani Elsing, ale słowa jej brzmiały zupełnie inaczej! Gorzkie słowa zaczęły się jej cisnąć na wargi, ale powstrzymała je całą siłą. Ostatecznie była na wencie nie dla Sprawy, ale dlatego, że się jej znudziło wieczne siedzenie w domu.

— Zawsze uważałem — rzekł z namysłem — że system żałoby, oblekania kobiet w czarną krepę na całe życie i zabraniania im zwykłych rozrywek, jest nie mniej barbarzyński od hinduskiej „sutti”.

— Suki?

Zaśmiał się, a Scarlett zawstydziła się swego nieuctwa. Nie cierpiała osób, które używały nie znanych jej słów.

— W Indiach pali się zwłoki zmarłych mężów, żony zaś ich muszą wstępować na stosy żałobne i są palone żywcem.

— Jakież to straszne! Po co to robią? Czy policja nie może im tego zabronić?

— Oczywiście, że nie. Żona, która by nie chciała się poddać tej praktyce, zostałaby potępiona przez całe społeczeństwo. Wszystkie bogobojne matrony hinduskie zaczęłyby ją obgadywać, że nie postępuje jak dobrze wychowana dama... tak samo jak te godne, siedzące w kącie matrony zaczęłyby obgadywać panią, gdyby zjawiła się pani tutaj w czerwonej sukni i poprowadziła galopa. Osobiście uważam, że „sutti” jest zwyczajem bardziej ludzkim od naszego zwyczaju grzebania wdów za życia.

— Jak śmie pan twierdzić, że jestem pogrzebana żywcem?

— Jak wielce cenią nasze kobiety łańcuchy, którymi są skute! Uważa pani zwyczaj hinduski za barbarzyński, ale czy ośmieliłaby się pani przyjść dziś tutaj, gdyby nie okoliczność, że Konfederacja potrzebuje pani?

Tego rodzaju argumenty zawsze wprawiały Scarlett w zakłopotanie. Argumenty Butlera były zaś tym bardziej kłopotliwe, że czuła w nich ziarno prawdy. Teraz jednak nadszedł moment, aby go zgnębić.

— Rozumie się, że nie byłabym przyszła. Byłoby to... byłoby to brakiem poszanowania... mogłoby się ludziom wydawać, że nie kocha...

Oczy jego, pełne cynizmu, łowiły jej słowa, utknęła więc w pół zdania. Wiedział, że nie kochała Karolka, i nie chciał pozwolić, aby wypowiedziała to, co należało powiedzieć. Jakąż straszną, okropną rzeczą było mieć do czynienia z człowiekiem, który nie jest dżentelmenem! Dżentelmen zawsze udawał, że wierzy damie, choćby był przekonany, że dama kłamie. Na tym polegała, między innymi, rycerskość ludzi Południa. Dżentelmen zawsze postępował zgodnie ze zwyczajem, mówił właściwe rzeczy i ułatwiał życie damom. Ten człowiek najwidoczniej nie dbał o zwyczaje i wyraźnie lubił mówić o rzeczach, o których nikt nigdy nie rozmawiał.

— Czekam w napięciu.

— Uważam, że jest pan wstrętny — rzekła bezradnie, spuszczając oczy.

Pochylił się przez kontuar, tak że usta jego znalazły się przy jej uchu, i syknął, bardzo udatnie naśladując „czarny charakter” ze sztuk, które od czasu do czasu wystawiano w sali Ateneum: Nie obawiaj się, piękna pani! Nie zdradzę twej serdecznej tajemnicy!

— Och — szepnęła gorączkowo — jakże pan może mówić takie rzeczy!

— Chciałem tylko panią uspokoić. Czy wolałaby pani, abym powiedział: „Bądź moją, piękna damo, bo inaczej wszystko rozgłoszę!”

Mimo woli podniosła na niego oczy i stwierdziła, że patrzy na nią figlarnie, jak mały chłopiec. Nagle roześmiała się. Trzeba przyznać, że sytuacja była naprawdę trochę głupia. On także roześmiał się tak głośno, że kilka pań spojrzało z kąta w ich stronę. Widząc, jak dobrze bawi się wdowa po Karolu Hamiltonie z nikomu nie znanym mężczyzną, zaczęły szeptać do siebie krytyczne uwagi.

Rozległo się bicie w bęben i wiele osób zaczęło wołać „szsz”, bo doktor Meade wszedł na estradę i rozłożył ręce na znak, że chce mówić.

— Składamy serdeczne dzięki czarującym damom, których niezmordowany, patriotyczny wysiłek ukoronował tę wentę nie tylko sukcesem materialnym, ale przeistoczył tę brzydką salę w rozkoszną altanę, w ogród, godzien mieścić wszystkie te urocze pączki, które widzę dokoła.

Obecni zaczęli bić brawo.

— Panie nie szczędziły nie tylko czasu, ale i pracy rąk własnych, a piękne, wystawione na sprzedaż w kioskach przedmioty są tym bardziej cenne, że wykonane zostały rękami naszych uroczych dam.

Z kolei rozległy się okrzyki uznania, Rett Butler zaś, oparty niedbale o kontuar blisko Scarlett, szepnął:

— Uroczysty kozioł, prawda?

Zdumiona, przerażona prawie tą obrazą majestatu najbardziej szanowanego obywatela Atlanty, Scarlett spojrzała na niego z wyrzutem. Doktor jednak naprawdę wyglądał jak kozioł, gdy siwa jego bródka chwiała się na wszystkie strony, z trudnością więc powstrzymywała śmiech.

— To wszystko jednak nie wystarcza. Dobre panie z komitetu szpitalnego, których chłodne dłonie ukoiły niejeden ból i wydarły ze szponów śmierci niejednego z dzielnych chłopców, rannych w walce o wielką naszą Sprawę, dobrze znają nasze potrzeby. Nie będę ich zatem wyliczał. Musimy mieć więcej pieniędzy na zakup lekarstw i materiałów opatrunkowych, w Anglii. Dodam nawiasem, że jest tu dzisiaj w naszym gronie nieustraszony kapitan, który z takim powodzeniem przedziera się od roku przez blokadę, a i teraz sprowadził nam potrzebne lekarstwa! Kapitan Rett Butler!

Mimo że nie przygotowany, kapitan ukłonił się z wdziękiem. „Zbyt nisko” — myślała Scarlett starając się ten ukłon zanalizować. Zdawało jej się, że jakby przesadzał w uprzejmości, ponieważ bardzo lekceważył wszystkich obecnych. Rozległy się oklaski, kiedy kapitan się kłaniał, a panie z kąta wyciągały szyje, aby mu się lepiej przyjrzeć. A więc to z nim rozmawia wdowa po biednym Karolu Hamiltonie! Zaledwie rok po śmierci Karolka!

— Potrzebne nam złoto i o nie właśnie będę prosił — ciągnął dalej doktor. — Proszę o ofiarę, ale o ofiarę tak niewielką w porównaniu z ofiarami naszych dzielnych chłopców, że wyda się wszystkim państwu śmiesznie małą. Łaskawe panie, proszę o waszą biżuterię. A właściwie nie ja o nią proszę. Nie, żąda jej Konfederacja, Konfederacja jej potrzebuje, wiem więc, że nikt się od tej ofiary nie uchyli! Jak pięknie lśnią klejnoty na pięknych rączkach! Jak cudownie świecą złote brosze na piersiach naszych patriotek! O ileż piękniejszą jednak od wszystkich klejnotów i złota Indii jest ofiara! Złoto zostanie stopione, drogie kamienie sprzedane, a pieniądze zużyte na zakup lekarstw i pomocy szpitalnych. Łaskawe panie, za chwilę przejdą między wami dwaj z naszych dzielnych rekonwalescentów z koszykami i... — Reszta jego słów utonęła w tumulcie i gwarze braw i wiwatów.

Pierwszym uczuciem Scarlett było zadowolenie, że żałoba nie pozwala jej nosić cennych kolczyków i złotego łańcucha po babce Robillard oraz złotej, nakładanej czarną emalią bransoletki i broszki z granatów. Ujrzała, że mały żuaw z wiklinowym koszykiem na zdrowym ramieniu obchodzi jej stronę sali, a młode i stare kobiety, śmiejąc się, niecierpliwie szarpią bransoletki, piszczą z udanego bólu zdejmując z przekłutych uszu kolczyki, odpinają sobie nawzajem zamki naszyjników, zdejmują broszki. Słychać było lekki szczęk metalu uderzającego o metal i głosy: „Proszę poczekać! Już odpięłam!” Maybelle Merriweather ściągnęła z ręki śliczne bliźniacze bransoletki, które nosiła na ramieniu. Fanny Elsing wołając: „Mamo, czy pozwalasz?”, wyjmowała z loków stroik z drobnych, oprawnych w złoto perełek, stary klejnot rodzinny. Przy wrzucaniu każdego klejnotu do koszyka rozlegały się oklaski i wiwaty.

Uśmiechnięty mały człowieczek z pełnym koszykiem na ręce podszedł do stolika Scarlett; kiedy przeszedł obok Retta Butlera, ten niedbale wrzucił do koszyka piękną złotą cygarnicę. Podszedł do Scarlett; gdy oparł koszyk na kontuarze, potrząsnęła głową rozkładając wymownie ręce na znak, że nie ma co ofiarować. Przykro jej było, że jest jedyną osobą, która nic nie daje. Naraz spostrzegła błysk swojej szerokiej obrączki ślubnej.

Na chwilę przypomniała sobie z zakłopotaniem twarz Karola — jak wyglądał, gdy wsuwał jej obrączkę na palec. Ale wspomnienie było mgliste, i niejasne z powodu irytacji, jaką myśl o mężu zawsze w niej budziła. Karol... to on przecież był przyczyną, że życie ją omijało, że stała się starą kobietą.

W nagłym postanowieniu szarpnęła pierścionek, ale nie schodził jej z palca. Żuaw przesunął się w stronę Melanii.

— Proszę poczekać! — zawołała Scarlett. — Mam coś dla pana! — Zdjęła wreszcie obrączkę i w chwili gdy chciała ją wrzucić do koszyka pełnego łańcuchów, zegarków, pierścionków, broszek i bransolet, spotkała spojrzenie Retta Butlera. Wargi jego rozchylone były uśmiechem. Z wyzwaniem rzuciła obrączkę, na wierzch koszyka.

— Och, moja najmilsza! — szepnęła Melania obejmując ją oczyma rozjaśnionymi miłością i dumą. — Ty dzielna, dzielna dziewczyno! Proszę, proszę poczekać, panie poruczniku. I ja mam coś dla pana!

Szarpnęła swoją obrączkę, której nigdy dotąd, od chwili gdy ją Ashley wsunął na jej palec, nie zdejmowała. Scarlett wiedziała lepiej od innych, czym jest dla niej ta obrączka. Zeszła z palca z trudem i na krótką chwilę spoczęła w kurczowo zaciśniętej małej dłoni. Potem cicho spadła do koszyka. Dwie młode kobiety patrzyły za żuawem odchodzącym w stronę grupy starszych pań — Scarlett z wyzwaniem, Mela z wyrazem bardziej bolesnym niż łzy. Wszystko to nie uszło uwagi stojącego obok nich mężczyzny.

— Gdybyś ty nie była tak odważna, i ja nigdy bym się na to nie zdobyła — rzekła Mela obejmując Scarlett wpół i leciutko ją ściskając. Przez chwilę Scarlett chciała się uwolnić z tego uścisku i krzyknąć: „Na miłość boską!” co siły w płucach, jak Gerald w chwili wielkiej złości, ale poczuła spojrzenie Retta Butlera i postarała się gorzko uśmiechnąć. Przykre było, że Mela zawsze źle rozumiała motywy jej postępowania — ale może lepiej, że jednak nie domyślała się prawdy.

— Jaki to piękny gest — rzekł Rett Butler cicho. — Podobnie ciężkie ofiary dodają serca dzielnym naszym chłopcom.

Cierpkie słowa cisnęły się na wargi Scarlett i tylko z wielkim trudem udało jej się je powstrzymać. We wszystkim, co Butler mówił, brzmiało szyderstwo. Nie lubiła go z całego serca, kiedy tak stał niedbale oparty o kiosk. Musiała jednak przyznać, że działał na nią pokrzepiająco, był dziwnie żywy, ciepły, podniecający. Wszystkie irlandzkie właściwości budziły się w niej pod wpływem wyznania, jakie czytała w jego czarnych oczach. Przyrzekła sobie, że ukróci tego człowieka. Znajomość tajemnicy Scarlett dawała mu przewagę, która ją gnębiła, postanowiła więc, że postara się to sobie powetować. Chwilowo zdusiła w sobie ochotę powiedzenia mu szczerze, co o nim myśli. „Do cukru zawsze więcej much lgnie niż do octu” — jak mawiała Mammy, Scarlett zamierzała więc złapać i tę muchę, bo nie chciała być zdana na łaskę Butlera.

— Dziękuję panu — powiedziała łagodnie, rozmyślnie nie zwracając uwagi na jego szyderstwo. — Komplement taki, wypowiedziany przez człowieka tak sławnego jak kapitan Butler, jest niezmiernie cenny.

Odrzucił głowę w tył i zaczął się głośno śmiać — po prostu ryczeć, jak Scarlett pomyślała z pasją, znowu rumieniąc się po uszy.

— Dlaczego nie powiedziała pani tego, co pani naprawdę myśli? — zapytał zniżając głos, aby tylko Scarlett mogła go słyszeć. — Dlaczego nie powiedziała pani, że jestem łotrem, że nie jestem dżentelmenem i żebym się stąd czym prędzej wynosił, bo inaczej zawoła pani jednego z naszych dzielnych chłopców, aby się ze mną rozprawił?

I znowu miała ostrą odpowiedz na końcu języka, ale i tym razem powstrzymała się bohaterskim wysiłkiem i powiedziała:

— Ależ panie kapitanie! Co też pan mówi! Jak gdyby nie było to powszechnie wiadome, jaki pan jest sławny i dzielny, i jaki... jaki...

— Rozczarowałem się co do pani — powiedział.

— Rozczarował się pan?

— Tak. Za pierwszym naszym spotkaniem pomyślałem sobie, że nareszcie poznałem dziewczynę, która jest nie tylko piękna, ale i odważna. A teraz stwierdzam, że jest pani tylko piękna.

— Czy znaczy to, że uważa mnie pan za tchórza? — Scarlett napuszyła się jak kwoka.

— Właśnie. Nie ma pani odwagi, aby mówić to, co pani myśli. Kiedy ujrzałem panią po raz pierwszy, pomyślałem: Oto dziewczyna jedna na milion. Niepodobna jest do tych innych małych idiotek, które wierzą we wszystko, co mówią im mamusie, i zgodnie z tym postępują, bez względu na to, co czują. I które ukrywają swoje uczucia, pragnienia i małe tragedie pod maską układnych słów. Myślałem, że panna O’Hara jest osobą o rzadkiej odwadze. Wie, czego chce, i nie boi się ani tego wypowiadać, ani ciskać wazonikami.

— Och! — zawołała nie panując nad wściekłością. — A więc w tej chwili powiem panu, co myślę. Gdyby posiadał pan jakie takie obejście, nie podszedłby pan do mnie i nie odnowił znajomości. Wiedziałby pan, że nie życzę sobie pana widzieć! Pan jednak nie jest dżentelmenem! Jest pan nikczemnym, źle wychowanym człowiekiem! I wyobraża pan sobie, że dlatego, iż pana małe obrzydliwe stateczki przemycają towary, wolno panu zjawiać się tutaj i drwić z mężczyzn, którzy są prawdziwie odważni, i z kobiet, które wszystko poświęcają dla Sprawy...

— Dość już, dość — prosił uśmiechając się. — Zaczęła pani bardzo dobrze i mówiła pani to, co pani rzeczywiście myśli, niech więc pani broń Boże nie zaczyna mówić o Sprawie. Nudzi mnie już słuchanie tego i gotów byłbym się założyć, że i panią także...

— Jak to, skąd pan... — zaczęła straciwszy wątek i nagle urwała, wściekła na siebie, że wpadła w zasadzkę.

— Zanim mnie pani zauważyła, stałem przez chwilę w drzwiach i przyglądałem się pani — rzekł. — Przyglądałem się także innym młodym damom. Wszystkie wyglądały tak, jak gdyby twarze ich odlane zostały wedle tego samego wzoru. Pani twarz miała inny wyraz. Łatwo było odczytać pani myśli. Nie skupiały się dokoła tego, co pani robi, i założyłbym się nawet, że nie myślała pani o Sprawie ani o szpitalu. Na twarzy miała pani wypisane, że chce pani tańczyć i bawić się, i że tego pani nie wolno. Dlatego była pani zła. Niech się pani przyzna, czy nie mam racji?

— Nie mam panu nic więcej do powiedzenia, panie kapitanie — rzekła tak chłodno, jak tylko mogła, starając się zachować resztki swojej godności. — Mimo że jest pan „wielką osobistością” z powodu przemytu przez blokadę, nie ma pan prawa do obrażania niewiast!

— Ja „wielką osobistością”?! To chyba żarty. Błagam, niech mi pani udzieli jeszcze minuty swego cennego czasu, zanim odejdę w nieznane. Nie chciałbym, aby tak urocza patriotka jak pani miała złudzenia co do moich zasług dla sprawy Konfederacji.

— Nie chcę słuchać pańskich przechwałek.

— Przemyt przez blokadę jest dla mnie interesem, na którym zarabiam wiele pieniędzy. Kiedy rzecz ta przestanie mi dawać zarobki, rzucę ją. Co pani o tym myśli?

— Myślę, że jest pan sprzedajnym łotrem, wcale nie lepszym od Jankesów.

— Racja! — roześmiał się. — I właśnie Jankesi pomagają mi robić pieniądze. Nie dalej jak miesiąc temu statek mój był w porcie nowojorskim, skąd zabrałem ładunek.

— Co takiego? — zawołała Scarlett, mimo woli zaciekawiona i podniecona. — Czy nie ostrzelali pana?

— Moja naiwna pani! Rozumie się, że nie! Niemało jest i po tamtej stronie dzielnych patriotów, którzy nic nie mają przeciw zarobkom na dostarczaniu towarów Konfederacji. Wprowadzam swój statek do Nowego Jorku, kupuję w jankeskich firmach, oczywiście sub rosa, i odjeżdżam sobie. Kiedy zaś staje się to zbyt niebezpieczne, jadę do Nassau, dokąd ci sami patrioci jankescy sprowadzają dla mnie proch, naboje i jedwabie dla pań. To o wiele wygodniejsze niż podróże do Anglii. Czasem tylko trudno wracać potem do Charlestonu czy Wilmingtonu, ale nie uwierzy pani, ile można zdziałać małą sztuką złota.

— Och, wiem dobrze, że Jankesi są nikczemni, ale nie przypuszczałam...

— Po cóż oburzać się na Jankesów tylko z tego powodu, że w uczciwy sposób chcą zarobić na handlu z obecnymi nieprzyjaciółmi? Za sto lat nie będzie to miało żadnego znaczenia. Wynik wojny i tak jest przesądzony. Wiedzą przecież, że Konfederacja i tak zostanie pokonana, czemu by więc nie mieli zarobić na wojnie?

— Kto zostanie pokonany? My?

— Rozumie się.

— Czy zechce pan łaskawie teraz naprawdę odejść, czy też będę musiała zawołać mój powóz i odjechać do domu, aby się wreszcie pana pozbyć?

— W gorącej wodzie kąpana mała buntowniczka — rzekł znowu z nagłym uśmiechem. Skłonił się jednak i odszedł, zostawiając ją w bezsilnej wściekłości i oburzeniu. Przeżywała rozczarowanie trudne do zanalizowania, podobne do żalu dziecka, gdy pryskają jego złudzenia. Jakże śmiał odrzeć z blasku ludzi przemycających przez blokadę! I dlaczego ośmielał się twierdzić, że Konfederacja zostanie pobita! Za to należałoby go rozstrzelać — rozstrzelać jak zdrajcę! Rozejrzała się po sali, pełnej znajomych ludzi, pewnych wygranej, odważnych, poświęcających się — i przeszył ją zimny dreszcz. Pokonani? Ci ludzie? Ależ nie, z pewnością nie! Sama myśl o tym była niemożliwa, zdradziecka.

— O czym tak szeptałaś z kapitanem Butlerem? — zapytała Melania zwracając się do Scarlett, kiedy rozeszli się kupujący. — Zauważyłam, że pani Merriweather nie spuszcza cię z oczu, a wiesz przecież, kochanie, ile ona plotkuje.

— Och, ten człowiek jest niemożliwy, to jakiś niewychowany cham — rzekła Scarlett. — Jeżeli zaś chodzi o tę starą panią Merriweather, to niech sobie gada. Znudziło mi się zachowywać dla jej przyjemności jak trusia.

— Ależ Scarlett! — zawołała Melania ze zdumieniem.

— Cicho! — rzekła Scarlett. — Doktor Meade zabiera się do nowej przemowy.

Zgromadzeni uciszyli się znowu, kiedy doktor zaczął przemawiać dziękując paniom, które z taką ochotą ofiarowały swoją biżuterię.

— A teraz, panie i panowie, pozwolę sobie zaproponować pewną niespodziankę — innowację, która zgorszy może niektórych z państwa. Proszę jednak nie zapominać, że robię to dla szpitala i z myślą o naszych chłopcach, którzy się tam leczą.

Wszyscy zaczęli się cisnąć w stronę doktora, bardzo zaciekawieni, starając się domyślić, co też takiego może stateczny doktor zaproponować, co by mogło kogokolwiek zgorszyć.

— Teraz rozpoczną się tańce i pierwszym będzie oczywiście galop, a potem walc. Następne tańce, polki, szoty i mazurki, także poprzedzone będą krótkimi galopami. Ponieważ znam łagodną rywalizację o pierwszeństwo w prowadzeniu galopów, zatem... — doktor otarł czoło i rzucił wyzywające spojrzenie w stronę kąta, gdzie pomiędzy innymi damami siedziała jego żona.

— Panowie, każdy, kto zechce poprowadzić galopa z wybraną przez siebie damą, musi za nią ofiarować najwyższą sumę. Ja będę przewodniczył licytacji, a dochód obrócony będzie na cel szpitala.

Wachlarze skamieniały na chwilę w powietrzu, a szmer podnieconych szeptów przeleciał po sali. W kącie starszych pań zawrzało. Pani Meade, starając się poprzeć męża, którego pomysł w duchu potępiała, znalazła się w wyraźnej mniejszości. Panie Elsing, Merriweather i Whiting były czerwone z oburzenia. Nagle jednak gwardia głośno krzyknęła „hura”, które podjęte zostało przez wszystkich mężczyzn w mundurach. Młode dziewczęta klaskały w dłonie i podskakiwały radośnie.

— Czy nie zdaje ci się, że to przypomina trochę... targ niewolników? — szepnęła Melania patrząc niepewnie w stronę gotowego do walki doktora, który dotąd był dla niej symbolem doskonałości.

Scarlett nie odpowiedziała nic, ale oczy jej zaświeciły, a serce ścisnęło się dziwnym bólem. Gdybyż nie była wdową! Gdybyż mogła na chwilę stać się znowu Scarlett O’Hara, w zielonej sukni, przepasanej ciemnozieloną szarfą — to ona by z pewnością poprowadziła galopa. Tak, bez wątpienia! Kilkunastu mężczyzn biłoby się o nią i na wyścigi ofiarowywało pieniądze. Och, że też musi wbrew woli siedzieć pod ścianą i przyglądać się, jak pierwszego galopa poprowadzą Fanny czy Maybelle, jako najbardziej wzięte dziewczyny w Atlancie!

Ponad tumult wzbił się głos małego żuawa o wyraźnym, kreolskim akcencie: — Jeżeli wolno... dwadzieścia dolarów za pannę Maybelle Merriweather.

Zarumieniona Maybelle oparła się o ramię Fanny i obie dziewczyny zaczęły chichotać ukrywszy jedna drugiej głowy na ramionach. Tymczasem inne głosy poczęły wywoływać inne nazwiska, inne sumy. Doktor Meade znowu się uśmiechnął nie zważając na oburzone szepty, dochodzące ze strony kąta komitetu pań.

Z początku pani Merriweather oświadczyła głośno i kategorycznie, że jej Maybelle nigdy nie weźmie udziału w takiej imprezie. Kiedy jednak imię Maybelle wywoływane było coraz częściej, a osiągnięta przez nią suma doszła do siedemdziesięciu pięciu dolarów, opór jej zaczął kruszeć. Scarlett oparła łokcie na kontuarze i prawie nienawistnym spojrzeniem obrzucała roześmianych ludzi, którzy z dłońmi pełnymi banknotów Konfederacji oblegali estradę.

Teraz wszyscy zaczną tańczyć — wszyscy z wyjątkiem jej i starych bab. Teraz rozpocznie się wspaniała zabawa dla wszystkich, tylko nie dla niej. Widziała Retta Butlera stojącego w pobliżu doktora. Dojrzał ją, zanim mogła zmienić wyraz twarzy. Jeden kącik ust opuścił mu się w uśmiechu, a jedna brew podniosła do góry. Wystawiła podbródek i odwróciła się od niego. Naraz usłyszała swoje nazwisko, wypowiedziane niewątpliwie charlestońskim akcentem, który wyróżniał się na tle innych głosów.

— Pani Karolowa Hamilton — sto pięćdziesiąt dolarów w złocie.

W tłumie zapanowała nagła cisza ze względu tak na sumę, jak i na nazwisko. Scarlett była tak oszołomiona, że nie mogła się poruszyć. Siedziała w dalszym ciągu z głową opartą na rękach, z rozszerzonymi ze zdumienia oczyma. Wszyscy patrzyli w jej stronę Widziała, że doktor pochyla się do kapitana Butlera i coś mu szepce do ucha. Mówił mu prawdopodobnie, że Scarlett jest w żałobie i że nie tańczy. Widziała, że Rett leniwie wzrusza ramionami.

— Może zatańczy pan z inną z naszych pięknych pań? — pytał doktor.

— Nie — odrzekł Rett wyraźnie, rozglądając się niechętnie po tłumie — tylko z panią Hamilton.

— Ależ powiadam panu, że to niemożliwe — powtórzył doktor z irytacją. — Pani Hamilton nie zechce...

Scarlett usłyszała głos, który wydał jej się obcy.

— Owszem, zechcę.

Porwała się na równe nogi, a serce jej biło tak mocno, że obawiała się, iż nie zrobi kroku, biło z wrażenia, że znowu jest ośrodkiem powszechnej uwagi, że jest najwięcej pożądana ze wszystkich obecnych kobiet, i ach, że wreszcie znowu będzie tańczyła!

— Och, wszystko mi jedno. Wszystko mi jedno, co powiedzą! — szeptała do siebie, ogarnięta słodkim szaleństwem. Dumnie podniosła głowę i szybko wyszła ze stoiska, stukając obcasami jak kastanietami, szeroko otwierając czarny jedwabny wachlarz. Przez mgnienie oka widziała wyraz niedowierzania na twarzy Meli, zgorszenie malujące się na obliczach starszych dam, podniecenie dziewcząt, entuzjazm żołnierzy.

Stała na środku sali i Rett Butler podchodził do niej ze złośliwie drwiącym uśmiechem na ustach, torując sobie drogę przez tłum. Było jej teraz wszystko jedno — niechby był sobie samym nawet Abrahamem Lincolnem! Za chwilę będzie tańczyła! Poprowadzi galopa! Lekko dygnęła przed nim, uśmiechnęła się ślicznie, on zaś skłonił się, z ręką na gorsie plisowanej koszuli. Przerażony z początku Levi zorientował się szybko i wrzasnął:

— Panowie proszą panie do galopa!

Orkiestra zaczęła grać „Dixie”, najlepszą z melodii do galopa.

— Jakże pan śmiał wystawić mnie tak na pokaz, panie kapitanie?

— Ależ droga pani, przecież pragnęła pani tego najwyraźniej!

— Jak pan mógł tak głośno wywołać moje nazwisko?

— Powinna była pani odmówić.

— Ależ... ja to robię dla Sprawy. Ja... ja nie mogłam przecież myśleć o sobie, kiedy pan ofiarował tak wielką sumę, i to w dodatku w złocie. Niech się pan nie śmieje, wszyscy patrzą na nas.

— I nie przestaną patrzeć. Niech pani nie usiłuje mamić mnie tą gadaniną o Sprawie. Chciała pani tańczyć, więc umożliwiłem to pani. Ten marsz jest ostatnią figurą galopa, prawda?

— Tak. Teraz naprawdę muszę przerwać i wrócić do kiosku.

— Dlaczego? Czy nadepnąłem pani na nogę?

— Nie. Ale obawiam się, że zaczną na mnie plotkować.

— Czy to panią rzeczywiście wzrusza? Tak w głębi serca wzrusza?

— No, wie pan!

— Przecież nie popełnia pani żadnej zbrodni, prawda? Czemu nie chce pani zatańczyć ze mną i walca?

— Gdyby moja matka dowiedziała się...

— Ciągle jeszcze trzyma się pani mamusinej spódnicy...

— Och, w pana interpretacji wszystkie cnoty wyglądają bardzo głupio.

— Bo istotnie są głupie. Czy przejmuje się pani plotkami?

— Nie, ale... No, lepiej nie mówmy o tym. Bogu dzięki, że walc się zaczyna. Galop zawsze mnie męczy.

— Niech pani odpowiada na moje pytania. Czy przejmowała się pani kiedykolwiek opinią innych kobiet?

— Och, skoro pan tak mnie do muru przypiera — nie! Ale wypada, aby się z nią liczyć. Dziś jednak o nic nie dbam.

— Brawo! Wreszcie zaczyna pani myśleć samodzielnie, zamiast, posługiwać się gotowymi poglądami innych ludzi. To początek mądrości.

— Ale...

— Gdy pani będzie tak oplotkowana jak ja, przekona się pani dopiero, jak małe to posiada znaczenie. Niech pani pomyśli, że nie jestem przyjmowany w żadnym domu w Charlestonie. Nawet ofiary moje dla naszej świętej i słusznej Sprawy nie zdołały przełamać tego bojkotu.

— Jakie to straszne!

— Ach, wcale nie. Póki człowiek nie straci reputacji, nie zdaje sobie sprawy, jakim była mu ona ciężarem i czym jest prawdziwa wolność.

— Ależ pan mówi straszne rzeczy!

— Straszne, lecz prawdziwe. Jeżeli ma się dość odwagi lub dość pieniędzy, można sobie doskonale poradzić bez dobrej opinii.

— Nie wszystko można kupić za pieniądze.

— To chyba ktoś starszy musiał pani powiedzieć! Sama nigdy by pani nie wymyśliła takiego banału. Czego zdaniem pani nie można kupić?

— Och, no... nie wiem. W każdym razie ani szczęścia, ani miłości.

— W zasadzie można. Jeżeli zaś nie ma się szczęścia ani miłości, można sobie kupić doskonałe ich namiastki.

— A czy pan ma bardzo dużo pieniędzy, panie kapitanie?

— Jakież to nietaktowne pytanie, pani Hamilton! Bardzo się pani dziwię. Tak, mam pieniądze. Jak na młodego człowieka, zdanego od wczesnej młodości na własne siły, dorobiłem się dość dużego majątku. Jestem pewien, że na blokadzie zarobię milion dolarów na czysto.

— Ach, nie!

— Ach, tak! Ludzie przeważnie nie zdają sobie sprawy z tego, że można tyleż samo zarobić na burzeniu cywilizacji, co na jej budowaniu.

— Jak pan to rozumie?

— Pani krewni i moi, i większość tu obecnych ludzi dorobiła się pieniędzy na przeistaczaniu puszczy w kraj cywilizowany. To się nazywa budowaniem państwa. Zarabia się na tym doskonale. Więcej jednak jeszcze zarabia się na burzeniu państwa.

— O jakim pan państwie mówi?

— O tym, w którym żyjemy, o Południu, o Konfederacji, królestwie bawełny, które kruszy się i rozpada pod naszymi stopami. Większość ludzi nie widzi jednak tego i nie potrafi wykorzystać sytuacji stworzonej tym rozkładem. Ja na tym zrobię fortunę.

— A więc pan rzeczywiście myśli, że zostaniemy zwyciężeni?

— Tak. Po co uprawiać strusią politykę?

— Boże, jakże mnie męczy rozmowa o tych sprawach. Czy pan nigdy nie mówi przyjemnych rzeczy, panie kapitanie?

— Czy wolałaby pani, gdybym mówił, że oczy pani podobne są do dwóch bliźniaczych akwariów, po brzegi napełnionych przejrzystą, zieloną wodą, i że gdy złote rybki wypływają na powierzchnię wody, o tak, jak teraz, wygląda pani diablo pięknie?

— Nie, to mi się nie podoba... Prawda, że muzyka jest wspaniała? Mogłabym tańczyć walca wiecznie. Nie wiedziałam, że tak mi tego było brak.

— Jest pani najlepszą tancerką, jaką kiedykolwiek trzymałem w ramionach.

— Panie kapitanie, proszę mnie tak mocno nie ściskać! Ludzie patrzą na nas!

— A gdyby nikt nie patrzył, jak by pani na to zareagowała?

— Panie kapitanie, pan się zapomina!

— Ależ ani na chwilę. Jakżebym mógł, mając panią tak blisko?... Co to za melodia? Czy nowa?

— Tak. Prawda, że cudowna? Zdobyliśmy ją na Jankesach.

— Jak się to nazywa?

— „Gdy się skończy wreszcie wojna”.

— Czy zna pani słowa? Niech mi ją pani zaśpiewa.

*Czy pamiętasz, ukochany,*

*Ten rozstania smutny czas,*

*Gdyś mi klęcząc wyznał miłość,*

*Zanim los rozłączył nas?*

*Jakże byłeś wtedy dumny,*

*Szary mundur zdobił cię,*

*Przyrzekałeś, że nie zdradzisz*

*Ni ojczyzny, ani mnie.*

*Teraz płaczę smutna sama,*

*Ronię gorzkie łzy bez słów.*

*Gdy się skończy wreszcie wojna,*

*Los nas złączy z sobą znów.*

*—*W oryginale było oczywiście „niebieski mundur”, ale my zmieniliśmy to na „szary”... Pan doskonale tańczy walca, panie kapitanie. Czy wie pan, że wysocy mężczyźni są przeważnie złymi tancerzami? I pomyśleć, że lata całe upłyną, zanim znowu będę mogła tańczyć...

— Skądże znowu? Tylko kilka minut. Poproszę panią do następnego galopa, potem do następnego, potem znowu do następnego...

— Och, nie! Nie mogłabym tańczyć! Niech pan tego nie robi! Straciłabym reputację!

— Już i tak porwana jest w strzępy, więc drugi taniec nie zaszkodzi jej tak bardzo. Może zresztą ustąpię panią innym panom po pięciu czy sześciu tańcach, ale ostatni taniec rezerwuję dla siebie.

— No, dobrze. Wiem, że jestem szalona, ale wszystko mi jedno dzisiaj. Nie dbam o to, co ludzie powiedzą. Tak mi się już znudziło siedzenie w domu... Będę dziś tańczyła bez przerwy...

— A nie będzie pani nosiła krepy? Nie cierpię żałobnych sukien.

— Ach, nie, jakżebym mogła zdjąć żałobę?... Panie kapitanie, proszę mnie tak mocno nie ściskać. Będę się na pana bardzo gniewała.

— Bardzo panią lubię, kiedy się pani gniewa. Znowu panią ścisnę — o tak — aby się przekonać, czy się pani naprawdę na mnie pogniewa. Nie ma pani pojęcia, jaka była pani urocza tego dnia w Dwunastu Dębach, kiedy była pani wściekła i tłukła wazoniki.

— Ach, proszę pana! Czy rzeczywiście zawsze będzie pan o tym pamiętał?

— Tak, to jedno z moich najcenniejszych wspomnień. Doskonale wychowana dama z Południa, z domieszką krwi irlandzkiej... Jest pani typową Irlandką, czy wie pani o tym?

— Mój Boże, już koniec muzyki i ciocia Pitty idzie tu z bufetu... Pewnie jej pani Merriweather opowiedziała o wszystkim. Och, na miłość boską, chodźmy stąd i stańmy przy oknie. Nie chcę, żeby mnie teraz tu przyłapała. Ma oczy wielkie jak spodeczki... to bardzo zły znak.

## ROZDZIAŁ X

Następnego dnia przy rannych waflach Pittypat była bliska płaczu, Melania milcząca, Scarlett zaś gotowa na wszystko.

— Nie dbam o plotki. Założę się, że więcej pieniędzy przysporzyłam szpitalowi niż wszystkie inne dziewczęta razem, więcej niż dała nam sprzedaż tych nikomu niepotrzebnych starych rzeczy.

— Ach, Boże, ale czy tu chodzi o pieniądze? — jęczała Pittypat załamując ręce. — Oczom własnym nie wierzyłam. Bo przecież biedny Karolek nie żyje zaledwie od roku... A ten straszny kapitan Butler tak ciebie kompromitował, to okropny człowiek, Scarlett! Pani Coleman, kuzynka pani Whiting, której mąż wrócił z Charlestonu, opowiadała mi o nim. Jest parszywą owcą w doskonałej rodzinie. Och, że też któryś z Butlerów doczekał się takiego jak on syna! Nie przyjmują go w żadnym domu w Charlestonie., ma jak najgorszą opinię i z pewną panną miał coś takiego, coś tak skandalicznego, że pani Coleman nie znała nawet szczegółów tej sprawy...

— Nie sądzę, aby kapitan Butler był aż taki zły — rzekła Mela łagodnie. — Wydał mi się doskonale wychowanym dżentelmenem i jeżeli uświadomić sobie, ile odwagi trzeba, aby przemycać przez blokadę...

— On wcale nie jest odważny — rzekła Scarlett perfidnie, polewając wafle syropem. — Robi to wyłącznie dla pieniędzy. Tak mi powiedział. Nie dba wcale o Konfederację i twierdzi, że zostaniemy pokonani. Natomiast tańczy bosko.

Dwie kobiety aż zamarły z przerażenia.

— Znudziło mi się siedzenie w domu i nie mam zamiaru dłużej tego robić. Skoro na mnie plotkują z powodu wczorajszego wieczoru, znaczy to, że i tak straciłam reputację, więc nie ma znaczenia, co jeszcze powiedzą.

Nie zdawała sobie sprawy, że powtarza słowa Retta Butlera. Przyszły w samą porę i dokładnie pasowały do tego, co sama myślała.

— Och, Scarlett! Co powie twoja matka, kiedy się dowie o wszystkim? Co pomyśli o mnie?

Zimny dreszcz obleciał Scarlett na myśl o strapieniu Ellen, gdyby się miała dowiedzieć o jej skandalicznym postępowaniu. Pocieszyła się jednak szybko, że Atlanta leży w pewnej odległości od Tary. Pitty z pewnością nic nie powie Ellen. Postawiłoby to ją w bardzo złym świetle jako oficjalną opiekunkę Scarlett. Jeżeli zaś Pitty nie wygada się, nic jej nie może grozić.

— Myślę — rzekła Pitty — tak, myślę, że najlepiej będzie, jeżeli napiszę o tym do Henryka, chociaż bardzo nie lubię do niego pisać. Ale on jest jedynym mężczyzną w naszej rodzinie, trzeba więc, aby porozmawiał poważnie z kapitanem Butlerem. Ach, Boże, gdyby Karolek żył... Scarlett, przyrzeknij mi, że nigdy, nigdy więcej nie będziesz rozmawiała z tym człowiekiem!

Melania siedziała bez ruchu ze splecionymi rękami, a wafle stygły na jej talerzu. Wstała teraz i podchodząc od tyłu do Scarlett, zarzuciła jej ręce na szyję.

— Kochanie — rzekła — nie przejmuj się tym wszystkim. Rozumiem cię, postąpiłaś bardzo dzielnie i bardzo pomogłaś szpitalowi. A jeżeli ktokolwiek ośmieli się pisnąć choć słowo na ciebie, ja się tym zajmę. Ciociu, przestań płakać. Scarlett było z pewnością bardzo ciężko, że nigdzie nie mogła bywać. Przecież to jeszcze dziecko. — Głaskała Scarlett po czarnych włosach. — Możliwe, że wszystkie trzy czułybyśmy się lepiej, gdybyśmy od czasu do czasu chodziły na przyjęcia. Byłyśmy z pewności bardzo samolubne kryjąc się w domu z naszym zmartwieniem. Czasy wojenne różnią się od zwykłych. Kiedy pomyślę o tych wszystkich żołnierzach, którzy są z dala od domu i nie mają znajomych, do których mogliby wieczorami przychodzić, i o tych w szpitalach, dość zdrowych, aby wstawać, ale nie dość silnych, aby wrócić do szeregów... Rozumie się, żeśmy były samolubne. Powinniśmy choćby w tej chwili wziąć do domu trzech rekonwalescentów, jak inni ludzie, i zapraszać co niedziela żołnierzy na obiady. No, Scarlett, przestań się dąsać. Ludzie nie będą plotkowali, jeżeli im wytłumaczymy twoje motywy. My wiemy przecież, żeś bardzo kochała Karolka...

Scarlett bynajmniej się nie dąsała, drażniły ją tylko miękkie ręce Melanii na włosach. Chciała potrząsnąć głową i powiedzieć: „A jakże, terefere!”, bo jeszcze dobrze pamiętała, jak gwardziści, milicjanci i żołnierze ze szpitala dobijali się choćby o jeden z nią taniec. Najmniej zaś w świecie życzyła sobie, aby właśnie Mela stawała w jej obronie. Mogła się sama bronić, Bogu dzięki, a jeżeli stare plotkary zechcą gadać — doskonale potrafi sobie dać w życiu radę bez nich. Na świecie było dość przystojnych oficerów, nie potrzebowała się troszczyć o opinię starych bab.

Pittypat ocierała już sobie oczy, słysząc krzepiące słowa Melanii, gdy do pokoju weszła Prissy z grubym listem.

— Dla pani, panno Melu. Mały Murzynek przyniósł.

— Dla mnie? — zdziwiła się Mela rozdzierając kopertę.

Scarlett zajadała wafle, niczego więc nie zauważyła, aż nagle usłyszała głośny szloch Meli i podniósłszy głowę zobaczyła, że ciotka Pitty kurczowo przyciska rękę do serca.

— Ashley nie żyje! — łkała Pitty odchylając głowę do tyłu i bezwiednie opuszczając ręce.

— Ach, mój Boże! — krzyknęła Scarlett.

— Nie! Nie! — wołała Melania. — Szybko! Gdzie sole trzeźwiące, Scarlett? Cicho, cioteczko, cicho, czy lepiej ci teraz? Oddychaj głęboko. Nie, to nie od Ashleya. Tak mi przykro, że was przeraziłam. Płakałam ze szczęścia... — otworzyła nagle zaciśniętą dłoń i przycisnęła jakiś przedmiot do ust. — Taka jestem szczęśliwa... — i znowu wybuchnęła płaczem.

Scarlett rzuciła na nią przelotne spojrzenie i dostrzegła, że Mela trzyma w dłoni szeroką złotą obrączkę.

— Przeczytaj to — rzekła Mela wskazując list rzucony na podłogę. — Och, jakiż on jest miły, jaki dobry!

Scarlett, zdumiona, podniosła arkusik papieru i przebiegła wzrokiem po słowach, wypisanych śmiałym charakterem pisma; „Konfederacji potrzebne jest może życie mężczyzn, ale od kobiet nie wymaga ofiary z głębi serca. Zechce Szanowna Pani przyjąć ten dowód wielkiej mojej czci. Proszę nie myśleć, że ofiara Pani poszła na marne, ponieważ wykupiłem ten pierścionek za cenę dziesięciokrotnej jego wartości. Kapitan Rett Butler”.

Melania wsunęła obrączkę na palec i przyglądała jej się z czułością.

— A mówiłam wam, że to dżentelmen, prawda? — rzekła zwracając się do Pittypat, radośnie uśmiechnięta mimo łez spływających jej po policzkach. — Tylko dżentelmen pełen subtelności mógł się domyślić, z jakim bólem rozstałam się z tą... Poślę zamiast tego złoty łańcuch. Ciociu Pitty, musisz napisać do kapitana Butlera karteczkę i zaprosić go na obiad w niedzielę, abym mogła mu podziękować osobiście.

Z powodu wzruszenia ani Mela, ani Pitty nie zwróciły uwagi na to, że kapitan Butler nie odesłał obrączki Scarlett. Ona jednak pomyślała o tym z niezadowoleniem. Wiedziała dobrze, że to nie subtelność spowodowała rycerski gest kapitana Butlera. Chciał dostać zaproszenie do domu panny Pitty i wyczuł nieomylnie, w jaki sposób najłatwiej będzie mu je uzyskać.

„Bardzo mnie zgnębiła wiadomość o Twoim niedawnym zachowaniu się” — brzmiał początek listu Ellen. Scarlett, która czytała go siedząc przy stole, nachmurzyła się bardzo. Złe nowiny wędrują, jak się okazuje, szybko. Często słyszała w Charlestonie i Savannach pogląd, że mieszkańcy Atlanty bardziej lubią plotki i wtrącanie się do nie swoich spraw od innych południowców; teraz gotowa była w to uwierzyć. Wenta odbyła się w poniedziałek wieczorem, a list nadszedł już we czwartek. Która ze starych bab zdobyła się na napisanie do Ellen? Przez chwilę podejrzewała Pittypat, ale szybko odrzuciła tę myśl. Biedna Pittypat drżała ze strachu, aby i jej nie potępiono za postępki Scarlett, i była ostatnią osobą, która by zawiadomiła Ellen o zachowaniu się jej córki. Zrobiła to zapewne pani Merriweather.

„Trudno mi po prostu uwierzyć, że mogłaś się do tego stopnia zapomnieć. Pomijam milczeniem niestosowność Twojego ukazania się w publicznym miejscu w czasie żałoby — bo zdaję sobie sprawę, że kierowało Tobą gorące pragnienie przyjścia z pomocą szpitalowi. Ale tańczyć, i w dodatku z człowiekiem pokroju kapitana Butlera! Wiele o nim słyszałam (bo któż nie słyszał?), a Paulina pisała mi w zeszłym tygodniu, że jest to człowiek o złej sławie i że w Charlestonie nie ma wstępu do domu własnej rodziny, z jedynym wyjątkiem matki, którą unieszczęśliwił. Jest to człowiek do gruntu zepsuty, który skorzystał prawdopodobnie z Twojej młodości i niewinności, aby Cię zniesławić i publicznie skompromitować tak Ciebie, jak i całą Twoją rodzinę. Jak też mogła panna Pittypat tak zaniedbać swoje obowiązki wobec Ciebie?”

Scarlett spojrzała przez stół na ciotkę. Starsza pani poznała pismo Ellen i małe jej usta wydęły się z przestrachu jak buzia dziecka, które się boi łajania i pragnie je odżegnać łzami.

„Serce mi się kraje na myśl, że mogłaś się tak dalece zapomnieć. Chciałam wezwać Cię natychmiast do domu, ale zostawiam tę rzecz do uznania Twego ojca. Przyjedzie w piątek do Atlanty, aby porozmawiać z kapitanem Butlerem i odwieźć Cię do domu. Obawiam się, że mimo moich próśb będzie dla Ciebie surowy. Wierzę i wierzyć nie przestanę, że tylko młodość Twoja i bezmyślność były powodem tak niestosownego zachowania się. Nikt bardziej ode mnie nie pragnie służyć naszej świętej Sprawie, i bardzo sobie życzę, aby córki moje czuły podobnie jak ja, ale żeby wstyd przynosić...”

Dużo jeszcze było zdań w tym rodzaju, ale Scarlett nie dokończyła listu. Była naprawdę bardzo przerażona. Hardość jej nagle uleciała. Czuła się tak samo niepewnie, jak wtedy, gdy mając dziesięć lat rzuciła przy stole kromkę chleba z masłem w twarz Zueli. Pomyśleć tylko, że łagodna jej matka tak ją ostro gromi i że ojciec przyjeżdża do miasta, aby rozmówić się z kapitanem Butlerem... Zaczęła sobie uprzytamniać całą powagę tej sprawy. Gerald z pewnością będzie dla niej surowy. Czuła dobrze, że tym razem nie wymiga się od kary siedzeniem na kolanach i robieniem słodkich minek.

— Czy... czy jakieś złe wiadomości? — drżącym głosem zapytała Pittypat.

— Papa przyjeżdża jutro i pewnie wsiądzie na mnie jak na łysą kobyłę — rzekła Scarlett z żałością.

— Prissy, przynieś mi sole — wyszeptała Pitty odsuwając się z krzesłem od stołu i nie kończąc posiłku. — Czuję się bardzo... słabo...

— Ma je pani w kieszeni — rzekła Prissy stojąca przy Scarlett, bardzo podniecona sensacyjnym dramatem. Wybuchy złości pana Geralda były zawsze bardzo interesujące, jeżeli nie kierowały się w jej stronę. Pitty zaczęła przetrząsać kieszenie i podniosła wreszcie flakonik do nosa.

— Musicie obie trzymać moją stronę i nie zostawiać mnie z ojcem ani na chwilę samej! — wołała Scarlett. — On tak was lubi, że nie zrobi mi awantury, kiedy będziecie ze mną.

— Ja nie będę mogła być przy tobie — rzekła Pittypat niedosłyszalnie i wstała od stołu. — Ja... czuję się bardzo źle. Musze się położyć. Będę leżała przez cały dzień jutrzejszy. Musisz ojca przeprosić w moim imieniu.

„Stchórzyła” — pomyślała Scarlett patrząc na nią ze złością.

Mela przyłączyła się do obrony, mimo że zbladła z przerażenia na samą myśl o spotkaniu z gniewnym panem O’Harą. — Ja... ja pomogę ci wytłumaczyć ojcu, że zrobiłaś to wyłącznie dla szpitala. Jestem pewna, że ojciec zrozumie.

— Ale ja wcale nie jestem tego pewna — rzekła Scarlett. — Och, raczej umrę, a nie wrócę do Tary z tym wstydem, jak tego chce mama!

— Ach, nie chcesz chyba wracać do domu! — zawołała Pittypat wybuchając płaczem. — Gdybyś wyjechała, zmuszona byłabym... tak, zmuszona poprosić Henryka, aby zamieszkał z nami, a wiesz przecież, że nie potrafię być z nim razem ani chwili. Tak się boję być w domu sama jedna z Melą, gdy tylu obcych mężczyzn jest w mieście! Ty jesteś tak odważna, że nie brak mi mężczyzny, kiedy jesteś z nami!

— Och, ojciec nie może cię przecież zabrać do Tary! — rzekła Mela z taką miną, jak gdyby i ona miała się za chwilę rozpłakać. — Dom twój jest teraz tu, u nas... Co byśmy bez ciebie poczęły?

„Byłybyście zadowolone, że się mnie pozbywacie, gdybyście wiedziały, co o was myślę” — pomyślała Scarlett gorzko, żałując w duchu, że to Melania musi ją bronić przed atakami Geralda. Nieprzyjemnie jest, gdy broni ktoś, kogo się bardzo nie lubi.

— Może trzeba, abyśmy odprosiły kapitana Butlera... — zaczęła Pittypat.

— Skądże znowu! To byłoby szczytem nietaktu! — zawołała Mela z rozpaczą.

— Pomóżcie mi się położyć. Czuję, że będę chora — jęczała Pittypat. — Och, Scarlett, dlaczego toś zrobiła?

Kiedy Gerald przyjechał następnego dnia po południu, Pittypat leżała w łóżku. Zza zamkniętych drzwi zapewniała go wielokrotnie, jak bardzo żałuje, że nie może go widzieć, i pozostawiła prezydowanie przy kolacji dwom przerażonym dziewczętom. Gerald złowrogo milczał, mimo że pocałował Scarlett i uszczypnął Melanię w policzek, nazywając ją „kuzynką Melą”. Scarlett wolałaby głośne przekleństwa i wymysły. Wierna swojej obietnicy, Melania trzymała się boku Scarlett jak nikły cień. Gerald zaś był zbyt wielkim dżentelmenem, aby w jej obecności robić córce wyrzuty. Scarlett musiała przyznać, że Melania zachowuje się bardzo dobrze, udając, jakby nic w ogóle nie zaszło i po skończeniu kolacji wciągając Geralda w rozmowę.

— Niech mi pan opowie łaskawie wszystkie nowiny z naszego powiatu — rzekła uśmiechając się do niego. — India i Honey piszą bardzo mało, a wiem, że pan jest doskonale o wszystkim poinformowany. Jak tam było na ślubie Józia Fontaine’a?

Gerald trochę zmiękł pod wpływem pochlebstwa i odparł, że ślub był cichy, „nie taki jak wasze”, bo Józio miał tylko dwa dni urlopu. Mała Sally Munroe wyglądała bardzo ładnie. Nie, nie przypominał sobie, jaką suknię nosiła, ale słyszał, że nie dostała wcale sukien „poślubnych”.

— To niemożliwe! — wykrzyknęły zgorszone dziewczęta.

— Ależ na pewno, bo wcale nie miała dni „poślubnych” — wyjaśnił Gerald i roześmiał się głośno, zapominając, że podobne uwagi nie są stosowne dla uszu dam. Na dźwięk jego śmiechu Scarlett odzyskała humor; błogosławiła w duchu takt Melanii.

— Józio musiał następnego dnia wracać do Wirginii — dodał spiesznie Gerald. — Nie składali wcale wizyt po ślubie i nie było żadnych przyjęć. Dwaj młodsi Tarletonowie są w domu.

— Słyszałyśmy o tym. Czy już zdrowi?

— Nie byli wcale ciężko ranni. Stuart miał ranę w kolanie, a Brent postrzelone ramię. Czy słyszałyście i o tym, że za waleczność byli wymienieni w rozkazie?

— Nie! Proszę nam o tym opowiedzieć!

— Odważni są obaj do szaleństwa. Myślę, że to z powodu swego irlandzkiego pochodzenia — rzekł Gerald zarozumiale. — Nie pamiętam już, czego dokonali, dość na tym, że Brent został porucznikiem.

Scarlett zadowolona była, słysząc o ich czynach, zadowolona w sposób egoistyczny. Chłopców, którzy niegdyś byli jej wielbicielami, nie przestawała uważać za swoją własność i wydawało jej się, że ich chwalebne uczynki przyczyniają się do jej sławy.

— A poza tym mam jeszcze jedną nowinę, która was mocno obejdzie — rzekł Gerald. — Mówią, że Stuart znowu jeździ w konkury do Dwunastu Dębów.

— Do Honey czy do Indii? — zapytała Mela z ciekawością, podczas gdy Scarlett popatrzyła na ojca z oburzeniem.

— Do panny Indii, oczywiście. Przecież był jej wielbicielem do czasu, gdy go ta moja smarkula skokietowała.

— Och — rzekła Mela, trochę zakłopotana szczerością Geralda.

— Poza tym zaś Brent zaczął jakoś częściej zaglądać do Tary. Ot, i wszystko!

Scarlett zaniemówiła. Odstępstwo jej byłych wielbicieli było dla niej nieledwie zniewagą. Zwłaszcza jeżeli sobie uświadomić, jak obaj chłopcy rozpaczali, gdy ich zawiadomiła, że wychodzi za Karola. Stuart nawet groził, że zastrzeli jego, Scarlett lub siebie, albo wszystkich troje. Było to bardzo denerwujące.

— Czy do Zueli? — zapytała Mela uśmiechając się z zadowoleniem. — Myślałam zawsze, że pan Kennedy...

— Ach, ten? — rzekł Gerald. — Frank Kennedy ciągle jeszcze kręci się koło niej tak nieśmiało, jakby się bał własnego cienia, i jeszcze chwila, a zapytam go wprost o jego intencje, jeżeli sam się nie wypowie. Nie. Brent przyjeżdża do naszej małej.

— Do Kariny?

— Przecież to jeszcze dziecko! — rzekła Scarlett ostro, nagle odzyskując mowę.

— Ona jest zaledwie o rok młodsza niż ty, gdy wychodziłaś za mąż — odrzekł Gerald. — Czyżbyś zazdrościła siostrze dawnego wielbiciela?

Mela zarumieniła się znowu, nie przywykła do takiej szczerości, i zadzwoniła na Piotra, aby przyniósł deser. Gorączkowo szukała w myśli tematu rozmowy, który by nie dotyczył spraw osobistych i odciągnął uwagę Geralda od celu jego przyjazdu. Nie mogła niczego wymyślić, na szczęście jednak Gerald, raz przełamawszy milczenie, nie potrzebował innej podniety jak kilku par uszu, które by go słuchały. Mówił dalej o złodziejstwach wydziału aprowizacji, który co miesiąc nakładał wyższe daniny, o bezdennej głupocie Jeffersona Davisa i o przewrotności Irlandczyków, których ściągała do armii jankeskiej wysokość żołdu.

Kiedy na stół postawiono wino i dwie młode kobiety zabierały się do odejścia, Gerald spojrzał spod oka na córkę i poprosił, aby została z nim na chwilę sama. Scarlett rzuciła rozpaczliwie spojrzenie na Melę, która bezsilnie szarpała chusteczkę i wreszcie wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

— Słuchaj no, panienko! — krzyknął Gerald nalewając sobie szklankę wina. — Ładnie mi się tutaj sprawujesz! Czyżbyś już miała zamiar łapać męża, mimo że tak niedawno owdowiałaś?

— Nie tak głośno, tatusiu, służba...

— Już z pewnością i oni wiedzą, jak wszyscy inni, o wstydzie, który na nas sprowadziłaś. Twoja biedna matka aż się rozchorowała ze zmartwienia, a ja wstydzę się ludziom spojrzeć w oczy. To przecież hańba! Nie, kochanie, nie myśl, że tym razem ugłaskasz mnie łzami — dodał pośpiesznie i z pewnych przestrachem, widząc, że Scarlett zaczyna szybko trzepotać powiekami i usta zwijać w trąbkę. — Znam cię dobrze. Wiem, ze potrafiłabyś flirtować na stypie po własnym mężu. Nie płacz. Nie powiem ci dziś nic więcej, bo chcę przede wszystkim zobaczyć się z tym kapitanem Butlerem, który tak lekko sobie ceni reputację mojej córki. Ale rano... No, no, już przestań płakać. Nic ci to nie pomoże, ani trochę. Tym razem będę stanowczy i jutro zabiorę cię do Tary, abyś nam znowu jakiego wstydu nie narobiła. Nie płacz, malutka. Zobacz, co ci przywiozłem! Czy to nie śliczny prezent? No, popatrz tylko! Jakżeś mi mogła zrobić tyle zmartwienia i narazić na przyjazd tutaj, kiedy wiesz, jak bardzo jestem zajęty? No, nie płacz już!

Melania i Pittypat spały już od dawna, kiedy Scarlett leżała bezsennie w ciepłym mroku z sercem ciężkim i pełnym strachu. Wyjechać z Atlanty teraz, kiedy życie zaczyna się na nowo! Stanąć teraz przed Ellen! Raczej umrzeć, niż spojrzeć w oczy matce! Życzyła sobie śmierci, teraz, w tej chwili, aby wszyscy pożałowali, że tacy byli dla niej niedobrzy. Kręciła się i rzucała na rozgrzanej pościeli, gdy doszły ją jakieś dźwięki z cichej, śpiącej ulicy. Były bardzo znajome, choć jeszcze niewyraźne. Wyskoczyła z łóżka i podeszła do okna. Ulica, ocieniona drzewami, była ciemna pod usianym gwiazdami niebem. Hałas zbliżał się coraz bardziej: turkot kół, stukot kopyt końskich i jakieś głosy. I nagle Scarlett uśmiechnęła się, bo domyśliła się wszystkiego, słysząc zachrypły od wódki głos o irlandzkim akcencie. Mimo że nie było tego dnia sesji sądowej w Jonesboro, Gerald wracał do domu w takim samym stanie jak z miasteczka.

Dojrzała kabriolet, który zatrzymał się przed domem, wysiadły zeń niewyraźne postacie. Ktoś ojcu towarzyszył. Dwie osoby zatrzymały się przy bramie, usłyszała szczęk zamka i wyraźne słowa Geralda:

— Teraz zaśpiewam panu „Lament nad Robertem Emmetem”. To jest pieśń, którą powinien pan znać, młody człowieku. Nauczę pana.

— Bardzo chętnie ją poznam — odparł jego towarzysz ze śmiechem w głosie. — Może jednak nie teraz, panie O’Hara.

„O mój Boże, to znowu ten wstrętny Butler!” — pomyślała Scarlett, z początku bardzo zła. Potem nabrała otuchy. Dobrze przynajmniej, że nie pozabijali się nawzajem. I pewnie są ze sobą w dobrych stosunkach, skoro wracają o tej porze do domu razem i w takim stanie.

— Właśnie że zaśpiewam i właśnie że pan posłucha, bo inaczej zastrzelę pana, bo pan jest orańczykiem.

— Nie orańczykiem, charlestończykiem.

— To wcale nie lepiej. To jeszcze gorzej. Mam dwie bratowe w Charlestonie, więc wiem.

„Czy ojciec chce, aby o tym wiedziało całe sąsiedztwo?” — pomyślała Scarlett z przerażeniem, sięgając po peniuar. Cóż jednak mogła zrobić? Nie mogła zejść na dół o tej godzinie, aby wciągnąć ojca na górę po schodach.

Naraz Gerald, który opierał się o bramę, odchylił głowę w tył i głębokim basem zaczął śpiewać „Lament”. Scarlett oparła łokcie na parapecie okna i słuchała, śmiejąc się wbrew woli. Pieśń była bardzo piękna, tylko ojciec nie umiał niestety śpiewać. Bardzo ją lubiła, przez chwilę więc poddała się melancholii tych wierszy.

*Daleko ta ziemia, gdzie grób bohatera,*

*Wzdychają dworzanie, dokoła...*

Pieśń brzmiała dalej. W pokojach Pittypat i Meli rozległy się szmery. Biedne stworzenia, z pewnością bardzo się tym przejmą. Nie były przyzwyczajone do pełnokrwistych mężczyzn typu Geralda. Kiedy pieśń dobiegła końca, dwa cienie zlały się w jeden, weszły za bramę i po schodkach na górę. Słychać było dyskretne pukanie do drzwi.

„Zdaje mi się, że powinnam zejść na dół — pomyślała Scarlett. — Ostatecznie to jest przecież mój ojciec, a biedna Pitty raczej umrze, niżby miała go teraz zobaczyć”. — Nie chciała, aby służba widziała Geralda w jego obecnym stanie. Jeżeli zaś Piotr zechce go ułożyć do snu. Gerald zrobi awanturę. Jeden tylko Pork umiał się z nim obchodzić.

Zapięła peniuar pod samą szyję, zapaliła świecę i zbiegła po ciemnych schodach do frontowego hallu. Postawiwszy świecę na schodach otworzyła drzwi i w migotliwym świetle ujrzała Retta Butlera, równie starannie ubranego jak zwykle, podpierającego jej małego, tęgiego ojca. „Lament” stanowił prawdopodobnie łabędzią pieśń Geralda, ponieważ teraz bezwładnie wisiał u ramienia swego towarzysza. Zgubił gdzieś kapelusz, jego gęste i długie włosy zmierzwione były w siwą grzywę, krawat miał pod jednym uchem, a na gorsie koszuli lepkie plamy od trunków.

— To zdaje się ojciec pani? — zapytał kapitan Butler z uśmiechem na smagłej twarzy. Objął jej negliż szybkim spojrzeniem, które zdawało się przenikać ją na wskroś.

— Niech go pan tu wprowadzi — rzekła krótko, wstydząc się swego stroju, wściekła na Geralda, że naraził ją na drwiny tego człowieka.

Rett pchał Geralda naprzód. — Czy mam pani pomóc zaprowadzić ojca na górę? Sama nie da sobie pani rady. Jest ciężki.

Otworzyła usta z przerażenia na tę zuchwałą propozycję. Cóż by Pittypat i Melania pomyślały słysząc, że kapitan Butler wchodzi na górę?

— Matko Przenajświętsza. Nie! Położymy go tu w salonie na kozetce.

— Ładnie to pani obmyśliła!

— Niech pan teraz przynajmniej tyle nie gada! Tutaj. Niech co pan położy.

— Czy mam mu ściągnąć buty?

— Nie. Spał już w nich nieraz.

Wściekła była na siebie, że to powiedziała, bo Butler roześmiał się cicho, układając Geralda.

— A teraz niech pan już idzie, proszę.

Wyszedł do ciemnego hallu i podniósł kapelusz, który rzucił na podłogę koło drzwi.

— Do zobaczenia na obiedzie w niedzielę — rzekł i zamknął bezszelestnie drzwi za sobą.

Scarlett zerwała się o pół do szóstej, zanim służba zaczynała się krzątać po domu, i cichutko zeszła na dół. Gerald już nie spał. Siedział na kanapie, podpierając rękami głowę, jak gdyby chciał ją zgnieść między pięściami. Spojrzał ukradkiem na wchodzącą Scarlett. Oczy go bolały tak bardzo, że aż jęknął z wysiłku.

— A niech go wszyscy!

— Bardzo ładnie się sprawujesz, papo — zaczęła wściekłym szeptem. — Czy to słychane rzeczy, żeby przychodzić do domu o takiej porze i budzić sąsiadów głośnym śpiewaniem!?

— A bo ja śpiewałem?

— Śpiewałeś? Echo budziłeś śpiewając „Lament”!

— A ja nic nie pamiętam!

— Ale za to sąsiedzi zapamiętają to do samej śmierci i ciotka Pittypat, i Melania.

— Matko bolesna — jęknął Gerald, z trudem poruszając zeschniętymi wargami. — Wszystko mi z głowy wyleciało, pamiętam tylko, jak gra się zaczęła.

— Gra?

— No tak, bo ten łotr Butler chwalił się, że jest najlepszym pokerzystą na...

— Ile przegrałeś?

— Ależ ja oczywiście wygrałem! Parę kieliszków zawsze mi dobrze robi przy pokerze.

— Zajrzyj do portfelu.

Wolno i niechętnie, jak gdyby każdy ruch sprawiał mu ból, Gerald wyjął portfel z kieszeni marynarki i otworzył go. Był pusty. Popatrzył nań w niemym zdumieniu.

— Pięćset dolarów — powiedział. — A chciałem kupić w mieście rozmaite rzeczy dla pani O’Hara, teraz zaś nie mam nawet na bilet powrotny.

Kiedy Scarlett patrzyła na pusty portfel ojca, w głowie jej zrodziła się myśl i szybko zaczęła dojrzewać.

— Nie będę się mogła pokazać w tym mieście na ulicy — zaczęła. — Skompromitowałeś nas wszystkich.

— Cicho, mała. Czy nie widzisz, że mi głowa pęka?

— Przychodzisz do domu pijaniusieńki, grasz w karty z człowiekiem takim jak kapitan Butler, śpiewasz po nocy, ile sił w płucach, budzisz całą okolicę i przegrywasz wszystkie pieniądze.

— Ten człowiek za dobrze gra w karty, aby był dżentelmenem. On...

— Co też mama powie, kiedy dowie się o tym?

Spojrzał na nią z rozpaczliwym niepokojem.

— Nie masz chyba zamiaru powiedzieć tego matce? Zmartwiłaby się chyba!

Scarlett nie odpowiedziała, tylko wydęła wargi.

— Pomyśl tylko, jaką by to jej przykrość sprawiło. Ona jest taka dobra.

— I pomyśleć, papo, że dopiero wczoraj wieczorem ty mówiłeś, że ja przynoszę wstyd rodzinie! Ja, która zatańczyłam może ze dwa razy, aby przysporzyć pieniędzy żołnierzom! Och, mogłabym płakać!

— No, nie płacz — perswadował Gerald. — Tego by moja biedna głowa, która już i tak pęka, nie zniosła.

— A ty mówiłeś, że ja...

— Koteczku, no, koteczku, nie gniewaj się za to, co ci twój biedny, stary ojciec powiedział. Nie mówiłem serio i nie rozumiem w ogóle, o co tu chodzi! Na pewno jesteś dobrą dziewczynką, Scarlett.

— A chciałeś mnie za karę zabrać ze sobą do domu.

— Ach, kochanie, nie zrobiłbym tego przecież. Chciałem cię tylko nastraszyć. A nie powiesz nic mamie o tych pieniądzach, bo i tak się bardzo martwi, że takie mamy wydatki?

— Nie — rzekła Scarlett szczerze — nie powiem, jeżeli pozwolisz mi zostać tutaj i zapewnisz mamę, że to, co na mnie mówią, to plotki, robione przez stare, obrzydliwe babska.

Gerald spojrzał żałośnie na córkę.

— To po prostu szantaż.

— A to, co ty zrobiłeś, to był po prostu skandal.

— No, więc — zaczął przypochlebnie — zapomnijmy najlepiej o tym wszystkim. Jak ci się zdaje, czy taka miła i dobra pani, jak panna Pittypat, ma w domu choć trochę koniaku? A niech to wszyscy...

Scarlett odwróciła się i na palcach przeszła przez cichy hali do jadalni, po butelkę koniaku, którą z Melą nazywały „flakonem zemdleń”, bo Pittypat zawsze nalewała sobie z niej łyk do kieliszka, ilekroć czuła się bliska zemdlenia — albo udawała, że tak się czuje. Na twarzy jej malował się tryumf. Nie czuła wcale wstydu, że tak źle potraktowała ojca. Teraz Gerald będzie uspokajał Ellen kłamstwami, jeżeli jakaś inna wtrącalska znowu do niej napisze. Będzie mogła zostać w Atlancie. Będzie robiła, co jej się podoba, bo słaba Pittypat nie zdoła jej niczego zabronić. Otworzyła kredens i stała przez chwilę nieruchomo, przyciskając do piersi butelkę i szklankę.

Widziała przed sobą długi szereg pikników nad szemrzącymi wodami Strumienia Brzoskwiniowego, barbakoje na Górze Kamiennej, przyjęcia i bale, podwieczorki taneczne, przejażdżki powozem i niedzielne zimne kolacje. Będzie brała udział w tym wszystkim, będzie w samym sercu życia, w samym centrum tłumu mężczyzn. A mężczyźni zakochiwali się teraz łatwo, gdy spełniało się dla nich drobne usługi w szpitalu: Już teraz szpital nie będzie jej tak nudził. Łatwo było rozkochać w sobie mężczyzn przychodzących po długiej, chorobie do zdrowia. Wpadali w ręce mądrej dziewczyny niczym brzoskwinie w Tarze, gdy lekko potrząsało się drzewkiem.

Wróciła do ojca z rzeźwiącym trunkiem dziękując Bogu, że słynna mocna głowa pana O’Hary nie wytrzymała tym razem szeregu „kolejek”, i zapytując siebie, czy przypadkiem Rett Butler nie przyczynił się do tego?

## ROZDZIAŁ XI

Pewnego popołudnia w następnym tygodniu Scarlett wróciła ze szpitala zmęczona i zła. Była znużona, bo stała przez cały ranek na nogach; zła, bo pani Merriweather zbeształa ją ostro za siedzenie na łóżku żołnierza podczas robienia mu opatrunku. Ciotka Pitty i Melania w najlepszych kapeluszach stały na ganku z Wade’em i Prissy, gotowe do wyruszenia na wizyty. Scarlett poprosiła, aby ją zwolniły od tego, i udała się na górę, do swego pokoju.

Kiedy ucichł zupełnie turkot powozu i miała pewność, że nikogo z rodziny nie ma w domu, wsunęła się cicho do pokoju Meli i zamknęła drzwi na klucz. Pokój ten był wymuskany, mały i bardzo dziewiczy; był spokojny i rozgrzany ukośnymi promieniami zachodzącego słońca. Podłoga, doskonale wywoskowana, pokryta była małymi, jaskrawymi dywanikami, a białe ściany niczym nie ozdobione. Jeden tylko kąt pokoju Melania zamieniła w sanktuarium.

Tutaj, pod udrapowanym sztandarem Konfederacji, wisiała szabla o złotej rękojeści, którą ojciec Melanii nosił podczas wojny meksykańskiej i którą odziedziczył Karol. Obok wisiała szarfa Karola i pistolet w olstrach. Pomiędzy szablą a pistoletem mieścił się dagerotyp samego Karola, bardzo sztywnego i napuszonego w nowym mundurze. Jego wielkie piwne oczy zdawały się świecić z dagerotypu, a na ustach igrał nieśmiały uśmieszek. Scarlett nawet nie spojrzała na portret, tylko szybkim krokiem przeszła przez pokój w stronę kwadratowej szkatułki do listów, stojącej na stoliku koło wąskiego łóżka. Wzięła paczkę listów pisanych przez Ashleya do Meli i przewiązanych niebieską wstążeczką. Na wierzchu leżał list, który nadszedł tego samego dnia, i ten właśnie otworzyła.

Gdy Scarlett po raz pierwszy zaczęła potajemnie czytywać listy Ashleya, miała tak wielkie wyrzuty sumienia i tak się bała przyłapania na gorącym uczynku, że ledwie mogła drżącymi rękoma otwierać koperty. Teraz to niezbyt zresztą silnie w niej rozwinięte poczucie honoru zagłuszone zostało częstym powtarzaniem wykroczenia — obawa zaś przed Melą ustąpiła zupełnie. Niekiedy myślała jeszcze ze ściśniętym sercem: „Co by powiedziała mama, gdyby wiedziała o tym?” Czuła, że Ellen wolałaby ją widzieć martwą niż winną podobnego postępku. Z początku bardzo to ją gnębiło, bo jeszcze ciągle pragnęła być pod każdym względem podobna do matki. Pokusa jednak czytania tych listów była tak wielka, że myśl o Ellen schodziła na drugi plan. W tym czasie Scarlett już się wprawiła w odsuwanie na bok nieprzyjemnych myśli. Nauczyła się mówić: „Nie będę myślała o tej czy owej nieprzyjemnej sprawie teraz. Zastanowię się nad nią jutro”. Zazwyczaj, kiedy nadchodziło jutro, myśl albo nie przychodziła jej do głowy wcale, albo tak była stonowana zwłoką, że wcale nie była przykra. Tak więc i sprawa czytania listów Ashleya nie bardzo trapiła jej sumienie.

Melania zawsze czytała na głos duże wyjątki tych listów ciotce Pitty i Scarlett. Te jednak części, których nie czytała, nie dawały Scarlett spokoju i doprowadzały do czytania ukradkiem korespondencji szwagierki. Chciała wiedzieć, czy Ashley zaczął kochać żonę po ślubie. Chciała wiedzieć, czy udawał miłość do niej. Czy zwracał się do niej czule? Jakie uczucia wyrażał i jak gorąco?

Starannie zatem wyprostowała list.

Równe, niewielkie litery Ashleya skakały jej przed oczami, gdy czytała „Droga moja żono”. Odetchnęła z ulgą. A więc jeszcze nie nazywał Meli „Kochaniem” ani „Najdroższą”.

„Droga moja żono. Piszesz do mnie, że niepokoisz się, czy nie ukrywam przed Tobą prawdziwych moich myśli, i pytasz, co mnie zajmuje ostatnimi czasy...”

„Matko Przenajświętsza! — myślała Scarlett z przerażeniem. — Czy nie ukrywa swoich myśli? Czyżby Mela wyczytała, co się dzieje w jego sercu? Albo w moim? Czyżby podejrzewała, że ja i on?...”

Ręce jej drżały ze strachu, gdy znowu podniosła list do oczu, ale uspokoiła się, czytając następny ustęp.

„Droga żono, jeżeli ukrywam cokolwiek przed Tobą, to dlatego, że nie chcę kłaść ciężarów na Twoje barki ani dodawać do trosk o moje fizyczne bezpieczeństwo — dodatkowych, o spokój mego ducha. Trudno mi jednak ukryć coś przed Tobą, ponieważ znasz mnie zbyt dobrze. Nie niepokój się o mnie. Nie jestem ranny. Nie byłem chory. Mam dość jedzenia i nawet od czasu do czasu sypiam w łóżku. Żołnierz nie może niczego więcej wymagać. Ale, Melanio, ciężkie troski gnębią moje serce, która pragnę przed Tobą otworzyć.

Podczas nocy letnich leżę bezsennie, gdy cały obóz już śpi, patrzę w gwiazdy i zastanawiam się ciągle na nowo: «Po co tu jesteś, Ashleyu Wilkes? Dlaczego właściwie walczysz?»

Nie dla honoru i sławy, to pewne. Wojna jest sprawą brudną, ja zaś brudu nie lubię. Nie jestem żołnierzem i nie pragnę szukać chwilowej chwały pod paszczami armat. A jednak biorę udział w wojnie — ja, którego Bóg przeznaczył do egzystencji miłującego książki obywatela ziemskiego. Bo, Melanio, pobudka nie burzy mojej krwi, nogi moje nie skaczą w takt bębna i widzę bardzo jasno, że zostaliśmy zwiedzeni, oszukani z powodu naszej pychy, ponieważ myśleliśmy, że każdy z nas potrafi sprzątnąć z kilkunastu Jankesów, ponieważ wierzyliśmy, że bawełna rządzi światem. Zwiodły nas także słowa i hasła, przesądy, i nienawiść — które padały z ust ludzi bardzo przez nas cenionych i szanowanych: «Królestwo bawełny. Niewolnictwo. Prawa Stanów. Śmierć Jankesom».

Tak więc, gdy leżę na swoim kocu, patrzę w gwiazdy i pytam, o co walczę? Myślę o prawach Stanów, o bawełnie, o Murzynach, o Jankesach, których nauczono nas nienawidzić, i wiem, że nie walczę o żadną z tych rzeczy. Zamiast tego widzę Dwanaście Dębów. Przypominam sobie, jak światło księżyca przecieka między białymi kolumnami, jak nieziemsko wyglądają magnolie otwierające się nocą i jak pnące róże ocieniają ganek w najgorętszym nawet słońcu. I widzę matkę szyjącą na ganku, jak widywałem ją często, gdy byłem małym chłopcem. Słyszę Murzynów wracających o zmierzchu z pól do domu, zmęczonych, śpiewających, niecierpliwie wyglądających kolacji, i słyszę skrzyp korby, która spuszcza wiadro do chłodnej studni. Widzę drogę schodzącą ku rzece poprzez pola bawełny i opary, nisko kładące się nad nimi o zmroku. W imię tego jestem tutaj ja, dla którego obojętna jest śmierć, cierpienie czy słowa, który nie czuje nienawiści do nikogo. Może to właśnie nazywa się patriotyzmem — ta miłość domu i ojczyzny? Wydaje mi się jednak, Melanio, że uczucie to sięga jeszcze głębiej. Bo, Melanio, te rzeczy, o których wspominam, są tylko symbolami spraw, dla których narażam życie, symbolami tego życia, które bardzo kocham, ale które, obawiam się, minęło już na zawsze, niezależnie od tego, jak się szansę rozłożą. Bo czy wygramy wojnę, czy przegramy, zwyciężonymi będziemy my.

Jeżeli wygramy tę wojnę i zdobędziemy nasze wyśnione królestwo bawełny, poniesiemy klęskę i tak, bo staniemy się innymi ludźmi i nie będziemy mogli wrócić do dawnego spokojnego życia. Świat będzie u naszych stóp, będzie domagał się bawełny; będziemy mogli naznaczyć ceny, jakie nam się spodoba. Wtedy, obawiam się, niczym nie będziemy się różnili od Jankesów, z których chęci zarabiania, wzbogacania się i kultu pieniądza drwimy teraz. Jeżeli zaś przegramy, Melanio, jeżeli przegramy!...

Nie boję się niebezpieczeństwa, niewoli, ran ani nawet śmierci, o ile śmierć jest mi pisana, boję się bardzo natomiast, że gdy skończy się ta wojna, nigdy nie będziemy dawnymi ludźmi. Ja zaś należę do czasów dawnych. Nie przynależę do tej szalonej, krwawej teraźniejszości i jestem pewien, że nie zmieszczę się w żadnej przyszłości, jakkolwiek bym się o to starał. Ani ty nie nadasz się do niej, moja droga, ponieważ oboje jesteśmy jednej krwi. Nie wiem, co przyniesie przyszłość, z pewnością jednak nie będzie tak piękna ani tak doskonała jak przeszłość.

Leżę i przyglądam się śpiącym obok mnie chłopcom i zastanawiam się, czy Tarletonowie, Aleks lub Cade mają podobne myśli. Myślę o tym, czy wiedzą, że walczą dla sprawy, która była przegrana już w chwili, gdy oddano pierwszy strzał — bo sprawą naszą jest nasz sposób życia, a ten minął już na zawsze. Nie sądzę jednak, by o tym myśleli, i dlatego są ode mnie o wiele szczęśliwsi.

Nie przewidywałem tego wszystkiego, gdy prosiłem o Twoją rękę, Melanio. Myślałem o wspólnym życiu w Dwunastu Dębach, takim jak dawniej — spokojnym, łatwym, niezmiennym. Podobni jesteśmy bardzo do siebie, Melanio, kochamy te same spokojne sprawy — widziałem więc przed nami długą przestrzeń cichych lat, w których moglibyśmy czytać, słuchać muzyki i marzyć. Nigdy jednak nie przewidywałem wojny! Że też coś takiego mogło się nam wszystkim zdarzyć — burzenie starego porządku, krwawa rzeź i nienawiść! Melanio, nic nie jest tego warte — ani prawa Stanów, ani niewolnicy, ani bawełna. Nic niewarte jest tego, co cierpimy teraz, ani tego, co może nam się przytrafić, bo jeżeli nas Jankesi zwyciężą, przyszłość kryje dla nas niesłychaną grozę. A, droga moja, jest zupełnie możliwe, że nas zwyciężą.

Nie powinienem pisać tych słów. Nie powinienem tego nawet myśleć. Pytałaś mnie jednak, co kryje się w moim sercu — mówię Ci więc: strach przed klęską. Czy pamiętasz, jak na barbakoi, w dniu ogłoszenia naszych zaręczyn, człowiek pewien, nazwiskiem Butler, sądząc z akcentu pochodzący z Charlestonu, omal nie wywołał awantury swoją uwagą o ignorancji południowców? Czy pamiętasz, jak Tarletonowie chcieli go zastrzelić, bo twierdził, że mamy za mało hut i fabryk, składów i okrętów, arsenałów i wytwórni maszyn? Czy pamiętasz, jak mówił, że flota jankeska tak nas zablokuje, że nie będziemy mogli wywozić bawełny? Człowiek ten miał rację. Do walki przeciw nowym karabinom Jankesów mamy muszkiety z czasów rewolucji, wkrótce zaś blokada będzie tak szczelna, że nawet leki dla szpitali nie będą się mogły przez nią przecisnąć. Należało uważniej słuchać cyników takich jak Butler, którzy znali prawdę — zamiast słuchać polityków, którzy «czuli» i gadali. Butler powiedział, że Południe do prowadzenia wojny posiada tylko bawełnę i arogancję. Teraz bawełna nasza jest bezwartościowa, została więc nam, jak on to nazwał, tylko arogancja. Ja jednak arogancję tę nazywam bezprzykładną odwagą. Jeżeli...”

Scarlett nie kończąc listu starannie złożyła go i wsunęła z powrotem do koperty, zbyt znudzona, aby czytać dalej. Ton listu zdeprymował ją jakoś, za wiele było napomknień o klęsce. Ostatecznie nie po to czytała ukradkiem korespondencję Melanii, aby poznawać dziwne i nieinteresujące poglądy Ashleya. Dość się już ich nasłuchała siadując z nim na ganku w Tarze za dawno minionych dni.

Jedyne, co chciała wiedzieć, to czy listy jego tchnęły namiętnością do żony. Jak dotąd — nie. Przeczytała wszystkie listy ze szkatułki i w żadnym z nich nie wyczytała nic, czego by brat nie mógł napisać do siostry. Pełno w nich było czułości, humoru, opisów — nie były to jednak listy kochanka. Scarlett dość dużo w swoim życiu otrzymywała listów miłosnych, aby umieć wyczuć nutę prawdziwej namiętności. Tej nuty brakło tutaj. Jak zwykle po czytaniu listów Ashleya ogarnęło ją uczucie zadowolenia, bo poczuła pewność, że Ashley jeszcze ją kocha. Zawsze też dziwiła się złośliwie, dlaczego Melania nie rozumie tego, że Ashley kocha ją tylko jak przyjaciółkę. Melanii niczego najwidoczniej w tych listach nie brakło, ponieważ nigdy nie otrzymywała innych listów, z którymi by mogła porównać listy Ashleya.

„Bo też on pisze wariackie listy — myślała Scarlett. — Gdyby kiedykolwiek mój mąż pisał do mnie takie bzdury, dałabym ja mu szkołę! Przecież nawet Karol pisał lepiej!”

Uporządkowała listy, odczytując daty, przypominając sobie ich treść. Nie było w nich poetycznych opisów biwaków i potyczek, jakimi Darcy Meade urozmaicał listy swoje do rodziców albo biedny Dallas McLure do starszych swych sióstr, panien Faith i Fope. Państwo Meade i panny McLure z dumą czytali te listy całemu sąsiedztwu, Scarlett zaś niejednokrotnie odczuwała wstyd, że Melania swoich listów od Ashleya czytać na głos nie może.

Wydawać by się mogło, jak gdyby Ashley pisząc do Meli starał się nie myśleć o wojnie i zakreślał dokoła nich dwojga krąg magiczny, za którego obrębem zostawało to wszystko, co zdarzyło się od incydentu w Forcie Sumtera. Zdawał się prawie nie pamiętać, że wojna się toczy. Pisał o książkach, które czytali, o pieśniach, które śpiewali, o wspólnych starych przyjaciołach i o miastach, które zwiedzał podczas podróży po Europie. We wszystkich listach brzmiała nuta tęsknoty do Dwunastu Dębów. Całe stronice poświęcał wspomnieniom polowań, przejażdżek konnych po cichych leśnych ścieżkach w mroźne gwiaździste noce jesienne, pisał o barbakojach, ucztach rybnych, spokoju nocy księżycowych i pogodnym wdzięku starego domu.

Scarlett myślała o słowach z tego listu, który właśnie przeczytała: „Nigdy jednak nie przewidywałem tego! Nigdy!”, i wydały jej się krzykiem rozpaczy w obliczu czegoś, czego nie mógł znieść, a znosić musiał. To ją zastanowiło, bo skoro nie bał się ran ani śmierci, to czegóż mógł się bać? Nie umiejąc analizować, nie mogła dać sobie rady z tym zagadnieniem.

„Wojna wstrząsnęła nim, a on... on nie lubił rzeczy, które go wytrącają z równowagi... Mnie, na przykład... Kochał mnie, ale bał się ze mną ożenić, ponieważ... ze strachu, że zmienię jego sposób myślenia czy życia. Nie, nie tego bał się właściwie. Ashley nie jest tchórzem. Nie może być tchórzem, skoro został wymieniony w rozkazie dziennym i skoro pułkownik Sloan napisał do Meli, jaką odwagę wykazał prowadząc ludzi do ataku. Kiedy Ashley raz coś postanowi, jest bardzo odważny i zdecydowany na wszystko, ale... Żyje swoimi myślami zamiast żyć pośród świata otaczającego; nie lubi brać udziału w życiu... Och, nie wiem sama, co w nim takiego tkwi. Gdybym go wiele lat temu mogła zrozumieć, przekonana jestem, że ożeniłby się ze mną”.

Stała tak przez chwilę, przyciskając listy do piersi, myśląc z tęsknotą o Ashleyu. Uczucie jej dla niego nie zmieniło się od dnia, w którym go pokochała. Czuła na myśl o nim to samo wzruszenie, które ogarnęło ją, gdy Ashley uśmiechając się podjechał konno pod ganek w Tarze, a włosy jego lśniły srebrzyście w słońcu porannym. Miłość jej ciągle jeszcze była uwielbieniem czternastoletniej dziewczynki dla mężczyzny, której nie może zrozumieć, dla mężczyzny posiadającego wszystkie te cechy, których sama nie ma, i dlatego podziwia. Ashley był dla niej ciągle jeszcze ucieleśnieniem dziewczęcego marzenia o Rycerzu bez Skazy; niczego nie pragnęła więcej niż jego wzajemności, nie chciała niczego prócz pocałunku. Czytając jego listy utwierdziła się w przekonaniu, że Ashley kocha ją, Scarlett, mimo że ożenił się z Melanią — i to wystarczyło jej w zupełności. Była jeszcze bardzo młoda i zupełnie nie rozbudzona. Gdyby kłopotliwa nieporadność i wstydliwe pieszczoty Karola poruszyły w niej głęboką strunę uśpionej namiętności, marzenia o Ashleyu nie ograniczyłyby się do myśli o pocałunku. Kilka jednak księżycowych nocy z Karolem nie zdołało rozbudzić jej ciała ani namiętności. Karol nie dał jej żadnego pojęcia o tym, czym może być namiętność, czułość, prawdziwa bliskość cielesna i duchowa.

Miłość była dla niej poddaniem się niezrozumiałemu męskiemu szałowi, którego kobiety dzielić nie mogły; bolesnym i wstydliwym procesem, który prowadził niezmiennie do jeszcze boleśniejszego procesu rodzenia. Nie było dla niej niespodzianką, że małżeństwo jest właśnie czymś takim. Ellen wspominała jej przed ślubem, że małżeństwo to stan, który kobiety muszą znosić z godnością i siłą, szepty zaś innych mężatek, które słyszała w okresie wdowieństwa, utwierdzały ją w tym przekonaniu. Zadowolona była, że skończyła z małżeństwem i namiętnością.

Skończyła z małżeństwem, ale nie z miłością, bo miłość jej do Ashleya była czymś innym, czymś, co nie miało nic wspólnego, z żądzą — czymś świętym i oszałamiająco pięknym, wzruszeniem, które rosło potajemnie w długie dni przymusowego milczenia, karmiąc się dawnymi wspomnieniami i zawsze nową nadzieją.

Westchnęła, starannie przewiązując wstążeczką paczkę listów i zastanawiając się po raz tysiączny nad tym, co też było takiego w Ashleyu, co wymykało się jej rozumieniu. Starała się przemyśleć tę sprawę, aby dojść do zadowalających wniosków, ale, jak zwykle, nieskomplikowany jej umysł nie mógł wyciągnąć ostatecznej konkluzji. Odłożyła listy do szkatułki i zamknęła jej wieko. Potem zmarszczyła czoło, bo przypomniała sobie ostatni ustęp przeczytanego listu, wzmiankę Ashleya o kapitanie Butlerze. Dziwne, że Ashley dotąd pamiętał, co ten łotr powiedział rok temu. Kapitan Butler był niewątpliwie łotrem, mimo że tańczył bosko. Tylko skończony łotr mógł mówić o Konfederacji takie rzeczy jak on na wencie.

Zbliżyła się do lustra w przeciwległym kącie pokoju i z zadowoleniem przygładziła włosy. Poweselała od razu — jak zwykle na widok swej białej skóry i skośnych zielonych oczu — i uśmiechnęła się do siebie, aby przyjrzeć się swoim dołeczkom. Potem wymazała z pamięci obraz kapitana Butlera i usiłowała przypomnieć sobie, jak Ashley lubił jej uśmiech. Wyrzuty sumienia, że kocha męża innej kobiety i że czytuje jego listy do niej, nie zmąciły jej przyjemności, że jest młoda, ładna i że na nowo zyskała pewność miłości Ashleya.

Otwarła drzwi z klucza i z lekkim sercem zeszła po kręconych schodach. Na półpiętrze zaczęła śpiewać „Gdy się skończy wreszcie wojna...”

## ROZDZIAŁ XII

Wojna toczyła się dalej, przeważnie z powodzeniem, ale ludzie przestali mawiać: „Jeszcze jedno zwycięstwo i będzie pokój”, podobnie jak przestali twierdzić, że Jankesi są tchórzami. Było teraz, jasne dla wszystkich, że Jankesi wcale tchórzami nie są i że trzeba więcej niż jednego zwycięstwa, aby ich pokonać. Konfederacja miała jednak za sobą zwycięstwa w Tennessee, odniesione przez generałów Morgana i Forresta, tryumf zaś w drugiej bitwie pod Bull Run był tak namacalny, jak gdyby zdarto tam skalpy z nieszczęsnych Jankesów. Te rzekome skalpy drogo jednak opłacono. Szpitale i domy Atlanty przepełnione były chorymi i rannymi i coraz więcej kobiet przywdziewało żałobę. Monotonny rząd grobów żołnierskich na cmentarzu oaklandzkim wydłużał się co dzień.

Waluta konfederacka spadała alarmująco, w związku zaś z tym podskoczyły ceny żywności i ubrań. Wydział zaopatrywania armii obkładał artykuły żywnościowe takimi podatkami, że ludność Atlanty zaczęła na tym cierpieć. Białą mąkę trudno było dostać i była tak droga, że zaczęto używać chleba żytniego zamiast sucharów, bułek i wafli. Rzeźnicy nie mieli wołowiny i bardzo mało baraniny, przy czym te gatunki mięsa były w takiej cenie, że tylko bogaci mogli sobie na nie pozwolić. Wieprzowiny było jeszcze pod dostatkiem, podobnie jak drobiu i jarzyn.

Blokada portów Konfederacji zacieśniła się jeszcze i artykuły takie jak herbata, kawa, jedwab, fiszbiny, woda kolońska, żurnale i książki — stały się drogie i niedostępne. Nawet najtańsze tkaniny bawełniane sięgały zawrotnych cen, a panie z żalem nosiły suknie przez dwa sezony. Krosna, które od lat stały na strychach, odkurzono teraz, i w każdym prawie salonie zaczęto tkać samodziały.

Wszyscy — żołnierze, cywile, kobiety, dzieci i Murzyni — tkali na wyścigi. Szary kolor, barwa munduru konfederatów, znikł właściwie, miejsce zaś jego zajął samodział w piaskowym odcieniu.

Szpitale odczuwały już brak chininy, kalomelu, opium, chloroformu i jodyny. Bandaże lniane i bawełniane stały się tak cenne, że nie wyrzucano ich po zużyciu, lecz każda z pań, pielęgnujących w szpitalach, zabierała do domu kosze krwawych strzępów, które wyprane i odprasowane służyły nowym chorym.

Dla Scarlett, która dopiero co wynurzyła się z poczwarki wdowieństwa, wojna była okresem wesołości i rozrywek. Brak odzieży i jedzenia wcale jej nie trapił, tak się cieszyła ze swego powrotu w świat.

Kiedy myślała o nudzie ubiegłego roku, o dniach mijających monotonnie, wydawało jej się, że teraz życie bieży niepowstrzymanym pędem. Każdy poranek zapowiadał podniecającą przygodę, bo był początkiem dnia, w którym miała poznać nowych mężczyzn, chcących ją widywać, mówić jej, że jest piękna, że szczęściem jest walczyć i umierać dla niej. Kochała Ashleya ciągle i z całej duszy, ale to jej nie przeszkadzało doprowadzać innych mężczyzn do oświadczania się o jej rękę.

Wojna, która była tłem wszystkich wydarzeń, przydawała stosunkom towarzyskim przyjemnej swobody, na którą starsze osoby spoglądały z niepokojem. Matki zastawały obcych mężczyzn u córek, mężczyzn, którzy zjawiali się bez listów polecających i o których pochodzeniu nic nie było wiadomo. Stwierdzały z przerażeniem, że panowie ci siadują z ich córkami ręka w rękę. Pani Merriweather, która po raz pierwszy pocałowała się z mężem po ślubie, ledwie wierzyła swoim oczom, gdy przyłapała Maybelle na całowaniu się z małym żuawem, Rene Picardem, a konsternacja jej wzrosła jeszcze, ponieważ Maybelle nie chciała się wcale tego wstydzić. Fakt, że Rene niezwłocznie poprosił o jej rękę, niczego nie naprawił. Pani Merriweather była przekonana, że na Południu nastał zupełny upadek obyczajów, i często tę opinię wypowiadała na głos. Inne matki zgadzały się z nią całym sercem twierdząc, że to wina wojny.

Mężczyźni jednak, którzy mieli umrzeć za tydzień czy miesiąc, nie mogli czekać przez rok na pozwolenie nazywania dziewczyny po imieniu — przed którym, oczywiście, dodawali słowo „panno”.

Nie mogli także narażać się na oficjalne i przewlekłe konkury, jakie przed wojną nakazywał dobry ton. Zdarzało się, że oświadczali się teraz po trzech czy czterech miesiącach. Panny zaś, które doskonale wiedziały, że dama powinna ręki swej odmówić przynajmniej trzykrotnie, z ochotą przyjmowały oświadczyny już za pierwszym razem.

Ta bezceremonialność sprawiała właśnie, że Scarlett doskonale się bawiła podczas wojny. Gdyby nie przykry obowiązek doglądania rannych i nuda, z jaką łączyło się zwijanie bandaży, nie miałaby nic przeciwko temu, aby wojna trwała wiecznie. Właściwie nawet i szpital znosiła teraz lepiej i spokojniej, ponieważ stanowił doskonałe pole do nowych zdobyczy. Bezradni chorzy ulegali jej wdziękom bez walki. Wystarczyło zmienić im bandaże, obmyć twarz, poprawić poduszki i trochę ich powachlować, a już byli zakochani. Ach, jaka to była rozkosz po ostatnim nudnym roku!

Scarlett nawróciła do punktu, w którym była przed wyjściem za mąż za Karola. Zdawało jej się, że nigdy nie była zamężna, nigdy nie odczuła wstrząsu po śmierci męża, nigdy nie urodziła Wade’a. Wojna, małżeństwo i poród przeszły po niej nie poruszając żadnej głębszej struny — była właściwie niezmieniona. Miała dziecko, którym opiekowali się inni tak czule, że mogła o nim prawie nie pamiętać. W duszy swojej i sercu była znowu Scarlett O’Harą, najpiękniejszą dziewczyną w powiecie. Myśli i zajęcia miała takie same jak dawniej, tylko że pole jej działania rozszerzyło” się ogromnie. Nie dbając o opinię przyjaciółek ciotki Pitty, zachowywała się tak jak przed zamążpójściem, chodziła na przyjęcia, tańczyła, jeździła konno z żołnierzami, flirtowała; robiła to samo, co w czasach panieństwa, tylko że nosiła żałobę. Wiedziała, że zdjęcie jej byłoby kroplą, która by przepełniła miarę pobłażliwości Pittypat i Meli. Była więc teraz wdową równie czarującą jak dawniej panną, miłą — gdy mogła postępować wedle własnej woli, uprzejmą — dopóki było to jej na rękę, próżną, pewną siebie i ufną w swe powodzenie.

Teraz była szczęśliwa, mimo że przed niewielu tygodniami czuła się bardzo źle — szczęśliwa w towarzystwie wielbicieli, głoszących pochwałę jej wdzięków, tak szczęśliwa, jak to było możliwe wobec ożenku Ashleya z Melanią i jego pobytu na froncie. Łatwiej jednak znosiła myśl, że Ashley należy do innej, kiedy był daleko. Ze względu na setki mil dzielących Atlantę od Wirginii wydawał się własnością jej tak samo jak Melanii.

Tak więc miesiące jesienne roku 1862 przechodziły Scarlett szybko na doglądaniu rannych, zwijaniu bandaży, tańcach, przejażdżkach i krótkich wizytach w Tarze. Odwiedziny te kończyły się przeważnie rozczarowaniem, bo miała podczas nich mało okazji do długich i spokojnych rozmów z matką, do których tęskniła w Atlancie; miała mało czasu, aby siedzieć przy Ellen, wdychać zapach werbeny, unoszący się z jej sukien, czuć na policzkach łagodną pieszczotę jej miękkich dłoni.

Ellen była teraz chuda i bardzo zajęta od rana do późnej nocy. Żądania wydziału zaopatrywania armii wzrastały z miesiąca na miesiąc, Ellen musiała więc starać się je zaspokoić produktami z Tary. Nawet Gerald po raz pierwszy od wielu lat musiał się wziąć do roboty, bo nie mając rządcy na miejsce Jonasza Wilkersona, sam objeżdżał pola. Wobec tego, że Ellen miała tylko czas na krótki pocałunek na dobranoc, a Gerald był całymi dniami w polu, dom rodzinny wydawał się Scarlett nudny. Nawet siostry były zajęte własnymi sprawami. Zuela doszła już do „porozumienia” z Frankiem Kennedy i śpiewała „Gdy się skończy wreszcie wojna” ze znaczącą miną, której Scarlett nie mogła strawić, Karina zaś zbytnio była pochłonięta marzeniami o Brencie Tarletonie, aby stanowić ciekawe towarzystwo.

Mimo że Scarlett jeździła do Tary z wielką radością, nie było jej przykro, gdy od Meli i Pitty nadchodziły listy, wzywające ją niezmiennie do powrotu. Ellen zwykle wzdychała wtedy, zasmucona myślą, że najstarsza córka i jej jedyny wnuk opuszczą ją znowu.

— Nie mogę być tak samolubna, aby zatrzymywać cię tutaj, kiedy jesteś potrzebna w szpitalu w Atlancie — mówiła. — Tylko widzisz, kochanie, nie mam teraz nigdy czasu dla ciebie, nie mogę z tobą rozmawiać i czuć naprawdę, że wciąż jeszcze jesteś moją małą córeczką.

— Jestem nią i zawsze będę — mawiała Scarlett i kryła głowę na ramieniu Ellen w poczuciu nagłej winy. Nie mówiła bowiem Ellen, że do Atlanty ciągnie ją perspektywa tańców i zdobywania wielbicieli, a nie myśl o służbie dla Konfederacji. Wiele było spraw, które w tych czasach ukrywała przed matką. Przede wszystkim jednak ukrywała fakt, że Rett Butler często bywa w domu ciotki Pittypat.

W miesiącach, które nastąpiły po wencie, Rett odwiedzał panie Hamilton, ilekroć był w mieście, zabierał Scarlett na przejażdżki powozem, towarzyszył jej na wieczorki taneczne i wenty i czekał w powozie przed szpitalem, aby ją odwieźć do domu. Scarlett nie bała się już, że Rett zdradzi komukolwiek jej tajemnicę, ale w głębi duszy zawsze pamiętała o tym, że zna ją z najgorszej strony i że wie całą prawdę o Ashleyu. Ta świadomość powstrzymywała ją od ostrych odpowiedzi, gdy Rett ją drażnił. Drażnił ją zaś bardzo często.

Rett Butler miał przeszło trzydzieści lat i był znacznie starszy od wszystkich wielbicieli, jakich Scarlett kiedykolwiek miała, trudno jej więc było kierować nim tak jak innymi. Miał taką minę, jak gdyby go nic nie dziwiło, a wiele rzeczy śmieszyło, najwięcej zaś zdawał się bawić doprowadzaniem Scarlett do niemej wściekłości. Często wybuchała złością na skutek jego zręcznych docinków, bo wraz z pozorami słodyczy, odziedziczonymi po Ellen, posiadała i irlandzki temperament Geralda. Dotąd umiała się opanowywać wyłącznie w obecności Ellen. Teraz z wysiłkiem musiała dławić w sobie ostre repliki, ponieważ bała się drwiącego uśmiechu Retta. Wolałaby, gdyby i on czasem tracił panowanie nad sobą.

Po każdej utarczce z Rettem — a rzadko wychodziła z nich obronną ręką — Scarlett powtarzała sobie, że Rett jest niemożliwy, źle wychowany, że nie jest dżentelmenem, i przyobiecywała sobie święcie, że nic z nim więcej nie będzie miała do czynienia. Wcześniej jednak czy później zjawiał się znowu w Atlancie, składał wizytę, rzekomo ciotce Pittypat, i z przesadną galanterią wręczał Scarlett pudełko słodyczy, które jej przywiózł z Nassau. Albo też zamawiał sobie miejsce przy niej na koncercie lub zapraszał do tańca i Scarlett zwykle była tak ubawiona jego uprzejmą bezczelnością, że zaczynała się śmiać i zapominała o jego przeszłych przewinach do czasu popełnienia następnych.

Mimo że miał tyle nieprzyjemnych wad, wyglądała jego wizyt z niecierpliwością. Miał w sobie coś niepokojącego czego nie mogła zanalizować — coś, co różniło go od wszystkich znajomych mężczyzn. Uroda jego rosłego ciała zostawiała niezatarte wrażenie, impertynencja i drwina, kryjące się w jego ciemnych oczach, były dla Scarlett wyzwaniem.

„Można by pomyśleć, że jestem w nim zakochana — myślała ze zdumieniem. — Ale nie kocham go przecież, nie mogę więc tego po prostu zrozumieć”.

Uczucie niepokoju nie mijało jednak. Kiedy Rett przychodził z wizytą, jego pełnokrwista męskość sprawiała, że dystyngowany dom ciotki Pitty zaczynał się wydawać mały, nikły i trochę zatęchły. Nie tylko Scarlett wbrew woli tak dziwnie reagowała na jego obecność: nawet ciocia Pitty była zmieszana i podniecona wizytami Retta.

Mimo iż Pitty wiedziała, że Ellen nie aprobowałaby wizyt kapitana Butlera u swej córki, mimo iż wiedziała, że opinii dobrego towarzystwa charlestońskiego nie należy lekceważyć, na lep wyszukanych komplementów Retta i ucałowań w rękę szła jak mucha do miodu. Ponadto przywoził jej zwykle z Nassau drobne upominki, które — jak ją zapewniał — kupował specjalnie dla niej i przemycał przez blokadę z narażeniem życia: szpilki, agrafki, guziki, jedwab do szycia czy szpilki do włosów. Drobiazgów tych nie można już było dostać w Atlancie — panie nosiły we włosach ręcznie strugane szpilki drewniane, a zamiast guzików żołędzie obciągane materiałem — Pitty brakło więc siły, aby nie przyjmować tych dowodów pamięci, zwłaszcza że po dziecinnemu lubiła niespodzianki i nie mogła się oprzeć pokusie otwierania zawiniątek kapitana Butlera. Odpakowawszy raz zaś paczuszkę, nie potrafiła odmówić przyjęcia podarku. Przyjąwszy prezent, nie umiała znowu zebrać się na odwagę i oświadczyć Rettowi, że ze względu na jego złą reputację byłoby lepiej, aby nie odwiedzał trzech samotnych, pozbawionych opieki kobiet. Ciotka Pitty niezmiennie czuła potrzebę męskiej opieki, gdy kapitan Butler zjawiał się w jej domu.

— Nie wiem, czemu to przypisać — wzdychała bezwolnie. — Ale... myślę nawet, że kapitan byłby miłym, przyjemnym człowiekiem, gdybym czuła naprawdę, że... że w głębi serca rzeczywiście szanuje kobiety. Od chwili zwrotu jej obrączki Melania uważała, że Rett jest dżentelmenem o wyjątkowej subtelności i delikatności, uwaga ta więc bardzo ją oburzała. Mimo że Rett był dla niej niesłychanie uprzejmy, nie wyzbyła się w stosunku do niego nieśmiałości, jaka cechowała ją zresztą w stosunku do każdego mężczyzny, którego nie znała od dzieciństwa. Współczuła mu — co bardzo by prawdopodobnie ubawiło Retta, gdyby o tym wiedział. Była przekonana, że to jakieś niepowodzenie spaczyło jego życie, uczyniło go twardym i zgorzkniałym, i uważała, że brak mu zapewne miłości odpowiedniej kobiety. W całym swoim spokojnym życiu nie widziała jeszcze prawdziwego zła, toteż nie mogła uwierzyć w jego istnienie, kiedy zaś dochodziły ją plotki na temat Retta i owej panny z Charlestonu, była zgorszona i pełna niedowierzania. Pogłoski te zamiast ją zniechęcić do niego, wzmagały tylko jej uprzejmość, bo wyobrażała sobie, że powinna mu wynagrodzić krzywdę, którą mu ludzie wyrządzają.

Scarlett milcząco podzielała zdanie ciotki Pitty. Czuła, że Rett nie ma szacunku dla żadnej kobiety, z wyjątkiem może jedynej Melanii. Ilekroć spojrzenia jego ślizgały się po niej samej, wydawało jej się, że jest naga. Nie znaczy to, iżby Rett kiedykolwiek coś jej śmiałego powiedział. Wtedy obrzuciłaby go gradem oburzonych słów. Oczy jego patrzyły ze śniadej twarzy bezczelnie, jak gdyby wszystkie kobiety uważał za swoją własność, po którą może w odpowiedniej chwili sięgnąć. Tylko na Melanię patrzył inaczej. Gdy na nią spojrzał, nigdy nie było w jego oczach chłodnej oceny, nigdy drwin; i w głosie jego brzmiała inna nuta, gdy zwracał się do niej, nuta uprzejmości, szacunku, szczerej gotowości do usług.

— Nie rozumiem, dlaczego jest pan dla niej milszy niż dla mnie — rzekła Scarlett zjadliwie pewnego popołudnia, gdy Melania i Pitty poszły się zdrzemnąć i została z Rettem sama.

Przez godzinę przyglądała się, jak Rett trzymał pasmo włóczki, którą Melania nawijała na kłębek, obserwowała uprzejmy, nieprzenikniony wyraz jego twarzy, gdy mówiła długo i z dumą o Ashleyu i jego awansie. Scarlett wiedziała, że Rett nie ma dobrego mniemania o Ashleyu i że jego nominacja na majora mało go obchodzi. A przecież odpowiadał jej grzecznie i robił właściwe uwagi na temat odwagi Ashleya.

„A jeżeli ja przypadkiem choćby wspomnę imię Ashleya — myślała z rozdrażnieniem — podnosi jedną brew do góry i uśmiecha się tym paskudnym, wszechwiedzącym uśmiechem!”

— Jestem od niej o wiele ładniejsza — ciągnęła dalej — nie rozumiem więc, czemu jest pan dla niej o tyle milszy.

— Czy wolno mi przypisać to pytanie zazdrości?

— Och, tego proszę sobie nie wmawiać!

— Jeszcze jedna zawiedziona nadzieja. Jestem „milszy” dla pani Wilkes dlatego, że na to zasługuje. Jest jedną z niewielu dobrych, szczerych i niesamolubnych istot, jakie znam. Możliwe jednak, że pani nie zdołała zauważyć tych jej zalet. Ponadto zaś, mimo swojej młodości, należy do szczupłego grona prawdziwie wielkich dam, jakie dane mi było spotkać.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że mnie pan nie uważa za wielką damę?

— Wydaje mi się, że już podczas naszego pierwszego spotkania ustaliliśmy oboje, że pani w ogóle nie jest damą.

— Och, więc znowu jest pan wstrętny i znowu mi pan to przypomina... Jakże pan może tak ciągle pamiętać ten dziecinny atak złości? Było to dawno temu, bardzo od tego czasu wydoroślałam i zapomniałabym o tym zupełnie, gdyby pan nie docinał mi ciągle i nie przypominał.

— Nie sądzę, iżby to była dziecinna złość, i nie przypuszczam, żeby się pani zmieniła. Zdolna jest pani teraz tak samo jak dawniej do rzucania wazonów, jeżeli coś czy ktoś sprzeciwi się pani. Teraz jednak może pani robić to, co się pani podoba, nie ma więc potrzeby tłuczenia bibelotów.

— Och, jest pan... Żałuję, że nie jestem mężczyzną! Wyzwałabym pana i...

— I została zabita za swoją fatygę. Umiem trafić w monetę dziesięciocentową z odległości pięćdziesięciu jardów. Niech pani lepiej pozostanie przy swojej własnej broni — dołeczkach, wazonikach i tym podobnych.

— Jest pan po prostu łajdakiem.

— Czy chce pani, abym się na panią ciężko obraził? Przykro mi, ale spotka panią rozczarowanie. Nie może mnie pani rozzłościć epitetami, w których jest wiele prawdy. Pewnie, że jestem łajdakiem, czemu nie! Żyjemy w wolnym kraju i człowiek ma prawo być łajdakiem, jeżeli tak mu się podoba. Tylko hipokrytki pokroju drogiej pani, o sercu czarnym jak moje, starają się to ukryć przed światem i wpadają we wściekłość, gdy im powiedzieć prawdę w oczy.

Spokojny jego uśmiech i z przeciąganiem w głosie wypowiadane uwagi rozbrajały Scarlett zupełnie. Nigdy dotąd nie spotkała człowieka, który by był tak zupełnie nieczuły na docinki. Broń szyderstwa, chłodu czy wymysłów wypadała jej z rąk, ponieważ żadne jej słowo nie potrafiło go dotknąć. Przekonała się nieraz, że kłamca zwykle najgoręcej zapewnia o swojej prawdomówności, tchórz o odwadze, człowiek źle wychowany o doskonałych manierach, nicpoń o honorze. Rett — przeciwnie. Przyznawał się do wszystkich wad, śmiał się i zachęcał ją do dalszego urągania.

W czasie tych miesięcy zjawiał się i znikał, przyjeżdżał nie zapowiedziany i odjeżdżał nie żegnając się. Scarlett nigdy nie mogła wykryć, jakie interesy sprowadzają go do Atlanty. Wiedziała, że inni kapitanowie nie uważają za konieczne zapuszczać się tak daleko w głąb lądu. Wyładowywali transporty w Wilmingtonie czy Charlestonie, gdzie czekały już na nich gromady kupców i spekulantów z całego Południa, zbierających się tam celem zakupu na aukcjach przemyconego towaru. Scarlett chętnie by myślała, że Rett odbywa te podróże wyłącznie dla niej, ale mimo swej nieprzeciętnej próżności nie mogła w to uwierzyć. Gdyby Rett choć raz zaczął się do niej zalecać, gdyby jej zrobił scenę zazdrości o mężczyzn, którzy się do niej garnęli, gdyby brał ją czule za rękę, prosił o podobiznę czy chusteczkę na pamiątkę, mogłaby tryumfować, że uległ wreszcie jej wdziękom. On jednak pozostawał irytująco nieczuły i co gorsza, zdawał się domyślać wszystkich sztuczek, przy pomocy których starała się go omotać.

Ilekroć Rett przyjeżdżał do miasta, w świecie kobiet zapanowywało podniecenie. Nie tylko bowiem towarzyszyła mu romantyczna aura odwagi, ale i drażniący element zepsucia. Miał tak fatalną opinię. Po każdym zaś zebraniu starszych dam Atlanty opinia ta pogarszała się, co czyniło go tylko bardziej pożądanym dla młodych dziewcząt. Ponieważ większość ich była zupełnie niewinna, wiedziały o nim tylko to, że był „rozwiązły z kobietami” — a o tym, jak postępuje mężczyzna „rozwiązły”, nie miały pojęcia. Słyszały także szepty, że nie przepuści żadnej dziewczynie. Przy takiej opinii dziwne się wydawało, że od chwili gdy po raz pierwszy zjawił się w Atlancie, Rett nie starał się żadnej panienki pocałować nawet w rękę. To jednak czyniło go tym bardziej tajemniczym i drażniącym.

Był mężczyzną, o którym mówiło się w Atlancie najwięcej, oczywiście jeżeli wyłączyć bohaterskich żołnierzy. Wszyscy znali szczegóły usunięcia go z West Point za pijaństwo i „jakąś sprawę z pewną kobietą”. Straszny skandal charlestoński, historia panny, którą skompromitował i której brata zabił, był własnością publiczną. Korespondencja ze znajomymi w Charlestonie wyjaśniła ponadto, że ojciec Retta, czarujący starszy pan o żelaznej woli i sztywnym karku, wyrzucił go bez grosza z domu, kiedy Rett miał lat dwadzieścia, i wykreślił imię jego z Biblii rodzinnej. Potem Rett powędrował w okresie gorączki złota w 1849 r, do Kalifornii, stamtąd zaś do Ameryki Południowej i Kuby — skąd sprawozdania o jego „działalności” nie były zbyt zachęcające. Awantury z kobietami, kilka pojedynków, przemyt broni dla rewolucjonistów w Ameryce Środkowej i co najgorsze, zawodowa gra w karty, były szczegółami kariery Retta, o których mówiło się w Atlancie.

Mało było w Georgii rodzin, które by nie miały nieszczęścia posiadania jednego przynajmniej krewnego, który przegrał w karty pieniądze, dom, ziemię i niewolników. To jednak było co innego. Mężczyzna mógł zgrać się w karty do nitki i w dalszym ciągu być dżentelmenem, ale karciarz zawodowy był na zawsze wyłączony poza nawias dobrego towarzystwa.

Gdyby nie zmienione z powodu wojny warunki i zasługi Retta dla rządu Konfederacji, nigdy by go nie przyjmowano w Atlancie. Teraz jednak najbardziej nawet twardzi ludzie czuli, że patriotyzm wymaga od nich większej tolerancji. Bardziej sentymentalni skłaniali się do poglądu, że czarna owca rodziny Butlerów nawróciła się i stara się odpokutować swoje grzechy. Panie uważały, że obowiązkiem ich jest ułatwienie mu tego, zwłaszcza że był człowiekiem nieustraszonym. Wszyscy wiedzieli dobrze, że losy Konfederacji zależą w równym stopniu od zręczności statków, przerywających blokadę jankeską, jak od męstwa żołnierzy na froncie. Opowiadano, że kapitan Butler jest jednym z najlepszych pilotów Południa, że jest odważny do szaleństwa i wcale nie ma nerwów. Wychowany w Charlestonie, znał każdy przesmyk, zatoczkę, mieliznę i skały wybrzeży Karoliny, i nie mniej swobodnie poruszał się po wodach koło Wilmingtonu. Nigdy dotąd nie stracił statku ani nie był zmuszony do zatopienia ładunku. Na początku wojny pojawił się niewiadomo skąd, z dostatecznym kapitałem, aby kupić jeden mały szybki stateczek, teraz zaś, gdy na przemyconych towarach zarabiało się po dwieście procent, posiadał już cztery statki. Miał doskonałych pilotów, którym dobrze płacił i którzy potrafili wyślizgiwać się pod osłoną nocy z Charlestonu i Wilmingtonu i wywozić bawełnę do Nassau, Anglii czy Kanady. Przetwórnie bawełny w Anglii stały bezczynnie, robotnicy cierpieli nędzę, więc każdy, komu udało się prześliznąć przez linię jankeskich okrętów, mógł dyktować w Liverpoolu ceny, jakie chciał. Statki Retta miały wyjątkowe szczęście zarówno przy wywożeniu bawełny, jak i przy wwożeniu materiałów wojennych, których Południe tak bardzo potrzebowało. Tak, panie stanowczo uważały, że można wiele przebaczyć i zapomnieć człowiekowi tak odważnemu.

Rett był postacią nawet i zewnętrznie niecodzienną, ludzie oglądali się więc za nim. Hojnie wydawał pieniądze, jeździł na ostrym czarnym ogierze, nosił ubrania najwykwintniej skrojone i uszyte. To wystarczało już, aby go wyróżniać, ponieważ mundury żołnierzy były teraz niechlujne i zniszczone, a odzież ludności cywilnej, nawet najbardziej odświętna, nosiła ślady starannych reperacji i łatań. Scarlett nigdy w swoim życiu nie widziała czegoś podobnie eleganckiego jak spodnie Retta, piaskowe, kraciaste czy w pepitkę. Miał niezwykle piękne kamizelki, zwłaszcza jedną, białą z surowego jedwabiu, haftowaną w maleńkie pączki różane. Nosił ubrania z niedbałą elegancją, jak gdyby nie zdając sobie sprawy z ich wytworności.

Mało która z pań mogła się oprzeć jego wdziękom, gdy starał się jej przypodobać, wreszcie więc nawet i pani Merriweather uległa i zaprosiła go na obiad w niedzielę.

Maybelle Merriweather miała wyjść za swego żuawa podczas najbliższego jego urlopu i płakała gorzko, myśląc o ślubie, ponieważ wymarzyła sobie, że będzie miała białą atłasową suknię ślubną, na Południu zaś nie można było dostać białego atłasu. Nie mogła nawet pożyczyć sobie sukni, ponieważ wszystkie atłasowe ślubne suknie sprzed kilku laty zostały dawno pocięte na sztandary bojowe. Patriotycznie nastrojona pani Merriweather na próżno starała się wyperswadować córce tę zachciankę, na próżno zapewniała, że samodział jest najodpowiedniejszym strojem dla oblubienic Południa. Maybelle chciała atłasu. Gotowa była wyrzec się dla dobra Sprawy szpilek do włosów, guzików, ładnych pantofelków, słodyczy i herbaty, życzyła sobie jednak białej atłasowej sukni.

Rett dowiedziawszy się o tym od Melanii przywiózł z Anglii niezliczone metry lśniącego białego atłasu i welon koronkowy i ofiarował je Maybelle w prezencie ślubnym. Zrobił to w tak elegancki sposób, że nie można było nawet pomyśleć o zapłacie. Maybelle zaś tak się uradowała, że chciała go pocałować. Pani Merriweather wiedziała, że przyjęcie tak kosztownego podarunku — w dodatku z ubrania — było wysoce niewłaściwe, nie mogła jednak odmówić, gdy Rett oświadczył najbardziej kwiecistym swoim stylem, że żaden materiał nie jest zbyt piękny, by okrywać ciało narzeczonej dzielnego bohatera Konfederacji. Nolens volens więc pani Merriweather zaprosiła go na obiad, sądząc w głębi duszy, że wyróżnienie to jest więcej niż dostatecznym rewanżem za podarunek.

Rett nie dość na tym, że przywiózł atłas, potrafił jeszcze doradzić Maybelle, jak ma uszyć suknię ślubną. W owym sezonie noszono w Paryżu szersze krynoliny i krótsze spódnice. Falbany były już niemodne, natomiast doły spódnic wycinane były w zęby, spod których wyglądały lamowane haleczki. Dodał także, że na ulicach nie widywał pantalonów, z czego wnosi, że są już chyba passe. Pani Merriweather zwierzyła się potem pani Elsing, iż bała się, że Rett zachęcony do kontynuowania rozmowy powiedziałby jej dokładnie, jakiego rodzaju majteczki noszą paryżanki.

Gdyby Rett nie był tak zdecydowanie męski, ta zdolność do pamiętania szczegółów sukien, kapeluszy i fryzur wyrobiłaby mu opinię człowieka zniewieściałego. Panie czuły się dość nieswojo, zasypując go pytaniami o modzie, nie omieszkały jednak tego robić. Były tak odcięte od świata mody jak rozbitkowie na morzu, bo z powodu blokady o żurnale było niezmiernie trudno. Tak słabe miały wyobrażenie o wszystkim, co dzieje się na świecie, że pamięć Retta do falbanek stanowiła dla nich znakomitą namiastkę „Żurnalu Godeya”. Rett potrafił obserwować szczegóły bardzo ważne dla kobiet, po każdym więc powrocie z zagranicy można go było widzieć otoczonego wieńcem pań, którym opowiadał, że czepki nosi się w tym roku mniejsze i prawie na czubku głowy, że przybiera się je piórami, a nie kwiatami, że cesarzowa Francji zmieniła uczesanie balowe i zamiast koka nosi włosy zaczesane do góry i odsłaniające uszy, że suknie balowe są znowu tego roku niesłychanie głęboko wycięte.

Przez kilka miesięcy Rett był najbardziej popularnym i romantycznym człowiekiem w mieście, mimo swojej dawnej złej reputacji, mimo niejasnych pogłosek, że zajmuje się nie tylko przemytem przez blokadę, ale i spekulacją na artykułach żywnościowych. Ludzie, którzy go nie lubili, mawiali, że po każdej jego wizycie w Atlancie ceny idą o pięć dolarów w górę. Mimo jednak tych na ucho szeptanych plotek potrafiłby zachować popularność, gdyby mu na niej zależało. Mogło się jednak wydawać, że zakosztowawszy towarzystwa statecznych obywateli i patriotów, zyskawszy ich szacunek i niechętną sympatię, zaczął robić wszystko, co możliwe, aby się im narazić na nowo i dowieść, że postępowanie jego było tylko maskaradą, która przestała go bawić.

Zdawać by się mogło, że darzy bezosobową pogardą wszystkich i wszystko na Południu, szczególnie zaś Konfederację, i że nie stara się tego wcale ukrywać. Uwagi jego na temat Konfederacji sprawiły, że Atlanta zaczęła mu się przyglądać najpierw w zdumieniu, potem chłodno, wreszcie z nietajoną pasją. Zanim skończył się rok 1863, mężczyźni zaczęli mu się kłaniać z wyszukanym chłodem, panie zaś przywoływały córki do swego boku, gdy Rett zjawiał się na zebraniu towarzyskim.

Przyjemność sprawiało mu najwidoczniej nie tylko urażanie szczerego i gorącego patriotyzmu Atlanty, ale i przedstawianie siebie samego w najgorszym świetle. Kiedy życzliwi ludzie chwalili go za odwagę w przemycie przez blokadę, odpowiadał z przesadną uprzejmością, że zawsze boi się niebezpieczeństwa, tak samo jak się go boją żołnierze na froncie. Wszyscy wiedzieli dobrze, że pośród żołnierzy Konfederacji nie ma tchórzów, uważano więc to twierdzenie za wyjątkowo irytujące. O żołnierzach nie mówił inaczej, jak „nasi dzielni chłopcy” lub „nasi szarzy bohaterowie”, lecz takim tonem, że brzmiało to gorzej niż najstraszniejsza zniewaga. Kiedy przedsiębiorcze młode kobiety w nadziei ucięcia flirtu dziękowały mu, że należy do liczby walczących za nie bohaterów, kłaniał się nisko i oświadczał, że nie jest tak wcale, bo byłby gotów robić to samo dla Jankesek, gdyby miał zarabiać równie dużo.

Ze Scarlett Rett stale mówił w ten sposób od czasu pierwszego spotkania na wencie, teraz jednak te drwiny w głosie brzmiały i podczas rozmów z innymi. Gdy chwalono go za usługi składane Konfederacji, odpowiadał niezmiennie, że na blokadzie robi dobre interesy. Gdyby mógł zarabiać tyle samo na dostawach rządowych, mawiał kierując wzrok na ludzi, którzy się tym trudnili, z pewnością zrezygnował by ze względu na niebezpieczeństwa blokady i zajął się dostarczaniem Konfederacji tandetnych materiałów, cukru mieszanego z piaskiem, stęchłej mąki i przegniłej skóry. Na większość jego uwag trudno było znaleźć odpowiedź, co sprawiało, że były tym bardziej nieznośne. Z powodu dostaw dla rządu było już kilka skandali. Listy od żołnierzy z frontu były pełne skarg, że buty zdzierają im się w tydzień, że proch nie chce się zapalać, uprząż rwie się przy mocnym szarpnięciu, mięso jest zepsute, a mąka pełna wołków. Mieszkańcy Atlanty wyobrażali sobie, że ludzie, którzy dostarczają rządowi takich towarów, muszą pochodzić z Alabamy, Wirginii czy Tennessee, nigdy jednak z Georgii. Bo czyż dostawcy z Georgii nie należeli do najlepszych rodzin? Czy to nie oni pierwsi dawali ofiary na fundusze szpitalne i na pomoc dla sierot po żołnierzach? Czyż nie oni najgłośniej śpiewali „Dixie” i najnatarczywiej domagali się, w słowach przynajmniej, krwi Jankesów? Fala wściekłości na spekulantów jeszcze w owym czasie nie wezbrała, słowa więc Retta przyjmowano jako jeden więcej dowód jego złego wychowania.

Nie zadowalał się aluzjami co do sprzedajności ludzi na wysokich urzędach i wątpliwościami co do odwagi żołnierzy na froncie, ale znajdował widoczną przyjemność w narażaniu obywateli miasta na żenujące sytuacje. Nie mógł się powstrzymać od piętnowania przechwałek, hipokryzji i bezkrytycznego patriotyzmu swoich bliźnich, podobnie jak mały chłopiec nie może się powstrzymać od nakłucia balonika szpilką. Demaskował uroczystych głupców, odsłaniał ignorantów i bigotów i robił to w tak subtelny sposób, tak świetnie wyprowadzał swe ofiary w pole pozorami uprzejmości i zainteresowania, że nim się mogły spostrzec, demaskowane były jak puste, nadęte i trochę śmieszne istoty.

Scarlett nawet w okresie, gdy miasto zaczynało tolerować Retta, nie miała co do niego najmniejszych złudzeń. Wiedziała, że wyszukana jego galanteria i kwiecisty styl zabarwione są nutką ironii. Wiedziała, że gra rolę odważnego patrioty dlatego tylko, że go to bawi. Czasami przypominał jej chłopców, z którymi się wychowała, młodych Tarletonów, z ich przedziwną skłonnością do płatania figlów, diabłem podszytych Fontaine’ów, dokuczliwych i psotnych, czy Calvertów, którzy całe noce potrafili spędzać na szukaniu zaczepki. Była jednak między nimi ta różnica, że pod pozorną lekkomyślnością Retta kryła się jakaś złośliwość, złowroga prawie w swojej brutalności.

Mimo że nie miała co do niego złudzeń, wolała go, kiedy odgrywał rolę romantycznego kapitana. Przede wszystkim dlatego, że wówczas jej zażyłość z nim wydawała się bardziej naturalna. Była więc bardzo niezadowolona, gdy przestał się maskować i zaczął się świadomie narażać ludziom w Atlancie. Niezadowolona była, bo uważała to za niemądre, poza tym ostra krytyka osoby Retta odbijała się także i na niej.

Na wieczorze muzycznym, urządzonym przez panią Elsing na rzecz rekonwalescentów, Rett skazał się ostatecznie na ostracyzm. Tego popołudnia dom pani Elsing był po brzegi pełen żołnierzy na urlopie, ozdrowieńców ze szpitali, członków gwardii i milicji, mężatek, wdów i młodych panien. Wszystkie krzesła w domu były zajęte i goście stali nawet na schodach. Wielka kryształowa waza, którą w drzwiach trzymał lokaj pani Elsing, została dwukrotnie wypełniona srebrnymi monetami, które goście składali w ofierze. Już to samo było wielkim osiągnięciem, ponieważ w owym czasie srebrny dolar wart był sześćdziesiąt papierowych. Wszystkie panny o jakich takich uzdolnieniach śpiewały lub grały na fortepianie, żywe obrazy zyskały gorące pochwały i uznanie. Scarlett była bardzo z siebie zadowolona, bo nie tylko odśpiewała z Melanią wzruszający duet „Gdy rosa osiada na kwiatach” i na bis piosenkę murzyńską, lecz także w ostatnim żywym obrazie wyobrażała symbol Konfederacji. Wyglądała bardzo ponętnie. Nosiła drapowaną grecką białą tunikę, przepasaną czerwoną i niebieską szarfą, w jednej ręce trzymała gwiaździsty sztandar, drugą, z szablą Karola, wyciągała do klęczącego przed nią kapitana Ashburna z Alabamy.

Kiedy się żywy obraz skończył, mimo woli poszukała wzroku Retta, aby sprawdzić, czy ocenił należycie jej aparycję. Z uczuciem rozczarowania przekonała się, że zajęty był żywą rozmową z jakimś panem i wcale jej prawdopodobnie nie zauważył. Scarlett mogła wyczytać z twarzy ludzi, którzy otaczali Retta, że byli na niego wściekli i oburzeni.

Skierowała się w jego stronę i w chwili zupełnej ciszy, która zdarza się czasem podczas najbardziej ludnych zgromadzeń, usłyszała, jak Willy Guinan z milicji miejskiej pyta wyraźnie: — Jeżeli pana dobrze rozumiem, twierdzi pan, że Sprawa, dla której oddali życie nasi bohaterowie, nie jest Sprawą świętą?

— A gdyby pana przejechał pociąg, czy uważałby pan także, że śmierć pana uświęca firmę eksploatującą kolej? — zapytał Rett bardzo łagodnie, jak gdyby prosił o udzielenie informacji.

— Panie — rzekł Willy drżącym głosem — gdybyśmy nie znajdowali się pod tym dachem...

— Drżę na samą myśl, co by się mogło zdarzyć — odrzekł Rett — ponieważ odwaga pańska jest powszechnie znana.

Willy zaczerwienił się, a wszystkie rozmowy przycichły. Zapanowało ogólne zakłopotanie. Willy był zdrowy, silny, w wieku poborowym, a dotąd nie był na froncie. Na swoje usprawiedliwienie miał to, że był jedynym synem swojej matki i że ostatecznie ktoś musiał służyć w milicji, która broniła stanu. Kiedy jednak Rett wspomniał o jego odwadze, spośród grupy oficerów rozległy się lekkie chichoty.

„Och, czemuż on nie trzyma języka za zębami! — myślała Scarlett z oburzeniem. — Psuje całą zabawę!”

Czoło doktora Meade nachmurzyło się groźnie.

— Możliwe, że dla pana nie istnieje nic świętego, młody człowieku — rzekł tonem, jakiego zawsze używał w przemowach — wiele jest jednak spraw świętych dla patriotów i patriotek Południa. Oswobodzenie naszego kraju od najeźdźcy jest jedną, prawa Stanów drugą i...

Rett nie wydawał się przejęty, a w głosie jego brzmiała nutka lekkiego znudzenia.

— Wszystkie wojny są święte — rzekł. — Przynajmniej dla tych, którzy zmuszeni są walczyć. Gdyby ludzie, którzy rozpoczynają wojny, nie czynili ich jednocześnie świętymi, komu by się chciało walczyć? Ale niezależnie od tego, jakie podżegające hasła demagogowie rzucają idiotom, którzy walczą, i niezależnie od tego, jak szlachetne cele przypisują wojnom, cel wszystkich wojen jest jeden. Jest nim pieniądz. Wszystkie wojny są w rzeczywistości walką o pieniądze. Tylko że na nieszczęście niewielu ludzi zdaje sobie z tego sprawę. Uszy mają pełne dźwięku trąb i bębnów i pięknych słów mówców pozostających w domu. Czasem hasłem jest „Wybawcie Grób Chrystusa z rąk pogan!”, czasem „Precz z papieżem!”, czasem „Wolność!”, czasem zaś „Bawełna, Niewolnictwo i prawa Stanów!”

„Cóż, na Boga, ma z tym wspólnego papież? — pomyślała Scarlett. — Albo Grób Chrystusa?”

Kiedy jednak skierowała się w stronę rozgorączkowanej grupy mężczyzn, zobaczyła, że Rett kłania się swobodnie i idzie przez tłum ku drzwiom. Rzuciła się za nim, ale pani Elsing przytrzymała ją za spódnicę.

— Niechaj idzie! — rzekła donośnym głosem, który rozległ się głośno po całym pokoju. — Niechaj idzie! Jest zdrajcą, spekulantem! Jest żmiją, którą wyhodowaliśmy na własnej piersi!

Rett stojąc już w hallu z kapeluszem w ręku usłyszał to, bo zresztą było to przeznaczone dla jego uszu, i odwróciwszy się, przez chwilę patrzył na pokój. Potem skierował wzrok wprost na płaską pierś pani Elsing, uśmiechnął się drwiąco i kłaniając się wyszedł.

Pani Merriweather wracała do domu z paniami Hamilton i ledwie rozsiadłszy się w powozie, wybuchła:

— Otóż i masz, Pittypat Hamilton! Teraz powinnaś być zadowolona!

— Z czego? — wykrzyknęła Pitty z przestrachem.

— Z zachowania się tego łajdaka Butlera, którego przyhołubiłaś.

Pittypat zmieszała się, zbyt zgnębiona tym oskarżeniem, aby móc przypomnieć pani Merriweather, że i ona niejeden raz gościła u siebie Retta Butlera. Scarlett i Melania pomyślały o tym od razu, ale wdrożone do grzeczności wobec starszych, nic nie powiedziały. Zamiast tego zaczęły się uważnie przyglądać swoim rękawiczkom.

— Znieważył nas wszystkich i całą Konfederację! — mówiła pani Merriweather, a wielki jej biust falował gwałtownie pod błyszczącą pasmanterią stanika. — Powiedzieć, że walczymy dla pieniędzy! Powiedzieć, że nasi przywódcy nas okłamują! Należałoby go za to uwięzić. Tak, wiem, co mówię. Porozmawiam o tym z doktorem Meade. Gdyby pan Merriweather żył, ho, ho, potrafiłby się nim zająć! A teraz, Pittypat, musisz mnie posłuchać. Nie powinnaś pozwolić, aby ten łotr przestąpił kiedykolwiek próg twego domu!

— Och! — wyszeptała Pitty bezsilnie, z miną taką, jakby była na mękach. Obejrzała się na dwie młode kobiety ze skromnie spuszczonymi oczami, potem z wyrazem nadziei popatrzyła na plecy wuja Piotra. Wiedziała, że łowi każde słowo, miała więc nadzieję, że odwróci się może i weźmie udział w rozmowie, jak mu się to często zdarzało. Miała nadzieję, że powie: — No, panno Dolly, proszę dać pannie Pitty spokój. — Piotr jednak nie ruszał się wcale. Nie lubił Retta Butlera i biedna Pitty wiedziała o tym. Westchnęła więc tylko i powiedziała: — Skoro ty uważasz, Dolly, że...

— Owszem, uważam — odrzekła pani Merriweather stanowczo. — Nie mogę zrozumieć, co ciebie skłoniło do przyjmowania tego człowieka. Po dzisiejszym zajściu żadna szanująca się rodzina nie zechce go widywać. Musisz się zdobyć na odwagę i wymówić mu dom.

Z kolei zwróciła ostre spojrzenie na dziewczęta. — Mam nadzieję, że i wy weźmiecie moje słowa pod uwagę — ciągnęła dalej — bo to w dużej mierze wasza wina, ponieważ byłyście dla niego bardzo uprzejme. Powiedzcie mu grzecznie, ale stanowczo, że nie życzycie sobie jego obecności i nielojalnych słów w waszym domu.

Scarlett pieniła się już, gotowa wierzgnąć jak koń pod dotknięciem obcej ręki. Bała się jednak mówić. Nie mogła się narazić, aby pani Merriweather znowu napisała list do Ellen.

„Ty stara kwoko! — myślała, purpurowa z powstrzymywanej złości. — Jak by to było pięknie, gdybym mogła ci powiedzieć, co sobie myślę o tobie i twojej chęci rządzenia całym światem.

— Nigdy bym w życiu nie przypuszczała, że usłyszę tak straszne słowa o naszej świętej Sprawie — ciągnęła dalej pani Merriweather, płonąca już ogniem oburzenia. — Ktokolwiek uważa, że nasza Sprawa nie jest święta i sprawiedliwa, powinien zawisnąć na pierwszej lepszej gałęzi! Nie życzę sobie, aby któraś z was, dziewczęta, kiedykolwiek z nim mówiła... Na miłość boską, Melu, co się z tobą dzieje?

Mela była blada jak płótno, a oczy jej rozszerzyły się nadmiernie.

— Ja jednak będę z nim mówiła — powiedziała cicho. — Nie będę dla niego niegrzeczna. Nie wymówię mu domu.

Pani Merriweather zaczęła sapać głośno, jakby ją ktoś nagle uderzył. Ciotka Pitty otwarła usta z przerażenia, wuj Piotr zaś odwrócił się na koźle.

„Dlaczego też ja nie zdobyłam się na odwagę, aby jej to powiedzieć? — myślała Scarlett, zazdrosna i zarazem pełna podziwu. — Że też ta mała Mela ma dość siły, aby się sprzeciwić starej Dolly!”

Meli trzęsły się ręce, ale spiesznie ciągnęła dalej, jak gdyby bojąc się, że ją opuści odwaga:

— Nie będę dla niego niegrzeczna z powodu jego poglądów, bo... Nie powinien był może mówić tego na głos, to było nietaktowne, ale... ale Ashley myśli tak samo. Nie mogę zatem wymówić domu człowiekowi, który myśli to samo, co mój mąż. Byłoby to niesprawiedliwe.

Pani Merriweather zaczerpnęła tchu i natarła na Melę.

— Melu Hamilton, nigdy w życiu nie słyszałam podobnego kłamstwa! Nie urodził się jeszcze Wilkes, który by był tchórzem...

— Nie powiedziałam wcale, że Ashley jest tchórzem — rzekła Melania, a w oczach jej pojawiły się błyski. — Powiedziałam, że myśli to samo, co kapitan Butler, tylko wypowiada to innymi słowami. I nie rozgłasza swoich poglądów na zebraniach towarzyskich. Mnie to jednak napisał.

Scarlett starała się sobie przypomnieć, jakie słowa Ashleya mogą uprawniać Melę do takiej opinii, treść jednak listów, które ukradkiem czytała, wylatywała jej z głowy z chwilą, gdy kończyła je czytać. Wydawało jej się, że Melania po prostu postradała zmysły.

— Ashley pisał mi, że nie powinniśmy prowadzić wojny z Jankesami. I że namówieni zostaliśmy do tego przez polityków i mówców, gadających głupstwa i utrwalających w nas uprzedzenia — mówiła Mela szybko. — Pisał, że nic w świecie nie wynagrodzi nam tego, co stracimy na wojnie. Pisał, że w wojowaniu nie ma żadnej chwały, lecz tylko nędza i brud.

„Och! To ten list — myślała Scarlett. — Czy Ashley rzeczywiście tak myślał?”

— Nie mogę w to uwierzyć — rzekła pani Merriweather stanowczo. — Nie zrozumiałaś Ashleya.

— Nie zdarza mi się nie rozumieć Ashleya — odrzekła szybko Melania, mimo że wargi jej drżały. — Rozumiem go doskonale. Pisał to samo, co mówił kapitan Butler, tylko w łagodniejszej formie.

— Powinnaś się wstydzić, porównując człowieka pokroju Ashleya Wilkesa z łotrem w rodzaju kapitana Butlera! Przypuszczam zatem, że i ty uważasz, iż Sprawa nasza nic nie znaczy!

— Ja... ja nie wiem, co ja uważam — zaczęła niepewnie Melania, którą opuściła już energia, a zaczął ogarniać strach z powodu swojej szczerości. — Ja... oddałabym życie dla Sprawy, tak samo jak Ashley. Ale... ale... uważam, że należy tego rodzaju kwestie pozostawiać mężczyznom, którzy są od nas mądrzejsi.

— Nigdy w życiu nic podobnego nie słyszałam — parsknęła pani Merriweather. — Stań, wuju Piotrze, minąłeś mój dom!

Wuj Piotr, wsłuchany w rozmowę za plecami, rzeczywiście minął dom pani Merriweather, zawrócił więc konia. Pani Merriweather wysiadła, a wstążki jej kapelusza chwiały się jak żagle na wietrze.

— Jeszcze tego pożałujecie — powiedziała.

Wuj Piotr zaciął konia.

— Młoda pani powinna się wstydzić, że doprowadziła pannę Pitty do takiego stanu — zaczął łajać.

— Nie jestem w żadnym stanie — odparła niespodzianie Pitty, którą mniejsze wzruszenia doprowadzały często do zemdleń. — Melu, kochanie, wiem, że zrobiłaś to wyłącznie dla mnie. Jestem zadowolona, że ktoś tę Dolly trochę ukrócił. Ona już za bardzo lubi się panoszyć. Że też zdobyłaś się na taką odwagę! Zdaje mi się jednak, że nie powinnaś była powiedzieć tego o Ashley’u.

— Ależ to prawda — odrzekła Mela i zaczęła cichutko płakać. — I nie wstydzę się wcale, że on tak myśli. Uważa, że wojna jest zła, ale mimo to chce za Sprawę walczyć i umrzeć, a to wymaga przecież znacznie większej odwagi, niż gdyby ją uważał za słuszną.

— Na Boga, panno Melu, niech panienka nie płacze na środku miasta — jęknął wuj Piotr ruszając z kopyta. — Ludzie zaczną mówić straszne rzeczy. Niech panienka poczeka, aż dojedziemy do domu.

Scarlett nic nie powiedziała. Nie uścisnęła nawet dłoni, która Mela wsunęła w jej dłoń. Czytała listy Ashleya tylko w jednym celu — aby dowiedzieć się, czy Ashley kocha ją jeszcze. Teraz Melania nadała inne znaczenie tym ustępom jego listów, po których oczy Scarlett ledwie się prześliznęły. Dotknęło ją, że ktoś tak doskonały jak Ashley może myśleć to samo, co człowiek pokroju Retta Butlera. Myślała więc: „Obaj znają prawdę o tej wojnie, z tą różnicą, że Ashley gotów jest umrzeć dla Sprawy, a Rett nie. Dowodziłoby to w takim razie większego rozsądku Retta. — Na chwilę przeraziła się, że pomyślała coś podobnego o Ashleyu. — Obaj znają tę samą nieprzyjemną prawdę, ale Rett nie boi się spojrzeć jej w oczy i drażnić ludzi mówieniem o niej, a Ashley ledwie sam może unieść jej ciężar”.

## ROZDZIAŁ XIII

Za namową rozjuszonej pani Merriweather doktor Meade zaczął występować przeciw Rettowi. Napisał list do gazety, w którym wprawdzie nie nazywał Retta po imieniu, ale pozwalał się domyślać, o kogo chodzi. Redaktor, wyczuwając towarzyską doniosłość tego listu, umieścił go na drugiej stronie, co było wielką innowacją, ponieważ pierwsze dwie strony pisma poświęcone były wyłącznie ogłoszeniom o kupnie lub sprzedaży niewolników, mułów i pługów, reklamom trumien, domów do wynajęcia czy na sprzedaż, kuracji na tajemne choroby, środków na poronienia i lekarstw na niemoc męską.

List doktora był pierwszym głosem w chórze oburzenia, jakie wzbierać zaczęło na całym Południu przeciw spekulantom, paskarzom i dostawcom rządowym. Stosunki w Wilmingtonie, głównym porcie, przez który szedł przemyt po zamknięciu portu w Charlestonie blokadą Jankesów, osiągnęły rozmiary jawnego skandalu. Spekulanci tłumnie przybywali do Wilmingtonu i mając pod dostatkiem gotówki skupywali ładunki towarów i przetrzymywali je do czasu zwyżki cen. Zwyżka następowała nieuchronnie, ponieważ z powodu braku artykułów pierwszej potrzeby ceny skakały z miesiąca na miesiąc. Ludność cywilna musiała się obywać bez wielu rzeczy albo kupować je po wyśrubowanych cenach, biedota zaś i klasa średniozamożna cierpiała coraz większy niedostatek. Zwyżka cen spowodowała obniżenie waluty Konfederacji, ludzi ogarnęła nieopisana żądza zbytków. Ci, którzy uprawiali przemyt przez blokadę, mieli pozwolenie na przywóz artykułów pierwszej potrzeby, a handlem przedmiotami luksusowymi mogli zajmować się tylko ubocznie, teraz jednak statki ich wypełnione były właśnie tymi towarami z prawie całkowitym pominięciem towarów, których Konfederacja gwałtownie potrzebowała. Wszyscy gorączkowo kupowali te zbytki z obawy, że ceny będą z każdym dniem wyższe, a wartość pieniądza spadnie.

Na domiar złego z Wilmingtonu do Richmondu prowadziła tylko jedna linia kolejowa i podczas gdy tysiące worków mąki i skrzynek psuło się i gniło na stacjach, czekając dostawy do miejsca przeznaczenia, spekulanci, sprzedający wino, taftę czy kawę, zawsze potrafili dostarczyć te towary do Richmondu w dwa dni po wyładowaniu ich w Wilmingtonie.

Pogłoski, które dotąd kursowały po cichu, zaczęto powtarzać na głos: że mianowicie Rett Butler nie tylko zajmuje się przemytem przez blokadę i ładunki swoich czterech statków sprzedaje po wyśrubowanych cenach, ale że skupuje ładunki innych dostawców i spekuluje na ogólną zwyżkę cen. Mówiono, że stoi na czele spółki posiadającej ponad milion dolarów kapitału, która obrała sobie siedzibę w Wilmingtonie i w porcie skupuje towary przemycone przez blokadę. Spółka miała rzekomo liczne składy w tym mieście i w Richmondzie, pełne artykułów spożywczych i odzieży przeznaczonych na spekulację. Zarówno żołnierze, jak i ludność cywilna mocno już odczuwali niedostatek, oburzenie więc na Butlera i innych spekulantów było olbrzymie.

„Wielu jest odważnych i dzielnych patriotów w antyblokadowym korpusie marynarki konfederackiej — brzmiało zakończenie listu doktora Meade — ludzi pełnych poświęcenia, którzy narażają życie i całe majątki, aby przyjść Konfederacji z pomocą. Nazwiska tych ludzi zapisane są w sercach wszystkich lojalnych południowców i nikomu na myśl nie przyszłoby wypominać im te skromne pieniężne wpływy, które mają w zamian za narażanie życia. Są to ludzie czystych rąk, których czcimy wysoko. Nie o nich oczywiście mówię.

Są jednak jeszcze i inni, łajdacy, podszywający się pod maskę bohaterów dla pokrycia własnych samolubnych korzyści — na nich to właśnie, na te sępy w ludzkiej skórze, którzy sprowadzają atłasy i koronki, gdy żołnierze umierają z braku chininy, którzy ładują statki z herbatą i winem, gdy nasi bohaterowie wiją się w bólach — na nich powinien spaść gniew i zemsta narodu walczącego za sprawę najbardziej sprawiedliwą. Przeklinam te wampiry, ssące krew serdeczną ludzi idących za Robertem Lee — wampiry, dla których słowo »Sprawa« nic nie znaczy. Jakże łagodni jesteśmy, że tolerujemy pośród nas obecność tych szakali w lakierowanych butach, podczas gdy nasi chłopcy boso idą w bój! Jakże możemy ich cierpieć, ich, ich szampana i pasztety sztrasburskie, gdy żołnierze nasi drżą z zimna przy skąpych polowych ogniskach i żywią się zgniłym boczkiem? Wzywam wszystkich lojalnych konfederatów do napiętnowania tych ludzi!”

Atlanta przeczytała, a ponieważ miejska wyrocznia wydała wyrok, wszyscy lojalni konfederaci na wyścigi starali się piętnować Retta Butlera.

Z domów, w których bywał jesienią roku 1862, otwarty dlań został w r. 1863 tylko dom panny Pittypat; Gdyby zaś nie interwencja Melanii, i tam by go nie przyjmowano. Ciotka Pittypat była zdenerwowana, ilekroć Rett zjawiał się w mieście. Dobrze wiedziała, że przyjaciele jej krytykują ją za to, iż pozwala mu u siebie bywać, nie miała jednak odwagi wymówić mu domu. Ilekroć Rett przyjeżdżał, Pitty mocno zagryzała grube wargi i oświadczała dziewczętom, że spotka go u drzwi i zabroni wejść do salonu. I ilekroć zjawiał się z małą paczuszką w ręku i z gotowym komplementem na temat wdzięku jej i urody, Pitty miękła.

— Nie wiem po prostu, co robić — jęczała. — On patrzy na mnie, a ja... ja boję się śmiertelnie tego, co mógłby zrobić, gdybym mu powiedziała coś niemiłego. On ma przecież tak złą reputację. Jak myślicie, czy mógłby mnie uderzyć... albo... albo... Och, Boże, gdybyż tylko Karolek żył! Scarlett, ty musisz mu powiedzieć, żeby tu więcej nie przychodził... powiedzieć w grzeczny sposób. Ach, Boże! Wydaje mi się, że to ty go zachęcasz do tych wizyt, mimo że całe miasto plotkuje. I co też powie twoja matka, jeżeli się kiedykolwiek o tym dowie? Melu, nie bądź dla niego tak uprzejma. Bądź zimna, oficjalna, może wtedy zrozumie. Och, Melu, jak myślisz, może by dobrze było, gdybym napisała parę słów do Henryka i prosiła go, żeby się rozmówił z kapitanem Butlerem?

— Nie, wcale nie byłoby dobrze — odparła Melania. — Nie mam zamiaru być niegrzeczna dla kapitana. Uważam, że ludzie bezmyślnie robią ten hałas dokoła jego osoby. Pewna jestem, że kapitan wcale nie popełnia tych wszystkich brzydkich rzeczy, które mu przypisują doktor Meade i pani Merriweather. Z pewnością nie spekulowałby na cenach żywności wiedząc, że ludzie cierpią głód. Jak to, przecież dał mi nawet sto dolarów dla sierot! Pewna jestem, że jest tak samo lojalnym patriotą jak każdy z nas, tylko jest zbyt dumny, aby się bronić przed zarzutami. Wie ciocia przecież, jak uparci potrafią być mężczyźni wyprowadzeni z równowagi.

Ciotka Pitty niewiele wiedziała o mężczyznach, zarówno wyprowadzonych z równowagi, jak i innych — załamywała więc tylko bezradnie swoje tłuste rączki. Jeżeli chodzi o Scarlett, to zdążyła się już przyzwyczaić do tego, że Mela miała zwyczaj dopatrywania się zalet w każdym człowieku. Melania była głupia, ale na to nie można było nic poradzić.

Scarlett wiedziała, że Rett wcale nie jest patriotą, i mimo że nawet na mękach nie przyznałaby się do tego, nie obchodziło to jej wcale. Małe prezenty, które przywoził jej z Nassau, drobnostki, które damie wypadało przyjmować od obcego mężczyzny, interesowały ją nade wszystko. Wobec niemożliwie wyśrubowanych cen jakżeby mogła sobie pozwolić na igły, słodycze czy szpilki do włosów, gdyby mu wymówiła dom? Nie, łatwiej było przerzucić odpowiedzialność na ciotkę Pitty, która była ostatecznie głową domu, opiekunką i wyrocznią w sprawach tego, co wypada. Scarlett wiedziała, że na mieście plotkują z powodu wizyt Retta w ich domu i że obgadują także i ją; wiedziała jednak i o tym, że w opinii Atlanty Melania Wilkes nie jest zdolna do niestosownych postępków, dopóki więc Melania broniła Retta, wizyty jego miały pozory przyzwoitości.

Życie jednakże byłoby dla Scarlett znacznie przyjemniejsze, gdyby Rett mógł odwołać swoją herezję. Nie musiałaby być wtedy narażona na przykrość asystowania podczas czynionych mu na ulicy, nawet w jej towarzystwie, afrontów.

— Po co wypowiada pan głośno takie rzeczy, nawet jeżeli je pan myśli? — złościła się. — Gdyby pan myślał sobie, co się panu podoba, ale trzymał język za zębami, wszystko ułożyłoby się znacznie lepiej.

— To zdaje się jest pani system, prawda, moja zielonooka hipokrytko? Ach, Scarlett, Scarlett! Spodziewałem się po pani większej odwagi w postępowaniu. Wyobrażałem sobie, że Irlandczycy mówią to, co myślą, i gwiżdżą na resztę. Niech mi pani wyzna, czy nie wydaje się pani niekiedy, że pęka pani pod naporem wypowiedzianych słów?

— Tak... właściwie tak — wyznała Scarlett niechętnie. — Bardzo mnie nudzi to wieczne gadanie o Sprawie, rano, w południe i wieczór. Ale na miłość boską, gdybym przyznała się do tego, nikt by ze mną nie rozmawiał i żaden z chłopców nie zaprosiłby mnie do tańca!

— Ach, rozumie się, a tańczyć przecież trzeba, obowiązkowo! A zatem przyznaję, że bardzo podziwiam pani opanowanie, ale sam nie potrafiłbym się zdobyć na nic podobnego. Nie mogę też drapować się w togę romantycznego patriotyzmu, choćby mi w niej bardzo było do twarzy. Dość mamy niemądrych patriotów, którzy kładą w blokadę wszystkie swoje pieniądze i po wojnie zostaną bez grosza. Mnie wcale nie zależy ani na znalezieniu się w ich towarzystwie, ani na uświetnianiu szeregów patriotów, ani na powiększaniu liczby osób podupadłych. Niechaj mają aureolę świętości dokoła swoich głów. Zasługują na nią — w tej chwili jestem szczery — co więcej zaś, aureola będzie jedyną rzeczą, która im za rok pozostanie w majątku.

— To brzydko z pana strony, że wspomina pan o takich rzeczach wiedząc bardzo dobrze, iż Francja i Anglia opowiedzą się lada chwila po naszej stronie i...

— Ależ Scarlett! Pani chyba czytała gazetę?! Dziwię się pani bardzo. Niech pani tego nigdy więcej nie robi. To źle działa na mózgi kobiece. Dla pani jednak wiadomości mogę powiedzieć, co następuje, ponieważ byłem w Anglii przed miesiącem: Anglia nigdy nie przyjdzie z pomocą Konfederacji. Anglia nie ma zwyczaju stawiać na przegraną kartę. Dlatego właśnie jest Anglią. Ponadto zaś tłusta Holenderka, która tam siedzi na tronie, jest osobą bogobojną i potępia niewolnictwo. Niechaj angielscy robotnicy zdychają z głodu dlatego, że nie możemy dostarczać Anglii bawełny, ale nigdy, przenigdy nie poprze się handlarzy niewolnikami! Jeżeli zaś chodzi o Francję, to siedzący tam na tronie słaby naśladowca Napoleona zbyt zajęty jest utrwalaniem władzy francuskiej w Meksyku, aby się zajmować nami. Przeciwnie, nawet bardzo jest z tej wojny zadowolony, bo dzięki niej nie możemy wojsk jego wyprzeć z Meksyku... Nie, Scarlett, wiara, że otrzymamy poparcie z zagranicy, jest wymysłem gazet, które starają się podtrzymać ducha w południowcach. Konfederacja jest skazana na zagładę. Teraz już żyje podobnie jak wielbłąd, z zapasów swego garbu, a jak wiadomo, zawartość nawet największych garbów nie jest niewyczerpana. Ja mam zamiar jeszcze przez sześć miesięcy prowadzić przemyt przez blokadę, a potem to rzucam. Potem będzie to zbyt ryzykowne. Wtedy sprzedam swoje statki jakiemuś postrzelonemu Anglikowi, któremu będzie się wydawało, że potrafi je przeprowadzić przez blokadę. Tak czy inaczej, nie przejmuję się tym zbytnio. Mam już dość pieniędzy, ulokowanych w angielskich bankach i w złocie. Nie dla mnie bezwartościowe papierzyska.

Słowa jego, jak zwykle, brzmiały bardzo rozsądnie. Mimo że inni ludzie nazwaliby te jego oświadczenia zdradą, Scarlett wydawały się pełne zdrowego rozsądku i prawdy. Jednocześnie wiedziała, że nie powinna tak myśleć, że powinna była oburzać się i wściekać. Ponieważ zaś tak nie było, mogła udawać, że tak jest. Czuła, że wtedy będzie bardziej godna szacunku i bardziej dystyngowana.

— Uważam, że wszystko, co doktor Meade napisał o panu, jest świętą prawdą, panie kapitanie. Jedynym sposobem odkupienia pańskich przewin byłoby zaciągnięcie się do wojska po sprzedaniu statków. Był pan w szkole w West Point i...

— Mówi pani jak kaznodzieja, który namawia do zaciągania się w szeregi. A dajmy na to, że wcale nie chcę się zrehabilitować? Czemu miałbym walczyć o zachowanie porządku, który mnie potępił? Bardzo mi będzie przyjemnie, kiedy ten porządek runie.

— Nic nie wiem o żadnym porządku — rzekła niechętnie.

— Nie? A przecież tkwi w nim pani, jak i ja tkwiłem, choć gotów bym się założyć, że tak samo go pani nie cierpi jak ja. Czy wie pani, dlaczego stałem się parszywą owcą rodziny Butlerów? Dla tej jedynej i ważnej przyczyny, że nie umiałem przystosować się do Charlestonu i nie mogłem. Charleston zaś to symbol Południa. Nie wiem, czy zdaje sobie pani sprawę, jaka to nuda. Tyle rzeczy należy robić, dlatego że robiło się je zawsze. Tylu rzeczy zupełnie niewinnych nie wolno robić z tej samej przyczyny. Tyle było spraw, których bezsens mnie raził. To, że nie ożeniłem się z ową młodą damą, o której pani zapewne słyszała, dopełniło miary. Czemuż jednak miałem się żenić z nudną idiotką, której na skutek wypadku nie mogłem odprowadzić do domu przed zmierzchem? I dlaczego miałem dopuścić do tego, aby jej brat, szaleniec, strzelał do mnie i trafił, kiedy umiałem strzelać celniej od niego? Gdybym był dżentelmenem, rozumie się, że pozwoliłbym się zastrzelić w pojedynku, i to zmazałoby plamę z herbu Butlerów. Ja jednak... wolałem żyć. Żyję więc dotąd i bardzo się dobrze bawię... Gdy myślę o moim bracie, żyjącym wśród świętych krów Charlestonu i oddającym im pokłony, kiedy przypominam sobie jego opasłą żonę, jego wieczorki pod wezwaniem świętej Cecylii i odwieczne pola ryżowe, odczuwam wielką przyjemność, że zerwałem z tym porządkiem. Scarlett, nasz południowy sposób życia jest tak przestarzały jak feudalny ustrój średniowiecza. Dziwić się tylko należy, że przetrwał tak długo. Musiał przeminąć, i właśnie teraz mija. A pani chce, abym słuchał mówców pokroju doktora Meade, którzy wmawiają we mnie, że nasza sprawa jest święta i sprawiedliwa? Chce pani, abym tak się podniecił waleniem w bęben, by schwycić muszkiet, popędzić do Wirginii i przelewać krew za Marse’a Roberta? Czy myśli pani, że jestem doprawdy aż tak głupi? Całowanie ręki, która mnie karci, to nie moja specjalność. Teraz wyrównuję swoje porachunki z Południem. Południe skazało mnie kiedyś na zagładę. Nie umarłem z głodu, teraz zaś dość zarabiam na przedśmiertnych drgawkach tego kraju, aby tym sobie powetować swoje stracone dziedzictwo.

— Uważam, że jest pan nikczemny i wyrachowany — rzekła Scarlett bez wielkiego przekonania. Wszystko, co Rett mówił, wchodziło jej w jedno ucho, a wychodziło drugim, jak każda rozmowa, która nie dotyczyła jej samej. Jakaś cząstka trafiła jej jednak do przekonania. Rzeczywiście — tyle było głupich zwyczajów rządzących życiem porządnych ludzi. Na przykład ona sama miała udawać, że serce jej jest w grobie, kiedy wcale tak nie było. I jak też się wszyscy gorszyli, że tańczyła na wencie! I jak wszyscy podnosili z oburzeniem brwi, gdy zrobiła coś czy powiedziała, co różniło się odrobinę od słów czy postępków innych młodych kobiet. Mimo to jednak była zła, że Rett atakuje te właśnie tradycje, które i ją bardzo drażniły. Zbyt długo żyła w otoczeniu ludzi, którzy uznawali obłudę za znak dobrego wychowania, aby nie poczuć zmieszania, gdy własne jej myśli obleczone zostały w słowa.

— Wyrachowany? Nie, patrzę tylko dalej niż inni. Może być zresztą, że jest to synonim sprzedajności. W każdym bądź razie tak będą uważali ludzie, którzy nie widzą jeszcze tego, co ja widzę. Każdy lojalny konfederat, który w roku 1861 miał w majątku tysiąc dolarów gotówką, mógł zrobić to samo, co ja, jakże jednak niewielu było dość praktycznych, aby wykorzystać swoje możliwości! Tak, na przykład, zaraz po upadku Fortu Sumtera, zanim ustanowiono blokadę, kupiłem za psie pieniądze kilka tysięcy bel bawełny i przewiozłem ją do Anglii. Dotąd leży w składzie w Liverpoolu. Jeszcze jej nie sprzedałem. Trzymam ją do czasu, gdy fabryki angielskie będą musiały mieć bawełnę i zapłacą mi za nią taką cenę, jaką im podyktuję. Nie będę zdziwiony, jeżeli dostanę dolara za funt.

— Dostanie pan dolara za funt bawełny, kiedy słonie zaczną się gnieździć na drzewach!

— Pewien jestem, że dostanę. Bawełna kosztuje już teraz siedemdziesiąt dwa centy za funt. Będę bogatym człowiekiem, gdy skończy się wojna, Scarlett, bo byłem dalekowzroczny... przepraszam, wyrachowany. Powiedziałem pani kiedyś, że są dwa momenty sprzyjające robieniu dużych majątków, jeden, gdy się kraj buduje, drugi — gdy się rozpada w gruzy. Na budowie zarabia się powoli, na zniszczeniu prędko. Niech sobie pani zapamięta moje słowa. Kiedyś może przydadzą się pani.

— Bardzo wysoko cenię sobie dobre rady — rzekła Scarlett z najwyższą ironią, na jaką ją było stać. — Nie potrzebuję jednak rad. Czy przypuszcza pan, że ojciec mój jest biedakiem? Mam dość pieniędzy, aby zaspokoić wszystkie moje potrzeby, poza tym odziedziczyłam majątek po Karolu.

— Mam wrażenie, że francuscy arystokraci myśleli to samo jeszcze w chwili, gdy wózkami wieziono ich na szafot...

Rett często podkreślał w rozmowach ze Scarlett sprzeczność zachodzącą między faktem, że nie zdjęła żałoby, a tym, że bierze udział we wszystkich imprezach towarzyskich. Lubił jasne kolory, a więc żałobne suknie Scarlett i długi welon, spływający od kapelusza do samych jej stóp, raziły go i bawiły. Ona jednak uparcie trzymała się swej ponurej czerni wiedząc, że gdyby przed upływem wielu lat zaczęła nosić inne kolory, miasto szemrałoby głośniej jeszcze niż dotychczas. Ponadto zaś, jakby to wytłumaczyła swojej matce?

Rett wyraźnie twierdził, że welon nadaje Scarlett wygląd wrony, a czarne suknie postarzają ją o dziesięć lat. Nieuprzejme te oświadczenia sprawiały, że biegła do lustra sprawdzać, czy rzeczywiście wygląda na lat dwadzieścia osiem.

— Sądziłem, że ma pani inne ambicje, niż stać się podobną do pani Merriweather — szydził. — I lepszy gust, niż paradować w tym welonie na widomy znak żalu, którego pani nigdy zapewne nie czuła. Chciałbym się z panią założyć, że za dwa miesiące zrzuci pani ten obrzydliwy kapelusz z welonem, a włoży ostatni model z Paryża.

— Skądże znowu? Proszę mi więcej o tym nie wspominać — rzekła Scarlett, nieprzyjemnie dotknięta jego aluzją. Rett, który właśnie wybierał się znowu do Wilmingtonu, a stamtąd za granicę, pożegnał ją ze śmiechem.

Pewnego pięknego letniego ranka w kilka tygodni później znowu się zjawił, trzymając w ręku oklejone barwnym papierem pudełko do kapeluszy. Przekonawszy się, że Scarlett jest sama w domu, otworzył je od razu. Owinięty w arkusz bibułki, leżał tam kapelusik — model, na którego widok wykrzyknęła: „Och, jakież to cudo!” i wyciągnęła instynktownie rękę. Odzwyczajonej od widoku nowych rzeczy, czepek ten wydał się najpiękniejszym kapeluszem, jaki kiedykolwiek widziała. Był z ciemnozielonej tafty, podbity jasnozielonym surowym jedwabiem. Wstążki do zawiązania pod brodę były szerokie na dłoń i także jasnozielone. Dokoła zaś ronda tego cudeńka wiło się fryzowane strusie pióro.

— Niech pani go zmierzy — rzekł Rett uśmiechając się do Scarlett.

Przebiegła przez pokój w stronę lustra, włożyła kapelusz, odgarniając włosy z uszu, aby widać było jej kolczyki, i zawiązała wstążki pod brodą.

— Jak mi w nim jest? — zapytała odwracając się do Retta i tak potrząsając głową, aby pióro chwiało się dumnie. Wiedziała jednak, że wygląda ślicznie, zanim ujrzała potwierdzenie tego w jego oczach. Wyglądała prowokująco, a zielona podszewka kapelusza znakomicie podkreślała szmaragdową zieleń jej oczu.

— Ach, panie Retcie, czyj to jest kapelusz? Kupię go w tej chwili. Dam panu za niego wszystko, co mam w majątku.

— To jest pani kapelusz — odparł. — Któż inny mógłby nosić ten odcień zielonego? Czy nie uważa pani, że znakomicie zapisałem sobie w pamięci kolor pani oczu?

— Czy pan rzeczywiście kupił go dla mnie?

— Tak, na pudełku zaś jest adres „Rue de la Paix”, jeżeli to pani mówi cośkolwiek.

Nie mówiło jej to nic, tym bardziej że zajęta była uśmiechaniem się do swego odbicia w lustrze. W tej chwili nic ją nie obchodziło ponad to, że wyglądała ślicznie, w pierwszym modnym kapeluszu, jaki miała na sobie od dwóch lat. Jakichże podbojów dokona w takim kapeluszu] Nagle jednak uśmiech zamarł na jej twarzy.

— Co się stało? Czy czepek przestał się już pani podobać?

— Och, nie, jest cudny, ale... Ach, Boże, jak mi szkoda zakryć krepą ten piękny zielony kolor i pofarbować pióro na czarno.

Szybko podszedł do niej i zwinnymi palcami odwiązał jej kokardę pod brodą. W jednej chwili kapelusz znalazł się z powrotem w pudełku.

— Co pan wyrabia? Powiedział pan przecież, że kapelusz jest dla mnie?

— Ale nie po to go pani przywoziłem, aby go pani przefarbowała na żałobny czaprak. Łatwo znajdę inną damę o zielonych oczach, która lepiej oceni mój gust.

— Och, tego pan nie zrobi! Umrę, jeżeli go nie będę miała. Ach, proszę pana, niech pan nie będzie wstrętny! Proszę mi go zostawić.

— Po to, aby go pani przerabiała na paskudztwo takie jak inne pani kapelusze? Nie.

Odebrała mu pudełko. Czy może dopuścić, aby to marzenie, w którym wyglądała tak młodo i rozkosznie, przeszło w ręce innej kobiety? Och, nigdy! Przez chwilę wyobrażała sobie zgorszenie Pitty i Melanii. Pomyślała o tym, co powie Ellen, i zadrżała. Próżność zwyciężyła jednak.

— Nie przerobię go. Przyrzekam panu. Proszę mi go zostawić.

Podał jej pudełko z lekko drwiącym uśmiechem i przyglądał się jej, gdy znowu włożyła kapelusz i puszyła się przed lustrem.

— Ile on kosztuje? — zapytała zasępiając się nagle. — Mam teraz tylko pięćdziesiąt dolarów, ale w przyszłym miesiącu...

— W walucie Konfederacji powinien kosztować około dwóch tysięcy dolarów — odrzekł Rett uśmiechając się na widok jej przerażenia.

— Boże święty... No, a gdybym dała panu pięćdziesiąt dolarów teraz, a resztę, gdy dostanę...

— Nie chcę od pani pieniędzy — rzekł. — Przywiozłem pani kapelusz w prezencie.

Scarlett aż otworzyła usta ze zdumienia. W dziedzinie podarków od mężczyzn granica tego, co wypada, wytyczona była bardzo wyraźnie.

— Słodycze i kwiaty, kochanie — powtarzała jej często Ellen — i ewentualnie tomik poezji, album lub mała flaszeczka perfum to jedyne rzeczy, jakie dama może przyjąć od znajomego pana. Nigdy, w żadnym wypadku, nie należy przyjmować kosztownych podarunków, nawet od narzeczonego. Szczególnie zaś biżuterii, przedmiotów osobistego użytku, nawet rękawiczek i chusteczek do nosa. Gdybyś zaczęła przyjmować jakieś prezenty, panowie domyśliliby się od razu, że nie jesteś prawdziwą damą i byliby w stosunku do ciebie zbyt śmiali.

„Och, Boże — pomyślała Scarlett patrząc najpierw na swoje odbicie w lustrze, potem na nieprzeniknioną twarz Retta. — Nie mogę mu przecież powiedzieć, że nie przyjmę tego kapelusza. Na to jest za ładny. Wolałabym... wolałabym już nawet, żeby się na coś ośmielił, oczywiście na coś bardzo małego...” — Potem zawstydziła się na tę myśl i zarumieniła po uszy.

— Ja... Ja dam panu te pięćdziesiąt dolarów...

— Jeżeli pani to zrobi, wyrzucę je na śmietnik. Albo lepiej jeszcze, kupię mszę na intencję zbawienia pani duszy. Pewien jestem, że to dobrze pani zrobi.

Roześmiała się wbrew woli i na widok lustrzanego odbicia uśmiechniętej twarzy, ocienionej zielonym kapeluszem, zdecydowała się momentalnie.

— A jakie ma pan wobec mnie zamiary?

— Będę kusił panią prezentami dopóty, aż dziewczęce pani ideały prysną zupełnie i zdana pani zostanie na moją łaskę lub niełaskę — powiedział. — Przyjmuj najwyżej słodycze i kwiaty od panów, kochanie — zaczął przedrzeźniać, Scarlett wybuchła więc śmiechem.

— Jest pan mądrym nicponiem o czarnym charakterze, panie Retcie, bo doskonale pan wie, że kapelusz jest zbyt piękny, abym mogła go nie przyjąć.

W oczach jego malowała się ironia i zachwyt dla jej urody.

— Oczywiście lepiej będzie, jeżeli pani powie pannie Pitty, że dała mi pani próbkę tafty i zielonego jedwabiu i narysowała mi pani fason kapelusza, a ja wyciągnąłem za to od pani pięćdziesiąt dolarów.

— Nie. Powiem, że zapłaciłam sto dolarów, a wtedy ciotka rozpowie o tym na całe miasto, wszyscy będą zieleni z zazdrości i będą sobie nawzajem opowiadali, jaka to ja jestem rozrzutna. Musi mi pan jednak przyrzec, że mi pan już nigdy nic podobnie kosztownego nie przywiezie. Bardzo to ładnie z pana strony, ale naprawdę nie mogłabym przyjąć od pana nic więcej.

— Doprawdy? No, więc oświadczam pani, że będę przywoził pani prezenty, kiedy mi się spodoba, ilekroć zobaczę coś ładnego, co podkreślałoby pani wdzięki. Przywiozę pani ciemnozielony surowy jedwab pod kolor kapelusza. Uprzedzam panią jednak, że jestem wymagający. Kuszę panią kapeluszami i świecidełkami i wreszcie wciągnę w przepaść. Niech pani pamięta, że nigdy nie robię niczego bez powodu i nigdy nie daję niczego za darmo. Zawsze każę sobie za wszystko płacić.

Czarne jego oczy prześliznęły się po jej twarzy i spoczęły na wargach. Scarlett opuściła wzrok, bardzo zmieszana. Rozumie się, że Rett teraz pozwoli sobie na rozmaite rzeczy, jak słusznie przepowiadała Ellen. Pocałuje ją albo będzie się starał pocałować; jedno z dwojga. Jeżeli mu odmówi, może się zdarzyć, że zerwie jej kapelusz z głowy i podaruje go innej dziewczynie. Z drugiej strony, jeżeli pozwoli mu na jeden skromny pocałunek, będzie jej może przywoził inne piękne prezenty w nadziei uzyskania drugiego. Mężczyźni bardzo wielką wagę przywiązują do pocałunków, Bóg jeden wie dlaczego. I bardzo często po jednym pocałunku zakochują się w dziewczynie na zabój i stają się jej niewolnikami, pod warunkiem, rozumie się, że dziewczyna jest mądra i skąpi potem czułości. Byłoby bardzo przyjemnie, gdyby się Rett Butler w niej zakochał, wyznał jej to i żebrał o pocałunek lub uśmiech. Tak, pozwoli mu się pocałować.

On jednak nie uczynił ani kroku w jej kierunku. Rzuciła mu bokiem spojrzenie spod przymkniętych powiek i wyszeptała zachęcająco:

— Więc naprawdę zawsze pan sobie każe płacić? A jakiej zapłaty oczekuje pan ode mnie?

— Nad tym się jeszcze zastanowię.

— No, więc jeżeli się panu zdaje, że wyjdę za pana za mąż z wdzięczności za kapelusz, to się pan myli — rzekła śmiało i tak mocno potrząsnęła głową, że pióro na kapeluszu zachwiało się gwałtownie.

Białe zęby Retta błysnęły pod małym wąsem.

— Madame, pochlebia sobie pani, nie mam zamiaru ożenić się ani z panią, ani żadną inną kobietą. Nie jestem kandydatem do małżeństwa.

— Rzeczywiście? — zawołała stropiona nieco i zdecydowana, że teraz ona z kolei okaże się śmiała. — A ja nie mam zamiaru nawet pana pocałować.

— Dlaczego zatem ściąga pani usta w tak komiczny sposób?

— Och! — zawołała patrząc w lustro i spostrzegając, że czerwone jej wargi rzeczywiście złożyły się jak do pocałunku. — Och! — powtórzyła bardzo zdenerwowana i tupnęła nogą. — Jest pan najwstrętniejszym człowiekiem, jakiego znam, i może mi się pan więcej nie pokazywać na oczy.

— Gdyby pani tak rzeczywiście myślała, podeptałaby pani kapelusz. Ach, ach, jakże pani jest zła i jak pani z tym do twarzy! No, Scarlett, szybko, niech pani podepcze kapelusz, aby mnie przekonać, co sobie pani myśli o mnie i o moich prezentach.

— Niech pan nie śmie dotykać mego kapelusza — powiedziała przytrzymując go rękami na głowie i odsuwając się trochę. Rett podszedł do niej śmiejąc się cicho i wziął obie jej ręce w swoje.

— Och, Scarlett, taka jest pani młoda, że aż ręce opadają — powiedział. — Pocałuję panią zatem, ponieważ zdaje się pani na to czekać — i pochylając się niedbale, musnął wąsami jej policzek. — No, a teraz, czy nie uważa pani za stosowne uderzyć mnie w twarz, aby stało się zadość zwyczajom?

Z obrażoną miną spojrzała mu w oczy i wyczytała w ich ciemnej głębi tyle wesołości, że wybuchła śmiechem. Doprawdy trudno było dać sobie z nim radę. Jeżeli nie chciał się z nią ożenić ani jej nawet pocałować, to czego właściwie chciał? Jeżeli nie był w niej zakochany, to dlaczego przychodził tak często i przywoził jej prezenty?

— Tak jest lepiej — rzekł. — Scarlett, wywieram zły wpływ na panią i jeżeli ma pani choć trochę rozumu, powinna się mnie pani jak najszybciej pozbyć, o ile pani potrafi. Jestem bowiem bardzo natrętny. Ale to fakt, że źle na panią działam.

— Czy rzeczywiście?

— Czy sama pani tego nie widzi? Od dnia, gdy spotkałem panią na wencie, postępki pani zaczęły się stawać skandaliczne, i to dzięki mnie. Kto panią namówił, aby pani zaczęła tańczyć? Kto zmusił do przyznania się, że nie uważa pani, iż nasza święta Sprawa jest święta i sławna? Kto wpoił w panią przekonanie, że mężczyźni, którzy umierają za wzniosłe prawdy, są głupcami? Kto namawia panią do zrzucenia żałoby o wiele lat wcześniej? I wreszcie, kto skusił panią do przyjęcia prezentu, którego nie powinna przyjąć żadna dama, dbająca o swoją opinię?

— Pochlebia pan sobie, łaskawy panie kapitanie. Nigdy nie popełniłam nic tak bardzo skandalicznego i byłabym to wszystko zrobiła i bez pańskiej pomocy.

— Wątpię o tym — powiedział i stał się nagle poważny i smutny. — Byłaby pani jeszcze dotąd bolejącą wdową po Karolu Hamiltonie, sławioną za dobre uczynki w stosunku do rannych. Z czasem jednak może...

Scarlett już nie słuchała, ponieważ znowu przeglądała się z zadowoleniem w lustrze myśląc, że zaraz po południu pójdzie w nowym kapeluszu do szpitala i zaniesie kwiaty ozdrowieńcom. Wcale jej na myśl nie przyszło, że w ostatnich słowach Retta było wiele prawdy. Nie zdawała sobie sprawy, że Rett otworzył jej wrota więzienia, jakim było dla niej wdowieństwo, i oswobodził ją, by znowu jak dawniej mogła królować wśród niezamężnych kobiet, mimo że właściwie od dawna winna była prowadzić żywot bogobojnej mężatki. Nie widziała także, że pod jego wpływem daleko odbiegła od nauk Ellen. Zmiany dokonywały się tak stopniowo, że wyzwalanie się spod jednej tradycji zdawało się niemieć związku z naigrywaniem się z innej, to wszystko zaś pozornie nie pozostawało w łączności z Rettem. Nie zdawała sobie sprawy, że za jego namową zaczęła lekceważyć wiele najsurowszych nakazów swojej matki, tyczących tego, co wypada, a co nie, że zaczęła zapominać trudnej sztuki postępowania jak dama.

Wiedziała tylko, że kapelusz jest najbardziej twarzowym, jaki kiedykolwiek miała, że nie kosztuje ją ani grosza i że Rett kocha się w niej prawdopodobnie, jakkolwiek nie chce się do tego przyznać. Postanowiła sobie stanowczo, że zmusi go z czasem do wyznania.

Następnego dnia Scarlett stała z grzebieniem w dłoni przed lustrem, trzymając w ustach szpilki do włosów, i starała się zrobić sobie nową fryzurę, którą Maybelle świeżo wróciwszy z wizyty do Richmond przywiozła jako ostatnią pasję stolicy. Nazywało się to uczesanie „Koty, szczury i myszy” i było bardzo trudne. Włosy należało przedzielić pośrodku i ułożyć w trzy wałki różnej grubości po obu stronach głowy, przy czym najbliższy przedziału wałek zwał się „kotem”. „Kot” i „szczur” dawały się łatwo ułożyć, ale z „myszy” uparcie wypadały szpilki. Mimo to Scarlett postanowiła za wszelką cenę zmienić uczesanie, bo Rett, który miał przyjść na kolację, zawsze spostrzegał i omawiał każdą innowację jej fryzury czy stroju.

Kiedy biedziła się tak ze swymi gęstymi, upartymi lokami” a kropelki potu występowały jej z wysiłku na czoło, usłyszała lekkie kroczki w hallu na dole i domyśliła się, że to Melania wróciła ze szpitala. Słysząc jednak, że wbiega po schodach przesadzając po dwa stopnie, zatrzymała dłoń ze szpilką w powietrzu, zaniepokojona, czy nie stało się co złego, ponieważ Melania poruszała się zwykle dostojnie, jak stara matrona. Rzuciła się do drzwi i otwarła je szeroko. Melania zaś wpadła zarumieniona i przerażona, z miną dziecka, które coś przeskrobało.

Na policzkach jej znaczyły się ślady łez, kapelusz zsunięty był z głowy i wisiał na wstążkach, a krynolina chwiała się gwałtownie. Ściskała coś w ręce, a dokoła niej unosił się zapach ciężkich, tanich perfum. — Och, Scarlett! — zawołała zamykając za sobą drzwi i ciężko siadając na łóżku. — Czy ciocia jest już w domu? Nie ma jej? Och, to Bogu dzięki! Scarlett, tak mi jest przykro, że wolałabym nie żyć! Omal nie zemdlałam, a wuj Piotr jeszcze mi grozi, że wszystko opowie cioci!

— Co opowie cioci?

— Że rozmawiałam z tą... panną... panią... — Melania wachlowała się chusteczką. — No, z tą rudą kobietą, Bellą Watling!

— Ależ Melu! — zawołała Scarlett tak zgorszona, że nie mogła nic więcej powiedzieć.

Bella Watling była tą rudowłosą osobą, którą Scarlett widziała na ulicy w dniu swego przyjazdu do Atlanty, kobietą najbardziej osławioną teraz w mieście. Do Atlanty w ślad za żołnierzami ściągnęło wiele prostytutek, ale Bella wyróżniała się spośród nich zarówno ognistym kolorem włosów, jak i pretensjonalnymi, przesadnie modnymi sukniami. Na ulicy Brzoskwiniowej czy w innych eleganckich dzielnicach zjawiała się rzadko, kiedy się to jednak zdarzało, przyzwoite kobiety szybko przechodziły na drugą stronę, aby ich nie widziano w jej pobliżu. A teraz nagle Melania przyznaje się, że z nią rozmawiała! Nic dziwnego, że wuj Piotr był oburzony.

— Gotowam umrzeć, jeżeli ciocia Pitty dowie się o tym! Wiem, że zacznie płakać i potem opowie o tym wszystkim w mieście, a ja się spalę ze wstydu — płakała Melania. — A ja wcale nie jestem winna. Nie mogłam... nie mogłam przecież od niej uciec. Byłoby to przecież niegrzecznie. Scarlett, było mi jej po prostu... żal. Czy uważasz, że jestem złym człowiekiem, dlatego że tak myślę?

Scarlett jednak mało była zainteresowana etyczną stroną tej sprawy. Podobnie jak większość niewinnych i dobrze wychowanych kobiet niezmiernie była ciekawa życia prostytutek.

— Czego chciała od ciebie? Jak mówi?

— Och, mówiła bardzo niegramatycznie, ale czułam, że biedaczka stara się być bardzo wykwintna. Wychodziłam ze szpitala, a ponieważ wuja Piotra i powozu nie było, pomyślałam sobie, że pójdę pieszo do domu. Kiedy przechodziłam koło domu Emersonów, okazało się, że ona tam stoi za płotem! Och, dzięki Bogu, że Emersonowie są teraz w Macon! Powiedziała: „Bardzo proszę, pani Wilkes, niech mnie pani zechce wysłuchać”. Nie wiem, skąd zna moje nazwisko. Wiedziałam, że powinnam oddalić się jak najszybciej, ale... widzisz, Scarlett, wyglądała trochę smutno i... tak, jak gdyby o coś prosiła. Nosiła czarną suknię i czarny kapelusz, nie była wymalowana i wyglądałaby zupełnie przyzwoicie, gdyby nie te czerwone włosy. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zaczęła: „Wiem, że nie powinnam rozmawiać z panią, starałam się jednak porozumieć z tą starą, napuszoną kwoką, panią Elsing, ale mnie wypędziła ze szpitala”.

— Czy naprawdę nazwała panią Elsing starą kwoką? — zapytała Scarlett radośnie i roześmiała się.

— Och, nie śmiej się, proszę! To wcale nie jest zabawne. Okazuje się, że panna... no, ta kobieta... chciała zrobić coś dla szpitala. Czy wyobrażasz sobie coś podobnego? Zaofiarowała się, że będzie co rano pielęgnowała chorych, rozumie się więc, że pani Elsing mało na tę myśl nie dostała ataku i wyprosiła ją ze szpitala. A potem powiedziała mi: „Ale mimo to chcę pomagać w jakiś sposób. Jestem przecież taką samą dobrą konfederatką jak inne”. Zapewniam cię, Scarlett, że byłam wzruszona tą jej propozycją. Mówię ci, ona nie może być całkiem zła, jeżeli chce coś zrobić dla Sprawy. Czy uważasz, że jestem nieprzyzwoita, bo tak mówię?

— Na miłość boską, Melu, co to ma do rzeczy, czy ty jesteś przyzwoita? A co jeszcze mówiła?

— Mówiła, że czekała na panie idące, ze szpitala. Pomyślała sobie, że ja... że ja mam miłą twarz, więc mnie zatrzymała. Miała trochę pieniędzy, chciała więc, abym je wzięła, dała na szpital i nikomu nie mówiła, skąd pochodzą. Powiedziała, że pani Elsing nie pozwoliłaby tych pieniędzy ruszać, gdyby dowiedziała się, skąd są. Skąd są! Pomyśl. I właśnie wtedy omal nie zemdlałam! Byłam tak zmieszana i tak bardzo chciałam iść sobie, że powiedziałam tylko: „Ach, to bardzo ładnie z pani strony” czy inny jakiś idiotyzm, a ona uśmiechnęła się i odrzekła: „Pani mówi jak chrześcijanka” i wsunęła mi tę brudną chusteczkę do rąk. Uff, czy czujesz ten zapach?

Melania wyciągnęła męską chustkę, zbrudzoną i mocno uperfumowaną, w którą zawiniętych było kilka monet.

— Dziękowała mi i mówiła jeszcze, że co tydzień będzie mi przynosiła pieniądze, aż zajechał wuj Piotr i mnie spostrzegł! — Mela wybuchła płaczem i położyła głowę na poduszce. — A kiedy zobaczył, z kim rozmawiam, Scarlett, krzyknął na mnie! Nikt na mnie nigdy w życiu nie krzyczał. Powiedział: „Proszę mi w tej chwili wsiadać do powozu!” Rozumie się, że wsiadłam, a on przez całą drogę robił mi wymówki, nie pozwolił mi dojść do słowa i obiecywał, że wszystko opowie ciotce Pitty. Scarlett, zejdź na dół i poproś go, aby nic nie mówił! Może ciebie wysłucha. Ciocia się rozchoruje, kiedy się dowie, że spojrzałam tej kobiecie w twarz. Czy zrobisz to dla mnie?

— Tak, zaraz pójdę. Ale zobaczymy najpierw, ile tutaj pieniędzy. Waży ta chustka sporo.

Odwiązała węzełek. Garść złotych monet wysypała się na łóżko.

— Scarlett, aż pięćdziesiąt dolarów! I w dodatku w złocie! — wołała zdumiona Melania licząc błyszczące monety. — Powiedz, jak uważasz, czy powinno się zużyć takie... pieniądze, w ten sposób... zarobione dla naszych chłopców? Mnie się zdaje, że Bóg zrozumie, że ona chciała pomóc, i nie zwróci uwagi, że to pieniądze skalane. Kiedy przypomnę sobie, czego potrzeba nam w szpitalu...

Scarlett jednak nie słuchała jej wcale. Patrzyła na brudną chustkę i pełna była upokorzenia i wściekłości. W rogu chustki był monogram, inicjały „R. K. B.”. W górnej szufladzie jej komody leżała taka sama chustka — chustka pożyczona jej poprzedniego dnia przez Butlera do obwiązania łodyg polnych kwiatów, które razem zrywali. Miała zamiar oddać mu ją wieczorem przy kolacji.

A więc Rett zadawał się z tą wstrętną kreaturą i ofiarowywał jej pieniądze! Stąd pochodziła ofiara na szpital. Złoto zarobione na blokadzie. I pomyśleć tylko, że Rett ma czelność patrzeć przyzwoitej kobiecie w oczy, widując się z taka osobą! I pomyśleć, iż mogło jej się wydawać, że Rett jest w niej zakochany! Teraz wiedziała już, że tak na pewno nie jest.

Kobiety upadłe i wszystko, co ich dotyczyło, było dla Scarlett sprawą tajemniczą i oburzającą. Wiedziała, że mężczyźni bywają u tych kobiet w celach, o których prawdziwa dama nie powinna nawet wspominać — albo jeżeli wspominała, to szeptem, niezbyt wyraźnie i używając dyskretnych omówień. Wydawało jej się zawsze, że tylko zwyczajni, ordynarni mężczyźni odwiedzają takie kobiety. Dotychczas nigdy jej przez myśl nie przeszło, że przyzwoici mężczyźni — to znaczy mężczyźni, których spotykała w dobrych domach i z którymi tańczyła — mogą robić takie rzeczy. Odkrycie to otwierało przed nią zupełnie nowe, przerażające myśli. Może zatem wszyscy mężczyźni robili to samo! Już dość nieprzyjemne było to, że własne żony zmuszali do takich nieprzyzwoitych funkcji, ale żeby jeszcze spotykać się z upadłymi kobietami i płacić im za takie usługi! Och, wszyscy mężczyźni byli podli, a Rett Butler był chyba najgorszy ze wszystkich!

Weźmie tę chustkę i rzuci mu ją w twarz, pokaże mu drzwi i nigdy już, nigdy więcej nie będzie z nim mówiła. Ale nie, nie może czegoś podobnego zrobić. Nie może mu nigdy dać do zrozumienia, że wie o istnieniu upadłych kobiet, że wie o tym, iż Rett je odwiedza. Prawdziwa dama nie może czegoś podobnego wiedzieć.

„Och — myślała z furią. — Gdybym nie była damą, czegóż bym tej gadzinie nie powiedziała!”

I gniotąc chustkę w dłoni zeszła do kuchni w poszukiwaniu wuja Piotra. Przechodząc koło pieca, wrzuciła chustkę do ognia i z bezsilną złością przyglądała się, jak plonie.

## ROZDZIAŁ XIV

Serca wszystkich południowców napełniły się nadzieją z nadejściem lata roku 1863. Mimo niedostatku i cierpień, spekulacji żywnościowej i pokrewnych jej plag, mimo śmierci, chorób i strat, które nie ominęły żadnej prawie rodziny, na Południu znowu zaczęto powtarzać: „Jeszcze jedno zwycięstwo, a wojna będzie skończona”, powtarzać to z jeszcze większą pewnością niż roku poprzedniego. Jankesi okazali się twardym orzechem do zgryzienia, ale wreszcie zaczęto się do nich dobierać.

Boże Narodzenie roku 1862 było okresem wesołym dla Atlanty i całego Południa. Konfederacja odniosła walne zwycięstwo pod Fredericksburgiem. Liczba zabitych i rannych Jankesów sięgała tysięcy. Podczas świąt panowała powszechna radość — radość i wdzięczność, że karta odwraca się wreszcie. Żołnierze w szarych mundurach przeistoczyli się teraz w wytrawnych wojowników, generałowie dowiedli swej odwagi, wszyscy byli więc przekonani, że kiedy na wiosnę podejmie się działania wojenne, Jankesi zmiażdżeni zostaną ostatecznie.

Nadeszła wreszcie wiosna i wraz z nią rozpoczęcie kampanii. W maju Konfederacja odniosła nowe zwycięstwo pod Chancellorsville. Południe pękało z dumy.

W Georgii nieudany najazd kawalerii Unii stał się jeszcze jednym tryumfem konfederatów. Ludzie śmieli się radośnie i poklepywali nawzajem po plecach, mówiąc: „Tak, tak! Musieli zmykać, kiedy stary Nathan Bedford Forrest wsiadł im na kark!” W końcu kwietnia pułkownik Streight na czele oddziału kawalerii jankeskiej, liczącego tysiąc osiemset ludzi, zrobił znienacka wypad w głąb Georgii, kierując się do Romy, miasta położonego o niecałe sześćdziesiąt mil na północ od Atlanty. Miał zuchwały plan przecięcia linii kolejowej między Atlantą a Tennessee i skierowania się potem na południe ku Atlancie, gdzie chciał zniszczyć fabryki i zapasy amunicji, skupione w tym ważnym punkcie węzłowym. Był to plan odważny i drogo kosztowałby Południe, gdyby nie interwencja Forresta. Z oddziałem liczącym jedną trzecią siły Jankesów — ale złożonym z wyborowych jeźdźców — pocwałował za Jankesami, wydał im bitwę, zanim dosięgli Romy, tępił ich dniem i nocą, aż wreszcie udało mu się wziąć w niewolę cały oddział.

Wiadomość o tym doszła do Atlanty prawie równocześnie z nowiną o zwycięstwie pod Chancellorsville, miasto szalało więc z radości. Zwycięstwo pod Chancellorsville było może ważniejsze, ale pojmanie w niewolę jeźdźców Streighta po prostu ośmieszyło Jankesów.

„Nie, panie, z naszym starym Forrestem nie ma żartów” — powtarzano radośnie w Atlancie, ilekroć na nowo wspominano to zwycięstwo.

Fala powodzenia Konfederacji wezbrała i całą ludność Południa ogarnęła radość. Prawda, że Jankesi pod wodzą Granta oblegali Vicksburg od połowy maja. Prawda, że Południe poniosło niepowetowaną stratę, gdy Stonewall Jackson został śmiertelnie ranny pod Chancellorsville. Prawda, że Georgia straciła jednego ze swych najdzielniejszych i najsławniejszych synów, gdy generał Cobb padł pod Fredericksburgiem. Ale jasne, że Jankesi nie będą mogli wytrzymać więcej takich klęsk jak pod Fredericksburgiem i Chancellorsville. Będą się już wkrótce musieli poddać, a wtedy wojna wreszcie się skończy.

Nadeszły pierwsze dni lipca, a wraz z nimi pogłoski, potem potwierdzone przez kurierów, że Lee maszeruje w głąb Pensylwanii. Lee wkroczył na terytorium nieprzyjacielskie! Lee wydaje bitwę. A zatem będzie to ostatnia bitwa w tej wojnie.

Atlanta szalała z wielkiego podniecenia, radości i chęci odwetu. Teraz wreszcie przekonają się Jankesi, jak smakuje wojna w ich własnym kraju! Teraz ocenią, jak przyjemnie jest patrzyć na zniszczenia żyznych pól, na konfiskatę koni i bydła, na palenie domów, więzienie starców i młodych chłopców, skazywanie na śmierć głodową kobiet i dzieci.

Wszyscy wiedzieli, co Jankesi zrobili w Missouri, Kehtucky, Tennessee i Wirginii. Nawet małe dzieci potrafiły recytować z nienawiścią i wstrętem listę okrucieństw jankeskich na podbitych terytoriach. Atlanta pełna już była uciekinierów ze wschodu Tennesse, i z pierwszej ręki wiadomo było, co przecierpieli. W owej części kraju sympatycy Konfederacji byli w mniejszości, sroga ręka wojny spadła więc na nich ciężko, jak i w innych stanach granicznych — bo sąsiad denuncjował sąsiada, a brat zabijał brata. Uciekinierzy ci głośno domagali się puszczenia z dymem całej Pensylwanii i nawet łagodniejsze staruszki ogarnięte były pragnieniem odwetu.

Kiedy jednak dowiedziano się, że Lee wydał zarządzenie, aby nie ruszać własności prywatnej w Pensylwanii, że postanowił, iż grabieże będą karane śmiercią i że armia będzie płaciła za każdy zarekwirowany przedmiot — popularność jego zachwiała się poważnie, mimo że cieszył się olbrzymim szacunkiem. Nie wpuszczać ludzi do bogatych składów tego zamożnego stanu? Co sobie generał Lee właściwie myśli? Przecież chłopcy są wygłodzeni i potrzebują butów i koni!

Krótka kartka, przesłana przez Darcy Meade’a do ojca, pierwsza bezpośrednia wiadomość, jaka doszła Atlantę w początku lipca, podawana była z rąk do rąk przy akompaniamencie głosów rosnącego oburzenia.

„Tatusiu, czy możesz mi się postarać o parę butów? Chodzę już od dwóch tygodni boso i nie mam widoków na otrzymanie nowych butów. Gdybym nie miał tak dużych stóp, mógłbym przywłaszczyć sobie buty któregoś z zabitych Jankesów, bo tak robią inni chłopcy, ale dotąd nie znalazłem jeszcze Jankesa, który by nosił ten sam numer obuwia, co ja. Jeżeli chcesz przesłać mi buty, nie posyłaj pocztą. Ktoś na pewno ukradnie je w drodze i nawet nie będę się temu dziwił. Wsadź Filipa do pociągu i niech mi je przywiezie. Napiszę wkrótce, gdzie się zatrzymamy. Dotąd nie wiem nic, jak to tylko, że idziemy na północ. Jesteśmy teraz w Marylandzie i mówi się, że maszerujemy do Pensylwanii.

Tatusiu, myślałem, że będziemy mogli pokazać Jankesom próbkę tego, co sami robili, ale Generał powiedział: Nie. Ja zaś osobiście wolę zostać rozstrzelany, a móc podpalić dom jankeski. Tatusiu, dzisiaj szliśmy przez najwspanialsze pola pszenicy, jakie w swoim życiu widziałem. Nie ma w naszych stronach takiego zboża. Muszę wyznać, że trochę w tym zbożu rabowaliśmy, każdy na własną rękę, bo byliśmy bardzo głodni. Generał zaś i tak się o tym nigdy nie dowie. Ale to niedojrzałe zboże zaszkodziło nam tylko. Wszyscy chłopcy mają dyzenterię, która się od pszenicy pogorszyła. Łatwiej jest maszerować z raną w nodze niż z dyzenterią. Tatusiu, postaraj się koniecznie o jakieś buty dla mnie. Jestem teraz kapitanem, a kapitan nie może chodzić bez butów, chociażby nawet nie miał nowego munduru ani epoletów”.

Armia była jednak w Pensylwanii — i to było najważniejsze. Jeszcze jedno zwycięstwo i wojna się skończy, a wtedy Darcy będzie miał niejedną parę butów, chłopcy powrócą do domów i wszyscy znowu będą szczęśliwi. Oczy pani Meade wilgotniały, gdy wyobrażała sobie powrót syna do domu, powrót na zawsze.

Trzeciego lipca nagle zamilkły druty telegraficzne prowadzące z Północy, zamilkły aż do południa dnia czwartego, gdy zaczęły, napływać do sztabu Atlanty ułamkowe i nieścisłe wieści. W Pensylwanii rozgrywały się podobno groźne walki w pobliżu małego miasteczka pod nazwą Gettysburg, gdzie zebrała się cała armia generała Lee. Wiadomości były niepewne i nadchodziły opieszale, ponieważ bitwa toczyła się na terytorium nieprzyjaciela, a raporty przechodziły przez Maryland i Richmont i stamtąd dopiero do Atlanty. Niepewność wzrastała i strach z wolna rozpełzał się po mieście. Brak wiadomości gnębił wszystkich. Rodzice mający synów na froncie modlili się żarliwie, by Bóg ich ustrzegł od wysłania do Pensylwanii, ci zaś, którzy wiedzieli, że bliscy ich są w tym samym pułku co Darcy Meade, zaciskali zęby i powtarzali, że branie udziału w rozstrzygającej bitwie z Jankesami jest wielkim zaszczytem.

W domu ciotki Pitty trzy kobiety patrzyły na siebie z ledwie ukrywanym przerażeniem. Ashley służył w tym samym pułku co Darcy.

Na piąty dzień nadeszły złe nowiny nie z Północy, lecz z Zachodu. Vicksburg padł, padł po długim i morderczym oblężeniu, właściwie więc cała rzeka Missisipi, od St. Louis do Nowego Orleanu, była w rękach Jankesów. Front Konfederacji został rozbity. W każdym innym czasie wiadomość o tej klęsce napełniałaby Atlantę strachem i lamentem. Teraz nikt nie chciał myśleć o Vicksburgu. Wszyscy myśleli o generale Lee w Pensylwanii i o bitwie, którą miał wydać. Strata Vicksburga nie byłaby katastrofą, gdyby Lee odniósł zwycięstwo na Wschodzie. Tam były miasta takie, jak Filadelfia, Nowy Jork, Waszyngton. Zajęcie ich sparaliżowałoby siły Północy i wynagrodziło klęskę nad Missisipi.

Godziny wlokły się i czarne cienie klęski rozpościerały nad miastem, tak przesłaniając upalne słońce, że aż ludzie ze zdumieniem spoglądali w niebo, jak gdyby nie dowierzając, że może być jasne i niebieskie, nie zaś mroczne i ciężkie od deszczowych chmur. Grupki kobiet gromadziły się wszędzie: na gankach, na chodnikach, nawet na środku ulic, zapewniając się nawzajem, że brak wiadomości równa się dobrym wieściom, starając się jedna drugą pocieszyć i usiłując nadrabiać miną. Straszne jednak pogłoski, że Lee został zabity i bitwa przegrana, że liczba poległych jest olbrzymia, przebiegały po spokojnych ulicach szybko jak strzały. Jakkolwiek nikt jeszcze nie chciał w nie wierzyć, ludność całych dzielnic, smagana paniką, biegła do śródmieścia, do redakcji gazet i do dowództwa, błagając za wszelką cenę o wiadomości, choćby złe.

Tłumy wystawały przed stacją, pragnąc dowiedzieć się czegoś od przyjezdnych, przed telegrafem, przed zdezorientowanym sztabem. Były to tłumy dziwnie ciche, zupełnie spokojne, bezustannie rosnące. Nie rozmawiano między sobą. Czasem tylko ostry głos jakiegoś starca pytał o nowiny, a tłum, zamiast brać z tego asumpt do rozmów, zdawał się jeszcze bardziej przycichać i w odpowiedzi słychać było tylko znane na pamięć zdanie: „Jeszcze żadnych wiadomości poza tym, że na Północy toczą się walki”. Liczba kobiet pieszo i w powozach coraz to wzrastała; gorąco, spotęgowane wonią ciasno stłoczonych ciał i kurzem, wznoszonym przez niespokojne stopy, było nie do opisania. Kobiety nic nie mówiły, ale blade ich i zacięte twarze były bardziej wymowne od słów.

Nie było w mieście osoby, której syn, brat, ojciec, kochanek czy mąż nie brałby udziału w tej bitwie. Wszyscy czekali na wiadomość, że śmierć nawiedziła ich domy. Spodziewali się takiej wiadomości. Nie oczekiwali jednak klęski. Tę myśl odsuwali na bok. Najbliżsi ich umierają może nawet w tej chwili na spalonych słońcem pagórkach Pensylwanii. W tej chwili łamią się może szeregi wojsk Południa jak kłosy pod gradem, ale Sprawa, o którą walczą, zwyciężona być nie może. Ludzie umierają całymi tysiącami, ale z krwi ich zrodzą się nowe szeregi mężczyzn w szarych i piaskowych mundurach, które z okrzykiem powstańczym na ustach zastąpią ich w boju. Skąd się wezmą ci ludzie — nie wiedział nikt. Było to bowiem tak pewne jak to, iż w niebie jest sprawiedliwy i groźny Bóg, że Lee jest wielki, a armia Wirginii niezwyciężona.

Scarlett, Melania i panna Pittypat siedziały w otwartym powozie naprzeciw redakcji „Wiadomości Codziennych”, osłonięte tylko parasolkami. Dłonie Scarlett trzęsły się tak, że parasol podskakiwał nad jej głową, Pitty była tak zdenerwowana, że nie przestawała poruszać nozdrzami jak królik, Melania siedziała nieruchomo, jak wyrzeźbiona z kamienia, i tylko oczy jej rozszerzały się coraz bardziej, w miarę jak czas mijał. Odezwała się w ciągu dwóch godzin tylko jeden raz, wyjmując z torby flakonik soli trzeźwiących i wręczając go ciotce — po czym po raz pierwszy w życiu przemówiła do niej twardo i nieczule.

— Weź to, ciociu, na wypadek, gdyby ci było słabo. Uprzedzam cię jednak, że jeżeli zemdlejesz, będziesz musiała pojechać do domu z wujem Piotrem, bo ja się stąd nie ruszę, póki nie usłyszę o... póki nie usłyszę nowin. I nie pozwolę, aby Scarlett stąd odeszła.

Scarlett nie miała zamiaru odchodzić, nie miała zamiaru wyzbywać się możności usłyszenia wieści o Ashleyu. Nie ruszyłaby się z miejsca, nawet gdyby panna Pitty umarła. Gdzieś daleko stąd Ashley walczył jeszcze, a może jaż nie żył, a redakcja gazety była jedynym miejscem, gdzie mogła się dowiedzieć prawdy.

Rozglądała się dokoła, spostrzegając znajomych i sąsiadów — panią Meade w przekrzywionym czepku, obejmującą piętnastoletniego Filipa; panny McLure starające się drżącymi wargami zasłaniać wystające zęby; wyprostowaną jak matka-Spartanka panią Elsing, której niepokój przejawiał się tylko nieporządkiem fryzury, i bladą jak trup Fanny. „Z pewnością Fanny nie martwi się tak o swego brata, Hugona. Czyżby miała na froncie ukochanego, o którym nikt nie wie?” Pani Merriweather siedziała w swym powozie i głaskała dłoń Maybelle, której ciąża była tak bardzo widoczna, że dziwić się należało, iż nie wstydzi się pokazywać między ludźmi. „O cóż właściwie ona się martwi? Nikt nie słyszał, by wojska z Luizjany także były w Pensylwanii. Prawdopodobnie jej kudłaty mały żuaw jest w tej chwili bezpieczny w Richmondzie”.

W tłumie dało się zauważyć jakieś poruszenie. Ludzie rozstąpili się, gdy Rett Butler ostrożnie skierował swego konia w stronę powozu panny Pitty. Scarlett pomyślała: „Ależ on ma odwagę, że zjawia się tutaj w chwili, gdy mało trzeba, aby tłum rozszarpał każdego, kto nie nosi munduru. — Kiedy zbliżał się, pomyślała szybko, że sama pierwsza by to zrobiła. — Jak też śmiał siedzieć na pięknym koniu, w połyskujących butach i eleganckim białym ubraniu płóciennym, wymuskany i dobrze odżywiony, palący kosztowne cygaro, gdy Ashley i inni chłopcy walczą z Jankesami, bosi, omdlewający w upale, głodni, zżerani przez choroby?”

Złe spojrzenia kierowały się w stronę Retta, który wolno przeciskał się przez tłum. Starcy mruczeli pod nosem, pani Merriweather zaś, która się niczego nie bała, uniosła się trochę w swoim powozie i rzekła głośno. „Spekulant”, tonem, który przekształcił to słowo w najgorszy i najjadowitszy epitet. Rett nie zwracał jednak uwagi na nikogo, zdjął kapelusz przed Melą i ciotką Pitty i wstrzymując konia koło Scarlett, pochylił się ku niej i wyszeptał: — Czy nie uważa pani, że teraz byłby odpowiedni moment, aby doktor Meade poczęstował nas swoją znaną przemową o zwycięstwie, które jak orzeł siada na naszych sztandarach?

Ledwie żywa z niepokoju, zwróciła się do niego szybko jak rozzłoszczony kot, gotowa rzucić mu w twarz obelżywe jakieś słowo, on jednak powstrzymał ją od tego gestem.

— Przyjechałem tutaj, aby paniom powiedzieć — rzekł głośno — że byłem w głównej kwaterze i dowiedziałem się, że pierwsze listy ofiar właśnie zaczęły nadchodzić.

W jednej chwili powstał szmer wśród tych, którzy słyszeli jego słowa. Tłum zakołysał się, gotów ruszyć na ulicę Whitehall, w kierunku sztabu.

— Proszę się stąd nie ruszać! — zawołał Rett unosząc się w siodle i dłonią nakazując milczenie — Listy zostały wysłane do redakcji obu gazet i właśnie się drukują. Proszę pozostać na swoich miejscach.

— Ach, panie kapitanie — rzekła Mela zwracając się ku niemu ze łzami w oczach. — Jak to szlachetnie z pańskiej strony, że przyjechał pan nam to powiedzieć! Kiedy rozlepią listy?

— Powinny być gotowe za chwilę, pani Melanio. Zostały posłane do redakcji przed pół godziną. Major w dowództwie nie chciał o tym nikogo zawiadamiać, ponieważ bał się, że tłum zdemoluje redakcję, starając się czegoś dowiedzieć. O! Proszę spojrzeć!

Okno redakcji otwarło się i wyciągnęła się dłoń trzymająca plik wąskich pasków korekty, uwalanych świeżym tuszem i gęsto zadrukowanych nazwiskami. Tłum wyrywał je sobie z rąk, darł je na połowy. Ci którzy już mieli listy, starali się wydostać z ciżby, aby móc je przeczytać, nie mający ich jeszcze pchali się naprzód krzycząc: — Puśćcie mnie!

— Proszę potrzymać mi lejce — rzekł Rett zeskakując z konia i rzucając uzdę wujowi Piotrowi. Widać było jego szerokie bary, górujące nad tłumem, gdy przepychał się, brutalnie roztrącając ludzi. W jednej chwili wrócił niosąc kilka arkuszy. Podał jeden Melanii, a resztę rozdał pomiędzy panie w najbliższych powozach, panny McLure, panie Meade, Merriweather i Elsing.

— Prędko, Melu! — zawołała Scarlett ze ściśniętym gardłem, nie posiadając się ze zniecierpliwienia i widząc, że Meli tak się trzęsą ręce, iż wcale czytać nie może.

— Weź to — wyszeptała Mela, a Scarlett gorączkowo wyrwała jej listę. Litera W. Gdzie są nazwiska na W? O, tutaj, na samym dole, zasmarowane tuszem „White” czytała drżącym głosem. „Wilkens... Wi... Zebulion...” — Och, Melu, nie ma go na liście! Nie ma! Na miłość boską, ciociu! Melu, podaj jej sole. Trzymaj ją, Melu!

Melania płacząc ze szczęścia podparła chwiejącą się na wszystkie strony głowę panny Pitty i podsunęła jej pod nos sole trzeźwiące. Scarlett wsparła tęgą starą pannę z drugiej strony, a serce jej szalało z radości, że Ashley żyje. Nie jest nawet ranny! Jaki dobry jest Bóg, że go oszczędził! Jaki...

Usłyszała cichy jęk i odwracając się ujrzała, że Fanny Elsing składa głowę na piersi matki, że lista spada na środek powozu. Widziała, że wąskie wargi pani Elsing drżały, gdy brała córkę w ramiona i spokojnie mówiła do stangreta: „Do domu. Prędko”. Scarlett rzuciła szybkie spojrzenie na listę. Hugon Elsing nie figurował na niej. Fanny miała pewnie ukochanego, który zginął. Tłum rozstąpił się ze współczuciem przed powozem pań Elsing, za którymi podążył lekki kabriolet panien McLure. Panna Faith powoziła sama, z twarzą kamienną, z mocno zaciśniętymi ustami. Panna Hope, na której twarzy rozlał się śmiertelny ból, siedziała wyprostowana koło niej, trzymając się mocno spódnic siostry. Wyglądały jak bardzo stare kobiety. Młodszy ich brat, Dallas, był jedynym ich ukochanym i jedynym krewnym, jakiego miały na świecie. Został zabity.

— Melu! Melu! — wołała Maybelle z radością w głosie. — Rene ocalony! I Ashley także! Och, Bogu niechaj będą dzięki! — Szal zsunął się z jej ramion, ale tym razem ani ona, ani pani Merriweather nie zwracały na to uwagi. — Och, pani Meade! Rene... — Głos jej załamał się nagle: — Melu, spójrz! Pani Meade, co pani jest? Czyżby Darcy?

Pani Meade miała opuszczoną głowę i nie podniosła jej wcale na dźwięk, swego nazwiska, ale z twarzy małego Filipa łatwo można było wszystko odczytać.

— Cicho, cicho, mamo — powtarzał bezradnie.

Pani Meade podniosła głowę i spojrzała Melanii w oczy.

— Darcy już teraz nie potrzebuje butów — powiedziała.

— Och, najmilsza pani! — zawołała Mela wybuchając płaczem. Odsunęła ciotkę Pitty na ramię Scarlett, wydostała się z powozu i pobiegła do pojazdu doktorowej.

— Mamusiu, masz jeszcze mnie — rzekł Filip usiłując pocieszyć śmiertelnie bladą matkę. — A jak pozwolisz, pójdę także i pozabijam Jan...

Pani Meade ścisnęła go z całej siły za ramię i powiedziała zdławionym głosem: — Nie!

— Filip, uspokój się w tej chwili! — syknęła Melania siadając koło pani Meade i obejmując ją serdecznie.

— Czy myślisz, że matkę to pocieszy, jak i ciebie zabiją? Nigdy czegoś równie głupiego nie słyszałam. Zawieź nas do domu, prędko!

Kiedy Filip zaciął konia, odwróciła się do Scarlett:

— Jak tylko odwieziesz ciocię do domu, przyjdź do pani Meade. Panie kapitanie, czy zechce pan zawiadomić doktora? Jest teraz w szpitalu.

Powóz ruszył wśród przerzedzającego się tłumu. Niektóre z kobiet płakały z radości, większość jednak oniemiała pod ciężkimi ciosami, jakie na nie spadły. Scarlett pochyliła się nad powalaną listą, czytając szybko, szukając nazwisk znajomych. Teraz, gdy wiedziała, że Ashley ocalał, mogła pomyśleć i o innych ludziach. Och, jakże długa była ta lista! Jak ciężka danina Atlanty i całej Georgii!

Wielkie nieba! „Calvert — Raiford, porucznik”. Raiff. Przypomniała sobie nagle dawno miniony dzień, gdy razem postanowili uciec z domu, ale wrócili o zmierzchu, bo byli głodni i bali się ciemności.

„Fontaine — Józef, szeregowiec”. Mały, narwany Józio! A Sally dopiero co urodziła dziecko!

„Munroe — Lafayette, kapitan”. Lafe był zaręczony z Kasią Calvert. Biedna Kasia! Poniosła podwójną stratę — brata i narzeczonego. Strata Sally była jednak większa — straciła brata i męża. Och, to przecież było zbyt straszne! Bała się po prostu czytać dalej. Ciotka Pitty ciążyła jej na ramieniu i nie przestawała wzdychać, więc Scarlett odsunęła ją bezceremonialnie w kąt powozu i czytała dalej.

Nie, nie — to niemożliwe, aby aż trzy razy powtarzało się na liście nazwisko „Tarleton”. Może... może drukarz w pośpiechu powtórzył je tyle razy. Ale nie. Było wyraźnie, „Tarleton — Brenton, szeregowiec”. A Boyd, zabity w pierwszym roku wojny, leżał Bóg wie gdzie w Wirginii... Wszyscy czterej bracia Tarleton zabici! Tom i leniwe długonogie bliźnięta, tak lubiące plotki i głupie figle, i Boyd, który miał wdzięk profesora tańca i język jadowity jak żmija.

Nie mogła czytać dalej. Nie chciała wiedzieć, ilu jeszcze chłopców, z którymi razem wyrosła, z którymi tańczyła, flirtowała i całowała się, figurowało na tej liście. Chciałaby móc płakać czy krzyczeć, aby rozluźnić uścisk żelaznych kleszczy, chwytających ją za gardło.

— Przykro mi bardzo, Scarlett — rzekł Rett. Spojrzała na niego. Zapomniała, że stał obok niej. — Czy wielu z pani znajomych?

Skinęła głową i z trudem wyszeptała: — Ktoś z każdej rodziny w powiecie... i wszyscy... wszyscy trzej Tarletonowie.

Twarz Retta była spokojna, prawie ponura, w oczach nie było ani śladu ironii.

— A to jeszcze nie koniec — rzekł. — To dopiero pierwsze listy, i w dodatku niekompletne... Jutro będą nowe. — Zniżył głos, tak aby go nikt w pobliżu nie słyszał. — Scarlett, generał Lee prawdopodobnie przegrał bitwę. Słyszałem w dowództwie, że cofnął się do Marylandu.

Podniosła na niego przerażone oczy, ale przyczyną jej przestrachu nie była klęska generała. Nowe listy ofiar jutro! Jutro. Nie myślała o jutrze, tak z początku była szczęśliwa, że nazwiska Ashleya nie ma na liście. Jutro. Cóż znowu! Już teraz, w tej chwili Ashley może nie żyje, a ona dowie się o tym dopiero jutro albo od jutra za tydzień.

— Och, kapitanie, po co są wojny na świecie? Byłoby o tyle lepiej, gdyby Jankesi chcieli płacić za Murzynów albo gdybyśmy się zgodzili oddać im swoich za darmo.

— Tu nie chodzi o Murzynów, Scarlett. To jest jedynie pretekst. Wojny zawsze będą istniały, ponieważ mężczyźni je kochają. Kobiety nie lubią wojen, mężczyźni jednak przedkładają je nawet nad miłość kobiet.

Usta wykrzywiły mu się zwykłym uśmiechem, z twarzy zaś uleciała powaga. Uchylił swego panamskiego kapelusza.

— Do widzenia. Jadę teraz do doktora Meade. Spodziewam się, że ironia losu, który chce, abym to ja go zawiadomił o śmierci syna, ujdzie teraz jego uwagi. Później jednak będzie mu nieprzyjemnie na myśl, że to spekulant przyniósł mu wiadomość o śmierci bohatera.

Scarlett podała pannie Pitty szklankę grogu do łóżka, zostawiła ją pod opieką Prissy i kucharki i poszła do państwa Meade. Pani Meade była na górze, czekając na powrót męża, w salonie zaś na dole siedziała tylko Melania, cichym głosem rozmawiając z grupą składających kondolencje sąsiadów. Zajęta była przerabianiem sukni żałobnej, którą pani Elsing pożyczyła doktorowej. Dom pełen był kwaśnego zapachu farby domowej roboty, ponieważ w kuchni kucharka popłakując farbowała wszystkie suknie pani Meade.

— Jak się doktorowa czuje? — zapytała Scarlett po cichu.

— Ani jednej łzy nie uroniła — odparła Mela. — To straszne, kiedy kobieta nie może płakać. Nie rozumiem, jak mężczyźni potrafią znosić wszystkie bóle i nie płakać. Myślę, że to dlatego, że są silniejsi i odważniejsi od kobiet. Doktorowa mówiła, że sama pojedzie do Pensylwanii i sprowadzi jego ciało do domu. Doktor nie może opuścić szpitala.

— To będzie dla niej straszne! Czy Filip nie mógłby pojechać?

— Pani Meade boi się, że się zaciągnie do wojska, jak tylko się stąd wyrwie. Wiesz, że jest nad wiek rozwinięty, a teraz zaczynają już brać szesnastoletnich chłopców.

Sąsiedzi wychodzili kolejno, nie chcąc czekać na powrót doktora do domu, i Scarlett z Melanią zostały same, szyjąc pośpiesznie w salonie. Melania była smutna, ale spokojna, mimo że łzy kapały jej na suknię, którą trzymała w ręku. Nie przyszło jej widocznie na myśl, że walki trwają i że Ashley także już może nie żyje. Z przerażeniem w sercu Scarlett zastanawiała się, czy powiedzieć Melanii o tym, co słyszała od Retta, czy też zatrzymać to dla siebie. Wreszcie postanowiła nic nie mówić. Melania nie powinna się nigdy dowiedzieć, jak bardzo Scarlett niepokoi się o Ashleya. Dziękowała Bogu, że wszyscy, z Melą i Pitty na czele, byli zbyt pochłonięci własnymi kłopotami, aby zwracać uwagę na jej zachowanie.

Po dłuższej chwili szycia w milczeniu usłyszały głosy i odsuwając firankę zobaczyły doktora Meade, zsiadającego z konia przed domem. Był przygarbiony, a głowa zwisała mu tak nisko na piersi, że siwa bródka rozłożyła się jak wachlarz. Wszedł wolno do domu, odłożył kapelusz i walizeczkę i nic nie mówiąc pocałował obie dziewczyny. Potem wolniutko wszedł na górę. Po chwili na dół zszedł Filip, wyrośnięty, niezgrabny, nieszczęśliwy. Młode kobiety czekały, czy się do nich nie przysiadzie, on jednak wyszedł na ganek, usiadł na najwyższym stopniu i ukrył twarz w dłoniach...

Mela westchnęła.

— Zły jest, że nie pozwalają mu się zemścić na Jankesach. Ma już piętnaście lat! Och, Scarlett, jakżebym ja chciała mieć takiego syna!

— Żeby ci go zabili? — krótko spytała Scarlett myśląc o Darcym.

— Lepiej mieć syna, który polegnie na wojnie, niż wcale nie mieć dzieci — rzekła Melania i głośno przełknęła ślinę. — Ty nie możesz tego zrozumieć, Scarlett, bo masz Wade’a, ale ja... Och, Scarlett, ja tak bardzo chciałabym mieć dziecko! Pewnie jesteś oburzona na mnie, że mówię tak otwarcie, ale jestem szczera. Zresztą wiesz, że każda kobieta tego pragnie.

Scarlett powstrzymała się siłą od wybuchu.

— Jeżeli Bóg dopuści, że Ashley... polegnie mogłabym to łatwiej znieść, gdybym miała dziecko, choć wolałabym umrzeć z nim razem. Ale Bóg dałby mi siłę do przetrzymania tego. Nie mogłabym jednak przeboleć jego śmierci, jeżelibym nie miała z nim dziecka, które by mnie pocieszyło. Och, Scarlett, jaka ty jesteś szczęśliwa! Mimo żeś straciła Karola, masz jego syna. A jeżeli Ashley polegnie, mnie nic nie zostanie. Scarlett, przebacz mi, ale czasem bywam o ciebie zazdrosna.

— Zazdrosna, o mnie? — zawołała Scarlett w nagłym poczuciu winy.

— Tak, bo ty masz syna, a ja nie mam. Czasem nawet wmawiam sobie, że Wade jest mój, bo to takie straszne, jak się nie ma dzieci!

— Głupstwa pleciesz — rzekła Scarlett z ulgą, Obrzuciła szybkim spojrzeniem pochyloną nad szyciem drobną postać o zarumienionej twarzy, Melania może sobie pragnąc dzieci, ale budowy odpowiedniej do ich rodzenia niestety nie ma. Ma wzrost dwunastoletniej dziewczynki, wąskie biodra i bardzo płaską pierś. Sama myśl o tym, że Mela mogłaby mieć dziecko, była Scarlett niemiła. Pociągnęła za sobą inne myśli, które od siebie stale odsuwała. Gdyby Melania miała dziecko z Ashleyem, Scarlett poczułaby, że odebrano jej coś, co było tylko jej własnością.

— Wybacz mi, proszę, to, co powiedziałam o chłopcu. Wiesz przecież, że go bardzo kocham. Nie gniewasz się na mnie, prawda?

— Nie bądź głupia — rzekła Scarlett krótko. — Wyjdź lepiej na ganek, i zobacz, co się dzieje z Filipem. Zdaje mi się, że płacze.

## ROZDZIAŁ XV

Armia konfederacka, odepchnięta w głąb Wirginii, zatrzymała się na zimowe leże nad rzeką Rapidan — od czasu klęski pod Gettysburgiem była to wynędzniała, zdziesiątkowana armia — kiedy zaś zbliżyło się Boże Narodzenie, Ashley przyjechał na urlop. Scarlett, widząc go po raz pierwszy od dwóch lat, przeraziła się gwałtownością swoich uczuć. Stojąc w salonie Dwunastu Dębów podczas ślubu jego z Melanią myślała, że nigdy w życiu nie potrafi kochać go mocniej niż w owej bolesnej chwili. Teraz jednak wiedziała, że ówczesne jej uczucie było miłością zepsutego dziecka, które pozbawiono zabawki. Obecne uczucia jej były wyostrzone długimi marzeniami o Ashleyu, spotęgowane milczeniem i tęsknotą.

Ashley Wilkes, który zjawił się w wyblakłym, łatanym mundurze, Ashley o włosach spłowiałych od słońca, był kimś zupełnie innym niż spokojny i rozmarzony chłopiec, którego przed wojną kochała do szaleństwa. I tysiąc razy bardziej godnym miłości. Teraz był ogorzały i chudy — dawniej blady i szczupły — długie zaś złote wąsy, opuszczone nad ustami na sposób kawaleryjski, nadawały mu idealny wygląd żołnierza.

Trzymał się sztywno w swoim starym mundurze. Pistolet nosił w zniszczonym olstrach, szabla uderzała o jego wysokie buty, nie oczyszczone ostrogi połyskiwały matowo — oto był major Ashley Wilkes, z kawalerii armii Południa. Widać było, że przywykł do dawania rozkazów, zyskał pewność siebie i poczucie władzy — dokoła ust jego potworzyły się surowe zmarszczki. Obcość jakaś tchnęła z jego kwadratowych ramion, z zimnego spojrzenia oczu. Dawniej powolny i raczej ospały, teraz stał się szybki jak kot, który się czai, bystry jak człowiek w stałym nerwowym napięciu. W oczach jego kryło się znużenie, opalona skóra ciasno obciągała kości policzkowe — był ciągle jeszcze pięknym Ashleyem, jednocześnie zaś zupełnie kimś innym.

Scarlett planowała początkowo, że spędzi Boże Narodzenie w Tarze, po nadejściu jednak depeszy Ashleya żadna siła ludzka, nawet wyraźny rozkaz rozżalonej Ellen, nie mógł jej wyciągnąć z Atlanty. Gdyby Ashley pojechał do Dwunastu Dębów, pośpieszyłaby do Tary, aby żyć w jego pobliżu. Napisał jednak do rodziny, aby przyjechała do miasta, i pan Wilkes z córkami był już w Atlancie. Jechać teraz do domu i nie móc być z nim razem po dwóch długich latach rozłąki? Nie słyszeć jego głosu, nie czytać w jego oczach, że o niej nie zapomniał? Nigdy! Dla żadnej matki w świecie!

Ashley przyjechał cztery dni przed świętami z grupą innych młodych mężczyzn z powiatu — bardzo przerzedzoną po Gettysburgu. Był w ich liczbie Cade Calvert, chudy, wyschnięty. Cade, kaszlący bez przerwy; dwaj młodzi Munroe, nieprzytomni z podniecenia z powodu pierwszego od r. 1861 urlopu, oraz Aleks i Tonio Fontaine’owie, pijani, zawadiaccy i zaczepni. Chłopcy mieli dwie godziny czasu przed pociągiem do domu, a że powstrzymanie Fontaine’ów od bicia się ze sobą i z nieznajomymi ludźmi na stacji wymagało nie lada dyplomacji, Ashley przyprowadził ich do ciotki Pittypat.

— Wydawałoby się, że mieli dość walk w Wirginii — rzekł z goryczą Cade przypatrując się, jak dwaj bracia wzięli się za łby o pierwszeństwo pocałowania podnieconej i zachwyconej ciotki Pitty. — Ale nie. Upijają się i robią burdy od chwili, gdyśmy zajechali do Richmondu. Tam ich zatrzymali żandarmi i gdyby nie wymowa Ashleya, musieliby spędzić święta w pace.

Scarlett jednak ledwie słyszała, co mówi Cade, tak była wniebowzięta, że znowu jest pod jednym dachem z Ashleyem. Jakże mogła myśleć nawet w ciągu tych dwóch lat, że inni mężczyźni są mili, przystojni czy interesujący? Jak mogła pozwalać na ich zaloty, kiedy na świecie był Ashley? Znowu zatem był w domu, oddzielony od niej tylko szerokością dywanu. Z całej siły musiała panować nad łzami szczęścia, które napływały, jej do oczu, gdy go widziała siedzącego na kanapie między Melą a Indią, objętego przez Honey od tyłu. Gdybyż to ona miała prawo siedzieć przy nim i trzymać go za rękę! Gdybyż mogła co parę chwil ciągnąć go lekko za rękaw, dla sprawdzenia, czy rzeczywiście jest blisko, gdybyż mogła trzymać dłoń jego w swojej i jego chusteczką ocierać sobie łzy radości! Wszystko to bowiem, nie wstydząc się wcale, robiła teraz Melania. Zbyt szczęśliwa, by zachować rezerwę, uwiesiła się u ramienia męża i wzrokiem, uśmiechem, łzami dawała wyraz swemu uwielbieniu. Scarlett zaś była zbyt szczęśliwa, aby mieć o to żal, zbyt zadowolona, aby czuć zazdrość. Ashley był nareszcie w domu!

Co chwila przykładała dłoń do policzka, w który ją pocałował, przypominała sobie dotknięcie jego warg i uśmiechała się. Nie pocałował jej oczywiście od razu. Mela rzuciła mu się w ramiona krzycząc słowa bez sensu, obejmując go tak mocno, jak gdyby nie chciała go nigdy od siebie puścić. Potem India i Honey zaczęły ściskać go i wyrywać prawie z ramion Meli. Potem całował się z ojcem — spokojnie i czule — pocałunkiem, w którym wyczuwało się ich wielkie przywiązanie do siebie. Potem przyszła kolej na ciotkę Pitty, która podskakiwała ze wzruszenia na swoich małych nóżkach. Wreszcie zwrócił się do Scarlett, otoczonej przez chłopców, którzy chcieli ją całować, powiedział: — Och, Scarlett! Ty śliczne, małe stworzenie! — i pocałował ją w policzek.

Pocałunek ten rozwiał wszystko, co chciała mu na powitanie powiedzieć. Dopiero w wiele godzin później uświadomiła sobie, że nie pocałował jej w usta. Wtedy zaczęła się gorączkowo zastanawiać, czy pocałowałby ją, gdyby byli sami, czy pochyliłby nad nią swe smukłe ciało, podniósł ją i trzymał przy sobie przez długą, długą chwilę? Ponieważ zaś czuła się szczęśliwsza z tym przekonaniem, wyobrażała sobie, że tak by się właśnie z nią przywitał. Ale na wszystko jeszcze będzie czas, mieli cały tydzień przed sobą. Z pewnością będzie mogła mieć go na chwilę tylko dla siebie, a wtedy powie mu: „Czy pamiętasz nasze długie przejażdżki po nam tylko znanych drogach?”, „Czy pamiętasz księżyc tego wieczora, gdy siedzieliśmy na ganku w Tarze i ty deklamowałeś mi wiersz?” (Wielkie nieba! Jakiż to był wiersz?), „Czy pamiętasz to popołudnie, kiedy zwichnęłam sobie nogę, a ty musiałeś mnie o zmierzchu przynieść na rękach do domu?” Och, tyle było zdań, które by można rozpocząć od słów: „Czy

pamiętasz?” Tyle najcenniejszych wspomnień, które odświeżyłyby mu w pamięci piękne dni, kiedy jeździli we dwoje po całym powiecie jak beztroskie dzieci; tyle szczegółów, które by mu na mysi przywiodły dni poprzedzające ukazanie się na widowni Melanii Hamilton. Podczas rozmowy zaś mogłaby może wyczytać w jego oczach wzruszenie, znak jakiś, że za barierą przywiązania małżeńskiego do Melanii kocha jeszcze ją, kocha tak namiętnie jak w dniu barbakoi, gdy wyznał jej całą prawdę. Nie myślała o tym, co nastąpiłoby, gdyby Ashley wyznał jej swoją miłość wyraźnie. Wystarczy jej świadomość, że ją kocha... Tak, Scarlett może poczekać, może pozwolić Melanii na wzruszoną godzinkę obejmowania Ashleya i płaczu. Jej chwila także nadejdzie. Bo w gruncie rzeczy, cóż takie dziewczątko, jak Melania może wiedzieć o miłości?

— Najmilszy, wyglądasz jak obszarpaniec — rzekła Melania, kiedy jej pierwsze wzruszenie minęło. — Kto wyłatał ci mundur i dlaczego łaty są niebieskie?

— A mnie się wydawało, że wyglądam niezmiernie elegancko — odparł Ashley przyglądając się sobie. — Porównaj mnie tylko z tamtymi oberwańcami, a lepiej mnie ocenisz. Mojżesz wyłatał mi mundur. Zdawało mi się, że zrobił to doskonale, tym bardziej że nigdy przedtem nie miał igły w ręku. Jeżeli zaś chodzi o łaty, to kiedy trzeba wybierać między dziurami w spodniach a łatami wyciętymi z mundurów jeńców jankeskich — wyboru właściwie nie ma. Zamiast więc nazywać mnie obszarpańcem, powinnaś dziękować Bogu, że mąż twój nie wrócił do domu boso. W zeszłym tygodniu buty moje zdarły się zupełnie i byłbym przyjechał do domu w workach na nogach, gdyby nie udało mi się zabić dwóch jankeskich wartowników. Buty jednego z nich doskonale na mnie pasują.

Wyciągnął swe długie nogi w podniszczonych wysokich butach, aby wszyscy mogli je podziwiać.

— Natomiast mnie w butach drugiego wartownika wcale nie jest wygodnie — rzekł Cade. — Są o dwa numery za małe i niemożliwie mnie gniotą. Mimo to przyjadę do domu jako człowiek bardzo wytworny.

— Ta wstrętna świnia nie chce dać butów żadnemu z nas — rzekł Tonio. — A na nasze małe, arystokratyczne nogi byłyby w sam raz. Wstydzę się matce pokazać w tych chodakach. Przed wojną nie pozwoliłaby podobnych nosić nawet Murzynowi.

— Nie martw się — rzekł Aleks zerkając na buty Cade’a. — Zdejmiemy mu je w pociągu. Nie wstydzę się pokazać mamie, nie mam jednak zamiaru kokietować Dimity Munroe gołymi palcami u nóg.

— Jak to, przecież to moje buty! Ja pierwszy chciałem je mieć — rzekł Tonio patrząc wściekle na brata. Melania więc, bojąc się, by znowu nie wybuchła jedna ze słynnych bójek, rozdzieliła chłopców i nakazała spokój.

— Miałem brodę, którą chciałem się pochwalić przed wami — rzekł Ashley, z zakłopotaniem trąc twarz, na której znać było zadraśnięcia po goleniu. — Broda była tak piękna, że ani generał Stuart, ani Nathan Bedford Forrest nie mieli ładniejszej. Kiedyśmy jednak przyjechali do Richmondu, te dwa łobuzy — tu wskazał na Fontaine’ów — postanowili, że ponieważ golą swoje brody i ja powinienem się rozstać ze swoją. Trzymali mnie za ręce i golili, dziwię się więc bardzo, że głowy mi razem z brodą nie zgolili. Tylko dzięki wstawiennictwu Evana i Cade’a zdołałem uratować wąsy.

— Oto jest ludzka wdzięczność, pani Melanio! Powinna mi pani podziękować. Nie poznałaby pani Ashleya i z pewnością nie wpuściłaby go pani do domu — rzekł Aleks. — Zrobiliśmy to, bo chcieliśmy mu się zrewanżować za przekonanie żandarmów, aby nas nie wsadzili do więzienia. Ashley, jeżeli powiesz na nas jeszcze jedno słowo, zgolimy ci wąsy, nawet w tej chwili.

— Och, nie, dziękuję bardzo! — zawołała pośpiesznie Mela obejmując Ashleya z przestrachem... bo dwaj czupurni chłopcy gotowi byli spełnić tę groźbę. — Bardzo mi się jego wąsy podobają.

— Oto jest miłość — rzekli bracia, poważnie kiwając do siebie głowami.

Kiedy Ashley odwiózł chłopców na stację powozem ciotki Pitty, Melania pochwyciła Scarlett za rękę.

— Straszny jest ten jego mundur! Ależ się ucieszy z mojej kurtki! Gdybym mogła jeszcze dostać materiał na spodnie!

Kurtka Ashleya była dla Scarlett tematem bardzo bolesnym, ponieważ wolałaby, aby to ona, nie zaś Melania dawała mu ją w prezencie na gwiazdkę. Szare sukno mundurowe było teraz droższe od rubinów, Ashley więc nosił samodział jak inni. Nawet piaskowych materiałów było mało, wielu żołnierzy nosiło zdobyte na jeńcach mundury jankeskie, ufarbowane na ciemnobrązowy kolor w wyciągu z łupin orzechowych. Melania jednak dzięki szczęśliwemu przypadkowi dostała kawałek sukna, wystarczający na kurtkę — wprawdzie krótką, ale jednak szarą kurtkę. Pielęgnowała niegdyś w szpitalu młodego chłopca z Charlestonu i gdy umarł, posłała jego matce kosmyk włosów syna, skąpą zawartość kieszeni i pełen współczucia list z dokładnym opisem ostatnich jego chwil, przemilczając straszne cierpienia. Wywiązała się między nimi korespondencja. Dowiedziawszy się z listu, że Melania ma na froncie męża, matka chłopca przysłała jej kawałek szarego sukna i mosiężne guziki, które kupiła dla syna. Był to śliczny materiał, gruby, ciepły, o matowym połysku — z pewnością przemycony przez blokadę i bardzo kosztowny. Teraz był już w rękach krawca, którego Melania poganiała, aby zdążył go uszyć na święta. Scarlett dałaby wszystko, co miała, aby móc Ashleyowi sprawić resztę munduru, ale potrzebnych materiałów nie można było w Atlancie dostać.

Przygotowała już wprawdzie dla niego prezent, ale drobny, tracący wszelkie znaczenie wobec wspaniałości podarunku Melanii. Była to podręczna torebka, uszyta z flaneli i zawierająca wszystkie cenne igły, przywiezione przez Retta z Nassau, trzy lniane chusteczki do nosa — z tego samego źródła — dwie szpulki nici i parę małych nożyczek. Chciała jednak dać mu jeszcze coś bardziej osobistego, coś takiego, co na przykład może żona dać mężowi — koszulę, parę rękawiczek czy kapelusz. Och tak, za wszelką cenę! Mała, płaska furażerka, którą nosił Ashley, wyglądała po prostu śmiesznie. Scarlett nie lubiła nigdy tych czapek. Mimo że nawet Stonewall Jackson nosił taką czapkę zamiast szerokiego filcowego kapelusza — uważała, że to mu bynajmniej nie przysparza godności. W Atlancie można było dostać tylko kapelusz z szorstkiej wełny, te zaś były nie o wiele lepsze od śmiesznych furażerek.

Rozmyślając o kapeluszu przypomniała sobie Retta Butlera. Miał niezliczoną ilość nakryć głowy — panamy na lato, wysokie cylindry na wizyty, małe kapelusiki do polowania oraz szerokie filcowe — brązowe, czarne i granatowe. Po co mu ich było aż tyle, gdy najukochańszemu jej Ashleyowi deszcz z pewnością kapał za kołnierz?

„Poproszę Retta, aby dał mi nowy, czarny kapelusz — postanowiła. — Przepaszę go szarą wstążką, przyszyję nowe naszywki Ashleya. Będzie wyglądał pięknie”.

Przerwała te marzenia, bo pomyślała, że trudno może będzie dostać kapelusz bez żadnego wyjaśnienia. Nie mogła się przyznać przecież, że kapelusz chciała dać Ashleyowi. Rett z pewnością podniósłby brwi w górę, jak zwykle, gdy choćby przelotnie wspominała imię Ashleya, i odmówiłby jej prawdopodobnie. Wymyśli więc jakąś żałosną historię o żołnierzu w szpitalu, któremu potrzebny jest kapelusz, i Rett nigdy się prawdy nie dowie.

Przez całe popołudnie tak manewrowała, aby zostać z Ashleyem choćby na parę minut sama, ale Melania nie opuszczała go ani na chwilę. Honey zaś i India z błyszczącymi z podniecenia oczyma chodziły za nim po domu krok w krok. Nawet stary pan Wilkes, najwidoczniej dumny z syna, nie miał sposobności spokojnie z nim porozmawiać.

To samo powtórzyło się przy kolacji, gdy wszyscy zasypywali Ashleya pytaniami na temat wojny. Wojna! Kogo obchodzi wojna? Scarlett nie sądziła, żeby Ashleya ten przedmiot bardzo interesował. Nie przestawał gawędzić, śmiał się często i prowadził rozmowę z większą swadą niż kiedykolwiek dawniej, ale powiedział właściwie bardzo niewiele. Opowiadał żarty i anegdoty o znajomych, wesoło wspominał trudy, głód, długie marsze podczas słoty i szczegółowo opisywał, jak wyglądał generał Lee, gdy przejeżdżając obok jego oddziału podczas odwrotu spod Gettysburga zapytał: „Panowie, czy należycie do wojsk Georgii? To dobrze, bo cóż byśmy poczęli bez was, georgijczyków?”

Scarlett wydawało się, że nie przestaje mówić, aby uniknąć odpowiedzi na pytania. Kiedy zauważyła, że Ashley spuszcza wzrok przed przenikliwym, pełnym smutku spojrzeniem swego ojca, zbudził się w niej lekki niepokój i zastanowienie, co też się kryje w sercu Ashleya? Te jednak uczucia szybko minęły, bo w duszy jej nie było miejsca na nic innego prócz zadowolenia z jego widoku i gorącego pragnienia porozmawiania z nim w spokoju.

Zadowolenie to trwało, dopóki wszyscy, siedzący półkolem przy kominku, nie zaczęli ziewać i pan Wilkes z córkami nie odszedł do swego hotelu. Wtedy zaś, gdy z Ashleyem, Melanią i ciotką Pittypat Scarlett wchodziła po schodach za niosącym lampkę wujem Piotrem, nagły mróz objął jej serce. Do chwili gdy razem stali w hallu na górze, Ashley był jej, tylko jej własnością, choć nie mogła z nim słowa na osobności zamienić. Teraz jednak, kiedy powiedzieli sobie dobranoc, zauważyła, że policzki Melanii pokrywają się nagle purpurą i że cała drży. Oczy miała wlepione w dywan i mimo że zdawała się być trochę przerażona, czuło się, że jest szczęśliwa. Nie podniosła nawet głowy, gdy Ashley otworzył przed nią drzwi sypialni, tylko szybko w nie weszła. Ashley pożegnał się krótko i wcale nie spojrzał w oczy Scarlett.

Drzwi zamknęły się za nim i Scarlett została sama, ogarnięta nagłą rozpaczą. Ashley nie należał już do niej. Należał do Melanii. I przez całe życie Melania będzie miała prawo wchodzić z nim do pokoju i zamykać za sobą drzwi — odgradzając się od reszty świata...

I oto Ashley znowu odjeżdżał z powrotem do Wirginii, z powrotem do długich marszów w mokrym śniegu, do biwaków na błocie, do trudów, niedostatku i ryzyka, że jasna uroda jego młodej głowy i dumnego ciała zmieciona zostanie w jednej chwili. Tydzień pełen niezwykłego piękna i blasku, godziny, wezbrane szczęściem, przeminęły na zawsze.

Minął szybko jak sen tydzień pachnący sośniną i choinką rozświetloną małymi świeczkami i pozłotką robioną w domu — tydzień, którego minuty upływały w takt podnieconego bicia serca. Był to ruchliwy tydzień, a wewnętrzna, dziwna jakaś potrzeba pchała jeszcze Scarlett do zapełniania każdej minuty zdarzeniami, które by mogła rozpatrywać po wyjeździe Ashleya, faktami, nad którymi mogłaby się zastanawiać do woli podczas miesięcy bez końca, czerpiąc z nich pociechę i ukojenie. Tańczyła, śpiewała, załatwiała sprawunki dla Ashleya, uprzedzała jego życzenia, uśmiechała się, gdy on się uśmiechał, śledziła za nim wzrokiem, tak że każda linia jego ciała, każde drgnienie powiek, każdy grymas ust zapisywał się niezatarcie w jej duszy — bo tydzień mija szybko, a wojna trwa wiecznie...

Teraz siedziała na kanapie w salonie, trzymając na kolanach swój pożegnalny prezent dla niego, czekała, aż pożegna się z Melanią, i modliła się, aby zszedł na dół sam i aby łaska Nieba pozwoliła jej na krótkie sam na sam. Łowiła chciwie dźwięki dochodzące z góry, ale dom był dziwnie cichy, tak cichy, że słyszała wyraźnie swój oddech. Ciotka Pitty łkała w swoim pokoju w poduszkę, bo Ashley pożegnał się z nią już przed pół godziną. Z sypialni Melanii nie słychać było ani odgłosu szeptów, ani płaczu. Scarlett wydawało się, że Ashley już całe godziny siedzi w tym pokoju; goryczą napełniał ją każdy moment, który spędzał z żoną, bo chwile mijały szybko, a czasu było już niewiele.

Przypomniała sobie wszystko, co chciała mu w ciągu ubiegłego tygodnia powiedzieć. Nie miała jednak sposobności i może teraz nie będzie jej miała.

Wiele głupstw takich, jak: „Ashleyu, przyrzeknij mi, że będziesz ostrożny, dobrze?”, „Proszę cię, uważaj, aby nie przemoczyć sobie nóg. Tak łatwo się zaziębiasz”, „Nie zapominaj wkładać gazet pod koszulę na piersi. To doskonale chroni przed wiatrem”. Było jeszcze i wiele innych spraw, które chciała poruszyć, wiele słów, znacznie ważniejszych, które chciała od niego usłyszeć lub wyczytać z jego oczu, gdyby ich nie mógł czy nie chciał wypowiedzieć głośno.

Tyle miała rzeczy do powiedzenia i tak mało czasu! Nawet te pozostałe chwile zostaną jej wydarte, jeżeli Melania odprowadzi go do drzwi czy do powozu. Dlaczego nie stworzyła odpowiedniej okazji w minionym tygodniu? Zawsze jednak Melania była u boku męża, a oczy jej pieściły go z uwielbieniem — albo też dniem i nocą dom pełen był przyjaciół i krewnych i w rezultacie Ashley nigdy nie był sam. Potem, późno w noc, drzwi sypialni zamykały się i zostawał sam na sam z Melanią. Ani razu w ciągu tych ostatnich dni nie zdradził się przed Scarlett spojrzeniem czy słowem, że czuje do niej cośkolwiek więcej niż przywiązanie, jakie ma brat do siostry czy przyjaciel dla długoletniej przyjaciółki. Nie mogła więc pozwolić, aby odjechał może na zawsze, a ona została w niepewności, czy jeszcze ją kocha. Gdyby poległ, mogłaby do końca swoich dni pielęgnować w sobie pociechę, że kochał ją potajemnie.

Po czekaniu, które zdawało się wiecznością, usłyszała wreszcie jego kroki w sypialni na górze, a potem odgłos otwarcia i zamknięcia drzwi. Usłyszała kroki jego na schodach. Był sam!

Dzięki niechaj będą Bogu za to! Melania była pewno zbyt przejęta rozstaniem, aby wyjść z pokoju. A więc będzie go miała dla siebie na kilka bezcennych chwil!

Schodził wolno po schodach, ostrogi jego dzwoniły i Scarlett słyszała ciche uderzenie szabli o cholewy. Kiedy wszedł do salonu, miał posępny wyraz oczu. Usiłował uśmiechnąć się, ale twarz miał tak bladą i umęczoną, jak twarz człowieka, z którego krew uchodzi. Scarlett wstała, gdy wszedł, myśląc z dumą, że był najprzystojniejszym żołnierzem, jakiego kiedykolwiek widziała. Pas jego i długie olstry lśniły, a srebrne ostrogi i pochwa szabli błyszczały od wielokrotnego czyszczenia. Nowa kurtka nie leżała zbyt dobrze, bo krawiec się spieszył i niektóre szwy wypadły krzywo. Szarość jej odcinała się od piaskowych, znoszonych i połatanych spodni i zniszczonych butów, lecz gdyby nawet nosił srebrną zbroję, nie mógłby się Scarlett wydawać piękniejszym rycerzem.

— Ashleyu — zaczęła prosić — czy mogę cię odprowadzić na stację?

— Proszę cię, zostań w domu, Scarlett... Ojciec i dziewczęta będą na dworze. Ponadto zaś wolę pożegnać się z tobą tutaj, niż zapamiętać cię marznącą na stacji. Wspomnienia są teraz bardzo ważne.

Momentalnie zmieniła plan. Jeżeli India i Honey, które tak bardzo jej nie lubią, będą go odprowadzały, nie zdoła z nim spokojnie zamienić słowa.

— Wobec tego nie pójdę — powiedziała. — Popatrz, Ashleyu! Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent.

Onieśmielona teraz, w chwili gdy miała już mu wręczyć podarunek, wolno rozwinęła paczkę. Leżała w niej długa szarfa z grubego jedwabiu, zakończona ciężką frędzlą. Rett Butler przywiózł jej z Hawany przed kilkoma miesiącami żółty szal, bogato haftowany w kwiaty i czerwone i niebieskie ptaki. W ciągu ubiegłego tygodnia cierpliwie wypruła haft, rozcięła szal i zeszyła w długą szarfę.

— Scarlett, to przecież piękne! Czy zrobiłaś to sama? Będę zatem cenił to sobie tym więcej. Pomóż mi to włożyć, moja droga. Chłopcy pozielenieją z zazdrości, gdy mnie zobaczą wystrojonego w nową kurtkę i w taką szarfę.

Owinęła jaskrawy pas jedwabiu dokoła jego smukłej talii, a końce szarfy zawiązała w węzeł. Wprawdzie Melania dała mu nową kurtkę, ale szarfa była jej darem, jej nagrodą, czymś, na co będzie mógł patrzeć w bitwie, co będzie mu ją przypominało. Odstąpiła w tył i oglądała go z dumą, myśląc sobie, że nawet sam generał Stuart w swojej szarfie i pióropuszu nie wygląda tak wspaniale jak jej ukochany.

— To piękne — powtarzał rozczesując frędzle. — Zdaje mi się jednak, że pocięłaś sobie suknię czy szal na tę szarfę. Nie powinnaś była tego robić, Scarlett. W dzisiejszych czasach tak trudno o ładne rzeczy.

— Och, Ashleyu, ja bym...

Chciała powiedzieć: „Ja bym serce pokrajała, abyś mógł je nosić” — ale rzekła tylko:

— ...ja bym wszystko zrobiła dla ciebie.

— Czy naprawdę? — zapytał i twarz jego rozjaśniła się trochę. — A więc, Scarlett, możesz coś dla mnie zrobić, coś, co ułatwi mi rozstanie.

— Co takiego? — zapytała radośnie, gotowa przyrzec rzeczy najtrudniejsze.

— Scarlett, czy możesz mi przyrzec, że będziesz się opiekowała Melą w moim zastępstwie?

— Opiekowała się Melą?

Gorzkie rozczarowanie wypełniło jej serce. Więc to była jego ostatnia prośba, kiedy tak chciała przyrzec mu coś pięknego, coś efektownego! Potem zaś ogarnął ją gniew. Ta chwila była jej własna, jej i Ashleya. A przecież mimo że Melanii nie było, cień jej stał i teraz między nimi. Jakże mógł prosić ją o taką rzecz?

On jednak nie zauważył rozczarowania na jej twarzy. Jak dawniej oczy jego patrzyły poprzez nią gdzieś dalej, wcale jej nie widząc.

— Tak, opiekuj się nią, pilnuj jej. Ona jest bardzo wątła, a wcale nie zdaje sobie z tego sprawy. Zniszczy się zupełnie, pielęgnując chorych i szyjąc. I taka jest łagodna i nieśmiała. Poza ciotką Pitty, wujem Henrykiem i tobą nie ma żadnych bliskich krewnych, tylko kuzynów z trzeciej linii w Macon. Ciotka Pitty, Scarlett, wiesz najlepiej, jaka ona dziecinna. Wuj Henryk jest starym człowiekiem. Melania kocha cię bardzo, nie tylko dlatego, że byłaś żoną Karola, ale dlatego — no, dlatego, że jesteś sobą. Kocha cię jak siostrę. Scarlett, trapią mnie koszmary, kiedy pomyślę, co się z nią stanie, jeżeli mnie zabiją i nie będzie się miała do kogo zwrócić! Czy mi przyrzekasz?

Nie słyszała nawet jego ostatniego pytania, tak bardzo przeraziła się złowrogich słów: „Jeżeli mnie zabiją”.

Co dzień czytała listy poległych, czytała ze ściśniętym sercem, czując, że świat się dla niej skończy, jeżeli zabiją Ashleya. Zawsze jednak, zawsze miała wewnętrzne przekonanie, że nawet gdy cała armia Konfederacji zostanie rozbita, Ashley się uratuje. Teraz zaś on sam wypowiedział te straszne słowa! Pokryła się gęsią skórką, a później zimnym potem, bo ogarnął ją zabobonny strach, którego nie mogła zwalczyć rozumem. Była w dostatecznej mierze Irlandką, aby wierzyć w przeczucia, zwłaszcza zaś w przepowiednie śmierci, a w szarych oczach Ashleya wyczytała głęboki smutek, który tłumaczyła sobie jako smutek człowieka dotkniętego zimnym palcem śmierci.

— Nie mów tak! Nie myśl tak nawet! To zły omen mówić na głos o śmierci! Och, zmów jakąś modlitwę, szybko!

— Ty ją za mnie zmówisz i zapalisz na dodatek kilka świeczek — rzekł uśmiechając się z powodu jej przerażenia.

Ona jednak nie mogła odpowiedzieć, tak była przerażona obrazami, które przed sobą widziała, obrazem Ashleya leżącego na śniegu w Wirginii i umierającego z daleka od niej... On tymczasem mówił dalej, a w głosie jego brzmiała nuta takiego smutku, takiej rezygnacji, że strach jej wzmógł się jeszcze, a gniew i rozczarowanie znikły bez śladu.

— Proszę cię o to dlatego, Scarlett, że nie wiem, co się stanie ze mną ani z kimkolwiek z nas. Kiedy jednak przyjdzie koniec, będę z dala stąd, nawet jeżeli wyżyję... zbyt daleko, aby móc się opiekować Melanią.

— Ko... koniec? Czego?

— Koniec wojny... i koniec świata.

— Ależ Ashleyu, ty chyba nie myślisz, że Jankesi nas pobiją? Przez cały tydzień opowiadałeś, jak silny jest generał Lee...

— Przez cały tydzień kłamałem, jak wszyscy mężczyźni, którzy przyjeżdżają na urlop. Po cóż miałbym przerażać Melanię i ciotkę Pitty, gdy mogę im teraz tego strachu zaoszczędzić? Tak, Scarlett, myślę, że Jankesi nas zwyciężą. Gettysburg był początkiem końca. Wy tutaj w domu jeszcze o tym nic nie wiecie. Nie uświadamiacie sobie, jak sprawy stoją... Scarlett, niektórzy z moich żołnierzy chodzą boso, a śnieg w Wirginii jest głęboki... A kiedy widzę ich biedne, odmrożone nogi, owinięte szmatami i starymi workami, kiedy widzę krwawe ślady na śniegu i wiem, że ja mam parę butów, chciałbym oddać buty i także chodzić boso.

— Och, Ashleyu, musisz mi przyrzec, że tego nie zrobisz!

— Kiedy zaś potem patrzę na Jankesów, widzę koniec wszystkiego. Przecież, Scarlett, Jankesi kupują sobie w Europie żołnierzy całymi tysiącami! Większość jeńców, których ostatnio pojmaliśmy, nie mówi nawet po angielsku. To Niemcy, Polacy i dzicy Irlandczycy, którzy mówią po gaelicku. A kiedy my tracimy człowieka, nie mamy go kim zastąpić. Kiedy niszczy się nam para butów, nie mamy drugiej. Jesteśmy osaczeni ze wszystkich stron, Scarlett. A nie możemy przecież walczyć z całym światem.

Myślała z gwałtownością: „Niechby cała Konfederacja rozpadła się w proch! Niechaj się świat skończy, bylebyś ty nie umarł! Nie mogłabym żyć, gdybyś ty zginął!”

— Mam nadzieję, że nie powtórzysz nikomu tego, co tobie, Scarlett, powiedziałem. Nie chcę nikogo straszyć. I, moja droga, nie niepokoiłbym i ciebie tymi rzeczami, gdybym nie musiał ci wytłumaczyć, dlaczego chcę, abyś opiekowała się Melą. Ona jest słaba i wątła, a ty jesteś silna, Scarlett. Sprawi mi to wielką ulgę, jeżeli zyskam pewność, że będziecie razem, w wypadku, gdy się coś stanie. Przyrzekasz mi, prawda?

— O, tak! — zawołała, bo w tej chwili, widząc śmierć koło niego, przyrzekłaby mu wszystko. — Ashleyu, Ashleyu! Ja nie chcę, abyś odjeżdżał! Nie mogę tego po prostu znieść!

— Musisz być odważna — odrzekł i głos trochę mu się zmienił. Stał się dźwięczniejszy, głębszy i słowa padały teraz szybciej, jak gdyby gnała je wewnętrzna potrzeba.

— Musisz być dzielna. Bo jakże ja to inaczej zniosę?

Oczyma poszukała jego wzroku, szybko i radośnie, zastanawiając się, czy chciał powiedzieć, że rozstanie się z nią łamie mu serce tak samo jak jej. Twarz miał równie bolesną jak w chwili, gdy wszedł do pokoju. Z oczu niczego nie mogła wyczytać. Pochylił się teraz, wziął twarz jej w dłonie i pocałował ją lekko w czoło.

— Scarlett! Scarlett! Ty jesteś piękna, mocna i dobra. Piękna jest nie tylko twoja twarz, moja droga, ale ty cała — ciało twoje, serce i dusza.

— Och, Ashleyu — wyszeptała, szczęśliwa i wzruszona jego słowami i dotknięciem jego ust. — Nikt, tylko ty...

— Wierzę, że znam cię lepiej niż większość ludzi, i widzę w tobie te wszystkie głęboko ukryte piękne rzeczy, których inni z pośpiechu czy bezmyślności nie dostrzegają.

Umilkł nagle, puścił jej twarz, ale nie przestał patrzeć w jej oczy. Czekała chwilę w napięciu, czy powie coś jeszcze, wytężała słuch, czy usłyszy magiczne dwa słowa. Nie doczekała się ich jednak. Patrzyła zapamiętale w jego twarz, a wargi jej drżały — bo czuła, że Ashley nic już nie powie.

Tego drugiego zawodu serce jej nie mogło znieść. Wyszeptała cicho: „och” i usiadła, bo oczy jej napełniły się łzami. Naraz usłyszała złowróżbny hałas, który jej uświadomił nieodwołalność wyjazdu Ashleya. Poganin, słyszący pluskanie wody dokoła łodzi Charona, z pewnością nie czuł się gorzej niż ona w owej chwili. Wuj Piotr, nakryty derką, podjechał przed dom i czekał na Ashleya.

Ashley powiedział bardzo cicho: — Do widzenia! — wziął ze stołu duży filcowy kapelusz, który Scarlett wycyganiła od Retta, i skierował się w stronę ciemnego przedpokoju. Z ręką na klamce odwrócił się i spojrzał na nią długim, rozpaczliwym spojrzeniem, jak gdyby chciał na zawsze zapamiętać każdy szczegół jej twarzy i postaci. Poprzez mgłę łez patrzyła na jego twarz, ból serca mówił jej teraz, że Ashley odjeżdża, że będzie z dala od jego opieki, z dala od bezpiecznej przystani domu, z dala od jej życia, może już na zawsze — nie powiedziawszy tych słów, które tak bardzo chciała usłyszeć. Czas biegł szybko jak górski potok i teraz było już za późno. Potykając się przebiegła przez salon, wpadła do przedpokoju i zatrzymała Ashleya, chwytając go za końce szarfy. — Pocałuj mnie — szepnęła. — Pocałuj mnie na pożegnanie! Ramiona jego otoczyły ją łagodnie, pochylił głowę ku jej twarzy. Czując dotknięcie jego warg na swoich otoczyła mu momentalnie szyję ramionami i mocno pocałowała. Przez mgnienie oka przycisnął całe jej ciało do swego Potem poczuła nagle naprężenie wszystkich jego mięśni. Rzucił niecierpliwie kapelusz na podłogę i oderwał jej ręce od swojej szyi.

— Nie, Scarlett, nie — rzekł cicho trzymając jej obie ręce w uścisku, który bolał.

— Kocham cię — powiedziała zdławionym głosem. — Zawsze cię kochałam. Nigdy nie kochałam nikogo innego. Wyszłam za Karolka, bo myślałam, że sprawi ci to przykrość. Och, Ashleyu, kocham cię tak bardzo, że poszłabym za tobą pieszo do Wirginii, byle być blisko ciebie. Gotowałabym dla ciebie, czyściła buty i konia. Ashleyu, powiedz, że mnie kochasz! Będę to wspominała do końca swoich dni!

Pochylił się raptownie, aby podnieść kapelusz, i wtedy zobaczyła jego twarz. Była to najbardziej zbolała twarz, jaką kiedykolwiek miała widzieć — twarz, z której opadła maska. Malowała się na niej miłość do niej, radość, że go kocha — przede wszystkim jednak wstyd i rozpacz.

— Do widzenia — powiedział ochryple.

Drzwi wejściowe otworzyły się, zimny wiatr wpadł do domu i poderwał firanki. Scarlett drżała patrząc, jak Ashley biegnie w stronę powozu, jak rozwiewają się frędzle jego szarfy, jak szabla jego błyszczy w mdłym świetle zimowego dnia.

## ROZDZIAŁ XVI

Styczeń i luty roku 1864 minęły zimne i deszczowe, znacząc się coraz powszechniejszym przygnębieniem i smutkiem. Niezależnie od klęsk pod Gettysburgiem i Vicksburgiem, front środkowy Południa został przełamany. Po ciężkich walkach całe prawie terytorium stanu Tennessee zajęte zostało przez Jankesów. Nawet jednak i ta strata nie zdołała złamać ducha południowców. Prawda, że ponura determinacja zajęła miejsce radosnych nadziei, ale ludzie ciągle jeszcze spodziewali się, że spod chmury wyjrzy wreszcie słońce, tym bardziej iż Jankesi zostali we wrześniu odparci, gdy po zwycięstwie w Tennessee usiłowali zająć Georgię.

Na południowo-zachodnim krańcu stanu, pod Chickamauga, po raz pierwszy od wybuchu wojny odbyła się ogromna bitwa na ziemi Georgii. Jankesi zajęli Chattanooga i pomaszerowali przez przełęcze górskie do Georgii, ponieśli jednak ciężkie straty.

Atlanta i jej koleje odegrały poważną rolę przy przechyleniu szali zwycięstwa pod Chickamauga na stronę Południa. Dzięki kolei, która prowadziła z Wirginii do Atlanty i dalej do Tennessee, wojska generała Longstreeta szybko przetransportowano na pole walki. Z mierzącej siedemset mil linii usunięto wszystkie pociągi, a wszystkie wagony oddano wojsku, aby nic nie stało na przeszkodzie transportowi posiłków.

Atlanta przyglądała się przejeżdżającym przez miasto pociągom, wagonom pasażerskim, towarowym i otwartym platformom, pełnym wykrzykujących mężczyzn. Jechali głodni i niewyspani, bez koni, ambulansów i zapasów żywności, i nie czekając na nie, prosto z pociągów rzucali się w wir bitwy. Jankesi zostali więc wyparci z Georgii z powrotem do Tennessee.

Było to jedno z większych dokonań wojny, Atlanta więc dumna była z tego, że to jej pociągi przyczyniły się do zwycięstwa.

Południe bardzo jednak potrzebowało dobrych wieści spod Chickamauga, aby podnieść się na duchu na czas zimy. Nikt już teraz nie przeczył, że Jankesi są dobrymi żołnierzami i że mają dobrych dowódców. Grant był rzeźnikiem, który nie dbał o to, ilu ludzi wysyła na śmierć dla jednego zwycięstwa, ale zwycięstwa odnosił. Nazwisko Sheridana napawało strachem serca południowców. Poza tym słyszało się coraz częściej nazwisko jakiegoś Shermana. Wybił się podczas walk w Tennessee i na Zachodzie i sława jego jako zdecydowanego i bezwzględnego wojownika ustalała się coraz pewniej.

Rozumie się, że żaden z nich nie mógł się równać z generałem Lee. Wiara w generała i w armię jeszcze nie osłabła. Pewność bliskiego zwycięstwa trwała niezachwianie. Wojna jednak ciągnęła się zbyt długo. Tylu zabitych, tylu rannych i okaleczonych, tyle wdów i sierot... I wiadomo było, że walki potrwają jeszcze długo, co znaczyło jeszcze więcej zabitych i rannych, więcej wdów i sierot.

Sprawę; pogarszała nieufność do rządu, która z wolna ogarniała ludność cywilną. Wiele gazet jawnie oskarżało prezydenta Davisa i jego sposób prowadzenia wojny. W rządzie Konfederacji były rozdźwięki i tarcia między prezydentem a generałem. Waluta spadała z dnia na dzień. Butów i odzieży dla armii było mało, żywności i lekarstw jeszcze mniej. Koleje potrzebowały nowych wagonów i nowych szyn dla zastąpienia tych, które niszczyli Jankesi. Generałowie w polu domagali się nowych zaciągów, a o rekruta było coraz trudniej. Co gorsza, gubernatorzy niektórych stanów, jak Brown z Georgii, odmawiali wysłania oddziałów milicji i broni poza granice stanów. W oddziałach stanowych służyło wiele tysięcy zdolnych do noszenia broni mężczyzn, których armia potrzebowała, ale rząd na próżno domagał się ich przysłania.

Po ponownym spadku waluty ceny znowu podskoczyły. Wołowina, wieprzowina i masło kosztowały po trzydzieści pięć dolarów funt, mąka — tysiąc czterysta dolarów worek, soda — sto dolarów, herbata — pięćset dolarów funt. Ciepła odzież, o którą zresztą było bardzo trudno, osiągnęła tak niemożliwe ceny, że panie z Atlanty podszywały stare suknie gałgankami i gazetami, aby ochronić się przed chłodem. Buty kosztowały od dwustu do ośmiuset dolarów para, w zależności od tego, czy zrobione były z tektury, czy z prawdziwej skóry. Panie nosiły teraz bambosze ze starych wełnianych szali lub pociętych dywanów. Podeszwy robione były z drzewa.

Prawda polegała na tym, że Północ trzymała Południe w stanie nie kończącego się oblężenia, choć mało kto zdawał sobie z tego sprawę. Okręty wojenne Jankesów zacieśniały w portach swoją blokadę, przez którą trudno się było przedostać.

Południe żyło zawsze z bawełny, artykuły zaś, których nie produkowało, importowano — teraz jednak nie można było ani sprzedawać, ani kupować. Gerald O’Hara miał trzyletni zbiór bawełny w spichrzach, ale mało było z tego korzyści. W Liverpoolu dostałby za nią sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, nie było jednak sposobu wywiezienia bawełny do Anglii. Gerald z bogacza stał się człowiekiem, który nie wie, z czego wyżywi zimą rodzinę swoją i Murzynów.

Większość plantatorów bawełny na Południu była w tej samej sytuacji. Z powodu zacieśnienia się blokady nie można było wywieźć zbiorów na rynki angielskie, tym samym więc nie było pieniędzy na zakup potrzebnych artykułów. Potrzeby zaś rolniczego Południa, prowadzącego wojnę z przemysłową Północą, zwiększały się stale — zwłaszcza potrzebowano rzeczy, których nigdy w czasie pokoju nie sprowadzano.

Sytuacja ta była wymarzona dla spekulantów i paskarzy, nie brakło więc ludzi, którzy ją wykorzystywali. W miarę jak żywności i odzieży było mniej, a ceny coraz bardziej skakały, oburzenie na spekulantów stawało się powszechniejsze i groźniejsze. Na samym początku 1864 r. nie można było otworzyć gazety, aby nie napotkać pełnych oburzenia artykułów wstępnych, w których spekulantów nazywano sępami i pijawkami i apelowano do rządu, aby zabrał się do nich silną ręką. Rząd robił, co mógł, wysiłki te spełzły jednak na niczym, ponieważ gnębiły go jeszcze i inne zmartwienia. Opinia nie zwracała się przeciw nikomu tak ostro jak przeciw Rettowi Butlerowi. Sprzedał statki, gdy przemyt przez blokadę stał się zbyt niebezpieczny, i teraz otwarcie zajmował się spekulacją artykułami żywnościowymi. Wiadomości o nim, dochodzące z Richmondu czy Wilmingtonu, sprawiały, że ci, którzy przyjmowali go dawniej, palili się teraz ze wstydu.

Mimo tych wszystkich utrapień i przykrości ludność Atlanty wzrosła podczas wojny z dziesięciu tysięcy do dwudziestu. Nawet blokada dodała miastu splendoru. Od niepamiętnych czasów największą rolę w handlu i największe znaczenie miały na Południu miasta nadbrzeżne, teraz jednak, gdy porty były zamknięte, a miasta wybrzeża oblężone czy zajęte przez wroga, Południe zdane zostało wyłącznie na siebie. Do głosu doszła część centralna, mogąca przyczynić się do wygrania wojny, i Atlanta stała się głównym ośrodkiem życia. Ludność miasta cierpiała nędzę, głód, choroby i śmierć w tym samym stopniu, co reszta Konfederacji; ale miasto Atlanta zyskało raczej, niż straciło na wojnie. Atlanta, serce Konfederacji, pulsowała żywo, a koleje, które były jej arteriami, tętniły nie kończącym się strumieniem ludzi, broni, towarów.

W innych czasach Scarlett trapiłaby się z powodu swoich nędznych sukien i łatanych butów, teraz jednak nie dbała o to, ponieważ jedyny człowiek, na którym jej zależało, i tak nie mógł jej oglądać. Była szczęśliwa podczas tych dwóch miesięcy, szczęśliwsza niż w ubiegłych latach. Czyż nie czuła bicia serca Ashleya w chwili, gdy objęła go za szyję? Czyż nie widziała wyrazu rozpaczy na jego twarzy, wyznania więcej mówiącego od słów? Kochał ją. Była tego pewna teraz, przekonanie to zaś było tak przyjemne, że stała się nawet lepsza dla Melanii. Mogła teraz Melanii żałować — żałować i trochę nią gardzić za jej ślepotę i głupotę.

„Gdy wojna wreszcie się skończy... myślała. — Gdy się skończy, wtedy...”

Czasem zastanawiała się z lekkim niepokojem: „Co wtedy?” Myśl tę odrzucała jednak szybko. Gdy wojna się skończy, wszystko się jakoś ułoży. Jeżeli Ashley kocha ją, nie zechce przecież żyć z Melanią. O rozwodzie jednak także nie można było myśleć, Ellen i Gerald, gorliwi katolicy, nigdy by nie pozwolili jej poślubić rozwiedzionego mężczyzny. Znaczyłoby to, że wyrzeka się Kościoła! Scarlett rozmyślała nad tym i postanowiła, że jeżeli dojdzie do wyboru między Kościołem a Ashleyem, wybierze Ashleya. Ale, ach, jaki to będzie skandal! Rozwodnicy byli na indeksie nie tylko Kościoła, ale i towarzystwa. Rozwiedzionych nie przyjmowano nigdzie. Ona jednak gotowa była poważyć się dla Ashleya i na to. Wszystko była w stanie dla niego poświęcić.

Każda rzecz ułoży się jakoś pomyślniej, gdy wojna się skończy. Jeżeli kocha ją tak bardzo, znajdzie na wszystko sposób. Albo ona mu jakiś sposób podsunie. I z każdym dniem, który mijał, coraz silniej upewniała się w swoim sercu, że Ashley ją kocha, coraz mocniej była przekonana, że gdy Jankesi zostaną wreszcie zwyciężeni, wszystko ułoży się jak najpomyślniej. Ashley wprawdzie mówił, iż Jankesi zwyciężą Południe, Scarlett uważała to jednak za puste gadanie. Musiał być zmęczony i smutny, gdy to powiedział. W gruncie rzeczy nie obchodziło ją to wcale, czy Jankesi zwyciężą, czy nie. Najważniejsze było, aby wojna skończyła się szybko i Ashley mógł wrócić do domu.

Nagle, kiedy roztopy marcowe uniemożliwiły wychodzenie z domu, padł straszny cios. Melania z oczyma błyszczącymi z radości, z głową pochyloną powiedziała jej, że spodziewa się dziecka.

— Doktor Meade powiada, że urodzi się w końcu sierpnia lub we wrześniu — rzekła. — Przypuszczałam tak, ale do dzisiaj nie miałam pewności. Och, Scarlett, czy to nie nadzwyczajne? Tak ci zazdrościłam Wade’a i tak pragnęłam mieć dziecko! I tak się bałam, że nie będę miała dziecka, a chciałabym ich mieć kilkanaścioro!

Scarlett czesała się przed spaniem, kiedy jej Mela to powiedziała. Przerwała teraz czesanie, a ręka z grzebieniem zawisła jej w powietrzu.

— Boże złoty! — powiedziała i przez chwilę nie mogła niczego zrozumieć. Potem nagle przypomniała sobie zamknięte drzwi sypialni Meli i przeszył ją ból tak ostry, jak gdyby Ashley był własnym jej mężem i dowiedziała się teraz o jego zdradzie. Dziecko Ashleya. Och, jakże on mógł, kiedy kochał ją, a nie Melę.

— Wiem, że jesteś zdziwiona — paplała Melania jednym ciągiem. — Czy to nie nadzwyczajne? Och, Scarlett, nie wiem zupełnie, jak o tym napisać Ashleyowi! Nie wstydziłabym się tak bardzo, gdybym mu to mogła powiedzieć osobiście — czy też... właściwie nie powiedzieć, ale dać mu stopniowo do zrozumienia... no wiesz...

— Boże złoty! — rzekła Scarlett, prawie z jękiem. Grzebień wypadł jej z ręki i musiała się oprzeć o toaletkę, aby nie upaść.

— Kochanie, co się z tobą dzieje? Wiesz przecież sama, że rodzenie dzieci to nic strasznego. Sama tak mówiłaś. Nie potrzebujesz się o mnie martwić, choć to ładnie z twojej strony, że się tym przejęłaś tak bardzo. Wprawdzie doktor Meade powiedział, że jestem... — Melania zarumieniła się w tym miejscu — że jestem bardzo wąsko zbudowana, ale wszystko powinno przejść dobrze i... Słuchaj, Scarlett, czyś ty napisała do Karolka i powiedziała mu o tym, że Wade ma się urodzić, czy też zrobiła to twoja matka lub pan O’Hara? Och gdybym ja miała matkę, która by mnie wyręczyła! Nie wiem po prostu, jak...

— Cicho! — rzekła Scarlett gwałtownie. — Cicho!

— Och, Scarlett, ja wiem, że jestem głupia! Przepraszam cię. Wiem, że wszyscy ludzie szczęśliwi są samolubni. Na chwilę... zupełnie zapomniałam o Karolku...

— Cicho! — powtórzyła znowu Scarlett starając się nad sobą zapanować i doprowadzić twarz do porządku. Melania nie powinna się dowiedzieć, co się w niej działo.

Melania, najtaktowniejsza z kobiet, miała teraz łzy w oczach z powodu swego egoizmu. Że też mogła przypomnieć Scarlett te straszne chwile wiedząc, iż Wade urodził się w wiele miesięcy po śmierci biednego Karola! Jakże mogła być tak bezmyślna?!

— Pozwól, abym cię rozebrała, kochanie — rzekła pokornie. — Natrę ci trochę głowę.

— Zostaw mnie w spokoju — rzekła Scarlett z kamiennym wyrazem twarzy. Melania zaś, wybuchając płaczem z żalu do siebie samej, uciekła z pokoju zostawiając Scarlett samą — szarpaną zranioną dumą, rozczarowaniem i zazdrością.

Wydawało jej się, że nie potrafi dłużej mieszkać pod jednym dachem z kobietą, która nosiła dziecko Ashleya, projektowała ucieczkę do Tary, do domu, gdzie było jej miejsce. Nie wiedziała, jak będzie mogła patrzeć na Melanię i nie wydać swej tajemnicy. Następnego ranka wstała zdecydowana, że natychmiast po śniadaniu spakuje kufry. Ale kiedy zasiadły do śniadania, Scarlett milcząca i ponura, Pitty niespokojna, a Melania smutna — przyniesiono telegram.

Zaadresowany był do Melanii i nadany przez służącego Ashleya, Mojżesza.

„Szukałem go wszędzie, ale nie mogę znaleźć. Czy wracać do domu?”

Żadna z kobiet nie wiedziała, co to znaczy, ale oczy ich spotkały się rozszerzone strachem i Scarlett zapomniała o decyzji powrotu do domu. Nie kończąc śniadania pojechały do miasta, aby zadepeszować do dowódcy Ashleya, w chwili jednak gdy wchodziły na pocztę, doręczono im telegram.

„Z żalem zawiadamiam, że major Wilkes nie wrócił z rekonesansu trzy dni temu. Wiadomości nadeślę”.

Powrót do domu był straszny: ciotka Pitty płakała w chusteczkę, Melania siedziała sztywno, a Scarlett skuliła się w kącie powozu. Natychmiast po powrocie Scarlett potykając się poszła do siebie, schwyciła ze stolika różaniec, padła na kolana i próbowała się modlić. Żadna modlitwa nie przychodziła jej jednak na pamięć. Ogarnął ją śmiertelny strach, pewność, że Bóg odwrócił od niej swe oblicze. Pokochała żonatego mężczyznę, chciała go zabrać żonie, Bóg więc pokarał ją za to jego śmiercią. Chciała się modlić, ale nie mogła oczu podnieść ku Niebu. Chciała płakać, ale nie miała łez. Łzy gniotły ją, paliły, ale spłynąć nie chciały.

Drzwi jej pokoju otwarły się nagle i weszła Melania. Twarz jej wyglądała jak serce wycięte z białego papieru w ramce czarnych włosów, a oczy były szeroko rozwarte jak oczy dziecka, które zabłąkało się w ciemności.

— Scarlett — rzekła wyciągając dłoń. — Musisz przebaczyć mi to, co powiedziałam wczoraj, bo ty jesteś wszystkim, co mi zostało. Och, Scarlett, ja wiem, że on nie żyje!

Nagle znalazła się w ramionach Scarlett, drobne jej piersi wznosiły się od łkań, i po chwili obie leżały na łóżku obejmując się mocno, i Scarlett także płakała, płakała z twarzą przyciśniętą do twarzy Melanii, a łzy jej mieszały się ze łzami Meli. Były bardzo bolesne, ale stokroć lepsze od tępego bólu. „Ashley nie żyje, nie żyje — myślała — i to ja go zabiłam swoją miłością!”

Zaczęła łkać na nowo, a Mela czerpiąc pociechę z jej łez objęła ją mocniej za szyję.

— Na szczęście — szeptała — na szczęście zostało mi jego dziecko.

„A mnie — myślała Scarlett, zbyt zbolała, aby móc myśleć o zazdrości — mnie nie zostało nic... nic... nic... tylko wspomnienie jego twarzy w chwili, gdy żegnał się ze mną”.

Pierwsza wiadomość brzmiała: „Zaginiony — prawdopodobnie zabity”, i to wydrukowano na liście ofiar. Melania z dziesięć razy depeszowała do pułkownika Sloana i wreszcie otrzymała list, pełen współczucia, wyjaśniający, że Ashley wyjechał ze swoim szwadronem na rekonesans i nie powrócił. Wobec pogłosek o utarczce za linią frontu Jankesów, Mojżesz, oszalały ze zmartwienia, naraził własne życie, szukając ciała, Ashleya, ale go nie znalazł. Melania, dziwnie teraz spokojna, przesłała mu pieniądze i polecenie, aby wracał do domu.

Kiedy na późniejszej liście wydrukowano „Zaginiony — prawdopodobnie w niewoli”, nadzieja i radość ożywiły smutny dom. Melanii nie można było wyciągnąć z poczty; wychodziła do każdego pociągu w nadziei, że otrzyma list. Czuła się teraz źle, ciąża dawała jej się w nieprzyjemny sposób we znaki, ale nie słuchała zaleceń doktora Meade i nie chciała leżeć w łóżku. Ogarnęła ją gorączkowa energia. Nie mogła usiedzieć w miejscu; nocami zaś, długo po tym, gdy Scarlett się kładła, słychać było jej kroki w sąsiednim pokoju.

Pewnego dnia wróciła do domu podtrzymywana w powozie przez Retta Butlera. Zemdlała na poczcie, a Rett, który przechodził, zobaczył jakieś zbiegowisko i odwiózł ją do domu. Zaniósł ją po schodach do sypialni i podczas gdy zaniepokojeni domownicy kręcili się na wszystkie strony w poszukiwaniu grzejki, kołder i koniaku, Rett układał Melę na łóżku.

— Pani Melanio — zapytał nagle — prawda, że spodziewa się pani dziecka?

Gdyby nie to, że Melania była ledwie żywa, zbolała na ciele i duchu, zemdlałaby słysząc takie pytanie. Nawet w towarzystwie znajomych kobiet rumieniła się, gdy ktoś wspominał o jej stanie, wizyty zaś u doktora Meade były dla niej koszmarem. Zupełnie nie była przygotowana na takie pytanie ze strony mężczyzny, i to w dodatku Retta Butlera. Ponieważ jednak leżała bezwładnie na łóżku, skinęła tylko głową. Zrobiwszy to, trochę się uspokoiła, bo Rett miał bardzo współczującą minę i widać było, że się tą nowiną przejął.

— Musi pani zatem więcej dbać teraz o siebie. Takie męczenie się i martwienie nic pani nie pomoże, a dziecku może zaszkodzić. Jeżeli mi pani pozwoli, pani Melanio, użyję wszystkich moich stosunków w Waszyngtonie i dowiem się, co się dzieje z panem Wilkesem. Jeżeli jest jeńcem, będzie na liście jankeskiej, jeżeli zaś nie będzie go tam... to... każda pewność lepsza jest od niepewności. Musi pani jednak przyrzec to, o co proszę. Niech się pani pilnuje, bo inaczej Bóg mi świadkiem, że nie ruszę palcem w tej sprawie.

— Och, jaki pan jest dobry! — zawołała Melania. — Jak też ludzie mogą opowiadać o panu takie straszne rzeczy? — I zawstydzona swoim brakiem taktu i tym, że o stanie swoim rozmawiała z mężczyzną, zaczęła cicho płakać. Kiedy Scarlett wpadła do pokoju z gorącą cegłą, owiniętą w flanelę, zastała Retta głaszczącego Melę po dłoni.

Rett dotrzymał słowa. Ani Scarlett, ani Mela nie dowiedziały się nigdy, jakich użył wpływów. Bały się pytać, wiedząc, że odpowiedź byłaby dowodem jego ścisłego kontaktu z Jankesami. Upłynął miesiąc, zanim otrzymał wiadomość, która napełniła je początkowo radością, potem zaś stała się źródłem niepokoju i rozpaczy.

Ashley żył! Był ranny i wzięty do niewoli, dokumenty zaś stwierdzały, że znajduje się w Rock Island, obozie jeńców w stanie Illinois. W pierwszej chwili myślały tylko o tym, że żyje. Ale kiedy wrócił im spokój, popatrzyły na siebie i powiedziały: „Rock Island” takim samym głosem, jak gdyby powiedziały: „Piekło!” Bo podobnie jak nazwa Andersonville budziła grozę na Północy, dźwięk słowa Rock Island wywoływał dreszcz w sercu każdego południowca, który tam miał krewnych.

Kiedy Lincoln odmówił wymiany jeńców uważając, że wojna będzie prędzej zakończona, jeżeli Konfederacja będzie musiała żywić i pilnować jeńców Unii — tysiące żołnierzy jankeskich znajdowały się w Andersonville, w Georgii. Konfederacja miała wówczas mało żywności, brakło jej opatrunków i lekarstw dla własnych chorych i rannych. Nie miała się czym dzielić z jeńcami. Jeńców karmiono tym samym, co żołnierzy w polu, tłustą wieprzowiną i suchą fasolą. Jankesi więc, tak żywieni, padali jak muchy, czasem po stu dziennie. Rozgniewany tymi raportami rząd Północy zaczął z kolei ostrzej traktować jeńców Konfederacji; najgorszym obozem stał się obóz w Rock Island. Pożywienia było tam mało, jedną kołdrą nakrywali się trzej mężczyźni, a ospa, zapalenie płuc i tyfus tak się krzewiły, że miejsce to zaczęto nazywać „zadżumionym”. Trzy czwarte jeńców wymarło w tym obozie. I w tym właśnie strasznym miejscu był Ashley! Ashley żył, ale był ranny i internowany w Rock Island, w Illinois, a w chwili gdy go pojmano, leżał tam jeszcze z pewnością głęboki śnieg! Czy nie umarł od ran, od czasu gdy Rett otrzymał tę wiadomość? Czy nie zaraził się ospą? Czy może leżał w gorączce i nie miał kołdry do nakrycia?

— Och, panie kapitanie, czy nie ma sposobu... Czy nie może pan użyć swoich wpływów, aby go wymieniono? — wołała Melania.

— Prezydent Lincoln, sprawiedliwy i miłosierny, on, płaczący rzewnymi łzami nad panią Bisby, która straciła pięciu synów, nie uroni ani jednej łzy nad tysiącami Jankesów, ginących w Andersonville — rzekł Rett, a usta drżały mu z oburzenia. — Nie przejmie się nawet i tym, że wszyscy wymrą. Wydał już rozkaz. Nie ma wymiany jeńców. Ja... nie mówiłem pani jeszcze, o tym, pani Melanio, ale mąż pani mógł się wydostać z obozu i nie skorzystał z tego.

— Och, to niemożliwe! — zawołała Melania z niedowierzaniem.

— Owszem, to prawda. Jankesi rekrutują żołnierzy do służby nadgranicznej i walki z Indianami, i rekrutują ich właśnie spośród żołnierzy Konfederacji. Każdy jeniec, który złoży przysięgę na wierność i zaciągnie się na dwa lata do oddziałów walki z Indianami, zostaje z niewoli zwolniony i wysłany na Zachód. Pan Wilkes jednak odmówił.

— Och, jakże on mógł to zrobić? — zawołała Scarlett. — Dlaczego nie złożył przysięgi? Mógłby zdezerterować i wrócić do domu, a z więzienia byłby się przecież wydostał.

Melania rzuciła się na nią jak furia.

— Jak możesz przypuszczać, że Ashley mógłby coś takiego zrobić? Zdradzić Konfederację, złożyć nikczemną przysięgę, a potem złamać słowo dane Jankesom! Wolałabym usłyszeć, że umarł w Rock Island, niż wiedzieć, że złożył przysięgę. Jeżeli umrze w więzieniu, będę z niego dumna. Gdyby jednak zrobił coś takiego, nie mogłabym mu nigdy spojrzeć w oczy. Nigdy! Dobrze rozumiem, dlaczego odmówił!

Gdy Scarlett odprowadzała Retta do drzwi, zapytała z oburzeniem:

— Gdyby pan był na miejscu Ashley’a, czy nie zaciągnąłby się pan do wojska Jankesów, aby nie umrzeć w tym zapowietrzonym miejscu, i czy nie uciekłby pan potem?

— Rozumie się, żebym to zrobił — odparł Rett błyskając zębami pod wąsem.

— Dlaczego więc Ashley tego nie zrobił?

— Ponieważ jest dżentelmenem — rzekł Rett, Scarlett zaś zastanawiała się długo, jak można zmieścić tyle cynizmu i pogardy w jednym tak czcigodnym słowie.

# CZĘŚĆ TRZECIA

## ROZDZIAŁ XVII

Nadszedł maj roku 1864 — tak gorący i suchy, że kwiaty więdły w pąkach — i oto Jankesi pod wodzą generała Shermana znowu wkroczyli do Georgii od strony Daltonu, o sto mil na północny zachód od Atlanty. Krążyły pogłoski, że tam, na pograniczu Georgii i Tennessee, będą się toczyły ostre walki. Jankesi gotowali się do zaatakowania Kolei Zachodniej i Atlantyckiej, linii łączącej Atlantę z Tennessee i Zachodem, tej samej, po której jesienią przewożono wojska do zwycięskiej bitwy pod Chickamauga.

Atlanta nie była przejęta perspektywą walki pod Daltonem. Miejsce, w którym koncentrowały się wojska jankeskie, odległe było zaledwie o kilka mil na południowy wschód od pola bitwy pod Chickamauga. Raz już Jankesów odparto, gdy chcieli się przedrzeć przez przełęcze górskie w tej okolicy, więc i teraz zostaną odparci.

Atlanta, a z nią cały stan wiedział, że Georgia ma zbyt ważne znaczenie dla Konfederacji, aby generał Józef Johnston pozwolił Jankesom zbyt długo zabawić w jej granicach. Stary Joe na czele swojej armii nie przepuści ani jednego Jankesa na południe od Daltonu, ponieważ zbyt wiele zależy od normalnego toczenia się spraw w Georgii. Nie zniszczony wojną stan stanowił ogromny spichrz, fabrykę i magazyn Konfederacji. Produkował większą część broni i prochu dla wojska oraz znaczną ilość towarów wełnianych i bawełnianych. Pomiędzy Atlantą a Daltonem leżało miasto Roma, z odlewnią dział i innymi gałęziami przemysłu, oraz Etowah i Allatoona, gdzie znajdowały się największe odlewnie żelaza na południe od Richmondu. W Atlancie samej były nie tylko fabryki pistoletów i siodeł, namiotów i sprzętu wojennego, ale największe na Południu walcownie, dyrekcje głównych kolei i olbrzymie szpitale. Co więcej — Atlanta była punktem węzłowym czterech kolei, od których losy Konfederacji były ściśle zależne.

Nikt zatem nie martwił się zbytnio. Ostatecznie Dalton był bardzo daleko, bo tuż przy granicy Tennessee, wojna zaś w Tennessee toczyła się od trzech lat i ludzie przyzwyczaili się już do myśli, że stan ten jest odległym polem walki, tak prawie odległym jak Wirginia czy dorzecze Missisipi. Ponadto od Jankesów oddzielał Atlantę stary Joe, wszyscy zaś wiedzieli dokładnie, że po śmierci Stonewalla Jacksona nie ma, poza samym generałem Lee, lepszego odeń dowódcy.

Doktor Meade podsumował poglądy ludności cywilnej na ten temat, gdy pewnego ciepłego wieczoru majowego oświadczył na werandzie ciotki Pitty, że Atlanta nie ma się czego obawiać, bo generał Johnston stoi w górach niewzruszenie jak żelazny mur. Zgromadzeni przysłuchiwali mu się ze zmiennymi uczuciami, bo wszyscy ci, którzy w gasnącym świetle dnia kołysali się spokojnie w fotelach na biegunach i przyglądali się, jak pierwsze ćmy czarodziejsko latają w mroku, mieli ciężkie troski na sercach. Pani Meade obejmując wpół Filipa modliła się o słuszność słów doktora, ponieważ wiedziała, że kiedy front przysunie się bliżej, Filip będzie musiał pójść. Miał już teraz szesnaście lat i należał do gwardii. Fanny Elsing, blada i wymizerowana od czasu Gettysburga, starała się nie myśleć o strasznym obrazie, który wyrył się na zawsze w jej pamięci — obrazie porucznika Dallasa McLure umierającego w ciągnionym przez woły wozie podczas długiego, okropnego odwrotu do Marylandu.

Kapitana Careya Ashburna znowu bolało bezwładne ramię, ponadto zaś gnębiła go myśl, że starania jego o względy Scarlett nie cieszą się wielkim powodzeniem. Sytuacja ta trwała mniej więcej od czasu nadejścia wiadomości o wzięciu do niewoli Ashleya Wilkesa — chociaż kapitanowi nie nasuwał się żaden związek między tymi dwoma zdarzeniami. Scarlett i Melania myślały o Ashleyu, jak zwykle, gdy ważne zajęcia czy konieczność prowadzenia konwersacji nie odwracały ich uwagi od jego osoby. Myśli Scarlett były gorzkie i smutne. „Nie żyje już pewno — myślała — bo inaczej dałby znak życia...” Melania ciągle powściągając strach mówiła sobie: — Żyje z pewnością. Wiem o tym. Gdyby umarł, poczułabym to od razu. — Rett Butler siedział w cieniu wygodnie rozparty, skrzyżowawszy długie nogi w eleganckich butach ciemna zaś jego twarz była jak zwykle nieprzenikniona. Na kolanach miał śpiącego Wade’a, który trzymał w małej rączce oczyszczoną dokładnie kosteczkę. Scarlett pozwalała Wade’owi nie kłaść się spać, kiedy Rett przychodził, bo nieśmiały chłopczyk bardzo Retta lubił, a i Rett, co dziwniejsze, zdawał się tę sympatię dziecka odwzajemniać. Obecność dziecka zwykle męczyła Scarlett, w ramionach Retta jednak Wade zawsze zachowywał się grzecznie. Ciotka Pitty zajęta była powstrzymywaniem głośnego odbijania po twardym łykowatym kogucie, którego jedli na kolację.

Rano panna Pitty postanowiła z żalem, że należy zarżnąć tego patriarchę, bo inaczej sam zdechnie ze starości i tęsknoty za swoim dawno już zjedzonym haremem. Przez długie dni kogut spacerował samotnie po pustym podwórku, zbyt smutny, aby piać. Kiedy wuj Piotr ukręcił mu szyję, Pitty zaczęły trapić wyrzuty sumienia na myśl, że spożyje go *en famille*, podczas gdy tak wiele przyjaciół od całych tygodni nie jadło drobiu, zaproponowała więc zaproszenie gości na kolację. Melania, która była już w piątym miesiącu ciąży i od dwóch tygodni nie chodziła z wizytami ani nie przyjmowała nikogo, była tym pomysłem zdumiona. Pitty jednak była tym razem stanowcza. Egoizmem byłoby nie podzielić się kogutem z przyjaciółmi; jeżeli Melania podniesie krynolinę trochę wyżej, nikt nie zwróci uwagi na jej stan, ponieważ biust ma płaski jak dawniej.

— Ależ, ciociu, zrozum, że ja nie mam ochoty widzieć ludzi, gdy Ashley...

— Nie powinnaś się zachowywać, jakby Ashleya... już nie było — rzekła ciotka Pitty drżącym głosem, bo w sercu miała pewność, że Ashley nie żyje. — Jest równie żywy jak ty... Zresztą rozrywka dobrze ci zrobi. Ponadto zaś chcę zaprosić Fanny Elsing także. Pani Elsing bardzo mnie prosiła, abym postarała się ją rozweselić i wyciągnąć z domu...

— Ależ, ciociu, przecież to okrucieństwo, wyciągać ją między ludzi, kiedy biedny Dallas umarł tak niedawno...

— Słuchaj, Melu, gotowam się rozpłakać, jeżeli nie przestaniesz mi się sprzeciwiać. Ostatecznie jestem twoją ciotką i wiem, co wypada, a co nie. I chcę zaprosić gości.

Tak więc ciotka Pitty postawiła na swoim. W ostatniej chwili zjawił się jeszcze jeden gość, którego ani nie oczekiwała, ani sobie nie życzyła. W chwili, gdy zapach pieczonego koguta roznosił się po domu, Rett Butler, powróciwszy z którejś ze swoich tajemniczych podróży, zapukał do drzwi niosąc duże pudło cukierków pod pachą, a na ustach mając przesadny komplement pod adresem Pitty. Pitty nie miała innej rady, jak zaprosić go na kolacje, chociaż wiedziała, co sobie o nim myślą państwo Meade i jak Fanny nie cierpi mężczyzn nie noszących munduru. Ani państwo Meade, ani panie Elsing nie rozmawialiby z Rettem na ulicy, ale w domu znajomej musieli być oczywiście dla niego uprzejmi. Tym bardziej, że teraz Melania broniła go goręcej niż kiedykolwiek przedtem. Po staraniach jego w sprawie Ashleya oświadczyła publicznie, że dom jej stoi dla niego otworem, dopóki będzie żył i niezależnie od wszystkiego, co o nim inni ludzie mówią.

Obawy ciotki Pitty ustąpiły trochę, gdy przekonała się, że Rett zachowuje się poprawnie. Obsługiwał Fanny z takim współczującym szacunkiem, że nawet uśmiechnęła się do niego blado — kolacja przeszła więc doskonale. Była to królewska uczta. Carey Ashburn przyniósł garstkę herbaty, którą znalazł w kapciuchu jeńca jankeskiego, wiezionego z Andersonville, każdy dostał więc po filiżance cennego trunku, lekko pachnącego tytoniem. Na kolację mieli po kąsku starego, łykowatego ptaka, porcję nadzienia z mielonej kukurydzy, doprawionego cebulką, talerzyk suszonego groszku oraz sporo ryżu z sosem, trochę wodnistym, bo bez mąki. Na deser była legumina z bulw i słodycze Retta, kiedy zaś Rett poczęstował panów prawdziwymi cygarami hawańskimi, którymi delektowali się przy porzeczkowym winie, wszyscy zgodnie stwierdzili, że kolacja była Lukullusową ucztą.

Kiedy panowie przysiedli się do pań, które wcześniej wyszły na frontowy ganek, zaczęto rozmawiać o wojnie. Rozmowy zawsze toczyły się teraz dokoła wojny, choćby miały inny punkt wyjścia — czasem były smutne, czasem wesołe, zawsze jednak obracały się wokół wojny. Treść ich stanowiły romanse i śluby wojenne, śmierć w szpitalu lub w polu, zdarzenia z życia obozowego, bitew czy marszów, odwaga, tchórzostwo, humor, rozpacz, straty i nadzieje. Zawsze nadzieje. Nadzieje niewzruszone i stałe mimo klęsk poprzedniego lata.

Gdy kapitan Ashburn oświadczył, że prosił o przeniesienie z Atlanty do Daltonu i że je uzyskał, panie czułym wzrokiem objęły jego sztywne ramię, a dumę i wzruszenie ukryły oświadczając, że nie pozwolą mu odjeżdżać, bo któż im będzie asystował?

Carey zmieszał się i ucieszył, słysząc te słowa z ust starych panien i statecznych mężatek pokroju pani Meade, Melanii, ciotki Pitty czy Fanny, i chciał wierzyć, że Scarlett rzeczywiście myśli tak, jak mówi.

— Ależ kapitan wróci bardzo prędko — rzekł doktor obejmując przyjaźnie Careya. — Odbędzie się co najwyżej jeszcze jedna potyczka, po czym Jankesi czmychną do Tennessee. Tam zaś zajmie się nimi generał Forrest. Panie wcale się nie potrzebują obawiać bliskości Jankesów, bo generał Johnston ze swoją armią stoi w górach niewzruszenie jak żelazny mur. Tak jak prawdziwy żelazny mur — powtórzył smakując ostatnie zdanie. — Sherman nigdy nie zdoła się przedostać. Nie potrafi starego Joe poruszyć z miejsca.

Panie uśmiechnęły się z uznaniem, bo najbłahsze oświadczenie doktora uważane było za niezbitą prawdę. Mężczyźni znali się na tych sprawach o wiele lepiej od kobiet, jeżeli więc doktor twierdził, że Johnston stoi mocno jak żelazny mur, to z pewnością prawda. Głos zabrał tylko Rett. Od czasu kolacji nic nie mówił, siedział w mroku spokojnie i trzymając w objęciach śpiące dziecko przysłuchiwał się rozmowom o wojnie z grymasem na wargach.

— O ile wiem, to Sherman ma teraz po otrzymaniu posiłków ponad sto tysięcy ludzi.

Doktor odpowiedział mu krótko. Odkąd dowiedział się, że spędzi wieczór w towarzystwie człowieka, którego tak serdecznie nie lubił, był wyraźnie zirytowany. Tylko szacunek dla panny Pittypat i okoliczność, że Rett był jej gościem, powstrzymały go od wyraźniejszego zaakcentowania swoich uczuć.

— No, więc co z tego? — warknął teraz, w odpowiedzi.

— Pamiętam, że kapitan Ashburn powiedział przed chwilą, iż generał Johnston ma tylko czterdzieści tysięcy ludzi, wliczając w to także dezerterów, których ostatnie zwycięstwo skłoniło do powrotu w szeregi.

— Panie — wtrąciła się pani Meade z oburzeniem. — W armii Konfederacji nie ma dezerterów.

— Bardzo panią przepraszam — odparł Rett z przesadną uniżonością. — Miałem na myśli te setki ludzi, którzy zapomnieli wrócić z urlopu do swoich pułków, i tych, którzy wyleczyli się z ran przeszło sześć miesięcy temu, a teraz zajmują się w domu zwykłymi sprawami lub wiosenną orką.

Oczy mu zabłysły. Pani Meade zagryzła wargi. Scarlett chciała się głośno roześmiać z jej porażki, bo Rett odpowiedział jej znakomicie. Setki mężczyzn ukrywały się na moczarach i w górach, stawiając opór żandarmom, którzy ich chcieli siłą zmusić do powrotu do armii. Oświadczali, że wojna była „wojną bogatych kosztem biednych”, że mieli jej dosyć. Liczebnie przewyższali ich jednak ci, którzy, choć wciągnięci na listę dezerterów, nie mieli zamiaru dezerterować na zawsze. Byli to ludzie, którzy od trzech lat daremnie czekali na urlopy i w ciągu tego czasu otrzymywali pełne błędów listy z domu, Głodne jezdeśmy”. „Nie będzie zbiorów latoś — nie ma komu orać. Głodne jezdeśmy”. „Wojsko zabrało nam wszystko, od ciebie nie mieliśmy dawno pieniędzy. Jemy suszoną fasolę”.

Chór głosów rozbrzmiewał coraz głośniej: „Jesteśmy głodni, żona twoja, dzieci, rodzice. Kiedy się to wreszcie skończy? Kiedy wrócisz do domu? Jesteśmy głodni, głodni, głodni!” Kiedy w przerzedzającej się armii przestano udzielać urlopów, żołnierze zaczęli brać je sobie sami. Wracali orać ziemię, siać zboże, naprawiać domy i stawiać płoty. Dowódcy oddziałów rozumieli tę sytuację, wyczuwali, że opór będzie mocny, pisali więc do tych ludzi, prosząc, aby wrócili do swoich kompanii, a nie będą ukarani. Żołnierze wracali zazwyczaj, gdy upewnili się, że grozę głodu odpędzili od swoich najbliższych przynajmniej na kilka miesięcy. „Urlopy rolnicze” nie były uważane za tak haniebne jak dezercja w obliczu wroga, niemniej jednak bardzo osłabiały armię.

Doktor Meade przerwał pośpiesznie nieprzyjemne milczenie, mówiąc bardzo chłodno:

— Panie kapitanie, różnica liczebna między naszą armią a armią Jankesów nigdy nie miała znaczenia. Jeden konfederat starczy na kilkunastu Jankesów.

Panie potakująco skinęły głowami. O tym wiedzieli wszyscy.

— Było to prawdą na początku wojny — rzekł Rett. — Może i nadal pozostałoby prawdą, gdyby żołnierze Konfederacji mieli kule do karabinów, buty na nogach i jedzenia pod dostatkiem. Prawda, kapitanie Ashburn?

Głos Retta ciągle był jeszcze cichy i pełen doskonale udanej pokory. Carey Ashburn był zakłopotany. Widoczne było, że i on także bardzo nie lubi Retta. Chętnie poparłby doktora, nie mógł jednak kłamać. Postarał się o przeniesienie na front mimo swojej bezużytecznej ręki, ponieważ zdawał sobie sprawę, w przeciwieństwie do ludności cywilnej, z całej powagi sytuacji. Wielu innych mężczyzn, beznogich, ślepych na jedno oko, bez palców, bez rąk, wracało z intendentury czy ze służby szpitalnej lub pocztowej do dawnych swoich pułków. Wiedzieli, że staremu Joe potrzebni są wszyscy.

Kapitan nic nie odpowiedział, więc doktor Meade tracąc panowanie nad sobą wybuchnął: — Nasi ludzie już nieraz walczyli boso i o głodzie, a odnosili zwycięstwa! I teraz będą walczyli i zwyciężą! Powtarzam panu, że generał Johnston nie ustąpi ani cala! Góry zawsze, od niepamiętnych czasów, były ostoją i fortecą napadanych narodów. Niech pan przypomni sobie choćby... choćby Termopile!

Scarlett myślała z natężeniem, ale nazwa „Termopile” nic jej nie mówiła.

— W Termopilach żołnierze polegli do ostatniego czy tak, panie doktorze? — zapytał Rett, a wargi jego rozchyliły się lekkim uśmiechem.

— Czy chce mnie pan obrazić, młody człowieku?

— Panie doktorze! Ależ proszę pana! Źle mnie pan zrozumiał! Ośmieliłem się zapytać pana o to, bo nie jestem zbyt mocny w historii starożytnej.

— Gdy zajdzie tego potrzeba, żołnierze nasi wyginą do ostatniego, a nie pozwolą Jankesom posunąć się w głąb Georgii — odrzekł gniewnie doktor. — Nie będzie jednak tej potrzeby. Wyprą Jankesów z Georgii po pierwszym starciu.

Ciotka Pittypat wstała i szybko poprosiła Scarlett, aby zagrała coś i zaśpiewała gościom. Spostrzegła, że rozmowa schodzi na śliskie i niebezpieczne tory. Spodziewała się tego, bo zatrzymała Retta na kolację. Zawsze były nieprzyjemności, kiedy zjawiał się Rett. Dlaczego powstawały, Pitty nie mogła właściwie pojąć. Ach, Boże! Co też się Scarlett podoba w tym człowieku? I dlaczego droga Mela zawsze go tak broni?

Kiedy Scarlett posłusznie przeszła do salonu, na ganku zapanowało milczenie nabrzmiałe urazą do Retta. Jakże bowiem można było nie uwierzyć całym sercem i duszą w niezłomność generała Johnstona i jego żołnierzy? Wiara ta była obowiązkiem. Ci zaś ludzie, którzy byli dość podli, aby nie wierzyć, powinni byli przynajmniej trzymać język za zębami.

Scarlett zagrała kilka akordów i głos jej spłynął ku zgromadzonym na ganku łagodnie, smutno, słowami popularnej piosenki:

*Na salę szpitalną o ścianach bielonych,*

*Gdzie ranni żołnierze konają bez winy,*

*Pokłuci bagnetem, przeszyci kulami,*

*Wniesiono rannego kochanka dziewczyny.*

*Kochanka dziewczyny! Młodego, dzielnego!*

*Na twarzy wybladłej i gładkiej świeciło*

*Przelotne światełko chłopięcej urody,*

*Mające zagasnąć pod chłodną mogiłą.*

„Matowe i zwichrzone były złote jego loki” — pojękiwał sopranik Scarlett. Fanny porwała się z krzesła i rzekła cichym, zdławionym głosem: — Zaśpiewaj coś innego!

Pianino nagle zamilkło. Scarlett oniemiała ze zdumienia i zakłopotania. Potem spiesznie i fałszywie zaczęła grać pierwsze takty „Szarego munduru” i na dysonansie urwała uświadomiwszy sobie, że i ta piosenka jest nie mniej rzewna. Znowu zamilkła, bo nie wiedziała zupełnie, co zagrać. Wszystkie pieśni mówiły o śmierci, rozłące i cierpieniu.

Rett szybko wstał, posadził Wade’a na kolanach Fanny i poszedł do salonu.

— Niech pani zagra „Mój stary dom w Kentucky” — poddał łagodnie, a Scarlett zaczęła pieśń z ochotą. Głos jej zlał się z doskonałym basem Retta, kiedy zaś przeszli do drugiej strofki, goście na ganku odetchnęli z ulgą, chociaż i ta pieśń nie była zbyt wesoła.

*Już tylko kilka dni będę dźwigał brzemię!*

*Nigdy dla mnie nie zapłonie błysk światła daleki!*

*Już tylko kilka dni, a zwalimy się na ziemię,*

*Wtedy, mój domu w Kentucky, żegnaj mi na wieki!*

Przepowiednia doktora Meade sprawdziła się — w pewnym stopniu przynajmniej. Johnston rzeczywiście stał mocno jak wał żelazny w górach nad Daltonem, w odległości stu mil od Atlanty. Stał tak niewzruszenie i tak zdecydowanie zagradzał Shermanowi drogę do Atlanty, że Jankesi cofnęli się w końcu i odbyli walną naradę. Oporu szarych nie mogli przełamać wprost, a zatem przeszli pod osłoną nocy przez przełęcze górskie, chcąc otoczyć Johnstona półkolem i przeciąć linię kolejową w Resace, piętnaście mil za Daltonem.

Kiedy konfederaci spostrzegli się, że dwie ważne linie kolejowe znajdują się w niebezpieczeństwie, opuścili swoje do upadłego bronione kryjówki w górach i nocą ruszyli ostrym marszem do Resaki krótszą, prostą drogą. Jankesi schodząc z gór zastali ich przygotowanych do odparcia ataku; za barykadami — baterie gotowe były do strzału, bagnety połyskiwały tak samo jak w Daltonie.

Atlanta była zdumiona i trochę zaniepokojona, gdy ranni z Daltonu przywieźli strzępy wiadomości o marszu starego Joe do Resaki. Zdawało się, jak gdyby na północnym zachodzie ukazała się mała, ciemna chmurka, pierwsza chmurka zwiastująca letnią burzę. Co sobie właściwie generał myśli, że pozwala Jankesom zająć dalszych osiemnaście mil terytorium Georgii. Góry stanowiły naturalną twierdzę, jak słusznie powiedział doktor Meade. Czemu zatem stary Joe nie zatrzymał tam Jankesów?

Johnston walczył pod Resaką rozpaczliwie i znowu odparł Jankesów, ale Sherman, stosując ciągle tę samą taktykę, część swojej armii rzucił, znów półkolem naprzód, przekroczył rzekę Oostanaula i ponownie zaatakował linię kolejową na tyłach armii konfederackiej. Szare wojska odwołane zostały z okopów do obrony kolei i zmęczone bezsennością, wyczerpane marszami i walkami, przede wszystkim zaś głodne, wiecznie głodne, szybkim marszem ruszyły w dolinę. Doszły do miasteczka Calhoun, o sześć mil od Resaki, wcześniej od Jankesów, okopały się tam i znowu gotowe były do ataku. Atak nastąpił, odbyła się ostra walka i Jankesów odepchnięto jeszcze raz. Wyczerpani konfederaci leżeli pod bronią i modlili się o wytchnienie i spokój. Nie pisane im było jednak wytchnienie. Sherman posuwał się nieubłaganie krok za krokiem, otaczając ich szerokim kręgiem, zmuszając do ponownego cofania się celem obrony linii kolejowej.

Konfederaci maszerowali śpiąc, zbyt zmęczeni, aby myśleć. W chwilach jednak, gdy myśleli, powtarzali sobie, że ufają staremu Joe. Widzieli, że cofają się, ale widzieli także, że nie są pokonani. Brak im tylko było ludzi do pozostawienia w okopach i uniemożliwienia Shermanowi ruchów, ot i wszystko. Jankesów mogli pobić i bili ich, ilekroć zdarzała się otwarta walka. Jak się ten odwrót skończy, nie wiedzieli. Stary Joe wiedział jednak, co robi, i to im wystarczało. Poprowadził odwrót po mistrzowsku, ponieważ strat po ich stronie było mało, natomiast wielu zabitych i jeńców po stronie nieprzyjaciela. Nie stracili ani jednego wozu i tylko cztery działa. Obronili także linię kolejową na swoich tyłach. Sherman nie mógł jej nawet tknąć, mimo swoich ataków, szarż kawaleryjskich i otaczania ich na flankach.

Kolej. Jeszcze do nich należała ta cienka droga żelazna, wijąca się poprzez słoneczną dolinę w stronę Atlanty. Żołnierze kładli się do snu w miejscach, skąd mogli widzieć szyny, lśniące blado w świetle gwiazd. Kładli się i często nie wstawali więcej, a ostatnim obrazem, jaki zapisywał się w ich zdumionych oczach, był obraz szyn świecących w nieznośnym żarze.

Kiedy wojska cofały się w doliny, poprzedzała je armia uciekinierów. Plantatorzy i osadnicy, bogaci i biedni, czarni i biali, kobiety i dzieci, starcy, umierający, kaleki, ranni, kobiety ciężarne zapełniali drogi do Atlanty w pociągach, pieszo i konno, w pojazdach i wozach — naładowanych wysoko kuframi i dobytkiem. Uciekinierzy wyprzedzali o pięć mil armię w odwrocie, zatrzymując się w Resace, Calhoun, Kingstonie i spodziewając się na każdym postoju, że dowiedzą się, iż Jankesi zostali odparci, i będą mogli wrócić do swoich domów. Nie było jednak powrotu po rozżarzonej od słońca drodze. Szare wojska mijały puste dwory, opuszczone fermy, samotne chaty o drzwiach otwartych na rozcież. Tu i ówdzie widać było samotną kobietę, pozostałą z kilku niewolnikami; Murzyni wychodzili na drogę, witali żołnierzy, przynosili dzbany wody dla spragnionych ludzi, opatrywali rannych, a zmarłych grzebali na cmentarzykach wojskowych. Przeważnie jednak słoneczna dolina była wyludniona i pusta, a na spieczonych polach stało nie zżęte zboże.

Otoczony w Calhoun ponownie, Johnston cofnął się do Adairsville, gdzie odbyło się ostre starcie, potem do Cassville i wreszcie na południe do Carlesville. Nieprzyjaciel znajdował się teraz o pięćdziesiąt pięć mil za Daltonem. Przy kościele Nowej Nadziei, piętnaście mil dalej, przy gorąco bronionej drodze, szare pułki okopały się, aby stawić bardziej zdecydowany opór. Nadciągały nieubłagane wojska niebieskie, sunąc wolno jak olbrzymi wąż, zwijając się, uderzając, cofając się i atakując znowu. Pod kościołem Nowej Nadziei zawrzała walka, która trwała bez ustanku przez jedenaście dni: wszystkie ataki jankeskie krwawo odparto. Aż wreszcie Johnston, ponownie otoczony, musiał cofnąć swoje rzednące szeregi znowu o kilka mil.

Liczba konfederatów zabitych i rannych pod kościołem Nowej Nadziei była bardzo znaczna. Ranni całymi pociągami napływali do Atlanty, ku wielkiemu przerażeniu miasta. Nigdy dotąd, nawet po bitwie pod Chickamauga, nie widziano tylu rannych; Szpitale były przepełnione. Ranni leżeli na podłogach pustych magazynów i w składach na belach bawełny. Wszystkie hotele, pensjonaty i mieszkania prywatne pełne były cierpiących. Ciotce Pitty przypadła pewna ich cząstka, mimo jej protestów, że nie wypada, aby obcy mężczyźni znajdowali się pod jej dachem, kiedy Melania jest w poważnym stanie i widok ran może spowodować przedwczesny poród.. Melania jednak podciągnęła krynolinę wyżej, aby ukryć pod nią poszerzającą się figurę, i ranni zjawili się w domu z czerwonej cegły. Odtąd nie było końca gotowaniu, podnoszeniu, poprawianiu na posłaniach i wachlowaniu chorych, nie było końca praniu, zwijaniu bandaży, skubaniu szarpi i upalnym nocom, bezsennym z powodu krzyków majaczących w sąsiednim pokoju mężczyzn. Wreszcie zapchane miasto nie mogło pomieścić nikogo więcej i nadmiar rannych posyłano do szpitali w Macon i Auguście.

Fala rannych, którzy przynosili sprzeczne nowiny, i wystraszonych uciekinierów, zapełniających i tak już zatłoczone miasto, sprawiła, że Atlanta była w stanie ciągłego podniecenia. Mała chmura na horyzoncie w wielką, groźną chmurę gradową. Wydawało się, jak gdyby powiał od niej chłodny, przejmujący wiatr.

Nikt nie przestał jeszcze wierzyć w niezwyciężoność wojsk, wszyscy jednak, a przynajmniej ludność cywilna, stracili wiarę w generała. Kościół Nowej Nadziei był odległy o trzydzieści pięć mil zaledwie od Atlanty! Generał dopuścił do tego, by Jankesi zmusili go do cofnięcia się o sześćdziesiąt pięć mil w ciągu trzech tygodni! Dlaczego nie wytrzymał ich naporu, zamiast stale się cofać? Był głupcem, zdecydowanym głupcem! Starszyzna w gwardii i członkowie milicji stanowej, bezpieczni w Atlancie, twierdzili, że poprowadziliby kampanię sto razy lepiej, i rysowali na obrusach mapy, aby dowieść swojej racji. Kiedy szeregi generała topniały coraz bardziej i musiały się cofać coraz dalej, zaczął rozpaczliwie prosić gubernatora Browna o przysłanie mu z pomocą gwardii i milicji. Wojska stanowe nie kwapiły się jednak do tego. Gubernator oparł się już raz przecież żądaniu Davisa. Dlaczego miałby ulec prośbom generała Johnstona?

Walka i odwrót! Walka i odwrót! Na przestrzeni siedemdziesięciu mil i w ciągu dwudziestu pięciu dni konfederaci byli w walkach prawie co dzień. Kościół Nowej Nadziei pozostał teraz za nimi — był wspomnieniem w krwawej mgle podobnych wspomnień upału, kurzu, głodu, zmęczenia, wleczenia się po czerwonych, wyboistych drogach, człapania po czerwonym błocie, odwrotów, okopywania się, walki — odwrotów, okopywania się, walki. Kościół Nowej Nadziei stał się koszmarem, podobnie zresztą jak Big Shanty, gdzie zatrzymali się i walczyli jak lwy. Ale mimo że kosili Jankesów, aż pola były niebieskie od trupów, przybywało ich coraz więcej, wciąż zjawiali się nowi. Złowrogie przerzucanie niebieskich wojsk na południowy wschód, w stronę tyłów konfederatów, w stronę kolei i Atlanty — trwało nieprzerwanie.

Z Shanty zmęczone, wycieńczone szeregi cofnęły się głównym gościńcem do Góry Kennesaw, koło miasteczka Marietta, i tutaj rozłożyły się szeroko na przestrzeni dziesięciu mil. Na stromych zboczach gór wykopali okopy, baterie zaś ustawili na szczycie. Klnąc, ociekając potem, żołnierze sami wyciągali ciężkie działa nad przepaściami, bo muły nie mogły się utrzymać na tych pochyłościach. Kurierzy i ranni, przybywający do Atlanty, uspokajali przerażoną ludność miasta. Góra Kennesaw była niezdobyta. Tak samo zresztą jak pobliska Góra Sosnowa i Góra Stracona, na których także stały wojska. Jankesi nie zdołają poruszyć ludzi starego Joe ani ich oskrzydlić, bo baterie na szczytach górskich panują nad wszystkimi drogami w promieniu wielu mil. Atlanta odetchnęła swobodniej, ale...

Góra Kennesaw leżała przecież w odległości zaledwie dwudziestu dwu mil od miasta!

W dniu, gdy pierwsi ranni z Kennesaw zaczęli napływać do Atlanty, powóz pani Merriweather znalazł się przed domem panny Pitty o niesłychanej porze — o siódmej rano. Stary Levi przywiózł polecenie, aby Scarlett ubrała się natychmiast i przyszła do szpitala. Fanny Elsing i panny Bonnel, wyrwane ze snu, siedziały już w powozie ziewając, piastunka Fanny nachmurzona sterczała na koźle, trzymając na kolanach koszyk świeżo upranych bandaży. Scarlett wstała bardzo niechętnie, bo tańczyła do świtu na zabawie gwardii i miała jeszcze zmęczone nogi. Po cichu przeklinała niezmordowaną, nieskazitelną panią Merriweather, rannych i całą Konfederację stanów Południa, a Prissy zapinała jej tymczasem najstarszą i najbardziej zniszczoną suknię perkalową, którą nosiła do pracy w szpitalu. Przełknąwszy pośpiesznie gorzki wywar z palonej kukurydzy i suszonych bulw, który uchodził za kawę, zeszła wreszcie na dół.

Znudziło jej się to wieczne pielęgniarstwo. Postanowiła od razu powiedzieć pani Merriweather, że Ellen pisała do niej, aby przyjechała z wizytą do Tary. Nic jej to zresztą nie pomogło, bo szacowna matrona, z rękawami zakasanymi po łokcie, okryta po szyję obszernym fartuchem, obrzuciła ją tylko ostrym spojrzeniem i rzekła: — Nie opowiadaj mi tu teraz podobnych głupstw, Scarlett Hamilton. Napiszę jeszcze dziś do twojej matki i powiem jej, że jesteś nam bardzo potrzebna. Pewna jestem, że zrozumie to i pozwoli ci zostać w mieście. A teraz włóż zaraz fartuch i pobiegnij do doktora Meade. Potrzebna mu jesteś do asystowania przy opatrunkach.

„Och, Boże — pomyślała Scarlett posępnie — w tym właśnie sęk. Mama każe mi zostać tutaj, a ja umrę, jeżeli dłużej będę wąchała te smrody! Wolałabym być starą babą i dyrygować młodymi kobietami. Nie musiałabym wtedy być popychana tu czy tam i mogłabym wreszcie powiedzieć babci Merriweather, aby sobie poszła do diabła!”

Tak, miała dość szpitala, duchoty i smrodu, wszy i widoku zbolałych, nie umytych ciał. Jeżeli pielęgnowanie miało w sobie kiedykolwiek cechy jakiejś nowości i romantyzmu, to teraz należały one do przeszłości. Co więcej, żołnierze ranni podczas odwrotu nie byli wcale ciekawi. Nie okazywali najmniejszego zainteresowania jej osobą i mieli bardzo mało do powiedzenia poza pytaniami: — Co słychać na froncie? Co robi stary Joe? O, to mądry chłop, ten nasz stary Joe. — Scarlett nie uważała starego Joego za mądrego. Tylko tego dokonał, że dopuścił, aby Jankesi weszli osiemdziesiąt mil w głąb Georgii. Nie, ranni teraz wcale nie byli zajmujący. Ponadto zaś, wielu z nich umierało szybko i cicho, bo nie mieli już sił do zwalczania zakażenia krwi, gangreny, tyfusu czy zapalenia płuc, które wywiązały się, zanim zdążyli dotrzeć do Atlanty i otrzymać pomoc lekarską.

Dzień był gorący i muchy wpadały całymi rojami przez otwarte okna, wielkie, uparte muchy, które bardziej dokuczały chorym niż ból. Fala smrodów i cierpienia dokoła Scarlett potęgowała się z każdą chwilą. Jej świeżo wykrochmalona suknia była mokra od potu, gdy sunęła za doktorem Meade niosąc w ręku wielką miednicę.

Och, jakimże wstrętem napełniało ją asystowanie doktorowi i powstrzymywanie torsji, gdy parzyła, jak błyszczącym nożem nacinał zgangrenowane ciała! I ach, jak okropne było słuchanie krzyków z sali operacyjnej, gdzie robiono amputacje! I mdłe poczucie bezsilnej litości na widok napiętych, bladych twarzy okaleczonych mężczyzn, czekających swojej kolejki, mężczyzn, których uszy pełne były wrzasków, którzy czekali na straszne słowa: — Przykro mi bardzo, mój chłopcze, ale trzeba będzie odjąć tę rękę. Tak, tak, wiem. Czy widzi pan jednak te czerwone pręgi? Muszę rękę odjąć.

Chloroformu było teraz tak niewiele, że używano go tylko przy najtrudniejszych amputacjach, opium było niezmiernie cenne i stosowane tylko, aby przyśpieszyć śmierć, nie zaś do ulżenia cierpieniom. Chininy i jodyny nie było wcale. Tak, Scarlett miała stanowczo dość tego wszystkiego i tego ranka żałowała, że nie może wzorem Melanii wymówić się od pracy w szpitalu ze względu na swój stan. Była to jedyna wymówka, jaką w tym czasie jeszcze uznawano.

W południe zdjęła wreszcie fartuch i wyśliznęła się ze szpitala korzystając z tego, że pani Merriweather zajęta była pisaniem listu dla postękującego analfabety z gór. Czuła, że dłużej już nie wytrzyma. Znosiła tego dnia szpital jak najgorszą katorgę, wiedziała zaś, że kiedy zacznie się napływ rannych z pociągu przybywającego w południe, będzie miała zajęcie aż do zmierzchu — prawdopodobnie bez posiłku.

Poszła pośpiesznie krótką przecznicą w stronę ulicy Brzoskwiniowej, wdychając czyste powietrze tak głęboko, jak pozwalał jej na to ciasno zasznurowany gorset. Na rogu zatrzymała się, nie wiedząc, co ze sobą począć, wstydząc się wracać do domu, zdecydowana, że do szpitala nie pójdzie — gdy nagle zauważyła przejeżdżającego Retta Butlera.

— Wygląda pani jak żona gałganiarza — powiedział patrząc na jej połataną suknię, przepoconą teraz i zalaną wodą, która pryskała z miednicy. Scarlett była wściekła z zakłopotania i oburzenia. Dlaczego Rett zawsze patrzył na strój kobiet i był tak niedelikatny, aby robić uwagi o obecnym stanie jej toalety?

— Nie chcę nawet słuchać tego, co pan mówi. Niech pan wysiądzie, pomoże mi wsiąść i zawiezie mnie gdziekolwiek, gdzie nikt mnie nie zobaczy. Nie chcę wracać do szpitala, choćby mieli mnie za to ukamienować! Na miłość Boską, nie ja zaczęłam tę wojnę, nie widzę więc powodu, dlaczego miałabym się zapracowywać na śmierć i...

— O, niegodna zdrajczyni świętej Sprawy!

— Kocioł garnkowi przygania! Niech mi pan lepiej pomoże wsiąść. Nie obchodzi mnie, co pan chciał teraz robić. Musi mnie pan zabrać na przejażdżkę.

Rett wyskoczył z powozu, Scarlett zaś pomyślała mimo woli, że przyjemnie jest popatrzeć na mężczyznę, który jest cały, któremu nie brak oczu ani żadnej kończyny, który nie jest biały z bólu ani żółty z gorączki, a przeciwnie, dobrze odżywiony i zdrów. W dodatku zaś Rett był doskonale ubrany. Marynarkę i spodnie miał z jednakowego materiału i zrobione na miarę, nie za luźne ani nie za ciasne, by uniemożliwiać ruchy. Ubranie jego było nowe, nie zniszczone, nie widać było spod niego nagiego ciała ani owłosionych nóg. Rett tak wyglądał, jak gdyby nie miał żadnych kłopotów, i sam ten fakt był zdumiewający w czasie, gdy inni mężczyźni mieli stroskany, zgnębiony, ponury wygląd. Smagła jego twarz była teraz łagodna, czerwone usta, wykrojone delikatnie jak usta kobiety i bardzo zmysłowe, uśmiechały się, gdy unosił Scarlett na stopień powozu.

Mięśnie jego wielkiego ciała zarysowały się pod ubraniem, gdy siadł koło niej. Jak zwykle, tak i teraz oszołomiło ją poczucie jego wielkiej fizycznej siły. Jak urzeczona przyglądała się zarysowi jego potężnych ramion pod marynarką. Uczucie to było trochę niepokojące, trochę przerażające. Ciało jego wydawało się tak twarde i nieustępliwe jak jego dusza. Miał przyjemną, pełną wdzięku siłę, był leniwy jak pantera wygrzewająca się na słońcu i podobnie jak ona, zawsze gotowy do skoku.

— Mała oszustka z pani — powiedział cmokając na konia. — Tańczy pani przez całą noc z żołnierzami i rozdaje im róże i wstążki zapewniając, że chętnie oddałaby pani życie dla Sprawy, a kiedy przychodzi do opatrzenia kilku ran i poiskania trochę wszy, szybko pani ucieka.

— Czy nie zechciałby pan porozmawiać o czymś innym i jechać trochę szybciej? Przy moim szczęściu dziadek Merriweather gotów teraz wyjść ze swego sklepu i powiedzieć tej starej — myślę — pani Merriweather, że mnie widział.

Rett lekko musnął klacz batem; ruszyła szybciej w stronę Pięciu Znaków, poprzez szyny kolejowe, które dzieliły miasto na dwie części. Pociąg z rannymi właśnie przyjechał. Sanitariusze pracowali gorączkowo w upalnym słońcu, przenosząc chorych do ambulansów i zamkniętych wozów sanitarnych. Scarlett widząc ich wcale nie poczuła wyrzutów sumienia, tylko ulgę, że udało jej się uciec.

— Jestem już zmęczona i znudzona na śmierć tym szpitalem — powiedziała obciągając wydymającą się spódnicę i zawiązując czepek mocniej pod brodą. — Co dzień przybywa więcej i więcej rannych. To wszystko wina generała Johnstona. Gdyby oparł się był Jankesom w Daltonie, nie byliby...

— Ależ oparł się Jankesom, niemądre dziecko. Gdyby zaś nie ruszył się z miejsca, Sherman otoczyłby go i starł na puch między dwoma skrzydłami swojej armii. Johnston straciłby wtedy kolej, o którą właśnie walczy.

— Ach, dobrze już, dobrze — odparła Scarlett nie mająca pojęcia o strategii. — W każdym bądź razie to jego wina. Powinien był coś zrobić. Uważam, że należałoby mu odebrać dowództwo. Czemu nie stawia oporu, zamiast ciągle się cofać?

— Niczym się pani nie różni od tych, którzy wrzeszczą „precz z Johnstonem” dlatego, że nie dokonuje cudów. Pod Daltonem był zbawicielem, teraz pod Kennesaw jest judaszem, a wszystko to w ciągu krótkich sześciu tygodni. A jeżeli uda mu się odepchnąć Jankesów choćby o dwadzieścia mil, stanie się znowu zbawicielem. Dziecko drogie, Sherman ma dwa razy tyle ludzi co Johnston i może sobie pozwolić na stratę dwóch ludzi na każdego z naszych dzielnych chłopców. Johnston zaś nie może stracić ani jednego żołnierza. Koniecznie potrzebuje posiłków i co dostaje? Posyłają mu „pieszczoszków Joe Browna”. Dużo mu oni pomogą!

— Czy milicja naprawdę zostaje powołana na front? I gwardia także? Nic o tym nie słyszałam. Skąd pan o tym wie?

— Krążą takie pogłoski. Przyszły dziś rano pociągiem z Milledgeville. Zarówno milicja jak i gwardia mają zostać wysłane na odsiecz generałowi Johnstonowi. Tak, protegowani gubernatora Browna powąchają może wreszcie proch. Wyobrażam sobie, że bardzo to niektórych z nich zaskoczy. Pewien jestem, że nie spodziewali się wysłania na bój. Gubernator prawie im przyrzekł, że ich będzie osłaniał. No, to im tylko dobrze zrobi. Wyobrażali sobie, że są bezpieczni, ponieważ gubernator sprzeciwił się Davisowi i odmówił wysłania ich do Wirginii. Twierdził, że potrzebni mu są do obrony stanu. Nikt z nich nie przypuszczał, że wojna przyjdzie na ich własne podwórko i że rzeczywiście będą musieli bronić swego własnego stanu.

— Jakże pan może tak bezlitośnie kpić! Niechże pan pomyśli o starszych panach i małych chłopcach z gwardii! Przecież teraz pójdzie mały Filip Meade i dziadek Merriweather, i wuj Henryk Hamilton!

— Nie mówię o małych chłopcach ani o weteranach z wojny meksykańskiej. Mówię o dzielnych młodych ludziach w rodzaju Willy Guinana, którzy lubią nosić ładne mundury i wymachiwać szabelką...

— A pan?

— Droga pani, to mnie bynajmniej nie dotknęło! Ja nie noszę munduru i nie macham szablą, a losy Konfederacji nic a nic mnie nie obchodzą. Co więcej, nie mam zamiaru umierać ani w gwardii, ani w żadnej innej broni. Miałem dość z wojskiem do czynienia w West Point i to mi wystarczy na całe życie... Tak, ale mimo to życzę staremu Joe powodzenia. Generał Lee nie może mu posłać posiłków, bo zajęty jest walką z Jankesami z Wirginii. Tak więc wojska stanowe Georgii są jedynymi posiłkami, na które Johnston może liczyć. Zasługuje na coś więcej, ponieważ jest doskonałym strategiem. Zawsze i wszędzie zjawia się wcześniej od Jankesów. Będzie się jednak musiał teraz ciągle cofać, aby bronić kolei. I niech pani zapamięta moje słowa, jeżeli Jankesi zepchną go z gór na płaszczyznę w pobliżu Atlanty, jatki zaczną się wtedy na dobre.

— W pobliżu Atlanty? — zawołała Scarlett. — Wie pan przecież doskonale, że Jankesi nigdy tutaj nie dojdą!

— Kennesaw odległe jest stąd tylko o dwadzieścia dwie mile. Idę z panią o zakład...

— Rett, niech pan spojrzy tam na ulicę! Co tam za tłum? To nie są żołnierze. Któż to może być... Ależ... to przecież Murzyni!

Od wylotu ulicy wznosił się tuman czerwonego kurzu i dochodził tupot wielu par stóp oraz chór ponad stu murzyńskich głosów, głębokich i pełnych, śpiewających jakąś pieśń. Rett zatrzymał powóz przy chodniku, a Scarlett z ciekawością przyglądała się spoconym, czarnym ludziom z motykami i łopatami na ramionach — eskortowanych przez oficera i oddział żołnierzy z odznakami korpusu saperów.

— Cóż na Boga... — zaczęła znowu.

Potem oczy jej zaświeciły się na widok olbrzyma idącego ze śpiewem w pierwszym szeregu. Mierzył przeszło sześć stóp, był czarny jak heban, poruszał się z wdziękiem silnego zwierzęcia, a gdy śpiewał „Znijdź, Mojżeszu”, białe zęby błyskały mu w twarzy. Nie było chyba na całym świecie drugiego Murzyna tego wzrostu o tak donośnym głosie jak Duży Sam, ekonom z Tary. Cóż jednak robił on tutaj, z dala od domu, teraz, gdy nie było rządcy i on stanowił prawą rękę Geralda?

Kiedy Scarlett uniosła się ze swego miejsca, aby przyjrzeć mu się lepiej, olbrzym spostrzegł ją i czarna jego twarz rozjaśniła się uśmiechem radości. Zatrzymał się, rzucił łopatę i puścił się w jej stronę, wołając do otaczających go Murzynów: — Boże Przenajświętszy! To przecież panna Scarlett! Słuchaj, Apostoł! Słuchaj, Eliasz! Słuchaj, Prorok! To przecież nasza Miss Scarlett!

W szeregu Murzynów powstał zamęt. Tłum zatrzymał się niepewnie, uśmiechając się przyjaźnie, a Duży Sam, za nim zaś trzej tędzy Murzyni przebiegli przez drogę w stronę powozu. W tyle biegł wściekły, wrzeszczący oficer.

— Równajcie szeregi, ludzie! Równajcie w tej chwili, bo wam... Ach, to przecież pani Hamilton! Witam panią. Dzień dobry panu. Dlaczego podżega mi pani ludzi do buntu i nieposłuszeństwa? Bóg jeden wie, ile miałem z nimi dziś rano kłopotu.

— Och, panie kapitanie, niech ich pan nie karci! To nasi ludzie. To jest Duży Sam, nasz ekonom, oraz Eliasz, Apostoł i Prorok z Tary. Muszą przecież ze mną porozmawiać. Jak się macie, chłopcy?

Wyciągnęła do wszystkich rękę. Mała jej, biała dłoń znikała kolejno w czarnych wielkich łapach” a czterej Murzyni pękali z zadowolenia z powodu spotkania i z dumy, że mogą swoim towarzyszom pokazać, jaką mają piękną panienkę.

— Co wy tutaj robicie, chłopcy, tak daleko od Tary? Założę się, żeście uciekli. Czy boicie się, że was przychwycą patrole?

Śmieli się z zadowolenia, że się Scarlett z nimi przekomarza.

— My, uciekli? — rzekł Duży Sam. — Nie, my nie tacy, żeby uciekać. Przyszli po nas i nas wybrali, bo jesteśmy czterej najwięksi i najmocniejsi w Tarze. — Białe jego zęby błysnęły z dumą. — Specjalnie po mnie przysłali, bo umiem dobrze śpiewać. Tak, panienko, sam pan Frank Kennedy przyjechał i zabrał nas ze sobą.

— Ależ po co, Samie?

— Na Boga, panno Scarlett! To panienka nie wie? Mamy kopać rowy dla białych panów, aby mogli się w nich schować, jak przyjdą Jankesi.

Kapitan Randall i siedzący w powozie zamienili ze sobą uśmiechy, słysząc to naiwne wyjaśnienie.

— Pan Gerald oczywiście bardzo się złościł, kiedy mnie zabrali, bo powiedział, że nie poradzi sobie beze mnie. Ale pani Ellen na to powiedziała: „Niech go pan Kennedy zabierze. Konfederacji Duży Sam bardziej się przyda niż nam”. I dała mi dolara i poleciła, abym robił wszystko, co mi biali panowie każą. I teraz tu jestem.

— Co to wszystko ma znaczyć, panie kapitanie?

— Och, to bardzo proste, łaskawa pani. Musimy umocnić fortyfikacje dokoła Atlanty kilkoma rzędami rowów strzeleckich, a że generał nie ma dość ludzi, aby można ich zabrać z frontu, więc zebraliśmy po wsiach najsilniejszych Murzynów do roboty.

— Ale...

Zimny strach obleciał nagle Scarlett. Kilka rzędów rowów strzeleckich! Po co im rowy? W ciągu ostatniego roku wykopano dokoła Atlanty reduty ziemne na baterie, w odległości mili tylko od centrum miasta. Te wielkie reduty połączono z okopami, które kilkoma rzędami otaczały miasto. A teraz jeszcze rowy strzeleckie!

— Ale... po cóż nam jeszcze mocniejsze fortyfikacje od tych, które mamy? Przecież i te nie będą nam potrzebne. Generał z pewnością nie dopuści...

— Obecnie nasze fortyfikacje są tylko o milę od miasta — rzekł kapitan Randall krótko. — To zaś jest za blisko, aby było wygodne czy bezpieczne. Nowe okopy będą dalej. Rozumie pani, jeszcze jeden odwrót, a żołnierze nasi znajdą się w Atlancie.

Natychmiast pożałował ostatniego zdania, bo oczy Scarlett rozszerzyły się przestrachem.

— Oczywista rzecz jednak, że nie będziemy się już więcej cofali — dodał pośpiesznie. — Pozycje nasze dokoła Góry Kennesaw są bardzo mocne. Baterie umieszczone są na szczytach górskich i strzegą wszystkich dróg, więc Jankesi nie zdołają się przedostać.

Scarlett jednak dostrzegła, że kapitan spuszcza oczy pod leniwym, przenikliwym spojrzeniem Retta, i bardzo się przeraziła. Przypomniała sobie uwagę Retta: gdy Jankesi zepchną go z gór na płaszczyznę, zaczną się jatki...

— Och, panie kapitanie, czy przypuszcza pan...

— Ależ nie, skądże znowu! Niech się pani nie niepokoi bez potrzeby. Stary Joe lubi tylko zabezpieczać się na wszelkie sposoby. Jedynie dlatego kopiemy dodatkowe okopy... Teraz jednak czas już na mnie. Cieszę się bardzo ze spotkania pani... Chłopcy, pożegnajcie się z waszą panią, bo już ruszamy.

— Do widzenia, chłopcy. Jeżeli zachorujecie albo zostaniecie ranni, zawiadomcie mnie o tym. Mieszkam przy ulicy Brzoskwiniowej, o, w tej stronie, w ostatnim prawie domu w mieście. Poczekajcie chwilę... — Poszperała w swojej torebce. — Och, mój Boże, nie mam ani centa. Panie Retcie, niech mi pan z łaski swojej pożyczy trochę pieniędzy. Proszę, Samie, kupcie trochę tytoniu dla siebie i reszty chłopców. Bądźcie posłuszni i róbcie to, co wam kapitan Randall każe.

Bezładne szeregi uformowały się ponownie, kurz na nowo uniósł się czerwoną chmurą i Duży Sam znowu zaczął śpiewać:

*Znijdź, Mojżeszu! Znijdź na ziemię Egipską!*

*Rozkaż Faraonowi, by wyzwolił mój lud*

*Z niewooli!*

*—*Panie Retcie, kapitan Randall pewnie mnie okłamał, jak każdy mężczyzna. Nie powiedział mi prawdy, ponieważ bał się, bym nie zemdlała. Czy rzeczywiście kłamał? Och, panie Retcie, jeżeli nie ma niebezpieczeństwa, to po co umacniają fortyfikacje? Czy armia ma tak mało ludzi, że muszą już brać Murzynów?

Rett cmoknął na konia.

— Armia cierpi, niestety, na brak ludzi. Dlaczego by powoływali gwardię pod broń? Jeżeli zaś chodzi o okopy, to widzi pani, wszelkie fortyfikacje mają podobno wartość na wypadek oblężenia. Generał pragnie się widać przygotować do stawienia tutaj ostatecznego oporu.

— Oblężenie! Och, niech pan zawróci konia. Jadę do Tary, prosto do Tary, już, w tej chwili!

— Co się pani stało?

— Oblężenie! Na miłość Boską, oblężenie. Słyszałam o oblężeniach! Papa przeżył jedno, czy też może to nie on, a on tylko opowiadał mi o tym...

— Jakież to oblężenie?

— Oblężenie Droghedy, kiedy Cromwell zwyciężył Irlandczyków. Nie było wtedy nic do jedzenia. Papa opowiadał, że ludzie umierali z głodu na ulicach, w końcu zaś jedli koty i szczury, i nawet karaluchy. Mówił także, że przed poddaniem się ludzie zjadali się nawzajem, chociaż nie bardzo mi się w to chce wierzyć. Potem zaś Cromwell zdobył miasto i wszystkie kobiety zostały... Oblężenie! Matko Najświętsza!

— Jest pani największą ignorantką, jaką w swoim życiu spotkałem. Oblężenie Droghedy miało miejsce w roku tysiąc sześćset którymś, więc pan O’Hara nie żył wtedy z pewnością. Poza tym zaś Sherman nie jest Cromwellem.

— Nie, jest znacznie gorszy! Mówią, że...

— Jeżeli zaś chodzi o dziwne dania, jakie Irlandczycy jedli podczas oblężenia, to osobiście muszę przyznać, że wolałbym świeżego soczystego szczura od tych potraw, które mi ostatnio podają w hotelu. Zdaje mi się, że będę się musiał przenieść do Richmondu. Tam przynajmniej dają dobrze jeść, jeżeli ma się dość pieniędzy, aby za to płacić. — Widać było, że naigrawa się z jej przerażenia.

Scarlett, zła teraz, że okazała swój niepokój, zawołała:

— Nie rozumiem, dlaczego siedzi pan tutaj tak długo! Myśli pan wyłącznie o swojej wygodzie, o jedzeniu i tym podobnych rzeczach.

— Nie znam przyjemniejszego sposobu spędzenia czasu niż jedzenie i hhhm... podobne rzeczy — powiedział. — Siedzę zaś tutaj dlatego, że choć czytałem wiele o rozmaitych oblężeniach miast czy fortec, nigdy nie byłem ich świadkiem naocznym. Dlatego więc chyba zostanę tutaj i przypatrzę się wszystkiemu. Nic mi się stać nie może, bo nie należę do walczących, a chcę mieć nowe przeżycia. Niech pani nigdy nie przepuszcza sposobności nowych przeżyć, Scarlett. Wzbogacają duszę człowieka.

— Moja dusza jest dostatecznie bogata.

— Może ma pani rację, ja bym jednak powiedział... Powinienem wszakże być rycerski... Możliwe także, że zostaję w Atlancie, aby uratować panią, gdy oblężenie zacznie się na dobre. Nigdy dotąd nie ratowałem dziewicy w opresji. To także byłoby nowym przeżyciem.

Wiedziała, że Rett się z nią drażni, ale w słowach jego wyczuła pewna powagę Potrząsnęła głową.

— Nie będzie mnie pan musiał ratować. Potrafię sobie sama poradzić, dziękuję.

— Niech pani tego nie mówi, Scarlett! Wolno to pani myśleć, ale nigdy, nigdy niech pani tego głośno nie mówi mężczyźnie. To właśnie jest wadą kobiet jankeskich. Byłyby niezmiernie czarujące, gdyby ciągle nie zapewniały wszystkich, że umieją sobie radzić same i dziękują. Co zabawniejsze, mówią najczęściej prawdę. Dlatego więc mężczyźni pozostawiają je samym sobie.

— To dobre porównanie — powiedziała chłodno, bo nie było dla kobiety Południa gorszej zniewagi niż porównanie z Jankeską. — Zdaje mi się jednak, że chce mnie pan nastraszyć mówiąc o oblężeniu. Wie pan dobrze, że Jankesi nigdy nie zdobędą Atlanty.

— Założę się z panią, że zjawią się tutaj w ciągu miesiąca. Założę się o pudełko cukierków... — Ciemne jego oczy spoczęły na jej ustach. — Lub o pocałunek.

Na krótką chwilę obawa przed Jankesami znowu ścisnęła serce Scarlett, usłyszawszy jedno słowo „pocałunek” zapomniała o wszystkim. To był teren znajomy i o wiele bardziej interesujący od operacji wojennych. Z trudem powściągnęła uśmiech zadowolenia. Od dnia, gdy jej podarował zielony kapelusz, Rett nie robił żadnych awansów, które by mogła sobie tłumaczyć jako przejawy miłości. Nigdy nie dawał się wciągnąć w rozmowę na tematy osobiste, mimo największych wysiłków z jej strony. A teraz nagle, bez żadnej prowokacji, sam wspomniał o pocałunku!

— Nie życzę sobie tego rodzaju rozmowy — powiedziała chłodno i zmarszczyła brwi. — Nie mówiąc o tym, że równie wielką przyjemność sprawiłoby mi pocałowanie na przykład wieprza.

— Bywają rozmaite gusty. Słyszałem zresztą, że Irlandczycy lubią świnie do tego stopnia, że trzymają je pod łóżkami. Ale zapewniam panią, Scarlett, że potrzebuje pani pocałunków. Brak ich pani. Wszyscy wielbiciele zanadto panią szanowali, Bóg wie dlaczego, albo też bali się pani tak bardzo, że nie umieli z panią postępować. Rezultat jest taki, że stała się pani nieznośnie zarozumiała. Powinna się pani zacząć całować, i to z kimś, kto się na tym rozumie.

Rozmowa nie poszła w kierunku, jaki Scarlett chciała jej nadać. Zresztą z Rettem zawsze tak było. Był to zawsze pojedynek, z którego Scarlett wychodziła pokonana.

— I wydaje się panu zapewne, że to pan jest do tego odpowiedni? — zapytała z sarkazmem, z trudem powstrzymując złość.

— O, tak, gdybym miał na to ochotę — rzekł niedbale: — Mówią, że świetnie całuję.

— Och — zaczęła, oburzona tym wyraźnym lekceważeniem swoich wdzięków. — Jak pan... — Nagle jednak opuściła wzrok ze zmieszaniem.

Rett uśmiechnął się, ale w ciemnych głębiach jego oczu zabłysnął na chwilę mały, ostry płomyczek.

— Pewien jestem, że dziwi się pani, dlaczego nie chciałem nigdy ponowić niewinnego całusa, który dałem pani w dniu gdy przywiozłem kapelusz.

— Nie dziwiłam się wcale...

— Nie jest więc pani przyzwoitą panienką, Scarlett, i bardzo mi przykro, że się pani do tego przyznaje. Wszystkie przyzwoite panienki dziwią się, dlaczego mężczyźni nie starają się ich całować. Wiedzą, że nie powinny tego chcieć i że powinny udawać obrażone, mimo wszystko jednak chcą, aby mężczyźni próbowali... Ale, droga pani, niech pani nie traci nadziei... Kiedyś pocałuję panią, i pewien jestem, że bardzo się to pani spodoba. Nie teraz jednak, i proszę, aby nie była pani zbyt niecierpliwa.

Scarlett znowu wpadła we wściekłość. W słowach Retta było zawsze zbyt wiele prawdy. No, ale teraz miała go już naprawdę dość. Jeżeli kiedykolwiek ośmieli się do niej zalecać, ona mu pokaże!

— Czy nie zechciałby pan z łaski swojej zawrócić konie, panie kapitanie? Chciałabym wrócić do szpitala.

— Czy rzeczywiście, mój aniele opiekuńczy? A więc woli pani wszy i brudy od rozmowy ze mną? Nie mogę się oczywiście sprzeciwiać, gdy para ochoczych rąk wyrywa się do pracy dla naszej świętej Sprawy. — Zawrócił konia i pojechali w stronę Pięciu Znaków.

— Co do tego zaś, dlaczego nie robię pani awansów — ciągnął dalej swobodnie, jak gdyby nie dostrzegłszy, że Scarlett dała mu poznać, iż przerywa konwersację — to czekam tylko, aż pani trochę dorośnie. Widzi pani, całowanie pani teraz nie sprawiłoby mi wcale przyjemności, a jestem wielkim egoistą. Nigdy nie lubiłem całować dzieci.

Powściągnął uśmiech, gdy kącikiem oka dostrzegł, że piersi Scarlett wznoszą się od milczącego oburzenia.

— Ponadto zaś — ciągnął łagodnie dalej — czekam, aż wspomnienia o czcigodnym Ashleyu Wilkesie trochę przygasną.

Na wspomnienie imienia Ashleya ostry ból przeszył Scarlett i nagle łzy napłynęły jej do oczu. Przygaśnie? Wspomnienie o Ashleyu nigdy w jej sercu nie przygaśnie, choćby nie żył nawet od tysiąca lat. Pomyślała o Ashleyu rannym, umierającym w dalekim jankeskim więzieniu, nie mającym kołdry do przykrycia się ani nikogo bliskiego, kto by podał mu rękę — i wypełniła ją nienawiść do tego dobrze odżywionego człowieka, który siedząc koło niej kpił wyraźnie, mimo że głos jego brzmiał łagodnie.

Zbyt była dotknięta, aby odpowiedzieć, jechali więc przez dłuższą chwilę w zupełnym milczeniu.

— Teraz rozumiem już właściwie wszystko, co się tyczy pani i Ashleya — kończył Rett. — Zacząłem swoje obserwacje od dość gwałtownej sceny w Dwunastu Dębach i od tego czasu dowiedziałem się wielu rzeczy, ponieważ miałem oczy otwarte. Jakich rzeczy? Och, że pała pani jeszcze do niego romantyczną, pensjonarską miłością, którą on odwzajemnia w tym stopniu, w jakim pozwala mu na to jego szlachetna natura. Że pani Wilkes nic o tym nie wie. Że zatem we dwoje płatacie jej wspaniałego figla. Rozumiem właściwie wszystko z wyjątkiem jednej rzeczy, która wznieca moją ciekawość. Czy czcigodny Ashley naraził kiedykolwiek na szwank swoją nieśmiertelną duszę i pocałował panią?

Kamienne milczenie i odwrócenie głowy były jedyną odpowiedzią.

— Ach, a zatem pocałował panią. Przypuszczam, że wtedy, gdy przyjechał na urlop. Teraz zaś, kiedy już prawdopodobnie nie żyje, pani pieści to wspomnienie w swoim sercu. Pewien jestem jednak, że zapomni pani szybko o tym pocałunku, a gdy to się stanie, ja...

Odwróciła się, ku niemu z furią.

— Niech pana... diabeł porwie — rzekła mocno, ze zwężonymi z wściekłości oczyma. — I niech mnie pan wypuści z tego powozu, bo inaczej skoczę pod koła. Nie chcę nigdy więcej z panem rozmawiać.

Rett zatrzymał powóz, zanim jednak zdołał wysiąść i podać jej rękę, Scarlett wyskoczyła. Suknia jej zaczepiła się o jedno z kół i przez chwilę przechodnie koło Pięciu Znaków mogli oglądać wiele haleczek i koronkowe pantalony. Rett pochylił się szybko i oswobodził Scarlett. Rzuciła się naprzód bez słowa, bez jednego spojrzenia, on zaś zaśmiał się cicho i zaciął konia.

## ROZDZIAŁ XVIII

Po raz pierwszy od rozpoczęcia wojny słychać było w Atlancie odgłos bitwy. Wczesnym rankiem, zanim życie budziło się w mieście, słyszało się odległe granie dział na Górze Kennesaw, ciche, przytłumione dudnienie jakby dalekich grzmotów. Chwilami potęgowało się ono do tego stopnia, że górowało nad turkotem pojazdów w południe. Ludzie starali się nie słyszeć tych dźwięków, rozmawiali, chodzili za swoimi sprawami, jak gdyby nie pamiętając, że Jankesi znajdują się w odległości dwudziestu dwu mil — ale uszy ich ciągle łowiły te odgłosy. Miasto przybrało zatroskany wygląd. Przy wszystkich zajęciach ludzie przede wszystkim słuchali, słuchali, a bicie ich serc przyśpieszało się po sto razy dziennie. Czy dudnienie nie staje się głośniejsze? Czy też tak się tylko wydaje? Czy generał Johnston odeprze „ich” tym razem? Czy odeprze...?

Panika mogła wybuchnąć lada chwila. Napięcie nerwowe, które wzrastało z każdym dniem odwrotu, teraz dochodziło do zenitu. O obawach swoich nie rozmawiano. Temat ten był zakazany. Nerwowości dawano ujście w coraz głośniejszych krytykach generała Johnstona. Sherman był tuż koło bram Atlanty. Jeszcze jeden odwrót, a konfederaci cofną się do miasta.

Dajcie nam generała, który nie będzie się cofał! Dajcie nam człowieka, który będzie stawiał Jankesom opór i walczył!

W takt dalekiego grzmienia dział milicja stanowa — „pieszczoszki Joe Browna” — i gwardia wymaszerowały z Atlanty, aby bronić mostów i promów na rzece Chatahoochee na tyłach Johnstona. Dzień był szary, pochmurny, a kiedy szli przez Pięć Znaków, drogą do Marietty, zaczął mżyć drobny deszczyk. Całe miasto wyległo na ulice, aby ich pożegnać. Ludzie stali ciasno pod drewnianymi daszkami sklepów na ulicy Brzoskwiniowej i starali się okazywać entuzjazm.

Scarlett i Maybelle Merriweather-Picard dostały pozwolenie na wyjście ze szpitala i pożegnanie żołnierzy, ponieważ wuj Henryk Hamilton i dziadek Merriweather służyli w gwardii — stały więc teraz w tłumie wraz z panią Meade, wspinając się na palce, aby lepiej widzieć, Scarlett, mimo że skłonna, jak większość południowców, wierzyć wyłącznie w rzeczy przyjemne i pocieszające na temat położenia armii, czuła zimny dreszcz, gdy przyglądała się różnobarwnym szeregom. Sprawy z pewnością stały bardzo źle, skoro powołano na front tę zbieraninę symulantów, starców i chłopaczków! W przechodzących szeregach sporo było młodych i zdolnych do służby wojskowej ludzi — ci wystrojeni byli w kolorowe mundury specjalnie dobranych oddziałów milicji, w pióropusze i szarfy. Przeważali jednak starcy i młodzi chłopcy, na których widok serce Scarlett ściskało się litością i przerażaniem. Siwowłosi mężczyźni, starsi od jej ojca, starali się kroczyć żwawo, w szeregach, w rytm piszczałek i bębnów. Dziadek Merriweather, otulony dla ochrony przed deszczem najlepszym pledem pani Merriweather, szedł w pierwszym szeregu i salutował paniom z uśmiechem. One machały do niego chusteczkami i wołały mu wesoło „do widzenia” — ale Maybelle chwytając Scarlett za ramię szepnęła jej: — Och, biedny mój dziaduś! Jedna ulewa zwali go z nóg! Ma ischias...

Wuj Henryk Hamilton maszerował w następnym szeregu. Miał nastawiony na uszy kołnierz długiego czarnego płaszcza, dwa pistolety meksykańskie za pasem i małą torbę podróżną w ręce. Obok niego szedł jego służący, Murzyn, równie stary jak on — i trzymał rozpostarty parasol, którym osłaniał swojego pana i siebie. Ramię w ramię ze starszymi szli chłopcy, którzy wszyscy nie mieli jeszcze szesnastu lat. Wielu uciekło ze szkół, aby zaciągnąć się do wojska; tu i ówdzie szły małe grupki w mundurach kadetów akademii wojskowych — czarne kogucie pióra na ich szarych, małych czapkach były mokre od deszczu, tak jak i płócienne pasy, skrzyżowane na piersiach. Wśród nich szedł i Filip Meade, z dumą niosący szablę i pistolety zmarłego brata, w kapeluszu zawadiacko włożonym na bakier. Pani Meade z wysiłkiem uśmiechała się do niego, póki jej nie minął, ale potem oparła głowę o ramię Scarlett, jak gdyby nagle opuściły ją siły.

Wielu żołnierzy nie miało nawet broni, bo brak było już i karabinów, i amunicji. Mieli nadzieję, że zdobędą je na zabitych lub wziętych do niewoli Jankesach. Wielu miało długie noże myśliwskie za cholewami, a w rękach grube drągi o żelaznych końcach, tak zwane „piki Joe Browna”. Szczęśliwsi mieli przewieszone przez ramię stare muszkiety i rogi prochu przy pasach.

Johnston stracił podczas odwrotu około dziesięciu tysięcy ludzi. Potrzebował dziesięciu tysięcy nowych. „A posyłają mu tę garstkę” — myślała Scarlett z przerażeniem.

Kiedy artyleria przejeżdżała z turkotem, opryskując błotem tłum gapiów, wzrok jej padł na Murzyna jadącego na mule przy jednej z armat. Był to młody, ciemnobrązowy Murzyn o poważnym wyrazie twarzy. Przyjrzawszy mu się lepiej Scarlett wykrzyknęła: — To przecież Mojżesz! Mojżesz Ashleya! Co on tutaj robi? — Przedarła się przez tłum aż do jezdni i zawołała: — Mojżeszu, zatrzymaj się!

Chłopak widząc ją wstrzymał cugle, uśmiechnął się z zachwytem i zaczął złazić z muła. Jadący za nim przemoknięty do nitki sierżant zawołał: — Nie zatrzymuj mi się, chłopcze, bo cię ukatrupię! Przecież w końcu musimy kiedyś dojechać do tych gór!

Mojżesz spoglądał niepewnie to na sierżanta, to znowu na Scarlett, zeszła więc przez kałużę błota na jezdnię i przytrzymała Murzyna za strzemię.

— Och, tylko chwileczkę, sierżancie! Nie zsiadaj z muła, Mojżeszu. Skąd się tu wziąłeś?

— Idę znowu na wojnę, Miss Scarlett. Tym razem ze starym panem Janem.

— Z panem Wilkesem? — Scarlett nie posiadała się ze zdumienia. Pan Wilkes miał blisko siedemdziesiąt lat. — Gdzie jest twój pan?

— Na samym końcu, przy ostatniej armacie, panno Scarlett. O, tam!

— Teraz muszę panią przeprosić. Ruszaj naprzód, chłopcze!

Scarlett przez chwilę stała bez ruchu po kostki w błocie. „Ach, nie! — myślała. — To niemożliwe. Za stary jest na to. Nie lubi wojny tak samo jak Ashley!” Cofnęła się o kilka kroków w stronę chodnika i bacznie przyglądała się mijającym ją twarzom. Aż wreszcie, kiedy przejechało ostatnie działo i jego obsługa, dostrzegła go, jak szczupły, wyprostowany, ze zmoczonymi od deszczu włosami, jechał na małej kasztanowatej klaczy, która omijała kałuże, z taką gracją, jak dama w jedwabnej sukni. Ale ta klacz to przecież była Nelly! Nelly pani Tarleton! Najukochańszy koń Beatrice Tarleton!

Kiedy pan Wilkes zobaczył Scarlett stojącą w błocie, wstrzymał konia i zeskoczywszy zeń podszedł ku niej z uśmiechem radości.

— Bardzo cię chciałem zobaczyć, Scarlett. Miałem dla ciebie wiele poleceń i pozdrowień od rodziców i sióstr. Nie starczyło mi jednak czasu. Przybyliśmy tu dziś rano i jak widzisz, już nas dalej wysyłają.

— Och, panie Wilkes! — wołała z rozpaczą, ściskając go za rękę. — Niech pan z nimi nie idzie. Po co pan to robi?

— A więc myślisz, że jestem już za stary! — pan Wilkes uśmiechnął się jak Ashley. — Może jestem zbyt stary, aby maszerować, ale dość jeszcze młody, aby jechać konno i strzelać. Pani Tarleton była tak uprzejma, że pożyczyła mi Nelly, mam więc doskonałego kania! Mam nadzieję, że nic jej się nie stanie, bo inaczej nie śmiałbym się pokazać na oczy pani Tarleton. Nelly jest ostatnim koniem, jaki jej został. — Pan Wilkes śmiał się, aby rozwiać do reszty obawy Scarlett. — Twoi rodzice i siostry miewają się dobrze i przesyłają ci serdeczne ukłony. Ojciec twój omal z nami dziś nie poszedł!

— Skądże znowu ojciec?! — zawołała Scarlett w przerażeniu. — Skądże! Czy także chce iść na wojnę?

— Już nie, ale początkowo chciał. Oczywiście, że trudno mu chodzić ze względu na sztywne kolano, koniecznie jednak chciał pojechać z nami. Pani O’Hara zgodziła się na to pod warunkiem, że dobrze przeskoczy przez płot na pastwisku, bo, jak mówiła, w wojsku drogi bywają bardzo niebezpieczne. Ojciec myślał, że pójdzie mu to gładko, ale... czy uwierzysz? Kiedy zbliżył się do płotu, koń stanął dęba i ojciec spadł na ziemię! Cud prawdziwy, że nie skręcił sobie karku! Wiesz jednak, jak jest uparty. Podniósł się i zaczął próbować znowu. No, i, Scarlett, spadł z konia trzy razy, i pani O’Hara z pomocą Porka musiała go ułożyć do łóżka. Gerald był wściekły z tego powodu i zaklinał się, że twoja matka „zadała jakiś czar tej bestii”. Ojciec nie nadaje się do czynnej służby, Scarlett. Nie potrzebujesz się tego wstydzić. Ostatecznie, ktoś musi przecież zostać w domu i pilnować zbiorów dla armii... Scarlett nie czuła wcale wstydu, tylko wielką ulgę.

— Wysłałem Honey i Indię do Macon, do moich krewnych, Bur rów, a pan O’Hara będzie teraz doglądał Dwunastu Dębów i Tary... A teraz muszę już iść, moja droga. Pozwól mi pocałować twoją śliczną buzię.

Scarlett nastawiła policzek i ból ścisnął ją za gardło. Bardzo lubiła pana Wilkesa. Kiedyś, dawno temu, miała nadzieję, że zostanie jego synową.

— Ten pocałunek oddaj Pittypat, a ten Melanii — powiedział całując ją lekko jeszcze dwa razy. — A jak się miewa Melania?

— Dziękuję, zupełnie dobrze.

— Ach! — znowu na nią spojrzał, a raczej poprzez nią, w dal jak Ashley, szarymi oczyma, które patrzyły w inny jakiś świat. — Bardzo pragnąłbym widzieć mego pierwszego wnuka. Do widzenia, droga Scarlett.

Wskoczył na Nelly, pocwałował nie wkładając kapelusza i włosy mokły mu na deszczu. Scarlett wróciła na swoje miejsce przy Maybelle i pani Meade i wtedy dopiero pojęła całkowicie sens ostatnich słów pana Wilkesa. W przesadnym strachu zaczęła się szybko żegnać. Wyszeptała nawet kilka pierwszych słów modlitwy. Pan Wilkes mówił o śmierci, tak samo jak Ashley. A teraz Ashley... Nigdy nie należy mówić o śmierci! Drażni się tym tylko zły los. Kiedy we trzy wracały w stronę szpitala, Scarlett modliła się: „Oszczędź go, Panie Boże! Oszczędź jego i Ashleya!”

Odwrót z Daltonu do Góry Kennesaw trwał od pierwszych dni maja do połowy czerwca, gdy więc mijały upalne, deszczowe dni, a Sherman nie wypierał konfederatów ze stromych, spadzistych zboczy, nadzieja obudziła się znowu. Nastrój ludności poprawił się i zaczęto się życzliwiej wyrażać o generale Johnstonie. Gdy minął mokry czerwiec i zaczął się jeszcze bardziej deszczowy lipiec, a konfederaci walcząc rozpaczliwie w okopach na wyżynie ciągle jeszcze trzymali Shermana w szachu, szaleńcza wesołość zapanowała w Atlancie. Nadzieja uderzała do głów jak trunek.

Hura! Hura! Mamy ich wreszcie! Rozpoczęła się epidemia zabaw i balów. Ilekroć żołnierze z pola walki przyjeżdżali do miasta, wydawano dla nich kolacje z tańcami — panny zaś, dziesięciokrotnie przewyższające liczbą mężczyzn, walczyły o tańce z nimi.

Atlanta przepełniona była przyjezdnymi, uciekinierami, rodzinami rannych w szpitalach oraz żonami i matkami żołnierzy walczących u stóp gór. Chciały być blisko nich na wypadek, gdyby ich raniono. W dodatku panny z tych części powiatu, gdzie nie było innych mężczyzn niż starcy lub mali chłopcy, urządziły najazd na miasto. Ciotka Pitty bardzo była tym zgorszona, bo domyślała się, że sprowadza je do Atlanty chęć złapania mężów, bezwstyd więc takiego postępowania sprawiał, iż biadała, jakie to straszne czasy nastały. Scarlett także krytykowała je ostro. Nie życzyła sobie konkurencji szesnastoletnich dziewczynek, których świeże policzki i radosne uśmiechy wynagradzały brak nowych sukien i łatane buty. Ona wprawdzie miała ładniejsze i nowsze suknie niż większość kobiet, ponieważ Rett Butler przywiózł jej materiały w ostatnim transporcie, jaki zdołał przemycić, ale miała już lat dziewiętnaście i starzała się, a mężczyźni mieli dziwny zwyczaj oglądania się za głupimi podlotkami.

Jako wdowa z dzieckiem miała stanowczo mniejsze szansę od tych ładnych dziewczątek. W tych jednak pełnych podniecenia dniach wdowieństwo i macierzyństwo ciążyło jej mniej niż kiedykolwiek przedtem. Zajęta szpitalem w dzień, a zabawą w nocy, rzadko widywała Wade’a. Czasem zapominała, nawet na długo, że w ogóle ma dziecko.

Podczas ciepłych, wilgotnych nocy letnich domy Atlanty były otwarte szeroko dla żołnierzy, obrońców miasta. Pałacyki przy ulicy Waszyngtona i Brzoskwiniowej błyszczały światłem, gdy goszczono uwalanych błotem bohaterów z okopów, a dźwięki banjo i skrzypiec, szuranie tańczących stóp i swobodne śmiechy niosły się daleko w ciszy nocnej. Grupki młodzieży otaczały pianina i śpiewały ochoczo smutne słowa: „Nadszedł twój list, za późno, niestety!”, podczas gdy obszarpani kawalerowie patrzyli znacząco na dziewczęta, śmiejące się zza wachlarzy z kogucich piór, i błagali je, by nie czekały, aż będzie za późno. Żadna zresztą nie miała teraz zamiaru czekać. Fala nerwowej wesołości i podniecenia, która ogarnęła miasto, niosła je wprost przed ołtarz. W ciągu tego miesiąca, gdy Johnston odpierał nieprzyjaciela na Górze Kennesaw, odbyła się niezliczona ilość ślubów, do których zaczerwienione ze szczęścia narzeczone stroiły się w pożyczone na gwałt od przyjaciółek szmatki, narzeczeni zaś podzwaniali szablą po łatanych spodniach. Tyle było radości, tyle zabaw, tyle rozrywek! Hura! Johnston stawia Jankesom opór w odległości dwudziestu dwu mil od miasta!

Tak, okopy dokoła Góry Kennesaw były niezdobyte. Po dwudziestu pięciu dniach walki nawet generał Sherman w to uwierzył, bo straty poniósł olbrzymie. Zamiast więc kontynuować atak, rozrzucił swoją armię szerokim kołem po płaszczyźnie, aby stanąć między konfederatami a Atlantą. Manewr strategiczny powiódł mu się znowu. Johnston zmuszony był zejść z wyżyn, których tak skutecznie bronił, aby zabezpieczyć z kolei tyły. W walkach stracił jedną trzecią swoich ludzi, niedobitki zaś jego wojsk leniwie wlokły się w deszcz w stronę rzeki Chattahoochee. Konfederaci nie mieli już więcej posiłków, a kolej, którą Jankesi władali teraz na przestrzeni od Tennessee aż do frontu, co dzień przynosiła Shermanowi świeże wojska i amunicję. Tak więc szara armia cofnęła się przez błotniste pola w stronę Atlanty.

Z chwilą utraty niezwyciężonej rzekomo pozycji, nowa fala strachu ogarnęła miasto. Przez dwadzieścia pięć szczęśliwych, szalonych dni i nocy wszyscy zapewniali wszystkich, że to się nigdy nie stanie. A teraz nagle się stało! Z pewnością jednak uda się generałowi zatrzymać Jankesów po przeciwnej stronie rzeki. Choć, o zgrozo! Rzeka była bardzo blisko — o siedem mil od miasta!

Sherman przebywając rzekę oskrzydlił konfederatów znowu, więc szare szeregi musiały się pośpiesznie przeprawiać wpław przez żółte wody, między najeźdźcą a Atlantą... Szybko okopali się na północ od miasta w Dolinie Brzoskwiniowej. W Atlancie zapanowała panika i rozpacz.

Walka i odwrót! Walka i odwrót! Każdy odwrót przybliżał Jankesów do miasta. Dolina Brzoskwiniowa odległa była zaledwie o pięć mil od Atlanty! Cóż sobie generał właściwie myśli? Okrzyki: „Dajcie nam człowieka, który będzie stawiał opór i walczył!” dotarły nawet do Richmondu. Tam wiedziano, że zdobycie Atlanty będzie znaczyło przegraną wojnę, kiedy więc armia przekroczyła rzekę Chattahoochee, odebrano generałowi Johnstonowi dowództwo. Miejsce jego zajął generał Hood, dowódca jednego z korpusów armii. Miasto odetchnęło z ulgą. Hood nie będzie się cofał. Hood, wysoki, energiczny mężczyzna o dużej brodzie i płonących oczach, pochodził z Kentucky i miał opinię człowieka nieustępliwego. Z pewnością zdoła wypchnąć Jankesów z Doliny Brzoskwiniowej, za rzekę, i dalej jeszcze, aż do samego Daltonu. Armia jednak wołała: „Dajcie nam starego Joe!”, ponieważ przebyła z nim razem trudną drogę z Daltonu i wiedziała lepiej od ludności cywilnej, ile pokonał przeszkód.

Sherman nie czekał wszakże, aż Hood przygotuje się do ataku. W dzień po zmianie naczelnego dowództwa generał jankeski szybko uderzył na miasteczko Dekatur, o sześć mil od Atlanty, zajął je i zniszczył tam tor kolei łączącej Atlantę z Augusta, Charlestonem, Wilmingtonem i Wirginią. Sherman zadał Konfederacji śmiertelny cios. Czas już wreszcie na ostateczną walkę! Atlanta domagała się energicznej akcji!

Aż wreszcie pewnego skwarnego popołudnia lipcowego spełniło się życzenie miasta. Generał Hood nie ograniczał się do stawiania oporu i walki. Zaatakował Jankesów nad Strumieniem Brzoskwiniowym, rzucając swych ludzi na szeregi niebieskich, mimo że żołnierzy Shermana było przeszło dwa razy więcej.

Modląc się, aby atak Hooda był skuteczny, słuchano w przerażeniu odgłosu strzałów armatnich i karabinowych, które choć padały o pięć mil od centrum miasta, brzmiały tak głośno, jak z sąsiedniej ulicy. Słyszało się już dudnienie baterii, widziało dym, który unosił się nad wierzchołkami drzew niczym płonące nisko chmury, ale przez długie godziny nic nie było wiadomo o losach bitwy.

Późno po południu nadeszły pierwsze wiadomości — niepewne, sprzeczne, przerażające. Przynieśli je żołnierze ranni w pierwszych godzinach bitwy. Napływali pojedynczo i w gromadkach, a lżej ranni podpierali tych, którzy z trudem chodzili. Wkrótce nieprzerwany ich pochód sunął w stronę szpitali. Twarze mężczyzn były czarne od prochu, kurzu i potu, rany — otwarte, krew zastygła w strupy, dokoła których krążyły muchy. Dom ciotki Pitty był jednym z pierwszych, do których doszli ranni idąc z północy ku miastu; jeden za drugim wtaczali się za furtkę, opadali na zieloną murawę i jęczeli: — Wody!

Przez całe gorące popołudnie Pitty i wszyscy jej domownicy, czarni i biali, stali w słońcu z kubłami i bandażami, rozdając kubki wody i przewiązując rany, aż nie stało bandaży i wyczerpał się zapas dartych na pasy prześcieradeł i ręczników. Ciotka Pitty zapomniała zupełnie, że mdleje zwykle na widok krwi, i pracowała, aż małe jej nogi w zbyt ciasnych pantoflach tak spuchły, że odmówiły jej posłuszeństwa. Nawet Melania, bardzo już ciężka, nie pamiętała o należnej skromności i gorączkowo pracowała ze Scarlett, Prissy i kucharką, aż twarz jej stała się tak zbolała jak twarze rannych. Kiedy w końcu zemdlała, trzeba ją było położyć na stole kuchennym, bo wszystkie łóżka, krzesła i sofy w domu zajmowali już ranni.

Zapomniany w tym rozgardiaszu mały Wade przycupnął za balustradą frontowego ganku i patrzył na trawnik przed domem jak przerażony królik w klatce — oczy miał szeroko rozwarte, ssał bez przerwy palec, miał nieustanną czkawkę. W pewnej chwili Scarlett spostrzegła go i zawołała ostro: — Idź na podwórze i baw się tam, Wade! — ale malec był zbyt przejęty scenami, które rozgrywały się przed nim, aby jej usłuchać.

Na trawniku rozłożyli się żołnierze, zbyt zmęczeni, aby iść dalej, zbyt słabi od ran, aby się ruszać. Tych wuj Piotr wsadzał do powozu i przewoził do szpitala, robiąc kurs kilkanaście razy, aż stary koń pokrył się pianą. Pani Meade i pani Merriweather także przysłały swoje powozy, które również jechały i wracały, aż resory trzeszczały pod ciężarem rannych.

Później, w letnim, gorącym zmierzchu, nadjechały z pola walki ambulanse i wozy pokryte zabłoconym płótnem. Potem wozy drabiniaste i nawet prywatne pojazdy, zarekwirowane przez korpus sanitarny, mijały dom ciotki Pitty podskakując po wyboistej drodze, pełne rannych i konających i znaczyły krwawe ślady na czerwonym piasku. Na widok kobiet z kubłami wody i czerpakami zatrzymywały się i chór rannych brzmiał na przemian krzykiem i szeptem: — Wody!

Scarlett podtrzymywała chwiejące się głowy, wlewała wodę między spieczone wargi, pryskała nią na zakurzone, rozgorączkowane ciała i na otwarte rany, aby sprawić żołnierzom choć krótką ulgę. Na palcach podchodziła z pełnymi kubkami do woźniców ambulansów i pytała ich z duszą na ramieniu: — Jakie nowiny? Jakie wiadomości?

Wszyscy odpowiadali niezmiennie: — Nie wiemy dokładnie, proszę pani. Jeszcze za wcześnie, aby wiedzieć.

Nadeszła parna noc. Nie było przewiewu, a płonące pochodnie sosnowe, trzymane przez Murzynów, jeszcze wzmagały gorąco. Kurz zatykał nozdrza Scarlett i wysuszał jej wargi. Suknia, perkalowa, rano tak czysta i wykrochmalona, była przepocona i uwalana krwią i brudem. A zatem to miał na myśli Ashley, pisząc, że wojna to nie sława, lecz brud i nędza...

Zmęczenie nadawało zdarzeniom nierealne, koszmarne znamiona. To, co się działo, nie mogło być realne — albo też, jeżeli było rzeczywistością — świat musiał chyba oszaleć. Inaczej, po cóż stałaby tutaj w spokojnym ogródku ciotki Pitty wśród chybotliwych świateł i chlustała wodą na konających żołnierzy? Tylu z nich było jej wielbicielami... Teraz widząc ją próbowali się blado uśmiechać. Tylu mężczyzn, których znała doskonale, potykało się na tej ciemnej, zapylonej drodze, tylu mężczyzn umierało w jej oczach, a roje moskitów i komarów lgnęło do ich zakrwawionych twarzy — tylu mężczyzn, z którymi tańczyła i śmiała się, dla których grała i śpiewała, którym dokuczała, których pocieszała, których kochała... troszeczkę...

Znalazła Careya Ashburna na samym dnie wozu, pod kupą rannych, ledwie żywego od rany w głowie. Nie mogła go jednak wydostać nie poruszając przy tym sześciu innych mężczyzn, musiała więc pozwolić, aby go zawieziono do szpitala. Potem dowiedziała się, że zmarł, zanim go lekarze zdążyli opatrzyć, i że został gdzieś pochowany, nikt nie wiedział gdzie. Tylu mężczyzn spoczęło już tego miesiąca w płytkich, pośpiesznie wykopanych grobach na cmentarzu oaklandzkim. Melania była bardzo strapiona, że nie mogła przesłać pasma włosów Careya matce jego w Alabamie.

Późnym wieczorem, kiedy plecy bolały je coraz bardziej, a kolana drżały ze zmęczenia, Scarlett i Pitty coraz niecierpliwiej pytały żołnierzy: — Jakie wiadomości, jakie nowiny?

Pod koniec wreszcie długich, wolno mijających godzin otrzymywać zaczęły odpowiedzi, które sprawiły, że z bladym strachem spojrzały sobie w oczy.

— Cofamy się. Musimy się cofać. Przewyższają nas o całe tysiące. Odcięli kawalerię Wheelera koło Dekatur. Będziemy musieli iść na odsiecz. Nasi chłopcy wejdą wkrótce do miasta.

Scarlett i Pitty objęły się mocno, aby nie upaść.

— Czy... Czy Jankesi zbliżają się do miasta?

— Tak, zbliżają się, ale daleko nie zajdą, łaskawa pani. Niech się pani nie obawia, nie zajmą Atlanty. Nie, proszę pani, mamy całe mile okopów dookoła miasta. Słyszałem na własne uszy, jak stary Joe mówił: „Potrafię utrzymać Atlantę!” Tak, ale nie ma już starego Joe. Mamy teraz... — Uspokój się, ty głupcze! Nie strasz tych pań! — Jankesi nigdy nie zajmą miasta, łaskawa pani. Dlaczego nie jadą panie do Macon czy gdzie indziej, gdzie jest bezpieczniej? Czy nie mają tam panie krewnych? Jankesi wprawdzie nie wejdą do Atlanty, ale lepiej dla pań będzie wyjechać teraz gdzieś dalej. Strzelanina będzie pewno mocna...

Następnego dnia, w ciepłym porannym deszczu, pokonana armia przechodziła całymi tysiącami przez Atlantę, wycieńczona głodem i zmęczeniem, wyniszczona siedemdziesięciu sześciu dniami bitew i odwrotów. Konie ich wyglądały jak wygłodniałe strachy na wróble, a podwozia powiązane były kawałkiem sznurów i rzemieni. Nie szli jednak bezładnie ani w rozsypce. Maszerowali w szeregu dość karnie mimo wycieńczenia. Podarte czerwone sztandary bojowe powiewały na deszczu. Nauczyli się odwrotów pod wodzą starego Joe, który uważał, że odwrót jest nie mniej ważną sprawą od ataku. Brodate, wynędzniałe szeregi zapełniły ulicę Brzoskwiniową przy dźwiękach pieśni: „Maryland, mój Maryland”, a całe miasto wyległo na ulice, aby dodać żołnierzom otuchy. W zwycięstwie czy w klęsce, zawsze byli „ich chłopcami”.

Milicja stanowa, która tak niedawno weszła w pole strojna w nowe mundury, nie różniła się teraz niczym od starych żołnierzy, tak była brudna i obdarta. W oczach jej członków pojawił się nowy wyraz. Trzy lata zwlekania, usprawiedliwiania się, że nie są na froncie, należały już do przeszłości. Zamienili bezpieczeństwo na tyłach na znoje bitew. Wielu z nich zamieniło łatwe życie na trudną śmierć. Teraz byli weteranami, weteranami, którzy po krótkiej służbie dobrze odkupili swoje przewiny. Szukali twarzy przyjaciół w tłumie i patrzyli w nie dumnie, z wyzwaniem. Mogli teraz chodzić z podniesioną do góry głową.

Dalej szli starcy i chłopcy z gwardii. Starsza generacja ledwie powłóczyła nogami, chłopcy mieli wyraz twarzy zmęczonych dzieci, przedwcześnie obarczonych problemami ludzi dojrzałych. Scarlett dojrzała Filipa Meade i ledwie go poznała, tak był czarny od prochu i brudu, tak wyczerpany nerwowo i zmęczony. Wuj Henryk szedł kulejąc, bez kapelusza, okryty podartym płaszczem ceratowym. Dziadek Merriweather jechał okrakiem na podwoziu armaty, a bose nogi owinięte miał kawałkiem koca. Mimo że szukała go bacznie, Scarlett nie dostrzegła nigdzie Jana Wilkesa.

Weterani Johnstona szli równym, swobodnym krokiem, jakiego nauczyli się w ciągu trzech lat. Mieli jeszcze dość energii, aby uśmiechać się i wymachiwać rękami do ładnych dziewcząt i drwić na głos z mężczyzn w cywilu. Byli w drodze do okopów okalających miasto — do prawdziwych fortyfikacji, głębokich, osłoniętych workami piasku i ostro zakończonymi drewnianymi palikami. Fortyfikacje te otaczały w odstępach milowych całe miasto — czerwone rowy z czerwonymi nasypami — i czekały na mężczyzn, którzy je zapełnią.

Tłum wołał do żołnierzy tak samo przyjaźnie, jak gdyby witał ich w zwycięstwie. Strach czaił się we wszystkich sercach, ale teraz, gdy prawdę już znano, gdy zdarzyło się najgorsze i wojna przyszła na własne ich podwórko, w mieście dokonała się przemiana. Nie było paniki ani histerii. Uczucia, kryjące się w sercach, nie przejawiały się na twarzach. Wszyscy wyglądali wesoło, jakkolwiek wesołość ta była bardzo sztuczna. Wszyscy starali się witać wojsko odważnym, pełnym wiary uśmiechem. Wszyscy powtarzali sobie ostatnie słowa starego Joe, w chwili, gdy odbierano mu dowództwo: — Potrafię utrzymać Atlantę!

Teraz gdy z kolei Hood musiał się cofać, wielu, wraz z żołnierzami, żałowało, że to nie stary Joe jest na jego miejscu, ale nikt nie śmiał tego wypowiedzieć głośno, czerpano więc tylko otuchę z ostatnich słów Johnstona.

— Potrafię utrzymać Atlantę!

Nie dla Hooda była ostrożna taktyka Johnstona. Zaatakował Jankesów na wschodzie i na zachodzie. Sherman opasywał miasto jak zapaśnik starający się trafić w słabe punkty przeciwnika, Hood zaś nie pozostał w rowach strzeleckich i nie czekał na atak Jankesów. Wyszedł im zuchwale na spotkanie i napadł na nich ostro. W ciągu kilku dni stoczył bitwy pod Atlantą i pod Ezrą — poważne bitwy, wobec których walki w Dolinie Brzoskwiniowej wydawały się lekką utarczką. Jankesi jednak nie przestawali się posuwać naprzód. Ponieśli dotkliwe straty, lecz mogli sobie na nie pozwolić. Baterie ich pluły bez przerwy pociskami na Atlantę, zabijając ludzi w domach, zdzierając dachy z budynków, ryjąc wielkie dziury na ulicach. Ludność kryła się w piwnicach, w jamach ziemnych i płytkich tunelach, wykopanych pod skrzyżowaniami ulic. Atlanta była oblężona.

W ciągu jedenastu dni od chwili objęcia dowództwa generał Hood stracił prawie tylu ludzi, co Johnston w czasie siedemdziesięciu dni bitew i odwrotów. Atlanta zaś była otoczona z trzech stron.

Kolej z Atlanty do Tennessee była teraz całkowicie w rękach Shermana. Armia jego stała za linią kolejową na wschodzie i droga na południowy zachód do Alabamy także była przecięta. Tylko odcinek południowy, w kierunku Macon i Savannah, jeszcze funkcjonował normalnie. Miasto pełne było żołnierzy i rannych, natłoczone uciekinierami, i jedna linia nie wystarczała do zaspokojenia jego niezbędnych potrzeb. Dopóki jednak kolej znajdowała się w rękach południowców, Atlanta mogła się opierać.

Scarlett była przerażona, gdy zrozumiała, jak ważna stała się teraz kolej, jak zapalczywie będzie o nią walczył Sherman i jak rozpaczliwie będzie jej bronił Hood. Ten bowiem odcinek kolei przechodził przez jej rodzinny powiat i przez Jonesboro. A Tara leżała o pięć mil od powiatowego miasta! Tara wydawała się spokojną przystanią w porównaniu z piekłem, jakim się stała Atlanta, ale Tara była odległa zaledwie o pięć mil od Jonesboro!

Scarlett i inne damy siedziały pod malutkimi parasolami na płaskim dachu składów i przyglądały się walkom w dniu bitwy pod Atlantą. Kiedy jednak pociski po raz pierwszy zaczęły padać na ulicę, panie schroniły się do piwnic. Tego samego wieczora kobiety, dzieci i starcy zaczęli uciekać z miasta. Udawali się do Macon. Wiele osób, które owego wieczora wsiadły do pociągu, zmieniło miejsca pobytu po pięć i sześć razy w czasie odwrotu Johnstona spod Daltonu. Teraz podróżowali swobodniej, niż kiedy przyjechali do Atlanty. Większość miała tylko torby podróżne i trochę żywności w węzełkach. Czasem widać było przerażoną służbę, która niosła do pociągu srebrne dzbany, noże czy widelce i portrety rodzinne, uratowane w pierwszym etapie ucieczki;

Panie Merriweather i Elsing nie chciały wyjechać z Atlanty. Potrzebne były w szpitalu, ponadto zaś, jak dumnie oświadczyły, nie bały się i cała nawet armia Jankesów nie zdołałaby ich wystraszyć z domów. Fanny jednak i Maybelle z dzieckiem pojechały do Macon. Pani Meade po raz pierwszy od dnia ślubu nie posłuchała męża i zdecydowanie odmówiła prośbie doktora, by schroniła się w bezpieczne miejsce. Twierdziła, że potrzebna jest doktorowi. Co ważniejsze, Filip znajdował się gdzieś w okopach pod Atlantą, chciała więc być blisko na wypadek...

Pani Whiting jednak wyjechała, a z nią wiele innych pań z otoczenia Scarlett. Ciotka Pitty, która nie przestawała atakować Johnstona z powodu jego polityki cofania się, pierwsza zaczęła pakować kufry. Miała, jak mówiła, delikatne nerwy i nie mogła znieść strzelaniny. Bała się, że zemdleje na odgłos detonacji i nie będzie mogła skryć się w piwnicy. Poza tym wcale się nie bała. Starała się ułożyć dziecinne usta w marsowy grymas, na próżno jednak. Postanowiła pojechać do Macon do kuzynki, starej pani Burr, i zabrać ze sobą dziewczęta.

Scarlett nie chciała jechać do Macon. Mimo że bała się kul, wolała zostać w Atlancie, niż jechać do Macon, bo z całego serca nienawidziła starej pani Burr. Przed wielu laty pani Burr nazwała ją „flirciarą”, ponieważ przyłapała ją na całowaniu się z jej synem Willym podczas jakiejś wizyty u Wilkesów. Oświadczyła więc ciotce Pitty, że pojedzie do domu, do Tary. Niech ciotka zabierze ze sobą Melę, jeśli chce.

Na te słowa Melania rozpłakała się z przerażenia i z żalu. Kiedy Pitty pobiegła do doktora Meade, Melania schwyciła Scarlett za ręce i zaczęła błagać:

— Kochanie, nie jedź do Tary i nie opuszczaj mnie teraz! Bez ciebie będzie mi bardzo smutno. Och, Scarlett, czuję, że umrę, jeżeli nie będzie cię przy mnie, gdy dziecko się urodzi! Tak... Tak, wiem, że będzie przy mnie ciocia, która jest taka dla mnie dobra... Tylko że ona nigdy nie miała dziecka i czasem tak mnie irytuje, że chce mi się płakać. Nie zostawiaj mnie teraz samej, kochanie. Byłaś dla mnie jak siostra, poza tym zaś — tu uśmiechnęła się słabo — przyrzekłaś Ashleyowi, że będziesz się mną opiekowała. Powiedział mi, że cię o to poprosi.

Scarlett patrzyła na nią z podziwem. Jakże Mela mogła ją tak kochać, kiedy ona tak bardzo jej nie lubiła, że ledwo to mogła ukryć? Jak mogła być tak zaślepiona, aby nie domyślać się jej tajemnej miłości do Ashleya? Zdradziła się tym wielokrotnie podczas miesięcy udręki i czekania na wiadomości od niego. Melania jednak nie widziała nic, Melania dostrzegająca tylko dobro w tych, których lubiła... Tak, przyrzekła Ashleyowi, że będzie się opiekowała Melanią. Ach, Ashleyu! Ashleyu! Już pewnie nie ma cię na świecie, nie ma od wielu miesięcy! Ale obietnica ta wiąże mnie teraz i obowiązuje!

— Rzeczywiście — odpowiedziała szorstko — przyrzekłam mu to i nie cofam mojego przyrzeczenia. Nie chcę jednak jechać do Macon, do tej fałszywej kuzynki Burr. Wydrapałabym jej oczy od razu po przyjeździe! Chcę pojechać do domu, do Tary, i mogę cię z sobą zabrać. Mamusia na pewno bardzo się z tego przyjazdu ucieszy.

— Och, bardzo chętnie! Twoja matka jest taka dobra! Wiesz jednak, że ciotka umrze z niepokoju, jeżeli nie będzie przy urodzeniu dziecka, a zdaje mi się, że nie chce pojechać do Tary. Tara jest za blisko frontu, a ciocia chce być w miejscu bardziej bezpiecznym.

Doktor Meade, który przybiegł zdyszany, sądząc po alarmie, jaki wszczęła Pitty, że Mela ma przedwczesny poród, był oburzony i wcale tego nie ukrywał. Dowiedział się o przyczynie zdenerwowania, rozstrzygnął kwestię w słowach bardzo kategorycznych.

— Melu, to wykluczone, abyś teraz mogła jechać do Macon Nie odpowiadam za ciebie, jeżeli gdziekolwiek wyruszysz. Pociągi są przepełnione i niepewne. Pasażerowie mogą w każdej chwili zostać wyproszeni z wagonów, jeżeli okaże się, że pociągi są potrzebne dla rannych czy dla transportu wojsk i żywności. W twoim stanie...

— Ale gdybym pojechała ze Scarlett do Tary...

— Mówię ci, że nie chcę, abyś się gdziekolwiek ruszała. Do Tary jedzie się tym samym pociągiem co do Macon i warunki podróży są takie same. Ponadto zaś nikt nie wie dokładnie, gdzie są Jankesi, są jednak wszędzie i blisko. Możliwe jest, że właśnie twój pociąg zostanie zatrzymany przez wroga. Gdybyś zaś nawet bezpiecznie zdołała dojechać do Jonesboro, czekałaby cię jeszcze pięciomilowa droga końmi do Tary. To nie jest wyprawa dla kobiet w odmiennym stanie. Prócz tego, od czasu gdy doktor Fontaine zaciągnął się do wojska, nie ma w powiecie doktora.

— Są jednak akuszerki.

— Ja mówię o doktorze — odrzekł szorstko i oczy jego bezwiednie spoczęły na delikatnej figurce Meli. — Nie chcę, abyś się stąd ruszała. Może to dla ciebie być niebezpieczne. Nie chcesz chyba urodzić dziecka w pociągu ani w bryczce, prawda?

Pod wpływem tych szczerych słów panie zaczerwieniły się i zamilkły.

— Musisz zostać tutaj, gdzie mogę do ciebie zaglądać. Powinnaś się nawet położyć. Nie biegaj mi tam i z powrotem do piwnicy. Ostatecznie, nie jest tu aż tak bardzo niebezpiecznie. Pobijemy Jankesów lada chwila... A więc, panno Pitty, niech pani sobie wyjeżdża do Macon i zostawi te młode damy tutaj.

— Bez opieki? — zawołała Pitty przerażona.

— To przecież są mężatki — rzekł doktor niechętnie. — Zresztą pani Meade jest o dwa domy dalej. I tak nie mogą teraz przyjmować gości, gdy Mela jest w takim stanie. Wielkie nieba, panno Pitty! Przecież teraz jest wojna! Nie można myśleć o tym, co wypada, a co nie wypada. Musimy myśleć o zdrowiu Meli.

Doktor wyszedł z pokoju i poczekał na ganku, frontowym na Scarlett.

— Będę z tobą szczery, Scarlett — zaczął skubiąc swoją siwą brodę. — Wydajesz mi się kobietą rozsądną, więc zaoszczędź mi rumieńców. Nie chcę nawet słyszeć o tym, aby Mela ruszyła się z miejsca. Wątpię, czy przetrzymałaby podróż. Czeka ją trudny poród, nawet w najlepszych warunkach... Jak wiesz, ma bardzo wąskie biodra i poród będzie zapewne kleszczowy, nie chcę więc, aby asystowała przy tym jakaś ciemna murzyńska akuszerka. Kobiety o jej budowie nie powinny mieć w ogóle dzieci, ale... W każdym razie zapakuj kufer panny Pitty i wyślij ją do Macon. Jest tak przerażona, że będzie tylko denerwowała Melę, a to jej może zaszkodzić. A teraz, panienko — popatrzył na nią przenikliwie — nie opowiadaj mi tylko, że chcesz jechać do domu. Zostaniesz z Melą, dopóki się dziecko nie urodzi. Nie boisz się chyba, prawda?

— Ach, nie, skąd! — skłamała Scarlett energicznym głosem.

— Jesteś dzielną kobietą. Pani Meade będzie się wami opiekowała, jeżeli zajdzie tego potrzeba. Poza tym przyślę wam starą Betsy, aby wam gotowała, jeżeli panna Pitty zabierze ze sobą swoją służbę. Wszystko to nie potrwa długo. Dziecko powinno się urodzić w ciągu najdalej pięciu tygodni, nie można jednak niczego przewidzieć, ponieważ to pierwsze dziecko i warunki zewnętrzne nie bardzo sprzyjają. Może się to także stać lada dzień.

Tak więc ciotka Pitty wylewając potoki łez pojechała do Macon i zabrała ze sobą wuja Piotra i kucharkę. Powóz i konie podarowała szpitalowi w przypływie patriotyzmu, którego natychmiast pożałowała i to wywołało nowe łzy. A Scarlett i Melania zostały z Wade’em i Prissy same w domu, który był teraz o wiele cichszy, mimo że strzelanina trwała nieprzerwanie.

## ROZDZIAŁ XIX

W tych pierwszych dniach oblężenia, kiedy Jankesi przypuszczali próbne szturmy do miasta, Scarlett tak była przerażona wybuchami pocisków, że mogła co najwyżej przycupnąć bezradnie, zakrywszy rękoma uszy, i czekać chwili, gdy przeniesiona zostanie do wieczności. Słysząc przeciągłe świsty, zwiastujące rozpoczęcie strzelaniny, biegła do pokoju Melanii, rzucała się na łóżko koło niej, po czym obie obejmowały się mocno, jęcząc i chowając głowy pod poduszkę. Prissy i Wadę kryli się w piwnicy i tam siedzieli w pełnej pajęczyn ciemności. Prissy — wrzeszcząc na cały głos. Wadę — płacząc i czkając.

Scarlett dusząc się pod puchowymi poduszkami, gdy śmierć szalała nad głową, milcząco klęła Melanię, że z jej powodu nie może chronić się w bezpieczne miejsce pod schodami. Doktor jednak zabronił Melanii chodzić i Scarlett musiała być przy niej. Z obawą, iż w każdej chwili może zostać rozerwana w strzępy, łączył się równie silny strach, że dziecko Melanii może się urodzić lada chwila. Pot oblewał Scarlett, ilekroć o tym myślała. Co pocznie, jeżeli Melania zacznie rodzić? Wiedziała, że raczej dopuści, by Melania umarła, niż wyjdzie na ulicę szukać doktora, kiedy pociski padają jak deszcz w kwietniu. Wiedziała także, że Prissy groźbą najgorszych katuszy nie da się zmusić do wyjścia z domu. Co więc będzie, jeżeli Melania zacznie rodzić?

Sprawy te szeptem omawiała z Prissy pewnego wieczora, gdy wspólnie przygotowały kolację dla Meli. Prissy dość niespodziewanie uspokoiła jej obawy.

— Miss Scarlett, nawet jeżeli doktor nie będzie mógł przyjść, gdy nadejdzie czas panny Meli, niech się pani nie martwi. Dam sobie radę. Znam się na rodzeniu. Przecież moja mama jest akuszerką i ja także mam być akuszerką, może pani na mnie polegać.

Scarlett odetchnęła swobodniej, dowiedziawszy się, że para doświadczonych rąk jest w pobliżu, tym niemniej jednak pragnęła, aby wszystko to było już poza nią. Tak bardzo chciała wydostać się spod zasięgu kul, do spokoju Tary, że modliła się co wieczór, aby dziecko przyszło na świat nazajutrz i aby została zwolniona ze swojej obietnicy i mogła wyjechać z Atlanty. Tara wydawała się jej bezpieczna i bardzo daleka od tych wszystkich nieszczęść i kłopotów.

Scarlett tęskniła za domem i za matką jak nigdy dotąd. Gdyby mogła być blisko Ellen, nie bałaby się wcale nikogo ani niczego. Co wieczór, po dniu ogłuszającego huku pocisków, kładła się do łóżka zdecydowana, iż następnego ranka powie Melanii, że nie może już dłużej wytrzymać w Atlancie, że musi jechać do domu, a Melania niech się przeniesie do pani Meade. Ale gdy tak leżała na poduszce, stawało przed nią wspomnienie twarzy Ashleya, patrzącej na nią po raz ostatni, skurczonej od wewnętrznego bólu, ale uśmiechniętej blado: „Będziesz się opiekowała Melanią, prawda? Ty jesteś taka silna... Przyrzeknij mi”. I Scarlett przyrzekła. Gdzieś w dalekim świecie Ashley leżał nieżywy. Mimo to jednak patrzył na nią, zmuszał do dotrzymania obietnicy. Nie wyjeżdżała więc z Atlanty.

W odpowiedzi na listy Ellen, pełne próśb, aby wracała do domu, odpisywała, że oblężenie nie jest niebezpieczne, tłumaczyła położenie Melanii i przyrzekała, że przyjedzie natychmiast po urodzeniu się dziecka. Ellen, która sama miała silne poczucie więzi rodzinnej, choćby w stosunku do rodziny męża, godziła się niechętnie, aby Scarlett została, domagała się jednak, aby bezzwłocznie wysłała do domu Wade’a i Prissy. Projekt ten spotkał się z całkowitym uznaniem Prissy, która teraz przy każdym niespodziewanym dźwięku zaczynała szczękać zębami i popadała w zupełne ogłupienie. Spędzała przy tym tyle czasu w piwnicy, że dwie młode kobiety nie miałyby co jeść, gdyby nie pomoc starej Betsy państwa Meade.

Scarlett nie mniej od matki pragnęła, aby Wade wyjechał z Atlanty, nie tylko ze względu na bezpieczeństwo dziecka, ale i dlatego że jego obłędny strach irytował ją bardzo. Wade z powodu bezustannego bombardowania przestał mówić i nawet w chwilach ciszy trzymał się kurczowo spódnicy Scarlett, zbyt wystraszony, aby płakać. Bał się kłaść wieczorem do łóżka, bał się spać, aby Jankesi nie przyszli i nie zabrali go we śnie, a dźwięk jego cichego, nerwowego pochlipywania w nocy działał Scarlett na nerwy. W duszy była tak samo przerażona jak on, złościło ją jednak, że jego napięta, zbolała twarzyczka przypomina jej o tym co chwila. Tak, Tara była znacznie bezpieczniejszym miejscem dla Wade’a. Prissy go, tam zabierze i wróci natychmiast, aby asystować przy porodzie Meli.

Zanim jednak Scarlett zdążyła wysłać tych dwoje w drogę do domu, nadeszła wiadomość, że Jankesi zawrócili się na południe i że walki odbywają się wzdłuż linii kolejowej między Atlantą a Jonesboro. Jeżeli zatem Jankesi zatrzymają pociąg, którym pojedzie Wade i Prissy... Na tę myśl Scarlett i Melania aż pobladły, bo wszyscy dokładnie wiedzieli, że okrucieństwa Jankesów w stosunku do bezbronnych dzieci były jeszcze większe niż w stosunku do kobiet. Bała się więc wysłać Wade’a do domu i mały został w Atlancie — przerażony, milczący duszek, drepczący rozpaczliwie za matką, lękający się choćby na chwilę puścić z rąk jej spódnicę.

Oblężenie trwało przez cały upalny lipiec. Burzliwe dni następowały po nocach chmurnego, złowrogiego milczenia. Miasto zaczęło się powoli zżywać z niebezpieczeństwem. Wydawało się, jak gdyby po najgorszym, które się zdarzyło, nie było się już czego obawiać. Obawiano się oblężenia, doczekano się go ostatecznie i nie było to tak bardzo straszne. Życie mogło się toczyć i toczyło się prawie zwykłym trybem. Wiedziano, że siedzi się na wulkanie, ale do chwili wybuchu wulkanu niczego nie można było przedsięwziąć. Po co więc martwić się zawczasu? Może się zresztą zdarzyć, że wulkan wcale w końcu nie wybuchnie. Wystarczy spojrzeć, jak generał Hood broni przed Jankesami wrót miasta! I jak kawaleria walczy o kolej do Macon! Sherman nigdy nie zdoła jej zdobyć!

Mimo jednak pozornej beztroski w obliczu padających pocisków, mimo skąpych racji żywności i ignorowania Jankesów, oddalonych zaledwie o pół mili, mimo bezgranicznej ufności w siłę wynędzniałej linii szarych żołnierzy w okopach — mieszkańców Atlanty gnębiła szalona niepewność, co przyniesie następny dzień. Niepewność, troski, smutek, głód, udręka, jaką były zmienne nadzieje, męczyły i zżerały miasto.

Stopniowo i Scarlett nabrała otuchy i przystosowała się, prawem litościwej natury, która pozwalała cierpliwie znosić to, na co nie ma rady. Wprawdzie ciągle jeszcze podskakiwała za każdym hukiem wystrzału, ale nie biegła już z krzykiem, by ukryć się pod poduszką Meli. Teraz przełykała tylko głośniej ślinę i mówiła niedbale:

— Ależ to było blisko, prawda?

Bała się mniej także i dlatego, że życie nabierało powoli cech snu, zbyt strasznego, aby mógł być prawdziwy. Nie mogło być prawdą, że to ona, Scarlett O’Hara, jest w takim położeniu, że niebezpieczeństwo śmierci czyha na nią co godzina, co minuta. Nie mogło być prawdą, że spokojna treść życia mogła się w tak krótkim czasie tak bardzo zmienić.

Nierzeczywiste było, groteskowe, nierealne, że niebo, o świtaniu zwykle tak niebieskie, było teraz zasnute dymem z armat, który wisiał nad miastem jak ciężka chmura gradowa; ciepłe powiewy dnia, nasycone przejmującą słodyczą powojów czy pnących róż, zdawały się przerażające, gdy pociski świstały na ulicach jak w dzień sądu ostatecznego i rozrzucały odłamki żelaza na setki jardów, rozdzierając na kawałki ludzi i zwierzęta.

Spokojne, śpiące sjesty popołudniowe należały do przeszłości, bo mimo że odgłosy bitwy przycichały od czasu do czasu, ulica Brzoskwiniowa była głośna i ożywiona o każdej porze dnia. Przejeżdżały po niej działa i ambulanse, ranni kuśtykali z okopów, oddziały wojska przechodziły przyśpieszonym marszem, przenoszone z rowów strzeleckich po jednej stronie miasta do okopów po drugiej stronie, kurierzy pędzili do dowództwa, jak gdyby od nich zależały losy Konfederacji.

Gorące noce przynosiły pewien spokój, ale spokój ten wydawał się złowrogi. W ciche noce cisza była zbyt wielka — jak gdyby żaby, chrząszcze i senne drozdy zbyt były przerażone, by odzywać się zwykłym nocnym chórem. Od czasu do czasu spokój nagle przerywał trzask ognia muszkietów z ostatniej linii okopów. Często późnym wieczorem, gdy gasły lampy, Melania już spała, a śmiertelne milczenie zalegało miasto, Scarlett, leżąc bezsennie, słyszała zgrzyt furtki i ciche, natarczywe pukanie do frontowych drzwi.

Żołnierze o niewidocznych twarzach stali na ciemnym ganku, z mroku mówiły do niej głosy. Czasem kulturalny jakiś głos prosił: — Łaskawa pani, najuniżeniej przepraszam, że panią trudzę, ale czy mógłbym dostać wody dla siebie i swego konia? — Czasem odzywał się twardy akcent górala, czasem nosowe tony mieszkańców równin dalekiego Południa, czasem miękkie przeciąganie mieszkańców wybrzeża, które wzruszało ją, bo przypominało głos Ellen.

— Panienko, mam ze sobą kolegę, którego chciałem zabrać do szpitala, ale boję się, że mi tak długo nie pociągnie. Czy może go pani przenocować tutaj?

— Pani, jestem głodny. Czy mogę dostać choćby kaczan kukurydzy?

— Madame, proszę mi wybaczyć natarczywość, ale czy pozwoli mi pani spędzić noc na ganku? Zobaczyłem róże, poczułem zapach powojów i tak mi to przypomniało dom rodzinny, że ośmieliłem się...

Nie, noce te nie mogły być prawdą! Były koszmarem, żołnierze zaś jego częścią składową — żołnierze bez ciał i bez twarzy, głosy odzywające się do niej z ciepłego mroku. Pompowała wodę, podawała jedzenie, wynosiła poduszki na ganek, opatrywała rany, podtrzymywała brudne głowy konających. Nie, to nieprawdopodobne, że zdarzało się to właśnie jej!

Pewnego razu, pod koniec lipca, do drzwi zapukał nocą wuj Henryk Hamilton. Nie miał teraz parasola ani torby, ani okrągłego brzuszka, skóra jego różowej, tłustej twarzy zwisała luźno, jak fałdy skóry na pysku buldoga, a długie siwe włosy były nieopisanie brudne. Był prawie bosy, oblazły wszami i bardzo głodny, ale tak samo gderał jak dawniej.

Mimo jego uwagi: — Głupia ta wojna, w której tak starzy ludzie jak ja muszą dźwigać karabiny — obie kobiety doznały wrażenia, że wuj Henryk dobrze się bawi. Potrzebny był tak samo jak młodzi ludzie i robił to samo, co młodzi. Mógł ponadto, w przeciwieństwie do dziadka Merriweather, dotrzymywać młodym kroku, jak powiedział z zadowoleniem. Ischias bardzo dziadkowi dokuczał, więc dowódca chciał go zwolnić, dziadek jednak nie chciał wracać do domu. Szczerze oświadczył, że woli przekleństwa i zrzędzenia dowódcy od towarzystwa synowej i jej bezustannych żądań, aby nie żuł tytoniu i co dzień mył sobie brodę. Wizyta wuja Henryka była krótka, bo miał tylko czterogodzinny urlop, z czego dwie godziny musiał zużyć na długą drogę od okopów i z powrotem.

— Dziewczęta, nie zobaczę was teraz tak prędko — oświadczył siadając w sypialni Meli i z rozkoszą mocząc odparzone stopy w zimnej wodzie, którą mu Scarlett podała w miednicy. — Kompania nasza wyrusza rano z miasta.

— Dokąd? — zapytała przerażona Melania chwytając go za ramię.

— Nie dotykaj mnie — rzekł wuj Henryk ze złością. — Obłażę wszami. Wojna byłaby piknikiem, gdyby nie wszy i dyzenteria. Dokąd idziemy? No, nie mówiono mi o tym wprawdzie, ale zdaje mi się, że wiem. Idziemy na południe, w stronę Jonesboro, chyba żebym się mylił.

— Po co w stronę Jonesboro?

— Ponieważ będą tam podobno ostre walki, dziecko. Jankesi chcą zdobyć kolej, jeżeli im się uda. Jeżeli zaś dokażą tego, wtedy żegnaj, Atlanto!

— Och, wuju Henryku, a czy myśli wuj, że im się to powiedzie?

— Cóż znowu, moje małe! Nie! Jakżeby mogli zdobyć kolej, jeżeli ja tam będę? — Wuj Henryk uśmiechnął się na widok ich przerażonych twarzy i znowu poważniejąc dodał:

— Walka będzie zacięta, dziewczynki. Musimy zwyciężyć. Wiecie zapewne, że Jankesi zdobyli już wszystkie koleje z wyjątkiem tej jednej do Macon, ale to nie wszystko. Nie wiecie z pewnością, że zajęli wszystkie drogi, wszystkie ścieżki i miedze z wyjątkiem traktu McDonough. Atlanta leży w worku, którego sznury są w Jonesboro. Jeżeli zatem Jankesi zdobędą tam kolej, będą mogli sznury zacisnąć i przyduszą nas, jak dusi się schwytanego oposa. Nie możemy zatem dopuścić, aby zdobyli jeszcze i ten odcinek... Muszę już iść, dziewczynki. Przyszedłem, aby się z wami pożegnać i przekonać się, czy Scarlett jest jeszcze z tobą, Melu.

— Rozumie się, że jest ze mną — rzekła Mela z czułością. — Niech się wuj o nas wcale nie troszczy, a za to uważa na siebie.

Wuj Henryk otarł nogi o dywanik i stęknął wciągając podarte buty.

— Muszę już iść.- powiedział. — Czeka mnie pięciomilowy spacer. Scarlett, przygotuj mi trochę jedzenia na drogę. Daj mi wszystko, co masz.

— Wuju Henryku... czy to... czy położenie rzeczywiście takie groźne?

— Groźne? Tak, na Boga, tak! Nie bądź gąską. To nasze ostatnie podrygi.

— Czy myśli wuj, że dojdą i do Tary?

— Ależ... — zaczął wuj Henryk zirytowany, że Scarlett po kobiecemu dostrzega tylko sprawy osobiste, a pomija kwestie ogólne. Po chwili jednak widząc jej przerażoną, stroskaną twarz, zmiękł trochę.

— Rozumie się, że nie. Tara leży o pięć mil od kolei, Jankesom zaś zależy wyłącznie na niej. Masz nie więcej rozumu niż kura, panienko. — Przerwał nagle. — Nie myśl, że przyszedłem dziś taki kawał drogi po to tylko, aby się z wami pożegnać. Mam złą nowinę dla Meli, ale nie miałem serca jej tego powiedzieć. Powiem to więc tobie i ty jej to powtórz.

— Ashley chyba nie... Wuj chyba nic nie słyszał o... tym... że nie żyje...?

— Skąd mogłem słyszeć o Ashleyu, kiedy stałem w okopach w błocie aż po samo siedzenie? — zapytał stary pan zgryźliwie. — Nie. Chodzi o jego ojca. Jan Wilkes nie żyje.

Scarlett usiadła nagle, z na wpół zapakowaną paczką w ręce.

— Przyszedłem, aby to Meli powiedzieć, ale nie mogłem. Ty musisz to zrobić. I oddaj jej te rzeczy.

Wyciągnął z kieszeni ciężki złoty zegarek z wieloma breloczkami, małą miniaturę dawno zmarłej pani Wilkes i parę masywnych spinek. Dopiero na widok zegarka, który wielokrotnie widywała w rękach Jana Wilkesa, Scarlett uświadomiła sobie, że ojciec Ashleya nie żyje naprawdę. Była zbyt zgnębiona, aby płakać czy mówić. Wuj Henryk kręcił się, kaszlał, ale nie patrzył na nią, aby nie widzieć łez, które by go roztkliwiły.

— To był dzielny człowiek, Scarlett. Powiedz Meli i o tym. Powiedz jej, aby napisała do jego córek. Mimo swoich lat był dobrym żołnierzem. Trafił go pocisk armatni. Padł prosto na niego i na jego konia. Konia rozerwał... Ja sam zastrzeliłem to biedne stworzenie. Była to śliczna klacz.. Zawiadom o tym panią Tarleton. Bardzo była do niej przywiązana. Zapakuj już mi wreszcie to jedzenie, dziecko. No, no, nie przejmuj się tak bardzo. Czy może być dla starca śmierć lepsza niż na polu walki, jak przystało młodym?

— Och, on nie powinien był umrzeć! Nie powinien był wcale iść na wojnę. Powinien był żyć i przyglądać się, jak rosną jego wnuki, a potem umrzeć spokojnie w łóżku. Och, po cóż poszedł? Nie godził się z secesją, nienawidził wojny i...

— Wielu z nas czuje podobnie i cóż z tego? — Wuj Henryk gniewnie wytarł nos. — Czy wydaje ci się, że mnie w moim wieku szczególnie bawi służenie za cel jankeskim strzelcom? Ale dla prawdziwego dżentelmena nie ma teraz wyboru. Pocałuj mnie na pożegnanie, dziecko, i nie martw się o mnie. Wyjdę jakoś cało z tej wojny...

Scarlett pocałowała go i słyszała, jak w ciemności schodził po schodach, słyszała szczęk zamka przy furtce. Przez chwilę stała patrząc na pamiątki po Janie Wilkesie, po czym poszła na górę, aby zawiadomić o jego śmierci Melanię.

Pod koniec lipca nadeszła niedobra, przewidziana przez wuja Henryka wiadomość, że Jankesi znowu półkolem podeszli w stronę Jonesboro. Przecięli tor kolejowy cztery mile za miastem, ale zostali odparci przez kawalerię konfederacką, a saperzy ociekający potem naprawili szkodę.

Scarlett szalała z niepokoju. Przez trzy dni czekała i strach szarpał jej serce. Wreszcie nadszedł uspokajający list od Geralda. Nieprzyjaciel nie doszedł do Tary. Słyszeli odgłosy bitwy, ale nie widzieli Jankesów.

List Geralda był tak pełen dumy, że Jankesi zostali odepchnięci od kolei, jak gdyby to on sam własnoręcznie dokonał tego wyczynu. Na trzech stronach pisał o męstwie żołnierzy, potem zaś pod koniec listu krótko wspomniał, że Karina jest chora. Tyfus, jak przypuszcza pani O’Hara. Stan nie jest groźny. Scarlett więc nie powinna się o nią troskać, pod żadnym również pozorem nie ma przyjeżdżać do domu, nawet gdyby pociągi znowu zaczęły kursować. Pani O’Hara jest teraz bardzo zadowolona, że Scarlett i Wade nie przyjechali do domu na początku oblężenia. Pani O’Hara prosi, aby Scarlett poszła do kościoła i zmówiła kilka różańców na intencję wyzdrowienia Kariny.

Scarlett poczuła wyrzuty sumienia po przeczytaniu ostatniego zdania, bo już od wielu miesięcy nie była w kościele. Kiedyś zapomnienie to wydawałoby się jej śmiertelnym grzechem, teraz jednak niechodzenie do kościoła przestało być sprawą groźną. Posłuchała jednak prośby matki i zamknąwszy się w pokoju, szybko wyklepała różaniec. Wstając z klęczek nie czuła się tak pokrzepiona na duchu, jak zdarzało się to jej dawniej po modlitwie. Od pewnego czasu czuła wyraźnie, że Bóg nie opiekuje się ani nią, ani Konfederacją czy Południem, mimo milionów modlitw co dzień zanoszonych przed Jego oblicze.

Tego wieczora usiadła na ganku frontowym z listem Geralda na sercu i dotykała go od czasu do czasu, wywołując przed oczy obraz Tary i Ellen. Lampa w oknie salonu rzucała złote blaski na obrosły winem ganek, a gąszcz pnących róż i powojów odgradzał ją pachnącą ścianą od świata. Noc była wyjątkowo spokojna. Od zachodu słońca nie słychać było nawet wystrzałów i świat wydawał się bardzo odległy. Scarlett wolno bujała się w fotelu, samotna, bardzo nieszczęśliwa od chwili przeczytania wiadomości z Tary, i pragnęła, aby ktokolwiek, byle kto, bodaj pani Merriweather, był teraz przy niej. Pani Merriweather była jednak w szpitalu na dyżurze, pani Meade — w domu, zajęta Filipem, który przyjechał z frontu, Melania zaś spała. Nie było nawet nadziei, że ktoś przypadkiem wstąpi. Niespodziani goście nie zjawiali się już od tygodnia, bo wszyscy mężczyźni, którzy mogli chodzić, byli w okopach albo w pościgu za Jankesami w okolicach Jonesboro.

Nieczęsto się zdarzało, aby Scarlett była tak zupełnie samotna. Bardzo tego nie lubiła. Kiedy była sama, musiała myśleć, myśli zaś nie były w tym czasie bardzo przyjemne. Podobnie jak wszyscy, nabrała zwyczaju myślenia o przeszłości, o zmarłych.

Tego wieczora, gdy miasto było spokojne, mogła zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że znowu jest w wiejskiej ciszy Tary i że życie jej wcale się nie zmieniło. Wiedziała jednak, że życie w powiecie nigdy już nie będzie takie, jak było. Myślała o czterech Tarletonach — o rudych bliźniętach. Tomie i Boydzie — i wielki smutek ścisnął ją za gardło. Przecież Stuart czy Brent mógł zostać jej mężem. Teraz, gdy wojna się skończy i Scarlett wróci do Tary, nigdy nie usłyszy ich głośnych okrzyków, gdy galopem przemierzali aleję cedrową. A Raiford Calvert, który tańczył tak bosko, już nigdy nie zaprosi jej do tańca. Ani Munroe’owie, ani mały Józio Fontaine, ani...

— Och, Ashleyu! — załkała, kryjąc głowę w dłoniach. — Nigdy nie zżyję się z myślą, że ciebie nie ma!

Usłyszała skrzyp furtki, szybko podniosła głowę i otarła ręką wilgotne oczy. Wstała i zobaczyła, że Rett Butler idzie w stronę domu z szerokim kapeluszem panamskim w dłoni. Nie widziała go od owego dnia, gdy z takim impetem wysiadła z jego powozu przy Pięciu Znakach. Oświadczyła wówczas, że nie życzy sobie go oglądać. Teraz jednak była taka rada, że może z kimś porozmawiać, że obecność czyjaś oderwie ją od myśli o Ashleyu, iż szybko o tym oświadczeniu zapomniała. Rett prawdopodobnie także zapomniał o owym incydencie, bo usiadł na schodach u jej stóp, nawet nie wspominając o nieporozumieniu.

— A więc nie uciekła pani do Macon! Słyszałem, że panna Pitty wyjechała, myślałem więc, że i pani tu nie ma. Widząc jednak światło zaszedłem, aby zobaczyć, co się tu dzieje. Dlaczego została pani w mieście?

— Aby dotrzymać Meli towarzystwa. Widzi pan, ona... no po prostu Mela nie może teraz wyjechać.

— Co takiego? — zapytał i w świetle lampy Scarlett dostrzegła, że zmarszczył czoło. — Nie chce mi pani chyba powiedzieć, że pani Wilkes jest jeszcze tutaj? To przecież wielka nierozwaga. To niebezpieczne w jej stanie.

Scarlett umilkła zakłopotana, ponieważ stan Meli nie był tematem, który by można roztrząsać z mężczyzną. Była zakłopotana także i tym, że Rett wiedział, jak to jest dla Melanii niebezpieczne. Tego rodzaju wiadomości nie przystały kawalerowi.

— Bardzo z pana strony nieładnie, że nie myśli pan o tym, co mnie się może przytrafić — zauważyła cierpko.

W oczach jego błysnęło rozbawienie.

— Założę się, że umiałaby się pani oprzeć nawet Jankesom.

— Bynajmniej tego nie uważam za komplement — odrzekła niepewnie.

— To wcale nie miał być komplement — powiedział. — Kiedy wreszcie przestanie się pani doszukiwać komplementu w każdym słowie mężczyzny?

— Prawdopodobnie dopiero na łożu śmierci — odparła i uśmiechnęła się na myśl, że zawsze będzie dość mężczyzn, którzy będą chcieli jej pochlebiać, choć Rett nigdy tego nie czynił.

— Próżność, próżność — powiedział. — Dobrze przynajmniej, że przyznaje się pani do niej.

Otworzył cygarnicę, wyjął z niej ciemne cygaro i przytknął je na chwilę do nosa. Zapłonęła zapałka. Rett oparł się o balustradę schodków i objąwszy rękami kolana palił przez chwilę w milczeniu. Scarlett bujała się nadal w fotelu. Ogarniała ich cisza ciemnej, gorącej nocy. Drozd, gnieżdżący się w gąszczu róż i powojów, zbudził się i wydał jeden nieśmiały, płynny dźwięk. Potem, jak gdyby zmieniwszy zamiar, znów umilkł.

Z cienia rozległ się nagle śmiech Retta, cichy i łagodny.

— Więc pani została z panią Wilkes! To najdziwniejsza sytuacja, jaką kiedykolwiek w życiu spotkałem!

— Nie widzę w niej nic dziwnego — odrzekła niechętnie, nastroszywszy się od razu.

— Nie? Brak pani zatem obiektywizmu. Kiedyś wydawało mi się, że pani nie lubi pani Wilkes. Uważa ją pani za niemądrą i niepoważną, a patriotyzm jej nudzi panią wyraźnie. Nigdy nie przepuszcza pani okazji, aby powiedzieć o niej coś przykrego, wydaje mi się więc dziwne, że nie myśląc wcale o sobie została z nią pani tutaj w czasie oblężenia. Dlaczego pani to zrobiła?

— Ponieważ jest siostrą Karolka... i odnosiła się do mnie zawsze jak prawdziwa siostra — odrzekł Scarlett z największą godnością, na jaką mogła się zdobyć, chociaż policzki jej płonęły ze złości.

— Chciała pani powiedzieć: ponieważ jest wdową po Ashleyu Wilkesie.

Scarlett szybko wstała, ledwie hamując gniew.

— Byłabym panu przebaczyła pana niegodziwy ostatni postępek, teraz jednak nie zrobię tego. Nigdy bym panu nie pozwoliła przyjść tutaj na ganek, gdybym była w lepszym nastroju i...

— Niech pani usiądzie i przygładzi nastroszone piórka — rzekł Rett innym tonem. Wyciągnął rękę i siłą wepchnął ją z powrotem w fotel. — Dlaczego pani jest w złym nastroju?

— Bo miałam dzisiaj list z Tary... Jankesi są niedaleko domu, moja najmłodsza siostra ma tyfus i... i... tak więc, choćbym nawet mogła pojechać do domu, jak tego pragnęłam, matka nie pozwala mi na to, żebym się nie zaraziła. Och, Boże, a ja tak strasznie chcę jechać do Tary!

— No, no, niech pani nie płacze — powiedział łagodnie. — Jest pani daleko bezpieczniejsza w Atlancie, nawet gdyby weszli tu Jankesi niż w Tarze. Jankesi nic pani nie zrobią, a tyfus to straszna rzecz.

— Jankesi nic mi nie zrobią? Jak pan może mówić takie rzeczy?

— Moja droga pani, Jankesi to nie diabły. Nie mają rogów ani kopyt, wbrew temu, co pani zdaje się myśleć. Podobni są zupełnie do południowców... tylko że, oczywiście, o wiele gorzej wychowani, no i mają straszny akcent.

— Ale Jankesi przecież...

— Zniewoliliby panią? Nie przypuszczam. Chociaż jestem pewien, że mieliby na to ochotę.

— Jeśli pan będzie mówił obrzydliwe rzeczy, wejdę do domu! — zawołała zadowolona, że w mroku nie widać rumieńców na jej twarzy.

— Niech pani będzie znowu szczera. Czy nie myślała pani właśnie o tym?

— Nie, oczywiście że nie!

— Oczywiście że tak! Nie potrzebuje się pani na mnie gniewać, że umiem odczytywać pani myśli. O tym tylko myślą przyzwoicie wychowane i niewinne damy Południa. To tylko mają w głowie. Założę się, że nawet i wdowy w rodzaju pani Merriweather.

Scarlett nic nie mogła odpowiedzieć, bo przypomniała sobie, że istotnie, ilekroć podczas tych trudnych dni dwie lub trzy damy schodziły się razem, szeptem mówiły o podobnych wypadkach, które miały miejsce w Wirginii, Tennessee czy Luizjanie — nigdy bliżej domu. Jankesi gwałcili kobiety, kłuli bagnetami na śmierć małe dzieci i palili domy nad głowami starców. Wszyscy o tym wiedzieli, chociaż nie mówiło się o tym głośno. I gdyby Rett był sprawiedliwy, przyznałby, że to prawda. I nie wspominałby o tym wcale. Chociażby dlatego, że to wcale nie było śmieszne.

Słyszała, że Rett śmieje się cicho. Czasem bywał obrzydliwy. Właściwie, najczęściej nawet był obrzydliwy. To straszne, kiedy mężczyzna wie, co kobiety naprawdę myślą i o czym naprawdę ze sobą mówią. Kobieta czuje się jak rozebrana w jego obecności. Mężczyźni nie mogli takich rzeczy wiedzieć od przyzwoitych kobiet. Scarlett była oburzona, że Rett odczytał jej myśli. Lubiła wierzyć, że stanowi dla mężczyzn zagadkę, a dla Retta była przezroczysta jak szkło.

— Skoro już mówimy o takich rzeczach — ciągnął dalej — czy jest w domu opiekunka pani czy przyzwoitka? Czcigodna pani Merriweather czy pani Meade? Panie te tak na mnie zawsze patrzą, jak gdyby wiedziały, że przychodzę tu w niecnych zamiarach.

— Pani Meade zwykle wstępuje tutaj wieczorami — odrzekła Scarlett, zadowolona, że może zmienić temat rozmowy. — Dzisiaj jednak nie mogła przyjść. Przyjechał jej syn, Filip.

— Jakie to szczęście — powiedział cicho — że jest pani wreszcie sama.

Głos jego sprawił, że serce jej zabiło rozkosznie i czuła, że się rumieni. Tyle razy słyszała podobny ton w głosie zakochanych mężczyzn, że wiedziała już, iż zwiastuje wyznanie miłosne. Och, jakież to zabawne! Jeżeli Rett powie jej teraz, że ją kocha, zacznie się nad nim znęcać i odpłaci mu te wszystkie sarkastyczne uwagi, jakie robił na jej temat w ciągu ostatnich trzech lat! Tak mu dokuczy, że wynagrodzi sobie nawet to straszne upokorzenie, kiedy widział, jak uderzyła w twarz Ashleya. A potem powie mu łagodnie, że żywi dlań tylko siostrzane uczucia, i wycofa się z tej sprawy z honorem. Roześmiała się nerwowo w przyjemnym oczekiwaniu.

— Niech pani nie chichocze — powiedział i biorąc jej rękę odwrócił ją i przytknął wargi do otwartej dłoni. Pod dotknięciem jego gorących ust całe jej ciało drgnęło niespokojnie. Wargi Retta powędrowały do przegubu dłoni. Wiedziała, że wyczuje przyspieszone bicie jej pulsu, starała się więc oswobodzić rękę. Na to nie liczyła wcale — na tę zdradziecką falę uczucia, która ją ogarnęła, która pchała ją ku niemu, kazała gładzić go po włosach i tęsknić za chwilą, gdy usta jego spoczną na jej ustach.

„Nie kocham go przecież — powtarzała sobie w zmieszaniu. — Kocham Ashleya”. Jak jednak wytłumaczyć to uczucie, pod którego wpływem drżały jej ręce i dziko trzepotało serce?

Rett roześmiał się cicho.

— Proszę nie szarpać ręki! Nie zrobię pani nic złego!

— Mnie by pan miał coś złego zrobić? Nie boję się pana, panie Retcie Butler, ani żadnego mężczyzny na świecie! — zawołała wściekła, że głos jej drży równie mocno jak ręce.

— To godne podziwu uczucie. Proszę jednak ściszyć głos, bo pani Wilkes gotowa panią usłyszeć. I niech się pani uspokoi. — Wydawało się, jak gdyby był zachwycony jej zmieszaniem.

— Scarlett, prawda, że mnie pani lubi?

Czegoś w tym rodzaju właśnie oczekiwała.

— Owszem, czasami — odpowiedziała ostrożnie. — Kiedy nie postępuje pan jak nicpoń.

Roześmiał się znowu i przycisnął jej dłoń do swego szorstkiego policzka.

— A mnie się zdaje, że lubi mnie pani właśnie dlatego, że jestem nicponiem. Tak niewielu niepodrabianych nicponiów widziała pani w swoim spokojnym życiu, że właśnie moja odrębność podoba się pani.

Nie spodziewała się takiego zwrotu rozmowy, znowu więc bez powodzenia starała się oswobodzić swoją rękę.

— To nieprawda! Lubię miłych mężczyzn, mężczyzn, o których wiadomo, że zawsze zachowają się jak należy.

— Chce pani powiedzieć, mężczyzn, których może pani za nos wodzić. To zresztą tylko kwestia definicji. To nie ma znaczenia.

Znowu pocałował ją w dłoń i znowu przeszył ją dreszcz.

— Ale jednak mnie pani lubi. Czy mogłaby mnie pani kiedykolwiek pokochać, Scarlett?

„Ach! — pomyślała z tryumfem. — Mam go wreszcie!”

Odpowiedziała z wyszukanym chłodem: — Nie sądzę. To znaczy... nie... chyba że postarałby się pan bardzo naprawić swoje postępowanie.

— Ale ja wcale nie mam zamiaru go naprawiać! Znaczy to więc, że nie mogłaby mnie pani pokochać? Tego się właśnie spodziewałem. Bo jakkolwiek lubię panią ogromnie, nie kocham pani, byłoby więc dla pani tragedią, gdyby powtórnie musiała pani cierpieć męki nieodwzajemnionej miłości, prawda, droga pani? Czy mogę tak panią nazywać, Mrs Hamilton? Zresztą będę tak panią nazywał, czy pozwoli pani, czy nie, więc i tak wszystko jedno, pozory jednak muszą być zachowane.

— Więc pan mnie nie kocha?

— Nie, niestety, nie. Czy spodziewała się pani, że jest inaczej?

— Niechże pan nie będzie tak zarozumiały!

— A więc jednak spodziewała się pani, że tak! Szkoda, że muszę rozwiać pani nadzieje! Powinienem właściwie panią kochać, bo jest pani czarująca i ma pani zdolności do wielu rzeczy zupełnie bezużytecznych. Wiele jest jednak pań, które posiadają wdzięk i takież same zdolności i tak samo są do niczego niezdatne jak pani. Nie, nie kocham pani. Lubię panią jednak szalenie, za elastyczność pani sumienia, za samolubstwo, którego nie stara się pani nawet ukryć, a także za spryt i praktyczność, które, obawiam się, odziedziczyła pani po niezbyt odległych swoich przodkach, irlandzkich chłopach.

Chłopach! Cóż to, obraża ją jeszcze?! Zaczęła się milcząco zżymać.

— Niech pani nie przerywa — prosił ściskając jej rękę. — Lubię panią, ponieważ sam posiadam te właściwości, a natury podobne zawsze się przyciągają. Zdaję sobie sprawę, że pieści pani jeszcze wspomnienie o boskim i jakże niemądrym panu Wilkesie, który już prawdopodobnie od sześciu miesięcy spoczywa w grobie, ale w sercu pani musi się znaleźć miejsce i dla mnie. Scarlett, niechże się pani przestanie wyrywać! Oświadczam się pani przecież! Pragnę pani od pierwszej chwili, gdy zobaczyłem panią w hallu w Dwunastu Dębach, oczarowującą biednego Karolka Hamiltona. Pragnę pani bardziej niż jakiejkolwiek kobiety w świecie i czekam na panią dłużej niż na jakąkolwiek kobietę.

Tchu jej zabrakło ze zdziwienia, gdy usłyszała ostatnie słowa. Mimo wszystkich swoich docinków kochał ją. Tak był jednak przekorny, że nie chciał wyznać tego otwarcie i ubrać w odpowiednie słowa, aby go nie wyśmiała. Dobrze zatem, pokaże mu teraz, co umie, i to natychmiast.

— Czy mam rozumieć, że prosi pan o moją rękę?

Puścił jej dłoń i roześmiał się tak głośno, że aż podskoczyła na fotelu.

— Nie, dobry Boże, nie! Czy nie mówiłem pani, że nie nadaję się do małżeństwa!

— A więc... więc... co...

Rett wstał i kładąc rękę na sercu skłonił się zabawnie.

— Droga Scarlett — rzekł spokojnie — składam hołd pani inteligencji i proszę, aby pani została moją kochanką, dobrowolnie, mimo że pani nie uwiodłem.

Kochanką!

Słowo to rozniosło się echem po jej mózgu. Wiedziała, że Rett potwornie ją obraził. W tej pierwszej chwili zdumienia nie czuła się jednak wcale obrażona. Wzbierało w niej oburzenie, że Rett uważa ją za osobę tak głupią. Musiał ją uważać za idiotkę, skoro proponował jej coś podobnego, zamiast poprosić ją o rękę, jakby należało. Wściekłość, zraniona próżność i rozczarowanie skłębiły się w jej sercu i zanim zdążyła pomyśleć o względach moralnych, które powinna mu przeciwstawić, wypowiedziała słowa, które pierwsze nasunęły się jej na myśl:

— Kochanką! I cóż by mi z tego przyszło poza kupą dzieciaków?

I nagle przerażona otwarła usta, gdy uświadomiła sobie, co powiedziała. Rett zanosił się od śmiechu i patrzył na nią, oniemiałą teraz, przyciskającą chusteczkę do ust.

— Właśnie dlatego panią lubię! Jest pani jedyną szczerą kobietą, jaką znam, jedyną kobietą, która widzi praktyczną stronę zjawisk i nie obleka wszystkiego w puste słowa o grzechu i moralności. Każda inna kobieta najpierw zemdlałaby, a potem pokazałaby mi drzwi.

Scarlett porwała się na równe nogi, purpurowa ze wstydu. Jakże mogła powiedzieć coś podobnego! Jakże mogła, ona, córka Ellen, osoba doskonale wychowana, spokojnie słuchać tak poniżających słów, a potem tak bezwstydnie odpowiedzieć? Powinna była przecież krzyknąć z oburzenia. Powinna była zemdleć. Powinna się była wyniośle odwrócić i bez słowa odejść z ganku. Teraz już za późno!

— Otóż pokażę panu drzwi! — krzyknęła nie myśląc o tym, że Melania lub państwo Meade ją usłyszą. — Precz stąd! Jak śmie pan mówić podobne rzeczy! Co zrobiłam, aby pana ośmielić, aby mógł pan przypuszczać... Proszę stąd iść i więcej nie wracać! Teraz mówię serio. Niech pan nie śmie tutaj przychodzić na przeprosiny ze swoimi głupimi paczkami szpilek czy wstążek. Powiem... powiem wszystko mojemu ojcu i ojciec zabije pana!

Rett podniósł kapelusz i ukłonił się nisko. W świetle lampy ujrzała jego lśniące w uśmiechu zęby. Nie wstydził się najwidoczniej wcale, bawiły go jej słowa, bo przyglądał się jej z niesłabnącym zainteresowaniem.

Och, jakiż był obrzydliwy! Scarlett wykręciła się na pięcie i skierowała do domu. Chciała zatrzasnąć za sobą drzwi, ale haczyk, który je przytrzymywał, był zardzewiały. Bezskutecznie starała się go wyciągnąć.

— Czy pozwoli pani sobie pomóc? — zapytał.

Czując, że znowu wybuchnie, jeżeli zostanie z nim razem jeszcze chwilę, wbiegła bez słowa na schody. Kiedy doszła do pierwszego piętra, usłyszała, jak Rett zatrzaskuje za nią drzwi.

## ROZDZIAŁ XX

Kiedy gorące i gwarne dni sierpnia dobiegały końca, bombardowanie nagle ustało. Spokój, który spadł na miasto, był przerażający. Sąsiedzi spotykali się na ulicach i patrzyli sobie w oczy bez słowa, niespokojni i niepewni, co ich może czekać. Cisza po hałaśliwych dniach nie przyniosła napiętym nerwom ukojenia, ale jeszcze bardziej wzmogła napięcie. Nikt nie wiedział, dlaczego baterie jankeskie milczą. Od armii nie było wiadomości poza tym, że znaczna liczba żołnierzy została wycofana z fortyfikacji dokoła miasta i pomaszerowała na południe, by bronić kolei. Nikt nie wiedział, gdzie toczą się walki, — jeżeli się toczą — i jakie są ich losy.

Kursujące po mieście wiadomości szły pocztą pantoflową. Z braku papieru, farby drukarskiej i współpracowników, gazety musiały zawiesić działalność w chwili rozpoczęcia oblężenia, teraz więc najbardziej fantastyczne pogłoski rodziły się, nie wiadomo jak, i obiegały miasto. W złowrogiej ciszy tłumy napierały na kwaterę generała Hooda żądając informacji, gromadziły się pod urzędem telegraficznym i stacją w oczekiwaniu nowin, dobrych nowin, bo wszyscy przekonani byli, że milczenie dział Shermana oznacza odwrót Jankesów przed wojskami Konfederacji, aż do samego Daltonu. Wiadomości jednak nie było. Druty telegraficzne milczały, pociągi nie nadchodziły po jedynym pozostałym torze z południa, służby pocztowej nie było.

Jesień o suchych, dławiących upałach wtargnęła do nagle przycichłego miasta kładąc dodatkowy ciężar parnej suszy na zmęczone serca Scarlett, niespokojnej o losy Tary i z trudem zachowującej pozory równowagi, wydawało się, że już wieczność minęła od początku oblężenia, że do chwili, gdy zaczęła się złowróżbna cisza, żyła zawsze wśród huku armat. A przecież minęło zaledwie trzydzieści dni od rozpoczęcia oblężenia. Trzydzieści dni oblężenia! Pierścień czerwonych rowów strzeleckich otaczał miasto, słychać było monotonny huk armat, które nigdy nie odpoczywały, długi szereg ambulansów i wozów ociekających krwią toczył się po drodze do szpitala, przepracowani grabarze wynosili ludzi jeszcze ciepłych i ciskali ich jak kłody w nieskończony rząd płytkich grobów — przez tylko trzydzieści dni!

I dopiero cztery miesiące temu Jankesi zaczęli się posuwać na południe od Daltonu! Tylko cztery miesiące temu! Scarlett wydawało się, gdy wspominała ów odległy dzień, że zdarzyło się to chyba w jej poprzednim życiu. To niemożliwe! Z pewnością więcej niż cztery miesiące. Ciągnęły się długo, jak całe życie.

Cztery miesiące! Ależ cztery miesiące temu Dalton, Resaka czy Góra Kennesaw to były tylko nazwy stacji kolejowych. Teraz zaczęły znaczyć rozpaczliwe i daremne bitwy, stoczone podczas odwrotu Johnstona w stronę Atlanty. Teraz Dolina Brzoskwiniowa, Dekatur, Ezra i Dolina Utoy także przestały być ładnymi nazwami ładnych miejscowości. Już nigdy nie będzie można myśleć o nich jak o spokojnych miasteczkach, zamieszkanych przez dobrych znajomych, jak o zielonych dolinkach, dokąd jeździło się z przystojnymi oficerami na pikniki nad brzegami leniwych strumyków. Nazwy te bowiem także oznaczały bitwy, a miękka zielona trawa, na której Scarlett siadywała, poorana została kołami dział, zdeptana stopami rozpaczliwie walczących żołnierzy, zgnieciona ciężarem ciał konających. Leniwe zaś strumienie stały się teraz czerwieńsze od gliniastej ziemi Georgii. Strumień Brzoskwiniowy był, jak mówiono, po przejściu przezeń Jankesów, purpurowy. Dolina Brzoskwiniowa, Dekatur, Ezra, Dolina Utoy... Były tu teraz nazwy grobów przyjaciół, nazwy zagajników i lasów, w których ciała gniły nie pogrzebane, nazwy czterech stron Atlanty, przez które Sherman starał się przejść że swoją armią, a ludzie Hooda uparcie go odpierali...

Wreszcie nadeszły z południa nowiny, były niepokojące, zwłaszcza dla Scarlett. Generał Sherman starał się znowu zaatakować czwartą stronę miasta i znowu uderzyć na kolej do Jonesboro. Jankesi stali teraz wzdłuż kolei w wielkiej liczbie; nie tylko pojedyncze oddziały piechoty czy kawalerii, ale cała jankeska armia. Konfederatów odwołano z okopów dokoła miasta, by mogli stawić jankesom czoło. To tłumaczyło naglą ciszę.

„Dlaczego Jonesboro? — myślała Scarlett, gdy strach ściskał jej serce na myśl o Tarze. — Dlaczego zawsze atakują właśnie Jonesboro? Dlaczego nie wybierają innego miejsca do zaatakowania kolei?”

Od tygodnia już nie miała wiadomości z Tary, ostatnia zaś krótka kartka Geralda tylko wzmogła jej obawy. Stan Kariny pogorszył się nagle — była bardzo ciężko chora. I teraz może wiele dni minąć, zanim poczta zacznie funkcjonować, wiele dni, zanim Scarlett się dowie, czy Karina żyje, czy umarła. Och, czemuż nie pojechała do domu na początku oblężenia, nie zważając na Melanię!

Walki toczyły się pod Jonesboro — tyle w Atlancie wiedziano; jakie były losy bitwy, nie wiedział nikt, więc po mieście krążyły najbardziej fantastyczne plotki. Wreszcie zjawił się kurier z uspokajającą nowiną, że Jankesi zostali odparci. Przed ustąpieniem zdążyli jednak dokonać wypadu na Jonesboro, spalić stację, przeciąć druty telegraficzne i zerwać trzy mile szyn. Saperzy pracowali jak szaleni i naprawiali tory, ale musiało to potrwać jakiś czas jeszcze, bo Jankesi zdarli podkłady, podpalili je na stosie, na wierzch zaś położyli szyny, które, gdy się nagrzały do czerwoności, owinęli dokoła słupów telegraficznych. Bardzo trudno było zastąpić zniszczone szyny nowymi, bo najmniejszy nawet kawałek żelaza był w wielkiej cenie.

Nie, Jankesi nie doszli do Tary. Ten sam kurier, który przywiózł depesze do generała Hooda, zapewnił o tym Scarlett. Po bitwie, w chwili gdy jechał do Atlanty, spotkał w Jonesboro Geralda, który uprosił go, aby zabrał list do Scarlett.

Ale co papa robił w Jonesboro? Młody kurier miał przy odpowiedzi zakłopotaną minę. Gerald szukał lekarza wojskowego, który by mógł z nim pojechać do Tary.

Stojąc w słońcu na ganku i dziękując młodemu człowiekowi za fatygę, Scarlett poczuła, że kolana się pod nią uginają. Karina pewnie umiera, skoro leczenie Ellen nie wystarczyło i Gerald szuka lekarza! Kiedy kurier znikł w tumanie czerwonego kurzu, Scarlett drżącymi palcami rozerwała kopertę Geralda. Tak mało było teraz papieru, że Gerald pisał między wierszami ostatniego listu Scarlett do niego i czytanie było bardzo utrudnione.

„Droga córko, matka i obie siostry mają tyfus. Są bardzo ciężko chore, ale nie wolno nam tracić nadziei. Zanim matka zachorowała, kazała mi napisać do Ciebie, abyś pod żadnym pozorem nie przyjeżdżała do domu i nie narażała siebie i Wade'a. Matka przesyła Ci całusy i prosi, abyś pomodliła się za nią”.

„Pomodlić się za nią!” Scarlett wbiegła po schodach do swego pokoju i padłszy na kolana przy łóżku zaczęła modlić się tak żarliwie, jak nigdy dotąd w życiu. Nie odmawiała różańca, tylko ciągle powtarzała jedne i te same słowa: — Matko Boska, nie pozwól jej umrzeć! Postaram się poprawić, jeżeli ją uratujesz! Błagam, nie pozwól jej umrzeć!

Przez cały następny dzień Scarlett poruszała się po domu jak zbite zwierzę, czekając na wiadomości, drżąc za każdym odgłosem kopyt końskich, zbiegając nocą po ciemnych schodach, gdy żołnierze pukali do drzwi — wiadomości z Tary nie było. Czuła się jak oddzielona od domu szerokością całego kontynentu, a nie dwudziestu pięciu milami zakurzonej drogi.

Poczta wciąż jeszcze nie działała, nikt więc nie wiedział, gdzie stoją konfederaci ani dokąd zmierzają Jankesi. Nikt nic nie wiedział poza tym, że tysiące żołnierzy szarych i niebieskich skoncentrowane są gdzieś między Atlantą a Jonesboro. Z Tary przez cały tydzień nie było ani słowa.

Scarlett widziała dość zachorowań na tyfus w szpitalu, aby zdawać sobie sprawę, ile znaczy tydzień w tej strasznej chorobie. Ellen była chora, może umierająca, a Scarlett siedziała oto bezsilnie, w Atlancie i, oddzielona dwiema armiami od domu, musiała opiekować się ciężarną kobietą. Ellen była chora — może umierająca... To przecież niemożliwe! Ellen nigdy nie chorowała... Sama myśl o tym wydawała się nieprawdopodobna i podważała podstawy życia Scarlett. Wszystkim zdarzało się chorować — nigdy Ellen. Ellen doglądała chorych i przywracała ich do zdrowia. Nieprawda, że teraz ona jest chora? Scarlett chciała do domu. Wyrywała się do Tary z rozpaczą przerażonego dziecka, które tęskni za jedynym schronieniem, jakie zna.

Dom! Rozległy biały budynek o poruszanych wiatrem białych firankach, gruba koniczyna na trawniku, a nad nią roje pracowitych pszczół; na frontowych schodkach mały Murzynek odganiający kaczki i indyki od klombów, pogodne czerwone pola i mile, całe mile bielejącej w słońcu bawełny! Dom...

Czemuż nie pojechała do domu na początku oblężenia, gdy wszyscy uciekali z miasta! Mogła była wtedy zabrać że sobą bezpiecznie Melanię.

„Ach, niech licho porwie Melanię! — mówiła sobie w duchu tysiąc razy. — Dlaczego nie pojechała do Macon z ciotką Pitty? Tam jest jej miejsce, przy własnej rodzinie, a nie że mną. Nie jestem nawet jej krewną. Jakim prawem krępuje mnie tak strasznie? Gdyby pojechała do Macon, ja mogłabym się dostać do domu, do mamy. Nawet teraz, nawet teraz postarałabym się przedostać do domu, bez względu na Jankesów, gdyby nie ten jej poród. Generał Hood dałby mi jakąś eskortę. To miły człowiek, ten generał Hood. Wiem, że z pewnością uprosiłabym go o eskortę i o białą chorągiew i przedostałabym się przez linie ognia. Ale muszę przecież czekać na to dziecko!... Och, mamo! Mamo! Nie umieraj!... Dlaczego ona wreszcie nie rodzi? Pójdę dziś do doktora Meade i zapytam go, czy nie można przyśpieszyć porodu, abym mogła pojechać do domu — jeżeli dadzą eskortę. Doktor Meade powiedział, że Mela będzie miała ciężki poród. Drogi Boże! A jeżeli umrze! Może się zdarzyć, że Melania umrze... Melania może umrzeć. A Ashley... Nie, nie powinnam myśleć o tym, to nieładnie. Ale Ashley... Nie, nie powinnam o tym myśleć, bo i on pewnie już nie żyje. Ale wziął ode mnie słowo, że będę się nią opiekowała. Ale... jeżeli nie będę się nią opiekowała i ona umrze, a Ashley będzie jeszcze żył... Nie, nie powinnam o tym nawet myśleć. To grzech. Przyrzekłam przecież Bogu, że poprawię się, jeżeli Bóg uratuje mamę od śmierci. Och, gdybyż to dziecko wreszcie przyszło! Gdybym mogła się stąd ruszyć... do domu — ruszyć gdziekolwiek, byle daleko stąd...”

Scarlett nienawidziła teraz złowróżbnej ciszy miasta, które niegdyś kochała. Atlanta nie była już wesołym, rozbawionym miejscem. Była straszna — jak miasto dotknięte zarazą, i cicha, przeraźliwie cicha po rozgwarze oblężenia. Hałas i niebezpieczeństwo pocisków stanowiły pewną podnietę. W ciszy, która teraz nastąpiła, był tylko strach. Miasto zdawało się być nawiedzone przerażeniem, niepewnością, wspomnieniami. Cywile byli wymizerowani, a nieliczni żołnierze, których Scarlett spotykała, wyglądali jak wycieńczone konie, które ostatkiem sił pędzą do mety, choć czują, że wyścig jest już stracony.

Wreszcie nadszedł ostatni dzień sierpnia, a za nim przekonywające wiadomości, że właśnie gdzieś na południu toczą się najzaciętsze walki od czasu bitwy pod Atlantą. Atlanta, czekając na wieści o ich wyniku, przestała nawet śmiać się i żartować. Wszyscy wiedzieli już teraz o tym, co żołnierze wiedzieli od dwóch tygodni — że losy Atlanty się ważą, że jeżeli kolej do Macon wpadnie w ręce wroga, Atlanta będzie stracona.

Rankiem pierwszego września Scarlett przebudziła się z przytłaczającym poczuciem lęku — lęku, który towarzyszył jej do poduszki poprzedniego wieczora. Zamroczona snem, myślała: „Czym to ja się wczoraj martwiłam przed pójściem spać? Ach, tak, bitwą. Wczoraj była gdzieś bitwa! Och, a kto wygrał?” Usiadła na łóżku przecierając oczy i stroskane serce podjęło od razu wczorajszy ciężar.

Powietrze było duszne nawet o tej wczesnej godzinie, gorące zapowiedzią dnia wspaniałej pogody i bezlitosnego żaru słońca. Ulica za oknami była cicha. Nie skrzypiały po niej wozy ani wojsko nie wzbijało stopami tumanów kurzu. W kuchniach sąsiedztwa nie słychać było głosów murzyńskich ani przygotowań do śniadania, bo wszyscy sąsiedzi z wyjątkiem pani Merriweather uciekli do Macon. Z tych dwóch domów jednak także nie dochodziły głosy. Dalsza, handlowa część ulicy była spokojna, bo większość sklepów i biur zamknięto i zabito deskami, a właściciele znajdowali się gdzieś w okolicy z karabinami w ręku.

Cisza, która powitała Scarlett, wydawała się jej tego ranka bardziej straszna niż w tygodniu, który minął: Wstała pośpiesznie, bez zwykłego przeciągania się i ziewania, i podeszła do okna w nadziei, że ujrzy może któregoś z sąsiadów lub jakiś krzepiący widok. Ulica jednak była pusta. Zauważyła, że liście na drzewach są jeszcze zielone, ale suche i pokryte grubą warstwą czerwonego pyłu, że kwiaty przed domem, od dawna nie podlewane, stoją zwiędłe i żałosne.

Kiedy tak stała wyglądając przez okno, uszu jej doszedł odległy dźwięk, słaby i głuchy, jak grzmot nadchodzącej z daleka burzy.

„Deszcz — pomyślała w pierwszej chwili i dodała w duchu, jak przystało na wieśniaczkę — bardzo się nam przyda. — Potem, po sekundzie: — Deszcz? Nie! To nie deszcz! To działa!”

Z bijącym sercem wychyliła się z okna, łowiąc odgłosy dalekiego huku, starając się rozpoznać, z której strony dochodzą. Przytłumiona kanonada była jednak tak odległa, że nie mogła się przez dłuższą chwilę zorientować. — Boże, niechaj to będzie z Marietty! — modliła się. — Albo z Dekatur czy Doliny Brzoskwiniowej. Byle nie z południa! Byle nie z południa! — Chwyciła się kurczowo parapetu okna, wsłuchała się uważnie — dalekie huki wydały jej się teraz wyraźniejsze. Szły wyraźnie z południa.

Armaty na południu! Na południu leży przecież Jonesboro i Tara... Tara, a w niej Ellen!

Jankesi są może w Tarze, teraz, w tej chwili! Znowu zaczęła nasłuchiwać, ale krew szumiąca jej w uszach tłumiła dźwięki dalekich wystrzałów. Nie, to nie było jeszcze w Jonesboro. Gdyby strzelanie szło stamtąd, dźwięk byłby słabszy, mniej wyraźny. Jankesi muszą być jednak przynajmniej o dziesięć mil od Atlanty w stronie Jonesboro, koło małej osady Rough and Ready. Jonesboro leżało o niecałe dziesięć mil od Rough and Ready.

Działa na południu... To mogło zwiastować upadek Atlanty. Dla Scarlett jednak, niespokojnej o bezpieczeństwo matki, walki na południu oznaczały groźbę dla Tary. Chodziła po pokoju i załamywała ręce, bo po raz pierwszy nawiedziła ją jasno myśl, że szara armia może zostać pokonana. Myśl o tysiącznych rzeszach Shermana w pobliżu Tary uświadomiła jej w całej pełni zgrozę wojny — chociaż nie potrafiły tego dokonać huki dział, wstrząsające szybami w czasie oblężenia, ani brak żywności i ubrań, ani nie kończące się szeregi konających żołnierzy. Armia Shermana o kilka zaledwie mil od Tary! I nawet jeżeli Jankesi zostaną zwyciężeni, cofną się może traktem do Tary. A Gerald nie może się przecież schronić przed nimi, mając w domu trzy chore kobiety!...

Och, gdybyż teraz tam była, bez względu na Jankesów! Przemierzała pokój bosymi stopami, koszula nocna plątała się jej po nogach i im dłużej chodziła, tym bardziej potęgował się jej niepokój. Chciała do domu! Chciała do Ellen!

Z kuchni na dole usłyszała szczęk talerzy: to Prissy przygotowywała śniadanie. Głosu Betsy nie było słychać. Ostry, melancholijny sopranik Prissy zawodził: „Jeszcze tylko kilka dni dźwigać będę ciężkie jarzmo...” Melodia denerwowała Scarlett, smutne słowa raziły ją, zarzuciwszy więc szlafroczek podreptała do hallu i na kuchenne schody i krzyknęła:

— Przestań się wydzierać, Prissy!

Usłyszała w odpowiedzi ponure: — Dobrze, p'sze pani. — Westchnęła głęboko, nagle zawstydzona.

— Gdzie jest Betsy?

— A bo ja wiem. Nie przyszła.

Scarlett poszła do drzwi Melanii i uchyliła je trochę, zaglądając do zalanego słońcem wnętrza. Melania leżała w łóżku w nocnej koszuli. Oczy miała zamknięte i podkrążone, twarzyczka była nabrzmiała, szczupłe ciało wzdęte i obrzydliwe. Scarlett złośliwie żałowała, że Ashley nie może jej widzieć w tej chwili. Wyglądała o wiele gorzej od innych kobiet w odmiennym stanie. Pod wzrokiem Scarlett otworzyła oczy i łagodny, serdeczny uśmiech rozświetlił jej twarz.

— Wejdź — poprosiła przewracając się z trudem na bok. — Nie śpię już od świtu, leżę i myślę, i chciałabym się ciebie, Scarlett, o coś zapytać.

Scarlett weszła do pokoju i usiadła na łóżku tonącym w ostrym świetle słonecznym.

Melania wyciągnęła dłoń i objęła jej rękę łagodnym, przyjaznym uściskiem.

— Kochanie — powiedziała — martwię się, że znowu słychać armaty Prawda, że to w stronie Jonesboro?

Scarlett mruknęła „Hm” i serce jej znowu zabiło mocno na to przypomnienie.

— Wiem, jak się bardzo niepokoisz. Wiem, że gdyby nie ja, pojechałabyś do domu już w zeszłym tygodniu, kiedy dowiedziałaś się o chorobie matki. Czy tak?

— Tak — rzekła Scarlett niechętnie,

— Scarlett, najmilsza. Byłaś dla mnie taka dobra... Rodzona siostra nie mogłaby być lepsza ani odważniejsza. Kocham cię za to. Bardzo mi przykro, że jestem ci ciężarem.

Scarlett otworzyła oczy że zdumienia. Mela kocha ją? O, głupia!

— Słucha, Scarlett, leżałam tak teraz i rozmyślałam, i postanowiłam cię poprosić o wielką łaskę. — Uścisk jej zacieśnił się. — Gdybym umarła, czy zaopiekujesz się moim dzieckiem?

Oczy Melanii były teraz wielkie i pełne blasku.

— Zrobisz to?

Scarlett wyrwała rękę, bo zdjął ją lęk. Pod wpływem strachu głos jej stał się szorstki.

— Och, nie bądź głupia, Melu. Z pewnością nie umrzesz. Każdej kobiecie tak się wydaje przed pierwszym dzieckiem. Pamiętam, że i mnie się tak zdawało.

— Nie, nie tobie. Tyś się nigdy niczego nie bała. Mówisz tak teraz, aby mnie uspokoić. Nie boję się śmierci, ale boję się, aby się dziecku nic złego nie stało, jeżeli Ashley jeszcze... Scarlett, przyrzeknij mi, że jeżeli umrę, weźmiesz moje dziecko do siebie. Przestanę się wtedy bać. Ciocia Pitty jest za stara, aby mogła je wychować, a Honey i India są bardzo dobre, ale... Chcę, żebyś ty miała moje dziecko. Przyrzeknij mi, Scarlett. Jeżeli to będzie chłopiec, wychowaj go, aby stał się podobny do Ashleya, jeżeli dziewczynka, kochanie, chciałabym, aby była podobna do ciebie...

— Do stu tysięcy par beczek! — zawołała Scarlett zrywając się z łóżka. — Czy uważasz, że jest za wesoło, że jeszcze mówisz o śmierci?

— Przepraszam cię, kochanie. Przyrzeknij mi to tylko. Myślę, że poród zacznie się już dzisiaj. Pewna jestem tego. Proszę cię, przyrzeknij mi.

— Och, już dobrze, przyrzekam — rzekła Scarlett patrząc na Melę że zdumieniem.

Czy Melania naprawdę była tak głupia, że nie wiedziała, iż Scarlett kocha Ashleya? Czy też wiedziała wszystko i czuła, że właśnie z powodu tej miłości będzie się dobrze opiekowała jego dzieckiem? Scarlett miała w sobie dziką chęć wykrzyczenia tych pytań, ale zamarły jej one na ustach, gdy Melania dłoń jej przycisnęła na chwilę do swego policzka. Oczy jej stały się znowu pogodne.

— Dlaczego przypuszczasz, że to będzie już dzisiaj, Melu?

— Mam od samego rana bóle, ale nie bardzo wielkie.

— Masz bóle? Dlaczego nic o tym nie powiedziałaś? Posłałabym Prissy po doktora Meade!

— Nie, teraz jeszcze tego nierób, Scarlett. Wiesz dobrze, jak zajęty jest doktor, jak wszyscy są zajęci. Poślij mu tylko kartkę, że będziemy go potrzebowały dzisiaj w ciągu dnia. Zawiadom panią Meade, powiedz jej o wszystkim i poproś, aby przyszła tutaj i posiedziała przy mnie. Ona będzie wiedziała, kiedy trzeba będzie posłać po doktora.

— Och, przestań wreszcie myśleć o innych! Wiesz, że potrzebujesz doktora nie mniej niż każdy inny chory w szpitalu. Poślę po doktora już teraz.

— Nie, proszę cię, nie rób tego. Czasem trwa i cały dzień, zanim się dziecko urodzi, po prostu więc nie mogę narażać doktora, aby siedział tu godzinami, kiedy jest tak bardzo potrzebny tym biednym chłopcom. Poślij tylko po panią Meade. Ona się zna na wszystkim.

— No, dobrze już... — odrzekła Scarlett.

## ROZDZIAŁ XXI

Kiedy Prissy zaniosła Meli śniadanie, Scarlett posłała ją do pani Meade, po czym sama zasiadła z Wade'em do śniadania. Nie miała wcale apetytu. Rozdzierana nerwową obawą, czy Melania nie zaczyna właśnie rodzić, i gorączkowym wyczekiwaniem, czy nie dosłyszy huku armat, ledwie mogła jeść. Serce jej zachowywało się bardzo dziwnie: przez kilka minut biło regularnie, potem zaczynało walić tak głośno i prędko, że aż jej tchu brakło. Ciężka, kleista potrawa z kukurydzy więzła jej w gardle, a mieszanka palonej kukurydzy i mielonych yamów, która uchodziła za kawę, wydawała jej się wstrętniejsza niż zwykle. Bez cukru i śmietanki smakowała jak piołun, bo melasa, którą dodawano dla smaku, wcale zadania swego nie spełniała. Po jednym łyku lury odsunęła filiżankę od siebie. Gdyby nie miała nawet innych powodów, znienawidziłaby Jankesów już choćby dlatego, że pozbawili ją wonnej porannej kawy z cukrem i śmietanką.

Wade był spokojniejszy niż zwykle i nie skarżył się jak co dzień, że musi jeść kukurydzę, której nie znosił. Łykał w milczeniu łyżeczkę po łyżeczce, które Scarlett podawała mu. do ust, i popijał głośno wodą. Łagodne jego brązowe oczy śledziły każdy ruch matki — były duże, okrągłe jak monety, a teraz malowało się w nich dziecięce przerażenie, jak gdyby udzieliły mu się ledwie skrywane obawy Scarlett. Kiedy skończył jeść, Scarlett kazała mu iść bawić się do ogrodu i z ulgą patrzyła, jak toczy się posłusznie po wydeptanej trawie w stronę swego kącika.

Wstała od stołu i niezdecydowanie zatrzymała się na chwilę koło schodów. Powinna była iść na górę, posiedzieć z Melanią i oderwać jej myśli od ciężkiej próby, która ją czekała, czuła jednak, że temu nie podoła. Że też że wszystkich możliwych dni Melania właśnie ten sobie wybrała na poród. I że właśnie dziś musiała zacząć mówić o śmierci!

Usiadła na najniższym stopniu schodów. Starała się zapanować nad sobą, ale znowu zastanawiała się, jak wypadła wczoraj bitwa, jakie są losy dzisiejszej. Jakie to dziwne, że wielka bitwa toczy się o kilka zaledwie mil i że nic o niej nie wiadomo. Jaki dziwny jest spokój tego krańca miasta w porównaniu z dniem bitwy w Dolinie Brzoskwiniowej! Dom ciotki Pitty był jednym z ostatnich na północy miasta. Wobec tego, że walki toczyły się gdzieś daleko na południu, ulicą nie przechodziły oddziały wojska, nie przejeżdżały ambulanse, nie wlekli się ranni. Myślała nad tym, czy sceny takie rozgrywają się teraz w południowej stronie Atlanty, i dziękowała Bogu, że jej tam nie ma. Gdyby tylko wszyscy sąsiedzi poza Meade'ami i panią Merriweather nie byli uciekli z tego krańca Brzoskwiniowej! Czuła się teraz bardzo samotna i opuszczona. Żałowała, że nie ma wuja Piotra, bo posłałaby go do dowództwa po nowiny. Gdyby nie Melania, poszłaby do miasta sama i dopytała się o wszystko. Nie mogła się jednak ruszyć, dopóki pani Meade nie przyjdzie. Pani Meade! Dlaczego jeszcze jej nie ma? I gdzie jest Prissy?

Scarlett wstała, wyszła na ganek i wyglądała doktorowej z niecierpliwością, ale ponieważ dom Meade'ów stał za zakrętem ulicy, nie mogła nic widzieć. Po dłuższej chwili ukazała się w ulicy Prissy, sama. Szła nie śpiesząc się, jak gdyby miała dużo czasu przed sobą, zamiatała spódnicą po ziemi i patrzyła jak to wygląda.

— Ruszasz się jak ślimak — ofuknęła ją Scarlett, kiedy Prissy wreszcie doszła do domu. — Co powiedziała pani Meade? Kiedy przyjdzie?

— Nie było jej w domu — rzekła Prissy.

— A gdzie jest? Kiedy wróci do domu?

— Widzi pani — zaczęła Prissy wolno, jak gdyby dobierając słowa, aby większej wagi nadać swoim wiadomościom. — Kucharka powiedziała, że pani Meade dostała o świtaniu wiadomość, że młodego panicza Filipa ranili, więc wzięła powóz, starego Talbota i Betsy, i wszyscy pojechali, aby przywieźć go do domu. Kucharka powiedziała, że bardzo ciężko ranny i że pani Meade pewnie nie będzie mogła tutaj przyjść.

Scarlett patrzyła na Murzynkę i hamowała się siłą, aby jej nie uderzyć. Murzyni zawsze byli bardzo dumni, kiedy przynosili złe wiadomości.

— No, więc czego tu stoisz jak malowana! Leć do pani Merriweather i poproś ją, aby tu przyszła albo przysłała swoja Murzynkę. Spiesz się!

— Kiedy ich także nie ma, Miss Scarlett. Wstąpiłam tam na chwilę po drodze do domu. Nie ma nikogo. Cały dom zamknięty. Pewnie poszły do szpitala.

— Dlaczego więc nie wracałaś tak długo? Jak cię posyłam, to idź, gdzie ci każę, i nie wstępuj mi nigdzie po drodze. Idź...

Przerwała i zamyśliła się. Kto jeszcze z bliskich znajomych był w mieście, kto mógłby jej pomóc? Była pani Elsing. Wprawdzie pani Elsing ostatnio nie okazywała Scarlett sympatii, ale bardzo lubiła Melanię.

— Idź do pani Elsing, wytłumacz jej wszystko dokładnie i poproś, aby była łaskawa tu przyjść. I, Prissy, słuchaj mnie uważnie. Pani Mela spodziewa się dziecka lada chwila i możesz być tutaj w każdej chwili potrzebna. Leć więc i natychmiast wracaj.

— Dobrze, p'sze pani — rzekła Prissy i odwracając się powlokła się w stronę furtki.

— Śpiesz się, ty łazęgo!

— Dobrze, p'sze pani.

Prissy przyśpieszyła trochę kroku, więc Scarlett wróciła do domu. Znowu zawahała się, czy ma wejść na górę do Melanii. Będzie jej musiała powiedzieć, dlaczego pani Meade nie może przyjść, a wiadomość, że Filip jest ciężko ranny, może ją bardzo wzruszyć. Trzeba będzie wymyślić jakieś kłamstwo.

Weszła do pokoju Melanii i spostrzegła, że śniadanie jej stoi na tacy nie tknięte. Melania leżała na boku, bardzo blada.

— Pani Meade jest w szpitalu — rzekła Scarlett. — Ale przyjdzie pani Elsing. Jak się czujesz?

— Nieźle — skłamała Melania. — Scarlett, czy u ciebie długo trwało, zanim się Wade urodził?

— Ach, skądże znowu — odparła Scarlett z udaną wesołością. — Byłam wtedy w ogrodzie i ledwie zdążyłam wrócić do domu. Mammy powiedziała, że to skandal, że tak rodzą tylko Murzynki.

— Mam nadzieję, że i ja urodzę jak Murzynka — rzuciła Mela nie wysilając się na uśmiech, który znikł po chwili pod wpływem bólu.

Scarlett popatrzyła na wąskie biodra Melanii z niezbyt wielką otuchą, ale rzekła uspokajająco: — Ach, to naprawdę nic strasznego.

— Tak, tak, wiem o tym. Wstydzę się, że jestem takim tchórzem. Czy... czy pani Elsing przyjdzie zaraz?

— Tak, zaraz — rzekła Scarlett. — Zejdę na dół, przyniosę trochę zimnej wody i obmyję cię. Bardzo dzisiaj gorąco.

Nalewała wodę do dzbanka, jak mogła najdłużej, i co dwie minuty biegała do drzwi frontowych i wyglądała, czy Prissy nie wraca. Ponieważ nie było jej widać, wróciła na górę, obmyła pokryte potem ciało Melanii i uczesała długie jej włosy.

Po upływie godziny usłyszała kroki z ulicy i przez okno zobaczyła Prissy, która wlokła się wolno do domu, znowu zamiatała spódnicą i kręciła głową z taką przesadą, jak gdyby miała przed sobą wielką i zainteresowaną widownię.

„Przyjdzie dzień, że wyłoję skórę tej dziewczynie” — pomyślała Scarlett zbiegając pędem na dół na jej spotkanie.

— Pani Elsing jest w szpitalu. Kucharka mi powiedziała, że przywieźli pociągiem dużo rannych żołnierzy. Kucharka gotuje zupę, aby zabrać do szpitala. Mówi, że...

— Mniejsza z tym, co mówi — przerwała Scarlett z wielkim zawodem. — Włóż czysty fartuch, bo chcę, abyś poszła do szpitala. Dam ci kartkę do doktora Meade, a jeżeli go tam nie będzie, dasz ją doktorowi Jonesowi albo innemu z lekarzy. A jeżeli mi się tym razem nie pośpieszysz, obedrę cię żywcem że skóry.

— Tak, p'sze pani.

— I spytaj się któregoś z panów o wiadomości. Jeżeli nie będą nic wiedzieli, wstąp na stację i wypytaj kolejarzy, którzy przywieźli rannych. Zapytaj, czy były walki pod Jonesboro lub w tamtych stronach.

— Boże miłosierny, Miss Scarlett! — nagły strach odmalował się na czarnej twarzy Prissy. — Jankesi nie są chyba w Tarze, co?

— Nie wiem. Mówię ci, żebyś się zapytała o wiadomości z frontu.

— Boże miłosierny, Miss Scarlett! Oni zrobią krzywdę mojej mamie!

Prissy zaczęła nagle bardzo głośno beczeć. Płacz jej wzmógł jeszcze niepokój Scarlett.

— Przestań ryczeć! Jeszcze cię pani Melania usłyszy. Zmień teraz szybko fartuch.

Przynaglona do pośpiechu, Prissy pobiegła na tył domu, podczas gdy Scarlett pisała kilka słów na marginesie ostatniego listu Geralda do niej — jedynym kawałku papieru w domu. Kiedy go składała tak, aby jej prośba znalazła się na wierzchu, zauważyła słowa Geralda: „Twoja matka... tyfus... pod żadnym warunkiem... przyjeżdżać do domu...” Omal się nie rozpłakała. Gdyby nie wzgląd na Melanię, wyruszyłaby do domu w tej chwili, choćby miała całą drogę odbyć pieszo.

Prissy wypadła z domu teraz prawie biegiem, ściskając list w dłoni, a Scarlett wróciła na górę zastanawiając się, jak wytłumaczyć niezjawienie się pani Elsing. Melania jednak nie pytała o nic. Leżała na wznak, a że twarz miała spokojną i rozpogodzoną, widok jej uspokoił Scarlett na chwilę.

Usiadła i zaczęła mówić o rzeczach bez znaczenia, ale myśli o Tarze i możliwej klęsce konfederatów nie dawały jej spokoju. Myślała o umierającej Ellen, o zajęciu Atlanty przez Jankesów, o paleniu domów, zabijaniu ludzi. Bez przerwy słychać było dalekie granie armat. Wreszcie znudziło jej się rozmawiać, więc tylko patrzyła przez okno na rozgrzaną, cichą ulicę i zakurzone liście na drzewach. Melania także milczała. Od czasu do czasu spokojna jej twarz kurczyła się bólem.

Po każdym napadzie bólu mówiła: — To naprawdę wcale tak bardzo nie bolało — Scarlett wiedziała jednak, że kłamie. Wolałaby głośne skargi od tego cierpienia w milczeniu. Wiedziała, że powinna współczuć Melanii, a nie mogła wykrzesać z siebie ani iskierki litości. Za bardzo przejęta była własnymi troskami. Raz spojrzała uważnie na wykrzywioną bólem twarz i zaczęła się zastanawiać, dlaczego wśród wszystkich ludzi na ziemi właśnie ona jest tutaj przy Melanii, w tej szczególnej chwili — ona, która nic z nią nie miała wspólnego, która nienawidziła jej i pragnęła jej śmierci. Może się zresztą życzenie jej spełni jeszcze przed upływem dnia. Zimny, zabobonny strach ogarnął ją na tę myśl. Życzenie sobie czyjejś śmierci przynosiło nieszczęście, równało się prawie klątwie. „Przekleństwo spada na przeklinającego” — mawiała często Mammy. Scarlett szybko zaczęła prosić Boga, aby Melania nie umarła, i gorączkowo o czymś mówiła, ledwie wiedząc, co mówi. Wreszcie Melania położyła gorącą dłoń na ręce Scarlett.

— Nie staraj się rozmawiać, kochanie. Wiem, jak jesteś zmartwiona. Bardzo mi przykro, że tyle ci sprawiam kłopotu.

Scarlett umilkła, ale nie mogła spokojnie usiedzieć. Co pocznie, jeżeli ani doktor, ani Prissy nie wrócą na czas? Podchodziła do okna, wyglądała na ulicę, siadała i znowu wstawała. Wreszcie zbliżyła się do okna po przeciwnej stronie pokoju.

Minęła jedna godzina, potem druga. Wybiło południe. Gorące słońce stało wysoko i żaden powiew wiatru nie poruszał spieczonych liści. Bóle Melanii stawały się coraz dokuczliwsze. Długie jej włosy kleiły się od potu, a koszula nocna przylegała do ciała. Scarlett znowu obmyła jej twarz, nic nie mówiąc, bo zżerał ją strach. Boże wielki, cóż pocznie, jeżeli dziecko urodzi się przed przyjściem doktora? Co pocznie? Nie znała się wcale na położnictwie. Stało się właśnie to, czego się obawiała od wielu tygodni. Liczyła, że Prissy znajdzie się na wysokości zadania, jeżeli nie będzie pod ręką doktora. Prissy znała się na tym. Zapewniała ją o tym przecież wielokrotnie. Gdzie jednak utkwiła teraz? Dlaczego nie wraca? Dlaczego nie przychodzi doktor? Scarlett znowu wyjrzała na ulicę. Nasłuchiwała uważnie i naraz zaczęła się zastanawiać, czy wydaje jej się, czy też rzeczywiście grzmot dział ucichł w oddali. Znaczyłoby to w takim razie, że walka toczy się bliżej Jonesboro, czyli koło domu.

Wreszcie spostrzegła z daleka Prissy, idącą szybkim krokiem, i wychyliła się z okna. Prissy patrząc w górę dojrzała ją i otwarła usta jak do krzyku. Scarlett widząc, że paniczny strach maluje się na jej małej, czarnej twarzy, i obawiając się, aby nie przestraszyła Melanii wykrzyczeniem na głos złych wiadomości, spiesznie przyłożyła palec do ust i odeszła od okna.

— Przyniosę trochę zimniejszej wody — rzekła patrząc w ciemne, podkrążone oczy Melanii i starając się uśmiechać. Potem szybko wyszła z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi.

Prissy siedziała na schodach w hallu i ciężko dyszała:

— Walki są koło Jonesboro, Miss Scarlett! Mówią, że biją naszych panów. O Boże, panienko! Co się stanie z nami, jak Jankesi tu przyjdą? Och, mój Boże, mój Boże...

Scarlett zamknęła jej dłonią usta.

— Na miłość boską, zamilcz!

Tak, co stanie się z nimi, gdy Jankesi przyjdą — co stanie się z Tarą? Odsunęła tę myśl od siebie i zajęła się bardziej aktualnymi sprawami. Gdyby zastanawiała się nad tym, zaczęłaby płakać i łkać jak Prissy.

— Gdzie jest doktor Meade? Kiedy przyjdzie?

— Nie widziałam go wcale, p'sze pani.

— Co takiego?

— Nie, nie ma go w szpitalu! Pani Merriweather i pani Elsing także nie ma. Jakiś człowiek powiedział mi, że doktor poszedł na stację do rannych żołnierzy z Jonesboro, ale, p'sze pani, ja się bałam tam iść — bo tam ludzie ciągle umierają. A ja się boję trupów....

— A gdzie są inni lekarze?

— Miss Scarlett, daję słowo, że żaden z nich nie chciał nawet przeczytać pani kartki. Chodzą po szpitalu, jak gdyby stracili zmysły. Jeden doktor powiedział mi: „Wynoś się do diabła! Nie zawracaj mi tutaj głowy dziećmi, kiedy mamy tylu umierających! Poszukaj jakiejś kobiety, żeby ci pomogła”. Więc ja potem przeszłam się koło stacji, jak mi panienka kazała, i pytałam o wiadomości i wszyscy mi mówili, że bitwa jest koło Jonesboro i ja...

— Mówisz, że doktor Meade jest na stacji?

— Tak, proszę pani.

— Prissy, słuchaj uważnie, co ci powiem. Ja sama pójdę po doktora Meade, chcę więc, abyś posiedziała przy pani Melanii i robiła wszystko, co ci każe. A jeżeli piśniesz słówkiem o tym, gdzie jest bitwa, sprzedam cię, jak mi Bóg miły. I nie mów jej, że nikt z lekarzy nie chciał przyjść. Czy rozumiesz?

— Tak.

— Obetrzyj oczy, nalej świeżej wody do dzbanka i idź na górę. Obmyj twarz pani Meli. Powiedz, że poszłam po doktora Meade.

— Czy pani Mela spodziewa się zaraz, Miss Scarlett?

— Nie wiem. Tak mi się zdaje, ale nie jestem pewna. Tyś powinna lepiej wiedzieć. Idź na górę.

Scarlett wzięła z konsolki w hallu duży kapelusz słomkowy i wcisnęła go na głowę. Spojrzała w lustro i machinalnie poprawiła stargane kosmyki włosów — ale odbicia swego nie widziała.

Dreszcz strachu wstrząsał nią całą, aż końce palców, którymi dotykała policzków, stały się zimne, chociaż jednocześnie pot wystąpił jej na czoło. Szybko wyszła z domu na gorącą ulicę. Słońce grzało niemiłosiernie, oślepiająco, a kiedy poszła szybko przez Brzoskwiniową, w skroniach zaczęły jej walić pulsy. Z daleka dochodził ją gwar wielu głosów. Już przy domu Leydenów była bardzo zdyszana, bo gorset miała za mocno ściśnięty — kroku jednak nie zwolniła. Gwar głosów stał się silniejszy.

Od domu Leydenów do Pięciu Znaków ulica kipiała ruchem mrowiska, które ktoś właśnie poruszył. Murzyni biegali bezładnie, oszaleli że strachu; na gankach płakały pozostawione bez opieki białe dzieci. Ulica zapchana była furgonami wojskowymi i ambulansami pełnymi rannych oraz wozami, na które naładowane były walizy i meble. Bocznymi ulicami pędzili w stronę dowództwa jeźdźcy. Przed domem Bonnelów stał stary Amos i obejmował łeb ich konia. Przywitał Scarlett gwałtownym wywracaniem białkami.

— Jeszcze pani nie pojechała, Miss Scarlett? My teraz jedziemy. Starsza pani pakuje torbę.

— Jedziecie? Dokąd?

— Bóg jeden wie. Gdziekolwiek. Jankesi nadchodzą!

Scarlett pośpieszyła dalej, nie żegnając się nawet z Murzynem. Jankesi w drodze! Przy kaplicy Wesleya przystanęła na chwilę dla złapania tchu i uspokojenia mocno bijącego serca. Jeżeli nie uda jej się zapanować nad sobą, zemdleje z pewnością. Kiedy tak stała, opierając się o lampę, spostrzegła oficera na koniu, jadącego ulicą od Pięciu Znaków, nie namyślając się więc wbiegła na jezdnię i zatrzymała go.

— Proszę, niech pan poczeka! Proszę się zatrzymać!

Ściągnął cugle tak gwałtownie, że koń wspiął się na tylne nogi. Na twarzy jego malowało się zmęczenie i troska, ale mimo to szarmancko zerwał z głowy obdarty kapelusz.

— Czym mogę służyć?

— Proszę mi powiedzieć, czy to prawda? Czy Jankesi idą w stronę Atlanty?

— Obawiam się, że tak.

— Czy pan wie na pewno?

— Tak, łaskawa pani, niestety wiem. Do sztabu nadeszła przed półgodziną depesza z pola bitwy pod Jonesboro.

— Spod Jonesboro? Czy jest pan tego pewien?

— Tak, najzupełniej. Już teraz nie pora na piękne kłamstwa, łaskawa pani. Wiadomość, którą wiozłem, pochodziła od generała Hardee i brzmiała: „Przegrałem bitwę. Jestem w odwrocie”.

— Och, mój Boże!

Ciemna twarz zmęczonego mężczyzny patrzyła na nią bez wzruszenia. Zebrał cugle i włożył kapelusz.

— Proszę pana, jeszcze małą chwileczkę. Co mamy robić?

— Tego nie mogę pani powiedzieć. Armia wkrótce zacznie ewakuować Atlantę.

— To znaczy, że wyjdzie z miasta i zostawi nas na pastwę Jankesów?

— Tak mi się zdaje.

Koń ukłuty ostrogą ruszył jak na sprężynach. Scarlett została sama na środku ulicy, stojąc po kostki w czerwonym kurzu.

Jankesi nadchodzą. Wojsko wychodzi z miasta. Jankesi nadchodzą. Co ma teraz robić? Dokąd uciec? Nie, nie może uciec. Melania leży w łóżku i spodziewa się dziecka. Och, po cóż kobiety mają dzieci? Gdyby nie Melania, zabrałaby Wade'a i Prissy i ukryłaby się w lasach, gdzie by jej Jankesi nigdy nie znaleźli. Ale Melanii nie mogła że sobą zabierać. Nie, teraz nie. Och, gdybyż była urodziła dziecko wcześniej, choćby wczoraj, może Scarlett mogłaby dostać ambulans, zabrać ją i gdzieś ukryć. Ale teraz — teraz musi odszukać doktora Meade i zmusić do pójścia z nią do domu. Może on umie przynaglić poród.

Zgarnęła spódnicę i pobiegła dalej, nogami wybijając słowa: „Jankesi nadchodzą! Jankesi nadchodzą!” Przy Pięciu Znakach gromadził się tłum ludzi biegających błędnie dokoła; tłoczyły się furgony, ambulanse i powozy, pełne rannych. Szmer, przypominający szum fal, wzbierał w ciżbie i rósł.

Naraz niezwykły widok uderzył oczy Scarlett. Grupy kobiet nadchodziły od strony toru kolejowego niosąc na ramionach wielkie szynki. Koło nich dreptały małe dzieci, uginające się pod ciężarem wiader melasy. Chłopcy ciągnęli wory mąki i kartofle. Jakiś stary mężczyzna pchał z trudem baryłkę mąki na taczkach. Mężczyźni, kobiety, dzieci, czarni i biali, szybko, z naprężeniem w twarzach nieśli paczki, wory i skrzynki żywności — więcej żywności, niż widziała w ciągu roku. Tłum rozstąpił się nagle przed przechylonym na bok powozem. W pustej przestrzeni ukazała się delikatna i wątła pani Elsing, stojąca na koźle z lejcami w jednej, a batem w drugiej ręce. Była bardzo blada, bez kapelusza, a jej długie siwe włosy były rozwiane, gdy jak furia smagała konia. W powozie siedziała Murzynka jej, Melissa, przyciskając do siebie jedną ręką połeć boczku, a drugą i obiema nogami starając się przytrzymać leżące koło niej pudełka i worki. Torba grochu pękła i ziarna rozsypywały się po ulicy. Scarlett zaczęła wołać do pani Elsing, ale głos jej niknął w gwarze. Powóz minął ją we wściekłym tempie.

Przez chwilę nie mogła pojąć, co to wszystko znaczy, potem jednak uświadomiwszy sobie, że składy intendentury znajdują się koło toru, zrozumiała: to dowództwo kazało je otworzyć, aby ludzie uratowali, co się da, przed przyjściem Jankesów.

Zaczęła się przepychać przez tłum, przez podniecony motłoch na placu Pięciu Znaków, i szła jak mogła najszybciej w stronę stacji. Pośród ambulansów spowitych chmurami kurzu widziała sylwetki lekarzy i sanitariuszy pochylających się, podnoszących rannych, zaaferowanych. Bogu dzięki, że już za chwilę odnajdzie doktora Meade. Kiedy skręciła koło hotelu „Atlanta” i zobaczyła przed sobą stację i tor, stanęła jak wryta.

Pod promieniami bezlitosnego słońca, ramię przy ramieniu, głowa przy głowie, leżały setki rannych żołnierzy wzdłuż szyn, na peronach, przed budą stacyjną, w szeregach bez końca. Niektórzy leżeli sztywno i nieruchomo, większość wiła się w mękach w żarze słonecznym. Nad rannymi unosiły się roje much, łażąc po ich twarzach, szumiąc koło uszu — wszędzie widać było krew i brudne bandaże — zewsząd słychać jęki, okrzyki bólu i przekleństwa, gdy sanitariusze podnosili żołnierzy. Zapach potu, krwi, nie mytych ciał i odchodów, spotęgowany upałem, mdlił i obezwładniał. Pielęgniarze uwijali się wśród leżących pokotem ludzi i nierzadko następowali na rannych, którzy tylko tępo spoglądali na nich, czekając swojej kolejki.

Scarlett cofnęła się i ręką zakryła usta czując, że za chwilę zwymiotuje. Nie mogła iść dalej. Widywała rannych w szpitalu, po walkach w dolinie opatrywała ich na trawniku ciotki Pitty, ale czegoś podobnego nie widziała nigdy. Nigdy nie widziała nic tak strasznego jak te śmierdzące, pokrwawione ciała w słonecznym upale. Było to piekło bólu, smrodu, wrzasku i pośpiechu — pośpiechu — pośpiechu! Jankesi nadchodzą! Jankesi nadchodzą!

Opanowała się i weszła w tłum wypatrując wysokiej postaci doktora Meade. Przekonała się jednak, że nie może go odszukać wzrokiem, bo jeżeli przestanie uważać na ziemię, zacznie deptać po nieszczęsnych żołnierzach. Uniosła spódnicę i torowała sobie drogę w stronę grupki ludzi, dających rozkazy pielęgniarzom.

Kiedy tak szła, gorączkowe dłonie chwytały ją za suknię i głosy jęczały: — Pani! Wody! Wody, proszę! Na Boga, wody!

Pot spływał jej strugami po twarzy, gdy wyrywała spódnicę z czepiających się jej dłoni. Gdyby przypadkiem nadepnęła na jednego z tych ludzi, zaczęłaby z pewnością płakać albo by zemdlała. Przeskakiwała przez ciała umarłych, przez żołnierzy, którzy leżeli z oczyma w słup, z rękoma na poszarpanych brzuchach, których brody sztywne były od krwi i z których strzaskanych szczęk wychodziły dźwięki mające chyba znaczyć: — Wody! Wody!

Jeżeli nie odszuka zaraz doktora Meade, zacznie histerycznie płakać. Spojrzała w stronę grupy ludzi pod dachem i zawołała jak mogła najgłośniej: — Doktor Meade!

Z grupy oddzielił się jakiś mężczyzna i spojrzał w jej kierunku. Był to doktor. Nie nosił marynarki, a rękawy koszuli miał zakasane po łokcie. Był uwalany krwią jak rzeźnik. Wyglądał na człowieka pijanego zmęczeniem, bezsilną wściekłością i piekącym współczuciem. Twarz miał szarą i zakurzoną, a spływający pot pozlewał mu się na policzkach w strużki. Głos jego brzmiał jednak spokojnie i pewnie, kiedy krzyknął do Scarlett:

— Dzięki Bogu, że jesteś tutaj. Potrzebna mi jest każda para rąk.

Przez chwilę patrzyła na niego w zdumieniu i z przerażenia aż wypuściła z rąk spódnicę; opadła na brudną twarz rannego mężczyzny, który na próżno starał się odwrócić głowę, aby wydostać się spod tych ciepłych fałd. Co sobie doktor myślał właściwie? Kurz od strony ambulansów dławił ją, a wstrętne zapachy napełniały nos jak jakaś smrodliwa maź.

— Śpiesz się, dziecko! Chodź tutaj!

Zgarnęła znowu, spódnicę i poszła ku doktorowi przez, rzędy ciał, jak mogła najszybciej. Położyła mu rękę na ramieniu; poczuła, że doktor drży że zmęczenia, ale na twarzy jego nie było słabości.

— Och, panie doktorze! — krzyknęła. — Musi pan że mną iść, Melania ma bóle porodowe.

Spojrzał na nią, jak gdyby słowa te nie doszły do jego świadomości. Żołnierz, leżący u stóp Scarlett z głową wspartą na manierce, uśmiechnął się do niej.

— Dobrze się spisuje — powiedział wesoło.

Scarlett nawet na niego nie spojrzała, tylko dalej potrząsała ręką doktora.

— Chodzi o Melanię. Dziecko. Doktorze, musi pan iść do niej. Ona.. Ona... — Nie była to pora na konwenanse, a przecież trudno było wypowiedzieć te słowa w obecności setki obcych mężczyzn.

— Ma coraz większe bóle. Proszę pana, panie doktorze!

— Dziecko! Wielki Boże! — zagrzmiał doktor i na twarzy jego odmalowała się nagle nienawiść i pasja, pasja nie skierowana do niej ani do żadnej ludzkiej istoty, lecz raczej do świata, gdzie takie rzeczy mogły się zdarzać. — Czyś ty oszalała? Nie mogę tych ludzi zostawić. Umierają mi tutaj całe ich setki. Nie mogę ich zostawić dla jakiegoś tam dziecka. Niech ci jakaś kobieta pomoże. Poszukaj mojej żony.

Otworzyła usta, aby mu powiedzieć, dlaczego pani Meade nie może przyjść, i nagle je zamknęła. Nie wiedział, że Filip jest ranny! Zastanowiła się przez sekundę, czy byłby tutaj, gdyby wiedział. Miała prawie pewność, że nawet śmierć Filipa nie wpłynęłaby teraz na doktora, że zostałby dalej na tym miejscu, niosąc pomoc wielu ludziom, zapominając o sobie.

— Nie, pan musi że mną iść. Pamięta pan, że pan sam mówił, że będzie miała ciężkie przejście... — Czy to rzeczywiście ona, Scarlett, mówiła tutaj na cały głos o tych wstydliwych sprawach?

— Mela umrze, jeżeli pan nie przyjdzie do niej.

Doktor odsunął brutalnie Scarlett i zaczął mówić, jak gdyby jej nie słyszał, jak gdyby nie wiedział, o co go prosi.

— Umrze? Tak, wszyscy umrą, wszyscy ci ludzie. Nie mamy bandaży, nie mamy maści ani chininy, ani chloroformu. Och, Boże, gdybym miał choć trochę morfiny! Choć trochę morfiny, dla najciężej rannych! Choć trochę chloroformu. Niech Bóg skarze Jankesów! Niechaj ich Bóg pokaże!

— Dobrze pan ich klnie, doktorze! — powiedział żołnierz z ziemi błyskając w uśmiechu zębami.

Scarlett zaczęła drżeć, a w oczach jej zakręciły się łzy przerażenia. Doktor nie chciał z nią iść. Melania umrze teraz, ponieważ ona życzyła sobie jej śmierci. Doktor z nią nie pójdzie...

— Na miłość boską, doktorze! Błagam pana!

Doktor Meade zagryzł wargi; odzyskał już spokój.

— Dziecko, postaram się, ale nie mogę ci tego przyrzec. Postaram się na pewno. Jak tylko załatwię się z tymi ludźmi. Jankesi zbliżają się i wojsko wychodzi z miasta. Nie wiem, co zrobią z rannymi. Nie ma już pociągów. Linia do Macon została zdobyta... Ale postaram się. Wracaj teraz do domu. Nie przeszkadzaj mi tutaj Bardzo jest łatwo przyjąć dziecko. Po prostu zwiąż tylko pępowinę...

Odwrócił się, bo adiutant dotknął jego ramienia. Zaczął mu dawać dyspozycje i wskazywać różnych rannych. Żołnierz u stóp Scarlett spojrzał na nią że współczuciem. Odeszła, bo doktor wcale na nią nie zwracał uwagi.

Szybko poszła przez gromadę rannych z powrotem na Brzoskwiniową. Doktor nie przyjdzie. Będzie się musiała sama tym zająć. Dzięki Bogu, że Prissy zna się na położnictwie. Głowa bolała ją od upału; czuła, jak do ciała przykleja się jej wilgotny od potu stanik. Myśli miała ciężkie tak samo jak nogi; jak gdyby w koszmarnym śnie chciała biec, a nie mogła ruszyć z miejsca. Myślała o długiej drodze do domu. Wydawało jej się, że nigdy nie dojdzie na miejsce.

Aż nagle słowa „Jankesi nadchodzą” znowu zaczęły towarzyszyć jej krokom jak refren. Serce poczęło bić mocniej i wstąpiło w nią nowe życie. Na Pięciu Znakach zmieszała się z tłumem, teraz tak gęstym, że zapełniał całe chodniki; poszła środkiem jezdni. Mijały ją długie szeregi żołnierzy pokrytych kurzem, mokrych że zmęczenia. Zdawało się, że idą całe ich tysiące — brodaci, brudni, z karabinami na ramionach, przechodzili szybkim marszem. Przetoczyły się działa, żołnierze bili po grzbietach kawałami rzemienia ciągnące je chude muły. Furgony intendentury, pokryte podartym płótnem, podskakiwały na wybojach. Kawaleria, wznosząca tumany kurzu, przejeżdżała bez końca. Scarlett nigdy dotąd nie widziała tylu żołnierzy. Odwrót! Odwrót! Armia opuszczała miasto.

Spiesznie przechodzące szeregi odepchnęły ją z powrotem na zatłoczony trotuar. Poczuła zapach taniej żytniówki. W tłumie koło ulicy Dekatur stały kobiety wyzywająco ubrane, których kolorowe sukienki i umalowane twarze kłóciły się z wyglądem reszty ludzi. Były przeważnie wstawione, żołnierze zaś, których ramion się czepiały, byli zupełnie pijani. Dostrzegła rude loki tej wstrętnej kreatury, Belli Watling, usłyszała jej ostry śmiech, gdy starała się podeprzeć jednorękiego żołnierza, który potykał się i zataczał.

Kiedy przepchnęła się przez tłum aż do przecznicy za Pięciu Znakami, ciżba zrzedła trochę. Zebrawszy w garść spódnicę, znowu zaczęła biec szybciej. Przy kaplicy Wesleya była tak zadyszana, że zakręciło się jej w głowie i bardzo ją zemdliło. Fiszbiny rozrywały jej żebra. Opadła na stopnie kościoła, głowę ukryła w dłoniach i oddech z wolna jej wrócił. Gdybyż mogła raz głęboko odetchnąć, całą jamą brzuszną. Gdybyż serce jej przestało walić, tłuc się i dudnić. Gdybyż w tym oszalałym mieście był ktoś, do kogo by się mogła zwrócić...

Nigdy w życiu dotąd nie musiała niczego robić sama. Zawsze był ktoś, kto ją wyręczał, kto opiekował się nią, zajmował, kto ją ochraniał i pieścił. Nie do uwierzenia, że znalazła się w takim położeniu. Ani przyjaciela, ani sąsiada, który by pomógł... Zawsze miała wokół siebie znajomych, sąsiadów, zaufane ręce, chętnych niewolników. Aż nagle w godzinie największej potrzeby nie było przy niej nikogo. Wierzyć się nie chciało, że była zupełnie sama, bardzo przerażona i z dala od domu.

Dom! Gdybyż przynajmniej była w domu, nie zważając na Jankesów... W domu, mimo że Ellen jest chora... Tęskniła za jej łagodną twarzą, za objęciem silnych ramion Mammy.

Wstała niepewnie i znowu ruszyła w drogę. Wreszcie zobaczyła dom i Wade'a kołyszącego się na furtce. Gdy ją zobaczył, nachmurzył się i zaczął płakać wyciągając do niej przygnieciony, zsiniały palec.

— Boli! — płakał. — Boli!

— Cicho! Cicho! Cicho! Bo ci dam klapsa. Idź do ogrodu, rób babki z piasku i nie ruszaj mi się stamtąd.

— Wade głodny — żalił się wkładając bolący palec do buzi.

— Nie mam na to rady. Idź do ogrodu i...

Spojrzała w górę i zobaczyła Prissy wychylającą się z okna pierwszego piętra. Na twarzy jej malowało się przerażenie, które znikło w chwili, gdy zobaczyła swoją panią. Scarlett skinęła do niej, aby zeszła na dół, i weszła do domu. Jak chłodno jest w hallu... Odwiązała kapelusz i rzuciła go na stół, przeciągając ręką po wilgotnym czole. Usłyszała otwarcie drzwi na górze i uszu jej doszedł cichy przeciągły jęk, jak z dna cierpienia. Prissy zbiegała na dół po trzy stopnie na raz.

— Czy doktor jest?

— Nie. Nie może przyjść.

— O Boże, Miss Scarlett! Pani Mela bardzo cierpi!

— Doktor nie może przyjść. Nikt nie może przyjść. Musisz sama przyjąć dziecko, a ja ci pomogę.

Prissy otwarła szeroko usta, a język jej poruszał się bezgłośnie. Spojrzała z ukosa na Scarlett, zaczęła przestępować z nogi na nogą i wykręcać na wszystkie strony swe chude ciało.

— Nie patrz tak głupio! — zawołała Scarlett, rozwścieczona jej zachowaniem się. — O co chodzi?

Prissy cofnęła się tyłem na schody.

— O Boże, Miss Scarlett... — Strach i wstyd wyjrzały z jej oczu.

— O co chodzi?

— O Boże, Miss Scarlett! Doktor musi przyjść. Ja... ja... ja nie umiem przyjmować dzieci. Mama zawsze mi zabraniała być przy kobietach, które rodziły.

Scarlett aż skamieniała z przerażenia, a potem zalała ją wściekłość. Prissy dała susa w bok, gotowa do ucieczki, ale Scarlett przytrzymała ją mocno.

— Ty czarny kłamczuchu, co ty gadasz? Zapewniałaś mnie, że znasz się na tym. Co jest prawdą? Gadaj mi zaraz! — Potrząsała nią tak mocno, że kudłata jej głowa zaczęła się chwiać bezwładnie.

— Kłamałam, Miss Scarlett! Nie wiem, dlaczego tak skłamałam. Widziałam tylko raz, jak się dziecko rodzi, a mama mało mnie nie zabiła, że się przyglądałam.

Scarlett patrzyła na nią bez słowa. Prissy cofała się i starała się jej wyrwać. Przez chwilę nie chciało jej się uwierzyć w to, co słyszała, a kiedy uświadomiła sobie wreszcie, że Prissy nie więcej wie o przyjmowaniu dzieci niż ona sama, złość ogarnęła ją jak płomień. Nigdy w swoim życiu nie uderzyła niewolnika, teraz jednak wyrżnęła dziewczynę w czarny policzek z całej siły swojej zmęczonej ręki. Prissy wrzasnęła wniebogłosy, bardziej z przerażenia niż z bólu, i zaczęła wyrywać się z jej uścisku.

Kiedy zaczęła krzyczeć, jęki na górze ucichły. Po chwili głos Melanii, słaby i drżący, zawołał:

— Scarlett! Czy to ty? Przyjdź tutaj, proszę!

Scarlett puściła Prissy. Dziewczyna chlipiąc usiadła na schodach. Przez chwilę Scarlett stała bez ruchu, patrząc w górę i słuchając cichych jęków, które rozlegały się znowu. Wydało jej się nagle, że jarzmo spada jej na kark, że przytwierdzony jest doń wielki ciężar, który przytłoczy ją, gdy zrobi jeden krok naprzód.

Starała się przypomnieć sobie to wszystko, co robiła Mammy i Ellen, kiedy urodził się Wade, ale błogosławione zaćmienie bólów porodowych wspomnienia te spowiło mgłą. Przypomniała sobie jednak to i owo i rozkazującym głosem szybko zaczęła mówić do Prissy:

— Rozpal ogień pod kuchnią i nastaw wodę w kotle. Przynieś wszystkie ręczniki, jakie masz, i ten kłębek bawełny. Poszukaj jakichś nożyczek. Nie opowiadaj mi, że nie możesz ich znaleźć. Musisz je znaleźć, i to szybko. Spiesz się.

Pchnęła Prissy tak mocno, że dziewucha ruszyła w stronę kuchni. Potem wyprostowała się i poszła na górę. Niełatwą rzeczą będzie powiedzenie Melanii, że ona i Prissy mają przyjąć jej dziecko same.

## ROZDZIAŁ XXII

Nigdy już chyba nie zdarzy się popołudnie dłużące się tak przeraźliwie ani tak gorące, ani pełne tylu leniwych, dokuczliwych much. Siadały całymi rojami na Melanii, choć Scarlett nie przestawała jej wachlować i ramiona bolały ją od poruszania szerokim liściem palmowym. Zdawało jej się, że wszystkie jej wysiłki idą na marne, bo kiedy odgoniła muchy z twarzy Melanii, siadały na jej spoconych stopach i nogach i wywoływały słabe okrzyki: — Och, gryzą mnie znowu!

Pokój tonął w półmroku, bo Scarlett ściągnęła zasłony dla ochrony przed upałem i światłem słonecznym. Cieniutkie promyczki słońca przedostawały się jednak przez małe otworki i szpary z boku okien. W pokoju było gorąco jak w piecu: przepocone odzienie Scarlett nie wysychało, tylko z godziny na godzinę stawało się bardziej wilgotne i lepkie. Prissy przycupnęła w kącie; była także spocona i cuchnęła tak wstrętnie, że Scarlett odesłałaby ją dawno z pokoju, gdyby nie obawa, że dziewczyna weźmie nogi za pas i w ogóle się więcej nie zjawi. Melania leżała na łóżku, na prześcieradle ciemnym od potu i mokrym od wody, którą Scarlett na nią pryskała. Przewracała się bezustannie, to na jeden bok, to na drugi — w lewo i w prawo.

Chwilami starała się usiąść, opadała jednak na poduszki i znowu zaczynała się przewracać. Z początku wstrzymywała się od krzyków i zagryzała wargi do krwi, aż Scarlett, która nie mogła tego znieść, rzekła ochryple: — Melu, na miłość boską, nie staraj się udawać zucha. Wrzeszcz, jeżeli masz ochotę. Nikt cię nie usłyszy, poza nami dwiema.

W miarę mijania godzin Melania zaczęła stękać coraz częściej i czasem nawet krzyczała. Słysząc to Scarlett kryła głowę w rękach, zatykała sobie uszy, wykręcała się na wszystkie strony — życzyła sobie śmierci. Wszystko było lepsze od bezsilnego patrzenia na takie męki. Wszystko lepsze od czekania na dziecko, które tak długo nie chciało się urodzić. Od czekania na dziecko, kiedy Jankesi byli już pewnie przy Pięciu Znakach.

Żałowała teraz gorąco, że swego czasu nie zwracała większej uwagi na szepty mężatek, dotyczące rodzenia dzieci. Czemuż tego nie robiła! Gdyby miała więcej zainteresowania dla takich spraw, potrafiłaby ocenić, czy poród Melanii trwa zbyt długo, czy też przebiega normalnie. Przypominała sobie niejasno opowiadanie ciotki Pitty o jakiejś znajomej, która miała bóle porodowe przez dwa dni i zmarła nie wydawszy dziecka na świat. Jeżeli więc i Melania będzie jeszcze jęczała przez dwa dni... Ale Melania była bardzo delikatna. Nie mogłaby wytrzymać dwóch dni takiego bólu. Umrze chyba, jeżeli dziecko się nie pośpieszy. I jak Scarlett będzie mogła wtedy spojrzeć w oczy Ashleyowi — jeżeli żyje — i powiedzieć mu, że Melania umarła, mimo że przyrzekła mu, iż będzie się nią opiekowała?

Z początku Melania chwytała rękę Scarlett, gdy szarpał ją mocniejszy ból, ale ściskała ją tak mocno, że mało jej kości nie miażdżyła. Po upływie godziny Scarlett miała ręce tak spuchnięte i posiniaczone, że nie mogła ich zgiąć. Związała więc na supeł dwa długie ręczniki, przywiązała je do nóg łóżka i zasupłany koniec dała Meli do ręki. Melania trzymała się go jak pasa ratunkowego, naciągała go, rozluźniała, szarpała nim. Przez całe popołudnie słychać było jej głos, jak głos konającego w sidłach zwierzęcia. Chwilami puszczała ręcznik, przecierała dłonie i patrzyła na Scarlett oczyma rozszerzonymi z bólu.

— Mów do mnie. Proszę cię, mów do mnie — szeptała.

Scarlett zaczynała paplać byle co, aż Melania znowu chwytała za węzeł i znowu zaczynała go szarpać.

Mroczny pokój pełen był żaru, bólu, brzęczenia much. Czas wlókł się tak wolno, że Scarlett ledwie sobie mogła przypomnieć poranek. Wydawało jej się, że w tym nagrzanym, ciemnym, zapoconym miejscu przebywa już całe życie. Bardzo chciała krzyczeć za każdym jękiem Meli i tylko zagryzaniem warg do bólu mogła się powstrzymać od przejawów histerii.

W pewnej chwili Wade podszedł na palcach pod drzwi i stał przez chwilę skomląc:

— Wade głodny!

Scarlett wstała, aby iść do niego, ale Melania wyszeptała: — Nie zostawiaj mnie samej. Proszę cię. Mogę to znosić, jak długo ty jesteś przy mnie.

Tak więc Scarlett musiała posłać na dół Prissy, aby odgrzała dzieciakowi resztki śniadania i nakarmiła go.

Zegar na kominku stanął, nie wiedziała więc, która jest godzina, ale kiedy zelżał upał w pokoju i promyki słońca, przedzierające się przez zasłony, pociemniały, odsłoniła okna. Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że była pora przedwieczorna. Słońce, jak szkarłatna kula, stało nisko na niebie. Miała przez cały czas wrażenie, że żar południa nigdy nie minie.

Bardzo chciała wiedzieć, co się dzieje w mieście. Czy wszystkie wojska już wyszły? Czy Jankesi wkroczyli do miasta? Czy konfederaci oddadzą miasto bez wystrzału? Potem przypomniała sobie z dreszczem, jak mało jest konfederatów i ilu doskonale odżywionych ludzi ma Sherman. Sherman! Imię samego szatana nie wywołałoby w niej większego przerażenia.

Teraz nie było jednak czasu myśleć, bo Melania prosiła o wodę, to o zimny ręcznik na głowę., to aby ją po wachlować czy odgonić muchy z jej twarzy.

Ody zapadł zmierzch i Prissy, krzątając się jak czarny upiór, zapaliła lampę, Melania osłabła. Zaczęła wołać Ashleya, raz po razie, jak gdyby w malignie, aż rozpaczliwa monotonia tego wołania napełniła Scarlett chęcią zdławienia jej głosu poduszką. Może jednak doktor przyjdzie. Gdybyż mógł przyjść prędzej! Tknięta nagłą nadzieją, zwróciła się do Prissy i kazała jej biec szybko do domu Meade'ów i sprawdzić, czy jest tam doktor lub pani Meade.

— A jeżeli doktora nie ma, zapytaj panią Meade lub kucharkę, co mamy robić. Poproś, aby tu przyszły zaraz!

Prissy ruszyła ostro. Scarlett przyglądała się, jak spiesznie idzie po ulicy, szybciej niż kiedykolwiek przedtem. Po dłuższej chwili wróciła — sama.

— Doktora nie było w domu przez cały dzień. Możliwe, że poszedł z żołnierzami. Miss Scarlett, wie pani, pan Filip nie żyje.

— Nie żyje?!

— Tak, proszę pani — rzekła Prissy, dumna z tej nowiny. — Talbot, stangret, powiedział mi to. Zastrzelili go...

— Dobrze, ale nie mów o tym teraz.

— Pani Meade nie widziałam. Kucharka mówi, że pani Meade myje go i ubiera, aby zdążyć go pochować, zanim Jankesi tu przyjdą. Kucharka mówi, że jak bóle będą bardzo wielkie, niech pani położy nóż pod łóżko pani Meli, to ból przetnie się na dwoje.

Scarlett miała ochotę znowu ją uderzyć za tę doskonałą radę, ale Melania otworzyła szeroko oczy i wyszeptała: — Kochanie... czy Jankesi są blisko?

— Nie — rzekła Scarlett stanowczo. — Prissy zmyśla.

— Tak, proszę pani, znowu skłamałam — przytwierdziła Prissy z zapałem.

— Pewnie są blisko — wyszeptała Melania nie przekonana i ukryła twarz w poduszce. Głos jej stał się jeszcze bardziej głuchy.

— Biedne moje dziecko. Biedne moje dziecko. — I po długiej przerwie: — Och, Scarlett, nie zostawaj tutaj. Zabierz Wade'a i wyjedź.

Mela powiedziała właśnie to, co Scarlett myślała, ale głośne sformułowanie tych tajemnych myśli rozwścieczyło ją i zawstydziło: bała się, że strach maluje się wyraźnie na jej twarzy.

— Nie bądź głupia. Nie boję się wcale. Wiesz, że cię nie zostawię.

— To właściwie wszystko jedno. Umrę i tak. — I znowu zaczęła jęczeć.

Scarlett zeszła omackiem po ciemnych schodach powoli, jak stara kobieta, powoli, trzymając się kurczowo poręczy, aby nie upaść. Nogi miała jak z ołowiu, drżała że zmęczenia i wysiłku, drżała z zimna, bo ciało jej było zlane potem. Powlokła się wolniutko na ganek i ciężko usiadła na schodkach. Wyprostowała się z trudem, oparła o słupek i trzęsącymi, palcami zaczęła odpinać stanik na piersiach. Noc tonęła w ciepłej, miękkiej ciemności. Scarlett patrzyła przed siebie, otępiała jak wół.

Było już po wszystkim. Melania nie umarła i mały chłopczyk, piszczący jak kociak, był teraz kąpany przez Prissy. Melania spała.

Jak mogła spać po tym koszmarze przeraźliwych bólów i niezdarnej pomocy, która więcej bólu sprawiała niż ulgi? Jak się stało, że nie umarła? Scarlett czuła, że sama by z pewnością umarła przy takiej asyście. Ale kiedy wszystko się skończyło, Melania wyszeptała tak cichutko, że musiała się ku niej pochylić, aby usłyszeć: — Dziękuję ci... — I dopiero potem usnęła. Jakże mogła spać? Scarlett nie pamiętała zupełnie, że sama także spała po urodzeniu Wade'a. Nie pamiętała o niczym. Mózg jej był próżnią; świat cały był próżnią; nie było wcale życia przed tym dniem bez końca i nie będzie po nim — tylko ciężka, gorąca noc, tylko dźwięk ochrypłych, zmęczonych oddechów, tylko pot, który spływa zimną strużką od pach do pasa, od bioder do kolan, lepki, gęsty, lodowaty.

Słyszała, jak oddech jej z głośnej regularności przechodzi w spazmatyczne łkanie, ale oczy miała suche i rozpalone, jak gdyby już nigdy nie miało być w nich łez. Wolno, z wysiłkiem podźwignęła się i zadarła ciężką spódnicę aż po same uda. Było jej jednocześnie gorąco i zimno, ale wystawienie ciała na powiewy nocy odświeżyło ją bardzo. Leniwie pomyślała, co by teraz powiedziała ciotka Pitty, gdyby widziała ją rozwaloną tutaj na ganku frontowym w podwiniętej spódnicy i odsłoniętych majtkach — było jej jednak wszystko jedno. Nie dbała już o nic. Czas zatrzymał się w miejscu. Był wczesny wieczór albo północ. Nie wiedziała i nie chciała wiedzieć.

Usłyszała na górze lekkie kroki i pomyślała: „Niechaj Bóg skarze Prissy”. Potem zaś zamknęła oczy i zmorzyło ją coś w rodzaju snu. Po nieokreślonej, ciemnej chwili Prissy była przy niej gadając z widocznym zadowoleniem:

— Dobrześmy się spisały, Miss Scarlett. Nawet mama nie zrobiłaby tego lepiej.

Scarlett patrzyła na nią w milczeniu, zbyt zmęczona, aby odpowiedzieć, zbyt znużona, aby jej robić wymówki, aby wyliczać jej przewiny — zarozumiałe przyznawanie się do umiejętności, której nie posiadała, przestrach, niesłychaną niezdarność, zupełną bezradność, gdy trzeba było szybko działać, złe podanie nożyczek, rozlanie wody z miednicy na łóżko, upuszczenie nowo narodzonego dziecka. A teraz przechwala się jeszcze, że tak dobrze się spisała!

I Jankesi chcą dać wolność Murzynom! Niech się sami przekonają, co są warci!

Siedziała w milczeniu. Prissy wyczuwając jej nastrój cofnęła się na palcach w głąb ganku. Po długiej chwili, podczas której oddech Scarlett. uspokoił się i myśli trochę uporządkowały, usłyszała słaby dźwięk głosów z drogi, tupot wielu nóg, zbliżający się od północy. Żołnierze! Wyprostowała się wolno i spuściła spódnicę, choć nikt nie mógł jej widzieć w ciemności. Kiedy żołnierze znaleźli się w nieokreślonej liczbie na wprost domu i przechodzili jak cienie, zawołała do nich:

— Proszę panów!

Cień jakiś oddzielił się od masy i zbliżył do bramy.

— Wychodzicie z miasta? Opuszczacie nas?

Cień zdjął, jak się zdawało, kapelusz, i spokojny głos przemówił z ciemności:

— Tak, łaskawa pani. Właśnie odchodzimy. Jesteśmy ostatni z zasieków na północy.

— Czy rzeczywiście, czy armia naprawdę się cofa?

— Tak, proszę pani. Jankesi nadchodzą.

Jankesi nadchodzą! Zapomniała o tym zupełnie. Gardło jej ścisnęło się nagle i nie mogła już nic więcej powiedzieć. Cień przesunął się dalej, zlał się z innymi i nogi żołnierzy dalej poczłapały w ciemności. „Jankesi nadchodzą! Jankesi nadchodzą!” W rytm tych słów maszerowali i słowa te wybijało jej gwałtownie walące serce każdym swoim uderzeniem. Jankesi nadchodzą!

— Jankesi nadchodzą! — wrzasnęła Prissy, tuląc się do Scarlett. — Och, Miss Scarlett, pozabijają nas wszystkich! Pokłują nas bagnetami! Za...

— Och, cicho mi bądź! — Dość straszne było, że musiała myśleć o tych wszystkich rzeczach, nie chciała ich jeszcze słyszeć. Obleciał ją znowu strach. Co ma teraz robić? Dokąd uciekać? Gdzie się zwrócić o pomoc? Wszyscy przyjaciele ją zawiedli...

Nagle przypomniała sobie Retta Butlera i obawy jej prysły. Dlaczego nie pomyślała o nim rano, kiedy kręciła się jak oszalała po mieście? Nienawidziała go, ale musiała przyznać, że był silny i mądry i że nie bał się Jankesów. Był jeszcze w mieście. Pewnie, że była na niego obrażona i że za ostatnim spotkaniem powiedział jej wiele rzeczy nie do wybaczenia. Mogła jednak przejść do porządku nad tymi sprawami, zwłaszcza w takiej chwili. Poza tym Rett miał konia i powóz. Ach, dlaczego nie pomyślała o nim wcześniej! Rett będzie mógł je zabrać z tego nieszczęsnego miejsca, wywieźć daleko od Jankesów, byle gdzie, dokądkolwiek.

Zwróciła się ku Prissy i zaczęła mówić z gorączkowym pośpiechem.

— Czy wiesz, gdzie mieszka kapitan Butler, gdzie jest hotel „Atlanta”?

— Tak, proszę pani, ale...

— No, więc idź tam teraz, jak możesz najszybciej, i powiedz mu, że go potrzebuję. Chcę, aby przyszedł tu zaraz i sprowadził swego konia i powóz albo ambulans, jeżeli może. Powiedz mu o dziecku. Powiedz mu, że chcę, aby nas stąd zabrał. A teraz leć! Prędzej!

Wyprostowała się i pchnęła Prissy, aby biegła prędzej.

— Boże miłosierny, Miss Scarlett! Kiedy ja się boję biegać po nocy sama, po ciemku! A jeżeli mnie Jankesi złapią?

— Jeżeli szybko pobiegniesz, dogonisz tych żołnierzy i oni cię obronią przed Jankesami. Spiesz się.

— Kiedy się boję! A jeżeli kapitana Butlera nie będzie w hotelu?

— To zapytasz się tam, gdzie jest. Czy nie masz wcale rozumu? Jeżeli nie będzie go w hotelu, pójdziesz do barów na ulicy Dekatur i tam o niego spytasz. Idź do domu Belli Watling. Szukaj go wszędzie. Ty głupie stworzenie, czy nie rozumiesz, że jeżeli nie znajdziesz go teraz, Jankesi z pewnością wszystkich nas zabiją?

— Miss Scarlett, mama pasy że mnie by zdarła, gdybym weszła do baru czy do domu takiej kobiety.

Scarlett porwała się na równe nogi.

— No, a ja cię zbiję na kwaśne jabłko, jeżeli tam nie pójdziesz. A stanąć na ulicy i wołać kapitana też nie możesz? Albo zapytać się kogoś, czy kapitan jest w barze? Zabieraj się stąd, już!

Ponieważ Prissy wciąż jeszcze się nie ruszała i mrucząc przestępowała z nogi na nogę, Scarlett pchnęła ją znowu tak mocno, że dziewczyna omal nie spadła że schodków.

— Idź mi zaraz, bo cię sprzedam. Nie zobaczysz nigdy w życiu ani matki, ani nikogo że znajomych i będziesz pracowała w polu jak wyrobnica. Spiesz się!

— Boże miłosierny, Miss Scarlett...

Wreszcie pod mocnym dotknięciem ręki swojej pani Prissy zaczęła schodzić że schodów. Potem furtka frontowa skrzypnęła. Scarlett krzyknęła jeszcze: — Biegnij, oślico!

Usłyszała tupot stóp Prissy puszczającej się biegiem naprzód, a potem wszystko ucichło.

## ROZDZIAŁ XXIII

Po odejściu Prissy Scarlett leniwie powlokła się do hallu i zapaliła lampę. W domu było parno i gorąco, jak gdyby w murach jego osiadł cały żar południa. Otępienie jej z wolna mijało i żołądek domagał się jedzenia. Przypomniała sobie, że od poprzedniego wieczora nie jadła nic poza łyżką kukurydzy rano, więc biorąc lampę poszła do kuchni. Ogień w piecu przygasł już, ale izba była niemożliwie duszna. Znalazła pół twardej bułki z kukurydzy i zaczęła ją łapczywie gryźć, rozglądając się za innym jakimś jedzeniem. W garnku zostało jeszcze trochę gotowanej kukurydzy, zjadła ją więc wielką chochlą, nie wykładając wcale na talerz. Papka była nie dość słona, ale Scarlett była tak głodna, że nawet nie szukała soli. Zaspokoiwszy pierwszy głód wzięła lampę w jedną rękę, a kawałek bułki w drugą i wróciła do hallu, bo w kuchni było zbyt gorąco.

Wiedziała, że powinna iść na górę i posiedzieć przy Melanii, za słabej teraz, aby wołać, gdy będzie czegoś potrzebowała. Myśl jednak o powrocie do pokoju, w którym spędziła tyle koszmarnych godzin, wydawała się jej wstrętna. Scarlett nie mogła tam teraz wrócić, nawet gdyby Melania konała. Nie chciała już nigdy w życiu oglądać tego pokoju. Postawiła lampę na postumencie koło okna i wróciła na ganek. Było tu o wiele chłodniej, chociaż noc była bardzo ciepła. Usiadła na schodkach w kręgu bladego światła lampy i nadal żuła bułkę.

Kiedy skończyła, wróciło jej trochę siły, a wraz z nią kolący strach. Z ulicy słyszała jakieś hałasy, nie wiedziała jednak, co zwiastują. Rozróżniała tylko jakieś skłębione dźwięki, które to wzmagały się, to przycichały. Pochyliła się naprzód, aby słyszeć lepiej. Z wysiłku tego aż zabolały ją mięśnie. Chciała już wreszcie usłyszeć tętent kopyt i zobaczyć beztroskie, pełne pewności siebie oczy Retta, który by wyśmiał jej obawy. Rett zabierze ją i wszystkich daleko, daleko. Wszystko jej jedno dokąd.

Gdy tak siedziała wytężając słuch, zobaczyła nad drzewami jakiś blask. Zdziwiła się bardzo. Przyglądała mu się chwilkę; blask spotęgował się. Ciemne niebo zaczęło różowieć, potem stało się jasno-czerwone, wreszcie nad wierzchołkami drzew Scarlett zobaczyła język ognia strzelający wysoko ku niebu. Porwała się na nogi i serce jej znowu zaczęło rozpaczliwie walić.

Jankesi przyszli! Z pewnością są już w Atlancie i palą miasto. Płomienie zdawały się buchać na wschód od centrum miasta. Strzelały coraz wyżej i wyżej, rozszerzały się wielką, czerwoną łuną przed jej przerażonym wzrokiem. Płonął chyba cały blok domów. Gorący wiatr, który teraz powiał, przyniósł zapach dymu w jej stronę.

Wbiegła po schodach do swego pokoju i wychyliła się z okna, aby lepiej widzieć. Niebo miało wstrętny, żółtawy kolor; w powietrze wzbijały się duże tumany czarnego dymu i wisiały nad płomieniami niczym obłoki. Zapach dymu stawał się coraz mocniejszy. Scarlett myślała gorączkowo. Zastanawiała się, kiedy ogień dojdzie do ulicy Brzoskwiniowej i ogarnie dom, kiedy napadną ją Jankesi, dokąd ma uciec, co robić. Chór mocy piekielnych zdawał się rozlegać w jej uszach, w mózgu miała taki zamęt, strach tak ją obezwładniał, że musiała oprzeć się o okno, aby nie upaść.

— Muszę zebrać myśli — powtarzała sobie raz po raz. — Muszę myśleć.

Myśli jednak rozpierzchły się na wszystkie strony jak stado spłoszonych gołębi. Kiedy tak się opierała o okno, usłyszała ogłuszający wybuch, głośniejszy od huku dział. Od olbrzymich płomieni stało się jasno jak w dzień. Potem nastąpił drugi wybuch. Ziemia zadrżała, szyby górnych okien wypadły, odłamki szkła rozprysły się dokoła Scarlett.

Świat stał się piekłem hałasów i płomieni, ziemia dygotała od następujących teraz jeden po drugim wybuchów. Snopy iskier biły w niebo i leniwie opadały przez krwawe chmury dymu. Zdawało się Scarlett, że słyszy słabe wołanie z sąsiedniego pokoju, ale nie zwróciła na to uwagi. Nie miała czasu dla Melanii. Nie miała czasu na nic poza strachem, który płynął w jej żyłach szybko jak płomienie po niebie. Czuła się oszalałym z przestrachu dzieckiem, chciała ukryć głowę na łonie matki, aby nie patrzeć na ten widok. Gdybyż była w domu! W domu, z matką!

Poprzez szarpiące nerwy dźwięki usłyszała tupot szybko biegnących stóp, przesadzających po trzy stopnie naraz, i głos przypominający wycie psa. Prissy wpadła do pokoju, dobiegłszy do Scarlett schwyciła jej ramię uściskiem tak mocnym, jak gdyby chciała jej wyrwać kawał mięsa.

— Jankesi! — zawołała Scarlett.

— Nie, to nasi panowie! — wyjąkała Prissy ciężko dysząc i wpiła paznokcie w ramię Scarlett. — Palą huty, składy wojskowe i sklepy i, o Boże, Miss Scarlett, wysadzili w powietrze siedemdziesiąt wagonów kul armatnich i prochu! O Jezu, wszystkich nas palą!

Znowu zaczęła przejmująco zawodzić i szczypać Scarlett, która aż krzyknęła z bólu i że złości i uderzyła ją po ręce.

A więc Jankesów jeszcze nie ma! Jeszcze jest czas na ucieczkę! Zebrała wszystkie siły.

„Jeżeli się w tej chwali nie uspokoję — myślała — zacznę wrzeszczeć jak topiony kociak!”

Widok bezgranicznego strachu Prissy pomógł jej się opanować. Wzięła Murzynkę za ramiona i mocno nią potrząsnęła.

— Przestań się awanturować i mów do rzeczy. Jankesów jeszcze nie ma, ty idiotko! Czy widziałaś kapitana Butlera? Co powiedział? Czy przyjdzie?

Prissy przestała krzyczeć i tylko szczękała zębami.

— Tak, proszę pani, znalazłam go w końcu. W barze, tak jak pani mówiła. Był...

— Mniejsza z tym, gdzie go znalazłaś. Czy przyjdzie? Czy prosiłaś, aby sprowadził tu konia?

— O Boże, Miss Scarlett, powiedział, że nasi panowie zabrali mu konia i powóz dla rannych.

— Wielki Boże!

— Ale przyjdzie...

— Co powiedział?

Prissy złapała oddech i trochę się uspokoiła, ale ciągle jeszcze wywracała oczyma.

— Więc, proszę pani, tak jak pani mówiła, znalazłam go w barze. Stałam na ulicy i wołałam go głośno, więc wyszedł. Jak tylko mnie zobaczył i zaczęłam mu wszystko opowiadać, żołnierze wysadzili w powietrze dom przy ulicy Dekatur i dom się zapalił, więc kapitan powiedział: chodź że mną, i pociągnął mnie z sobą, i polecieliśmy do Pięciu Znaków, i wtedy powiedział: „No, więc co? Mów prędko”. Więc mówię, pani kazała powiedzieć, żeby pan kapitan przyszedł zaraz i przyprowadził konia i wóz. Pani Mela ma dziecko i pani koniecznie chce wyjechać z miasta. Więc on mówi: „Gdzie pani chce jechać?” Więc ja mówię: Ja nie wiem, proszę pana, ale chce wyjechać, nim Jankesy przyjdą, i chce, żeby pan nas zabrał. Więc zaczął się śmiać i powiedział, że zabrali mu konia.

Serce Scarlett zmartwiało, gdy i ta ostatnia nadzieja ją zawiodła. Jaka była głupia, że nie pomyślała, iż cofająca się armia zarekwiruje wszystkie pojazdy i konie, które jeszcze w mieście zostały. Przez chwilę była zbyt zgnębiona, aby słyszeć, co Prissy mówi, opanowała się jednak, by wysłuchać końca opowiadania.

— A potem powiedział: „Powiedz pani Scarlett, żeby była spokojna. Ukradnę dla niej konia, choćby to był ostatni w mieście. — I powiedział: — Już nieraz kradłem konie. Powiedz jej, że dostanie konia, choćby mnie za to mieli rozstrzelać. — Potem znów się zaśmiał i powiedział: — Teraz leć do domu”. — Ale zanim poszłam, znowu bum! Taki huk, że chciałam się zapaść pod ziemię, a on mówi, że to nic, tylko amunicja, którą nasi panowie wysadzają w powietrze, aby Jankesi jej nie dostali i...

— A więc przyjdzie tu? Przyprowadzi konia?

— Tak powiedział.

Scarlett odetchnęła z ulgą. Jeżeli był gdzieś w mieście jakiś koń, mogła być pewna, że Rett go zdobędzie. Mądry chłop ten Rett. Odpuści mu wszystko, jeżeli wydostanie ich z piekła. Uciec! Z Rettem nie będzie się niczego bała. Rett ich obroni. Dzięki Bogu, że Rett jest na świecie! Czując się mniej więcej bezpieczna, zaczęła myśleć o sprawach realnych.

— Obudź Wade'a, ubierz go i zapakuj trochę ubrania dla wszystkich. Włóż je do małego kuferka. I nie mów pani Meli, że wyjeżdżamy. Jeszcze nie. Ale na wszelki wypadek owiń dziecko w kilka grubszych ręczników i zapakuj jego pieluszki.

Prissy ciągle jeszcze czepiała się jej sukni i widać było tylko białka jej oczu. Scarlett odepchnęła ją znowu.

— Spiesz się! — krzyknęła.

Prissy czmychnęła jak królik.

Wiedziała, że teraz powinna uspokoić Melanię, wiedziała, że Mela jest pewnie przerażona do utraty zmysłów ogłuszającymi hukami, które słychać było bez przerwy, i łuną świecącą na niebie. Zdawać się mogło, że nastąpił koniec świata.

Nie mogła jednak zdobyć się na wejście do pokoju Meli już teraz. Zbiegła po schodach, aby zapakować porcelanę panny Pitty i trochę srebra, które zostawiła przed ucieczką do Macon. Kiedy jednak znalazła się w jadalni, ręce jej tak drżały, że stłukła trzy talerze. Wybiegła na ganek, aby znowu nasłuchiwać, znowu wróciła do jadalni i z hałasem zrzucała teraz srebro na podłogę. Wypadało jej z rąk wszystko, czego dotknęła. W pośpiechu pośliznęła się na dywanie i upadła z hukiem, ale wstała momentalnie, tak że nawet nie zdała sobie sprawy z potłuczenia. Słyszała, że na górze Prissy miota się jak dzikie zwierzę, i odgłosy te zirytowały ją, bo biegała tak samo bez celu jak ona.

Po raz może dwunasty wybiegła na ganek, ale tym razem nie wróciła już do swego pakowania. Usiadła. Niemożliwe było, aby udało jej się cośkolwiek zapakować. Niemożliwe, aby cośkolwiek w ogóle robiła. Mogła tylko czekać z bijącym sercem na Retta. Zdawało jej się, że minęły już godziny, a on się nie zjawiał. Wreszcie daleko w ulicy usłyszała niemiły skrzyp nienaoliwionych osi i wolne, niepewne stąpanie kopyt końskich. Dlaczego nie jedzie szybciej? Dlaczego nie pogania konia?

Odgłosy zbliżały się. Scarlett skoczyła na równe nogi i zawołała Retta po imieniu. Zobaczyła niewyraźnie, jak schodzi z kozła małego wozu, usłyszała szczęk zamka u bramy i wreszcie kroki. Po chwili ukazał się wyraźnie w świetle lampy. Ubrany był tak poprawnie, jak gdyby wybierał się na bal; nosił doskonale skrojone białe płócienne ubranie, haftowaną szarą kamizelkę jedwabną i koszulę o plisowanym gorsie. Szeroki kapelusz panamski siedział mu na głowie na bakier, a za pasek spodni zatknięte miał dwa obłożone kością słoniową długie pistolety. W wypchanych kieszeniach marynarki miał naboje. Zbliżał się do domu sprężystym krokiem i piękną głowę trzymał jak pogański książę. Niebezpieczeństwa nocy, które Scarlett doprowadziły do panicznego lęku, na niego podziałały jak narkotyk. Na ciemnej jego twarzy malowały się powściągane starannie dzikość i bezwzględność, które by przeraziły Scarlett, gdyby była dość przytomna, aby je zauważyć. Czarne jego oczy błyszczały, jak gdyby rozbawiony był tą całą sprawą, jak gdyby ogłuszające wybuchy i ponurą łunę traktował jak strachy dla małych dzieci. Scarlett rzuciła się ku niemu, gdy wszedł na schodki, śmiertelnie blada, z płonącymi gorączką oczyma.

— Dobry wieczór — powiedział przeciągając i zdjął szarmanckim gestem kapelusz. — Piękna dziś pogoda. Słyszałem, że wybiera się pani w podróż.

— Jeżeli zacznie pan teraz stroić żarty, nigdy więcej nie będę z panem rozmawiała — odpowiedziała drżącym głosem.

— Nie chce pani chyba powiedzieć, że się pani boi? — Udawał, że jest zdumiony, i uśmiechał się tak, że miała ochotę zepchnąć go od razu z wysokich schodków.

— A właśnie, że się boję! Boję się śmiertelnie i gdyby pan miał odrobinę rozumu, bałby się pan także. Nie mam jednak czasu na rozmowy. Musimy się stąd wydostać.

— Do usług łaskawej pani. Ale dokąd się pani właściwie wybiera? Przyjechałem tutaj z ciekawości, aby dowiedzieć się, jakie pani ma zamiary. Nie może pani jechać ani na północ, ani na wschód, ani na południe, ani na zachód, bo Jankesi są wszędzie dokoła. Jest tylko jedna droga, której nie zdążyli jeszcze zająć, i po niej właśnie cofa się armia. Droga ta. zresztą długo nie będzie wolna. Kawaleria generała Steve'a Lee walczy w ariergardzie pod Rough and Ready, aby powstrzymać wroga, dopóki nasze wojska nie przejdą. Jeżeli pojedzie pani za armią traktem McDonougha, zabiorą pani konia, a choć ta szkapa jest niewiele warta, miałem dużo kłopotu, zanim ją zdobyłem. Dokąd chce pani jechać?

Scarlett drżała i słuchała jego słów ledwie je słysząc. Teraz jednak w mgnieniu sekundy uświadomiła sobie. dokąd jedzie, poczuła, że przez cały ten straszny dzień wiedziała, dokąd chce pojechać. Do jedynego miejsca na świecie.

— Chcę jechać do domu — powiedziała.

— Do domu? Czy to znaczy do Tary?

— Tak, tak! Do Tary! Och, Rett, śpieszmy się teraz! Popatrzył na nią, jak gdyby myślał, że postradała zmysły.

— Do Tary? Boże miłosierny, Scarlett! Czy nie wie pani, że przez cały dzień toczyły się walki pod Jonesboro? Walczono na całej przestrzeni od Rough and Ready aż do środka miasta. Możliwe, że Jankesi są teraz koło Tary, możliwe że są w całym powiecie. Nikt nie wie, gdzie są w tej chwili, są jednak z pewnością w tamtych stronach! Nie może pani jechać do domu! Nie może się pani przedzierać przez linie jankeskie!

— Muszę jechać do domu! — zawołała. — Muszę! Muszę!

— Jest pani szalona — głos Retta zabrzmiał szorstko. — Nie może pani jechać w tamtą stronę. Jeżeli nawet uda się pani nie napotkać Jankesów, to lasy są pełne maruderów i dezerterów z obu armii. I wiele naszych oddziałów cofa się jeszcze z Jonesboro. Tak samo jedni jak drudzy zabiorą pani konia. Jedynym wyjściem jest pojechać za cofającym się wojskiem i modlić się, aby nie dostrzegli pani w ciemności. Do Tary nie może pani dotrzeć. Nawet gdyby pani tam dojechała, zastałaby pani dom w gruzach. Nie pozwolę pani jechać do domu. To czyste szaleństwo.

— Chcę jechać do domu! — wołała, a głos jej załamał się i potem podniósł w krzyk. — Chcę do domu! Nie zatrzyma mnie pan! Chcę do domu! Chcę do matki! Zabiję pana, jeżeli mnie pan zatrzyma! Chcę do domu!

Łzy przerażenia i zdenerwowania zaczęły spływać po jej twarzy, gdy wreszcie załamała się pod wpływem ciężkich przejść dnia. Biła Retta w piersi pięściami i znowu krzyczała — Pojadę! Pojadę! Albo nawet pójdę pieszo!

Nagle znalazła się w jego ramionach, mokry jej policzek oparł się o jego wykrochmaloną koszulę, bijące go ręce opadły. Rett gładził jej stargane włosy łagodnie, kojąco, i głos jego także brzmiał miękko. Tak łagodnie, tak spokojnie, tak naturalnie, bez drwin, że wcale się nie wydawał głosem Retta Butlera, ale jakiegoś miłego, silnego przyjaciela, który pachniał koniakiem i tytoniem — zapachami kojącymi, bo przypominały jej Geralda.

— Cicho, cicho, kochanie — mówił łagodnie. — Nie płacz. Pojedziesz do domu, moja mała, dzielna dziewczynko. Pojedziesz do domu, tylko nie płacz teraz.

Poczuła, że coś przesuwa się po jej włosach, i mimo wzburzenia zaczęła się zastanawiać, czy to mogą być jego usta. Był tak czuły, tak ją cudownie uspokajał, że chętnie by w jego ramionach pozostała na zawsze. Nic jej się z pewnością stać nie mogło, gdy otaczały ją ramiona tak silnego mężczyzny.

Rett poszperał w kieszeni, wyjął z niej chusteczkę i otarł oczy Scarlett.

— A teraz niech pani porządnie wyczyści nosek jak grzeczna dziewczynka — rozkazał z uśmiechem w oczach — i powie mi, co robić. Musimy się śpieszyć.

Posłusznie wydmuchała nos, drżąc jeszcze ciągle, ale nie przychodziło jej na myśl, co by zrobić. Widząc, że wargi jej drżą, a oczy spoglądają na niego bezradnie, Rett przejął inicjatywę.

— Pani Wilkes już urodziła, prawda? Niebezpiecznie będzie ruszać ją teraz z miejsca, niebezpiecznie brać w długą drogę w tym koślawym wozie. Zostawimy ją lepiej u pani Meade.

— Państwa Meade nie ma w domu. Nie mogę Meli zostawić.

— Dobrze więc. Ułożymy ją w wozie. Gdzie jest ta mała idiotka?

— Pakuje na górze kufer.

— Kufer? Nie może pani zabrać kufra do tego wozu. Ledwie pomieścicie się w nim wszyscy, a koła gotowe są odpaść lada chwila. Niech pani zawoła tę małą i każe jej położyć na dno wozu najmniejszy piernat, jaki jest w domu.

Scarlett wciąż jeszcze nie mogła zrobić kroku. Rett objął jej rękę w uścisku tak mocnym, że zdawało się, iż siła jego przepływa w ciało Scarlett. Gdybyż mogła być tak zimna i opanowana jak on! Pociągnął ją do hallu, ale i tam bezradnie spoglądała na niego i nie ruszała się z miejsca. Usta jego skrzywiły się drwiąco.

— Czy to pani jest tą bohaterską młodą damą, która zapewniała mnie, że nie boi się ani Boga, ani ludzi?

Wybuchnął nagle śmiechem i puścił ramię. Dotknięta, patrzyła na niego teraz z nienawiścią.

— Nie boję się wcale — rzekła.

— Ależ tak, boi się pani! Za chwilę gotowa pani zemdleć, a ja będę miał kłopot, bo nie mam przy sobie soli trzeźwiących.

W bezsilnej złości tupnęła tylko nogą, bo na nic innego nie mogła się zdobyć, i bez słowa wzięła lampę i poszła na górę. Rett szedł tuż za nią i Scarlett słyszała, jak śmieje się cicho do siebie. Śmiech jego dodał jej sił. Weszła do pokoju Wade'a, zastała go na kolanach Prissy, na wpół ubranego, znowu mającego napad czkawki. Prissy pochlipywała. Piernat na łóżku Wade'a był nieduży, kazała więc Prissy zanieść go na dół i położyć w wozie. Murzynka postawiła chłopca na ziemię i poszła, a Wade podreptał za nią, tak zainteresowany tym, co się dzieje, że przeszła mu czkawka.

— Chodźmy dalej — rzekła Scarlett kierując się do pokoju Melanii. Rett poszedł za nią z kapeluszem w ręce.

Melania leżała spokojnie, nakryta kołdrą aż po sam podbródek. Twarz miała śmiertelnie bladą, ale oczy jej, wpadnięte i bardzo podkrążone, były już pogodne. Nie okazała zdziwienia na widok Retta w swoim pokoju. Przyjęła to jako rzecz zrozumiałą. Starała się uśmiechnąć, ale uśmiech zamarł na jej wargach.

— Jedziemy do domu, do Tary — tłumaczyła Scarlett pośpiesznie. — Jankesi zbliżają się do miasta. Rett nas stąd zabiera. To jedyny ratunek, Melu.

Melania lekko i z wysiłkiem skinęła głową, po czym wskazała na dziecko. Scarlett wzięła maleństwo na ręce i owinęła je szybko w gruby ręcznik. Rett zbliżył się do łóżka.

— Będę się starał nie urazić pani — rzekł spokojnie, owijając Melę kołdrą. — Niech pani spróbuje objąć mnie za szyję.

Melania spróbowała, ale opadły jej ręce. Rett pochylił się, podłożył ramię pod jej plecy, drugie pod kolana, i podniósł ją ostrożnie. Nie krzyknęła, choć Scarlett widziała, że zagryza wargi z bólu i jeszcze bardziej blednie. Kiedy Scarlett podniosła wysoko lampę, aby poświecić Rettowi, i skierowała się ku drzwiom, Melania słabym gestem wskazała na ścianę.

— O co chodzi? — zapytał Rett cicho.

— Proszę — wyszeptała Melania starając się określić, o co jej chodzi. — Karolek.

Rett popatrzył na nią, jak gdyby zdawało mu się, że majaczy, ale Scarlett zrozumiała i rozzłościła się. Wiedziała, że Melania ma na myśli dagerotyp Karola, wiszący na ścianie pod jego szablą i pistoletem.

— Proszę — wyszeptała znowu Melania — szabla.

— Och, dobrze już — rzekła Scarlett i poświeciwszy Rettowi na schodach zawróciła i zdjęła z gwoździa szablę i pas z pistoletem. Trudno jej było znieść wszystko to na dół, a w dodatku jeszcze lampę i dziecko. Charakterystyczne dla Melanii było, że wcale nie była przejęta swoim stanem i niebezpieczeństwem że strony Jankesów, którzy byli tuż, tuż, a troskała się o pamiątki po Karolu.

Kiedy Scarlett zdejmowała dagerotyp że ściany, spojrzała z ukosa na twarz Karola. Wzrok jej spoczął na jego dużych piwnych oczach. Zatrzymała się na chwilę, aby lepiej mu się przypatrzyć. Więc to ten człowiek był jej mężem, spłodził z nią dziecko o oczach tak łagodnych i piwnych jak swoje... Mimo to, ledwie go pamiętała. Niemowlę na jej ręku wyciągało małe piąstki i cicho kwiliło, popatrzyła więc na nie. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że jest to dziecko Ashleya, i nagle resztkami sił pożałowała, że nie jest dzieckiem jej i Ashleya.

Prissy wbiegła właśnie na górę, więc Scarlett dała jej maleństwo. Zeszły pośpiesznie; lampa rzucała na ściany chybotliwe cienie. W hallu Scarlett zauważyła jakiś czepek, włożyła go więc zawiązując nerwowo wstążki pod brodą. Był to żałobny czepek Melanii, za mały na Scarlett, nie mogła sobie jednak przypomnieć, gdzie się podział jej własny.

Wyszła z domu niosąc lampę i starając się tak trzymać szablę, aby jej nie obijała nóg. Melania leżała już wyciągnięta w tyle wozu, obok niej był Wade i owinięte ręcznikiem niemowlę. Prissy weszła na wóz i wzięła dziecko na ręce.

Wóz był mały i boczne siedzenia bardzo wąskie. Koła wykrzywione były do wewnątrz. Wydawało się, że za pierwszym obrotem zupełnie odpadną. Scarlett spojrzała na konia i serce jej zamarło. Było to małe, wyniszczone stworzenie, stojące z łbem spuszczonym nisko, prawie dotykającym przednich nóg. Na grzbiecie miało rany i odparzenia i oddychało głośno i z trudem.

— Niezbyt wspaniały rumak, prawda? — zaśmiał się Rett. — Wygląda, jak gdyby miał zdechnąć przy dyszlu. Ale lepszego nie było. Kiedyś opowiem pani szczegółowo i barwnie, gdzie i jak go ukradłem i jak uniknąłem rozstrzelania. Tylko oddanie dla pani mogło mnie skłonić do tego, abym w obecnym stadium swojej kariery życiowej został koniokradem — i to w dodatku złodziejem takiego konia. Pomogę pani wsiąść.

Wziął z rąk Scarlett lampę i postawił ją na ziemi. Przednie siedzenie zrobione było z wąskiej deski, opartej o boki wozu Rett podniósł Scarlett i posadził ją w wozie. „Jaka to wspaniała rzecz być mężczyzną tak silnym jak Rett” — pomyślała obciągając szeroką suknię. Z Rettem u boku nie bała się niczego — ani ognia, ani huków eksplozji, ani nawet Jankesów.

Z kolei Rett wdrapał się na kozioł i wziął lejce do rąk.

— Och, niech pan poczeka! — zawołała Scarlett. — Zapomniałam zamknąć frontowe drzwi.

Wybuchnął grzmiącym śmiechem i lekko uderzył konia po grzbiecie.

— Z czego się pan śmieje?

— Z pani, że chce pani zamknąć dom przed Jankesami — rzekł.

Koń ruszył z miejsca powoli i niechętnie. Lampa na chodniku paliła się nadal tworząc mały krążek światła, który zmniejszał się i nikł, w miarę jak się oddalali.

Rett skierował wolno poruszającego się konia na zachód od ulicy Brzoskwiniowej. Wywrotny wózek skakał po wyboistej drodze z taką gwałtownością, że Mela wydała stłumiony jęk. Ciemne drzewa łączyły swe gałęzie nad głowami jadących, ciemne milczące domy wynurzały się po obu stronach drogi, a białe sztachety parkanów błyszczały blado jak rzędy płyt grobowych. Wąska ulica była jak ponury tunel, ale poprzez sklepienie z gęstych liści przeświecała straszna czerwień łuny, a po ciemnej drodze cienie goniły się jak oszalałe widma. Zapach dymu stawał się coraz silniejszy, gorący powiew przynosił zgiełk głosów że środka miasta, wrzaski, turkotanie ciężkich furgonów wojskowych i bezustanny tupot maszerujących stóp. Gdy Rett ściągnął konia i skierował go w inną ulicę, nowy ogłuszający wybuch rozdarł powietrze i olbrzymia rakieta płomieni i dymu wytrysnęła na zachodzie.

— To pewnie ostatni ładunek amunicji z pociągu — rzekł Rett spokojnie. — Dlaczego ci głupcy nie wysadzili tego rano? Mieli dość czasu. Wszystko się bardzo źle dla nas składa. Sądziłem, że okrążając centrum miasta ominiemy ogień i pijany motłoch na ulicy Dekatur i przedostaniemy się bezpiecznie na południowy wschód miasta. Musimy jednak w jakiś sposób przejechać przez ulicę Marietty, a wybuch ten, jak mi się zdaje, był właśnie w tamtej stronie.

— Czy trzeba przejechać przez ogień? — zapytała Scarlett z drżeniem.

— Jeżeli się pośpieszymy, unikniemy tego może — odrzekł Rett i zeskoczywszy z wozu znikł w ciemnym jakimś podwórzu.

Kiedy wrócił, niósł w ręku gałąź, którą zaczął bezlitośnie smagać poraniony grzbiet zwierzęcia. Koń ruszył ciężkim kłusem, dysząc głośno. Wóz szarpnął się nagle z miejsca tak silnie, że wszyscy wstrząsnęli się jak ziarna maku w makówce. Niemowlę zapłakało. Prissy i Wade krzyknęli uderzając o siebie głowami. Melania nie wydała głosu.

Kiedy zbliżyli się do ulicy Marietty, drzewa zaczęły się przerzedzać. Wysokie płomienie, szalejące nad budynkami, oświetliły ulicę i domy jaśniej niż w dzień, rzucając potworne cienie, rozwichrzone jak żagle statku tonącego podczas burzy.

Scarlett szczękała zębami, ale bała się tak bardzo, że nawet wcale nie zdawała sobie z tego sprawy. Było jej zimno i drżała, chociaż żar płomieni dawał się już we znaki na twarzach. Znalazła się w piekle. Gdyby mogła opanować drżenie kolan, zeskoczyłaby z wozu i z krzykiem zawróciłaby po ciemnej drodze do przystani cichego domu ciotki Pitty. Przysunęła się bliżej do Retta, objęła go za ramię trzęsącymi się palcami i patrzyła na niego w oczekiwaniu jakiegoś słowa pociechy, uspokojenia. Na tle koszmarnego, purpurowego blasku, który ich otaczał, ciemny jego profil rysował się czysto jak rzeźba na antycznej monecie, okrutny, przerafinowany. Za dotknięciem Scarlett odwrócił się ku niej i oczy jego zaświeciły blaskiem nie mniej przerażającym od łuny. Wydał się Scarlett tak podniecony i pełen wzgardy dla niebezpieczeństwa, jak gdyby czerpał z niej przyjemność, jak gdyby miłe mu było inferno, do którego się zbliżali.

— Proszę — rzekł kładąc rękę na jednym z pistoletów za pasem. — Jeżeli ktokolwiek, biały czy czarny, podejdzie do wozu od pani strony i będzie chciał wstrzymać konia, niech pani strzela, o nic nie pytając. Ale na Boga, niech pani w zdenerwowaniu nie strzeli w tę szkapę.

— Ja... ja mam własny pistolet — wyszeptała sięgając po broń ukrytą za stanikiem, zupełnie pewna, że jeżeliby nawet śmierć zajrzała jej w oczy, będzie zbyt przerażona, aby pociągnąć za cyngiel.

— Ma pani pistolet? A skąd?

— Należał do Karola.

— Do Karola?

— Tak, do Karola... mego męża.

— Czy pani naprawdę miała męża, droga Scarlett? — wyszeptał Rett i roześmiał się cicho. Dlaczego nie mógł nigdy być poważny? Czemu się nie śpieszył?!

— Skąd więc wzięłabym dziecko! — zawołała że złością.

— Och, na to jest tyle sposobów...

— Niech się pan wreszcie uspokoi i pojedzie prędzej!

Rett jednak nagle wstrzymał konia. Byli już prawie na ulicy Marietty, w cieniu jakiegoś składu, jeszcze nie tkniętego przez płomienie.

— Prędzej! — Było to jedyne słowo, które teraz pamiętała. — Prędzej! Prędzej!

— Żołnierze idą — powiedział.

Oddział szedł ulicą Marietty, między płonącymi budynkami wolno, że zmęczeniem, trzymając karabiny byle jak; głowy mieli pochylone nisko, byli zbyt znużeni, aby się śpieszyć, zbyt znużeni, aby zwracać uwagę, czy spadną na nich płonące belki, czy będzie ich dusił dym. Nosili łachmany; byli tak obdarci, że oficerów od szeregowców odróżniało się tylko po obszarpanym rondzie kapelusza, przytrzymanym szpilką z girlandką „A.K.P.”[[2]](#footnote-2). Wielu żołnierzy nie miało butów. Inni na głowach czy rękach nosili brudne bandaże. Przeszli nie patrząc w prawo ani w lewo, tak cicho, że gdyby nie odgłos kroków, mogliby się wydawać oddziałem duchów.

— Niech się im pani dobrze przyjrzy — zabrzmiał drwiący głos Retta —aby mogła pani opowiedzieć swoim wnukom, że widziała pani ariergardy naszej świętej sprawy w rozsypce.

Scarlett poczuła nagle, że nienawidzi Retta, nienawidzi tak mocno, że uczucie to w jednej chwili zwyciężyło strach, który wydał jej się teraz mały i nieważny. Wiedziała, że ocalenie jej i pozostałych osób w wozie zależy wyłącznie od niego, ale znienawidziła go za kpiny z wymizerowanych żołnierzy. Pomyślała o Karolu, który nie żył, o Ashleyu, który może także już umarł, o tych wszystkich dzielnych i wesołych młodzieńcach, którzy gnili w płytkich grobach, i zapomniała, że i ona także uważała ich kiedyś za głupców, Nic nie powiedziała, ale nienawiść i wstręt zapłonęły w spojrzeniu, którym obrzuciła Retta.

Kiedy mijali ich ostatni żołnierze, mały chłopak w ostatnim szeregu, wlokący karabin po ziemi, zachwiał się, zatrzymał i popatrzył za towarzyszami z twarzą tak otępiałą że zmęczenia, że wyglądał jak lunatyk. Był tego wzrostu co Scarlett, tak drobny, że karabin wydawał się niemal większy od niego. Na brudnej twarzy nie miał zarostu. „Najwyżej szesnaście lat — pomyślała Scarlett — pewnie jest członkiem gwardii albo zbiegłym do wojska uczniem”.

Nagle, gdy mu się tak przypatrywała, pod chłopcem kolana załamały się i osunął się w piasek. Dwaj żołnierze odłączyli się bez słowa od ostatniego szeregu i zawrócili ku niemu. Jeden, wysoki i szczupły, o czarnej brodzie, spływającej do pasa, w milczeniu podał własny karabin i karabin chłopca drugiemu. Potem pochylił się i zarzucił sobie chłopca na ramię że zręcznością atlety. Wolno poszedł za swoim oddziałem, pochylony pod ciężarem niedorostka, który słaby, rozwścieczony jak dziecko, któremu starsi dokuczają, krzyczał:

— Puść mnie, psiakrew! Puść mnie! Chcę iść sam!

Brodaty mężczyzna nic nie odpowiedział i mozolił się dalej, aż wreszcie znikł za zakrętem drogi.

Rett siedział cicho, luźno trzymając lejce, i patrzył za żołnierzami z dziwnym wyrazem twarzy. Naraz rozległ się w pobliżu trzask spadających belek i Scarlett ujrzała cienki język ognia, wzbijający się z dachu magazynu, w którego cieniu się kryli. Po chwili płomienie, rozwiane triumfalnie jak sztandary na wietrze, strzeliły wysoko w niebo. Dym zaczął ją dławić, Wade i Prissy kaszlali. Noworodek kichał cichutko.

— Och, na Boga, Rett! Czy pan oszalał! Prędzej! Prędzej!

Rett nic nie odpowiedział, tylko zdzielił konia gałęzią tak silnie, że nieszczęsne zwierzę pognało naprzód. Z największą szybkością, na jaką stać było konia, podskakiwali po wybojach ulicy Marietty. Przed nimi otwierał się tunel ognia, bo płonęły budynki po obu stronach krótkiej, wąskiej uliczki, prowadzącej do toru kolejowego. W nią teraz wjechali. Blask silniejszy od tuzina słońc oślepił ich oczy, żar palił im skórę, a trzaski i łoskoty szumiały boleśnie w uszach. Całą wieczność, jak im się zdawało, przebyli pośród piekła płomieni; po chwili znowu ogarnął ich półmrok.

Kiedy gnali po ulicy, a potem podskakiwali po szynach kolejowych, Rett machinalnie podcinał konia batem. Twarz miał spokojną i obojętną, jak gdyby zapomniał, gdzie się znajduje. Szerokie ramiona podał do przodu; podbródek wysunięty miał naprzód; zdawał się myśleć o czymś nieprzyjemnym. W spiekocie pożaru pot wystąpił mu na czoło i policzki, ale nie ocierał go wcale.

Wjechali w inną ulicę, potem jeszcze w inną, skręcali i kluczyli z jednej ulicy w drugą, aż Scarlett zupełnie straciła orientację. Szum płomieni ucichł za nimi. Rett wciąż jeszcze nic nie mówił, tylko regularnie smagał konia batem. Czerwona łuna na niebie bladła teraz, droga stała się więc podwójnie ciemna i przerażająca. Scarlett marzyła, żeby Rett się odezwał, powiedział cokolwiek, choćby nawet drwinami lub docinkiem. On jednak milczał uparcie.

Mimo że nic nie mówił, dziękowała Bogu za jego obecność przy niej. Dobrze było mieć przy. swoim boku mężczyznę, opierać się o niego, wyczuwać twarde mięśnie ramion i wiedzieć, że osłania ją przed niezliczonymi niebezpieczeństwami, choć siedzi spokojnie i patrzy w milczeniu przed siebie.

— Rett — wyszeptała chwytając go za ramię — co bym ja poczęła bez pana? Jestem szczęśliwa, że pan nie poszedł do wojska!

Odwrócił głowę i rzucił na nią takie spojrzenie, że opuściła rękę i odsunęła się od niego. W oczach jego nie było już szyderstwa. Były teraz nagie — malował się w nich ból i dziwne jakieś zmieszanie. Zagryzł wargi i odwrócił głowę. Przez długą chwilę jechali znowu w milczeniu, przerywanym tylko słabym kwileniem dziecka i sapaniem Prissy. Nie mogąc dłużej znieść tego odgłosu, Scarlett odwróciła się i złośliwie uszczypnęła Murzynkę, tak że dziewczyna krzyknęła głośno, a potem zapadła w przerażone milczenie.

Wreszcie Rett skręcił konia pod kątem prostym; po chwili znaleźli się na szerszej, równiejszej drodze. Niewyraźne kontury domów rysowały się w coraz większej od siebie odległości. Po obu stronach szosy wyrosły ściany lasu.

— Jesteśmy za miastem — rzekł Rett krótko, ściągając lejce — na głównej szosie do Rough and Ready.

— Niech pan jedzie! Nie zatrzymujmy się.

— Koń musi wytchnąć chwilę. — Potem odwrócił się ku niej i zapytał z namysłem- — Scarlett, czy w dalszym ciągu zamierza pani zrobić to szaleństwo?

— Jakie szaleństwo?

— Czy jeszcze ciągle chce się pani przedostać do Tary? To przecież samobójstwo. Kawaleria generała Lee i armia jankeska dzielą panią od niej.

Och, dobry Boże! Czyżby nie chciał jej zabrać do domu, teraz, po wszystkim, co przecierpiała w tym strasznym dniu?

— Ależ tak! Tak! Chcę do domu! Błagam pana, niech się pan pośpieszy. Koń nie jest jeszcze zmęczony.

— Chwileczkę, z łaski swojej. Tą drogą nie może pani dojechać do Jonesboro. Nie może pani jechać równolegle do toru kolejowego. Walki toczyły się przez cały dzień na południe od Rough and Ready. Czy zna pani inne jakieś drogi czy ścieżki, które nie przechodzą przez Rough and Ready ani przez Jonesboro?

— O, tak! — zawołała Scarlett z ulgą. — Bliżej Rough and Ready znam dróżkę, która prowadzi w bok od szosy do Jonesboro, przez całe mile. Jeździłam po niej konno z papą. Przechodzi koło majątku Maclntoshów, a to jest tylko o milę od Tary.

— Dobrze. Może wobec tego uda się pani ominąć Rough and Ready. Generał Lee był tam dziś po południu i stamtąd poprowadził odwrót. Możliwe że Jankesów jeszcze tam nie ma. Może uda się pani przedostać tak, aby ludzie generała Lee nie zabrali pani konia.

— Mnie... mnie uda się przedostać?

— Tak, pani. — Głos Retta zabrzmiał szorstko.

— Ależ Rett... Pan... Czy pan z nami nie jedzie?

— Nie. Zostawiam was tutaj.

Scarlett rozejrzała się spokojnie dokoła. Popatrzyła na sine niebo nad głowami, na ciemne drzewa po obu stronach drogi, osaczające ich jak mury więzienia, na wystraszone postacie w tyle wozu — i wreszcie na Retta. Czy on oszalał? Czy też źle go zrozumiała?

Rett uśmiechał się teraz. Dostrzegła w niejasnym świetle białe jego zęby. Dawna ironia znowu czaiła się w jego oczach.

— Zostawia nas pan? Dokąd, dokąd pan idzie?

— Z wojskiem, droga pani.

Odetchnęła z ulgą i z irytacją. Dlaczego żarty muszą go się trzymać nawet w takiej chwili? Rett idzie do wojska! Po tym, co mówił o głupcach, których zwabia do szeregów bicie w bębny i puste słowa mówców — o głupcach, którzy zabijają się nawzajem, aby mądrzy ludzie robili na tym majątki!

— Och, mogłabym pana zadusić, że tak mnie pan nastraszył!

— Ja nie żartuję, droga Scarlett. I przykro mi bardzo, że nie ocenia pani mojej odwagi właściwiej. Gdzież pani patriotyzm i miłość dla świętej naszej sprawy? Teraz nadarza się pani jedyna sposobność powiedzenia mi, abym wracał z tarczą lub na tarczy. Ale niech się pani śpieszy, bo chcę mieć czas na mowę pożegnalną, zanim ruszę w bój.

Przeciągły jego głos był pełen kpiny. Drwił z niej znowu, ale czuła, że tym razem kpi także z samego siebie. O czym on mówił? O patriotyzmie, tarczy, mowach pożegnalnych? Niemożliwe przecież, aby mówił serio. Nie do uwierzenia, że tak swobodnie mówi o zostawieniu jej na ciemnej drodze — z kobietą, która może już w tej chwili umiera, z nowo narodzonym dzieckiem, głupią czarną dziewuchą i przerażonym malcem — że chce zdać na nią ciężar przeprowadzenia ich przez całe mile pobojowisk, przez rzesze maruderów, Jankesów, przez ogień i Bóg wie co jeszcze.

Kiedyś, gdy miała sześć lat, spadła z drzewa płasko na brzuch Dokładnie przypominała sobie dotąd niemiłą chwilę, zanim znowu odzyskała oddech. Teraz, gdy patrzyła na Retta, czuła się tak samo jak wtedy. Była bez tchu, oszołomiona i zbierało jej się na mdłości.

— Rett! Pan chyba żartuje!

Chwyciła go za ramię. Czuła, że łzy przerażenia spadają jej na dłoń. Rett podniósł jej rękę do ust i lekko pocałował.

— Egoistka do końca, prawda? Myśli pani tylko o swojej cennej skórze ani trochę o walecznej Konfederacji. Niech pani pomyśli, jak nasze wojska będą zbudowane moim zjawieniem się pięć minut przed północą.

W jego głosie brzmiała złośliwa czułość.

— Och, Rett — płakała — jak pan może coś podobnego zrobić? Dlaczego mnie pan opuszcza?

— Dlaczego? — zaśmiał się serdecznie. — Maże z powodu głupiego sentymentalizmu, który kryje się w sercach nas wszystkich, południowców. Może, może dlatego, że się wstydzę? Któż to może wiedzieć?

— Wstydzi się pan? Powinien pan umrzeć że wstydu. Zostawia nas pan tutaj same, bezradne...

— Droga Scarlett! Pani nie jest bezradna. Osoba tak samolubna i energiczna jak pani nigdy nie jest bezradna. Niech Bóg ma w swojej opiece Jankesów, w których ręce pani wpadnie.

Zsiadł nagle z wozu. Ponieważ Scarlett przyglądała mu się osłupiała że zdumienia, obszedł wóz dookoła i zbliżył się do niej.

— Niech pani zsiądzie — rozkazał.

Popatrzyła na niego, nic nie mówiąc. Wyciągnął ręce, wziął ją silnie pod pachy i postawił na ziemi koło siebie. Pociągnął ją parę kroków za wóz. Czuła, jak kurz i żwir wpadają jej w pantofle i ranią stopy. Cicha, gorąca ciemność ogarnęła ją jak sen.

— Nie chcę wcale, aby mnie pani rozumiała czy przebaczyła. Nie zależy mi na tym ani trochę, bo nigdy sam sobie nie wybaczę tego idiotyzmu ani go nie zrozumiem. Zły jestem, że tyle donkiszoterii kryje się jeszcze we mnie. Ale piękny nasz kraj potrzebuje teraz każdego mężczyzny. Czy nie to mówił nasz dzielny gubernator Brown? Wszystko zresztą jedno. Idę na wojnę. — Zaśmiał się nagle swobodnym, gromkim śmiechem, który zbudził echa w ciemnym lesie.

— „Nie mógłbym cię kochać, najdroższa, tak mocno, gdybym honoru nie kochał więcej”. To stosowna cytata, prawda? Na pewno lepsza od wszystkich słów, jakie sam mógłbym wymyślić w tej chwili. Bo kocham cię, Scarlett, mimo że owej nocy na ganku nie chciałem się do tego przyznać.

Głos jego brzmiał pieszczotliwie. Dłońmi, które były ciepłe i mocne, powiódł po jej nagich ramionach. — Kocham cię, Scarlett, za to, że jesteś tak bardzo do mnie podobna... Za to, że oboje jesteśmy renegatami i egoistami. Żadne z nas nie dba o to, czy świat idzie na psy, byle nam było dobrze i przyjemnie.

W ciemności mówił coś dalej i Scarlett słyszała słowa, ale nie chwytała ich sensu. Z trudem uświadamiała sobie, że Rett zostawia ją tutaj samą, w obliczu niebezpieczeństwa Jankesów. Powtarzała sobie w myślach: „Zostawia mnie samą. Opuszcza mnie”. Ale nie budziło to w niej żadnego wzruszenia.

Rett otoczył rękoma jej stan i ramiona, poczuła twarde mięśnie jego ud przy swoim ciele; guziki marynarki gniotły jej piersi. Gorąca fala namiętności, przerażającej, ogłuszającej, ogarnęła ją teraz każąc zapomnieć o czasie, miejscu i okolicznościach. Poczuła się bezwładna jak lalka z gałganków, gorąca, słaba i bezbronna. Ramiona Retta były kojące.

— Czy nie chciałabyś zmienić zdania o tym, co ci proponowałem miesiąc temu? Nic tak nie dodaje animuszu jak niebezpieczeństwo i śmierć. Bądź dobrą patriotką, Scarlett. Pomyśl o tym, że żołnierzowi idącemu na śmierć należą się piękne wspomnienia.

Całował ją teraz i wąsy jego łechtały ją po ustach — całował ją wolno, gorącymi wargami, które tak były leniwe, jak gdyby mieli przed sobą jeszcze długą noc. Karol nigdy jej tak nie całował. Pocałunki Tarletonów czy Calvertów nigdy nie doprowadzały jej do takiego stanu, że drżała i że było jej na przemian gorąco i zimno. Rett odchylił jej ciało do tyłu; wargi jego powędrowały po jej szyi do miejsca, gdzie duża kamea zdobiła stanik. — Najdroższa moja — szeptał. — Najdroższa.

Nagle zobaczyła wóz ciemniejący na drodze i usłyszała ostry głosik Wade'a:

— Mamo! Wade się boi!

Od razu, w jednej chwili, wróciła jej przytomność. Przypomniała sobie z dreszczem to, o czym zapomniała na chwilę — że sama także się boi i że Rett opuszcza ją, że ją ten przeklęty łotr opuszcza. I mimo to ma jeszcze czoło stać tu na środku drogi i obrażać ją nikczemnymi propozycjami! Wściekłość i nienawiść wezbrała w niej znowu. Wyprostowała się i jednym ruchem wyrwała z jego objęć.

— Och, ty łotrze! — zawołała i gorączkowo zaczęła szukać gorszych jeszcze wyzwisk, jakimi Gerald obdarzał pana Lincolna, Maclntoshów lub narowiste muły, ale żadne słowa nie przychodziły jej na myśl. — Ty wstrętny, nikczemny, tchórzliwy człowieku! — A ponieważ nie mogła wymyślić nic dostatecznie obraźliwego, wyciągnęła rękę i uderzyła go po ustach z całą siłą, na jaką ją było stać. Rett cofnął się o krok i podniósł dłoń do twarzy.

— Ach — powiedział spokojnie. Nic nie mówiąc patrzyli przez chwilę na siebie w ciemności. Scarlett słyszała ciężki oddech Retta i sama dyszała ciężko, jak po długim biegu.

— Mieli rację! Wszyscy mieli rację! Nie jesteś dżentelmenem!

— Moja droga Scarlett — powiedział — jakie to nie na czasie!

Wiedziała, że kpi z niej znowu, i myśl ta dodała jej bodźca.

— Idź teraz! Idź już! Spiesz się. Nie chcę cię nigdy więcej w życiu oglądać. Mam nadzieję, że trafi cię kula armatnia i rozerwie w milion kawałków. Nie...

— Daj spokój reszcie. Rozumiem mniej więcej, co chcesz powiedzieć. Mam nadzieję, że będziesz miała wyrzuty sumienia, kiedy życie swoje złożę w ofierze na ołtarzu ojczyzny.

Słyszała, że śmieje się idąc w stronę wozu. Widziała, jak zatrzymał się. słyszała, że coś mówił, ale głos jego był teraz zmieniony, uprzejmy i pełen szacunku, jak zwykle, gdy zwracał się do Melanii.

— Pani Wilkes?

Odpowiedział mu z wnętrza wozu przerażony głos Prissy:

— O, Boże, panie kapitanie! Pani Mela zemdlała już dawno temu!

— Czy żyje? Czy oddycha?

— Tak, proszę pana, oddycha.

— Wobec tego, to lepiej dla niej. Gdyby była przytomna, nie wiem, czy zniosłaby ten ból. Opiekuj się nią dobrze, Prissy. Masz tu parę groszy. Staraj się już bardziej nie zgłupieć.

— Dobrze, p'sze pana. Dziękuję panu.

— Do widzenia, Scarlett.

Wiedziała, że odwrócił się ku niej i patrzył na nią, ale nic nie powiedziała. Dławiła ją nienawiść. Słyszała kroki jego oddalające się po żwirze drogi i przez chwilę widziała zarys jego ramion w ciemności. Potem znikł. Kroki jego przycichły. Zapadła cisza. Wróciła wolno do wozu, a kolana uginały się pod nią.

Dlaczego Rett odszedł w ciemność, w bój za sprawę dawno przegraną, w świat, który oszalał? Dlaczego poszedł on, który lubił wino i kobiety, dobre jedzenie i miękkie łóżka, cienką bieliznę i delikatną skórę, on, który nienawidził Południa i wykpiwał głupców, którzy za nie walczyli? Teraz w swoich lakierowanych butach udał się w drogę, na której panował głód, czekały go ciężkie trudy, strapienia a mógł też zostać ranny. U kresu tej drogi była śmierć. Nie powinien był iść. Był bogaty, lubił komfort i wygodę. Poszedł jednak, zostawiając ją samą pośród nocy ciemnej jak ślepota, w drodze do domu, od którego dzieliła ją armia jankeska. Teraz dopiero przyszły jej na myśli wyzwiska, jakimi chciała go obrzucić. Było jednak za późno. Oparła głowę o pochylony łeb konia i zaczęła płakać.

## ROZDZIAŁ XXIV

Jasny blask porannego słońca, przeciekający przez gałęzie drzew, zbudził Scarlett. Sztywna jeszcze od niewygodnej pozycji, w jakiej spała, nie mogła sobie przez chwilę przypomnieć, gdzie się znajduje. Słońce oślepiało ją, twarde deski wpijały jej się w ciało, na nogach zaś leżał jakiś wielki ciężar. Starając się usiąść, przekonała się, że ciężarem tym był Wade, śpiący z głową opartą o jej kolana. Nagie stopy Melanii dotykały prawie jej twarzy; pod siedzeniem wozu leżała Prissy, skulona jak czarny kot, między nią zaś a Wade'em wciśnięte było niemowlę.

Naraz uświadomiła sobie wszystko. Poderwała się do pozycji siedzącej i szybko rozejrzała dokoła. Dzięki Bogu, nie widać Jankesów! Kryjówka jej nie została w nocy odkryta! Przypomniało jej się teraz wszystko: koszmarna jazda od chwili, gdy kroki Retta ucichły na drodze, nie kończąca się noc, mroczna droga, pełna wybojów, po których wóz podskakiwał, głębokie rowy po obu jej stronach, w które zapadał; wariacka, spotęgowana strachem siła, z jaką ona i Prissy wydobywały z nich koła. Z nagłym dreszczem wspominać zaczęła, ile to razy skręcała w pola i lasy, słysząc kroki żołnierzy i nie wiedząc, czy to wrogowie, czy swoi — przypomniała sobie obawę, aby chrząknięcie, kichnięcie lub czkawka Wade'a nie zdradziły ich obecności maszerującym oddziałom.

Ach, ta ciemna droga, po której ludzie sunęli jak duchy, rozmawiając szeptem — a słychać było tylko człapanie nóg po piasku, szczękanie uprzęży, skrzyp siodeł. I, ach, ów straszny moment, gdy chory koń zaparł się, a kawaleria i lekka artyleria minęły ich w ciemności, tuż tuż, tak blisko, że wyciągnąwszy rękę można by dotknąć żołnierzy, tak blisko, że czuła zapach ich spoconych ciał!

Kiedy wreszcie zbliżyła się do Rough and Ready, dostrzegła nieliczne ogniska obozu ariergardy Steve'a Lee, oczekującej rozkazu odwrotu. Scarlett krążyła po jakimś zaoranym polu, dopóki odblask ognisk nie znikł za nią. Potem błądziła w ciemności i płakała, bo nie mogła odnaleźć wąskiej drogi polnej, którą znała tak dobrze. Kiedy ją wreszcie odnalazła, koń upadł i nie chciał się ruszyć, nie chciał nawet wstać, mimo że obie z Prissy ciągnęły go za uzdę.

Musiała go wyprząc. Wgramoliła się nieprzytomna że zmęczenia na tył wozu i wyciągnęła zbolałe nogi. Pamiętała niejasno, że zanim sen skleił jej powieki, usłyszała głos Melanii, słaby głosik, który prosił nieśmiało: — Scarlett, czy mogłabym dostać trochę wody?

Odpowiedziała: — Nie ma wody — i zasnęła, zanim słowa te przebrzmiały.

Teraz był ranek, świat był spokojny i pogodny — zielony i złoty od plam słonecznego światła. I nigdzie nie było widać żołnierzy. Scarlett była głodna, w gardle jej zaschło z pragnienia, członki miała obolałe i pokurczone i nie posiadała się że zdumienia, że ona, Scarlett O'Hara, która potrafiła spać tylko na najcieńszym płótnie i najmiększym piernacie, spędziła noc jak wyrobnica — na twardych deskach.

Oślepiona jeszcze światłem, spojrzała na Melanię i omal nie krzyknęła z przerażenia. Melania leżała bez ruchu, tak blada, jakby już nie żyła. Wyglądała jak trup. Trup starej kobiety o zniszczonej twarzy i zmierzwionych włosach. Po chwili jednak z uczuciem ulgi przekonała się, że pierś jej wznosi się i opada w takt płytkich oddechów: Melania przeżyła tę straszliwą noc.

Ocieniła dłonią oczy i rozejrzała się dokoła. Spędziły najwidoczniej noc pod drzewami czyjegoś ogrodu, bo przed sobą widziała wysypaną żwirem i piaskiem ścieżkę skręcającą w aleję cedrów.

„Ależ to jest przecież dwór Mallorych!” — pomyślała i serce jej zabiło z radości na myśl o znajomych.

Nad plantacją wisiała jednak grobowa cisza. Trawa i karłowate krzaki porozcinane były kopytami i kołami, zdeptane tysiącem stóp; ziemia była stratowana. Popatrzyła w stronę domu, ale zamiast starego budynku o białych okiennicach, który znała tak dobrze, ujrzała długi prostokąt sczerniałych fundamentów i dwa wysokie kominy z przydymionych cegieł, wystające między osmalonymi liśćmi drzew.

Westchnęła z drżeniem. Czy i Tarę znajdzie zrównaną z ziemią, pogrążoną w śmiertelnej ciszy?

— Nie mogę teraz o tym myśleć — rzekła spiesznie do siebie. — Nie mogę sobie pozwolić na takie myśli. Znowu zacznę się bać, gdy będę o tym myślała. — Ale mimo woli serce jej zaczęło walić, a każde jego uderzenie zdawało się mówić: — Do domu! Prędko! Do domu! Prędko!

Powinna ruszyć natychmiast. Przede wszystkim jednak trzeba się postarać o jedzenie i wodę, głównie o wodę. Mocnym szturchnięciem zbudziła Prissy. Dziewczyna zaczęła wywracać oczyma, rozglądając się dokoła.

— O Boże, Miss Scarlett, myślałam już, że się zbudzę w Ziemi Obiecanej!

— Jeszcze jesteś stamtąd daleko — rzekła Scarlett przygładzając sobie włosy. Twarz miała wilgotną, a ciało już znowu pokryte potem. Czuła się brudna, niechlujna i lepka, wydawało jej się, że śmierdzi. Suknie miała zmięte i wygniecione, ponieważ w nich spała. Nigdy dotąd, w całym swoim życiu, nie czuła się bardziej zmęczona i zbolała. Mięśnie, o których istnieniu w ogóle nie wiedziała, bolały ją od wysiłków poprzedniej nocy, a każdy ruch sprawiał ostry ból.

Znowu spojrzała na Melanię. Mela miała teraz oczy otwarte szeroko. Były to oczy osoby chorej, rozszerzone gorączką, podkrążone i podsiniałe. Spękane jej wargi rozchyliły się i wyszeptała błagalnie: — Wody...

— Wstawaj, Prissy! — rozkazała Scarlett. — Pójdziemy do studni i napompujemy wody.

— Ależ proszę pani! A może tam są upiory? Może tam leży jakiś trup?

— Ja i z ciebie zrobię upiora, jeżeli w tej chwili nie zejdziesz z wozu — rzekła Scarlett, z trudem gramoląc się na ziemię.

Wtedy dopiero przypomniała sobie konia. Na miłość boską! Co pocznie, jeżeli zdechł w nocy! Był ledwie żywy, kiedy go wyprzęgła. Obiegła wóz dookoła i zobaczyła go: leżał na boku. Jeżeli zdechł już, przeklnie Boga i sama będzie musiała umrzeć. Ktoś w Biblii tak właśnie zrobił. Przeklął Boga i umarł. Wyobrażała sobie dokładnie, co ten człowiek wtedy czuł. Koń jednak żył — oddychał z trudem, miał na wpół przymknięte oczy, ale żył. Woda przyda się także i jemu.

Prissy niechętnie, bardzo postękując, zlazła z wozu i ociągając się poszła za Scarlett aleją. Za ruinami domu rząd bielonych chat murzyńskich stał pod drzewami milczący i opuszczony. Między chatami a domem była studnia; pod daszkiem wisiało wiadro nisko nad wodą. Wyciągnęły je wspólnymi siłami, a kiedy zimna, lśniąca woda wynurzyła się z ciemnej głębi, Scarlett nachyliła kubeł ku sobie i zaczęła pić głośno i łakomie.

Piła długo, rozlewając wodę, aż rozżalone słowa Prissy: — Ale mnie się też chce pić. Miss Scarlett — przypomniały jej o istnieniu innych.

— Odwiąż węzeł, zanieś wiadro do wozu i daj się napić wszystkim. Resztą napój konia. Czy pani Melania nie powinna by nakarmić dziecka? Mały gotów umrzeć z głodu.

— Kiedy, na Boga, Miss Scarlett, pani Mela nie ma pokarmu, i nie będzie miała.

— Skąd wiesz?

— A bo ja dużo takich kobiet widziałam.

— Nie zaczynaj mi się tylko znowu przechwalać. Wczoraj bardzo niewiele wiedziałaś o rodzeniu dzieci. Spiesz się teraz. Ja poszukam czegoś do jedzenia.

Poszukiwania Scarlett okazały się płonne — dopiero w sadzie znalazła kilka jabłek. Żołnierze jednak i tutaj byli, bo drzewa były ogołocone. Jabłka, które zbierała z ziemi, były przeważnie nadpsute. Wybrała jednak co najlepsze, napełniła nimi spódnicę i poszła po miękkiej ziemi w stronę wozu. Żwir wpadał jej w pantofle. Dlaczego nie pomyślała poprzedniego wieczora o włożeniu grubszych trzewików? Dlaczego nie wzięła kapelusza o większym rondzie? Dlaczego nie zabrała nic do jedzenia? Postąpiła jak szalona. Myślała jednak, że Rett się lepiej nią zaopiekuje.

Rett! Splunęła z obrzydzeniem na samą myśl o nim. Jakże go nienawidziła! Jak podle się zachował! A ona jeszcze stała z nim na środku drogi i pozwalała mu się całować — i było jej to miłe! Szalona! Rett był godzien pogardy!

Wróciwszy do wozu dała wszystkim po jabłku, a resztę rzuciła na dno. Koń wstał już teraz, ale nie zdawało się, aby go woda bardzo orzeźwiła. W świetle dziennym wyglądał jeszcze żałośniej niż wieczorem. Boki miał zapadnięte jak stara krowa, żebra rysowały mu się tuż pod skórą, a grzbiet stanowił jedną wielką ranę. Scarlett starała się go nie dotykać, gdy zakładała mu uprząż. Wsuwając mu wędzidła do pyska, zauważyła, że prawie nie ma zębów. Był stary jak świat! Skoro Rett już ukradł konia, dlaczego nie wybrał lepszego?

Wsiadła na kozioł i lekko smagnęła konia gałęzią po grzbiecie. Zacharczał i ruszył naprzód, biegł jednak tak wolno, gdy skierowała go na szosę, że pieszo przestrzeń tę przemierzyłaby znacznie prędzej i bez żadnego wysiłku. Och, gdybyż nie miała że sobą Melanii, Wade'a, noworodka i Prissy! Jak szybko poszłaby do domu! Pobiegłaby nawet, pobiegła bez zatrzymywania się, po tej drodze, która prowadziła już wprost do Tary, do matki!

Znajdowali się nie więcej niż o piętnaście mil od domu, ale przy tempie tej starej chabety droga mogła im zająć cały dzień, bo należało często przystawać, aby koń mógł wypocząć. Cały dzień! Scarlett popatrzyła na czerwony gościniec, pocięty w głębokie rowy od kół armatnich i ciężkich furgonów. Godziny upłyną, zanim dowie się, czy dom w Tarze stoi jeszcze na miejscu i czy Ellen jest w domu. Godziny miną, zanim dobiegnie kresu ta podróż pod palącym, wrześniowym słońcem.

Obejrzała się na Melanię, która znowu leżała z przymkniętymi oczyma, odwiązała wstążki swego czepka i podała go Prissy.

— Nakryj tym twarz pani Meli, żeby słońce jej tak nie świeciło w oczy. — Potem, gdy słońce zaczęło ją palić w głowę, pomyślała: „Przed końcem dnia będę piegowata jak perliczka”.

Nigdy w życiu nie była dotąd na słońcu bez kapelusza czy woalki, nigdy nie powoziła bez rękawiczek, które by chroniły białą skórę jej miękkich dłoni. A teraz wystawiona na słońce siedziała na koźle połamanego wozu, brudna, spocona, głodna, nic nie mogąca innego przedsięwziąć, jak wlec się żółwim krokiem po opustoszałej okolicy. A jeszcze niewiele tygodni temu była tak bezpieczna! Tak niedawno temu i ona, i wszyscy jej bliscy wierzyli, że Atlanta nigdy nie skapituluje, że Georgia nigdy nie zostanie zdobyta! Z małej jednak chmurki, która przed czterema miesiącami ukazała się na północnym zachodzie, wyrosła wielka burza, potem grzmiący huragan, który zmiótł cały jej świat, wyrwał ją z bezpiecznego życia i pozostawił samą pośród tego strasznego, upiornego zniszczenia.

Czy Tara jeszcze istnieje? Czy też przeminęła z wiatrem, który hulał po Georgii?

Zdzieliła batem zmęczonego konia i poganiała go bezlitośnie, a chybotliwe koła wozu rzucały ich pijanie z lewa na prawo.

W powietrzu czuć było śmierć: W promieniach popołudniowego słońca znajome pola i gaje stały zielone i ciche — ciche tak nieziemsko, że przerażenie ściskało serce Scarlett. Każdy pusty, rozdarty pociskami dom, który mijali, każdy wysoki sterczący komin nad osmalonymi dymem ruinami, zwiększał tylko jej niepokój. Od poprzedniego wieczora nie spotkali ani żywej duszy. Owszem — trupy ludzi, koni i mułów, leżące przy drodze, spuchnięte, pokryte muchami, ale ani żywego stworzenia. Nie słychać było dalekiego poryku bydła ani śpiewu ptaków, ani szumu drzew. Tylko zmęczone człapanie kopyt konia i słabiutki płacz dziecka Melanii przerywały milczenie.

Okolica tak wyglądała, jak gdyby zaciążył nad nią zły czar. „Albo gorzej jeszcze — myślała Scarlett z lękiem — jak dobrze znana i droga twarz matki, piękna i wreszcie spokojna po przedśmiertelnych cierpieniach”'. Wydawało jej się, że znajome lasy pełne są duchów. Tysiące ludzi poległo w walkach pod Jonesboro. Leżeli tu jeszcze w tych lasach, gdzie popołudniowe słońce ukośnie i niepokojąco przeświecało między nieruchomymi liśćmi — swoi i wrogowie — i patrzyli na nią i na jej chybotliwy wóz oczyma przesłoniętymi krwią i czerwonym pyłem, szklanymi, strasznymi oczyma.

— Mamo! Mamo! — wyszeptała. Gdybyż wreszcie mogła zobaczyć Ellen! Gdybyż tylko, z łaski Nieba, Tara stała jeszcze na miejscu, gdybyż mogła zajechać przed dom długą aleją cedrową, wejść do pokojów, zobaczyć miłą, słodką twarz matki, poczuć raz jeszcze dotknięcie jej miękkich, kształtnych dłoni, które umiały odpędzać strachy — chwycić się jej sukni, i ukryć twarz w fałdach! Matka wiedziałaby, co zrobić. Nie dopuściłaby do śmierci Melanii i jej dziecka. Przegnałaby precz wszelkie upiory lęki spokojnym swoim: „No, cicho już, cicho!” Ale matka była chora, może umierająca.

Scarlett zaczęła znów siec batem wynędzniałe boki konia. Trzeba się śpieszyć! Wlekli się po tej drodze bez końca przez cały długi, upalny dzień. Wkrótce zapadnie noc i zostaną sami pośród zniszczenia, które czuć było śmiercią. Szarpnęła mocniej lejce i znowu uderzyła konia, a zbolałe ramiona aż paliły ją od wysiłku.

Gdybyż tylko udało jej się dotrzeć do dobrych objęć Tary i Ellen i złożyć tam brzemię zbyt wielkie jak na jej młode barki — umierającą kobietę, zgłodniałe niemowlę, małego synka, przerażoną Murzynkę, którzy od niej oczekiwali siły i decyzji, z jej naprężonych pleców czerpali odwagę, której sama nie miała, i siłę, którą dawno straciła.

Wymęczony koń nie reagował ani na razy bata, ani na szarpanie lejc, tylko wlókł się wolno, potykając się o kamienie i tak się przy tym chwiejąc, jak gdyby gotów był paść. Mimo to o zmroku rozpoczęli ostatni etap długiej podróży. Minąwszy ostatni zakręt polnej drogi, wjechali na gościniec. Do Tary została jeszcze tylko mila!

Z cienia wyłonił się zarys żywopłotu z bzów włoskich, które znaczyły granicę majątku Maclntoshów. Scarlett wstrzymała konia naprzeciw alei dębowej, prowadzącej od drogi do domu starego Angusa. W gęstniejącym mroku popatrzyła w aleję. Nie było widać ani światełka. Dwór i chaty murzyńskie były ciemne. Wytężając wzrok ujrzała widok, z którym zdążyła się już zżyć w ciągu tego strasznego dnia — dwa wysokie kominy, jak olbrzymie nagrobki nad ruinami dwóch pięter, i porozwalane, ciemne okna, jak ślepe oczy.

— Hola! — zawołała z całych sił. — Hola!

Prissy szarpnęła ją w szalonym przerażeniu. Scarlett odwracając się spostrzegła, że dziewczyna nieprzytomnie wywraca oczyma.

— Niech pani nie woła, Miss Scarlett! Niech pani przestanie! — szepnęła drżącym głosem. — Nie wiadomo, co odpowie!

„Boże drogi! — pomyślała Scarlett z dreszczem. — Boże drogi! Ona ma rację. Nie wiadomo, co może się tu zjawić”.

Trzepnęła konia lejcami i pognała go naprzód. Widok domu Maclntoshów ugasił w niej ostatnią iskierkę nadziei. Dom był spalony, w ruinie, pusty, jak wszystkie dwory na plantacjach, które tego dnia minęli. Tara była o pól mili stąd, stała przy tej samej szosie, na szlaku armii. Tara także zatem zrównana została z ziemią. Zastanie tylko sczerniałe cegły, zobaczy gwiazdy świecące przez dziurawy dach, nie będzie Ellen ani Geralda, ani dziewcząt, Mammy ani Murzynów — tylko ta straszna cisza, wszystko ogarniająca.

Po cóż wbrew zdrowemu rozsądkowi puściła się w tę szaloną drogę, po cóż wlokła z sobą Melanię i jej dziecko? Lepiej byłoby, gdyby umarli w Atlancie, niżby po torturach tego dnia upału i podróży w wywrotnym wozie mieli umierać na cichych ruinach Tary!

Ale Ashley zostawił Melanię pod jej opieką. „Opiekuj się nią, Scarlett” — powiedział. Och, jaki piękny był ten smutny dzień, kiedy pocałował ją na pożegnanie, zanim opuścił ją na zawsze! „Będziesz się nią opiekowała, prawda? Przyrzeknij mi!” I Scarlett przyrzekła. Po cóż związała się taką obietnicą, obowiązującą podwójnie, ponieważ Ashleya nie było już na świecie! Nawet teraz, w ostatecznym wyczerpaniu, nienawidziła Melanii, nienawidziła cichutkiego kwilenia jej dziecka, które coraz cichsze i cichsze przerywało ciszę. Przyrzekła jednak, teraz więc należeli do niej, tak samo jak Wade i Prissy, i musiała walczyć o nich i ratować ich, póki starczy jej sił czy tchu. Mogła była zostawić ich w Atlancie, zawieźć Melanię do szpitala i opuścić. Ale gdyby to zrobiła, nie mogłaby nigdy spojrzeć w oczy Ashleyowi ani na tym świecie, ani w zaświatach, nie potrafiłaby mu powiedzieć, że dopuściła, aby żona jego i dziecko umarli między obcymi.

Ach, Ashley! Gdzież on był teraz, gdy ona mozoliła się po tej upiornej drodze z żoną jego i dzieckiem? Czy żył? Czy myślał o niej za kratami Rock Island? Czy też umarł na ospę wiele miesięcy temu i gnił teraz we wspólnym grobie z setkami innych konfederatów?

Scarlett wystraszyła się okropnie, gdy w zaroślach koło siebie usłyszała niespodziewany szmer. Prissy głośno krzyknęła i rzuciła się na spód wozu. Melania poruszyła się z wysiłkiem i ręką poszukała dziecka, a Wade zakrył oczy i przycupnął na miejscu, zbyt przerażony, by płakać. W krzakach zatrzeszczało coś pod ciężarom kopyt i uszu ich doszedł niski, przeciągły ryk.

— To tylko krowa — rzekła Scarlett głosem zachrypłym z przerażenia. — Uspokój się, Prissy. Przygniotłaś dziecko i nastraszyłaś panią Melę i Wade'a.

— To duch — jęczała Prissy wiercąc się na dnie wozu i nie podnosząc głowy.

Odwracając się z namysłem Scarlett podniosła gałąź, która jej służyła za bat i uderzyła nią Prissy po plecach. Była zbyt wyczerpana, zbyt wystraszona, aby tolerować czyjąkolwiek słabość.

— Usiądź, idiotko — powiedziała — bo złamię ten kij na tobie.

Prissy jęcząc podniosła głowę i patrząc ostrożnie w bok przekonała się na własne oczy, że rzeczywiście z krzaków wynurzyła się krowa, brązowo-białe bydlę, które błagalnie patrzyło dużymi wylęknionymi oczyma. Krowa otworzyła pysk i znowu zamuczała jakby z bólu.

— Może jest ranna? Ryczy jakoś dziwnie.

— Pewnie ma pełne wymiona i trzeba by ją może wydoić — rzekła Prissy opanowując się trochę. — To jedna z krów pana Maclntosha, które Murzyni zagnali do lasu. Jankesi jej chyba nie spostrzegli.

— Zabierzemy ją z sobą — szybko postanowiła Scarlett. — Będziemy miały mleko dla dziecka.

— Jak mamy zabrać krowę, Miss Scarlett? Nie możemy jej zabrać. Po co nam krowa, tym bardziej ta, dawno nie dojona. Ma wymiona tak pełne, że ledwie nie pękną. Dlatego ryczy.

— Wobec tego, że znasz się na tym tak dobrze, zdejm halkę, podrzyj ją na pasy i przywiąż krowę do tyłu wozu.

— Miss Scarlett, pani wie, że nie mam od miesiąca ani jednej halki, a gdybym nawet miała, to bym jej także nie podarła. Nigdy nie miałam do czynienia z krowami. Boję się krów.

Scarlett odłożyła lejce i podniosła spódnicę. Obrzeżona koronką halka była ostatnią ładną i całą sztuką ubrania, jaką miała. Odwiązała tasiemkę w talii i zdjęła halkę mnąc w palcach cienkie płótno. Rett przywiózł jej materiał i koronkę z Nassau, ostatnim transportem, który przemycił przez blokadę. Sama szyła ją przez tydzień. Teraz wzięła ją za obręb i szarpnęła, potem włożyła między zęby i gryzła, aż materiał poddał się i rozdarł przez całą długość. Szarpała wściekle, darła obiema rękami, aż wreszcie pasy płótna znalazły się w jej rękach. Powiązała końce ich w supły palcami, które pokryte bąblami krwawiły teraz i trzęsły się że zmęczenia.

— Załóż jej to na rogi — rozkazała. Prissy nie ruszyła się z miejsca.

— Ja się boję krów, Miss Scarlett. Nigdy nie miałam nic do czynienia z krowami. Nie jestem żadną Murzynką z pola. Jestem od pokojów.

— Przede wszystkim jesteś głupią Murzynką i kupując ciebie mój ojciec zrobił kapitalne głupstwo — rzekła Scarlett powoli, zbyt zmęczona, aby się złościć. — A jak tylko będę mogła lepiej ruszyć ręką, tak cię spiorę batem, że popamiętasz.

Prissy rozpaczliwie wywracała oczyma, patrząc na przemian to na stanowczą twarz swojej pani, to na krowę, która nie przestawała ryczeć żałośnie. Scarlett wydała jej się stosunkowo mniej groźna, wobec tego chwyciła się kurczowo wozu i została na swoim miejscu.

Powoli, sztywno, Scarlett zsunęła się z kozła. Każdy ruch sprawiał jej niewymowne cierpienie. Nie tylko Prissy bała się krów. Scarlett także zawsze się ich bała, nawet najłagodniejsza krowa wydawała jej się groźna, teraz jednak miała tyle problemów do rozwiązania, że nie było czasu na zajmowanie się takimi drobiazgami. Na szczęście krowa była bardzo łagodna. W bólu swoim szukała tylko ludzkiego towarzystwa i pomocy i zachowywała się spokojnie, gdy Scarlett zarzuciła jej na rogi pętlę z jednego końca podartej halki. Drugi koniec przywiązała do tyłu wozu. Gdy zaczęła już zawracać w stronę kozła, ogarnęło ją tak wielkie zmęczenie, że zakręciło jej się w głowie. Musiała się oprzeć o wóz, aby nie upaść.

Melania otworzyła oczy i widząc Scarlett pochyloną nad sobą, wyszeptała: — Kochanie, czy jesteśmy już w domu?

W domu! Na dźwięk tego słowa gorące łzy napłynęły Scarlett do oczu. Dom. Melania nie wiedziała, że domu już nie ma i że są same w szalonym, opustoszałym świecie.

— Jeszcze nie — powiedziała siląc się na spokój — ale niedługo już zajedziemy. Przybłąkała się do nas krowa, będziemy więc miały mleko dla ciebie i dla dziecka.

— Biedne maleństwo — szepnęła Melania starając się bezskutecznie dotknąć dziecka bezwładną ręką.

Wdrapanie się z powrotem na kozioł pochłonęło wszystkie siły Scarlett, ale wreszcie i tego dokonała i znowu wzięła lejce do rąk. Koń stał z głową nisko zwieszoną i nie chciał ruszyć. Scarlett zaczęła go bezlitośnie okładać batem. Prosiła Boga, aby jej wybaczył bicie chorego zwierzęcia. Jeżeli Bóg nie zechce, to trudno. Do Tary było już niedaleko i po przebyciu jeszcze ćwierci mili koń mógł sobie nawet paść przy drodze, jeżeli mu się tak podobało.

Wreszcie ruszyli powoli. Wóz zaskrzypiał, a krowa żałośnie muczała za każdym krokiem. Głos zbolałego bydlęcia tak szarpał nerwy Scarlett, że miała ochotę zatrzymać wóz i odwiązać krowę. Na co im ona, kiedy i tak nikogo nie zastaną w Tarze! Nie umiała jej nawet wydoić, a gdyby nawet wiedziała, jak się do tego zabrać, krowa skopałaby prawdopodobnie każdego, kto by dotknął jej bolących wymion. Skoro jednak krowa już była, rozsądniej było ją zatrzymać. Bardzo niewiele poza nią miała teraz w majątku.

Oczy Scarlett zaszły mgłą wzruszenia, gdy wreszcie dojechali do małej kotlinki: za następnym pagórkiem leżała już Tara! Nagle zmartwiała. Koń nie zdoła ich podciągnąć na wzgórze. Wzniesienie wydawało jej się bardzo łagodne, bardzo nieznaczne, gdy brała je galopem na swej szybkiej jak strzała klaczy. Niemożliwe, aby stało się tak strome od czasu, gdy była tu ostatnio! Koń w żaden sposób nie wyciągnie na szczyt pagórka ciężko naładowanego wozu.

Zsiadła niezgrabnie i wzięła zwierzę za uzdę.

— Wysiądź, Prissy — rozkazała — i weź Wade'a. Weź go na ręce albo poprowadź koło siebie. Dziecko ułóż przy pani Meli.

Wade wybuchnął płaczem i szlochaniem i mówił coś, z czego Scarlett zrozumiała tylko: — Ciemno... ciemno... Wade boi się!

— Miss Scarlett, ja nie mogę chodzić. Mam spuchnięte nogi, nie mogę włożyć butów, i zresztą Wade i ja tak dużo nie ważymy i...

— Wyłaź wreszcie! Wyłaź, bo cię ściągnę siłą! A potem zostawię cię samą w ciemności. Spiesz się teraz!

Prissy zaskrzeczała i ukradkiem popatrzyła na ciemne drzewa, które stały po obu stronach drogi. Mogły wyciągnąć do niej gałęzie i porwać ją w nieznane, gdyby opuściła swoje schronienie w wozie. Położyła jednak dziecko obok Melanii, wygramoliła się na ziemię, po czym wyjęła Wade'a z wozu. Chłopczyk szlochał tuląc się do niej rozpaczliwie.

— Uspokój go. Nie mogę tego znieść — rzekła Scarlett biorąc konia za uzdę i mimo oporu ciągnąc go za sobą. — Bądź mężczyzną, Wade, przestań płakać, bo dam ci klapsa.

„Po co Bóg wymyślił dzieci — pomyślała z pasją, ponieważ właśnie wykręciła sobie nogę w kostce na ciemnej drodze — bezużyteczne, płaczące stworzenia, zawsze wymagające opieki, zawsze ludziom zawadzające”. W zmęczeniu swoim nie miała już sił na współczucie dla wystraszonego dziecka, które dreptało obok Prissy, trzymało się kurczowo jej ręki i pociągało nosem. Czuła tylko złość, że go urodziła, tylko zdziwienie, że w ogóle poślubiła Karola Hamiltona.

— Miss Scarlett — szepnęła Prissy łapiąc się ramienia Scarlett — nie jedźmy do Tary. Nie ma ich tam. Wszyscy uciekli. Może już nie żyją... i mama moja, i oni wszyscy.

To echo własnych myśli tak rozwścieczyło Scarlett, że strząsnęła gwałtownie czepiające się jej palce.

— Daj mi wobec tego rączkę Wade'a. Ty możesz siąść sobie i zostać tutaj.

— Nie! Nie! Nie!

— No, to bądź wreszcie cicho!

Jak wolno wlokła się ta szkapa! Ślina z wilgotnego pyska konia ściekała jej na rękę. Przez głowę przeleciała jej melodia pierwszych taktów pieśni, którą niegdyś śpiewała z Rettem — reszty nie mogła sobie przypomnieć:

*Jeszcze tylko kilka dni dźwigać będę ciężkie brzemię...*

„Jeszcze tylko kilka kroków — powtarzała sobie w duchu raz po raz — jeszcze tylko kilka kroków dźwigać będę ciężkie brzemię”.

Wreszcie dotarli do szczytu wzgórza. Przed sobą widzieli już dęby Tary — ciemną, wysoką masę drzew na tle mrocznego nieba. Scarlett rozejrzała się na wszystkie strony, czy nie zobaczy jakiegoś światła. Nie było nic widać.

„Nie ma ich! — pomyślała i serce jej zawisło w piersi jak ołowiany ciężar. — Nie ma!”

Skierowała konia w stronę podjazdu; cedry, łączące się nad ich głowami, pogrążyły ich w nieprzeniknionej czarności. Patrząc w długi, ciemny tunel i wytężając wzrok zobaczyła przed sobą — czy zobaczyła? czy też zmęczone oczy spłatały jej figla? — białe mury Tary, zamazane i niewyraźne. Dom! Dom! Najdroższe, biało mury, okna z powiewającymi firankami, szerokie werandy — czy rzeczywiście widziała je przed sobą w mroku? Czy też ciemność łaskawie zakryła przed nią widok równie straszny jak ruiny domu Maclntoshów?

Aleja cedrowa zdawała się nigdy nie kończyć, a koń, uparcie dając się ciągnąć, szedł coraz wolniej. Oczy Scarlett znowu wybiegły w ciemność. Dach wydawał się nietknięty. Czy to możliwe, czy to możliwe? Nie, to nieprawdopodobne. Wojny nie mogło powstrzymać nic, nawet mury tak mocne jak mury Tary, zbudowane, by przetrwać pięćset lat. Wojna nie mogła ominąć Tary...

Niejasny zarys nabierał kształtu. Scarlett pociągnęła konia szybciej za sobą. Białe ściany naprawdę majaczyły w ciemności. Tara ocalała! Dom! Rzuciła uzdę i przebiegła szybko parę ostatnich kroków, wyrwała się naprzód chcąc się przytulić do ścian. Nagle zobaczyła majaczący w mroku jakiś cień, który wynurzył się z czarnej, frontowej werandy i stanął u szczytu schodków. Tara nie było opuszczona. Ktoś był w domu!

Chciała wydać okrzyk radości, ale głos uwiązł jej w gardle. Dom był tak ciemny i pusty. Postać nie poruszyła się wcale i o nic nie pytała. Co się tu stało? Co się stało? Tara stała nietknięta, a przecież okryta całunem tej samej przeraźliwej ciszy, która wisiała nad nieszczęsną okolicą. Postać poruszyła się wreszcie. Sztywno i powoli zaczęła schodzić że schodów.

— Papa? — zapytała Scarlett ochryple, niepewna, czy to naprawdę Gerald. — To ja, Scarlett. Wróciłam do domu.

Gerald skierował się w jej stronę, milczący jak lunatyk, wlokąc za sobą sztywną nogę. Zbliżył się do niej i przyglądał z osłupieniem, jak gdyby uważał ją za marę senną. Wyciągnął dłoń i położył ją na jej ramieniu. Scarlett poczuła, że ręka ta drży. Ojciec zbudził się teraz z koszmarnego snu do stanu półświadomości.

— Córko — powiedział z wysiłkiem. — Córko!

Po czym znowu zamilkł.

,,Boże! Przecież to zupełny starzec!” — pomyślała Scarlett.

Ramiona Geralda zwisały bezradnie. Na twarzy, rysującej się przed nią niewyraźnie, nie było już śladów męskiej siły i niespożytej żywotności; patrzące na nią oczy Geralda miały ten sam prawie przerażony wyraz, co oczy małego Wade'a. Gerald był teraz małym, złamanym staruszkiem.

Scarlett, ogarnięta lękiem przed nieznanym, które zdawało się wyłazić z ciemności, stała teraz jak skamieniała. Patrzyła na ojca, a wszystkie pytania zamarły jej na wargach.

Z wozu rozległ się cichy płacz niemowlęcia. Gerald zdawał się z wysiłkiem budzić z osłupienia.

— To Melania i jej dziecko — szepnęła Scarlett szybko. — Jest bardzo chora, przywiozłam ją do domu.

Gerald zdjął rękę z ramienia Scarlett i wyprostował się. Idąc wolno w stronę wozu przypominał trochę dawnego dziedzica Tary, śpieszącego na powitanie gości. Powtórzył zapamiętane z dawnych czasów słowa:

— Kuzynko Melanio!

Melania odpowiedziała coś niewyraźnie.

— Kuzynko Melanio, Tara jest odtąd pani domem. Dwanaście Dębów spłonęło. Niech pani zamieszka z nami.

Myśl o cierpieniach Melanii przywróciła Scarlett siły. Przypomniała sobie, że jak najprędzej należy ułożyć Melanię i dziecko na miękkim łóżku i zrobić koło niej to wszystko, co można w danych warunkach zrobić.

— Trzeba ją będzie zanieść. Nie może chodzić.

Rozległ się tupot nóg i jakaś ciemna postać wynurzyła się z frontowych drzwi. Pork zbiegł po schodach.

— Panienka Scarlett! Panienka Scarlett! — wołał.

Scarlett chwyciła go mocno za ramiona. Pork, nieodłączna cząstka Tary, drogi jej sercu jak mury domu i chłodne korytarze! Czuła, jak łzy jego spadają jej na ręce, kiedy dotykał jej nieśmiało, mówiąc: — Tak się cieszę, że panienka przyjechała! Tak się...

Prissy wybuchnęła płaczem i powtarzała bezładnie: — Pork, Pork, kochany! — A mały Wade, ośmielony oznakami słabości starszych, popłakiwał: — Wade chce pić!

Scarlett musiała zapanować nad sytuacją.

— W wozie leży pani Melania z malutkim dzieckiem. Pork, musisz ją zanieść na górę bardzo ostrożnie i ułożyć w tylnym pokoju gościnnym. Prissy, weź dziecko i Wade'a do domu i daj Wade'owi trochę wody. Pork, czy jest gdzieś w pobliżu Mammy? Powiedz jej, że mi jest potrzebna.

Pobudzony rozkazującym tonem Scarlett, Pork zbliżył się do wozu i zaczął grzebać w głębi. Jęk wyrwał się z ust Melanii, kiedy na wpół ją podniósł, na wpół wyciągnął z posłania, na którym leżała tyle godzin. Wreszcie jednak znalazła się w mocnych objęciach Murzyna i głowa jej zwisła bezwładnie na jego ramieniu. Prissy, z niemowlęciem na ręku, ciągnąc za sobą Wade'a, poszła za Porkiem po szerokich schodkach i po chwili znikła w ciemnym hallu.

Scarlett niecierpliwie objęła dłoń ojca pokrwawionymi palcami.

— Czy już wyzdrowiały, tatusiu?

— Dziewczęta miewają się lepiej.

Zapadło milczenie. W nagłej ciszy zaświtała Scarlett myśl, zbyt straszna, aby dała ująć się w słowa. Nie mogła, w żaden sposób nie mogła wypowiedzieć tego pytania. Przełykała raz po raz ślinę, a krtań miała tak suchą, że nie mogła mówić. Czy to było odpowiedzią na przerażającą zagadkę milczenia Tary? Wyczuwając jej nieme pytanie, Gerald przemówił:

— Matka twoja... — powiedział i urwał.

— A... mama?

— Matka twoja umarła wczoraj.

Trzymając ojca mocno pod rękę, Scarlett poprowadziła go do dużego hallu. Wyminęła w ciemności krzesła o wysokich oparciach, pusty postument do dubeltówek, stary kredens o nogach w kształcie pazurów i wiedziona instynktem skierowała się do małego kantorku na tyłach domu, gdzie Ellen zawsze ślęczała nad nie kończącymi się rachunkami. Wchodząc do tego pokoju z pewnością zastanie matkę przy biurku. Ellen podniesie głowę znad ksiąg, odłoży pióro i z szumem spódnic wstanie, aby powitać zmęczoną córkę. Ellen z pewnością nie umarła, mimo że ojciec tak mówił, mimo że powtarzał jak papuga, która umie tylko jedno zdanie: — Umarła wczoraj, umarła wczoraj, umarła wczoraj.

Dziwne, że nic nie czuła poza zmęczeniem, które pętało jej nogi jak uścisk żelaznych łańcuchów, i głodem, od którego trzęsły się jej kolana. O mamie pomyśli później. Teraz musi myśl o niej wyrzucić z głowy, bo gotowa zacząć dreptać bezmyślnie jak Gerald albo szlochać monotonnie jak Wade.

Pork zszedł po ciemnych schodach i spiesznie przypadł do Scarlett, cisnąc się do niej jak zmarznięte zwierzę do ognia.

— A światło? — zapytała. — Pork, dlaczego w domu tak ciemno? Przynieś świece.

— Oni zabrali wszystkie świece, Miss Scarlett, tylko jedna jest, której używaliśmy do ważnych rzeczy, a ta już prawie wypalona. Mammy, kiedy dogląda panienek, pali zamiast świecy szmatę umoczoną w świńskim tłuszczu.

— Przynieś tę resztę świecy — rozkazała. — Przynieś ją tu do mamy poko... do kantorku.

Park podreptał do jadalni, Scarlett zaś poszła po omacku do ciemnego pokoiku i opadła na kanapę. Gerald ciągle trzymał ją jeszcze pod rękę, bezradnie, wymownie, ufnie, jak ufne są tylko małe dzieci i starcy.

„To starzec, stary zmęczony człowiek” — pomyślała Scarlett znowu i zastanowiła się przez mgnienie oka, dlaczego wcale jej to nie obchodzi.

Płomień światła zachybotał w pokoju, gdy wszedł Pork, niosąc na wpół wypaloną świecę, przylepioną do podstawki. Ciemna jaskinia odżyła. Zarysowała się stara, wysiedziana kanapa, wysoki sekretarzyk, zdający się sięgać sufitu, rzeźbione, wysokie krzesło matki przed nim, półka na ścianie, pełna jeszcze papierów zapisanych pismem Ellen, zniszczony dywan — wszystko, wszystko takie samo, tylko że nie było Ellen, Ellen pachnącej werbeną, Ellen o słodkim spojrzeniu skośnych oczu. Scarlett poczuła lekki ból w sercu, jak gdyby splot nerwów przecięty ostrym nożem na gwałt chciał wrócić do życia. Nie trzeba, aby teraz odżywał. Dość będzie jeszcze życia na oddawanie się temu cierpieniu. Byle tylko nie teraz! Pozwól, Boże, nie teraz!

Spojrzała na ziemistą twarz Geralda. Po raz pierwszy w życiu widziała go nie ogolonego, rumiana niegdyś twarz ojca pokryta była srebrną szczeciną. Pork postawił świecę na postumencie i podszedł ku Scarlett. Czuła, że gdyby był psem, położyłby w tej chwili łeb na jej kolanach i skomlał, dopóki nie pogładziłaby go po głowie.

— Park, ilu nam zostało Murzynów?

— Miss Scarlett, te podłe Murzyny, uciekły, niektórzy poszli z Jankesami i...

— Ilu zostało?

— Ja jestem, panienko, i Mammy. Przez cały dzień pielęgnowała młodsze panienki. I Dilcey, teraz ona jest przy panienkach. Nas troje, Miss Scarlett.

„Nas troje” — gdzie była setka Murzynów? Scarlett z wysiłkiem wyprostowała bolącą szyję i podniosła głowę. Wiedziała, że głos jej nie może się załamać. Ku jej zdumieniu słowa padały tak chłodno i swobodnie, jak gdyby nigdy nie było wojny i jednym skinieniem dłoni mogła przywołać do siebie dziesięcioro służby.

— Pork, umieram z głodu. Czy jest co do jedzenia?

— Nie. Oni wszystko zabrali.

— A w ogrodzie?

— Do ogrodu puścili konie.

— Nawet na grzędy bulw?

Coś w rodzaju uśmiechu pojawiło się na grubych wargach Murzyna.

— Miss Scarlett, zapomniałem zupełnie o bulwach. Pewnie tam jeszcze są. Jankesi nigdy nie widzieli yamów i myśleli, że to zwykłe korzenie, i...

— Wkrótce wzejdzie księżyc. Idź do ogrodu, wykop mi parę bulw i upiecz. Czy nie ma mąki kukurydzianej? Ani suszonego groszku? Ani kurcząt?

— Nie, panienko, nie ma. Wszystkie kurczęta, których nie zdążyli zjeść, przytroczyli sobie do siodeł.

Oni. Oni. Oni. Czy nie było końca temu, co „oni” zrobili? Czy nie wystarczyło im palenie i zabijanie? Czy musieli jeszcze skazywać na głód kobiety, dzieci i bezradnych Murzynów w kraju, który spustoszyli?

— Miss Scarlett, mam trochę jabłek, które Mammy zakopała pod domem. Jedliśmy je dzisiaj.

— Przynieś je tutaj, nim pójdziesz kopać bulwy. I słuchaj, Pork, czuję się bardzo słabo. Czy jest trochę wina w piwnicy, choćby porzeczkowego?

— Och, Miss Scarlett, do piwnicy poszli nasamprzód.

Mdłości, spowodowane głodem, bezsennością, wyczerpaniem i strasznymi ciosami, które na nią spadły, ogarnęły ją tak nagle, że musiała się schwycić rzeźbionych róż, które czuła pod ręką.

— Nie ma wina — rzekła tępo, przypominając sobie niezliczone szeregi butelek w piwnicy. Zbudziło się jakieś wspomnienie.

— Pork, a co z tą żytniówką w dębowej baryłce, którą papa zakopywał pod altaną?

Nowy uśmiech rozjaśnił czarną twarz, uśmiech zadowolenia i szacunku.

— Miss Scarlett, o, panienka jest najmądrzejsza z dzieci! Całkiem zapomniałem o tej baryłce. Ale, Miss Scarlett, ta wódka nie jest dobra. Leży tam pewnie już od roku, a zresztą wódka nie jest dobra dla pań.

Jacy głupi byli Murzyni! Nigdy nie potrafili o niczym pomyśleć z własnej inicjatywy. I Jankesi takim ludziom chcieli dać wolność?

— Dla mnie i dla papy będzie w sam raz dobra. Spiesz się, Pork, wykop baryłkę, przynieś dwie szklanki, trochę mięty i cukru, to przyrządzę nalewkę.

— Panienko, przecież panienka wie, że cukru nie ma w Tarze od dawna. Miętę zjadły konie, a oni potłukli wszystkie szklanki.

„Jeżeli Pork jeszcze raz powie «oni», zacznę płakać. Nic na to nie poradzę” — pomyślała. Głośno zaś powiedziała: — No, więc śpiesz się i przynieś wódkę. Wypijemy ją tak, jak jest. — A kiedy szedł ku drzwiom: — Poczekaj, Pork. Tyle jest jeszcze rzeczy do zrobienia, o których nie pomyślałam... A tak. Przyprowadziłam tu konia i krowę, krowę trzeba koniecznie wydoić, a konia napoić i wyprząc. Powiedz Mammy, aby się zajęła krową. Powiedz jej, że musi ją jakoś obrządzić. Dziecko pani Melanii gotowe umrzeć jeżeli nie dostanie czegoś do jedzenia, i...

— Pani Mela nie ma., nie może...? — przerwał Pork taktownie.

— Pani Mela nie ma pokarmu. (Dobry Boże, mama zemdlałaby przecież, słysząc coś podobnego).

— No to, Miss Scarlett, moja Dilcey zaopiekuje się dzieckiem pani Meli. Moja Dilcey ma nowe dziecko i dość mleka na wykarmienie obojga.

— To ty masz nowe dziecko, Pork?

Dzieci, dzieci, dzieci. Po co Bóg stwarza tyle dzieci? Ależ nie, to nie Bóg je stwarza. To głupi ludzie.

— Tak, panienko, dużego, grubego chłopca. Ma...

— Więc powiedz Dilcey, aby zostawiła panienki. Ja się nimi zajmę. Powiedz, aby nakarmiła dziecko pani Melanii i posiedziała przy niej. Mammy powiedz, aby wydoiła krowę, a tego biednego konia zaprowadź do stajni.

— Kiedy nie ma już stajni, Miss Scarlett. Porąbali ją na drzewo do ognisk.

— Nie chcę wiedzieć, co zrobili! Powiedz Dilcey, aby się tym wszystkim zajęła. A ty Pork, wykop najpierw tę wódkę, a potem parę słodkich kartofli...

— Ale, Miss Scarlett, nie mam czym sobie poświecić.

— Możesz sobie przecie zapalić smolną głownię, prawda?

— Kiedy nie ma głowni. Oni...

— Więc poradź sobie inaczej... Wszystko mi jedno jak. Wykop je, jak chcesz, byle prędko. Śpiesz się teraz.

Pork wybiegł z pokoju, bo głos Scarlett zabrzmiał ostro: została sama z Geraldem.

Poklepała go lekko po udzie. Zauważyła, że mięśnie jego, dawniej twarde od konnej jazdy, teraz są zwiotczałe. Powinna coś zrobić, aby wyrwać ojca z tej apatii — ale nie spyta przecież o matkę. To zrobi później, kiedy będzie się mogła na to zdobyć.

— Jak to się stało, że nie spalili Tary?

Gerald popatrzył na nią przez chwilę, jak gdyby nie słyszał słów, musiała więc powtórzyć pytanie.

— Jak... — mamrotał — przecież w domu był ich sztab.

— To Jankesi... byli w domu?

Wydało jej się nagle, że ukochane ściany zostały skalane. Dom rodzinny, święty, ponieważ mieszkała w nim Ellen, i ci... ci...

— A tak, byli tutaj, córko. Widzieliśmy za rzeką dym z Dwunastu Dębów, zanim tu przyszli. Panna Honey i panna India, i niektórzy z Murzynów już dawniej schronili się do Macon, a więc nie martwiliśmy się zbytnio. My jednak nie mogliśmy stąd wyjechać. Dziewczęta były bardzo chore i twoja matka... nie mogliśmy jechać. Nasi Murzyni uciekli, nie wiem dokąd. Skradli wozy i muły. Mammy, Dilcey i Pork nie uciekli. Dziewczęta... twoja matka... nie mogliśmy ich ruszać.

— Tak, tak.

Niechże ojciec nie mówi o matce! O wszystkim innym. Może nawet i to powiedzieć, że generał Sherman w tym pokoju, kantorku mamy, miał swój gabinet. Lub cokolwiek innego.

— Jankesi posuwali się w stronę Jonesboro, aby przeciąć tor kolejowy i przyszli drogą od rzeki, całe tysiące, armaty, i kawaleria, tysiące. Wyszedłem na ganek na ich spotkanie.

„O, dzielny mały Gerald!” — pomyślała Scarlett z wezbranym sercem. Gerald wyszedł na spotkanie wroga przed drzwi Tary, jak gdyby stała za nim cała armia!

— Powiedzieli mi, żebym sobie poszedł, bo chcą spalić dom. A ja odpowiedziałem, że mogą mi go spalić nad głową. Nie mogliśmy się ruszyć, dziewczęta, twoja matka, były...

— A potem? „Czy ojciec musi ciągle wspominać Ellen?”

— Powiedziałem im, że w domu są chore, że tyfus, że umrą, jak je z miejsca ruszyć. Jak chcą, niech spalą nam dach nad głowami. Nie chciałem w żadnym wypadku wyjeżdżać, opuszczać Tary.

Głos mu nagle zamarł. Zaczął się bezmyślnie rozglądać po ścianach. Scarlett zrozumiała. Zbyt wielu irlandzkich przodków tłoczyło się za Geraldem, zbyt wielu ludzi, którzy umierali na nędznych poletkach, walcząc do ostatka, ale nie opuścili ziemi, na której żyli, orali, kochali i płodzili synów.

— Powiedziałem, że spalą dom nad głowami trzech umierających kobiet. Ale my domu nie opuścimy. Młody oficer był... był dżentelmenem.

— Jankes dżentelmenem? Ależ tatusiu!

— Dżentelmenem. Odjechał galopem i prędko wrócił z kapitanem i lekarzem, który zaopiekował się dziewczętami i twoją matką.

— Wpuściłeś Jankesa do ich pokoju?

— Miał opium. My nie mieliśmy lekarstw. Uratował twoje siostry. Zuela miała krwotoki. Był bardzo dobry i miły. I kiedy złożył raport, że są chore, nie spalili domu. Zapełnili wszystkie pokoje z wyjątkiem pokoju chorych. Generał że swoim sztabem. A żołnierze...

Przerwał znowu, jak gdyby zbyt zmęczony, by mówić dalej. Nie ogolony podbródek opadł mu ciężko w fałdach skory na szyję. Po chwili ciągnął z wysiłkiem dalej:

— Rozbili obóz dokoła domu, wszędzie, w bawełnie, w zbożu. Pastwisko było aż niebieskie od mundurów. W nocy widać było tysiące ognisk. Porąbali płoty na podpałkę i szopy, i stajnię, i wędzarnię. Pozarzynali krowy, wieprze i kurczęta, nawet moje indyki.- Drogocenne indyki Geralda. A więc i ich nie ma. — Pozabierali rzeczy, nawet obrazy — trochę mebli, porcelanę...

— A srebro?

— Pork i Mammy zrobili coś że srebrem, ukryli je w studni, ale tego nie pamiętam. — Głos Geralda brzmiał gniewnie. — Potem stąd dowodzili bitwą, z Tary, było dużo hałasu, ludzie przyjeżdżali konno i kręcili się ciągle. A potem działa w Jonesboro brzmiały jak grzmoty, nawet dziewczynki je słyszały, mimo że były bardzo chore, i ciągle tylko powtarzały w kółko: „Tatusiu, zrób coś, żeby przestało grzmieć”.

— A... a mama? Czy wiedziała, że Jankesi są w domu?

— Nie... nic już nie wiedziała.

— Dzięki Bogu — rzekła Scarlett. Przynajmniej tego Bóg mamie oszczędził. Matka nie wiedziała, że wrogowie są w pokojach na dole, nie słyszała armat pod Jonesboro, nie dowiedziała się, że ziemia, którą ukochała, deptana jest stopami Jankesów.

— Ja mało ich widziałem, bo byłem na górze z dziewczynkami i z twoją matką. Rozmawiałem przeważnie z tym młodym lekarzem. Był dobry. Taki dobry, Scarlett. Kiedy kończył całodzienną pracę przy rannych, przychodził i siedział z nami. Zostawił nam nawet trochę lekarstw. Przed odjazdem powiedział mi, że dziewczęta wyzdrowieją, ale mama.....Jest bardzo wątła — powiedział — zbyt delikatna, aby to przetrzymać”. Powiedział, że podkopała swoje siły...

W milczeniu, które zapadło, Scarlett zaczęła sobie wyobrażać, jak matka musiała wyglądać w owych ostatnich dniach — szczupła pocieszycielka Tary, pielęgnująca chorych, pracująca bez wytchnienia, nie śpiąc i nie jedząc, aby inni mogli wypoczywać i jeść.

— A potem odeszli. Potem odeszli.

Zamilkł na długą chwilę, po czym wziął dłoń Scarlett w swoją.

— Szczęśliwy jestem, że jesteś w domu — powiedział z prostotą.

Od strony kuchennego ganku rozległo się jakieś szuranie. Biedny Pork, przez czterdzieści lat uczony, aby wycierać buty przed wejściem do pokoju, nie zapomniał o tym nawet w takiej chwili. Wszedł, ostrożnie niosąc dwie bańki. Poprzedził go silny zapach ściekajacego po ich powierzchni trunku.

— Dużo rozlałem, Miss Scarlett. Bardzo trudno wlewać wódkę z baryłki do bańki.

— Już dobrze, Pork, bardzo ci dziękuję. — Wzięła od niego wilgotną banię i czerpak i skrzywiła się trochę.

— Wypij to, tatusiu — powiedziała podając ojcu wódkę w czerpaku. Wzięła od Porka drugą banię, pełną wody. Gerald podniósł trunek do ust, posłuszny jak dziecko, i przełknął głośno. Podała mu z kolei wodę, ale potrząsnął przecząco głową.

Kiedy wzdęła sobie czerpak i chciała zacząć pić, zauważyła, że ojciec patrzy na nią z wyrazem potępienia w oczach.

— Wiem, że damy nie zwykły pijać trunków — rzekła krótko. — Dziś jednak nie jestem damą, tatusiu, a w nocy dużo mam jeszcze roboty.

Odetchnęła głęboko, przechyliła czerpak i szybko się napiła. Trunek popłynął gorącym strumieniem przez gardło do żołądka: palił ją i sprowadzał łzy do oczu. Znowu odetchnęła głęboko i napiła się.

— Kasiu Scarlett — rzekł Gerald z nutą stanowczości w głosie, pierwszą, jaką słyszała od czasu swego powrotu — teraz już dość. Nie wiesz, co to trunek, i za chwilę będziesz wstawiona.

— Wstawiona? — Roześmiała się złym śmiechem. — Wstawiona? Mam nadzieję, że się upiję. Chciałabym być pijana jak szewc i o niczym nie pamiętać.

Napiła się jeszcze. W żyłach jej płynął teraz ciepły strumień, rozgrzewał jej całe ciało aż po końce palców. Jakie błogosławione uczucie sprowadzał ten przyjemny ogień. Zdawał się przenikać nawet do pokrytego warstwą lodu serca, przywracał jej siły. Widząc zdumienie i urazę na twarzy Geralda, poklepała go znowu po kolanie i starała się uśmiechnąć zalotnie, dawnym uśmiechem, który tak lubił.

— Jakże możesz myśleć, że będę wstawiona, papo? Czy nie jestem twoją córką? Czy nie odziedziczyłam najmocniejszej głowy w claytońskim powiecie?

Prawie uśmiechnął się do niej. Wódka pokrzepiła i jego. Scarlett podała mu ją znowu.

— Teraz napijesz się jeszcze trochę, a potem zaprowadzę cię na górę i położę do łóżka.

Przerwała nagle. Jak to, przecież w ten sposób zwracała się do Wade a — do ojca nie powinna była tak przemawiać. To dowodziło braku szacunku. Gerald jednak słuchał uważnie jej słów.

— Tak, położę cię do łóżka — dodała lekko — dam ci jeszcze jeden łyk wódki, może nawet pełen czerpak, a potem będziesz spał. Sen dobrze ci zrobi. Scarlett jest tutaj, więc nie potrzebujesz się o nic kłopotać. Pij, papo.

Znowu posłusznie wypił. Scarlett wzięła go pod rękę i pociągnęła do kanapy.

— Pork...

Pork wziął banię w jedną rękę, ramię Geralda założył sobie na drugą. Scarlett podniosła dopalającą się świecę i wszyscy troje skierowali się wolno do ciemnego hallu, potem zaś po kręconych schodach na górę, do pokoju Geralda.

Pokój, w którym Zuela i Karina leżały mamrocząc coś niewyraźnie i rzucając się na wspólnym łóżku, śmierdział okropnie od szmaty palącej się w miseczce tłuszczu wieprzowego i stanowiącej jedyne źródło światła. Kiedy Scarlett otworzyła drzwi, ciężka atmosfera pokoju o zamkniętych oknach, pełnego wyziewów lekarstw, choroby i topiącego się tłuszczu przyprawiła ją o mdłości. Niech sobie doktorzy mówią, że świeże powietrze szkodzi chorym. Jeżeli ona ma tutaj siedzieć, musi mieć czym oddychać, bo inaczej umrze. Otworzyła wszystkie okna; odetchnęła głęboko zapachem liści dębowych i ziemi, ale ta odrobina świeżego powietrza trochę tylko rozpędziła odory, które od całych tygodni gromadziły się w dusznym pokoju.

Karina i Zuela, blade i mizerne, spały niespokojnie i budziły się często, aby szeptać coś z szeroko otwartymi, wytrzeszczonymi oczyma. W tym samym podwójnym łóżku z baldachimem gwarzyły że sobą w czasie minionych, szczęśliwych dni. W kącie pokoju stało puste, wąskie empirowe łóżko z rzeźbami w głowach i w nogach, łóżko, które Ellen przywiozła z Savannah. W nim właśnie leżała w czasie choroby.

Scarlett usiadła przy siostrach i przyglądała im się bezmyślnie. Wódka, którą wypiła na pusty od dawna żołądek, płatała jej figle. Chwilami siostry wydawały jej się dalekie i malutkie, a bezładne ich słowa brzmiały jak szum owadów, to znowu wynurzały się naprzeciw niej wielkie, groźne i szły ku niej z błyskawiczną szybkością. Czuła się zmęczona, ostatecznie wyczerpana. Mogłaby się położyć i spać przez całe dni.

Gdybyż przynajmniej w chwili przebudzenia się mogła poczuć, że Ellen potrząsa delikatnie jej ramieniem i mówi: „Już późno, Scarlett. Nie bądź leniuszkiem”. Ale tego nie doświadczy już nigdy. Gdybyż była na świecie Ellen, ktoś starszy od niej, mądrzejszy i wytrwalszy, do którego mogłaby się zwrócić! Ellen, na której łonie mogłaby złożyć głowę, na której barki mogłaby przerzucić swoje ciężary!

Drzwi otwarły się cicho. Weszła Dilcey z dzieckiem Melanii przy piersi i bańką wódki w ręku. W niejasnym, niepewnym świetle wydawała się szczuplejsza niż dawniej, a indiańskie cechy występowały teraz wyraźniej w jej twarzy. Kości policzkowe miała bardziej wystające, orli nos wydawał się ostrzejszy, a miedziana skóra lśniła żywszym odcieniem. Wypłowiałą suknię perkalową miała odpiętą do pasa; spod niej było widać jej duże brązowe piersi. Dziecko Melanii pożądliwie przyciskało malutkie usteczka do ciemnej sutki, tuląc drobne piąstki do miękkiego ciała kobiety, jak kociak tuli się do ciepłego brzucha matki.

Scarlett wstała chwiejnie i położyła dłoń na ramieniu Dilcey.

— To ładnie, żeś została tutaj, Dilcey.

— Jakże ja mogłam uciec z tą hołotą murzyńską, Miss Scarlett, kiedy ojciec pani był taki dobry, że kupił mnie razem z moją małą Prissy, a mama pani była taka miła?

— Usiądź, Dilcey. Czy dziecko dobrze ssie? A jak się miewa pani Mela?

— Dziecku nic nie jest, było tylko głodne, a ja mam pod dostatkiem tego, co potrzeba głodnemu dziecku. Pani Melania też przyjdzie do siebie. Nie umrze z pewnością, Miss Scarlett. Niech się panienka wcale nie martwi. Widziałam wiele takich jak ona, czarnych i białych. Bardzo jest zmęczona, zdenerwowana i boi się o dziecko. Ale ja ją uspokoiłam, dałam jej resztkę tego, co zostało w bańce, więc teraz śpi.

A więc żytniówka przydała się całej rodzinie! Scarlett pomyślała niemądrze, aby dać może małemu Wade'owi kieliszek wódki, to wreszcie przejdzie mu czkawka.

Więc Melania nie umrze. I kiedy Ashley wróci do domu, jeżeli w ogóle wróci... Nie, o tym także pomyśli później. Tyle będzie miała do myślenia później! Tyle zagadnień trzeba będzie rozwikłać, tak wiele postanowić. Gdybyż mogła tę chwilę rachunku sumienia odwlec na zawsze. Drgnęła nagle, słysząc dziwny skrzyp i rytmiczne ,,Krr-bum-krr-bum”, które przerwało ciszę na dworze.

— To Mammy czerpie wodę do obmycia panienek. Ciągle je kąpiemy — tłumaczyła Dilcey stawiając bańkę na stole między szklankami i butelkami lekarstw.

Scarlett roześmiała się nagle. Musiała mieć dobrze poszarpane nerwy, skoro przeraził ją skrzyp żurawia studziennego, dźwięk związany z najwcześniejszymi jej wspomnieniami. Dilcey popatrzyła na nią uważnie, z twarzą nieruchomą i bardzo poważną, ale Scarlett czuła, że Dilcey ją rozumie. Zapadła głębiej w fotel. Och, jak chętnie pozbyłaby się ciasnego gorsetu, kołnierza, który ją dławił, i pantofli pełnych piasku i żwiru, raniących jej nogi.

Żuraw skrzypiał wolno, gdy sznur nawijał się na blok, a każde skrzypnięcie sprowadzało wiadro bliżej powierzchni. Za chwilę Mammy będzie przy niej — niania Ellen i jej własna. Siedziała w milczeniu, bezmyślnie. Niemowlę, już najedzone, kwiliło, bo nie mogło trafić do piersi. Dilcey, także milcząca, podała ją dziecku i kołysząc je w ramionach, Scarlett zaś wsłuchiwała się w wolne kroki Mamy na podwórzu. Jaka wielka cisza była w powietrzu! Uszy jej chwytały najlżejsze dźwięki.

Hali na górze zdawał się drżeć, gdy Mammy zbliżała się do pokoju chorych. Wreszcie weszła uginając się pod ciężarem dwóch drewnianych wiader, a poczciwa jej czarna twarz była smutna jak morda skrzywdzonego zwierzęcia.

Oczy jej rozjaśniły się na widok Scarlett, białe zęby błysnęły w uśmiechu, gdy stawiała wiadra na ziemi. Scarlett pobiegła ku niej i złożyła głowę na jej szerokich, obwisłych piersiach, do których tuliło się tyle już głów, czarnych i białych. „Tutaj oto jest ostoja trwałości — myślała — pozostałość po dawnym niezmiennym życiu”. Pierwsze słowa Mammy rozwiały jednak to wrażenie.

— Więc moje dziecko wróciło do domu! Och, Scarlett, co my wszyscy poczniemy teraz, kiedy Miss Ellen leży w grobie? Och, Scarlett, dlaczego to ja także nie umarłam z Miss Ellen! Nie mogą sobie miejsca bez niej znaleźć. Nic nam teraz nie zostało, tylko nędza i smutek. Tylko ciężkie brzemię, kochanie, tylko ciężkie brzemię.

Kiedy tak Scarlett tuliła się do piersi Mammy, te dwa słowa zwróciły jej uwagę. „Ciężkie brzemię”. One to właśnie monotonnie brzmiały w jej mózgu przez całe popołudnie. Teraz że ściśniętym sercem przypomniała sobie resztę pieśni:

*Jeszcze tylko kilka dni dźwigać będę ciężkie brzemię,*

*które nigdy nie zelżeje.*

*Jeszcze tylko kilka dni — potem zwalę się na drodze...*

„Które nigdy nie zelżeje” — zapisała sobie te słowa w pamięci. Czy ciężar jej nigdy nie zelżeje? Czy powrót do Tary zamiast upragnionego wypoczynku przyniesie jej tylko zwiększone obowiązki? Wyrwała się z ramion Mammy i wyciągając rękę pogładziła ją po pomarszczonej, czarnej twarzy.

— Kochanie, twoje biedne rączki! — Mammy popatrzyła że zgrozą na pokryte pęcherzami i strupami zeschniętej krwi dłonie Scarlett. — Scarlett, a przecież powtarzałam ci ciągle a ciągle, że damę poznaje się po jej rękach... i twarz też masz opaloną!

Biedna Mammy, ciągle jeszcze pewna ważności spraw błahych, mimo że wojna i śmierć otarły się o nią tak blisko! Za chwilę powie, że młode panienki o zniszczonych rękach i piegach na twarzy nigdy nie złapią męża. Scarlett uprzedziła tę uwagę.

— Mammy, chcę, abyś mi opowiedziała wszystko o mamie. Nie mogłam znieść, aby papa mówił o niej...

Łzy pociekły z oczu Mammy, kiedy się pochyliła, aby przenieść wiadra. W milczeniu ustawiła je koło łóżka i odwijając kołdrę zaczęła zdejmować nocne koszule z Zueli i Kariny. Scarlett patrząc w chybotliwym świetle na siostry dostrzegła, że Karina leży w czystej, ale podartej koszuli, a Zuela owinięta jest w stary szlafroczek z brązowego płótna, obszyty postrzępioną irlandzką koronką. Mammy płakała w milczeniu, obmywając wychudłe ciała dziewcząt kawałkiem starego fartucha.

— Scarlett, to Slattery'owie, ci Slattery'owie, ta wstrętna biała hołota, winni są śmierci pani Ellen. Ja mówiłam jej i powtarzałam, że nie warto nic robić dla „białej nędzy”, ale Miss Ellen była tak stanowcza i miała tak miękkie serce, że nie mogła odmówić nikomu, kto ją o coś prosił.

— Slattery'owie? — zapytała Scarlett że zdziwieniem. — Co oni mają z tym wspólnego?

— U nich zaczęła się ta choroba — Mammy ściereczką wskazała na dwie nagie dziewczyny, z których woda ściekała na wilgotne prześcieradło. — Córka pani Slattery, Emma, zachorowała na to, więc pani Slattery przybiegła w te pędy do Miss Ellen, jak zawsze, kiedy się u nich coś wydarzyło. Dlaczego sama swego dziecka nie doglądała? Miss Ellen miała i tak więcej ciężarów, niż mogła udźwignąć. Ale pojechała do nich i pielęgnowała tę Emmę. A wcale sama zdrowa nie była, Scarlett. Matka twoja już od dawna nie czuła się dobrze. Nie mieliśmy tu dość jedzenia, bo wojsko kradło nam wszystko. Miss Ellen zawsze jadła jak ptaszek. A ja mówiłam jej i powtarzałam, żeby dała spokój tej białej nędzy, ale nic mnie nie chciała słuchać. Więc potem, kiedy Emmie było już lepiej, położyła się panienka Karina. Tak, tyfus przeleciał przez drogę i złapał Karinę, potem położyła się Zuela. Więc Miss Ellen zaczęła także leczyć panienki.

Tymczasem niedaleko nas były już walki, Jankesi byli za rzeką, myśmy nie wiedzieli, co się z nami stanie, parobcy uciekali co noc, ja chodziłam prawie bez głowy. Ale Miss Ellen była zimna jak ogórek. Martwiła się tylko strasznie o panienki, bo nie można było dostać lekarstw ani nic. A jednej nocy, kiedyśmy obmyły panienki może już z dziesięć razy, powiedziała do mnie: „Nianiu, oddałabym duszę diabłu za trochę lodu na głowy moich dziewczynek...”

Nie pozwalała tu wchodzić panu Geraldowi ani Róży, ani Tinie, nikomu, tylko mnie, bo ja miałam kiedyś tyfus. A potem i ją samą zmogło, Scarlett, a ja od początku wiedziałam, że z tego nie wyjdzie.

Mammy wyprostowała się i otarła fartuchem zapłakane oczy.

— Szybko ją zmiotło, Scarlett, i nawet ten miły jankeski doktor nic jej nie zdołał pomóc. Nie wiedziała wcale, co się z nią dzieje. Wołałam ją i mówiłam do niej, ale nie poznawała swojej starej niani.

— Czy… czy wspominała mnie, czy mnie wołała?

— Nie, kochanie. Zdawało się jej, że znowu jest młodą dziewczynką w Savannah. Nikogo nie wołała po imieniu.

Dilcey drgnęła i ułożyła sobie śpiące dziecko na kolanach.

— Miss Scarlett, owszem, wołała. Wołała kogoś.

— Ty lepiej zamknij buzię, indiańska Murzynko! — zwróciła się Mammy z gwałtowną pogróżką do Dilcey.

— Cicho, Mammy! Kogo wołała, Dilcey? Tatusia?

— Nie. Nie twego tatusia. Było to tej nocy, kiedy spaliła się bawełna...

— Czy bawełna spalona? Powiedzcie mi zaraz!

— Tak, spalili ją wszystką. Żołnierze wywlekli ją z szopy na podwórze i zaczęli wołać: „Teraz zapalimy największy stos w całej Georgii!” — i spalili ją.

Trzyletni zbiór bawełny — sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów poszło z dymem!

— I ogień oświetlił wszystko jak w dzień. Baliśmy się, że dom się zapali, a w tym pokoju tak było jasno, że można by szpilkę znaleźć na podłodze. A kiedy widać było ogień za oknem, zdawało się, jakby się Miss Ellen przebudziła, bo usiadła na łóżku i zaczęła wołać głośno, raz za razem: „Filip! Filip!” Nigdy przedtem nie słyszałam takiego imienia, ale było to na pewno imię i ona je wołała...

Mammy stała jak skamieniała i bez słowa patrzyła na Dilcey. Scarlett ukryła twarz w dłoniach. Filip — któż to był i czym był dla mamy, że umarła z jego imieniem na ustach?

Długa droga z Atlanty dobiegła wreszcie końca. Kresem jej, zamiast ramion Ellen, stał się nagi mur. Odtąd już nigdy Scarlett nie będzie spoczywała bezpieczna pod dachem ojca, otoczona miłością matczyną jak miękkim puchem. Nie miała już teraz bezpiecznej przystani, do której mogłaby wrócić. Cofnięcie się ani odwrót nie mogły już zmienić faktu, że znalazła się w ślepym zaułku. Nie było nikogo, na którego barki mogłaby złożyć część swego brzemienia. Ojciec był stary i otępiały, siostry chore. Melania wątła i słaba, dzieci bezradne, Murzyni zaś spoglądali na nią z dziecięcą ufnością, czepiając się jej sukien, wiedząc, że córka Ellen będzie dla nich taką ostoją, jaką była Ellen.

Za oknem, w słabym blasku księżyca, widziała przed sobą Tarę. Murzyni uciekli, pola były zniszczone, spichrze puste. Plantacja krwawiła przed jej oczyma jak ciało, własne jej ciało — wolno tracące krew. To był kres jej drogi: drżący starzec, choroby, głodne usta i bezradne ręce, ciągnące ją za suknię. U kresu tego stała ona, Scarlett O'Hara Hamilton, dziewiętnastoletnia wdowa z małym dzieckiem...

Co mogła poradzić? Ciotka Pitty i Burrowie z Macon mogli wziąć Melanię z dzieckiem do siebie. Jeżeli dziewczęta wyzdrowieją, będzie się nimi musiała zaopiekować rodzina Ellen, czy zechce, czy nie. Ona zaś i Gerald będą się mogli zwrócić do wujów Andrzeja i Jakuba o pomoc.

Popatrzyła na chude ciała sióstr, okryte wilgotnym prześcieradłem, ciemnym od wody. Nie lubiła Zueli. Teraz uświadomiła to sobie wyraźnie. Nigdy jej nie lubiła. Nie kochała Kariny — nie potrafiła kochać istot słabych. Obie były jednak tej samej co ona krwi, były częścią Tary. Nie, nie mogła dopuścić do tego, aby pędziły życie w domu swoich ciotek jako ubogie krewne. O'Harowie mieliby się stać ubogimi krewnymi, żyjącymi łaskawym chlebem i poniewierką? Och, nigdy!

Czy naprawdę nie było żadnego wyjścia z tej ślepej uliczki? Zmęczony mózg Scarlett pracował tak wolno... Podniosła ręce do głowy z takim trudem, jak gdyby to nie powietrze, a woda stawiała opór jej ramionom. Wzięła że stołu bańkę i zajrzała do niej. Na dnie jej było jeszcze trochę wódki. W niejasnym świetle trudno było określić dokładnie, ile. Dziwne, że ostry zapach nie raził jej teraz wcale. Piła wolno, ale trunek nie palił jej już, czuła tylko przyjemne ciepło.

Odstawiła pustą bańkę i rozejrzała się dokoła. To wszystko musiało być snem — pokój pełen dymu, wychudłe dziewczęta, bezkształtna i olbrzymia Mammy, siedząca przy łóżku, Dilcey, nieruchoma jak brązowa statua, z różowym, śpiącym przy piersi maleństwem — snem, z którego zbudzi ją zapach szynki, smażonej w kuchni, beztroski śmiech Murzynów, skrzyp jadących na pola wozów i dłoń Ellen potrząsająca lekko jej ramieniem.

Potem odkryła, że leży we własnym pokoju, na własnym łóżku, że blade światło księżyca przesiewa się przez mrok, a Mammy i Dilcey rozbierają ją ostrożnie. Gorset nie męczył jej już teraz, mogła głęboko i spokojnie oddychać całymi płucami i przeponą. Czuła, że ściągają jej delikatnie pończochy, i usłyszała, że Mammy, obmywając jej poranione stopy, mamrocze niewyraźne słowa pociechy. Jaka chłodna była woda, jak dobrze było leżeć na miękkiej pościeli, pozwalać się rozbierać jak dziecko. Wzdychała, rozprężała mięśnie, a po jakimś czasie, po roku lub sekundzie została sama, pokój zaś stał się jaśniejszy, bo promienie księżyca padały teraz na łóżko.

Nie wiedziała, że jest pijana zmęczeniem i wódką. Czuła tylko, że opuściła znużone ciało i unosi się gdzieś nad nim, gdzie nie ma bólu i zmęczenia, że widzi wszystko z nadludzką jasnością.

Oglądała świat nowymi oczyma, ponieważ gdzieś, w długiej drodze do Tary, zostawiła swoje dzieciństwo. Nie była już teraz ulepiona z miękkiej gliny, na której każde nowe wrażenie zostawia ślad. Glina stwardniała o jakiejś porze tego nieokreślonego dnia, który trwał tysiąc lat. Po raz ostatni dzisiaj dawała sobą powodować jak dziecko. Odtąd będzie już kobietą, której pierwsza młodość minęła.

Nie, nie mogła i nie chciała się zwracać o pomoc do rodziny Geralda czy Ellen. O’Harowie nie korzystają z niczyjej łaski. O'Harowie potrafią sami dbać o siebie. Brzemię, jakie musiała dźwigać, należało wyłącznie do niej — ciężary przeznaczone są dla dość silnych do ich noszenia ramion. Myślała bez zdziwienia, patrząc na wszystko z wysoka, że ramiona jej są dość silne, aby znieść teraz wszystko, bo zniosły już najgorsze, co mogło jej się zdarzyć. Nie wolno jej opuścić Tary. Była w większej mierze własnością czerwonych pól niż pola jej własnością. Korzeniami swymi wrosła głęboko w czerwoną jak krew ziemię i niczym bawełna czerpała z niej soki. Zostanie w Tarze i jakoś ją utrzyma, utrzyma ojca i siostry, Melanię, dziecko Ashleya i Murzynów. Jutro — och, jutro!... Jutro założy jarzmo na szyję. Jutro będzie musiała zrobić tyle rzeczy. Iść do Dwunastu Dębów i do majątku Maclntoshów i przekonać się, czy nie znajdzie czegoś w spustoszonym ogrodzie; iść na moczary nadrzeczne i poszukać, czy nie ma tam świń lub drobiu; dotrzeć do Jonesboro i Lovejoy z biżuterią Ellen — tam muszą być ludzie, którzy sprzedadzą jej trochę żywności. Jutro, jutro — mózg jej reagował coraz wolniej i wolniej, jak zegar, który przestaje działać, ale jasność wizji została.

Naraz często powtarzane opowiadania rodzinne, którym przysłuchiwała się od dzieciństwa znudzona, niecierpliwa, rozumiejąc je tylko na wpół, stały się klarownie jasne. Gerald bez grosza założył Tarę; Ellen przebolała jakiś tajemniczy żal; dziadek Robillard przeżywszy upadek tronu Napoleona stworzył nową fortunę na żyznej ziemi Georgii; pradziadek Prudhomme wykarczował sobie małe królestwo w dżungli haitańskiej, stracił je, po czym odzyskał powszechny szacunek w Savannah. Długa linia przodków Scarlett walczyła wraz z powstańcami irlandzkimi o wolność Irlandii i ginęła na szubienicy. O'Harowie zaś, którzy padli pod Boyne, walczyli do ostatka o swoją własność.

Wszyscy przeżyli niszczące ciosy, ale nie ugięli się pod nimi. Nie złamał ich upadek cesarstwa ani sztylety zbuntowanych niewolników; nie złamała wojna, bunty, wygnania i konfiskaty. Zły los zginał im czasem karki, serc nie złamał nigdy. Nie narzekali — walczyli. A kiedy opuszczały ich siły, umierali wyczerpani, ale nieugięci. Wszyscy ci dawni ludzie, których krew płynęła w żyłach Scarlett, zdawali się cicho poruszać w świetle księżycowym. Nie dziwiła się wcale, że widzi tych swoich przodków, którzy najgorsze przeciwności losu przekuwali na lepsze. Tara była jej przeznaczeniem — walką, którą musi wygrać.

Obróciła się sennie na bok. Powolna, pełzająca czarność zalała jej duszę. Czy cienie te stały koło niej naprawdę., czy szeptały jej słowa otuchy, czy też śniła o tym tylko?

— Wszystko jedno, czy jesteście tu koło mnie, czy nie ma was wcale — wyszeptała przez sen — dobranoc... i dziękuję wam za wszystko.

## ROZDZIAŁ XXV

Następnego ranka ciało Scarlett było tak sztywne i zbolałe od wielu mil chodzenia i wstrząsów na wozie, że każdy ruch sprawiał jej nieznośny ból. Twarz .miała czerwoną od opalenizny, dłonie pokryte pęcherzami, język obłożony, gardło wyschnięte, jak gdyby wypalone i pragnienie takie, że nie mogła go niczym ugasić. Czaszka jej pękała, kręciło się jej w głowie i czuła mdłości, jak w pierwszych tygodniach ciąży. Nie mogła znieść zapachu yamów, które podano jej na śniadanie. Gerald mógłby jej łatwo wytłumaczyć, że są to naturalne skutki pierwszego w jej życiu nadużycia alkoholu, ale Gerald niczego nie spostrzegł. Prezydował przy stole — siwy staruszek, o błędnych, wyblakłych oczach — i patrzył na drzwi z głową przechyloną na bok, aby prędzej usłyszeć szelest spódnic Ellen, z daleka już poczuć zapach werbeny.

Kiedy Scarlett usiadła, wyszeptał: — Poczekamy na panią O'Hara. Spóźnia się jakoś. — Scarlett podniosła obolałą głowę i popatrzyła na ojca z przerażeniem i niedowierzaniem, spotkała jednak wzrok Mammy, która stała za krzesłem Geralda. Wstała od stołu, podniosła dłoń do gardła i spojrzała raz jeszcze na ojca. Patrzył na nią nieprzytomnie; ręce mu drżały, a głowa chwiała się leciutko.

Do owej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo liczyła na to, że Gerald jednak pokieruje nią, powie jej, co ma robić. Ale teraz... Poprzedniej nocy wydawał się prawie normalny. Wprawdzie nie przejawiał dawnego temperamentu i żywości, ale mówił przynajmniej do rzeczy. Podwójny cios, jakim było najście Jankesów i śmierć Ellen, odebrał mu rozum. Scarlett chciała coś powiedzieć, ale Mammy zaczęła gwałtownie potrząsać głową i ocierać fartuchem czerwone oczy.

,.Och, czy papa naprawdę stracił rozum? — pomyślała i wydawało jej się, że głowa jej pęknie od tego nowego strapienia. — Nie, nie. Po prostu oszołomiony jest teraz tym wszystkim. Wróci do siebie. Musi do siebie wrócić. Co ja pocznę, jeżeli już taki zostanie? Nie mogę teraz o tym myśleć. Nie mogę myśleć ani o nim, ani o mamie, ani o żadnej z tych strasznych rzeczy. Nie, nie mogłabym tego teraz przetrzymać. Zbyt wiele jest innych spraw do rozstrzygnięcia, o których potrafię myśleć tylko wtedy, gdy nie będę myślała o rzeczach nieodwołalnych”.

Nie tknąwszy jedzenia wyszła z jadalni na kuchenny ganek, gdzie na schodkach siedział Pork, boso, w strzępach swojej niegdyś najlepszej liberii, i łupał orzeszki ziemne. W głowie jej biły młoty, a jaskrawe światło słoneczne kłuło ją w oczy. Utrzymanie się na nogach wymagało tak wielkiego wysiłku woli, że starała się mówić bardzo lakonicznie, nie przestrzegając form elementarnej grzeczności, którą Ellen nauczyła ją stosować do Murzynów.

Zadawała pytania tak oschle, a polecenia dawała tak rozkazująco, że Pork wysoko podniósł brwi że zdumienia. Miss Ellen nigdy tak nie mówiła do nikogo, nawet jeżeli przyłapała na kradzeniu kur czy arbuzów. Scarlett znowu zapytała o stan pól, ogrodu, o żywy inwentarz, a zielone jej oczy miały twardy, ostry blask, którego Pork nigdy w nich dotąd nie widział.

— Proszę pani, koń zdechł w nocy. Leżał tam, gdzie go przywiązałem, z nosem wetkniętym w przewrócone wiadro od wody. Nie, krowa żyje. To panienka nic nie wie? Ocieliła się w nocy. Dlatego tak ryczała.

— Twoja Prissy będzie doskonałą akuszerką — zauważyła Scarlett z ironią. — Mówiła, że krowa dlatego ryczy, że trzeba ją wydoić.

— Ale bo, proszę pani, Prissy nie ma być akuszerką od krów — rzekł Pork taktownie. — A na zrządzenia boskie nie trzeba sarkać, bo to cielę znaczy, że krowa będzie miała dużo mleka i śmietanki dla panienek, a jankeski doktor powiedział, że im tego potrzeba.

— Dobrze już, dalej. Czy został nam jakiś inwentarz?

— Nie. Tylko jedna stara maciora i jej młode. Wygnałem je na moczary tego dnia, jak Jankesi przyszli, ale Bóg wie, jak je stamtąd sprowadzić. To bardzo zła świnia.

— Już ją jakoś sprowadzisz. Zabierz się zaraz z Prissy do jej odszukania.

Pork był dotknięty i oburzony.

— Miss Scarlett, to zajęcie dla parobka. Ja zawsze byłem Murzynem do pokojów.

W oczach Scarlett pojawił się zły uśmiech.

— Albo sprowadzicie we dwoje tę maciorę, albo pójdziecie stąd, jak poszli parobcy.

Łzy pojawiły się w oczach Porka. Ach, żeby to pani Ellen była tutaj! Ona rozumiała wszystko i zdawała sobie sprawę, jaka przepaść dzieli powinności parobka od obowiązków Murzyna do pokojów.

— Iść stąd, Miss Scarlett? A dokąd ja miałbym pójść, panienko?

— Nie wiem i mało mnie to obchodzi. Ale wszyscy w Tarze, którzy nie zechcą pracować, będą musieli iść za Jankesami. Możesz to ode mnie wszystkim powiedzieć.

— Dobrze, proszę pani.

— A co z kukurydzą i bawełną, Pork?

— Z kukurydzą? Na Boga, Miss Scarlett, przecież oni w kukurydzę puścili konie, a tę resztę, której konie nie zjadły i nie zniszczyły, zabrali. A bawełnę potratowały furgony i armaty, zostało tylko kilka akrów, w dole, nad strumykiem, bo tych nie zauważyli. Ale o tę bawełnę nie warto się kłopotać, bo tam nie ma jej więcej niż trzy bele.

Trzy bele. Scarlett przypomniała sobie setki bel, które rodziła Tara, i serce zapiekło ją znowu; Trzy bele. Nędzarze Slattery mieli nie o wiele mniej. Co gorsza, była jeszcze kwestia podatków. Rząd Konfederacji przyjmował za podatki bawełnę zamiast pieniędzy, ale trzy bele nie starczą nawet i na to. Mało zresztą przyjdzie z bawełny i jej, i Konfederacji, bo parobków i tak nie było i nie było komu jej zbierać.

,,O tym także nie będę myślała teraz — powiedziała sobie. — Podatki nie są sprawą kobiety. Tymi sprawami powinien się zająć papa, ale papa... o papie pomyślę kiedy indziej. Konfederacja będzie się musiała obejść bez moich podatków. Teraz musimy mieć przede wszystkim coś do jedzenia”.

— Pork, czy był ktoś z was w Dwunastu Dębach albo u MacIntoshów, aby przekonać się, czy tam nic nie zostało w ogrodach?

— Nie, proszę pani! Myśmy nie wychodzili z Tary. Jankesi mogliby nas złapać.

— Poślę Dilcey do Maclntoshów. Może ona tam coś znajdzie. Ja pójdę do Dwunastu Dębów.

— Z kim, panienko?

— Sama. Mammy musi zostać z panienkami, a pan Gerald nie może iść.

Pork zaczął przytaczać argumenty, które do reszty rozwścieczyły Scarlett. W Dwunastu Dębach mogą być Jankesi albo źli Murzyni. Nie powinna tam sama chodzić.

— Dość tego, Pork. Powiedz Dilcey, aby poszła natychmiast. A ty i Prissy sprowadźcie tu maciorę i jej małe — rzekła krótko i wykręciła się na pięcie.

Stary czepek Mammy, spłowiały, ale czysty, wisiał w kuchni na kołku. Scarlett włożyła go przypominając sobie, jak z poprzedniego życia, kapelusz z fryzowanym zielonym piórem, który Rett przywiózł jej kiedyś z Paryża. Wzięła duży wiklinowy koszyk i wolno zeszła na dół, bo każdy krok zdawał się łamać jej czaszkę, zginać kręgosłup.

Droga do rzeki, czerwona i spalona od słońca, prowadziła między zniszczonymi polami bawełny. Nie było przy niej drzew, które by dawały cień; słońce paliło Scarlett przez czepek Mammy, mimo że był on z grubego, podwójnego perkalu, kurz, wzbijany jej stopami, osiadał jej w nosie i w gardle i suszył je tak, iż zdawało się, że gdy przemówi, pękną jej śluzówki. Szosa pocięta była koleinami od ciężkich kół armatnich, nawet czerwone rowy po obu jej stronach rozorane były głęboko. Krzaczki bawełny wkopane były w ziemię przez kawalerię i piechotę, które artyleria zepchnęła z wąskiej drogi na pola. Tu i ówdzie na szosie i polach leżały kawałki uprzęży, sprzączki, manierki, spłaszczone kołami i przydeptane kopytami, guziki, niebieskie czapki, stare skarpetki, kawały pokrwawionych szmat — odpadki po armii w marszu.

Scarlett minęła grupę cedrów i niski mur z cegieł, okalający cmentarzyk rodzinny, starając się nie myśleć o nowym grobie wykopanym obok trzech małych mogiłek jej braciszków. Och, Ellen... Powlokła się na szczyt zapylonego pagórka, minęła kupę popiołu i kikut komina — pozostałości po domu Slatterych — i pomyślała dziko, że dobrze by było, aby z całego ich plemienia został tylko popiół. Gdyby nie rodzina Slatterych... gdyby nie ta wstrętna Emma, która miała bękarta z dawnym ich rządcą — Ellen żyłaby dotąd.

Jęknęła, bo ostry kamyk zranił jej spuchniętą stopę. Co ona tu właściwie robi? Dlaczego Scarlett O'Hara, piękność powiatu, chluba Tary, wlecze się niemal boso po tej wyboistej drodze? Małe jej stopy stworzone są przecież do tańca, nie do marszu, lekkie pantofelki — do wyglądania spod kolorowych jedwabiów sukien, nie do zbierania kurzu i ostrego żwiru. Urodziła się, aby być pieszczona i psuta — a teraz oto, chora i obdarta, musi szukać żywności w ogrodach sąsiadów, aby nie umrzeć z głodu.

U stóp pagórka była rzeka. Splątane gałęzie stojących nad nią drzew wyglądały chłodno i spokojnie. Scarlett ciężko usiadła na brzegu i ściągając resztki pantofli i pończoch zanurzyła rozpalone stopy w chłodnej wodzie. Dobrze byłoby móc posiedzieć tutaj przez cały dzień, z dala od bezradnych oczu mieszkańców Tary, tu, gdzie tylko szum liści i bulgot wody przerywał ciszę. Po chwili niechętnie włożyła pończochy i trzewiki i powlokła się dalej pod drzewami, wzdłuż brzegu, mokrego od mchu. Jankesi spalili most, pamiętała jednak, że o sto jardów dalej znajduje się kładka w miejscu, gdzie łożysko rzeki się zwęża. Przeszła przez nią ostrożnie i poszła pod górę. Do Dwunastu Dębów zostało jej tylko pół mili.

Stare dęby wyglądały tak jak dawniej, jak za czasów Indian, ale liście ich były teraz brązowe od ognia, a gałęzie opalone i ponadłamywane. Za nimi widać było ruiny domu Jana Wilkesa, spopielone resztki okazałego dworu, którego fasada o białych kolumnach wieńczyła pagórek. Głęboka jama, kiedyś będąca piwnicą, fundamenty z kamienia polnego i dwa wysokie kominy były wszystkim, co po domu zostało. Jedna na pół spalona kolumna upadła na trawnik, przygniatając krzaki jaśminu.

Scarlett usiadła na niej, zbyt przygnębiona tym widokiem, aby iść dalej. Ruina Dwunastu Dębów dotknęła ją głębiej, niż wszystko, co widziała dotąd. Tutaj oto, w pyle u jej stóp, leżała duma Wilkesów. Taki był kres tego gościnnego, miłego domu, gdzie zawsze przyjmowano ją serdecznie, domu, którego chciała być panią. Tutaj tańczyła, bawiła się i flirtowała; tutaj z bólem w sercu i zazdrością widziała, jak Melania uśmiecha się do Ashleya. Tutaj także, w chłodnym cieniu drzew, Karol Hamilton gwatłownie uścisnął jej dłoń, kiedy przyjęła jego oświadczyny.

„Och, Ashleyu — pomyślała — mam nadzieję, że nie żyjesz! Nie zniosłabym myśli, abyś miał to kiedyś oglądać!”

Ashley tutaj brał ślub, ale syn jego i syn jego syna nigdy już nie wprowadzą tu swoich oblubienic. Nie będzie już ślubów ani narodzin w domu, który Scarlett tak kochała, którym tak bardzo chciała rządzić. Dom przestał istnieć i wydawało jej się teraz, jak gdyby pod jego popiołami legli wszyscy Wilkesowie.

— Nie mogę teraz o tym myśleć. Nie mogę tego znieść. Pomyślę o tym później — rzekła na głos, odwracając wzrok.

Szukając ogrodu warzywnego przeszła z trudem przez ruiny, przez zdeptane klomby róż, niegdyś z taką czułością pielęgnowane przez panny Wilkes i dalej — przez podwórze, ruiny wędzarni, szop i kurników. Płot dokoła ogrodu został wyrwany, a niegdyś świetnie utrzymane grzędy doświadczyły tego samego losu co w Tarze. Miękka ziemia poznaczona była odciskami kopyt i ciężkich kół, jarzyny wdeptane głęboko w ziemię. Nie miała tutaj czego szukać.

Wróciła przez podwórze i po ścieżce poszła w stronę cichego rzędu bielonych chat murzyńskich, wołając „Hola!” Nie odpowiedział jej żaden głos. Nawet pies nie zaszczekał. Murzyni Wilkesów uciekli prawdopodobnie albo poszli za Jankesami. Wiedziała, że każdy z niewolników miał własny ogródek, chciała się przekonać, czy zostało coś jeszcze.

Poszukiwania jej zostały uwieńczone powodzeniem, była jednak zbyt zmęczona, aby cieszyć się widokiem rzepy i kapusty, zwiędłej z powodu suszy, ale całej, oraz grochu i fasoli, pożółkłych, ale jeszcze jadalnych. Usiadła na ziemi i zaczęła kopać drżącymi rękoma, wolno napełniając koszyk. W Tarze będzie dzisiaj dobra kolacja, mimo że brakuje tłuszczu do doprawienia jarzyn. Doda się może trochę tego boczku, którego Dilcey używała do oświetlenia. Będzie trzeba powiedzieć Dilcey, aby zaczęła używać smolnych głowni, a tłuszcz zostawiła do gotowania.

Tuż przy schodach jednej z chat odkryła małą grządkę rzodkiewek i poczuła nagły głód. Ostra rzodkiew o piekącym smaku powinna jej doskonale zrobić. Ledwie otrząsnąwszy rzodkiew z piasku, odgryzła połowę i zaczęła szybko jeść. Rzodkiew była stara, twarda i tak gorzka, że łzy nabiegły Scarlett do oczu. Ledwie ją przełknęła, gdy zbuntował się jej pusty żołądek; musiała się położyć w miękkim piasku i zwymiotować.

Zapach ciał murzyńskich, dochodzący z chaty, potęgował jeszcze jej mdłości. Nie mając dość siły, aby je zwalczyć, wymiotowała bez przerwy, a chata i drzewa szybko wirowały dokoła niej.

Po upływie długiej chwili poczuła, że leży twarzą na ziemi miękkiej i wygodnej jak puchowa poduszka: z trudem poczęła zbierać myśli. To ona, Scarlett O’Hara, leżała przed chatą murzyńską, pośród ruin, zbyt osłabiona i chora, aby się poruszyć, a nikt w świecie nie wiedział o tym ani się tym nie przejmował. Nikogo by to zresztą nie obeszło teraz, bo każdy miał zbyt wiele własnych kłopotów, aby się jeszcze i o nią troszczyć. I wszystko to naprawdę działo się z nią, Scarlett O’Hara, która nigdy sama nie podnosiła z podłogi rozrzuconych pończoch ani nie zawiązywała sznurowadeł — Scarlett, której bóle głowy i złe nastroje były zawsze przedmiotem najczulszej troski.

Gdy tak leżała bezwładnie, zbyt słaba, aby walczyć że wspomnieniami i cierpieniem, opadły ją troski i zaczęły krążyć koło niej jak kruki nad padliną. Nie miała teraz sił, aby sobie powiedzieć: „Pomyślę później, kiedy będę mogła lepiej to znieść”. Zupełnie, co prawda, nie mogła znieść swoich myśli, ale wbrew woli musiała myśleć o swoich najbliższych. Myśli szarpały jej mózg jak szpony i ostre dzioby. Przez niewiadomą chwilę leżała w upale słonecznym bez ruchu, z twarzą zarytą w piasek, rozpamiętywała sprawy minione, ludzi, którzy zmarli, życie, które przeminęło na zawsze — i spoglądała w ciemne perspektywy twardej przyszłości.

Kiedy wreszcie wstała i znowu spojrzała na czarne ruiny Dwunastu Dębów, głowę miała podniesioną do góry, a z twarzy jej uleciał na zawsze wyraz młodości, świeżej. piękności i dobroci. Sprawy minione należały do przeszłości. Zmarli nie powstaną już nigdy. Leniwe bogactwo dawnych dni przeminęło, aby nigdy nie wrócić. W chwili gdy zakładała na rękę ciężki koszyk, Scarlett wiedziała, czego chce i jakie będzie jej życie.

Nie było powrotu, więc musiała iść naprzód.

W ciągu następnych pięćdziesięciu lat na przestrzeni całego Południa setki kobiet o zgorzkniałych oczach, patrzących wstecz na minione czasy i zmarłych ludzi, wywoływały bolesne i zbędne wspomnienia, a biedę znosiły z gorzką dumą, bo żyły przeszłością. Scarlett nie oglądała się nigdy za siebie.

Popatrzyła na sczerniałe kamienie i po raz ostatni przywołała przed oczy obraz Dwunastu Dębów, jaki znała niegdyś — dom bogaty i wyniosły, symbol pewnej klasy ludzi i pewnej stopy życiowej. Potem, uginając się pod ciężarem kosza, puściła się w drogę powrotną do Tary.

Głód znowu zaszarpał jej pustym żołądkiem, powiedziała więc głośno: — Boga biorę na świadka, Boga biorę na świadka, że Jankesi nie pokonają mnie nigdy. Przetrwam to wszystko, a jak wojna się skończy, nigdy w życiu nie będę więcej głodna. Ani ja, ani nikt z moich bliskich. Choćbym miała kraść i zabijać — Bóg mi świadkiem, że nigdy więcej głodna nie będę.

W następnych dniach Tara mogła uchodzić za bezludną wyspę Robinsona Crusoe, tak była cicha, tak zupełnie odcięta od reszty świata. Świat odległy był od niej zaledwie o kilka mil, ale mogło się wydawać, że całe przestrzenie obszarów wodnych rozciągają się między Tarą a Jonesboro, Fayetteville czy Lovejoy, nawet między Tarą a plantacjami sąsiadów. Śmierć starego konia pozbawiła ich jedynego środka komunikacji, a nikt nie miał czasu ani siły pieszo przebywać czerwone mile.

Chwilami, w dniach pracy do upadłego, rozpaczliwej walki o żywność i ciągłych trosk o trzy chore kobiety, Scarlett nagle wytężała słuch — czy nie usłyszy od strony chat dobrze znanego, ostrego śmiechu Murzyniątek, skrzypu wozów powracających z pól, grzmiącego tętentu ogiera Geralda, który mknął przez pastwisko, zajeżdżania powozów przed dom i wesołych głosów sąsiadów wstępujących na popołudniowe plotki. Na próżno jednak nasłuchiwała. Droga była cicha i pusta i nie wzbijały się na niej tumany czerwonego kurzu, wróżące przyjazd gości. Tara była wyspą na morzu czerwonych pól i falistych zielonych pagórków.

Gdzieś daleko był świat i ludzie, którzy jedli i spali bezpiecznie pod własnym dachem. Gdzieś daleko dziewczęta w trzy razy nicowanych sukniach wesoło flirtowały i śpiewały: .,Gdy się skończy straszna wojna”,, podobnie jak Scarlett niewiele tygodni temu. Gdzieś daleko toczyła się wojna, grzmiały armaty, paliły się miasta, a mężczyźni umierali w szpitalach, wśród smrodliwych, mdłych zapachów. Gdzieś daleko maszerowała bosa armia w brudnych samodziałach, walczyła, spała — głodna i pełna znużenia, które zastępuje stracone nadzieje. Gdzie indziej znowu wzgórza Georgii niebieszczyły się dobrze odżywionymi Jankesami na sytych koniach o lśniącej sierści.

Poza Tarą wojna i cały świat. Na plantacji jednak wojna i świat istniały tylko jako wspomnienia, które należy odganiać, gdy w chwilach wyczerpania zaczynają niepokoić człowieka. Świat otaczający odsuwał się na daleki plan wobec potrzeb pustych lub na wpół pustych żołądków, życie zaś ograniczało się do dwóch pokrewnych myśli: o pożywieniu i o tym, jak je zdobyć.

Jedzenie! Jedzenie! Dlaczego żołądek miał lepszą pamięć niż dusza? Scarlett umiała odgonić cierpienie, ale nie głód. Co ranka, leżąc w półśnie, nie pamiętając jeszcze o wojnie i głodzie, kuliła się sennie na posłaniu i czekała, aż dojdzie ją przyjemna woń smażonej szynki i świeżych bułek. I co ranka tak bardzo węszyła zapachy jedzenia, że budziła się naprawdę.

Żywność Tary składała się teraz z jabłek, bulw, orzeszków ziemnych i mleka, ale nigdy nie było dość nawet i tego. Na widok takiego samego jedzenia trzy razy w ciągu dnia, Scarlett musiała wspominać dawne czasy, dawne posiłki, stół oświetlony .kandelabrami i wonne zapachy w powietrzu.

Jakże mało dbali wtedy o jedzenie, ile się marnowało! Bułki, placki kukurydziane, sucharki i wafle ociekające masłem — wszystko to spożywano na raz. Szynka stała na jednym końcu stołu, kurczęta pieczone na drugim, jarzyny pływały w sosie lśniącym tłustością, na porcelanie w kwiatki leżały stosy fasoli, smażone dynie, marchewka w sosie śmietanowym tak gęstym, że można go było nożem krajać. A potem były trzy desery, aby każdy miał to, co lubi: legumina czekoladowa, galaretka waniliowa i tort owocowy z kremem. Wspomnienie tych smacznych posiłków potrafiło sprowadzać łzy do oczu Scarlett — czego nie zdołała uczynić śmierć ani wojna — wywoływało w jej pustym żołądku głodowe mdłości. Apetyt, nad którym Mammy zawsze tak ubolewała, zdrowy apetyt dziewiętnastoletniej dziewczyny wzmógł się teraz trzykrotnie z powodu ciężkiej i bezustannej pracy, której dawniej nie znała.

Ale nie tylko ona jedna bywała głodna w Tarze; gdziekolwiek spojrzała, wzrok jej padał na głodne twarze, białe i czarne. Wkrótce już i Karina, i Zuela zaczną zdradzać nienasycony apetyt rekonwalescentek. Mały Wade skomlał monotonnie: — Wade nie chce yamów. Wade głodny.

Inni także sarkali:

— Miss Scarlett, jak nie dostanę więcej do jedzenia, nie będę mogła karmić dzieci.

— Miss Scarlett, nie będę mógł rąbać drzewa, jak będę głodny.

— Kochanie, kiedy już będzie prawdziwe jedzenie?

— Córko, czy musimy jeść bulwy na obiad?

Tylko Melania nie skarżyła się nigdy. Melania, której twarz stawała się co dzień mizerniejsza i bledsza i nawet we śnie nosiła wyraz bólu.

— Nie jestem dziś głodna, Scarlett. Daj Dilcey moją porcję mleka. Ona karmi. Chorzy ludzie nie mają apetytu.

Ta jej łagodna wytrwałość więcej denerwowała Scarlett niż dokuczliwe jękliwe pytania reszty domowników. Tamtych mogła uspokoić gorzkim sarkazmem — i robiła to stale — wobec dobroci Melanii była jednak bezradna i pełna urazy. Gerald, Murzyni i Wade garnęli się teraz do Melanii, bo mimo swego osłabienia była dla nich dobra i tkliwa — w przeciwieństwie do Scarlett, która nie umiała i teraz okazać żadnego uczucia.

Wade zwłaszcza ciągle przesiadywał w pokoju Melanii. Działo się z nim coś niedobrego, ale Scarlett nie miała czasu zastanawiać się nad tym. Uwierzyła Mammy na słowo, że chłopczyk ma robaki, i nakarmiła go miksturą z ziółek i kory, którą Ellen dawała na robaki dzieciom murzyńskim. Po zażyciu lekarstwa dzieciak stał się jeszcze bledszy. W dniach owych Scarlett niewiele o nim myślała. Stanowił dla niej jeszcze jeden kłopot, był jeszcze jedną gębą do nakarmienia. Kiedyś, w przyszłości, gdy przeminie wreszcie ten wyjątkowy okres, będzie się że swoim synkiem bawiła, będzie mu opowiadała bajeczki i uczyła go abecadła. Teraz nie miała na to ani czasu, ani ochoty. Ponieważ zaś plątał się zawsze koło niej w chwilach, gdy była najbardziej zmęczona i zatroskana, często ofukiwała go ostro.

Złościło ją, że głośne jej nagany wywołują w okrągłych oczach dziecka wyraz tak ostrego strachu — Wade wyglądał jak niedorozwinięty, kiedy się czegoś przeląkł. Scarlett nie zdawała sobie sprawy, że mały chłopiec żyje w stałym przerażeniu, którego by nawet człowiek dorosły nie mógł znieść. Strach nie opuszczał Wade'a nigdy, przenikał go i sprawiał, że dzieciak budził się w nocy z krzykiem. Niespodziany szmer czy głośniejsze słowo przyprawiało go o drżenie, bo w głowie jego szmery i podniesione głosy skojarzyły się nierozerwalnie z Jankesami, Jankesów zaś bał się bardziej niż Prissy upiorów.

Do czasu oblężenia znał tylko szczęśliwe, spokojne, uregulowane życie. Mimo że matka nigdy nie poświęcała mu wiele uwagi, wszyscy pieścili go i lubili — do owej nocy, gdy wyrwany że snu zobaczył niebo w płomieniach i usłyszał ogłuszające wybuchy. Nocy tej i następnego dnia po raz pierwszy dostał klapsy od matki i usłyszał jej podniesiony głos. Dawne życie w miłym domu przy ulicy Brzoskwiniowej, jedyne, jakie znał, uleciało i Wade nie mógł przyjść do siebie po jego utracie. Podczas ucieczki z Atlanty rozumiał tylko tyle, że ścigają go Jankesi, dotąd więc jeszcze żył w ustawicznym strachu, że Jankesi porwą go i pokraja na kawałki. Ilekroć Scarlett krzyczała na niego, słabł z przerażenia, bo niejasna jego dziecięca pamięć podsuwała mu na myśl tę straszną chwilę, gdy uczyniła to po raz pierwszy. Teraz więc Jankesi i gniewne głosy skojarzały się w jego myślach na zawsze i zaczął się bać matki.

Scarlett zauważyła wreszcie, że dzieciak jej unika, i w rzadkich chwilach, gdy nie kończące się obowiązki pozwalały jej zastanowić się nad tym, martwiła się bardzo. Wolałaby już, by czepiał się jej spódnicy. Drażniło ją, że uciekał do pokoju Melanii, gdzie bawił się z nią w gry, które mu wymyślała, albo słuchał bajek, które mu opowiadała. Wade uwielbiał tę ciocię o łagodnym głosie, zawsze uśmiechniętą, która nigdy nie mówiła: — Cicho bądź, Wade! Nie zawracaj mi głowy! — albo: — Wadę, na miłość boską, przestań się wreszcie kręcić!

Scarlett nie miała czasu ani chęci pieścić go teraz, była jednak zazdrosna widząc, że robi to Mela. Kiedy pewnego dnia zastała go stojącego na głowie w łóżku Melanii i była świadkiem, jak zwalił się na chorą, uderzyła go mocno.

— Czy nie wiesz, że ciocia jest chora i że nie wolno jej męczyć? Idź sobie na podwórze, baw się tam i nie przychodź mi tu więcej.

Melania jednak wyciągnęła słabą rękę i przytuliła płaczące dziecko do siebie.

— Cicho, cicho, Wade. Nie chciałeś mnie przecież potrącić, prawda? On wcale mi nie przeszkadza, Scarlett. Pozwól mu zostać że mną. Pozwól, abym się nim opiekowała. To jedyna rzecz, jaką mogę robić, dopóki nie wyzdrowieję, a ty i bez niego masz pełne ręce roboty.

— Nie bądź dzieckiem, Melu — rzekła Scarlett oschle. — Nie przychodzisz do zdrowia tak szybko, jak by należało, więc koziołki Wade'a po twoim brzuchu mogą ci tylko zaszkodzić. Słuchaj, Wade, jeżeli jeszcze raz przyłapię cię na łóżku cioci, wyrzucę cię stąd na dobre. I przestań mi chlipać. Ciągle byś tylko chlipał. Staraj się być mężczyzną.

Wade wybiegł z pokoju płacząc i ukrył się za domem. Melania zagryzła wargi i łzy ukazały się w jej oczach, stojąca zaś w hallu Mammy, świadek tej sceny, popatrzyła ponuro na Scarlett i zaczęła głośno sapać. Nikt jednak w owym czasie nie ośmielał się Scarlett sprzeciwiać. Obawiano się jej ostrego języka, obawiano się nowej istoty, która pojawiła się w jej skórze.

Scarlett królowała teraz w Tarze niepodzielnie. Jak u wielu osób, niespodzianie wyniesionych do władzy, tak i u niej na plan pierwszy wybiła się skłonność do poniewierania ludźmi. Nie dlatego, iżby była z gruntu niedobra. Była tak przerażona odpowiedzialnością i niepewna siebie, że stawała się. surowa dla innych, aby nie domyślili się jej słabości i nie odmawiali posłuszeństwa. Poza tym jednak znajdowała pewną przyjemność w krzyczeniu na ludzi i świadomości, że się jej boją. Przynosiło to ulgę jej napiętym nerwom. Zdawała sobie sprawę z tego, że zmieniła się bardzo. Czasem, kiedy na jakiś jej rozkaz Pork z urazą wydymał dolną wargę, a Mammy mruczała: — Pewne osoby bardzo się teraz panoszą — zastanawiała się, gdzie się podziały jej dobre maniery. Uprzejmość i łagodność, które Ellen starała się w niej wyrobić, opadły z niej szybko, jak opadają liście z drzew za pierwszym podmuchem jesieni.

Ellen powtarzała jej stale i zawsze: „Bądź stanowcza, ale łagodna w stosunku do podwładnych, szczególnie zaś Murzynów”.

Gdyby jednak była teraz łagodna, Murzyni siedzieliby w kuchni przez cały dzień i rozmawiali bez końca o dawnych dobrych czasach, kiedy Murzyn z pokojów nie musiał spełniać funkcji parobka.

„Kochaj swoje siostry i opiekuj się nimi. Bądź dobra dla strapionych — mawiała Ellen. — Okazuj tkliwość ludziom smutnym i nieszczęśliwym”.

Scarlett nie mogła teraz kochać swoich sióstr. Były jej po prostu ciężarem. Jeżeli zaś chodzi o opiekowanie się nimi, to czy nie kąpała ich, nie czesała i nie karmiła kosztem codziennego chodzenia na poszukiwanie jarzyn? Czy nie nauczyła się doić krowy, mimo że serce stawało jej w gardle, gdy ta straszliwa bestia nastawiała na nią rogi? Okazywanie dobroci było tylko stratą czasu. Gdyby była dla sióstr przesadnie dobra, leżałyby bez końca w łóżkach, ona zaś chciała, aby jak najprędzej stanęły na nogach, bo potrzebne jej były jeszcze cztery ręce do pomocy.

Dziewczęta przychodziły do zdrowia powoli i leżały w swoich łóżkach wychudłe i słabe. Podczas ich choroby świat cały się odmienił. Przyszli Jankesi, uciekli Murzyni, umarła matka.

Trzech tych wydarzeń nie mogły pojąć. Czasem wydawało im się, że są jeszcze nieprzytomne i że to wszystko było snem. Zresztą i Scarlett była tak zmieniona, że było niemożliwością, aby istniała naprawdę. Kiedy pochylała się nad poręczą ich łóżka i mówiła, jaka czeka je praca, jak tylko wyzdrowieją, patrzyły na nią jak na upiora. Nie mogły zrozumieć, że nie mają już setki niewolników, którzy by na nie pracowali. Nie mogły pojąć, że panny O'Hara mają się zniżyć do fizycznej pracy.

— Ależ, siostro — mówiła Karina, a dziecinna jej twarzyczka była zmartwiała że zdumienia — przecież ja nie mogę łupać drewek! Zniszczyłabym sobie ręce!

— Popatrz na moje — odpowiadała z okrutnym uśmiechem Scarlett pokazując jej swoje zgrubiałe i pełne odcisków dłonie.

— To obrzydliwe z twojej strony, że w ten sposób mówisz do małej i do mnie! — płakała Zuela. — Kłamiesz, bo chcesz nas nastraszyć. Gdyby mama tu była, nie pozwoliłaby ci w ten sposób do nas mówić! Łupać drwa na opał! Rzeczywiście!

Zuela patrzyła z nienawiścią na starszą siostrę, bo była przekonana, że Scarlett mówi to wszystko, aby jej dokuczyć. Zuela omal nie umarła, straciła matkę, była samotna i przerażona, chciała więc, aby ktoś ją pieścił i litował się nad nią. Zamiast tego Scarlett opierała się co dzień o poręcz łóżka i obserwowała jej poprawę z brzydkim nowym błyskiem w zielonych oczach, mówiąc o ścieleniu łóżek, gotowaniu jedzenia, noszeniu wiader wody i łupaniu drewek. A tak przy tym wyglądała, jak gdyby mówienie tych okropnych rzeczy sprawiało jej przyjemność.

Było tak istotnie. Poganiała Murzynów i drażniła siostry nie tylko dlatego, że była zmartwiona, przemęczona i zdenerwowana, ale dlatego także, że pomagało jej to zapomnieć o rozczarowaniu, jakie sama czuła, kiedy wszystkie nauki matki okazały się teraz bez sensu.

Wszystko, czego nauczyła się od matki, nagle straciło wartość, Scarlett więc nie przestawała się dziwić. Nie przychodziło jej na myśl, że Ellen nie mogła przewidzieć upadku świata, w którym wychowała swoje córki, że nie mogła przypuszczać, iż zniknie ta warstwa społeczna, wśród której miały się obracać. Nie przychodziło jej na myśl, że gdy Ellen uczyła ją, aby była łagodna i miła, uczciwa i dobra, skromna i prawdomówna, widziała przed nią spokojną przyszłość, podobną do własnego swego życia bez zdarzeń. „Życie dobrze się obchodzi z kobietami, które są właśnie takie” — mawiała Ellen.

Scarlett myślała z rozpaczą: „Nic mi z tego, czego mnie nauczyła! Cóż mi teraz przyjdzie z dobroci? Co z uprzejmości? Lepiej byłoby, gdybym umiała orać albo skubać bawełnę jak Murzynka. Och, mamo, nie miałaś racji!”

Nie zastanawiała się wcale, że uporządkowany świat Ellen przeminął na zawsze, a na jego miejsce pojawił się świat brutalny, świat w którym zmieniły się wszystkie zasady i wszelkie wartości. Widziała tylko, a raczej zdawało jej się, że widzi, iż matka jej omyliła się, zmieniała się więc jak najszybciej, aby czoło stawić nowemu światu, do którego nie była przygotowana.

Nie zmieniła się tylko miłość jej do Tary. Choćby wlokła się bardzo zmęczona do domu, w chwili gdy widziała białe ściany przed sobą, serce jej pęczniało miłością i radością powrotu. Gdy wyglądała z okna na zielone łąki, czerwone pola i gąszcz lasu nad moczarami, wypełniało ją poczucie piękna. Miłość jej do tej falistej, jasnoczerwonej ziemi, do tej dobrej gleby, która miała kolor krwi, granatu, cegły, cynobru, i tak cudownie rodziła zielone, usiane gwiazdami białego puchu krzaczki bawełny, była jedynym uczuciem w Scarlett, które nie uległo zmianie, choć zmieniło się wszystko inne. Nigdzie w świecie nie było takiej jak ta ziemi.

Patrząc na Tarę lepiej rozumiała, dlaczego ludzie toczą wojny. Rett mylił się mówiąc, że wojny są prowadzone dla pieniędzy. Nie, boje toczyły się o morgi ziemi miękko pociętej pługiem, o łąki świeżo skoszone, o żółte, leniwe rzeki i białe domy stojące pośród magnolii. To były jedyne rzeczy, o które warto walczyć — czerwona ziemia, która będzie ziemią synów, ziemia mająca rodzić bawełnę dla synów tych synów, i wnuków.

Zdeptana ziemia Tary była jedynym, co Scarlett zostało teraz, gdy nie było już matki ani Ashleya, gdy Gerald był ogłupiały nieszczęściem, a pieniądze, Murzyni, bezpieczeństwo i stanowisko znikły przez noc. Jak z innego życia przypominała sobie pewną rozmowę z Geraldem o ziemi i dziwiła się, że była zbyt młoda, zbyt głupia, aby zrozumieć, co miał na myśli mówiąc, że ziemia jest jedyną w świecie rzeczą, o którą warto walczyć.

— Bo to jest jedyna rzecz trwała... a dla każdego, kto ma w sobie choć kroplę irlandzkiej krwi, ziemia jest matką... To jedyna rzecz, dla której warto pracować, o którą warto walczyć i umierać.

Tak, warto było walczyć o Tarę. Scarlett więc z prostotą i bez pytania przyjęła tę walkę. Nikt w świecie nie mógł jej odebrać Tary. Nikomu nie pozwoli rzucić siebie i swoich bliskich na pastwę losu czy litości krewnych. Utrzyma Tarę, choćby miała bić się o nią do upadłego.

## ROZDZIAŁ XXVI

W dwa tygodnie po powrocie z Atlanty zaczął Scarlett ropieć największy pęcherz na stopie. Noga spuchła jej tak, że nie mogła włożyć pantofla i musiała kuśtykać na pięcie. Rozpacz ją ogarniała, kiedy patrzyła na ślimaczącą się ranę na dużym palcu. Co będzie, jeżeli wywiąże się z tego gangrena i będzie musiała umrzeć z braku pomocy lekarskiej? Mimo że życie jej było teraz trudne, nie miała najmniejszej ochoty go porzucać. Cóż by się stało z Tarą po jej śmierci?

Bezpośrednio po swoim powrocie Scarlett miała nadzieję, że Gerald przyjdzie do siebie i obejmie rządy, ale teraz nadzieja ta opuściła ją zupełnie. Teraz wiedziała, że chcąc nie chcąc musi myśleć o losach plantacji i wszystkich jej mieszkańców, ponieważ Gerald ciągle jeszcze siedział bez ruchu jak zjawa senna, przeraźliwie daleki, bardzo łagodny. Na wszystkie jej prośby o radę odpowiadał niezmiennie: — Rób, jak uważasz za stosowne, córko. — Albo gorzej jeszcze: — Poradź się matki, kotku.

Ojciec nigdy nie przyjdzie do siebie. Scarlett zrozumiała teraz tę prawdę i przyjęła ją bez wzruszenia; do końca życia będzie stale czekał na Ellen i słuchał, czy nie nadchodzi. Przebywał w jakiejś dalekiej, mglistej krainie, gdzie czas stał w miejscu, a Ellen zawsze była w sąsiednim pokoju. Główna sprężyna jego życia pękła z chwilą jej śmierci, a z nią razem minęła jego pewność siebie, zawadiactwo i wielka żywotność. Ellen była widownią, przed którą rozgrywał się dramat życia Geralda O'Hary. Teraz kurtyna zapadła na zawsze, lampy zgaszono, widzowie nagle znikli, a stary zdumiony aktor został na scenie sam i czekał bezmyślnie, aż przyjdzie pora na jego rolę.

Tego ranka dom był cichy, bo wszyscy z wyjątkiem Scarlett, Wade'a i trzech chorych wyszli na moczary, aby schwytać świnie. Nawet Gerald ożywił się trochę i podreptał przez pola opierając się jedną ręką na ramieniu Porka, a w drugiej trzymając zwój sznura. Zuela i Karina dopóty płakały, aż zasnęły — co zdarzało im się przynajmniej dwa razy dziennie, gdy myślały o Ellen — a łzy żalu i słabości spływały im we śnie po zapadniętych policzkach. Melanią, która tego dnia po raz pierwszy usiadła w łóżku, przykryta połatanym prześcieradłem, siedziała między dwoma niemowlętami, z jasną główką jednego na jednej piersi, a kędzierzawym łebkiem dziecka Dilcey na drugiej. Wade siedział w nogach jej łóżka i przysłuchiwał się bajce o wróżkach.

Scarlett wydawał się nieznośny ten spokój Tary, bo zbyt ostro przypominał jej śmiertelną ciszę okolic, przez które przejeżdżała podczas podróży z Atlanty. Krowa i cielę od wielu godzin nie wydały ani głosu. Ptaki nie świergotały za oknem i nawet hałaśliwa rodzina drozdów, która od wielu pokoleń mieszkała między głośno szumiącymi liśćmi magnolii, milczała tego dnia. Przysunęła do okna swojej sypialni niskie krzesło i siedząc z podciągniętą za kolana suknią, z rękami opartymi o parapet okna, patrzyła na podjazd, na trawnik przed domem i puste pastwisko za szosą. Obok siebie postawiła wiadro wody źródlanej, w którym co parę minut zanurzała chorą nogę, krzywiąc się przy tym z bólu.

Złożyła głowę na rękach, bardzo nieszczęśliwa. W chwili gdy była najbardziej potrzebna, musiała jej się właśnie taka rzecz przytrafić. Ci głupcy nigdy nie złapią maciory. Przez tydzień szukali prosiąt i łapali po jednym, teraz po dwóch tygodniach maciora była jeszcze na wolności. Scarlett była pewna, że gdyby mogła pójść na moczary, sama schwytałaby maciorę na lasso bez trudu.

Ale co dalej, nawet jeżeli maciora zostanie schwytana? Co potem, kiedy zje się już i ją, i jej prosiaki? Życie potoczy się dalej, apetyty będzie trzeba wciąż zaspokajać. Zbliżała się zima i Tarze groził brak żywności, bo nawet i nędzne resztki jarzyn z ogrodów sąsiedzkich były na wyczerpaniu. Trzeba mieć groch suszony i sorgo, mąkę i ryż, i... ach, tyle jeszcze rzeczy. Kukurydzę i bawełnę do wiosennych zasiewów i trochę nowego odzienia. Skąd miała wziąć na to wszystko i czym za to zapłacić?

W sekrecie przetrząsnęła kieszenie Geralda i jego szkatułkę z pieniędzmi, ale znalazła tylko trochę bonów pożyczki wojennej i trzy tysiące dolarów w walucie Konfederacji. „To wystarczy na jeden skromny obiad dla wszystkich — myślała z ironią — teraz, gdy waluta Konfederacji nic nie jest warta”. Gdyby jednak miała nawet pieniądze i mogła gdzieś dostać żywność, jak miała ją przywieźć do Tary? Czemu Bóg dopuścił, aby ten stary koń zdechł? Nieszczęsna, skradziona przez Retta szkapina bardzo by się teraz im przydała. Gdzież się podziały piękne, gładkie muły, które pasły się na łące za drogą, gdzie rosłe konie cugowe i jej mała klacz, i kucyki dziewcząt, i wielki ogier Geralda, wierzgający i kopiący ziemię. Och, czegóż by nie dała za najbardziej choćby narowistego muła?

Wszystko jedno — jak tylko wygoi jej się noga. pójdzie pieszo do Jonesboro. Będzie to najdłuższy spacer w jej życiu, niemniej jednak pójdzie. Nawet jeżeli Jankesi obrócili miasto w perzynę, z pewnością znajdzie kogoś w okolicy, kto powie jej, gdzie można dostać żywność. Przed oczyma stanęła jej wychudła twarzyczka Wade'a. Powtarzał, że nie lubi yamów, chciał kurczę pieczone i ryż z sosem.

Jasne, padające na ogród promienie słońca pociemniały nagle, a drzewa osnuła łzawa zasłona. Scarlett oparła głowę na rękach i starała się zapanować nad łzami. Były teraz bardzo nie na czasie. Łzy miały sens tylko wtedy, gdy w pobliżu był jakiś mężczyzna, od którego chciało się wsparcia. Kiedy tak siedziała, mocno zaciskając powieki, aby wstrzymać łzy, usłyszała nagle tętent kopyt. Nie podniosła głowy. Zbyt często wyobrażała go sobie w ciągu dni i nocy ostatnich dwóch tygodni, tak samo zresztą jak szelest spódnic Ellen. Z początku zabiło jej serce, jak zwykle w takich chwilach, potem jednak powiedziała sobie surowo: — Nie bądź głupia.

Tętent ucichł jednak w sposób zupełnie naturalny, jak przy wstrzymywaniu konia, potem zaś rozległo się rytmiczne skrzypienie żwiru. Ktoś naprawdę przyjechał, któryś z Tarletonów czy Fontaine'ów! Wyjrzała szybko. Ujrzała jankeskiego kawalerzystę.

Bez namysłu skryła się za firanką i jak urzeczona przyglądała mu się przez grube fałdy materiału, ciężko dysząc z przerażenia. Na siodle siedział wygodnie tęgi, ordynarny z pozoru mężczyzna, o czarnej brodzie, rozwiewającej się nad niedopiętą kurtką munduru. Małe jego, blisko siebie osadzone oczki spokojnie patrzyły na dom spod daszka niebieskiego kepi. Kiedy wolno zsiadał z konia i zarzucał uzdę na palik, Scarlett odetchnęła głęboko, jak po mocnym uderzeniu w dołek. Jankes, Jankes z długim pistoletem u pasa! A ona była w domu sama, z dziećmi i trzema chorymi!

Kiedy z ręką na kolbie Jankes szedł wolno aleją, rozglądając się małymi oczkami w lewo i w prawo, przed oczyma duszy Scarlett przewijał się kalejdoskop obrazów: opowiadania ciotki Pittypat, jak to Jankesi bezbronne kobiety dźgają nożami, jak palą domy nad głowami umierających, jak zabijają płaczące dzieci — wszystkie nieopisane okrucieństwa, które kryły się w dźwięku słowa „Jankes”.

Pierwszym jej odruchem była chęć ukrycia się w szafie czy pod łóżkiem, ucieczka przez kuchnię na moczary, byle co — byle go nie widzieć. Potem usłyszała ostrożne kroki żołnierza na frontowych schodkach i w hallu i zrozumiała, że ucieczka będzie niemożliwa. Zbyt przerażona, aby się poruszyć, słyszała, jak przechodzi na dole z pokoju do pokoju, jak kroki jego stają się pewniejsze i głośniejsze, ponieważ nikogo nie spotkał. Teraz był w jadalni, za chwilę przejdzie do kuchni.

Na myśl o kuchni wściekłość zagrała w piersiach Scarlett tak ostro, że poczuła ją w sercu jak uderzenie nożem — i strach jej uleciał przed tą przemożną furią. Kuchnia! Tam na palenisku stały dwa garnki: w jednym dusiły się jabłka, w drugim — mieszanka z jarzyn, z takim trudem zebranych w Dwunastu Dębach i ogrodzie Maclntoshów — obiad, który miał starczyć dla dziesięciorga głodnych osób, a nie zaspokoiłby nawet dwóch. Scarlett od wielu godzin walczyła z apetytem, czekając na powrót domowników, myśl więc, że Jankes może zjeść ich skąpy posiłek, napełniła ją pasją.

Niechże ich Bóg pokarze! Spadli jak szarańcza i skazali Tarę na powolne konanie, a teraz znowu wracają, aby okraść ją z nędznych resztek! Puste jej kiszki skręcały się z głodu. Nie, ten Jankes więcej już kraść nie będzie.

Zrzuciła z nogi stary pantofel i szybko podreptała boso w stronę komody, nie myśląc wcale o bolącym palcu. Otworzyła bezszelestnie górną szufladę i wyjęła z niej ciężki, przywieziony z Atlanty pistolet, broń, którą nosił Karol, a której nie zdążył użyć. że skórzanej, wiszącej na ścianie pod jego szablą ładownicy wyjęła nabój. Nabiła pistolet dłonią, która nawet nie drgnęła. Szybko i cicho przebiegła przez korytarz na schody i oparła się o poręcz jedną ręką, drugą zaś trzymała pistolet oparty o udo i ukryty w fałdach sukni.

— Kto tam? — zawołał nosowy głos, zatrzymała się więc w połowie piętra, a krew tak mocno zaszumiała jej w uszach, że ledwie słyszała słowa żołnierza. — Stać, bo strzelam! — powiedział.

Stal w drzwiach jadalni, podany do przodu, w napięciu, w jednej ręce trzymając pistolet, w drugiej małą szkatułkę z drzewa różanego, w której leżał złoty naparstek, złote nożyczki i mała żołądź że szmerglu. Scarlett miała nogi zimne aż po kolana, ale wściekłość paliła jej policzki. Szkatułka z przyborami do szycia Ellen w rękach tego łotra! Chciała krzyknąć: ,,Odłóż to! Odłóż to, ty wstrętny psie!”, ale słowa uwięzły jej w gardle. Patrzyła tylko przez poręcz schodów na Jankesa i widziała, jak na twarzy jego w miejsce czujności pojawia się na wpół wzgardliwy, na wpół pochlebny uśmieszek.

— A więc w domu ktoś jest — powiedział wsuwając pistolet za pas, po czym wszedł do hallu i stanął naprzeciw Scarlett. — Czy śliczna panienka jest zupełnie sama?

Szybko, jak błyskawica wysunęła broń nad balustradą i wymierzyła w brodatą twarz Jankesa. Zanim zdążył sięgnąć po broń, nacisnęła cyngiel. Zachwiała się, gdy pistolet wystrzelił, gdy huk wybuchu zabrzmiał w jej uszach, a gryzący dym napełnił nozdrza. Mężczyzna runął tyłem na podłogę tak gwałtownie, że aż zadrżały meble. Szkatułka wypadła mu z ręki i zawartość jej rozsypała się dokoła. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Scarlett zbiegła po schodach i stanęła nad nim, wlepiając oczy w resztki twarzy nad brodą, w krwawą jamę zamiast nosa, w szkliste oczy wypalone prochem. Kiedy tak patrzyła, dwie strużki krwi zaczęły ciec po wywoskowanej podłodze, jedna z twarzy, druga z tyłu czaszki Jankesa.

Tak, nie żył. Na pewno. Zabiła człowieka.

Dym wzbił się wolno do sufitu, a czerwone strużki rozszerzyły się koło jej stóp. Stała nie wiedząc jak długo. W ciszy upalnego poranka każdy nic nie znaczący dźwięk czy zapach stawał się wyolbrzymiony — szybkie walenie jej serca, lekki szelest liści magnoliowych, daleki, żałosny glos ptaka z moczarów i słodki zapach kwiatów za oknami.

Zabiła człowieka — ona, która nigdy nie brała udziału w polowaniu z nagonką, która nie mogła znieść kwiku zarzynanego wieprza ani pisku królika w sidłach. „To mord! — pomyślała tępo. — Popełniłam morderstwo. Och, przecież to niemożliwe!” Oczy jej spoczęły na krótkiej owłosionej dłoni na podłodze, tuż przy skrzyneczce, i nagle znowu odżyła, poczuła w sobie okrutną, drapieżna radość. Teraz potrafiłaby zdeptać trupa i rozkosz sprawiałoby jej ciepło krwi na bosych stopach. Wymierzyła karę za Tarę — i za Ellen.

Na górze rozległy się pośpieszne, niepewne kroki, po czym ustały. Po chwili dał się słyszeć także chrzęst metalu. Scarlett wróciło teraz poczucie czasu i rzeczywistości. Spojrzała w górę i u szczytu schodów ujrzała Melanię w połatanej dziennej koszuli, w której leżała w łóżku, w słabej ręce dźwigającą szablę Karola. Oczy Meli objęły całą scenę na dole — rozciągnięte ciało w niebieskim mundurze, leżące w kałuży krwi, skrzyneczkę z rozrzuconymi drobiazgami tuż obok, bosą Scarlett z poszarzałą twarzą, trzymającą kurczowo długi pistolet.

W milczeniu Mela popatrzyła na Scarlett. Na łagodnej jej twarzy świeciła teraz ponura duma i aprobata, a w uśmiechu malowała się okrutna radość, równa chyba uczuciom, które przepełniały Scarlett.

„Ależ, ależ ona podobna jest do mnie! Rozumie, co czuję! — myślała Scarlett w czasie tej długiej chwili. — Zrobiłaby z pewnością to samo na moim miejscu!”

Z dreszczem przyjrzała się wątłej, bliskiej zemdlenia kobiecie, dla której żywiła dotąd tylko pogardę i nienawiść. Teraz, zapominając o niechęci do żony Ashleya, poczuła dla niej podziw. Z nagłą jasnością i bez jakiejkolwiek domieszki niskich uczuć zrozumiała, że pod łagodnym głosem i gołębimi oczyma Melanii kryje się niezłomne jak stal serce, że mimo spokoju, cechuje ją ogromna odwaga.

— Scarlett! Scarlett! — zabrzmiały zza zamkniętych drzwi przerażone głosiki Zueli i Kariny, a Wade wrzeszczał: — Ciociu! Ciociu! — Melania przyłożyła palec do ust i kładąc szablę na najwyższym stopniu schodów, zawróciła do pokoju chorych.

— Nie bójcie się, dziewczynki! — powiedziała że sztuczną wesołością. — Siostra wasza chciała oczyścić z rdzy pistolet Karola i wyobraźcie sobie, że wystrzelił w jej ręku, a więc teraz biedaczka trzęsie się że strachu... Słuchaj, Wade, wyobraź sobie, że mamusia właśnie strzeliła z pistoletu twego tatusia. Kiedy będziesz duży, pozwoli może i tobie strzelić.

„Jak ona doskonale kłamie! — pomyślała Scarlett z podziwem. — Ja bym tego tak szybko nie wymyśliła. Ale po co kłamie? I tak wszyscy będą się musieli dowiedzieć, co zrobiłam”.

Popatrzyła znowu na trupa i teraz, kiedy wściekłość i przerażenie ustąpiły, ogarnął ją wstręt. Reakcja była tak silna, że zadrżały jej kolana. Melania znowu przywlokła się ku schodom i zaczęła schodzić na dół, trzymając się mocno poręczy i przygryzając dolną wargę.

— Wracaj do łóżka, głuptasie, zaszkodzisz sobie tylko! — zawołała Scarlett, Melania jednak, półnaga, nie przestawała z trudem schodzić do hallu.

— Scarlett — wyszeptała — musimy go stąd zabrać i pochować. Może nie był sam, więc jeżeli go tu znajdą… — Oparła się na ramieniu Scarlett.

— Był chyba sam — rzekła Scarlett. — Nie widziałam z okna nikogo więcej. To pewnie dezerter.

— Nawet jeżeli tak jest, lepiej, aby nikt się o tym nie dowiedział. Murzyni mogą się wygadać, a wtedy ciebie uwiężą. Scarlett, musimy go gdzieś ukryć, zanim oni wrócą do domu.

Pobudzona do czynu gorączkowym głosem Melanii, Scarlett zamyśliła się głęboko.

— Mogłabym go zakopać w kącie ogrodu pod altaną. Grunt tam jest miękki, bo Pork niedawno wykopał baryłkę z wódką. Ale jak go tam przenieść?

— Weźmiemy go za nogi i zawleczemy na miejsce — rzekła Mela stanowczo.

Podziw Scarlett dla niej wzmógł się jeszcze, mimo że przyznawała się do tego niechętnie.

— Ty nie mogłabyś pociągnąć nawet i kota. Ja go tam przeniosę sama — rzekła szorstko. — Wracaj do łóżka. Zabijesz się. Nie waż mi się pomagać, bo zaniosę cię na górę.

Na bladej twarzy Melanii zakwitł słodki uśmiech.

— Bardzo jesteś kochana, Scarlett — rzekła i łagodnie dotknęła wargami jej policzka. Zanim Scarlett otrząsnęła się że zdziwienia, Melania rzekła: — Jeżeli poradzisz sobie z nim sama, ja uporządkuję tę kałużę, zanim oni wrócą do domu i, Scarlett...

— Co takiego?

— Czy uważasz, że byłoby to bardzo nieuczciwe, gdybyśmy przeszukały jego tornister? Może ma coś do jedzenia.

— Nie, wcale tak nie uważam — rzekła Scarlett zła, że nie przyszło jej to wcześniej do głowy. — Ty zajmij się tornistrem, a ja przeszukam mu kieszenie.

Pochylając się nad trupem że wstrętem, rozpięła guziki jego munduru i systematycznie zaczęła opróżniać kieszenie.

— Boże święty! — szepnęła wyciągając wypchany, owinięty gałganem woreczek. — Melu, Melu, tu jest pełno pieniędzy!

Melania nic nie odpowiedziała, ale usiadła nagle na podłodze i oparła się o ścianę.

— Otwórz woreczek sama — rzekła drżącym głosem. — Ja słabo się czuję.

Scarlett rozerwała szmatę i drżącymi palcami otworzyła portmonetkę.

— Melu, Melu, popatrz tylko!

Melania spojrzała i źrenice jej rozszerzyły się. W bezładnej masie była tam garść zielonych dolarów Stanów Zjednoczonych, pomieszana z banknotami Konfederacji, na samym zaś spodzie błyskały trzy sztuki złota — jedna dziesięcio- i dwie pięciodolarowe.

— Nie licz tęgo teraz — rzekła Mela, gdy Scarlett zaczęła przebierać w pieniądzach. — Nie mamy czasu.

— Czy zdajesz sobie sprawę, Melanio, iż pieniądze te znaczą, że będziemy jedli?

— Tak, tak, kochanie. Wiem o tym, ale teraz naprawdę nie mamy czasu. Przejrzyj resztę kieszeni, a ja opróżnię tornister.

Scarlett bardzo niechętnie odłożyła woreczek. Otwierały się przed nią radosne perspektywy, miała prawdziwe pieniądze i konia Jankesa — a więc jedzenie! Musiał jednak istnieć jakiś Bóg, który opiekował się ludźmi, chociaż dziwne miał sposoby okazywania swojej opieki! Usiadła i popatrzyła na portmonetkę z uśmiechem. Jedzenie! Melania wyjęła ją z jej rąk.

— Śpiesz się! — powiedziała.

W kieszeniach spodni niczego nie znalazca, z wyjątkiem kawałka świecy, scyzoryka, grudki tytoniu i sznurka. Melania wydobyła z tornistra małą paczkę kawy, którą powąchała z lubością, jak najpiękniejsze perfumy, suchary, i, nagle pobladłszy — miniaturę małej dziewczynki, w złotej, wysadzanej drobnymi perełkami ramce, broszkę z granatów, dwie szerokie złote bransolety z małymi breloczkami, złoty naparstek, małą srebrną filiżankę dziecięcą, złote nożyczki do haftów, pierścionek z diamentem i parę długich kolczyków z diamentami w kształcie gruszki, które z pewnością, na oko sądząc, ważyły przeszło karat każdy.

— Złodziej! — szepnęła odsuwając się od sztywniejącego ciała. — Scarlett, on to wszystko na pewno ukradł!

— Rozumie się — rzekła Scarlett. — A tutaj przyszedł, aby okraść i nas.

— Cieszę się, żeś go zabiła — rzekła Melania ponuro. — Teraz śpiesz się, kochanie, i zabierz go stąd.

Scarlett pochyliła się, wzięła trupa za buty i zaczęła ciągnąć. Był ciężki, tym bardziej, że nagle odeszły ją siły. Co będzie, jeżeli nie dowlecze go na miejsce? Odwracając się tyłem do ciała, wzięła jego nogi pod ramiona i zaczęła w ten sposób iść naprzód. Ciało poruszyło się, szarpnęła więc znowu. Chora noga, o której zapomniała w podnieceniu, teraz pulsowała tak gwałtownie, że musiała z bólu zacisnąć zęby i przenieść ciężar ciała na piętę. Ciągnąc i wysilając się, ociekając potem, wywlokła trupa z hallu, a czerwony ślad znaczył jej przejście.

— Jeżeli i na podwórzu będą ślady, nie będzie można ich ukryć — powiedziała ciężko dysząc. — Daj mi swoją koszulę, Melu, okręcę nią jego głowę.

Blada twarz Melanii stała się szkarłatna.

— Nie bądź głupia, nie będę się na ciebie patrzyła — rzekła Scarlett. — Gdybym miała halkę czy pantalony, zużyłabym je na to.

Przysunąwszy się do ściany Melania ściągnęła przez głowę połataną koszulę i w milczeniu podała ją Scarlett, sama zaś zakryła się rękami, jak mogła najlepiej.

„Dzięki Bogu, że ja nie jestem tak skromna” — pomyślała Scarlett, bardziej wyczuwając niż widząc rozpaczliwe zakłopotanie Melanii, gdy owijała płótnem pogruchotaną twarz trupa.

To ciągnąc Jankesa, to przystając, dowlokła go wreszcie do kuchennego ganku i zatrzymując się, aby obetrzeć wierzchem dłoni spocone czoło, obejrzała się ukradkiem na Melę, która, oparta o ścianę, podciągała chude kolana do piersi. „Jak głupio z jej strony, że w takiej chwili pamięta jeszcze o skromności” — pomyślała Scarlett że złością. To należało widać do jej przesadnie dystyngowanych manier, które Scarlett napawały pogardą. Naraz zawstydziła się swoich myśli. Ostatecznie — ostatecznie Melania zwlokła się z łóżka tak niedługo po porodzie i przyszła jej z pomocą, niosąc zbyt ciężką dla siebie broń. To wymagało odwagi, tego gatunku odwagi, której Scarlett nie posiadała wcale — ostrej jak stal, cierpliwej odwagi, jaką Melania okazała podczas okropnej nocy upadku Atlanty i w czasie długiej podróży do domu. Była to ta sama nieuchwytna, nieefektowna odwaga, cechująca wszystkich Wilkesów, cnota, której Scarlett nie rozumiała, ale której, acz niechętnie, oddać musiała hołd.

— Wracaj do łóżka — rzuciła przez ramię. — Umrzesz, jeżeli tego nie zrobisz. Ja tu sprzątnę sarna, jak tylko go pochowam.

— Wytrę to wszystko dywanikiem — szepnęła Melania patrząc z obrzydzeniem na kałużę krwi.

— No, więc zabijaj się, jeśli chcesz, mnie to nic nie obchodzi! A jeżeli ktoś z nich wróci do domu, zanim skończę, zatrzymaj ich w mieszkaniu i powiedz, że koń przybłąkał się sam, nie wiadomo skąd.

Melania drżąc siedziała w słońcu porannym. Przykryła dłońmi uszy, gdy rozległ się szereg tępych uderzeń — to głowa zabitego uderzała o schodki.

Nikt nie pytał, skąd się wziął koń. Oczywiste było, że zabłąkał się po bitwie; wszyscy bardzo się cieszyli. Jankes leżał w płytkiej norze, którą mu Scarlett wykopała pod obrosłą winem altaną. Podpórki, dokoła których wiły się grube gałęzie wina, były już przegniłe, więc tego samego wieczora Scarlett tak długo siekła je kuchennym nożem, aż runęły i masa liści nakryła grób. Nigdy potem nie wspominała Murzynom, że należy umocnić podpórki, oni zaś, choć może wiedzieli, dlaczego tego nie robi, nigdy jej o tym nie przypomnieli.

Z płytkiego grobu nie wyszedł duch, który by ją straszył podczas długich, bezsennych nocy. Wspomnienie tego czynu nie wywoływało w niej wstrętu ani wyrzutów sumienia. Dziwiła się tylko sobie, bo wiedziała, że miesiąc wcześniej nie potrafiłaby czegoś podobnego dokonać. Śliczna młoda pani Hamilton, o rozkosznych dołeczkach, długich kolczykach i bezradnych, naiwnych minkach — zgruchotała twarz silnego mężczyzny na proszek i pochowała go sama w pośpiesznie wygrzebanej jamie! Scarlett uśmiechała się ponuro, myśląc o zdumieniu, jakie możliwość podobnej sytuacji wywołałaby wśród tych, którzy ją znali.

„Nie będę i o tym myślała — postanowiła. — Przeszło, skończyło się, byłabym oślicą, gdybym go nie zabiła. Zdaje mi się, że musiałam się trochę zmienić od chwili przybycia do domu, bo w przeciwnym razie nie mogłabym tego zrobić”.

Ilekroć czekało ją teraz jakieś nieprzyjemne i trudne zadanie, czaiła się w niej niewyraźna myśl, która dodawała jej siły: „Popełniłam morderstwo, więc z pewnością i to będę mogła zrobić”.

Zmieniła się więcej, niż przypuszczała; skorupa, która zaczęła się tworzyć dokoła jej serca, gdy leżała w ogrodzie niewolników w Dwunastu Dębach, twardniała teraz i rosła.

Mając konia Scarlett mogła się teraz osobiście przekonać, co się dzieje z sąsiadami. Od czasu przybycia do domu wielokrotnie zastanawiała się z rozpaczą: „Czy tylko my jedni ocaleliśmy w całym powiecie? Czy resztę dworów puszczono z dymem? Czy też wszyscy zdążyli uciec do Macon?” Mając świeżo w pamięci ruiny Dwunastu Dębów, domu Maclntoshów i nędznego domostwa Slatterych, prawie się bała dowiedzieć prawdy. Lepiej jednak było przekonać się o najgorszym, niż nie mieć pewności. Postanowiła przede wszystkim pojechać do Fontaine'ów — nie dlatego, że byli najbliższymi sąsiadami, ale ponieważ miała nadzieję zastać tam starego doktora. Melanii potrzebny był lekarz. Nie przychodziła do zdrowia tak szybko, jakby należało, a Scarlett była przestraszona jej śmiertelną bladością.

Pierwszego zaraz dnia, gdy mogła wsunąć pantofel na chorą nogę, siadła na jankeskiego konia. Jedną stopę założywszy w skrócone strzemię, a drugą podkurczywszy na kuli, aby czuć się jak w damskim siodle, udała się przez pola do Mimozy, przygotowana, że zastanie ruiny.

Ku zdumieniu swemu i radości ujrzała żółty, otynkowany dom stojący jak dawniej wśród drzewek mimozy, wyglądający tak samo jak dawniej Ciepła radość, granicząca prawie że szczęściem, ogarnęła ją, gdy trzy panie Fontaine wyszły z domu, aby powitać ją pocałunkami i okrzykami zdumienia.

Kiedy jednak ucichły czułe powitania i wszystkie panie zasiadły w jadalni, dreszcz przeszył Scarlett. Jankesi nie dotarli wprawdzie do Mimozy, bo leżała zbyt daleko od szosy i Fontaine'owie mieli jeszcze dotąd żywność i inwentarz, ale mimo to nad Mimozą wisiała ta sama dziwna cisza co nad Tarą i całą okolicą. Wszyscy niewolnicy z wyjątkiem czterech służących uciekli, przerażeni nadejściem Jankesów. Na plantacji nie było ani jednego mężczyzny, jeżeli nie liczyć synka Sally, Joe, zaledwie wyrosłego z powijaków. W wielkim domu mieszkały babcia Fontaine, siedemdziesięcioletnia kobieta, synowa jej, znana dotąd jeszcze jako „młoda pani”, mimo że przekroczyła już pięćdziesiątkę, i Sally mająca niecałych lat dwadzieścia. Były odcięte od sąsiadów i nie miały opieki, ale nie można było po nich poznać, że się boją. Prawdopodobnie dlatego, że młoda pani i Sally za bardzo się bały kruchej jak porcelana, ale niezłomnej babci, aby się skarżyć na cokolwiek. Scarlett także się bała starej pani, która miała przenikliwe oczy i ostry język, dawniej często dający jej się we znaki.

Chociaż nie było między nimi pokrewieństwa i dzieliła je tak wielka różnica wieku, łączyła je wspólność usposobienia i doświadczeń. Wszystkie trzy nosiły ufarbowaną w domu żałobę, wszystkie były zmęczone, smutne, stroskane, wszystkie zgorzkniałe goryczą, która nie przejawiała się w dąsach czy skargach, ale dawała się wyczuć za ich uśmiechami i słowami serdecznego powitania. Niewolnicy ich uciekli, pieniądze straciły wartość, mąż Sally, Józio, padł pod Gettysburgiem, a młoda pani takie była wdową, bo młody doktor Fontaine zmarł na dyzenterię w Vicksburgu. Dwaj synowie jej, Aleks i Tonio, byli gdzieś w Wirginii, ale nie wiadomo było, czy jeszcze żyją: stary zaś doktor Fontaine wyruszył dokądś z kawalerią Wheelera.

— A stary głupiec ma siedemdziesiąt trzy lata, chociaż udaje młodzika, i tak jest pokręcony reumatyzmem, że ledwie łazi — rzekła babcia, najwyraźniej dumna że swego męża, bo spojrzenie jej zadawało kłam słowom.

— Czy wiedzą panie może, co się dzieje w Atlancie? — zapytała Scarlett, kiedy się wygodnie rozsiadły przy stole. — Jesteśmy w Tarze jak odcięci od świata.

— Ależ, dziecko — rzekła babcia biorąc na siebie prowadzenie rozmowy, co zawsze było jej zwyczajem — i my jesteśmy w tym samym położeniu. Nie wiemy nic poza tym, że Sherman zdobył wreszcie miasto.

— A więc zdobył je... Co robi teraz? Gdzie się toczą walki?

— Jakże mają wiedzieć o tym trzy samotne kobiety że wsi, które nie widziały listu ani gazety od całych tygodni? — rzekła ostro starsza pani. — Jedna z naszych Murzynek rozmawiała z inną Murzynką i stąd mamy nowiny. Mówią, że Jankesi przysiedli w Atlancie, aby pozwolić wytchnąć swoim ludziom i koniom, ale czy to prawda, czy nie, nie mogę ci powiedzieć. Pewnie, że potrzeba im odpoczynku po walce, do jakiej ich zmusiliśmy.

— I pomyśleć, że już tak dawno jesteś w Tarze, a my nic nie wiedziałyśmy o tym! — wtrąciła młoda pani. — Och, jakże jestem zła na siebie, że nie pojechałam zobaczyć, co się u was dzieje! Ale tutaj było tak dużo do roboty, gdy większość czarnych uciekła, że nie mogłam się po prostu ruszyć z domu. Powinnam była jednak znaleźć czas na to. Nie postąpiłam po sąsiedzku. Byłyśmy jednak przekonane, że Jankesi spalili Tarę, tak samo jak Dwanaście Dębów i dom Maclntoshów i że wszyscy twoi uciekli do Macon. Nie przypuszczałyśmy, że ty wróciłaś do domu, Scarlett.

— Jakże mogłyśmy przypuszczać, że Tara ocalała, kiedy Murzyni pana O'Hary przejeżdżali tędy wystraszeni i z błędnymi oczyma i mówili, że Jankesi zabierają się do palenia domu? — przerwała babcia.

— I widziałyśmy stąd... —zaczęła Sally.

— Przepraszam, ja mówię — rzekła babcia krótko. — Mówili, że Jankesi rozbili obóz koło Tary i że twoja rodzina wybiera się do Macon. I tej właśnie nocy widziałyśmy łunę pożaru w waszych stronach. Stała na niebie tak długo i tak przeraziła naszych Murzynów, że wszyscy po tym uciekli. Co się paliło?

— Nasza bawełna, wartości stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów — rzekła Scarlett z goryczą.

— Dziękuj Bogu, że nie dom — rzekła babcia opierając podbródek na lasce. — Bawełnę zawsze można zasadzić, domu — nie. Ale, ale, czy zaczęliście już zbiory?

— Nie — odparła Scarlett — większa część pól została zniszczona. Myślę, że zostało nam najwyżej trzy bele, na najdalszym polu nad strumykiem. Ale co nam z tej bawełny przyjdzie? Wszyscy nasi parobcy uciekli, więc kto ma ją zbierać?

— Na miłość boską, „wszyscy nasi parobcy uciekli i nie ma komu jej zbierać!” — przedrzeźniła babcia i spojrzała z ukosa na Scarlett. — A ty, czy nie masz rąk, panienko, albo twoje siostry?

— Ja miałabym zbierać bawełnę? — zawołała Scarlett z takim oburzeniem, jak gdyby ją babcia namawiała do zbrodni. — Jak parobek? Jak „biała nędza”? Jak kobiety Slatterych?

— ,,Biała nędza”, powiadasz? No i powiedzcie same, czy dzisiejsza generacja kobiet nie jest zepsuta? Pozwól sobie powiedzieć, moja droga, że kiedy byłam młodą dziewczyną i ojciec mój stracił cały majątek, mnie wypadało pracować w polu uczciwie, własnymi rękoma, dopóki ojciec nie zarobił dość znowu, aby kupić niewolników. Kopałam swój rządek i zbierałam bawełnę, i potrafię to zrobić i teraz, jeżeli zajdzie potrzeba. A zajdzie z pewnością. „Biała nędza”, rzeczywiście!

— Ależ, mamo! — zawołała synowa rzucając na dwie młode kobiety błagalne spojrzenie, aby pomogły jej uspokoić starszą panią. — To było dawno temu, w zupełnie innych czasach, dużo się odtąd zmieniło.

— Czasy są zawsze te same, gdy trzeba uczciwie pracować — odrzekła stara pani nie dając się ugłaskać. — I wstyd mi za twoją matkę, Scarlett, że stoisz tutaj i wypowiadasz zdania, iż uczciwa praca zmienia porządnych ludzi w hołotę. „Kiedy Adam orał, a Ewa przędła”...

Chcąc zmienić wreszcie temat rozmowy Scarlett zapytała pośpiesznie: — A co słychać u Tarletonów i Calvertów? Czy domy ich spalone? Czy uciekli do Macon?

— Do Tarletonów Jankesi wcale nie dotarli. Plantacja ich leży na uboczu, podobnie jak nasza. U Calvertów byli, skradli im bydło i namówili wszystkich Murzynów, aby z nimi uciekli — zaczęła Sally.

Babcia znowu jej przerwała.

— Obiecali czarnym dziewuchom suknie jedwabne i złote kolczyki — od tego zaczęli. A Kasia Calvert opowiadała, że niektórzy z żołnierzy zabrali te głupie dziewczyny że sobą na siodła. No, wynikną z tego co najwyżej żółte dzieci, i nie zdaje mi się, aby krew jankeska miała poprawić rasę Murzynów.

— Ach, mamo!

— Nie rób takiej zgorszonej miny, Janko. Jesteśmy wszystkie mężatkami, prawda? I ostatecznie widziałyśmy Mulatów nie raz.

— Dlaczego nie spalili domu Calvertów?

— Dom ocalał dzięki „rdzennemu” akcentowi drugiej pani Calvert i ich jankeskiego rządcy, Hiltona — rzekła stara pani, która o byłej guwernantce dotąd mówiła „druga pani Calvert”, mimo że pierwsza umarła przed dwudziestu laty.

— „Jesteśmy gorliwymi zwolennikami Unii” — przedrzeźniała stara pani cedząc słowa przez nos. — Kasia mówiła, że we dwoje zapewniali pod słowem, że wszyscy Calvertowie są przysięgłymi Jankesami. A pan Calvert umarł na froncie, Raiford padł pod Gettysburgiem. Cade zaś jest z armią w Wirginii! Kasia tak tym była przygnębiona, że zapewnia, iż wolałaby, aby dom spalili. Mówi, że Cade pęknie że złości, jak wróci do domu i dowie się o tym. Takie są skutki, gdy człowiek żeni się z Jankeską — nie ma to dumy ani honoru i zawsze myśli tylko o własnej skórze... A jak się stało, że nie spalono Tary?

Przez chwilę Scarlett zawahała się, co odpowiedzieć. Wiedziała, że następnym pytaniem będzie: „Jak się miewają rodzice i siostry? Jak się czuje mamusia?” Czuła, że nie potrafi opowiedzieć o śmierci Ellen. Czuła, że jeżeli powie o tym w obecności tych życzliwych kobiet czy bodaj o tym pomyśli, wybuchnie płaczem i będzie dopóty płakała, aż zapłacze się na śmierć. Nie mogła zaś sobie pozwolić na łzy. Właściwie wcale nie płakała od chwili przyjazdu do domu, wiedziała więc, że jeżeli otworzą się śluzy, odwaga opuści ją na zawsze. Rozglądając się w zakłopotaniu po przyjaznych twarzach, wiedziała jednak o tym, że jeżeli nie podzieli się teraz z paniami Fontaine wiadomością o śmierci Ellen, nigdy jej nie wybaczą. Zwłaszcza że babcia bardzo lubiła Ellen — a w powiecie było mało osób, o których starsza pani była dobrego zdania.

— A więc mów — rzekła babcia patrząc przenikliwie na Scarlett. — Czy nie wiesz dlaczego?

— Widzi pani, przyjechałem do domu dopiero w dzień po bitwie — odpowiedziała spiesznie. — Jankesów nie było już wtedy. Papa... papa powiedział mi, że... prosił ich, aby nie palili domu. ponieważ Zuela i Karina są tak poważnie chore na tyfus, że nie można ich z miejsca ruszać.

— Pierwszy raz w życiu słyszę, aby Jankes postąpił przyzwoicie — rzekła babcia, jak gdyby z żalem, że słyszy coś pochlebnego o najeźdźcach. — A jak się teraz czują dziewczęta?

— Och, lepiej, o wiele lepiej, prawie zupełnie dobrze, tylko że są bardzo osłabione — odrzekła Scarlett. I widząc, że pytanie, którego się obawiała, wisi już na wargach starej pani, szybko uczepiła się innego tematu.

— Zastanawiam się, czy... czy nie mogłyby nam panie pożyczyć czegoś do jedzenia? Jankesi ogołocili nas doszczętnie jak szarańcza. Ale jeżeli i wy nie macie za wiele, proszę mi powiedzieć, to...

— Przyślij tu Porka z wozem, a damy ci połowę naszych zapasów, ryż, mąkę, szynkę i trochę kurcząt — rzekła babcia, patrząc uważnie na Scarlett.

— Och, to będzie za dużo! Doprawdy, ja...

— Ani słowa więcej! Nie chcę wcale słuchać. Czy jesteśmy waszymi sąsiadkami, czy nie?

— Jest pani tak dobra, że wcale nie wiem... Muszę już iść. W domu będą się o mnie niepokoili.

Babcia wstała nagle i wzięła Scarlett pod ramię.

— Wy tutaj zostańcie — rozkazała popychając Scarlett w stronę kuchennego ganku. — Ja muszę coś powiedzieć na osobności tej małej. Sprowadź mnie że schodów, Scarlett.

Młoda pani i Sally pożegnały się i przyrzekły, że wkrótce przyjadą z wizytą do Tary. Zżerała je ciekawość, co babcia ma do powiedzenia Scarlett, ale wiedziały, że nie dowiedzą się o tym nigdy, jeżeli nie zechce im powiedzieć. — Starsze panie bywają czasem trudne — szepnęła młoda pani do Sally, wracając do swego szycia.

Scarlett wzięła konia za uzdę, dziwnie jakoś wzruszona.

— A teraz mów — rzekła babcia patrząc jej prosto w oczy — co się złego dzieje w Tarze? Co przede mną ukrywasz?

Scarlett spojrzała w szare, odważne oczy i poczuła, że może powiedzieć całą prawdę bez łez. Nikt nie miał prawa płakać w obecności babci Fontaine bez jej specjalnego pozwolenia.

— Mamusia nie żyje — powiedziała sucho.

Dłoń, obejmująca jej ramię, zacisnęła się mocniej, a pomarszczone powieki zatrzepotały na żółtych oczach staruszki.

— Czy Jankesi ją zabili?

— Umarła na tyfus. Dzień przed moim przyjazdem.

— Nie myśl o tym — rzekła babcia surowo i głośno przełknęła ślinę. — A ojciec?

— Ojciec... ojciec jest inny niż dawniej.

— Jak to rozumiesz? Mów. Czy jest chory?

— Ten cios... jest bardzo dziwny... nie jest...

— Nie mów mi, że jest inny niż dawniej. Czy chcesz powiedzieć, że postradał rozum?

Pewną ulgę sprawiło jej, że stara pani tak jasno wypowiedziała tę przykrą prawdę. Jakaż była dobra, że nie ofiarowywała jej współczucia, które by ją roztkliwiło do łez.

— Tak — powiedziała tępo — postradał rozum. Nie wie, co robi, i czasem wcale nie pamięta, że mama nie żyje. Och, babciu, nie mogę patrzeć na to, jak czeka na nią całymi godzinami, tak cierpliwie, a dawniej był niecierpliwy jak dziecko! Ale gorzej jeszcze, kiedy wie, że jej już nie ma. Od czasu do czasu, po długim nasłuchiwaniu, czy mama nie idzie, zrywa się z miejsca, wypada z domu i biegnie na cmentarz. A potem wraca powoli, zapłakany, i raz po raz powtarza, aż słuchać więcej nie mogę: „Kasiu Scarlett, pani O'Hara nie żyje. Twoja matka nie żyje”, a mnie się zdaje, jak gdybym dowiadywała się o tym po raz pierwszy. Czasem, późno w noc, słyszę, jak ją woła, więc wychodzę z łóżka, idę do niego i mówię mu, że mama jest w chacie murzyńskiej przy chorym niewolniku. On zaś zaczyna się gniewać, że męczy się po nocach pielęgnowaniem chorych. I potem tak trudno ułożyć go do snu. Jest jak dziecko. Och, gdyby doktor Fontaine był tutaj! Wiem, że na pewno by coś papie poradził! I Melania także potrzebuje doktora. Nie przychodzi do siebie po porodzie tak, jakby należało...

— Melania ma dziecko? Jest u was?

— Tak.

— Co ona u was robi? Dlaczego nie pojechała do ciotki i swoich krewnych do Macon? Zdawało mi się, że nigdy jej za bardzo nie lubiłaś, Scarlett, mimo że jest siostrą Karola. Opowiedz mi o tym.

— To długa historia, babciu. Czy nie wolałaby pani wrócić do domu i usiąść?

— Mogę stać — rzekła babcia krótko. — A gdybyś to wszystko opowiedziała w obecności tamtych dwóch, zaczęłyby płakać i musiałabyś się roztkliwiać nad samą sobą. A więc mów.

Scarlett zacinając się zaczęła opowiadać o oblężeniu i o stanie Meli, ale pod spojrzeniem starych oczu, które nie odwracały się od niej ani na chwilę, znajdować zaczęła słowa mocne i straszne. Wszystko stanęło jej znowu przed oczyma: skwarny, duszny dzień urodzenia dziecka, rozpaczliwy strach, ucieczka i postępek Retta. Mówiła o dzikiej ciemności i nocy, o płonących ogniach obozowych, o nagich kominach, które zobaczyła o świcie, o trupach ludzi i koni na szosie, o głodzie, zniszczeniu i obawie, że nie zastanie już Tary.

— Myślałam, że gdy dotrę wreszcie do domu, do mamy, ona o wszystkim pomyśli, a ja będę mogła złożyć to ciężkie brzemię. W drodze myślałam, że wszystko złe, co mogło mnie spotkać, już mi się zdarzyło, ale kiedy dowiedziałam się o jej śmierci, przekonałam się, co jest najgorsze...

Wbiła wzrok w ziemię i czekała, aż babcia coś odpowie. Zapadło milczenie tak długie, że zastanawiała się, czy stara kobieta pojęła jej rozpaczliwą sytuację. Wreszcie babcia przemówiła, a głos jej brzmiał łagodniej niż kiedykolwiek przedtem:

— Dziecko, to bardzo niedobrze, jeżeli kobieta przeżyje najgorsze, co może jej się zdarzyć, bo potem nie boi się już niczego. A to bardzo źle, gdy kobieta niczego się nie boi. Czy przypuszczasz, że nie rozumiem, co mi powiedziałaś... co już przeszłaś? Rozumiem bardzo dobrze. Kiedy byłam w twoim wieku, byłam świadkiem buntu Indian, zaraz po masakrze w Forcie Mims, tak — rzekła głuchym głosem — byłam wtedy w twoim wieku, ponieważ zdarzyło się to jakieś pięćdziesiąt kilka lat temu. Zdążyłam uciec do lasu, leżałam na ziemi i widziałam, jak Indianie podpalają nasz dom i jak skalpują moich braci i siostry. A ja leżałam spokojnie i modliłam się, aby pożar nie oświetlił mojej kryjówki. Widziałam, jak wywlekli z domu moją matkę i zabili w odległości dwudziestu metrów ode mnie. Oskalpowali i ją. I coraz to inny Indianin podchodził do niej i zatapiał tomahawk w jej głowie. Ja... ja byłam jej najukochańszym dzieckiem, ale mimo to leżałam bez ruchu i tylko patrzyłam. A rankiem udałam się w drogę do najbliższej osady, o trzydzieści mil od nas. Szłam przez trzy dni, przez bagna, kryłam się przed Indianami. Myślano potem, że zwariuję... Ach, wszystko to działo się, jak już powiedziałam, pięćdziesiąt lat temu, ale od tego czasu nigdy już nie bałam się niczego ani nikogo, bo poznałam najgorsze, co może się człowiekowi zdarzyć. A ten brak obawy często przysparzał mi wiele kłopotu i pozbawił mnie wielu chwil szczęścia i spokoju. Bóg stworzył kobietę istotą lękliwą i pokorną, jest więc coś nienaturalnego w kobiecie, która niczego się nie boi... Scarlett, zachowaj sobie zawsze coś, czego byś się bała, i coś, co byś kochała...

Głos jej zamarł, milcząc, wracała teraz pamięcią do owego dnia przed pół wiekiem, kiedy się bała po raz ostatni. Scarlett poruszyła się niecierpliwie. Myślała, że babcia zrozumie jej problemy i wskaże jej może jakiś sposób ich rozwiązania. Ale podobnie jak wszyscy starzy ludzie zaczęła mówić o rzeczach, które zdarzyły się przed stworzeniem świata, o sprawach, które nie obchodziły nikogo. Zaczęła żałować, że się jej zwierzyła.

— No, wracaj do domu, dziecko, bo będą się o ciebie niepokoili — rzekła nagle. — Przyślij Porka z wozem jeszcze dziś po południu... I nie myśl, że kiedykolwiek będziesz mogła złożyć swoje brzemię. Nie będziesz mogła. Wiem to dobrze.

Złota jesień trwała do listopada i ciepłe jej dni przyniosły Tarze trochę nadziei. Najgorsze już przeszło. Mieli teraz konia, jeździli więc, zamiast chodzić pieszo. Na śniadanie jedli jajecznicę, a szynkę smażoną na kolację, zamiast wiecznych yamów, orzeszków ziemnych i jabłek suszonych, przy pewnej zaś odświętnej okazji mieli nawet kurczę pieczone na obiad. Stara maciora została wreszcie schwytana i wraz że swoim potomstwem chrząkała i kwiczała radośnie pod domem, gdzie miała legowisko. Czasem zachowywała się tak głośno, że nie było słychać, co się w domu mówi, ale hałas ten wszystkim sprawiał przyjemność. Oznaczał, że z nadejściem chłodów i pory wieprzobicia będzie schab dla białych i flaki dla Murzynów, a żywność na zimę dla wszystkich.

Wizyta u Fontaine'ów pokrzepiła Scarlett bardziej niż przypuszczała. Sama świadomość, że ma sąsiadów, że ktoś z dawnych przyjaciół przeżył zawieruchę i że jeden przynajmniej z domów w sąsiedztwie ocalał, rozwiała uczucie samotności i przygnębienia, które gniotło ją w pierwszych tygodniach pobytu w Tarze. Fontaine'owie i Tarletonowie, których plantacje leżały z dala od szlaku armii, bardzo szczodrze podzielili się z nią wszystkim, co mieli. Tradycją powiatu było, że sąsiedzi wspomagali się wzajemnie, nie chcieli więc przyjąć od Scarlett ani grosza mówiąc, że zrobiłaby dla nich to samo i że odpłaci im w naturze za rok, kiedy Tara znowu zacznie rodzić.

Scarlett miała teraz żywność dla domowników i konia, pieniądze i biżuterię znalezioną na jankeskim maruderze; najgorzej było z nową odzieżą. Wiedziała, że ryzykiem będzie posłanie Porka na Południe, gdzie konia mogli mu zarekwirować zarówno Jankesi, jak i konfederaci. Miała jednak pieniądze, za które mogła kupić odzież oraz konia i wóz na odbycie podróży, może by więc Porkowi udało się jakoś przejechać bezpiecznie. Tak, najgorsze już przeszło.

Budząc się, Scarlett co rano dziękowała Bogu za jasne niebo i ciepłe słońce, bo każdy dzień pogodny odsuwał trochę porę, w której ciepła odzież stanie się niezbędna. Z każdym ciepłym dniem przybywało więcej bawełny do pustych chat murzyńskich, jedynych zabudowań na plantacji, które można było obrócić w spichrz. Na polach było więcej bawełny niż Pork przypuszczał, prawdopodobnie około czterech beli, bo chaty były już prawie pełne.

Scarlett nawet po naganie otrzymanej od babci Fontaine nie miała zamiaru sama zbierać bawełny. Było nie do pomyślenia, aby ona, panna O'Hara, dziedziczka Tary, sama pracowała w polu. Postawiłoby to ją na tym samym poziomie, co rozczochraną panią Slattery czy jej córkę Emmę. Chciała, aby Murzyni zaczęli pracować w polu, ona zaś i przychodzące do zdrowia dziewczęta zajęłyby się domem, tutaj jednak natknęła się na opór kastowy jeszcze silniejszy od swego. Pork, Mammy i Prissy zaczęli wydawać okrzyki oburzenia w odpowiedzi na propozycję pracy w polu. Powtarzali bez przerwy, że są Murzynami do pokojów, a nie żadnymi parobkami. Zwłaszcza Mammy zaczęła gwałtownie zapewniać, że nigdy w życiu nie pracowała poza domem. Urodziła się w wielkim domu Robillardów, nie w żadnej chałupie, wychowała się w sypialni starszej pani i sypiała na sienniku koło jej łóżka. Tylko Dilcey nic nie powiedziała i popatrzyła na Prissy takim wzrokiem, że dziewczyna natychmiast umilkła.

Scarlett jednak nie chciała słuchać ich protestów i zagnała wszystkich na pola. Okazało się, że Mammy i Pork pracują tak wolno i tak głośno przy tym lamentują, iż Scarlett odesłała Mammy do kuchni, a Porka przydzieliła do lasów i rzeki. Zbieranie bawełny było poniżej godności Porka, ale na polowanie i łapanie ryb godził się chętnie.

Potem Scarlett wypróbowała prace sióstr i Melanii, ale i to nie dało żadnych rezultatów. Melania przez godzinę zbierała bawełnę szybko i chętnie, w gorącym słońcu, potem jednak spokojnie zemdlała i musiała iść do łóżka na tydzień. Zuela nadąsana i zapłakana także udała zemdlenie, ale odzyskała przytomność i zaczęła parskać jak rozwścieczony kot, gdy Scarlett oblała ją kubkiem wody. Wreszcie stanowczo odmówiła współpracy.

— Nie będę pracowała w polu jak Murzynka! Nie możesz mnie do tego zmusić. Co będzie, jak dowiedzą się o tym nasi znajomi? Co będzie, jak dowie się o tym pan Kennedy? Och, gdyby mamusia o tym wiedziała...

— Jeśli jeszcze raz wspomnisz mamę, Zuelo, dam ci w twarz! — zawołała Scarlett. — Mama pracowała ciężej od wszystkich Murzynów na plantacji, i ty dobrze o tym wiesz, moja lalo malowana!

— To nieprawda! W polu nie pracowała. Nie zmusisz mnie do tego. Poskarżę się na ciebie papie i papa nie pozwoli mi pracować!

— Nie śmiej zawracać papie głowy twoimi głupstwami! — zawołała Scarlett, oburzona na siostrę, ale niepewna, czy nie spełni swojej groźby.

— Ja ci pomogę, siostrzyczko — wtrąciła łagodnie Karina. — Będę pracowała za Zuelę i za siebie. Ona nie jest jeszcze zdrowa i nie powinna stać w słońcu.

Scarlett powiedziała z wdzięcznością: — Dziękuję ci, maleńka — i popatrzyła z troską na siostrę. Karina, dotąd zawsze różowa i biała jak kwiaty wiśni, rozsiewane po sadzie wiosennym powiewem, nie była już od dawna różowa, ale jeszcze zachowała w twarzy delikatność kwiatu. Była milcząca, oszołomiona trochę od chwili, gdy po powrocie do przytomności nie zastała Ellen przy życiu. Scarlett stała się despotką, świąt przemienił się na opak, a ciężka praca była na porządku dziennym. Wrażliwa jej natura nie mogła się do tych zmian przystosować. Karina nie mogła po prostu pojąć, co się stało, i krążyła po Tarze jak lunatyczka, spełniając wszystko, czego od niej żądano. Wyglądała wątle i była bardzo osłabiona, ale chętna do pracy, posłuszna i gotowa do świadczeń. Gdy nie wypełniała poleceń Scarlett, przebierała paciorki różańca, a wargi jej poruszały się w modlitwie za matkę i Brenta Tarletona. Scarlett nie mogła pojąć, że Karina odczuła śmierć Brenta tak poważnie i że rana jej serca nie może się zagoić. Dla niej Karina była wciąż jeszcze „małą siostrzyczką”, zbyt młodą, aby rozumieć prawdziwą miłość.

Scarlett stojąc w słońcu nad krzakami bawełny, zmęczona ciągłym schylaniem się, żałowała, że nie ma siostry, która by łączyła w sobie energię Zueli z charakterem Kariny. Karina bowiem zbierała bawełnę pilnie i sumiennie. Ale po godzinie pracy stało się oczywiste, że to ona, a nie Zuela jest do takiej roboty za słaba. Scarlett więc odesłała do domu i ją.

Na dużym pólku została z nią teraz tylko Dilcey i Prissy. Prissy pracowała ospale, nieregularnie, skarżąc się co chwila, że bolą ją to nogi, to plecy, to żołądek, że jest zmęczona, aż matka jej wzięła łodygę bawełny i zbiła ją tak mocno, że dziewczyna zaczęła płakać. Odtąd pracowała trochę lepiej, ale starała się ustawiać jak najdalej od matki.

Dilcey pracowała w milczeniu, niezmordowana jak maszyna, Scarlett więc, mimo że bolały ją plecy i że ręce miała sztywne od ciężaru worka, do którego nakładała puch bawełny, pomyślała, że Dilcey warta była swojej wagi w złocie.

— Dilcey — powiedziała — gdy wrócą dobre czasy, nie zapomnę ci tego, jak postępujesz. Jesteś bardzo dobra i pracowita.

Brązowa olbrzymka nie uśmiechnęła się z zadowoleniem ani nie wykrzywiła radośnie, zwyczajem innych Murzynów. Zwróciła ku Scarlett nieruchomą twarz i odparła z godnością: — Dziękuję pani. Ale pan Gerald i pani Ellen też byli dla mnie dobrzy. Pan Gerald kupił moją Prissy, abym się nie musiała martwić, więc ja to pamiętam. Ja jestem na pół Indianką, a Indianie nie zapominają, kiedy ktoś był dla nich dobry. Przykro mi za moją Prissy. To leniuch dziewucha. Wdała się w ojca. Ojciec jej był wielkim nicponiem.

Mimo, że trudno było o pomoc przy zbieraniu bawełny i że ciężka praca męczyła ją bardzo, Scarlett poprawił się nastrój, kiedy bawełna zaczęła zapełniać chaty. W widoku tym było coś takiego, co podtrzymywało ją na duchu i uspokajało. Tara wzbogaciła się na bawełnie, podobnie jak całe Południe, Scarlett zaś była w dostatecznym stopniu kobietą Południa, aby wierzyć, że tak Tara jak cały kraj odrodzą się znowu dzięki plonom czerwonych pól.

Pewnie, że garstka bawełny, którą zebrała, znaczyła niewiele. Przyniesie jednak trochę pieniędzy w walucie Konfederacji, co pozwoli jej zaoszczędzić dolary i złoto do czasu, gdy będzie musiała je wydać. Na wiosnę postara się, aby rząd odesłał jej Dużego Sama i innych parobków, jeżeli zaś ich nie zwolnią, zużyje pieniądze jankeskie na najęcie parobków od sąsiadów. Na wiosnę będzie sadziła i sadziła... Wyprostowała zmęczone plecy i patrząc na żółte, jesienne pola, widziała przed sobą plony przyszłego roku, zieleniące się na przestrzeni wielu akrów.

Wiosna! Na wiosnę może skończy się wreszcie wojna i wrócą stare dobre czasy. Czy Konfederacja wygra wojnę czy przegra, czasy na pewno będą lepsze. Nie będzie ciągłego niebezpieczeństwa najazdów obu armii. Kiedy wojna się skończy, plantacja będzie przynosiła uczciwy dochód. Och, gdybyż już wreszcie zawarto pokój! Ludzie mogliby sadzić bawełnę z jaką taką pewnością, że zbiorą plony.

Zaświtała iskierka nadziei. Wojna nie może trwać wiecznie. Scarlett miała teraz bawełnę, miała żywność, konia i mały, starannie ukryty skarb. Tak, najgorsze już przeszło!

## ROZDZIAŁ XXVII

W pewne południe w połowie listopada wszyscy siedzieli przy stole i jedli deser przyrządzony przez Mammy z mąki kukurydzowej i suszonych czarnych jagód, słodzonych sorgo. W powietrzu czuć było pierwszy w tym roku chłód, więc Pork, stojący za krzesłem Scarlett, zatarł ręce i powiedział wesoło: — Czas już będzie chyba zabić świnię, Miss Scarlett...

— Cieszysz się już na flaki, prawda? — rzekła Scarlett z uśmiechem. — Ja także już się cieszę na wieprzowinę, więc jeżeli pogoda utrzyma się, trzeba będzie...

Melania z łyżką podniesioną do ust przerwała jej nagle:

— Słuchaj, kochanie! Ktoś jedzie!

— Ktoś woła — rzekł Pork niepewnie.

W czystym powietrzu zabrzmiał teraz wyraźnie tętent kopyt końskich, walących szybko jak przerażone serce, i rozległ się wysoki głos kobiecy, wołający: — Scarlett! Scarlett!

Siedzący przy stole przez straszną sekundę niemo patrzyli na siebie, odsunęli gwałtownie krzesła i porwali się z miejsc. Mimo że głos brzmiał z przerażenia ochryple, poznali, że to woła Sally Fontaine, która przed godziną zatrzymała się w drodze do Jonesboro na krótką pogawędkę w Tarze. W chwili gdy pchali się bezładnie ku drzwiom frontowym, zobaczyli, jak na spienionym koniu przejeżdża przed domem — z włosami rozwianymi i czepkiem wiszącym na wstążkach u szyi. Nie wstrzymała konia, tylko w szaleńczym tempie cwałując ku nim wskazywać zaczęła ręką w kierunku, skąd przyjechała.

— Jankesi nadchodzą! Widziałam ich na drodze! Jankesi... Ściągnęła raptownie wędzidło konia, w samą porę, bo inaczej wpadłby na ganek. Zawróciła, w trzech susach przebiegła trawnik przed domem, potem przesadziła żywopłot wysokości czterech stóp. Ciężki odgłos kopyt dał się słyszeć na podwórzu, a po chwili na wąskiej ścieżce między chatami murzyńskimi Sally na przełaj przez pola zmierzała do Mimozy.

Przez chwilę stali jak tknięci paraliżem, wreszcie Zuela i Karina zaczęły płakać i ściskać się za ręce. Mały Wade stał jak przygwożdżony drżąc, nie mogąc wydać głosu To, czego bał się od chwili wyjazdu z Atlanty, zdarzyło się jednak Jankesi przyszli go zabrać.

— Jankesi? — zapytał Gerald nieprzytomnie. — Przecież Jankesi już tu byli.

— Matko Przenajświętsza! — krzyknęła Scarlett patrząc w przerażone oczy Melanii. W błyskawicznym wspomnieniu mignęły jej w pamięci okropności ostatniej nocy w Atlancie, zrujnowane domy po wsiach, opowiadania o torturach i mordach jankeskich. Przypomniał jej się Jankes stojący w hallu z pudełkiem do szycia Ellen. Myślała: „Umrę. Umrę tu na miejscu. Myślałam, że to już się skończyło. Umrę. Nie przetrzymam tego”.

Potem wzrok jej padł na konia, osiodłanego i czekającego przed domem na Porka, który miał po obiedzie pojechać do Tarletonów. Koń! Jedyny jej koń! Jankesi zabiorą teraz i jego, i krowę z cielęciem. I świnię z prosiakami. Och, ileż męczących godzin zajęło im chwytanie tej świni i jej zwinnego przychówku! Zabiorą także koguta i kury siedzące na jajach, i kaczki, które dostała od Fontaine'ów. I jabłka, i yamy że spiżarni. Mąkę, ryż i suszony groszek. I pieniądze z portfelu jankeskiego żołnierza. Zabiorą wszystko i znowu skażą ich na śmierć głodową.

— Nie oddam ich! — zawołała na głos. Wszyscy zwrócili się ku niej z przestrachem, myśląc, że z przerażenia postradała zmysły. — Nie chcę być głodna! Nie oddam ich!

— O co chodzi, Scarlett? O czym mówisz?

— O koniu! O krowie! O świniach! Nie oddam ich! Nie pozwolę, aby je wzięli!

Zwróciła się szybko do czworga Murzynów stłoczonych w drzwiach i szarych jak popiół z przestrachu.

— Moczary — rzuciła krótko.

— Jakie moczary?

— Moczary nad rzeką, głupcy! Zapędźcie tam świnie. Wszyscy. Szybko. Pork, ty z Prissy wleziesz pod dom i zabierzesz je stamtąd. Zuelo, ty z Kariną nałóż w koszyki tyle jedzenia, ile będziecie mogły udźwignąć, i idźcie z tym do lasu. Mammy, ty włóż srebro z powrotem do studni. I słuchaj, Pork! Pork, słuchaj, co mówię, nie stój tu jak malowany! Zabierz że sobą papę. Nie pytaj mnie, dokąd! Gdziekolwiek! Idź z Porkiem, tatusiu Tak, ty jesteś dobry, tatusiu!

Mimo przerażenia nie zapomniała o tym, jak widok niebieskich mundurów może podziałać na zmącony umysł Geralda. Zatrzymała się i zaczęła załamywać ręce, a rozpaczliwe łkania małego Wade'a, który czepiał się kurczowo spódnicy Melanii, wzmogły jeszcze jej strach.

— A co ja mam robić, Scarlett? — Głos Melanii brzmiał spokojnie na tle płaczu, szlochów, tupotu nóg. Mimo że twarz miała białą jak papier i drżała na całym ciele, głos jej był tak spokojny, że pokrzepił Scarlett i zarazem uświadomił jej, iż wszyscy do niej zwracają się o przewodnictwo, rozkazy.

— Krowa i cielę — rzekła szybko. — Są na starym pastwisku. Weź konia. Zagoń je na bagna i...

Zanim skończyła to zdanie, Melania odsunęła Wade'a, zeszła że schodów i już biegła w stronę konia zbierając wkoło siebie szeroką suknię. Scarlett przez mgnienie oka widziała jej chude nogi, fruwające spódnice i dessous — i oto Melania siedziała na siodle, a stopy jej zwisały wysoko nad strzemionami. Wzięła do rąk cugle i piętami uderzała zwierzę po bokach, potem nagle wstrzymała konia, a twarz jej wykrzywiła się że zgrozy.

— Dziecko moje! — krzyknęła. — Och, moje dziecko! Jankesi je zabiją! Daj mi tu małego!

Położyła dłoń na kuli i już chciała się ześliznąć z siodła, kiedy Scarlett wrzasnęła do niej:

— Jedź już, jedź! Odszukaj krowę! Ja zajmę się dzieckiem! Spiesz się, mówię ci! Czy przypuszczasz, że dopuściłabym, aby dostali w swoje ręce dziecko Ashleya? Jedź teraz!

Mela oglądała się z rozpaczą za siebie, ale mimo to znowu spięła obcasami konia i przy akompaniamencie skrzypu żwiru ruszyła w stronę łąki.

Scarlett zdążyła pomyśleć: „Nigdy bym nie przypuszczała, że zobaczę Melę Hamilton siedzącą okrakiem na koniu!”, a potem wpadła do domu. Wade płacząc plątał się koło niej i starał się uczepić jej fruwających spódnic. Wchodząc po trzy stopnie na raz, zobaczyła Zuelę i Karinę z wiklinowymi koszykami w rękach, kierujące się w stronę spiżarni, i Porka, który niezbyt łagodnie ciągnął Geralda za rękę w stronę kuchennego ganku. Gerald mruczał coś że złością i opierał mu się jak dziecko.

Z podwórza doszedł ją ostry głos Mammy: — Ty, Prissy! Wleź pod dom i podaj tu prosiaki! Wiesz dobrze, że ja jestem za gruba, aby się tam dostać. Dilcey, chodź tutaj i każ tej dziewusze...

„A ja myślałam, że to tak mądrze trzymać świnie pod dachem, żeby ich nikt nie ukradł — myślała Scarlett biegnąc do swego pokoju. — Dlaczego, ach, dlaczego nie zbudowałam im chlewu na moczarach?”

Wyciągnęła górną szufladę komody i zaczęła przebierać między bielizną, aż wreszcie znalazła portfel Jankesa. Spiesznie wyjęła z ukrycia pierścionek i diamentowe kolczyki i wsunęła je do portfelu. Ale gdzie go ukryć? W materacu? W kominie? Wrzucić go do studni? Schować na piersiach? Nie, broń Boże nie tam! Zarys jego może być widoczny przez stanik; jeżeli Jankesi go zauważą, gotowi będą rozebrać ją do naga i zrewidować.

,,Umrę, jeżeli to zrobią!” — pomyślała z pasją.

Na dole głośno było od tupotu stóp i płaczliwych głosów. Mimo swego zgorączkowania Scarlett żałowała, że nie ma przy niej Meli, Meli o spokojnym głosie, Meli, która okazała tyle odwagi w dniu, gdy Scarlett zabiła Jankesa. Mela była tyle warta co trzy inne kobiety. Mela — co też powiedziała na odjezdnym? A tak, dziecko!

Przyciskając do siebie portfel, Scarlett przebiegła przez korytarz do pokoju, w którym mały Beau spał w niskiej kolebce. Schwyciła go w ramiona; dzieciak zbudził się, poruszył małymi piąstkami i zaczął się ślinić.

Usłyszała, jak Zuela woła: — Chodź już, Karino! Chodź! Mamy już dość jedzenia! Och, prędzej, śpiesz się! — Z podwórza rozległy się dzikie piski i oburzone chrząkania. Podbiegając do okna Scarlett ujrzała Mammy, toczącą się spiesznie przez pole bawełny z dwoma. wyrywającymi się prosiakami pod pachą. Za nią szedł Pork, także niosąc dwa prosięta i popychając Geralda przed sobą. Gerald potykał się o bruzdy i gniewnie wymachiwał łaską.

Wychylając się z okna Scarlett krzyknęła: — Dilcey, wyprowadź maciorę! Niech ją Prissy pogna przed sobą przez pola.

Dilcey spojrzała w górę, a na jej brązowej twarzy malowało się zakłopotanie. W fartuchu miała stos srebra stołowego. Palcem wskazywała pod dom.

— Świnia ugryzła Prissy i teraz Prissy siedzi uwięziona pod domem.

„Świnia dobrze zrobiła” — pomyślała Scarlett. Znowu wróciła do swego pokoju i szybko zaczęła wyjmować że schowanek bransoletki, broszkę, miniaturę i kubek, znalezione przy zabitym Jankesie. Gdzie to wszystko ukryć? Nieporęcznie jej było nieść małego Beau w jednej ręce, a portfel i świecidełka w drugiej. Położyła dziecko na łóżku.

Mały zaczął płakać, a wtedy Scarlett przyszedł do głowy zbawienny pomysł. Jakaż może być lepsza kryjówka niż pieluszki dziecka? Szybko obróciła dzieciaka, podniosła mu koszulkę i włożyła portfel pod pieluszkę, na plecach dziecka. Beau zaczął krzyczeć głośniej jeszcze, ona nie zważając na to przewijała go szybko.

,,A teraz — pomyślała wzdychając głęboko — teraz na bagna!”

Biorąc krzyczące dziecko pod jedną rękę, biżuterię ściskając w drugiej, wybiegła na korytarz. Nagle zwolniła kroku, a strach podciął jej kolana. Jaki milczący był dom! Jak przeraźliwie cichy! Czy wszyscy poszli i zostawili ją samą? Czy nikt na nią nie poczekał? Nie chciała wcale zostać sama. W takich czasach wszystko mogło się przytrafić samotnej kobiecie, tym bardziej że nadchodzili Jankesi...

Podskoczyła prawie, słysząc jakiś szmer i odwracając się szybko, spostrzegła przycupniętego przy poręczy schodów swego zapomnianego synka, o oczach rozszerzonych strachem. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu.

— Wstawaj, Wade! — rozkazała szybko. — Wstawaj i chodź że mną. Mama nie może cię teraz nosić.

Dopadł do niej jak małe przerażone zwierzątko i chwytając fałdę jej szerokiej spódnicy ukrył w niej twarz. Czuła, jak małe jego ręce szukają jej nóg. Zaczęła schodzić po schodach, ale ręce Wade'a hamowały jej kroki, powiedziała więc ostro: — Puść mnie, Wade! Puść mnie i idź sam! — Dziecko jednak czepiało jej się coraz mocniej.

Kiedy doszła do półpiętra, objęła wzrokiem całe wnętrze domu. Wszystkie dobrze znajome, ukochane meble zdawały się szeptać: — Żegnaj! Żegnaj! — Łzy zaczęły ją dławić. Drzwi do kantorku, w którym Ellen zwykła pracować tak pilnie, były otwarte; widziała róg starego sekretarzyka. W jadalni krzesła odsunięte były nieporządnie i resztki jedzenia stygły na talerzach. Na podłodze leżały dywaniki, które Ellen sama farbowała i tkała. Na ścianie wisiał stary portret babci Robillard, o na wpół obnażonych piersiach, wysoko upiętych włosach i nozdrzach tak zarysowanych, że twarz jej zdawała się wiecznie wzgardliwie uśmiechać. Wszystko to było częścią jej najwcześniejszych wspomnień, we wszystko to najgłębiej wrosła korzeniami: — Do widzenia! Żegnaj, Scarlett O'Hara.

Jankesi spalą to wszystko — wszystko!

Po raz ostatni patrzyła teraz na dom. Z kryjówki swojej w lasach czy na moczarach zobaczy jeszcze potem tylko wysokie kominy w kłębach dymu i dach pękający od żaru płomieni.

„Nie mogę tego opuścić — pomyślała, choć zęby jej dzwoniły z przerażenia. — Nie mogę tego opuścić. Papa także nie zostawiłby tego. Powiedział im, że mogą mu dom palić nad głową. Wobec tego niech palą go nad moją głową, bo i ja go nie opuszczę. To jest jedyne, co posiadam”.

Kiedy powzięła tę decyzję, strach jej nagle uleciał i zostało tylko uczucie mrozu w piersiach. Stojąc tak, usłyszała od strony podjazdu stąpanie wielu par kopyt końskich, dźwięczenie uprzęży i szabli, podzwaniających w pochwach, i ochrypły głos rzucający komendę: — Zsiadać! — Szybko pochyliła się do Wade'a, a głos jej zabrzmiał dość łagodnie, choć stanowczo.

— Puść mnie teraz, Wade, kochanie! Przebiegnij szybko po schodach i leć przez podwórze w stronę bagien. Będzie tam Mammy i ciocia Mela. Leć prędko, kochanie, i nie bój się.

Słysząc zmianę w jej głosie chłopiec spojrzał w górę i Scarlett zdumiała się wyrazem jego oczu — były błędne jak oczy małego królika, zaplątanego w sidła.

— Och, Najświętsza Panienko! — modliła się. — Spraw, aby nie dostał teraz konwulsji, tylko nie wobec Jankesów Nie powinni wiedzieć, że się boimy — i kiedy dzieciak mocniej schwycił się jej spódnicy, rzekła głośno: — Bądź małym mężczyzną, Wade. To tylko garstka przeklętych Jankesów! Po czym zeszła na dół na ich spotkanie.

Sherman maszerował przez Georgię od Atlanty do morza. Za sobą miał dymiące zgliszcza Atlanty, którą podpalił w chwili, gdy niebieska armia ją opuszczała. Przed sobą — trzysta mil terytorium właściwie bezbronnego, jeżeli nie liczyć resztek milicji stanowej oraz starców i niedorostków z gwardii.

Rozciągał się przed Jankesami żyzny kraj, usiany plantacjami, w których chroniły się kobiety i dzieci, niedołężni starcy i Murzyni. Na przestrzeni osiemdziesięciu mil palili teraz i rabowali. Setki domów puścili z dymem, w setkach domów brzmiały ich ciężkie kroki. Dla Scarlett jednak, przyglądającej się, jak żołnierze zapełniają hali, fakt ten miał znaczenie wyłącznie osobiste. Uważała, że dzieje się jej złośliwa krzywda, że przykrość wymierzona jest wyłącznie w nią i jej najbliższych.

Stała u stóp schodów, trzymając dziecko na ręku. Wade obejmował mocno jej nogi, kryjąc głowę w fałdach spódnicy, Jankesi zaś roili się w domu, potrącając ją wbiegli na schody, wyciągnęli meble na ganek frontowy, kłuli bagnetami i nożami wyścielane fotele i szukali w nich ukrytych kosztowności. Na górze pruli materace i pierzyny, aż powietrze w hallu stało się duszne, od pierza, które unosiło się wszędzie. Bezsilna wściekłość przytłumiła w Scarlett resztki strachu, kiedy tak stała bezradnie, patrząc, jak plądrują, kradną i niszczą.

Sierżant dowodzący oddziałem był małym, siwiejącym człowieczkiem na kabłąkowatych nogach. W ustach miał duży kawał tytoniu do żucia, który wypychał mu policzek. Podszedł ku Scarlett, wyprzedzając innych i plując bezceremonialnie na podłogę, rzekł krótko:

— Proszę mi dać to, co pani ma w ręku.

Zapomniała zupełnie o błyskotkach, które chciała schować, i z drwiącym uśmiechem, prawie tak wymownie jak śmiech babci Robillard, rzuciła wszystko na podłogę, ciesząc się złośliwie z walki, jaką żołnierze o to toczą. — Jeszcze panią poproszę o ten pierścionek i kolczyki.

Scarlett ścisnęła dziecko mocniej tak że teraz zwisało prawie głową na dół, czerwone i płaczące, i zdjęła kolczyki z granatów — prezent ślubny Geralda dla Ellen. Potem zsunęła z palca pierścionek z dużym szafirem, który dostała od Karola w dniu zaręczyn.

— Niech pani tego nie rzuca. Proszę to mnie dać — rzekł sierżant wyciągając dłoń. — Ta hołota już dość dostała. Co pani ma jeszcze? — Oczy jego przebiegły badawczo po jej staniku.

Przez chwilę Scarlett zrobiło się słabo, jak gdyby czuła już ręce sięgające za stanik, macające przy podwiązkach.

— To wszystko, co mam, ale wy macie przecież zwyczaj obdzierania ofiar nawet z ubrania?

— Och, ja wierzę pani na słowo — rzekł dobrodusznie sierżant, znowu spluwając na odchodnym. Scarlett uspokoiła dziecko i wzięła je teraz lepiej na ręce, kładąc dłoń w miejscu, gdzie ukryła portfel, i dziękując Bogu, że Mela miała dziecko, a dziecko — pieluszki.

Na górze słyszała stąpanie ciężkich buciorów, skrzyp mebli przesuwanych po podłodze, tłuczenie porcelany i luster, przekleństwa, że nie znajdują rzeczy wartościowych. Z podwórza dochodziły głośne krzyki: — Zagrodźcie im drogę! Nie pozwólcie im uciec! — i rozpaczliwe gdakanie kur, kwakanie kaczek i gęganie gęsi. Ból ją przeszył, kiedy usłyszała pełne trwogi kwiki, potem strzał z pistoletu — domyśliła się, że zastrzelono maciorę. Niech licho porwie Prissy! Uciekła i zostawiła świnię! Oby tylko prosięta były bezpieczne! Oby rodzina była bezpieczna na moczarach! To jednak trudno było przewidzieć.

Stała spokojnie w hallu, podczas gdy żołnierze kręcili się koło niej, krzyczeli i przeklinali. Palce Wade'a czepiały się kurczowo jej spódnicy. Czuła, że mały drży na całym ciele, garnąc się do niej, ale nie umiała się zdobyć na uspokojenie go bodaj słowem. Nie mogła się zdobyć na przemówienie do Jankesów, na słowo prośby, protestu czy gniewu. Co najwyżej mogła dziękować Bogu, że kolana nie załamują się pod nią, że kark ma dość sztywny, aby wysoko trzymać głowę. Kiedy jednak oddział brodatych, ciężko obładowanych łupem mężczyzn zszedł po schodach i kiedy ujrzała szablę Karola w rękach jednego z nich, nie wytrzymała i krzyknęła głośno.

Szabla należała do Wade'a. Była własnością ojca jego i dziadka, więc Scarlett podarowała mu ją na ostatnie urodziny. Odbyła się przy tym mała ceremonia: Melania płakała z dumy i żalu, pocałowała chłopca i powiedziała, że musi się starać wyrosnąć na dzielnego żołnierza, jak ojciec jego i dziadek. Wade był bardzo z szabli dumny; często wdrapywał się na stół, nad którym wisiała, aby ją przynajmniej pogłaskać. Scarlett mogła znieść stratę własnego dobytku wynoszonego z domu przez nienawistnych drabów, ale tego nie chciała ścierpieć. Zabierano dumę i nadzieję jej synka. Wade, który wyjrzał zza zasłony jej spódnic, gdy krzyknęła, odzyskał nagle mowę i odwagę. Wyciągając jedną rękę zawołał z głośnym szlochem:

— To moje!

— Tego nie zabierzecie! — szybko powiedziała Scarlett i także wyciągnęła rękę.

— Nie zabiorę, naprawdę? — rzekł mały żołnierz trzymając szablę i wykrzywił się do niej drwiąco. — Właśnie że zabiorę! To broń buntowników!

— Nie, to nieprawda. To szabla z wojny meksykańskiej. Nie możecie jej zabrać. Należy do mego synka, była własnością jego dziadka! Och, panie kapitanie — zawołała zwracając się do sierżanta — niech pan każe mu ją oddać!

Sierżant, dumny z tego awansu, wystąpił naprzód.

— Pokaż mi tę szablę, Bob — powiedział.

Mały kawalerzysta podał mu ją niechętnie. — Ma szczerozłotą rękojeść — powiedział.

— Pułkownikowi Wiliamowi R. Hamiltonowi — zaczął odcyfrowywać sierżant. — Od oficerów i żołnierzy. W dowód odwagi. Buena Vista. 1847.

— O, proszę pani — rzekł — ja też byłem pod Buena Vista.

— Tak? — rzekła Scarlett lodowato.

— Rozumie się, że byłem! O, tam było dobre pranie, powiadam pani. W tej wojnie nie mieliśmy takiej bitwy jak tamta. A więc pani mówi, że ta szabla należała do dziadusia tego kawalera?

— Tak.

— No, więc niech ją zatrzyma — rzekł sierżant, zadowolony z biżuterii i srebra, które sobie zawiązał w chusteczkę.

— Ale przecież ta rękojeść jest z prawdziwego złota — napierał się kawalerzysta.

— Zostawimy ją tej pani, aby nas pamiętała — zaśmiał się sierżant.

Scarlett wzięła szablę, nie mówiąc nawet „dziękuję”. Dlaczego miałaby dziękować tym bandytom za zwrot tego, co było jej własnością? Przycisnęła szablę do siebie, podczas gdy mały kawalerzysta kłócił się i swarzył z sierżantem.

— Na Boga, ja co innego bym zrobił tym przeklętym buntownikom, aby mnie popamiętali! — krzyknął wreszcie żołnierz, gdy sierżant, wyprowadzony z równowagi, sklął go i nakazał milczenie. Odszedł pieniąc się na tył domu i Scarlett odetchnęła swobodniej. Nic nie powiedzieli o spaleniu domu. Nie kazali jej wyjść, aby go mogli podpalić. Może... może... Żołnierze zaczęli się wolno schodzić z podwórza i z górnego piętra.

— Macie co? — zapytał sierżant.

— Jedną świnię i parę kur i kaczek.

— Trochę kukurydzy, bulw i fasoli. Ta wariatka, którą widzieliśmy na koniu, musiała ich w porę uprzedzić.

— No, po prawdzie to niewiele tu było, sierżancie. Wyście zabrali resztki. Jedźmy stąd, zanim się w całym powiecie dowiedzą, że się zbliżamy.

— Czyście szukali pod wędzarnią? Oni zwykle tam wszystko chowają.

— Kiedy nie ma wędzarni.

— A szukaliście w chałupach murzyńskich?

— W chałupach była tylko bawełna. Podpaliliśmy ją.

Przez krótką chwilę Scarlett pomyślała o upalnych długich dniach pracy w polu, poczuła znowu straszny ból pleców, karku i ramion. Wszystko na nic. Bawełna zniszczona.

— Nie mieliście tu dużo, prawda, proszę pani?

— Wasze wojska już tu raz były — odrzekła chłodno.

— To prawda. Byliśmy w tej okolicy we września — rzekł jeden z żołnierzy obracając coś w palcach. — Zapomniałem o tym zupełnie.

Scarlett zobaczyła, że trzyma w ręku złoty naparstek Ellen. Ileż razy widziała, jak połyskiwał nad haftami matki! Widok ten odświeżył w niej cały szereg bolesnych wspomnień o szczupłej dłoni, która go nosiła. Teraz spoczywał w brudnej, twardej łapie obcego człowieka, wkrótce zaś powędruje na Północ, na palec jakiejś Jankeski, która dumna będzie z posiadania wojennej zdobyczy. Naparstek Ellen!

Scarlett opuściła głowę, aby wrogowie nie widzieli, że płacze: łzy jej pociekły wolno na główkę dziecka. Jak przez mgłę widziała, że żołnierze kierują się w stronę drzwi, słyszała, jak sierżant ochrypłym, donośnym głosem rzuca komendę. Odjeżdżali i Tara ocalała; teraz jednak, gdy gniotło ją wspomnienie o Ellen, wcale nie mogła się z tego cieszyć. Podżwięki szabel i odgłosy kopyt końskich sprawiły jej niewiele ulgi. Nagle osłabiona i wyczerpana stała bez ruchu i przyglądała się, jak Jankesi znikają w alei, obładowani skradzionymi rzeczami — odzieżą, kołdrami, obrazami, drobiem.

Nozdrza jej uderzył teraz zapach dymu, odwróciła się więc leniwie, zbyt słaba po przebytym napięciu, aby martwić się z powodu bawełny. Przez otwarte okna jadalni widziała dym sączący się wolno z chat murzyńskich. Bawełna przepadła. Przepadły pieniądze na podatki i na utrzymanie domu w czasie ciężkiej zimy. Nie mogła na to nic więcej poradzić, jak tylko patrzeć bezsilnie. Widziała nieraz palącą się bawełnę, wiedziała więc, jak trudno ją ugasić, nawet przy pomocy wielu ludzi. Dzięki Bogu, że nie ma wiatru, który by iskry rzucił na dach Tary!

Nagle naprężyła się jak ogar, rozszerzanymi strachem oczyma patrzyła na kryty korytarz prowadzący do kuchni. Z kuchni szedł dym!

Gdzieś w hallu położyła dziecko. Gdzieś dalej uwolniła się od uścisku Wade'a i odepchnęła go pod ścianę. Wpadła do pełnej dymu kuchni i zachwiała się kaszląc, a oczy jej zaczęły łzawić od dymu. Po chwili rzuciła się naprzód, zakrywając spódnicą nos.

Izba była ciemna,, bo oświetlało ją tylko jedno okienko, i tak pełna dymu, że nic nie widziała przed sobą, dochodził ją tylko syk płomieni. Przesuwając rękę po oczach popatrzyła zezem i ujrzała cienkie języki ognia posuwające się po podłodze w stronę ścian.

Ktoś wyrzucił z pieca palące się głownie na podłogę, więc suche jak pieprz sosnowe deski chłonęły ogień i rzygały nim jak wodą.

Pobiegła do jadalni i chwyciła z podłogi dywanik, przewracając z trzaskiem dwa krzesła.

„Nigdy tego nie ugaszę — nigdy, nigdy! Och, Boże, gdybym miała choć kogoś do pomocy! Tara pójdzie z dymem — cała! Och, Boże! To miał na myśli ten łotr mówiąc, że już go popamiętam! Ach, dlaczego nie dałam mu tej szabli!”

W korytarzu minęła Wade'a leżącego z szablą w kącie. Miał zamknięte oczy, a na twarzy wyraz błogiego, nieziemskiego spokoju.

„Mój Boże! Nie żyje! Przerażenie go zabiło!” — pomyślała z rozpaczą, ale nie zatrzymując się, chwyciła wiadro wody, które stało przy drzwiach kuchennych.

Umoczyła róg dywanika w wodzie i zaczerpnąwszy głęboko powietrza znowu weszła do pełnej dymu izby, zatrzaskując drzwi za sobą. Przez nie kończącą się chwilę chwiała się i kaszlała, gasząc dywanikiem linijki ognia, które szybko wytryskiwały dokoła. Dwa razy długa jej spódnica zaczynała się palić, więc musiała ją gasić rękoma. Czuła zapach palącego się rogu, bo powypadały jej wszystkie szpilki z fryzury, a włosy rozpuściły się na ramiona. Płomienie pędziły za nią w kierunku ścian krytego korytarza — jak ogniste węże, które zwijają się i atakują, aż wreszcie nieprzytomna z wyczerpania, poczuła, że wysiłki jej są beznadziejne.

Drzwi otwarły się nagle, od pędu powietrza płomienie wzbiły się wyżej. Po chwili znowu zamknęły się z trzaskiem; w leju gryzącego dymu Scarlett, na wpół oślepiona, ujrzała Melanię depczącą nogami płomienie, gaszącą je czymś ciemnym i ciężkim. Widziała, jak chwieje się, słyszała, jak kaszle, przez chwilę zarysowała się przed nią jej zacięta biała twarz i oczy zmrużone od dymu, jej mała postać pochylająca się w przód i w tył, trzepiąca dywanikiem. Przez wieczność całą walczyły z ogniem, ramię przy ramieniu, wreszcie Scarlett zobaczyła, że języki ognia zaczynają maleć. Naraz Melania odwróciła się ku niej i krzycząc z całej siły wyrżnęła ją w plecy. Scarlett upadła w dym i ciemność.

Kiedy otwarła oczy, leżała na kuchennym ganku z głową ułożoną wygodnie na kolanach Melanii, a promienie zachodzącego słońca świeciły jej w twarz. Dłonie jej, twarz i ramiona piekły niemiłosiernie od oparzeń. Dym ciągle jeszcze sączył się z chałup murzyńskich, które nikły w tym gęstym tumanie, w powietrzu czuć było silny zapach tlącej się bawełny. Scarlett ujrzała cienkie dymki, unoszące się od strony kuchni, i gwałtownie poderwała się z miejsca.

Położyła się jednak znowu, kiedy usłyszała spokojne słowa Melanii: — Leż spokojnie, kochanie. Ogień ugaszony.

Przez chwilę leżała bez ruchu, z zamkniętymi oczyma, wzdychając z ulgą, aż usłyszała blisko siebie gaworzenie dziecka i znajome dźwięki czkawki Wade'a. Więc jednak nie umarł! Bogu niech będą dzięki! Otworzyła oczy i spojrzała na twarz Melanii. Włosy jej były opalone, twarz czarna od sadzy, ale oczy świeciły podnieceniem — uśmiechała się pogodnie.

— Wyglądasz jak Murzyn — szeptała Scarlett lepiej układając głowę na miękkim oparciu.

— A ty jak diabeł z szopki — odparła spokojnie Melania.

— Dlaczego mnie tak mocno uderzyłaś?

— Ponieważ, kochanie moje, suknia zaczęła się na tobie palić. Nie przypuszczam, że zemdlejesz, choć Bóg jeden wie, że przeszłaś dziś więcej niż człowiek może wytrzymać... Wróciłam do domu, jak tylko zagnałam bydło do lasu. Umierałam z niepokoju myśląc o tobie, samej tutaj z dziećmi. Czy Jankesi nie zrobili ci nic złego?

— Myślisz, czy nie zgwałcili mnie? Nie — rzekła Scarlett i siadając stęknęła z bólu. Mimo że łono Melanii było miękkie, na ganku nie było jej bynajmniej wygodnie. — Ale ukradli wszystko, wszystko. Straciliśmy wszystko... Dlaczego się uśmiechasz?

— Nie straciliśmy nikogo z rodziny i dzieci nasze są całe i mamy dach nad głową — rzekła Melania śpiewnie. — A to więcej, niż można się w dzisiejszych czasach spodziewać... Na miłość boską, ależ Beau jest mokry! Przypuszczam, że Jankesi skradli nawet jego pieluszki. Scarlett, co tutaj leży?

Wsunęła z niepokojem rękę za koszulę dziecka i wyciągnęła po chwili portfel. Przez chwilę patrzyła nań, jak gdyby go nigdy przedtem nie widziała, potem zaś zaczęła się śmiać — głośno i srebrzyście, bez cienia sztuczności.

— Nikt poza tobą nie wpadłby na taki pomysł! — zawołała i obejmując Scarlett za szyję, pocałowała ją serdecznie. — Jesteś najsprytniejszą osobą, jaką znam.

Scarlett pozwoliła się pocałować, bo była zbyt zmęczona, aby się wyrywać, bo słowa pochwały sprawiały jej pewną przyjemność, bo w ciemnej, pełni dymu kuchni zrodził się większy szacunek dla Melanii, silniejsze poczucie koleżeństwa.

„W każdym razie trzeba jej przyznać — pomyślała niechętnie — że zawsze się zjawia, kiedy jest potrzebna”.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Zima nadciągnęła nagle, a z nią przejmujące mrozy. Zimne wiatry wiały przez szpary pod drzwiami, wprawiały w monotonne drżenie szyby nieszczelnych okien. Z nagich drzew spadały ostatnie liście i tylko sosny, jeszcze zielone, rysowały się ponuro na tle sinego nieba. Wyboiste czerwone drogi pokryły się powłoką szronu; w Georgii zapanował głód.

Scarlett z goryczą wspominała rozmowę swoją z babcią Fontaine. Tego dnia przed dwoma miesiącami, który zdawał się być bardzo odległy, powiedziała starej pani, że zdarzyło jej się już najgorsze, co mogło ją spotkać — powiedziała to szczerze. Teraz uwaga ta wydała jej się pensjonarską przechwałką. Przed drugim najściem Jankesów na Tarę miała mały zapas żywności i pieniędzy, miała sąsiadów zamożniejszych od siebie i bawełnę, która mogła jej pomóc w przetrwaniu do wiosny. Teraz straciła bawełnę, straciła zapasy, pieniądze nie miały żadnego znaczenia, bo nie można było za nie dostać żywności, sąsiedzi zaś byli w gorszym położeniu niż ona. Jej została przynajmniej krowa i cielę, koń i kilka prosiąt, sąsiedzi zaś nie mieli nic poza nielicznymi rzeczami, które zdołali ukryć w lesie lub zakopać.

Fairhill, dom Tarletonów, został zrównany z ziemią, pani Tarleton zaś i cztery jej córki gnieździły się w domu rządcy. Dom Munroe'ów koło Lovejoy spalono. Drewniane skrzydło Mimozy także; dom ocalał dzięki swoim grubym murom i szalonym wysiłkom pań Fontaine i ich niewolnic, które ugasiły pożar mokrymi kocami. Dwór Calvertów znowu ocalał dzięki wstawiennictwu Hiltona, jankeskiego rządcy, nie zostawiono im jednak ani jednej sztuki bydła czy drobiu, ani kaczana kukurydzy.

W Tarze i w całym powiecie najważniejszym zadaniem stało się zdobycie pożywienia. Większości rodzin nie zostało nic poza resztkami yamów i orzechów ziemnych oraz łowioną w lasach zwierzyną. Dzielili się w miarę możności z mniej zasobnymi sąsiadami, jak za dawnych, szczęśliwych lat. Wkrótce jednak nadszedł czas, kiedy nie było się czym dzielić.

W Tarze żywiono się królikami, oposami i rybą — kiedy Porkowi udawały się łowy. W inne dni jadano orzechy laskowe, pieczone żołędzie, yamy i mleko. Wszyscy byli głodni. Scarlett wydawało się, że ciągle widzi przed sobą puste ręce, błagalne spojrzenia. Doprowadzało ją to do szału, bo była nie mniej głodna od innych.

Kazała zabić cielę, ponieważ wypijało zbyt dużo cennego mleka, i dnia tego wszyscy tak się objedli świeżej cielęciny, że się pochorowali. Wiedziała, że powinna kazać zarżnąć jedno z prosiąt, ale odkładała to z dnia na dzień, czekając, aż prosiaki urosną. Były bardzo małe. Będą miały mało mięsa, jeżeli się je już zabije, więcej — jeżeli uda się je oszczędzić. Nocami naradzała się z Melanią, czy nie wysłać Porka z wozem po zakup jedzenia za zielone dolary. Obawa jednak, że zarekwirują jej konia i zabiorą pieniądze, wstrzymywała ją od tego zamiaru. Nie wiadomo było, gdzie są Jankesi. Mogli być równie dobrze w odległości tysięcy mil, jak tuż za rzeką. Pewnego razu doprowadzona do rozpaczy, Scarlett zaczęła się sama wybierać na poszukiwanie pożywienia, prośby jednak całej rodziny zmusiły ją do poniechania tego zamiaru.

Pork zapuszczał się daleko, czasem nie wracając na noc do domu. Scarlett zaś nie pytała go, dokąd chodzi. Przynosił zwierzynę, czasem parę kaczanów kukurydzy lub woreczek suszonego groszku. Pewnego dnia wrócił z kogutem, którego znalazł, jak mówił, w lasach. Rodzina zjadła go że smakiem, ale z nieczystym sumieniem, bo dobrze wiedzieli, że Pork ukradł go, podobnie jak groch i kukurydzę. Którejś nocy wkrótce potem zapukał do drzwi Scarlett, gdy cały dom spał, i nieśmiało pokazywał jej nogę, podziurawioną śrutem. Kiedy mu ją opatrywała, ociągając się wyznał, że przyłapano go w chwili, gdy zakradał się do kurnika w Fayetteville. Scarlett nie pytała wcale, czyj to był kurnik, tylko że łzami w oczach lekko pogładziła Porka po ramieniu. Murzyni byli chwilami

irytujący, byli głupi i leniwi, cechowała ich jednak lojalność, której nie można było kupić za pieniądze, poczucie solidarności że swymi właścicielami, które sprawiało, że nie wahali się nawet narażać życia, aby się przysłużyć domowi.

W dawnych czasach wyprawy Porka stanowiłyby poważne wykroczenie, które trzeba by było ukarać batożeniem. W dawnych czasach Scarlett musiałaby udzielić mu ostrej nagany. „Pamiętaj zawsze, kochanie — mawiała Ellen — że jesteś odpowiedzialna za pomyślność nie tylko fizyczną, ale i moralną czarnych, nad którymi Bóg powierzył ci pieczę. Musisz zrozumieć, że są oni jak dzieci i że trzeba ich tak samo jak dzieci chronić przed ich zachciankami — dlatego staraj się zawsze świecić im dobrym przykładem”.

Teraz jednak Scarlett naganę odłożyła na inną okazję. Wcale nie przysparzał jej wyrzutów sumienia fakt, że popycha Porka do kradzieży, i to do okradania ludzi może biedniejszych od siebie. Strona moralna tej sprawy mało ją obchodziła. Zamiast ukarać Porka czy zganić, współczuła mu tylko, że go postrzelono.

— W przyszłości musisz lepiej uważać, Pork, nie chcę cię stracić. Co byśmy poczęli bez ciebie? Byłeś bardzo dobry i wierny. Gdy tylko będę miała pieniądze, kupię ci duży zloty zegarek i każę na nim wyryć werset z Biblii albo słowa: „W uznaniu dobrej i wiernej służby”.

Pork rozpromienił się słysząc tę pochwałę i ostrożnie podrapał się po zabandażowanej nodze.

— To będzie bardzo piękny prezent, Miss Scarlett. Kiedy panienka będzie miała te pieniądze?

— Nie wiem, Pork, ale kiedyś je na pewno zdobędę. — Spojrzała na niego wzrokiem pełnym takiego rozgoryczenia, że Murzyn zaczął się niespokojnie kręcić. — Kiedyś, gdy ta wojna się skończy, będę miała masę pieniędzy. Wtedy nigdy więcej nie będę głodna ani zmarznięta. Nikt z nas nie będzie wtedy cierpiał głodu ani zimna. Wszyscy będziemy mieli piękne ubrania i jedli co dzień pieczone kurczęta i...

Nagle przerwała. Najsurowszą zasadą w Tarze, zasadą, którą sama ustanowiła i której przestrzegała surowo, było, aby nikt nie mówił o dawnych ani o przyszłych dobrych obiadach.

Pork wysunął się z pokoju. Scarlett zaś dalej milcząco patrzyła w przestrzeń. W dawnych czasach, minionych na zawsze, życie było bardzo zawiłe, pełne skomplikowanych problemów. Należało zdobyć miłość Ashleya i jednocześnie utrzymać w niepewności tuzin innych adoratorów. Małe uchybienia trzeba było ukrywać przed starszymi, zazdrosne przyjaciółki trzeba było to łagodzić, to bardziej rozwścieczać; należało wybierać fasony sukien i materiały, próbować nowe fryzury, rozstrzygać tyle, ach, tyle innych spraw! Teraz życie stało się przeraźliwie proste. Najważniejszą sprawą było, aby mieć dość jedzenia, być dość ciepło ubranym i mieć dach nad głową, który by zanadto nie przeciekał.

W tym czasie Scarlett coraz częściej zaczęła miewać sen, który powtarzał się przez całe lata. Był zawsze taki sam, szczegóły jego nie zmieniały się nigdy, ale strach, jaki odczuwała, ciągle wzrastał, a obawa, że znowu będzie śniła, mąciła jej nawet godziny czuwania. Doskonale pamiętała dzień, w którym przyśnił się jej po raz pierwszy.

Zimny deszcz siekł przez wiele dni i dom był pełen przeciągów i wilgoci. Polana na kominku były mokre, dymiły i nie dawały ciepła. Nie było nic do jedzenia prócz mleka, bo zapas yamów wyczerpał się, a sidła i sieci Porka nic nie przyniosły. Następnego dnia miało iść na rzeź jedno z prosiąt, bo inaczej w ogóle nie mieliby co jeść. Głodne twarze, czarne i białe, zewsząd patrzyły na Scarlett prosząc ją niemo o jedzenie. Postanowiła zaryzykować stratę konia i wysłać Porka po zakupy. Na domiar złego jeszcze Wade miał zapalenie gardła i wysoką gorączkę, doktora zaś i lekarstw oczywiście nie było.

Głodna, zmęczona doglądaniem dziecka, Scarlett zostawiła go na chwilę pod opieką Melanii i położyła się na łóżku. Nogi miała zimne, kręciła się więc na wszystkie strony nie mogąc zasnąć, przytłoczona obawami i rozpaczą. Co chwila myślała: „Co mam zrobić? Dokąd się zwrócić? Czy nie ma na całym świecie nikogo, kto by mógł mi pomóc? Gdzie się podziało bezpieczeństwo świata?” Dlaczego nie było nikogo, nikogo mocnego i mądrego, kto by ją uwolnił od tych brzemion? Nie była stworzona do ich dźwigania. Nie wiedziała, jak je znieść. Potem zapadła w niespokojną drzemkę.

Szła dziką, nieznaną okolicą, osnutą mgłą tak gęstą, że nie widziała przed sobą wyciągniętej własnej dłoni. Ziemia zapadała się pod jej stopami. Był to jakiś nawiedzony, przeraźliwie cichy kraj. Błądziła w nim przerażona jak dziecko w nocy. Było jej zimno, czuła głód i tak szaloną obawę, co też się czai we mgle, że chciała krzyczeć, a nie mogła. We mgle były jakieś stwory, które wyciągały ręce chcąc szarpnąć ją za suknię, zepchnąć w głąb niepewnej ziemi, która usuwała się spod jej stóp — nielitościwe, widmowe ręce. Potem poczuła, że gdzieś, w niepewnym świetle majaczy schronienie, pomoc, przystań spokojna i ciepła. Ale gdzie? Czy zdąży dopaść do niej, zanim ręce pochwycą ją i zepchną w lotne piaski?

Nagle poczęła biec przez mgłę jak szalona, krzycząc, wrzeszcząc i wyciągając ręce, ale przed sobą napotkała tylko pustą i wilgotną przestrzeń. Gdzież była ta przystań? Nie mogła do niej trafić, ale wiedziała, że jest gdzieś blisko. Gdybyż mogła do niej dotrzeć! Byłaby uratowana! Strach jednak podcinał jej nogi, głód ją osłabiał. Wydała rozpaczliwy okrzyk i zbudziła się; ujrzała nad sobą strapioną twarz Melanii, która potrząsała nią lekko, aby ją obudzić.

Sen wracał, ilekroć kładła się spać o pustym żołądku. Zdarzało się to dość często. Tak ją przerażał, że bała się spać, mimo że zapewniała się, iż nie ma w nim nic, czego się powinna lękać. Nie było właściwie nic — a jednak myśl o potknięciu się w tej zamglonej okolicy tak ją przerażała, że zaczęła sypiać z Melanią, która miała ją budzić, gdyby płacz i drżenie zdradzało, iż znowu nawiedził ją koszmar.

Od przeżyć tych zmizerniała i schudła. Twarz jej straciła okrągłość, kości policzkowe zaczęły wystawać podkreślając skośność zielonych oczu i nadając jej wyraz głodnego, czyhającego na zdobycz kota.

„Życie na jawie jest i tak dostatecznie koszmarne” — myślała z rozpaczą i zaczęła sobie odkładać dzienną rację na wieczór, aby spożywać ją bezpośrednio przed spaniem.

W okresie Bożego Narodzenia przywlókł się do Tary Frank Kennedy z małym oddziałem wojska w poszukiwaniu paszy i zwierząt dla armii. Była to obdarta i groźnie wyglądająca gromadka na okulałych i dychawicznych koniach, które nie nadawały się już widocznie do czynniejszej służby. Jeźdźcy byli także niezdolni do służby na froncie, bo wszystkim z wyjątkiem Franka brakło czegoś — to ramienia, to oka, to palców. Nosili przeważnie niebieskie mundury zdobyte na Jankesach, więc przez krótką straszliwą chwilę mieszkańcy Tary myśleli, że to wracają wojska Shermana.

Spędzili noc na plantacji, na podłodze w salonie; rozłożyli się z rozkoszą na puszystym dywanie, ponieważ od całych tygodni nie spali pod dachem, tylko na twardej ziemi lub igłach sosnowych. Mimo że mieli brudne brody i łachmany na sobie, wszyscy byli grzeczni, bardzo uprzejmi, skłonni do żartów i komplementów i zadowoleni, że mogą spędzić wigilię w dużym domu, w otoczeniu ładnych kobiet — jak za dawnych dobrych czasów. Nie chcieli mówić poważnie o wojnie, opowiadali straszne bajki, aby rozśmieszyć dziewczęta, i do ogołoconego i zrujnowanego domu wnieśli pierwszą nutę radości, jaka zabrzmiała w nim od wielu miesięcy.

— Wydaje mi się, jak gdyby to były dawne czasy, kiedy do domu przyjeżdżali goście na święta! — szeptała radośnie Zuela do Scarlett. Promieniała, że ma koło siebie własnego adoratora, i nie odwracała wzroku od Franka. Scarlett nie mogła wyjść z podziwu, bo mimo chudości, która pozostała jej po chorobie, Zuela stała się nagle prawie ładna. Policzki jej były różowe, a oczy rozjaśnione pogodą.

„On musi się jej rzeczywiście podobać — myślała Scarlett z pogardą — I mam wrażenie, że stałaby się podobna do ludzi, gdyby wreszcie miała męża, choćby takiego jak ten pretensjonalny Frank”.

Karina także się ożywiła i straciła na ten wieczór wygląd lunatyczki. Okazało się bowiem, że jeden z żołnierzy znał Brenta Tarletona i był blisko niego w dniu jego śmierci. Karina obiecywała sobie wieczorem długą rozmowę na ten temat.

Przy kolacji Melania zadziwiła wszystkich, bo przezwyciężyła zwykłą nieśmiałość i stała się nagle rozmowna. Śmiała się, żartowała i zaczęła lekko flirtować z jednookim żołnierzem, który odpłacał jej te względy szarmanckim nadskakiwaniem. Scarlett wiedziała, jakiego wysiłku zarówno fizycznego, jak i duchowego wymaga to z jej strony, ponieważ Melania cierpiała męki zażenowania w obecności każdego mężczyzny. Poza tym — czuła się niedobrze.

Upierała się, że jest już zdrowa, pracowała więcej od Dilcey, ale Scarlett wiedziała, że nadrabia miną. Kiedy coś podnosiła z ziemi, bladła jak kreda, po każdym zaś wysiłku opadała na krzesło tak gwałtownie, jak gdyby czuła, że nogi jej więcej nie uniosą. Tego wieczora jednak podobnie jak Zuela i Karina robiła wszystko, co mogła, aby żołnierzom uprzyjemnić wigilię. Tylko Scarlett nie była zadowolona z gości.

Żołnierze dodali swoje racje palonej kukurydzy i boczku do kolacji, składającej się z suszonego grochu, kompotu z jabłek i orzechów ziemnych, głośno zapewniali, że to najlepsza wieczerza, jaką jedli od wielu miesięcy. Scarlett przyglądała się, jak jedzą, i kręciła się niespokojnie. Nie tylko żałowała im każdej łyżki strawy, ale jeszcze cierpiała męki, czy aby żołnierze nie odkryją, że Pork poprzedniego dnia zarżnął prosię. Wisiało teraz w spiżarni; Scarlett zapowiedziała surowo wszystkim domownikom, że wydrapie oczy każdemu, kto wspomni przy gościach o prosiaku albo o istnieniu sióstr jego i braci, bezpiecznie ukrytych w chlewiku na bagnach. Ci wygłodniali ludzie umieliby pożreć całe prosię na jednym posiedzeniu, a gdyby dowiedzieli się o żywych świniach, zarekwirowaliby je od razu dla armii. Bała się także o krowę i konia i żałowała, że przywiązała je do drzew na skraju lasu tuż za łąką, zamiast ukryć na moczarach. Jeżeliby wojsko zarekwirowało teraz żywy inwentarz, Tara nie przetrzymałaby zimy. Nie byłoby sposobu zdobycia pożywienia. Jeżeli zaś chodzi o żywność dla armii —o tę troszczyła się mało. Niech o nią zabiegają sami — jeżeli mogą. Dla niej dość ciężkim zadaniem było wyżywienie własnej rodziny.

Żołnierze dodali na deser kilka „bułek armatnich”, które wyjęli z tornistrów, i wtedy po raz pierwszy Scarlett zobaczyła ten specjał konfederacki, tak przysłowiowy jak wszy gryzące żołnierzy. Były to przypalone kawałki czegoś, co zdawało się drewnem. Żołnierze namówili ją, aby skosztowała; wzięła kąsek i przekonała się, że pod czarną od dymu powierzchnią kryje się nie solony chleb z kukurydzy. Żołnierze mieszali swoje racje mąki kukurydzowej z wodą i solą, jeżeli ją mieli, oblepiali tą gęstą masą zatyczki do karabinów i piekli to nad ogniskami obozowymi. „Bułki” były tak twarde i niesmaczne, że po jednym kęsie Scarlett wśród wybuchów śmiechu szybko odsunęła od siebie ten przysmak. Spotkała wzrok Melanii; obie pomyślały to samo... „Jak oni mogą walczyć, jeżeli żywią się tylko tym?”

Kolacja była bardzo wesoła i nawet Gerald, prezydując bezmyślnie przy stole, starał się okazywać gościnność i uśmiechał się blado. Mężczyźni opowiadali, kobiety uśmiechały się i schlebiały żołnierzom — ale Scarlett, zwracając się niespodziewanie do Franka Kennedy'ego, aby zapytać go o ciotkę Pittypat, dostrzegła na jego twarzy wyraz, który kazał jej zapomnieć o tym, co chciała powiedzieć.

Oczy Franka odwróciły się od Zueli i wędrowały teraz po pokoju — od zdziwionych, dziecinnych oczu Geralda na podłogę, ogołoconą z dywanów, na kominek bez ozdób, na podarte obicia i wystające sprężyny mebli rozprutych bagnetami Jankesów, na pęknięte lustro nad kredensem, na puste znaki na ścianach, gdzie niegdyś wisiały obrazy, na skąpą zastawę stołową, na stare, pocerowane suknie dziewcząt, na kitelek Wade'a zrobiony z worka po mące.

Frank wspomniał dawną, przedwojenną Tarę, a na twarzy jego malował się ból i bezsilna pasja. Kochał Zuelę, lubił jej siostry, szanował Geralda i był szczerze przywiązany do plantacji. Od chwili gdy Sherman zaczął grasować po Georgii, Frank widział wiele strasznych rzeczy, bo przemierzał stan w poszukiwaniu żywności, ale nic go tak nie zabolało jak ruina Tary. Chciałby się móc w jakiś sposób przysłużyć O'Harom, zwłaszcza Zueli, ale był bezsilny. Bezwiednie kiwał z politowaniem głową, lekko cmokając przy tym, aż poczuł na sobie wzrok Scarlett. Oczy jej miały wyraz tak niezłomnej dumy, że z zakłopotaniem spuścił wzrok na talerz.

Dziewczęta wypytywały o nowiny. Od czasu upadku Atlanty poczta nie kursowała, nie wiedziały więc zupełnie, gdzie się znajdują Jankesi, jak się powodzi wojskom Konfederacji, co się dzieje w Atlancie i u starych znajomych. Frank, który służbowo jeździł po całej okolicy, mógł zastąpić gazetę, był nawet lepszy od gazety, bo znał prawie wszystkich od Macon aż po Atlantę i miał pod dostatkiem ploteczek, których w gazetach nie było. Chcąc ukryć zmieszanie zaczął teraz pośpiesznie, opowiadać nowinki.

— Konfederaci — mówił — zajęli z powrotem Atlantę po wyjściu Jankesów, ale nie na wiele im się to zdało, ponieważ Sherman spalił miasto.

— A mnie się wydawało, że Atlanta paliła się tej nocy, gdy uciekłam! — zawołała Scarlett że zdumieniem. — Myślałam, że podpalili ją nasi chłopcy.

— Skądże znowu pani Scarlett! — wykrzyknął Frank zgorszony. — My nigdy nie palimy miast, w których są nasi współobywatele! To, co się paliło, to były magazyny i zapasy, których nie chcieliśmy oddać Jankesom, huty i amunicja. Ale na tym koniec. Kiedy Sherman wszedł do miasta, sklepy i domy stały na swoich miejscach. Rozkwaterował w nich swoich ludzi.

— A co się stało z ludnością? Czy, czy wszystkich pozabijał?

— Zabił niektórych, ale nie kulami — rzekł ponuro jednooki żołnierz. — Jak tylko wszedł do Atlanty, zapowiedział burmistrzowi, że cała ludność, kto żyw, musi zostać ewakuowana. Wiele osób nie mogło się puścić w drogę — chorzy, których nie można było ruszać, i kobiety — hmm, kobiety, których także nie można było przenosić. On jednak kazał wszystkim wyjść z miasta w największą ulewę, setki ich całe i tysiące wyprowadził do lasów koło Rough and Ready i zawiadomił generała Hooda, aby po nich przyszedł. Większość tych ludzi zmarła na zapalenie płuc, nie mogąc znieść takich trudów i niewygód.

— Ach, ale po cóż to zrobił? Nie zrobili mu przecież żadnej krzywdy! — zawołała Melania.

— Powiedział, że potrzebuje Atlanty, aby dać wytchnienie swoim ludziom i koniom — rzekł Frank. — Siedzieli tam do połowy listopada, a wychodząc podpalili miasto. Podłożyli ogień wszędzie. Spaliło się wszystko.

— Och, to niemożliwe! — zawołały dziewczęta w przerażeniu.

Nie mogły pojąć, że ruchliwe miasto, które pamiętały, pełne ludzi, rojące się od żołnierzy, już nie istnieje. Piękne domy w cieniu drzew i duże sklepy, i wytworne hotele — to niemożliwe, że już ich nie ma! Melania omal nie wybuchła płaczem, bo tam się urodziła i nie miała innego domu. Scarlett zmartwiała, bo kochała Atlantę prawie tak bardzo jak Tarę.

— No, prawie wszystko — poprawił Frank, zmieszany wrażeniem, jakie wywołał. Starał się wyglądać beztrosko, bo nie lubił sprawiać przykrości kobietom. Zmartwienia pań bardzo go gnębiły, bo czuł się bezradny wobec nich. Nie mógł się zdobyć na powiedzenie im najgorszego. O tym niech powie im ktoś inny.

Nie mógł im opowiedzieć, co armia zastała po powrocie do Atlanty — całe kilometry sterczących nad popiołami kominów, sterty na wpół spalonych gratów i cegieł tworzących na ulicach zatory, stare drzewa zniszczone pożarem, roniące spalone gałęzie za każdym powiewem zimnego wiatru. Przypomniał sobie, jak na niego podziałał ten widok, wspomniał gorzkie przekleństwa konfederatów na widok miasta. Miał nadzieję, że panie nigdy się nie dowiedzą o zbezczeszczeniu cmentarza, bo tego by nigdy nie mogły przeboleć. Pochowany tam był Karol Hamilton i rodzice Melanii. Wspomnienie tego koszmarnego cmentarza ciągle jeszcze straszyło Franka. W poszukiwaniu kosztowności Jankesi rozbijali grobowce, rozkopywali mogiły. Rabowali trumny, zrywali z nich srebrne i złote tabliczki i srebrne okucia. Szkielety i rozkładające się trupy, rozrzucone w nieładzie, leżały na powierzchni ziemi w strasznym stanie.

Frank nie mógł im także opowiedzieć o kotach i psach. Panie bardzo kochały zwierzęta. Tysiące wygłodniałych zwierząt, bezdomnych od chwili gdy wypędzono z miasta ich panów, zrobiły na nim równie wielkie wrażenie jak cmentarz. Wyglądały przerażająco — zmarznięte, drapieżne, dzikie jak w puszczy — co silniejsze napadały na słabsze, a słabsze czekały, aż padną najsłabsze, aby je czym prędzej pożreć. Wysoko zaś nad zrujnowanym miastem całymi gromadami krążyły złowrogie sępy.

Poszukał w pamięci weselszych wiadomości, które by uspokoiły panie.

— Niektóre domy stoją jeszcze — rzekł — domy, zbudowane na wielkich placach, w pewnym odosobnieniu. Kościoły i hala masońska ocalały. I kilka składów. Ale dzielnica handlowa, część położona przy torze kolejowym i okolica Pięciu Znaków, ta strona miasta, proszę pań, zrównana jest z ziemią.

— A więc — zawołała Scarlett z goryczą — ten magazyn koło kolei, który mi zapisał Karolek, także chyba spłonął?

— Jeżeli był blisko kolei, to już go nie ma, ale... — Nagle się uśmiechnął. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? — Pocieszcie się, łaskawe panie! Dom panny Pitty stoi na swoim miejscu. Trochę jest zniszczony, ale cały.

— Ach, a jakimże cudem ocalał?

— Jest z cegły i kryty dachem gontowym, jedyny chyba w Atlancie, więc przypuszczam, że nie tak łatwo mógł się zająć. Jest prawie ostatnim domem na północy miasta, w tej zaś stronie ogień nie srożył się tak bardzo. Rozumie się, że Jankesi, którzy tam mieli kwaterę, porządnie go zniszczyli. Spalili na podpałkę nawet progi z pokojów i mahoniową poręcz schodów, ale o to mniejsza! Najważniejsze, że dom stoi na miejscu. Kiedy w zeszłym tygodniu widziałem pannę Pitty w Macon...

— Widział pan ciocię? Jak się miewa?

— Doskonale. Doskonale. Kiedy jej powiedziałem, że dom ocalał, postanowiła natychmiast wracać do Atlanty. To znaczy, jeżeli ten stary Murzyn, Piotr, pozwoli jej na to. Część dawnych mieszkańców Atlanty już wróciła, ponieważ nie czuli się pewnie w Macon. Sherman nie zajął wprawdzie Macon, ale wszyscy się boją, że zjawią się tam żołdacy Wilsona, który jest znacznie gorszy od Shermana.

— Jak niemądrze że strony tych ludzi, że wracają, choć nie ma domów! Gdzie będą mieszkali?

— Pani Scarlett, zamieszkali w namiotach, barakach i chałupach albo też po sześć czy siedem rodzin w nielicznych ocalałych domach. Starają się odbudować miasto. Niech pani nie mówi, że postępują niemądrze. Zna pani tych ludzi równie dobrze jak ja. Są zwariowani na punkcie tego miasta, tak jak charlestończycy na punkcie Charlestonu, i trzeba by czegoś więcej niż Jankesów i pożaru, aby ich wstrzymać od powrotu. Mieszkańcy Atlanty — niech mi pani wybaczy, pani Melu — są uparci jak osły. Nie wiem dlaczego, ale zawsze uważałem to miasto za bardzo zuchwałe, bardzo niecierpliwe. No, ale ja jestem wieśniakiem i w ogóle nie lubię miasta. Zapewniam panią, że ludzie, którzy wracają teraz, są najmądrzejsi. Ci, którzy wrócą później, nie znajdą deski ani cegły że swoich własnych domów, bo każdy rabuje na mieście, co może, i odbudowuje własny dom. Dopiero przedwczoraj widziałem panią Merriweather z panią Maybelle i ich starą Murzynką, jak zbierały cegły do taczki. Pani Meade zaś powiedziała mi, że zamierza zbudować sobie drewnianą chałupę, jak tylko wróci doktor i będzie jej zdolny pomóc. Mówi, że mieszkała w chałupie po przybyciu swoim do Atlanty, która nazywała się wtedy Martasville, więc może mieszkać w chałupie i teraz. Rozumie się, że żartowała, ale że słów jej widać, co tamtejsi ludzie czują.

— Uważam, że dają dowód wielkiej odwagi — powiedziała Melania z dumą. — Czy nie podzielasz tego zdania, Scarlett?

Scarlett skinęła potakująco głową, bo i ją wypełniało coś w rodzaju dumy z odwagi miasta, które było jej drugim domem. Jak to dobrze określił Frank, było to zuchwałe, rozpychające się łokciami miasto, i właśnie dlatego je lubiła. Nie było zasklepione i zatęchłe jak starsze miasta; miało w sobie rozpęd, znakomicie odpowiadający jej temperamentowi. „Jestem podobna do Atlanty — myślała. — Trzeba czegoś więcej niż Jankesów czy pożaru, aby mnie złamać”.

— Skoro ciocia Pitty wraca do Atlanty, to i my powinniśmy tam pojechać i być z nią razem, Scarlett — rzekła Melania przerywając jej rozmyślania. — Sama będzie tam umierała że strachu.

— Jakże ja mogę stąd odjechać, Melu? — zapytała Scarlett gniewnie. — Jeżeli ty masz ochotę wracać, jedź. Ja cię nie zatrzymuję.

— Och, ja tego wcale tak nie myślałam, kochanie! — zawołała Melania, zaczerwieniona z zakłopotania. — Jakże jestem bezmyślna! Rozumie się, że nie możesz opuścić Tary i... przypuszczam zresztą, że wuj Piotr i kucharka potrafią się ciocią zaopiekować.

— Ależ przecież ciebie tu nic nie zatrzymuje — rzekła Scarlett z naciskiem.

— Wiesz dobrze, że cię nie opuszczę — odparła Melania. — I zresztą, umarłabym że strachu bez ciebie.

— Jak uważasz. Poza tym żadna siła nie ściągnęłaby mnie teraz do Atlanty. Pewna jestem, że jak tylko postawią parę domów, Sherman wróci i znowu je podpali.

— Teraz już nie wróci — rzekł Frank i mimo woli twarz mu się wydłużyła. — Przeszedł przez cały stan do morza. Savannah została zajęta w tym tygodniu, teraz zaś Jankesi idą do Południowej Karoliny.

— Savannah zdobyta!

— Tak, bo proszę pań, Savannah nie mogła się wcale bronić. Nie było dość żołnierzy, choć wzięli do służby wszystkich zdatnych mężczyzn... wszystkich, którzy jako tako ruszali nogami. Czy wiecie panie, że kiedy Jankesi zbliżali się do Milledgeville, powołano pod broń kadetów z akademii wojskowej, bez względu na wiek, i nawet otworzono więzienie stanowe, aby skompletować oddziały? Tak, tak, zwolniono wszystkich więźniów, którzy chcieli walczyć, i przyrzeczono ułaskawienie tym, którzy przeżyją wojnę. Po prostu dreszcz mnie przeszył, kiedy widziałem tych małych chłopców w jednym szeregu że złodziejami i zabijakami!

— Na ludność cywilną wypuszczano skazańców!

— Proszę, pani Scarlett, niech się pani tak tym nie przejmuje. Są daleko stąd, poza tym zaś bardzo z nich karni żołnierze. Mam wrażenie, że złodziejski zawód nie stanowi przeszkody, aby człowiek był dobrym żołnierzem, prawda?

— Mnie się to wydaje niezwykłe — rzekła Mela łagodnie.

— A mnie nie — rzekła Scarlett z uporem. — I tak dość jest złodziejów kręcących się po okolicy. Jankesów i... — przerwała w porę, ale żołnierze zaczęli się śmiać.

— Jankesów i naszych z oddziałów zaopatrywania — skończyli za nią. Zarumieniła się mocno.

— A gdzie teraz jest armia generała Hooda? — wtrąciła spiesznie Melania. — Dlaczego on nie bronił Savannah?

— Ależ pani Melanio! — Frank był zdumiony i rozżalony. — Generał Hood wcale nie był w tej okolicy. Toczy walki w Tennessee i stara się wyprzeć Jankesów z Georgii.

— No, i powiedzcie, czy plan jego nie okazał się świetny?! — zawołała Scarlett z ironią. — Pozwolił tym przeklętym Jankesom przejść przez cały kraj, a nam do obrony zostawił tylko uczniaków, więźniów i starców z gwardii.

— Córko — rzekł Gerald, nagle zbudzony — nie przeklinaj. Matce twojej będzie przykro.

— Bo to są przeklęci Jankesi! — zawołała Scarlett gwałtownie. — I nie mam zamiaru nigdy ich inaczej nazywać!

Wzmianka o Ellen wprawiła wszystkich w zakłopotanie i rozmowa urwała się nagle. Melania wtrąciła się znowu:

— Czy nie widział pan przypadkiem w Macon Honey i Indii Wilkes? Czy, czy nie miały one wiadomości od Ashleya!!?

— Ależ, pani Melu, wie pani dobrze, że gdybym wiedział coś o Ashleyu, przyjechałbym prosto z Macon, aby pani o tym donieść — rzekł Frank z wyrzutem. — Nie, nie miały żadnych wiadomości, ale niech się pani nie martwi o Ashleya, pani Melu.

Wiem, że od dawna nic pani o nim nie słyszała, trudno jednak otrzymywać wiadomości od człowieka, który siedzi w więzieniu, prawda? Poza tym zaś warunki w więzieniach jankeskich są o wiele lepsze niż w naszych. Ostatecznie Jankesi mają dużo żywności, mają lekarstwa i kołdry. Nie są w takim położeniu jak my, którzy nie mamy dość dla siebie — cóż dopiero dla jeńców!

— Ach, to prawda, że Jankesi mają wszystkiego pod dostatkiem! — zawołała Melania z goryczą. — Ale jeńcom tego nie dają. I pan doskonale o tym wie, panie Kennedy. Mówi pan tak, aby mnie pocieszyć. Wie pan, że nasi chłopcy marzną tam na śmierć, cierpią głód i umierają bez doktorów i lekarstw, dlatego że Jankesi tak bardzo nas nienawidzą! Och, gdybyśmy mogli zmieść wszystkich Jankesów z powierzchni ziemi! Ja czuję, że Ashley już nie...

— Nie mów tego! — krzyknęła Scarlett że ściśniętym gardłem. Póki nikt nie mówił w jej obecności, że Ashley nie żyje, w sercu jej tliła się nadzieja, że żyje, czuła jednak, że umarłby w chwili, w której by ona usłyszała te straszne słowa.

— Proszę łaskawej pani, niech się pani nie martwi o swego męża — rzekł łagodnie jednooki żołnierz. — Mnie wzięto do niewoli po pierwszej bitwie pod Manassas, później zaś zostałem wymieniony. Kiedy byłem w więzieniu, dawano mi najlepsze smakołyki, kurczęta pieczone i leguminy...

— Mam wrażenie, że pan trochę przesadza — rzekła Melania z bladym uśmiechem. Było to pierwsze śmielsze odezwanie się Melanii do mężczyzny, jakie Scarlett słyszała. — Czy nie?

— Przyznaję pani rację — rzekł jednooki żołnierz i uderzył się że śmiechem po kolanie.

— Może panowie zechcą przejść do salonu, pośpiewamy kolędy — rzekła Melania zmieniając temat rozmowy. — Fortepian jest jedynym meblem, jakiego Jankesi nie zabrali. Czy bardzo rozstrojony, Zuelo?

— Strasznie — odrzekła Zuela uśmiechając się zalotnie do Franka.

Kiedy jednak wszyscy powstali z miejsc, Frank został w tyle i pociągnął Scarlett za rękaw.

— Czy mogę z panią porozmawiać na osobności?

Przez straszną chwilę Scarlett bała się, że zacznie pytać ją o bydło, szybko więc przygotowała się do kłamstwa.

Kiedy wszyscy wyszli z pokoju, a oni zostali sami przy ogniu, sztuczna wesołość, która rozświetlała twarz Franka przy ludziach, znikła z niej zupełnie i Scarlett spostrzegła, że Frank wygląda jak starzec. Twarz jego była wyschnięta i brązowa jak liście spadające na trawnik przed domem, rudawe bokobrody były teraz rzadkie i przyprószone siwizną. Podrapał się po nich w zakłopotaniu i nim przemówił, zaczął niepewnie chrząkać.

— Bardzo się zmartwiłem śmiercią matki pani, pani Scarlett.

— Proszę, niech pan o tym nie wspomina.

— A ojciec pani... Czy jest w tym stanie od czasu...?

— Tak, jest... nie jest sobą, jak pan widzi.

— O tak, był do niej bardzo przywiązany.

— Och, panie Kennedy, niech pan nie mówi o tym...

— Przepraszam panią bardzo — powiedział i zaszurał nogami w zmieszaniu. — Prawdę mówiąc, chciałem o czymś porozmawiać z pani ojcem, teraz jednak widzę, że to na nic.

— Może ja ojca wyręczę, panie Kennedy. Widzi pan, ja teraz jestem głową domu.

— A więc ja... — zaczął Frank i znowu poskubał się nerwowo po brodzie, — Prawdę mówiąc... A więc, pani Scarlett, chciałem go poprosić o rękę panny Zueli!

— Czy chce pan powiedzieć — zawołała Scarlett zdumiona i ubawiona — że pan dotąd nie oświadczył się ojcu o Zuelę? Przecież stara się pan o nią od wielu lat!

Zarumienił się i uśmiechnął z zażenowaniem; wyglądał teraz jak nieśmiały i wstydliwy chłopiec.

— Bo widzi pani, ja... ja nie byłem pewny, czy mnie panna Zuela zechce. Jestem od niej o tyle lat starszy i... i koło Tary kręciło się zawsze tylu przystojnych i młodych chłopców...

,,A tak! — pomyślała Scarlett. — Ale kręcili się koło mnie, a nie koło Zueli!”

— Poza tym zaś nie wiem, czy mnie Zuela zechce. Nigdy jej o to nie pytałem, ale panna Zuela wie chyba, co dla niej czuję. Sądziłem, sądziłem, że będę mógł prosić pana O'Harę o błogosławieństwo i wyznać mu całą prawdę. Pani Scarlett, nie mam teraz ani centa. Miałem bardzo dużo pieniędzy — niech mi pani wybaczy, że o tym wspominam — ale teraz nie posiadam nic prócz konia i ubrania, które mam na grzbiecie. Widzi pani, kiedy wstąpiłem do wojska, sprzedałem większą część swej ziemi, a pieniądze ulokowałem w bonach Konfederacji. Wie pani, ile one są teraz warte. Mniej niż papier, na którym je drukują. Co więcej, nie mam już i tych bonów, bo spaliły się w domu mojej siostry. Wiem, że to bardzo z mojej strony odważnie, że oświadczam się pannie Zueli teraz, gdy jestem biedny, ale... no, nie mogę inaczej. Zacząłem myśleć, że nie wiadomo, jak potoczą się losy tej wojny. Wydaje mi się, jakby zbliżał się koniec świata. Nie ma nic pewnego i... myślałem więc, że będzie lżej mnie, a może i jej, jeżeli się zaręczymy. To przynajmniej będzie rzeczą pewną. Nie poślubię jej, pani Scarlett, aż będę mógł dać jej należytą opiekę, a nie wiem, kiedy to nastąpi. Ale jeżeli szczera miłość ma dla pani jakąś wartość, może pani być przekonana, że tej będzie miała panna Zuela w bród, choćby niczego więcej nie posiadała.

Ostatnie słowa wypowiedział z prostotą i godnością, które wzruszyły Scarlett, mimo że Frank ją raczej śmieszył. Nie potrafiła zrozumieć, jak można kochać Zuelę. Siostra wydawała się jej symbolem samolubstwa, przewrotności, niezadowolenia że wszystkiego i wszystkich.

— Ależ, panie Kennedy — rzekła przyjaźnie — ja chętnie się zgadzam. Pewna jestem, że ojciec także by na to przystał. Cenił pana zawsze i spodziewał się, że Zuela pana poślubi.

— Czy naprawdę? — zawołał Frank radośnie.

— Ależ tak, naprawdę — odparła Scarlett powstrzymując uśmiech, bo przypomniała sobie, ile razy Gerald krzyczał przez cały stół do Zueli: — Co to, panienko? Twój gorący wielbiciel jeszcze się nie zdobył na oświadczyny? Czy chcesz, abym ja go zapytał o jego zamiary?

— Oświadczę się jej dzisiaj — rzekł Frank drżąc że wzruszenia, pochwycił rękę Scarlett i mocno uścisnął. — Bardzo jest pani dobra dla mnie.

— Przyślę panu Zuelę — uśmiechnęła się Scarlett kierując się do salonu. Melania zaczynała właśnie grać. Fortepian był bardzo rozstrojony, ale kilka strun brzmiało jeszcze czysto, gdy Melania zaintonowała .,Zwiastowanie Anielskie”, a inni jej zawtórowali.

Scarlett przystanęła na chwilę. Przy spokojnych dźwiękach starej kolędy wydawało się niemożliwe, że wojna przewaliła się nad nimi już dwukrotnie, że mieszkali w zniszczonym kraju, że głód groził im lada chwila. Odwróciła się gwałtownie do Franka.

— Co pan miał na myśli mówiąc, że wydaje się panu, jak gdyby koniec świata był blisko?

— Z panią będę szczery — powiedział z namysłem — przy stole nie chciałem straszyć tamtych pań. Wojna nie może trwać długo. Nie mamy nowych zasiłków do szeregów, dezerterów jest coraz więcej — więcej, niż dowództwo się przyznaje. Widzi pani, ludzie nie mogą wytrzymać z dala od swoich rodzin, gdy wiedzą, że najbliżsi ich cierpią głód, wracają więc do domów, aby trochę im ulżyć. Nie potępiam ich wcale, osłabia to jednak armię. Armia musi poza tym jeść, a żywności nie ma. Wiem coś o tym, bo zdobywanie żywności jest moim zadaniem. Przemierzam tę okolicę we wszystkich kierunkach od czasu, gdy odzyskaliśmy Atlantę, ale to, co znajduję, nie starczyłoby nawet dla ptaków. To samo dzieje się na przestrzeni trzystu mil aż do Savannah. Ludność umiera z głodu, tory kolejowe są zerwane, nie mamy nowych karabinów, amunicja się wyczerpuje i nie ma skóry na buty... Rozumie więc pani, że koniec blisko.

Losy Konfederacji obeszły jednak Scarlett mniej niż uwaga Franka o braku żywności. Miała zamiar wysłać Porka z wozem i koniem, złotem i dolarami na poszukiwania w najbliższą okolicę, aby zdobył żywność i materiał na ubrania. Jeżeli jednak to, co mówi Frank, było prawdą...

Macon jeszcze nie był zdobyty. W Macon będzie na pewno żywność. Jak tylko oddział wojska ruszy w swoją stronę, wyśle Porka do Macon, ryzykując, że armia zarekwiruje jej bezcennego konia. Musi zaryzykować.

— No, ale nie mówmy dziś o tych nieprzyjemnych rzeczach, panie Kennedy — powiedziała. — Niech pan z łaski swojej usiądzie w gabinecie matki, a przyślę panu Zuelę, aby pan mógł... aby pan mógł z nią porozmawiać na osobności.

Uśmiechając się i rumieniejąc Frank wyszedł z pokoju. Scarlett popatrzyła za nim.

,,Jaka szkoda, że nie mogą się teraz pobrać! — pomyślała. — Miałabym o jedną gębę mniej do żywienia”.

## ROZDZIAŁ XXIX

W kwietniu następnego roku generał Johnston, któremu przywrócono komendę nad niedobitkami armii, poddał się Jankesom w Północnej Karolinie. Wojna skończyła się. Dopiero jednak w dwa tygodnie później wiadomość o tym dotarła do Tary. Na plantacji zbyt wiele było roboty, aby starczyło czasu na jazdy po okolicy i słuchanie plotek, a ponieważ sąsiedzi byli tak samo zapracowani, nie składano sobie wizyt i nowiny wędrowały powoli.

Orka wiosenna wrzała; zasiewać poczęto bawełnę i jarzyny, których nasiona Pork przywiózł z Macon. Poczciwy Murzyn nic prawie nie robił od chwili powrotu, tak był dumny, że przyjechał cały, z wozem pełnym materiałów na suknie, drobiu, nasion, szynek, boczków i mąki. Bez końca, raz po raz, powtarzał opowieść o niebezpieczeństwach, jakie pokonał, o złych drogach, jakimi musiał wracać do Tary, o jeździe miedzami, starymi traktami leśnymi czy na przełaj przez pola. W drodze był przez pięć tygodni, podczas których niepokój pożerał Scarlett. Nie skrzyczała go jednak, gdy wreszcie wrócił, tak była zadowolona, że podróż powiodła mu się i że przywiózł tyle reszty z pieniędzy, które mu dała. Mocno go podejrzewała, że nie zapłacił za znaczną część drobiu czy produktów. Pork wstydziłby się wydawać niepotrzebnie pieniądze, kiedy wzdłuż drogi stało tyle nie strzeżonych kurników i łatwo dostępnych wędzarni.

Teraz, kiedy mieli już trochę zapasów, wszyscy w Tarze starali się przywrócić życiu pozory naturalności. Dla każdej pary rąk było pracy pod dostatkiem, pracy zbyt ciężkiej i nie kończącej się nigdy. Należało usunąć zeschnięte badyle zeszłorocznej bawełny, aby było miejsce na świeże ziarna, a narowisty koń, nie przyzwyczajony do pługa, niechętnie ciągnął go po polu. Trzeba było wyplenić chwasty z ogrodu i zasadzić jarzyny, ściąć stare gałęzie na opał, zacząć na nowo stawiać zagrody dla zwierząt i płoty, których całe mile spalili Jankesi. Należało dwa razy dziennie zachodzić do sideł na króliki i odnawiać przynęty na ryby. Trzeba było słać łóżka, sprzątać pokoje, gotować, zmywać, karmić świnie i kury i wybierać jaja. Trzeba było doić krowę, wyganiać ją na łąkę koło moczarów, a ktoś musiał jej przez cały dzień pilnować, aby nie zabrali jej Jankesi czy ludzie Franka Kennedy'ego. Nawet mały Wade miał swoje zajęcie. Co rano wychodził z koszykiem i zbierał chrust i drzazgi na podpałkę.

Nowinę o klęsce przynieśli dwaj młodzi Fontaine'owie, pierwsi z okolicy, którzy wrócili z wojny. Aleks miał buty, szedł więc pieszo, Tonio zaś, bosy, jechał na oklep na mule. Tonio zawsze zabierał sobie wszystko, co najlepsze. Chłopcy byli bardziej niż zwykle śniadzi od czteroletniego przebywania na słońcu i wietrze, chudzi i kościści, a czarne brody, które zapuścili sobie w wojsku, zmieniły ich do niepoznania.

W drodze do Mimozy, śpiesząc się bardzo do domu, zatrzymali się w Tarze tylko na chwilę, aby ucałować dziewczęta i powiedzieć im, że wojna skończona. Przeszła, skończyła się; powiedzieli to i nie zdradzali ani zmartwienia, ani ochoty do rozmów na ten temat. Chcieli tylko wiedzieć, czy Mimoza została spalona. W drodze z Atlanty na południe mijali nagie kominy w miejsce starych, znajomych domów i prawie nie mieli już nadziei, że własny ich dom ocalał. Odetchnęli z ulgą, gdy Scarlett ich uspokoiła, i śmieli się uderzając się po udach, gdy im opowiedziała o szalonej jeździe Sally i jej pięknym skoku przez żywopłot.

— To dzielna dziewczyna — rzekł Tonio — i bardzo mi przykro, że zabili jej Józia. Czy nie masz przypadkiem tytoniu do żucia, Scarlett?

— Nie, tylko zwykły, Papa pali go czasem w łusce kukurydzy.

— Ja jeszcze tak nisko nie upadłem — rzekł Tonio — ale chyba czeka mnie to już wkrótce.

— Jak się miewa Dimity Munroe? — zapylał Aleks ciekawie, ale z pewnym zakłopotaniem; Scarlett przypomniała sobie nagle, że podkochiwał się w młodszej siostrze Sally.

— Zupełnie dobrze. Mieszka teraz u ciotki w Fayetteville.

Wiecie przecież, że spalono dom Munroe'ów w Lovejoy. Reszta jej rodziny mieszka w Macon.

— Jemu chodzi o to, czy Dimity nie wyszła przypadkiem za mąż za jakiegoś pułkownika gwardii stanowej — zadrwił Tonio, a Aleks spojrzał na niego że złością.

— Rozumie się, że nie — rzekła Scarlett wesoło.

— Może byłoby lepiej, żeby to zrobiła — rzekł Aleks ponuro. — Jak u diabła... przepraszam cię, Scarlett... jak może mężczyzna prosić o rękę panny, kiedy wyzwolono mu Murzynów, zrujnowano majątek i zostawiono bez grosza w kieszeni?

— Wiesz dobrze, że to nie ma dla Dimity znaczenia — rzekła Scarlett. Mogła sobie pozwolić na lojalność wobec Dimity i wyrażanie się o niej z przyjaźnią, bo Aleks Fontaine nigdy nie był jej wielbicielem.

— Do diabła... Och, przepraszam raz jeszcze. Muszę przestać kląć, bo inaczej babcia wygarbuje mi skórę. Nie mogę proponować dziewczynie, żeby wyszła za mąż za nędzarza. Może to nie ma znaczenia dla Dimity, ma jednak dla mnie.

Kiedy Scarlett rozmawiała na ganku z chłopcami, Melania, Zuela i Karina wycofały się cichutko do wnętrza domu na wiadomość o klęsce. Po odjeździe chłopców Scarlett zastała je płaczące na kanapie w kantorku Ellen. Minął na zawsze radosny, piękny sen, którego spełnienia wyczekiwały, przepadła Sprawa, która zabrała przyjaciół, kochanków, mężów, która zrujnowała ich rodziny. Sprawa, którą uważały za niezwyciężoną, przepadła z kretesem.

Scarlett jednak nie roniła łez. W pierwszej chwili, gdy dowiedziała się o klęsce, pomyślała: „Bogu dzięki! Teraz już nikt nie ukradnie mi krowy. Teraz koń jest bezpieczny. Teraz możemy już wyjąć srebro że studni i każdy będzie jadł widelcem i nożem. Teraz nie będę się już bała jeździć w okolicę na poszukiwanie żywności”.

Jakaż to była ulga! Nigdy już więcej nie będzie drżała z przerażenia, słysząc tętent kopyt. Nigdy więcej nie zbudzi się w ciemną noc, nie wstrzyma oddechu, aby lepiej słyszeć, nie wiedząc, czy to na jawie, czy we śnie słyszy na podwórzu dźwięczenie uprzęży, stukot kopyt i ochrypłe głosy Jankesów. Co najważniejsze zaś, Tara jest bezpieczna. Najgorszy jej koszmar nie spełni się nigdy. Nie będzie zmuszona do bezradnego patrzenia z ogrodu, jak dym snuje się nad ukochanym domem, jak szumią płomienie i pęka dach.

Tak, wprawdzie Sprawa przepadła, ale wojna wydawała się jej zawsze szaleństwem i pokój był lepszy. Nigdy nie rozjaśniały się jej oczy, gdy gwiaździsty sztandar powiewał na maszcie, i nigdy nie drżała że wzruszenia, gdy grano „Dixie”. Podczas pełnienia ciężkich obowiązków w szpitalu, podczas wyrzeczeń, obawy przed oblężeniem i głodowania w ostatnich miesiącach nie podtrzymywał jej żar fanatyzmu, który innym kobietom pozwalał lekko wszystko to znosić — dla dobra Sprawy. Teraz Sprawa minęła i nie wróci — i Scarlett nie miała zamiaru po niej płakać.

Wojna, która, jak się zdawało, nie miała końca, wojna, która nieproszona, przecięła jej życie na dwoje i rozłupała je tak dokładnie, że zatarła w niej pamięć dawnych, beztroskich dni — minęła. Mogła teraz bez wzruszenia wspominać dawną śliczną Scarlett w małych zielonych safianowych pantofelkach i falbaniastej, pachnącej lawendą sukni; zastanawiała się tylko, czy rzeczywiście jest jeszcze tą samą osobą, Scarlett O'Hara, mającą cały powiat u swoich stóp, setkę czekających rozkazów niewolników, bogactwo Tary jak opokę za sobą i kochających rodziców, którzy spełniali na wyścigi każdą jej zachciankę... Rozpieszczona, beztroska Scarlett, której wszystkie pragnienia spełniały się, z wyjątkiem jednego — poślubienia Ashleya.

Gdzieś na długiej drodze, która wiła się poprzez te cztery lata, dziewczynka w pachnącej sukni i lekkich pantofelkach znikła, a miejsce jej zajęła kobieta o ostrym spojrzeniu zielonych oczu, która skrzętnie liczyła grosze i zajmowała się ciężką fizyczną pracą, kobieta, której z katastrofy nie zostało nic poza niezniszczalną czerwoną ziemią rodzinną.

Stojąc w hallu i przysłuchując się szlochom dziewcząt, rozmyślała głęboko:

„Zasadzimy teraz więcej bawełny, dużo więcej. Jutro poślę Porka do Macon, aby kupił więcej nasion. Teraz Jankesi nie spalą jej ani nasi nie zarekwirują. Dobry Boże! Na jesieni powinnam mieć bawełny aż do nieba!”

Weszła do małego gabineciku i nie zważając na płaczące na sofie dziewczyny, usiadła przy biurku i zaczęła obliczać koszt bawełny w stosunku do reszty posiadanej gotówki.

„Wojna skończona — pomyślała i nagle opuściła pióro, bo przejęło ją uczucie szalonego szczęścia. Wojna skończyła się i Ashley, jeżeli żyje, wróci teraz do domu!” Zastanawiała się, czy Melania, opłakując klęskę, zdążyła o tym pomyśleć.

„Wkrótce dostaniemy list — nie, nie list. Nie możemy dostać listu. Ale wkrótce już... ach, na pewno da nam w jakiś sposób znać!”

Dnie jednak zmieniały się w tygodnie, a wiadomości od Ashleya nie było. Poczta kursowała na Południu nieregularnie; po wsiach wcale nie roznoszono listów. Czasami tylko jakiś podróżny z Atlanty przywoził płaczliwą kartkę od ciotki Pitty, wzywającą dziewczęta do powrotu. Wiadomości od Ashleya — nigdy.

Wkrótce po zawieszeniu broni rozgorzał między Scarlett a Zuelą wiecznie żywy spór o konia. Teraz, gdy nie należało się już obawiać Jankesów, Zuela chciała zacząć składać sąsiadom wizyty. Samotna i tęskniąca do życia towarzyskiego dawnych, dobrych czasów, Zuela chciała jeździć z wizytami po to przynajmniej, aby stwierdzać, że sąsiadom powodzi się równie źle jak Tarze. Scarlett jednak była nieustępliwa. Koń musiał pracować: ciągnąć drzewo z lasu, orać, wozić Porka na poszukiwanie żywności. W niedzielę należało mu się spokojne pasienie na łące i odpoczynek. Jeżeli Zuela chciała bywać u przyjaciół, mogła chodzić pieszo.

Jeszcze przed rokiem najdalszy spacer pieszy Zueli wynosił nie więcej niż sto metrów, więc perspektywa ta nie uśmiechała jej się wcale. Musiała siedzieć w domu, grymasiła więc i płakała, a raz powiedziała nawet: — Ach, gdyby mamusia żyła!... — W odpowiedzi Scarlett wymierzyła jej dawno przyrzeczony policzek tak siarczyście, że Zuela z krzykiem upadła na łóżko, w domu zaś zapanowało wielkie poruszenie. Potem Zuela narzekała już mniej, zwłaszcza w obecności Scarlett.

Scarlett mówiła prawdę twierdząc, że koniowi trzeba dać wytchnąć, była to jednak tylko cząstka prawdy. Druga cząstka polegała na tym, że podczas jej pierwszych po skończeniu wojny wizyt w powiecie widok dawnych przyjaciół i dobrze znajomych plantacji podciął jej odwagę tak, że nie chciała ich więcej oglądać.

Fontaine'om powodziło się stosunkowo najlepiej, bo Sally zdążyła ich w porę przestrzec, ale plantacja ich wydawała się kwitnąca tylko na tle zniszczenia innych. Babcia Fontaine ciągle niedomagała po ataku sercowym, który miała na skutek przemęczenia się przy gaszeniu pożaru. Stary doktor Fontaine z wolna przychodził do siebie po amputacji ręki. Aleks i Tonio niezgrabnie zabierali się do pługa i motyki. Przez płot przywitali się że Scarlett, kiedy tam zajechała, i z goryczą w czarnych oczach zaczęli się śmiać z jej wywrotnego wozu, śmiejąc się trochę i z siebie, Prosiła, aby jej sprzedali ziarna kukurydzy do zasiewów. Zgodzili się chętnie i wdali się z nią w rozmowę o sprawach gospodarskich. Mieli dwanaście kurcząt, dwie krowy, pięć świń i muła, na którym przyjechali z wojny. Jedna że świń właśnie zdechła, obawiali się o zdrowie innych. Scarlett słysząc te tak poważne słowa na temat świń z ust eks-elegantów, dla których najważniejszą dotąd sprawą w życiu był kolor krawata, zaśmiała się — i z kolei jej śmiech zabrzmiał gorzko.

Wszyscy w Mimozie bardzo się ucieszyli z jej przyjazdu i upierali się, aby podarować jej kukurydzę, a nie sprzedać. Wpadli w złość, gdy położyła zielonego dolara na stole, i wręcz odmówili jego przyjęcia. Scarlett zabrała ziarno, a dolara wsunęła chyłkiem do rąk Sally. Sally zmieniła się bardzo w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy. Po powrocie Scarlett do Tary była smutna i blada, ale jakoś ożywiona. Teraz ożywienie znikło, jak gdyby klęska odebrała jej resztki nadziei.

— Scarlett — szepnęła biorąc od niej banknot — po co było to wszystko? Po cośmy prowadzili wojnę? O, biedny mój Józio! O, biedne moje dziecko!

— Nie wiem, po cośmy prowadzili wojnę, i nic mnie to nie obchodzi — odrzekła Scarlett. — Nie interesuje mnie to wcale. Nigdy mnie nie interesowało. Wojna jest sprawą mężczyzn, nie kobiet. Jedyne, do czego teraz dążę, to dobry zbiór bawełny. Weź tego dolara i kup ubranko swemu małemu, bardzo mu się przyda. Mimo uprzejmości Aleksa i Tonia nie mam zamiaru rabować wam ziarna.

Chłopcy odprowadzili ją do wozu i pomogli jej wsiąść, bardzo szarmanccy i weseli, właściwą Fontaine'om beztroską wesołością — kiedy jednak odjechała, drżała z przejęcia, bo prześladował ją obraz ich niedostatku. Taka już była zmęczona biedą i troskami! Z jaką przyjemnością odwiedzałaby ludzi bogatych i nie potrzebujących myśleć o tym, co będą jedli na następny obiad!

Cade Calvert był już w Kwiecie Sosny. Scarlett wchodząc po schodkach starego domu, w którym tak często tańczyła w dawnych, szczęśliwych czasach, widziała, że śmierć patrzy mu z twarzy. Był przeraźliwie chudy i kaszlał leżąc przykryty szalem w fotelu na słońcu; twarz mu się rozjaśniła, kiedy ją spostrzegł. To tylko małe przeziębienie, które mu gniecie piersi, powiedział, starając się wstać na przywitanie. Nabawił się tego śpiąc podczas deszczu na wilgotnej ziemi. Wkrótce przejdzie i wtedy zacznie bardzo pomagać przy pracy.

Kasia Calvert, która słyszała rozmowę, wyszła z domu i milcząco spojrzała na Scarlett nad głową brata: Scarlett wyczytała w jej wzroku głęboką rozpacz. Cade nie wiedział, co go czeka, Kasia jednak nie miała złudzeń. Plantacja była zarośnięta chwastami i zaniedbana, na polach zdążyły wyrosnąć małe sosny, dom był brudny i nieporządny, Kasia chuda i mizerna.

Calvertowie z jankeską macochą, czterema małymi siostrami przyrodnimi i Hiltonem, jankeskim rządcą, mieszkali w milczącym domu, w którym rozlegało się echo. Scarlett nigdy nie lubiła Hiltona, podobnie jak nie lubiła Jonasza Wilkersona — teraz zaś wydał się jej tym mniej sympatyczny, że kiedy podszedł do niej, przywitał się jak równy z równą. Dawniej, podobnie jak Wilkerson, łączył w sobie uniżoność z impertynencją, teraz jednak wobec śmierci pana Calverta i Raiforda, tudzież choroby Cade'a została mu tylko impertynencja. Druga pani Calvert nigdy nie umiała utrzymać w karbach służby murzyńskiej, tym bardziej więc trudno jej było wzbudzić szacunek w białym człowieku.

— Pan Hilton był tak miły, że został z nami przez cały ten trudny okres — rzekła pani Calvert nerwowo, rzucając szybkie spojrzenie na milczącą pasierbicę. — Bardzo był miły. Przypuszczam, że słyszała pani, jak nas dwukrotnie uratował, gdy byli tutaj żołnierze Shermana. Nie wiem zupełnie, jak dałybyśmy sobie radę bez niego, bez pieniędzy, wobec tego, że Cade...

Blada twarz Cade'a pokryła się rumieńcem, Kasia spuściła ocienione długimi rzęsami powieki i zagryzała wargi. Scarlett wiedziała, że obydwoje wiją się w bezsilnej pasji z powodu długu wdzięczności w stosunku do Jankesa. Pani Calvert bliska była płaczu. Znowu popełniła jakiś błąd. Zawsze popełniała gafy. Nie mogła zrozumieć południowców, choć mieszkała w Georgii już od dwudziestu lat. Nigdy nie wiedziała, co powiedzieć swoim pasierbom, i choćby Bóg wie co powiedziała czy zrobiła, nie przestawali być dla niej przesadnie grzeczni. Teraz milcząco postanowiła, że pojedzie z dziećmi na Północ do własnej rodziny i zostawi swojemu losowi tych dwoje dziwnych, hardych ludzi.

Po tych dwóch wizytach Scarlett nie miała już ochoty widzieć Tarletonów. Wobec śmierci czterech chłopców, spalenia domu i przeprowadzenia się całej rodziny do małego domku rządcy — nie mogła się na te odwiedziny zdecydować. Zuela i Karina prosiły jednak, aby je zabrała. Melania powiedziała, że nie po sąsiedzku będzie, jeżeli nie przywitają pana Tarletona po powrocie z wojny — pojechały więc pewnej niedzieli.

Ta wizyta była najgorsza że wszystkich.

Przejeżdżając koło ruin domu ujrzały Beatrice Tarleton w podartej amazonce i że szpicrutą pod pachą, siedzącą na płocie, który otaczał zagrodę dla koni, i patrzącą ponuro w przestrzeń. Obok niej przycupnął mały Murzyn o kabłąkowatych nogach, który dawniej ujeżdżał konie; wyglądał równie smętnie jak jego pani. Zagroda, dawniej zawsze pełna skaczących źrebiąt i poważnych, rasowych klaczy, była teraz zupełnie pusta — przechadzał się po niej tylko jeden muł, na którym pan Tarleton wrócił z wojny.

— Słowo daję, że nie mogę sobie miejsca znaleźć, odkąd nie ma moich najmilszych — rzekła pani Tarleton złażąc z płotu. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że mówi o zmarłych synach, ale dziewczęta z Tary wiedziały, że ma na myśli konie. — Wszystkie moje piękne konie zginęły. Ach, i biedna moja Nellie. Gdyby mi choć Nellie została. I tylko jeden podły muł na całej plantacji! Podły muł — powtórzyła patrząc z oburzeniem na wychudłe zwierzę. — To jest bezczeszczenie pamięci moich rasowych, pięknych koników, żeby muł chodził po ich zagrodzie. Muły to bękarcie, przeciwne naturze stworzenia... hodowanie ich powinno być zakazane prawem.

Jim Tarleton, zupełnie zmieniony przez kędzierzawą brodę, wyszedł z domu, aby przywitać i ucałować dziewczyny; za nim wyszły cztery jego córki w pocerowanych sukniach, potykając się o kilkanaście psów myśliwskich, które usłyszawszy obce głosy, szczekając pędziły do bramy. Całą rodzinę Terletonów cechowała sztuczna wesołość, która bardziej dotknęła Scarlett niż rozgoryczenie Mimozy czy śmiertelna cisza Kwiatu Sosny.

Tarletonowie wpierali się, aby dziewczęta zostały na obiedzie, mówiąc, że miewają teraz bardzo mało gości, chcą więc wreszcie posłuchać nowin. Scarlett nie chciała zostać, bo przygnębiał ją nastrój tego domu, ale siostry jej i Melania życzyły sobie dłuższej wizyty, tak więc wszystkie cztery zostały na obiedzie i dostały po garstce suszonego groszku z boczkiem.

Wszyscy kpili z marnego jedzenia, a panny Tarleton opowiadały chichocząc, z czego szyją sobie suknie, jak gdyby to było bardzo śmieszne. Melania dostroiła się do nich i zadziwiła Scarlett niezwykłym ożywieniem, z jakim opowiadała o kłopotach w Tarze, bardzo bagatelizując trudności. Scarlett ledwie mogła mówić. Pokój wydawał się jej bardzo pusty bez czterech rosłych chłopców, kręcących się dokoła i dokuczających wszystkim. Skoro zaś jej wydawał się pusty, co musiała czuć rodzina, tak kurczowo udająca wesołość?

Karina mówiła mało podczas obiadu, później jednak podeszła do pani Tarleton i coś jej szepnęła na ucho. Pani Tarleton zmieniła się na twarzy i z warg jej znikł blady uśmiech, gdy objęła Karinę wpół. Wyszły z pokoju, a Scarlett, która czuła, że dłużej nie usiedzi w mieszkaniu, poszła za nimi. Ścieżką, prowadzącą przez ogród, skierowały się w stronę cmentarzyka. Scarlett nie mogła już zawrócić. Wydawałoby się to niegrzeczne. Dlaczego jednak Karina pozwoliła sobie na wyciągnięcie pani Tarleton do grobów chłopców, skoro wiedziała, jak bardzo Beatrice stara się zachować spokój ?

Na ogrodzonej murem z cegieł działce, pod żałobnymi cedrami widniały dwie nowe tablice marmurowe — tak nowe, że wiatr nie zdążył ich jeszcze zasypać czerwonym kurzem.

— Dostaliśmy je w zeszłym tygodniu — rzekła pani Tarleton z dumą. — Pan Tarleton pojechał po nie do Macon i przywiózł je wozem.

Nagrobki! Ileż musiały kosztować! Scarlett przestała naraz żałować Tarletonów. Ludzie, którzy mogli wyrzucać cenne pieniądze na nagrobki, gdy jedzenia było tak mało i tak trudno je było zdobyć, nie zasługiwali na współczucie. I na każdej z tablic wyrytych było kilkanaście linijek. Im więcej słów, tym większy koszt! Ta rodzina chyba nie była przy zdrowych zmysłach! A ile musiało kosztować sprowadzenie ciał trzech chłopców do domu! Ciała Boyda, ani żadnego śladu po nim, nie znaleziono.

Między grobami Brenta i Stuarta leżał kamień z napisem: „Za życia byli piękni i weseli, śmierć nie zdołała ich rozdzielić”.

Na drugim kamieniu wyryte były imiona Boyda i Toma i coś po łacinie, co zaczynało się: Dulce et..., czego Scarlett jednak nie zrozumiała, bo wykręciła się niegdyś od nauki łaciny na pensji w Fayetteville.

Tyle pieniędzy wydać na nagrobki! Ależ to przecież wariaci! Oburzona była tak, jak gdyby roztrwoniono jej własne pieniądze.

Oczy Kariny zaczęły dziwnie świecić.

— To bardzo piękna tablica — wyszeptała wskazując na pierwszy kamień.

— Tak — odparła pani Tarleton bardzo cicho — uważaliśmy, że to bardzo stosowne... umarli prawie jednocześnie, najpierw Stuart, potem Brent, który niósł sztandar upuszczony przez Stuarta.

Po drodze do Tary Scarlett długo milczała myśląc o tym, co widziała u dawnych przyjaciół, przypominając sobie wbrew woli powiat w czasach świetności, gości we wszystkich domach, dostatek, Murzynów zapełniających chaty, pola zieleniące się bawełną.

„Jeszcze rok, a sosny pokryją wszystkie pola — pomyślała i patrząc na lasy, otaczające ich zewsząd, zadrżała. — Bez Murzynów i tak dokażemy wielkiej sztuki, jeżeli wyżyjemy sami. Nikt nie zdoła prowadzić dużej plantacji bez Murzynów, pola będą musiały stać odłogiem i las je zarośnie. Nikt nie jest w stanie sadzić dużej ilości bawełny, co więc poczniemy? Co stanie się z ludnością wsi? W miastach łatwiej sobie ludzie poradzą. Zawsze sobie radzą. My tu jednak po wsiach cofniemy się o sto lat, podobni się staniemy do pionierów, którzy mieli małe chatki, gospodarowali na kilku akrach i ledwie mogli wyżyć”.

„Nie — myślała posępnie — z Tarą tak nie będzie. Choćbym miała sama orać ziemię. Cała ta okolica, cały ten stan może z powrotem porosnąć lasem. Tarze na to nie pozwolę. Nie mam także zamiaru tracić pieniędzy na stawianie pomników ani czasu myśleć o wojnie. Trzeba sobie jakoś radzić. Wiem, że moglibyśmy sobie dobrze poradzić, gdyby tylu mężczyzn nie zostało zabitych. Nie to jest najgorsze, żeśmy stracili Murzynów. Najgorsza jest strata mężczyzn, młodych mężczyzn. — Pomyślała znowu o czterech Tarletonach, o Józiu Fontaine'ie, o Raifordzie Calvercie i braciach Munroe, o wszystkich chłopcach z Fayetteville i Jonesboro, których nazwiska przeczytała na liście poległych. — Gdybyśmy mieli mężczyzn, moglibyśmy jakoś z tego wybrnąć, ale...”

Uderzyła ją nowa myśl: co będzie, jeśli zechce ponownie wyjść za mąż? Oczywiście — wcale tego nie pragnie. Jedno małżeństwo zupełnie wystarcza. Poza tym jedynym mężczyzną, którego kochała, był Ashley, on zaś był żonaty — o ile żył. Przypuśćmy jednak, że zechce wyjść za mąż. Kto mógłby się z nią ożenić? Myśl o tym była przygnębiająca.

— Melu — zapytała — co się stanie z dziewczętami Południa?

— O co ci chodzi?

— O to, o co pytam. Co się z nimi stanie? Nie ma nikogo, kto mógłby się z nimi żenić. Przecież, Melu, skoro tylu chłopców poległo, na całym Południu będzie tysiące dziewcząt, które umrą starymi pannami.

— I nigdy nie będą miały dzieci — dodała Melania, dla której sprawa ta była najważniejsza.

Myśl ta prawdopodobnie nie była nowa dla Zueli, bo nagle wybuchła płaczem. Od Bożego Narodzenia nie miała wiadomości od Franka Kennedy'ego. Nie wiedziała, czy to brak poczty był tego przyczyną, czy też po prostu Frank igrał z jej uczuciami, a potem o niej zapomniał. Śmierć byłaby znacznie lepsza niż zdrada — bo zmarłym ukochanym można się szczycić, jak India czy Karina, trudno jednak być dumną z narzeczonego, który porzucił.

— Och, na miłość boską, uspokój się wreszcie! — krzyknęła Scarlett.

— O, tobie łatwo mówić — łkała Zuela — boś ty miała męża, masz dziecko, i wszyscy wiedzą, że był jakiś mężczyzna, który cię kochał. Spójrz jednak na mnie! A ty jeszcze jesteś taka niedobra, że wypominasz mi, iż jestem starą panną, mimo że nie mam na to żadnej rady. Jesteś wstrętna!

— Och, bądź cicho. Wiesz, jak nie znoszę osób, które ciągle tylko lamentują. Wiesz doskonale, że twój stary rudzielec nie umarł, że wróci i ożeni się z tobą. Nie stać go na nic rozsądniejszego. Osobiście jednak wolałabym zostać starą panną niż wyjść za niego za mąż.

Na tyle wozu zapadło milczenie; Karina pocieszała siostrę głaszcząc ją machinalnie, ale myśli jej były gdzie indziej. Wędrowały po starych szlakach, wracały do wspomnień o Brencie Tarletonie. W oczach jej świeciło dziwne podniecenie.

— Ach — powiedziała Mela że smutkiem — do czego będzie podobne Południe bez naszych wspaniałych chłopców? Jak inaczej wyglądałby kraj, gdyby żyli. Można byłoby korzystać z ich energii, odwagi i rozumu. Scarlett, my wszystkie, które mamy małych synów, powinnyśmy ich tak chować, aby mogli zająć miejsca naszych zmarłych, aby byli tak dzielnymi ludźmi jak oni.

— Nigdy już nie będzie takich mężczyzn jak oni — rzekła cicho Karina. — Nikt nie może zająć ich miejsca...

Dalszą drogę odbyły w zupełnym milczeniu.

Wkrótce potem Kasia Calvert przyjechała pewnego dnia o zmierzchu do Tary. Damskie siodło założyła na najbardziej nędznego muła, jakiego Scarlett w życiu widziała, na wyleniałe, kulejące stworzenie — sama zaś wyglądała nie mniej od niego żałośnie. Nosiła suknię że spłowiałej flory, taką, jakie dawniej nosiły tylko służące, a czepek miała zawiązany pod brodą kawałkiem sznurka. Podjechała pod frontowy ganek, ale nie zsiadła z muła, więc Scarlett i Melania zeszły na dół, aby ją powitać. Kasia była blada jak Cade w dniu, gdy Scarlett go widziała, blada, zacięta i bardzo zmizerowana. Siedziała jednak prosto z wysoko podniesioną głową.

Scarlett przypomniała sobie nagle dzień barbakoi u Wilkesów i opowiadanie Kasi o Recie Butlerze. Jak pięknie i świeżo wyglądała wtedy w niebieskiej organdynowej sukni z pachnącymi różami u paska, w maleńkich czarnych aksamitnych pantofelkach, zasznurowanych dokoła szczupłych kostek! Teraz w sztywnej, siedzącej na mule postaci nie było ani śladu piękności.

— Nie, nie zsiądę, dziękuję wam bardzo — rzekła. — Przyjechałam tylko, aby was zawiadomić, że wychodzę za mąż.

— Co takiego?

— Za kogo?

— Kasiu, to wspaniale!

— Kiedy?

— Jutro — rzekła Kasia spokojnie, a głos jej zabrzmiał tak, że uśmiechy znikły z ich twarzy. — Przyjechałam was zawiadomić, że ślub mój odbędzie się jutro w Jonesboro... i że was nie zapraszam.

Przeżuwały te słowa w milczeniu, patrząc na nią że zdumieniem. Wreszcie Melania przemówiła:

— Czy znamy twego narzeczonego, kochanie?

— Tak — rzekła Kasia krótko. — To pan Hilton.

— Pan Hilton?

— Tak, pan Hilton, nasz rządca.

Scarlett nie mogła nawet powiedzieć „och”. Kasia spojrzawszy nagle na Melanię rzekła cichym, zdławionym głosem: — Jeżeli zaczniesz płakać, Melu, nie wytrzymam. Umrę.

Melania nic nie opowiedziała, pogładziła tylko Kasię po nodze obutej w niezgrabny, w domu sporządzony trzewik. Głowę miała nisko spuszczoną.

— I nie głaskaj mnie! Tego także nie zniosę.

Melania opuściła rękę, ale nie podniosła głowy.

— No, muszę już jechać. Przyjechałam wyłącznie po to, aby was zawiadomić. — Biała maska znowu wróciła jej na twarz; zebrała lejce.

— Jak się miewa Cade? — zapytała Scarlett bardzo zakłopotana, szukając gorączkowo jakichś słów, które by przerwały przykre milczenie.

— Umiera — rzekła Kasia krótko. W głosie jej nie było śladu uczucia. — Musi umrzeć w jakim takim spokoju i nie chcę, aby martwił się o to, kto się mną będzie opiekował po jego śmierci. Widzicie, moja macocha i dzieci wyjeżdżają jutro na Północ na stałe. No, muszę już jechać.

Melania spojrzała na Kasię i spotkała twardy jej wzrok. Na rzęsach Meli świeciły jasne łzy, w oczach sympatia; na ich widok Kasia skrzywiła usta w uśmiechu dzielnego dziecka, które stara się nie płakać. Wszystko to nie mogło się pomieścić w głowie Scarlett; ciągle na próżno starała się przyzwyczaić do myśli, że Kasia Calvert wychodzi za mąż za rządcę — Kasia, córka bogatego plantatora, Kasia, która miała najwięcej po Scarlett wielbicieli w całym powiecie.

Kasia schyliła się teraz, a Mela stanęła na palcach. Pocałowały się. Potem mocno ścisnęła wędzidło i stary muł ruszył z miejsca.

Melania popatrzyła na nią, a łzy spływały jej z oczu. Scarlett stała bez słowa jak wryta.

— Melu, czy ona zwariowała? Przecież ona go na pewno nie kocha.

— Kocha? Och, Scarlett, jak możesz przypuszczać coś tak okropnego. Och, biedna Kasia! Biedny Cade!

— Ech, u licha! — krzyknęła Scarlett już zirytowana. Przykro jej było, że Melania zawsze lepiej od niej rozumie pewne sytuacje. Postanowienie Kasi wydawało jej się bardziej zdumiewające niż tragiczne. Pewnie, że nieprzyjemnie jest poślubić Jankesa z niższej sfery, ale trudno ostatecznie wymagać, aby dziewczyna mieszkała na plantacji sama. Musiała mieć męża, który by jej pomagał w gospodarstwie.

— Melu, to przykład tego, co kiedyś mówiłam. Dziewczęta nie mają za kogo wychodzić za mąż, a mężów mieć muszą.

— Przepraszam, wcale nie muszą! To żaden wstyd być starą panną. Spójrz na ciotkę Pitty. Och, wolałabym, aby Kasia umarła! Wiem, że Cade wolałby, aby nie żyła. To koniec ich rodziny. Pomyśl tylko, pomyśl, jakie będą ich dzieci! Och, Scarlett, niech Pork osiodła natychmiast konia, dogoń ją i poproś, aby z nami zamieszkała!

— Boże wielki! — zawołała Scarlett, dotknięta spokojem, z jakim Melania rozporządzała Tarą. Scarlett wcale nie miała zamiaru karmić jeszcze jednej osoby. Chciała to właśnie powiedzieć, kiedy wstrzymał ją wyraz zgnębionej twarzy Melanii.

— Nie zgodziłaby się na to — rzekła. — Wiesz o tym dobrze. Jest bardzo dumna i pomyślałaby, że robimy to z litości.

— To prawda, to prawda — rzekła Melania z roztargnieniem, ścigając wzrokiem malejący na drodze tuman kurzu.

„Mieszkasz tu że mną tyle miesięcy — myślała Scarlett, patrząc posępnie na swoją szwagierkę — a nigdy nie przyszło ci na myśl, że żyjesz z mojej łaski. I nigdy o tym nie pomyślisz. Należysz do tych ludzi, których wojna nie zmieniła. W dalszym ciągu myślisz i postępujesz tak, jakby nic się tu nie stało — jakbyśmy byli ciągle jeszcze bogaci jak Krezus i mieli wszystkiego w bród, a obecność gości nie odgrywała żadnej roli. Zdaje mi się, że już do końca życia będę ciebie miała na karku. Kasi jednak mieć nie chcę”.

## ROZDZIAŁ XXX

Podczas gorącego lata po zawarciu pokoju Tara przestała być odcięta od świata. Odtąd przez długie miesiące sznur brodatych, obdartych, chorych i głodnych straszydeł wlókł się na szczyt wzgórza i przysiadał w cieniu ganku Tary, prosząc o nakarmienie i nocleg. Byli to powracający do domu żołnierze Konfederacji. Kolej przywiozła niedobitki armii Johnstona z Północnej Karoliny do Atlanty i tam je wyładowała, stamtąd zaś musieli pielgrzymkę swoją odbywać pieszo. Kiedy fala żołnierzy Johnstona przeszła, nadchodzić zaczęli zmęczeni weterani armii Wirginii i armii zachodnich, kierujący się na południe, do domów, które nie istniały już może, do rodzin, rozproszonych czy wymarłych. Większość ich szła pieszo, nieliczni szczęśliwcy jechali na wychudłych koniach i mułach — które na zasadzie warunków rozejmu wolno im było zatrzymać — tak wynędzniałych, że można było z góry powiedzieć, iż nie wydołają długiej podróży do Florydy i południowej Georgii.

Do domu! Do domu! Żołnierze nie myśleli o niczym innym. Niektórzy szli smutni i milczący, inni weseli i obojętni na trudy, ale wszystkich jednakowo podtrzymywała świadomość, że wojna się wreszcie skończyła i jadą do domu. Mało wśród nich było ludzi zgorzkniałych. Rozgoryczenie zostawiali kobietom i starcom. Bronili się świetnie, zostali pokonani — teraz więc wracają do spokojnej pracy na ziemi, o którą walczyli.

Do domu! Do domu! Nie potrafili mówić o niczym innym, nie pamiętali o bitwach, ranach i niewoli, nawet o przyszłości. Później dopiero przypomną sobie walki i powiedzą dzieciom i wnukom o bojach, potyczkach i atakach, o głodzie, pośpiesznych marszach i ranach. Niektórym brakowało ramienia, nogi czy oka, wielu miało blizny, które będą ich bolały w wilgotną pogodę jeszcze w siedemdziesiątym roku życia — to wszystko jednak wydawało się im teraz drobnostką. Później będzie inaczej.

Starzy i młodzi, rozmowni i milczący, bogaci plantatorzy i biedni farmerzy, wszyscy mieli dwie cechy wspólne — wszy i dyzenterię. Żołnierz Konfederacji tak był przyzwyczajony do robactwa, że nie myślał już o tym i drapał się bez żenady nawet w obecności dam. Jeżeli zaś chodzi o dyzenterię — „krwawą biegunkę”, jak nazwały ją panie — to nie oszczędziła żadnego, od szeregowca do generała. Cztery lata głodowania, cztery lata niedogotowanych, surowych lub na wpół zgniłych racji zrobiły swoje, i każdy żołnierz, który zatrzymywał się w Tarze, był albo właśnie wyleczony z tej choroby, albo jeszcze na nią cierpiał.

— W naszej armii nie ma ani jednego kompletu zdrowych kiszek — zauważyła Mammy ponuro, pocąc się nad ogniem przy przyrządzaniu gorzkiego wywaru z korzeni czarnych jagód, który był najskuteczniejszym według Ellen lekarstwem na tę chorobę. — Ja tak uważam, że to wcale nie Jankesi pobili naszych panów. To własne ich wnętrzności. Kto by tam mógł walczyć, jak mu się kiszki w wodę zamieniają?

Mammy leczyła ich wszystkich, zadając kłopotliwe pytania co do stanu ich organizmu, i wszyscy — posłusznie i krzywiąc się — wypijali lekarstwo, może sobie przypominając inne czarne twarze w dalekich stronach i inne nieubłagane czarne ręce, podające lekarstwo na łyżce.

W sprawie „towarzyszek” żołnierzy Mammy była równie zawzięta. Zawszony żołnierz nie miał wstępu do Tary. Prowadziła ich za gęste krzaki, rozbierała z mundurów, podawała miednicę wody i szare mydło oraz kołdry i koce do okrycia nagości, sanna zaś gotowała odzież w kotle od bielizny. Na nic się nie zdawały oburzone słowa dziewcząt, że tego rodzaju postępowanie upokarza żołnierzy. Mammy odpowiadała, że gorszym wstydem jest znajdować na sobie wszy.

Kiedy żołnierze zaczęli się zjawiać prawie codziennie, Mammy nie pozwoliła, by nocowali w sypialniach. Bała się zawsze, aby na nią jakaś wesz nie przeszła. Zamiast się z nią spierać, salon, w którym leżał miękki, puszysty dywan, Scarlett obróciła w dormitorium. Mammy znowu głośno protestowała, że to świętokradztwo, aby żołnierze spali na dywanie pani Ellen, Scarlett jednak była stanowcza. Gdzieś spać musieli. W niewiele miesięcy po zawieszeniu broni miękka barwa dywanu zaczęła znikać, a w miejscach, gdzie deptały go nieuważne obcasy, ukazała się osnowa.

Każdego żołnierza dziewczęta skwapliwie wypytywały o Ashleya. Zuela wypytywała się o pana Kennedy'ego. Żołnierze nie słyszeli o żadnym z nich, nie bardzo też lubili rozmawiać o nieobecnych. Wystarczało im, że sami żyją, i nie mieli ochoty myśleć o tych tysiącach w bezimiennych grobach, które nigdy nie wrócą do domu.

Po każdym takim zawodzie cała rodzina starała się dodać Melanii otuchy. Rozumie się, że Ashley nie umarł w więzieniu. Gdyby tak było, napisałby do nich jankeski kapelan. Rozumie się, że był w długiej drodze do domu, bo więzienie jego było bardzo daleko. Ależ na mdłość boską, przecież podróż koleją trwa stamtąd wiele dni, jeżeli zaś Ashley idzie pieszo, jak ci ludzie... Dlaczego nie pisze? No, kochanie, wiesz przecie, jak funkcjonuje poczta, nieregularnie i niedbale, nawet między miastami. A jeżeli — jeżeli zmarł w drodze do domu? Ależ, Melanio, napisałaby do nas o tym z pewnością jakaś Jankeska!... Jankeska? No pewnie!... Melu, na pewno są jeszcze miłe Jankeski na świecie. Ależ tak, na pewno! Bóg nie mógł przecież stworzyć narodu, w którym nie ma miłych kobiet? Scarlett, pamiętasz, jaka sympatyczna była ta Jankeska, którą spotkałyśmy wtedy w Saratoga — Scarlett, opowiedz Meli o niej!

— Sympatyczna, rzeczywiście — odrzekła Scarlett. — Pytała mnie, jak duże mamy sfory psów gończych do poganiania Murzynów! Zgadzam się z Melą. Nigdy w życiu nie spotkałam miłego Jankesa ani Jankeski. Ale nie płacz przecież, Melu! Ashley na pewno wróci do domu. To bardzo długa droga. A może... może nie ma butów?

Na myśl o bosym Ashleyu Scarlett omal się nie rozpłakała Niechaj inni żołnierze wloką się w workach i kawałkach dywanu na nogach, byle nie Ashley. Powinien wrócić do domu na paradnym wierzchowcu, pięknie ubrany, w połyskujących butach i kapeluszu z piórem. Najgorszym upokorzeniem była dla niej myśl, że Ashley może być w takim samym stanie jak ci żołnierze.

Pewnego dnia lipcowego, kiedy się wszyscy rozsiedli na kuchennym ganku i przyglądali łakomie, jak Pork rozcina pierwszy w sezonie na wpół dojrzały arbuz, usłyszeli stukot kopyt przed frontem domu. Prissy leniwie ruszyła w stronę drzwi, a reszta domowników zaczęła się gorąco sprzeczać, czy należy schować arbuz, czy też zostawić go na kolację, jeżeliby gościem przed gankiem okazał się jakiś żołnierz.

Mela i Karina szeptały, że żołnierz także powinien dostać swoją porcję, Scarlett jednak, popierana przez Mammy i Zuelę, cicho powiedziała Porkowi, aby szybko ukrył owoc.

— Nie bądźcie głupie, dziewczęta! Arbuza ledwie wystarczy dla nas, jeżeli zaś przyjechali dwaj czy trzej wygłodniali żołnierze, nikt z nas nawet go nie skosztuje — rzekła Scarlett.

Podczas gdy Pork przyciskał do siebie mały arbuz, niepewny, jaka będzie ostateczna decyzja, rozległ się okrzyk Prissy.

— Boże miłosierny! Miss Scarlett! Miss Melu! Proszę tu przyjść!

— Kto to taki? — krzyknęła Scarlett zrywając się że schodków i biegnąc z Melą przez hali. „Ashley — pomyślała. — Och, może...”

— Wuj Piotr przyjechał! Panny Pitty wuj Piotr.

Wszyscy wybiegli na ganek i ujrzeli siwego czarnego władcę domu ciotki Pitty, złażącego że szkapy, na której grzbiecie zamiast siodła leżał kawał dywanu. Na twarzy Murzyna wyraz zwykłej godności walczył o lepsze z radością na widok starych przyjaciół i wynik był taki, że czoło miał groźnie zmarszczone, ale usta otwarte jak pysk szczęśliwego starego bezzębnego psa.

Każdy chciał się z nim przywitać, czarni i biali potrząsali jego dłonią i zarzucali go pytaniami, ale głos Meli wybił się nad inne.

— Czy ciocia przypadkiem nie chora?

— Nie. Ale słaba jak zwykle, Bogu dzięki — odrzekł Piotr, patrząc surowo na Melę, potem na Scarlett, tak że poczuły się nieswojo, choć nic nie miały na sumieniu. — Słaba i obrażona jest na młode panie, a po prawdzie, to ja także!

— Ależ dlaczego, wuju Piotrze! Co się stało?...

— Niech mi się panienki nie tłumaczą. Czy panna Pitty nie pisała ciągle a ciągle, żebyście przyjeżdżały do domu? Widziałem, jak pisała, i widziałem, jak płakała, kiedy odpisałyście, że macie za dużo roboty na tej fermie, aby móc wrócić do domu.

— Ależ, wuju Piotrze..

— Jak panienki mają serce zostawiać pannę Pitty zupełnie samą, kiedy ona jest tak strachliwa? Wiedzą przecież panienki, że panna Pitty nigdy nie mieszkała sama: jeszcze ciągle drży że strachu, od kiedy wróciła z Macon. Powiedziała mi, żebym sam od siebie już powiedział, że nie rozumiem, jak panienki mogły ją opuścić w potrzebie.

— Dosyć już tego! — rzekła Mammy ostro, bo bardzo była dotknięta, że ktoś ośmielił się nazwać Tarę „fermą”. Tylko ciemny Murzyn z miasta nie potrafi odróżnić fermy od plantacji! — A my czy nie jesteśmy w potrzebie? A nam czy panna Scarlett i panna Mela niepotrzebne, i to bardzo? Dlaczego panna Pitty nie prosi o opiekę swego brata?

Wuj Piotr rzucił na nią piorunujące spojrzenie.

— My od lat nie mamy nic wspólnego z panem Henrykiem i za starzy jesteśmy, aby teraz zaczynać. — Odwrócił się ku Scarlett i Meli, które starały się powstrzymać uśmiechy. — Młode panie powinny się wstydzić, że zostawiają biedną pannę Pitty samą, kiedy połowa jej przyjaciół pomarła, połowa mieszka w Macon, a Atlanta jest pełna żołnierzy jankeskich i wyzwolonej murzyńskiej hołoty.

Dwie młode kobiety znosiły te wyrzuty z początku poważnie, myśl jednak, że ciotka Pitty przysłała Piotra, aby je wyłajał i osobiście dostarczył do Atlanty, rozśmieszyła je tak, że wybuchły głośnym śmiechem. Pork, Dilcey i Mammy zawtórowali im głośno, zadowoleni, że mogą wyśmiać Murzyna, który obraził ich ukochaną Tarę. Zuela i Karina chichotały i nawet Gerald uśmiechał się blado. Wszyscy się śmieli z wyjątkiem Piotra, który przestępował z jednej płaskiej stopy na drugą i nie posiadał się że zgorszenia.

— A tobie czego brak, Murzynie? — zapytała Mammy z uśmiechem. — Czy jesteś za stary, aby opiekować się swoją panią?

Piotr był oburzony.

— Za stary? Ja za stary? Nie, proszę pani! Ja opiekuję się panną Pitty tak samo, jak to zawsze robiłem. Czy nie zawiozłem jej do Macon, kiedyśmy uciekali? Czy nie opiekowałem się nią, kiedy Jankesi przyszli do Macon, a ona bała się tak, że ciągle mdlała? I czy nie znalazłem tego konika, zęby ją przywieźć z powrotem do Atlanty, czy nie pilnowałem w drodze jej i naszego

srebra? — Piotr wyprostował się, broniąc się gorąco. — Ja zresztą nie mówię o opiece, lecz o tym mówię, jak to wygląda.

— Jak to wygląda?

— Mówię, jak to wygląda przed ludźmi, że panna Pitty mieszka sama jedna. Ludzie zawsze plotkują na panny, które mieszkają same — ciągnął Piotr dalej. Było oczywiste, że w oczach jego Pitty jest jeszcze ciągle okrąglutką i uroczą szesnastoletnią dziewczyną, której opinii należy bronić przed złośliwymi językami. — A ja nie pozwolę, by ją ludzie krytykowali. Nie, proszę pani... I nie pozwolę, żeby z braku towarzystwa wynajęła część domu obcym. Już jej to powiedziałem: „Nie, nie zgadzam się, bo panienka ma rodzinę, której dom jest tutaj”. A teraz rodzina jej się wypiera. Panna Pitty to dziecko i...

Słysząc to Scarlett i Mela zaczęły się tak zataczać że śmiechu, że aż usiadły na schodkach. Wreszcie Mela otarła łzy.

— Biedny wuj Piotr. Przepraszam, że się śmiałam. Szczerze i gorąco przepraszam. No już, już! Niech się wuj nie gniewa. Pani Scarlett ani ja nie możemy teraz wracać do domu. Może ja przyjadę we wrześniu, kiedy zbierzemy bawełnę. Czy ciocia przysłała wuja tak daleko tylko po to, aby nas przywiózł do domu na tej szkapinie?

Słysząc to pytanie Piotr zasępił się nagle, a pomarszczona jego twarz przybrała wyraz zakłopotania. Wydęta z oburzenia dolna warga wróciła do normalnej pozycji, szybko, jak łebek żółwia cofający się pod skorupę.

— Miss Melu, robię się już chyba stary, bo zupełnie zapomniałem, po co mnie panna Pitty wysłała, a to ważne. Mam dla panienki list. Panna Pitty nie chciała go powierzyć poczcie ani nikomu, tylko mnie go kazała przywieźć i...

— List? Do mnie? Od kogo?

— Proszę pani, to... Panna Pitty powiedziała mi: „Słuchaj, Piotrze, powiedz to ostrożnie pannie Meli”, a ja powiedziałem...

Mela porwała się na równe nogi z ręką na sercu.

— Ashley! Ashley nie żyje!

— Nie! Nie! — krzyknął Piotr szukając czegoś w kieszeni swojej połatanej marynarki; głos jego brzmiał ostro: — Żyje! List jest od niego. Wraca do domu. Boże przenajświętszy! Łapcie ją, Mammy! Pozwólcie mi...

— Nie ruszaj jej, ty stary głupcze! — zagrzmiała Mammy starając się podtrzymać bezwładne ciało Meli, aby nie upadła na ziemię. — Ty głupia czarna małpo! „Powiedz to ostrożnie!” Pork, ty weź ją za nogi. Panienko Karino, niech panienka podtrzyma jej głowę.

Położyły ją na kanapie w salonie.

Zrobiło się zamieszanie, wszyscy z wyjątkiem Scarlett otoczyli zemdloną Melanię, wszyscy krzyczeli z przerażenia, biegli w głąb domu po wodę i poduszki. Po chwili Scarlett została przed domem sama z wujem Piotrem. Stała jak skamieniała, nie mogąc zrobić żadnego gestu, od kiedy usłyszała tę nowinę, i bez słowa patrzyła na Murzyna, który trzymał w ręku list. Stara jego twarz wyglądała żałośnie, jak twarz dziecka złajanego przez matkę, a cała jego godność gdzieś znikła.

Przez chwilę nie mogła ani mówić, ani się poruszyć, i mimo że w duchu powtarzała sobie raz po raz: „Nie umarł! Wraca do domu!”, świadomość ta nie przynosiła jej ani radości, ani podniecenia, tylko tępe zdumienie. Głos wuja Piotra doszedł ją jak z oddali, żałosny, pełen skruchy.

— Pan Willy Burr z .Macon, który jest z nami spokrewniony, przywiózł list pannie Pitty. Pan Willy był w tym samym więzieniu co pan Ashley. Pan Willy ma konia, więc szybko tu dojechał. Ale pan Ashley idzie pieszo i...

Scarlett wyrwała mu list z ręki. Zaadresowany był do Meli pismem ciotki Pitty, ale to jej wcale nie powstrzymało. Rozdarła kopertę; na ziemię wypadła z niej notatka Pitty. W kopercie leżał kawałek zmiętego papieru, zatłuszczony od kieszeni, w której musiał spoczywać, pognieciony i wytarty. Nosił pisany ręką Ashleya adres: ,,Pani Ashleyowa Wilkes, z listami Pani Sary Janiny Hamilton, Atlanta lub Dwanaście Dębów, Jonesboro, Georgia”.

Drżącymi palcami otworzyła list i przeczytała:

— Najdroższa, wracam do ciebie...

Łzy zaczęły jej spływać po twarzy i przesłoniły litery, a serce jej tak wezbrało, że poczuła, iż nie przetrzyma tej radości. Przyciskając list do piersi wbiegła na ganek i do hallu, minęła salon, gdzie wszyscy domownicy przeszkadzali sobie nawzajem przy cuceniu zemdlonej Melanii, i wpadła do kantorku Ellen. Zamknęła drzwi na klucz i rzuciła się na wysiedzianą kanapę płacząc, śmiejąc się, całując list.

— Najdroższa, wracam do ciebie

Rozsądek mówił im, że Ashley nie może przywędrować z Illinois do Georgii przed upływem tygodni czy nawet miesięcy — chyba że niosłyby go skrzydła — a mimo to serca biły im dziko, ilekroć żołnierz jakiś skręcał w aleję do Tary. W każdym brodatym obdartusie dopatrywały się Ashley’a. Kiedy okazywało się, że to nie Ashley, myślały, że może żołnierz ma jakieś wiadomości o nim czy bodaj list od ciotki Pitty. Czarni i biali wybiegali na ganek, ilekroć słyszeli kroki. Widok munduru wystarczał, aby wszyscy zjawiali się w domu z drwalni, łąki czy pola bawełny. W ciągu miesiąca po nadejściu listu praca prawie ustała. Nikt nie chciał być poza domem, kiedy Ashley przyjdzie, najmniej zaś Scarlett. Nie mogła wobec tego nastawać, aby inni pilnowali swoich obowiązków, gdy ona tak bardzo zaniedbywała swoje.

Kiedy jednak tygodnie wlokły się wolno, a Ashley nie zjawiał się i nie nadchodziły żadne wiadomości, Tara wróciła do dawnych zajęć. Stęsknione serca nie mogły wyżyć samą tylko tęsknotą. Strach zaczął chwilami ogarniać Scarlett, że może zdarzyło mu się coś złego w czasie długiej podróży. Rock Island było tak daleko; może opuszczając więzienie był chory czy osłabiony. Nie miał pieniędzy i szedł przez kraj, w którym nienawidzono konfederatów. Gdyby przynajmniej wiedziała, gdzie jest, wysłałaby mu pieniądze, wszystkie co do grosza, choćby kosztem jedzenia dla rodziny — aby przyjechał do domu koleją... Najdroższa, wracam do ciebie.

W pierwszym porywie radości Scarlett zrozumiała te słowa jak skierowane do niej. Teraz, na chłodno, uświadomiła sobie, że zawiadamiał w ten sposób Melanię, która odtąd chodziła po domu śpiewając z radości. Czasem Scarlett zastanawiała się gorzko, czemu Melania nie umarła przy porodzie. To bardzo uprościłoby sprawę. Wówczas mogłaby po odpowiednim okresie żałoby wyjść za Ashleya i być dla małego Beau doskonałą macochą. Teraz, gdy nawiedzały ją takie myśli, nie modliła się już do Boga, aby jej przebaczył, ponieważ nie myślała tego serio. Myśl o Bogu nie przerażała jej już wcale.

Żołnierze zjawiali się w pojedynkę, parami i tuzinami, i zawsze byli głodni. Scarlett myślała z rozpaczą, że wolałaby plagę szarańczy od tych gości. Przeklinała zwyczaj gościnności, który kwitł w erze dobrobytu i nie pozwalał puszczać w dalszą drogę podróżnego, bogatego czy biednego, bez noclegu, jedzenia dla niego i dla konia i bez okazania największej uprzejmości, na jaką dom mógł się zdobyć. Wiedziała, że era ta minęła bezpowrotnie, reszta domowników jednak i żołnierze nie chcieli o tym pamiętać, w rezultacie więc witano każdego żołnierza, jak gdyby był dawno oczekiwanym gościem.

Kiedy ta nie kończąca się procesja nie przestawała sunąć, Scarlett zrobiła się bardziej bezwzględna. Żołnierze pochłaniali żywność przeznaczoną dla Tary: jarzyny, nad którymi się tyle napracowała, produkty, po które jeździła daleko. O żywność było jeszcze ciągle trudno, pieniądze zaś z portfelu Jankesa nie mogły wystarczyć na zawsze. Zostało jej teraz tylko parę dolarów i dwie sztuki złota. Z jakiej racji miała żywić tę hordę głodnych ludzi? Wojna minęła. Żołnierze nie będą jej już nigdy bronili przed niebezpieczeństwem. Wydała zatem Porkowi polecenie, aby podczas bytności żołnierzy posiłki były skromniejsze. Rozkaz ten obowiązywał, dopóki nie zauważyła, że Melania, która od urodzenia Beau nie była zbyt silna, kazała Porkowi oddawać swoją porcję żołnierzom, a sobie nakładać tylko okruchy.

— Przestań to robić, Melu — zganiła ją Scarlett. — Jesteś chora i jeżeli nie zaczniesz się lepiej odżywiać, będziesz się musiała położyć i trzeba cię będzie pielęgnować. Niechaj ci ludzie będą sobie głodni. Mogą to wytrzymać. Wytrzymali przez cztery lata, więc im nic nie będzie, jak wytrzymają jeszcze trochę dłużej.

Melania spojrzała na nią i na twarzy jej odmalowało się pierwsze gorące wzburzenie, jakiego Scarlett była świadkiem.

— Och, Scarlett, nie gań mnie, proszę! Pozwól mi to robić. Nie masz pojęcia, jaką mi to przynosi ulgę. Ile razy oddaję swoją porcję jakiemuś biedakowi, myślę, że może daleko na Północy jakaś nieznajoma kobieta daje mojemu Ashleyowi część swego obiadu i w ten sposób pomaga mu, aby prędzej dostał się do mnie do domu!

„Mojemu Ashleyowi”.

„Najdroższa, wracam do ciebie”.

Scarlett odwróciła się bez słowa. Odtąd na stole było więcej jedzenia, gdy zjawiali się goście, chociaż Scarlett żałowała im każdego kęsa.

Kiedy żołnierze byli zbyt ciężko chorzy, aby iść w dalszą drogę — takich zaś było wielu — Scarlett oddawała im do dyspozycji łóżka, choć też bez wielkiego entuzjazmu. Każdy chory oznaczał dodatkową gębę do wyżywienia. Ktoś musiał go pielęgnować, co znaczyło o jedną parę rąk mniej przy stawianiu płotów, gracowaniu, pieleniu czy oraniu. Pewnego chłopca o twarzy ledwie pokrytej jasnym puszkiem przywiózł do Tary jadący do Fayetteville konny żołnierz. Żołnierz znalazł go nieprzytomnego przy drodze i przewieszonego przez siodło przywiózł do Tary, najbliższego dworu. Dziewczęta przypuszczały, że chłopiec był kadetem, jednym z tych, których powołano pod broń, gdy Sherman zbliżał się do Milledgeville, ale nigdy tego nie ustaliły z pewnością, bo zmarł nie odzyskawszy przytomności, a przeszukanie jego kieszeni nie dało żadnego rezultatu.

Był przystojny, prawdopodobnie z dobrej rodziny; gdzieś na południu jakaś kobieta wyglądała go z niepokojem, dziwiąc się, dlaczego nie wraca — podobnie jak Scarlett i Melania z szaloną nadzieją w sercach wpatrywały się w twarze wszystkich brodatych żołnierzy, którzy zbliżali się do domu. Pochowały kadeta na cmentarzyku tuż obok trzech małych braci Scarlett. Melania bardzo płakała, gdy Pork sypał ziemię na grób, bo zastanawiała się w głębi serca, czy jacyś nieznajomi nie spełniają w tej chwili takiej samej posługi w stosunku do Ashleya.

Will Benteen, podobnie jak bezimienny chłopiec, został przywieziony w malignie na siodle towarzysza broni. Miał ostre zapalenie płuc i kiedy dziewczęta ułożyły go do łóżka, przypuszczały, że zajmie wkrótce miejsce obok chłopca na cmentarzu.

Will miał bladą, malaryczną twarz farmera z południowej Georgii, jasne rudawe włosy i wyblakłe niebieskie oczy, które nawet w gorączce nie przestawały być cierpliwe i łagodne. Stracił na wojnie jedną nogę i do jej kikuta przymocowaną miał źle dopasowaną drewnianą kulę. Nie było wątpliwości, że jest ubogim farmerem, tak samo jak pewne było, że pochowany niedawno chłopiec był synem plantatora. Trudno było określić, po czym to dziewczęta poznały. Will z pewnością nie był brudniejszy, bardziej obrośnięty czy zawszony od dobrze urodzonych żołnierzy, którzy zachodzili do Tary. W malignie mówił nie mniej gramatycznie niż młodzi Tarletonowie. Scarlett i Mela wyczuwały jednak instynktownie — podobnie jak mogły odróżnić instynktem konie rasowe od nierasowych — że nie należy do ich sfery. Świadomość ta nie zmniejszyła jednak ich wysiłków w kierunku uratowania mu życia.

Wycieńczony rocznym pobytem w jankeskiej niewoli, wyczerpany długą wędrówką na źle dopasowanej kuli, miał niewiele sil do zwalczenia choroby i przez długie dni leżał w łóżku to jęcząc, to starając się wstawać, to tocząc boje z Jankesami. Ani razu nie zawołał matki, żony, siostry czy ukochanej i to bardzo martwiło Karinę.

— Człowiek powinien mieć jakichś bliskich — powiedziała. — On zdaje się nie mieć na świecie ani żywej duszy.

Mimo swojej chudości Will był odporny, więc pod dobrą opieką szybko się wygrzebał z choroby. Nadszedł dzień, gdy blade jego oczy rozejrzały się przytomnie po otoczeniu i spoczęły na Karmie przesuwającej paciorki różańca i siedzącej w płomieniu słońca.

— A więc nie była pani snem, jak widać — rzekł bezbarwnym, cichym głosem. — Mam nadzieję, że nie dokuczałem pani bardzo.

Rekonwalescencja jego trwała długo. Leżał spokojnie, patrząc przez okno na magnolie i nikomu nie sprawiając kłopotu. Karina polubiła go, ponieważ umiał milczeć spokojnie i naturalnie. Siedziała przy nim przez długie gorące popołudnia, wachlującego i nic nie mówiąc.

Karina miała bardzo mało do powiedzenia w tym czasie — wątła i lekka jak zjawa, spełniała bez słowa wszystkie zadania, do których miała dość siły. Modliła się bardzo dużo i ilekroć Scarlett wchodziła bez pukania do jej pokoju, zastawała ją na kolanach przy łóżku. Widok ten sprawiał jej pewną przykrość, bo czuła, że czas modlitw już minął. Skoro Bóg uznał, że należy ich tak ciężko pokarać — mógł się teraz obyć bez modłów. Religia zawsze była dla Scarlett rodzajem wymiany. Przyrzekała Bogu dobre sprawowanie w zamian za łaski. Ponieważ Bóg w jej rozumieniu już wiele razy nie dotrzymał umowy, czuła, że nic mu nie jest winna.

Ilekroć więc zastawała Karinę na kolanach w czasie przeznaczonym na poobiednią drzemkę lub cerowanie, uważała, że Karina dla modlitwy zaniedbuje sprawy ważniejsze.

Pewnego, popołudnia, kiedy Will Benteen po raz pierwszy usiadł w fotelu, Scarlett powiedziała mu o tym i zdumiona była, gdy odrzekł spokojnym głosem: — Niech ją pani zostawi w spokoju, Miss Scarlett. To ją pociesza.

— Pociesza?

— Tak, bo modli się za pani mamę i za niego.

— Kto to jest ,,on”?

Jasne niebieskie oczy spojrzały na nią spod piaskowych brwi bez najmniejszego zdziwienia. Nic go nie dziwiło ani nie wzruszało. Zbyt wiele zdarzyło mu się rzeczy nieprzewidzianych, aby mogło go coś zdumieć. Nie wydało mu się dziwne, że Scarlett nie wie, co kryje się w sercu siostry. Przyjął to naturalnie jak fakt, że Karina zwierzała się jemu — obcemu.

— Jej wielbiciel, ten Brent, który padł pod Gettysburgiem…

— Jej wielbiciel? — zapytała Scarlett ostro. — Jaki tam wielbiciel! On i jego brat byli moimi wielbicielami.

— Tak, powiedziała mi o tym. Zdaje się, że większość chłopców z powiatu kochała się w pani. Mniejsza z tym. Kiedy pani go odtrąciła, zaczął się nią interesować, i kiedy przyjechał na ostatni urlop, zaręczyli się. Karina mówi, że to był jedyny chłopiec, który jej się kiedykolwiek podobał, więc trochę ją to teraz pociesza, kiedy się za niego modli.

— Ech, zawracanie głowy! — zawołała Scarlett, ukłuta zazdrością.

Popatrzyła z większym zainteresowaniem na tego szczupłego mężczyznę o kościstych ramionach, rudych włosach i spokojnych oczach. O własnej jej rodzinie wiedział szczegóły, których sama nie znała. A więc to dlatego Karina chodziła błędnie po świecie i ciągle się modliła! No, będzie to więc musiała jakoś przeboleć. Wiele dziewcząt pocieszało się jakoś po śmierci ukochanych — tak, nawet mężów. Ona sama pocieszyła się po śmierci Karola. I znała nawet w Atlancie pewną kobietę, która straciła na wojnie po kolei trzech mężów i jeszcze potrafiła się interesować mężczyznami. Powiedziała to wszystko Willowi, on jednak potrząsnął tylko głową.

— Nie panna Karina — oświadczył wreszcie stanowczo.

Przyjemnie było rozmawiać z Willem, bo miał mało do powiedzenia, a słuchać umiał bardzo uważnie. Scarlett zaczęła mu się zwierzać że swoich kłopotów z pieleniem, gracowaniem i sadzeniem bawełny, mówiła z nim o karmieniu świń i konieczności pokrycia krowy, on zaś dawał jej rady, bo sam miał małą fermę na południu Georgii i dwóch niewolników. Widział, że Murzyni jego są teraz wyzwoleni, a ferma zarosła pewnie chwastami i sosną. Siostra, jedyna jego krewna, przeprowadziła się z mężem przed wielu laty do Texasu, był więc na świecie sam. A przecież żadna z tych rzeczy, ani nawet utrata nogi, nic zdawała się go martwić.

Tak, rozmowa z Willem przynosiła Scarlett ukojenie po ciężkich dniach — gdy Murzyni nie przestawali szemrać, Zuela grymasiła i płakała, a Gerald zbyt często pytał o Ellen. Z Willem mogła rozmawiać o wszystkim. Wyznała mu nawet, że zabiła Jankesa, i rozpromieniła się z dumy, kiedy krótko powiedział: — Dobrze się pani sprawiła.

Po pewnym czasie cała rodzina znała drogę do pokoju Willa. Wszyscy zwierzali mu się że swoich kłopotów — nawet Mammy, która z początku traktowała go z góry, bo nie pochodził z dobrej rodziny i miał tylko dwóch niewolników.

Kiedy Will mógł już kuśtykać po domu, zaczął się zajmować wyplataniem koszyków z wikliny i naprawianiem mebli poniszczonych przez Jankesów. Umiał ładnie wycinać z drzewa i Wade wiecznie się koło niego kręcił, bo Will strugał mu zabawki, jedyne, jakie dzieciak miał. Pod opieką Willa można było bez obawy zostawić Wade'a i niemowlęta, bo umiał obchodzić się z nimi nie mniej zgrabnie niż Mammy, i tylko Mela potrafiła lepiej od niego utulić je w krzyku.

— Była pani dla mnie bardzo dobra, Miss Scarlett — powiedział pewnego dnia — mimo że jestem obcy i że mnie pani wcale nie znała. Sprawiłem pani wiele kłopotu i jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym móc tutaj zostać i pomagać pani w pracy, dopóki nie spłacę pani długu. Zresztą nigdy nie będę się mógł całkowicie odwdzięczyć, bo nie ma zapłaty za życie człowieka.

Został więc i stopniowo, niepostrzeżenie, wielka część obowiązków przeniosła się z ramion Scarlett na kościste barki Willa Benteena.

Nadszedł wrzesień i czas zbierania bawełny. Will Benteen siedział u stóp Scarlett na schodkach frontowych w miłym, ciepłym słońcu jesiennego popołudnia i cichym głosem mówił powoli o cenach za czyszczenie bawełny w nowej czyszczalni pod Fayetteville. Udało mu się jednak tego dnia dowiedzieć w Fayetteville, że może zmniejszyć ten wydatek o jedną czwartą wypożyczając na dwa tygodnie konia i wóz właścicielowi warsztatu. Odłożył decyzję w tej sprawie do czasu naradzenia się że Scarlett.

Scarlett popatrzyła na chudą postać, opartą o kolumnę ganku. Nie było wątpliwości, że jak Mammy często mawiała — Will był zesłańcem niebios. Scarlett często się zastanawiała, jak by się bez niego potoczyło życie Tary w ostatnich miesiącach. Nigdy nie miał wiele do powiedzenia, nigdy nie zdawał się szczególnie interesować tym, co się działo obok niego, ani nie okazywał wielkiej energii, ale wiedział wszystko o wszystkim i wszystkich w Tarze. I dużo robił. Pracował milcząco, cierpliwie i solidnie. Mimo że miał tylko jedną nogę, był wytrwalszy od Porka. Co więcej, umiał Porka zmusić do solidnej pracy, co dla Scarlett graniczyło z cudem. Kiedy krowa dostała kolek, a koń zapadł na tajemniczą, grożącą mu śmiercią chorobę, Will przez całe noce czuwał koło zwierząt i w końcu je uratował. Scarlett bardzo imponowało, że umiał świetnie kupować. Zdarzyło mu się wyjeżdżać rano z koszem jabłek, słodkich ziemniaków czy innych jarzyn i wracać wieczorem z nasionami, mąką, materiałem na suknie i innymi sprawunkami, których sama nie mogłaby dostać w takiej ilości, chociaż doskonale potrafiła się targować.

Powoli zaczęto go traktować jak członka rodziny. Sypiał na tapczanie w małej garderobie obok pokoju Geralda. Nie wspominał nigdy o opuszczeniu Tary, Scarlett zaś starała się go o nic nie pytać bojąc się, aby jej nie opuścił. Czasem myślała, że gdyby był z lepszej rodziny i miał jaki taki rozum, wróciłby do domu, chociaż właściwie już domu nie miał. Myśl ta jednak nie przeszkadzała jej modlić się gorąco, aby został w Tarze na zawsze. Bardzo było wygodnie mieć w domu przynajmniej jednego mężczyznę.

Myślała także, że gdyby Karina była mądrzejsza, domyśliłaby się, że Will się w niej kocha. Scarlett bardzo byłaby Willowi wdzięczna, gdyby poprosił ją o rękę Kariny. Rozumie się, że przed wojną Will z pewnością by nie był odpowiednim kandydatem. Nie należał do sfery plantatorów, mimo że nie był „białą nędzą”. Był po prostu zwykłym osadnikiem, właścicielem małej fermy, nie dokształconym, robiącym gramatyczne błędy i nie znającym wykwintnych manier, do których O'Harowie przywykli. Scarlett zastanawiała się nawet, czy Willa można by nazwać dżentelmenem, i zdecydowała, że raczej nie. Melania broniła go gorąco mówiąc, że człowiek o szlachetnym sercu Willa i jego delikatności w stosunku do innych musi być dobrego pochodzenia. Scarlett dobrze wiedziała, że Ellen zemdlałaby na myśl, iż jedna z jej córek może poślubić takiego człowieka, ale gorzka konieczność zbyt daleko odwiodła ją od nauk Ellen, aby się tą myślą mogła przejmować. Mężczyzn było mało, dziewczęta musiały mieć mężów i Tarze potrzebny był mężczyzna. Karina jednak, coraz bardziej zagłębiona w swoich modlitwach i co dzień bardziej tracąca kontakt że światem rzeczywistym, traktowała Willa jak brata i obecność jego przyjmowała tak obojętnie jak obecność Porka.

„Gdyby Karina zdolna była do jakiejkolwiek dla mnie wdzięczności za to, co dla niej zrobiłam, wyszłaby za niego i nie pozwoliłaby mu stąd odjechać — myślała Scarlett. — Ale zamiast tego spędza czas na rozmyślaniu o głupim chłopaku, który jej nigdy prawdopodobnie nie brał poważnie”.

Tak więc Will został w Tarze dla sobie tylko znanej przyczyny i Scarlett uznała jego rozsądny stosunek do siebie za równie przyjemny jak pożyteczny. Will okazywał wielki szacunek Geraldowi, ale za prawdziwą głowę domu uważał Scarlett.

Scarlett zgodziła się na wypożyczenie konia, choć znaczyło to, że Tara zostanie czasowo bez żadnego środka lokomocji. Najbardziej zmartwi się tym Zuela. Największą jej przyjemnością były jazdy z Willem do Jonesboro czy Fayetteville, kiedy jechał tam za interesami. Przystrojona w najlepsze, zebrane od całej rodziny szatki, odwiedzała starych przyjaciół, zbierała plotki z całego powiatu i czuła się jak dawniej panną O'Hara z Tary. Zuela nie przepuszczała żadnej okazji, aby zadawać szyku wśród osób, które nie wiedziały, że piele ogród i ściele łóżka.

„Jaśnie panna Zuela będzie się znowu nudziła przez dwa tygodnie — myślała Scarlett — i będzie trzeba znosić jej złe humory i grymasy”.

Melania wyszła na werandę z dzieckiem na ręku i rozkładając stary koc na podłodze posadziła na nim Beau. Od chwili otrzymania listu Ashleya była na przemian to rozpromieniona że szczęścia, to zmartwiała z tęsknoty. Była ciągle jeszcze zbyt chuda, zbyt blada. Spełniała obowiązki, które na nią przypadały, bez szemrania, ale ciągle niedomagała. Stary doktor Fontaine określił jej cierpienie jako „coś kobiecego” i zgodził się z doktorem Meade, że nie powinna była w ogóle mieć dziecka. Powiedział, że następne dziecko mogłoby ją zabić.

— Dziś w Fayetteville — zaczął Will — znalazłem coś bardzo zabawnego, co powinno panie zainteresować, więc przywiozłem to do domu. — Poszperał w tylnej kieszeni spodni i wyciągnął z niej portfel płócienny usztywniony kawałkiem kory — podarunek od Kariny. Wyjął z niego banknot konfederacki.

— Dziwię się, że uważa pan pieniądze konfederackie za zabawne, bo ja nie — rzekła Scarlett niegrzecznie, rozzłoszczona widokiem pieniędzy. — W kufrze papy leżą trzy tysiące takich dolarów i Mammy mnie ciągle męczy, abym pozwoliła nimi wytapetować stryszek, bo jej tam wieje przez szpary. Mam wrażenie, że każę jej to zrobić. Przynajmniej będzie z nich korzyść.

— ,,I wielki Cezar zmarł i stał się prochem” — zacytowała Melania że smutnym uśmiechem. — Nie rób tego, Scarlett. Zostaw je dla Wade'a. Będzie z nich jeszcze kiedyś dumny.

— Ja tam nie wiem nic o „wielkim Cezarze” — rzekł Will łagodnie — ale to, co przywiozłem, na pewno się przyda Wade'owi, pani Melu. To wiersz, przyklejony do banknotu. Wiem, że pani Scarlett nie bardzo lubi poezje, ale ten wiersz powinien ją zainteresować.

Odwrócił banknot. Na jego odwrocie przylepiony był kawałek zwykłego, brązowego papieru do pakowania, zapisany bladym, w domu fabrykowanym atramentem. Wili chrząknął i zaczął czytać wolno i z pewnym trudem:

— Tytuł brzmi: „Wiersz o konfederackim pieniądzu” — powiedział.

Nie ma wartości na powierzchni ziemi

Ani w krainie podziemnej,

Lecz przypomina naród, co przeminął,

Przeto jest drogi i cenny.

Pokaż go, druhu, tym, co chcą usłyszeć,

Opowieść tę, a nie inną.

Gdzie wolność rodzi się w snach patriotów.

Gdzie dumny naród zaginął.

— Ach, jakie to piękne! Jakie wzruszające! — zawołała Melania. — Scarlett, nie dawaj Mammy tych pieniędzy do wyklejenia stryszku. One są naprawdę czymś więcej niż bezwartościowym papierem, jak mówi ten wiersz: „Przypominają naród, co przeminął”.

— Och, Melu, przestań się wzruszać! Papier to papier, mamy go i tak bardzo mało, a nudzi mnie już słuchanie żalów Mammy, że jej wieje przez szpary. Mam nadzieję, że kiedy Wade urośnie, będę w stanie dać mu wiele zielonych dolarów zamiast tego konfederackiego śmiecia.

Will, który podczas tej wymiany zdań bawił się z małym Beau, podniósł teraz głowę i przysłaniając sobie dłonią oczy spojrzał na drogę…

— Będziemy mieli gościa — powiedział krzywiąc się w słońcu. — Idzie jakiś żołnierz.

Scarlett popatrzyła w tę stronę i zobaczyła znany widok, brodatego mężczyznę, który wolno sunął aleją pod cedrami. Odziany był w resztki podartego szarego munduru, łatanego niebieskim, i szedł z głową nisko pochyloną, wlokąc nogę za nogą.

— Myślałam, że to już się skończyło — powiedziała. — Mam nadzieję, że nie będzie bardzo głodny.

— Jestem pewien, że będzie głodny — rzekł Will krótko.

Melania wstała.

— Powiem Dilcey, aby położyła jeszcze jedno nakrycie — rzekła — i uprzedzę Mammy, aby zbyt gwałtownie nie zaczęła ściągać munduru z tego biedaka...

Urwała tak nagle, że Scarlett popatrzyła na nią w zdumieniu. Szczupła dłoń Melanii podniosła się do gardła i objęła je mocno. Scarlett widziała szybkie pulsowanie jej żył przeświecających przez białą skórę. Twarz jej zbladła jeszcze bardziej, a oczy rozszerzyły się niepomiernie.

,,Zemdleje za chwilę” — pomyślała Scarlett, zrywając się z miejsca, aby ją podeprzeć.

Ale po sekundzie Melania opuściła rękę i zbiegła na dół. Lekko jak ptak biegła po wyżwirowanej ścieżce z otwartymi ramionami, a wyblakłe jej suknie rozwiewały się za nią szeroko. Nagle jak grom objawiła się Scarlett prawda. Oparła się ciężko o filarek ganku. Żołnierz podniósł teraz głowę i zatrzymał się patrząc na dom, jak gdyby niezdolny do zrobienia następnego kroku. Serce Scarlett szarpnęło się, ustało na chwilę, potem zaczęło walić jak szalone. Mela krzycząc bezładnie rzuciła się w ramiona brudnego żołnierza, a jego głowa pochyliła się ku niej. W uniesieniu Scarlett rzuciła się naprzód; zatrzymała ją dłoń Willa, chwytająca fałdy jej sukni.

— Niech pani tego nie psuje — powiedział spokojnie.

— Niech mnie pan puści, głupcze! Niech mnie pan puści! To Ashley!

Nie zwolnił uścisku.

— To jest jej mąż, czy tak? — zapytał spokojnie.

Patrząc na niego z bezsilną furią Scarlett wyczytała w spokojnych głębiach jego oczu zrozumienie i litość.

CZĘŚĆ CZWARTA

## ROZDZIAŁ XXXI

Pewnego mroźnego popołudnia styczniowego w r. 1866 Scarlett siedziała w kantorku pisząc list do ciotki Pitty i tłumacząc jej szczegółowo po raz dziesiąty, dlaczego ani ona, ani Melania z Ashleyem nie mogą wrócić do Atlanty. Pisała z przymusem, ponieważ wiedziała dobrze, że ciotka Pitty przeczyta najwyżej kilka pierwszych linijek listu, a potem znowu napisze płaczliwie: „Ale przecież ja boję się mieszkać sama!”

Dłonie jej zmarzły, przerwała więc na chwilą, aby je trochę rozetrzeć, a stopy wsunęła głębiej pod kawał starej kołdry, którym były owinięte. Podeszwy jej pantofli były zupełnie zdarte i połatane kawałkiem dywanu, który wprawdzie zapobiegał stąpaniu gołą stopą po ziemi, ale nie chronił ad zimna. Rano Will zabrał konia Scarlett do podkucia do Jonesboro; myślała więc ponuro, że ładne czasy nastały, kiedy konie mają nowe podkowy, a ludzie muszą chodzić bez butów.

Wzięła znowu pióro, aby dokończyć pisania, ale odłożyła je słysząc kroki Willa, wchodzącego przez kuchnię. Usłyszała uderzenia jego drewnianej kuli o podłogę hallu — potem kroki ucichły. Przez chwilę czekała, czy Will nie wejdzie, kiedy się jednak nie ruszał, zawołała go sama. Wszedł z uszami czerwonymi od mrozu, że starganą rudą czupryną i przez chwilę patrzał na nią z lekko drwiącym uśmiechem.

— Miss Scarlett — zapytał — ile pani ma właściwie gotówki?

— Czy chce się pan że mną ożenić dla pieniędzy, Wall? — zapytała złośliwie.

— Bynajmniej. Chciałem tylko wiedzieć.

Popatrzyła na niego badawczo. Will nie miał poważnej miny, ale też nie miewał jej nigdy. Mimo to czuła, że coś jest nie w porządku.

— Mam dziesięć dolarów w złocie — powiedziała. — Resztę pieniędzy tego Jankesa.

— To, proszę pani, nie wystarczy.

— Nie wystarczy na co?

— Na podatki — powiedział i pokuśtykawszy do kominka pochylił się i zaczął sobie rozgrzewać dłonie.

— Na podatki? — powtórzyła. — Na miłość boską, Will! Przecież zapłaciliśmy już podatki.

— Tak, proszę pani. Ale ani powiadają, że to nie dosyć. Słyszałem o tym dzisiaj w Jonesboro.

— Ależ, Will, nic nie rozumiem. Co pan ma na myśli?

— Miss Scarlett, przykro mi zaprzątać pani głowę, kiedy ma pani i tak tyle kłopotów, muszę jednak o tym powiedzieć. Mówią, że powinna pani płacić znacznie większe podatki, niż płaciła pani dotąd. Założę się, że wymierzą olbrzymią sumę, najwyższą w całym powiecie.

— Ale przecież nie mogą kazać nam płacić podatków, skoro już raz zapłaciliśmy!

— Miss Scarlett, pani nieczęsto bywa teraz w Jonesboro, z czego bardzo jestem rad. To nie jest miejsce dla dam. Gdyby jednak pani tam bywała, wiedziałaby pani, że wszystkim ostatnio rządzi paczka Scallawagów[[3]](#footnote-3), republikanów i karierowiczów. Człowiek że skóry wyskakuje na ich widok. Poza tym Murzyni spychają białych ludzi z trotuarów i...

— Ale co to ma wspólnego z naszymi podatkami?

— Zaraz do tego dojdę, Miss Scarlett. Z jakiego powodu te łotry nałożyły na Tarę takie ciężary, jakby plantacja produkowała tysiące bel. Kiedy się o tym dowiedziałem, zacząłem chodzić po barach i słuchać plotek i wywęszyłem, że ktoś chce tanio kupić Tarę z licytacji, jeżeli nie zapłaci pani reszty podatków. Wszyscy zaś dobrze wiedzą, że pani nie może zapłacić. Nie wiem jeszcze, kto ma chrapkę na majątek. Nie mogłem się dowiedzieć. Zdaje mi się jednak, że ten podlec Hilton, który ożenił się z panną Kasią, wie, kto to taki, bo śmiał się złośliwie, kiedy go ciągnąłem za język.

Will siadł na kanapie i zaczął sobie rozcierać kikut nogi. Bolała go podczas mrozu, tym bardziej że kula ani nie była należycie dopasowana, ani wygodna. Scarlett patrzyła na niego w otępieniu. Tak obojętnie wydał wyrok śmierci na Tarę... Tara miałaby zostać sprzedana z licytacji? A gdzie się oni wszyscy podzieją? Tara miałaby należeć do kogoś innego? Nie, to było nie do pomyślenia!

Scarlett była tak pochłonięta pracą nad zwiększeniem wydajności majątku, że mało zwracała uwagi na to, co się dzieje w świecie otaczającym. Teraz, kiedy Will i Ashley jeździli za interesami do Jonesboro i Fayetteville, rzadko opuszczała plantację. I podobnie jak przed wojną słuchała opowiadań ojca jednym tylko uchem, tak teraz mało przywiązywała wagi do rozmów Willa z Ashleyem przy stole po kolacji — na temat początków rekonstrukcji.

Och, pewnie nie wiedziała o łajdakach południowcach, którzy dla kariery stali się republikanami — i Jankesach spod ciemnej gwiazdy, którzy po kapitulacji spadli na Południe jak sępy, że wszystkimi ruchomościami w jednej torbie podróżnej. Miała już kilka nieprzyjemnych doświadczeń z Biurem Wyzwoleńców. Wiedziała także, że niektórzy z wolnych Murzynów stali się bardzo zuchwali. W tę ostatnią zmianę ledwie mogła uwierzyć, bo nigdy dotąd nie widziała zuchwałego Murzyna.

Wiele jednak było spraw, które Will i Ashley starali się przed nią ukrywać. Po zmorze wojennej nastąpiła straszniejsza jeszcze zmora rekonstrukcji, obaj mężczyźni umówili się więc, aby o groźniejszych jej stronach w domu nie wspominać. W rzadkich chwilach, gdy Scarlett przysłuchiwała się ich rozmowom, słowa ich wchodziły jej w jedno ucho, a wychodziły drugim.

Słyszała, jak Ashley mówił, że Południe zaczęto traktować jak zdobytą prowincją i że mściwość kierowała polityką zwycięzców. Tego rodzaju twierdzenie nic jednak Scarlett nie mówiło. Polityka była sprawą mężczyzn. Słyszała, jak Will mówił, że Północ jakby umyślnie nie dopuszczała, aby Południe znowu stanęło na nogach. Ach, myślała Scarlett, mężczyźni zawsze muszą się kłopotać jakimiś głupstwami. Jeżeli o nią chodzi, to nie dała się Jankesom, nie da się więc i tym razem. Trzeba pracować, ile sił, i nie troszczyć się o jankeskie rządy. Ostatecznie — wojna już się skończyła.

Scarlett nie zdawała sobie sprawy, że wszystkie dawniej obowiązujące zasady przebrzmiały i że za uczciwą pracę nie otrzymuje się już nagrody. W Georgii wprowadzono właściwie stan wojenny. Garnizony jankeskie były rozsiane po całej okolicy, Biuro Wyzwoleńców rządziło wszystkim i wydawało rozporządzenia, jakie mu były na rękę.

Biuro to, zorganizowane przez rząd federalny celem opieki nad bezczynnymi i podnieconymi eks-niewolnikami, ściągało ich całymi tysiącami z plantacji do miast i miasteczek. Żywiło ich, ponieważ próżnowali, i buntowało przeciw poprzednim właścicielom. Dawny rządca Geralda, Jonasz Wilkerson, stał na czele miejscowego biura powiatowego, pomocnikiem zaś jego był Hilton, mąż Kasi Calvert. We dwóch chytrze rozsiewali wiadomości, że południowcy i demokraci czekają tylko na sposobność, aby Murzynom znowu odebrać wolność, że więc jedyną ich nadzieją jest opieka, jaką im zapewnia Biuro i partia republikańska.

Wilkerson i Hilton wmawiali ponadto Murzynom, że pod żadnym względem nie są gorsi od białych, że wkrótce dozwolone zostaną małżeństwa między Murzynami i białymi, wkrótce majątki ich poprzednich właścicieli zostaną rozparcelowane, a każdy Murzyn dostanie czterdzieści akrów ziemi i własnego muła. Podniecali wyobraźnię czarnych opowieściami o rzekomych okrucieństwach białych; w kraju, słynącym dotąd z serdecznych stosunków między niewolnikami i ich panami, zaczęła się krzewić nienawiść i podejrzliwość.

Działalność Biura popierana była przez żołnierzy, a władze wojskowe wydawały wiele sprzecznych zarządzeń dotyczących postępowania wobec zwyciężonych. Za sprzeciwianie się urzędnikom Biura można się było dostać do więzienia. Władze wojskowe ustalały program nauki w szkołach i przepisy sanitarne, decydowały o rodzaju guzików na marynarkach, sprzedaży produktów i prawie wszystkim poza tym. Wilkersonowi i Hiltonowi wolno było wtrącać się do wszystkich transakcji Scarlett, wolno im było wyznaczać cenę na wszystko, co chciała sprzedać.

Szczęściem, Scarlett rzadko się z nimi stykała, ponieważ Will przekonał ją, że lepiej będzie, jak jemu pozostawi sprzedaż, a sama zajmie się prowadzeniem plantacji. Z wrodzoną sobie łagodnością i spokojem Will zapobiegł już wielu trudnościom nic o tym Scarlett nie mówiąc. Kiedy było potrzeba, umiał się doskonale porozumieć z Jankesami, teraz jednak wyłonił się problem, którego sam nie mógł rozstrzygnąć. Dodatkowy wymiar podatku i niebezpieczeństwo utraty Tary były sprawami, o których Scarlett powinna była wiedzieć — i to czym prędzej. Patrzyła na niego płonącym wzrokiem.

— Ach, niechże diabli wezmą tych Jankesów! — zawołała. — Czy nie dość im, że nas zwyciężyli i zrujnowali? Jeszcze muszą wypuszczać na nas tych łotrów?!

Wojna minęła, zapanował pokój, a mimo to Jankesi mogli ją obrabować, skazać na głód, wypędzić z domu. Głupia była myśląc w ciągu tych trudnych miesięcy, że wszystko będzie dobrze, jeżeli tylko wytrzyma do wiosny. Straszna nowina, przyniesiona przez Willa teraz, po roku ciężkiej pracy i zawiedzionych nadziei, przepełniła miarę jej wytrzymałości.

— Och, Will, a ja myślałam, że kłopoty nasze skończyły się wraz z wojną!

— Nie, proszę pani — Will zwrócił ku niej szeroką twarz wieśniaka i spojrzał na nią poważnie. — Zaczynają się dopiero.

— Ile żądają od nas za podatki?

— Trzysta dolarów.

Zaniemówiła na chwilę. Trzysta dolarów! Równie dobrze mogliby zażądać trzy miliony.

— Ależ — zaczęła — no to... no to... będziemy się musieli postarać skądsiś o trzysta dolarów.

— Tak, tak, i o kilka gwiazdek z nieba...

— Och, Will! Przecież nie mogą chyba sprzedać Tary. Ależ...

Łagodne, jasne, oczy Willa wyrażały nienawiść i gorycz, o jaką by go Scarlett nigdy nie posądzała.

— Ach, rzeczywiście? Nie mogą? A właśnie że mogą i zrobiliby to z wielką przyjemnością! Miss Scarlett, cały kraj idzie do diabła, jeżeli wolno tak powiedzieć. Jankescy karierowicze mogą głosować, a większość nas, demokratów — nie. Nie mogą głosować ci demokraci, którym za sześćdziesiąty piąty rok wymierzono podatki większe niż dwa tysiące dolarów. To wyłączy ludzi takich jak ojciec pani, pan Tarleton, panowie McRea i Fontaine. Nie mogą głosować pułkownicy i mężczyźni, którzy byli na wojnie — a, Miss Scarlett, założę się, że w stanie naszym jest więcej pułkowników niż w którymkolwiek innym na Południu. Nie mogą głosować urzędnicy, mianowani przez rząd Konfederacji — i to wyłącza wszystkich, od notariuszy począwszy, a kończąc na sędziach. Faktycznie, Jankesi tak wymyślili tę przysięgę amnestyjną, że nie wolno głosować nikomu, kto miał jakieś stanowisko przed wojną. Ani ludziom zamożnym, ani ludziom przyzwoitym! Pewnie! Ja mógłbym głosować, gdybym złożył tę przeklętą przysięgę. Nie miałem pieniędzy w sześćdziesiątym piątym roku i nie byłem pułkownikiem ani niczym ważnym. Nie mam jednak zamiaru przysięgać. Najmniejszego zamiaru! Gdyby Jankesi postępowali sprawiedliwie, złożyłbym przysięgę, ale teraz nie mogę. Pozwoliłem się przyłączyć do Unii, ale rekonstrukcji popierać nie będę. Nie złożę tej przysięgi, choćbym na zawsze stracił prawo głosu... Za to śmiecie jak Hilton, dranie jak Jonasz Wilkerson, biedni biali jak Slattery'owie i ludzie bez znaczenia jak Maclntoshowie — ci mogą głosować. I ci teraz rej wodzą. I choćby zechcieli dwadzieścia razy brać od pani podatki — mogą to zrobić. Tak samo Murzyn może teraz zabić białego i nie zostanie za to powieszony albo... — Przerwał z zakłopotaniem; oboje przypomnieli sobie, co się zdarzyło pewnej białej kobiecie na samotnej fermie pod Lovejoy... — Ta czarna hołota może się teraz na nas mścić, a Biuro Wyzwoleńców i wojsko będą ich jeszcze popierali, my zaś nie możemy głosować ani nic na to poradzić.

— Głosować! — zawołała. — Głosować! Co u licha ma głosowanie, wspólnego z tym wszystkim, Will? Rozmawialiśmy przecież o podatkach... Will, wszyscy wiedzą, jaką dobrą plantacją jest Tara. Na zapłacenie podatków obciążymy hipotekę, jeżeli będzie trzeba.

— Miss Scarlett, jest pani bardzo rozumna, ale czasem mówi pani jak dziecko. Kto ma teraz pieniądze na pożyczkę hipoteczną? Kto, poza przybyszami jankeskimi, którzy właśnie chcą pani Tarę odebrać? Wszyscy mają tylko ziemię. Ziemia nic nie jest warta.

— Mam kolczyki brylantowe po tym Jankesie. Można by je sprzedać!

— Miss Scarlett, a któż ma pieniądze na kupowanie kolczyków? Ludzie nie mają pieniędzy na mięso, co dopiero na świecidełka.

Pani ma dziesięć dolarów w złocie, to z pewnością więcej, niż mają inni ludzie w powiecie.

Znowu zamilkł. Scarlett miała wrażenie, jak gdyby głową biła o mur. Tyle już wokół niej potworzyło się w ciągu ostatniego roku murów nie do przebicia!

— Co zrobimy, Miss Scarlett?

— Nie wiem — odpowiedziała tępo i obojętnie.

Ten nowy kłopot przepełnił miarę. Poczuła nagle niezmierne zmęczenie. Dlaczego miała tak ciężko pracować, walczyć i wyniszczać się? Rezultatem każdego wysiłku była tylko nowa klęska.

— Nie wiem — powiedziała. — Niech pan nic nie mówi ojcu. Nie trzeba go martwić.

— Nie powiem.

— Czy powiedział pan już komuś o tym?

— Nie, przyszedłem wprost do pani.

Tak, pomyślała, że złymi wiadomościami każdy przychodzi wprost do niej — i to także już ją zmęczyło.

— Gdzie jest pan Wilkes? Może on mi coś poradzi.

Will zwrócił na nią łagodne spojrzenie. Poczuła, jak w dniu powrotu Ashleya, że domyślał się wszystkiego.

— Rąbie drzewo w sadzie. Słyszałem, gdy odstawiałem konia. Ale pan Wilkes tak samo jak my nie ma pieniędzy.

— Ale wolno mi chyba z nim porozmawiać, jeżeli mam chęć, prawda? — warknęła zrywając się na nogi i zrzucając że stóp kawałki kołdry.

Will nie obraził się wcale i dalej rozcierał sobie ręce przed ogniem. — Niech pani weźmie chustkę, Miss Scarlett. Zimno na dworze.

Poszła jednak bez chustki, bo nie miała jej że sobą na dole, a nie chciała czekać ani chwili, by podzielić się z Ashleyem swymi kłopotami.

Jakby to było dobrze, gdyby go mogła zastać samego! Od chwili jego powrotu ani razu nie zdołała zamienić z nim słowa na osobności. Rodzina ciągle kręciła się koło niego. Melania stale była u jego boku dotykając raz po raz jego rękawa, by przekonać się, czy rzeczywiście jest przy niej. Widok tego czułego gestu budził w Scarlett całą zazdrość, która w niej przygasła w ciągu miesięcy

zżywania się z myślą o śmierci Ashleya. Teraz jednak postanowiła rozmówić się z nim sam na sam. Nie pozwoli nikomu przeszkodzić.

Szła przez sad pod nagimi konarami drzew, a wilgotne chwasty moczyły jej stopy. Słyszała z daleka uderzenia siekiery, którą Ashley łupał na paliki pnie drzew, przywleczone z moczarów. Odbudowywanie płotów, które Jankesi tak beztrosko spalili, było ciężkim i żmudnym zadaniem. Wszystko było ciężkim i żmudnym zadaniem, myślała posępnie; zmęczona tym była, śmiertelnie zmęczona. Gdyby Ashley był mężem jej, a nie Melanii, przyjemnie byłaby iść teraz do niego, złożyć mu głowę na ramieniu, wypłakać się i zrzucić na niego wszystkie troski, aby zaradził im, jak może najlepiej.

Minęła kępę granatów, których gałęzie drżały na zimnym wietrze i zobaczyła Ashleya: opierał się na siekierze i wierzchem dłoni ocierał pot z czoła. Nosił resztki tabaczkowych spodni i koszulę Geralda, w dobrych czasach noszoną tylko na sesje sądowe i pikniki — plisowaną, o wiele na niego za krótką. Marynarkę zawiesił na gałęzi, bo przy pracy było mu w niej za gorąco, i gdy Scarlett szła w jego stronę, odpoczywał stojąc.

Na widok Ashleya w łachmanach, z siekierą w dłoni, serce jej zabiło nagłym przypływem miłości i oburzenia na zły los. Nie mogła patrzeć, jak ciężko musi pracować jej łagodny, wytworny Ashley. Ręce jego nie były stworzone do pracy ani ciało do ordynarnej odzieży. Bóg chciał, aby mieszkał w wielkim domu, rozmawiał z przyjemnymi ludźmi, grał na fortepianie i pisał rzeczy, które brzmiały pięknie i wcale nie miały sensu.

Mogła znieść widok własnego dziecka w fartuszkach że starych worków czy sióstr w starych spłowiałych sukniach z flory, nie buntowała się, że Will pracuje ciężej niż dawniej fornal — na widok Ashleya krajało jej się serce. Był na to wszystko zbyt delikatny, zbyt drogi jej sercu. Wolałaby sama rąbać drzewo niż patrzeć, jak on to robi.

— Podobno Abraham Lincoln zaczął swoją karierę od rąbania drzewa — powiedział, kiedy się zbliżyła do niego. — Pomyśl, jaka mnie jeszcze przyszłość czeka!

Zmarszczyła brwi. Zawsze z podobną ironią traktował ich nędzę. Dla niej sprawy te były śmiertelnie poważne, czasem więc była prawie zirytowana jego uwagami.

Bez wstępów powiedziała mu o złych nowinach, zwięźle i krótko, odczuwając pewną ulgę, że może mu się zwierzyć. Nie ulegało wątpliwości, że Ashley da jej jakąś dobrą radę. Nie powiedział nic, ale widząc, że Scarlett drży z zimna, zarzucił jej marynarkę na ramiona.

— Czy nie uważasz — powiedziała na zakończenie — że trzeba się postarać w jakiś sposób o pieniądze?

— Tak — odrzekł — ale gdzie?

— O to właśnie pytam — odparła z niezadowoleniem. Uczucie ulgi, że podzieliła się z kimś zmartwieniem, rozwiało się teraz. Dlaczego Ashley nie powiedział przynajmniej: — Och, jakże mi przykro.

Uśmiechnął się.

— W ciągu tych kilku miesięcy po powrocie do domu słyszałem tylko o jednym człowieku, który ma teraz pieniądze. Jest to Rett Butler — powiedział.

Ciotka Pitty pisała przed tygodniem do Melanii, że Rett wrócił do Atlanty, że miał powóz z dwoma pięknymi końmi i kieszenie pełne zielonych dolarów. Dawała jednakże do zrozumienia, że do pieniędzy nie doszedł uczciwą drogą. Ciotka Pitty podejrzewała, łącznie z połową Atlanty, że Rettowi udało się zdobyć legendarne miliony skarbu Konfederacji.

— Lepiej o nim nie mówmy — rzekła Scarlett krótko. — To wstrętny łajdak. Co będzie z nami?

Ashley odłożył siekierę. Spojrzeniem powędrował gdzieś daleko, dokąd Scarlett nie mogła za nim podążyć.

— Właśnie nad tym myślę — powiedział. — Myślę nie tylko o tym, co stanie się z nami w Tarze, ale i o tym, co stanie się z całym Południem.

Miała ochotę niegrzecznie wybuchnąć: „Niech licho porwie całe Południe! Co z nami będzie?”, nic jednak nie powiedziała, bo znowu ogarnęło ją uczucie zmęczenia. Ashley wcale nie okazywał się pomocny.

— W końcu stanie się z nami to, co zdarza się zawsze, ilekroć upada jakaś cywilizacja. Przebiją się ludzie, którzy mają rozum i odwagę, słabi zaś zostaną skazani na zagładę. Mamy przynajmniej tę pociechę, że jesteśmy świadkami „Gotterdammerung”' — co może jest niewygodne, ale bardzo interesujące.

— Świadkami czego?

— Zmierzchu bogów. Na nieszczęście bowiem nam, ludziom Południa, wydawało się, że jesteśmy bogom równi.

— Na miłość boską, Ashleyu! Nie stój tutaj i nie mów jakichś nonsensów teraz, kiedy to nam właśnie grozi zagłada!

Rozpacz w jej głosie wreszcie doszła jakoś do jego świadomości, bo jakby oprzytomniał, podniósł z czułością jej ręce i odwracając je dłonią do góry popatrzył na odciski na nich.

— To najpiękniejsze ręce, jakie znam — powiedział i pocałował każdą po kolei. — Piękne są, bo mocne, a każdy odcisk, Scarlett, jest orderem, każde zgrubienie odznaką za odwagę i poświęcenie. Zniszczyłaś je pracą na nas wszystkich — na ojca, dziewczęta, Melanię, dziecko, na Murzynów i na mnie. Droga Scarlett, wiem, co myślisz w tej chwili: „Mam przed sobą nieżyciowego głupca, który gada bzdury o zmarłych bogach, gdy żywym ludziom grozi niebezpieczeństwo”. Czy prawda?

Skinęła głową, modląc się w duchu, aby zawsze trzymał jej dłonie w swoich, on jednak opuścił je po chwili.

— Przyszłaś tu do mnie w nadziei, że ci pomogę. Niestety, nic ci pomóc nie mogę.

Spojrzenie jego było pełne goryczy, gdy patrzył na siekierę i stertę drzewa.

— Nie mam domu ani pieniędzy, do których tak przywykłem, że nie przywiązywałem już do nich żadnej wagi. I do niczego się w tym świecie nie nadaję, a świat, w którym miałem swoje miejsce, przeminął na zawsze. Mogę ci tylko w ten sposób pomagać, Scarlett, że nauczę się w końcu być marnym rolnikiem. A to nie utrzyma Tary. Czy przypuszczasz, że nie zdaję sobie sprawy z naszej sytuacji, z tego, że żyjemy z twojej łaski... O, tak, Scarlett, z twojej łaski. Nigdy nie potrafię ci tego odpłacić, co z dobroci serca zrobiłaś dla mnie i dla mojej rodziny. Z każdym dniem uświadamiam to sobie coraz ostrzej. I co dzień widzę wyraźniej, jak bezsilny jestem w obliczu tego, co nas wszystkich spotkało... Moje przeklęte uciekanie od rzeczywistości sprawia, że co dzień trudniej mi oswoić się z nową rzeczywistością. Czy rozumiesz, co mam na myśli?

Skinęła głową. Niezupełnie jasno rozumiała, słuchała jednak słów jego w napięciu. Po raz pierwszy mówił jej o tym, co myślał w chwilach, gdy wydawał się tak od niej daleki. Tak ją to podnieciło jak uchylenie rąbka jakiejś tajemnicy.

— To przekleństwo — ta niechęć patrzenia na nagą rzeczywistość. Przed wojną życie było dla mnie równie nierealne jak gra cieniów na firance. Takim je kochałem. Nie lubię, gdy zarysy przedmiotów są zbyt wyraźne. Wolę, gdy są zamazane, mgliste.

Przerwał i uśmiechnął się lekko, drżąc trochę, bo wiatr przejął go zimnem.

— Innymi słowy, Scarlett, jestem tchórzem.

Słowa jego o grze cieniów i zamglonych konturach nic jej nie mówiły, ostatnie zdanie jednak powiedział w języku całkowicie zrozumiałym. Wiedziała, że mija się z prawdą. W Ashleyu nie było cienia tchórzostwa. Był potomkiem odważnych i mężnych ludzi, a czyny jego na wojnie Scarlett znała na pamięć.

— Ależ to nieprawda! Czy tchórz wdrapałby się na armatę pod Gettysburgiem i zebrał wkoło siebie ludzi? Czy głównodowodzący napisałby do Melanii list sławiący tchórza?

— To nie jest odwaga — powiedział Ashley wolno. — Walka jest jak szampan. Uderza równie szybko do głowy tchórza jak bohatera. Każdy dureń może być odważny na polu bitwy, bo ma do wyboru albo męstwo, albo śmierć. Mówiłem nie o tym. Moje tchórzostwo jest stokroć gorsze, chociaż nie uciekałem z pola bitwy.

Słowa jego płynęły wolno i z trudem, jak gdyby bolało go mówienie: wydawało się, że z bólem w sercu przygląda się z daleka temu, co powiedział. Gdyby to kto inny tak mówił, Scarlett słowa te przyjęłaby z pogardą jako dowód fałszywej skromności czy wezwanie do pochwał. Ashley jednak mówił z przekonaniem; w oczach miał dziwny wyraz — nie strachu, nie samoobrony — ale cierpienia, które było nieuniknione i ponad siły. Mroźny wiatr powiał po wilgotnych stopach Scarlett. Znowu zadrżała, mniej jednak z zimna niż z obawy, którą wywołały, jego słowa.

— Ale, Ashleyu, czegóż ty się boisz?

— Och, rzeczy nie nazwanych. Rzeczy, które wydają się błahe, kiedy ubrać je w słowa. Najwięcej chyba tego, że życie stało się nagle zbyt realne, że musiałem wejść w osobisty, zbyt osobisty kontakt z najprostszymi jego sprawami. Nie znaczy to, abym niechętnie rąbał tutaj drwa na błocie — przykre mi są okoliczności, które mnie do tego zmuszają. Żal mi piękna dawnego życia, które kochałem. Scarlett, przed wojną życie było piękne. Było czarujące, doskonałe, pełne i harmonijne jak grecka sztuka. Możliwe, że nic dla wszystkich było takie. Wiem to teraz. Dla mnie jednak, który mieszkałem w Dwunastu Dębach, istnienie było naprawdę piękne Należałem do tamtego życia. Stanowiłem jego część. Teraz zaś, gdy minęło, do nowego życia nie mogę się przystosować i bardzo się boję. Teraz wiem, że dawniej przyglądałem się z ciekawością tylko grze cieniów. Unikałem wszystkiego, co nie było mgliste, ludzi i sytuacji, które były zbyt realne, zbyt żywotne. Nie lubiłem, gdy mi przeszkadzały. Starałem się i ciebie unikać, Scarlett. Byłaś zbyt pełna życia i zbyt prawdziwa, ja zaś byłem tak wielkim tchórzem, że wolałem cienie i marzenia.

— Ale... przecież... Mela?

— Mela jest częścią moich marzeń, najsłodszym snem. I gdyby nie wojna, przeżyłbym życie zakopany w Dwunastu Dębach, z zadowoleniem przyglądając się mijaniu dni i nigdy nie biorąc w niczym czynnego udziału. Kiedy jednak wybuchła wojna, uderzyło we mnie życie prawdziwe. W pierwszym moim boju — było to pod Bull Run, pamiętasz? — widziałem moich przyjaciół z dzieciństwa rozdzieranych na sztuki, słyszałem rżenie zdychających koni i poznałem, jak straszne, obezwładniające jest uczucie, że ludzie chwieją się i plują krwią, kiedy do nich strzelam. To jednak nie była najgorsza strona wojny, Scarlett. Najgorzej było z ludźmi, z którymi musiałem żyć. Przez całe swoje życie chroniłem się przed ludźmi, starannie dobierałem sobie nielicznych przyjaciół Wojna jednak nauczyła mnie, że stworzyłem sobie świat sztuczny, zapełniony marami zamiast ludzi. Nauczyła mnie, jacy są ludzie naprawdę, ale nie nauczyła mnie, jak z nimi żyć. Obawiam się, że tego się nigdy nie nauczę. Wiem teraz, że aby utrzymać żonę i dziecko, będę musiał torować sobie drogę w świecie pełnym istot, z którymi nie mam nic wspólnego. Ty, Scarlett, bierzesz życie za rogi i poddajesz je swojej woli. Gdzie jest jednak moje miejsce w tym świecie? Powiadam ci, że się boję...

Jak długo brzmiał jego cichy, dźwięczny głos, drgający uczuciami, których nie mogła zrozumieć, Scarlett czepiała się tu i ówdzie słów, starając się pochwycić ich sens. Słowa te jednak wyrywały jej się z rąk jak dzikie ptaki. Ashleya gnało coś, gnało jak ościeniem, nie mogła jednak zrozumieć, co to było.

— Scarlett, nie wiem dokładnie, kiedy po raz pierwszy zrozumiałem, że własny mój, przeze mnie samego stworzony teatr cieniów skończył się na zawsze. Było to może w pierwszych pięciu minutach pod Bull Run, gdy zobaczyłem, jak pierwszy zabity przeze mnie człowiek pada na ziemię. Pojąłem wtedy, że przeszłość minęła i że odtąd już nie będę mógł być widzem. Nagle ja sam wszedłem na scenę, upozowany jak aktor i czyniący błahe gesty. Mój mały światek wewnętrzny runął pod wpływem najazdu ludzi, których myśli nie były moimi, a czyny były tak obce jak czyny Hotentotów. Zdeptali mi mój świat pobłoconymi nogami i nie zostawili miejsca, odzie mógłbym się schronić, gdy rzeczy stawały się nie do zniesienia. Podczas pobytu w więzieniu myślałem: gdy skończy się wojna, wrócę do dawnego życia i dawnych marzeń i znowu będę się przyglądał grze cieniów. Niestety, Scarlett, powrotu już nie ma. To zaś, co nas czeka, gorsze jest od wojny i gorsze od więzienia — dla mnie zaś —gorsze od śmierci... Tak więc, Scarlett, zostałem bardzo ukarany za to, że się boję.

— Ależ, Ashleyu... — zaczęła zaplątana w labirynt sprzecznych, myśli — jeżeli boisz się nędzy i głodu, to... to... Och, Ashleyu, jakoś sobie poradzimy! Pewna tego jestem!

Na chwilę oczy jego spoczęły na niej, wielkie i szare jak kryształy, i odmalował się w nich podziw. Potem nagle stały się znów dalekie i Scarlett z ciężkim sercem poczuła, że Ashley nie myślał wcale o nędzy. Mówili że sobą zawsze jak ludzie nie mający wspólnego języka. Tak bardzo go jednak kochała, że kiedy stawał się daleki, jak teraz, wydawało jej się, jak gdyby słońce zasnuło się chmurami i nastał chłodny od rosy zmierzch. Miała chęć wziąć go za ramiona i przyciągnąć do siebie, aby zrozumiał, że jest z krwi i ciała, że nie jest zjawą, o której czytał czy marzył. Gdybyż mogła znowu poczuć się tak z nim zespolona jak w tym odległym dniu, gdy wrócił z Europy, stał na schodkach Tary i uśmiechał się do niej.

— Nędza nie jest przyjemna — powiedział. — Wiem, bo sam cierpiałem głód, ale nie tego się boję. Boję się zetknięcia z życiem nie posiadającym leniwej urody dawnego świata, który już minął.

Scarlett pomyślała z rozpaczą, że Melania pewnie by rozumiała, co miał na myśli. Mela i on stale rozmawiali o takich głupstwach — o marzeniach, poezji, książkach, promieniach księżyca i gwieździstym pyle. Ashley wcale nie tego się bał, co ona, nie bał się kurczów pustego żołądka ani ostrych zimowych wiatrów, ani zlicytowania Tary. Męczył go lęk, jakiego nie znała i nie mogła sobie wyobrazić. Bo, na miłość boską, czegóż można się było jeszcze bać w tym zrujnowanym świecie, jeśli nie głodu, zimna czy utraty domu?

A myślała, że jeżeli będzie mu się przysłuchiwała uważnie, potrafi go zrozumieć.

— Och! — powiedziała z rozczarowaniem w głosie, jak dziecko, które otworzyło pięknie zapakowaną paczkę i przekonało się, że jest pusta. Słysząc to westchnienie Ashley uśmiechnął się że skruchą.

— Wybacz mi, Scarlett, że tak mówiłem. Nie mogę ci tego wytłumaczyć, bo ty nie wiesz, co to strach. Masz serce lwicy i brak ci zupełnie wyobraźni, ja zaś zazdroszczę ci obu tych cech. Ty potrafisz stawić czoła rzeczywistości i nigdy nie będziesz chciała od niej uciec jak ja.

— Uciec!

Wydało jej się, jak gdyby było to pierwsze zrozumiałe słowo. Ashley był jak ona zmęczony walką i pragnął uciec. Zaczęła szybciej oddychać.

— Och, Ashleyu — zawołała — mylisz się bardzo: Ja także chciałabym uciec. Tak bardzo jestem tym wszystkim zmęczona!

Brwi jego podniosły się z niedowierzaniem, położyła mu więc na ramieniu dłoń, z naciskiem i gorączkowym niepokojem.

— Wysłuchaj mnie — zaczęła mówić nerwowo i szybko. — Mam dość tego wszystkiego, zapewniam cię. Czuję zmęczenie i nie chcę dłużej tego wszystkiego znosić. Walczyłam o żywność i pieniądze, pełłam, gracowałam, zbierałam bawełnę i nawet orałam — ale teraz nie zniosę tego ani chwili dłużej. Mówię ci, Ashleyu, Południe przestało już istnieć! Nie istnieje! Rządzą nim Jankesi, wyzwoleni Murzyni i karierowicze, dla nas nie zostało nic. Ashleyu, ucieknijmy razem!

Popatrzył na nią bystro i pochylił głowę, aby lepiej przyjrzeć się jej twarzy, teraz rozgorzałej ogniem.

— Tak, ucieknijmy — zostawmy ich wszystkich! Zmęczona jestem pracą na innych. Już oni dadzą sobie jakoś radę. Zawsze się w końcu znajdzie ktoś, kto zaopiekuje się ludźmi, którzy nie mogą sobie sami poradzić. Och, Ashleyu, proszę cię, ucieknijmy razem, ty i ja! Moglibyśmy dostać się do Meksyku — tam poszukują oficerów do armii — bylibyśmy tam bardzo szczęśliwi. Będę pracowała na ciebie, Ashleyu? Dla ciebie gotowam zrobić wszystko. Wiesz przecież dobrze, że nie kochasz Melanii...

Chciał coś powiedział, na twarzy jego malował się ból, Scarlett jednak powstrzymała jego słowa potokiem słów własnych.

— Powiedziałeś mi, że mnie kochasz więcej niż ją, tego dnia och, ty dobrze pamiętasz ten dzień! Ja wiem, żeś się nie zmienił! Czuję, żeś się nie zmienił! Zresztą dopiero przed chwilą powiedziałeś, że ona jest tylko marzeniem... Och, Ashleyu, ucieknijmy razem! Uczynię cię tak szczęśliwym! Poza tym zaś — dodała jadowicie — Melania nie może, doktor Fontaine powiedział, że nie będzie już miała więcej dzieci, ja zaś mogłabym ci dać...

Wziął ją za ramiona tak mocno, że aż ją to zabolało. Przerwała bez tchu.

— Mieliśmy zapomnieć o owym dniu w Dwunastu Dębach.

— Czy przypuszczasz, że mogłabym o nim kiedykolwiek zapomnieć? Czy ty zapomniałeś? Czy możesz uczciwie powiedzieć, że mnie nie kochasz?

Westchnął głęboko i szybko odpowiedział:

— Nie. Nie kocham cię.

— To kłamstwo!

— Nawet jeżeli kłamstwo — rzekł Ashley że śmiertelnym spokojem — to nie będziemy o tym dyskutować.

— Chcesz więc powiedzieć...

— Czy doprawdy przypuszczasz, że mógłbym odejść sobie i opuścić Melanię i dziecko, choćbym ich nawet nienawidził? Że mógłbym złamać serce Melanii? Pozostawić oboje na łasce przyjaciół? Scarlett, czyś ty oszalała? Czy nie masz w sobie ani krzty lojalności? Nie możesz opuścić ojca i sióstr. Jesteś za nich odpowiedzialna, podobnie jak ja za Melanię i Beau, i czy zmęczona jesteś, czy nie, oni domagają się swego i ty musisz to znosić.

— A właśnie, że mogłabym ich opuścić, mam ich dość, dość! Braknie mi sił...

Pochylił się ku niej. Przez chwilę z drżeniem serca myślała, że weźmie ją w objęcia. Zamiast tego jednak poklepał ją po ramieniu i przemówił jak do dziecka, które grymasi.

— Wiem, że braknie ci sił. Dlatego tak mówisz. Dźwigałaś na sobie brzemię trzech mężczyzn. Teraz ja będę ci pomagał, nie zawsze przecież będę taki niezdarny...

— Możesz mi pomóc tylko w jeden sposób — powiedziała tępo — zabierając mnie stąd w jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli wszystko zacząć od nowa i być szczęśliwi. Nic nas tutaj nie trzyma.

— Nic — powiedział spokojnie — nic... z wyjątkiem honoru. Popatrzyła na niego że zdumieniem, z tęsknotą, i jak gdyby po raz pierwszy zauważyła, że półksiężyce jego rzęs mają złoty kolor dojrzałego zboża, że głowa jego jest dumnie osadzona na szyi i że szczupłe, wyprostowane ciało tchnie godnością i wykwintem, choć przyodziane jest w śmieszne łachmany. Spojrzenia ich spotkały się, w jej oczach malowała się prośba, jego oczy były dalekie jak górskie jeziora, odbijające chmurne niebo.

Wyczytała z nich potępienie szalonych marzeń i dzikich pragnień.

Znowu ogarnęło ją zmęczenie i poczucie klęski, zakryła więc twarz dłońmi i zaczęła płakać. Ashley nigdy dotąd nie był świadkiem jej łez. Nigdy nie przypuszczał, aby kobiety z tak mocnej gliny ulepione kiedykolwiek płakały, zalała go więc fala czułości i żalu. Podszedł do niej szybko i po chwili trzymał ją w ramionach, tuląc ją, pocieszając, przyciskając jej ciemną głowę do swego serca i szepcząc: — Najmilsza moja, odważna dziewczyno!... Nie płacz! Nie powinnaś płakać!

Poczuł, że zmieniła się pod jego dotknięciem. W szczupłe jej ciało wstąpiła rozkosz i szaleństwo, wpatrzone w niego zielone oczy napełniły się żarem. W jednej chwili znikła ponura zimowa rzeczywistość. Wydało się Ashleyowi, że wróciła wiosna, na wpół zapomniana wonna wiosna zielonych szelestów i szeptów, wiosna lenistwa, wczasów i dni beztroskich, gdy pragnienia młodości grały mu w żyłach. Lata goryczy gdzieś przepadły. Spostrzegł nagle, że zwrócone ku niemu usta są czerwone, że drżą... Pocałował je.

W uszach Scarlett zabrzmiał dziwny szum, jak gdyby przyłożyła do nich muszle morskie, poprzez szum zaś słyszała niewyraźnie szybkie walenie swego serca. Ciało jej zdawało się zlewać z jego ciałem; przez nieskończoną chwilę stali stopieni razem, a wargi jego brały chciwie jej wargi, jak gdyby nie mógł się nacieszyć pocałunkami.

Kiedy ją nagle puścił, poczuła, że nie ustoi sama, oparła się więc o płot. Podniosła na niego oczy płonące miłością i tryumfem.

— Kochasz mnie! Kochasz mnie! Powiedz to, wyznaj!

Dłonie jego ciągle jeszcze spoczywały na jej ramionach; czuła, że drżą, i wielbiła to drżenie. Pochyliła się ku niemu namiętnie, on jednak trzymał ją z daleka od siebie i patrzył na nią oczyma, z których uleciała wszelka obcość — oczyma rozdartymi walką i rozpaczą.

— Przestań! — powiedział. — Przestań! Jeżeli nie przestaniesz, wezmę cię teraz, tutaj.

Uśmiechnęła się radosnym, gorącym uśmiechem, który wyrażał zapomnienie o czasie i przestrzeni, i tylko wspomnienie ust jego na jej ustach.

Naraz Ashley potrząsnął nią tak mocno, że włosy rozsypały jej się po ramionach; potrząsał jak we wściekłej pasji na nią i na samego siebie.

— Nie zrobimy tego! — rzekł. — Powiadam ci, że tego nie zrobimy!

Miała wrażenie, że szyja jej odpadnie, jeżeli Ashley nie przestanie nią potrząsać. Włosy spadały jej na oczy i teraz przerażona była gwałtownością Ashleya. Wyrwała mu się i popatrzyła na niego w zdumieniu. Na czoło wystąpiły mu małe kropelki potu, pięści miał zaciśnięte kurczowo jak w szalonym bólu. Patrzył jej prosto w twarz, przeszywał szarymi oczyma.

— To moja wina, a nie twoja, ale nie powtórzy to się nigdy więcej, bo teraz zabiorę stąd Melanię i dziecko i odejdę.

— Odejdziesz? — wykrzyknęła z rozpaczą. — Ach, nie!

— Tak, klnę się Bogiem! Czy przypuszczasz, że mógłbym tu teraz pozostać? Gdyby to się miało powtórzyć...

— Ale Ashleyu, ty nie możesz odejść. Dlaczegobyś to miał zrobić? Kochasz mnie...

— Chcesz koniecznie, abym to powiedział? Dobrze, powiem więc. Kocham cię.

Pochylił się nad nią z tak niespodziewaną gwałtownością, że musiała się cofnąć ku płotowi.

— Kochani ciebie, odwagę twoją i upór, namiętność i zupełną bezwzględność. A jak cię kocham? Tak bardzo, że przed chwilą gotów byłem podeptać gościnność domu, który stał się schronieniem dla mnie i mojej rodziny, gotów byłem zapomnieć o najlepszej żonie, jaką może sobie mężczyzna wymarzyć... i wziąć cię tu, w tym błocie, jak...

Walczyła z chaosem myśli. Nagle poczuła zimny ból w sercu, jak gdyby ścięła je lodowa powłoka. Powiedziała z wahaniem: — Jeżeli tak czujesz — i nie wziąłeś mnie — to znaczy, że mnie nie kochasz.

— Nigdy nie potrafisz minie zrozumieć.

Umilkli i popatrzyli na siebie. Naraz Scarlett wzdrygnęła się. Uświadomiła sobie na nowo, że jest zima, że ścierniska są nagie, że marznie. Zobaczyła także, że twarz Ashleya przybrała swój dawny, nieprzenikniony wyraz, ten sam, który dobrze znała, i że stała się jak krajobraz zimna, nasrożona bólem i wyrzutem.

Chciała się teraz odwrócić i zostawić go, gdzie stał, schronić się do domu i tam ukryć, ale była zbyt zmęczona, by się poruszyć. Słowa nawet przychodziły jej z trudem i wysiłkiem.

— Nic mi już nie pozostało — rzekła wreszcie. — Zupełnie nic. Nic do kochania. Nic, o co chciałabym walczyć. Ciebie straciłam, a teraz tracę Tarę.

Popatrzył na nią przez długą chwilę, potem zaś pochylając się podniósł z ziemi bryłkę czerwonej gliny.

— Nieprawda, jeszcze ci coś zostało — powiedział z cieniem dawnego uśmiechu, pełnego naigrywania się z niej i z siebie. — Zostało ci coś, co kochasz więcej niż mnie, choć o tym może nie wiesz. Masz jeszcze Tarę.

Wziął jej bezwładną dłoń, położył na niej wilgotną glinę i zacisnął wkoło niej jej palce. Ręce jego nie były już gorące, ręce Scarlett ostygły również. Przez chwilę patrzyła na czerwoną ziemię i nic nie czuła. Spojrzała na Ashleya i zrozumiała, że ma w sobie uczciwość, której nie zdołają naruszyć ani jej namiętne dłonie, ani żadne dłonie na świecie.

Nie opuści Melanii nigdy, choćby go to miało zabić. Choćby pragnął Scarlett do końca swoich dna, nie posiądzie jej nigdy i będzie się starał trzymać ją z daleka od siebie. Nigdy nie potrafi przełamać tego pancerza. Puste słowa: gościnność, lojalność i honor — znaczyły dla niego więcej niż ona.

Glina mroziła jej ręce, spojrzała więc na nią znowu.

— Tak — powiedziała — to mi jeszcze zostało.

Z początku słowa te nie miały treści, a widok czerwonej gliny nie mówił jej nic. Po chwili jednak przyszło nieproszone wspomnienie morza czerwonego błota otaczającego Tarę i tego, jak bardzo było jej drogie i jak ciężko walczyła, aby je utrzymać — i świadomość, że będzie musiała walczyć jeszcze ciężej, aby tego teraz nie stracić. Spojrzała znowu na Ashleya i zdziwiła się, że gorąca fala uczucia uleciała. Mogła znowu myśleć, ale nic nie czuła ani do niego, ani do Tary, bo nie stało jej już sił na uczucia.

— Nie musisz odchodzić — powiedziała wyraźnie. — Nie dopuszczę, abyście cierpieli nędzę dlatego tylko, że zachciało mi się tobie narzucać. To, co się stało, nie powtórzy się nigdy więcej.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem do domu przez rozmokłe pola, zwijając po drodze włosy w węzeł. Ashley popatrzył za nią i zobaczył, że idąc prostuje z wolna szczupłe ramiona. Gest ten ugodził go w serce boleśniej od wszystkich jej słów.

## ROZDZIAŁ XXXII

Wchodząc na schodki frontowe Scarlett ściskała kurczowo grudkę czerwonej gliny. Minęła ostrożnie kuchenny ganek, bo bała się, aby ostre spojrzenie Mammy nie wyśledziło, że coś nie jest w porządku. Nie chciała widzieć Mammy ani nikogo. Czuła, że nie zniesie widoku domowników ani zdawkowej rozmowy. Nie piekł jej teraz wstyd, rozczarowanie czy gorycz, lecz kolana załamywały się pod nią że słabości, a w sercu czulą pustkę. Ściskała glinę tak mocno, że zaczęła się wysuwać spomiędzy jej zaciśniętych palców, i jak papuga powtarzała: — Mam jeszcze to. Tak, mam jeszcze to.

Nie miała nic prócz czerwonej ziemi, ziemi, którą jeszcze kilka minut temu chciała rzucić precz jak rozdartą chustkę. Teraz znowu była jej droga nade wszystko. Dziwiła się tępo, jak mogła choć przez chwilę o niej zapomnieć. Gdyby Ashley uległ jej prośbie, uciekłaby z nim i nie oglądając się za siebie, opuściłaby rodzinę i przyjaciół — teraz jednak pojęła, że opuszczenie tych czerwonych pagórków, długich, wodą wymytych rowów i wyniosłych czarnych sosen rozdarłoby jej serce. Myśli jej wracałyby do nich z tęsknotą aż do samej śmierci. Nawet Ashley nie potrafiłby wypełnić tych pustych przestrzeni jej serca, w których panowała Tara. Jaki mądry był Ashley, i jak dobrze ją znał! Wystarczyło, aby wcisnął jej wilgotną ziemię do ręki, i otrzeźwiała.

Była już w hallu i chciała zamknąć za sobą drzwi, kiedy usłyszała tętent kopyt. Odwróciła się, aby spojrzeć na podjazd. Goście w takiej chwili byli nie do zniesienia. Pobiegnie do swego pokoju i uda ból głowy.

Kiedy jednak powóz podjechał bliżej, zdumienie udaremniło jej ucieczkę, Był zupełnie nowy, pięknie lakierowany; uprząż była także nowa i lśniła mosiężnymi sprzączkami. Jacyś nieznajomi. Nikt z przyjaciół Scarlett nie miał pieniędzy na tak wytworny pojazd.

Stała w drzwiach czekając, a zimny przeciąg rozwiewał jej suknię dokoła przemoczonych kostek. Wreszcie powóz zatrzymał się przed domem. Wysiadł zeń Jonasz Wilkerson. Scarlett tak była zdumiona widokiem dawnego rządcy we wspaniałym płaszczu, zajeżdżającego wytwornym powozem, że przez chwilę nie wierzyła własnym oczom. Will mówił jej, że Jonasz wygląda bardzo zamożnie, od kiedy dostał nową posadę w Biurze Wyzwoleńców. Zarabiał podobno wiele pieniędzy oszukując Murzynów lub rząd, albo jednych i drugich, czy też konfiskując bawełnę okolicznych mieszkańców pod pozorem, że należy ona do Konfederacji. Pewne było w każdym razie, że w tych ciężkich czasach nie mógł dojść uczciwą drogą do pieniędzy.

I oto zjawił się tutaj; wysiadł z eleganckiego powozu i podawał ramię kobiecie piekielnie eleganckiej. Scarlett jednym rzutem oka ustaliła, że suknia jej jest zbyt jaskrawa w kolorze, prawie wulgarna, niemniej jednak przebiegła po niej wygłodniałym spojrzeniem. Od tak dawna nie widziała modnych i nowych sukien! A więc krynoliny są w tym roku mniej szerokie, myślała, bacznie przyglądając się tej czerwonej sukni w kratę. Czarny aksamitny płaszczyk nieznajomej był bardzo krótki. I jaki miała śmieszny kapelusz! Czepki wyszły zapewne z mody, bo kapelusz był w kształcie małego płaskiego talerzyka z czerwonego aksamitu, który przytwierdzony był do czubka głowy jak sztywny naleśnik. Wstążek nie wiązało się pod brodą, jak wstążki czepków, ale z tyłu, pod ciężkim pękiem widocznych spod kapelusza loków, które, jak Scarlett od razu zauważyła, różniły się kolorem od włosów kobiety.

Kiedy nieznajoma wysiadła z powozu i spojrzała w stronę domu, Scarlett wydało się, że poznaje jej mysią, ubieloną pudrem twarz.

— To przecież Emma Slattery! — zawołała na głos, bardzo zaskoczona.

— Tak, proszę pani, to ja — odparła Emma kiwając głową z przymilnym uśmiechem i kierując się w stronę schodów.

Emma Slattery! Ta brudna, płowa dziewucha, której nieślubne dziecko ochrzciła Ellen, Emma, która zaraziła Ellen tyfusem i spowodowała jej śmierć! Ta wystrojona, ordynarna, marna nędzarka wchodziła teraz na schodki Tary pusząc się i uśmiechając, jakby tu było jej miejsce! Scarlett pomyślała o Ellen i w jednej chwili do pustego jej serca wróciły uczucia, wypełniła je mordercza wściekłość, od której zatrzęsła się jak w febrze.

— Wynoś się stąd, ty nędzarko! — zawołała. — Wynoś się z mojego domu! Natychmiast!

Emma otwarła usta i spojrzała bezradnie na Jonasza, który zbliżał się że zmarszczonymi brwiami. Mimo złości starał się zachować pewną godność.

— Niech się pani z łaski swojej w ten sposób nie odzywa do mojej żony — powiedział.

— Żony? — zapytała Scarlett i wybuchnęła wzgardliwym śmiechem. — Najwyższy czas, że się pan z nią ożenił. A kto chrzci wam dzieci, od kiedy zabiliście mi matkę?

Emma wyszeptała: — Och! — i cofnęła się szybko że schodów.

Jonasz jednak zatrzymał ją gwałtownym ruchem ręki.

— Przyjechaliśmy tutaj z wizytą, z przyjacielską wizytą — warknął. — I chcielibyśmy porozmawiać o interesach że starymi znajomymi...

— Znajomymi? — Głos Scarlett był ostry jak smagnięcie batem. — Od kiedy to tacy jak wy są naszymi znajomymi? Rodzina Slatterych żyła z naszej łaski i odwdzięczyła się nam za to zabiciem mojej matki — a pan... pan... Pana ojciec odprawił z powodu dzieciaka Emmy i pan doskonale o tym pamięta. Znajomi? Wynoście się stąd w tej chwili, bo zawołam pana Benteena i pana Wilkesa!

Słysząc te słowa Emma wyrwała się mężowi i uciekła do powozu błyskając w biegu lakierem bucików o jaskrawoczerwonych noskach i czerwonych sznurowadłach.

Teraz i Jonasz trząsł się w nie mniejszej pasji niż Scarlett. Śniada jego twarz stała się czerwona jak grzebień koguta.

— A pani wciąż jeszcze pyszna i dumna, co? Ale wiem coś i o tym. Wiem, że nie ma pani pary całych trzewików. Wiem, że ojciec pani zidiociał...

— Wynoście się stąd!

— Och, wkrótce będzie pani inaczej śpiewała. Wiem, że jest pani zrujnowana. Wiem, że nie ma pani nawet na podatki. Przyjechałem tutaj, aby zaproponować kupno majątku i ofiarować dobrą cenę. Emcia uparła się, że chce tu mieszkać. Ale Bóg mi świadkiem, że teraz nie dam ani grosza! Dowiecie się już niedługo zarozumialcy irlandzcy, kto tu rządzi, jak was zlicytują za podatki. A kupię to wszystko ja — wszystko, wszystko, nawet meble i całą resztę — i ja tu będę mieszkał.

A więc to Jonaszowi Wilkersonowi zachciało się Tary... Jonaszowi i Emmie, którzy w ten perfidny sposób chcieli wyrównać dawne zniewagi, kupując dom ludzi, od których ich doznali. Scarlett kipiała nienawiścią, jak w chwili gdy skierowała pistolet w brodatą twarz Jankesa. Żałowała, że teraz nie ma pistoletu przy sobie.

— Zrównam ten dom z ziemią, kamień za kamieniem, spalę go, a po ziemi rozsypię sól, zanim ktoś z was ten próg przestąpi — krzyknęła. — Wynoście się stąd, mówię! Wynoście się!

Jonasz popatrzył na nią, chciał coś jeszcze powiedzieć, ale poszedł w stronę powozu. Usiadł koło popłakującej żony i zawrócił konia. Kiedy odjechali, Scarlett miała ochotę splunąć za nimi. Splunęła. Wiedziała, że to ordynarny, dziecinny gest, ale poczuła się potem lepiej. Żałowała, że nie splunęła w ich obecności.

Że też ci przeklęci opiekunowie murzyńscy ośmielili się przyjechać do Tary i naigrywać się z jej biedy! Ten łotr nie miał wcale zamiaru zaproponować jej sprzedaży Tary. Użył tego jako pretekstu, by przyjechać tu i puszyć się przed nią wyglądem swoim i Emmy. Ci podli Scallawagowie, ta wstrętna biała nędza ośmieliła się przechwalać, że zamieszkają w Tarze!

Naraz ogarnął ją wielki strach i wściekłość jej stopniała. Do stu tysięcy par beczek! Przecież to bardzo prawdopodobne, że Wilkersonowie sprowadzą się tutaj! Nie mogła ich powstrzymać od kupienia Tary, od zabrania za długi luster, stołów i łóżek, lśniących mahoniów Ellen i stolików z drzewa różanego, tak dla niej cennych, mimo że bardzo ucierpiały od jankeskich najeźdźców. I srebro Robillardów też jej zabiorą. „Nie pozwolę na to — pomyślała Scarlett gwałtownie. — Nie pozwolę, choćbym miała wszystko własną ręką spalić! Noga Emmy Slattery nigdy nie postanie na posadzce, po której stąpała matka!”

Zamknęła drzwi, oparła się o nie i poddała obawom. Bała się teraz jeszcze bardziej niż wtedy, gdy wojska Shermana były w Tarze. W owym dniu najbardziej się obawiała, że spalą jej dach nad głową. To jednak było gorsze — że ci wulgarni ludzie mogliby zamieszkać w tym domu i chwalić się przed ordynarnymi przyjaciółmi, jak to stąd wygnali dumnych O'Harów. Może się jeszcze zdarzyć, że będą na obiady zapraszali Murzynów! Will opowiadał jej, że Jonasz głośno się chwali, iż uważa Murzynów za sobie równych, że jada z nimi, odwiedza ich, obwozi powozem, bierze pod ramię.

Kiedy pomyślała o możliwości tej ostatecznie] zniewagi dla Tary, serce zaczęło jej bić tak mocno, że ledwie mogła oddychać. Starała się skupić, znaleźć jakieś wyjście, ilekroć jednak zaczęła zbierać myśli, trzęsły nią nowe napady złości i strachu. Musi się znaleźć jakieś wyjście, musi się znaleźć ktoś, od kogo będzie mogła pożyczyć pieniędzy. Pieniądze nie mogły wywietrzeć ani ulecieć. Ktoś je musi mieć. Potem przypomniała sobie wypowiedziane że śmiechem słowa Ashleya:

„Tylko jeden człowiek, Rett Butler... ma teraz pieniądze”.

Rett Butler. Weszła szybko do salonu i zamknęła za sobą drzwi. Znalazła się w mroku pokoju o zasuniętych storach. Nikomu nie wpadnie do głowy, aby jej tutaj szukać; musi zaś mieć czas, aby rozważyć te sprawy spokojnie. Pomysł, który jej się teraz nasunął, był tak prosty, że nie mogła zrozumieć, dlaczego nie wpadła nań wcześniej.

— Wezmę pieniądze od Retta. Sprzedam mu diamentowe kolczyki. Albo pożyczę od niego pod zastaw kolczyków i odbiorę je, gdy będę mogła zapłacić.

Przez chwilę poczuła tak wielką ulgę, że aż osłabła. Zapłaci podatki i roześmieje się w twarz Wilkersonowi. W chwilę jednak po tej przyjemnej myśli przyszły inne, przykre.

— Potrzebne mi pieniądze nie tylko na bieżące podatki. Czeka mnie jeszcze rok przyszły i dalsze lata mojego życia. Jeżeli teraz zapłacę wszystko, podwyższą mi wymiar na następny rok i będą podwyższali, póki mnie nie wypędzą. Jeżeli będę miała dobry urodzaj, opodatkują mnie tak, że nic nie zostanie, albo skonfiskują mi bawełnę pod pozorem, że to bawełna konfederacka. Jankesi i ci łotrzy kręcący się koło nich mogą zrobić że mną wszystko, co zechcą. Przez całe życie, do samej śmierci będę się bała. że mnie

skrzywdzą. Całe życie spędzę na strachu, kłopotach pieniężnych, na ciężkiej pracy, z takim rezultatem, że praca moja będzie szła na marne, a bawełnę będą mi kradli... Samo pożyczenie trzystu dolarów jest tylko wyjściem tymczasowym. Zależy mi zaś głównie na tym, aby wyjść z tego ślepego zaułka raz na zawsze, abym znowu mogła spać w nocy i nie dręczyć się tym, co będzie jutro, za miesiąc czy za rok.

Mózg jej pracował bez przerwy. Chłodno i logicznie zarysowała się w nim pewna myśl. Myślała o Recie, o błysku białych zębów w smagłej twarzy, o patrzących na nią z pieszczotą ironicznych czarnych oczach. Przypomniała sobie gorącą noc w Atlancie, pod koniec oblężenia, gdy siedział na ganku ciotki Pitty, na wpół ukryty w letnim mroku, i znowu poczuła gorąco jego dłoni na swoim ramieniu i usłyszała słowa: „Pragnę cię więcej niż jakiejkolwiek kobiety w moim życiu i czekam na ciebie dłużej niż na jakąkolwiek kobietę”.

„Wydam się za niego — pomyślała chłodno. — Potem już nigdy nie będę musiała troszczyć się o pieniądze”.

Och, błogosławiona myśl, słodsza od nadziei Nieba — nigdy nie mieć kłopotów pieniężnych, wiedzieć, że Tara jest bezpieczna, że rodzina jest dobrze odżywiona i ubrana, że nigdy nie będzie potrzebowała tłuc głową o mur!

Poczuła się bardzo stara. Zdarzenia popołudnia odebrały jej możność odczuwania: najpierw przerażająca wiadomość o podatkach, potem scena z Ashleyem, wreszcie mordercza złość na Jonasza Wilkersona. Nie, nie jest już zdolna do żadnych wzruszeń. Gdyby nie zużyła wszystkich zasobów uczucia, coś w jej duszy zaprotestowałoby gwałtownie przeciw planowi, jaki powzięła, ponieważ nienawidziła Retta bardziej niż kogokolwiek na świecie. Nie była jednak zdolna czuć. Mogła tylko myśleć i myślała bardzo praktycznie.

„Powiedziałam mu jakieś straszne rzeczy owej nocy, kiedy nas opuścił na środku drogi, postaram się jednak, aby o nich zapomniał — myślała wzgardliwie, ciągle jeszcze pewna swojej władzy nad mężczyznami. — Będę się zachowywała jak trusia w jego obecności. Wmówię mu, że kocham go od dawna, a owej nocy byłam tylko zdenerwowana i przerażona. Och, mężczyźni są tak zarozumiali, że zdolni są uwierzyć we wszystko, co im pochlebia... Nie

powinnam pozwolić, aby się domyślił, w jakiej jesteśmy sytuacji, dopóki go nie zdobędę. Nie, nie powinien o tym wiedzieć! Gdyby zaczął podejrzewać, w jakiej jesteśmy biedzie, domyśliłby się, że chodzi mi o jego pieniądze, a nie o niego. Ostatecznie może wcale o tym nie wiedzieć, bo nawet ciotka Pitty nie zna całej prawdy. Po ślubie zaś będzie nam musiał pomóc. Nie może przecież pozwolić, aby krewni jego żony cierpieli nędzę”.

Jego żony. Pani Rettowa Butler. Niejasny wstręt, głęboko ukryty pod warstwą chłodnych myśli, zbudził się i po chwili przygasł. Przypomniała sobie kłopotliwe i wstrętne okoliczności krótkich miodowych dni z Karolem, jego niezdarne ręce, wielkie zakłopotanie, niezrozumiałe wzruszenia — i Wade'a Hamptona.

— Nie chcę o tym teraz myśleć. Zajmę się tym już po ślubie...

Już po ślubie. Znowu coś się zbudziło w jej pamięci, przeszył ją zimny dreszcz. Przypomniała sobie wieczór na ganku ciotki Pitty, swoje pytanie, czy Rett prosi ją o rękę, nieprzyjemny jego śmiech i słowa: „Droga Scarlett, ja nie należę do mężczyzn, którzy się żenią”.

A jeżeli postanowienia tego dotąd nie zmienił... Jeżeli mimo jej uroków i podstępów nie zechce się z nią ożenić... Jeżeli... och, jaka to straszna myśl!... jeżeli zupełnie o niej zapomniał i zajęty jest jakąś inną kobietą...

„Pragnę cię więcej niż jakiejkolwiek innej kobiety...''

Scarlett zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wryły się w jej ciało. — Jeżeli o mnie zapomniał, przypomnę mu o sobie. Postaram się, aby zapragnął mnie znowu.

A jeżeli nie będzie chciał się z nią ożenić, ale będzie jeszcze jej pragnął, w inny sposób zdobędzie pieniądze. Ostatecznie prosił już kiedyś, aby została jego kochanką.

W ponurej szarości salonu stoczyła szybką, decydującą walkę z trzema najsilniej krępującymi ją więzami: pamięcią o Ellen, nakazami religii i miłością do Ashleya. Wiedziała, że zamysły jej muszą być wstrętne jej matce nawet w tym ciepłym, dalekim Niebie, w którym z pewnością teraz przebywa. Wiedziała, że stosunki cielesne są śmiertelnym grzechem. Wiedziała też, że w obliczu jej miłości do Ashleya przeprowadzenie tego planu równałoby się prostytucji.

Wszystkie te względy musiały jednak ustąpić przed bezlitosnym wyrachowaniem i rozpaczliwością sytuacji. Ellen nie żyła — możliwe, że śmierć dawała zrozumienie wszystkiego co ludzkie. Religia zabraniała stosunków cielesnych pod groźbą ognia piekielnego, ale jeżeli Kościół wyobrażał sobie, że Scarlett nie wyzyska wszelkich możliwości ocalenia Tary i uratowania rodziny od śmierci głodowej... no, to sprawa Kościoła. Ona o to martwić się nie będzie. Co się zaś tyczy Ashleya — Ashley jej nie chciał. Nie, właśnie że chciał. Wspomnienie jego gorących pocałunków mówiło jej o tym. Powiedział jednak, że nigdy z nią nie ucieknie. Dziwne, że ucieczka z Ashleyem nie wydawała jej się grzechem, z Rettem natomiast...

W półmroku zimowego południa doszła do kresu drogi, na którą wstąpiła w dniu upadku Atlanty. Zaczęła stąpać po owej drodze jako zepsuta, samowolna i niedoświadczona dziewczyna, młoda, ciepła od pragnień, łatwo dziwiąca się życiu. Teraz, u kresu drogi, nic z owej dziewczyny nie zostało. Głód i ciężka praca, strach i ciągłe wysiłki, doświadczenia wojny i terror rekonstrukcji odebrały jej wszelką miękkość, młodość i świeżość. Wewnętrzna jej istota obrosła grubą skorupą i z wolna, podczas nie kończących się miesięcy, skorupa ta, warstwa za warstwą, stwardniała.

Dotychczas wszakże dwie nadzieje podtrzymywały ją na duchu. Wierzyła, że kiedy wojna się skończy, życie stopniowo wróci do dawnej postaci. Miała nadzieję, że powrót Ashleya nada życiu sens. Teraz obie nadzieje prysły. Zjawienie się Jonasza Wilkersona przed domem w Tarze uświadomiło jej, że dla całego Południa wojna nie skończy się nigdy. Najzajadlejsza walka, najbardziej brutalne porachunki właśnie się rozpoczynały. Ashley zaś uwięziony był na zawsze za ścianą słów mocniejszych od murów więzienia.

Pokój przyniósł jej rozczarowanie i Ashley ją zawiódł, w jednym i tym samym dniu — wydawało jej się więc jak gdyby ostatnia szczelina skorupy zasklepiła się, jak gdyby powłoka jej stwardniała do reszty. Scarlett stała się mimo ostrzeżenia babci Fontaine kobietą, która przeżyła wszystko co najgorsze i niczego już się nie obawia. Ani życia, ani matki, ani utraty miłości, ani ludzkiej opinii. Przerażał ją tylko głód i koszmarne sny o głodzie.

Ogarnęło ją teraz dziwne uczucie lekkości i wolności, kiedy ostatecznie opancerzyła swe serce przed tym, co wiązało ją z przeszłością i z dawną Scarlett. Powzięła decyzją i, Bogu dzięki, nie bala się niczego. Nie miała nic do stracenia i wiedziała, co robi.

Gdyby tylko mogła za pomocą słodkich słów skłonić Retta do małżeństwa, wszystko ułożyłoby się doskonale. Jeżeli jej to się jednak nie uda... no, to i tak zdobędzie pieniądze. Przez krótką chwilę zastanawiała się z obiektywną ciekawością, jakie są właściwie obowiązki kochanki. Czy Rett będzie się upierał, aby utrzymywać ją w Atlancie, tak jak rzekomo utrzymywał Bellę Watling? Jeżeli każe jej zostać w Atlancie, będzie musiał jej dobrze płacić — tyle, aby wyrównać straty, jakie nieobecność jej przyniesie Tarze. Scarlett była bardzo naiwna, jeżeli chodzi o pewne strony życia mężczyzn, i nie wiedziała, co ją czeka. Zastanawiała się także nad tym, czy będzie miała dziecko. To byłoby naprawdę straszne.

„Nie chcę o tym teraz myśleć. Pomyślę o tym kiedy indziej” i odepchnęła nieprzyjemną myśl daleko, aby nie wpłynęła na jej decyzję. Powie dziś wszystkim domownikom, że jedzie do Atlanty, aby starać się o pożyczkę czy o uzyskanie hipoteki, jeżeli okaże się to konieczne. Nie potrzebują nic więcej wiedzieć aż do niemiłego dnia, kiedy odkryją prawdę.

Na myśl o konkretnym działaniu podniosła głowę i wyprostowała ramiona. Sprawa nie będzie łatwa, o tym dobrze wiedziała. Dawniej to Rett prosił o jej względy i ona miała nad nim władzę. Teraz ona była żebraczką, a żebrak nie jest w stanie dyktować warunków.

„Ale nie chcę do niego iść jak żebraczka. Pójdę jak królowa, która rozdaje łaski. Nie pozna po mnie nic”.

Podeszła do długiego lustra między oknami, popatrzyła na siebie i podniosła wysoko głowę. W popękanej złoconej ramie zobaczyła nieznajomą. Wydawało jej się, że patrzy na siebie po raz pierwszy od roku. Spoglądała co rano do lustra, aby przekonać się, czy jest dobrze umyta i uczesana, zwykle jednak była zbyt zajęta innymi sprawami, aby się naprawdę widzieć. Kim była ta nieznajoma? Z pewnością przecież ta kobieta o zapadniętych policzkach nie mogła być Scarlett O'Hara! Scarlett O'Hara miała śliczną, zalotną, wesołą twarzyczkę. Twarz, którą widziała teraz, nie była wcale ładna i nie posiadała wdzięku. Była blada i zmęczona, a czarne brwi nad skośnymi zielonymi oczyma wydawały się na tle białej skóry jak skrzydła spłoszonego ptaka. Twarz ta miała teraz wyraz zajadły i twardy.

„Nie jestem dość ładna, aby go zdobyć! — pomyślała i rozpacz ogarnęła ją znowu. — Jestem chuda, och, przeraźliwie chuda!”

Poklepała się po policzkach, z niepokojem dotknęła przez stanik wystających obojczyków. Piersi miała teraz bardzo małe, prawie tak małe jak piersi Melanii. Będzie musiała włożyć pod suknię poduszeczki, aby biust lepiej się uwydatnił — a dawniej czuła pogardę dla dziewcząt uciekających się do takich sztuczek. Poduszeczki! To nasunęło jej nową myśl. Sprawa sukien. Popatrzyła na swoją suknię, rozpościerając szeroko jej pocerowane fałdy. Rett lubił kobiety dobrze i modnie ubrane. Przypomniała sobie z żalem falbaniastą, zieloną suknię, którą nosiła bezpośrednio po zdjęciu żałoby, suknię i dobrany do niej zielony czepek z piórem, przywieziony przez Retta, przypomniała sobie jego pełne uznania komplementy. Pomyślała także z nienawiścią i zazdrością o czerwonej kraciastej sukni wełnianej, butach z czerwonymi sznurowadłami i noskami, i płaskim kapeluszu Emmy Slattery. Były pretensjonalne, ale nowe i modne, i rzucały się od razu w oczy. Ach, jakże bardzo pragnęła rzucać się w oczy! Zwłaszcza zaś należało jej na przyciągnięciu uwagi Retta Butlera. Gdyby zobaczył ją w starej sukni, domyśliłby się, że w Tarze źle się dzieje. O tym zaś wiedzieć nie powinien.

Jakaż była głupia myśląc, że może pojechać do Atlanty i zdobyć go z miejsca, ona, kobieta o cienkiej szyjce i głodnym wyrazie kocich oczu, ubrana w wyszarzałe sukienczyny! Skoro nie mogła wymusić od niego oświadczyn w czasie rozkwitu swojej piękności, w czasie gdy nosiła ładne suknie, jakże mogła spodziewać się ich teraz, gdy była brzydka i nędznie ubrana? Jeżeli wierzyć słowom ciotki Pitty, Rett był najbogatszym człowiekiem w Atlancie, nie brakło mu więc towarzystwa pięknych pań, bardziej lub mniej przyzwoitych. „No tak ale ja — pomyślała ponuro — mam to, czego piękne panie zazwyczaj nie mają... gotowość na wszystko. I gdybym miała przynajmniej jedną porządną suknię...”

W Tarze jednak nie było ani jednej porządnej sukni, nie było nawet sukni co najmniej dwa razy nie nicowanej i nie łatanej.

„Wszystko się o to rozbije” — myślała, smutnie patrząc w podłogę. Widziała zielony dywan Ellen, zniszczony teraz, podeptany, podarty i poplamiony przez dziesiątki mężczyzn, którzy na nim spali, i widok ten jeszcze bardziej ją zasmucił, bo uświadomił jej, że Tara jest tak samo wynędzniała jak ona. Atmosfera mrocznego pokoju działała na nią przygnębiająco, skierowała się więc w stronę okna, odemknęła okiennicę i wpuściła do pokoju ostatnie promienie zimowego zmierzchu. Zamknęła okno, oparła głowę o aksamitne portiery i poprzez pastwisko popatrzyła na ciemne cedry cmentarzyka.

Zielone aksamitne portiery drapały ją lekko i przyjemnie w policzek, zaczęła więc ocierać o nie twarz jak kot. I naraz przyjrzała im się uważnie.

W minutę później przesuwała w stronę okna ciężki stół o marmurowanym blacie, którego rolki wydawały straszny zgrzyt. Ustawiła go wreszcie pod oknem, zebrała spódnicę, weszła nań i na palcach starała się dosięgnąć drążka, na którym wisiały portiery. Udało jej się to z wielkim trudem, szarpnęła więc tak mocno, że gwoździe powypadały że ścian i drążek z portierami spadł z hukiem na podłogę.

W tej samej chwili jak za magicznym dotknięciem otworzyły się drzwi salonu i ukazała się w nich szeroka, czarna twarz Mammy, twarz, której każda zmarszczka wyrażała gorącą ciekawość i podejrzliwość. Popatrzyła krytycznie na Scarlett stojącą na stole w podkasanej po kolana spódnicy i gotującą się do skoku na podłogę. Scarlett była tak wyraźnie podniecana i pełna tryumfu, że Mammy w jednej chwili nabrała jakichś podejrzeń.

— Co ty tu wyprawiasz z portierami pani Ellen? — zapytała.

— A co ty robisz pod drzwiami? — odpowiedziała Scarlett pytaniem zeskakując na ziemię i wlokąc za sobą fałdy ciężkiego, zakurzonego aksamitu.

— To nie ma nic do rzeczy — zaprotestowała Mammy, gotowa do walki. — Ty nie masz nic do roboty z portierami pani Ellen, no i po co zdejmujesz ramę, i ciągniesz je w kurzu po podłodze? Pani Ellen bardzo lubiła te portiery i nie pozwolę, abyś je tak niszczyła.

Scarlett zwróciła na Mammy oczy, teraz rozpalone i wesołe i przypominające oczy psotnej małej dziewczynki z owych dobrych czasów, które Mammy wspominała z żalem.

— Skocz na strych, Mammy, i znajdź mi moje pudło patronów! — zawołała, lekko ją popychając. — Chcę zrobić sobie nową suknię.

Mammy nie mogła się zdecydować, czy oburzyć się na rozkaz „skakania” dokądkolwiek, cóż dopiero na strych, czy też poddać się strasznym podejrzeniom. Szybko wyrwała portiery z rąk Scarlett i przycisnęła je do swych olbrzymich, obwisłych piersi jak święte jakieś relikwie.

— Wybij sobie to z głowy, żeby z portier pani Ellen szyć sobie nową suknię. Nie pozwolę na to, póki starczy mi tchu w piersiach.

Po twarzy Scarlett przemknął wyraz zaciętego uporu, który Mammy dobrze znała, i po chwili ustąpił miejsca uśmiechowi, któremu bardzo trudno było jej się oprzeć. Uśmiech ten nie zwiódł jednak starej kobiety. Wiedziała dobrze, że Scarlett używa go wyłącznie, aby ją udobruchać, postanowiła zaś przeciwstawić się jej tym razem stanowczo.

— Mammy, bądźże rozsądna. Wybieram się do Atlanty, aby pożyczyć trochę pieniędzy, i muszę mieć nową suknię.

— Nie potrzebujesz nowej sukni. Żadna z pań nie ma nowej sukni. Noszą swoje stare i dumne są z tego. Nie rozumiem, dlaczego córka pani Ellen nie chce nosić łachmanów. I tak każdy ją będzie szanował, jak gdyby nosiła jedwabie.

Wyraz uporu zaczął powoli wracać na twarz Scarlett. Boże kochany, jakie to zabawne, że im starsza się Scarlett staje, tym jest bardziej podobna do pana Geralda, a nie do pani Ellen!

— Słuchaj Mammy, wiesz przecież z listu ciotki Pitty, że ślub panny Fanny Elsing jest w sobotę, a ja bardzo chcę być na jej ślubie. Muszę mieć zatem nową suknię.

— Ta suknia, którą teraz nosisz, będzie z pewnością równie ładna jak ślubna suknia panny Fanny. Panna Pitty pisała także, że panie Elsing są teraz bardzo biedne.

— Ale ja muszę mieć nową suknię! Mammy, nie wiesz wcale, jak bardzo nam są potrzebne pieniądze! Podatki...

— Owszem, wiem o podatkach, ale...

— Wiesz o podatkach?

— Rozumie się, przecież Pan Bóg dał mi uszy do słyszenia, prawda? Zwłaszcza że pan Will nigdy nie pamięta o zamykaniu drzwi.

Czy rzeczywiście nic nie mogło ujść uwagi Mammy? Scarlett nieraz dziwiła się, jak ciężkie jej ciało, od którego ruchów drżała podłoga, mogło się poruszać tak przeraźliwie cicho, gdy właścicielka jego chciała podsłuchiwać.

— A więc jeżeliś to słyszała, przypuszczam, żeś słyszała także, że był tu Jonasz Wilkerson i ta Emma...

— Tak, rozumie się — rzekła Mammy z ogniem w oczach.

— No więc, Mammy, nie upieraj się teraz. Czy sama nie rozumiesz, że muszę pojechać do Atlanty, aby postarać się o pieniądze na podatki? Muszę za wszelką cenę zdobyć pieniądze. Muszę! — Zaczęła bić jedną zaciśniętą pięścią o drugą. — Na miłość boską, Mammy, przecież wyrzucą nas wszystkich na dwór i dokąd wtedy pójdziemy? Czy musisz się że mną sprzeczać o taką drobnostkę jak portiery mamy, kiedy ta podła Emma Slattery, która zabiła mamę, chce się wprowadzić do naszego domu i spać w łóżku, w którym spała mama?

Mammy zaczęła przestępować z nogi na nogę jak narowisty słoń. Miała niejasne wrażenie, że jednak będzie musiała ustąpić.

— Nie, nie chcę, aby Emma Slattery mieszkała w domu pani Ellen, ani abyśmy się musieli stąd wynosić, ale... — Popatrzyła na Scarlett z nagłą podejrzliwością w oczach: — Od kogo masz zamiar pożyczyć pieniądze, że ci aż nowa suknia potrzebna?

— To... — odparła Scarlett, zaskoczona — to jest moja sprawa.

Mammy popatrzyła na nią przenikliwie, jak zwykła była patrzeć, gdy Scarlett była mała i na gwałt starała się znaleźć jakiś wykręt. Zdawała się czytać w jej myślach, Scarlett więc mimo woli spuściła oczy i poddała się pierwszym wyrzutom sumienia z powodu zamierzonego postępku.

— A więc potrzebna ci nowiuteńka suknia, żeby pożyczyć pieniędzy. To mi się nie wydaje słuszne. I nie mówisz mi, od kogo chcesz wziąć te pieniądze.

— Nie mam zamiaru nic powiedzieć — rzekła Scarlett z oburzeniem. — To moja sprawa. Czy dasz mi tę portierę i pomożesz mi uszyć suknię?

— Tak — rzekła Mamimy cicho, kapitulując od razu, co z kolei zbudziło podejrzenia Scarlett. — Pomogę ci ją uszyć. Może da się zrobić halkę z atłasowej podszewki, a pantalony obszyć kawałkiem starej koronki.

Oddała Scarlett aksamitną portierę i chytry uśmiech pojawił się na jej twarzy.

— Czy pani Mela jedzie z tobą do Atlanty, Scarlett?

— Nie — rzekła Scarlett ostro, domyślając się, co Mammy teraz powie. — Jadę sama.

— Tak sądzisz — powiedziała Mammy stanowczo — ale mylisz się, bo ja pojadę z tobą i z nową suknią. Tak, Scarlett, nie odstąpię cię ani na krok.

Przez chwilę Scarlett wyobrażała sobie podróż do Atlanty i rozmowę z Rettem w obecności Mammy, warującej w głębi pokoju jak wielki czarny cerber. Uśmiechnęła się znowu i położyła dłoń na jej ramieniu.

— Mammy, kochanie, jesteś bardzo miła, że chcesz pojechać że mną i pomóc mi we wszystkim, ale jakże oni dadzą sobie tutaj radę bez ciebie? Wiesz przecież, że to ty właściwie rządzisz Tarą.

— Oho! — rzekła Mammy. — Nie mów do mnie tak słodko, Scarlett. Znam cię od pieluszek. Powiedziałam, że pojadę z tobą do Atlanty, i pojadę. Pani Ellen przewróciłaby się w grobie, gdybyś sama jedna pojechała tam teraz, gdy miasto pełne jest Jankesów, wolnych Murzynów i innej hołoty.

— Ale przecież zamieszkam u ciotki Pittypat — upierała się Scarlett.

— Panna Pittypat to dobra pani, ale zdaje jej się, że widzi wszystko, kiedy nie widzi nic — rzekła Mammy i odwracając się majestatycznie na znak, że audiencja skończona, wyszła do hallu. Ściany trzęsły się, gdy wołała:

— Prissy, dziecko! Poleć na górę, znieść że strychu pudło patronów Miss Scarlett i poszukaj nożyczek, ale nie marudź z tym przez cały wieczór!

„A to awantura — pomyślała Scarlett z rozpaczą. — Wolałabym, aby mi towarzyszyła cała sfora psów”.

Kiedy uprzątnięto po kolacji, Scarlett i Mammy rozłożyły patrony na stole w jadalnym, podczas gdy Zuela i Karina wypruwały atłasową podszewkę z portier, a Melania miękką szczotką do włosów czyściła aksamit. Gerald, Will i Ashley rozsiedli się w pokoju i paląc śmieli się z tego kobiecego zamieszania. Wszyscy poddawali się radosnemu podnieceniu, które zdawało się emanować że Scarlett — podnieceniu, którego nie rozumieli. Twarz jej była zaróżowioną, oczy jaśniały, śmiała się często i dużo. Śmiech jej sprawiał wszystkim przyjemność, bo nie słyszeli go od wielu miesięcy Zwłaszcza cieszył się z niego Gerald. Wzrok jego wydawał się mniej błędny, gdy wodził za nią oczyma po pokoju, głaskał ją też z zadowoleniem, ilekroć znajdowała się blisko. Dziewczęta były tak podniecone jak przed balem i pruły, kroiły i fastrygowały, jak gdyby to szyły się ich własne suknie balowe.

Scarlett wybierała się do Atlanty, aby pożyczyć pieniędzy lub wziąć hipotekę na Tarę, jeżeli zajdzie konieczność. Jakie jednak znaczenie ma hipoteka? Scarlett mówiła, że będą ją mogli łatwo spłacić za pieniądze uzyskane z przyszłego zbioru, i że jeszcze im coś zostanie, twierdziła to zaś z taką stanowczością, iż nikt o nic więcej nie pytał. A kiedy zapytali, od kogo chce pożyczyć pieniędzy, odrzekła: — O, ja już wiem, jak sobie poradzę! — z tak tajemniczą miną, że wszyscy zaczęli się śmiać i robić jej docinki na temat bogatego przyjaciela.

— To pewno jest kapitan Rett Butler — rzekła podstępnie Melania, a cała rodzina wybuchła śmiechem, bo wszyscy wiedzieli, że Scarlett go nienawidzi i nigdy nie odzywa się o nim inaczej niż „ten łotr Rett Butler”.

Scarlett jednak nie roześmiała się wcale, a Ashley, który zaczął się śmiać, spoważniał w jednej chwili, widząc, że Mammy rzuca z ukosa szybkie spojrzenie na Scarlett.

Zuela w przystępie wspaniałomyślności z powodu odświętnego nastroju odszukała swój kołnierzyk z irlandzkiej koronki, noszony, ale jeszcze ładny, Karina zaś uparła się, aby Scarlett włożyła na drogę jej pantofle, które były w lepszym stanie od innych. Melania napominała Mammy, aby zostawiła jej jak najwięcej skrawków aksamitu do pokrycia ronda zniszczonego czepka i wywołała wybuchy śmiechu powiedzeniem, że stary kogut będzie się musiał rozstać że swoim wspaniałym brązowozielonym ogonem, jeżeli nie schroni się natychmiast na moczary.

Scarlett przyglądała się zwinnym palcom kobiet, przysłuchiwała śmiechom i rozglądała dokoła że źle ukrywaną goryczą i pogardą.

„Nie mają pojęcia, co się rzeczywiście dzieje że mną, z nimi czy z całym Południem. Dotąd jeszcze myślą, mamo wszystko, że nic naprawdę strasznego nie może się zdarzyć nikomu z nich, ponieważ noszą nazwisko O'Hara, Wilkes czy Hamilton. Nawet Murzyni myślą tak samo. Och, jacyż są głupi! Nigdy tego nie zrozumieją! Będą w dalszym ciągu myśleli i żyli jak dotąd i nic ich już nie zmieni. Mela chodzi w łachmanach, zbiera bawełnę i nawet pomogła mi zabić człowieka — ale to wszystko wcale na nią nie wpływa. Nadal jest doskonale wychowaną panią Wilkes, damą w każdym calu! A Ashley widział śmierć i wojnę, był ranny, uwięziony i wrócił do domu w nędzy, a mimo to jest ciągle tym samym dżentelmenem, bogatym dziedzicem Dwunastu Dębów. Will jest inny. Wie dokładnie, jak sprawy stoją, ale to może dlatego, że nigdy nie miał wiele do stracenia. Jeśli zaś chodzi o Zuelę i Karinę — tym się wydaje, że wszystko to jest sprawą przejściową. Nie zmieniają się, aby dostosować się do zmienionych warunków, bo wydaje im się, że ten stan rzeczy lada chwila minie. Myślą, że Bóg zrządzi cud specjalnie dla nich. Mylą się jednak. Jedynym cudem, jaki może się tutaj zdarzyć, jest ten, który ja zdziałam za pośrednictwem Retta Butlera... Oni się już nie zmienią nigdy. Może to dlatego, że nie potrafią się zmienić. Ja jestem jedyną, która stała się inna. I ja bym się nie zmieniła, gdybym mogła tego uniknąć”.

Mammy wyprosiła mężczyzn z jadalni i zamknęła drzwi, aby zacząć mierzenie sukni. Pork zaprowadził Geralda na górę do łóżka, a Ashley i Will zostali sami w oświetlonym lampą hallu. Przez chwilę siedzieli w milczeniu; Will żuł swój tytoń jak spokojne zwierzę, ale twarz jego bynajmniej nie wyrażała spokoju.

— Nie podoba mi się ten nagły wyjazd do Atlanty —. powiedział wreszcie cicho. — Ani trochę.

Ashley spojrzał na niego szybko, a potem nic nie mówiąc odwrócił wzrok, ale zaczął się zastanawiać, czy i Will ma tego samego rodzaju podejrzenia co on. To jednak było niemożliwe. Will nie wiedział, co zaszło tego popołudnia w sadzie, i że to on doprowadził Scarlett do rozpaczy. Will nie mógł zauważyć wyrazu twarzy Mammy na dźwięk nazwiska Retta Butlera, poza tym zaś nie wiedział ani o majątku Retta, ani o jego złej opinii. W każdym razie Ashley nie przypuszczał, aby Will był o tych sprawach poinformowany, chociaż po przyjeździe do Tary przekonywał się nieraz, że Will, podobnie jak Mammy, zdawał się wiedzieć o wszystkim i wszystko zawczasu wyczuwać. W powietrzu zawisł złowrogi nastrój, ale Ashley nie umiałby nawet określić dlaczego i nie w jego mocy było uchronić Scarlett. Ani razu tego wieczora nie spojrzała w jego stronę, a jej nagła hałaśliwa wesołość przeraziła go. Podejrzenia gnębiące go teraz były zbyt straszne, aby ubrać je w słowa. Nie miał prawa obrażać Scarlett pytaniem, czy są uzasadnione. Zacisnął pięści. Nie miał żadnych praw do niej; tego popołudnia postradał je na zawsze. Nie mógł jej pomóc. Nikt nie mógł jej pomóc. Kiedy jednak przypomniał sobie Mammy i wyraz ponurej stanowczości, z jakim kroiła aksamitne portiery, trochę się uspokoił. Mammy upilnuje Scarlett, choćby i wbrew jej woli.

„To ja to wszystko spowodowałem — myślał z rozpaczą. — Ja ją do tego doprowadziłem”.

Przypomniał sobie, jak się wyprostowała odchodząc od niego po południu, przypomniał sobie dumne podniesienie głowy. Serce wyrywało mu się do niej — serce rozdarte własną bezradnością, pełne podziwu. Wiedział, że w słowniku Scarlett nie istnieje słowo „męstwo”, wiedział, że spojrzałaby na niego w zdumieniu, gdyby jej powiedział, że jest najbardziej mężną istotą, jaką w życiu swoim spotkał. Wiedział, że nie zrozumiałaby wcale, ile prawdziwie cennych zalet przypisywał jej nazywając ją mężną. Wiedział, że brała życie, jak szło, że przeciwstawiała się rogatą duszą wszystkim przeszkodom, jakie napotykała, że walczyła z uporem, który nie przewidywał klęski, i nie przestawała walczyć nawet w chwili, gdy klęska była nieunikniona.

Ale przez cztery lata widywał wielu ludzi, którzy nie uznawali klęski, mężczyzn, którzy wesoło szli na spotkanie katastrofy, ponieważ byli bardzo mężni. I którzy mimo to zostawali zwyciężeni...

Patrząc na Willa w mrocznym hallu pomyślał, że jednak nigdy nie spotkał się z takim męstwem jak odwaga Scarlett O'Hara, która na podbój świata szła w aksamitnych portierach swojej matki i piórach, wyrwanych z koguciego ogona.

## ROZDZIAŁ XXXIII

Zimny wiatr dął ostro, a chmury, szybko płynące po niebie, były ołowianoszare, gdy Scarlett i Mammy wysiadły z pociągu w Atlancie następnego popołudnia. Stacja nie została jeszcze odbudowana, wysiadły więc wśród żużlu i błota kilkanaście metrów za czarnym pogorzeliskiem, które znaczyło jej miejsce. Scarlett dawnym zwyczajem poszukała wzrokiem wuja Piotra z powozem Pitty, który zwykle czekał na nią w latach wojny, gdy wracała z Tary. Po chwili jednak roześmiała się sama do siebie że swego roztargnienia. Piotra oczywiście nie było, bo nie uprzedziła ciotki Pitty o swoim przyjeździe, poza tym zaś przypomniała sobie, że w jednym z listów stara pani, z żalem donosiła o śmierci starego konia, którego Piotr kupił w Macon, aby ją przywieźć do Atlanty

Rozejrzała się po wyboistym i zrujnowanym placu koło stacji, czy nie zauważy powozu któregoś z dawnych znajomych czy przyjaciół, który by ją mógł podwieźć do miasta, nie spostrzegła jednak nikogo. Nikt z dawnych znajomych nie miał teraz powozu, jeżeli to, co Pitty pisała, zgodne było z prawdą. Czasy były tak ciężkie, że trudno było o żywność i dach nad głową dla ludzi, tym bardziej zaś dla zwierząt. Większość przyjaciół Pitty, podobnie jak ona sama, chodziło teraz pieszo.

W pobliżu wagonów towarowych stało kilka wozów, które ładowano, i parę obryzganych błotem bryczek z nieznajomymi na koźle — ale tylko dwa powozy. Jeden był zamknięty, drugi otwarty i zajęty już przez dobrze ubraną kobietę i jankeskiego oficera. Scarlett omal nie syknęła na widok munduru. Jakkolwiek wiedziała od Pitty, że w Atlancie stoi garnizon i że na ulicach pełno jest żołnierzy, widok pierwszego niebieskiego munduru przeraził ją i zdumiał. Z trudem tylko uprzytomniła sobie, że wojna minęła i że oficer ten nie pójdzie za nią, aby ją obrabować czy znieważyć.

Pustka dokoła pociągu siłą kontrastu przypomniała jej ów ranek w r. 1862, gdy przyjechała do Atlanty jako młoda wdowa, spowita w krepę i ledwie żywa z nudów. Przypomniała sobie, jak wiele było na placu przed stacją wozów, powozów, ambulansów, jak głośno pokrzykiwali woźnice i ludzie witali się z przyjaciółmi. Westchnęła z żalu za beztroskim podnieceniem dni wojennych, a potem jeszcze raz — na myśl o długiej drodze pieszo do domu ciotki Pitty. Miała jednak nadzieję, że na Brzoskwiniowej spotka może kogoś, kto ją podwiezie.

Kiedy tak się rozglądała dokoła, podjechał ku niej zamknięty powóz z Murzynem w średnim wieku na koźle, który pochylając się ku niej zapytał: — Podwieźć, proszę pani? Dwa srebrne za kurs.

Mammy rzuciła mu druzgocące spojrzenie.

— Wynajęty powóz! — zagrzmiała. — Murzynie, czy nie widzisz, co my za jedne?

Mammy była Murzynką wiejską, ale w młodości swojej mieszkała w mieście, wiedziała więc, że przyzwoitym kobietom nie wypada jeździć wynajętym pojazdem — a zwłaszcza karetą — bez męskiej opieki. Nawet obecność murzyńskiej służącej nie wystarczała dla dogodzenia konwenansom. Spojrzała ostro na Scarlett, która przyglądała się pożądliwie karecie.

— Scarlett, odejdź stąd. Wynajęty powóz i wyzwolony Murzyn! To dobre połączenie!

— Ja nie żaden wyzwolony Murzyn — gorąco zaprzeczył stangret. — Ja należę do starej pani Talbot i kareta jest także jej, a jeżdżę nią, aby trochę zarobić.

— Która to pani Talbot?

— Pani Zuzanna Talbot z Milledgeville. Myśmy się tu przenieśli po śmierci starego pana.

— Czy znasz tę panią, Scarlett?

— Nie — odrzekła Scarlett z żalem. — Nie znam prawie nikogo z Milledgeville.

— No, więc pójdziemy pieszo — rzekła Mammy stanowczo. — Jedźcie sobie, Murzynie.

Schwyciła torbę podróżną, w której była nowa aksamitna suknia Scarlett, jej czepek i nocna koszula, pod pachę wsunęła perkalowe zawiniątko z własnymi rzeczami i poprowadziła Scarlett poprzez pełen popiołów plac. Scarlett nie sprzeciwiała się Mammy, chociaż wolała pojechać, bo nie chciała się z nią kłócić. Od chwili przyłapania jej z aksamitnymi portierami. Mammy miała w oczach wyraz podejrzliwości, który nie podobał się Scarlett. Trudno jej zapewne przyjdzie wyzwolić się spod jej ciągłej opieki, nie chciała się więc z nią spierać, póki nie zajdzie absolutna potrzeba. Kiedy wąskim trotuarem ruszyły w stronę ulicy Brzoskwiniowej, Scarlett posmutniała widząc, jak bardzo Atlanta jest zrujnowana i niepodobna do miasta, które pamiętała. Minęły dawny Hotel Atlanta, gdzie mieszkał wuj Henryk i Rett — z eleganckiego zajazdu została tylko część poczerniałych murów. Składy, które ciągnęły się wzdłuż toru kolejowego na przestrzeni pół mili i mieściły całe tony zapasów dla wojska, nie zostały odbudowane i widać było ich kwadratowe fundamenty. Bez murów budynków po obu stronach tor kolejowy wydawał się nagi. Gdzieś między zgliszczami, niczym nie różniąc się od innych, leżały pewnie ruiny jej własnego składu na placu pozostawionym jej w spadku przez Karola. Wuj Henryk zapłacił za nią podatek od placu za ubiegły rok. Będzie mu to kiedyś musiała zwrócić. A zatem jeszcze jeden kłopot.

Kiedy skręciły w Brzoskwiniową i Scarlett spojrzała w stronę Pięciu Znaków, wydała okrzyk zdumienia. Mimo opowiadań Franka o obróceniu Atlanty w perzynę, nie wyobrażała sobie tak zupełnego zniszczenia. W pamięci ciągle jeszcze miała obraz ulubionego miasta — pełnego domów i gmachów publicznych. Ta jednak dolina, na którą teraz patrzyła, była tak pusta, tak inna, że wydało jej się, jak gdyby widziała ją po raz pierwszy. Błotnista ulica, którą przejeżdżała tysiące razy podczas wojny, po której uciekała że spuszczoną głową, gdy pociski padały dokoła niej podczas oblężenia, ta ulica, którą widziała ostatnio w upale, pośpiechu i niepokoju dnia odwrotu, wyglądała tak obco, że chciało jej się płakać.

Mimo że od roku, od chwili gdy Sherman wymaszerował z płonącego miasta i wrócili konfederaci, wyrosło wiele nowych budynków, dokoła Pięciu Znaków było jeszcze mnóstwo pustych placów, na których leżały sterty sczerniałych cegieł między kupami śmiecia, chwastami i zielskiem. Poznawała resztki budynków, które pamiętała: mury bez dachów, przez które przeświecało słabe światło dnia, ramy okienne pozbawione szyb, samotnie sterczące kominy. Tu i ówdzie wzrok jej padał na znajomy sklep, który częściowo ostał się pociskom i pożarom i został odbudowany; świeża czerwień nowych cegieł odcinała się od sczerniałych starych ścian. Nad nowymi sklepami i oknami nowych biur odczytywała z przyjemnością nazwiska ludzi, których znała, częściej jednak nazwiska były jej obce, szczególnie zaś tuziny nazwisk lekarzy, adwokatów i handlarzy bawełną. Niegdyś znała w Atlancie prawie wszystkich, toteż obce nazwiska podziałały na nią przygnębiająco. Pocieszył ją jednak trochę widok nowych domów nieco dalej.

Były ich tam całe tuziny, przy czym wiele trzypiętrowych. Wszędzie widać było rozpoczęte budowy, bo kiedy spojrzała w przeciwnym kierunku, chcąc się oswoić z nowym obliczem Atlanty, usłyszała wesoły dźwięk młotów i pił, spostrzegła rusztowania i ludzi wchodzących na drabiny że stosami cegieł na ramionach. Popatrzyła przez chwilę na ulubioną ulicę i oczy jej zaszły mgłą.

„Spalili cię — myślała — i zrównali z ziemią. Ale nie mogli cię pokonać. Odbudujesz się tak samo wielka i piękna jak dawniej!”

Dalej na Brzoskwiniowej stwierdziła, że chodniki są równie natłoczone jak podczas wojny. Odczuwało się ten sam pośpiech i zgiełk, który tak ją podniecił dawno temu, gdy po raz pierwszy przyjechała do ciotki Pitty. Po błotnistych kałużach toczyło się równie dużo pojazdów jak dawniej, nie widać było tylko ambulansów Konfederacji, przed sklepami zaś przywiązywano tyle, ile dawniej, koni i mułów. Mimo że trotuary były pełne, twarze przechodniów wydały się Scarlett równie obce jak szyldy: ludzie byli nowi, mężczyźni wyglądali ordynarnie, kobiety były jaskrawo ubrane. Ulice czerniły się od próżnujących Murzynów, którzy opierali się o ściany lub siedzieli na brzegach chodnika, przyglądając się przejeżdżającym pojazdom z naiwną ciekawością dzieci w cyrku.

— Wyzwoleni wiejscy Murzyni — mruknęła Mammy — Nigdy w swoim życiu nie widzieli porządnego powozu. A jak bezczelnie patrzą!

Scarlett przyznała, że patrzyli bezczelnie, zapomniała jednak o nich natychmiast, ponieważ znowu zobaczyła niebieskie mundury. Miasto pełne było żołnierzy jankeskich, konnych, pieszych, w furgonach wojskowych, spacerujących po ulicach, zataczających się przed barami.

„Nigdy się do ich widoku nie przyzwyczaję — myślała zaciskając pięści. — Nigdy!” — i przez ramię rzuciła w stronę Mammy. — Spiesz się, Mammy, wydostańmy się wreszcie z tego tłumu.

— Dobrze, niech tylko wypchnę stąd tego czarnucha, który mi drogę zagradza — odrzekła Mammy głośno i tak mocno uderzyła torbą czarnego wyrostka, który przekornie zastępował jej drogę, że uskoczył na bok. — Nie podoba mi się to miasto, Scarlett. Za dużo w nim Jankesów i podłych wyzwoleńców.

— Lepiej jest w miejscach, gdzie nie ma takiego tłoku. Gdy miniemy Pięć Znaków, nie będzie tak źle.

Ostrożnie przeszły po śliskich flizach ułożonych przez jezdnię ulicy Decatur i szły dalej Brzoskwiniową przez rzednący teraz tłum. Doszły do kaplicy wesleyańskiej, przy której owego dnia w r. 1864 Scarlett zatrzymała się, aby wytchnąć, gdy biegła po doktora Meade. Patrząc na nią teraz zaśmiała się głośno i gorzko. Bystre stare oczy Mammy spojrzały na nią podejrzliwie i pytająco, ciekawość jej jednak nie została zaspokojona. Scarlett przypomniała sobie z pogardą ówczesne swoje przerażenie. Była wtedy opętana strachem, ogłupiała że strachu, bała się Jankesów, bała się bliskiego urodzenia dziecka Melanii. Teraz nie rozumiała, że mogła się bać jak dziecko spłoszone głośniejszym hałasem. I rzeczywiście, jakimż była dzieckiem, gdy sądziła, że Jankesi, ogień i klęska są najgorszymi rzeczami, jakie mogą ją spotkać! Jakież to były drobnostki wobec śmierci Ellen i stanu Geralda, wobec głodu, zimna, morderczej pracy i koszmaru niepewnego jutra. Jak łatwo przyszłoby jej być odważną wobec całej armii najeźdźców, a jak trudno było przeciwstawić się niebezpieczeństwu, które groziło Tarze! Nie, już nigdy w życiu nie będzie się bała niczego prócz nędzy.

Ulicą przejeżdżała teraz jakaś kareta, Scarlett podeszła więc do brzegu chodnika, aby przyjrzeć się, czy to ktoś znajomy jedzie, bo dom ciotki Pitty był jeszcze dość daleko. Razem z Mammy pochyliły się naprzód, kiedy powóz zrównał się z nimi, i Scarlett z gotowym uśmiechem omal go nie zatrzymała, gdy mignęła jej w oknie twarz kobiety — zbyt jaskrawe rude włosy pod ładną futrzaną czapeczką. Cofnęła się o krok, poznając tę twarz momentalnie. Była to Bella Watling. Scarlett wydało się, że Bella skrzywiła się z niechęcią na jej widok. Dziwne, że to ona właśnie była pierwszą znajomą, którą spotkała.

— Kto to taki? — zapytała Mammy nieufnie. — Znała cię, a nie ukłoniła się. Nigdy w życiu nie widziałam takich włosów. Nawet w rodzinie Tarletonów. Wyglądały — wyglądały jak pofarbowane!

— Są pofarbowane — odrzekła Scarlett krótko, przyśpieszając kroku.

— To ty znasz kobietę z farbowaną głową? Powiedz w tej chwili, kto to taki.

— To znana w mieście „taka” — rzekła Scarlett. — Daję ci słowo, że jej nie znam, więc uspokój się wreszcie.

— Boże miłosierny! — westchnęła Mammy i otworzyła w zdumieniu usta, patrząc z szaloną ciekawością za powozem. Nie widziała kobiety złych obyczajów od wyjazdu z Savannah przed przeszło dwudziestu laty, żałowała więc, że nie przypatrzyła się Belli uważniej.

— Była bardzo ładnie ubrana, miała ładny powóz i porządnego stangreta — wymamrotała. — Nie wiem, co sobie Pan Bóg myśli, że dopuszcza, aby takie kobiety tak wyglądały, kiedy my, przyzwoici ludzie, chodzimy głodni i prawie bosi.

— Pan Bóg już bardzo dawno przestał o nas myśleć — odrzekła Scarlett ostro. — I proszę cię, nie mów mi tylko teraz, że mama przewraca się w grobie słysząc, co mówię!

Bardzo chciała myśleć o Belli z pogardą, jak przystało cnotliwej kobiecie, ale nie mogła. Jeżeli plan jej powiedzie się, znajdzie się w tej samej sytuacji co Bella i utrzymywać ją będzie ten sam mężczyzna. Mimo że ani trochę nie żałowała swojej decyzji, prawdziwe naświetlenie tej sprawy trochę ją jednak zmieszało. „Nie będę teraz o tym myślała” — powiedziała sobie i przyśpieszyła kroku.

Minęły plac, na którym stał niegdyś dom Meade'ów; zostało z niego tylko kilka schodków i ścieżka, nigdzie nie prowadząca. Na miejscu domu Whitingów nie było nic, nawet fundamentów czy kominów, widać było tylko koleiny wozu, którym wywożono cegły. Murowany dom Elsingów był cały — miał nowy dach i nowe drugie piętro. Dom Bonnelów, źle naprawiony i z dachem, łatanym zwykłymi deskami zamiast dachówki, mimo opłakanego stanu wyglądał możliwie. W żadnym z tych domów nie było widać żywej duszy w oknie lub na ganku, z czego Scarlett była bardzo rada. Nie chciała teraz z nikim rozmawiać.

Wreszcie ukazał się nowy gontowy dach domu ciotki Pitty i jego czerwone mury, więc serce Scarlett zabiło mocniej. Jakże łaskawy był Bóg, że tak go uchronił, aby można go było naprawić! Z domu wychodził właśnie wuj Piotr z koszykiem przewieszonym przez ramię; spostrzegłszy Scarlett i Mammy, wlokącą się wolno, uśmiechnął się szeroko, z niedowierzaniem.

„Mogłabym ucałować tego starego głupca z radości, że go widzę” — pomyślała Scarlett wołając: — Pobiegnij po sole trzeźwiące cioci, Piotrze! To naprawdę ja!

Tego wieczora na stole ciotki Pitty pojawiła się nieodzowna kukurydza z mlekiem i suszony groszek. Jedząc je Scarlett przysięgła sobie, że obie potrawy znikną z jej stołu na zawsze, jak tylko będzie miała pieniądze. Bez względu na cenę, jaką będzie musiała za to zapłacić, postanowiła znowu mieć pieniądze, więcej niż na samo pokrycie podatków w Tarze... Choćby miała popełnić morderstwo, musi się dorobić wielkiego majątku.

W żółtym świetle lampy w jadalni zapytała ciotkę o jej finanse, wierząc wbrew rozsądkowi, że może krewni Karola będą jej mogli coś pożyczyć. Pytania jej nie były bynajmniej taktowne, Pitty jednak uradowana, że znowu rozmawia z kimś bliskim, wcale nie zwróciła uwagi na natarczywość Scarlett. że łzami w oczach zagłębiła się w szczegóły swoich nieszczęść. Nie wiedziała po prostu, gdzie się podziała jej ziemia, nieruchomości w mieście i pieniądze, wiedziała tylko tyle, że gdzieś znikły. Tak przynajmniej powiedział jej brat, Henryk. Nie był w stanie płacić podatków od jej majątku. Wszystko prócz domu, w którym mieszkała, przepadło i Pitty wcale się nie zastanawiała nad tym, że i dom do niej nie należał, ponieważ stanowił wspólną własność Melanii i Scarlett. Henryk ledwie mógł opłacać podatek za dom. Dawał jej co miesiąc jakąś drobnostkę na utrzymanie i to ją bardzo upokarzało, musiała jednak pieniądze te od niego przyjmować.

— Henryk mówi, że nie wie, jak zwiąże koniec z końcem wobec tych ciężarów, jakie dźwiga, i wysokich podatków, ale zdaje mi się, że kłamie i że ma masę pieniędzy, tylko mnie nie chce nic dawać.

Scarlett wiedziała, że wuj Henryk nie kłamie. Wyraźnie mówiły o tym listy, które otrzymywała od niego w związku z jej spadkiem po Karolu. Stary adwokat walczył dzielnie, aby uratować dla Wade'a i Scarlett przynajmniej dom i kawałek placu przy dawnej stacji. Scarlett wiedziała, jak wielką ofiarą było z jego strony już i to, że za nią płacił podatki.

„Rozumie się, że nie ma pieniędzy — myślała Scarlett ponuro. — Muszę zatem z mojej listy skreślić i jego, i Pitty. Nikt mi już nie zostaje prócz Retta. Będę musiała to zrobić. Muszę to zrobić. Nie chcę jednak myśleć o tym teraz... Muszę wyciągnąć ciotkę na rozmowę o Recie, abym mogła jej mimochodem napomknąć, żeby go zaprosiła tutaj”.

Uśmiechnęła się i uścisnęła mocno pulchne dłonie ciotki Pitty.

— Złota cioteczko — powiedziała — przestańmy teraz mówić o tak smutnych sprawach jak pieniądze. Zapomnijmy o nich i porozmawiajmy o rzeczach przyjemniejszych. Niech mi ciocia opowie, co słychać u naszych starych znajomych. Jak się miewają pani Merriweather i Maybelle? Słyszałam, że mały Rene Maybelle wrócił cało do domu. Jak się miewają panie Elsing i państwo Meade?

Pittypat poweselała na propozycję zmiany tematu i dziecinna jej twarz przestała ociekać łzami. Zaczęła szczegółowo opowiadać o dawnych sąsiadach, co porabiali, co nosili, jedli i myśleli. Opowiedziała że zgrozą, jak to przed powrotem Rene Picarda z wojny pani Merriweather i Maybelle musiały piec ciasta i sprzedawać je jankeskim żołnierzom, aby zarobić na życie. Coś podobnego! Czasem że dwudziestu Jankesów stało przed domem Merriweatherów i czekało, aż ciasta będą gotowe. Teraz, odkąd Rene jest w domu, jeździ starym wozem co dzień do koszar jankeskich i sprzedaje żołnierzom ciasta, babki i herbatniki. Pani Merriweather mówiła, że jak zaoszczędzi sobie trochę pieniędzy, otworzy sobie cukiernię w centrum miasta. Pitty nie chciała jej krytykować, ale ostatecznie... Co się jej tyczy, to wolałaby umrzeć z głodu niż mieć jakiekolwiek stosunki z Jankesami. Starała się pogardliwym spojrzeniem obrzucać każdego spotkanego żołnierza i nawet przechodziła w sposób wyraźnie obraźliwy na drugą stronę ulicy, chociaż w słotną pogodę było to bardzo utrudnione i przykre. Scarlett zrozumiała, że żadna ofiara, nawet zabłocenie bucików, nie była zbyt wielka dla Pittypat, jeżeli chodzi o podkreślenie wierności dla Konfederacji.

Doktorstwo Meade stracili dom, gdy Jankesi podpalili miasto, i teraz nie mieli pieniędzy ani ochoty na odbudowanie go, zwłaszcza że Darcy i Filip nie żyli. Pani Meade twierdziła, że nie chce mieć domu, czym bowiem jest dom bez dzieci i wnuków? Czuli się bardzo samotni, wprowadzili się więc do pani Elsing, która odbudowała zniszczoną część swego domu. Państwo Whiting także tam mieli jeden pokój, a i pani Bonnell mówiła, że się tam wprowadzi, jak tylko uda jej się wynająć swój dom jakiemuś oficerowi jankeskiemu z rodziną.

— Ale jakże się tam wszyscy mieszczą — zawołała Scarlett. — Przecież mieszka tam jeszcze pani Elsing, Fanny i Hugo...

— Pani Elsing z Fanny sypiają w salonie, a Hugo na strychu — wytłumaczyła Pitty, która znała wszystkie szczegóły życia swoich przyjaciół — Moja droga, przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale... pani Elsing nazywa ich wprawdzie swymi gośćmi, lecz — Pitty ściszyła głos — w rzeczywistości są jej lokatorami. Pani Elsing prowadzi teraz po prostu pensjonat! Czy to nie straszne?

— Uważam, że bardzo dobrze robi — rzekła Scarlett krótko. — Żałuję, że przez zeszły rok nie mieliśmy lokatorów w Tarze zamiast stałych gości. Może nie bylibyśmy teraz tak biedni.

— Scarlett, jakże możesz mówić podobne rzeczy? Twoja biedna matka przewraca się pewnie w grobie na myśl o braniu pieniędzy za gościnność w Tarze! Pewnie, że pani Elsing zmuszona była do tego, bo chociaż zabrała się do szycia, Fanny do malowania na porcelanie, a Hugon do handlu drzewem na opał, nie mogli związać końca z końcem. Wyobraź sobie tylko, że Hugonek musi handlować drzewem! A tak bardzo chciał zostać znanym adwokatem! Płakać mi się chce, jak pomyślę, do czego muszą się teraz zabierać nasi chłopcy!

Scarlett pomyślała o rzędach krzaków bawełny pod rozpalonym niebem Tary i o tym, jak ją bolały plecy od ciągłego pochylania się nad nimi. Przypomniała sobie, jak miała spuchnięte ręce: jak bardzo ją bolały, gdy orała pługiem, i wcale nie poczuła współczucia dla Hugona Elsinga. Jakże niemądra była stara Pitty i jak mimo ruiny wkoło niej, bezpieczna!

— Jeżeli nie lubi handlować, dlaczego nie zajmuje się prawem? Czy może nie wolno teraz praktykować w Atlancie?

— Ależ kochanie, wolno! Jest bardzo wielu adwokatów. Właściwie to nawet wszyscy się że wszystkimi procesują. Ponieważ spalono wszystko i nie ma linii granicznych, nikt dobrze nie wie, gdzie się czyje posiadłości kończą. Nie można jednak dostać za procesy honorariów, bo nikt nie ma pieniędzy. Hugo musi więc handlować... Och, zapomniałam prawie! Czy pisałam ci o tym? Jutro ślub Fanny Elsing, więc będziesz musiała na nim być. Pani Elsing bardzo się ucieszy, kiedy się dowie, że jesteś w Atlancie. Mam nadzieję, że masz jeszcze inną suknię prócz tej, którą nosisz. To nie znaczy, że ta sukienka jest brzydka — ale wydaje mi się, że może już trochę znoszona. Ach, a więc masz ładną suknię? Bardzo się z tego cieszę, bo to będzie pierwszy prawdziwy ślub w Atlancie od czasu, gdy miasto padło. Będą torty i wino, a potem tańce, choć nie rozumiem, jak pani Elsing może sobie na to pozwolić, tatka jest biedna.

— Za kogo Fanny wychodzi? Wydawało mi się, że po śmierci Dallasa McLure pod Gettysburgiem...

— Kochanie, nie powinnaś potępiać Fanny. Nie każdy jest tak wierny pamięci zmarłych, jak ty pamięci biednego Karolka. Poczekaj, przypomnę sobie. Jakże się nazywa? Nigdy nie pamiętam nazwisk... Tomasz jakiś tam. Znałam dobrze jego matkę, bośmy chodziły razem na pensję w La Grange. Ona była z domu Tomlinson z La Grange, a matka jej się nazywała... poczekaj chwilę... Perkins? Perkins? Perkinson! Tak, tak! że Sparty. Bardzo dobra rodzina, ale mimo to — tak, wiem, że nie powinnam tego mówić, ale doprawdy nie rozumiem, jak Fanny może za niego wychodzić!

— Czy pije lub...

— Ależ skąd! Ma doskonały charakter, ale, widzisz, został raniony odłamkiem pocisku nisko pod krzyżem i coś mu się stało w nogi, i teraz... teraz — przykro mi użyć tego słowa — chodzi jakiś rozkraczony. To bardzo brzydko wygląda — rozumiesz, że nie może wyglądać ładnie. Nie pojmuję, dlaczego ona za niego wychodzi.

— Dziewczęta muszą wychodzić za mąż.

— Przepraszam, wcale nie muszą — rzekła Pitty, urażona. — Ja wcale nie musiałam.

— Ależ, cioteczko, ja wcale nie miałam cioci na myśli! Wszyscy wiedzą, jakie ciocia miała powodzenie i jakie ma dotąd! Przecież stary sędzia Carlton robił do cioci takie oko, że ja...

— Ach, Scarlett, cicho! Ten stary wariat! — zachichotała Pitty, całkowicie udobruchana. — Przyznasz jednak, że Fanny miała takie powodzenie, że mogła zrobić lepszą partię, tym bardziej że nie wierzę, aby kochała tego Toma. Nie wierzę, żeby zapomniała Dallasa McLure, ale nie jest podobna do ciebie, kochanie. Tyś pozostała bardzo wierna biednemu Karolkowi, mimo żeś mogła wyjść za mąż że dwadzieścia razy. Mela i ja zawsześmy mówiły, że jesteś wyjątkowo wierna jego pamięci, chociaż wszyscy twierdzili, że jesteś kokietką bez serca.

Scarlett przełknęła to niezbyt taktowne wyznanie i zręcznie wypytywała Pitty o jednego znajomego po drugim, choć paliła się z niecierpliwości, aby wreszcie zaczepić o Retta. W żaden sposób nie mogła zapytać wprost o niego tak szybko po przyjeździe. Mogłoby to skierować myśli starszej pani na tory, których nie należało jej wskazywać. Pitty i tak będzie miała dość czasu na snucie domysłów, jeżeli Rett nie zechce się z nią ożenić.

Ciotka gawędziła wesoło, ciesząc się jak dziecko, że ma słuchaczkę. Sprawy w Atlancie układały się jak najgorzej, mówiła, że względu na podłe postępowanie republikanów Nie było końca ich występkom, najgorsze zaś było to, że mącili w głowach biednym Murzynom.

— Moja droga, przecież oni chcą Murzynom dać prawa wyborcze! Czy słyszałaś kiedyś coś podobnie głupiego? Chociaż... sama nie wiem... teraz kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że wuj Piotr ma znacznie więcej rozumu od wszystkich republikanów, których znam, i o wiele lepsze obejście, wuj Piotr jednak jest zbyt dobrze wychowany, aby chcieć głosować. Ten pomysł jednak przewrócił Murzynom zupełnie w głowach. Niektórzy z nich stali się zupełnie bezczelni. Wieczorami człowiek nie jest bezpieczny na ulicach, nawet w biały dzień spychają damy z chodników w błoto. A jeżeli mężczyźni ośmielają się protestować, aresztują ich i... Kochanie, czy powiedziałam ci, że kapitan Butler siedzi w więzieniu?

— Rett Butler?

Mimo iż wiadomość była przerażająca, Scarlett była zadowolona, że ciotka Pitty zaoszczędziła jej wprowadzenia do rozmowy nazwiska Retta.

— Tak, naprawdę! — Policzki Pitty zaróżowiły się z podniecenia. Wyprostowała się w fotelu. — Siedzi w więzieniu, ponieważ zabił Murzyna; możliwe, że go nawet powieszą! Wyobraź sobie, że mogliby powiesić kapitana Butlera!

Na chwilę oddech zamarł w płucach Scarlett. Bez słowa wpatrywała się w starszą panią, która była najoczywiściej zadowolona z wrażenia, jakie wywołała.

— Nie dowiedli mu jeszcze winy, ktoś jednak zabił Murzyna, który znieważył białą kobietę. Jankesi są bardzo rozgniewani, bo ostatnio pozabijano bardzo wielu natarczywych Murzynów. Kapitanowi Butlerowi nie mogą niczego dowieść, ale chcą kogoś ukarać dla przykładu, tak przynajmniej mówi doktor Meade. Doktor mówi, że jeżeli go powieszą, będzie to ich pierwszy przyzwoity postępek, ja jednak nie wiem, co o tym sądzić... I pomyśleć tylko, że kapitan Butler był u mnie tydzień temu, przyniósł mi śliczną kuropatwę w prezencie, pytał o ciebie i mówił, iż zdaje mu się, że cię obraził podczas oblężenia i że mu chyba nigdy nie przebaczysz.

— Jak długo ma siedzieć w więzieniu?

— Nikt tego nie wie. Może do czasu, gdy go powieszą, choć możliwe także, że nie uda im się dowieść mu tego zabójstwa. Jankesi mało troszczą się o to, czy ludzie są naprawdę winni, czy nie, byleby mogli kogoś powiesić. Bardzo są wściekli — Pitty tajemniczo ściszyła głos — z powodu Ku-Klux-Klanu. Czy w waszym powiecie jest już Klan? Kochanie, pewna jestem, że macie tam oddział, tylko Ashley nic wam o tym nie mówi. Członkowie Klanu muszą milczeć. Jeżdżą nocami przebrani jak duchy, odwiedzają Carpetbaggerów[[4]](#footnote-4), którzy kradną, i Murzynów, którzy zanadto się panoszą. Czasem tylko straszą ich i doradzają, aby opuścili Atlantę, ale kiedy nie chcą słuchać, batożą ich i — Pitty zniżyła głos do szeptu — czasem zabijają, a ciała zostawiają na widocznym miejscu z kartą Ku-Klux-Klanu... Jankesi są rozwścieczeni z tego powodu i chcą kogoś ukarać dla przykładu... Hugonek Elsing powiedział mi, jednak, że nie przypuszcza, aby Jankesi powiesili kapitana Butlera, ponieważ są przekonani, że on wie, gdzie są pieniądze, tylko nie chce powiedzieć. Starają się to z niego wydobyć.

— Pieniądze?

— Więc ty o niczym nie wiesz? Czy nie pisałam ci o tym? Kochanie, ależ tyś się zakopała w tej Tarze! Miasto całe huczało, gdy kapitan Butler wrócił z pięknym koniem z powozem i kieszeniami pełnymi pieniędzy, a my wszyscy nie mieliśmy co jeść. Wszyscy byli oburzeni, że dawny spekulant, który zawsze mówił obrzydliwe rzeczy o Konfederacji, ma tyle pieniędzy. Wszyscy umierali z ciekawości, aby się dowiedzieć, w jaki sposób uratował swoje pieniądze, ale nikt nie miał odwagi zapytać go o to, tylko ja jedna, on zaś roześmiał się tylko i powiedział: „Zapewniam panią, że nie w sposób uczciwy”. Wiesz sama, jak trudno z niego coś wydobyć.

— Ale przecież wiadomo, że zarobił pieniądze podczas blokady...

— Rozumie się, że tak. Pewną ich część. Ale to drobna część jego majątku. Wszyscy, nie wyłączając Jankesów, twierdzą, że Butler ma miliony dolarów w złocie, dawniej należące do rządu Konfederacji, i że gdzieś je ukrył.

— Miliony w złocie?

— A tak, kochanie, bo gdzież się mogło podziać złoto Konfederacji? Ktoś musi je mieć i kapitan Butler jest właśnie tym kimś. Jankesi przypuszczali, że miał je przy sobie prezydent Davis, gdy opuszczał Richmond, kiedy jednak schwytali tego biednego człowieka, okazało się, że nie ma centa. Skarb był pusty w chwili zawarcia pokoju, wszyscy więc sądzą, że pieniądze zabrali ludzie, którzy zajmowali się przemytem przez blokadę, a teraz kryją się z tym.

— Miliony w złocie! Ale jakim sposobem...

— Czy kapitan Butler nie przewoził tysięcy bel bawełny do Anglii i do Nassau i czy nie sprzedawał jej tam z ramienia rządu Konfederacji? — zapytała Pitty z tryumfem. — Woził nie tylko własną bawełnę, ale i rządową! A wiesz przecież, ile się w czasie wojny zarabiało na bawełnie! Osiągano każdą cenę! Butler był agentem rządu. Miał sprzedawać bawełnę, a za otrzymane pieniądze kupować broń i sprowadzać ją tutaj. Kiedy więc blokada zacieśniła się i nie mógł sprowadzać broni, nie wydawał pieniędzy otrzymanych za sprzedaną bawełnę, muszą więc być w angielskich bankach całe miliony dolarów złożone tam przez kapitana Butlera i innych aż do chwili, gdy blokada będzie zniesiona. Nie powiesz mi chyba, że złożyli te pieniądze w imieniu Konfederacji. Złożyli je we własnym imieniu i mają je tam jeszcze... Od czasu kapitulacji wszyscy tylko o tym mówią i surowo potępiają blokadowców. Kiedy Jankesi zaaresztowali kapitana Butlera za zabójstwo tego Murzyna, dowiedzieli się o tych pogłoskach i teraz chcą go zmusić, aby wyznał, gdzie są pieniądze Bo, wiesz, wszystkie fundusze Konfederacji należą teraz do Jankesów — przynajmniej Jankesom tak się zdaje. Kapitan Butler twierdzi jednak, że o niczym nie wie... Doktor Meade mówi, że powinni go w każdym razie powiesić, tylko że śmierć na szubienicy jest za dobra dla złodzieja i paskarza. Kochanie, dlaczego masz taką dziwną minę? Czy źle się czujesz9 Czy przejęłaś się tym, co ci powiedziałam? Wiedziałam, że pan Butler był kiedyś twoim wielbicielem, ale wydawało mi się, żeście się poróżnili już dawno temu. Ja osobiście nigdy do niego nie czułam zaufania, to taki nicpoń...

— Nigdy nie był moim wielbicielem — rzekła Scarlett z wysiłkiem. — Pokłóciłam się z nim podczas oblężenia, po wyjeździe cioci do Macon. Gdzie Butler jest teraz?

— W remizie straży ogniowej na rynku!

— W remizie?

Ciotka Pitty zaniosła się od śmiechu.

— Tak, siedzi w remizie. Jankesi przekształcili ją teraz na więzienie wojskowe. Obozują w barakach koło ratusza na rynku, a że remiza strażacka jest w najbliższej ulicy, więc tam trzymają Butlera. I wyobraź sobie, Scarlett, jaką ja śmieszną historię słyszałam wczoraj o Butlerze. Zapomniałam już, kto mi ją opowiedział. Wiesz, jaki on był zawsze elegancki, prawie jak dandys. Jankesi zaś trzymają go w tej remizie i nie pozwalają mu się kąpać, a że on co dzień domagał się kąpieli, więc wypuścili go wreszcie z celi na rynek, a tam stało duże koryto do pojenia koni, w którym poprzednio kąpał się cały pułk! Powiedzieli mu, że może się wykąpać, jeśli chce, on zaś powiedział, że nie, woli swój własny rodzony brud południowy od brudu jankeskiego i...

Scarlett słyszała wesoło paplający głos, ale słów już nie rozumiała. Po głowie krążyły jej tylko dwie myśli, że Rett ma więcej pieniędzy, niż przypuszczała, i że siedzi w więzieniu. Fakt, że siedzi i że prawdopodobnie zostanie powieszony, zmienił niejako perspektywę, trochę ją nawet rozjaśnił. Bardzo się mało przejęła faktem, że Retta mogliby powiesić. Potrzebowała pieniędzy zbyt gwałtownie, zbyt rozpaczliwie, aby zastanawiać się nad jego losem. Poza tym zgadzała się prawie z doktorem Meade, że szubienica jest dla Retta za dobra. Człowiek, który zdolny był zostawić kobietę samą w ciemną noc, między dwiema nieprzyjacielskimi armiami, bo zachciało mu się walczyć za dawno przegraną sprawę, zasługiwał na powieszenie... Gdyby udało jej się w jakiś sposób wyjść za niego za mąż w czasie jego pobytu w więzieniu, wszystkie te miliony przeszłyby po jego śmierci na nią. Gdyby zaś małżeństwo okazało się niemożliwe, może udałoby się jej uzyskać od niego pożyczkę obietnicą małżeństwa po jego wyjściu z więzienia lub obietnicą — och, czegokolwiek! Gdyby zaś go powiesili, umowa oczywiście przestałaby obowiązywać.

Przez chwilę zapaliła się do myśli, że mogłaby zostać wdową za łaskawym pośrednictwem rządu jankeskiego. Miliony w złocie! Mogłaby odnowić dom w Tarze, nająć wyrobników i zasadzić całe kilometry bawełny! Mogłaby sprawić sobie piękne suknie, mieć pod dostatkiem jedzenia, pomyśleć o Zueli i Karinie. Wade mógłby dostawać pożywne potrawy, aby zaokrągliły się wreszcie jego chude policzki, miałby ciepłe ubranka i guwernantkę, a potem poszedłby na uniwersytet... I nie musiałby już chodzić boso i być nieukiem jak jakiś małorolny. Ojcem zaopiekowałby się dobry lekarz, jeżeli zaś chodzi o Ashleya... Czegóż by nie zrobiła dla Ashleya!

Monolog ciotki Pitty został nagle przerwany. Zapytała niespokojnie: — Co powiesz, Mammy? — a Scarlett budząc się że swoich marzeń zobaczyła Mammy stojącą w drzwiach z rękami ukrytymi pod fartuchem i patrzącą na nią przenikliwym wzrokiem. Zaczęła się zastanawiać, jak długo Mammy stała na tym miejscu, ile widziała i co słyszała. Prawdopodobnie wszystko, jeżeli sądzić po błysku jej starych oczu.

— Miss Scarlett musi być bardzo zmęczona. Lepiej, żeby się położyła do łóżka.

— Jestem naprawdę zmęczona — rzekła Scarlett wstając i patrząc na Mammy dziecinnym, bezradnym spojrzeniem — i zdaje mi się, że się przeziębiłam. Ciociu, czy ciocia weźmie mi bardzo za złe, jeżeli jutro zostanę w łóżku i nie będę składała wizyt? Z wizytami mogę iść innego dnia, a bardzo bym chciała pójść wieczorem na ślub Fanny. A jeżeli nie przeleżę przeziębienia, nie będę chyba mogła pójść. Zresztą wyleżenie się w łóżku przez dzień bardzo mi dobrze zrobi.

Spojrzenie Mammy wyrażało lekki niepokój, gdy dotknęła dłoni Scarlett i zajrzała jej w oczy. Scarlett rzeczywiście źle wyglądała. Podniecenie jej minęło i teraz była blada i drżąca.

— Masz ręce jak lód, kochanie. Połóż się do łóżka, zrobię ci ziółka na poty i dam ci gorącą cegłę.

— Jakaż ja byłam bezmyślna.- zawołała starsza pani zrywając się z krzesła i klepiąc Scarlett po ramieniu. — Gawędziłam i gawędziłam, i wcale nie myślałam o tobie. Kochanie, zostań sobie jutro w łóżku i wypocznij, będziemy mogły się do woli jeszcze nagadać... Ach nie, nie! Nie mogę zostać jutro przy tobie. Przyrzekłam pani Bonnell, że z nią jutro posiedzę. Położyła się, bo ma grypę, a kucharka jej także jest chora. Mammy, bardzo jestem zadowolona, że jesteś tutaj. Będziesz musiała pójść tam że mną rano i pomóc mi trochę.

Mammy szybko popchnęła Scarlett ku ciemnym schodom, mrucząc coś gderliwie na temat zimnych rąk i cienkich butów, Scarlett zaś udawała bardzo potulną i była ogromnie zadowolona. Jeżeliby się jej tylko udało uśpić podejrzenia Mammy i pozbyć się jej rano z domu, wszystko poszłoby gładko. Pójdzie do więzienia i zobaczy się z Rettem. Wchodząc na schody usłyszała daleki głos grzmotów, przystanąwszy na półpiętrze pomyślała, że bardzo przypominają huk nieprzyjacielskich dział. Wzdrygnęła się. Grzmoty zawsze już chyba będą jej przywodziły na pamięć działa i wojnę.

## ROZDZIAŁ XXXIV

Następnego ranka słońce raz po raz kryło się za ciemne chmury, a szyby brzęczały od podmuchów ostrego wiatru. Scarlett zmówiła krótką dziękczynną modlitwę za to, że deszcz padający w nocy ustał, bo nie mogła długo usnąć w obawie, iż zniszczy jej aksamitną suknię i nowy czepek. Teraz, gdy widziała przebłyski słońca, nastrój jej poprawił się od razu. Ledwie mogła uleżeć w łóżku, robić zbolałe miny i pochrząkiwać, dopóki ciotka Pitty, Mammy i wuj Piotr nie poszli do pani Bonnell. Kiedy wreszcie zatrzasnęły się drzwi frontowe i została w domu sama z kucharką, która spokojnie śpiewała w kuchni, wyskoczyła z łóżka i wyjęła z szafy nową suknię.

Sen odświeżył ją, pokrzepił i dodał odwagi. Cieszyła ją myśl o perspektywie dyskusji z mężczyzną, a nawet rozweseliła ją; po wielu miesiącach walk z niezliczonymi niepowodzeniami przyjemna była świadomość, że wreszcie zmierzy się z określonym przeciwnikiem, którego być może pokona własnym wysiłkiem.

Ubranie się bez pomocy Mammy nie było rzeczą łatwą, wreszcie jednak dokonała tego i wkładając czepek z zawadiackimi piórami pobiegła do pokoju Pitty, aby przejrzeć się w dużym lustrze. Jakże ślicznie wyglądała! Pióra kogucie dodawały jej szyku, na tle ciemnozielonego aksamitu czepka oczy miały kolor prawie szmaragdowy. Suknia zaś była nieporównana, bogata i elegancka, a jednocześnie bardzo dystyngowana! Bardzo było przyjemnie znowu mieć ładną suknię. Miło było wiedzieć, że wygląda się ładnie i zalotnie. W nagłym przypływie radości Scarlett pochyliła się naprzód i pocałowała swoje odbicie w lustrze, po czym roześmiała się że swej głupoty. Zarzuciła na ramiona stary indyjski szal Ellen, ale ponieważ barwa spłowiałego jedwabiu gryzła się z kolorem sukni, otworzyła szafę ciotki Pitty, wyjęła z niej lekki czarny płaszcz sukienny, który Pitty nosiła tylko od święta, i włożyła go. Na przekłute uszy wsunęła diamentowe kolczyki, które przywiozła z Tary, i potrząsnęła głową, aby przekonać się, czy ładnie błyszczą. Wydały przyjemny dźwięk, który ją zadowolił, pomyślała więc, że musi pamiętać, aby często potrząsać głową w obecności Retta. Długie kolczyki zawsze przyciągały oczy mężczyzn — kobiety wyglądały w nich bardzo zalotnie.

Jaka szkoda, że ciotka Pitty nie miała innych rękawiczek prócz tych, które nosiła na tłustych dłoniach! Kobieta nie mogła uważać się za prawdziwą damę, jeżeli nie nosiła rękawiczek, Scarlett jednak od wyjazdu z Atlanty nie miała ani jednej pary. Długie miesiące ciężkiej pracy tak jej zniszczyły ręce, że stały się teraz prawie nieładne. Trudno, nie ma na to rady. Weźmie fokową mufkę ciotki Pitty i w niej ukryje gole ręce. To będzie dostatecznym podkreśleniem jej elegancji. Nikt, patrząc na nią teraz, nie podejrzewałby, że bieda i niedostatek pukały do jej drzwi.

Niezmiernie ważne było, żeby przede wszystkim Rett się tego nie domyślił. Powinien sądzić, że sprowadzają ją do niego najszczersze uczucia.

Na palcach zeszła że schodów i wyszła z domu, podczas gdy kucharka nadal darła się na cały głos w kuchni. Spiesznie skręciła w ulicę Piekarską, aby uniknąć argusowych oczu sąsiadów, i usiadła na słupku przy ulicy Bluszczowej, przed jakimś spalonym domem, czekając, czy nie nadjedzie powóz lub bryczka, które by ją podwiozły. Słońce to wynurzało się zza chmur, to znowu chowało, oświetlając ulicę przejściowym blaskiem, który nie miał w sobie ciepła; wiatr chwiał koronkowym obszyciem jej pantalonów. Było zimniej, niż przypuszczała, otuliła się więc mocniej cienkim płaszczem ciotki Pitty i dygotała z zimna i niecierpliwości. W chwili kiedy postanawiała już iść pieszo w długą drogę do koszar jankeskich, ukazał się na ulicy pogruchotany wóz. Powoziła nim stara kobieta z ustami pełnymi tytoniu, z twarzą ogorzałą od wiatru, mimo osłony spłowiałego czepka. Poganiała sennego muła w stronę ratusza i niezbyt chętnie zgodziła się podwieźć Scarlett. Widać jednak było, że suknia, czepek i mufka nie wzbudzają w niej zaufania.

„Myśli pewnie, że jestem kokotą — pomyślała Scarlett. — Nie wiadomo, czy się myli!”

Kiedy wreszcie zbliżały się do rynku i z daleka ukazała się biała kopuła ratusza, podziękowała kobiecie, zsiadła z wozu i poczekała, aż babina odjedzie. Rozejrzała się ostrożnie, czy nikt na nią nie patrzy, potem zaś zaczęła się szczypać w policzki, aby stały się rumiane, i przygryzać wargi, aby były czerwieńsze. Poprawiła sobie kapelusz i włosy i rozejrzała się po placu. Dwupiętrowy ratusz z czerwonej cegły przetrwał pożar miasta, ale pod ołowianym niebem wyglądał nędznie i nieporządnie. Otaczały go ciasno, całkowicie zapełniając dość obszerny plac, rzędy baraków wojskowych, brudnych i obryzganych błotem. Żołnierze jankescy kręcili się wszędzie, Scarlett popatrzyła na nich niepewnie i opuściła ją jakoś odwaga. Jak zdoła odnaleźć Retta w tym obozie nieprzyjaciela?

Spojrzała w stronę budynku straży ogniowej: szeroka sklepiona brama była zamknięta i zaryglowana, a po obu jej stronach przechadzali się dwaj wartownicy. Tam uwięziony był Rett. Co jednak ma powiedzieć jankeskim żołnierzom? Co oni jej powiedzą? Wyprostowała się nagle. Jeżeli nie bała się zabić jednego Jankesa, nie powinna się bać zagadać do innych.

Zaczęła się ostrożnie posuwać po kamieniach błotnistej uliczki, aż ją zatrzymał wartownik w płaszczu zapiętym pod samą szyję.

— Czego sobie pani życzy? — Głos jego miał dziwne, nosowe brzmienie, ale był pełen szacunku i grzeczności.

— Chciałabym się zobaczyć z pewnym panem — jest tutaj uwięziony.

— Ja o niczym nie wiem — rzekł wartownik drapiąc się w głowę. — Nie bardzo chętnie pozwalają na widzenia i... — Przerwał i spojrzał bystro na Scarlett. — Na Boga, proszę pani! Niech pani nie płacze! Niech pani idzie do dowództwa i poprosi któregoś z oficerów. Pewnie pozwolą pani zobaczyć się z nim.

Scarlett, która wcale nie miała zamiaru płakać, uśmiechnęła się teraz do żołnierza. Odwrócił się do drugiego wartownika, który wolno obchodził swoją rundę. — Hej, Bili! Chodź no tutaj!

Drugi żołnierz, barczysty chłop, otulony niebieskim płaszczem po same uszy, tak że widać było tylko zawadiackie czarne wąsiki, podszedł ku nim przez kałużę.

— Zaprowadź tę panią do dowództwa.

Scarlett podziękowała żołnierzowi i poszła za wartownikiem.

— Niech pani uważa i nie wykręci sobie kostki na tych kamieniach — rzekł żołnierz biorąc ją pod rękę. — I może pani trochę podniesie spódnicę, aby nie uwalać jej błotem.

Głos wydobywający się spod wąsów brzmiał tak samo nosowo jak poprzedni, ale był miły i uprzejmy, a dłoń podtrzymująca ją — mocna i pełna szacunku. Jankesi naprawdę nie byli tacy straszni!

— Bardzo dziś zimno. Damy nie powinny w taką pogodę wychodzić — rzekł jej towarzysz. — Czy pani z daleka przyszła?

— O tak, z przeciwnej strony miasta — odparła mniej ozięble, bo żołnierz miał miły głos.

— Nie powinna pani była wychodzić na taką pogodę — rzekł żołnierz z wymówką — powietrze jest teraz bardzo zdradliwe. Tutaj jest komenda placu, proszę pani... Co pani jest?

— Czy w tym domu... tutaj jest wasze dowództwo? — Scarlett spojrzała na piękny stary dom na rynku i zaczęło jej się zbierać na płacz. Podczas wojny bywała tutaj często na przyjęciach. Był to wesoły, przyjemny dom, a teraz... teraz powiewała na nim wielka flaga Stanów Zjednoczonych.

— Co się stało?

— Nic... tylko... tylko znałam ludzi, którzy tutaj mieszkali.

— O, to bardzo przykre. Myślę, że oni sami by tego domu nie poznali, gdyby go teraz zobaczyli, bo z pewnością został przewrócony do góry nogami. Niech pani teraz tu wejdzie i zapyta o kapitana.

Scarlett weszła po schodach, gładząc połamane białe poręcze, i pchnęła drzwi frontowe. Hali był mroczny i zimny jak piwnica. Dygocą :y wartownik opierał się o rozsuwane drzwi, teraz zamknięte, a w lepszych czasach prowadzące do jadalni.

— Chciałabym się widzieć z kapitanem — powiedziała.

Rozsunął drzwi i Scarlett weszła do pokoju. Serce biło jej mocno, twarz miała zarumienioną z zakłopotania i zdenerwowania. W pokoju panował zaduch, spowodowany ogniem kopcącym w kominku, dymem tytoniu, zapachem skóry, wilgotnych mundurów i nie domytych ciał. Widziała przed sobą niezbyt jasno nagie ściany o podartych tapetach, na hakach rzędy niebieskich płaszczy i kapeluszy o szerokich rondach, ogień na kominku, długi stół pokryty papierami i grupę oficerów w niebieskich mundurach z mosiężnymi guzikami.

Głośno przełknęła ślinę i odzyskała mowę. Nie da tym Jankesom poznać, że się boi. Musi wyglądać możliwie najładniej i zachowywać się z zupełną swobodą.

— Czy jest tutaj kapitan?

— Ja jestem kapitanem — rzekł tęgi mężczyzna w rozpiętej kurtce.

— Chciałabym się widzieć z kapitanem Butlerem, który jest tutaj uwięziony.

— Znowu Butler? Ależ ten człowiek ma powodzenie! — zaśmiał się kapitan wyjmując z ust rozmiękłe cygaro. — Czy pani jest jego krewną?

— Tak, jestem... jego... jego siostrą.

Znowu się zaśmiał.

— Ma widać bardzo dużo sióstr, jedna już była tutaj wczoraj.

Scarlett zarumieniła się. Pewnie jedna z tych kreatur, z którymi się Rett zadawał, może nawet Bella Watling. A Jankesi z pewnością sądzą, że ona także jest jedną z nich. Było to nie do zniesienia. Nawet dla Tary nie wytrzyma tego ani chwili dłużej i nie pozwoli się obrażać. Odwróciła się ku drzwiom i że złością sięgnęła do klamki, kiedy doszedł do niej szybko inny oficer. Był młody i starannie ogolony i miał wesołe, przyjazne oczy.

— Chwileczkę, proszę pani. Może zechce pani usiąść przy ogniu, w cieple? Zobaczę, co będę mógł w tej sprawie zrobić. Jak pani godność? Butler nie chciał widzieć tej... pani, która była tu wczoraj.

Osunęła się na podane krzesło, piorunując wzrokiem tęgiego kapitana, i podała swoje nazwisko. Sympatyczny młody oficer zarzucił płaszcz na ramiona i wyszedł z pokoju, pozostali zaś wojskowi skupili się przy dalszym końcu stołu i tam rozmawiali że sobą przyciszonymi głosami, przerzucając jakieś papiery. Scarlett wyciągnęła nogi przed ogniem, uświadamiając sobie po raz pierwszy, że są zmarznięte, i żałując, że nie włożyła kawałka tektury do pantofla, który miał dziurę w podeszwie. Po pewnym czasie usłyszała szept głosów za drzwiami i śmiech Retta. Drzwi otwarły się, zimny przewiew wtargnął do pokoju, wszedł Rett, bez kapelusza, w długiej pelerynie zarzuconej niedbale na ramiona. Był brudny, nie ogolony i bez krawata, ale mimo to jakiś ożywiony, a w ciemnych jego oczach pojawił się na jej widok błysk radości.

— Scarlett!

Wziął obie jej dłonie w swoje i jak zwykle, tak i teraz uścisk jego był gorący, podniecający i żywotny. Zanim zdążyła się spostrzec, pochylił się i pocałował ją w policzek, a wąsy jego musnęły ją lekko. Czując, że cofa się że zdumienia, objął ją mocno, powiedział: — Moja droga, mała siostrzyczko! — i roześmiał się do niej, jak gdyby zadowolony, że nie może się teraz opierać jego pieszczotom. Musiała się także roześmiać, bo dobrze wykorzystał tę okazję. Jakiż to był szelma! Więzienie nie zmieniło go ani na jotę.

Tęgi kapitan nie wyjmując cygara z ust mruczał coś do oficera o wesołych oczach.

— Wbrew przepisom. Powinien być w remizie. Znasz rozkazy.

— Och, na miłość boską, Henryku! Ta pani zmarzłaby w tej szopie.

— No, dobrze już, dobrze. Ale ty będziesz za to odpowiadał.

— Zapewniam was, panowie — rzekł Rett odwracając się do nich, ale nie wypuszczając Scarlett z objęć — że moja... siostra nie przyniosła mi piły ani pilnika, aby mi pomóc w ucieczce.

Wszyscy się roześmieli. Scarlett rozejrzała się dokoła. Wielkie nieba, czyż będzie musiała rozmawiać z Rettem w obecności sześciu jankeskich oficerów? Czy był aż tak niebezpiecznym więźniem, że nie mogli go ani na chwilę spuścić z oczu? Widząc jej niespokojne spojrzenie sympatyczny oficer otworzył drzwi i powiedział parę słów do dwóch szeregowych, którzy widząc go zerwali się na równe nogi. Wzięli karabiny na ramiona i wyszli do hallu zamykając za sobą drzwi.

— Widzisz, jakim ja jestem niebezpiecznym człowiekiem, Scarlett? — rzekł Rett. — Dziękuję bardzo, panie kapitanie. To bardzo z pana strony uprzejmie.

Skłonił się niedbale i biorąc Scarlett pod ramię pomógł jej wstać i poprowadził do brudnego pokoju. Nie mogła sobie nigdy potem przypomnieć, jaki był ten pokój, pamiętała tylko, że był mały i ciemny, niezbyt ciepły, że do poniszczonych ścian przybite były zapisane kartki papieru i że krzesła kryte były nie garbowaną skórą. Rett zamknąwszy drzwi podszedł do niej szybko i pochylił się nad nią. Wyczuwając jego pragnienie szybko odwróciła głowę, ale spod przymkniętych powiek uśmiechnęła się do niego prowokująco.

— Czy dasz mi się teraz porządnie pocałować?

— W czoło, jak przystało bratu — odpowiedziała z przesadną skromnością.

— Dziękuję, nie. Wolę poczekać na lepsze czasy. — Oczy jego spoczęły na długą chwilę na jej ustach. — Ale jak to dobrze, żeś mnie przyszła odwiedzić, Scarlett! Jesteś pierwszą szanującą się obywatelką, która mnie odwiedza od mego uwięzienia, a siedzenie w tym przybytku pozwala cenić prawdziwych przyjaciół. Kiedy przyjechałaś do Atlanty?

— Wczoraj po południu.

— I dziś rano już przyszłaś? Ależ moja droga, jesteś dla mnie więcej niż dobra. — Uśmiechnął się do niej z wyrazem szczerej wdzięczności. Scarlett uśmiechnęła się do siebie i opuściła głowę jak gdyby w zakłopotaniu.

— To zrozumiałe, że przyszłam tu przede wszystkim. Ciotka Pitty opowiedziała mi o tobie wczoraj... nie mogłam więc spać przez całą noc, bo ciągle myślałam, jakie to straszne. Rett, jestem po prostu w rozpaczy!

— Ależ Scarlett!

Głos jego był cichy i trochę drżący. Patrząc w jego ciemną twarz Scarlett nie dostrzegła w niej teraz zwykłego sceptycyzmu ani ironii, którą znała tak dobrze. Pod jego spojrzeniem musiała spuścić oczy w niekłamanym zmieszaniu. Sprawy układały się lepiej, niż mogła przypuszczać.

— Warto mi siedzieć w więzieniu, jeżeli mogę cię znowu widzieć i słyszeć od ciebie takie słowa. Nie wierzyłem własnym uszom, kiedy mi powiedziano twoje nazwisko. Widzisz, nie przypuszczałem wcale, że mi wybaczysz mój patriotyczny czyn owej nocy na drodze do Rough and Ready. Przypuszczam, że wizyta twoja znaczy, żeś mi przebaczyła?

Czuła, że na myśl o owej nocy, nawet po upływie tak długiego czasu, ogarnia ją znowu gniew, opanowała się jednak i mocno potrząsnęła głową, aby zabrzęczały kolczyki.

— Nie, nie przebaczyłam ci — powiedziała i wydęła usta.

— A zatem jeszcze jedna zawiedziona nadzieja. I mówisz to, mimo że poświęciłem się dla ojczyzny, walczyłem boso w śniegu pod Franklinem i nabawiłem się w nagrodę najwspanialszej dyzenterii, jaka kiedykolwiek istniała.

— Nie chcę nic wiedzieć o twoich... kłopotach — powiedziała, ciągle jeszcze nadąsana, ale uśmiechnęła się do niego. — Wciąż jeszcze uważam, że postąpiłeś podle owej nocy, i nie mam zamiaru nigdy ci tego przebaczyć. Zostawiłeś mnie samą, kiedy Bóg wie co mogło mi się przytrafić!

— Ale nic ci się nie przytrafiło. Widzisz więc, że moje zaufanie do ciebie było zupełnie usprawiedliwione. Wiedziałem, że dojedziesz cało do domu i że biedny będzie ten Jankes, który stanie na twojej drodze!

— Rett, dlaczego zrobiłeś rzecz tak głupią i zaciągnąłeś się do wojska w ostatniej chwili, mimo żeś wiedział, że zostaniemy pobici? Zwłaszcza że tyle wymyślałeś na idiotów, którzy narażają się na pewną śmierć!

— Scarlett, oszczędź mnie teraz! Nie posiadam się że wstydu, ilekroć o tym myślę.

— Bardzo się cieszę, że wstydzisz się przynajmniej tego, jak postąpiłeś w stosunku do mnie.

— Nie rozumiesz mnie. Przykro mi powiedzieć, że sumienie w najmniejszym stopniu mnie nie gryzie, że ciebie opuściłem. Co się zaś tyczy zaciągnięcia do wojska... kiedy myślę o tym, że wstąpiłem do szeregów w lakierowanych butach, w białym płóciennym ubraniu i z parą pistoletów do pojedynku... I przypominam sobie te mile marszów po zimnym śniegu, kiedy zdarły mi się buty, kiedy nie miałem płaszcza ani nic do jedzenia... Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie zdezerterowałem. To było najczystsze szaleństwo. Ale to się już ma we krwi. Południowcy nie potrafią się oprzeć pokusie walki o przegraną sprawę. Mniejsza jednak o moje motywy. Wystarcza mi, żeś mi przebaczyła.

— Wcale nie. Uważam, że jesteś podły. — Powiedziała jednak ostatnie słowo tak słodko, jak gdyby mówiła ,,kochany”.

— Nie blaguj. Przebaczyłaś mi na pewno. Młode damy nie narażają się jankeskim żołnierzom, aby odwiedzić więźnia z samej tylko litości, i nie zjawiają się w więzieniu w piórkach, aksamitach i fokowych mufkach. Scarlett, jakże ty ślicznie wyglądasz! Bogu dzięki, że nie nosisz łachmanów ani żałoby! Tak mi się znudziły kobiety w wyszarzałych sukniach i wiecznej krepie. Wyglądasz jak z Rue de la Paix. Odwróć się, moja droga, chcę ci się przyjrzeć.

A więc zauważył jej suknię. No tak, Rett na tego rodzaju rzeczy zawsze zwracał uwagę. Roześmiała się lekko podniecona i obróciła na czubkach palców z wyciągniętymi ramionami, aby było widać spod chwiejącej się krynoliny jej brzeżone koronką pantalony. Czarne oczy Retta objęły ją spojrzeniem od głowy po stopy, dawnym bezczelnym spojrzeniem, które obnażało ją i przyprawiało o gęsią skórkę.

— Wyglądasz bardzo zamożnie i jesteś bardzo, bardzo elegancka. Miałbym ochotę cię zjeść. Gdyby nie ci Jankesi za drzwiami... ależ nic ci nie grozi, moja droga. Usiądź. Nie chcę ci się teraz tak narzucać jak za ostatnim naszym widzeniem. — Potarł rękę o policzek z udanym zakłopotaniem. — Przyznaj się, Scarlett, czy nie uważasz, że byłaś trochę samolubna owej nocy? Pomyśl tylko, ile dla ciebie zrobiłem — naraziłem życie, ukradłem konia — i jakiego w dodatku! Poszedłem bronić naszej świętej sprawy! I co otrzymałem w zamian za swoje trudy? Kilka ostrych słów i bardzo bolesny policzek.

Usiadła. Rozmowa nie szła w przewidzianym przez nią kierunku. Rett wydawał się tak miły, kiedy ją zobaczył, tak szczerze zadowolony, że przyszła. Wydawał jej się prawie ludzką istotą, a nie przekornym łotrem, którego tak dobrze znała.

— Czy zawsze musisz coś dostawać za swoje trudy?

— Rozumie się! Jak zapewne wiesz, jestem potwornym egoistą. Zawsze oczekuję zapłaty za wszystko, co daję.

Znowu ją te słowa zmroziły, opanowała się jednak i potrząsnęła kolczykami.

— Och, nie jesteś wcale taki zły, Rett. Lubisz się tak tylko przechwalać.

— Daję słowo, żeś się zmieniła! — powiedział śmiejąc się. — Co z ciebie uczyniło chrześcijankę? Dopytywałem się o ciebie u panny Pitty, która wcale mi nie dała do zrozumienia, że rozwinęłaś w sobie kobiecą łagodność. Powiedz mi jeszcze coś o sobie, Scarlett. Coś robiła od czasu, gdy cię ostatni raz widziałem?

Dawna złość i niechęć do Retta znowu rozpłomieniła jej serce. Chciała mu powiedzieć kilka dotkliwych słów. Zamiast tego uśmiechnęła się jednak, pokazując mu dołeczki w policzkach. Przysunął swoje krzesło do jej krzesła, pochyliła się więc i położyła mu rękę na ramieniu, łagodnie i na wpół bezwiednie.

— Dziękuję, powodziło mi się nieźle i wszystko w Tarze jest teraz w zupełnym porządku. Mieliśmy wprawdzie straszne czasy po przejściu Shermana, ale nie spalili nam domu, Murzyni zaś uratowali większą część bydła, bo wygnali zwierzęta na moczary. Jesienią mieliśmy ładny zbiór, około dwudziestu bel bawełny. Pewnie, że to prawie nic w porównaniu z dawną wydajnością Tary, ale mamy niewielu parobków. Ojciec mówi, że na przyszły rok będzie znacznie lepiej. Tylko że, Rett, na wsi jest teraz tak nudno! Wyobraź sobie, że nie ma balów ani pikników, a ludzie nie przestają mówić o ciężkich czasach! Boże, jak mnie to wszystko nudzi! W zeszłym tygodniu już tak mi było smutno, że nie mogłam dłużej wytrzymać, więc papa powiedział mi, abym wyjechała i rozerwała się trochę. Przyjechałam więc, aby sobie coś sprawić, a potem pojadę do Charlestonu z wizytą do ciotki. Bardzo będzie przyjemnie móc znowu chodzić na bale.

„No — pomyślała z dumą — wypaplałam te bzdury z doskonale obojętną miną! Zrozumie, że nie jesteśmy już bogaci, ale z pewnością jeszcze nie biedni!”

— Ślicznie wyglądasz w sukniach balowych, Scarlett, co gorsza zaś, wiesz o tym dobrze! Mam wrażenie, że istotnym powodem twojego wyjazdu jest to, żeś się już zmęczyła wielbicielami z powiatu i chcesz sobie poszukać nowych w dalekich stronach.

Scarlett z ulgą przypomniała sobie, że Rett spędził kilka ostatnich miesięcy za granicą i dopiero niedawno wrócił do Atlanty. W przeciwnym wypadku nie- mógłby powiedzieć czegoś równie śmiesznego. Pomyślała krótko o „wielbicielach” z powiatu — wynędzniałych i zgorzkniałych Fontaine'ach, walczących z nędzą młodych Munroe'ach, o złotych młodzieńcach z Jonesboro i Fayetteville, tak zajętych oraniem, ciosaniem palików na płoty i leczeniem starych chorych zwierząt, że zupełnie zapomnieli o istnieniu balów i przyjemnych flirtów. Przestała jednak o tym obecnie myśleć i zachichotała z pewnym zakłopotaniem, przyznając mu całkowitą rację.

— Och, zresztą... — zaczęła pojednawczo.

— Jesteś istotą bez serca, Scarlett, ale może na tym polega tajemnica twego uroku. — Uśmiechnął się po dawnemu opuszczając jeden kącik ust, wiedziała jednak, że słowa te są komplementem. — Wiesz o tym doskonale, że masz więcej uroku, niż powinno być dozwolone prawem. Nawet ja, zatwardziały grzesznik, to odczuwam. Zastanawiałem się niejednokrotnie, dlaczego zawsze o tobie pamiętam, chociaż znam wiele pań ładniejszych od ciebie i z pewnością mądrzejszych, i obawiam się, o wiele bardziej prawych i dobrych. A jednak nigdy nie mogłem o tobie zapomnieć. Nawet w ciągu tego czasu, który spędziłem we Francji i w Anglii, gdy nie widziałem cię, nie słyszałem o tobie i doskonale się bawiłem w towarzystwie wielu pięknych pań, pamiętałem cię i często myślałem, co tez tutaj porabiasz.

Przez chwilę była oburzona, iż śmiał powiedzieć, że istnieją kobiety ładniejsze, mądrzejsze i lepsze od niej, ale chwilowy ten gniew szybko minął pod wpływem przyjemności, że Rett pamiętał ją i jej wdzięki. Nie mógł jej zapomnieć! To bardzo uprości sprawę. I zachowywał się bardzo poprawnie, prawie jak prawdziwy dżentelmen w podobnych okolicznościach. Teraz powinna była zwrócić rozmowę na temat jego osoby i dać mu do zrozumienia, że i ona o nim nie zapomniała, a wtedy...

Lekko uścisnęła jego ramię i znowu pokazała dołeczki.

— Och, Rett, jakże tak możesz dokuczać takiej wieśniaczce jak ja! Wiem doskonale, że nie myślałeś o mnie wcale od owej nocy. Nie wmówisz mi przecież, że pamiętałeś o mnie przebywając w towarzystwie wszystkich tych pięknych Francuzek i Angielek. Ale nie po to tu przyszłam, aby słuchać twoich głupstw o mnie... Przyszłam... przyszłam... ponieważ...

— Ponieważ?

— Och, Rett! Tak się o ciebie boję! Kiedyż oni wypuszczą cię wreszcie z tego okropnego więzienia?

Szybko pokrył jej dłoń swoją dłonią i mocno przycisnął do siebie.

— Zmartwienie twoje bardzo ci się chwali. Trudno przewidzieć, kiedy stąd wyjadę. Prawdopodobnie w chwili, gdy będzie założony stryczek.

— Stryczek?

— Tak, zdaje się, że pójdę prosto na szubienicę.

— Przecież chyba cię nie powieszą?

— Powieszą, jeżeli potrafią dowieść mi winy.

— Och, Rett! — zawołała z ręką na sercu.

— Czy będziesz się naprawdę martwiła? Jeżeli zmartwisz się choć trochę, zapiszę ci coś w spadku.

Ciemne jego oczy śmiały się do niej beztrosko i znowu ścisnął jej rękę.

W spadku! Szybko opuściła wzrok bojąc się, aby się nie zdradzić, nie dość szybko, bo oczy Retta zaświeciły nagłą ciekawością.

— Zdaniem Jankesów powinienem zostawić piękny spadek. W chwili obecnej zdają się bardzo interesować moimi finansami. Co dzień taszczą mnie przed inną komisję śledczą i zasypują głupimi pytaniami. Kursuje podobno pogłoska, jakobym to ja uciekł z mitycznym złotem Konfederacji.

— No, a czy tak nie jest?

— Jakież to istotne pytanie! Wiesz równie dobrze jak ja, że Konfederacja prowadziła zakłady drukarskie zamiast mennicy.

— A skąd masz tyle pieniędzy? Czy zarobiłeś na spekulacjach? Ciotka Pitty mówi...

— Jakież ty kłopotliwe pytania zadajesz!

A niechże go! Rozumie się, że ma te pieniądze. Była tak podniecona, że z trudem jej przychodziło udawać zainteresowanie Rettem.

— Rett, ja się tak strasznie martwię, że ty tutaj siedzisz. Czy jest nadzieja, że cię stąd wypuszczą?

— Nihil desperandum — oto moje motto.

— Co to znaczy?

— To znaczy „być może”, moja urocza ignorantko.

Zatrzepotała powiekami podnosząc na niego wzrok. Po chwili znowu opuściła oczy.

— Och, jesteś zbyt mądry, aby się im pozwolić powiesić! Wiem, że wymyślisz jakiś sprytny sposób, aby ich przekonać o swojej niewinności i wydostać się stąd! A kiedy się wydostaniesz...

— A kiedy się wydostanę? — zapytał cicho, przysuwając się bliżej.

— Wtedy ja... — udała śliczne zmieszanie i zarumieniła się. Rumieniec nie przyszedł jej z trudem, bo brakło jej naprawdę tchu i serce waliło jak młotem. — Rett, przepraszam cię za to, co powiedziałam... tej nocy... wiesz... pod Rough and Ready. Byłam... tak bardzo przerażona i zdenerwowana, a ty byłeś tak. . tak.. — Spuściła oczy i poczuła, że ciemna jego dłoń zacieśnia uścisk na jej dłoni. — I... sądziłam, że nigdy ci już nie przebaczę! Ale kiedy ciotka Pitty powiedziała mi wczoraj, że jesteś... Że mogą cię powiesić... zrozumiałam nagle, że... że... — Spojrzała mu w oczy szybko i błagalnie i w spojrzeniu tym zawarła rozpacz złamanego serca. — Och, Rett, umrę, jeżeli cię powieszą! Nie zniosę tego! Widzisz, ja... — I ponieważ nie mogła dłużej znieść gorącego blasku jego oczu, znowu opuściła powieki.

„Za chwilę zacznę płakać — pomyślała że zdumieniem i zakłopotaniem. — Czy mam zacząć płakać? Czy wyda mu się to bardziej naturalne?”

Powiedział szybko: — Boże mój, Scarlett, nie chcesz przecież powiedzieć, że mnie... — i dłonie jego zamknęły się na jej dłoniach tak mocno, że aż ją to zabolało.

Szczelnie przymknęła oczy starając się wydusić z nich łzy, pamiętała także i o tym, aby lekko podnieść głowę, by Rett mógł ją bez trudu pocałować. Zaraz, za chwilę, usta jego spoczną na jej ustach, twarde, natarczywe wargi, które przypomniała sobie nagle tak żywo, że aż poczuła się słabo. Rett nie pocałował jej jednak. Rozczarowana i zdziwiona, odemknęła trochę oczy i spojrzała ukradkiem na niego. Czarna jego głowa pochylona była nad jej rękami. Podczas gdy go obserwowała, podniósł jedną jej rękę i pocałował, drugą zaś przyłożył sobie na chwilę do policzka. Zdumiała się tym łagodnym i pełnym miłości gestem, bo spodziewała się objawów namiętności. Była ciekawa, jak Rett teraz wygląda, ale nie widziała jego twarzy, bo głowę miał nisko pochyloną.

Szybko spuściła oczy, aby nie widział ich spojrzenia, w razie gdyby nieoczekiwanie podniósł głowę. Wiedziała, że uczucie tryumfu, który ją wypełniał, odmaluje się wyraźnie w jej oczach. Za chwilę poprosi o jej rękę albo przynajmniej powie, że kocha ją, wtedy zaś... Kiedy obserwowała go tak zza zasłony rzęs, odwrócił jej rękę dłonią do góry, aby i dłoń także pocałować, i nagle szybko zaczerpnął powietrza. Schylając się trochę, spojrzała na własną dłoń, przyjrzała się jej dokładnie po raz pierwszy od roku i ogarnął ją przeraźliwy strach. Była to dłoń nieznajomej, nie bezsilna, biała, miękka dłoń Scarlett O'Hara. Ręka jej była spracowana, opalona, poplamiona piegami. Paznokcie były połamane i nierówne, na poduszeczkach dłoni miała duże odciski, na kciuku — na wpół zagojony pęcherz. Czerwona blizna po oparzeniu gorącym tłuszczem była brzydka i błyszcząca. Popatrzyła z przerażeniem na rękę i mimo woli zacisnęła ją w pięść.

Rett ciągle jeszcze nie podnosił głowy. Wciąż jeszcze nie widziała jego twarzy. Siłą otworzył jej zaciśniętą pięść i znowu przyglądał się dłoni, potem wziął drugą rękę i patrzył na obydwie w milczeniu.

— Spójrz na mnie — powiedział wreszcie, podnosząc głowę, a głos jego brzmiał bardzo spokojnie. — I przestań się patrzeć na mnie tak pokornie.

Wbrew woli spojrzała mu w oczy, a na twarzy jej odmalowało się zmieszanie i wyzwanie. Czarne jego brwi były podniesione, a oczy płonęły.

— Twierdzisz więc, że w Tarze wszystko układa się pomyślnie, prawda? Zebrałaś tyle pieniędzy że zbiorów, że możesz jeździć z wizytami. A co robiłaś rękami, czyś orała?

Starała się wyrwać mu dłonie, Rett jednak trzymał je mocno i palcem wodził po odciskach. — To nie są ręce damy — rzekł i położył je na kolanach.

— Och, uspokój się! — zawołała odczuwając niewymowną ulgę, że może wreszcie mówić szczerze. — Kogo to może obchodzić, co robię swoimi rękoma?

„Jakaż ja jestem głupia — pomyślała z pasją. — Powinnam była pożyczyć czy choćby ukraść rękawiczki ciotki Pitty. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że moje ręce aż tak źle wyglądają. Mogłam się była spodziewać, że je zauważy. A teraz rozzłościłam się i wszystko prawdopodobnie zepsułam. Och, że też to musiało się zdarzyć w chwili, gdy był bliski oświadczenia się!”

— Mnie to z pewnością nic nie obchodzi — rzekł Rett chłodno i rozparł się leniwie na krześle, z twarzą znowu nieodgadnioną.

A więc będzie znowu przykry. Trudno, będzie musiała i to znieść łagodnie, aby obronną ręką wyjść z tej opresji, choć było to jej bardzo nie w smak. Gdyby znowu spróbowała czule przemawiać...

— Jesteś bardzo niemiły, że tak mi wypominasz stan moich biednych rąk. Dlatego że w zeszłym tygodniu pojechałam konno bez rękawiczek i trochę je zniszczyłam...

— Jeździłaś konno, a jużci! — powiedział chłodno jak przedtem. — Pracowałaś tymi dłońmi, pracowałaś jak Murzyn. Co na to odpowiesz? Dlaczego kłamałaś mówiąc, że w Tarze wszystko w porządku?

— Ależ Rett...

— Może wolisz, abyśmy się postarali wspólnie dociec prawdy. Jaki jest prawdziwy cel twojej wizyty? Zdołałaś już prawie mnie przekonać swymi kokieteryjnymi minkami, że zależy ci na mnie i że mnie żałujesz.

— Och, przecież żałuję cię! Naprawdę...

— Nie, to nieprawda. Mogą mnie powiesić wyżej niż Hamana, a to cię nic nie obejdzie. To jest równie wyraźnie wypisane teraz na twojej twarzy, jak ciężka praca wypisana jest na twoich dłoniach. Potrzebujesz czegoś ode mnie, potrzebujesz tak bardzo, że warto ci było odegrać komedię. Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wyraźnie i nie byłaś szczera? Miałabyś znacznie większe szansę, że spełnię twoją prośbę, bo w kobietach cenię jedynie szczerość. Ale nie, przyszłaś tu potrząsając kolczykami, strojąc minki i mizdrząc się jak prostytutka do puszczalskiego klienta.

Nie podniósł wcale głosu na ostatnich słowach ani w inny sposób nie podkreślił, ale Scarlett wydały się jak smagnięcie batem i z rozpaczą w sercu pożegnała się z resztkami nadziei, że Rett poprosi ją o rękę. Gdyby wybuchnął gniewem i zranioną miłością własną czy robił jej wyrzuty, jak to uczyniliby inni mężczyźni, umiałaby sobie ż nim poradzić. Śmiertelny jednak spokój jego głosu przeraził ją, zdezorientował co do następnego posunięcia. Mimo że Rett był w więzieniu i że w sąsiednim pokoju siedzieli Jankesi, zrozumiała nagle, że jest zbyt niebezpiecznym mężczyzną, aby mu się narażać.

— Zawiodła mnie prawdopodobnie pamięć. Nie powinienem był zapomnieć, że jesteś zupełnie do mnie podobna i że nigdy nie robisz niczego bezinteresownie. Poczekaj, zastanowimy się nad tym razem. Co też takiego mogłaś zamyślać, pani Hamilton? Niemożliwe przecież, abyś się tak omyliła, by przypuszczać, że zaproponuję ci małżeństwo?

Twarz Scarlett stała się purpurowa. Nic nie odpowiedziała.

— Bo czyżbyś mogła zapomnieć o moich często powtarzanych słowach, że nie należę do mężczyzn, którzy się żenią?

Ponieważ w dalszym ciągu milczała, powiedział z nagłą gwałtownością:

— Czy zapomniałaś? Odpowiedz.

— Nie zapomniałam — powiedziała bezradnie.

— Cóż z ciebie za ryzykant, Scarlett — zadrwił. — Zdawało ci się, iż odcięcie od towarzystwa kobiet tak na mnie podziała, że złapię się na twoje sztuczki jak ryba na haczyk.

„A właśnie żeś się złapał — myślała Scarlett ż wewnętrzną pasją — i gdyby nie moje ręce...”

— A więc znamy teraz już większą część prawdy, wszystko, prócz twoich pobudek. Postaraj się opowiedzieć mi teraz, dlaczego chciałaś mnie doprowadzić do małżeństwa.

W głosie jego zabrzmiała łagodna, prawie przyjazna nutka, więc Scarlett nabrała otuchy. Może jednak nie wszystko przepadło. Pewnie, że należało pogrzebać nadzieję małżeństwa, ale mimo zakłopotania była z tego raczej zadowolona. W tym siedzącym bez ruchu mężczyźnie było coś tak niesamowitego, że myśl o małżeństwie z nim wydała jej się teraz straszna. Może jednak, jeżeli będzie ostrożna i zagra na jego współczuciu i wspomnieniach, będzie mogła uzyskać pożyczkę. Ułożyła twarz w błagalną i dziecinną minkę.

— Och Rett, możesz mi bardzo pomóc, gdybyś tylko chciał być dobry.

— Niczego więcej nie pragnę niż być dla ciebie... dobry...

— Rett, że względu na naszą dawną przyjaźń chcę, abyś mi wyświadczył pewną przysługę.

— A więc wreszcie dama z odciskami na dłoniach zdecydowała się przejść do sedna rzeczy. Zawsze mi się wydawało, że wizyty u chorych i uwięzionych nie są właściwą twoja rolą. Czego zatem chcesz? Pieniędzy?

Szczerość jego pytania zniweczyła nadzieję, że zdoła przejść do tej sprawy bardziej okólną i sentymentalną drogą.

— Nie bądź wstrętny, Rett — zaczęła przypochlebnie. — To prawda, że potrzeba mi trochę pieniędzy. Chcę, abyś mi pożyczył trzysta dolarów.

— A więc nareszcie prawda! Mówi się o miłości, a myśli o pieniądzach. Jakie to typowo kobiece! Czy pieniądze są ci bardzo potrzebne?

— O, tak... To jest... nie bardzo, ale mogłyby mi się przydać.

— Trzysta dolarów. To duża suma. Na co jej potrzebujesz?

— Na zapłacenie podatków.

— A więc chcesz pożyczyć ode mnie pieniędzy. Ponieważ traktujesz to jako interes, i ja potraktuję to tak samo. Jaką możesz mi dać gwarancję?

— Jaką co?

— Gwarancję — zabezpieczenie mojej pożyczki. Rozumiesz przecież, że nie chciałbym stracić całej tej sumy. — Głos jego był zdradziecko uprzejmy, prawie jedwabisty, ale Scarlett nie zauważyła tego prawie. Może wszystko ułoży się jeszcze gładko.

— Moje kolczyki.

— Niepotrzebne mi kolczyki.

— Dam ci hipotekę na Tarę.

— A cóż mi po fermie?

— No, mógłbyś... mógłbyś... to doskonała plantacja. Nie straciłbyś na pewno. Zapłacę ci po nowych zbiorach.

— Nie jestem tego tak bardzo pewien. — Odchylił się z krzesłem do tyłu i włożył ręce do kieszeni. — Cena bawełny bardzo spadła. Czasy są ciężkie i o pieniądze trudno.

— Och, Rett, dokuczasz mi umyślnie? Przecież masz miliony. Spojrzenie jego było teraz pełne życzliwej złośliwości.

— A więc wszystko jest w najlepszym porządku i pieniądze „mogłyby ci się przydać”. Bardzo się z tego cieszę. Miło jest wiedzieć, że starym przyjaciołom dobrze się powodzi.

— Och, Rett, na miłość boską... — zaczęła z rozpaczą, tracąc już odwagę i panowanie nad sobą.

— Mów trochę ciszej. Nie chcesz chyba, aby cię słyszeli Jankesi. Czy mówił ci ktoś kiedyś, że masz oczy jak kot... jak kot czający się w ciemnościach?

— Rett, przestań! Powiem ci wszystko. Pieniądze potrzebne mi są bardzo. Kłamałam mówiąc, że wszystko jest w porządku. Wszystko układa się jak tylko może być najgorzej. Ojciec jest... ojciec zupełnie się zmienił. Zdziwaczał bardzo od czasu śmierci mamy i nie jest w stanie pomagać mi. Zupełnie zdziecinniał. Nie mamy ani jednego parobka do pracy na plantacji, a do wyżywienia jest trzynaście osób. Podatki... podatki są bardzo wysokie. Rett, powiem ci wszystko. Od przeszło roku jesteśmy na skraju nędzy. Och, ty nic nie wiesz! Nie możesz wiedzieć! Nie mamy nigdy dość jedzenia, a to strasznie budzić się głodnym i głodnym kłaść się spać. Nie mamy ciepłej odzieży, dzieci są stale zmarznięte i chore, i...

— Skąd masz tę piękną suknię?

— Uszyta jest z portier mamy — odpowiedziała zbyt zrozpaczona, aby zmyślić coś dla uniknięcia i tego wstydu. — Zniosłam jakoś głód i zimno, ale teraz... teraz Carpetbaggerzy podnieśli nam podatki. Trzeba zapłacić je od razu. Nie mam zupełnie pieniędzy poza jedną pięciodolarową sztuką złota. Muszę mieć pieniądze na podatki! Czy tego nie rozumiesz? Jeżeli ich nie zapłacę, stracę... stracimy Tarę, a nie możemy jej stracić! Nie mogę do tego dopuścić!

— Dlaczego nie powiedziałaś mi przedtem o tym wszystkim, zamiast działać na moje wrażliwe serce, bardzo zawsze miękkie, gdy w grę wchodzą piękne panie? Nie, Scarlett, nie płacz. Próbowałaś już wszystkich sztuczek z wyjątkiem tej jednej i tego już nie zniosę. Odczuwam już i tak wielkie rozgoryczenie, że to pieniądze, a nie moja czarująca osoba była przedmiotem twoich westchnień.

Pamiętała, że często wypowiadał nieprzyjemne prawdy o samym sobie, kiedy tak szydził — z siebie w tym samym stopniu co z innych — szybko więc spojrzała na niego. Czyżby rzeczywiście zraniła jego uczucia? Czy rzeczywiście zależało mu na niej? Czy byłby się jej oświadczył, gdyby nie spojrzał na jej ręce? Czy też chciał tylko ponowić tę obrzydliwą propozycję, którą wysuwał już dwa razy? Jeżeli rzeczywiście ją kocha, zdoła go może ugłaskać. Rett śmiał się cicho do siebie, a czarne jego oczy ślizgały się po niej bez cienia czułości.

— Nie odpowiada mi twoja gwarancja. Nie jestem plantatorem. Co innego mogłabyś mi jeszcze zaproponować?

A więc przyszło to, czego się bała. Trudno! Odetchnęła głęboko i spojrzała mu prosto w oczy, bez kokieterii i słodkich minek, przygotowana na sprostanie temu, czego się obawiała najwięcej.

— Mam... mam jeszcze siebie.

— A więc?

Podbródek jej stał się prawie kwadratowy, a oczy pociemniały.

— Czy pamiętasz pewien wieczór na ganku ciotki Pitty, podczas oblężenia? Powiedziałeś wtedy... powiedziałeś, że bardzo mnie pragniesz.

Rozparł się wygodniej na krześle i popatrzył na jej napiętą twarz z nieprzeniknionym wyrazem oczu. Coś mu w oczach błyskało, ale nic nie powiedział.

— Powiedziałeś... powiedziałeś, że nigdy żadnej kobiety nie pragnąłeś tak bardzo jak mnie. Jeżeli chcesz mnie jeszcze, mogę być twoją, Rett, zrobię wszystko, co zechcesz, ale na Boga, daj mi rewers na te pieniądze! Słowo moje jeszcze coś znaczy. Przysięgam ci. Nie cofnę się już. Podpiszę ci to, jeżeli zażądasz.

Patrzył na nią dziwnie, ciągle jeszcze nieodgadniony. Szybko mówiąc dalej, nie wiedziała, czy jest ubawiony, czy też czuje do niej wstręt. Gdyby choć słowo powiedział, jedno słowo! Czulą, że policzki jej zaczynają płonąć.

— Muszę te pieniądze mieć szybko, Rett. Inaczej wyrzucą nas na dwór, ten przeklęty dawny rządca kupi nasz dom i...

— Chwileczkę. Dlaczego przypuszczasz, że jeszcze cię pragnę? Dlaczego przypuszczasz, że warta jesteś aż trzysta dolarów? Większość kobiet nie ceni się tak wysoko.

Zarumieniła się po nasadę włosów. Upokorzenie jej było zupełne.

— Dlaczego to robisz? Dlaczego nie zostawisz tej fermy i nie przeprowadzisz się do panny Pittypat? Połowa jej domu należy do ciebie.

— Boże święty! — krzyknęła. — Czyś ty zmysły postradał? Przecież nie mogę opuścić Tary! To mój dom. Nie chcę go opuścić. Będę o niego walczyła do ostatniego tchnienia!

— Irlandczycy — powiedział prostując się w krześle i wyjmując ręce z kieszeni — są najdziwniejszym narodem na świecie. Przywiązują wagę do spraw zupełnie nieważnych. Do ziemi na przykład. A przecież każde dwa kawałki ziemi są do siebie podobne. Załatwmy jednak twoją sprawę, Scarlett. Zwracasz się do mnie z pewną propozycją. Dam ci trzysta dolarów, jeżeli zostaniesz moją kochanką.

— Dobrze.

Teraz, gdy padło to nienawistne słowo, poczuła się trochę lepiej i znowu zbudziła się w niej nadzieja. Powiedział: — Dam ci. — W oczach jego pojawiły się diabelskie ognie, jak gdyby był czymś serdecznie ubawiony.

— A przecież kiedy ośmieliłem się zrobić ci dawniej tę propozycję. wyrzuciłaś mnie za drzwi. Rzuciłaś także pod moim adresem wiele brzydkich wyzwisk i mimochodem wspomniałaś, że nie życzysz sobie ,,kupy dzieciaków”. Nie, moja droga, bynajmniej ci tego nie wypominam. Sądzę tylko, że jesteś pełna sprzeczności. Nie chciałaś tego zrobić dla własnej przyjemności, teraz zaś chcesz to zrobić, aby odpędzić wilka od swoich drzwi. To dowodzi słuszności mojego poglądu, że cnota jest tylko kwestią ceny.

— Och, Rett, po co ty tyle mówisz! Jeżeli chcesz mnie obrażać, proszę bardzo, ale daj mi pieniądze…

Oddychała teraz swobodniej . Znając Retta przewidywała, że zechce męczyć ją i obrażać, ile się da, aby odpłacić jej za wszystkie jej dawne docinki i obecnie nieudane sztuczki. Zniesie więc i to. Zniesie wszystko. Tara warta jest tego. Przez krótką chwilę wydawało jej się, że znowu jest letnie popołudnie, że niebo jest niebieskie; że leży senna na trawie w Tarze, patrzy na kłębiące się obłoki, czuje zapach białego kwiecia koniczyny i słyszy przyjemne, pracowite brzęczenie pszczół. Jest popołudnie, słychać dalekie skrzypienie wozów wracających z falistych czerwonych pól... Tara warta jest tego, warta nawet więcej.

Podniosła głowę.

— Czy dasz mi pieniądze?

Spojrzał na nią, jak gdyby bardzo ubawiony. Kiedy przemówił, w głosie jego brzmiała nuta brutalności.

— Nie, nie dam!-powiedział.

Przez chwilę nie mogła pojąć tych słów.

— Nie mógłbym ci ich nawet, choćbym chciał. Nie mam przy sobie ani centa. W Atlancie nie mam ani dolara. Mam trochę pieniędzy, owszem, ale nie tutaj. I nie powiem ci, gdzie są ani ile ich jest. Gdybym jednak dał ci na nie przekaz, Jankesi rzuciliby się na mnie jak sfora psów i żadne z nas nic by z nich nie miało. Co na to teraz powiesz?

Twarz Scarlett stała się ziemistozielona, na nosie wyraźniej zaznaczyły się piegi, a skrzywione usta przypominały usta Geralda podczas ataku furii. Porwała się na nogi z nieartykułowanym krzykiem, na którego dźwięk ustały od razu rozmowy w sąsiednim pokoju. Szybki jak pantera Rett przyskoczył do niej, położył jej ciężką dłoń na ustach, otoczył ramieniem talię. Wyrywała mu się zajadle, starając się ugryźć go w rękę, kopiąc go po nogach, chcąc wykrzyczeć swoją wściekłość, rozpacz, nienawiść, gorycz upokorzenia. Wykręcała się na wszystkie strony z żelaznego uścisku jego ramienia, serce jej mało nie pękło, bo ciasny stanik nie pozwalał swobodnie oddychać. Rett jednak trzymał ją tak mocno, tak brutalnie, że bolały ją kości, ręka zaś jego na ustach raniła jej nieledwie szczęki. Twarz jego zbladła teraz pod opalenizną, oczy były pełne niepokoju, kiedy udało mu się wreszcie podnieść ją z podłogi, przycisnąć do piersi i usiąść na krześle. Scarlett bez przerwy usiłowała mu się wyrwać.

— Kochanie, na miłość boską, przestań! Uspokój się! Nie krzycz! Jankesi tu wejdą, jeżeli nie przestaniesz krzyczeć. Uspokój się trochę. Czy chcesz, aby Jankesi zobaczyli cię w takim stanie?

Było jej wszystko jedno, kto ją zobaczy, wypełniało ją tylko jedno pragnienie — zabić Retta. Czuła jednak, że opuszczają ją siły. Nie mogła oddychać, bo Rett ją dusił. Gorset gniótł ją jak żelazna obręcz; uścisk jego ramion sprawiał, że trzęsła się w bezlitosnej nienawiści i pasji. Nagle głos jego stał się cichy i przytłumiony, pochylona nad nią twarz odpłynęła w nieprzyjemną mgłę, która zagęszczała się coraz bardziej — aż przestała widzieć Retta i nie widziała nic.

Kiedy wreszcie zaczęła przychodzić do siebie, była śmiertelnie zmęczona, słaba, zdumiona. Siedziała na krześle, czepek leżał gdzieś obok, Rett bił ją po rękach, a czarne jego oczy przyglądały się jej z niepokojem. Miły młody kapitan starał się wlać jej koniak do ust i rozlewał go po jej szyi. Reszta oficerów stała bezradnie dokoła, szepcząc coś i wymachując rękami.

— Zdaje mi się, że... zemdlałam — powiedziała, a głos jej brzmiał tak słabo, że się przeraziła.

— Wypij to — powiedział Rett biorąc szklankę od oficera i podsuwając ją do jej ust. Przypomniała sobie wszystko, ale była zbyt zmęczona, aby się złościć.

— Proszę, zrób to dla mnie.

Przełknęła, zachłysnęła się i zaczęła kaszlać, ale Rett znowu podał jej koniak. Piła teraz chciwie; trunek spływał w nią gorącym strumieniem.

— Zdaje mi się, że już jest lepiej, panowie — rzekł Rett — dziękuję wam bardzo za pomoc. Przejęła się tak bardzo wiadomością, że mam zostać stracony.

Oficerowie przestępowali z nogi na nogę. Byli wyraźnie zmieszani, wreszcie odchrząknąwszy po kilka razy wyszli z pokoju. Młody kapitan przystanął w drzwiach.

— Jeżeli mógłbym być w czymkolwiek pomocny...

— Nie, dziękuję panu.

Oficer wyszedł zamykając za sobą drzwi.

— Napij się jeszcze — rzekł Rett.

— Nie.

— Napij się.

Przełknęła jeszcze jeden łyk koniaku. Ciepło rozeszło jej się po całym ciele, siła zaczęła wracać w drżące dotąd nogi. Odsunęła szklankę i chciała wstać, ale Rett nie pozwolił jej na to.

— Nie dotykaj mnie. Idę już.

— Jeszcze nie Poczekaj chwilę. Możesz zemdleć powtórnie.

— Wolę mdleć na ulicy, niż zostać tutaj z tobą.

— Mimo to ja nie chcę, abyś mdlała na ulicy.

— Puść mnie. Nienawidzę cię.

Na te słowa blady uśmiech pojawił się na jego twarzy.

— To już bardziej do ciebie podobne. Czujesz się już z pewnością lepiej.

Siedziała przez chwilę bez ruchu, starając się przywołać na pomoc złość, starając się zebrać siły. Była jednak zanadto zmęczona, aby móc się czymkolwiek przejmować czy nienawidzić. Klęska zaciążyła na niej ołowiem. Postawiła wszystko na jedną kartę i przegrała. Nawet dumę swoją pozwoliła zdeptać. Doszła do kresu wszystkich nadziei. Straciła Tarę, nie będzie mogła utrzymać swoich bliskich. Przez długą chwilę siedziała z zamkniętymi oczyma, słysząc ciężki oddech Retta przy sobie; koniak rozchodził się po jej żyłach, dając złudne poczucie siły i ciepła Kiedy wreszcie otwarła oczy i spojrzała w twarz Retta, złość zatrzęsła nią znowu. Widząc, że marszczy skośne brwi w grymasie gniewu, Rett uśmiechnął się jak dawniej.

— Teraz dopiero czujesz się lepiej. Poznaję to po twoim groźnym marsie.

— Rozumie się, że mi lepiej. Recie Butler, jesteś największym, najpodlejszym łotrem, jakiego znam! Wiedziałeś dokładnie, co ci powiem, jak tylko zaczęłam mówić, i wiedziałeś, że nie możesz mi pożyczyć pieniędzy. I mimo to pozwoliłeś mi mówić. Mogłeś mi był zaoszczędzić...

— Zaoszczędzić ci tego i nic nie usłyszeć? O, nigdy! Mam tutaj tak mało rozrywek. Od niepamiętnych czasów nie słyszałem nic podobnie przyjemnego. — Roześmiał się drwiąco. Scarlett porwała się na nogi i pochwyciła czepek.

Położył jej niespodziewanie ręce na ramionach.

— Jeszcze nie. Czy czujesz się dość dobrze, aby porozmawiać rozsądnie?

— Puść mnie!

— Widzę, żeś już zdrowa. A więc powiedz mi: czy byłem jedną sroką, jaką trzymałaś za ogon? — Oczy jego patrzyły na nią bacznie i przenikliwie, obserwowały najmniejszą zmianę w jej twarzy.

— Co masz na myśli?

— Czy byłem jedynym, któremu chciałaś zaproponować tę transakcję?

— A cóż to ciebie obchodzi?

— Obchodzi mnie więcej, niż ci się zdaje. Czy masz jeszcze innych mężczyzn w zapasie? Odpowiedz!

— Nie.

— Nie do uwierzenia. Trudno mi sobie wyobrazić ciebie bez pięciu czy sześciu innych w rezerwie. Przekonany jednak jestem, że nawinie się ktoś, kto zgodzi się na twoją interesującą propozycję. Jestem tego tak pewien, że chciałbym ci dać pewną radę.

— Nie chcę od ciebie żadnej rady.

— Mimo to udzielę ci jej. Rada jest jedyną rzeczą, na jaką mnie stać w tej chwili. Wysłuchaj jej uważnie, bo to dobra rada. Kiedy chcesz czegoś od mężczyzny, nie mów do niego takim tonem, jak mnie to powiedziałaś. Staraj się być subtelniejsza, bardziej kusząca. To daje lepsze wyniki. Dawniej doskonale umiałaś to robić. W chwili jednak gdy ofiarowałaś mi... hmm... tę gwarancję, byłaś twarda jak stal. Widziałem podobne do twoich oczy nad pistoletem wymierzonym we mnie w pojedynku i zapewniam cię, że to niezbyt miły widok. Nie wywołuje zapału w męskiej piersi. Nie tak trzeba postępować z mężczyznami, moja droga. Zapomniałaś o swoim doskonałym wychowaniu.

— Nie ty mnie będziesz uczył, jak mam się zachowywać — powiedziała i że zmęczeniem włożyła czepek. Dziwiła się, jak Rett może żartować mając stryczek na gardle i widząc tak wyraźnie jej rozpaczliwe położenie. Nie zauważyła, że dłonie miał zaciśnięte w pięści i ukryte w kieszeniach i że szarpał się w swojej bezsilności.

— Głowa do góry — powiedział, gdy wiązała wstążki czepka. — Przyjdź na moją egzekucję, to ci dobrze zrobi. To wyrówna twoje porachunki że mną, nawet i ten. Zapiszę ci coś w spadku.

— Dziękuję ci, ale wątpię, czy powieszą cię na czas, tak abym mogła zapłacić podatki że spadku — powiedziała z nagłą złośliwością, ale myślała to serio.

## ROZDZIAŁ XXXV

Deszcz padał, kiedy wyszła z dowództwa, a niebo było brunatnopopielate. Żołnierze schronili się z rynku do swoich baraków i ulice były zupełnie puste. Nie widać było żadnego pojazdu, czekała ją więc piesza wędrówka do domu.

Ciepło wywołane koniakiem uleciało z niej, gdy tak się wlokła z trudem. Zimny wiatr przyprawiał ją o dreszcz, chłodne, kłujące jak szpilki krople deszczu siekły ją boleśnie po twarzy. Cienki płaszcz przemókł w jednej chwili i teraz przylegał w lepkich fałdach do jej sukni. Aksamitna suknia będzie z pewnością zupełnie zniszczona, pióra na czepku obwisły i opadły, i wyglądały tak jak u poprzedniego ich właściciela, kiedy obnosił się w nich po mokrym podwórku w Tarze. Chodnik, po którym szła, był wyboisty, pełno w nim było kałuż sięgających kostek. Pantofle Scarlett zapadały się w nie jak w klej i czasem było jej trudno wyciągnąć je z błota. Ilekroć schylała się, aby je wydobyć, walała brzegi sukni. W końcu przestała już omijać kałuże, i z rezygnacją szła naprzód, wlokąc ciężką suknię za sobą. Na kostkach czuła zimno przemoczonych halek i pantalonów, ale nie była w stanie martwić się o całość tego stroju, po którym spodziewała się tak wiele. Była zziębnięta, zniechęcona i zrozpaczona.

Jakże będzie mogła wrócić do Tary i spojrzeć w oczy swoich bliskich, po tylu słowach nadziei? Jakże powie im, że muszą się wynosić, gdzie oczy poniosą? Jakże zdoła opuścić to wszystko, czerwone pola, wysokie sosny, ciemne, bagniste grunty nad wodą, spokojny cmentarzyk, gdzie w cieniu cedrów spoczywa Ellen?

Nienawiść do Retta gorzała w jej sercu, gdy tak mozoliła się na śliskiej drodze. Jakiż to był łotr! Miała nadzieję, że go powieszą, gdyż po dzisiejszym upokorzeniu nie chciała go już nigdy w życiu widzieć. Przekonana była, że mógłby się postarać o pieniądze dla niej, gdyby tylko chciał. Och, śmierć na szubienicy była dla niego jeszcze za dobra! Bogu dzięki, że nie mógł widzieć jej teraz, w przemoczonych do nitki sukniach, z roztarganymi włosami i szczękającymi z chłodu zębami. Jakże szkaradnie musiała wyglądać! Jakby się z niej teraz śmiał!

Mijający ją Murzyni szczerzyli do niej zuchwale zęby i śmieli się do siebie, gdy tak szła szybko, potykając się i ślizgając po błocie, zatrzymując co chwila, aby wytchnąć czy poprawić pantofle. Że też te czarne małpy odważały się śmiać! Jak śmieli stroić grymasy do niej, Scarlett O'Hara! Kazałaby ich wszystkich tak wysmagać batem, aby krew ciekła im strumieniami po plecach! Jakież szatany z tych Jankesów, że dali Murzynom wolność, aby mogli kpić z białych!

Widok, jaki przedstawiała ulica Waszyngtońska, którą szła teraz, był nie mniej ponury niż własne jej myśli. Nie było tutaj ożywienia i zgiełku, jaki panował na Brzoskwiniowej. Niegdyś stały tu piękne domy, z których odbudowano niewiele. Sczerniałe fundamenty i samotne, zakopcone kominy, znane teraz jako „Warty Shermana”, widać było co krok. Zarośnięte ścieżki prowadziły do pustych placów, na których stały niegdyś domy — stare trawniki porosłe były chwastem; na słupki, na których widniały tak dobrze znane Scarlett nazwiska, nikt już nie będzie zarzucał lejc... Zimny wiatr i deszcz, błoto i nagie drzewa, cisza i zniszczenie — oto, co zostało... Było jej mokro w nogi, a do domu było jeszcze tak daleko!

Nagle usłyszała za sobą człapanie kopyt końskich, zeszła więc na bok wąskiego chodnika, aby uchronić od błota palto ciotki Pitty. Ulicą posuwał się wolno kabriolet zaprzężony w konia. Przystanęła, aby zobaczyć, czy powożący jest białym, a jeśli tak, poprosić, by ją podwiózł. Gdy kabriolet się zbliżył, zauważyła, że powożący, którego twarzy nie widziała wyraźnie, przygląda się jej spod ceratowego fartucha, którym zakryty jest aż po podbródek. Twarz jego wydała jej się znajoma; zeszła na jezdnię, aby przyjrzeć mu się lepiej, mężczyzna zakaszlał w zakłopotaniu i dobrze jej znany głos zawołał z akcentem przyjemnego zdumienia: — Czy to nie pani Scarlett?!

— Och, pan Kennedy! — zawołała przechodząc przez drogę i nie bacząc na zniszczenie płaszcza, oparła się o zabłocone koła. — Nigdy w życiu nie cieszyłam się tak z żadnego spotkania!

Frank zaczerwienił się z radości, bo w słowach tych brzmiała szczerość, skwapliwie wypluł za kabriolet tytoń, który żuł, i żywo zeskoczył na ziemię. Potrząsnął z entuzjazmem ręką Scarlett i podniósłszy ceratę pomógł jej wsiąść do powoziku.

— Miss Scarlett, co pani tu robi sama w tych stronach? Czy nie wie pani, że to teraz niezbyt bezpieczna dzielnica? Przemokła pani do nitki. Niech się pani owinie tą derką.

Kiedy się tak koło niej krzątał, gderliwy jak kura, Scarlett poddała się całkowicie przyjemności znajdowania się pod czyjąś opieką. Miło jej było, że jakiś mężczyzna troska się o nią, że gdera i robi wymówki, chociaż mężczyzną tym był Frank Kennedy — „stara panna w spodniach”. Wydawało się to kojące zwłaszcza po brutalnym postępku Retta. I ach, jak przyjemnie było widzieć znajomego z powiatu, kiedy była tak daleko od domu! Zauważyła, że Frank jest dobrze ubrany, a kabriolet jego nowy. Koń był młody i dobrze odżywiony, ale Frank postarzał się wyraźnie, wyglądał znacznie starzej niż w Wigilię, kiedy przyjechał że swoim oddziałem do Tary. Był chudy i blady, żółte jego oczy były zamglone, a pod nimi potworzyły się worki obwisłej skóry. Rudawa bródka przerzedziła się bardzo, poplamiona była sokiem tytoniu i tak poszarpana, jak gdyby nie przestawał jej skubać. Był jednak wesoły i ożywiony, co bardzo rzucało się w oczy na tle smutnych i zmartwionych min, które widziało się wszędzie.

— Wielka to dla mnie radość, że panią widzę — rzekł Frank serdecznie. — Nie wiedziałem wcale, że jest pani w Atlancie. Widziałem pannę Pittypat dopiero tydzień temu i wcale mi nie powiedziała, że się pani tutaj wybiera. Czy... hm... czy... jeszcze ktoś przyjechał tu z panią z Tary?

Stary głupiec miał na myśli Zuelę.

— Nie — odpowiedziała otulając się ciepłą derką i podciągając ją pod samą szyję. — Przyjechałam sama. Ciotki Pitty wcale o tym nie uprzedzałam.

Cmoknął na konia, który ruszył naprzód, ostrożnie posuwając się po śliskiej drodze.

— Jak się wszyscy miewają w Tarze?

— Dziękuję panu, niezgorzej.

Musi znaleźć jak najszybciej jakiś temat rozmowy, tylko że rozmowa nie chciała się kleić. Ta porażka przygnębiła ją niepomiernie. Jedynym jej pragnieniem było rozgrzać się trochę pod tym ciepłym pledem i powtarzać sobie: „Nie mogę teraz myśleć o Tarze. Pomyślę o niej później, jak będzie to mniej bolesne”. Gdyby mogła wyciągnąć Franka na jakąś rozmowę, która by mu zajęła czas drogi do domu, musiałaby tylko szeptać czasem: „Ach, jak to świetnie!” czy „Tak, ma pan świętą rację!”.

— Panie, to niespodzianka, że pana tutaj spotykam. Może to brzydko z mojej strony, że się nie komunikowałam że starymi przyjaciółmi, ale nie wiedziałam wcale, że mieszka pan w Atlancie. Ktoś mi zdaje się mówił, że osiadł pan w Mariecie.

— W Mariecie prowadzę interesy, duże interesy — powiedział. — Czy nie mówiła pani panna Zuela, że osiedliłem się w Atlancie? Czy nic nie powiedziała o moim sklepie?

Scarlett przypomniała sobie niejasno, że Zuela rzeczywiście paplała coś o Franku i jego sklepie, ale nigdy nie zwracała uwagi na jej gadaninę. Wystarczała jej świadomość, że Frank żyje i że pewnego dnia uwolni ją od trosk o Zuelę.,

— Nie, ani słowa — skłamała. — To pan ma sklep? Jakiż pan jest zaradny!

Był nieco dotknięty, gdy usłyszał, że Zuela nie rozgłosiła tak ważnej wiadomości, ale rozjaśnił się na to pochlebstwo.

— Tak, mam sklep, i bardzo nawet dobry, jak mi się zdaje. Ludzie mówią, że jestem urodzonym kupcem. — Zaśmiał się z zadowoleniem, tym swoim gderliwym, stłumionym śmiechem, który zawsze denerwował Scarlett.

„Zarozumiały stary głupiec” — pomyślała.

— Och, pan miałby powodzenie we wszystkim, do czego by się pan zabrał, panie Kennedy. Jakim jednak cudem wziął się pan do prowadzenia sklepu? Kiedy widziałam pana w zeszłym roku na Boże Narodzenie, mówił pan, że nie ma pan ani centa.

Odchrząknął chrapliwie, podkręcił wąsa i uśmiechnął się po swojemu, nerwowo i nieśmiało.

— O, to długa historia, pani Scarlett.

„Dzięki Bogu! — pomyślała. — Może zajmie czas do samego domu”. — Na głos zaś powiedziała: — Och, niechże pan opowie!

— Przypomina pani sobie, kiedyśmy ostatni raz przyjechali do Tary poszukując żywności? Wkrótce potem zaciągnąłem się do służby czynnej. Poszedłem na front. Nie chciałem już być w intendenturze. Intendentura przestała właściwie być potrzebna, bo nie było czego dostarczać armii, uważałem też, że miejsce zdrowego człowieka jest na froncie. Walczyłem więc przez jakiś czas w kawalerii, aż dostałem kulę w ramię.

Powiedział to z dumą w głosie, Scarlett wtrąciła więc: — Jakie to straszne!

— Nie, nie było to wcale straszne, tylko powierzchowna rana — rzekł lekceważąco. — Wysłano mnie do szpitala na południe; gdy zacząłem przychodzić do siebie, miasto zajęli Jankesi. Boże mój, Boże, ależ to były gorące dni! Zjawili się dość niespodzianie, więc wszyscy, którzy mogli chodzić, pomagali opróżniać składy wojskowe, pakować ekwipunek szpitalny i przenosić do toru kolejowego. Naładowaliśmy już prawie jeden pociąg, kiedy Jankesi weszli z drugiej strony do miasta. Uciekaliśmy więc co sił. Boże mój, Boże, ależ to było smutne, kiedy z dachów wagonów widzieliśmy, jak Jankesi palą nasze zapasy, pozostawione na stacji! Pani Scarlett, spalili rozmaitego dobra na przestrzeni może pół mili wzdłuż toru. Ledwieśmy sami uszli z życiem.

— Jakie to straszne!

— Tak, doskonale to pani określiła. Straszne. Nasi odzyskali już wtedy Atlantę, tam więc skierowano nasz pociąg. Wkrótce potem wojna się skończyła i... zostało wiele porcelany, łóżek składanych, materacy i pledów, których zwrotu nikt nie żądał. Mam wrażenie, że prawnie należy to do Jankesów. Takie zdaje się były warunki kapitulacji, prawda?

— Hm — zamruczała Scarlett obojętnie. Było jej teraz cieplej i chciało jej się spać.

— Nie wiem dotąd, czy dobrze zrobiłem — rzekł Frank z pewnym podrażnieniem. — Alem wyliczył sobie, że Jankesom mało z tych rzeczy przyjdzie. Spaliliby je i tak. Ludzie nasi kupili je za dobre pieniądze, pomyślałem więc, że powinny w dalszym ciągu należeć do Konfederacji lub konfederatów. Czy rozumie pani, co mam na myśli?

— Aha.

— Cieszę się, te się pani że mną zgadza. Mam to do pewnego stopnia na sumieniu. Wiele osób mówi mi: „Och, nie myśl o tym, Frank”. Ja jednak nie mogę. Nie mógłbym patrzeć ludziom prosto w oczy, gdybym miał wątpliwości, czy to, co zrobiłem, było słuszne. A jak się pani zdaje, czy słusznie postąpiłem?

— Oczywiście — powiedziała nie rozumiejąc, o czym stary głupiec mówi. Ma jakieś tam wyrzuty sumienia. Mężczyzna w wieku Franka Kennedy'ego powinien już wiedzieć, że nie należy się przejmować nieważnymi sprawami. Ale on zawsze był nerwowy, pełen skrupułów i bardzo staropanieński.

— Zadowolony jestem, że pani tak mówi. Po zawarciu pokoju miałem dziesięć dolarów w srebrze i nic poza tym. Wie pani sama, co się stało w Jonesboro, a tam miałem dom i skład. Nie wiedziałem po prostu, co począć. Zużyłem więc te dziesięć dolarów na naprawienie dachu na starym składzie przy Pięciu Znakach, przewiozłem tam ekwipunek szpitalny i zacząłem sprzedawać. Wszystkim potrzebne były łóżka, materace i serwisy, więc sprzedawałem je tanio, bo uważałem, że należą do innych ludzi prawie tak samo jak do mnie. Zarobiłem na tym trochę pieniędzy, kupiłem inne towary i sklep zaczął dobrze prosperować. Mam nadzieję, że będę dobrze zarabiał, kiedy wszystko wróci do normy.

Na dźwięk słów „pieniądze” i „zarabiać” rozjaśniło jej się nagle w myślach.

— Mówi pan, że pan dobrze zarabia?

Wyraźnie był zadowolony z jej zainteresowania. Poza Zuelą mało było kobiet, które by okazywały mu więcej niż zdawkową uprzejmość, bardzo mu więc pochlebiało, że osoba o takim niegdyś powodzeniu jak Scarlett tak chłonęła jego słowa. Wstrzymywał konia, aby nie dojechać do domu, póki nie skończy swego opowiadania.

— Nie jestem milionerem i w porównaniu z majątkiem, jaki miałem, to, co zarobiłem, jest sumą niewielką, zarobiłem jednak w tym roku z tysiąc dolarów. Z tych pięćset poszło na zakup nowych towarów, remont sklepu i komorne. Pozostałe pięćset zarobiłem jednak na czysto, wobec tego zaś, że zaznacza się pewna poprawa, liczę, że na przyszły rok zarobię dwa tysiące. Przydadzą mi się bardzo, bo, widzi pani, mam jeszcze coś innego na widoku.

Zainteresowanie Scarlett wzrosło niebywale. Przesłoniła oczy ciemnymi rzęsami i przysunęła się trochę do Franka.

— Co pan ma na myśli, panie Kennedy?

Roześmiał się i uderzył lejcami po grzbiecie konia.

— Pewnie nudzi panią rozmowa o interesach, pani Scarlett. Takie śliczne małe osóbki jak pani nie potrzebują się znać na interesach.

Stary głupiec.

— Och, wiem dobrze, że nie znam się na tych sprawach, ale to takie zajmujące! Niech mi pan opowie wszystko. Będzie mi pan tłumaczył to, czego nie zrozumiem.

— A więc, mam na widoku tartak.

— Co to takiego?

— To taki zakład, gdzie tnie się drzewo i hebluje deski. Nie kupiłem go jeszcze, ale mam zamiar to zrobić. Jest pewien człowiek, nazwiskiem Johnson, który ma tartak za Brzoskwiniową i chce go sprzedać. Potrzebna mu teraz gotówka, więc godzi się zostać tam i prowadzić tartak za tygodniowym wynagrodzeniem. Jest to jeden z niewielu tartaków w tej okolicy, Miss Scarlett. Jankesi zniszczyli inne. Człowiek, który ma teraz tartak, to jak gdyby dawniej miał kopalnię złota, bo może dyktować ceny. Jankesi spalili tyle domów w Atlancie, że nie ma pomieszczeń dla wszystkich i ludzie poszaleli na punkcie budowania. Ciągle im mało drzewa i nie można im go dość prędko nastarczyć. Ludzie napływają teraz masami do Atlanty, przenoszą się tu mieszkańcy okolicznych wsi, którzy nie mogą pracować na roli, bo nie mają Murzynów, zjeżdżają Jankesi i różna hołota, która chce nas obdzierać że skóry. Atlanta stanie się wkrótce wielkim miastem. Nowi ludzie muszą mieć budulec na domy, mam więc zamiar kupić ów tartak jak tylko... no, jak tylko wpłynie mi część tego, co mi się od ludzi należy. Za rok będzie mi trochę łatwiej o pieniądze. Wydaje mi się, że... pani chyba wie, dlaczego mi zależy na szybkim wzbogaceniu się?

Zaczerwienił się i zakaszlał znowu. „Myśli znowu o Zueli” — stwierdziła Scarlett z niechęcią.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym, czy nie poprosić go o pożyczenie trzystu dolarów, ale wkrótce odrzuciła tę myśl. Będzie zakłopotany, zacznie się jąkać, wynajdzie tysiąc wymówek, ale jej nie pożyczy. Pracował ciężko, by móc się na wiosnę ożenić z Zuelą, a jeżeli teraz rozstanie się z pieniędzmi, ślub jego będzie się musiał odsunąć na czas nieograniczony. Nawet gdyby zagrała na jego sympatii czy poczuciu obowiązku w stosunku do przyszłej rodziny i uzyskała obietnicę pożyczki, Zuela nigdy by się na to nie zgodziła. Zuela martwiła się coraz więcej, że jest już starą panną, i poruszyłaby niebo i ziemię, aby nic nie stanęło na przeszkodzie jej małżeństwu.

Co ten stary głupiec widział w tej płaczliwej i wiecznie niezadowolonej dziewczynie, że tak bardzo chciał jej usłać miękkie gniazdko? Zuela nie zasługiwała na kochającego męża z dochodami z tartaku i sklepu. Z chwilą gdy Zuela poczuje w kieszeni trochę grosza, zacznie niemożliwie zadzierać nosa i nie da ani centa na Tarę. Nigdy1 Redzie zadowolona, że się wydostała z domu, i nie przejmie się wcale, jeżeli Tara zostanie sprzedana za podatki czy zrównana z ziemią, ponieważ będzie miała piękne suknie i będzie ,,panią”, a nie „panną”.

Myśląc tak o zabezpieczonej przyszłości Zueli i niepewnej sytuacji swojej i Tary, Scarlett zawrzała gniewem na niesprawiedliwość losu. Szybko spojrzała na ulicę, aby Frank nie zauważył wyrazu jej twarzy. Miała oto stracić wszystko, co posiadała, podczas gdy Zuela... Nagle zrodziło się w niej postanowienie.

Nie da Zueli Franka ani jego sklepu i tartaku!

Zuela nie zasłużyła na nie! Postanowiła zdobyć to wszystko dla siebie. Pomyślała o Tarze, przypomniała sobie jadowitego jak żmija Jonasza Wilkersona przed frontowymi schodkami domu i schwyciła się ostatniej deski ratunku, pozostałej z rozbitego życia. Rett zawiódł ją, ale Bóg zesłał jej Franka.

Ale czy potrafi go zdobyć? Dłonie jej zacisnęły się w pięści, gdy, nie widząc, patrzyła na krople deszczu. Czy potrafi to przeprowadzić, aby zapomniał o Zueli i oświadczył się jej? Jeżeli niemal doprowadziła do oświadczyn Retta, z pewnością zdobędzie i Franka! Przebiegła po nim wzrokiem i zatrzepotała powiekami. Pewnie, że nie jest piękny, myślała na zimno, ma bardzo brzydkie zęby, nieprzyjemny oddech i jest tak stary, że mógłby być moim ojcem. Ponadto jest nerwowy, nieśmiały i pełen dobrych chęci, a nie znam mniej przyjemnych cech w mężczyźnie. Jest jednak dżentelmenem i wydaje mi się, że lepiej mi będzie z nim niż z Rettem. Będę nim mogła łatwo kierować. Tak czy inaczej nędzarze nie mają wyboru.

Nie zastanowiła się nad tym, że Frank jest narzeczonym Zueli. Po przełomie moralnym przed podróżą do Atlanty, po widzeniu się z Rettem, odbicie siostrze wielbiciela wydawało jej się drobnostką, którą nie należało się wcale przejmować.

Pod wpływem nowej nadziei wyprostowała się i przestała myśleć o przemoczonych i zziębniętych nogach. Patrzyła na Franka spod przymkniętych powiek tak badawczo, że zaniepokoił się trochę, po chwili jednak spuściła wzrok, przypomniawszy sobie słowa Retta: — Widziałem podobny wzrok w pojedynku, nad wymierzonym we mnie pistoletem... Nie budzi zapału w męskiej piersi.

— Co pani jest, Miss Scarlett? Czy zimno pani?

— Tak — powiedziała bezradnie. — Czy pozwoli mi pan... — Zawahała się, onieśmielona. — Czy pozwoli mi pan włożyć rękę do kieszeni pańskiego płaszcza? Zmarzła mi okropnie, a mufka jest zupełnie przemoczona.

— Ależ tak, rozumie się, że tak! Nie ma pani nawet rękawiczek! Boże mój, Boże, jaka że mnie gapa, że tak marudzę i gadam bez przerwy, kiedy pani pewnie marznie i marzy o ogrzaniu się. Ruszaj, Sally! Ale, ale, Miss Scarlett, byłem tak zajęty mówieniem o sobie, że nie zapytałem pani nawet, co pani robiła w tej części miasta w taką niepogodę?

— Byłam w jankeskim sztabie — powiedziała bez namysłu. Spłowiałe brwi Franka podniosły się w zdumieniu.

— Ależ, Miss Scarlett! Żołnierze... Dlaczego...

„Najświętsza Panienko, poratuj mnie, pozwól wymyślić dobre kłamstwo” — modliła się spiesznie. Frank nie powinien się nigdy dowiedzieć, że widziała Retta. Uważał go za najgorszego z łotrów i za człowieka niebezpiecznego dla przyzwoitej damy.

— Poszłam... tam... poszłam, aby się dowiedzieć... czy oficerowie nie chcieliby ode mnie kupić haftów dla swoich żon. Potrafię bardzo ładnie haftować.

Frank że zdziwienia aż osunął się na oparcie powozu. Oburzenie walczyło w nim o lepsze że zdumieniem.

— Poszła pani do Jankesów... Ależ, Miss Scarlett! Nie powinna była pani tego robić. Ależ... ależ... Ojciec pani chyba o tym nie wie? Panna Pittypat z pewnością...

— Ach, umrę, jeżeli pan o tym wspomni cioci Pittypat! — zawołała w prawdziwym przerażeniu i wybuchnęła płaczem. Łzy przyszły jej z łatwością, bo była zziębnięta i nieszczęśliwa, efekt jednak był zatrważający. Frank z pewnością nie byłby bardziej zakłopotany, gdyby nagle zaczęła się rozbierać. Parę razy mlasnął językiem o zęby, mrucząc: — Boże mój, Boże! — i zaczął robić jakieś nieśmiałe gesty. Przeszła mu przez głowę odważna myśl, że powinien oprzeć głowę Scarlett o swoje ramię i pogłaskać ją, ale ponieważ nigdy przedtem takich rzeczy nie robił, nie wiedział, jak się do tego zabrać. Scarlett O'Hara, taka wesoła i śliczna, płakała tu oto w jego kabriolecie! Scarlett O'Hara, najdumniejsza z dumnych, chciała sprzedawać hafty Jankesom! Serce go bolało.

Scarlett szlochała, mówiąc od czasu do czasu parę słów, z których Frank mógł wywnioskować, że w Tarze nie wszystko szło gładko. Pan O'Hara jeszcze ciągle nie mógł przyjść do siebie i trudno było o żywność dla tylu osób. Tak więc Scarlett musiała przyjechać do Atlanty, aby zarobić coś dla siebie i swojego synka. Frank znowu mlasnął językiem i nagle spostrzegł, że głowa Scarlett spoczywa na jego ramieniu. Nie wiedział nawet, w jaki sposób tam się znalazła. Był pewien, że to nie on ją tam złożył: oto jednak Scarlett płakała bezradnie na jego chudej piersi, co było dlań nowym i podniecającym przeżyciem. Poklepał ją nieśmiało po ramieniu, z początku bardzo niezręcznie, a ponieważ nie odepchnęła go, stał się odważniejszy i gładził ją coraz mocniej. Jakąż bezradną, miłą, słodką kobietą była Scarlett. I jakie to z jej strony odważne i głupie, że chciała zarabiać na życie haftami. Ale żeby zwracać się do Jankesów — to za wiele.

— Nie powiem o niczym pannie Pittypat, ale musi mi pani przyrzec, Miss Scarlett, że pani tego nigdy więcej nie zrobi. Żeby córka takiego ojca...

Jej wilgotne zielone oczy spojrzały na niego bezradnie.

— Ależ, panie Kennedy, ja muszę przecież coś robić. Muszę myśleć o moim biednym małym synku, bo któż się ma nami opiekować?

— Jest pani dzielną kobietą — oświadczył — ale nie pozwolę, aby pani tego rodzaju rzeczy robiła. Rodzina pani umarłaby że wstydu.

— A więc co mam począć? — Popatrzyła na niego tak, jak gdy by on wiedział wszystko i jak gdyby czekała jego wyroku.

— Hmm, trudno mi teraz powiedzieć. Ale wymyślę coś może.

— Och, pewna jestem, że pan coś wymyśli! Pan jest taki mądry, panie... Franku...

Nigdy dotąd nie nazywała go po imieniu, sprawiło mu to więc wielką przyjemność. Biedna kobieta była tak zmartwiona, że nie zauważyła wcale swojej pomyłki. Czuł dla niej wiele współczucia, jak gdyby był jej opiekunem. Jeżeli będzie mógł się czymś przysłużyć siostrze Zueli. zrobi to z pewnością. Wyciągnął czerwoną chustkę i podał jej, ona zaś otarła oczy i zaczęła się blado uśmiechać.

— Jestem taka niemądra — rzekła. — Proszę, niech mi pan wybaczy.

— Wcale pani nie jest niemądra. Jest pani dzielną małą kobietką, tylko dźwiga pani na sobie zbyt duży ciężar. Obawiam się, że panna Pittypat niewiele będzie pani mogła pomóc. Słyszałem, że straciła większą część swego majątku, a panu Henrykowi Hamiltonowi także ciężko. Żałuję, że nie mam domu, w którym mógłbym dać pani gościnę. Ale, Miss Scarlett, niech pani zawsze o tym pamięta, że jak pobiorę się z panną Zuelą, dla pani i dla Wade'a Hamptona zawsze będzie w naszym domu miejsce.

Teraz nadeszła odpowiednia chwila! Strzegli jej z pewnością święci pańscy i aniołowie, że dali jej tak wspaniałą okazję. Udała wielkie zdumienie i zakłopotanie i otworzyła usta, chcąc jakby coś powiedzieć, potem nagle je zamknęła.

— Niech mi pani tylko nie mówi, że nie wiedziała pani, że na wiosnę zostanę pani szwagrem — rzekł z nerwową wesołością. Potem zaś widząc, że oczy jej napełniają się łzami, zapytał z niepokojem: — Co się stało? Czy panna Zuzia chora?

— Och, nie, nie!

— Ale stało się z pewnością coś złego. Musi mi pani powiedzieć.

— Och, nie mogę! Nie wiedziałam! Myślałam, że ona napisała panu o tym... Och, jakie to brzydkie!

— Co się stało?

— Och, panie Franku, nie miałam zamiaru mówić panu o tym, bo przypuszczałam, że pan wie — że panu napisała...

— Napisała mi? Co? — Drżał na całym ciele.

— Och, żeby tak postąpić z takim człowiekiem jak pan!

— A cóż ona zrobiła?

— A więc nie napisała panu? Przypuszczałam, że może zbyt się wstydziła panu o tym napisać. Powinna się wstydzić! Och, że też ja mam taką siostrę!

Frank nie myślał już nawet o zadawaniu pytań. Siedział patrząc na nią bez sława, z szarą twarzą, luźno opuściwszy lejce.

— Za miesiąc wychodzi za Tonia Fontaine. Tak mi przykro, że to ja musiałam panu o tym powiedzieć. Znudziło jej się czekanie i obawiała się, że zostanie starą panną.

Mammy stała na ganku frontowym, gdy Frank pomagał Scarlett wysiąść z kabrioletu. Stała już widocznie od dość dawna, bo chustka, którą nosiła na głowie, była przemoczona, a na starym szalu widniały smugi od deszczu. Czarna jej pomarszczona twarz wyrażała gniew i niepokój, a dolna warga była mocno wysunięta naprzód. Spojrzała szybko w stronę towarzysza Scarlett. Kiedy poznała Franka, na twarzy jej pojawiło się zdumienie, zadowolenie i coś w rodzaju skruchy. Poczłapała w jego stronę że słowami powitania i uśmiechając się dygała, gdy uścisnął jej rękę.

— Bardzo przyjemnie widzieć starych znajomych — powiedziała. — Jak się pan miewa, panie Franku? Ależ pan ładnie i dobrze wygląda! Gdybym wiedziała, że Scarlett jest z panem, nie martwiłabym się tak bardzo. Wiedziałabym, że jej się krzywda nie stanie. Wracam do domu, widzę, że jej nie ma; przeraziłam się jak kura, której chcą głowę obciąć, że sama chodzi po tym mieście, gdzie tyle wolnej murzyńskiej hołoty na ulicach. Dlaczegoś mi nie powiedziała, kochanie, że chcesz wyjść? I z katarem w dodatku!

Scarlett mrugnęła porozumiewawczo do Franka. Mimo rozpaczy, jaką odczuwał, uśmiechnął się wiedząc, że nakazuje mu w ten sposób milczenie i robi go powiernikiem swoich tajemnic.

— Idź na górę i przygotuj mi jakieś suche odzienie, Mammy — powiedziała. — I gorącą herbatę.

— O Boże, zniszczyłaś zupełnie nową suknię — zrzędziła Mammy — Będę musiała się teraz namęczyć, aby ją wysuszyć i wyczyścić na dzisiejsze wesele.

Weszła do domu, Scarlett zaś pochyliła się do Franka i wyszeptała: — Niech pan dziś przyjdzie do nas na kolację. Jesteśmy tak samotne. A potem pójdziemy na ślub. Będzie pan nam towarzyszył! I proszę, niech pan nie mówi ciotce Pitty... o Zueli. Gotowa się tym bardzo przejąć, ja zaś nie chciałabym, aby wiedziała, że moja siostra...

— Ach nie, nie powiem, nie powiem! — rzekł Frank pośpiesznie, wzdrygając się na myśl o tym.

— Był pan dla mnie dzisiaj tak dobry i tyle panu zawdzięczam... Teraz nabrałam znowu otuchy. — Uścisnęła mu mocno rękę na pożegnanie i znacząco spojrzała mu w oczy.

Mammy, która czekała tuż za drzwiami, rzuciła jej nieprzeniknione spojrzenie i poszła za nią nadąsana na górę do jej pokoju. Milczała ściągając że Scarlett mokre suknie, rozwieszając je na krzesłach i pomagając jej kłaść się do łóżka. Potem przyniosła jej herbatę i gorącą cegłę, owiniętą we flanelę, popatrzyła na nią przenikliwie i powiedziała najłagodniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć:

— Gołąbku, dlaczegoś nie powiedziała swojej starej niani, jakie masz zamiary? Nie wlokłabym się za tobą aż do Atlanty. Jestem już za stara i za ciężka na takie podróże.

— Co masz na myśli?

— Kochanie, mnie nie oszukasz. Ja cię znam. Widziałam przed chwilą twarz pana Franka i twoją twarz, a umiem w niej czytać jak ksiądz w Biblii. Słyszałam też to, coś mu powiedziała o Zueli. Gdybym przeczuwała, że to o pana Franka ci chodzi, zostałabym w domu, gdzie moje miejsce.

— No dobrze — rzekła Scarlett krótko, otulając się kołdrą i zdając sobie sprawę, że teraz trudno już będzie zmylić czujność Mammy. — A o kim tyś myślała?

— Dziecko drogie, nie wiedziałam nic, ale nie podobała mi się wczoraj twoja mina. Pamiętam też, że panna Pittypat pisała do pani Meli, że ten łajdak Butler ma kupę pieniędzy, a ja nigdy nie zapominam tego, co słyszę. Ale pan Frank to co innego — to dżentelmen, chociaż nie jest zbyt przystojny.

Scarlett popatrzyła na nią ostro, ale Mammy oddała jej spojrzenie z całkowitym spokojem.

— No, więc co teraz zrobisz? Wygadasz wszystko Zueli?

— Pomogę ci przypodobać się panu Frankowi, jak potrafię najlepiej — rzekła Mammy podciągając kołdrę pod samą szyję Scarlett.

Scarlett leżała przez chwilę spokojnie, gdy Mammy kręciła się po pokoju. Była bardzo zadowolona, że nie potrzebuje tracić czasu na niepotrzebne słowa. Nie trzeba było Mammy niczego tłumaczyć, nie robiła jej żadnych wymówek. Mammy zrozumiała i postanowiła milczeć. Scarlett znalazła w niej realistkę życiową bardziej bezwzględną od niej samej. Mądre stare oczy patrzyły głęboko, widziały jasno, bezpośrednio, jak widzi człowiek pierwotny i dziecko, nie zważając na głos sumienia, gdy niebezpieczeństwo grozi ukochanej istocie. Scarlett była jej dzieckiem i Mammy skłonna była pomóc jej zdobyć to, czego chciała, choćby rzecz ta była cudzą własnością. O prawach Zueli do Franka Kennedy'ego nie myślała nawet, chyba tylko po to, aby się do siebie w duszy uśmiechnąć. Scarlett miała poważne kłopoty chciała z nich wybrnąć — Scarlett była dzieckiem pani Ellen. Mammy opowiedziała się za nią bez najmniejszego wahania.

Scarlett wyczuła milczące poparcie Mammy. Kiedy gorąca cegła trochę rozgrzała jej nogi, nadzieja, jarząca się blado podczas drogi do domu, teraz rozpaliła się płomieniem. Przepłynęła przez nią burząc jej krew w żyłach. Siły wracały jej z wolna: ogarnęło ją takie podniecenie, że chciało jej się śmiać na głos: ,,Jeszcze nie jestem pokonana” — myślała z tryumfem.

— Podaj mi lustro, Mammy — poprosiła.

— Nie wysuwaj rąk spod kołdry — rozkazała Mammy podając jej lustro z uśmiechem.

Scarlett popatrzyła na siebie.

— Jestem blada jak upiór, a włosy mam stargane jak czarownica — powiedziała.

— Prawda, że nie bardzo dobrze wyglądasz.

— Hm... Czy deszcz jeszcze pada?

— Wiesz dobrze, że leje.

— Wszystko jedno, musisz pójść do miasta po sprawunki dla mnie.

— Nie w taki deszcz. Teraz nie pójdę.

— Owszem, pójdziesz, bo inaczej pójdę sama.

— Czego ci potrzeba tak na gwałt? Zdaje mi się, żeś dość zrobiła, jak na jeden dzień.

— Chciałabym — rzekła Scarlett uważnie przyglądając się sobie w lustrze — butelkę wody kolońskiej. Umyjesz mi włosy i wypłuczesz w wodzie kolońskiej. I kupisz mi słoik galaretki z pigwy, aby ułożyć je gładko.

— Nie umyję ci włosów w taką pogodę i nie pozwolę, abyś je płukała w wodzie kolońskiej jak jaka dziwka. Nie zrobisz tego, dopóki ja żyć będę.

— Ależ zrobię. Weź mój woreczek, wyjmij zeń pięć złotych dolarów i idź do miasta. I.. słuchaj, Mammy skoro już idziesz do sklepu, kup mi od razu słoik... słoik różu.

— A co to takiego? — zapytała Mammy podejrzliwie. Scarlett popatrzyła na nią bardzo spokojnie, chociaż bynajmniej spokojna nie była. Nie można przewidzieć, jak dalece Mammy pozwoli sobą kierować.

— Wszystko jedno. Poproś tam o to.

— Nie mam zamiaru kupować rzeczy, na których się nie znam.

— No więc jest to barwiczka, skoroś tak ciekawa! Barwiczka do twarzy. Nie stój tak i nie nadymaj się jak ropucha. Idź zaraz.

— Barwiczka! — wykrzyknęła Mammy. — Barwiczka do twarzy! No, jeszcze nie jesteś tak dorosła, żebym cię nie mogła zbić! Nigdy w życiu nie byłam tak zgorszona! Straciłaś chyba rozum! Miss Ellen pewnie się w grobie przewraca! Malować sobie twarz, jak jaka...

— Wiesz doskonale, że babcia Robillard malowała sobie twarz i...

— Tak, i nosiła tylko jedną halkę i moczyła ją, aby przylegała do ciała i było widać kształt jej nóg, ale to nie znaczy, że ty możesz robić to samo! Kiedy stara pani była młoda, czasy były skandaliczne, ale teraz się zmieniły i...

— Na Boga! — zawołała Scarlett tracąc panowanie nad sobą i zrzucając z siebie kołdrę. — Możesz sobie w tej chwili wracać do Tary!

— Nie pojadę do Tary, jeśli nie zechcę. Jestem wolna — powiedziała Mammy zapalczywie. — Właśnie że tutaj zostanę. Wracaj w tej chwili do łóżka. Czy chcesz się nabawić zapalenia płuc? Odłóż ten gorset! Odłóż go kochanie. Słuchaj, Scarlett, nie pójdziesz nigdzie w tę pogodę. Boże miłosierny! Ależ ty wyglądasz zupełnie jak nasz pan! Wróć do łóżka... Ja nie mogę kupić farby! Umrę że wstydu, wszyscy od razu się domyśla, że to dla mego dziecka! Scarlett, jesteś taka miła i ładna, że wcale nie potrzebujesz farby. Kochanie, tylko ladacznice takich rzeczy używają.

— Ale mają wyniki, prawda?

— O Jezu, co ona mówi! Gołąbku, nie mów takich rzeczy! Odłóż te mokre pończochy, kochanie! Sama ci kupię to świństwo. Miss Ellen przyśni ci się w nocy. Połóż się do łóżka. Pójdę już. Może znajdę jakiś sklep, gdzie nas nie znają.

Tego wieczora u pani Elsing, kiedy po ślubie Fanny stary Levi i inni grajkowie stroili instrumenty, Scarlett rozejrzała się dokoła z zadowoleniem. Było jej bardzo przyjemnie, że znowu jest na przyjęciu. Cieszyła się z życzliwości, jakiej doznała. Kiedy weszła do domu Elsingów, wsparta o ramię Franka, wszyscy podbiegli ku niej z okrzykami powitania i radości, całowali ją, ściskali jej ręce, mówili, że brakowało im jej bardzo i że nie puszczą jej z powrotem do Tary. Mężczyźni zdawali się nie pamiętać, że w dawnych czasach starała się łamać im serca, a panny — że robiła wszystko, by odbić im wielbicieli. Nawet panie Merriweather, Whiting, Meade i inne wdowy, które odnosiły się do niej ozięble pod koniec wojny, zapomniały o jej płochości i swojej ostrej krytyce jej postępków, a pamiętały jedynie, że ucierpiała z powodu klęski Konfederacji, że była bratanka Pitty i wdową po Karolu. Całowały ją współczująco, że łzami w oczach mówiły o śmierci jej matki i wypytywały szczegółowo o ojca i siostry. Wszyscy pytali o Melanię i Ashleya dziwiąc się, dlaczego i oni nie przyjechali do Atlanty.

Mimo radości z tego przywitania, Scarlett odczuwała lekki niepokój, który starała się ukryć, niepokój z powodu wyglądu swojej aksamitnej sukni. Suknia była dotąd wilgotna do kolan i jeszcze zaplamiona, mimo starań Mammy i kucharki, mimo odparzenia nad gorącym czajnikiem, czyszczenia miękką szczotką i suszenia przed kominkiem. Scarlett bała się, żeby ktoś nie zauważył, jak jest zabłocona, i nie domyślił się, że to jej jedyna dobra suknia. Trochę się tym pocieszała, że suknie wielu obecnych pań wyglądały jeszcze gorzej. Były najwyraźniej stare, tylko starannie pocerowane i wyprasowane. Jej suknia była przynajmniej cała i nowa, mimo że wilgotna — była właściwie jedyną nową suknią, jeżeli nie liczyć białej atłasowej sukni ślubnej Fanny.

Przypominając sobie, co jej Pitty mówiła o finansach Elsingów, Scarlett zastanawiała się, skąd wzięli na atłasową suknię, na poczęstunek, kwiaty i grajków. Musiało to kosztować ładnych parę groszy. Prawdopodobnie pożyczyli sobie pieniądze, może też cała rodzina złożyła się na to kosztowne wesele. Przyjęcie takie w tych ciężkich czasach wydawało się Scarlett rozrzutnością równą może wystawieniu nagrobków na mogiłach młodych Tarletonów i wzbudziło W niej taką samą irytację, jaką czuła na cmentarzu w Mimozie. Minęły już dni beztroskiego wyrzucania pieniędzy. Dlaczego ludzie ci z uporem robili gesty takie jak dawniej, kiedy dawne czasy minęły bezpowrotnie?

Starała się już przestać o tym myśleć. Nie były to ostatecznie jej pieniądze. Nie chciała sobie psuć przyjemności irytowaniem się z powodu czyjejś głupoty.

Okazało się, że zna bardzo dobrze pana młodego. Był to Tomasz Wellburn że Sparty, którego pielęgnowała w r. 1863, gdy go postrzelono w ramię. Był wtedy przystojnym wysokim chłopcem, który rzucił studia medyczne, aby wstąpić do kawalerii. Teraz wyglądał jak mały staruszek, tak był skurczony od postrzału w biodro. Chodził z pewną trudnością i jak zauważyła Pitty, rozkraczał nogi w sposób bardzo wulgarny. Na pozór jednak wcale nie przejmował się swoim wyglądem i zachowywał się jak człowiek, który niewiele oczekuje od bliźnich. Pogrzebał już nadzieję skończenia medycyny, został przedsiębiorcą budowlanym i zatrudniał kilkunastu Irlandczyków przy budowie nowego hotelu. Scarlett dziwiła się, jak może przy stanie swego zdrowia podołać tak ciężkiej pracy, ale o nic nie pytała, zdając sobie dobrze sprawę, że wszystko jest możliwe, gdy przyciśnie bieda.

Tomasz Hugon Elsing i mały, brzydki Rene Picard rozmawiali z nią stojąc, podczas gdy krzesła i meble odsuwano pod ścianę przed rozpoczęciem tańców. Hugon nie zmienił się wcale od r. 1862, kiedy go Scarlett widziała ostatni raz. Pozostał tym samym chudym, nerwowym chłopcem o ciemnoblond falistych włosach i delikatnych dłoniach, które pamiętała tak dobrze. Rene jednak zmienił się bardzo od czasu swego ślubu z Maybelle Merriweather. Nadal mrużył filuternie czarne oczy, ciągle był pełen kreolskiej werwy, ale mimo że śmiał się beztrosko, w twarzy miał wyraz uporu, którego nie było w niej w pierwszych latach wojny. Opuściła go także butna elegancja, cechująca go w czasach gdy nosił barwny mundur żuawa.

— Policzki jak róże, oczy jak szmaragdy! — powiedział całując Scarlett w rękę i składając w ten sposób hołd barwie różu na jej twarzy. — Jest pani tak samo piękna jak na wencie, kiedy panią poznałem. Czy pani pamięta? Nigdy nie zapomnę, jak pani rzuciła obrączkę do mego koszyka. To dopiero był patriotyczny gest! Nigdy bym nie przypuszczał, że tak długo nie będzie pani miała drugiej!

Oczy jego błysnęły złośliwie i trącił Hugona łokciem.

— A ja nigdy bym nie przypuszczała, że pan będzie rozwoził ciasta — odrzekła. Zamiast zawstydzić się, że mu przypomniała to poniżające zajęcie, roześmiał się głośno i z zadowoleniem uderzył Hugona po plecach.

— Touche! — zawołał. — Belle-mere, Madame Merriweather, dokonała tego, że po raz pierwszy w życiu pracuję, ja, Rene Picard, który miał zajmować się hodowlą koni wyścigowych i grą na skrzypcach! Teraz rozwożę po mieście ciasta i lubię to zajęcie! Madame belle-mere potrafiłaby człowieka skłonić do robienia wszystkiego. Gdyby była generałem, z pewnością wygrałaby wojnę, prawda Tomku?

„No, no! — pomyślała Scarlett. — Żeby lubić rozwożenie ciast, kiedy miało się niegdyś majątek ciągnący się na przestrzeni dziesięciu mil wzdłuż Missisipi i wielki dom w Nowym Orleanie]”

— Gdyby nasze teściowe były w szeregach, pobilibyśmy Jankesów w tydzień — zgodził się Tomasz kierując spojrzenie na szczupłą, niezłomną postać pani Elsing. — Taki długi opór Jankesom zawdzięczamy jedynie odwadze naszych kobiet.

— Które zresztą nigdy się nie poddadzą — dodał Hugon, a u-śmiech jego przy tych słowach wyrażał dumę, ale i pewną niechęć. — Nie ma tutaj dziś wieczorem ani jednej pani, która by się poddała, bez względu na to, co my, mężczyźni, zrobiliśmy pod Appomattox. One klęskę znoszą o wiele gorzej niż my. Myśmy przynajmniej wyładowali się w walce.

— One zaś wyładowują się teraz w nienawiści — zakończył Tomasz. — Prawda, Scarlett? Panie martwią się tym, co się dzieje z ich najbliższymi, daleko bardziej niż my. Hugon na przykład miał być sędzią. Rene miał grać na skrzypcach przed ukoronowanymi głowami Europy... — Pochylił głowę, bo Rene się żartem na niego zamierzył. — Ja miałem być doktorem, a teraz...

— Poczekaj trochę! — zawołał Rene — Wkrótce ja będę królem ciast na Południu! Poczciwy Hugon będzie królem drzewa, a ty, Tomku, będziesz miał gromadę irlandzkich niewolników zamiast Murzynów. Ile zmian — i jakie zabawne! A co pani porabia, pani Scarlett, i pani Mela? Doi krowy i zbiera bawełnę, prawda?

— Skądże znowu! — rzekła Scarlett chłodno, nie mogąc zrozumieć, jak Rene może się tak godzić z losem. — To robią nasi Murzyni.

— Słyszałem, że pani Mela ochrzciła swego chłopca „Beauregard”. Niech jej pani powie, że ja, Rene, cieszę się z tego i uważam, że to najpiękniejsze imię poza imieniem „Jezus”.

I mimo że się uśmiechnął, oczy świeciły mu dumą na wspomnienie nieustraszonego bohatera Luizjany.

— Jest jeszcze jedno piękne: „Robert Edward Lee” — zauważył Tomasz. — I chociaż nie mam zamiaru umniejszać zasług starego Beau, mój pierworodny będzie się nazywał „Robert Lee Wellburn”.

Rene roześmiał się i wzruszył ramionami.

— Opowiem ci wziętą z życia anegdotkę. Zrozumiesz wtedy, co Kreole myślą o naszym dzielnym Beauregardzie i o waszym generale Lee. W pociągu jadącym do Nowego Orleanu żołnierz z Wirginii, z armii generała Lee, spotkał Kreola z armii Beauregarda. Żołnierz z Wirginii zaczął opowiadać długo i szeroko, jaki generał Lee jest dzielny, jakich to czynów dokonał i tak dalej. Kreol słuchał grzecznie i marszczył brwi, jak gdyby starając się coś sobie przypomnieć, wreszcie uśmiechnął się i rzekł: „Generał Lee! Ah, oui! Wiem już teraz! Generał Lee! Człowiek, o którym generał Beauregard jest dobrego zdania!”

Scarlett z uprzejmości śmiała się z innymi, ale jej zdaniem anegdotka była tylko dowodem, że Kreole są tak samo zarozumiali jak mieszkańcy Charlestonu czy Savannah. Uważała ponadto, że syn Ashleya powinien był nosić imię swego ojca.

Grajkowie po nastrojeniu instrumentów i paru wstępnych dysonansach zaczęli grać galopa. Tomasz zwrócił się do niej:

— Czy chciałabyś zatańczyć, Scarlett? Ja nie tańczę, ale Hugon lub Rene...

— Nie, dziękuję ci. Jestem jeszcze w żałobie po matce — rzekła Scarlett szybko. — Posiedzę sobie trochę.

Oczy jej spoczęły na Franku Kennedym; wołała go wzrokiem od boku pani Elsing.

— Usiądę sobie tam, w tej alkowie. Gdyby chciał mi pan przynieść coś zimnego, moglibyśmy sobie przyjemnie pogawędzić — powiedziała Frankowi, gdy trzej mężczyźni odeszli.

Kiedy Frank poszedł spiesznie po szklankę wina i cieniutki jak papierek kawałek babki, Scarlett usiadła w alkowie za salonem i starannie ułożyła fałdy sukni, aby nie było widać najgorszych plam. Upokarzające wypadki poranka odsunęły się na daleki plan pod wpływem podniecenia widokiem tyki osób i dźwięków muzyki. Jutro pomyśli o Recie i swoim upokorzeniu i znowu będzie się wiła z wściekłości. Jutro będzie się zastanawiała, czy zrobiła jakieś wrażenie na zdumionym i zbolałym Franku. Dziś nie. Dziś żyła całą pełnią, całą swoją istotą, wszystkie jej zmysły płonęły nadzieją, oczy sypały iskry.

Patrzyła z alkowy na wielki salon, przyglądała się tancerzom i przypominała sobie, jak piękny był ten pokój, kiedy po raz pierwszy przyjechała do Atlanty. Posadzki wtedy świeciły jak szkło, a wielki żyrandol o setkach małych pryzmatów odbijał promienie tuzinów świec i rzucał na pokój purpurowe, srebrzyste i szafirowe błyski. Stare portrety na ścianach, dystyngowane i uprzejme, patrzyły na gości z wyrazem przyjaznej gościnności. Kanapki z drzewa różanego były miękkie i zachęcające, a największa z nich stała na honorowym miejscu w tej samej alkowie, w której Scarlett siedziała teraz. Było to jej ulubione miejsce podczas zabaw i przyjęć. Rozciągał się zeń przyjemny widok na salon i jadalnię z owalnym stołem mahoniowym, przy którym mieściło się dwadzieścia osób, na dwadzieścia krzeseł pod ścianami i masywny kredens, ciężki od sreber, siedmioramiennych lichtarzy, pucharów, karafek i małych, błyszczących kieliszków. W pierwszych latach wojny Scarlett siadywała w alkowie bardzo często, zawsze z przystojnym oficerem u boku, i przysłuchiwała się dźwiękom skrzypiec, basetli, harmonii i banjo i szuraniu roztańczonych stóp po wywoskowanej posadzce.

Teraz nie zapalono żyrandola. Wisiał krzywo, a większość szkiełek była połamana, jak gdyby strącili je umyślnie Jankesi. Pokój oświetlony był lampą naftową, kilkoma świecami i ogniem huczącym na dużym kominku. Migające płomienie ukazywały wyraźnie, jak zniszczona i pogruchotana jest stara podłoga. Prostokąty na spłowiałych tapetach wskazywały miejsca, gdzie niegdyś wisiały portrety, a szerokie szczeliny w tynku upamiętniały dzień, gdy pocisk padł na dom i rozdarł dach i część drugiego piętra. Stary ciężki stół mahoniowy, zastawiony tortami i karafkami, nadal stał pośrodku pustawej jadalni, ale był bardzo zniszczony, a połamane nogi zdradzały ślady niezdarnego naprawienia. Kredensu, srebra i wysmukłych krzeseł nie było. Złote adamaszkowe portiery, zasłaniające sklepione duże okna w głębi pokoju, znikły i zostały tylko resztki koronkowych firanek, czyste, ale bardzo pocerowane. Na miejscu rzeźbionej kanapki, którą tak lubiła, stała twarda ława, bardzo niewygodna. Scarlett siedziała na niej z możliwie zadowoloną miną, ale żałowała, że suknia jej nie jest w lepszym stanie i że nie może tańczyć. Tak byłoby przyjemnie móc znowu potańczyć... Znacznie jednak więcej osiągnie siedząc z Frankiem w tej odosobnionej alkowie niż tańcząc z nim galopa — będzie mogła słuchać z uwagą tego, co mówi, i zachęcać go do coraz śmielszych zalotów.

Tylko że muzyka brzmiała tak zachęcająco... Scarlett lekko uderzyła pantoflem w takt że starym Levim, który brzdąkał na banjo i głośno wywoływał figury galopa. Stopy tańczących to suwały się po posadzce, to uderzały o nią, gdy ustawieni w dwa rzędy zbliżali się ku sobie, cofali, wirowali i wznosili ręce.

Po długich i wyczerpujących miesiącach w Tarze przyjemnie było znowu słyszeć muzykę i szuranie tańczących stóp, przyjemnie widzieć znajome twarze, śmiejące się w bladym świetle, słyszeć stare żarty i przezwiska, kpinki, zaloty. Był to jak gdyby powrót do życia po śmierci. Mogło się prawie wydawać, że szalone dni sprzed pięciu lat wróciły znowu. Gdyby mogła przymknąć oczy, nie widzieć pocerowanych i poprzerabianych sukien, łatanych butów i dziurawych pantofli, gdyby nie pamiętała twarzy chłopców, których brakło w salonie, mogłaby może pomyśleć; że nic się nie zmieniło. Gdy tak jednak patrzyła na pokój, przyglądając się starym mężczyznom skupionym koło butelek, matronom siedzącym pod ścianami i szepczącym do siebie bez osłony wachlarzy, i balansującym tancerzom, uświadomiła sobie nagle, chłodno i przerażająco, że cały ten obraz zmienił się tak bardzo, jak gdyby znajome postacie stały się widmami.

Wszyscy wyglądali tak samo jak dawniej, ale jakoś inaczej. Co było tego przyczyną? Czy to, że byli o pięć lat starsi? Nie, nie była to sprawa lat. Coś zmieniło się w ich świecie. Pięć lat temu otulało ich poczucie bezpieczeństwa tak szczelnie, że nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Minęły dawne dreszcze rozkosznego oczekiwania na miłe zdarzenia, minął czar beztroskiego życia.

Czuła, że i ona sama się zmieniła, nie w ten sposób jednak jak oni, i to ją zdumiewało. Przyglądała im się i czuła się między nimi obco, tak obco i samotnie, jak gdyby przyszła z innego świata, rozmawiała obcym językiem i nie była przez nich rozumiana. Potem uprzytomniła sobie, że podobne uczucia miała w stosunku do Ashleya. W obecności jego i ludzi jego pokroju — a takich była w jej otoczeniu większość — czuła się poza nawiasem czegoś, co wymykało się jej rozumieniu.

Twarze ich zmieniły się niewiele, sposób bycia nie zmienił się wcale, ale Scarlett wydawało się, że tylko to pozostało nie zmienione w dawnych jej przyjaciołach. Dystynkcja nie na czasie i przestarzała galanteria nie opuściła ich jeszcze i nie miała opuścić aż do śmierci, ale nosili w sobie niewygasłą gorycz, gorycz zbyt głęboką, by ją Ubrać w słowa. Byli łagodnymi, nieustraszonymi ludźmi, którzy zostali pokonani, ale nie chcieli uznać swojej klęski, zostali złamani — a mimo to niezłomni. Byli zmiażdżeni i bezsilni, stali się obywatelami zdobytych prowincji. Patrzyli, jak ukochany kraj deptany jest teraz przez nieprzyjaciela, patrzyli, jak łotrzy drwią z prawa, jak dawni niewolnicy zwracają się przeciw nim, jak pozbawia się prawa wyborczego mężczyzn, znieważa kobiety. I pamiętali o zmarłych

W starym ich świecie zmieniło się wszystko prócz manier. Stare zwyczaje trwały dalej, musiano ich przestrzegać, bo maniery były jedynym, co im pozostało. Trzymali się kurczowo rzeczy, które dobrze znali i w dawnych czasach kochali — swobodnego obejścia, uprzejmości, przyjemnej beztroski stosunków towarzyskich. przede wszystkim zaś galanterii mężczyzn w stosunku do dam. Wierni tradycjom, w których ich wychowano, mężczyźni byli rycerscy i prawie zupełnie udawało im się odizolować swoje kobiety od wszystkiego, co ordynarne i nieodpowiednie dla kobiecych oczu. To, myślała Scarlett, jest szczytem głupoty, bo mało było rzeczy, których by najbardziej nawet skromne kobiety nie widziały i nie doświadczyły w ciągu ostatnich pięciu lat. Pielęgnowały rannych, zamykały oczy konającym, przecierpiały wojnę, ogień i zniszczenie, zaznały terroru, bezdomności i głodu.

Ale mimo wszystkich okropności, które widzieli, mimo ciężkiej pracy, na którą byli skazani, pozostali dumni i wykwintni jak arystokracja na wygnaniu — byli zgorzkniali, niedostępni, zobojętniali, pełni dobroci jedni dla drugich, twardzi jak diamenty. Dawne czasy przeminęły, ale ludzie ci żyli tak, jak gdyby trwały dalej — czarujący, leniwi, zdecydowani nie spieszyć się i nie dobijać wzorem Jankesów o grosz, zdecydowani nie rozstawać się z dawnymi obyczajami.

Scarlett jednak wiedziała, że ona sama zmieniła się bardzo. Inaczej nie byłaby w stanie robić tych wszystkich rzeczy, które zrobiła od ostatniego pobytu w Atlancie. Nie mogłaby zdobyć się na to, co zamierzyła. Między jej determinacją a postawą jej przyjaciół była pewna różnica, ale trudno jej było powiedzieć, na czym polegała. Może na tym, że nie istniało nic, do czego nie byłaby zdolna, a wiele było rzeczy, których by ci ludzie nie zrobili nawet pod groźbą śmierci. Może na tym, że oni nie mieli nadziei, a przecież z uśmiechem przyglądali się życiu, skłaniali mu się lekko i przechodzili. Tego zaś Scarlett nie potrafiła.

Nie chciała ignorować życia. Musiała żyć, życie było zaś zbyt brutalne, zbyt wrogie, aby uśmiechem kwitować jego szorstkość. Łagodności, odwagi i nieustępliwej dumy swoich przyjaciół Scarlett nie dostrzegała wcale. Wiedziała tylko, że z głupim uporem, widząc właściwe oblicze spraw, nie chcieli im patrzeć prosto w oczy.

Kiedy przyglądała się tańczącym, zarumienionym od galopu, zastanawiała się, czy i ich gnębiły te same sprawy co ją — śmierć wielbicieli, kalectwo mężów, głód dzieci, utrata ziemi, przebywanie obcych pod ukochanymi dachami. Ależ oczywiście, że ich to gnębiło! Znała warunki ich życia prawie tak dobrze jak swoje własne. Stracili to samo co ona, musieli się tych samych rzeczy wyrzec, mieli takie same jak ona problemy. A jednak reagowali na nie inaczej. Twarze, które widziała w pokoju przed sobą, nie były twarzami: były to maski, doskonałe maski, które nigdy nie miały opaść.

Ale jeżeli cierpieli z powodu brutalnej teraźniejszości równie ostro jak ona — a tak przecież niewątpliwie było — jakże mogli utrzymać te pozory wesołości i beztroski serca? Po co starali się to robić? Nie mogła ich zrozumieć i to ją trochę gniewało. Nie umiała być taka jak oni. Nie mogła patrzeć, na rozbicie swego świata z miną obojętnie niedbałą. Czuła się zaszczuta jak lis, który ucieka z duszą na ramieniu, szukając nory, aby zaryć się w niej, nim go pochwycą psy. Nagle poczuła do tych wszystkich ludzi nienawiść, ponieważ byli tak od niej różni, ponieważ znosili swoje straty z obojętnością, na którą ona nigdy się nie zdobędzie, nigdy nie będzie się chciała zdobyć. Nienawidziła ich, tych uśmiechniętych, dumnych głupców, szczycących się tym, co stracili, dumnych niemal z tego, że wszystko stracili. Kobiety, obnosiły się jak damy i były naprawdę damami, choć fizyczna praca była ich codziennym udziałem, choć nie wiedziały, skąd wezmą na nową suknię. Damy! Ona jednak nie czuła się damą, mimo aksamitnej sukni i pachnących włosów, mimo dumy z rodziny swojej i majątku, który niegdyś posiadała. Brutalny kontakt z czerwoną ziemią Tary odarł ją z wszelkiej pańskości, wiedziała też, że nie będzie się czuła damą, dopóki stół jej znowu nie będzie się uginał od sreber, kryształów i wykwintnych potraw, dopóki w stajniach nie będzie miała własnych koni i powozów, dopóki czarne, a nie białe dłonie nie będą zbierały w Tarze bawełny.

„Ach! — westchnęła że złością. — Na tym polega różnica! One wszystkie postępują jak damy, mimo że są biedne, a ja już tego nie umiem. Te głupie gęsi nie zdają sobie sprawy, że nie można być damą bez pieniędzy!”

Nawet w tej chwili objawienia zdawała sobie jednak sprawę, że to ich postawa była słuszna, a nie jej. Ellen również by tak uważała. To ją niepokoiło. Czuła, że powinna myśleć jak ci ludzie, a nie mogła. Czuła, że powinna wierzyć tak święcie jak oni, że kobieta, która urodziła się damą, pozostaje damą nawet w biedzie — teraz jednak nie mogła w to wierzyć.

Przez całe swoje życie słyszała drwiny z Jankesów, którzy swe pretensje do dobrego urodzenia opierali na majątku, nie na dystynkcji. W tej jednak chwili, wiedząc, że to herezja, myślała, iż Jankesi mają rację. Na to, żeby być damą, trzeba mieć pieniądze. Wiedziała, że Ellen zemdlałaby słysząc takie słowa z ust swojej córki. Ellen nie wstydziłaby się najskromniejszej nędzy. Wstyd? Tak, Scarlett się wstydziła. Wstydziła się, że jest biedna i zmuszona do poniżających czynności, do niedostatku i pracy odpowiedniej dla Murzynów.

Z irytacją wzruszyła ramionami. Może to ci ludzie mieli słuszność, a nie ona, ale ci dumni głupcy nie patrzyli w przyszłość jak ona, nie natężali wszystkich nerwów, nie stawiali na kartę ani honoru, ani dobrego imienia, aby odzyskać to, co stracili. Niektórzy uważali, że ubieganie się o pieniądze jest poniżej ich godności. Czasy były ciężkie i brutalne. Wymagały ciężkiej i brutalnej walki, jeżeli pragnęło się zwycięstwa. Scarlett wiedziała, że przywiązanie do tradycji nie pozwalało wielu z tych ludzi na wysiłki, których celem było robienie pieniędzy. Wszyscy uważali, że jawne zarabianie pieniędzy i choćby rozmowa o pieniądzach są dowodem ostatecznego prostactwa. Rozumie się, że istniały wyjątki. Pani Merriweather i jej wytwórnia ciast, czy Rene, który ciasta rozwoził po mieście. Hugo Elsing, który rąbał i sprzedawał drzewo na opał, i Tomasz — przedsiębiorca budowlany. I Frank, który miał dość rozumu, aby otworzyć sklep. Ale cóż z całą resztą? Plantatorzy będą dalej uprawiali po parę akrów i żyli w biedzie. Prawnicy i lekarze wrócą do swych zajęć i będą czekali na klientów, którzy się może nigdy nie zjawią. Ale reszta, ci wszyscy którzy dostatnio żyli z dochodów? Co się stanie z nimi?

Scarlett nie miała zamiaru być w biedzie przez całe życie. Nie chciała siedzieć w kącie i czekać, aż zdarzy się cud. Chciała rzucić się w życie i wydrzeć mu wszystko, czego pragnęła. Ojciec jej zaczął jako biedny imigrant i zdobył rozległe grunty Tary. Córka jego potrafi zrobić to samo. Nie była podobna do ludzi, którzy postawili wszystko na Sprawę, teraz przegraną, i dumni byli z przegranej, bo uważali Sprawę za wartą największych poświęceń. Oni czerpali odwagę z przeszłości. Frank Kennedy był teraz jej przyszłością. Miał przynajmniej sklep i trochę gotówki. Jeżeli zdoła wydać się za niego i dobrać się do jego pieniędzy, Tara będzie mogła przetrwać jeszcze rok. Potem zaś — Frank będzie musiał kupić tartak. Widziała na własne oczy, jak szybko odbudowuje się miasto, i zrozumiała, że w tych czasach każdy, kto handluje drzewem, gdy konkurencja jest tak mała, ma kopalnię złota.

Z zakamarków mózgu wypłynęły słowa, które Rett wypowiedział na początku wojny o swoich zarobkach na blokadzie. Nie starała się ich wtedy zrozumieć, teraz jednak wydawały jej się całkowicie jasne. Zastanawiała się, czy to młodość i bezdenna głupota nie pozwoliły jej wtedy ich ocenić.

„Równie dobrze można zarobić na upadku cywilizacji co na jej budowaniu”

„On przewidywał upadek — myślała — i miał słuszność. Jeszcze w dalszym ciągu dużo jest możliwości dla każdego, kto nie boi się pracować., albo łupić”.

Zauważyła, że Frank zbliża się do niej że szklanką wina porzeczkowego i kawałkiem ciasta na talerzyku, zmusiła się więc do uśmiechu. Nie zastanawiała się ani przez chwilę, czy Tara warta jest poślubienia Franka. Wiedziała, że jest warta, i sprawa była dla niej przesądzona.

Sącząc wino uśmiechała się do niego, zadowolona, że ma policzki różowsze niż inne panie. Zebrała suknie, aby mu zrobić miejsce koło siebie, i zaczęła delikatnie powiewać chusteczką, by doszedł go zapach wody kolońskiej. Dumna była i z tego zapachu, bo żadna inna kobieta w salonie nie była uperfumowana, i Frank to natychmiast zauważył. W przystępie śmiałości szepnął jej do ucha, że podobna jest do różowej wonnej róży.

Gdyby tylko był nieco śmielszy! Przypominał jej zatrwożonego królika polnego. Gdyby mógł okazać zapał i galanterię młodych Tarletonów czy choćby bezczelność Retta Butlera! Ale gdyby miał te zalety, posiadałby jednocześnie dość rozumu, by wyczuć rozpacz, czającą się za jej skromnie trzepoczącymi się powiekami. Frank jednak tak mało znał kobiety, że nie podejrzewał jej o jakiekolwiek przewrotne zamiary. Było to szczęściem, ale bynajmniej nie wzmagało jej szacunku do niego.

## ROZDZIAŁ XXXVI

Scarlett poślubiła Franka Kennedy'ego w dwa tygodnie później, po błyskawicznych konkurach, które, jak przyznała się z rumieńcem, zbyt ją wzburzyły, aby mogła się dłużej jego zapałom opierać.

Frank nie wiedział, że w czasie tych dwóch tygodni całymi nocami chodziła po swoim pokoju zgrzytając zębami z powodu powolności, z jaką reagował na jej zachęty, modląc się, aby przedwczesny list od Zueli nie pokrzyżował jej planów. Dziękowała Bogu, że siostra nie lubi korespondować, że równie niechętnie odpisuje na listy, jak lubi je otrzymywać. Ale wszystko może się zdarzyć, myślała w ciągu długich godzin nocnych, wędrując tam i z powrotem po zimnej posadzce swojej sypialni, otulona wyblakłym szalem Ellen, zarzuconymi na nocną koszulę. Frank nie wiedział, że otrzymała lakoniczny list od Willa z wiadomością, że Jonasz Wilkerson złożył w Tarze powtórną wizytę i dowiedziawszy się, że Scarlett wyjechała do Atlanty, póty się awanturował, póki Ashley z Willem nie wyrzucili go za drzwi. List Willa uświadomił jej jeszcze wyraźniej to, o czym pamiętała aż nadto dobrze, że termin zapłaty podatków był coraz bliższy. W miarę mijania dni ogarnęła ją szalona desperacja, chciałaby móc schwycić w ręce klepsydrę i wstrzymać przesypywanie się piasku.

Tak jednak dobrze ukrywała swoje uczucia, tak dobrze odgrywała komedię, że Frank nic nie podejrzewał i nie widział nic — tylko piękną i bezradną wdowę po Karolu Hamiltonie, która co wieczór witała go radośnie w salonie panny Pitty i słuchała z podziwem i zapartym oddechem jego planów co do sklepu i obliczeń na temat możliwych dochodów z tartaku. Słodkie jej współczucie i zainteresowanie tym, co mówił, były balsamem na ranę spowodowaną zdradą Zueli. Franka bolało serce z powodu postępu Zueli; próżność jego, nieśmiała, drażliwa próżność niemłodego kawalera, który wie, że nie ma powodzenia u kobiet, odniosła głęboką ranę. Nie mógł napisać do Zueli z wyrzutami. Mierziła go myśl o czymś podobnym. Mógł jednak otworzyć serce przed Scarlett. Nie mówiąc ani jednego złego słowa o Zueli, potrafiła powiedzieć mu, że ocenia, jak źle postąpiła z nim siostra, i że zasługiwał na lepsze traktowanie.

Mała pani Hamilton była tak piękną osóbką, raz wzdychającą z melancholią na myśl o swoich ciężkich obowiązkach, to znowu śmiejącą się srebrzyście, gdy żartował, aby ją rozweselić! Zielona suknia, teraz doskonale wyczyszczona przez Mammy, podkreślała znakomicie jej szczupłą talię, a jakże czarujący był delikatny zapach wydzielający się z jej chusteczki i włosów! To straszne, że tak śliczna kobieta została sama i bez opieki w tym trudnym świecie, z którego brutalności nie zdawała sobie sprawy. Nie miała ani brata, ani nawet ojca, który by się nią opiekował. Frank uważał, że świat jest miejscem zbyt niebezpiecznym dla samotnej kobiety, a Scarlett potakiwała z przekonaniem.

Frank przychodził więc co wieczór z wizytą, bo atmosfera domu Pitty była przyjemna i działała nań kojąco. Mammy otwierała mu drzwi z uśmiechem niezwykle radosnym, Pitty nalewała mu kawę wzmocnioną koniakiem i krzątała się koło niego z zapałem, a Scarlett słuchała łapczywie jego słów. Czasem po południu zabierał Scarlett na przejażdżkę bryczką, gdy jeździli po mieście w interesach. Spacery te były bardzo zabawne, bo zadawała mu wiele naiwnych pytań — typowo kobiecych, jak mówił sobie z uznaniem. Musiał się śmiać z powodu jej niedoświadczenia w interesach, Scarlett zaś śmiała się z nim razem mówiąc: — No pewnie, skąd taka głupia kobieta jak ja może się znać na męskich sprawach.

W towarzystwie Scarlett Frank czuł się po raz pierwszy w swoim starokawalerskim życiu silnym, prawdziwym mężczyzną, ukutym przez Boga z szlachetniejszego niż inni kruszcu po to, by opiekować się nierozsądnymi i bezbronnymi kobietami.

Nawet w chwili gdy brali ślub i mała, ufna dłoń Scarlett spoczęła w jego dłoni, a opuszczone rzęsy rzucały półksiężyce cienia na różowe policzki. Frank nie rozumiał, jak do tego doszło. Wiedział tylko, że po raz pierwszy w życiu postąpił bardzo romantycznie. On, Frank Kennedy, potrafił zawrócić w głowie tej ślicznej osóbce i porwać ją w swe silne ramiona. Było to upajające uczucie.

Na ślubie me było nikogo z przyjaciół czy krewnych. Świadkami byli nieznajomi, zaproszeni z ulicy. Scarlett upierała się przy tym i Frank musiał wbrew woli ustąpić, choć bardzo chciał zaprosić siostrę i szwagra z Jonesboro. Radość sprawiłoby mu także przyjęcie w salonie panny Pitty, obecność życzliwych przyjaciół i toasty na cześć oblubienicy. Scarlett jednak nie chciała nawet słyszeć o zaproszeniu panny Pitty.

— Będziemy we dwoje tylko, Frank — prosiła ściskając go za rękę. — Jak gdybyś mnie porwał. Zawsze marzyłam o tym, aby uciec z domu i wziąć potajemny ślub. Proszę cię, kochany, zrób to dla mnie.

To pieszczotliwe słowo, którym nikt go dotąd nie nazywał, i przejrzyste łzy, które ukazały się w kącikach szmaragdowych, błagalnie patrzących oczu, przekonały go wreszcie. Ostatecznie, mężczyzna musi iść na ustępstwa w stosunku do swojej narzeczonej, zwłaszcza w sprawie ślubu. Kobiety zwykle tyle wagi przypisują sprawom uczuciowym.

Tak więc, zanim Frank zdążył się spostrzec, został mężem Scarlett.

Frank dał Scarlett owe trzysta dolarów, zdumiony jej łagodnym nastawieniem, chociaż opierał się z początku, bo równało się to chwilowemu pogrzebaniu nadziei na kupno tartaku. Nie mógł dopuścić do wywłaszczenia rodziny żony. Żal jego szybko zmalał wobec wyraźnego rozradowania Scarlett, a znikł zupełnie pod wpływem jej czułych zachwytów nad jego hojnością. Dotąd nie zachwycała się nim żadna kobieta, w końcu więc zaczął myśleć, że pieniądze nie poszły na marne.

Scarlett natychmiast wysłała Mammy do Tary, w trojakiej misji: wręczenia Willowi pieniędzy, zawiadomienia rodziny o jej zamążpójściu i sprowadzenia Wade'a do Atlanty. Po dwóch dniach otrzymała krótką kartkę od Willa, którą nosiła przy sobie i co chwila odczytywała z radością. Will pisał, że podatki zostały zapłacone i że Jonasz Wilkerson przyjął tę nowinę bardzo źle, ale gróźb swoich nie ponowił. Kończył list życzeniami szczęścia, bardzo lakonicznymi i oficjalnymi. Scarlett wiedziała, że Will rozumie, co zrobiła i dlaczego, że jednak ani nie gani, ani nie pochwala jej postępku. Lecz co sądzi Ashley! Niepokoiła się gorączkowo. Jak sądzi ją po tym, co mu tak niedawno wyznała w sadzie?

Otrzymała list od Zueli, nieortograficzny, gwałtowny, obelżywy, poplamiony łzami, list tak pełen jadu i słusznych uwag o jej charakterze, że Scarlett nie mogła go siostrze nigdy zapomnieć ani wybaczyć. Ale nawet słowa Zueli nie mogły przyćmić jej zadowolenia, że uratowała Tarę od bezpośredniego niebezpieczeństwa.

Trudno było Scarlett pogodzić się z tym, że ma teraz mieszkać stale w Atlancie, a nie w Tarze. Podczas rozpaczliwych starań o pieniądze myślała wyłącznie o Tarze i o losie, jaki czeka plantację. Nawet biorąc ślub nie myślała o tym, że ceną za uratowanie domu rodzinnego stało się wieczne zeń wygnanie. Teraz dopiero, gdy klamka zapadła, uświadomiła to sobie, zaczęła mocno tęsknić za domem i nie mogła tej tęsknoty ugasić. Stało się już jednak. Zawarła umowę i chciała jej dotrzymać. Tak bardzo zaś była wdzięczna Frankowi za uratowanie Tary, że zaczęła czuć dla niego ciepłą tkliwość i mocno postanowiła, iż nigdy nie pozwoli mu żałować tego, że się z nią ożenił.

Panie z Atlanty sprawy swoich bliźnich znały prawie tak samo dokładnie jak własne, interesowały się zaś nimi znacznie bardziej niż własnymi. Wiedziały doskonale, że Frank i Zuela mieli się od dawna ku sobie. Frank mówił nawet z zażenowaniem, że ożeni się może na wiosnę. Nie można się było dziwić plotkom, domysłom i podejrzeniom, które rozszalały się po ślubie Scarlett. Pani Merriweather, która lubiła zaspokajać swoją ciekawość o ile możności u źródła, zapytała wprost Franka, co go skłoniło do ożenku z jedną siostrą, kiedy był zaręczony z drugą. Zwierzyła się pani Elsing, że za odpowiedź musiało jej starczyć głupie spojrzenie Franka. Jednak nawet pani Merriweather, chociaż bardzo odważna, nie ośmieliła się poruszyć tego tematu że Scarlett. Scarlett była w tym okresie dość łagodna i spokojna; ale w oczach jej malowało się ciche zadowolenie, które ludzi irytowało, a w postawie było coś agresywnego, tak że woleli z nią nie zaczynać.

Wiedziała dobrze, że miasto plotkuje, lecz nie przejmowała się tym wcale. Ostatecznie, wyjście za mąż nie jest rzeczą niemoralną. Tara była bezpieczna. Niech ludzie gadają. Miała dosyć innych spraw, które jej leżały na sercu. Najważniejsze było, aby taktownie dać Frankowi do zrozumienia, że sklep jego powinien przynosić większe zyski. Najadłszy się strachu z powodu Jonasza Wilkersona czuła, że nie zazna spokoju, póki Frank nie zaoszczędzi choć trochę pieniędzy. Nawet gdyby nie było żadnych nieprzewidzianych wydatków, Frank powinien zarobić tyle, aby mogła bez uszczerbku dla niego zapłacić podatki na rok przyszły. Zapamiętała też dobrze to wszystko, co jej Frank powiedział o tartaku. Można było na nim dużo zarobić i bez większych trudności, bo drzewo osiągało olbrzymią cenę. Gryzła się trochę, że oszczędności Franka nie wystarczą i na podatki, i na kupno tartaku. Postanowiła wobec tego, że będzie musiała teraz więcej wyciągać że sklepu, aby Frank mógł kupić tartak, zanim mu go sprzątną sprzed nosa. Rozumiała doskonale, że podobna okazja może się nie powtórzyć.

Gdyby była mężczyzną, kupiłaby tartak, choćby za cenę pożyczki hipotecznej na sklep. Kiedy jednak w dzień po ślubie ostrożnie podsunęła tę myśl Frankowi, uśmiechnął się tylko i poprosił, aby sobie nie łamała ślicznej, kochanej główki nudnymi sprawami handlowymi. Bardzo się zdziwił, że w ogóle wiedziała, co to hipoteka, i z początku go to trochę bawiło. Zdziwienie jednak szybko ustąpiło miejsca zgorszeniu, zaraz w pierwszych dniach ich małżeństwa. Kiedyś, nieostrożnie, powiedział jej, że ,,ludzie” (nie wymienił nazwisk) winni mu są pieniądze, ale nie mogą mu zapłacić, on zaś oczywiście nie chce nachodzić o nie starych przyjaciół, ludzi dobrze urodzonych. Żałował potem, że o tym napomknął, bo odtąd Scarlett pytała go o to ciągle. Robiła to w sposób naiwny i dziecinny, bo jak twierdziła, była po prostu ciekawa, kto mu jest winien i ile. Frank nie chciał się jednak szczegółowiej na ten temat wypowiadać. Pokaszliwał tylko nerwowo, machał rękami i powtarzał głupią uwagę o jej ślicznej, kochanej, małej główce.

Zaczęło mu jednak świtać, że ta śliczna, kochana główka doskonale potrafi rachować, o wiele nawet lepiej od niego — i świadomość ta była niepokojąca. Był oszołomiony, kiedy odkrył, że Scarlett umie szybko dodać w pamięci długą kolumnę cyfr, podczas gdy on musi mozolnie rachować na papierze. Ułamki także nie przedstawiały dla niej żadnej trudności. Uważał, że jest rzeczą wysoce niewłaściwą, aby kobieta rozumiała się na ułamkach i interesach, i wydawało mu się, że powinna takie nieodpowiednie zainteresowania ukrywać.

Zaczął więc teraz bardzo starannie unikać rozmów o interesach, mimo że przed ślubem lubił o nich rozmawiać. Wtedy uważał, że są to sprawy, których Scarlett nie rozumie, i z przyjemną wyższością tłumaczył jej wszystkie szczegóły. Teraz przekonał się, że rozumie je aż za dobrze, i oburzał się w duchu na kobiecą dwulicowość. Do oburzenia przyłączyło się rozczarowanie, jakie często odczuwają mężczyźni odkrywając, że kobiety także mają rozum.

Nikt nie wiedział, kiedy Frank domyślił się, że Scarlett użyła podstępu, aby wyjść za niego za mąż. Może prawda zaczęła mu świtać, kiedy Tonio Fontaine, wyraźnie w nikim nie zakochany, przyjechał do Atlanty za interesami. Możliwe także, że wyraźnie powiedziała mu o tym w liście siostra z Jonesboro, zdumiona jego małżeństwem. Z pewnością nie dowiedział się tego od Zueli. Przestała do niego pisywać, on zaś, oczywiście, także nie mógł do niej napisać i wszystkiego wyjaśnić. Cóż by mu zresztą przyszło z wyjaśnień teraz, kiedy już był żonaty? Cierpiał męki na myśl, że Zuela nigdy nie dowie się prawdy i że będzie zawsze uważała, iż niecnie ją zwiódł. Prawdopodobnie wszyscy dokoła myśleli tak samo i ostro go krytykowali. Ukazywało go to w nieprzyjemnym świetle. Nie mógł sam niczego wyjaśnić, bo mężczyźnie nie wolno przecież opowiadać, że stracił głowę dla kobiety — dżentelmen nie może rozgłaszać faktu, że żona zdobyła go kłamstwem.

Scarlett była jego żoną, żona zaś miała prawo wymagać od męża lojalności. Co więcej, nie mógł uwierzyć, że wyszła za niego z wyrachowania, bez żadnego uczucia. Męska jego próżność nie dopuszczała podobnej myśli. Przyjemniej było myśleć, że zakochała się w nim tak gorąco, iż postanowiła go zdobyć podstępem. Wszystko to jednak było bardzo dziwne. Wiedział, że nie mógł być cenną zdobyczą dla kobiety dwa razy od niego młodszej, ładnej i eleganckiej, ale ponieważ był dżentelmenem, nie dzielił się z nikim swoim zdziwieniem. Scarlett była jego żoną, nie mógł więc jej obrażać zadawaniem kłopotliwych pytań, które ostatecznie i tak niczego nie mogłyby zmienić.

Nie znaczy to, aby Franek pragnął jakiejkolwiek zmiany, bo miał wszelkie powody przypuszczać, że małżeństwo jego będzie bardzo szczęśliwe. Scarlett była najbardziej uroczą i interesującą z kobiet, i uważał ją za doskonałą pod każdym względem — była jedynie trochę uparta. Frank wcześnie przekonał się, że życie układa się bardzo przyjemnie, gdy Scarlett robi to, co chce, kiedy jednak sprzeciwiał się jej... Gdy robiła to, na co miała ochotę, była wesoła jak dziecko, śmiała się często, płatała śmieszne figle, siadała mu na kolanach i skubała za brodę, aż zapewniał ją że śmiechem, że czuje się o dwadzieścia lat młodszy. Potrafiła być także niespodzianie miła i uważna, grzała mu pantofle przy kominku, gdy wracał wieczorem do domu, pamiętała, że lubi dróbka i że bierze do kawy trzy łyżeczki cukru. Tak, życie że Scarlett było bardzo przyjemne i gładkie — pod warunkiem, że mogła robić, co chciała.

W dwa tygodnie po ślubie Frank zachorował na grypę i dr Meade kazał mu się położyć. W pierwszym roku wojny chorował przez dwa miesiące na zapalenie płuc i odtąd stale obawiał się nawrotu choroby, leżał więc teraz pod trzema kołdrami, pocił się i wypijał co godzinę gorące wywary, które mu podawały Mammy i Pitty.

Choroba przeciągała się i Frank z dnia na dzień bardziej się niepokoił o losy sklepu. Zostawił wszystko na opiece młodego praktykanta, który co wieczór meldował mu o dokonanych transakcjach. Frank nie był jednak z tego zadowolony. Martwił się bez przerwy, aż Scarlett, która czekała tylko takiej sposobności, położyła mu chłodną dłoń na czole i powiedziała:

— Słuchaj, kochanie, zacznę się gniewać, jeżeli będziesz się tak irytował. Pojadę sama do miasta i przekonam się, co się dzieje w sklepie.

I z tymi słowami wyszła z pokoju zadowolona, że uciszyła jego słabe sprzeciwy. Przez trzy tygodnie po ślubie płonęła z niecierpliwości, aby przejrzeć książki Franka i przekonać się, jak stoją sprawy pieniężne. Jakie szczęście, że był przykuty do łóżka!

Sklep mieścił się w pobliżu Pięciu Znaków; nowy jego dach odcinał się jasno od poczerniałych cegieł starych murów. Drewniane daszki osłaniały chodnik na całą jego szerokość; do żelaznych ich podpórek uwiązane były konie i muły, okryte podartymi kocami dla ochrony przed zimnym kapuśniaczkiem. Wnętrze sklepu przypominało skład Bullarda w Jonesboro, tylko że tutaj dokoła rozgrzanego do czerwoności pieca nie gromadzili się klienci rozmawiając lub wypluwając sok tytoniowy do wysypanych piaskiem spluwaczek. Sklep Franka był większy od sklepu Bullarda i znacznie ciemniejszy. Drewniane daszki nie dopuszczały prawie światła dziennego, wnętrze więc sklepu oświetlone tylko małymi, poplamionymi przez muchy okienkami, było bardzo ponure. Na podłodze leżały zabłocone trociny, wszędzie — warstwy pyłu i kurzu. Front sklepu przedstawiał się porządniej — na wysokich półkach połyskiwały różnokolorowe zwoje materiałów, tłoczyły się serwisy, naczynia kuchenne i inne przedmioty. Z tyłu jednak, za przepierzeniem, panował wielki nieład.

Nie było tu podłogi i przeróżne towary piętrzyły się bezładnie na uklepanej ziemi. W półmroku Scarlett rozróżniła skrzynie i bele towarów, pługi, uprzęże, siodła i tanie sosnowe trumny. Używane meble, od najskromniejszych po mahonie i palisandry, o bogatych, ale podartych pokryciach brokatowych, dziwnie wyglądały w tym niechlujnym miejscu. Nocniki porcelanowe, komplety misek i kubłów zapełniały podłogę, a pod wszystkimi ścianami stały wysokie skrzynki, w takiej ciemności, że Scarlett musiała sobie poświecić, aby zobaczyć, że zawierają nasiona i gwoździe, zawiasy i narzędzia stolarskie.

— Sądzić by można, że mężczyzna tak pedantyczny jak Frank bardziej miłuje porządek — pomyślała ocierając chusteczką zabrudzone ręce. — Wygląda w tym sklepie jak w chlewie. Cóż za sposób prowadzenia interesu! Gdybyż tylko odkurzył to wszystko i ustawił na widoku, mógłby znacznie szybciej sprzedać.

Jeżeli zaś towary znajdowały się w takim nieporządku, jaki musi być stan rachunków!

,,Zajrzę teraz do jego ksiąg” — pomyślała i podnosząc lampę przeszła na przód sklepu. Willy, młody subiekt, niezbyt chętnie wręczył jej dużą, brudną księgę główną. Widoczne było, że mimo młodego wieku podziela pogląd Franka, iż kobiety nie powinny się wtrącać do interesów. Scarlett jednak przywołała go ostro do porządku i wysłała na obiad. Kiedy poszedł, poczuła się raźniej, bo złościło ją jego boczenie się na nią, i usadowiwszy się na krześle przy huczącym piecu, podwinęła pod siebie jedną nogę i rozłożyła książkę na kolanach. Pora była obiadowa i ulice puste. Kupujący nie przychodzili, nikt jej więc nie przeszkadzał.

Przewracała stronice wolno, uważnie przeglądając rzędy nazwisk i cyfr, wypisane kaligraficznym pismem Franka. Było tak, jak przewidywała, nachmurzyła się więc, stwierdzając ten oczywisty brak zaradności męża. Należności, przeważnie stare, w sumie co najmniej pięciuset dolarów, figurowały przy nazwiskach osób dobrze jej znanych, wśród których nie brakło pani Merriweather i pani Elsing. Z wymijających uwag Franka o pieniądzach, które mu ,,ludzie” byli winni, można było wywnioskować, że sumy te są małe. To jednak!...

„Jeżeli nie mogą płacić, dlaczego nadal kupują na kredyt? — myślała z podrażnieniem. — A jeżeli Frank wie, że nie mogą płacić, po co im tyle sprzedaje? Większość tych ludzi mogłaby zapłacić, gdyby ich Frank przycisnął. Pani Elsing z pewnością, skoro mogła sprawić Fanny nową atłasową suknię i urządzić takie wesele, Frank jest zbyt ustępliwy i ludzie go wyzyskują. Ba! gdyby odebrał choć połowę tych pieniędzy, mógłby kupić tartak i z łatwością dać mi pieniądze na podatki.”

Potem pomyślała: „Wyobrażam sobie, jakby Frank poprowadził tartak! Do stu par beczek! Skoro sklep prowadzi jak instytucję dobroczynną, jakże może przypuszczać, że się wzbogaci na tartaku? Komornik zlicytuje mu go w miesiąc. Nawet ja umiałabym lepiej poprowadzić ten skład! I lepiej potrafiłabym zarządzać tartakiem, chociaż wcale się nie znam na handlu drzewem!”

Cóż to za zdumiewająca myśl: kobieta miałaby się znać na interesach równie dobrze lub lepiej od mężczyzny? Scarlett wychowanej w przekonaniu, że mężczyźni są wszechwiedzący, a kobiety raczej ograniczone, myśl ta wydała się rewolucyjna. Od dawna już wprawdzie wiedziała, że nie jest to absolutną prawdą, ale jak dotąd starała się zachować resztki jakichkolwiek złudzeń. Dotąd nigdy jednak nie zdobyła się na ubranie w słowa tej odważnej myśli. Siedziała bez ruchu, z ciężką księgą na kolanach, z ustami rozchylonymi że zdziwienia, i myślała o tym, że przecież podczas chudych miesięcy w Tarze dźwigała na sobie obowiązki mężczyzny i wywiązywała się z nich dobrze. Wychowano ją w tej tradycji, że sama kobieta nie jest zdolna do niczego, a jednak umiała zarządzać plantacją bez męskiej pomocy aż do chwili zjawienia się Willa.

Tak, tak, stwierdzała nieśmiało, wydaje mi cię, że kobiety potrafią wszystko na tym świecie zrobić bez męskiej pomocy — z wyjątkiem płodzenia dzieci — a Bóg świadkiem, że żadna rozsądna kobieta nie chciałaby mieć dzieci, gdyby potrafiła tego uniknąć.

Wraz z myślą, że jest nie mniej zdolna od mężczyzny, zrodziła się w niej nagła duma i gwałtowne pragnienie zarabiania pieniędzy jak mężczyzna. Zarabiania pieniędzy, które byłyby jej własne, o które nie musiałaby nikogo prosić ani nikomu z nich zdawać sprawy.

— Szkoda, że nie mam dość pieniędzy, aby kupić ten tartak dla siebie — rzekła na głos i westchnęła. — Pewna jestem, że poszedłby mi doskonale. I nawet jednej drzazgi nie sprzedałabym na kredyt.

Westchnęła znowu. Nie miała skąd wziąć pieniędzy, więc wszystko to było bezpłodnym marzeniem. Frank będzie musiał po prostu zainkasować należne mu sumy i kupić tartak. W ten sposób dorobi się pieniędzy, kiedy zaś kupi tartak, ona znajdzie już jakiś sposób i wpłynie na niego, aby prowadził go sprawniej niż sklep.

Wyrwała nie zapisaną stronę z księgi i zaczęła przepisywać nazwiska wierzycieli, którzy nic nie zapłacili Frankowi od wielu miesięcy. Porozmawia z nim o tej sprawie, jak tylko przyjdzie do domu. Postara się mu wytłumaczyć, że ludzie powinni płacić swoje długi, nawet jeżeli są jego przyjaciółmi, nawet jeżeli przykro mu jest się o pieniądze upominać. Z pewnością bardzo zmartwi Franka, który jest nieśmiały i liczy się z opinią swoich znajomych. Jest tak delikatny, że wolałby z pewnością stracić pieniądze niż upomnieć się o nie w rozsądny sposób.

Frank powie jej pewno, że nikt nie ma pieniędzy na płacenie długów. To może jest i prawdą. Bieda z pewnością nie jest rzeczą nową, zwłaszcza dla niej. Wszyscy jednak w Atlancie uratowali trochę srebra, biżuterii czy jakieś nieruchomości. Frank mógłby je przyjmować zamiast pieniędzy.

Scarlett wyobrażała sobie, jak Frank będzie jęczał, gdy mu podsunie taką myśl. Zabrać przyjaciołom i znajomym biżuterię lub resztki majątku! „Wszystko mi jedno — pomyślała — niech jęczy, ile mu się podoba. Powiem mu, że może sam zostać biednym w imię przyjaźni, ale że ja na to nie mam ochoty. Frank nigdy do niczego nic dojdzie, jeżeli nie nabierze tupetu. A przecież musi dojść do pieniędzy! Musi się wzbogacić i nakłonię go do tego, choćbym miała go wziąć pod pantofel”.

Pilnie pisała, skrzywiona z wysiłku, z językiem lekko wysadzonym, kiedy otwarły się drzwi i zimny wiatr powiał po sklepie. Do brudnego wnętrza stąpając lekko i elastycznie wszedł wysoki mężczyzna. Podniósłszy głowę Scarlett ujrzała Retta Butlera.

Wyglądał wspaniale w nowym ubraniu i palcie, z peleryną odrzuconą z szerokich ramion. Zdjął cylinder i skłonił się głęboko, z ręką złożoną na gorsie nieskazitelnie białej plisowanej koszuli. Białe zęby błysnęły mu drapieżnie w brązowej twarzy, a śmiałe oczy poszukały jej wzroku.

— Droga pani Kennedy! — zawołał idąc w jej stronę. — Kochana, droga pani Kennedy! — i wybuchnął wesołym głośnym śmiechem.

Z początku była przerażona, jak gdyby to duch zjawił się w sklepie, potem jednak, szybko wyciągając nogę spod siebie, wyprostowała się i spojrzała na niego lodowatym wzrokiem.

— Co pan tutaj robi?

— Zaszedłem do panny Pittypat, dowiedziałem się o pani małżeństwie i pośpieszyłem tutaj, aby pani powinszować.

Na wspomnienie upokorzenia, jakiego doznała z jego strony, stała się szkarłatna że wstydu.

— Nie rozumiem, jak pan ma czoło patrzeć mi w oczy! — zawołała.

— Wręcz przeciwnie! To ja się dziwię pani czelności!

— Och, jest pan najgorszym...

— A może byśmy lepiej ogłosili rozejm? — uśmiechnął się do niej szerokim, wesołym uśmiechem, w którym była bezczelność, ale nie było ani wstydu z powodu własnego postępowania, ani potępienia jej. Wbrew woli musiała się także uśmiechnąć, ale był to uśmiech blady, wymuszony.

— Jaka szkoda, że pana nie powiesili!

— Obawiam się, że wiele osób podziela pani uczucia. No, dość już, Scarlett, uspokój się. Wyglądasz, jak gdybyś kij połknęła, i bardzo ci z tym nie do twarzy. Pewien jestem, żeś już zdążyła zapomnieć o moim... hmm... małym żarcie.

— Żarcie? Dobre sobie! Nigdy o nim nie zapomnę!

— Ależ tak, zapomnisz. Po prostu przybierasz tę oburzoną minę, bo wydaje ci się, że tak wypada i należy. Czy mogę usiąść?

— Nie.

Usiadł na krześle obok niej i uśmiechnął się.

— Dowiaduję się, żeś i dwóch tygodni nie mogła na mnie poczekać — zaczął i westchnął z udanym żalem. — Jakież zmienne są kobiety!

Ponieważ nie odpowiadała, ciągnął dalej:

— Powiedz mi, Scarlett, jak między przyjaciółmi — bardzo starymi i bardzo zażyłymi — czy nie byłoby mądrzej, gdybyś poczekała, aż mnie wypuszczą z więzienia? Czy też rozkosze małżeństwa że starym Frankiem Kennedym bardziej ci się uśmiechały niż nieprawy stosunek że mną?

Jak zwykle, gdy gniewały ją jego kpiny, tak i teraz gniew walczył w niej o lepsze z ochotą do śmiechu.

— Nie mów głupstw.

— Czy chciałabyś jednak zaspokoić moją ciekawość co do pewnego punktu, który stanowi dla mnie zagadkę? Czy nie odczułaś wrodzonego kobietom wstrętu, czy nie wzdragałaś się przed perspektywą wyjścia znowu za mąż za człowieka, do którego nie czułaś miłości ani przywiązania? Czy też mam złe informacje co do subtelności kobiet Południa?

— Rett!

— Już mi odpowiedziałaś. Zawsze uważałem, że kobiety są twardsze i wytrzymalsze od mężczyzn, chociaż, w dzieciństwie uczono mnie, że to delikatne, czułe, wrażliwe istoty. Prawda jednak, że według europejskich zasad dobrego wychowania nie wypada, aby małżonkowie się kochali. Jest to w bardzo złym tonie. Zawsze byłem zdania, że Europejczycy mają pod tym względem rację. Pobierajmy się z rozsądku, a kochajmy dla przyjemności. Prawda, że to rozsądne, jak ci się zdaje? Jesteś ciaśniej związana z Europą, niż przypuszczałem.

Jak przyjemnie byłoby krzyknąć: „Nie wyszłam za mąż z rozsądku!” Na nieszczęście jednak Rett wiedział lepiej i okrzyki obrażonej niewinności wywołałyby z jego strony tylko dalsze złośliwe uwagi.

— Aleś się rozgadał — rzekła chłodno. Pragnąc zmienić czym prędzej temat, zapytała: — W jaki sposób wydostałeś się z więzienia?

— Ach, to! — odrzekł z niedbałym ruchem ręki. — Z tym nie było kłopotu. Wypuścili mnie dziś rano. Użyłem bardzo subtelnego szantażu w stosunku do znajomego w Waszyngtonie, który zajmuje dość wysokie stanowisko w rządzie federalnym. Wspaniały facet — jeden z tych gorliwych patriotów Unii, od których kupowałem strzelby i jedwabie dla Konfederacji. Kiedy mu w odpowiedni sposób zwróciłem uwagę na rozpaczliwość mego położenia, użył wszystkich wpływów, by mnie zwolniono. Protekcja jest wszystkim, Scarlett. Pamiętaj o tym, gdyby cię kiedyś aresztowano. Protekcja jest wszystkim, a sprawa winy czy niewinności kwestią czysto teoretyczną.

— Mogłabym przysiąc, że nie byłeś niewinny.

— Nie, teraz, gdy jestem na wolności, przyznaję z ochotą, że jestem równie winny jak Kain. Zabiłem tego Murzyna. Zachowywał się natarczywie w stosunku do pewnej damy, jak więc inaczej mógł postąpić dżentelmen z Południa? I skoro już się spowiadam, wyznam i to, że zastrzeliłem również jankeskiego kawalerzystę po kłótni w barze. Nie mnie obarczono tym grzeszkiem, więc sądzę, że może powieszono już za to jakiegoś innego nieszczęśnika.

Mówił z taką swobodą o swoich zabójstwach, że krew ścięła się w żyłach Scarlett. Na wargi cisnęły się jej słowa oburzenia, nagle jednak przypomniała sobie Jankesa, który spoczywał pod gąszczem dzikiego wina w Tarze. Nie więcej obarczał jej sumienie od robaka, którego by przypadkiem rozgniotła. Nie mogła osądzać Retta, bo miała na sumieniu to samo, co on.

— I, skoro już robię przed tobą rachunek sumienia, muszę ci powiedzieć, w najściślejszej tajemnicy (to znaczy, że nie powinnaś tego mówić pannie Pittypat!), że rzeczywiście mam pieniądze, bezpieczne w banku w Liverpoolu.

— Pieniądze?

— Tak, pieniądze, o które tak się dopytywali Jankesi. Scarlett, to nie skąpstwo było przyczyną, że nie dałem ci pieniędzy, o które mnie prosiłaś. Gdybym wypisał ci czek, Jankesi wywęszyliby to jakoś i nie dostałabyś ani centa. Jedyną moją nadzieją było spokojne czekanie. Wiedziałem, że pieniądze są dość bezpieczne, bo gdyby zdarzyło się najgorsze, gdyby dowiedzieli się, gdzie są, i chcieli mi je odebrać, wymieniłbym nazwiska wszystkich jankeskich patriotów, którzy w czasie wojny sprzedawali mi amunicję i maszyny. Wybuchłby wtedy skandal, bo niektórzy z nich zajmują teraz wysokie stanowiska w Waszyngtonie. Właściwie tylko groźba moja, że wszystko wyznam, spowodowała zwolnienie mnie z więzienia. Ja...

— Czy chcesz powiedzieć, że... że to ty masz pieniądze Konfederacji?

— Nie wszystkie. Na Boga, skądże znowu! Jest chyba z pięćdziesięciu lub więcej dawnych blokadowców, którzy ukryli wielkie pieniądze w Nassau, Anglii lub Kanadzie. Nie będą nas pewnie teraz lubili ci konfederaci, którzy byli mniej od nas sprytni. Ja odłożyłem sobie nie mniej niż pół miliona. Pomyśl tylko, Scarlett, pół miliona dolarów, gdybyś tylko powściągnęła trochę swój ognisty temperament i nie rzuciła się tak od razu w małżeństwo!

Pół miliona dolarów. Robiło jej się po prostu słabo na myśl o tak wielkiej sumie pieniędzy. Drwiące słowa Retta przeszły jej mimo uszu i nawet ich nie słyszała. Trudno było uwierzyć, że jest tyle pieniędzy na tym nielitościwym i zubożałym świecie. Tyle pieniędzy, tak bardzo wiele pieniędzy, które należały do kogoś innego, do kogoś, kto nie dbał o nie i wcale ich nie potrzebował. Między nią zaś a wrogim światem stał jedynie chorowity, niemłody mąż i ten brudny, tandetny sklep. To było niesprawiedliwe, że łotr taki, jak Rett Butler, ma tak wiele, ona zaś, która dźwigała ciężkie brzemię — tak mało. Nienawidziła go, gdy tak siedział wyświeżony i wyelegantowany i kpił z niej w żywe oczy. Nie, nie ma zamiaru chwalić go za spryt, bo stanie się jeszcze bardziej zarozumiały. Szukała z wysiłkiem ostrych słów, aby mu dociąć.

— Wydaje ci się pewno, że przywłaszczenie sobie pieniędzy Konfederacji jest rzeczą uczciwą. A więc nie, to nie jest uczciwe. Jest to zwykła kradzież i wiesz o tym doskonale. Nie chciałabym mieć tego na sumieniu.

— O Boże! Jakaś ty niełaskawa! — wykrzyknął krzywiąc się trochę. — I kogóż to ja właściwie okradłem?

Nic nie odpowiedziała i zastanawiała się przez chwilę. Ostatecznie, zrobił to samo, co na mniejszą skalę zrobił Frank.

— Połowa tych pieniędzy należy uczciwie do mnie — ciągnął Rett dalej — jest uczciwie zarobiona z pomocą uczciwych patriotów Unii, którzy wyprzedawali Unię za plecami rządu zarabiając sto procent na towarach. Część zarobiłem na bawełnie, którą kupiłem na początku wojny — bawełnie nabytej tanio i sprzedawanej po dolarze za funt, w chwili gdy brytyjskie fabryki potrzebowały jej bardzo. Część zarobiłem na spekulacji żywnościowej. Dlaczego miałbym darować Jankesom owoce mojej pracy? Reszta jednak pieniędzy należała do Konfederacji. Pochodzi z bawełny konfederackiej, którą udało mi się przemycić za linię blokady i sprzedać w Liverpoolu po wyśrubowanych cenach. Bawełnę dano mi w dobrej wierze, abym kupił za nią skórę, karabiny i maszyny. Wziąłem ją też w dobrej wierze. Miałem polecenie wpłacania złota do banków angielskich na swoje własne konto, abym miał lepszy kredyt. Pamiętasz pewnie, że kiedy zaostrzono blokadę, nie mogłem wyprowadzić statków z żadnego portu Konfederacji, pieniądze więc pozostały w Anglii. Co miałem zrobić? Podjąć złoto z banków jak głupiec i starać się je przewieźć do Wilmingtonu? I pozwolić, aby je Jankesi przychwycili? Czy to moja wina, że blokadę zaostrzono tak nagle? Czy z mojej winy przepadła nasza Sprawa? Pieniądze należały do Konfederacji, to prawda. No, a teraz nie ma Konfederacji — choć trudno w to uwierzyć, gdy się słucha niektórych ludzi. Komu mam je zwrócić? Rządowi jankeskiemu? Nie chciałbym, aby mnie ludzie uważali za złodzieja!

Wyjął z kieszeni skórzaną cygarnicę, wyciągnął z niej długie cygaro i powąchał je z przyjemnością, po czym spojrzał na Scarlett z udanym niepokojem, jak gdyby czekając na jej wyrok.

„Niech go licho porwie — pomyślała — zawsze potrafi mnie przekonać. Chociaż czuję, że argumenty jego nie są słuszne, nigdy nie mogę dociec, gdzie tkwi błąd”.

— Mógłbyś — powiedziała z godnością — rozdać pieniądze tym, którzy są w potrzebie. Konfederacji już nie ma, ale pozostali jeszcze konfederaci lub ich rodziny, które przymierają głodem.

Odrzucił w tył głowę i roześmiał się głośno.

— Nigdy nie bywasz bardziej czarująca i niedorzeczna, jak kiedy stajesz się hipokrytką!- zawołał szczerze ubawiony. — Mów zawsze prawdę, Scarlett. Nie potrafisz kłamać. Irlandczycy są najgorszymi kłamcami pod słońcem. Bądź szczera, moja droga. Nigdy nie przejmowałaś się losami nieboraczki Konfederacji, jeszcze mniej zaś obchodzą cię przymierający głodem konfederaci. Protestowałabyś głośno, gdybym napomknął ci choćby o rozdaniu tych pieniędzy, chyba że lwią część podarowałbym tobie.

— Nie chcę twoich pieniędzy — zaczęła starając się być zimna i obojętna.

— Och, naprawdę? A ręka cię świerzbi, żeby ich choć dotknąć. Gdybym ci pokazał dolara, rzuciłabyś się na niego natychmiast.

— Jeżeli przyszedłeś tutaj po to, by mnie obrażać i drwić z mojej biedy, powiem ci w tej chwili do widzenia — odrzekła starając się podnieść z kolan ciężką księgę, aby wstać i gestem podkreślić słowa. W jednej chwili Rett zerwał się że swego miejsca, pochylił nad nią i że śmiechem lekko pchnął z powrotem na krzesło.

— Kiedy wreszcie przestaniesz się złościć słysząc słowa prawdy? Nigdy nie wahasz się mówić prawdy o innych, dlaczego więc nie chcesz słuchać jej o sobie? Nie obrażam cię wcale. Myślę, że chęć posiadania pieniędzy jest bardzo dodatnią cechą.

Nie była tego zupełnie pewna, ale wyczuwając w słowach Retta pochwałę udobruchała się trochę.

— Nie przyszedłem tutaj wyśmiewać się z twojej biedy, ale życzyć ci szczęścia w małżeństwie. A propos, co też siostra Zuzia myśli o twojej kradzieży?

— O czym?

— O sprzątnięciu jej Franka sprzed nosa.

— Ja nie...

— Och, nie będziemy się sprzeczali o słowa. Co powiedziała?

— Nic nie powiedziała — odparła Scarlett.

Rett uśmiechnął się znowu; wiedział, że kłamie.

— Jak to ładnie z jej strony. No, a teraz powiedz mi coś o swojej biedzie. Mam prawo o tym wiedzieć, zwłaszcza po twojej niedawnej wizycie w więzieniu. Czyżby Frank miał mniej pieniędzy, niż się spodziewałaś?

Nie było rady na jego zuchwałość. Musiała się albo z nią pogodzić, albo kazać mu odejść. Teraz nie chciała już wcale, aby poszedł. Słowa jego były szorstkie, ale pełne prawdy. Wiedział, po co wyszła za mąż i wcale jej za to nie potępiał. I chociaż pytania jego były nieprzyjemnie obcesowe, płynęły zdaje się z prawdziwego zainteresowania. Rett był jedynym człowiekiem, któremu mogła powiedzieć prawdę. Sprawiłoby to jej wielką ulgę, bo dawno już nie miała sposobności mówienia szczerze o sobie i pobudkach swego działania. Ilekroć mówiła to, co myśli, wszyscy wydawali się zgorszeni. Rozmowa z Rettem była jak włożenie wygodnych rannych pantofli po nocy przetańczonej w ciasnych.

— Czy nie dostałaś pieniędzy na podatki? Nie mów mi tylko, że Tara jest wciąż jeszcze w niebezpieczeństwie. — Mówił teraz zupełnie innym tonem.

Popatrzyła na niego uważnie i w czarnych jego oczach ujrzała wyraz taki, że z początku zdumiała się, a potem nagle uśmiechnęła się łagodnie i słodko, uśmiechem dawno zapomnianym. Jakiż to był drań, ale jak potrafił być chwilami miły! Wiedziała teraz, że prawdziwym powodem jego wizyty była nie chęć dokuczania jej, ale troska, czy dostała pieniądze, na których jej tak bardzo zależało. Wiedziała, że pośpieszył do niej natychmiast po zwolnieniu z więzienia, aby pożyczyć jej pieniądze, jeśli jeszcze są jej potrzebne. Jednocześnie zaś dokuczał jej, obrażał ją i z pewnością nie przyznałby się, co go tu sprowadziło, gdyby powiedziała, że go o to podejrzewa. Trudno go było po prostu zrozumieć. Czy rzeczywiście lubił ją więcej, niż przypuszczała? Czy też miał jeszcze inne intencje? Pewnie to drugie, myślała. Nie wiadomo jednak. Rett robił czasami bardzo dziwne rzeczy.

— Nie — odrzekła — Tara jest już bezpieczna. Dostałam pieniądze.

— Założę się, że nie bez walki. Czyś umiała się opanować do chwili, gdy Frank włożył ci obrączkę na palec?

Nie chciała się uśmiechnąć, ale na twarzy jej pojawiły się mimo to dołeczki. Rett znowu usiadł i wyciągnął długie nogi.

— A więc opowiedz mi coś więcej o swojej biedzie. Czyżby Frank, niepoczciwy, zawiódł cię co do swoich możliwości? Trzeba by go zdrowo zbatożyć, jeśli wykorzystał twoją niewieścią bezradność. Proszę, Scarlett, opowiedz mi wszystko. Nie powinnaś mieć przede mną tajemnic. Wiem o tobie z pewnością wszystko, co najgorsze.

— Och, Rett, jesteś najgorszym... no, sama nie wiem już czym! Nie, Frank nie zawiódł mnie właściwie... — Czuła, że sprawi jej to prawdziwą przyjemność, jak mu się zwierzy. — Gdyby Frank zainkasował pieniądze, które mu się należą od ludzi, nie miałabym teraz kłopotów. Pięćdziesiąt osób nie płaci mu, a on nie chce się upominać o swoje pieniądze! Jest taki delikatny! Mówi, że dżentelmen nie powinien tego robić. I pieniądze te odbierzemy albo Bóg wie kiedy, albo wcale.

— No więc cóż z tego? Czy nie masz dość na życie?

— Tak, ale... widzisz, bardzo by mi się przydało trochę pieniędzy. — Oczy jej rozjaśniły się, gdy pomyślała o tartaku. — Może...

— Na co? Na podatki?

— A co to ciebie obchodzi?

— Obchodzi mnie, bo za chwilę poprosisz mnie o pożyczkę. Och, dobrze znam te wstępy. Pożyczę ci pieniędzy, bez gwarancji, którą zaofiarowałaś mi tak niedawno temu. Chyba, że bardzo byś nalegała.

— Jesteś najobrzydliwszym...

— Wcale nie. Chciałem cię tylko uspokoić. Wiedziałem, że ta sprawa będzie cię niepokoiła. Nie bardzo, ale troszeczkę. A ja chętnie pożyczę ci pieniędzy. Chcę jednak wiedzieć, na co masz zamiar je wydać. To moje prawo. Jeżeli wydasz je na ładne suknie czy na powóz, dam ci je z błogosławieństwem. Ale jeżeli zechcesz za nie kupić nowe spodnie dla Ashleya Wilkesa, obawiam się, że będę ci musiał odmówić.

Ogarnęła ją wściekłość i zaczęła się jąkać, bo nie znajdowała odpowiednich słów.

— Ashley nie wziął ode mnie ani centa! Nie przyjąłby ode mnie ani grosza, choćby umierał z głodu! Nie możesz go zrozumieć, nie wiesz, jakie ma poczucie honoru, ile ma dumy! Pewnie, że go nie rozumiesz, bo jesteś wielkim...

— Nie zaczynaj mnie przezywać. Mógłbym ci się zrewanżować i nazwać cię jeszcze o wiele mniej ładnie. Zapominasz, że wiem o tobie wszystko od panny Pittypat, a ta poczciwa dusza zwykła opowiadać, co wie, każdemu, kto chce słuchać. Wiem, że Ashley jest w Tarze od powrotu z Rock Island. Wiem, że nawet pogodziłaś się z obecnością jego żony przy sobie, co musiało ci przyjść nie bez wysiłku.

— Ashley jest...

— O tak, tak — rzekł, pogardliwie machając dłonią. — Ashley jest zbyt doskonały, abym ja mógł go ocenić właściwie. Nie zapominaj jednak, że byłem zainteresowanym świadkiem twej czułej z nim sceny w Dwunastu Dębach i odnoszę wrażenie, że on nie bardzo się od tego czasu zmienił. Tak samo ty się nie zmieniłaś. Tego dnia, o ile sobie przypominam, bynajmniej nie zachował się doskonale. Nie wydaje mi się, aby teraz zachowywał się o wiele lepiej. Dlaczego nie zabiera swojej rodziny i nie szuka pracy? Dlaczego nie wyjeżdża z Tary? Może to fantazja z mojej strony, ale nie mam zamiaru pożyczać ci ani centa na Tarę i w ten sposób przyczyniać się do utrzymywania Ashleya. W męskim towarzystwie używa się bardzo niemiłego słowa na określenie mężczyzn, którzy są na utrzymaniu kobiet.

— Jak śmiesz mówić podobne rzeczy? Ashley pracuje jak wyrobnik! — Mimo wściekłości, jaką czuła, serce jej ścinało się na wspomnienie Ashleya rąbiącego drzewo.

— I wart jest wynagrodzenia w najczystszym złocie, jak sądzę. I jak wspaniale musi pomagać przy rozwożeniu nawozu i...

— On...

— A tak, wiem. Przyjmijmy na chwilę, że stara się, jak może najlepiej, nie mogę sobie jednak wyobrazić, aby był ci bardzo pomocny. Osobnik nazwiskiem Wilkes nigdy nie przekształci się w dobrego parobka ani w pożytecznego człowieka. Ród ten służy wyłącznie do ozdoby. Teraz jednak przygładź swoje nastroszone piórka i zapomnij o moich niedelikatnych uwagach na temat dumnego i szlachetnego Ashleya. Dziwne, że podobne złudzenia mogą się trzymać kobiety tak twardej jak ty. Ile potrzebujesz pieniędzy i na co?

Kiedy długo nie odpowiadała, powtórzył:

— Na co ci potrzebne pieniądze? Staraj się powiedzieć prawdę. Poskutkuje równie dobrze jak kłamstwo. Lepiej nawet, bo jeżeli skłamiesz, dowiem się prawdy sam, a pomyśl, jakim to będzie dla ciebie wstydem. Zawsze pamiętaj o tym, Scarlett, że wszystko od ciebie przyjmę z wyjątkiem kłamstwa — twoją niechęć do mnie, złe humory, kłótliwość... tylko nie kłamstwo... A więc na co ci potrzebne pieniądze?

Wściekła z powodu ataku Retta na Ashleya, Scarlett dałaby wszystko w świecie za możność splunięcia z pogardą i odrzucenia propozycji pożyczki z drwiącym uśmiechem. Przez chwilę chciała nawet to zrobić, ale zimna dłoń rozsądku powstrzymała ją jednak. Przełknęła złość i przybrała minę pełną godności. Rett rozsiadł się wygodniej i przysunął nogi do ognia.

— Jest pewna rzecz w świecie, która mnie bawi najwięcej — zauważył — a mianowicie twoja walka wewnętrzna, gdy zasady walczy w tobie z zagadnieniem tak praktycznym jak chęć posiadania pieniędzy. Wiem, oczywiście, że praktyczność zawsze zwycięża, ale uważnie czekam, czy jednak lepsza strona twojej natury nie wyjdzie któregoś dnia górą z tej walki. A kiedy dzień taki nadejdzie, zapakuję manatki i wyjadę z Atlanty na zawsze. Zbyt wiele jest kobiet, w których zawsze zwycięża cnota... Ale wracajmy do interesu. Ile i na co?

— Nie wiem jeszcze, ile mi będzie potrzeba — rzekła nadąsana. — Chciałabym jednak kupić tartak, bo przypuszczam, że sprzedadzą mi go tanio. Potrzebne mi także dwa wozy i dwa dobre muły. I koń, i kabriolet do mego własnego użytku.

— Tartak?

— Tak, a za pożyczkę gotowa jestem dopuścić cię do spółki.

— Co chcesz robić z tartakiem?

— Zarabiać wiele pieniędzy! Można na nim zrobić majątek. Może zapłacę ci procent od tej pożyczki? Poczekaj, jaki jest dobry procent?

— Pięćdziesiąt od sta, to niezły procent.

— Pięćdziesiąt? Och, przecież ty żartujesz! Przestań się śmiać, ty diable. Mówię poważnie.

— Dlatego się właśnie śmieję. Zastanawiam się, czy ktoś poza mną domyśla się, co się dzieje w tej głowie za zwodniczą słodką buzią.

— A któż by o to dbał? Słuchaj, Rett, i powiedz mi, czy ci się to wydaje dobrym interesem. Frank powiedział mi o pewnym człowieku, który ma niewielki tartak za Brzoskwiniową i chce go sprzedać. Jeżeli szybko dostanie gotówkę, sprzeda go bardzo tanio. W naszej okolicy jest mało tartaków, a ponieważ ludzie teraz na gwałt budują, moglibyśmy sprzedawać drzewo po bardzo wysokich cenach. Człowiek ten chce zostać w tartaku i prowadzić go za tygodniowym wynagrodzeniem. Frank powiedział mi o tym, bo chciał kupić ten tartak dla siebie, za te pieniądze, zdaje się, które dał mi na podatki.

— Biedny Frank! Co on też powie dowiedziawszy się, że kupiłaś go sama i zabrałaś mu sprzed nosa? I jak nie narażając swojej reputacji wytłumaczysz fakt, że pożyczyłem ci pieniądze?

Scarlett nie pomyślała o tym zupełnie, tak bardzo skupiła się na marzeniach o pieniądzach, które jej tartak przyniesie.

— Po prostu nic mu o tym nie powiem.

— Domyśli się, że nie spadł ci z nieba.

— Powiem mu... no oczywiście! Powiem mu, że sprzedałam ci moje kolczyki. Dam ci je zresztą. To będzie twoim zabezpieczeniem — czy jak to tam nazywasz.

— Nie chcę kolczyków.

— Mnie się już znudziły. Nie lubię ich. Nie są właściwie moje.

— A czyje?

Szybko wróciła myślą do owego gorącego południa, gdy wieś dokoła Tary była bardzo cicha, a zabity człowiek w niebieskim mundurze leżał bez ruchu w hallu.

— Dostałam je od kogoś, kto już nie żyje. Są moje. Weź je. Nie chcę ich mieć. Wolę pieniądze.

— Na miłość boską! — zawołał niecierpliwie. — Czy ty zawsze myślisz wyłącznie o pieniądzach?

— Tak — odrzekła szczerze, patrząc na niego twardo. — Gdybyś jednak przeszedł to, co ja przeszłam, stałbyś się taki jak ja. Zrozumiałam, że pieniądze są najważniejszą rzeczą na świecie i Boga biorę na świadka, że nie mam zamiaru żyć bez pieniędzy.

Przypomniała sobie upał słoneczny, miękką czerwoną ziemię pod głową, zaduch chałup za ruinami Dwunastu Dębów i refren wybijany przez jej serce: ,,Nie chcę być głodna. Nie chcę być głodna”.

— Chcę mieć dużo pieniędzy, całe masy, abym miała jedzenia pod dostatkiem. Wtedy nigdy nie będę musiała jeść kukurydzy i suszonego groszku. I będę miała piękne suknie, będę nosiła wyłącznie jedwabie...

— Wyłącznie?

— Tak — powiedziała krótko, nie rumieniąc się wcale z powodu aluzji Retta. — Chcę mieć tyle pieniędzy, żeby Jankesi nie mogli mi zabrać Tary. Muszę mieć nowy dach w Tarze, nową szopę, kilka mułów do orania i bardzo dużo bawełny. I nie chcę, aby Wade musiał się obchodzić bez najniezbędniejszych rzeczy. Nigdy! Będzie miał wszystko, czego zapragnie. Nikt z mojej rodziny nie będzie nigdy cierpiał głodu. Tak chcę. Ty tego nie rozumiesz, bo jesteś wielkim egoistą.

Nigdy jeszcze Carpetbaggerzy nie chcieli cię wypędzić z domu. Nigdy nie było ci zimno, nigdy nie nosiłeś łachmanów i nie musiałeś pracować do upadłego, aby uniknąć głodowej śmierci.

Odrzekł spokojnie: — Byłem w armii konfederackiej przez osiem miesięcy. Nie znam lepszych warunków dla śmierci głodowej.

— Armia! Ba! Nie musiałeś zbierać bawełny i pleć. Nie... Przestań się śmiać że mnie.

Położył ręce na jej dłoniach, bo znowu podniosła głos.

— Nie śmiałem się z ciebie. Śmiałem się z różnicy miedzy, tym, jak wyglądasz, a jaka naprawdę jesteś. I przypomniałem sobie dzień, gdy spotkałem cię po raz pierwszy na barbakoi u Wilkesów. Nosiłaś zieloną suknię i małe zielone pantofelki, byłaś otoczona mężczyznami i myślałaś wyłącznie o sobie. Założę się, że nie wiedziałaś wtedy, ile dolar ma centów. W głowie miałaś tylko jedną myśl, a mianowicie, jak usidlić Ash...

Wyrwała mu ręce.

— Rett, jeżeli chcesz że mną żyć w zgodzie, przestań mówić o Ashleyu. Zawsze się będziemy sprzeczać na ten temat, bo ty go nie zrozumiesz.

— Ty za to czytasz w nim jak w książce — rzekł Rett złośliwie. — Nie. Scarlett, jeżeli pożyczę ci pieniędzy, to rezerwuję sobie prawo rozmawiania o Ashleyu Wilkesie tak, jak mi się podoba. Mogę się zrzec prawa do procentów, ale tego prawa nie ustąpię. Chciałbym także, abyś powiedziała mi kilka rzeczy o tym człowieku.

— Nie będę o nim z tobą rozmawiała — odburknęła.

— Owszem, będziesz. To ja przecież mam pieniądze. Kiedyś, gdy będziesz bogata, będziesz i ty miała możność postępowania w taki sposób z innymi... Jasne jest, że Ashley jeszcze cię interesuje.

— Nieprawda.

— Ale przecie jasno wynika z tego, jak go bronisz. Ty...

— Nie życzę sobie wyśmiewania się z moich przyjaciół.

— Dobrze, zostawmy więc tę kwestię na chwilę. A on, czy się tobą jeszcze interesuje, czy też zapomniał o tobie w Rock Island? Czy też może nauczył się cenić, jakim klejnotem jest jego żona?

Na wzmiankę o Melanii Scarlett zaczęła ciężko dyszeć i ledwie się mogła powstrzymać od krzyknięcia, że to wyłącznie honor trzyma Ashleya przy Melanii. Otworzyła już nawet usta, ale zamknęła je zaraz.

— Aha. A więc dotąd jeszcze nie ma dość rozumu, by ocenić panią Wilkes? I rygor więzienny nie osłabił jego zapałów dla ciebie?

— Nie wiem, po co miałabym o tym rozmawiać.

— Bo ja mam na to ochotę — rzekł Rett, a głos jego zabrzmiał naraz nisko i dość nieprzyjemnie. — I będę o tym rozmawiał dalej, a ty będziesz mi odpowiadała. A więc jest jeszcze w tobie zakochany?

— A gdyby nawet tak było? — krzyknęła Scarlett. — Nie chcę z tobą o nim rozmawiać, bo nie rozumiesz ani jego, ani jego miłości dla mnie. Jedynym zrozumiałym dla ciebie rodzajem miłości jest ten... no, ten rodzaj, jaki uprawiasz z osobami pokroju Belli Watling.

— Aha — rzekł Rett cicho. — A więc według ciebie zdolny jestem jedynie do cielesnych rozkoszy?

— Wiesz dobrze, że tak jest.

— Teraz zaczynam rozumieć twoją niechęć do rozmawiania że mną o tej sprawie. Moje brudne ręce i usta mogłyby zbrukać czystość miłości Ashleya.

— Tak... coś w tym rodzaju.

— Bardzo mnie właśnie interesuje ta czysta miłość...

— Nie bądź złośliwy, Rett. Jeżeli jesteś dość podły, by przypuszczać, że coś niewłaściwego zaszło między nami...

— Och, zapewniam cię, że myśl ta nigdy nie zaświtała mi w głowie, naprawdę. Dlatego mnie to wszystko tak ciekawi. A dlaczego właściwie nic między wami nie zaszło?

— Jeżeli przypuszczasz, że Ashley mógłby...

— Ach, więc to nie ty, lecz Ashley prowadził tę walkę o czystość. Doprawdy, Scarlett, nie należy tak łatwo odkrywać wszystkich swoich kart.

Scarlett popatrzyła na jego gładką, nieprzeniknioną twarz w zmieszaniu i oburzeniu.

— Nie chcę dłużej rozmawiać na ten temat i nie życzę sobie twoich pieniędzy. Wobec tego możesz już iść!

— Przepraszam, bardzo chcesz pieniędzy, a skoro doszliśmy już tak daleko, po co przerywać? Z pewnością nie ma nic złego w rozmowie i tej sielance — tym bardziej że nic złego nie zaszło A więc Ashley kocha w tobie twój umysł, twoją duszę, szlachetność twego charakteru?

Scarlett pieniła się że złości. Rozumie się, że Ashley kocha w niej to właśnie. Ta świadomość czyniła jej życie znośnym, świadomość, że Ashley, związany honorem z inną, kocha ją, Scarlett, z daleka, za piękne zalety, ukryte w niej głęboko i tylko dla niego widoczne. Teraz jednak, wydobyte przez Retta na światło dzienne, już nie wydawały się jej piękne, tym bardziej że Rett mówił o nich tym swoim zwodniczo spokojnym głosem, w którym kryła się ironia.

— Wszystko to przywraca mi chłopięcą wiarę, że miłość idealna może jednak istnieć w naszym zepsutym świecie — ciągnął dalej. — Mówisz więc, że nie ma śladu zmysłowości w jego miłości dla ciebie? I że miłość ta byłaby taka sama, gdybyś była brzydka i nie miała białej skóry? I gdybyś nie miała tych zielonych oczu, które niepokoją człowieka i każą mu się zastanawiać, co też zrobisz, gdy weźmie cię w ramiona? I gdybyś nie poruszała biodrami w sposób będący wyzwaniem dla każdego mężczyzny poniżej lat dziewięćdziesięciu? I gdybyś nie miała warg, które... ach, znowu gotowe mnie ogarnąć cielesne żądze. Więc Ashley tych wszystkich rzeczy nie widzi? Czy też widząc je, wcale się nimi nie wzrusza?

Nagle pamięć Scarlett wróciła do owego dnia w sadzie, gdy ramiona Ashleya obejmując ją drżały, gdy usta jego paliły jej usta i nie chciały się wcale od nich oderwać. Zaczerwieniła się na to wspomnienie, Rett zaś zauważył jej rumieniec.

— A więc tak — powiedział i w głosie jego zabrzmiała nutka gniewu. — Rozumiem. Kocha wyłącznie twoją duszę.

Jak śmie dotykać tych spraw brudnymi palcami, plugawić jedyną piękną i świętą rzecz w jej życiu? Na chłodno, z rozmysłem łamał resztki jej rezerwy, aż wreszcie dowiedział się tego, co chciał.

— A tak, właśnie! — zawołała odsuwając od siebie wspomnienie ust Ashleya.

— Moja droga, on nawet nie podejrzewa, że masz duszę. Gdyby to wyłącznie dusza twoja go przyciągała, nie potrzebowałby tak walczyć że sobą, aby miłość jego pozostała w ramach... powiedzmy, ,,świętych”. Mógłby być zupełnie spokojny, bo przecież mężczyzna może wielbić rozum kobiety i jej duszę i nie przestać być człowiekiem honoru, absolutnie wiernym swojej żonie. Zdaje mi się jednak, że musi mu być trudno pogodzić honor Wilkesów z pożądaniem twego ciała.

— Oceniasz motywy każdego człowieka na miarę swoich, które są niskie!

— Och, ja nigdy nie zapierałem się tego, że cię pragnę, jeżeli o to ci chodzi. Zresztą ja, Bogu dzięki, nie przejmuję się sprawami honoru. Jeżeli mogę, biorę sobie to, na co mam chęć, i wcale nie toczę walk z dobrymi ani że złymi mocami. Jakież ty piekło musiałaś stworzyć Ashleyowi! Prawie mi go żal.

— Ja... ja stworzyłam Ashleyowi piekło?

— Tak, ty! Byłaś tuż przy nim, jak wieczna pokusa, on jednak, jak większość ludzi jego pokroju, przekłada to, co w tych stronach uważa się za honor, nad jakąkolwiek miłość. Zdaje mi się więc, że nieborak nie ma teraz ani miłości, ani honoru.

— Ma miłość!... To znaczy, kocha mnie!

— Naprawdę? Więc odpowiedz mi na jeszcze jedno pytanie, a dam ci pieniądze i pozwolę rzucić je do rynsztoka, jeżeli będziesz miała na to ochotę.

Wstał z krzesła i rzucił na wpół wypalone cygaro do spluwaczki. Ruchy jego miały ciągle jeszcze tę samą pogańską elastyczność i ukrytą siłę, które Scarlett zauważyła w noc upadku Atlanty — coś złowrogiego i trochę niepokojącego. — Jeżeli cię kocha, to dlaczego u diabła pozwolił ci wyjechać do Atlanty i starać się o pieniądze? Nim ja pozwoliłbym kobiecie, którą kocham, na coś podobnego...

— Nie wiedział o tym! Nie miał pojęcia, że ja...

— Czy nie zdaje ci się jednak, że powinien był wiedzieć? — W głosie jego brzmiała ledwie powstrzymywana pasja. — Jeśli cię kocha, jak twierdzisz, powinien był wiedzieć dokładnie, co jesteś w stanie zrobić, gdy jesteś doprowadzona do rozpaczy. Powinien był raczej cię zabić niż pozwolić ci na przyjazd tutaj — i to do mnie, do mnie! Wielki Boże!

— Ale przecież nie wiedział o tym!

— Jeżeli nie domyślił się tego sam, nigdy nic nie będzie wiedział o tobie i twojej szlachetnej duszy.

Jakiż Rett był niesprawiedliwy! Czy Ashley miał czytać w jej myślach? Czy mógłby ją powstrzymać, gdyby nawet wiedział?

Naraz jednak uświadomiła sobie, że Ashley mógł ją powstrzymać. Gdyby w sadzie dał jej do zrozumienia, że pewnego dnia sprawy ułożą się może inaczej, nigdy by nie pomyślała o wyjeździe do Retta. Czułe słowo lub pieszczota przy pożegnaniu powstrzymałyby ja na zawsze. On jednak mówił tylko o honorze. Czyżby więc Rett miał rację? Czy Ashley powinien był przejrzeć jej zamiary? Szybko odsunęła tę myśl od siebie. Jasne, że niczego nie podejrzewał. Ashley nie potrafiłby zdobyć się na. podejrzenie, że chciała postąpić niemoralnie. Był na to zbyt szlachetny. Rett po prostu starał się obrzydzić jej miłość. Starał się skalać to, co było dla niej najcenniejsze. Kiedyś, pomyślała że złością, gdy sklep będzie postawiony na nogi, tartak będzie dobrze prosperował i będzie miała dużo pieniędzy, postara się zapłacić mu za wszystkie przykrości i upokorzenia, których od niego doznała.

Rett stał pochylony nad nią i patrzył, trochę ubawiony. Wzburzenie jego już przeszło.

— Co ciebie to wszystko obchodzi? — zapytała. — To są sprawy moje i Ashleya, a nie twoje.

Wzruszył ramionami.

— Chodzi mi tylko o to: czuję głęboki i obiektywny podziw dla twojej wytrwałości i siły, Scarlett, nie chciałbym więc, aby ci rzucano pod nogi zbyt wiele kamieni. Masz na swoich barkach Tarę. Jest to ciężar nie dla kobiety. Masz chorego ojca, który nigdy nie będzie ci już mógł pomagać. Masz siostry i Murzynów. A teraz jeszcze masz męża i prawdopodobnie pannę Pittypat. Dość masz ciężarów bez Ashleya Wilkesa i jego rodziny na karku.

— Ashley nie siedzi mi na karku! Pomaga mi...

— Och, na miłość boską — rzekł niecierpliwie — zostawmy już to teraz. Nie pomaga ci wcale. Siedzi ci na karku i będzie siedział aż do samej śmierci. Muszę zresztą wyznać, że znudził mi się jako temat rozmowy... Ile ci potrzeba pieniędzy?

Ostre słowa cisnęły się jej na wargi. Po wszystkich zniewagach, po zdeptaniu najdroższych dla niej uczuć, wyobrażał sobie, że weźmie od niego pieniądze!

Słowa jednak nie zostały wypowiedziane. Jak by to było wspaniale, gdyby mogła wyszydzić jego propozycję i wyprosić go zje sklepu! Niestety jednak, tylko osoba naprawdę bogata i zabezpieczona mogłaby sobie pozwolić na taki gest. Dopóki jest biedna, będzie musiała znosić podobne sceny. Kiedy jednak będzie bogata — och, jakże piękna i pocieszająca była ta myśl! — kiedy będzie bogata, nie będzie znosiła podobnych upokorzeń, będzie miała wszystko, co jej się spodoba, i nie będzie się nawet starała być grzeczna dla ludzi, którzy jej nie przypadną do gustu.

,,Poślę wtedy wszystkich do diabła — pomyślała — zacznę zaś od Retta!”

Pod wpływem tej myśli zielone jej oczy zaświeciły żywiej, a na wargach pojawił się uśmieszek. Rett także się uśmiechnął.

— Jesteś śliczną kobietą, Scarlett — rzekł. — Ładniejesz zwłaszcza wtedy, gdy myślisz o jakimś psim figlu. A za ten twój dołeczek kupiłbym ci cały tuzin mułów, gdybyś na nie miała ochotę.

Otworzyły się drzwi wejściowe i wszedł subiekt dłubiąc w zębach gęsim piórem. Scarlett wstała, owinęła się szalem i zawiązała wstążki czepka pod brodą. Powzięła już postanowienie.

— Czy jesteś po południu zajęty? Czy też mógłbyś wyjść że mną? — zapytała.

— Dokąd?

— Chciałabym, abyś pojechał że mną do tartaku. Przyrzekłam Frankowi, że nie będę sama wyjeżdżała za miasto

— Do tartaku w taki deszcz?

— Tak, chcę kupić tartak od razu, zanim się rozmyślisz.

Roześmiał się tak głośno, że subiekt zaczął mu się ciekawie przyglądać zza kontuaru.

— Czyś zapomniała, że jesteś zamężna? Pani Kennedy nie może sobie pozwolić na publiczne, pokazywanie się z łotrem Butlerem, którego nie przyjmują w przyzwoitych domach. Czyżbyś zapomniała o swojej reputacji?

— Gwiżdżę na reputację. Chcę kupić tartak, zanim się rozmyślisz i zanim Frank dowie się o moim zamiarze. Pośpiesz się, Rett. Parę kropel deszczu nie zaszkodzi nam chyba. Chodźmy już.

Ten tartak! Frank zżymał się, ilekroć pomyślał o nim, i przeklinał chwilę, w której po raz pierwszy wspomniał o nim Scarlett. Źle się stało, że Scarlett sprzedała kolczyki kapitanowi Butlerowi (właśnie jemu!) i kupiła tartak nie poradziwszy się nawet z własnym mężem, ale gorzej jeszcze, że nie poprosiła nawet, aby tartak prowadził. To wyglądało niewłaściwie. Jak gdyby nie miała zaufania do niego czy do jego rozumu.

Frank, podobnie jak większość mężczyzn owych czasów, uważał, że żona powinna ufać mądrości męża, że powinna polegać bezwzględnie na jego zdaniu i wcale nie mieć własnego. Uważał, że większości kobiet można pozwolić na robienie tego, co im się podoba. Kobiety były śmiesznymi stworzeniami i łatwo było spełniać ich nieszkodliwe zachcianki. Frank był łagodny i uległy z natury, nie byłby się więc nigdy zbytnio przeciwstawiał żonie. Z radością zaspokajałby głupiutkie kaprysy jakiejś małej istotki i łajał ją łagodnie za jej głupot lub rozrzutność. Ale rzeczy, do których brała się Scarlett, były nie do przyjęcia.

Ten tartak na przykład. Nie posiadał się z oburzenia, kiedy w odpowiedzi na jego pytanie oświadczyła mu że słodkim uśmiechem, że ma zamiar prowadzić go sama. ,,Sama zabiorę się do handlu drzewem” — tak się wyraziła. Frank nie mógł zapomnieć tej strasznej chwili. Sama weźmie się do handlu! To było nieprawdopodobne! Żadna z pań w Atlancie nie zajmowała się handlem. Frank nawet nigdy dotąd nie słyszał o kobietach, które by pracowały. Jeżeli miały już to nieszczęście, że musiały trochę zarabiać, aby pomóc w tych ciężkich czasach rodzinom, brały się do tego w spokojny, odpowiedni dla kobiet sposób — piekły, jak pani Merriweather, malowały na porcelanie, szyły lub prowadziły pensjonat, jak pani Elsing i Fanny, czy też uczyły w szkole wzorem pani Meade albo udzielały lekcji muzyki, jak pani Bonnell. Panie te także zarabiały, ale mimo to nie opuszczały domu, jak przystało kobietom. Ale żeby kobieta wydalała się z bezpiecznej przystani swego domu i zapuszczała w brutalny świat mężczyzn, robiąc im konkurencję w interesach, ocierając się o nich ciągle, narażając na zniewagi i plotki... tym bardziej, gdy nie potrzebowała tego robić, gdy miała męża zdolnego do zabezpieczenia jej bytu!

Frank miał nadzieję, że Scarlett chce mu tylko dokuczyć czy stroi sobie żarty, żarty wątpliwego gatunku — wkrótce jednak przekonał się, że spełniła wszystkie swe zachcianki. Sama zaczęła zarządzać tartakiem. Wstawała wcześniej od niego, wyjeżdżała za Brzoskwiniową i często wracała do domu wtedy, gdy Frank już dawno zamknął sklep i wrócił na kolację. Jeździła do dalekiego tartaku tylko pod opieką wuja Piotra, choć lasy pełne były wyzwolonych Murzynów i hołoty jankeskiej. Frank nie mógł z nią jeździć, bo sklep pochłaniał mu cały czas, kiedyś zaś zaklinał ją, aby tego nie robiła, odpowiadała krótko: — Jeżeli nie będę pilnowała tego spryciarza, Johnsona, będzie mi kradł drzewo i sprzedawał, a pieniądze brał do kieszeni. Jak znajdę odpowiedniego człowieka do prowadzenia tartaku, nie będę potrzebowała jeździć tam tak często. Wtedy będę się mogła zająć sprzedawaniem drzewa w mieście.

Sprzedawaniem drzewa w mieście! To było najgorsze że wszystkiego. Zdarzały się dni, że nie jeździła do tartaku — wtedy jednak odwiedzała kupców. Frank wówczas najchętniej ukryłby się w ciemnym pokoiku za sklepem i nikogo nie widywał. Żeby jego żona sprzedawała drzewo!

W dodatku ludzie strasznie na nią plotkowali. Prawdopodobnie nie pomijali i jego, że pozwala Scarlett postępować w tak niekobiecy sposób. Był zakłopotany, kiedy do sklepu przychodzili klienci i mówili: — Widziałem panią Kennedy przed chwilą u... — Każdy starał się go specjalnie informować o tym, co robiła. Wszyscy opowiadali, co zdarzyło się przy budowie nowego hotelu. Scarlett zajechała tam, gdy Tomasz Wellburn kupował właśnie drzewo od jakiegoś człowieka; wysiadła więc z bryczki nie zważając na ordynarnych irlandzkich mularzy, którzy kładli fundamenty, i w krótkich słowach wytłumaczyła Tomaszowi, że dał się oszukać. Powiedziała, że jej drzewo jest lepsze i tańsze, i na dowód prawdy zsumowała w pamięci długą kolumnę cyfr i na poczekaniu podała kosztorys. Źle było, że zapuściła się między obcych, brutalnych robotników, ale gorzej, że publicznie dowiodła, jak dobrze umie rachować. A kiedy Tomasz przyjął jej ofertę i dał jej zamówienie, Scarlett bynajmniej nie odjechała szybko i potulnie, ale została na budowie i wdała się w rozmowę z Janem Gallegherem, nadzorcą robót, silnym małym gnomem, który miał jak najgorszą opinię. Miasto mówiło o tym przez wiele tygodni.

Najgorsze zaś było to, że tartak szedł doskonale, który zaś mąż mógł się czuć dobrze, gdy żona odnosiła sukcesy na tak niewłaściwym dla kobiety terenie? Zarobionych pieniędzy, ani nawet ich części, nie inwestowała w sklep Franka. Większą część wydawała na Tarę Pisała nie kończące się listy do Willa Benteena tłumacząc mu, na co ma je zużyć. Co więcej, powiedziała Frankowi, że jak tylko dokona potrzebnych przeróbek w Tarze, będzie pożyczała pieniądze na hipoteki.

— Boże mój, Boże! — jęczał Frank, ilekroć o tym pomyślał. Jego zdaniem kobieta nie powinna była nawet wiedzieć, co to hipoteka.

Scarlett była w tym czasie pełna planów, każdy z nich wydawał się Frankowi gorszy od poprzedniego. Mówiła nawet o wybudowaniu szynku na swoim placu, na którym dawniej stały składy spalone przez Shermana. Frank nie był abstynentem, ale zawzięcie zwalczał ten pomysł. Budowanie szynku było rzeczą niemoralną, prawie tak złą jak wynajęcie nieruchomości na dom publiczny. Dlaczego wydawało mu się to złe, nie umiał wytłumaczyć, Scarlett zaś wszelkie jego argumenty zbywała krótkim: — Zawracanie głowy!

— Właściciele szynków są zawsze dobrymi lokatorami. Wiem o tym od wuja Henryka — oświadczyła. — Zawsze płacą czynsz. Widzisz, Frank, mogłabym wystawić tam tani dom z drzewa gorszego gatunku, którego nie mogę sprzedać, brałabym dobre komorne i za te pieniądze, za dochody z tartaku i procenty z hipotek mogłabym kupić kilka innych tartaków.

— Złotko, po co ci tartaki! — zawołał Frank przerażony. — Powinnaś właściwie sprzedać ten, który masz. Męczysz się tylko i masz kłopoty z wyzwoleńcami, których tam zatrudniasz...

— To prawda, że wyzwoleńcy są nic niewarci — zgodziła się Scarlett. przemilczając jego uwagę o sprzedaniu tartaku. — Johnson mówi, że nigdy nie wie, czy rano zastanie wszystkich robotników przy pracy, czy nie. Na Murzynach nie można już wcale polegać. Pracują dzień albo dwa, a potem nic nie robią, aż wydadzą zarobione pieniądze, trzeba też być w pogotowiu, że z dnia na dzień wymówią. Im więcej się przyglądam tej emancypacji, tym głębiej jestem przekonana, że to zbrodnia. To zrujnowało Murzynów. Tysiące ich nic nie robią, a ci, którzy raczą pracować, są tak leniwi i niekarni, że nie warto ich wcale trzymać. A jeżeli na nich głośniej krzyknąć albo nie daj Boże lekko ich zbić, Biuro Wyzwoleńców czepia się człowieka jak rzep psiego ogona.

— Kochanie, ty chyba nie pozwalasz Johnsonowi bić tych...

— Rozumie się, że nie — odrzekła że zniecierpliwieniem. — Czy nie mówiłam ci przed chwilą, że Jankesi uwięziliby mnie za to?

— Założę się, że twój ojciec nigdy w swoim życiu nie uderzył Murzyna — odrzekł Frank.

— Owszem, zbił kiedyś chłopca stajennego, który po całodziennym polowaniu nie wytarł mu konia. Zresztą, Frank, dawniej było inaczej. Wyzwoleni Murzyni są zupełnie inni i dobre wybatożenie przydałoby się niejednemu.

Frank nie tylko był przerażony poglądami swojej żony i jej projektami, ale i zmianą, jaka w niej zaszła w ciągu niewielu miesięcy po ślubie. Nie była już tą ciepłą, słodką, bardzo kobiecą istotką, którą pojął za żonę. Podczas krótkiego okresu konkurów Frank sądził, że nigdy przedtem nie znał osoby równie kobieco reagującej na życie, równie naiwnej, nieśmiałej i bezradnej. Teraz reakcje Scarlett stały się zupełnie męskie. Mimo różowych policzków, dołeczków i ślicznych uśmiechów, mówiła i postępowała jak mężczyzna. Głos jej stał się stanowczy i ostry, umiała decydować się szybko i bez dziewczęcych wahań. Wiedziała, czego chce, i szła do celu najkrótszą drogą jak mężczyzna, nie okrężnymi dróżkami, które zwykle wybierały kobiety.

Nie znaczy to, iżby Frank nigdy dotąd nie widział kobiet energicznych i despotycznych. Atlanta podobnie jak inne miasta Południa miała pewną liczbę wdów, którym nikt nie śmiał się przeciwstawić. Nie można było być bardziej despotyczną niż tęga pani Merriweather, bardziej wyniosłą niż wątła pani Elsing, ani bardziej przebiegłą w osiąganiu sobie tylko wiadomych celów niż siwowłosa, łagodna pani Whiting. Panie te jednak postępowały zawsze w sposób typowo kobiecy. Odnosiły się z szacunkiem do zdania mężczyzn, niezależnie od tego, czy stosowały się do niego, czy nie. Miały dość taktu, aby udawać, że słuchają się mężczyzn, a o to tylko chodziło. Scarlett jednak nie radziła się nikogo i sprawy swoje prowadziła tak po męsku, że gadało o niej całe miasto.

„I — myślał Frank z rozpaczą — o mnie prawdopodobnie też gadają, ponieważ pozwalam jej tak nieodpowiednio się zachowywać”.

Poza tym była jeszcze sprawa tego Butlera. Częste jego wizyty w domu ciotki Pitty były dla Franka największym z upokorzeń. Frank nigdy go nie lubił, chociaż przed wojną prowadził z nim interesy. Często przeklinał chwilę, kiedy wprowadził Retta do Dwunastu Dębów i przedstawił swoim przyjaciołom. Gardził nim za tu, że z tak zimną krwią spekulował podczas wojny, i za to, że nie był w wojsku. O ośmiomiesięcznej służbie Retta w armii Konfederacji wiedziała tylko Scarlett, bo Rett błagał ją z udanym przerażeniem, aby nikomu nie mówiła o tym jego ,,upadku”. Najbardziej zaś gardził nim Frank za to, że zatrzymał złoto Konfederacji, mimo iż ludzie uczciwi, jak admirał Bulloch i inni, zwrócili tysiące dolarów skarbowi federalnemu. Nie bacząc jednak na niechęć Franka, Rett bywał częstym ich gościem.

Na pozór odwiedzał pannę Pitty, która była tak głupia, że w to wierzyła, i stroiła podczas jego wizyt zawstydzone minki, Frank jednakże miał nieprzyjemne uczucie, że to nie panna Pitty przyciąga Retta do ich domu. Mały Wade bardzo kapitana lubił, chociaż na ogół bał się obcych, i nawet ku irytacji Franka nazywał go „wujem Rettem”. Frank nie mógł także nie pamiętać o tym, że Rett często towarzyszył Scarlett w czasie wojny i że miasto plotkowało o nich. Wyobrażał sobie, że teraz pewnie plotkuje jeszcze bardziej. Nikt z przyjaciół Franka nie miał odwagi robić mu na ten temat uwag, chociaż nie ukrywano swego oburzenia na postępowanie Scarlett w związku z tartakiem Trudno mu jednak było nie zauważyć, że bywali teraz rzadziej zapraszani na przyjęcia i kolacje i że coraz mniej osób składało im wizyty. Scarlett nie przepadała za większością swoich sąsiadów, była też zbyt zajęta tartakiem, aby starać się widywać osoby, których nie lubiła, brak więc gości wcale jej nie martwił. Frank jednak odczuwał to głęboko.

Przez całe swoje życie Frank był niewolnikiem zdania: ,,Co o tym ludzie powiedzą?”, coraz więc bardziej był przerażony, gdy żona jego wciąż na nowo przekraczała granice tego, co wypada. Czuł, że wszyscy ostro krytykują Scarlett i lekceważą go, ponieważ pozwala jej na postępowanie ,.niegodne kobiety”. Robiła wiele rzeczy, na które mąż nie powinien był, jego zdaniem, pozwolić, kiedy jej jednak czegoś zabraniał, sprzeczał się z nią czy choćby krytykował, na głowę jego spadała burza.

,,Boże mój, Boże! — myślał bezradnie. — Wpada w złość szybciej i dłużej potrafi być zła niż wszystkie znane mi kobiety!”

Nawet w okresach, gdy sprawy układały się najprzyjemniej, zdumiewał się, jak kompletnie i szybko ta wesoła, czuła kobieta, która kręcąc się po domu nuciła sobie, mogła się zmienić w zupełnie inną osobę. Wystarczyło, aby zaczął: — Złotko, na twoim miejscu — a burza wybuchała od razu.

Czarne brwi Scarlett marszcząc się tworzyły kąt ostry nad jej nosem, Frank zaś kurczył się w sobie natychmiast, Scarlett wybuchała dzikim gniewem, parskała jak tygrys i bez zastanowienia mówiła jak najprzykrzejsze rzeczy. Nad domem zawisały w takich chwilach chmury. Frank wychodził do sklepu wcześnie i wracał późno. Pitty chroniła się do swojej sypialni jak królik zaszywający się w norę, Wade i wuj Piotr — do wozowni, kucharka zaś nie wychylała nosa poza kuchnię i przestawała chwalić Pana Boga głośnym śpiewem. Jedynie Mammy znosiła humory Scarlett z obojętnością. Mammy jednak miała wieloletnią wprawę i znała Geralda O'Harę i jego napady furii.

Scarlett nie chciała się wcale unosić i naprawdę pragnęła być dla Franka dobrą żoną, bo lubiła go i była mu wdzięczna za pomoc udzieloną Tarze. Nadużywał jednak jej cierpliwości często i w rozmaity sposób.

Nie potrafiła szanować człowieka, który pozwalał sobie jeździć po głowie, nieśmiałość zaś i jego niepewność, cechujące go w nieprzyjemnych sytuacjach, irytowały ją niesłychanie. Byłaby jednak pomijała to wszystko milczeniem i nawet czuła się szczęśliwa — teraz, gdy znaczna część jej trudności materialnych została rozwiązana — gdyby nie ciągłe i coraz się odnawiające rozjątrzenie, że Frank ani sam nie był dobrym kupcem, ani nie chciał, aby ona rozumiała się na interesach. Jak przypuszczała, nie zgodził się na zainkasowanie swojej należności, póki go do tego nie zmusiła, a i wtedy zrobił to niechętnie i że wstydem. To przekonało ją ostatecznie, że Frank potrafił zaledwie zarobić na utrzymanie i że to ona będzie musiała osobiście dorabiać się majątku, który postanowiła zdobyć. Wiedziała teraz, że Franka najzupełniej zadowoli wegetowanie w brudnym sklepiku do końca życia. Nie zdawał sobie najwyraźniej sprawy, że rodzina jego nie miała zapewnionego bytu i że w tych trudnych czasach, gdy pieniądz był jedyną ochroną przed nowymi błędami, ważne było, aby bardzo dużo zarabiać. Frank odnosiłby może sukcesy handlowe w łatwych czasach przedwojennych, teraz jednak wydawał się rozpaczliwie staromodny, w dodatku zaś upierał się stale, aby wszystko robić po dawnemu, chociaż dawne dni i dawne zwyczaje minęły bezpowrotnie. Brakło mu tupetu koniecznego w nowej, twardej epoce. Ona jednak, Scarlett, miała go dość i chciała go wykorzystać niezależnie od zdania Franka. Potrzebne jej były pieniądze; umiała zarabiać i pracowała bardzo ciężko. Frank powinien był przynajmniej nie wtrącać się do tych jej planów, które dawały dobre wyniki.

Przy braku doświadczenia prowadzenie tartaku nie było sprawą łatwą, tym bardziej że konkurencja była teraz ostrzejsza niż na początku, tak że Scarlett była zazwyczaj zmęczona, zgryziona i zła, gdy wieczorami wracała do domu. Toteż kiedy Frank zaczynał pokaszliwać i nieśmiało mówić: — Złotko, ja bym tego nie robił — czy: — Na twoim miejscu, złotko, zrobiłbym inaczej — mogła się co najwyżej siłą powstrzymać od wybuchu pasji, częściej zaś nie wstrzymywała się wcale. Jeżeli nie miał dość ambicji, aby zarabiać więcej, dlaczego ją krytykował? Tym więcej, że sprawy, o które robił jej sceny, były tak błahe! Czy rzeczywiście miało to jakiekolwiek znaczenie, że postępowała nie po kobiecemu? Zwłaszcza że jej „niekobiecy” tartak przynosił dochody bardzo potrzebne i jej, i rodzinie jej, i Tarze, no i oczywiście Frankowi.

Frank chciał spokoju i odpoczynku. Wojna, której poświęcił się z takim oddaniem, zniszczyła mu zdrowie, pochłonęła jego majątek i zabrała resztki młodości. Nie żałował żadnej z tych rzeczy, ale po czterech latach wojny żądał od życia spokoju i ciszy, widoku łagodnych twarzy koło siebie i uznania przyjaciół. Szybko przekonał się, że spokój domowy ma swoją cenę, którą było dawanie Scarlett wolnej ręki we wszystkim, co chciała robić. A ponieważ był zmęczony, zgadzał się na tę cenę. Czasem myślał, że jest to wiele warte, bo Scarlett była uśmiechnięta, gdy otwierała mu w zimnym mroku drzwi, bo całowała go w czubek nosa, w ucho czy inne jakieś śmieszne miejsce, bo w nocy pod ciepłą kołdrą, czuł jej ciężką od snu głowę na swoim ramieniu. Życie domowe bywało bardzo przyjemne, gdy Scarlett mogła robić to, co chciała. Spokój jednak, osiągnięty w ten sposób, był czczy i pozorny, bo Frank osiągał go kosztem wszystkiego, co uważał za słuszne w pożyciu małżeńskim.

„Kobieta powinna zwracać więcej uwagi na dom i rodzinę, a nie włóczyć się po mieście jak mężczyzna — myślał. — Gdybyż ona miała dziecko...”

Uśmiechał się na myśl o dziecku i wracał do tej myśli bardzo często. Scarlett wprawdzie stanowczo mu oświadczyła, że nie chce dziecka, ale na szczęście dzieci nie czekały zazwyczaj na zaproszenie. Frank wiedział, iż wiele kobiet twierdzi, że nie chce dzieci, ale tłumaczył to sobie ich głupotą i strachem. Gdyby Scarlett miała dziecko, byłaby zadowolona, lubiłaby siedzieć w domu i pielęgnowałaby je jak inne kobiety. Byłaby wtedy zmuszona sprzedać tartak i wszystkie kłopoty Franka skończyłyby się raz na zawsze. Każdej kobiecie do zupełnego szczęścia potrzebne jest dziecko. Frank zaś wiedział, że Scarlett nie jest szczęśliwa. Jakkolwiek mało znał kobiety, nie był tak zaślepiony, aby nie dostrzegać, że czasem bywała bardzo nieszczęśliwa.

Czasem budził się w nocy i słyszał cichy szloch, tłumiony poduszką. Pierwszy raz, gdy zbudził go jej płacz, zaczął pytać z niepokojem: — Złotko, co się stało — i zgromiony został namiętnym okrzykiem: — Och, dajże mi spokój!

Tak, dziecko przyniosłoby Scarlett zadowolenie i odwróciło jej myśli od spraw, którymi nie powinna się była zajmować. Czasem Frank wzdychał myśląc, że schwytał podzwrotnikowego ptaka, płomiennego i barwnego jak klejnot, kiedy zimorodek zadowoliłby go tak samo. A nawet znacznie bardziej.

## ROZDZIAŁ XXXVII

Pewnej ciemnej, wilgotnej nocy kwietniowej przyjechał z Jonesboro Tonio Fontaine na spienionym koniu, półżywym że zmęczenia, i zapukał do drzwi budząc przerażoną Scarlett i Franka z głębokiego snu. Wtedy po raz drugi już w okresie czterech miesięcy Scarlett ostro odczuła, czym jest rekonstrukcja we wszystkich swoich objawach, zrozumiała dokładniej, co miał na myśli Will mówiąc: „Kłopoty nasze zaczynają się dopiero”, pojęła prawdę smutnych słów Ashleya, wypowiedzianych w sadzie Tary: ,,To, co nas czeka, gorsze jest od wojny — gorsze od więzienia — gorsze od śmierci”.

Po raz pierwszy zetknęła się oko w oko z rekonstrukcją, gdy dowiedziała się, że Jonasz Wilkerson przy pomocy Jankesów może wywłaszczyć ją z Tary. Przybycie Tonia przypomniało jej to jeszcze bardziej brutalnie. Tonio zjawił się w ciemnościach, w siekącej ulewie, i po kilku chwilach znikł znowu wśród nocy, ale w ciągu tego krótkiego czasu zdążył podnieść kurtynę zasłaniającą scenę nowej grozy — kurtynę, która dla Scarlett nigdy już nie miała opaść.

Tej burzliwej nocy, kiedy kołatka stukała o drzwi w naglącym pośpiechu, Scarlett stalą u szczytu schodów owijając się szlafrokiem i patrząc na hali w dole. Przez sekundę widziała smagłą, ponurą twarz Tonia, zanim zgasił świecę, którą Frank trzymał w ręku. Zbiegła na dół w ciemności, schwyciła jego zimną, wilgotną dłoń i usłyszała, jak szepce: — Ścigają mnie... jadę do Texasu... koń mój jest półżywy... a ja jestem śmiertelnie głodny. Ashley powiedział, że wy... — Nie zapalajcie świecy! Nie budźcie Murzynów!... Nie chcę was narazić na przykrości...

Kiedy zamknęli okiennice w kuchni i opuścili roletę aż do samej podłogi, pozwolił zapalić światło i zamieniał z Frankiem szybkie, urywane zdania, podczas gdy Scarlett krzątała się przygotowując posiłek.

Nie miał płaszcza i był przemoczony do nitki. Włosy oblepiały mu całą czaszkę, gdyż nie miał kapelusza. Ale wesołość właściwa Fontaine'om, a tej nocy niemal przerażająca, paliła się w jego małych ruchliwych oczach, kiedy łykał wódkę podaną przez Scarlett. Scarlett dziękowała Bogu, że ciotka- Pittypat chrapie spokojnie na górze. Zemdlałaby z pewnością, gdyby zobaczyła takiego gościa.

— Jednego bękar... jednego Scallawaga mniej — rzekł Tonio nadstawiając szklankę, aby mu Scarlett nalała jeszcze wódki. — Pędziłem na złamanie karku i głową przypłacę, jeżeli się szybko stąd nie wydostanę, ale to warte takiej ceny. Tak, na Boga! Postaram się przedostać do Texasu i tam przycupnę. Ashley pojechał że mną do Jonesboro i poradził mi, abym do was wstąpił. Potrzebny mi wypoczęty koń, Frank, i trochę pieniędzy. Koń mój ledwie zipie, bez wytchnienia pędziłem aż tutaj, a rano wyjechałem z domu jak wariat, bez palta, bez kapelusza i bez pieniędzy. Nie chcę przez to powiedzieć, że w domu mamy za dużo pieniędzy.

Roześmiał się i zaczął chciwie jeść zimny placek z kukurydzy i brukiew, na której zastygły białe plamy tłuszczu.

— Dam ci mego konia — rzekł Frank spokojnie. — Mam tylko dziesięć dolarów w domu, ale jeżelibyś mógł poczekać do rana...

— Skądże znowu, nie mogę czekać! — zawołał Tonio z naciskiem. — Już mnie prawdopodobnie ścigają. Nie miałem zbyt wiele czasu. Gdyby nie to, że Ashley mnie stamtąd wyciągnął i wsadził na konia, zostałbym tam jak wariat i w tej chwili byłbym już o głowę krótszy. Dobry chłop z tego Ashleya.

A więc i Ashley był wmieszany w tę przerażającą zagadkę. Scarlett podniosła rękę do gardła i przejął ją zimny dreszcz. Może Jankesi uwięzili Ashleya? Dlaczego, ach, dlaczego Frank nie pytał, o co to poszło? Dlaczego był tak spokojny, jak gdyby była to rzecz zwykła? Z wysiłkiem zaczęła formułować pytania.

— Co... — zaczęła. — Kto...

— Dawny rządca twego ojca — ten przeklęty... Jonasz Wilkerson.

— Czyś go... czy nie żyje?

— Na Boga, Scarlett O'Hara! — rzekł Ton to zgryźliwie. — Kiedy ja się na człowieka porywam z nożem, to chyba nie po to, by drasnąć go tępą stroną, prawda? Nie, bądź spokojna, pociąłem go na paski.

— Dobrześ zrobił — rzekł Frank obojętnie. — Nigdy go nie lubiłem.

Scarlett spojrzała na niego. Czyżby to mówił potulny Frank, wiecznie nerwowo skubiący bródkę, tak łatwo dający się zahukać? Wydawał się teraz chłodny i opanowany i nie tracił niepotrzebnie słów. Był mężczyzną tak samo jak Tonio, a popełnione przez Tonia morderstwo było sprawą męską, do której kobieta nie mogła się wtrącać.

— Ale Ashley! Czy on...?

— Nie. To on chciał go zabić, ale powiedziałem mu, że to moja sprawa, bo Sally jest moją bratową, wreszcie więc ustąpił. Pojechał że mną do Jonesboro, na wypadek, gdyby Wilkerson mnie pierwszy zaczepił. Nie przypuszczam jednak, aby Ashley miał mieć z tego powodu jakieś kłopoty. Mam nadzieję, że nie będzie ich miał. Czy masz marmoladę do tego placka? I czy mogłabyś mi coś zapakować na drogę?

— Zacznę płakać, jeżeli nie powiesz mi wszystkiego.

— Poczekaj, aż pojadę, a potem płacz sobie, ile wlezie. Opowiem ci o tym, jak Frank będzie siodłał konia. Ten przeklęty... Wilkerson już dość złego narobił. Wiesz, jak z wami postąpił z powodu podatków. To było tylko jedno z jego świństw. Najgorsze było, że ciągle buntował Murzynów. Żeby mi ktokolwiek przepowiedział, że nadejdzie dzień, gdy zacznę nienawidzić Murzynów! Niech diabeł porwie ich czarne dusze, wierzą we wszystko, co im te łotry mówią, i nie pamiętają, ileśmy zrobili dla nich dobrego. Jankesi przebąkują już teraz o tym, że pozwolą Murzynom głosować. A nam odebrali prawa wyborcze! Przecież w całym naszym powiecie jest zaledwie garstka demokratów uprawnionych do głosowania, bo wyłączyli wszystkich mężczyzn, którzy walczyli w armii konfederackiej. A jeżeli jeszcze pozwolą Murzynom głosować, będzie koniec. U diabła, przecież to nasz stan, nie Jankesów! Na Boga, Scarlett, to jest nie do zniesienia! Nie będziemy tego więcej znosili! Zaradzimy na to, choćbyśmy mieli wywołać nową wojnę.

Wkrótce już będziemy mieli murzyńskich sędziów, murzyńskich prawodawców — czarne małpy prosto z dżungli.

— Proszę cię, śpiesz się, powiedz mi! Co zrobiłeś?

— Daj mi jeszcze kęs tego placka, zanim go zapakujesz. A więc sprawa poszła o to, że Wilkerson posunął się trochę za daleko z tą teorią równouprawnienia Murzynów. O, tak, całymi godzinami gadał o tym czarnym głupcom. Miał czelność powiedzieć, że Murzyni mają prawo do… do... białych kobiet.

— Och Toniu, to niemożliwe!

— Tak, na Boga! Nie dziwię się wcale, że masz taką minę. Ale u diabła, Scarlett, to przecież nie jest chyba dla ciebie nowość. Tu, w Atlancie, też mi to samo opowiadają.

— Ja... ja o niczym nie wiem.

— Może Frank to ukrywał przed tobą. Po tym wszystkim postanowiliśmy, że złożymy panu Wilkersonowi prywatną wizytę w nocy i zajmiemy się nim trochę, ale zanim zdążyliśmy... Czy pamiętasz tego czarnego olbrzyma Eustisa, który był niegdyś naszym ekonomem?

— Tak.

— On więc przyszedł dziś do drzwi kuchennych, kiedy Sally robiła obiad, i... nie wiem dokładnie, co jej powiedział. Przypuszczam, że teraz już nigdy się nie dowiem. Powiedział jej coś jednak; ja usłyszałem jej krzyk, wbiegłem do kuchni i zastałem go, pijanego jak świnia... przepraszam cię, Scarlett, tak mi się wyrwało.

— Mów dalej.

— Zastrzeliłem go. Kiedy matka wbiegła do kuchni, aby się zająć Sally, ja dosiadłem konia i pognałem do Jonesboro do Wilkersona. To wszystko jego wina. Ten przeklęty czarnuch nigdy by nie ośmielił się o tym pomyśleć, gdyby nie Wilkerson. Po drodze do Tary spotkałem Ashleya, więc i on pojechał że mną. Chciał, żebym pozwolił jemu to zrobić, bo Wilkerson tak się źle obszedł z Tarą, ale przekonałem go, że to moja sprawa, bo Sally była żoną mego zmarłego brata — i tak sprzeczaliśmy się przez całą drogę. A kiedyśmy dojechali na miejsce, okazało się, Scarlett, że nawet nie zabrałem że sobą pistoletu. Zostawiłem go w stajni. Taki byłem wściekły, że zapomniałem...

Przerwał, ugryzł kawałek placka, Scarlett zaś drżała na całym ciele. Mordercze pasje Fontaine'ów znane były w powiecie od dawna — dawno przed rozpoczęciem tego rozdziału historii powiatu.

— Musiałem iść na niego z nożem. Zastałem go w barze. Wepchnąłem go w kąt, podczas gdy Ashley powstrzymywał resztę obecnych, i powiedziałem mu, co i jak, zanim się do niego wziąłem. No i skończyło się, nim się spostrzegłem — rzekł Tonio z namysłem. — Pamiętam to tylko, że Ashley wsadził mnie na konia i kazał mi jechać do was. Ashley jest doskonałym towarzyszem w potrzebie. Nie traci głowy.

Wrócił Frank z przewieszonym przez ramię płaszczem, który wręczył Tomowi. Było to jego jedyne cieplejsze okrycie, ale Scarlett nie zaprotestowała. Wydało jej się, że jest całkowicie poza nawiasem tej sprawy, tak czysto męskiej.

— Ale, Toniu — przecież potrzebny jesteś w domu. Z pewnością, gdybyś wrócił i wszystko wytłumaczył...

— Franku, ożeniłeś się z idiotką — rzekł Tonio z uśmiechem, wkładając płaszcz. — Wydaje jej się, że Jankesi wynagrodzą człowieka za to, że odgania Murzynów od białych kobiet. Owszem, wynagrodzą, ale sądem doraźnym i stryczkiem. Pocałuj mnie, Scarlett, Frank nie będzie się gniewał. Może cię już nigdy nie zobaczę. Texas jest bardzo daleko. Nie będę miał odwagi pisać, zawiadom więc moich ludzi, że do Atlanty dojechałem w porządku.

Pozwoliła mu się pocałować. Wyszedł z Frankiem na deszcz i przez chwilę rozmawiali na ganku. Potem usłyszała bluzganie kopyt w kałuży i Tonio odjechał. Uchyliła drzwi i zobaczyła, że Frank prowadzi do wozowni zziajanego kulejącego konia. Zamknęła szybko drzwi i usiadła, bo załamały się pod nią kolana.

Teraz wiedziała już, co znaczy rekonstrukcja. Teraz przypomniała sobie wiele rzeczy, do których ostatnio przywiązywała małą wagę — słowa, których słuchała nie słysząc, rozmowy mężczyzn, które przerywano, gdy zjawiała się w pokoju, drobne zdarzenia, daremne przestrogi Franka, aby nie wyjeżdżała do tartaku sama pod opieką starego wuja Piotra. Teraz wszystko to zlało się razem w jeden przerażający obraz.

Murzyni byli górą, bo opierali się na nagich bagnetach jankeskich. Mogła zostać zabita, zgwałcona, a nikt prawdopodobnie nie dochodziłby jej krzywdy. Każdy zaś, kto chciałby ją pomścić, zostałby przez Jankesów powieszony bez sądu i bez rozprawy. Oficerowie jankescy, którzy nie znali ustaw i których nic nie obchodziły okoliczności mordu, mogli zainscenizować proces i skazać południowca na szubienicę.

— Co mamy począć — myślała załamując ręce z bezsilnego strachu i rozpaczy. — Co mamy począć, jeżeli te łotry gotowe są powiesić tak przyzwoitego chłopca jak Tonio za zabójstwo pijanego draba i podłego Scallawaga, popełnione w obronie białej kobiety?

,,To jest nie do zniesienia!” — wołał Tonio i miał słuszność. Nie można było tego znieść. Jakże jednak mieli tego nie znosić, kiedy byli bezsilni? Zaczęła drżeć na całym ciele i ,po raz pierwszy w życiu spojrzawszy na ludzi i wypadki obiektywnie zobaczyła jasno, że Scarlett O'Hara, przerażona i bezradna, nie jest najważniejsza na świecie. Na przestrzeni całego Południa były tysiące kobiet takich jak ona, tak samo jak ona przerażonych i bezradnych. I tysiące mężczyzn, którzy mimo złożenia broni pod Appomattox znowu musieli ją chwytać i w każdej chwili ryzykować szyję w obronie swoich kobiet.

Na twarzach Tonia i Franka malował się wyraz dziwnego skupienia. Widywała je ostatnio często na twarzach innych mężczyzn w Atlancie, ale nie starała się go analizować. Skupienie to w niczym nie przypominało zmęczonej bezradności, która cechowała mężczyzn wracających z wojny. Ludzi tych obchodził wtedy wyłącznie szybki powrót do domu. Teraz znowu ich coś interesowało. Odrętwiałe nerwy wracały do życia i dawny duch zaczynał w nich płonąc. Odżyli i tchnęli teraz zimną, nieubłaganą goryczą. I myśleli podobnie jak Tonio: — To jest nie do zniesienia!

Scarlett widywała mężczyzn Południa, pokornie łagodnych, ale niebezpiecznych przed wybuchem wojny, odważnych lub zajadłych w ostatnich rozpaczliwych dniach walki. Ale w twarzach dwóch mężczyzn, którzy patrzyli na siebie przez krótką chwilę, malowało się coś jeszcze innego, coś, co dodawało otuchy, ale i przeraziło ją — pasja, która nie oblekała się w słowa, determinacja nie cofająca się przed niczym.

Po raz pierwszy w życiu poczuła się związana z ludźmi dokoła siebie, zjednoczona z nimi w obawach, w rozgoryczeniu, w gotowości na wszystko. Nie, to było nie do zniesienia! Południe było zbyt pięknym krajem, aby oddać je bez walki, zbyt ukochanym, aby mogli je deptać Jankesi, tak bardzo nienawidzący południowców, że cieszyliby się z zepchnięcia ich w błoto — było zbyt drogą ojczyzną, aby ją odstąpić Murzynom upojonym trunkiem i wolnością.

Kiedy myślała o nagłym pojawieniu się Tonią i jeszcze szybszym jego zniknięciu, czuła się mu bliska, bo pamiętała dawną historię ucieczki ojca swego z Irlandii. Opuścił kraj pod osłoną nocy z powodu morderstwa, które nie było uważane za zbrodnię ani przez niego, ani przez jego rodzinę. Miała w sobie krew Geralda, gorącą i gwałtowną. Pamiętała swoją radość po zabiciu marudera jankeskiego. Burzliwa krew krążyła w nich wszystkich, pulsowała tuż pod skórą, czaiła się tuż pod miłymi, gładkimi pozorami. Wszyscy tutaj, wszyscy mężczyźni, których znała, nawet Ashley o marzących oczach i stary, nerwowy Frank, byli tacy sami — gwałtowni i niebezpieczni, gdy zachodziła potrzeba. Nawet Rett, łajdak bez sumienia, zabił Murzyna za to, że był „bezczelny w stosunku do damy”.

Kiedy Frank wrócił wreszcie, kaszlący i zmoknięty, porwała się na równe nogi:

— Och, Frank, jak długo będzie to trwało?

— Póki Jankesi nie przestaną nas tak bardzo nienawidzić, złotko.

— Czy nikt nic na to nie może poradzić?

Frank powiódł zmęczoną dłonią po mokrej brodzie. — Robimy najrozmaitsze rzeczy.

— Jakie?

— Po co o tym mówić, zanim dokonaliśmy czegokolwiek? Może to trwać i lata całe. Może... może Południe zostanie już takie na zawsze.

— Och, nie!

— Złotko, połóż się do łóżka. Zmarzłaś pewnie. Trzęsiesz się cała.

— Kiedy się to wszystko skończy?

— Gdy pozwolą nam znowu głosować, złotko. Gdy każdy mężczyzna, który walczył po stronie Południa, będzie mógł złożyć do urny wyborczej głos na południowca i demokratę.

— Głosować? — zawołała w rozpaczy. — Co pomoże głosowanie, jeżeli Murzyni stracili rozum i jeżeli Jankesi podburzają ich przeciw nam?

Frank zaczął jej wszystko tłumaczyć, cierpliwie i łagodnie, ale myśl, że głosowanie wszystkiemu zaradzi, była dla Scarlett zbyt trudna do pojęcia. Myślała z ulgą, że Jonasz Wilkerson nigdy już nie będzie zagrażał Tarze, i dużo myślała o Toniu.

— Och, biedni ci Fontaine'owie! — zawołała. — Tylko Aleks im został, a w Mimozie tyle jest roboty. Dlaczego Tonio nie miał dość rozumu, aby... aby zrobić to w nocy, kiedy nikt nie wiedziałby, czyja to sprawa? Daleko by się bardziej przydał na wiosnę przy pługu, niż w tym jakimś Texas.

Frank objął ją wpół. Zwykle robił to nieśmiało, jak gdyby z obawą, że zostanie niecierpliwie odepchnięty, tego wieczoru jednak w oczach jego była zaduma, a ramię jego silnie obejmowało Scarlett.

— Mamy teraz wiele spraw ważniejszych niż oranie, Scarlett. Nastraszenie Murzynów i danie Scallawagom nauczki jest pierwszą z nich. Póki mamy jeszcze tak dzielnych chłopców jak Tonio, wydaje mi się, że nie powinniśmy się zbytnio martwić o Południe. Chodź do łóżka.

— Ale, Franku...

— Jeżeli się będziemy razem trzymali i nie ustąpimy Jankesom ani o cal, zwyciężymy kiedyś. Nie łam sobie nad tym swojej ślicznej główki, złotko. Zostaw te sprawy nam, mężczyznom. Może sami nie doczekamy tej chwili, nadejdzie jednak kiedyś z pewnością, Jankesi zmęczą się gnębieniem nas, gdy przekonają się, że nie damy się złamać, i wtedy urządzimy sobie przyzwoicie świat, w którym będzie można wychowywać dzieci.

Pomyślała o Wadzie i o tajemnicy, którą w milczeniu nosiła w sobie od kilku dni. Nie, nie chciała wychowywać dzieci w tym chaosie nienawiści i niepewności, goryczy i gwałtów mogących w każdej chwili wybuchnąć, biedy, niedostatku i niebezpieczeństwa. Nie życzyła sobie, aby dzieci jej pamiętały ten chaos. Pragnęła bezpiecznego i dobrze uporządkowanego świata, aby mogła patrzeć w przyszłość i wiedzieć, że jest bezpieczna — świata, w którym dzieci jej będą miały ciepło i wygodę, dobre ubranie i smaczne jedzenie.

Frank uważał, że wszystko to można było osiągnąć przez głosowanie. Głosowanie? Cóż ono znaczyło? Porządni ludzie Południa nigdy nie odzyskają prawa głosu. Tylko jedne rzecz w świecie stanowiła pewną ochronę przed klęskami, jakie los mógł przynieść — pieniądze. Myślała gorączkowo, że muszą mieć pieniądze, dużo pieniędzy, by byli zabezpieczeni przed nieszczęściem.

Bez żadnych wstępów powiedziała Frankowi, że spodziewa się dziecka.

Przez całe tygodnie po ucieczce Tonia Fontaine grupy żołnierzy jankeskich dokonywały w domu ciotki Pitty ciągle nowych rewizji. Wchodzili do domu o każdej porze i bez uprzedzenia. Tłoczyli się po pokojach zadając pytania, otwierając szafy, przetrząsając kosze bielizny, zaglądając pod łóżka. Doniesiono władzom wojskowym, że ktoś radził Toniowi, aby schronił się do domu Pitty, Jankesi pewni więc byli, że ukrywa się jeszcze tam lub w bliskim sąsiedztwie.

W rezultacie ciotka Pitty była chronicznie w „swoim stanie”, jak to określił wuj Piotr. Nie miała nigdy pewności, czy za chwilę do pokoju jej nie wtargnie oficer z oddziałem żołnierzy. Frank ani Scarlett nie powiedzieli jej nic o krótkiej wizycie Tonia, starsza pani nie mogła więc niczego wyjawić, gdyby nawet chciała. Mówiła szczerą prawdę, kiedy z przerażeniem zapewniała, że Tonia Fontaine widziała jeden jedyny raz w życiu, w Boże Narodzenie roku 1862.

— I — dodawała szeptem, sądząc, że pomoże w ten sposób jankeskim żołnierzom — był wtedy bardzo wstawiony.

Scarlett, mająca mdłości i przygnębiona w tym wczesnym okresie ciąży, na przemian ziała to namiętną nienawiścią do żołnierzy, którzy nie szanowali jej spokoju domowego i często zabierali że sobą drobiazgi, przypadające im do gustu, to równie namiętną obawą, że Tonio przyczyni się do zguby ich wszystkich. Więzienia pełne były ludzi aresztowanych z powodu znacznie mniejszych wykroczeń. Wiedziała, że jeżeli choćby cząstkę prawdy Jankesi im dowiodą, nie tylko ona i Frank, ale i niewinna Pitty dostaną się do więzienia.

Od pewnego czasu agitowano w Waszyngtonie, aby skonfiskować całą własność „buntowników” na pokrycie długu Stanów Zjednoczonych, więc i to wzmagało ciągłe obawy Scarlett. Teraz jeszcze w dodatku Atlanta szumiała od pogłosek o konfiskacie majątków osób łamiących prawo wojenne, Scarlett drżała więc, aby jej lub Franką nie pozbawiono, poza wolnością, jeszcze domu, sklepu czy tartaku. Jeżeliby władze nie skonfiskowały nawet ich majątku, zostałby i tak stracony, gdyby uwięziono ją i Franka, bo któż w czasie ich nieobecności doglądałby ich interesów?

Nienawidziła Tonia za kłopoty, jakie na nich sprowadził. Jak mógł narazić przyjaciół na coś podobnego? Jak mógł Ashley Tonia do nich skierować? Nigdy już więcej nie udzieli nikomu pomocy, bo wtedy Jankesi opadną ją jak chmura szerszeni. Nie, zatarasuje drzwi przed każdym, kto zwróci się do niej o pomoc, z wyjątkiem oczywiście Ashleya. Przez wiele tygodni po krótkiej wizycie Tonią budziła się z niespokojnego snu za każdym dźwiękiem na ulicy, w obawie, że to z kolei Ashley stara się uciec do Texas, prześladowany za pomoc udzieloną Toniowi. Nie wiedziała, co się z nim dzieje, ponieważ bała się pisać do Tary o odwiedzinach Tonią. Listy mogły wpaść w ręce Jankesów i narazić jeszcze i Tarę na nieprzyjemności. Gdy jednak mimo mijania tygodni nie nadchodziły żadne złe wieści, zrozumieli, że Ashley w jakiś sposób ocalał. W końcu Jankesi dali i im spokój.

Nawet i to jednak nie wyzwoliło Scarlett od uczucia strachu, który ją ogarnął, gdy Tonio zapukał do ich drzwi — strachu gorszego od obawy przed pociskami, gorszego od lęku przed najazdem oddziałów Shermana. Mogło się zdawać, jak gdyby zjawienie się Tonia owej nocy zdarło z oczu jej łuski; zdała sobie bowiem sprawę, jak niepewne jest ich życie.

Rozglądając się dokoła siebie owej chłodnej wiosny 1866 r. Scarlett zrozumiała, co czeka ją i całe Południe. Mogła planować i zamierzać to i owo, mogła pracować ciężej niż dawniej niewolnicy, mogła zwycięsko pokonywać wszystkie przeszkody, mogła z uporem i stanowczością rozwiązywać problemy, do których nie zaprawiło jej dotychczasowe życie, ale — mimo wysiłków jej, poświęceń i zaradności — nikłe owoce jej pracy, osiągnięte z takim nakładem sił, mogły jej zostać w każdej chwili zabrane. Gdyby się zaś to stało, nie miała prawa ani sposobu dochodzenia swoich roszczeń, chyba tylko przed sądami wojskowymi, o których Tonio wyrażał się z taką goryczą. W owych czasach tylko Murzyni mieli przywilej czy prawo dochodzenia swoich krzywd. Jankesi ujarzmili Południe i chcieli je w jarzmie utrzymać. Południe zostało zmiażdżone jak pod działaniem złośliwej siły i ci, którzy dawniej rządzili, byli teraz bardziej uciemiężeni od dawnych swoich niewolników.

W Georgii gęsto rozsiane były garnizony jankeskich wojsk i Atlanta miała ich także zbyt dużo. Dowódcy jankescy w poszczególnych miastach mieli absolutną władzę, nawet władzę życia i śmierci nad ludnością cywilną, i z władzy swojej korzystali. Mogli wtrącać obywateli do więzienia z lada powodu czy bez powodu, konfiskować ich majątki lub wieszać ich — i często to robili. Dręczyli i prześladowali sprzecznymi przepisami o prowadzeniu przedsiębiorstw, wynagradzaniu pracowników, publicznej i prywatnej swobodzie słowa oraz wolności prasy. Decydowali, jak, kiedy i gdzie ludność ma wynosić śmiecie, jakie pieśni wolno śpiewać córkom i żonom konfederatów, tak że śpiewanie „Dixie” czy „Niebieskiego Sztandaru” stało się przestępstwem niewiele mniej groźnym od zdrady. Postanowili, że nikt, kto nie złoży „żelaznej przysięgi”, nie może odbierać listów na poczcie, i w niektórych wypadkach zabraniali nawet wydawania pozwoleń na zawieranie małżeństw, jeżeli pary narzeczonych nie złożyły owej nienawistnej przysięgi na wierność.

Gazety były tak cenzurowane, że niemożliwy był publiczny protest przeciw niesprawiedliwościom czy rabunkom władz wojskowych, indywidualne zaś protesty zagłuszono aresztowaniami. Więzienia pełne były wybitnych obywateli, którzy marnieli bez nadziei szybkiego procesu. Rozprawy sądowe i prawo „Habeas corpus” były właściwie zawieszone. Sądy cywilne funkcjonowały jeszcze, ale uzależnione były od sądów wojskowych, które mogły wpływać na ich wyroki, obywatele więc, którzy mieli nieszczęście być aresztowani, zdani byli właściwie na łaskę i niełaskę władz wojskowych. Aresztowanych zaś było bardzo wielu. Podejrzenie o krytykę rządu, o należenie do Ku-Klux-Klanu czy też skarga Murzyna, że biały odezwał się do niego niegrzecznie, wystarczały, aby obywatela wtrącić do więzienia. Dowody i zeznania świadków były zbyteczne. Oskarżenie zupełnie wystarczało. Dzięki zaś intrygom Biura Wyzwoleńców można było zawsze znaleźć Murzynów rzucających oskarżenia na białych.

Murzyni nie otrzymali jeszcze prawa wyborczego, ale Północ zdecydowała, że będą głosowali, i to oczywiście na rzecz Północy.

Dlatego też Murzyni robili, co im się podobało. Żołnierze jankescy popierali ich we wszystkim, najpewniejszym zaś sposobem narażenia się na szykany było złożenie skargi na Murzyna.

Dawni niewolnicy stali się teraz panami stworzenia. Z poparciem Jankesów najgorsi i najgłupsi panoszyli się najwięcej. Lepsza klasa Murzynów, gardząca wolnością, cierpiała nie mniej od swoich białych panów. Tysiączne rzesze służby domowej, która była najważniejszą kastą w społeczeństwie niewolników, zostały u swoich państwa i ciężko pracowały fizycznie, co w dawnych czasach uważały za niegodne siebie. Znaczna liczba wiernych fornali także nie chciała korzystać z nowej wolności, hordy jednak „wolnej hołoty murzyńskiej”, które siały najwięcej zamętu, rekrutowały się przeważnie z klasy wyrobników polnych.

W czasach niewolnictwa owi Negrzy niskiego pochodzenia traktowani byli z pogardą przez Murzynów domowych i służbę, jako istoty małej wartości. Podobnie jak Ellen O'Hara, wszystkie dziedziczki na Południu dbały o naukę Murzyniątek i poddawały je eliminacji, aby najlepsze spośród nich wyćwiczyć do pracy bardziej odpowiedzialnej. Ci, którym przypadała praca w polu, byli najmniej chętni czy zdolni do nauki, najmniej energiczni, uczciwi i godni zaufania, najbardziej zepsuci i tępi. Teraz zaś ta właśnie klasa, najniższa w murzyńskim społeczeństwie, czyniła życie Południa straszliwą męką.

Wspierani przez wpływowych awanturników, którzy kierowali Biurem Wyzwoleńców, podżegani ferworem nienawiści przez ludzi Północy, prawie religijnym w swym fanatyzmie, dawni parobcy znaleźli się niespodzianie na stanowiskach ludzi możnych. Zachowywali się na nich, jak można było spodziewać się po istotach tak mało inteligentnych. Podobni do małp czy małych dzieci, zostawionych bez dozoru wśród przedmiotów, których wartości nie znają, rozpuścili się zupełnie, zarówno z przewrotnego upodobania w zniszczeniu, jak z prostej ignorancji.

Trzeba jednak przyznać, że spośród tych Murzynów tylko nieliczni postępowali tak przez wrodzoną złość, a jednostki te uważane były za „podłych Murzynów” już w czasach niewolnictwa. Na ogół Murzyni byli dziecinni, łatwo poddający się wpływom, i chętnie, siłą wieloletniego przyzwyczajenia, słuchający rozkazów. Dawniej wydawali im rozkazy biali panowie. Teraz mieli nowych panów, zarząd biura i Carpetbaggerów, rozkazy zaś ich brzmiały: ,,Jesteście równi białym ludziom, postępujcie więc tak samo jak biali. Jak tylko dostaniecie prawo wyborcze, oddajcie głos na partię republikańską, a za to dostaniecie majątki białych. Już teraz niemal należą do was. Bierzcie je sobie, jeżeli możecie!”

Ogłupieni tymi bajkami, Murzyni uważali wolność za nie kończącą się zabawę, za barbakoję trwającą bez przerwy, za karnawał próżniactwa, kradzieży i bezczelności. Wiejscy Murzyni ściągali do miast, wyludniając przed zbiorami całe okolice. Atlanta była przepełniona, a mimo to wciąż napływali całymi tysiącami, leniwi i niebezpieczni, otumanieni niespodziewanie uzyskaną wolnością. Mieszkali w brudnych chałupach, wkrótce więc zaczęły się „wśród nich szerzyć ospa, tyfus i gruźlica. Przyzwyczajeni do opieki swoich dziedziczek w okresie niewolnictwa, nie wiedzieli teraz, jak pielęgnować swoich chorych ani gdzie się leczyć, Ponieważ w minionych dniach opiekę na starcami i dziećmi pozostawiali swoim panom, nie mieli teraz poczucia odpowiedzialności za słabszych od siebie, Biuro zaś było zanadto zainteresowane sprawami politycznymi, aby opiekować się nimi tak, jak dawniej właściciele plantacji.

Porzucone dzieci murzyńskie biegały po mieście jak wystraszone zwierzątka, aż zabierali je do swoich kuchni litościwi biali ludzie. Starzy wiejscy Murzyni, opuszczeni przez własne dzieci, oszołomieni i wystraszeni w gwarnym mieście, siedząc na skraju chodników wołali do przechodzących pań: — Paniusiu, proszę, niech paniusia napisze do mojego dawnego pana w powiecie Fayette, że ja tu jestem. Przyjedźcie i zabierzcie do domu starego Murzyna. Na Boga, już dość mam tej wolności!

Biuro Wyzwoleńców, przerażone ilością napływających doń Murzynów, zbyt późno zrozumiało swoją pomyłkę i starało się ich odsyłać do dawnych panów. Mówiono Murzynom, że jeżeli wrócą na rolę, wrócą jako wolni pracownicy, chronieni pisemnymi kontraktami, w których wyszczególnione będzie ich dzienne wynagrodzenie. Starzy Murzyni wracali z zadowoleniem na plantacje stając się ciężarem dla zubożałych plantatorów, którzy nie mieli serca ich wydalić, młodzi jednak zostawali w Atlancie. Nie chcieli w ogóle pracować. Po co pracować, kiedy żołądek jest pełny?

Po raz pierwszy w swoim życiu Murzyni mogli pić tyle. Ile chcieli. W czasach niewolnictwa kosztowali wódkę tylko w Boże Narodzenie, gdy każdy dostawał po kieliszku wraz z upominkiem gwiazdkowym. Teraz działało ha nich nie tylko podżeganie agitatorów Biura i Jankesów, ale i wódka, gwałty były więc nieuniknione. Nie można było uchronić przed Murzynami ani życia, ani mienia, i biali ludzie, nie bronieni prawem, byli zupełnie sterroryzowani. Pijani Murzyni znieważali na ulicach mężczyzn, palili nocą domy i budynki gospodarskie, w biały dzień kradli konie, bydło i drób, popełniali cały szereg zbrodni, sprawiedliwość była zaś wymierzana tylko nielicznym.

Te jednak podłości i przestępstwa były niczym w porównaniu z niebezpieczeństwem, jakie groziło białym kobietom, z których wiele pozbawionych było wskutek wojny męskiej opieki i które mieszkały same w zapadłych okolicach lub przy nie uczęszczanych drogach. Wielka ilość gwałtów popełnionych na kobietach i wieczny niepokój o żony i córki doprowadzały mężczyzn Południa do zimnej, złej pasji i spowodowały nagłe zawiązanie się Ku-Klux-Klanu. I właśnie przeciw tej nocą działającej organizacji gazety Północy występowały najgłośniej, nie rozumiejąc tragicznej konieczności, która ją powołała do życia. Północ domagała się, aby wszystkich członków Ku-Klux-Klanu wytropić i powiesić, bo ośmielili się sami piętnować zbrodnie w czasach, gdy najeźdźcy znieśli zwykłe działanie prawa i ustaw.

Rozgrywało się zadziwiające widowisko — jedna połowa narodu usiłowała bagnetami zmusić drugą do poddania się władzy Murzynów, których większość tylko jedno pokolenie dzieliło od dżungli Afryki. Chcieli im dać prawo wyborcze, a odebrać je ich dawnym właścicielom. Należało ujarzmić Południe, a odebranie białym przywilejów było jedną z metod podboju. Większość ludzi, którzy walczyli po stronie Konfederacji, którzy (piastowali przed wojną urzędy lub popierali Konfederację czynnie lub biernie, straciła prawo wyborcze, nie miała możności wybierania urzędników i była całkowicie pod władzą obcych okupantów. Wielu mężczyzn, pamiętając przykład i słowa generała Lee, chciało złożyć przysięgę, stać się na nowo obywatelami i zapomnieć o przeszłości. Nie pozwalano im jednak na to. Inni, których zachęcano do przysięgi, odmówili jej złożenia, nie chcąc przyrzekać posłuszeństwa rządowi, który rozmyślnie narażał ich na okrucieństwa i upokorzenia.

Scarlett słyszała bezustannie, aż do znudzenia, słowa: — Złożyłbym tę przeklętą przysięgę zaraz po kapitulacji, gdyby postępowali przyzwoicie. Mogę poddać się Unii, ale, na Boga, nie trzeba mnie siłą do tego zmuszać!

Podczas tych niespokojnych dni i nocy strach rozdzierał Scarlett. Wieczne niebezpieczeństwo że strony opryszków murzyńskich i jankeskich żołnierzy trapiło ją bez przerwy, stale wisiała nad nią groźba konfiskaty majątku, prześladowała ją nawet we śnie — bała się też jeszcze gorszego terroru. Przygnębiona bezsilnością swoją, swoich najbliższych i całego Południa, przypominała sobie często w tym czasie słowa, które z taką namiętnością wypowiedział Tonio Fontaine: „ Na Boga, Scarlett, to jest nie do zniesienia! I nie będziemy tego znosili!”

Mimo wojny, ognia i rekonstrukcji, Atlanta była znowu w rozkwicie. Pod wieloma względami przypominała młode, ożywione miasto z zarania Konfederacji. Można się było skarżyć jedynie na to, że zapełniający ulicę nosili nieodpowiednie mundury, że niewłaściwi ludzie posiadali pieniądze i że Murzyni żyli w bezczynności, podczas gdy dawni ich panowie borykali się i przymierali głodem.

Pod zewnętrzną powłoką kryła się nędza i strach, na pierwszy rzut oka jednak Atlanta wyglądała jak miasto będące w pełni rozwoju, szybko odbudowujące się z ruin, gwarne, zadyszane. Zdawało się, że Atlanta musi się zawsze śpieszyć niezależnie od okoliczności. Savannah, Charleston, Augusta, Richmond i Nowy Orlean nie śpieszyły się nigdy. Pośpiech był oznaką złego wychowania i naśladowania Jankesów. W tym jednak okresie Atlanta była gorzej wychowana i bardziej zaopatrzona w Jankesów niż kiedykolwiek przedtem czy potem. Z powodu napływających że wszystkich stron „nowych ludzi” ulice były zatłoczone i głośne od rana do wieczora. Błyszczące powozy żon oficerów jankeskich i Carpetbaggerów bryzgały błotem na rozklekotane bryczki dawnych mieszkańców, a pretensjonalne nowe domy zamożnych przybyszów wtłaczały się między dystyngowane siedziby dawnych obywateli.

Wojna ostatecznie utrwaliła znaczenie Atlanty w życiu Południa i mało znane dotąd miasto rozsławiło się na wszystkie strony.

Linia kolejowa, o którą Sherman bił się przez całe lato i która tysiące ludzi przyprawiła o śmierć, znowu pobudzała życie miasta, powstałego dzięki niej. Atlanta znowu stała się stolicą rozległej okolicy, jak w czasach przed swoim zburzeniem, i stale ściągali do niej nowi mieszkańcy, pożądani i niepożądani.

Carpetbaggerzy uczynili z Atlanty swoją kwaterę. i spychali z ulic przedstawicieli najstarszych rodzin Południa, którzy także niedawno dopiero przybyli do miasta. Rodziny z okręgów wiejskich, których domy zostały spalone podczas przemarszu Shermana i które nie mogły się wyżywić bez pomocy niewolników, osiedliły się teraz w Atlancie. Nowi ludzie przybywali co dzień z Tennessee i obydwu Karolin, gdzie rekonstrukcja dawała się jeszcze mocniej we znaki niż w Georgii. Wielu Irlandczyków i Niemców, którzy byli najemnymi żołnierzami w armii Unii, po zwolnieniu z wojska osiedliło się w Atlancie. Żony i rodziny żołnierzy jankeskich, ciekawe życia na Południu po czterech latach wojny, także masowo przyjeżdżały. Rojno był od mniejszych i większych awanturników, którzy spodziewali się zrobić tutaj majątki, a Murzyni że wsi nie przestawali przybywać całymi setkami.

Miasto wrzało — było otwarte na oścież jak osada nadgraniczna i nie starało się wcale zatajać swoich grzechów i występków. Szynki rodziły się przez noc, po dwa lub trzy blisko siebie, i o zmierzchu ulice pełne były pijaków, czarnych i białych, zataczających się od ścian domów po skraj chodnika i z powrotem. Bandyci, złodzieje i prostytutki czaili się w nie oświetlonych zaułkach i mrocznych ulicach. Domy gry prosperowały świetnie i nie było nocy bez bójki i krwawej awantury. Poważni obywatele gorszyli się, że w Atlancie powstała znowu wielka i kwitnąca dzielnica rozpusty, większa jeszcze niż podczas wojny. Przez całe noce słysząc było zza spuszczonych rolet dźwięki pianina, głośne śmiechy i śpiewy, czasem przerywane krzykiem i strzałami. Pensjonariuszki tych domów były śmielsze od prostytutek z czasów wojny, bezwstydnie wyglądały z okien i zaczepiały przechodniów. A w niedzielne popołudnia piękne karety, własność dam z tej dzielnicy, wyjeżdżały z zapuszczonymi firankami na główne ulice, pełne wystrojonych dziewczyn, które zażywały spaceru.

Bella Watling była najpopularniejszą z owych dam. Założyła nowe własne przedsiębiorstwo w dużym, dwupiętrowym budynku, przy którym okoliczne domy wyglądały nędznie jak królikarnie. Na dole był długi bar, wytwornie przystrojony obrazami, i co noc przygrywała murzyńska orkiestra. Na górze, jak głosiła fama, stały piękne, pokryte pluszem meble, wisiały ciężkie koronkowe firanki i sprowadzone z zagranicy lustra w złoconych ramach. Młode damy, które zamieszkiwały ten dom, były ładne, choć bardzo wymalowane, i zachowywały się spokojniej niż mieszkanki innych tego rodzaju zakładów. W każdym razie do domu Belli rzadko zachodziła policja.

Dom ten stanowił temat szeptów wszystkich mężatek Atlanty i kazań księży — jako kloaka grzechu i jawne wyzwanie. Wszyscy wiedzieli, że kobieta pokroju Belli nie mogła sama tyle zarobić, by tak luksusowo urządzić zakład. Musiała zatem mieć protektora, i to w dodatku bardzo bogatego. A że Rett Butler nigdy nie starał się o ukrycie swoich z nią stosunków, było jasne, że to on, a nie kto inny jest jej protektorem. Sama Bella wyglądała bardzo zamożnie, gdy wyjeżdżała na miasto karetą, którą powoził bezczelny żółty Murzyn. Gdy przejeżdżała, mali chłopcy na ulicach, którym udało się na chwilę wyrwać spod opieki matek, biegli, by się przypatrzeć jej, i szeptali w podnieceniu: — To ona! To Bella! Widziałem jej rude włosy!

W najbliższym sąsiedztwie domów rozdartych pociskami i połatanych kawałkami starego drzewa i sczerniałymi od dymu cegłami, wznosiły się piękne domy Carpetbaggerów i paskarzy — o mansardowych dachach i smukłych wieżyczkach, witrażach w oknach i szerokich trawnikach. Co noc w tych nowych domach okna jarzyły się światłem gazowym, a dźwięki muzyki i tupot tańczących stóp dochodziły aż na ulicę. Kobiety w sztywnych kolorowych sukniach przechadzały się po werandach w towarzystwie mężczyzn we frakach. Strzelały korki szampana, a na koronkowych obrusach spożywano kolacje z siedmiu dań. Szynki w białym winie, kaczki nadziewane, pasztety z gęsich wątróbek i rzadkie owoce podawane były w wielkiej obfitości o każdej porze roku.

Za odrapanymi drzwiami starych domów kryły się głód i bieda — bardziej dotkliwe, ponieważ znoszone z odwagą i godnością, bardziej gorzkie z powodu udanej obojętności. Doktor Meade potrafiłby opowiedzieć niejedno o tych rodzinach, które z pałaców musiały się przenieść do pensjonatów, a z pensjonatów do brudnych izdebek na peryferiach. Miał przeraźliwie dużo pacjentek cierpiących na „słabe serce” i „anemię”. Wiedział równie dobrze jak one, że przyczyną tych niedomagań było przewlekłe głodowanie. Mógłby opowiedzieć o gruźlicy, która kładła pokotem całe rodziny, i o szkorbucie, dawniej spotykanym tylko w biedniejszej sferze, który teraz pojawiał się w najlepszych domach Atlanty. Wiele było dzieci o chudych, rachitycznych nóżkach i matek, nie mających pokarmu. Niegdyś stary doktor skłonny był dziękować Bogu za każde dziecko, które przyjął na świat. Teraz przestał sądzić, że życie jest dobrodziejstwem. Świat odnosił się wrogo do małych dzieci i wiele z nich umierało w pierwszych miesiącach życia. Jaskrawe światła i wino, skrzypce i tańce, brokaty i sukna w okazałych wielkich domach, a tuż za rogiem powolne konanie i chłód... Arogancja i nieczułość po stronie zwycięzców, gorzka wytrwałość i nienawiść po stronie zwyciężonych.

## ROZDZIAŁ XXXVIII

Scarlett widziała to wszystko, żyła tym w dzień i pamiętała w nocy, zawsze pełna obaw, co się nowego może zdarzyć. Wiedziała, że ona i Frank wciągnięci już są z powodu sprawy Tonia na czarną listę Jankesów i że nieszczęście może na nich spaść z godziny na godzinę. Teraz jednak, zwłaszcza teraz, nie stać ją było na to, by cofnąć się że zdobytej pozycji — teraz, gdy oczekiwała dziecka, gdy tartak zaczynał dawać dochody, gdy Tarze potrzebne były pieniądze na przetrwanie do jesieni, do zbiorów. Och, jakżeby to było straszne, gdyby straciła wszystko! Gdyby musiała zacząć na nowo, uzbrojona tak słabo przeciw oszalałemu światu! Gdyby musiała przeciwstawić czerwone wargi, zielone oczy i sprytną główkę Jankesom i wszystkiemu, czego Jankesi byli symbolem... Nieprzytomna że strachu, czuła, że raczej zabije się, niż zacznie wszystko jeszcze raz od nowa.

W ruinie i chaosie owej wiosny r. 1866 wytężała całą swoją energię, by rozwinąć tartak. W Atlancie było dużo pieniędzy. Fala odbudowy dawała jej możliwości, jakich pragnęła, wiedziała też, że mogłaby się wzbogacić pod warunkiem, że jej się uda uniknąć więzienia. Ale, powtarzała sobie raz po raz, będzie musiała kroczyć ostrożnie i czujnie, znosić obelgi, godzić się z niesprawiedliwością, nigdy nie obrażać ani czarnych, ani białych, którzy mogliby jej zaszkodzić. Nienawidziła bezczelnych wolnych Murzynów tak samo jak inni i skóra na niej cierpła że wstrętu, ilekroć słyszała ich obelżywe uwagi i głośny śmiech. Nigdy im jednak nie rzuciła nawet spojrzenia pogardy. Nienawidziła Carpetbaggerów i Scallawagów, którzy bogacili się łatwo, nie męcząc się tak jak ona, ale nie mówiła o nich nic złego. Nie było nikogo w Atlancie, kto by bardziej niż ona nie znosił Jankesów, bo już sam widok niebieskiego munduru napełniał ją pasją, ale nawet w ścisłym gronie rodzinnym nie mówiła o nich nic.

„Nie będę gadatliwą idiotką — myślała ponuro. — Niechaj inne załamują ręce nad przeszłością i opłakują ludzi, którzy nigdy nie wrócą. Niechaj inni płoną oburzeniem z powodu panowania Jankesów i odebrania nam prawa wyborczego. Niechaj inni gniją w więzieniu za szczerość i zostają wieszani za należenie do Ku-Klux-Klanu. (Och, jakaż to była nienawistna nazwa, prawie tak samo straszna dla Scarlett jak dla Murzynów!) Niechaj inne kobiety szczycą się tym, że mężowie ich są członkami Klanu. Dzięki Bogu, że Frank nie ma z tym nic wspólnego! Niechaj inni burzą się i gotują, i knują przeciw rzeczom, na które nie ma rady. Cóż znaczyła przeszłość wobec trudnej teraźniejszości i wątpliwej przyszłości? Cóż znaczyło prawo wyborcze, kiedy najważniejszym problemem był chleb, dach nad głową i pozostanie na wolności? Ach, niechże Bóg sprawi tylko, abym do czerwca nie dostała się do więzienia!”

Tylko do czerwca! Scarlett wiedziała, że w czerwcu będzie musiała zamknąć się w domu i oczekiwać rozwiązania. Ludzie już ją krytykowali za to, że ukazywała się publicznie w swoim stanie. Żadna dama nie pokazywała się podczas ciąży na mieście. Już i Frank i Pitty błagali ją, aby nie narażała siebie i ich na kłopotliwe sytuacje i aby im przyrzekła, że w czerwcu przestanie pracować.

Tylko do czerwca! Do czerwca tartak musi być tak dobrze postawiony, by mogła przestać go doglądać. Do czerwca musi zarobić dość pieniędzy, aby trochę przynajmniej zabezpieczyć się przed nieszczęściem. Tyle miała do roboty i tak mało czasu! Żałowała, że dni nie mają więcej godzin, i gorączkowo liczyła mijające minuty w stałym pościgu o pieniądze, o coraz więcej pieniędzy.

Ponieważ nie przestawała strofować nieśmiałego Franka, zainkasował niektóre z dawnych wierzytelności i sklep zaczął teraz więcej przynosić dochodu. Wszystkie nadzieje Scarlett skupiały się jednak na tartaku. Atlanta była w tym okresie podobna do olbrzymiej rośliny, obciętej przy samej ziemi, ale teraz znowu rozkwitającej, z mocniejszymi pędami, gęstszym listowiem, liczniejszymi gałązkami. Popyt na budulec był daleko większy niż podaż. Ceny

drzewa, cegły i kamienia szły ciągle w górę i tartak Scarlett pracował od świtu do późnego wieczora.

Część każdego dnia Scarlett spędzała w tartaku, wglądając we wszystko, starając się wszystkimi siłami ukrócić złodziejstwa, które podejrzewała. Przeważnie jednak jeździła po mieście odwiedzając budowniczych, przedsiębiorców i stolarzy, wstępując nawet do nieznajomych, o których słyszała, że będą budowali, i skłaniając ich do obietnic, że kupią drzewo u niej, a nie u innych.

W krótkim czasie stała się dobrze znana na ulicach Atlanty. Siedziała w bryczce obok dystyngowanego, zawsze nachmurzonego starego stangreta, z kocem podciągniętym wysoko pod piersi, że złożonymi na kolanach małymi rączkami w mitenkach. Ciotka Pitty uszyła jej śliczny zielony płaszczyk, który zakrywał jej figurę, sprawiła też sobie płaski zielony kapelusz, dobrany kolorem do oczu, i jeżdżąc za interesami zawsze nosiła te twarzowe rzeczy. Cieniutka warstwa różu na policzkach i zwiewny zapach wody kolońskiej czyniły z niej urocze zjawisko, dopóki nie zsiadła z bryczki i nie widać było jej postaci. To zaś zdarzało się rzadko, bo uśmiechała się tylko i robiła znaki ręką, a mężczyźni podchodzili do niej natychmiast i często stali bez kapelusza na deszczu, by rozmawiać z nią o interesach.

Nie była jedyną, która widziała możliwości dużych zarobków w handlu drzewem, ale nie bała się konkurencji. Wiedziała, że dorówna każdemu, i w świadomości tej było dużo dumy z samej siebie. Była córką Geralda i jej odziedziczony po nim spryt do interesów jeszcze się wyostrzył teraz, gdy miała tyle obowiązków.

Z początku inni kupcy drzewni śmieli się z dobroduszną pogardą na myśl, że kobieta zabrała się do handlu. Szybko jednak przestali się śmiać. Klęli cicho, gdy widzieli ją w bryczce. Fakt, że była kobietą, często działał na jej korzyść, bo czasem potrafiła wyglądać tak bezradnie, że ludziom topniały serca. Bez trudu mogła dać milcząco do zrozumienia, że jest dzielną, ale nieśmiałą damą, zmuszoną brutalnymi okolicznościami do nieprzyjemnych funkcji — bezradną małą kobietką, która umarłaby prawdopodobnie z głodu, gdyby klienci nie kupili u niej drzewa. Kiedy jednak dystyngowane miny nie osiągały rezultatu, stawała się chłodna i rzeczowa, chętnie obniżała cenę i wyrzekała się zarobku, aby zdobyć nowego klienta. Nie cofała się przed sprzedawaniem złego gatunku drzewa po cenie dobrego, jeżeli wiedziała, że nie wyjdzie to na jaw, i nie miała skrupułów w oczernianiu innych kupców. Udając, że ciężko jej przychodzi wypowiadanie nieprzyjemnej prawdy, wzdychała i mówiła ewentualnym klientom, że drzewo jej konkurentów jest bardzo drogie, zgniłe, pełne sęków i w ogóle w wyjątkowo marnym gatunku.

Kiedy Scarlett po raz pierwszy skłamała w ten sposób, poczuła się zakłopotana i pełna wyrzutów sumienia — zakłopotana, bo kłamstwo spłynęło jej na wargi łatwo i naturalnie, winna, ponieważ przeszyła ją myśl: ,,Co by powiedziała na to mama?”

Nie było wątpliwości, co powiedziałaby Ellen córce, która kłamała i robiła niezupełnie czyste transakcje. Byłaby zdumiona, nie dowierzałaby i przemawiałaby łagodnie, używając słów, które mimo swej łagodności sprawiały ból; mówiłaby o honorze, uczciwości, prawdzie i obowiązkach w stosunku do bliźnich. Scarlett zachmurzyła się na chwilę, gdy wyobraziła sobie wyraz twarzy matki. Potem jednak obraz ten zatarł się, odpędzony nowym bezwzględnym impulsem chciwości, która zrodziła się podczas ciężkich dni w Tarze, wzmogła się w niej z powodu niepewności życia. W ten więc sposób minęła i to rozdroże, jak już tyle innych — z westchnieniem, że nie jest taka, jak by sobie tego życzyła Ellen, że wzruszeniem ramion i powtórzeniem niezawodnego zaklęcia; „Pomyślę o tym kiedy indziej”.

Odtąd nigdy już jednak nie myślała o Ellen w związku że swoimi metodami handlowymi, nigdy nie miała skrupułów z powodu sztuczek, za pomocą których odbierała zamówienia innym kupcom drzewnym. Wiedziała, że może całkiem bezkarnie rozsiewać o nich kłamstwa. Chroniła ją rycerskość południowców. Dama z Południa mogła kłamać na temat mężczyzny, ale dżentelmen z Południa nie mógł odpłacić jej tą samą monetą ani, co gorsza, nazwać kłamczynią. Konkurenci Scarlett mogli więc tylko pienić się wewnętrznie i stwierdzać z pasją na łonie rodziny, że żałują, iż pani Kennedy nie może stać się mężczyzną choćby na pięć minut.

Pewien ubogi biały, który kierował tartakiem na ulicy Decatur, chciał pobić Scarlett jej własną bronią i mówił otwarcie, że kłamie i oszukuje. Zaszkodziło mu to jednak więcej, niż pomogło, ponieważ ludzie byli zgorszeni, że mężczyzna, choćby nawet biedny, ośmiela się mówić podobne rzeczy o damie, która należała do dobrej rodziny, mimo że postępowała, jak nie przystoi kobiecie. Scarlett zniosła jego uwagi z milczącą godnością i po pewnym czasie wyłączną uwagę poświęciła jemu i jego klientom. Podcinała mu ceny tak ustawicznie i, aby dowieść swej uczciwości, jęcząc z żalu, dostarczała drzewa w tak doskonałym gatunku, że kupiec w krótkim czasie zbankrutował. Wtedy ku przerażeniu Franka kupiła z tryumfem jego tartak za cenę, jaką mu podyktowała.

Kiedy drugi tartak przeszedł na jej własność, powstał kłopotliwy problem znalezienia odpowiedniego człowieka, który by mógł nim kierować. Nie chciała już drugiego kierownika w rodzaju Johnsona. Wiedziała, że mimo jej kontroli nie przestaje za jej plecami sprzedawać drzewa, zdawało się jej jednak, że łatwo będzie kogoś znaleźć. Wszyscy byli biedni jak Hiob, a ulice przepełnione były mężczyznami niegdyś bogatymi, którzy teraz nie mieli pracy. Nie mijał dzień, aby Frank nie dał pieniędzy jakiemuś głodnemu eks-żołnierzowi, a Pitty czy kucharka nie nakarmiły wymizerowanych żebraków.

Scarlett jednak, z jakiejś niezrozumiałej przyczyny, nie chciała żadnego z nich. „Nie chcę mężczyzn, którzy w ciągu roku nie umieli sobie znaleźć pracy — myślała. — Jeżeli dotąd jeszcze nie zżyli się z pokojem, nie będą się mogli i do mnie przyzwyczaić. I wszyscy wyglądają tak potulnie i nieszczęśliwie. Nie chcę mężczyzny, który wygląda jak człowiek pokonany przez życie. Chciałabym kogoś, kto jest mądry i energiczny jak Rene, Tomasz Wellburn czy Kells Whiting lub jeden z Simmonsów. Ci nie mają takich przeraźliwie obojętnych min, jak mieli żołnierze po wojnie. Wyglądają, jak gdyby im bardzo zależało na bardzo wielu rzeczach”.

Ale ku jej zdumieniu i młodzi Simmonsowie, którzy założyli sobie cegielnię, i Kells Whiting, sprzedający preparat wyrabiany w kuchni jego matki i prostujący po sześciokrotnym użyciu najbardziej kędzierzawe murzyńskie włosy — uśmiechnęli się uprzejmie, podziękowali i odmówili. To samo zrobili inni, którym proponowała posadę. W rozpaczy podniosła kwotę ofiarowanego wynagrodzenia, ale nie przestawała się spotykać z odmową. Jeden z siostrzeńców pani Merriweather zauważył impertynencko, że jakkolwiek nie bardzo lubi rozwozić piwo, woli męczyć się dla siebie, niż pracować u Scarlett.

Pewnego popołudnia Scarlett zatrzymała bryczkę przy wozie cukierniczym Rene Picarda i zagadała do niego i do kalekiego Tomasza Wellburna, którego Rene podwoził do domu.

— Słuchaj, Rene, może byś ty zechciał u mnie pracować? Prowadzenie tartaku jest bez porównania przyzwoitszym zajęciem od rozwożenia ciast po mieście. Miałam wrażenie, że się tego wstydzisz.

— Ja? Ja nie wiem, co to wstyd — roześmiał się Rene. — Któż by chciał znowu robić przyzwoite rzeczy? Przez całe życie musiałem robić to, co wypada, aż wojna dała mi wolność tak jak Murzynom. Już nigdy nie będę człowiekiem dystyngowanym i znudzonym. Jestem wolny jak ptak! Lubię swój wóz. Lubię swego muła. Lubię kochanych Jankesów, którzy są tak uprzejmi, że kupują babki mojej belle-mere. Nie, moja Scarlett, ja chcę pozostać Królem Ciast. To jest moje przeznaczenie! Podobnie jak Napoleon, idę za swoją gwiazdą. — Trzasnął z patosem z bata.

— Ale nie wychowano cię na to, abyś sprzedawał ciasta, tak samo jak Tomasz nie na to się urodził, by użerać się z bandą nieokrzesanych irlandzkich mularzy. Moja praca jest bardziej...

— A ciebie prawdopodobnie wychowano na to, abyś prowadziła tartak, co? — rzekł Tomasz i kąciki ust zadrgały mu drwiąco. — Tak, wyobrażam sobie małą Scarlett na kolanach swojej matki, powtarzającą lekcję: „Nie sprzedawaj nigdy dobrego drzewa, jeżeli za złe możesz osiągnąć lepszą cenę”.

Rene roześmiał się słysząc to, a małe jego oczka świeciły radością gdy poklepał Tomasza po zgarbionych plecach.

— Nie bądź arogantem — rzekła Scarlett chłodno, bo uwaga Tomasza nie wydała jej się wcale zabawna. — Rozumie się, że nie było mi przeznaczone prowadzenie tartaku.

— Nie chciałem być arogantem. Ale faktem jest, że teraz prowadzisz tartak nie zastanawiając się, czy było to twoim przeznaczeniem, czy nie. I prowadzisz go bardzo dobrze, muszę przyznać. A więc znaczy to, że nikt z nas tutaj nie robi tego, co niegdyś zamierzał, a jednak zdaje mi się, że sobie jakoś radzimy. Ludzie i narody, które siedzą na miejscu i rozpaczają, dlatego że życie nie ułożyło się dokładnie tak, jak to sobie wyobrażali, są godni politowania. Dlaczego nie zaangażujesz sobie jakiegoś dzielnego Carpetbaggera, Scarlett? Roi się od nich tutaj, jak wiesz.

— Nie chcą Carpetbaggera. Carpetbaggerzy kradną wszystko, co nie jest rozpalone do czerwoności lub przybite mocnymi gwoździami. Gdyby byli przyzwoitymi ludźmi, siedzieliby w swoich stronach zamiast zjawiać się tutaj i nas obdzierać że skóry. Potrzebny mi człowiek przyzwoity, z porządnej rodziny, zaradny, mądry i uczciwy...

— Nie żądasz wiele. Ale nie dostaniesz tego za wynagrodzenie, które ofiarowujesz. Wszyscy mężczyźni, odpowiadający tym warunkom, jeżeli wyłączyć zupełne kaleki, mają już jakąś pracę. Możliwe, że źle się nadają do tego, co robią, ale pracują. Pracują niezależnie i wolą to od posady u kobiety.

— Mężczyźni nie są zbyt rozumnymi istotami, jeżeli wniknąć w tę sprawę do głębi.

— Może i nie są, ale za to posiadają dużo dumy — rzekł Tomasz spokojnie.

— Duma! Duma doskonale smakuje, zwłaszcza na pusty żołądek — odparła Scarlett cierpko.

Dwaj mężczyźni roześmiali się niechętnie i Scarlett wydało się, że potępiają ją milcząco. To, co Tomasz powiedział, było prawdą, myślała licząc mężczyzn, z którymi już rozmawiała, i tych, którym chciała jeszcze zaproponować posadę. Wszyscy byli zajęci, pracowali nad czymś, pracowali ciężko, znacznie ciężej niż ich służba przed wojną. Nie robili może tego, na co mieli ochotę ani co było najłatwiejsze lub do czego byli przeznaczeni, ale jednak pracowali. Czasy były zbyt ciężkie, aby mężczyźni mogli wybierać. A jeżeli ubolewali z powodu zawiedzionych nadziei czy tęsknili za dawnym sposobem życia, nikt o tym poza nimi samymi nie wiedział. Brali teraz udział w nowej wojnie, znacznie sroższej od poprzedniej. I znowu kochali życie, tak samo namiętnie i gorąco jak wtedy, gdy wojna jeszcze nie zwichnęła ich kariery.

— Scarlett — rzekł Tomasz z zakłopotaniem — przykro mi prosić ciebie o przysługę, ponieważ byłem niegrzeczny w stosunku do ciebie, ale poproszę cię o nią mimo to. Może i dla ciebie będzie to korzystne. Szwagier mój, Hugon, niezbyt dobrze zarabia na swoim handlu drzewem na opał. Wszyscy z wyjątkiem Jankesów chodzą do lasów sami i sami zbierają chrust na podpałkę. A wiem, że całej rodzinie Elsingów powodzi się niezbyt świetnie. Ja — ja robię, co mogę, ale widzisz, mam na utrzymaniu Fanny, matkę i dwie owdowiałe siostry w Sparcie. Hugon jest porządnym chłopcem, a tobie o takiego chodzi, jest z dobrej rodziny, jak wiesz, i bardzo uczciwy.

— Tak, ale... Hugon nie musi być zbyt zaradny, bo inaczej powodziłoby mu się lepiej.

Tomasz wzruszył ramionami.

— Masz dość bezwzględny sposób oceniania spraw, Scarlett — powiedział. — Pomyśl jednak o kandydaturze Hugona. Mogłabyś długo szukać i trafić znacznie gorzej. Ja sądzę, że uczciwość jego i zapał do pracy wynagrodzą może brak tupetu.

Scarlett nie odpowiedziała, bo nie chciała być nieuprzejma. Zdaniem jej jednak mało było zalet, które by przewyższały tupet.

Kiedy jednak bez powodzenia szukała na mieście pracownika i odmówiła wielu chętnym do pracy Carpetbaggerom, zdecydowała się wreszcie zgodzić na propozycję Tomasza i przyjąć na posadę Hugona Elsinga. Podczas wojny był świetnym oficerem, ale dwie ciężkie rany w głowę i cztery lata walk podkopały zupełnie, jak się zdawało, jego żywotność, i teraz wobec trudności czasów pokojowych wydawał się bezradny jak dziecko. W okresie, gdy rozwoził po mieście drzewo na opał, przypominał trochę zbitego psa i zewnętrznie daleka był od typu mężczyzny, jakiego Scarlett chciałaby zatrudnić.

„Jest głupi — myślała. — Nie zna się na interesach i założę się, że nie wie, ile jest dwa razy dwa. Wątpię też, czy się kiedykolwiek tego nauczy. Jest jednak uczciwy i nie będzie mnie oszukiwał”.

Scarlett w tym czasie nie postępowała już uczciwie, ale im mniej ceniła uczciwość w sobie, tym bardziej szukała jej w innych.

„Wielka szkoda, że Gallegher związany jest z Tomkiem Welburnem przy tej budowie — myślała. — On właśnie jest człowiekiem, jakiego potrzebuję. Jest twardy jak stal i śliski jak węgorz, ale byłby uczciwy, gdyby mu się to opłacało. Ja go rozumiem i on mnie rozumie, moglibyśmy więc doskonale że sobą pracować. Może uda mi się go dostać, jak wykończą hotel, ale do tego czasu będę się musiała zadowolić Hugonem i Johnsonem. Jeżeli Hugon będzie prowadził nowy tartak, a Johnsona zostawię w starym, będę mogła nie wyjeżdżać z miasta i zajmować się wyłącznie sprzedażą, oni zaś będą doglądali tarcia i heblowania desek. Do czasu przyjęcia Galleghera muszę pogodzić się z tym, że Johnson będzie mnie okradał, jeżeli będę dużo czasu spędzała w mieście. Gdybyż on nie był złodziejem! Wydaje mi się, że zbuduję skład desek na połowie placu, który mam po Karolu. Gdybyż tylko Frank nie oburzał się tak bardzo, że na drugiej połowie chcę zbudować bar! Wszystko mi jedno, zbuduję tam szynk, jak tylko będę miała trochę pieniędzy, bez względu na to, co Frank powie. Gdybyż tylko Frank nie był tak delikatny! Och, Boże, gdybym tylko nie musiała mieć dziecka właśnie teraz! Wkrótce stanę się tak ciężka, że nie będę mogła wychodzić. Och, Boże, gdybym ja tylko nie potrzebowała mieć tego dziecka! I, ach, gdyż mnie ci przeklęci Jankesi zostawili teraz w spokoju! Gdyby...”

Gdyby, gdyby, gdyby! Tyle było „gdyby” w życiu, nigdy nie było nic pewnego, nigdy nie miało się spokoju, zawsze trzeba się było obawiać, że straci się wszystko i znowu będzie się cierpiało głód i chłód. Prawda, że Frank zarabiał teraz trochę więcej, ale ciągle przeziębiał się i niedomagał i często przez wiele dni musiał leżeć. A jeżeli stanie się zupełnie niezdolny do pracy! Nie, na Franka nie mogła zbytnio liczyć. Nie mogła liczyć na nic ani na nikogo, tylko na siebie samą. A zarobki jej wydawały się śmiesznie małe. Och, cóż pocznie, jeżeli Jankesi przyjdą i wszystko jej zabiorą? Gdyby, gdyby, gdyby!

Połowa jej miesięcznych wpływów szła do Willa na Tarę, część oddawała Rettowi na poczet pożyczki, a resztę odkładała. Żaden kupiec nie liczył częściej swego złota niż ona i żaden nie obawiał się bardziej od niej, że straci pieniądze. Nie chciała złożyć pieniędzy do banku z obawy, aby bank nie przestał wypłacać lub Jankesi nie skonfiskowali jej wkładów. Nosiła zatem, ile mogła, pieniędzy przy sobie, zaszyte w gorsecie, a małe paczuszki banknotów ukrywała po całym domu, pod ruchomymi cegłami kominka, w worku że skrawkami materiałów, między stronicami Biblii. I wraz z mijaniem tygodni stawała się coraz bardziej wściekła, bo każdy zaoszczędzony dolar znaczył o dolara większą stratę na wypadek nieszczęścia.

Frank, Pitty i służba znosili jej wybuchy złości z zawstydzającą dobrocią, przypisując ten stan podniecenia ciąży, nie domyślając się wcale prawdziwej jego przyczyny. Frank wiedział, że należy ustępować kobietom w poważnym stanie, więc odsunął na bok resztki dumy i nie mówił już więcej o tym, że nie powinna prowadzić tartaków i chodzić po mieście w „takim” stanie, bo damie nie wypada tego robić. Postępowanie jej było dla niego źródłem wielu przykrości, postanowił jednak, że przez jakiś czas będzie je znosił spokojnie. Był przekonany, że po urodzeniu dziecka Scarlett stanie się znowu tą samą łagodną, słodką kobietą, którą pokochał. Mimo jednak wszystkich jego wysiłków, Scarlett nie przestawała mieć ataków złości i czasem wydawało mu się, że postępuje jak opętana.

Nikt jednak nie wiedział co było jej istotnym opętaniem, co pochłaniało wszystkie jej myśli Było to gwałtowne pragnienie uporządkowania swoich spraw, zanim będzie zmuszona zamknąć się w domu, zebrania jak najwięcej pieniędzy na wypadek jakiegoś nieszczęścia, zabezpieczenia się tamą gotówki przed powodzią jankeskiej nienawiści. Pieniądze były obsesją, od której nie mogła się uwolnić. Jeżeli myślała kiedykolwiek o dziecku, to z tłumioną wściekłością, że zjawia się tak bardzo nie w porę.

Śmierć, podatki i rodzenie dzieci! Żadna z tych rzeczy nie przychodzi nigdy w porę!

Atlanta była bardzo zgorszona, kiedy Scarlett, kobieta, zaczęła prowadzić tartak. Z biegiem czasu jednak miasto zrozumiało, że niepodobna przewidzieć tego wszystkiego, co Scarlett jeszcze gotowa zrobić. Jej spryt kupiecki był tym bardziej rażący, że matka jej była panną Robillard z domu, a już zupełnie bezwstydne było to, że nie przestawała wychodzić na ulicę, chociaż wszyscy wiedzieli, że jest w ciąży. Żadna szanująca się biała kobieta i żadna przyzwoita Murzynka nie pokazywały się poza domem już od chwili, gdy miały pewność, że są brzemienne, pani Merriweather oświadczała więc z oburzeniem, iż sądząc po postępowaniu Scarlett można by przypuszczać, że urodzi dziecko na środku ulicy.

Wszystkie jednak uwagi o jej postępowaniu były niczym w porównaniu z plotkami, od których teraz szumiało miasto. Scarlett nie tylko handlowała z Jankesami, ale jeżeli sądzić z pozorów, bardzo stosunki z nimi lubiła.

Pani Merriweather, jak i inni południowcy, także prowadziła interesy z przybyszami z Północy, różnica jednak miedzy nią a Scarlett polegała na tym, że robiła to wbrew woli i wyraźnie to okazywała. Scarlett zaś robiła to z przyjemnością czy też udawała, że sprawia jej to przyjemność, co wychodziło na jedno. Bywała nawet na herbacie u żon jankeskich oficerów! Utrzymywała z nimi prawdziwe stosunki towarzyskie, tyle tylko, że nie zapraszała ich do siebie, chociaż miasto było przekonane, że zrobiłaby to, gdyby nie wzgląd na ciotkę Pitty i Franka!

Scarlett wiedziała, że miasto ją krytykuje, ale nie zwracała na to uwagi, i nie mogła sobie nawet pozwolić na przejmowanie się tą sprawą. Nienawidziła Jankesów tak samo mocno jak w dniu, gdy chcieli spalić Tarę, ale umiała nienawiść tę ukrywać. Wiedziała, że dorabiać się majątku musi z pomocą Jankesów, i przekonała się, że uśmiechy i słówka są najpewniejszym sposobem uzyskania ich zamówień dla tartaku.

Kiedyś w przyszłości, gdy będzie bardzo bogata i pieniądze tak ukryje, że Jankesi nie będą ich mogli znaleźć, powie im dokładnie, co o nich myśli, jak bardzo ich nienawidzi, jaki wstręt do nich czuje, jak nimi gardzi. I z jaką to zrobi przyjemnością! Do tego czasu jednak zdrowy rozsądek nakazywał jej z nimi przestawać. A jeżeli była to hipokryzja, niech Atlanta mówi co chce.

Odkryła, że zawieranie znajomości z jankeskimi oficerami było wyjątkowo łatwe. Byli to samotni wygnańcy we wrogim otoczeniu i wielu z nich tęskniło za kobiecym towarzystwem w mieście, gdzie przyzwoite kobiety przechodząc obok nich obciągały spódnice, aby ich nie dotknąć, i miały takie miny, jak gdyby chciały napluć im w twarz. Tylko prostytutki i Murzynki były dla nich miłe. Scarlett natomiast była najoczywiściej damą, i to damą z dobrego towarzystwa, mimo że pracowała, drżeli więc ze wzruszenia widząc jej uśmiechy i przyjemne ogniki w zielonych oczach.

Często, gdy Scarlett siedziała w swojej bryczce i rozmawiała z nimi pokazując dołeczki, nienawiść do nich ogarniała ją tak mocno, że z trudem powstrzymywała się od głośnych wymyślań. Opanowywała się jednak i przekonywała się, że schlebianie Jankesom jest sprawą równie łatwą jak schlebianie południowcom. Dla niej nie była to jednak zabawa, lecz przykra konieczność. Odgrywała przed Jankesami rolę eleganckiej, łagodnej damy południowej w ciężkim położeniu. Z dystyngowaną rezerwą umiała trzymać swoje ofiary w odpowiedniej od siebie odległości, zachowanie jej jednak było tak przyjemne, że jankescy oficerowie zawsze ciepło wspominali panią Kennedy. Sympatia ich okazała się bardzo korzystna — jak Scarlett zresztą przewidywała. Wielu oficerów z garnizonu nie wiedząc, jak długo przyjdzie im zostać w Atlancie, sprowadziło do miasta żony i rodziny. Ponieważ hotele i pensjonaty były przepełnione, zaczęli stawiać sobie małe domki i bardzo byli radzi, że mogą budulec kupować u miłej pani Kennedy, która traktowała ich grzeczniej od kogokolwiek w mieście. Carpetbaggerzy i Scallawagowie, którzy za świeżo zarobione pieniądze budowali piękne domy, sklepy i hotele, także uważali, że przyjemniej jest mieć do czynienia ze Scarlett niż z eks-żołnierzami Konfederacji, niezwykle uprzejmymi, ale uprzejmością bardziej lodowatą od wyraźnej nienawiści.

Tak więc, ponieważ Scarlett była ładna i czarująca i umiała robić czasem bezradne i nieszczęśliwe minki, Jankesi chętnie popierali jej tartak i sklep Franka czując, że tej dzielnej młodej kobiecie, która ma niezaradnego męża, należy się poparcie. A Scarlett, przyglądając się rozkwitowi swego przedsiębiorstwa, wiedziała, że zabezpiecza sobie nie tylko teraźniejszość pieniędzmi Jankesów, ale i przyszłość — ich przyjaźnią.

Utrzymywanie stosunków z jankeskimi oficerami na tej płaszczyźnie, jaką sobie obrała, było dość łatwe, bo wszyscy okazywali paniom z Południa nabożny szacunek — Scarlett jednak przekonała się, że żony ich przedstawiały trudniejszy problem. Kontaktu z Jankeskami nie życzyła sobie wcale. Chciała go nawet unikać, ale nie mogła, ponieważ żony oficerów postanowiły ją poznać. Były niezmiernie ciekawe Południa i jego kobiet, Scarlett zaś dawała im pierwszą sposobność zaspokojenia tej ciekawości. Inne panie w Atlancie nie chciały mieć z nimi nic wspólnego i nawet nie kłaniały się im w kościele, kiedy więc interesy sprowadziły Scarlett do ich domów, wydawała im się zesłanką z nieba. Często, gdy Scarlett siedziała w bryczce przed domem jakiegoś Jankesa i rozmawiała z panem domu o deskach i klepkach, żona wychodziła z mieszkania i wtrącała się do rozmowy albo bardzo uprzejmie zapraszała na filiżankę herbaty. Scarlett rzadko odmawiała, choć nie bardzo te zaproszenia lubiła, zawsze jednak miała nadzieję, że podda paniom taktownie myśl, aby kupowały w sklepie Franka. Podczas wizyt tych musiała jednak nad sobą panować, bo Jankeski zadawały jej bardzo niedyskretne pytania i okazywały trochę pogardliwy i krytyczny stosunek do wszystkiego, co południowe. Przyjmując „Chatę Wuja Toma” za objawienie, równe jedynie Biblii, panie jankeskie chciały wiedzieć, co się stało ze sforami psów gończych, które południowcy trzymali na plantacjach celem ścigania zbiegłych niewolników. Nic chciały jej wierzyć, kiedy odrzekła, że widziała w swoim życiu tylko jednego ogara i że był to mały łagodny piesek, a nie rozjuszony zwierz. Chciały, aby im opowiadała o strasznych żelazach, którymi plantatorzy wypalali znamiona na twarzach swoich niewolników, i o nahajkach, którymi batożyli ich na śmierć, zdradzały też bardzo, zdaniem Scarlett, nieprzyzwoite i brzydkie zainteresowanie życiem erotycznym Murzynów. Było to dla niej tym bardziej żenujące, że ilość dzieci mulackich w Atlancie, od czasu gdy w mieście stali żołnierze jankescy, wzrosła niepomiernie.

Każda inna pani z Atlanty umarłaby z wściekłości, że musi słuchać bzdur świadczących o bezdennej ignorancji, Scarlett jednak panowała nad sobą. Pomagał jej w tym fakt, że Jankeski budziły w niej więcej pogardy niż oburzenia. Ostatecznie były tylko Jankeskami, nic więc innego nie można się było po nich spodziewać Bezmyślne uwagi o Georgii, o jej ludności i zwyczajach puszczała mimo uszu, i nigdy nie przejmowała się nimi głębiej do czasu, gdy zdarzył się wypadek, który ją rozwścieczył i wykazał jej bardzo dobitnie, jak głęboka i zupełnie niemożliwa do usunięcia była przepaść między Północą a Południem.

Pewnego popołudnia, jadąc do domu z wujem Piotrem minęła dom zamieszkany czasowo przez rodziny trzech oficerów, którzy stawiali sobie domy z budulca u niej kupionego. Trzy Jankeski stały przed domem i skinęły, aby się zatrzymała. Podchodząc do brzegu chodnika zagadały do niej takim akcentem, że Scarlett po raz nie wiadomo który pomyślała, iż Jankesom wszystko prawie można wybaczyć poza ich wymową.

— Pani jest właśnie osobą, która może mi pomóc, pani Kennedy — zaczęła wysoka, chuda kobieta ze stanu Maine. — Chciałabym zasięgnąć informacji dotyczących tego zapowietrzonego miasta.

Scarlett przełknęła obelgę pod adresem Atlanty z pogardą, na jaką zasługiwała, i uśmiechnęła się w najlepsze.

— Cóż mam pani powiedzieć?

— Niania moja, Brygida, wróciła na Północ. Oświadczyła mi, że nie chce być ani dnia dłużej między Murzynami. A dzieci po prostu przyprawiają mnie o bzika! Niech mi pani z łaski swojej powie, jak zabrać się do szukania nowej niani. Nie wiem, do kogo się zwrócić.

— To nie powinno być trudne — rzekła Scarlett i roześmiała się. — Jeżeli znajdzie pani Murzynkę ze wsi, której nie zdążyło zepsuć Biuro Wyzwoleńców, będzie pani miała najlepszą służącą pod słońcem. Niech pani po prostu postoi tutaj przed bramą i pyta się każdej przechodzącej Murzynki...

Trzy panie zaczęły wydawać okrzyki oburzenia.

— Czy przypuszcza pani, że powierzyłabym dzieci ciemnej Murzynce? — wykrzyknęła ta z Maine. — Chciałabym jakąś przyzwoitą irlandzką dziewczynę.

— Obawiam się, że nie znajdzie pani służących Irlandek w Atlancie! — odrzekła Scarlett bardzo chłodno. — Jeżeli o mnie chodzi, to nigdy w życiu nie widziałam białej służącej i nie trzymałabym takiej w moim domu. Poza tym zaś — trudno jej było opanować sarkazm w głosie — zapewniam panią, że Murzyni nie są ludożercami i że są bardzo godni zaufania.

— Na Boga żywego! Nie wpuściłabym Murzyna do domu! Co za pomysł!

— Nie miałabym do nich najmniejszego zaufania, jeżeli zaś chodzi o powierzenie im moich dzieci...

Scarlett pomyślała o dobrych, sękatych dłoniach Mammy, zdartych w służbie Ellen, jej i Wade'a. Cóż wiedziały te obce kobiety o dłoniach Murzynek, o tym, jak były poczciwe i kojące, jak doskonale umiały pocieszać, głaskać, pieścić? Roześmiała się krótko.

— Dziwne, że panie tak myślą, skoro to wy właśnie daliście im wolność.

— O Boże! Przecież nie ja, droga pani — roześmiała się kobieta z Maine. — Nigdy nie widziałam Murzyna do chwili, gdy miesiąc temu przyjechałam na Południe, i doskonale się bez tego widoku mogę obejść. Napawają mnie wstrętem. Nigdy bym nie zaufała żadnemu z nich...

Scarlett zauważyła, że wuj Piotr od kilku chwil oddycha z trudem i że prostuje się coraz bardziej, patrząc bez przerwy na uszy konia. Baczniejszą uwagę zwróciła na niego wtedy dopiero, gdy kobieta z Maine nagle przerwała i pokazała go swoim towarzyszkom.

— Patrzcie, jak się ten stary czarnuch nadął — zachichotała. — Założę się, że to stary pani faworyt, co? Wy, południowcy, nie wiecie, jak traktować Murzynów. Psujecie ich tylko.

Piotr głośno przełknął ślinę i na pomarszczone czoło wystąpiły mu jeszcze głębsze zmarszczki, ale głowy nie odwrócił. Nigdy w całym swoim życiu nie słyszał w zastosowaniu do siebie słowa „czarnuch” z ust białego człowieka. Z ust innych Murzynów — tak. Z ust białego człowieka — nigdy. I żeby mówić o nim, że jest niegodny zaufania i że jest starym faworytem, on, Piotr, który przez długie lata był podporą całej rodziny Hamiltonów!

Scarlett bardziej czuła, niż widziała, że czarny podbródek Piotra trzęsie się z oburzenia i ogarnęła ją ślepa pasja. Z zimną wzgardą słuchała, gdy Jankeski obniżały wartość armii konfederackiej, rzucały kalumnie na Jeffa Davisa i oskarżały południowców o mordy i torturowanie niewolników. Gdyby miała z tego korzyść, zniosłaby zniewagi na temat swojej cnoty czy uczciwości. Ale świadomość, że obce kobiety obraziły swoimi głupimi uwagami wiernego Murzyna rozpaliła ją jak lont przytknięty do baryłki prochu. Przez chwilę popatrzyła na wielki pistolet przytroczony do pasa Piotra i zaświerzbiała ją ręka. Zasługiwałyby na to, by je zabić, te bezczelne, ciemne, aroganckie żony zwycięzców. Zagryzła jednak z całych sił wargi i przypomniała sobie, że jeszcze nie nadszedł czas, aby powiedzieć Jankesom, co o nich myśli. Kiedyś, w przyszłości, owszem. O tak, na Boga! Ale jeszcze nie teraz.

— Wuj Piotr jest członkiem naszej rodziny! — powiedziała drżącym głosem. — Do widzenia. Ruszaj, Piotrze!

Piotr zdzielił konia batem tak niespodzianie, że przerażone zwierzę podskoczyło. W chwili gdy bryczka szarpnęła się naprzód, Scarlett usłyszała, jak kobieta z Maine mówi że zdziwieniem w głosie: — Do jej rodziny? Czy przypuszczacie, że jest jej krewnym? Przecież on jest strasznie czarny...

,,A niechże je licho! Jankesów powinno by się zmieść z powierzchni ziemi. Jak tylko będę miała dość pieniędzy, napluję im wszystkim w twarz! Tak...”

Spojrzała na Piotra i zobaczyła, że łza spływa po jego policzku. W jednej chwili fala czułości i żalu, że tak upokorzono starca, napędziła jej łzy do oczu. Czuła się tak, jak gdyby w jej obecności ktoś zachował się brutalnie w stosunku do dziecka. Kobiety te zadały ból Piotrowi — Piotrowi, który przebył kampanię meksykańską ze starym pułkownikiem Hamiltonem, Piotrowi, na którego rękach umarł jego pan; który wychował Melę i Karola i opiekował się niezaradną, głupią Pittypat, bronił jej w czasie ucieczki i kupił konia, aby po kapitulacji przewieźć ją przez zniszczony kraj z Macon do Atlanty. A one twierdziły, że nie zaufałyby Murzynowi!

— Piotrze — powiedziała zdławionym głosem kładąc mu dłoń na ramieniu. — Wstyd mi za ciebie, że płaczesz. Dlaczego się tym przejmujesz? To przecież tylko wstrętne, podłe Jankeski!

— Mówiły o mnie, jak gdybym był mułem i nie mógł ich zrozumieć, jakbym był z Afryki i nie rozumiał ludzkiej mowy — rzekł Piotr, mocno pociągając nosem. — I nazwały mnie ,,czarnuchem”, a jeszcze żaden biały człowiek tak mnie nie nazwał, i powiedziały, że jestem starym faworytem i że Murzynom nie można ufać! Mnie nie można ufać! A stary pułkownik, jak umierał, powiedział do mnie: „Słuchaj, Piotrze! Ty się opiekuj moimi dziećmi. Pilnuj panienki Pittypat, bo ona nie ma więcej rozumu niż motyl”. I ja się nią dobrze opiekowałem przez te wszystkie lata...

— Sam anioł Gabriel nie opiekowałby się lepiej — rzekła Scarlett pojednawczo. — Nikt z nas nie mógłby się obejść bez ciebie.

— Tak, proszę pani, dziękuję pani ślicznie. Ja to wiem i pani to wie, tylko ci Jankesi nie chcą nic o tym wiedzieć. Po co się oni wtrącają do naszych spraw, panienko? Nie rozumieją wcale nas, konfederatów.

Scarlett nic nie powiedziała, bo jeszcze palił ją gniew, którego nie chciała okazać trzem Jankeskom. Jechali dalej w milczeniu. Piotr przestał płakać, ale dolna warga zaczęła mu się wysuwać niepokojąco. Wzbierało w nim teraz oburzenie, gdy początkowa przykrość zaczęła ustępować.

Scarlett myślała: ,,Jacyż przeklęcie dziwni ludzie z tych Jankesów! Te kobiety chyba rzeczywiście sądziły, że ponieważ wuj Piotr jest czarny, nie ma słuchu ani uczuć równie wrażliwych jak ich uczucia. Nie wiedzą, że Murzynów należy traktować łagodnie jak dzieci, że trzeba nimi kierować, chwalić ich, rozpieszczać, łajać. Nie rozumieją Murzynów ani stosunku między Murzynami a ich dawnymi panami. A przecież Jankesi stoczyli wojnę za ich wolność. Uwolniwszy ich zaś, nie chcą mieć nic z nimi do czynienia i tylko używają ich jako narzędzie terroru nad Południem. Nie lubią ich, nie mają do nich zaufania, nie rozumieją ich, a jednak stale wołają, że to południowcy nie umieją się z czarnymi obchodzić.

Nie ufać Murzynom! Scarlett ufała im daleko więcej niż większości białych, z pewnością zaś więcej niż Jankesom. Murzyni posiadali tak cenne zalety jak wierność i przywiązanie, których żadne przejścia nie mogły złamać, żadne pieniądze kupić. Pomyślała o garstce wiernych służących, pozostałych w Tarze w obliczu najazdu Jankesów, mimo że mogli uciec czy zaciągnąć się do wojaka i mieć zabezpieczony byt. Zostali jednak. Pomyślała o Dilcey, pracującej wraz z nią na plantacji, o Porku, który narażał życie okradając sąsiedzkie kurniki, aby domownicy mieli co jeść, o Mammy, która przyjechała z nią do Atlanty, aby powstrzymać ją od nierozważnego kroku. Pomyślała o służbie sąsiadów, która lojalnie trzymała się swoich państwa, opiekowała się kobietami, gdy mężczyźni byli na froncie, uciekała z nimi wśród niebezpieczeństw wojennych, pielęgnowała rannych, pocieszała osieroconych, pracowała, żebrała, kradła, byle było co do ust włożyć. I nawet teraz, mimo że Biuro Wyzwoleńców obiecywało im rozmaite cuda, Murzyni ci jeszcze nie opuszczali swoich dawnych chlebodawców i pracowali o wiele ciężej niż dawniej, w czasach niewolnictwa. Jankesi jednak nie rozumieli tych rzeczy i nigdy zapewne nie potrafią ich zrozumieć.

— A przecież dali ci wolność — rzekła na głos.

— Nie, p’sze pani! Nie dali mi wolności. Nie dałbym się wyzwolić przez taką hołotę — rzekł Piotr z oburzeniem. — Ja jeszcze ciągle należę do panny Pitty, a kiedy umrę, ona mnie każe pochować w grobie rodzinnym państwa Hamiltonów, tam gdzie moje miejsce... Moja panienka pogniewa się bardzo, jak jej powiem, że mnie pani pozwoliła tak obrazić.

— Ależ nic podobnego! — wykrzyknęła Scarlett ze zdumieniem.

— A właśnie że tak — rzekł Piotr wysuwając wargę jeszcze bardziej naprzód. — Bo ani pani, ani ja nie potrzebujemy przestawać z Jankesami, żeby mnie obrażali. Gdyby pani z nimi nie mówiła, nie mieliby sposobności traktować mnie jak muła albo dzikusa z Afryki. I pani się za mną wcale nie ujęła.

— Jak Piotr może tak mówić! — rzekła Scarlett, dotknięta wymówkami. — Czy im nie powiedziałam, że Piotr należy do rodziny?

— To nie znaczy, że się pani ujęła. To jest tylko fakt — rzekł Piotr. — Miss Scarlett, pani nie powinna zadawać się z Jankesami. Żadna pani nie zadaje się z nimi. Panna Pitty nawet by deptać me chciała po takiej hołocie. I na pewno nie będzie zadowolona, jak się dowie, co one powiedziały o mnie.

Krytyka Piotra ubodła Scarlett bardziej niż wszystko, co jej mówił Frank, ciotka Pitty czy sąsiedzi i tak ją rozgniewała, że miała ochotę potrząsnąć z całych sił starym Murzynem. To, co Piotr mówił, było prawdą, nieprzyjemnie jednak było ją słyszeć z ust Murzyna, i w dodatku starego sługi rodziny. Złe zdanie własnego służącego było dla południowca największym upokorzeniem.

— Stary faworyt! — mruczał Piotr. — Spodziewam się, że panna Pitty nie pozwoli mi więcej z panią jeździć po tym, co się stało. Nie, p'sze pani!

— Ciotka Pitty każe Piotrowi jeździć że mną jak zwykle — rzekła surowo — więc lepiej nie mówmy o tym wcale.

— Bolą mnie plecy — ostrzegł Piotr posępnie. — Bolą mnie w tej chwili tak bardzo, że ledwie mogę usiedzieć na koźle. Moja panienka nie pozwoli mi powozić, kiedy mam bóle... Miss Scarlett, nic dobrego nie przyjdzie pani z tego, że będzie pani dobrze z Jankesami i z białą hołotą, kiedy swoi nie będą pochwalać pani postępków.

Słowa te tak dokładnie ujęły sedno rzeczy, że Scarlett pogrążyła się znowu we wściekłym milczeniu. Tak, w przeciwieństwie do sąsiadów, zwycięzcy byli dobrego zdania o niej i jej rodzinie. Wiedziała o wszystkim, co mówiono o niej w mieście. A teraz nawet i Piotr tak ją potępiał, że nie chciał się z nią publicznie pokazywać. To przepełniło miarę.

Dotąd nie dbała wcale o opinię i nawet trochę nią gardziła. Słowa Piotra zbudziły w niej jednak głuchy żal, popchnęły do zajęcia stanowiska obronnego, sprawiły, że nagle zaczęła nienawidzić sąsiadów tak, jak nienawidziła Jankesów.

„Dlaczego interesują się tym, co ja robię? — myślała. — Wydaje im się pewnie, że sprawia mi przyjemność przestawanie z Jankesami i praca do zupełnego wyczerpania. Tylko mi utrudniają i tak ciężkie życie. Ale wszystko mi jedno, co sobie myślą. Nie chcę, aby mnie to obchodziło. Nie stać mnie na to, aby się tym teraz przejmować. Ale kiedyś... kiedyś...”

Och, kiedyś! Kiedy w świecie jej znowu zapanuje spokój i bezpieczeństwo, usiądzie sobie spokojnie, założy ręce i będzie wielką damą jak Ellen. Będzie znowu niezaradna i trwożliwa, jak przystało damie, i wtedy wszyscy będą o niej dobrego zdania. Och, jaka będzie dystyngowana, gdy zdobędzie pieniądze! Wtedy będzie ją stać na to, aby być łagodną i miłą, jak Ellen, wtedy będzie się liczyła ze zdaniem ludzi i robiła tylko to, co wypada. Nie będą ją trapiły strachy w dzień i w nocy i życie znowu stanie się spokojne i łatwe. Będzie miała czas na zabawę z dziećmi i na przesłuchiwanie ich z lekcji. Będzie wtedy wiele długich, ciepłych popołudni, kiedy panie będą przychodziły z wizytami i kiedy wśród szelestu taftowych halek i rytmicznych, suchych dźwięków wachlarzy z liści palmowych będzie podawała herbatę, wspaniałe kanapki i ciastka, i plotkowała całymi godzinami. Będzie dobra dla nieszczęśliwych, będzie zanosiła biedakom koszyki jedzenia, chorym zupę i galaretkę i będzie „przewietrzała” w swoim powozie mniej zamożne od siebie znajome. Będzie znowu damą w prawdziwym południowym rozumieniu tego słowa, tak jak była jej matka. Wtedy wszyscy będą ją tak kochali jak niegdyś Ellen, będą sławili jej dobroć i nazywali „dobrą wróżką”.

Przyjemności, jaką jej sprawiały te myśli, nie zaćmiła refleksja, że wcale nie pragnęła być dobra, hojna i litościwa. Zależało jej tylko na opinii, że posiada te zalety. Tkanka jej mózgu była jednak zbyt gruba, zbyt twarda, aby wyczuwać tak subtelne różnice. Wystarczała jej myśl, że gdy będzie miała pieniądze, wszyscy nabiorą o niej dobrego zdania.

Kiedyś, kiedyś! Jeszcze nie teraz. Nie teraz, mimo wszystko, co ludzie zechcą o niej powiedzieć. Teraz nie miała czasu być wielką damą.

Piotr dotrzymał słowa. Ciotka Pitty przejęła się zajściem i zemdlała, a bóle Piotra tak się przez noc wzmogły, że przestał powozić bryczką. Odtąd Scarlett powoziła sama i nagniotki, które zaczęły już znikać z jej dłoni, odnowiły się znowu.

Tak mijały miesiące wiosenne — zimne deszcze kwietnia przemieniły się w ciepłą, balsamiczną majową pogodę. Tygodnie Scarlett pełne były pracy, kłopotów i zmęczenia z powodu zaawansowanej ciąży. Starzy znajomi stawali się coraz chłodniejsi, a rodzina coraz czulsza, coraz uporczywiej troskliwa i coraz bardziej ślepa na to, co ją niepokoi. W tych dniach niepokoju i wysiłku miała koło siebie tylko jednego zaufanego, rozumiejącego ją człowieka, człowiekiem tym zaś był Rett Butler. Dziwne było, że właśnie on taki się dla niej okazał, ponieważ był zmienny jak żywe srebro i dokuczliwy jak szatan z piekła. Okazywał jej jednak współczucie, jakiego dotąd od nikogo w świecie nie zaznała, najmniej zaś oczekiwała od niego.

Często wyjeżdżał z miasta do Nowego Orleanu, na tajemnicze wyprawy, o których celu nigdy jej nie mówił, choć ona domyślała się z pewnego rodzaju zazdrością, że pozostają w związku z kobietą — czy kobietami. Kiedy jednak wuj Piotr przestał jeździć ze Scarlett, Rett opuszczał Atlantę rzadziej i na krócej.

Kiedy był w mieście, spędzał przeważnie czas grając w karty w pokojach nad barem „Pod współczesną dziewczyną” lub w barze Belli Watling, pijąc z bogatszymi Jankesami i Carpetbaggerami i omawiając z nimi interesy — co sprawiło, że ludność miasta zaczęła go bardziej jeszcze nienawidzić niż jego kompanów. Nie odwiedzał teraz Scarlett w domu, szanując prawdopodobnie uczucia Franka i Pitty, którzy byliby, zgorszeni, że mężczyzna ośmiela się zjawiać z wizytami, gdy Scarlett jest w odmiennym stanie. Spotykała go jednak przypadkiem prawie co dzień. Raz po raz podjeżdżał konno do jej bryczki, gdy jeździła do swoich tartaków pustą drogą za Brzoskwiniową, czy szosą do Decatur. Zawsze się zatrzymywał, czasem zaś przywiązywał konia do bryczki i sam woził Scarlett. Męczyła się w tym czasie szybciej, niż przyznawała to sama przed sobą, i czuła dla Retta milczącą wdzięczność, kiedy odbierał jej z rąk lejce. Żegnał się z nią przed powrotem do miasta, ale mimo to cała Atlanta wiedziała o tych spotkaniach, a plotkarze mieli nowe pozycje do wpisywania na długą listę jej wykroczeń przeciw temu, co wypada.

Scarlett zastanawiała się czasem, czy spotkania z Rettem były naprawdę przypadkowe. Stawały się częstsze w miarę mijania tygodni i wzmagania się w mieście niepokoju z powodu murzyńskich wykroczeń. Ale dlaczego starał się ją widywać teraz, gdy wyglądała tak potwornie? Z pewnością nie miał teraz wobec niej żadnych zamiarów, zaczynała nawet wątpić, czy miał je kiedykolwiek. Ani razu od wielu miesięcy nie wspomniał o przykrej scenie w więzieniu. Nigdy nie mówił o Ashleyu i jej miłości do niego ani nie robił niemiłych i brutalnych uwag o tym, że jej pożąda. Uważała, że lepiej jest za wiele nie pytać, nie prosiła go więc o wytłumaczenie przyczyny tych częstych spotkań. W końcu zaś zdecydowała, że ponieważ poza grą w karty Rett miał mało do roboty i dość niewiele miłych znajomych w Atlancie, widywał się z nią wyłącznie dla towarzystwa.

Niezależnie jednak od pobudek Retta, zadowolona była z tych spotkań. Rett słuchał jej narzekań na klientów i złych płatników, na drobne oszustwa Johnsona i niezaradność Hugona Elsinga. Cieszył się jej powodzeniem, podczas gdy Frank zaledwie uśmiechał się pobłażliwie, a Pitty mówiła ze zdumieniem: „O Boże!”. Była pewna, że często poleca ją klientom, bo znał wszystkich bogatych Jankesów i Carpetbaggerów — on jednak nigdy nie chciał się przyznać, że jej pomaga. Znała go na wylot i nie ufała mu zanadto, ale poprawiał jej się nastrój, gdy widziała go wynurzającego się na wielkim czarnym koniu zza zakrętu cienistej drogi. Kiedy wdrapywał się na bryczkę, odbierał jej lejce i rzucał jakąś impertynencką uwagę, czuła się znowu młodą, wesołą i pociągającą — mimo wszystkich swoich kłopotów i zniekształconej figury. Mogła z nim rozmawiać prawie o wszystkim, nie troszcząc się o ukrywanie swoich intencji i prawdziwych poglądów, i nigdy nie brakło jej z nim tematu, jak z Frankiem — a nawet z Ashleyem, jeżeli już miała być ze sobą szczera. W rozmowach z Ashleyem było tak wiele spraw, których nie należało poruszać ze względu na honor, że już to samo wstrzymywało od innych uwag. Bardzo przyjemnie było mieć takiego przyjaciela jak Rett, zwłaszcza że teraz z niewiadomego powodu zaczął się dobrze w stosunku do niej zachowywać. Bardzo było przyjemnie, bo w tych czasach miała niewielu przyjaciół.

— Rett — zaczęła gwałtownie, wkrótce po ultimatum wuja Piotra — dlaczego ludzie w tym mieście traktują mnie tak podle i tak mnie obgadują? Nie wiadomo, kogo obgadują więcej, mnie czy Carpetbaggerów! Pilnuję tylko swoich własnych spraw i nic złego nikomu nie zrobiłam, a...

— Jeśliś nic złego nie zrobiła, to tylko dlatego, że nie miałaś sposobności i może ludzie zdają sobie właśnie z tego sprawę.

— Och, bądźże poważny! Tak mnie to gniewa. Staram się jedynie zarobić trochę pieniędzy i...

— Ale różnisz się od innych kobiet i pracujesz z powodzeniem. Jak ci już nieraz mówiłem, jest to niewybaczalny grzech w każdym społeczeństwie. Bądź różny, a jesteś potępiony! Scarlett, sam fakt, że prowadzisz tartak z powodzeniem, jest obelgą dla każdego mężczyzny, któremu źle się powodzi. Nie zapominaj, że miejsce dobrze wychowanej pani jest w domu i że nie powinna nic wiedzieć o tym twardym, brutalnym świecie.

— Ale gdybym siedziała w domu, nie miałabym już może w tej chwili domu!

— Wniosek z tego taki, że powinnaś była dostojnie i z dumą przymierać głodem.

— Och, zawracanie głowy! Popatrz jednak na panią Merriweather. Sprzedaje Jankesom ciasta, co jest gorszym zajęciem niż prowadzenie tartaku, pani Elsing zaś szyje i prowadzi pensjonat, a Fanny maluje okropną porcelanę, której nikt nie potrzebuje, ale którą kupują, aby jej pomóc...

— Kiedy to nie o to chodzi, moja jedyna. Tym damom nie powodzi się dobrze, więc nie ranią gorącej południowej dumy swoich mężczyzn. Mężczyźni mogą o nich mówić: „Biedne głuptaski, starają się, jak mogą! Niech się im wydaje, że pomagają rzeczywiście!” Poza tym zaś, panie, które wymieniłaś, są bardzo niezadowolone, że muszą pracować. Nie kryją się wcale z tym, że będą to robiły poty, póki nie nadarzy im się jakiś mężczyzna, który je wyzwoli od tych niekobiecych zadań. Wszyscy zatem litują się nad nimi. Ty jednak najwyraźniej lubisz pracować i nie dopuścisz żadnego mężczyzny do prowadzenia twoich interesów za ciebie, nikt więc nie może się litować nad tobą. Atlanta nie zapomni ci tego nigdy. Bardzo przyjemnie jest móc ludziom współczuć.

— Wolałabym, abyś czasem bywał poważny.

— Czy słyszałaś kiedy wschodnie przysłowie: „Psy szczekają, karawana idzie dalej”? Pozwól im szczekać, Scarlett. Zdaje mi się, że twojej karawany nic nie zatrzyma.

— Co im to jednak szkodzi, że trochę sobie zarabiam?

— Nie można mieć wszystkiego w życiu, Scarlett. Możesz albo zarabiać w swój obecny, nieodpowiedni sposób i spotykać się wszędzie z zimnymi spojrzeniami, albo być biedna, wytworna i otoczona przyjaciółmi. Ty dokonałaś już wyboru.

— Nie chcę być biedna — powiedziała pośpiesznie. — Ale... czy sądzisz, że wybrałam właściwie?

— Tak, jeżeli zależy ci na pieniądzach.

— Tak, pragnę pieniędzy bardziej niż czegokolwiek w świecie.

— Wobec tego dokonałaś jedynego wyboru. Za to płaci się jednak drogo, jak za wszystkie rzeczy, których się bardzo pragnie, Ceną jest — osamotnienie.

Umilkli na chwilę. Było to prawdą. Była rzeczywiście trochę samotna, brakło jej kobiecego towarzystwa. Podczas wojny, gdy bywała w złym nastroju, jeździła z wizytami do Ellen. Po śmierci Ellen była przy niej Melania, choć z Melanią nic jej nie łączyło prócz ciężkiej pracy w Tarze. Teraz nie było nikogo, bo ciotka Pitty poza ciasnym kręgiem swoich plotek nic nie wiedziała o życiu.

— Myślę, myślę — zaczęła z wahaniem — że zawsze byłam samotna, jeżeli chodzi o towarzystwo kobiet. Nie tylko z powodu mojej pracy nie lubią mnie kobiety w Atlancie. Nie lubiłyby mnie i tak. Żadna kobieta nigdy mnie nie lubiła, z wyjątkiem matki. Nawet moje siostry. Nie wiem dlaczego, ale nawet przed wojną, zanim wyszłam za Karolka, panie kręciły nosem na wszystko, co robiłam...

— Zapominasz o pani Wilkes — rzekł Rett i oczy jego zaświeciły złośliwie. — Ona zawsze gotowa była kruszyć o ciebie kopie. Śmiem twierdzić, że wybaczyłaby ci wszystko, wyjąwszy może morderstwo.

Scarlett pomyślała ponuro: „Nawet i to wybaczyła” i roześmiała się wzgardliwie.

— Och, Mela! — zawołała, a potem z żalem: — To z pewnością nie przynosi mi zaszczytu, że Mela jest jedyną kobietą, która mnie lubi, bo ona ma nie więcej rozumu niż kura. Gdyby miała... — Przerwała z zakłopotaniem.

— Gdyby miała rozum, spostrzegłaby pewne rzeczy i nie mogłaby ich może tak łatwo wybaczyć — skończył za nią Rett. — Oczywiście, ty wiesz o tym więcej niż ja.

— Och, niech licho porwie twoją dobrą pamięć i złe maniery!

— Pominę milczeniem ten niesprawiedliwy przytyk i wrócę do naszego poprzedniego tematu. Musisz się z tym pogodzić, Scarlett. Jeżeli jesteś inna, jesteś odosobniona nie tylko od swoich rówieśników, ale i od ludzi z pokolenia twoich rodziców, a także od pokolenia twoich dzieci. Nigdy cię nie zrozumieją i będą się zawsze gorszyli, cokolwiek byś zrobiła. Dziadkowie twoi jednak byliby z ciebie dumni i mówiliby: „Oto nieodrodna nasza krew”, wnukowie zaś twoi westchną z zazdrością i powiedzą: „Jakiż to numerek musiał być z tej babci”, i będą starali się być podobni do ciebie.

Scarlett roześmiała się ubawiona.

— Czasem mówisz jak z nut! Weźmy dla przykładu moją babcię Robillard. Mammy miała zwyczaj straszyć mnie nią, gdy byłam niegrzeczna. Babcia była zimna jak sopel lodu i bardzo dbała o maniery swoje i innych, ale miała trzech mężów, mężczyźni stoczyli o nią niezliczoną ilość pojedynków, malowała się, nosiła bezwstydnie wydekoltowane suknie no... i... niezbyt wiele pod nimi...

— A ty bardzo ją podziwiałaś, mimo że gwałtownie starałaś się upodobnić do swojej matki. Ja ze strony ojca miałem dziadka, który był piratem.

— Naprawdę? Krwawym piratem?

— Zdaje mi się, że strącał ludzi do morza, jeżeli w ten sposób można było zdobyć pieniądze. W każdym razie zarobił tyle, że ojciec mój został bogatym człowiekiem. Rodzina jednak wspominała go zawsze bardzo ostrożnie jako „kapitana okrętu”. Został zabity w bójce w szynku dawno przed moim urodzeniem. Śmierć jego stała się oczywiście wielką ulgą dla jego dzieci, bo stary pan bywał przeważnie pijany, a kiedy sobie podpił, zapominał czasem, że jest byłym kapitanem okrętu, i snuł wspomnienia, od których dzieciom włosy stawały dęba. Ja mimo to podziwiałem go i starałem się go naśladować więcej niż ojca, bo ojciec mój jest wytwornym dżentelmenem o szacownych zwyczajach i nabożnych zasadach — widzisz więc, jak to się dzieje na świecie. Pewien jestem, że twoje dzieci, Scarlett, nie będą bardziej dla ciebie wyrozumiałe niż pani Merriweather, pani Elsing i im podobne. Dzieci twoje będą prawdopodobnie łagodnymi, potulnymi istotami, jak zwykle dzieci osób o twardych charakterach. Tym bardziej, że ty wzorem innych matek postanowiłaś zapewne, że nie powinny zaznać nigdy takich niepowodzeń, przez jakie ty przeszłaś. I to właśnie jest złe. Niepowodzenia tworzą ludzi albo ich łamią. Będziesz więc musiała poczekać na uznanie swoich wnuków.

— Ciekawam, jakie będą nasze wnuki!

— Czy przez „nasze” chcesz powiedzieć, że będziemy mieli wspólne wnuki? Pfe, pani Kennedy!

Scarlett zaczerwieniła się po uszy z powodu swego przemówienia się. Zawstydziła się nie tylko z powodu żartobliwych słów Retta, ale i dlatego, że nagle uświadomiła sobie swój stan. Żadne z nich nie wspomniało o tym ani słowem. Scarlett, kiedy była w towarzystwie Retta, podsuwała pled wysoko pod pachy nawet w upalne dni, pocieszając się w zwykły kobiecy sposób, że gdy tak jest okryta, nic nie widać, teraz więc ogarnęła ją złość, że jest w ciąży, i wstyd, że Rett o tym wie.

— Zejdź z tej bryczki, ty obrzydliwcze — powiedziała drżącym głosem.

— Nie mam najmniejszego zamiaru — odrzekł spokojnie. — Ściemni się, zanim dojedziesz do domu, a tu w pobliżu jest nowa kolonia Murzynów, zamieszkałych w namiotach i barakach nad najbliższym strumykiem, złych Murzynów, jak mi mówiono. Nie widzę potrzeby, abyś dawała zapalczywym członkom Ku-Klux-Klanu powód do wkładania nocnych koszul i udawania się dziś w nocy na wyprawę.

— Zejdź w tej chwili! — zawołała ciągnąc za lejce, lecz w tej samej chwili ogarnęły ją mdłości. Rett wstrzymał szybko konia, podał jej dwie czyste chusteczki i dość zręcznie przechylił jej głowę nad bryczką. Promienie południowego słońca, padające skośnie przez świeżą zieleń drzew, na chwilę oślepiły ją aż do bólu plamami złota i zieleni. Kiedy atak mdłości minął, zakryła twarz rękoma i zaczęła płakać z upokorzenia. Nie tylko wymiotowała w obecności mężczyzny — co było najgorszą rzeczą, jaka może spotkać kobietę — ale tym samym odkryła nieprzyjemną prawdę o swoim stanie. Czuła, że nigdy w życiu nie będzie miała odwagi spojrzeć Rettowi w twarz. Że też musiało się to zdarzyć właśnie w obecności Retta, który nie miał żadnego szacunku dla kobiet! Płakała oczekując jakiejś brutalnej i ironicznej uwagi, której nie mogłaby mu nigdy zapomnieć.

— Nie bądź głupia — powiedział spokojnie. — A jesteś głupia, bo płaczesz ze wstydu. Słuchaj, Scarlett, nie bądź dzieckiem. Nie wątpisz chyba, że od dawna wiem o twojej ciąży.

Powiedziała „och” zdumionym głosem i mocniej przycisnęła palce do purpurowej twarzy. Samo to słowo już ją przeraziło. Frank o ciąży jej zawsze mówił z zakłopotaniem ,,twój stan”, Gerald był na tyle delikatny, że nazywał ciążę ,,błogosławionym stanem”, panie zaś między sobą mówiły elegancko, że któraś z nich jest „przy nadziei”.

— Jesteś dzieckiem, jeżeli wydawało ci się, że o tym nie wiem, chociaż się piekłaś pod tym grubym pledem. Wiem o tym od dawna. Po cóż bym inaczej ciągle ci...

Przerwał nagle. Zapadło milczenie. Podniósł lejce i cmoknął na konia. Mówił dalej ze spokojem i w miarę jak głos jego łagodnie dzwonił w jej uszach, rumieńce zaczęły znikać z jej pochylonej twarzy.

— Nie przypuszczałem, że się tak zawstydzisz, Scarlett. Wydawało mi się, że jesteś rozsądną osobą, i trochę się rozczarowałem. Czy to możliwe, aby tyle skromności kryło się w twojej piersi? Obawiam się, że nie zachowałem się jak dżentelmen wspominając tę sprawę. Wiem zresztą, że nie jestem dżentelmenem, bo nie odczuwam żadnego zakłopotania na widok kobiet w ciąży. Potrafię traktować je jak normalne istoty i widząc je nie patrzeć w ziemię, w niebo czy w przestrzeń, a potem rzucać za nimi te ukradkowe spojrzenia, które zawsze uważałem za szczyt nieprzyzwoitości. Dlaczego miałbym to robić? Stan ten jest najzupełniej normalny. Europejczycy są daleko rozsądniejsi od nas pod tym względem. Winszują przyszłym matkom. Chociaż osobiście nie posunąłbym się aż tak daleko, uważam, że to rozsądniejsze od naszego udawania, że się tego nie widzi. Jest to stan normalny i kobiety powinny być z niego dumne, zamiast kryć się za zamkniętymi drzwiami jak po popełnieniu zbrodni.

— Dumne! —zawołała zdławionym głosem. — Dumne, pfe!

— Czy nie jesteś dumna z tego, że będziesz miała dziecko?

— Ach, na Boga, nie! Ja... ja... nie cierpię dzieci!

— Chcesz powiedzieć, dzieci Franka?

— Nie, nie, dzieci czyichkolwiek.

Na chwilę zrobiło jej się znowu słabo z powodu tego wyznania, głos Retta brzmiał jednak tak naturalnie, jak gdyby wcale tego nie zauważył.

— A zatem różnimy się bardzo. Ja lubię dzieci.

— Lubisz dzieci? — wykrzyknęła patrząc na niego z takim zdumieniem, że zapomniała o swoim zakłopotaniu. — Jak możesz tak kłamać!

— Lubię niemowlęta i małe dzieci, dopóki nie urosną, nie nabiorą dorosłego sposobu myślenia i dorosłego zamiłowania do kłamstwa, oszukiwania i podłości. To nie powinno cię wcale dziwić. Wiesz, że bardzo lubię Wade'a, mimo że jest niezupełnie taki, jaki powinien być.

To było prawdą, pomyślała Scarlett, nagle zdziwiona. Rett bardzo lubił bawić się z Wadem i często przynosił mu podarki.

— Teraz, kiedy ten straszny temat został wreszcie poruszony i przyznałaś się, że spodziewasz się dziecka w niedalekiej przyszłości, powiem ci coś, co chciałem ci powiedzieć od dawna — dwie rzeczy. Pierwsza, że niebezpieczne jest, abyś jeździła sama. Wiesz o tym zresztą. Mówiono ci to wiele razy. Jeżeli nawet nie boisz się, że ciebie skrzywdzą, mogłabyś się może zastanowić nad skutkami napaści na ciebie. Upór twój może wywołać taką sytuację, że twoi rycerscy współziomkowie będą cię musieli pomścić i zamordują kilku czarnych. To z kolei napędzi na nich Jankesów i ktoś prawdopodobnie zostanie powieszony Czy nie przyszło ci nigdy na myśl, iż jednym z powodów niechęci kobiet do ciebie może być to, że postępowanie twoje narazi na stryczek synów ich lub mężów? A jeżeli Ku-Klux-Klan nie przestanie się interesować Murzynami, Jankesi zaczną tak uciskać Atlantę, że rządy Shermana wydadzą się sielanką. Wiem, o czym mówię, bo dobrze żyję z Jankesami. Wstyd powiedzieć, ale uważają mnie za zaufanego i rozmawiają szczerze w mojej obecności. Mają zamiar zniszczyć Ku-Klux-Klan, choćby to pociągnęło za sobą ponowne spalenie całego miasta i wywieszenie wszystkich mężczyzn powyżej lat dziesięciu. To zaś i ciebie dotknie, Scarlett. Narazi cię na straty materialne. I trudno przewidzieć, jak daleko rozszerzy się pożar raz wywołany. Konfiskaty majątków, wyższe podatki, grzywny na podejrzane kobiety. Ku-Klux...

— Czy znasz któregoś z członków Klanu? Czy Tomasz Wellburn, Hugon lub...

Wzruszył ramionami zniecierpliwiony.

— Skądże mam to wiedzieć? Jestem przecież renegatem, zdrajcą, Scallawagiem. Czy mnie powiedziano by o tym? Wiem jednak, kogo Jankesi podejrzewają, i wiem, że za pierwszym swoim nieostrożnym posunięciem ludzie ci będą zgubieni. Wiem dobrze, że nie miałabyś zmartwienia, gdyby sąsiedzi twoi z twojej winy znaleźli się na szubienicy, ale wydaje mi się, że nie chciałabyś stracić tartaków. Poznaję po wyrazie zaciętości na twojej twarzy, że mi nie wierzysz i że słowa moje padają w próżnię. Jedyne więc, co mogę ci jeszcze poradzić, to abyś miała w pogotowiu pistolet, a kiedy ja będę w mieście, będę się starał być pod ręką, aby cię wozić.

— Rett, czy ty naprawdę... czy to aby mnie bronić...?

— Tak, moja droga, przysłowiowa moja rycerskość nakazuje mi ciebie bronić. — Drwiące ogniki ukazały się znowu w jego oczach, a powaga uleciała z twarzy. — A dlaczego? Z powodu mojej głębokiej miłości dla pani, pani Kennedy. Tak, tęskniłem w milczeniu i usychałem, i wielbiłem panią z daleka, ale będąc człowiekiem honoru jak szlachetny Ashley Wilkes, ukrywałem to przed panią. Jesteś, niestety, żoną Franka i honor nie pozwalał wyznać ci mojego uczucia. Podobnie jednak jak honor pana Wilkesa czasem zawodzi, tak i mój teraz nie wytrzymał próby i oto wyznaję ci swoją skrytą namiętność i swoją...

— Och, na miłość boską, uspokój się wreszcie! — przerwała Scarlett, zła jak zwykle, gdy pytaniem naraziła się na jego drwiny. Nie chciała też, aby osoba Ashleya stała się znowu tematem rozmowy. — Jaka jest ta druga rzecz, którą mi chciałeś powiedzieć?

— Co takiego? Zmieniasz temat, kiedy obnażam przed tobą kochające a rozdarte serce? A więc druga sprawa jest następująca. — Drwiące błyski znikły z jego oczu i twarz stała się znowu spokojna i posępna.

— Chcę, abyś zrobiła coś z tym koniem. Jest uparty, a pysk ma twardy jak żelazo. Kierowanie nim musi cię bardzo męczyć, prawda? Gdyby zaczął wierzgać, nie mogłabyś go z pewnością powstrzymać. A gdyby wywrócił bryczkę do rowu, zabiłby ciebie i twoje dziecko. Powinnaś mu założyć mocniejsze wędzidło, najlepiej zaś pozwól, bym go zamienił na łagodniejszego, o delikatniejszym pysku.

Spojrzała na jego nieprzeniknioną, gładką twarz i nagle irytacja jej minęła, podobnie jak zakłopotanie po rozmowie o jej ciąży. Był bardzo poczciwy, że uspokoił ją kilka minut temu, gdy chciała się pod ziemię zapaść ze wstydu. Teraz zaś był jeszcze milszy i poczciwszy. Poczuła nagły napływ wdzięczności i zaczęła się dziwić, dlaczego Rett nie zawsze jest taki.

— Koń jest rzeczywiście trudny — zgodziła się łagodnie. — Czasem od szarpania bolą mnie przez całą noc ramiona. Zrób z nim, co uważasz za wskazane.

Oczy Retta błysnęły złośliwie.

— To brzmi bardzo słodko i bardzo kobieco, pani Kennedy. Bez śladu twego zwykłego despotycznego stylu. Zdaje mi się, że odpowiednie postępowanie przemieniłoby cię w istotę potulną jak baranek.

Nachmurzyła się i stała się zła.

— Zejdź w tej chwili z bryczki, bo cię zdzielę batem. Nie wiem, dlaczego się z tobą spotykam, dlaczego jestem dla ciebie miła. Jesteś zupełnie bez wychowania. Nie masz moralności. Jesteś zwyczajnym... Mniejsza z tym, zejdź stąd. Mówię poważnie.

Kiedy jednak zsiadł, odwiązał konia od bryczki i uśmiechając się do niej stał na cienistej drodze, nie mogła się powstrzymać i odjeżdżając uśmiechnęła się do niego także.

Tak, Rett był brutalny, był nierówny, nie można było na nim polegać i trudno było przewidzieć, kiedy tępa broń, którą mu się w niebacznej chwili dało do rąk, zmieni się w ostry sieczny miecz. Ale, trzeba to przyznać — był równie podniecający jak wypita ukradkiem szklanka koniaku!

Podczas owych miesięcy Scarlett nauczyła się pić. Kiedy po południu wracała do domu przemęczona, zbolała i połamana od długich godzin jazdy bryczką, podtrzymywała ją tylko myśl o butelce zamkniętej w szufladzie jej biurka i ukrytej przed podejrzliwym okiem Mammy. Doktor Meade zapomniał ją przestrzec, że kobieta w jej stanie nie powinna pić, bo nie przyszło mu na myśl, że przyzwoita dama może pijać rzeczy mocniejsze od wina owocowego, z wyjątkiem szklanki szampana na weselu lub gorącej nalewki podczas przeziębienia. Pewnie, że zdarzały się nieszczęśliwe niewiasty, które piły ku wiecznemu wstydowi swoich rodzin, podobnie jak spotykało się kobiety nienormalne, rozwiedzione czy takie, które wraz z Zuzanną Anthony uważały, że kobiety powinny głosować.

Ale doktor, chociaż bardzo krytycznie odnosił się do Scarlett, nie podejrzewał jej nigdy, że pije.

Scarlett odkryła jednak, że łyk czystego koniaku przed kolacją przynosi jej niesłychaną ulgę, tym bardziej że mogła żuć potem kawę lub płukać usta wodą kolońską, aby zatrzeć zapach alkoholu. Dlaczego ludzie mieli takie głupie poglądy na pijące kobiety, skoro mężczyznom wolno pić, ile wlezie, i upijać się do nieprzytomności? Czasem, kiedy Frank leżał chrapiąc koło niej, a ona nie mogła zasnąć, tylko przewracała się po posłaniu rozdzierana obawą nędzy, strachem przed Jankesami, tęsknotą za Tarą i za Ashleyem, zdawało jej się, że zwariuje, i tylko koniak ją ratował. A kiedy przyjemne, znajome ciepło zaczynało się rozchodzić w jej żyłach, strapienia rozwiewały się od razu. Po trzech szklankach była w stanie powiedzieć sobie: „Pomyślę o tych sprawach jutro, kiedy będzie mi je łatwiej znieść”.

Zdarzały się jednak i takie noce, że koniak nie mógł ukoić bólu jej serca, bólu, który był mocniejszy nawet od obawy utracenia tartaków — bolesnej tęsknoty za Tarą. Atlanta ze swym rozgwarem, nowymi domami, obcymi twarzami, wąskimi, pełnymi koni, wozów i ciżby ludzkiej ulicami, czasem ją po prostu przytłaczała. Kochała Atlantę, ale... och, czegóż by nie dała za spokój i wiejską ciszę Tary, za widok czerwonych pól i ciemnych sosen dokoła! Och, wrócić do Tary, choćby życie tam było nie wiem jak ciężkie! Być blisko Ashleya, widzieć go, słyszeć jego głos, czerpać siłę z wiary w jego miłość! każdy list od Melanii z wiadomościami, że wszyscy miewają się dobrze, każda kartka od Willa — o oraniu, zasiewach, sadzeniu bawełny, potęgowały w niej pragnienie powrotu do domu.

„Pojadę do domu w czerwcu. Wtedy nie będę mogła nic tutaj robić. Pojadę do domu na kilka miesięcy” — myślała i serce jej rosło. Pojechała do domu w czerwcu, ale w niezupełnie takich okolicznościach, jakie sobie wymarzyła, ponieważ na samym początku miesiąca dostała krótkie zawiadomienie od Willa, że Gerald nie żyje.

## ROZDZIAŁ XXXIX

Pociąg przybył z dużym opóźnieniem. Ciemnoniebieski zmierzch czerwcowy osnuwał okolicę, kiedy Scarlett wysiadła w Jonesboro. W oknach sklepów i domów pozostałych w miasteczku widać było żółte płomyki lamp, było ich jednak niewiele. Na głównej ulicy, gdzie dawniej stały domy, teraz widniały szerokie szczerby między budynkami. Zrujnowane budynki o podziurawionych od pocisków dachach i ścianach do połowy rozwalonych patrzyły na Scarlett milczące i ciemne. Pod drewnianym daszkiem składu Bullarda stało kilka koni i mułów. Czerwona zapylona jezdnia była pusta, w miasteczku słychać było tylko pohukiwanie i pijane śmiechy, które przez ciche powietrze płynęły z baru na drugim końcu ulicy.

Budynku stacyjnego nie odbudowano jeszcze od czasu spalenia go podczas wojny; na jego miejscu stała tylko drewniana szopa bez ścian, które by dawały ochronę przed wiatrem i deszczem. Scarlett usiadła pod tym dachem na jednej z pustych baryłek, które widocznie służyły tutaj za stołki. Zaczęła się rozglądać dokoła za Willem Benteenem. Powinien był już na nią czekać. Powinien był się domyślić, że przyjedzie pierwszym pociągiem po otrzymaniu wiadomości o śmierci Geralda.

Wyjechała w takim pośpiechu, że do małej torby podróżnej zdążyła włożyć tylko koszulę nocną i szczoteczkę do zębów, i nawet nie zabrała zmiany bielizny. Było jej niewygodnie w ciasnej czarnej sukni, którą pożyczyła od pani Meade, bo nie miała czasu sprawić sobie żałoby. Pani Meade była teraz szczupła, a że ciąża Scarlett była już zaawansowana, suknia obciskała ją bardzo. Mimo smutku z powodu śmierci Geralda pamiętała jednak o swoim wyglądzie i patrzyła z obrzydzeniem na swoje ciało. Straciła zupełnie figurę, miała spuchniętą twarz i kostki. Dotąd nie troszczyła się wcale o swój wygląd, teraz jednak, gdy za niecałą godzinę miała zobaczyć Ashleya, zaczęło jej na tym zależeć. Mimo bólu zastanawiała się, jak spojrzy mu w twarz nosząc dziecko innego mężczyzny. Kochała go i on ją kochał, a to dziecko, którego sobie nie życzyła, wydawało jej się dowodem zdrady. Ale chociaż nieprzyjemnie jej było, że zobaczy go w chwili, gdy jest niezgrabna i stąpa ociężale, nie mogła już tego teraz uniknąć.

Niecierpliwie stukała nogą po podłodze. Will powinien był na nią czekać. Mogła oczywiście wstąpić do Bullarda i zapytać się o niego lub poprosić kogoś stamtąd, aby ją podwiózł do domu, gdyby się okazało, że Will nie mógł przyjechać. Nie chciała jednak iść do Bullarda. Była to sobota, więc zastałaby tam prawdopodobnie połowę znajomych z powiatu Nie chciała pokazywać się w takim stanie i w tej źle leżącej sukni, która raczej podkreślała, niż przysłaniała jej kształty. Nie chciała także usłyszeć słów współczucia, które by jej zaczęto wyrażać z powodu śmierci Geralda. Nie życzyła sobie współczucia. Bała się, że się rozpłacze, jeżeli ktoś bodaj wspomni jego imię. Postanowiła zaś nie płakać. Wiedziała, że jeżeli przestanie nad sobą panować, będzie tak płakała jak owej okropnej nocy po upadku Atlanty, gdy Rett zostawił ją na ciemnej drodze za miastem, że będzie przelewała straszne, szarpiące serce łzy, których nie zdoła powstrzymać.

Nie, nie będzie płakała! Czuła, że znowu coś ją ściska za gardło, jak wiele razy od chwili otrzymania bolesnej wiadomości, płacz jednak nie zdałby się na nic. Tylko by ją osłabił i przygnębił. Dlaczego, ach, dlaczego nie napisały jej siostry, Melania czy Will, że Gerald niedomaga? Przyjechałaby pierwszym pociągiem, aby go doglądać, sprowadziłaby lekarza z Atlanty, gdyby zaszła tego potrzeba. Ci głupcy! Czy rzeczywiście nie potrafili niczego bez niej załatwić? Nie mogła być jednocześnie w dwóch miejscach, a Bóg jeden wie, że w Atlancie pracowała z całych sił — dla nich wszystkich.

Kręciła się niespokojnie na baryłce, coraz bardziej zdenerwowana, że Willa jeszcze nie widać. Gdzież się podziewa? Nagle usłyszała skrzypienie żwiru na torze za sobą i odwracając się zobaczyła Aleksa Fontaine'a kierującego się przez tor w stronę wozu, z workiem owsa na plecach.

— Na Boga! Czy to ty, Scarlett? — zawołał zrzucając worek i biegnąc w jej stronę z uśmiechem radości na zgorzkniałej, ogorzałej twarzy. — Tak się cieszę, że cię widzę. Widziałem Willa u kowala, konia tam podkuwa. Pociąg się spóźniał, więc wydawało mu się, że zdąży. Czy mam po niego pobiec?

— Tak, proszę cię bardzo — powiedziała uśmiechając się mimo smutku. Przyjemnie było widzieć znowu znajomą twarz.

— Och... hhmm... Scarlett — zaczął ze zmieszaniem, ciągle jeszcze trzymając jej rękę w swojej — szczerze ci współczuję z powodu śmierci ojca...

— Dziękuję ci — odrzekła żałując, że to powiedział. Słowa jego przywiodły jej jasno na pamięć rumianą twarz Geralda i jego gromki głos...

— Chcę ci jeszcze powiedzieć, Scarlett, że jesteśmy tutaj bardzo z niego dumni — ciągnął dalej Aleks opuszczając jej dłoń. — Umarł... uważamy, że umarł jak żołnierz na posterunku.

„Cóż on przez to rozumie — myślała ze zmieszaniem. — Jak żołnierz? Czyżby go ktoś zastrzelił? Czy zaplątał się, jak Tonio, w bójkę ze Scallawagami?” Nie chciała jednak nic więcej słyszeć. Rozpłakałaby się mówiąc o ojcu, a nie chciała płakać, póki nie wsiądzie z Willem na wóz i nie wyjedzie za miasto, gdzie nikt obcy jej nie będzie widział. Will się nie liczył. Był dla niej bliski jak brat.

— Słuchaj, Aleks, ja nie chciałabym o tym mówić — powiedziała krótko.

— Nie mam ci tego wcale za złe, Scarlett — rzekł Aleks i ciemny rumieniec oburzenia oblał mu policzki. — Gdyby to była moja siostra, to... Scarlett, nigdy jeszcze nie powiedziałem ostrego słowa o żadnej kobiecie, uważam jednak, że ktoś powinien wysmagać Zuelę pasem rzemiennym.

„O czymże on teraz mówi? — zdziwiła się. — Co wspólnego ma z tym Zuela?”

— Wszyscy tutaj są niestety tego samego zdania. Will jest jedynym, który się za nią ujmuje... no i oczywiście pani Melania, ale ona jest świętą osobą i nikogo nie potrafi potępić.

— Powiedziałam ci już, że nie chcę o tym mówić — rzekła bardzo oschle, Aleks wcale się jednak nie obraził. Wydawało się, jak gdyby doskonale rozumiał jej nieuprzejmość, i to było najbardziej przykre. Nie chciała słyszeć krytyki swojej rodziny z ust obcego, nie chciała przyznać się przed nim, że nie wie, co się stało. Dlaczego Will nie podał jej dokładnie szczegółów?

Krępowało ją, że Aleks tak się jej przygląda. Czuła, że zauważył jej stan, i była z tego powodu bardzo zakłopotana. Aleks jednak, przypatrując się jej w mroku, myślał tylko, iż twarz Scarlett zmieniła się tak bardzo, że mógłby jej wcale nie poznać. Może to dlatego, że spodziewała się dziecka. Kobiety wyglądały strasznie w tym okresie. I, oczywiście, musiała się bardzo przejąć śmiercią starego pana O'Hary. Była jego ulubienicą. Ale nie, zmiana sięgała głębiej. Scarlett wyglądała właściwie lepiej, niż kiedy widział ją ostatnio. W każdym razie widać było, że się dobrze odżywia. Wyraz niepokoju ustąpił częściowo z jej oczu. Teraz oczy te, które dawniej wyrażały strach i rozpacz, były surowe. Nawet, kiedy się uśmiechała, twarz jej wyrażała pewność siebie, zdecydowanie i skupioną wolę. Stary Frank miał z nią pewnie niezbyt łatwe życie! Tak, zmieniła się bardzo. Była przystojną kobietą, to fakt, ale z twarzy jej znikła zupełnie śliczna, słodka miękkość, przestała też patrzeć na mężczyznę z wyrazem takiego podziwu, jak gdyby był samym Panem Bogiem!

Czy jednak nie zmienili się wszyscy ludzie dokoła? Aleks spojrzał na swoje kiepskie ubranie i znowu się nachmurzył. Czasem, gdy podczas bezsennych nocy zastanawiał się, skąd weźmie pieniędzy na operację matki, w jaki sposób opłaci nauki synka zmarłego swego brata Józefa i za co kupi drugiego muła, żałował, że wojna już się skończyła i że nie mogła trwać wiecznie. Nie zdawał sobie wtedy sprawy, jak byli szczęśliwi. W wojsku zawsze było coś do jedzenia, choćby tylko placki kukurydzowe, zawsze był ktoś, kto wydawał rozkazy. Nie miało się piekielnego poczucia, że człowiek stoi przed problemami nie do rozwiązania — w wojsku nie groziło nic prócz śmierci. Gnębiła go także sprawa Dimity Munroe. Chciał się z nią ożenić, ale wiedział, że nie stać go na to teraz, gdy ma już tyle osób na utrzymaniu. Kochał ją od bardzo dawna, teraz zaś róże zaczęły już znikać z jej policzków, a wesołość z oczu. Gdybyż jeszcze Tonio nie musiał uciec do Texas! Obecność drugiego mężczyzny na plantacji uprościłaby wiele rzeczy. Jego miły zapalczywy braciszek był teraz gdzieś na Zachodzie, bez grosza przy duszy. Tak, zmienili się wszyscy dokoła. Ale czy można się było temu dziwić? Westchnął ciężko.

— Nie podziękowałem ci jeszcze za to, co oboje z Frankiem zrobiliście dla Tonia — powiedział. — To wy ułatwiliście mu ucieczkę, prawda? Bardzo to było ładnie z waszej strony. Słyszałem okrężną drogą, że jest teraz bezpieczny w Texas. Bałem się pisać do was i pytać o to — ale czy pożyczyliście mu pieniędzy? Chciałbym wam zwrócić...

— Och, Aleks, uspokój się, proszę! Nie teraz! — krzyknęła Scarlett. W danej chwili pieniądze nic dla niej nie znaczyły.

Zamilkł na chwilę.

— Poszukam ci teraz Willa — rzekł — jutro zaś zobaczymy się na pogrzebie.

Kiedy wziął na plecy worek owsa i odszedł, z bocznej ulicy wynurzył się chybotliwy wóz i ze skrzypem podjechał w ich kierunku. Will już z kozła wołał: — Przepraszam, że się spóźniłem, Scarlett!

Zszedłszy niezgrabnie z wozu, pokuśtykał ku niej i pochylając się pocałował ją w policzek. Nigdy dotąd tego nie robił i nigdy nie nazywał jej po imieniu, więc mimo że to Scarlett bardzo zdziwiło, rozgrzało jej serce i bardzo jej się spodobało. Podniósł ją ostrożnie na wóz — przyglądając się uważniej, przekonała się, że był to jeszcze ten sam wóz, którym uciekła z Atlanty. W jaki sposób wytrzymał tak długo? Will musiał go bardzo starannie naprawiać. Zrobiło jej się smutno, gdy przypomniała sobie tę straszną noc. Choćby miała chodzić boso i skąpić w domu jedzenia, postara się, aby Tarze kupić nowy wóz, a ten kazać spalić.

Will nic z początku nie mówił i Scarlett była mu za to wdzięczna. Rzucił swój zniszczony słomkowy kapelusz na dno wozu, cmoknął na konia i wolno ruszył. Will nic się nie zmienił, był tak samo jak dawniej chudy i niedbały, rudawy, o łagodnym spojrzeniu, cierpliwy jak zwierzę pociągowe.

Wyjechali z miasteczka i skręcili na czerwony gościniec do Tary. Blada różowość barwiła jeszcze brzegi horyzontu, a gęste pierzaste chmury brzeżone były złotem i najjaśniejszą zielenią. Spokój wiejskiego zmierzchu koił ich jak modlitwa. „Jakże mogłam wytrzymać przez tyle miesięcy — myślała Scarlett — bez zapachu wiejskiego powietrza i zaoranej ziemi, bez wonności letnich wieczorów?” Wilgotna czerwona ziemia pachniała tak dobrze, tak swojsko, tak przyjemnie, że miała ochotę zsiąść i nabrać jej w garść. Powoje gęsto splątane nad rowami po obu stronach drogi pachniały po deszczu upajająco — była to woń najsłodsza w świecie. Nad głowami ich kołowały bez przerwy na chyżych skrzydłach stada jaskółek, a od czasu do czasu smyrgał przez drogę spłoszony królik, ruszając białym ogonkiem jak puszystym pomponem. Kiedy mijali zaorane pola, na których zielone krzaczki wystawały już wysoko nad ziemię, Scarlett stwierdziła z przyjemnością, że bawełna zapowiada się dobrze. Jakież to wszystko było piękne! Jasnoszare opary nad moczarami, czerwona ziemia i młoda bawełna, faliste pola o poprzecznych bruzdach, za nimi zaś ciemne sosny jak czarny mur... Jakże mogła tak długo wytrzymać w Atlancie?

— Scarlett, zanim opowiem ci wszystko o twoim ojcu — a chcę to opowiedzieć, nim zajedziemy do domu — chcę znać twoje zdanie w pewnej sprawie. Teraz ty jesteś przecież głową domu.

— O co chodzi, Willu?

Zwrócił na nią na chwilę spokojne, łagodne spojrzenie.

— Chciałem twojej zgody na moje małżeństwo z Zuelą. Scarlett chwyciła się rękami oparcia, tak zdumiona, że omal nie straciła równowagi. Małżeństwo z Zuelą? Nie przypuszczała, że ktokolwiek zechce się z nią ożenić, kiedy sama odbiła jej Franka Kennedy'ego. Któż mógłby chcieć Zuelę za żonę?

— Na Boga, Willu!

— A więc nie masz nic przeciwko temu?

— Przeciwko temu? Nie, ale... Ależ Will, dech mi po prostu zaparło! Ty chcesz się ożenić z Zuelą? Will, ja zawsze myślałam, że kochasz się w Karinie.

Will patrzył na grzbiet konia i potrząsał lejcami. Profil jego nie drgnął, ale Scarlett wydało się, że westchnął leciutko.

— Może tak było — powiedział.

— No więc, czy ona ciebie nie chce?

— Nigdy jej o to nie pytałem.

— Och, Will, jesteś głupcem. Zapytaj ją o to. Warta jest dwa razy więcej od Zueli.

— Scarlett, nie wiesz o wielu rzeczach, które zaszły w Tarze. W ostatnich miesiącach nie darzyłaś nas swymi względami.

— Nie darzyłam względami, co? — wybuchła. — A jak ci się zdaje, co robiłam w Atlancie? Rozjeżdżałam zapewne czwórką koni i chodziłam na bale? Czy nie przysyłam ci pieniędzy co miesiąc? Czy nie zapłaciłam podatków, nie dałam na naprawienie dachu, nie kupiłam nowego pługa i mułów? Czy nie...

— No, nie unoś się i nie folguj swojej irlandzkiej naturze — przerwał jej niewzruszenie. — Nikt lepiej ode mnie nie wie, ile zrobiłaś. To była robota dla dwóch mężczyzn.

Trochę udobruchana, zapytała; — No więc, co masz na myśli?

— Dałaś nam po prostu dach nad głową i żywność w spiżarni, temu wcale nie przeczę, ale nie zastanawiałaś się wcale, jakie myśli chodzą po głowach ludzi w Tarze. Nie potępiam cię, Scarlett. To już taki twój zwyczaj. Nigdy się nie przejmowałaś tym, co się dzieje w ludzkich sercach. Chcę ci wytłumaczyć, że nigdy nie prosiłem Kariny o rękę, bo wiedziałem, że to się na nic nie zda. Odnosiła się do mnie jak młodsza siostra i mam wrażenie, że jest ze mną szczersza niż z kimkolwiek innym na świecie. Nigdy jednak nie przebolała śmierci tego chłopca i już nie przeboleje. I wolę ci to od razu powiedzieć: zamierza wstąpić do klasztoru w Charlestonie.

— Cóż to za kpiny?

— Wiedziałem, że cię to zdziwi, więc chcę cię poprosić, Scarlett, abyś się jej nie sprzeciwiała ani jej nie łajała i nie wyśmiewała się z niej. Niechaj to zrobi. Niczego więcej teraz nie pragnie. Ma złamane serce.

— Ale do stu piorunów! Niejedna osoba ma złamane serce, a nie ucieka zaraz do klasztoru. Popatrz choćby na mnie. Straciłam męża.

— Ale nie miałaś złamanego serca — powiedział Will spokojnie i podniósłszy źdźbło słomy z dna wozu, wziął je do ust i zaczął wolno żuć. Słowa jego pozbawiły Scarlett pewności siebie. Jak zwykle, kiedy słyszała prawdę, choćby bardzo nieprzyjemną, tak i teraz wrodzona uczciwość zmusiła ją do przyznania się przed samą sobą, że Will ma słuszność. Nic przez chwilę nie mówiła, starając się zżyć z myślą, że Karina będzie zakonnicą.

— Przyrzeknij mi, że nie będziesz z niej kpiła.

— Och, dobrze już, przyrzekam ci — i potem spojrzała na niego nowymi oczami, z pewnym zdziwieniem. Will kochał Karinę, kochał ją jeszcze i teraz tak bardzo, że wstawiał się za nią i w miarę możności pragnął jej ułatwić wycofanie się z życia świeckiego. I mimo to chciał poślubić Zuelę...

— Dobrze, a cóż to znowu za sprawa z Zuelą? Nie kochasz jej przecież, prawda?

— Ależ tak, owszem, do pewnego stopnia — rzekł wyjmując z ust słomkę i przypatrując się jej z wielkim zaciekawieniem. — Zuela nie jest tak zła, jak sądzisz, Scarlett. Wydaje mi się, że będzie nam ze sobą dobrze. Trzeba jej po prostu męża i dzieci, tak samo zresztą jak każdej innej kobiecie.

Wóz podskakiwał po wyboistej drodze. Przez kilka minut zupełnego milczenia Scarlett rozmyślała z natężeniem. Musiała być jeszcze jakaś głębsza przyczyna, głębsza i ważniejsza, że łagodny, spokojny Will postanowił się ożenić z płaczliwą grymaśnicą, jaką była Zuela.

— Nie podałeś mi prawdziwej przyczyny tego postanowienia, Will. Jestem teraz głową rodziny i mam prawo wiedzieć.

— To prawda — rzekł Will — ale wydaje mi się, że mnie zrozumiesz. Nie mogę porzucić Tary. To jest teraz mój dom, Scarlett, jedyny prawdziwy dam, jaki miałem. Kocham tutaj każdą piędź ziemi. Pracowałem tutaj jak na swoim. A kiedy człowiek pracuje koło czegoś, zaczyna to kochać. Czy rozumiesz, co mam na myśli?

Zrozumiała go doskonale i serce jej wezbrało uczuciem dla niego, gdy usłyszała, że i on kocha tak bardzo to, co dla niej było najdroższe w świecie.

— I wyobrażam to sobie tak. Ponieważ ojciec twój umarł, a Karina wstępuje do klasztoru, ja zostaję tutaj sam z Zuelą, nie mógłbym więc mieszkać w Tarze nie żeniąc się z nią. Wiesz przecież, jak ludzie gadają.

— Ależ, Willu, jest przecież jeszcze Melania i Ashley...

Na dźwięk imienia Ashleya odwrócił się i popatrzył na nią, a blade jego oczy były nieprzeniknione. Odezwało się w niej dawne przekonanie, że Will wie wszystko o niej i o Ashleyu, że wszystko rozumie i ani nie krytykuje tego, ani nie pochwala.

— Oni wkrótce stąd wyjadą.

— Wyjadą? Dokąd? Tara jest ich domem tak samo jak twoim.

— Nie, nie jest ich domem. To właśnie gnębi Ashleya. To nie jego dom; a poza tym Ashley ma poczucie, że nie zarabia na swoje utrzymanie. Jest bardzo złym farmerem i wie o tym. Stara się, jak może najlepiej, ale nie został stworzony do gospodarowania na roli — zresztą wiesz o tym równie dobrze jak ja. Kiedy rąbie drwa na opał, zacina się zawsze to w rękę, to w nogę. Nie lepiej potrafi orać niż mały Beau i to, czego nie wie o sadzeniu i sianiu, wypełniłoby całe tomy. To nie jego wina. Nie był na rolnika chowany. Martwi się więc bardzo, że chociaż jest mężczyzną, mieszka w Tarze na łasce kobiety i tak mało daje w zamian.

— Na łasce? Czy powiedział kiedyś...

— Nie, nigdy nie powiedział ani słowa. Znasz Ashleya. Ja jednak wiem. Wczoraj, kiedy czuwaliśmy przy twoim ojcu, powiedziałem mu, że poprosiłem Zuelę o rękę i że się zgodziła wyjść za mnie. Wtedy Ashley odrzekł, że to mu ułatwia sytuację, bo czułby się podle, zostając dłużej w Tarze, a wiedział, że musiałby tu zostać z panią Melą po śmierci pana O'Hary, aby ludzie nie gadali na mnie i na Zuelę. I powiedział mi jeszcze, że ma zamiar wyjechać z Tary i poszukać pracy.

— Pracy? Jakiego rodzaju? Gdzie?

— Nie wiem dokładnie, co ma zamiar robić, ale powiedział mi, że chce wyjechać na Północ. Ma przyjaciela Jankesa w Nowym Jorku i ten mu napisał, że mógłby tam pracować w banku.

— Ach, nie! — wydarł się Scarlett okrzyk z głębi serca. Will rzucił jej takie samo spojrzenie jak poprzednio.

— Może to by było i lepiej, gdyby wyjechał na Północ.

— Nie! Nie! Wcale tak nie uważam!

Mózg jej zaczął pracować gorączkowo. Ashley nie może jechać na Północ! Mogłoby się zdarzyć, że nigdy by go więcej w życiu nie zobaczyła. Mimo że nie widziała go od wielu miesięcy i nie mówiła z nim sam na sam od owej pamiętnej rozmowy w sadzie, nie było dnia, aby nie myślała o nim, aby nie czuła zadowolenia, że jest bezpieczny pod jej dachem. Kiedy posyłała pieniądze Willowi, rada była, że w ten sposób ułatwia Ashleyowi życie. „Pewnie, że nie umiał gospodarować. Przeznaczony był do czegoś lepszego — myślała z dumą. — Przeznaczony był do rządzenia, do życia w pałacu, jeżdżenia konno, czytania poezji i wysługiwania się Murzynami. Nie zmieniła tego okoliczność, że teraz nie było pałaców ani koni, niewolników ani książek. Ashley nie nadawał się do orania ziemi i rąbania drew. Nic dziwnego, że chciał wyjechać z Tary”.

Nie mogła jednak dopuścić, aby wyjechał z Georgii. Jeżeli zajdzie tego potrzeba, poprosi Franka, aby dał mu zajęcie w sklepie, wpłynie, aby wymówił chłopcu, który pełnił obowiązki subiekta. Ach, nie, skądże znowu! — miejsce Ashleya nie było za ladą, jak nie było za pługiem. Wilkes subiektem! Och, nigdy! Musi znaleźć coś innego... Ależ oczywiście! Jej tartak. Ulga, jaką sprawiła jej ta myśl, była tak wielka, że uśmiechnęła się do siebie. Czy jednak Ashley zgodzi się na tę propozycję? Czy może będzie znowu myślał, że to łaska? Musi to tak urządzić, aby się wydawało, że to on jej robi grzeczność. Odprawi Johnsona i zrobi Ashleya zarządzającym starego tartaku, a Hugon będzie zarządzał nowym. Wytłumaczy mu, że słabe zdrowie i nawał zajęć w sklepie nie pozwalają Frankowi na pomaganie jej, i zasłoni się swoim stanem jako jeszcze jedną przyczyną, dla której jego pomoc jest jej potrzebna.

Postara się dać mu jakoś do zrozumienia, że w tym okresie swego życia nie będzie się mogła obyć bez jego opieki. I da mu udział w tartaku, jeżeli zgodzi się przyjąć — zrobi wszystko, byle mieć go przy sobie, byleby móc czasem widzieć uśmiech rozjaśniający mu twarz czy wymowne spojrzenie, świadczące, że jeszcze ją kocha. Ale, przyrzekła sobie, nigdy; nigdy już nie będzie się starała sprowokować go do wyznań miłosnych ani doprowadzić do odrzucenia precz tego głupiego honoru, który sobie cenił więcej niż miłość. Będzie musiała go w jakiś sposób delikatnie powiadomić o tym nowym postanowieniu. W przeciwnym razie mógłby jej odmówić z obawy przed drugą, podobną do tamtej sceną.

— Postaram się znaleźć Ashleyowi zajęcie w Atlancie — powiedziała.

— No, to już sprawa twoja i Ashleya — rzekł Will i znowu wziął słomkę do ust. — Ruszaj, Sherman. I jeszcze coś, Scarlett: chciałbym cię jeszcze o coś poprosić, zanim opowiem ci o śmierci ojca. Nie chcę, abyś gromiła Zuelę. To, co zrobiła, już się stało i żadne zmywanie jej głowy nie wskrzesi pana O'Hary. Ponadto zaś... była przekonana, że postępuje właściwie.

— Chciałam ciebie właśnie o to zapytać. Co to za sprawa z Zuelą? Aleks powiedział coś zagadkowego i twierdził, że należałoby ją wysmagać. Co ona zrobiła?

— Tak, ludzie są tu bardzo źli na nią. Każdy, kogo dzisiaj spotkałem w Jonesboro, zapewniał, że się jej za następnym widzeniem nie ukłoni, ale może im to przejdzie. A więc przyrzeknij mi, że nie będziesz na nią krzyczała. Nie życzę sobie kłótni, dziś wieczorem, kiedy pan O'Hara leży martwy w salonie.

„On nie życzy sobie kłótni! — pomyślała Scarlett z oburzeniem. — Mówi już tak, jak gdyby Tara należała do niego!”

I nagle pomyślała o leżącym w salonie Geraldzie i zaczęła gorzko płakać i szlochać. Will otoczył ją ramieniem i przyciągnął blisko do siebie, ale nic nie powiedział.

W miarę jak z wolna posuwali się po ciemnej drodze, Scarlett opartej o ramię Willa zacierał się obraz Geralda z ostatnich dwóch lat, pomylonego starca, który wpatrywał się w drzwi i wyczekiwał osoby dawno zmarłej. Przypominała sobie pełnego wigoru starszego pana o rozwianej siwej czuprynie, jego głośną wesołość, ciężkie kroki, niezręczne dowcipy, wielką hojność. Przypominała sobie, jak to w dzieciństwie wydawał jej się najdoskonalszym człowiekiem na ziemi, ten ojciec-zawadiaka, który brał ją przed siebie na siodło, gdy przeskakiwał przez płoty, który krzyczał na nią i dawał jej klapsy, gdy była niegrzeczna, a potem płakał z nią razem i darowywał jej kilkanaście centów, aby się uspokoiła. Przypominała sobie, jak wracał z Charlestonu czy Atlanty, obładowany podarkami, które zawsze były nieodpowiednie, przypominała, uśmiechając się blado przez łzy, jak o świcie wracał do domu z sesji sądowych w Jonesboro, pijany jak bela, skacząc przez płoty jak diabeł i śpiewając na głos ,,Zielony nasz sztandar”. I z jakim zawstydzeniem patrzył na Ellen następnego rana. Tak, teraz już połączył się z Ellen...

— Dlaczego nie napisałeś mi, że ojciec jest chory? Przyjechałabym natychmiast...

— Nie był chory ani chwili. Czekaj, kochanie, weź moją chustkę, a wszystko ci opowiem.

Wytarła nos w wielką perkalową chustkę Willa i znowu oparła się na jego ramieniu. Jaki on był miły. Nic go nie wyprowadzało z równowagi.

— A więc to było tak, Scarlett. Za pieniądze, które nam przysłałaś, zapłaciliśmy z Ashleyem podatki, kupiliśmy muła, nasiona i różne jeszcze rzeczy, parę świń i trochę drobiu. Pani Mela doskonale się zajmuje kurami, tak, doskonale. To dobra kobieta, ta pani Mela. Mniejsza jednak z tym. Kiedyśmy już wszystko do Tary kupili, jasne, że nic nie zostało na fatałaszki, ale nikt się na to nie skarżył. Jedna tylko Zuela. Pani Melania i Karina siedzą w domu i noszą stare suknie, jak gdyby były z nich dumne, ale znasz Zuelę, Scarlett. Dotąd nie przyzwyczaiła się obchodzić bez szmatek. Musiałem jej pakować do głowy, żeby kładła stare suknie, ilekroć jechała ze mną do Jonesboro czy Fayetteville. Grymasiła tym bardziej, że niektóre z żon tych Carpetbaggerów zawsze się puszą wystrojone. A żony tych przeklętych Jankesów, którzy prowadzą Biuro Wyzwoleńców, te ci się dopiero stroją! Wobec tego panie z całego powiatu postawiły sobie za punkt honoru, że do miasta będą brały najgorsze suknie, aby wszystkim pokazać, że nie dbają o to i że są z nich dumne. Tylko Zuela nie chciała tego robić. I chciała mieć powóz i konia, tym bardziej że ty masz powóz.

— To nie powóz, tylko stara bryczka! — zawołała Scarlett z oburzeniem.

— No, wszystko jedno. Muszę ci zresztą powiedzieć, że Zuela nie przebaczyła ci, żeś wyszła za Franka Kennedy'ego, i nie wiem, czy można to jej mieć za złe. Wiesz sama, że to było wielkie świństwo w stosunku do własnej siostry.

Scarlett podniosła głowę, rozwścieczona jak żmija, gotowa ukąsić.

— Wielkie świństwo, co? Wolałabym, żebyś się trochę grzeczniej wyrażał, Willu! Cóż miałam na to poradzić, że Frank wolał mnie od Zueli?

— Jesteś mądra, Scarlett, i wydaje mi się, że gdybyś chciała, tobyś mogła. Kobiety zawsze to potrafią. Zdaje mi się, że to właśnie ty go w sobie rozkochałaś. Jesteś bardzo czarującą osobą, jeżeli chcesz. Ale tak czy inaczej, Frank był wielbicielem Zueli. Miała nawet od niego list na tydzień przed twoim wyjazdem do Atlanty; w liście tym był słodki jak cukier i pisał, że chciałby się z nią pobrać, jak tylko zbierze trochę pieniędzy. Wiem, bo pokazywała mi list.

Scarlett umilkła, bo czuła, że Will mówi prawdę, i nie przychodziła jej na myśl żadna odpowiedź. Nigdy nie przypuszczała, że właśnie Will będzie ją krytykował. Tym bardziej, że kłamstwo, którym zdobyła Franka, nigdy zbytnio nie ciążyło na jej sumieniu. Jeżeli dziewczyna nie umie utrzymać wielbiciela, zasługuje na to, aby go stracić.

— Słuchaj, Will, nie bądź niesprawiedliwy — powiedziała. — Gdyby Zuela wyszła za Franka, nie dałaby grosza ani na Tarę, ani dla nikogo z nas.

— Powiedziałem ci, że umiesz być bardzo czarująca, jeżeli chcesz — rzekł Will zwracając się ku niej ze spokojnym uśmiechem, — Nie, nie przypuszczam, aby Zuela chciała nam pomagać. Mimo to zrobiłaś świństwo; jeżeli uważałaś, że cel uświęca środki, nie moja to sprawa i nie moja rzecz ciebie osądzać. Zuela jednak stała się od tego czasu zła jak szerszeń. Nie sądzę, aby bardzo kochała starego Franka, ale zraniło to jej próżność i często powtarzała, że ty masz konie i powóz i mieszkasz w Atlancie, a ona zakopana jest w Tarze. Lubi jeździć z wizytami i na przyjęcia i, jak wiesz, lubi się stroić. Nie mam jej tego za złe. Wszystkie kobiety są takie same. A więc jakiś miesiąc temu zabrałem ją do Jonesboro. Ona poszła z wizytami, a ja załatwiałem interesy; kiedy wracaliśmy, siedziała cicho jak mysz pod miotłą, ale zauważyłem, że jest bardzo podniecona. Myślałem, iż dowiedziała się, że jakaś znajoma spodziewa się... że słyszała jakieś interesujące plotki, i nie zwracałem na nią wielkiej uwagi. Przez tydzień chodziła po domu zaabsorbowana czymś i podniecona i bardzo mało mówiła. Potem pojechała z wizytą do pani Kasi Calvert — Scarlett, płakałabyś, gdybyś widziała panią Kasię. Biedna kobieta, lepiej by dla niej było umrzeć niż wyjść za tego podłego Jankesa, Hiltona. Czy wiesz, że nie może spłacić hipoteki, którą wziął na majątek, i że będą się musieli z niego wynosić?

— Nie, nie wiedziałam i nic mnie to teraz nie obchodzi. Chcę, abyś mi opowiedział o ojcu.

— No więc, zaraz, właśnie do tego zmierzam — rzekł Will cierpliwie. — Kiedy Zuela wróciła stamtąd, powiedziała, że my wszyscy nie doceniamy Hiltona. Mówiła o nim „pan Hilton” i że to taki mądry człowiek, ale myśmy się z niej tylko śmieli. Potem zaczęła twego ojca wyprowadzać na przechadzki po obiedzie i często, kiedy wracałem z pola, widziałem, jak siedzą na murku cmentarnym i jak Zuela przekonuje go z zapałem i wymachuje rękami. A stary pan patrzył na nią w zdumieniu i potrząsał głową. Wiesz, jaki był ostatnio, Scarlett. Był coraz mniej przytomny, jak gdyby nie wiedział wcale, kim jest i kim my jesteśmy. Pewnego razu widziałem, jak Zuela wskazuje na grób waszej matki — pan O'Hara zaczął wtedy płakać. A kiedy Zuela wróciła do domu, zadowolona i podniecona, zbeształem ją mocno i powiedziałem: „Panno Zuelo, dlaczego, u diabła, denerwuje pani swego biednego ojca i przypomina mu matkę? On wcale nie pamięta, że matka nie żyje, a pani mu właśnie o tym mówiła”. A ona tylko podniosła głowę do góry, roześmiała się i rzekła: „Niech się pan nie wtrąca w nie swoje sprawy. Przyjdzie czas, że będziecie mi wdzięczni za to, co zrobiłam”. Pani Melania powiedziała mi wczoraj, że Zuela mówiła jej o swoich zamysłach, ale nie przypuszczała wtedy, że Zuela mówi serio. Powiedziała, że nic nikomu o tym nie mówiła, bo zmartwiła się bardzo tym pomysłem.

— Jakim pomysłem? Czy nigdy nie zaczniesz mówić do rzeczy? Przejechaliśmy już połowę drogi do domu. Chcę wiedzieć, co się stało z ojcem.

— Przecież opowiadam ci o tym — rzekł Will — ale jesteśmy tak blisko domu, że lepiej, jeżeli się tutaj zatrzymam, póki nie skończę mówić.

Ściągnął lejce, koń zatrzymał się i parsknął. Przystanęli koło żywopłotu z bzów włoskich, ograniczającego ogród Maclntoshów. Patrząc przez gęstwinę ciemnych drzew Scarlett mogła odróżnić w mroku zarysy kominów, sterczących nad zastygłą w milczeniu ruiną. Żałowała, że Will nie zatrzymał się w innym miejscu.

— Otóż Zuela wpadła na pomysł, aby Jankesi zapłacili nam za spaloną bawełnę, za zabrane bydło i za zburzone płoty i stodoły.

— Jankesi?

— Czy nie słyszałaś nic o tym? Rząd jankeski płaci odszkodowanie za straty wojenne wszystkim zwolennikom Unii na Południu.

— Rozumie się, że słyszałam — rzekła Scarlett. — Co to ma jednak z nami wspólnego?

— Zuela uważała, że bardzo dużo. Tego dnia, kiedy ją zabrałem do Jonesboro, spotkała panią MacIntosh. W czasie rozmowy Zuela zauważyła, że pani Macintosh ma piękną suknię, więc zapytała, skąd ją wzięła. Wtedy pani MacIntosh zaczęła się bardzo puszyć i odpowiedziała, że jej mąż dostał odszkodowanie od rządu federalnego za zniszczenie mu majątku, bo był lojalnym stronnikiem Unii, który nigdy w żadnej formie nie popierał Konfederacji.

— Nigdy nie popierał nikogo — warknęła Scarlett. — Pół Szkot, pół Irlandczyk!

— No, może i prawda. Nie znam tych ludzi. W każdym razie dostali od rządu już nie wiem ile tysięcy dolarów. Bardzo okrągłą sumkę, to pewne. To zastanowiło Zuelę. Myślała o tym przez cały tydzień, ale nam nic nie mówiła, bo wiedziała, że ją wyśmiejemy. Musiała jednak z kimś porozmawiać, więc pojechała do pani Kasi, i ten przeklęty łotr Hilton poddał jej nową myśl. Przypomniał jej, że ojciec wasz nie urodził się w Ameryce, że nie brał udziału w wojnie, że nie miał na wojnie synów i że nie piastował żadnego urzędu za Konfederacji. Powiedział, że można by może uznać pana O'Harę za lojalnego stronnika Unii. Podburzył ją takimi głupstwami, więc po przyjeździe do domu zaczęła urabiać pana O'Harę. Scarlett, założę się, o co chcesz, że ojciec twój nie wiedział nawet, o czym ona mówi. Zuela na to właśnie liczyła — że złoży Żelazną Przysięgę i nawet nie będzie wiedział, co robi.

— Papa miałby złożyć przysięgę! — wykrzyknęła Scarlett.

— Przecież w ostatnich miesiącach bardzo słabo się już orientował i sądzę, że Zuela na to liczyła. Nie zapominaj, że nikt z nas niczego nie podejrzewał. Wiedzieliśmy, że coś knuje, ale nie mogliśmy przypuszczać, iż użyje imienia waszej zmarłej matki, aby mu robić wymówki, że córki jego chodzą w łachmanach, chociaż może wydostać od Jankesów sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

— Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów — wyszeptała Scarlett i oburzenie jej trochę osłabło.

Ileż to było pieniędzy! I można je było otrzymać za pomocą głupiego podpisu przysięgi poddańczej dla rządu Stanów Zjednoczonych, stwierdzającej, że podpisany zawsze popierał Unię i nie wspomagał ani nie wspierał jej nieprzyjaciół. Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Tyle pieniędzy za tak małe kłamstwo! Wobec tego zupełnie nie mogła potępiać Zueli. Na Boga! Czy to miał na myśli Aleks mówiąc, że należy jej się wysmaganie pasem? Dlaczegóż by ludzie mieli przestać jej się kłaniać? Jakaż to banda głupców! Ileż by mogła zrobić z taką sumą pieniędzy! Jakżeby się te pieniądze przydały wszystkim ludziom z powiatu! I cóż znaczyło wobec tego to małe kłamstwo? Ostatecznie, wszystko, co można było wydostać od Jankesów, było jak wygrane, a sposób wydostania nie miał najmniejszego znaczenia.

— Wczoraj koło południa; kiedyśmy z Ashleyem rąbali drwa, Zuela wzięła ten oto wóz, ubrała ojca i pojechała z nim do miasta, nie mówiąc, nikomu ani słowa. Pani Mela podejrzewała, co chce zrobić, ale modliła się tylko, aby Zuela zmieniła zamiar, i nic nam nie powiedziała. Nie mogła sobie wyobrazić, że Zuela będzie naprawdę zdolna do takiej rzeczy.

Dziś dowiedziałem się, jak to się wszystko stało. Ten łotr Hilton miał jakieś stosunki wśród innych Scallawagów i republikanów w mieście, więc Zuela zgodziła się dać im część pieniędzy — nie wiem, wiele — żeby przymknęli oczy i przyznali, że pan O'Hara jest lojalnym stronnikiem Unii, stwierdzili, że jest Irlandczykiem, że nie brał udziału w wojnie i tak dalej, i podpisali wszystkie zaświadczenia. Ojciec miał tylko złożyć przysięgę i podpisać papier, który miano potem przesłać do Waszyngtonu.

Wyklepali tekst przysięgi bardzo szybko, pan O'Hara nic nie powiedział i wszystko szło dobrze do chwili, gdy trzeba było złożyć podpis. Wtedy stary pan przyszedł jak gdyby na chwilę do siebie i potrząsnął głową. Nie przypuszczam, aby wiedział, o co chodzi, ale nie podobało mu się to wszystko i Zuela kierowała nim nieodpowiednio. To ją bardzo zdenerwowało, gdyż miała z tym wszystkim już i tak dużo trudności. Wyprowadziła ojca z urzędu. Zaczęła jeździć z nim tam i z powrotem po ulicach i powtarzać, że matka wasza płacze w grobie, ponieważ ojciec pozwala, aby dzieci jej cierpiały nędzę, kiedy może się im dziać tak dobrze. Ludzie mi mówili, że pan O'Hara siedział w wozie i płakał jak małe dziecko — jak zwykle, gdy słyszał imię matki. Wszyscy w mieście widzieli ich wtedy i Aleks Fontaine podszedł dowiedzieć się, co się stało, ale Zuela ofuknęła go ostro i powiedziała, żeby pilnował swego nosa, więc odszedł rozzłoszczony.

Nie wiem, skąd jej to przyszło do głowy, ale po południu kupiła butelkę koniaku, zaprowadziła pana O'Harę z powrotem do urzędu i zaczęła go poić. Scarlett, w Tarze nie mieliśmy trunków przez cały rok, najwyżej trochę wina porzeczkowego czy moszczu, który robi Dilcey, więc pan O'Hara odwykł od alkoholu. Upił się naprawdę, po kilku godzinach namów ustąpił i powiedział, że podpisze wszystko, czego sobie Zuela życzy. Wyjęli znowu dokument; w chwili kiedy ojciec miał już kłaść podpis, Zuela zrobiła wielki błąd. Powiedziała: „No teraz już Slattery'owie i Maclntoshowie nie będą się nad nas wynosili!” Bo wiesz, Scarlett, Slattery'owie zażądali wielkiego odszkodowania za tę swoją małą chałupkę, którą spalili Jankesi, i mąż Emmy przeprowadził to dla nich w Waszyngtonie.

Podobno, kiedy Zuela wypowiedziała te dwa nazwiska, ojciec wyprostował się cały i spojrzał na nią ostro. Był wówczas zupełnie przytomny i zapytał: „Czy Slattery'owie i Maclntoshowie podpisali też coś takiego?” Zuela zdenerwowała się, zaczęła mówić „tak” i „nie” i jąkać się, więc krzyknął głośno: „Powiedz, czy ten przeklęty Orańczyk i ten podły nędzarz podpisali to także?” A Hilton wtedy bardzo uprzejmie powiedział: „Tak, proszę pana, podpisali i dostali za to dużo pieniędzy”.

Wtedy stary pan ryknął jak rozjuszony byk. Aleks Fontaine mówi, że usłyszał go aż na dole w barze. Po czym powiedział gwarą irlandzką: „A wyście pewnie myśleli, że O'Hara z Tary pójdzie śladami przeklętego Orańczyka i białej hołoty?” Rozdarł papier na dwoje, rzucił go w twarz Zueli, wrzasnął: „Nie jesteś odtąd moją córką!”, i jak strzała wypadł z urzędu.

Aleks mówi, że widział go na ulicy, rozwścieczonego do ostatecznych granic. Mówi, że stary pan wyglądał po dawnemu po raz pierwszy od śmierci twojej matki, że zataczał się i klął, ile sił w płucach. Nigdy w życiu nie słyszał podobno wspanialszych przekleństw. Koń Aleksa stał obok, ojciec wsiadł na niego bez pytania i odjechał wznosząc chmurę gęstego kurzu i nie przestając kląć.

O zmierzchu siedzieliśmy z Ashleyem na frontowych schodkach, patrzyliśmy na drogę i byliśmy już trochę niespokojni. Pani Mela płakała na górze, ale nie chciała nam powiedzieć dlaczego. Nagle usłyszeliśmy tętent na drodze i okrzyki jak na polowaniu. Ashley powiedział: „To dziwne! Przypomina mi to zupełnie głos pana O'Hary, kiedy do nas przyjeżdżał przed wojną”.

W tej samej chwili zobaczyliśmy go na skraju pastwiska. Musiał tam przeskoczyć przez płot. I jechał pod górę na złamanie karku, śpiewając z całych sił, jak gdyby był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Nie przypuszczałem, że twój ojciec ma taki głos. Śpiewał irlandzkie piosenki, bił kapeluszem konia, który pędził jak szalony. Nie wstrzymał go, kiedy podjechał do szczytu pagórka. Widzieliśmy, że znowu chce przeskoczyć płot, więc zerwaliśmy się, przerażeni śmiertelnie, a on zawołał: „Patrz, Ellen! Zobacz, jak skaczę!” Ale przy samym płocie koń wspiął się, nie chciał skoczyć i ojciec twój zrobił koziołka przez głowę. Wcale nie cierpiał. Kiedyśmy do niego podbiegli, już nie żył. Przypuszczam, że złamał sobie kręgosłup.

Will zamilkł i przez chwilę czekał, czy się Scarlett odezwie. Nic nie powiedziała, uniósł więc lejce, zawołał: — Wio, Sherman! — i ruszył w stronę domu.

ROZDZIAŁ XL

Scarlett mało spała tej nocy. Kiedy zaczęło się rozjaśniać i słońce wynurzyło się zza ciemnych sosen na pagórkach, wstała z rozrzuconego łóżka i siadając na taborecie przy oknie oparła zmęczoną głowę na ręce, po czym popatrzyła przez podwórze i sad w stronę plantacji. Wszystko było świeże, pokryte rosą, ciche i zielone, widok więc ten podziałał jak balsam i pociecha na jej strapione serce. Tara była teraz dobrze zagospodarowana i mimo że pan jej nie żył, tchnęła spokojem i bezpieczeństwem. Niski kurnik pokryty był warstwą gliny dla ochrony przed szczurami i łasicami i gęsto pobielony wapnem, podobnie jak stajnia. Ogród warzywny z grzędami kukurydzy, jasnożółtych dyń, fasoli i rzep, był porządnie wypielony i ogrodzony płotem. W sadzie pod długimi rzędami drzew rosły w trawie tylko stokrotki. Na jabłkach i na różowych, pokrytych puszkiem brzoskwiniach, ledwie widocznych w gąszczu liści, lśniły promienie słońca. Za sadem ciągnęły się faliste pola bawełny, ciche i zielone pod błękitem jasnego nieba. Kaczki i kurczęta szły w stronę pól, bo pod krzaczkami, w miękkiej ornej ziemi znajdowały najtłuściejsze robaki i ślimaki.

Serce Scarlett przepełniło się czułością i wdzięcznością dla Willa, który tego wszystkiego dokonał. Mimo miłości do Ashleya ani przez chwilę nie sądziła, że to on jest sprawcą tego dobrobytu, bo rozkwit Tary nie był dziełem plantatora-arystokraty, ale niezmordowanie pracującego „małorolnego”, który ziemię tę ukochał. Tara była teraz fermą — nie wielką plantacją jak w dawnych czasach, z pastwiskami pełnymi mułów i pięknych koni, z polami bawełny i kukurydzy, ciągnącymi się, jak daleko wzrok sięgał. Ta jednak część, na której Will gospodarował, była w doskonałym stanie, a gdy z nastaniem lepszych czasów obsieje się akry leżące odłogiem, będą rodzić jeszcze piękniej niż dawniej.

Will dokonał jeszcze czegoś więcej. Z powodzeniem zwalczył sosnę karłowatą i krzaczki jeżyn, dwoje wrogów georgijskich plantacji. Nie rozpleniły się podstępnie w ogrodzie, na pastwiskach, polach bawełny i trawnikach, nie rozrosły się bezczelnie koło ganków Tary, jak działo się to w niezliczonych plantacjach na przestrzeni całego stanu.

Serce Scarlett zamarło na chwilę, gdy pomyślała, jak mało brakowało, by Tara zarosła chwastem. We dwoje z Willem dokonali niemałego zadania. Oparli się Jankesom, Carpetbaggerom i roszczeniom natury. Co najważniejsze zaś, Will powiedział jej, że po zbiorach na jesieni nie będzie już potrzebowała przysyłać mu pieniędzy — chyba że jakiś inny Carpetbagger zapragnie Tary i podwyższy podatki. Scarlett wiedziała, że bez jej pomocy Will przeżyje niejedną ciężką chwilę, ale podziwiała i szanowała jego niezależność. Póki był w sytuacji płatnego rządcy, mógł korzystać z jej pieniędzy, ale teraz, gdy miał zostać szwagrem jej i panem domu, chciał być samowystarczalny. Tak, Willa zesłał jej chyba sam Pan Bóg.

Pork wykopał grób dla Geralda poprzedniego wieczora, tuż przy grobie Ellen, stał więc teraz z łopatą w dłoni przy wzgórku czerwonej, wilgotnej gliny, którą wkrótce miał znowu zsypać na dawne miejsce. Scarlett stała za nim w cieniu sękatego, niskiego cedru i starała się nie patrzeć w czerwony dół przed sobą. Jim Tarleton, mały Hugon Munroe, Aleks Fontaine i najmłodszy McRae szli wolno i niezgrabnie ścieżką od domu, niosąc trumnę Geralda na ramionach. Za nimi, w odpowiedniej odległości, sunął spory rozproszony tłum sąsiadów i znajomych, nędznie ubranych, milczących. Kiedy ukazali się na oświetlonej słońcem dróżce w ogrodzie, Pork pochylił głowę na trzon łopaty i zapłakał. Scarlett stwierdziła ze zdumieniem, że jego kędzierzawa czupryna, tak kruczoczarna jeszcze kilka miesięcy temu, teraz zaczęła siwieć.

Dziękowała Bogu, że wypłakała wszystkie łzy poprzedniego wieczora i że teraz mogła stać sztywno, z suchymi oczyma. Odgłos szlochów Zueli, stojącej tuż za nią, irytował ją niepomiernie. Musiała zaciskać pięści, aby powstrzymać się od odwrócenia się i uderzenia jej po zapuchłej twarzy. Zuela była przyczyną śmierci ojca, choć z pewnością jej nie chciała, powinna więc mieć tyle przynajmniej rozumu, by opanować się w obecności wrogo nastrojonych sąsiadów. Nikt z nią tego ranka nie zamienił ani słowa, nikt nie rzucił współczującego spojrzenia. Spokojnie całowali Scarlett, ściskali jej dłoń, szeptali słowa pociechy do Kariny i nawet do Porka, ale Zuelę przeoczali, jakby jej wcale nie było.

Zdaniem sąsiedztwa zrobiła coś znacznie gorszego od spowodowania śmierci ojca: starała się go namówić do zdrady Południa. Dla tej posępnej i zamkniętej społeczności równało się to narażeniu na szwank honoru ich wszystkich. Przełamała zwarty front, którym powiat przeciwstawiał się światu. Usiłując wydostać pieniądze od rządu jankeskiego stanęła w jednym rzędzie z Carpetbaggerami i Scallawagami, wrogami bardziej znienawidzonymi niż niegdyś jankescy żołnierze. Ona, córka starej i lojalnej konfederackiej rodziny plantatorskiej, przeszła do obozu nieprzyjaciela i tym samym okryła wstydem wszystkie rodziny powiatu.

Wszyscy obecni kipieli z oburzenia. Troje spośród nich odczuło śmierć O'Hary szczególnie boleśnie: stary pan McRae, który był przyjacielem Geralda od chwili, gdy wiele lat temu przywędrował w te strony z Savannah, babcia Fontaine, która lubiła go bardzo, ponieważ był mężem Ellen, wreszcie pani Tarleton, której Gerald bliższy był od innych sąsiadów, bo, jak często mawiała, był jedynym w powiecie człowiekiem, umiejącym odróżnić ogiera od wałacha.

Widok wzburzonych twarzy tych trojga w ciemnawym salonie, gdzie Gerald spoczywał przed pogrzebem, zaniepokoił Ashleya i Willa, wyszli więc do kantorku Ellen na naradę.

— Ktoś z nich coś powie o Zueli — rzekł Will i przegryzł nieodłączną słomkę na pół. — Zdaje im się, że powinni coś powiedzieć. Może to i prawda. Nie mnie o tym sądzić. Ale, Ashleyu, czy mają rację, czy nie, my będziemy musieli zareagować, bo jesteśmy jedynymi mężczyznami w rodzinie, i wybuchnie awantura. Ze starym McRae nie można nic zrobić, bo jest głuchy jak pień i nie wie, co się do niego mówi. Wiem także, że nikt na całym świecie nie potrafi babci Fontaine powstrzymać od powiedzenia tego, co myśli. Co się zaś tyczy pani Tarleton... Czyś widział, jak przewraca brunatnymi oczami, ilekroć patrzy na Zuelę? Ledwo może się powstrzymać od wybuchu. Jeżeli zaczną mówić, będziemy się musieli odezwać, a mamy i bez zatargów z sąsiadami dość kłopotów w Tarze.

Ashley westchnął z zakłopotaniem. Znał temperament swoich sąsiadów lepiej niż Will i dobrze pamiętał, że kłótnie i strzelaniny w czasach przedwojennych przeważnie wynikały na tle przemówień nad trumnami zmarłych sąsiadów. Mowy pogrzebowe bywały zwykle bardzo pochlebne, ale zdarzały się wyjątki. Czasem słowa pomyślane jako dowód wielkiego szacunku dla zmarłego bywały źle rozumiane przez przeczulonych krewnych i awantury zaczynały się, jak tylko na trumnę padła ostatnia garść ziemi.

Wobec braku księdza modły miał odprawić Ashley z książki do nabożeństwa Kariny, ponieważ rodzina nie życzyła sobie pastora żadnej z sekt w Jonesboro czy Fayetteville. Karina, będąc bardziej żarliwą katoliczką od sióstr, była bardzo zmartwiona, że Scarlett nie przywiozła ze sobą księdza z Atlanty, pocieszyła się dopiero zapewnieniem, że ksiądz, który przyjedzie pobłogosławić Willa i Zuelę, będzie mógł także odprawić nabożeństwo nad grobem Geralda. To głównie ona przeciwstawiła się zawezwaniu protestanckich pastorów z sąsiedztwa i wreszcie oddała sprawę w ręce Ashleya, zakreślając mu w książce ustępy, które miał przeczytać. Ashley, opierając się teraz o stary sekretarzyk Ellen, czuł, że powinien zapobiec awanturze, ale znając łatwo zapalne temperamenty sąsiadów, nie wiedział, jak ma postąpić.

— Nie ma na to rady, Will — powiedział wreszcie, wodząc dłonią po jasnych włosach. — Nie mogę podnieść ręki na babcię Fontaine ani na starego McRea, nie mogę też zamknąć ust pani Tarleton. Powiedzą prawdopodobnie, że Zuela jest zbrodniarką i zdrajczynią i że gdyby nie ona, pan O'Hara żyłby dotąd. Niech diabli wezmą ten zwyczaj przemówień nad grobem. To barbarzyństwo.

— Słuchaj, Ashley — rzekł wolno Will. — Nie mam zamiaru słuchać wyrzutów w stosunku do Zueli, nie dbam też o to, co oni myślą. Zostaw mnie tę sprawę. Gdy skończysz odprawianie modlitwy i powiesz: „Może by ktoś z obecnych chciał wypowiedzieć parę słów” — spójrz na mnie, a ja wtedy zacznę pierwszy.

Scarlett, patrząc na trudności żałobników przy przenoszeniu trumny przez wąską furtkę cmentarza, nie przewidywała wcale możliwości awantur po pogrzebie. Z ciężkim sercem myślała, że grzebiąc Geralda zrywa jedno z ostatnich ogniw łączących ją z dawnymi czasami szczęścia i beztroski.

Wreszcie mężczyźni postawili trumnę tuż nad grobem i stanęli z boku rozprostowując zbolałe palce. Ashley, Melania i Will wsunęli się także i stanęli za córkami Geralda. Ci z sąsiadów, którzy mogli się przedostać, stanęli za nimi, reszta zaś — za niskim murem. Scarlett widząc ich właściwie teraz po raz pierwszy, zdziwiła się i wzruszyła liczbą obecnych. Ładnie było z ich strony, że przyjechali, tym bardziej, że brakło środków lokomocji. Zebrało się około sześćdziesięciu osób, niektórzy z tak daleka, że dziwiła się, jak mogli się tak szybko dowiedzieć o śmierci Geralda. Zjawiły się całe rodziny z Jonesboro, Fayetteville i Lovejoy, i garstka murzyńskiej służby. Przyszli mali farmerzy zza rzeki, małorolni z lasów i ludzie z moczarów. Mieszkańcy moczarów byli szczupłymi, brodatymi olbrzymami w samodziałach i czapkach oposowych; na ramionach mieli strzelby, policzki ich zaś były wypchane tytoniem do żucia. Razem z nimi przyszły ich żony, bosymi nogami mocno stąpając po ziemi. Twarze ich pod czepkami były blade i malaryczne, ale czysto wymyte, a świeżo wyprasowane perkalowe suknie błyszczały krochmalem.

Bliżsi sąsiedzi stawili się wszyscy bez wyjątku. Babcia Fontaine, zwiędła, pomarszczona i żółta jak stary oskubany ptak, opierała się na lasce, za nią zaś stały Sally Munroe-Fontaine i młoda pani Fontaine. Usiłowały szeptami i ciągnięciem za spódnicę zmusić staruszkę, aby usiadła na murku. Męża babci, starego doktora, nie było przy niej. Umarł przed dwoma miesiącami i od tego czasu ogniki złośliwej radości życia znikły na zawsze ze starych oczu babci. Kasia Calvert-Hilton stała osobno, jak przystało osobie, której mąż przyczynił się do tragedii Geralda — w spłowiałym czepku, który zasłaniał jej pochyloną twarz. Scarlett z przerażeniem stwierdziła, że na perkalowej sukni Kasi widać tłuste plamy i że ręce jej są pokryte piegami i brudne. Miała nawet czarne paznokcie! Nie widać było na Kasi ani śladu dobrego pochodzenia. Wyglądała jak „biała nędza”, byle jak, niedbale, tandetnie.

„Jeszcze tylko brakuje, aby zażywała tabaki — pomyślała Scarlett ze zgrozą. — Boże miłosierny! Jaki to upadek!”

Wzdrygnęła się odwracając oczy od Kasi, bo uświadomiła sobie, jak wąska jest granica między dobrze urodzonymi plantatorami a „białą nędzą”.

„Gdyby nie mój tupet, i ja bym tak wyglądała — pomyślała i wezbrała w niej duma, bo przypomniała sobie, że ona i Kasia były po kapitulacji w takim samym położeniu. Jedynym ich kapitałem były gołe ręce i własny rozum. — Nie poszło mi znowu tak źle” — pomyślała wysuwając naprzód podbródek i uśmiechając się do siebie.

Uśmiech znikł jednak natychmiast z jej twarzy, gdy poczuła na sobie zgorszone spojrzenie pani Tarleton. Oczy jej były zaczerwienione od łez; od Scarlett odwróciła się teraz ku Zueli i wzrok jej, zły i gniewny, nic dobrego nie wróżył. Za nią i za jej mężem cisnęła się czwórka dziewcząt, których ogniste loki wyglądały dziwnie krzykliwie na tle tego posępnego zgromadzenia. Brązowe ich oczy ciągle jeszcze były ogniste i niebezpieczne jak oczy młodych zwierząt.

Tupot nóg ustał. Teraz odsłonięte głowy, spleciono ręce i obciągnięto po raz ostatni spódnice, Ashley zaś wysunął się naprzód z modlitewnikiem Kariny w ręce. Przez chwilę stał bez ruchu, z oczami wlepionymi w ziemię, a promienie słońca grały na jego złotych włosach. Wśród zgromadzonych zapadło głębokie milczenie, tak głębokie, że słychać było wyraźnie suchy szelest liści magnoliowych poruszanych wiatrem, daleki zaś, monotonny głos drozda rozbrzmiał głośno i smutnie. Gdy Ashley zaczął czytać modlitwy, pochyliły się wszystkie głowy; z ust jego płynęły krótkie i uroczyste słowa, wymawiane dźwięcznym i pięknie modulowanym głosem.

„Och — pomyślała Scarlett ze ściśniętym gardłem. — Jakiż on ma piękny głos! Skoro już musi się ktoś modlić za ojca, rada jestem, że robi to Ashley. Wolę go od księdza. Wolę, aby ojca żegnał ktoś bliski niż jakiś nieznajomy”.

Kiedy Ashley doczytał do zaznaczonych przez Karinę modlitw o duszach czyścowych, zamknął nagle książkę. Zauważyła to tylko Karina i spojrzała na niego zdumiona, bo zaczął teraz Ojcze Nasz. On jednak wiedział, że połowa obecnych nigdy nie słyszała o czyśćcu, ci zaś, którzy o nim wiedzieli, uznaliby za zniewagę osobistą przypuszczenie choćby w modlitwie, że człowiek tak wspaniały jak Gerald O'Hara nie poszedł wprost do nieba. Ze względu więc na opinię publiczną Ashley opuścił wszelkie aluzje do czyśćca. Zgromadzeni żarliwie przyłączyli się do modlitw, głosy ich wszakże zamarły w zakłopotanym milczeniu, gdy Ashley zaczął odmawiać Zdrowaś Maryja. Nigdy tej modlitwy nie słyszeli, spoglądali więc ukradkiem po sobie, gdy córki Geralda, Melania i Murzynki z Tary odpowiadały: „Módl się za nami, teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen”.

Po chwili Ashley podniósł głowę i stał bez ruchu, niezdecydowany. Oczy sąsiadów spoczywały na nim w oczekiwaniu — wszyscy poprawili się na swoich miejscach, spodziewając się długotrwałych obrzędów. Nie przypuszczali, że to już może być koniec modlitw. Pogrzeby w powiecie trwały zawsze długo. Pastorzy metodystów i baptystów, którzy odprawiali nabożeństwa, nie mieli określonych modlitw, ale improwizowali zależnie od okoliczności i doprowadzali zgromadzonych do łez, a osierocone kobiety do szlochów. Sąsiedzi byliby zmartwieni, oburzeni i nawet zgorszeni, gdyby te krótkie modlitwy miały starczyć za całe nabożeństwo nad grobem ich przyjaciela, Ashley zaś dobrze o tym wiedział. Sprawę tę roztrząsano by przy posiłkach przez długie tygodnie i cały powiat byłby zdania, że córki Geralda nie okazały pamięci ojca należnego szacunku.

Ashley rzucił więc szybkie spojrzenie na Karinę i skłaniając znów głowę zaczął recytować z pamięci anglikańskie modlitwy pogrzebowe, które często odmawiał nad grobami niewolników w Dwunastu Dębach.

— Ja jestem Zmartwychwstaniem i Życiem... i ktokolwiek... wierzy we mnie, żyć będzie wiecznie.

Nie przypominał sobie wszystkiego od razu, mówił więc wolno, z przerwami, czekając, aż zdania modlitwy nasuną mu się na pamięć. Słowa, odmierzane tak skąpo, były bardziej wzruszające, więc i ci z obecnych, którzy dotąd mieli suche oczy, zaczęli teraz sięgać po chusteczki. Będąc gorliwymi metodystami czy baptystami, przekonani byli, że nabożeństwo jest katolickie, zmienili więc teraz poprzednie swoje zdanie, że obrzędy katolickie są chłodne i sztywne. Scarlett i Zuela także niczego nie spostrzegły i uważały, że słowa, które słyszą, są piękne i pokrzepiające. Tylko Melania i Karina zorientowały się, że nad grobem wierzącego katolika, Irlandczyka, odprawia się anglikańskie modły, Karina zaś była zbyt zbolała i zbyt dotknięta zdradą Ashleya, by móc mu przeszkodzić.

Skończywszy, Ashley otworzył szeroko smutne szare oczy i rozejrzał się po tłumie. W pewnej chwili, gdy wzrok jego spoczął na Willu, zapytał: — Czy ktoś z państwa zechce wygłosić parę słów?

Pani Tarleton drgnęła nerwowo, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Will wystąpił naprzód i stając przy trumnie zaczął przemawiać.

— Przyjaciele — mówił swym równym, niskim głosem — wyda wam się może, że przemawiając pierwszy wynoszę się ponad innych... ja, który znałem pana O'Harę tylko rok, gdy wy znaliście go lat przeszło dwadzieścia. Ale mam usprawiedliwienie. Gdyby pan O'Hara żył choćby o miesiąc dłużej, miałbym go prawo nazywać ojcem.

Obecni drgnęli ze zdumienia. Byli zbyt dobrze wychowani, aby szeptać między sobą, zaczęli jednak przestępować z nogi na nogę i patrzeć na pochyloną głowę Kariny. Wszyscy wiedzieli o skrytej miłości Willa do niej. Mimo że widział kierunek ich spojrzeń, Will ciągnął dalej, jak gdyby niczego nie zauważył:

— A więc, ponieważ mamy się pobrać z panną Zuelą, jak tylko przyjedzie tu ksiądz z Atlanty, uważałem, że mam prawo przemawiać pierwszy.

Ostatnia część jego zdania zatonęła w nikłym syku, który przeszedł przez tłum, w gniewnym szumie. W dźwięku tym brzmiało rozczarowanie i oburzenie. Wszyscy lubili Willa, wszyscy szanowali go za to, co zrobił dla Tary, i znali jego uczucia dla Kariny, wiadomość więc, że ma się teraz żenić z pariaską okolicy, bardzo ich wzburzyła. Dobry poczciwy Will miałby się żenić z tą złośliwą, podstępną Zuelą?

Przez chwilę atmosfera była napięta. Oczy pani Tarleton rzucały błyski, wargi powtarzały jakieś bezdźwięczne słowa. W milczeniu dał się słyszeć piskliwy głos starego pana McRae, który prosił swego wnuka, aby mu powiedział, co się stało. Will patrzył na zgromadzonych, jeszcze spokojny, ale w jasnoniebieskich jego oczach jarzyło się wyzwanie dla osoby, która by się ośmieliła powiedzieć coś złego o jego przyszłej żonie. Przez sekundę ważyły się szale między szczerym szacunkiem, jaki wszyscy mieli dla Willa, a pogardą dla Zueli. Will wreszcie zwyciężył. Ciągnął dalej, jak gdyby pauza jego była zupełnie naturalna.

— Nie znałem pana O'Hary w młodości, jak wy wszyscy. Kiedy go poznałem, był miłym starszym panem, już niezbyt zdrowym. Słyszałem jednak od wszystkich po trosze, jaki był dawniej. I chcę to tylko powiedzieć: był odważnym Irlandczykiem, prawdziwym dżentelmenem z Południa i najbardziej lojalnym z konfederatów. Są to trzy najlepsze rzeczy, jakie można o kimś powiedzieć. I trudno się spodziewać, abyśmy mieli w przyszłości wielu podobnych do niego, ponieważ czasy, które tworzyły ludzi tego pokroju, minęły z nim razem. Urodził się w obcym kraju, ale był gorętszym georgijczykiem niż którykolwiek z nas. Żył naszym życiem, kochał naszą ziemię i jeżeli się nad tym głębiej zastanowić, umarł za naszą sprawę jak żołnierz. Był jednym z nas i miał te same co my wady, te same zalety, miał tę samą siłę co my i takież przywary. Zaletą jego było, że nic go nie mogło zawrócić z raz obranej drogi i że nie bał się nikogo na świecie. Nie mogła go pokonać żadna zewnętrzna przeciwność. Nie zląkł się angielskich władz, które chciały go powiesić. Po prostu wziął nogi za pas i opuścił ojczyznę. A kiedy przyjechał zupełnie biedny do naszego kraju, także nie bał się niczego. Zaczął pracować i dorobił się majątku. Nie bał się zapuścić w te okolice, chociaż były częściowo dzikie i choć dopiero niedawno wypędzono stąd Indian. Pustkowie przeistoczył w wielką plantację. A kiedy przyszła wojna i pieniądze jego zaczęły topnieć, nie bał się ponownej biedy. A kiedy Jankesi przeszli przez Tarę i chcieli spalić mu dom, nie był ani wylękniony, ani się nie poniżył. Wystąpił odważnie i trzymał się swego. Dlatego mówię, że posiadał wszystkie nasze zalety. Nic z zewnątrz i nas nie potrafi pokonać. Miał jednak te same co my wady, ponieważ łatwo go było dotknąć śmiertelnie od wewnątrz. Chcę powiedzieć, że to, czego cały świat nie mógł zrobić, uczyniło własne jego serce; został pokonany. I człowiek, który chodził między nami, był już innym człowiekiem.

Will przerwał i oczy jego powędrowały wolno po kręgu twarzy. Tłum stał w gorącym słońcu, wczarowany w ziemię. Nie pamiętali już o oburzeniu na Zuelę. Will spojrzał na chwilę na Scarlett i oczy jego ledwie dostrzegalnie drgnęły w kącikach, jak gdyby chciał się do niej uśmiechnąć zachęcająco. Scarlett, która walczyła ze łzami, poczuła się pokrzepiona. Słowa Willa cechował zdrowy rozsądek, nie klepał idiotyzmów o spotkaniu na innym i lepszym świecie i poddaniu się woli Boga, Scarlett zaś zawsze czerpała siłę i pociechę ze wskazań zdrowego rozsądku.

— Nie chciałbym też, abyście go potępiali za jego chwile słabości. Wszyscy my tutaj, i ja, i wy, jesteśmy do niego podobni. Przechodzimy te same upadki. Nic, co żywe, nie może nas złamać, tak samo jak jego złamać nie mogło — ani Jankesi, ani Carpetbaggerzy, ani ciężkie czasy, ani wysokie podatki, ani nawet przymieranie głodem. Ta jednak słabość, która kryje się w naszych sercach, może nas pokonać w mgnieniu oka. Nie zawsze strata ukochanej istoty jest tego przyczyną, jak było w przypadku pana O'Hary. Mechanizm każdego człowieka działa inaczej. I chcę to jeszcze powiedzieć — uważam, że lepiej, gdy ludzie, których wewnętrzna sprężyna pękła, przestają żyć. Nie ma dla nich miejsca w obecnych czasach na ziemi, i szczęśliwsi są po śmierci... Dlatego sądzę, że nie mamy powodu opłakiwać teraz pana O'Hary. Opłakiwać go należało, kiedy Sherman tędy przechodził i kiedy stracił panią O'Hara. Teraz, gdy ciało jego połączyło się z jego sercem, nie uważam, abyśmy powinni go żałować, bo byłoby to samolubne z naszej strony! A mówię to ja, który kochałem go jak własnego ojca..! Sądzę, że nikt nie będzie miał nic przeciw temu, by nie było więcej przemówień. Rodzina jest zbyt zbolała, aby ich słuchać, i lepiej jej tego oszczędzić.

Will przerwał i odwracając się do pani Tarleton powiedział przyciszonym głosem: Czyby pani nie mogła z łaski swojej odprowadzić Scarlett do domu? Nie powinna stać tak długo na słońcu. I starsza pani Fontaine, jeżeli wolno mi to powiedzieć, także nie wygląda zbyt dobrze.

Zdumiona nagłym przejściem Willa ze wspomnień o Geraldzie na jej osobę, Scarlett zaczerwieniła się z zakłopotania, tym bardziej że wszyscy na nią spojrzeli. Dlaczego Will podkreślił tą swoją troskliwością jej tak widoczną ciążę? Rzuciła mu oburzone i zawstydzone spojrzenie, ale pod spokojnym jego wzrokiem opuściła oczy. „Zrób to dla mnie — mówił jego wzrok. — Wiem, co robię”.

Postępował jak pan domu, nie chcąc więc robić scen, Scarlett zwróciła się bezradnie do pani Tarleton, która wzięła ją pod ramię zapominając o Zueli.

— Chodź ze mną do domu, kochanie.

Na twarzy jej ukazał się wyraz łagodnego, życzliwego zainteresowania i Scarlett musiała pozwolić poprowadzić się przez tłum, który się przed nią rozstępował. W miarę jak przechodziła, rozlegały się współczujące szepty i wyciągały się ręce, aby ją przyjaźnie pogłaskać. Kiedy zrównała się z babcią Fontaine, stara pani wyciągnęła do niej chudą dłoń i powiedziała: — Podaj mi ramię, dziecko — dodając z groźnym spojrzeniem na Sally i młodą panią Fontaine: — Nie, wy nie idźcie ze mną. Nie potrzebuję was teraz.

Przeszły wolno przez tłum, który zamknął się za nimi, i poszły cienistą dróżką w stronę domu, a pomocna dłoń pani Tarleton tak mocno podtrzymywała Scarlett za łokieć, że bez mała unosiła ją w górę.

— Dlaczego Will to zrobił? — zawołała Scarlett ze wzburzeniem, gdy oddaliły się tak, że nikt już jej słyszeć nie mógł. — To tak jakby powiedział: ,,Popatrzcie na nią! Ona spodziewa się dziecka!”

— Ależ na Boga, przecież to prawda — rzekła pani Tarleton. — Will dobrze zrobił. Głupio byłoby z twojej strony, gdybyś stała na słońcu i naraziła się na zemdlenie czy poronienie.

— Willa nie obchodziło w tej chwili zdrowie Scarlett — rzekła babcia trochę zadyszana, drepcząc przez ogród w stronę ganku. Na twarzy jej ukazał się gorzki, domyślny uśmiech. — Will jest sprytny. Chciał się pozbyć mnie i ciebie, Beatrice, znad grobu. Bał się tego, co mogłybyśmy powiedzieć, i wiedział, że tylko w ten sposób może się od nas uwolnić. I jeszcze mu na czymś zależało. Nie chciał, aby Scarlett słyszała, jak grudki ziemi spadają na trumnę. I miał rację. Pamiętaj o tym, Scarlett, jak długo nie słyszysz tego dźwięku, nie masz wrażenia, że zmarły odszedł bezpowrotnie. Kiedy to jednak usłyszysz... To jest najstraszniejszy, najbardziej ostateczny dźwięk na ziemi... Pomóż mi wejść na schodki, dziecko, a ty, Beatrice, podaj mi rękę. Scarlett jej wcale nie potrzebuje, ja zaś, jak Will zauważył, nie czuję się zbyt dobrze... Will wiedział, że byłaś ulubienicą swego ojca, i nie chciał ci rozstania z nim jeszcze utrudniać. Uważał, że dla twoich sióstr będzie to łatwiejsze. Zuelę podtrzymuje wstyd, a Karinę — wiara. Ty jedna nie masz żadnej podpory, prawda, dziecko?

— Nie — odrzekła Scarlett wprowadzając staruszkę na schodki, lekko zdziwiona prawdą, brzmiącą w drżącym starczym głosie. — Nigdy nie miałam żadnej podpory poza matką.

— Ale kiedy ją straciłaś, przekonałaś się, że potrafisz stać sama, co? Widzisz, są ludzie, którzy tego nie potrafią. Ojciec twój należał do nich. Will ma rację. Nie żałuj go. Nie mógł żyć bez Ellen i szczęśliwy jest tam, gdzie teraz odszedł. Tak samo i ja będę szczęśliwa, gdy połączę się z doktorem Fontaine.

Mówiąc to nie oczekiwała słów pociechy. Mówiła tak żywo i naturalnie, jak gdyby mąż jej żył i był w Jonesboro — i dzieliła ich od siebie krótka droga bryczką. Babcia była zbyt stara i zbyt wiele widziała w życiu, aby bać się śmierci.

— Ale... i pani potrafi stać bez podpory — rzekła Scarlett. Staruszka rzuciła na nią bystre spojrzenie.

— Tak, ale to czasami bardzo niewygodne.

— Niech pani posłucha, babciu — przerwała pani Tarleton — nie powinna pani w ten sposób rozmawiać ze Scarlett. Jest już i tak dość przygnębiona. Zmęczenie podróżą tutaj, ciasna suknia i upał — to dość przyczyn, aby wywołać poronienie, niech więc pani z nią na dodatek nie rozmawia o rzeczach bolesnych i smutnych.

— Do stu piorunów! — zawołała Scarlett z irytacją. — Ja nie należę do tych chorowitych kobiet, które ronią!

— Tego nigdy nie można wiedzieć — rzekła pani Tarleton ostrzegawczo. — Straciłam pierwsze dziecko, kiedy zobaczyłam, jak byk bodzie jednego z naszych Murzynów i... czy pamiętasz naszą kasztankę, Nelly? Na pozór była to najzdrowsza klacz pod słońcem, ale była tak nerwowa i wrażliwa, że gdybym jej nie pilnowała...

— Cicho już, Beatrice — rzekła babcia. — Scarlett nie poroni, mogę się założyć. Usiądźmy tutaj w hallu, gdzie chłodniej. Tu jest trochę przewiewu. A teraz idź, Beatrice, i przynieś nam po szklance maślanki, jeżeli znajdziesz w kuchni. Albo lepiej zajrzyj do spiżarni i sprawdź, czy nie ma wina. Napiłabym się kieliszek. Posiedzimy tu trochę, póki ludzie nie przyjdą się pożegnać.

— Scarlett powinna się położyć do łóżka — upierała się pani Tarleton wodząc po niej doświadczonym wzrokiem osoby, która umie obliczać ciążę do ostatniej chwili jej trwania.

— Idź już — rzekła babcia trącając ją końcem laski. Pani Tarleton skierowała się do kuchni, po drodze zrzucając kapelusz na kredens i przygładzając wilgotne rude włosy.

Scarlett rozparła się wygodnie w krześle i odpięła dwa górne guziki ciasnego stanika. W wysokim hallu było chłodno i mroczno, a lekki przewiew od otwartych na przestrzał drzwi był bardzo orzeźwiający po słonecznym upale. Popatrzyła przez hali do salonu gdzie niedawno jeszcze spoczywał Gerald, potem odrywając od niego myśli, spojrzała na kominek, na pocięty bagnetami portret babci Robillard. Widok jej postaci o wysoko upiętej fryzurze, półnagich piersiach i pogardliwym wyrazie oczu, podziałał na nią jak zwykle krzepiąco.

— Nie wiem, co dotknęło Beatrice Tarleton boleśniej, strata synów czy koni — rzekła babcia Fontaine. — Jak wiesz, nigdy szczególnie nie kochała Jima ani dziewcząt. Ona także należy do ludzi, o których mówił Will. Pękła główna sprężyna jej życia. Czasem dziwię się, że nie stało się z nią to samo co z twoim ojcem. Była najszczęśliwsza, gdy konie i dzieci rodziły się koło niej, a teraz, kiedy żadna z jej córek nie wyszła za mąż i nie ma już nadziei na złapanie dla niech mężów w tym powiecie, nie ma już nic, co by ją interesowało. Gdyby nie miała serca wielkiej damy, byłaby po prostu wulgarna... Czy Will powiedział prawdę mówiąc, że się żeni z Zuelą?

— Tak — przytaknęła Scarlett patrząc starej pani prosto w oczy. Boże święty, jakże dobrze pamiętała czasy, gdy bała się śmiertelnie babci Fontaine! Od tego czasu bardzo dorosła i teraz potrafi jej powiedzieć, żeby się nie wtrącała w nie swoje sprawy.

— Mógłby znaleźć coś lepszego — rzekła babcia szczerze.

— Czy rzeczywiście? — zapytała Scarlett lodowato.

— Nie mów do mnie tym tonem, panienko — rzekła cierpko stara pani. — Nie mam zamiaru napadać na twoją szanowną siostrę, chociaż zrobiłabym to, gdybym została na cmentarzu. Chciałam to tylko powiedzieć, że wobec braku mężczyzn w okolicy Will mógłby się ożenić teraz z każdą prawie panną. Mamy tu cztery postrzelone Tarletonówny, panny Munroe i panny McRae...

— Will żeni się z Zuelą i nie ma o czym mówić.

— Powinna być zadowolona, że go zdobyła.

— To Tara raczej powinna być zadowolona.

— Kochasz to miejsce, prawda?

— Tak.

— Czy tak bardzo, że godzisz się, aby twoja siostra wyszła za człowieka niższej sfery, byleby Tara miała dobrego dziedzica?

— Za człowieka niższej sfery — rzekła Scarlett, zdumiona tą myślą. — Sfera? Cóż za znaczenie ma sfera, jeżeli dziewczyna dostaje męża, który potrafi się nią opiekować?

— To rzecz dość sporna — rzekła staruszka. — Niektórzy ludzie powiedzieliby, że mówisz bardzo rozsądnie. Inni twierdziliby, że usuwasz przegrody, których nie powinno się zniżyć ani o cal. Will nie pochodzi z tak dobrej sfery jak część twojej rodziny.

Jej przenikliwe stare oczy spoczęły na portrecie babki Robillard.

Scarlett pomyślała o Willu, chudym, niepozornym, łagodnym, zawsze żującym słomkę. Wygląd jego, jak i większości małorolnych, nie świadczył o dobrej rasie. Will nie miał za sobą długiego szeregu przodków, bogatych, wybitnych, dobrze urodzonych. Pierwszy z jego rodziny, którego stopa stanęła w Georgii, należał może do osiedleńców Oglethorpe'a lub emigrantów, pańszczyźnianych włościan. Will nie chodził do gimnazjum. Całym jego wykształceniem była czteroletnia nauka w szkole w jego zaścianku. Był uczciwy, oddany, cierpliwy i pracowity, ale z pewnością nie był dobrze wychowany. Według miary rodziny Robillardów Zuela niewątpliwie popełniała mezalians.

— A więc pogodziłaś się z tym, że Will będzie członkiem twojej rodziny?

— Tak — odrzekła Scarlett zapalczywie, gotowa do wybuchu za pierwszym słowem potępienia ze strony pani Fontaine.

— Możesz mnie pocałować — rzekła niespodzianie babcia i uśmiechnęła się. — Dotąd nie bardzo cię lubiłam, Scarlett. Już jako dziecko byłaś twardym orzechem do zgryzienia, ja zaś nie lubię twardych kobiet, poza sobą oczywiście. Podoba mi się jednak sposób, w jaki godzisz się z życiem. Nie przejmujesz się rzeczami, na które nie ma rady, nawet jeżeli nie są dla ciebie przyjemne. Przeszkody bierzesz łatwo, jak dobry koń.

Scarlett uśmiechnęła się niepewnie i posłusznie cmoknęła nadstawiony jej, pomarszczony policzek. Przyjemnie było znowu słyszeć pochwały, chociaż niezbyt rozumiała ich znaczenie.

— Dużo będzie w powiecie ludzi, którzy cię skrytykują, że pozwalasz Zueli wyjść za Willa — chociaż wszyscy go tutaj lubią. Powiedzą jednym tchem, że to bardzo przyzwoity człowiek i że to straszne, iż panna O'Hara wychodzi za mąż za człowieka ze złej rodziny. Ty się tym jednak nie przejmuj.

— Nie przejmuję się nigdy tym, co ludzie mówią.

— Słyszałam o tym. — W starym głosie było nieco złośliwości. — Nie zwracaj zatem uwagi na to, co ludzie powiedzą. To z pewnością będzie bardzo dobre małżeństwo. Pewnie, że Will przez całe życie będzie wyglądał jak małorolny i że Zuela nie wpłynie na poprawę jego akcentu. I choćby nawet zarobił całą górę pieniędzy, nigdy nie doda Tarze takiego blasku jak twój ojciec. Małorolni nie mają tego we krwi. Will jednak jest w sercu dżentelmenem. Ma dobre odruchy. Tylko urodzony dżentelmen mógł tak dokładnie zrozumieć, czego nam wszystkim brak i powiedzieć to tak wyraźnie, jak on teraz nad grobem. Świat cały nie zdoła nas pokonać, gubimy się jednak sami przez zbyt mocne pragnienie rzeczy, których już nie posiadamy — i przez zbyt uporczywe życie wspomnieniami! Tak, Will będzie bardzo dobry dla Zueli i dla Tary.

— A zatem pochwala pani moją zgodę na ich małżeństwo?

— Na Boga, nie! — Stary głos był zmęczony i gorzki, ale mocny. — Chciałabyś, abym pochwaliła wchodzenie małorolnych w stare rodziny? Czyż mogę pochwalić kojarzenie kuca z arabem? O tak, małorolni są dobrzy, solidni i uczciwi, ale...

— Ale powiedziała pani przecież, że będzie to dobrane małżeństwo! — zawołała Scarlett w zdumieniu.

— Och, sądzę, że małżeństwo z Willem jest szczęściem dla Zueli — małżeństwo w ogóle — bo bardzo już potrzebuje męża. A gdzież by mogła kogoś innego złapać? Gdzież byś ty mogła znaleźć tak dobrego rządcę dla Tary? Nie znaczy to jednak, że podoba mi się ta sytuacja. Tak samo jak nie podoba się tobie.

„Mnie się przecież podoba — —myślała Scarlett starając się pojąć znaczenie słów staruszki. — Jestem bardzo szczęśliwa, że Will żeni się z Zuelą. Dlaczego babcia przypuszcza, że mam coś przeciwko temu? Dlaczego uważa, że krzywię się na te tak samo jak ona?”

Była zdziwiona i trochę zawstydzona, jak zwykle, gdy ludzie przypisywali jej uczucia i motywy, które żywili sami.

Babcia powachlowała się przez chwilę liściem palmowym i żywo ciągnęła dalej: — Nie pochwalam tego związku tak samo jak ty, ale jestem tak samo jak ty praktyczna. Jeżeli zaś ma się zdarzyć coś, czemu nie można zapobiec, nie widzę sensu w płaczu i sarkaniu. Nie można w ter sposób ustosunkowywać się do niespodzianek życia. Wiem o tym, bo i moja rodzina, i rodzina doktora dość ich przeżyły. Jeżeli mamy teraz jakąś dewizę życiową, to chyba tylko tę: „Nie rozpaczaj — uśmiechaj się i czekaj sposobnej chwili”. Przetrwaliśmy w ten sposób niejedno, uśmiechając się i czekając na lepsze czasy, i możemy się już uważać za biegłych w przetrzymywaniu. Stawialiśmy zawsze na złe konie. Uciekliśmy z Francji z hugonotami, z Anglii z Kawalerami, ze Szkocji z dobrym księciem Karolem, z Haiti wypędzili nas Murzyni, teraz zaś zwyciężyli nas Jankesi. Zawsze jednak po kilku latach byliśmy górą. A czy wiesz dlaczego?

Podniosła głowę; Scarlett pomyślała, że staruszka jest podobna do starej, wścibskiej papugi.

— Nie, nie wiem — odparła grzecznie. Była jednak szczerze znudzona, tak samo jak w dniu, gdy babcia wspominała powstanie Indian.

— A więc dlatego, że skłaniamy się przed tym, co nieuniknione. Nie jesteśmy podobni do pszenicy, lecz do hreczki. Kiedy nadciąga burza, łamie przede wszystkim dojrzałą pszenicę, która jest sucha i niełatwo się chyli. Dojrzała hreczka ma jednak w sobie wiele soku i chyli się z łatwością. A kiedy wiatr przechodzi, podnosi się prawie tak wysoko jak przedtem. Nie należymy do ludzi o sztywnych karkach. Jesteśmy bardzo giętcy, gdy wieją silne wiatry, bo wiemy, że giętkość się opłaca. Kiedy nadchodzi zawierucha, chylimy się przed nieuniknionym bez narzekań, pracujemy, uśmiechamy się i czekamy sposobnej chwili. Zadajemy się z gorszymi od siebie i bierzemy od nich, ile się da. A gdy stajemy się znowu mocni, kopiemy ludzi, na których karkach wspięliśmy się w górę. Na tym, moje dziecko, polega tajemnica przetrwania. — I po pauzie dodała: — Powierzam ci ją.

Zachichotała, jak gdyby mimo goryczy swoich słów była nimi ubawiona. Popatrzyła na Scarlett w oczekiwaniu odpowiedzi, Scarlett jednak słuchała nieuważnie, więc nie przychodziło jej teraz nic na myśl.

— Tak, tak — ciągnęła babcia — ludzie do nas podobni uginają się, ale zawsze powstają. Nie można tego jednak powiedzieć o wszystkich z naszego otoczenia. Popatrz na Kasię Calvert. Zobacz, jak nisko upadła. Jest na poziomie „białej nędzy”! Stoi niżej od swego męża. Spójrz na rodzinę McRae. Zupełnie przybici, bezradni, nie wiedzą, co robić, nie wiedzą, do czego się zabrać. Nawet się o to nie starają. Spędzają życie w żalu za przeszłością. I spójrz na... spójrz na prawie wszystkich w tym powiecie, z wyjątkiem mojego Aleksa, Sally, ciebie, Jima Tarletona i jego córek, i kilku innych osób. Cała reszta poszła na dno, bo nie miała w sobie żywotności, nie miała tupetu, aby powstać znowu. Ludzie ci mieli pieniądze i Murzynów, teraz więc, kiedy tego nie mają, w ciągu jednej generacji schodzą do rzędu małorolnych.

— Zapomniała pani o Wilkesach.

— Nie, nie zapomniałam. Pomyślałam tylko, że będę taktowna i nie wspomnę o nich, ponieważ Ashley jest gościem w twoim domu. Skoro jednak ty napomknęłaś o nich — przypatrz im się dobrze! India, wedle tego, co mówią, jest już zasuszoną starą panną, stroi się we wdowie piórka, bo poległ Stuart Tarleton, i nie stara się już nawet o męża. Pewnie, że jest niemłoda, ale mogłaby znaleźć sobie może jakiegoś wdowca z rodziną, gdyby się o to postarała. Biedna Honey zawsze uganiała się za chłopcami jak oszalała i miała nie więcej rozumu od kury. Jeżeli zaś chodzi o Ashleya, to przyjrzyj mu się tylko!

— Ashley jest bardzo szlachetnym człowiekiem! — powiedziała Scarlett z zapałem.

— Ależ tak, rozumie się, ale jest niezaradny jak żółw leżący na grzbiecie. Jeżeli rodzina Wilkesów przetrwa te ciężkie czasy, będzie to zasługą Meli, nie Ashleya.

— Meli? Boże święty, babciu! Co też pani mówi? Dość długo mieszkałam z Melą pod jednym dachem, aby wiedzieć, że jest chorowita, lękliwa i tak mało przedsiębiorcza, że sobie muchy nie odgoni sprzed nosa.

— A dlaczegóż by się miała zajmować odganianiem much? Zawsze mi się to wydawało stratą czasu. Może nie umie odganiać much sprzed nosa. Potrafi się jednak przeciwstawić światu, rządowi jankeskiemu lub czemukolwiek, co zagraża jej Ashleyowi, jej dziecku czy jej zasadom przyzwoitości. Nie robi tego tak jak ty, Scarlett, lub ja. Tak jak Mela, postępowałaby twoja matka, gdyby żyła... Mela przypominała mi zawsze twoją matkę, kiedy była młoda... Możliwe, że uda się jej podtrzymać rodzinę Wilkesów.

— Och, Mela jest dobrą, głupiutką istotką. A pani jest bardzo niesprawiedliwa dla Ashleya. On...

— Ech, zawracanie głowy! Ashley był wychowany na to, aby czytać książki i nic poza tym nie robić. To człowiekowi nie pomaga do wydostania się ze ślepego zaułka, w jakim jesteśmy teraz wszyscy. Słyszałam, że jest najgorszym rolnikiem w całym powiecie! Porównaj go tylko z moim Aleksem! Przed wojną Aleks był najbardziej rozleniwionym dandysem pod słońcem i myślał wyłącznie o nowych krawatach, o pijatykach, bójkach i uganianiu się za dziewkami. Ale spójrz na niego teraz! Nauczył się gospodarować, bo musiał. Inaczej umarłby z głodu, a z nim i my wszyscy. Teraz rodzi mu się najlepsza bawełna w całym powiecie — tak, panienko! Sto razy lepsza od bawełny w Tarze! I wie, jak doglądać świń i drobiu. Ha! To dobry chłopak, mimo swoich humorów. Potrafi czekać na odpowiednią chwilę i zmieniać się wraz ze zmieniającymi się warunkami, a kiedy nędza rekonstrukcji skończy się wreszcie, zobaczysz, że mój Aleks będzie bogatym człowiekiem, jak ojciec jego i dziadek. Ale Ashley...

Scarlett pieniła się, że babcia krytykuje Ashleya.

— To wszystko mówi mi bardzo mało — powiedziała chłodno.

— Bardzo się temu dziwię — odparła babcia patrząc na nią przenikliwie. — Bo ty robisz dokładnie to samo, od czasu gdy wyjechałaś do Atlanty. O, tak! Słyszymy o twoich sprawkach, mimo żeśmy zakopani na wsi. Ty się także zmieniłaś. Słyszymy tutaj, że przestajesz z Jankesami, białą hołotą i zbogaconymi Carpetbaggerami i ciągniesz od nich pieniądze. Podobno jesteś bardzo praktyczna. I trzymaj się tego dalej, mówię ci. Wydostawaj z nich, ile możesz, ale kiedy zbierzesz dość pieniędzy, kopnij ich mocno, bo już nie będą ci potrzebni. Nie zapomnij jednak tego zrobić, bo błoto na połach płaszcza zaszkodzi ci tylko.

Scarlett popatrzyła na nią z czołem zmarszczonym z wysiłku, aby zrozumieć jej słowa. Jeszcze ciągle nie pojmowała ich dobrze i ciągle jeszcze była zła, że babcia nazwała Ashleya niezaradnym jak żółw na grzbiecie.

— Sądzę, że jest pani niesprawiedliwa dla Ashleya — powiedziała krótko.

— Scarlett, jesteś niemądra.

— Tak się pani zdaje? — powiedziała Scarlett niegrzecznie, żałując, że nie można na starsze panie podnieść ręki.

— Och, dobrze sobie radzisz w sprawach pieniężnych. To jest zaradność męska. Ale wcale nie masz mądrości właściwej kobiecie. Nie znasz się na ludziach ani trochę.

Oczy Scarlett zaczęły rzucać ognie, a dłonie jej zaciskać się w pięści.

— Pochwaliłam cię i rozzłościłam, prawda? — zapytała z uśmiechem staruszka. — Tego właśnie chciałam.

— Och, naprawdę? Chciała pani tego? A dlaczego to, jeżeli wolno spytać?

— Miałam dużo ważnych powodów.

Babcia rozparła się lepiej w krześle i Scarlett nagle uświadomiła sobie, że jest nieskończenie stara i bardzo zmęczona. Małe, szponiaste dłonie złożone na wachlarzu były żółte i woskowe jak dłonie trupa. Złość opuściła Scarlett, bo przyszło jej coś na myśl. Pochyliła się i wzięła jedną z dłoni babci w obie swoje.

— Jest pani bardzo kochanym kłamcą — powiedziała. — Nie myślała pani tego wszystkiego na serio. Rozmawiała pani ze mną, bo chciała pani odwrócić moje myśli od papy.

— Nie przymilaj się do mnie! — zawołała babcia zrzędnie, wyrywając jej rękę. — Częściowo w tym celu, częściowo dlatego, żeby ci powiedzieć prawdę, tylko ty jesteś za głupia, by to zrozumieć.

Uśmiechnęła się jednak i słowa jej nie były już tak ostre. Scarlett przestała się gniewać na nią z powodu Ashleya. Przyjemnie jej było, że babcia nie mówiła serio.

— Dziękuję pani za to. Ładnie z pani strony, że porozmawiała pani ze mną, i zadowolona jestem, że myśli pani to co ja na temat Willa i Zueli, mimo że... mimo że inni go krytykują.

Pani Tarleton wróciła do hallu niosąc w szklankach maślankę. Nie nadawała się do takich rzeczy, płyn przelewał się ze szklanek.

— Musiałam schodzić po to aż do piwnicy — powiedziała — wypijcie szybko, bo ludzie już wracają z cmentarza. Scarlett, czy naprawdę pozwalasz, aby Zuela wyszła za Willa? On jest wprawdzie sto razy za dobry dla niej, ale pochodzi z małorolnych i...

Scarlett spojrzała na babcię. W starych oczach zaświecił złośliwy ogieniek i taki sam pojawił się w młodych.

## ROZDZIAŁ XLI

Kiedy przebrzmiały ostatnie pożegnania i ucichł turkot kół i tętent kopyt, Scarlett weszła do kantorku Ellen i spomiędzy pożółkłych papierów na półeczkach sekretarzyka wyjęła błyszczący przedmiot, który ukryła tam poprzedniego dnia. Słysząc, że Pork nakrywając do stołu w jadalni pociąga głośno nosem, zawołała go. Wszedł do pokoju przygnębiony i smutny jak bezpański pies.

— Pork — powiedziała surowo. — Jeżeli nie przestaniesz płakać, ja... ja... zacznę także. Musisz przestać.

— Tak, p'sze pani. Staram się, ale ile razy pomyślę o panu Geraldzie i...

— No, więc nie myśl już teraz. Mogę znieść łzy wszystkich dokoła, tylko nie twoje. Czy nie rozumiesz tego? — dodała łagodnie. — Nie mogę znieść twoich łez, bo wiem, jak bardzo kochałeś ojca. Wydmuchaj sobie nos, Pork. Mam dla ciebie prezent.

Jakaś iskierka zaświeciła w oczach Murzyna, gdy posłusznie ucierał nos, ale była to raczej uprzejmość niż zainteresowanie.

— Czy pamiętasz tę noc, gdy cię postrzelono podczas okradania kurników?

— Na Boga, Miss Scarlett! Ja nigdy...

— Owszem, kradłeś, więc nie zapieraj się tego teraz, po tak długim czasie. Pamiętasz, że ci przyrzekłam zegarek za to, żeś był nam tak oddany?

— Tak, p'sze pani, pamiętam. Zdawało mi się, że pani zapomniała.

— Nie, nie zapomniałam: oto zegarek.

Podała mu masywny złoty zegarek, z monogramem na kopercie i dewizką, z której zwieszały się breloki i pieczątki.

— Boże drogi, Miss Scarlett! — krzyknął Pork. — Przecież to zegarek pana Geralda! Widziałem z milion razy, jak na niego spoglądał!

— Tak, to ojca zegarek, Pork. Daruję go tobie. Weź go.

— Och nie! — Pork cofnął się ze zgrozą. — To jest zegarek białego dżentelmena, i w dodatku pana Geralda! Dlaczego pani mówi, że mi go pani daruje? Ten zegarek należy się małemu Wade'owi.

— Należy się tobie. Cóż Wade Hamilton zrobił dla ojca? Czy doglądał go, kiedy był chory i słaby? Czy kąpał go, ubierał i golił? Czy był przy nim, kiedy przyszli Jankesi? Czy kradł dla niego? Nie bądź głupi, Pork. Ty najwięcej ze wszystkich zasłużyłeś na zegarek i wiem, że ojciec byłby zadowolony, że dałam go tobie. Bierz...

Podniosła czarną dłoń Porka i położyła na niej zegarek. Pork patrzył nań z szacunkiem; z wolna na jego twarzy zaczął rozlewać się zachwyt.

— Więc to naprawdę dla mnie, Miss Scarlett?

— Tak, rozumie się.

— No więc... dziękuję pani.

— Czy chciałbyś, abym zabrała zegarek do Atlanty do grawera?

— A co to takiego ten grawer? — Głos Porka brzmiał podejrzliwie.

— To człowiek, który by wyrył na odwrocie napis, coś w rodzaju: „Porkowi — rodzina O'Hara... w podzięce za wierną służbę”.

— Nie, p'sze pani, dziękuję bardzo. Już mniejsza o ten napis. — Pork cofnął się o krok, mocno ściskając w ręku zegarek.

Nieznaczny uśmieszek zaigrał na wargach Scarlett.

— O co ci chodzi, Pork? Czy nie dowierzasz mi, że go przywiozę z powrotem?

— Owszem, wierzę pani, tylko, no, może pani zmienić zamiar.

— Ależ skądże znowu!

— No, to mogłaby go pani sprzedać. Pewnie wart jest kupę pieniędzy.

— Czy sądzisz, że sprzedałabym zegarek papy?

— Tak, p'sze pani, gdyby pani potrzebne były pieniądze.

— Za to warto by cię wybić, Pork. Powinnam ci odebrać zegarek.

— Nie, p’sze pani, nie zrobi pani tego! — Pierwszy blady uśmiech ukazał się na strapionej twarzy Murzyna. — Ja panią znam... i, Miss Scarlett?

— Co, Pork?

— Gdyby pani była dla białych ludzi w połowie tak dobra jak dla Murzynów, sądzę, że świat lepiej by panią traktował.

— Traktuje mnie i tak dobrze — powiedziała. — A teraz idź, znajdź pana Ashleya i powiedz mu, że chcę z nim tutaj porozmawiać.

Ashley usiadł w małym foteliku Ellen i długie jego ciało przytłoczyło zupełnie delikatny mebel. Scarlett ofiarowała mu połowę udziałów w tartaku. Nie spojrzał na nią ani razu i nie przerwał jej ani słowem. Siedział bez ruchu, patrząc na swoje ręce, obracając je powoli, przyglądając się najpierw dłoni, potem jej wierzchowi, jak gdyby widział je po raz pierwszy w życiu. Mimo ciężkiej pracy pozostały jeszcze szczupłe i nerwowe, były też wyjątkowo dobrze utrzymane, jak na ręce rolnika.

Jego pochylona głowa i uporczywe milczenie bardzo zmieszały Scarlett, podwoiła więc wysiłki, aby zainteresować go tartakiem. Uciekła się też do najwdzięczniejszych uśmiechów i spojrzeń, na jakie ją było stać, wszystko jednak szło na marne, bo Ashley nie podnosił oczu. Gdybyż chociaż na nią popatrzył! Nie wspomniała wcale o tym, że wie od Willa o jego zamiarze wyjazdu na Północ, i mówiła tak, jak gdyby zakładała, że nie ma żadnych przeszkód, aby zgodził się na jej plan. On jednak wciąż nic nie mówił, więc wreszcie słowa jej utonęły w milczeniu. Usta miał zacięte w sposób niepokojący. Niemożliwe przecież, aby odmówił! Jakież mógłby mieć powody do odmowy?

— Ashleyu — zaczęła znowu i przerwała. Nie chciała użyć swojej ciąży jako argumentu, przykro jej było, że Ashley widzi ją tak zniekształconą i brzydką, ale ponieważ inne argumenty nie zdawały się robić na nim wrażenia, postanowiła ciążę i swoją bezradność wygrać jako ostatnią kartę.

— Musisz przenieść się do Atlanty. Potrzebuję teraz koniecznie twojej pomocy, bo nie mogę się zajmować tartakami. Upłyną miesiące, zanim znowu będę mogła, bo... widzisz... no, bo...

— Proszę cię! — powiedział ostro. — Na Boga, Scarlett!

Wstał i szybko podszedł ku oknu; stał odwrócony do niej plecami, przyglądając się kaczkom, uroczystym szeregiem sunącym przez podwórze.

— Czy dlatego... dlatego nie chcesz na mnie patrzeć? — zapytała żałośnie. — Wiem, że wyglądam...

Odwrócił się błyskawicznie i szare jego oczy spojrzały na nią tak przenikliwie, że aż dech w niej zamarł.

— A cóż to ma za znaczenie! — powiedział gwałtownie. — Wiesz, że dla mnie jesteś zawsze piękna.

Ogarnęło ją uczucie takiego szczęścia, że aż łzy napłynęły jej do oczu.

— Jak to ładnie z twojej strony, żeś to powiedział! Tak się wstydziłam, że widzisz mnie taką...

— Ty się wstydzisz? Dlaczego byś się miała wstydzić? To ja powinienem palić się ze wstydu — i robię to zresztą. Gdyby nie moja głupota, nie znalazłabyś się w tym położeniu. Nie wyszłabyś nigdy za Franka. Nie powinienem był ci pozwolić wyjeżdżać z Tary zeszłej zimy. Och, jakimże ja głupcem byłem! Powinienem był cię zrozumieć, wiedzieć, że jesteś w rozpaczy, w takiej rozpaczy, że... powinienem był... powinienem... — Twarz jego sposępniała.

Serce Scarlett zabiło mocno. Żałował, że z nią wtedy nie uciekł!

— Powinienem był przynajmniej ruszyć się z miejsca i raczej obrabować kogoś lub zabić, a zdobyć pieniądze na podatki dla ciebie, która nas przygarnęłaś do siebie bez grosza! Och, wszystko jest moją winą!

Serce jej ścisnęło się z zawodu. Uleciała z niego radość, bo spodziewała się innych słów.

— Pojechałabym tak czy owak — powiedziała ze znużeniem. — Nie mogłabym ci na nic podobnego pozwolić. A zresztą to już się stało.

— Tak, już się stało — rzekł z goryczą. — Minie nie pozwoliłabyś zrobić nic takiego, ale potrafiłaś się sprzedać człowiekowi nie kochanemu i rodzisz mu dziecko, abym ja z rodziną nie umarł z głodu. To szlachetne z twojej strony, że tak osłaniasz moją niezaradność.

Drgnienie jego głosu świadczyło o tym, że boli go jeszcze nie zagojona rana; zawstydziła się tymi jego słowami. Zauważył to od razu i złagodniał.

— Nie przypuszczasz chyba, że cię potępiam? Na miłość boską, Scarlett! Nie. Jesteś najodważniejszą kobietą, jaką znam. Ja siebie potępiam.

Odwrócił się znowu do okna. Ramiona jego zwisały bezradnie. Scarlett przez długą chwilę czekała w milczeniu, w nadziei, że Ashley znowu zacznie mówić o jej piękności, że wypowie parę słów, które by mogła przechowywać jak skarb. Nie widziała go od bardzo dawna i żyła tylko wspomnieniami, trochę już zatartymi. Wiedziała, że jeszcze ją kocha. Mówił o tym każdy jego ruch, każda gorzka, pełna potępienia dla samego siebie uwaga, ból, że Scarlett będzie matką dziecka Franka, tak bardzo chciała, aby ubrał to w słowa, chciała sama coś takiego powiedzieć, co wywołałoby wyznanie, nie miała jednak odwagi. Pamiętała obietnicę, daną mu zeszłej zimy w sadzie, że nigdy więcej nie będzie mu się narzucała. Ze smutkiem powiedziała sobie, że musi tej obietnicy dotrzymać, jeżeli chce, by Ashley został przy niej. Jeden okrzyk miłości czy rozpaczy, jedno spojrzenie wyrażające tęsknotę za jego objęciem, a sprawa przepadnie na zawsze. Ashley pojedzie wtedy do Nowego Jorku. Nie może do tego dopuścić.

— Och, Ashleyu, nie potępiaj się tak surowo! Jakże to może być twoją winą? Prawda, że przeniesiesz się do Atlanty, aby mi pomagać?

— Nie.

— Ależ, Ashleyu — głos jej zaczął się łamać z rozczarowania i udręki — ja przecież na ciebie liczyłam. Potrzebny mi jesteś bardzo. Frank nie może mi pomagać. Zajęty jest sklepem. Jeżeli ty nie przyjedziesz, nie wiem, jak sobie poradzę! Wszyscy zdolniejsi ludzie w Atlancie zajęci są własnymi sprawami, reszta jest do niczego i...

— Nic na to nie poradzę, Scarlett.

— Więc pojechałbyś raczej do Nowego Jorku i żył między Jankesami, niż przeniósł się do Atlanty?

— Kto ci o tym powiedział? — Odwrócił się i popatrzył na nią ze zmarszczonym z przykrości czołem.

— Will.

— Tak, postanowiłem jechać na Północ. Stary znajomy, z którym byłem w Europie przed wojną, zaproponował mi posadę w banku swego ojca. Tak będzie lepiej, Scarlett. Na nic nie mógłbym ci się zresztą przydać. Nie znam się na handlu drzewem.

— Ale na bankowości znasz się równie mało, a jest znacznie trudniejsza! Ja zaś będę daleko pobłażliwsza dla ciebie niż Jankesi!

Zmarszczył się; zrozumiała, że nie powinna była tego powiedzieć. Odwrócił się i znowu spoglądał oknem.

— Nie chcę, abyś była dla mnie pobłażliwa. Chcę być oceniany według swoich zasług. Czego dotąd dokonałem w życiu? Czas już, abym coś ze sobą zrobił... lub poszedł na dno z własnej winy. Już dość długo jestem na twoim utrzymaniu.

— Ależ ja ci ofiarowuję połowę udziału w tartaku, Ashleyu! Staniesz na własnych nogach, bo to przecież będzie twoje własne przedsiębiorstwo.

— Wyjdzie na to samo. Nie kupuję przecież tego udziału. Dostaję go w prezencie. Już za dużo darowałaś mi, Scarlett — utrzymanie, dach nad głową i nawet odzież dla mnie, Melanii i dziecka. A nic ci nie daję w zamian.

— Och, to nieprawda! Will nie mógłby...

— Umiem już teraz nieźle rąbać drwa.

— Och, Ashleyu! — krzyknęła z rozpaczą i łzy stanęły jej w oczach, gdy usłyszała te pełne ironii słowa. — Co się z tobą stało od czasu mego wyjazdu? Taki jesteś twardy i zgorzkniały. Dawniej nigdy taki nie byłeś.

— Co się stało? Bardzo ważna rzecz, Scarlett. Dużo myślałem. Nie wydaje mi się, abym naprawdę myślał od czasu kapitulacji do chwili twego wyjazdu z Tary. Byłem w stanie letargu i wystarczyło mi, że mam co jeść i gdzie spać. Kiedy jednak ty pojechałaś do Atlanty i podjęłaś się zadania mężczyzny, spostrzegłem się, że ja znaczę mniej niż przeciętny mężczyzna — a nawet mniej niż kobieta. Myśli takie nie są przyjemnym towarzystwem, toteż chciałbym się ich szybko pozbyć. Inni mężczyźni wyszli z wojny gorzej niż ja, a przypatrz im się teraz. Postanowiłem więc pojechać do Nowego Jorku.

— Ależ ja ciebie nie rozumiem! Jeżeli chcesz pracować, dlaczego nie wolisz Atlanty od Nowego Jorku? A mój tartak...

— Nie, Scarlett. To moja ostatnia nadzieja. Pojadę na Północ. Jeżeli przeniosę się do Atlanty i będę pracował u ciebie, zgubiony będę na zawsze.

Słowo „zgubiony — zgubiony — zgubiony” — zabrzmiało w jej sercu przerażająco, jak dzwon pogrzebowy. Szybko spojrzała mu w oczy, szeroko otwarte, szare jak kryształy, i patrzące poprzez nią w dal, na przeznaczenie jakieś, którego nie widziała i nie rozumiała.

— Zgubiony? Czy chcesz powiedzieć, że zrobiłeś coś, za co Jankesi w Atlancie mogą cię uwięzić? Myślę — za pomoc w ucieczce Tonia czy... czy... Och, Ashleyu, nie należysz chyba do Ku-Klux-Klanu, prawda?

Dalekie jego spojrzenie wróciło ku niej; uśmiechnął się lekko.

— Zapomniałem, że ty wszystko zawsze rozumiesz dosłownie. Nie, nie obawiam się Jankesów. To miałem na myśli, że jeżeli pojadę do Atlanty i przyjmę pomoc od ciebie, pogrzebię na zawsze nadzieję usamodzielnienia się kiedykolwiek w życiu.

— Och — odetchnęła z ulgą — jeżeli tylko ci o to chodzi!

— Tak — i uśmiechnął się znowu, bardziej jeszcze martwo niż przedtem. — Tylko o to. Chodzi tylko o moją męską dumę, o szacunek dla samego siebie i jeżeli pozwolisz to tak nazwać, o moją nieśmiertelną duszę.

— Ale — przeszła szybko na inny tor — mógłbyś stopniowo odkupywać ode mnie tartak, który należałby wtedy tylko do ciebie i...

— Scarlett — przerwał gwałtownie — mówię ci, że nie! Są jeszcze inne powody.

— Jakie?

— Znasz je lepiej niż ktokolwiek inny.

— Och... o to ci chodzi? Ale z tym nie będzie kłopotu — zapewniła go szybko. — Przyrzekłam ci to przecież zeszłej zimy w sadzie i przyrzeczenia swego dotrzymam.

— Jesteś wobec tego bardziej pewna siebie niż ja. Ja nie mógłbym być pewien, że takiej obietnicy dotrzymam. Nie powinienem był tego powiedzieć, ale chciałem, żebyś mnie zrozumiała. Scarlett, nie chcę o tym więcej mówić. To rzecz postanowiona. Po ślubie Willa z Zuelą przeniosę się do Nowego Jorku.

Gdy patrzył na nią, w jego oczach malowało się silne wzburzenie, po chwili szybko przeszedł przez pokój. Dłoń jego była już na klamce. Scarlett patrzyła na niego w rozpaczy. Rozmowa była skończona, przegrała. Nagle jednak, wyczerpana przeżyciami i bólem minionego dnia i obecnym rozczarowaniem, przestała panować nad sobą i krzyknęła: — Och, Ashleyu! — i rzucając się na zapadniętą kanapę, wybuchła szalonym płaczem.

Usłyszała, że Ashley niepewnie odchodzi od drzwi i że bezradnym głosem powtarza raz po raz jej imię. Rozległ się szybki tupot stóp biegnących przez hali od kuchni i do pokoju wpadła Melania z oczami rozszerzonymi niepokojem.

— Scarlett... czy dziecko...?

Scarlett ukryła głowę w zakurzonych poduszkach i zaczęła szlochać.

— Ashley... on jest taki niedobry! Taki wstrętny!

— Ashleyu, co się stało? — Melania rzuciła się na podłogę przy kanapie i otoczyła Scarlett ramieniem. — Coś jej powiedział? Jakżeś mógł! Mogła przedwcześnie urodzić! Słuchaj, kochanie, oprzyj głowę na moim ramieniu! Co ci się stało?

— Ashley... on jest... taki uparty i uparty!

— Ashleyu, bardzo ci się dziwię! Jak możesz tak denerwować Scarlett, kiedy jest w poważnym stanie i ledwie ochłonęła po pogrzebie ojca!

— Nie krzycz na niego! — zawołała Scarlett niemądrze, podnosząc głowę tak nagłym ruchem, że włosy jej wysypały się z siatki i opadły na zalaną łzami twarz. — Ma prawo postępować, jak mu się podoba!

— Melu — powiedział Ashley, bardzo blady — pozwól, abym ci wytłumaczył. Scarlett była tak uprzejma, że ofiarowała mi posadę zarządzającego w jednym ze swoich tartaków...

— Zarządzającego! — zawołała Scarlett z oburzeniem. — Ofiarowałam mu połowę udziałów, a on...

— A ja odpowiedziałem jej, że ułożyłem już wszystko w związku z naszą przeprowadzką na Północ, ona zaś...

— Och — zawołała Scarlett i znowu zaczęła łkać — powtarzałam bez końca, jak bardzo mi jest potrzebny, jak nie mogę nikogo znaleźć, kto by zarządzał tartakiem, że wkrótce będę miała dziecko — a on mi odmówił! A teraz... teraz będę musiała sprzedać tartak, choć wiem, że nie dostanę przyzwoitej ceny, stracę pieniądze i znowu będziemy przymierali głodem, ale jego to nic nie obchodzi. On jest taki niedobry!

Znowu ukryła głowę na szczupłym ramieniu Melanii; i opuściła ją w pewnej mierze rozpacz, bo zbudziła się w niej iskierka nadziei. Wyczula, że w Melanii ma sprzymierzeńca, że Melania jest oburzona, iż ktoś, choćby jej ukochany mąż, mógł doprowadzić Scarlett do łez. Podbiegła do Ashleya jak mała nastroszona gołąbka i po raz pierwszy w życiu zaczęła mu robić wymówki.

— Ashleyu, jak mogłeś jej odmówić? Po tym wszystkim, co dla nas zrobiła! Jakże musimy się jej wydawać niewdzięczni! Jest taka bezradna z powodu cią... Jakie to nierycerskie z twojej strony! Ona nam pomogła, kiedy potrzebowaliśmy pomocy, a teraz ty jej swojej odmawiasz!

Scarlett spojrzała chyłkiem na Ashleya i zobaczyła na jego twarzy zdumienie i niepewność, gdy patrzył w ciemne, płonące oburzeniem oczy Melanii. Scarlett także była zaskoczona gwałtownością ataku Meli na Ashleya, ponieważ wiedziała, że Mela uważa swego męża za człowieka bez zarzutu, a postanowienia jego za równie nieomylne jak zrządzenia boskie.

— Melu — zaczął i opuścił bezsilnie ręce.

— Ashleyu, jakże się nawet możesz wahać? Pomyśl, co ona zrobiła dla nas — dla mnie! Umarłabym w Atlancie, kiedy urodził się Beau, gdyby nie ona! I ona... tak, zabiła w naszej obronie Jankesa. Czy wiedziałeś o tym? Zabiła dla nas człowieka. Pracowała i harowała przed zjawieniem się Willa i twoim powrotem do domu, abyśmy mieli co do ust włożyć. A kiedy pomyślę, jak orała i zbierała bawełnę, mogłabym po prostu... Och, moje kochanie! — Objęła Scarlett za głowę i całowała ją po włosach w przystępie gorącej czułości. — A teraz, kiedy po raz pierwszy prosi nas o coś...

— Nie potrzebujesz mi mówić, ile Scarlett dla nas zrobiła.

— Ale, Ashleyu, pomyśl tylko! Niezależnie od przysługi dla Scarlett, pomyśl tylko, jakie to dla nas będzie miało znaczenie, że będziemy mieszkali w Atlancie, między swoimi, a nie wśród Jankesów! Jest tam ciocia i wuj Henryk, i wszyscy nasi przyjaciele, Beau będzie miał mnóstwo kolegów i będzie mógł chodzić do szkoły. Gdybyśmy pojechali na Północ, nie mógłby chodzić do szkoły, aby nie spotykać się z dziećmi jankeskimi i nie mieć w klasie kolegów-Murzynów! Musielibyśmy mieć guwernantkę, a nie wiem, czy moglibyśmy sobie pozwolić...

— Melu — rzekł Ashley, a głos jego był śmiertelnie spokojny — czy rzeczywiście tak bardzo chcesz mieszkać w Atlancie? Nigdy nie mówiłaś mi o tym, kiedyśmy projektowali zamieszkanie w Nowym Jorku. Nigdy nie dałaś mi do zrozumienia...

— Och, ale kiedyśmy mówili o wyjeździe do Nowego Jorku, sądziłam, że nie znajdziesz sobie zajęcia w Atlancie, poza tym zaś nie uważałam za stosowne zabierać głosu. Obowiązkiem żony jest iść za mężem. Ale teraz, kiedy jesteśmy Scarlett potrzebni i możesz mieć posadę, do której tylko ty się nadajesz, możemy jechać do domu! Do domu!!! — Głos jej brzmiał zachwytem, gdy znowu ściskała Scarlett. — I znowu zobaczę Pięć Znaków i Brzoskwiniową i... i... Och, jakże ja za tym tęskniłam! I może będziemy mieli własny dom! Choćby malutki i nędzny, ale własny nasz dom!

Oczy jej płonęły entuzjazmem i radością. Scarlett i Ashley patrzyli na nią w zdumieniu, Ashley z dziwnym wyrazem twarzy, Scarlett z irytacją pomieszaną ze wstydem. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że Melania może tak bardzo tęsknić za Atlantą i tak bardzo pragnąć własnego domu. Wydawała się w Tarze tak zadowolona, że tęsknota jej za domem była dla Scarlett zupełną niespodzianką.

— Och, Scarlett, jak to szlachetnie z twojej strony, żeś to wszystko tak dobrze obmyśliła! Wiedziałaś chyba, jak tęsknię za domem!

Jak zwykle, kiedy Melania przypisywała jej wzniosłe pobudki, gdy nie należało szukać wzniosłości, Scarlett czuła się zakłopotana i zła i trudno jej było podnieść oczy na Ashleya i Melanię.

— Moglibyśmy znaleźć sobie malutki własny domek. Czy wiesz, że jesteśmy już pięć lat po ślubie, a jeszcześmy nie mieli własnego domu?

— Możecie zamieszkać z nami u ciotki Pitty. To jest wasz dom — mruknęła Scarlett bawiąc się poduszką i spuszczając oczy, aby ukryć w nich wyraz tryumfu, który zaświtał, gdy poczuła, że szala przechyla się na jej stronę.

— Nie, ale dziękuję ci w każdym razie za zaproszenie, kochanie. Byłoby nam za ciasno. Poszukamy sobie domu... Ashleyu, proszę cię, powiedz: „tak”!

— Scarlett — rzekł Ashley bezdźwięcznym głosem — popatrz na mnie.

Zdumiona podniosła głowę i spojrzała w jego szare oczy, pełne teraz goryczy, zmęczone i zrezygnowane.

— Scarlett, przeniosę się do Atlanty... Nie potrafię walczyć z wami obydwiema.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Poczucie tryumfu, który ją wypełniał, zostało przytłumione nagłym lękiem. Wyraz jego oczu przy ostatnich słowach był taki sam jak w chwili, gdy mówił, że będzie zgubiony, jeżeli przyjedzie do Atlanty.

Po ślubie Willa z Zuelą i wstąpieniu Kariny do klasztoru w Charlestonie, Ashley i Melania z synkiem przenieśli się do Atlanty, zabierając ze sobą Dilcey w charakterze kucharki i niani. Prissy z Porkiem zostali w Tarze do czasu, aż Will przyjmie do pomocy innych Murzynów, a potem i oni mieli się przeprowadzić do miasta.

Mały domek z cegieł, który Ashley wynajął dla swojej rodziny, stał przy ulicy Bluszczowej graniczącej z tyłami domu ciotki Pitty. Podwórka domów łączyły się ze sobą, oddzielone tylko przerośniętym żywopłotem z ligustrów. Melania wybrała ów dom właśnie z powodu sąsiedztwa. Pierwszego ranka po powrocie do Atlanty, gdy śmiejąc się i płacząc obejmowała Scarlett i ciotkę Pitty, powiedziała, że dość długo była z daleka od rodziny i że odtąd chciałaby być najbliżej swoich najdroższych.

Dom był niegdyś dwupiętrowy, ale po kapitulacji właściciel nie miał pieniędzy na odbudowanie drugiego piętra, zburzonego przez pociski w czasie oblężenia. Zadowolił się więc pokryciem pierwszego piętra płaskim dachem, przez co dom zyskał przysadkowaty, nieharmonijny wygląd mieszkania dla lalek, zbudowanego z pudełek od obuwia. Stał na wysokich fundamentach, miał obszerne piwnice, a wysokie schodki, które doń prowadziły, czyniły go trochę śmiesznym. Wady te jednak nie były zbyt widoczne, bo dom ocieniały dwa piękne dęby, a koło frontowych schodków rosła magnolia, ciężka od białych kwiatów. Trawnik był szeroki i zielony od gęstej koniczyny, obramowany nierównym, źle utrzymanym żywopłotem z ligustrów zmieszanych z wysokimi powojami o słodkim zapachu. Na trawniku kilka obłamanych krzaków róż wypuszczało nowe pędy, a białe mirty kwitły tak obficie, jak gdyby nie przeszła nad nimi wojna i konie jankeskie nie obgryzały ich gałązek.

Scarlett uznała dom Ashleyów za najbrzydsze miejsce na świecie, dla Melanii jednak był on piękniejszy nawet od Dwunastu Dębów z całą ich wspaniałością. Miała wreszcie własny dom — i Ashley, ona i mały Beau zamieszkali wreszcie pod własnym dachem.

India Wilkes wróciła z Macon, gdzie przebywała z Honey od r. 1864, aby zamieszkać razem z bratem, mimo ciasnoty małego domu. Ashley i Melania przyjęli ją bardzo serdecznie. Czasy zmieniły się, pieniędzy było mało, ale nic nie zmieniło zwyczaju Południa, że dla ubogich czy niezamożnych krewnych zawsze musi się znaleźć miejsce u rodziny.

Honey wyszła za mąż i, zdaniem Indii, popełniła mezalians, bo połączyła się ze „zwyczajnym” człowiekiem, pochodzącym znad Missisipi, który osiedlił się w Macon. Miał on czerwoną twarz, donośny głos, swobodny sposób bycia. India nie była zadowolona z tego związku i dlatego nie czuła się dobrze w domu szwagra. Z zadowoleniem przyjęła wiadomość, że Ashley ma teraz własny dom, bo mogła się wreszcie wyzwolić z nieprzyjemnego otoczenia i pozbyć się widoku siostry, tak niedorzecznie szczęśliwej z człowiekiem, który jej był niewart.

Reszta rodziny myślała w duchu, że chichocząca i ograniczona Honey zrobiła znacznie lepszą partię, niż można było przypuszczać, i wszyscy dziwili się, że w ogóle złapała męża. Mąż jej był dżentelmenem i człowiekiem dość zamożnym; Indii jednak, urodzonej w Georgii i wychowanej w tradycji wirgińskiej, każdy, kto nie pochodził z wschodniego wybrzeża, wydawał się chamem i barbarzyńcą. Mąż Honey był prawdopodobnie równie szczęśliwy, że pozbywa się towarzystwa szwagierki, bo wcale nie była w tych czasach miła w codziennym życiu.

Staropanieństwo wyryło już na niej ostateczne swe piętno. Miała lat dwadzieścia pięć i na tyle wyglądała, przestała się więc starać o podniesienie swoich wdzięków. Jasne jej, bezrzęse oczy spoglądały na świat ostro i bezwzględnie, a wąskie wargi były wyniośle skrzywione. Tchnęła teraz godnością i dumą, które, o dziwo, pasowały do niej lepiej niż sztuczna dziewczęca łagodność w czasach Dwunastu Dębów. Uważała się za wdowę. Wszyscy wiedzieli, że Stuart Tarleton byłby się z nią ożenił, gdyby nie poległ pod Gettysburgiem, otaczano ją więc szacunkiem należnym kobiecie, która mężczyznę zdobyła, choć nie wzięła z nim ślubu.

W sześciu pokojach małego domku na Bluszczowej stanęły wkrótce najlichsze sprzęty sosnowe i dębowe ze składu Franka, bo ponieważ Ashley był bez grosza i musiał kupować na kredyt, kupował tylko rzeczy najtańsze i najniezbędniejsze. Wprawiało to w zakłopotanie Kennedy'ego, który lubił Ashleya, Scarlett zaś doprowadzało do rozpaczy. Tak ona, jak i Frank daliby mu chętnie bez zapłaty najpiękniejsze mahonie i palisandry, jakie mieli, Wilkesowie jednak uparcie odmawiali ich przyjęcia. Dom ich był przygnębiająco nagi i brzydki i Scarlett martwiła się, że Ashley mieszka w pokojach pozbawionych dywanów i firanek. Nie zdawał się jednak zwracać uwagi na otoczenie, Melania zaś była dumna z pierwszego własnego domu. Scarlett umierałaby z upokorzenia, gdyby znajome odwiedzały ją w mieszkaniu bez portier, dywanów, poduszek i właściwej ilości krzeseł, filiżanek i łyżeczek, Melania jednak czyniła honory domu tak, jak gdyby pełen był grubych pluszowych portier i miękkich sof.

Mimo to wszakże, mimo widocznego zadowolenia, Melania nie czuła się dobrze. Urodzenie małego Beau zabrało jej zdrowie, a ciężka praca w Tarze pozbawiła resztek sił. Była tak chuda, że cienkie jej kości zdawały się przebijać białą skórę. Z daleka, podczas zabawy z dzieckiem w ogródku, wyglądała jak mała dziewczynka, bo talię miała nieprawdopodobnie cienką, biust i biodra tak płaskie jak mały Beau, a ponieważ nie miała dość próżności czy rozsądku (zdaniem Scarlett), aby wszywać falbanki pod stanik lub nosić turniurę, chudość jej była bardzo widoczna. Podobnie jak ciało, twarz jej była także szczupła i zbyt blada, a jedwabiste brwi, sklepione i delikatne jak czułki motyla, odcinały się zbyt ciemną linią od bezbarwnej skóry. W tej za małej twarzyczce oczy wydawały się zbyt duże, tym bardziej że stale były podkrążone, ale wyraz ich nie uległ zmianie od czasu szczęśliwego dzieciństwa Melanii. Wojna, stałe niedomagania i ciężka praca nie zdołały wpłynąć na jej pogodny spokój. Miała oczy szczęśliwej kobiety — kobiety, koło której mogą się przewalać burze nie zmącając wcale głębin jej istoty.

„Jakim cudem Mela ma takie oczy? — myślała Scarlett patrząc na nią z zazdrością. Wiedziała dobrze, że w jej oczach kryło się spojrzenie zgłodniałego kota. Co to powiedział kiedyś Rett o oczach Melanii — głupstwo jakieś, że podobne są do świec? O tak: że są jak dwa dobre uczynki wśród bezmiaru zła. Tak, były jak świece osłonięte od podmuchów wiatru, jak dwa łagodne światełka jarzące się szczęściem, że jest wreszcie w domu, między swoimi”.

Mały dom zawsze był pełen gości. Melania już jako dziecko była faworytką wszystkich i teraz miasto garnęło się, aby ją przywitać. Każdy przynosił jej jakieś upominki — bibeloty, obrazki, srebrne łyżki, lniane powłoczki, serwetki, dywaniki, drobiazgi uratowane przed Shermanem, które teraz darowywano jej z zapewnieniem, że jej się bardzo przydadzą.

Starzy panowie, którzy wojowali w Meksyku z jej ojcem, przychodzili w odwiedziny przyprowadzając innych, aby poznali „uroczą córkę starego pułkownika Hamiltona”. Dawne przyjaciółki jej matki także cisnęły się do niej, bo Melania okazywała starszym pełen uległości szacunek, bardzo przyjemny w tych strasznych czasach, kiedy młodzież najwidoczniej nie pamiętała o dobrym wychowaniu. Rówieśniczki jej, młode żony, matki i wdowy kochały ją, bo przeszła to samo co one, a nie zgorzkniała i zawsze ze współczuciem słuchała ich zwierzeń. Młodzież zjawiała się też, jak zwykle zjawia się tam, gdzie można się dobrze bawić i spotykać wszystkich znajomych.

Dokoła osoby Melanii, skromnej i taktownej, utworzyło się szybko kółko ludzi młodych i starych, reprezentujących resztki najlepszego przedwojennego towarzystwa Atlanty — ludzi, którzy choć zubożeli, byli dumni ze swego pochodzenia i nieprzejednani pod każdym względem. Wydawało się, jak gdyby towarzystwo Atlanty, rozproszone i zrujnowane przez wojnę, zdziesiątkowane śmiercią i oszołomione zmianą warunków życia, znalazło w Melanii punkt centralny, wokół którego mogło się odradzać.

Melania była młoda, ale miała w sobie wszystkie te zalety, które ta garstka nieprzejednanych ceniła — była biedna i dumna z biedy, odważna, wesoła, gościnna, dobra i nade wszystko wierna dawnym tradycjom. Melania nie chciała się zmienić, nie chciała nawet uznać, że istnieje potrzeba przystosowania się do zmienionego świata. Pod dachem jej miało się wrażenie, że dawne czasy wróciły, ludzie więc weseleli przy niej i czuli wzmożoną pogardę dla fali, która w szalonym pędzie wynosiła na powierzchnię życia Carpetbaggerów i świeżo wzbogaconych republikanów.

Patrząc w młodą twarz Melanii i widząc w niej niezłomną wierność dla dawnych dni, mogli zapomnieć na chwilę zdrajców ze swego własnego środowiska, którzy budzili w nich wściekłość, obawę, strapienie. A tych było bardzo wielu. Zdarzali się wśród nich ludzie z dobrych rodzin, doprowadzeni nędzą do rozpaczy, którzy przechodzili do obozu nieprzyjaciela, stawali się republikanami i przyjmowali z rąk zwycięzców posady, byle rodziny ich nie potrzebowały korzystać ze wsparcia. Zdarzali się byli żołnierze, którym brakło odwagi do odbudowania w długoletnim mozole swoich fortun. Ci młodzi ludzi szli pod wodzą Retta Butlera ręka w rękę z Carpetbaggerami i bogacili się przy pomocy nie najbardziej czystych metod.

Najgorsze jednak spośród zdrajców były córki niektórych najlepszych rodzin Atlanty. Panny te, które dorosły po kapitulacji, niejasno pamiętały wojnę, brakło im też zaciętości, która ożywiała starszych. Nie straciły mężów ani kochanków. Słabo pamiętały dawne bogactwo i wspaniałość, a jankescy oficerowie byli przystojni, dobrze ubrani, beztroscy... Wydawali szumne bale, jeździli pięknymi końmi i po prostu ubóstwiali dziewczyny z Południa! Traktowali je jak królowe, starali się nie urażać ich dumy, więc ostatecznie — dlaczego nie widywać się z nimi?

Byli o wiele bardziej pociągający od miejscowych kawalerów, ubranych nędznie, bardzo poważnych, ciężko pracujących i nie mających czasu na zabawę. Zdarzyło się więc, że kalka panien, ku rozpaczy krewnych, uciekło z jankeskimi oficerami. Istniały rodziny, w których bracia nie kłaniali się siostrom na ulicy i rodzice nigdy nie wymawiali imion córek. Na wspomnienie tych tragedii krew burzyła się w tych, których dewizą było: „Nie poddać się nigdy”. Zdaniem starszej generacji, Melania była doskonałym i zbawiennym przykładem dla młodych panien Atlanty. A ponieważ nie szczyciła się głośno swoimi cnotami, panienki uznawały ją i lubiły.

Melania nie zdawała sobie wcale z tego sprawy, że staje się osią nowego towarzystwa. Cieszyła się, że ludzie przychodzą do niej i zapraszają do kółek, klubów i towarzystw muzycznych. Atlanta była zawsze muzykalna i lubiła dobrą muzykę, chociaż inne miasta Południa zarzucały jej brak kultury. Teraz zaznaczył się wśród wszystkich wzrost zainteresowania sztuką, które tym bardziej wzmagało się, im czasy były cięższe i trudniejsze. Przy dźwiękach muzyki łatwiej było zapomnieć o zuchwałych czarnych twarzach na ulicach i niebieskich mundurach garnizonu.

Melania była trochę zakłopotana, gdy wybrano ją na przewodniczącą nowo założonego „Muzycznego Kółka Sobotniego”. Tłumaczyła sobie ten zaszczyt tym tylko, że umiała akompaniować wszystkim, nie wyłączając panien McLure, które upierały się, aby śpiewać duety, chociaż fałszowały niemiłosiernie.

Stało się to jednak dlatego, że potrafiła dyplomatycznie połączyć „Stowarzyszenie Harfiarek”, „Klub Śpiewaczy Męski” i „Towarzystwo Mandolinistek i Gitarzystek” z „Sobotnim Kółkiem Muzycznym”, tak że teraz Atlanta miała rzeczywiście dobrą muzykę. Zdaniem niektórych wykonanie „Dziewczęcia Cygańskiego” przez kółko o wiele przewyższało przedstawienie w Nowym Jorku i Nowym Orleanie. Kiedy Melanii udało się nakłonić „Stowarzyszenie Harfiarek” do przystąpienia do kółka, pani Merriweather oświadczyła paniom Meade i Whiting, że Melania powinna zostać prezeską. — Jeżeli dała sobie radę z harfiarkami, poradzi sobie ze wszystkimi — twierdziła pani Merriweather, która sama grała na organach w kaplicy metodystów i z tego powodu niewielkim szacunkiem darzyła harfy i harfiarki.

Melania została ponadto sekretarką „Towarzystwa Opieki nad Grobami Poległych” i „Kółka Szycia dla Wdów i Sierot Konfederacji”. Nowe te zaszczyty spadły na nią po burzliwym zebraniu tych dwóch towarzystw, które omal nie skończyły się awanturą i wypowiedzeniem wieloletnich przyjaźni. Zatarg wybuchł na tle tego, czy należy plewić chwasty na grobach żołnierzy Unii pochowanych obok żołnierzy Konfederacji. Wygląd opuszczonych grobów jankeskich paraliżował wysiłki pań, zmierzające do upiększenia grobów ich własnych poległych. W jednej chwili płomienie, które żarzyły się pod ciasnymi stanikami, rozgorzały żywo, i dwie organizacje poróżniły się i patrzyły na siebie zaczepnie. „Kółko Szycia” było za usuwaniem chwastów, panie z „Towarzystwa Opieki” sprzeciwiały się temu gwałtownie.

Pani Meade wyraziła poglądy tych ostatnich, wołając: — To ja miałabym wyrywać chwasty z grobów jankeskich? Z przyjemnością wyrzuciłabym wszystkich Jankesów na miejski śmietnik!

Na te grzmiące słowa członkinie obu towarzystw zerwały się z miejsc i wszystkie panie naraz zaczęły wypowiadać swoje zdania, których nikt nie słuchał. Zebranie odbywało się w salonie pani Merriweather i dziadek Merriweather, którego wygnano do kuchni, opowiadał później, że hałas przypominał granie dział przed bitwą pod Franklinem. I, dodał, wydawało mu się, że znacznie bezpieczniej było pod Franklinem niż na tym damskim sejmiku.

Melania w jakiś sposób przedostała się w środek podnieconego grona; głos jej zazwyczaj cichy, wybił się teraz ponad tumult. Gardło miała ściśnięte ze strachu, że ośmiela się zwracać do tak wzburzonego audytorium i głos jej drżał, ale nie przestawała wołać: — Proszę pań! — póki hałas nie ucichł.

— Chciałam powiedzieć... to znaczy, sądzę już od dawna, że... że nie tylko powinnyśmy powyrywać chwasty, ale zasiewać kwiaty na... Ja... mnie... wszystko jedno, co panie pomyślą, ale ilekroć zanoszę kwiaty na grób Karolka, zawsze zostawiam parę na najbliższej mogile nieznanego Jankesa. Wygląda... tak smutno!

Zamęt wybuchł na nowo, głośniejszy teraz, bo obie organizacje połączyły się i wołały jednomyślnie:

— Na grobie Jankesa! Och, Melu, jakże można! — Oni zabili Karolka! Omal nie zabili i ciebie! Przecież Jankesi mogli zabić Beau zaraz po urodzeniu! Chcieli was podpalić w Tarze.

Melania trzymała się kurczowo poręczy krzesła, aby nie upaść, bo prawie uginała się pod ciężarem wymówek, z którymi nigdy dotąd się nie spotkała.

— Och, moje panie. — zawołała. — Proszę, pozwólcie mi skończyć! Wiem, że nie mam prawa przemawiać w tej sprawie, bo poza Karolkiem nikt z moich najbliższych nie zginął na wojnie, a grób Karolka jest mi, Bogu dzięki, znany! Ale tyle jest między nami osób, które nie wiedzą, gdzie spoczywają ich synowie, mężowie czy bracia, i...

Głos jej załamał się. W pokoju zapanowało śmiertelne milczenie.

Oczy pani Meade przygasły. Po bitwie pod Gettysburgiem odbyła tam długą podróż, aby odnaleźć ciało Darcy'ego, ale nikt jej nie mógł powiedzieć, gdzie został pochowany. Prawdopodobnie w pośpiesznie wykopanym grobie w kraju nieprzyjaciela. Wargi pani Allan zadrżały. Mąż jej i brat wzięli udział w nieszczęsnej wyprawie Morgana na Ohio i ostatnie wiadomości o nich brzmiały, że padli gdzieś nad rzeką, podczas ataku kawalerii jankeskiej. Nie wiedziała, gdzie są pochowani. Syn pani Allison umarł w więzieniu na Północy, ona zaś, najbiedniejsza z biednych, nie była w stanie sprowadzić jego ciała do domu. Inne jeszcze panie wyczytały na listach poległych: „Zaginiony — prawdopodobnie zabity” i słowa te stanowiły ostatnią wiadomość o mężczyznach, których niegdyś żegnały przy wymarszu.

Teraz wszystkie zwróciły na Melanię oczy, mówiące wyraźnie: „Dlaczego otwierasz te rany? Nie zagoją się nigdy — nawet nie wiemy, gdzie spoczywają nasi ukochani”.

W milczącym pokoju głos Melanii przybrał na sile.

— Groby ich znajdują się gdzieś w kraju jankeskim i ach, jakie by to było straszne, gdybyśmy wiedziały, że Jankeski postanowiły ich nie dotykać i...

Pani Meade wydała cichy, straszny jęk.

— Ale jak by to było przyjemnie wiedzieć, że jakaś dobra Jankeska... Bo przecież muszą być i dobre Jankeski. Bez względu na to, co mówią ludzie, wszystkie nie mogą być złe. Jak przyjemnie byłoby wiedzieć, że wyrywają chwasty z mogił naszych chłopców i składają na nich kwiaty, chociaż to nieprzyjaciele. Gdyby Karolek umarł na Północy, byłabym spokojniejsza wiedząc, że ktoś... I nie dbam o to, co panie o mnie pomyślą — głos jej załamał się znowu — wystąpię z obydwu klubów i... będę wyrywała chwasty z wszystkich jankeskich grobów i sadziła na nich kwiaty, i... niech mnie ktoś spróbuje powstrzymać!

Rzuciwszy to ostatnie wyzwanie, Melania wybuchła płaczem i potykając się poszła w stronę drzwi.

Dziadek Merriweather, bezpieczny w męskim otoczeniu baru „Pod Współczesną Dziewczyną”, w godzinę później opowiedział Henrykowi Hamiltonowi, że po tych słowach wszystkie panie poczęły płakać i całować Melanię i że wydarzenie zakończyło się zapewnieniami o wzajemnej miłości i obraniem Melanii sekretarką obu towarzystw.

— No, i teraz będą wyrywały chwasty. Najgorsze jest, że Dolly zobowiązała się za mnie, że i ja chętnie im pomogę, bo mam niewiele do roboty. Nie mam nic przeciw Jankesom i uważam, że Melania miała rację, a nie żadna z tych wściekłych bab, ale żebym ja, w moim wieku i z moim ischiasem, miał wyrywać chwasty !!!

Melania należała do zarządu sierocińca i brała udział w zbiórce książek dla nowo założonego Towarzystwa Bibliotecznego. Nawet Towarzystwo Teatru Amatorskiego, które dawało przedstawienia raz na miesiąc, prosiło o jej współpracę. Była zbyt nieśmiała, aby występować, ale umiała szyć kostiumy nawet z worków, jeżeli nie było niczego innego pod ręką. Za jej sprawą uchwalono w Kółku Miłośników Szekspira, aby poza urywkami z dzieł poety czytać jeszcze wyjątki z pism Dickensa i Bulwera-Lyttona, nie zaś poematy Byrona, jak proponował pewien młody i zdaniem Melanii mało poważny młodzieniec.

W wieczory późnego lata jej mały, źle oświetlony domek był zawsze pełen gości. Nigdy nie starczało krzeseł dla wszystkich, często więc panie musiały siadać na stopniach ganku, a panowie na poręczach za nimi lub też na skrzyniach na trawniku przed domem. Czasem, gdy Scarlett widziała gości siedzących na trawie i pijących herbatę — jedyny poczęstunek, na jaki było Wilkesów stać — zastanawiała się, jak Melania może się zdobyć na tak bezwstydne obnażanie swojej biedy. Do czasu doprowadzenia domu ciotki Pitty do stanu przedwojennego, do czasu gdy będzie sobie mogła pozwolić na dobre wino, szynkę i zimne mięsiwa, nie miała zamiaru przyjmować gości — zwłaszcza tak dostojnych jak ci, którzy odwiedzali Melanię.

Generał John B. Gordon, wielki bohater Georgii, często bywał z rodziną u Wilkesów. Ojciec Ryan, ksiądz-poeta Konfederacji, zawsze składał im wizytę, gdy przejeżdżał przez Atlantę. Czarował zebranych swoim dowcipem, nie dawał się prosić i recytował swój „Miecz generała Lee” i nieśmiertelny „Zdobyty sztandar”, który zawsze wyciskał paniom łzy z oczu. Aleksander Stephens, były wiceprezydent Konfederacji, przychodził, ilekroć był w mieście, a kiedy rozchodziła się wiadomość o jego obecności u Melanii, dom zapełniał się ludźmi, którzy godzinami wsłuchiwali się w donośny głos wątłego inwalidy. Zwykle bywało jeszcze po kilkoro dzieci, drzemiących na kolanach rodziców lub czuwających, choć minęła pora kładzenia się na spoczynek. Wszyscy rodzice życzyli sobie, aby dzieci ich po latach mogły opowiadać, że całował je wielki wiceprezydent i że ściskały dłoń, która przewodziła Sprawie. Każda ważna osobistość trafiała do domu Wilkesów i niejednokrotnie spędzała tam noc. Narażało to na niewygodę mieszkańców małego domku: India musiała wtedy spać na sienniku w maleńkim pokoiku Beau, a Dilcey biegła przez podwórze do ciotki Pitty, aby pożyczyć kilka jaj na śniadanie — ale Melania przyjmowała gości z takim wdziękiem, jak gdyby mieszkała w pałacu.

Nie, Melania nie zdawała sobie sprawy, że ludzie skupiali się przy niej jak pod ukochanym, choć zdartym sztandarem. Była więc zdumiona i zakłopotana, gdy pewnego razu doktor Meade po mile spędzonym w jej domu wieczorze, gdy dobrze się spisał czytając rolę Makbeta, pocałował ją w rękę i tonem, którym dawniej wygłaszał przemówienia na rzecz świętej Sprawy, powiedział:

— Droga moja Melu, wizyta w twoim domu jest przyjemnością i zaszczytem, bo ty... i kobiety twego pokroju... jesteście sercem naszym, jedynym, co nam pozostało. Zabrano nam kwiat naszej młodzieży i śmiech naszych dziewcząt. Poderwano nam zdrowie, skrzywiono życie i zmieniono obyczaje. Zrujnowano nasze bogactwo, cofnięto kulturę o pięćdziesiąt lat, a na barki chłopców, którzy powinni być jeszcze w szkołach, i starców, którzy powinni się już grzać na słońcu, nałożono zbyt ciężkie brzemiona. Możemy się jednak odrodzić, bo mamy pośród nas serca takie jak twoje. Dopóki zaś to mamy, możemy Jankesom pozostawić całą resztę!

Dokąd figura jej nie przybrała takich rozmiarów, że nawet wielki szal ciotki Pitty przestał osłaniać ciążę, Scarlett często przemykała się z Frankiem przez podwórze i przyłączała do grupy zebranej na ganku Meli. Siadała zawsze w cieniu, gdzie nie było jej widać i skąd mogła bezpiecznie wpatrywać się w twarz Ashleya.

Tylko Ashley przyciągał ją do tego domu, bo rozmowy nudziły ją i przygnębiały. Zawsze obracały się dokoła ustalonych tematów; przede wszystkim mówiono o ciężkich czasach, po wtóre — o sytuacji politycznej, na ostatku zaś, niezmiennie o wojnie. Panie narzekały na drożyznę i pytały panów, czy dobre czasy kiedykolwiek wrócą. Wszechwiedzący panowie odpowiadali na to, że, owszem, wrócą na pewno i że to tylko kwestia czasu. Ciężkie czasy są zjawiskiem przejściowym. Panie wiedziały, że panowie kłamią, panowie zaś nie łudzili się, że panie o tym nie wiedzą. Mimo to kłamali dla dodania im i sobie otuchy, a panie udawały, że im wierzą. Wszyscy jednak doskonale zdawali sobie sprawę, że ciężki czasy będą trwały wiecznie.

Kiedy sprawa ciężkich czasów została omówiona, panie zaczynały o coraz wzmagającej się zuchwałości Murzynów, o występkach Carpetbaggerów i o upokorzeniu, jakie cierpią na widok jankeskich żołnierzy. Czy panowie są zdania, że Jankesi kiedykolwiek przerwą dzieło „rekonstrukcji” Georgii? Panowie z właściwym sobie optymizmem zapewniali, że rekonstrukcja minie bardzo szybko — to jest, jak tylko demokraci odzyskają prawo głosu. Panie były tak rozsądne, że nie pytały, kiedy to nastąpi. Kiedy załatwiono się z tematami politycznymi, zaczynała się rozmowa o wojnie.

Ilekroć spotykali się dwaj konfederaci, nie istniał dla nich inny temat rozmowy, kiedy zaś zbierało się kilku czy kilkunastu, było z góry do przewidzenia, że cała historia walk zostanie odświeżona w pamięci. Zawsze też bardzo istotną rolę w rozmowie odgrywało słówko „gdyby”.

— Gdyby Anglia nas uznała... Gdyby Davis zarekwirował wszystką bawełnę i przesłał ją do Anglii przed zacieśnieniem się blokady... Gdyby Longstreet wykonał rozkazy pod Gettysburgiem... Gdyby generał Stuart był wtedy, gdy go Marse Bob potrzebował... Gdybyśmy nie stracili Stonewalla Jacksona... Gdyby Vicksburg nie skapitulował... Gdybyśmy mogli przetrzymać jeszcze rok... — I zawsze: — Gdyby nie zastąpiono Johnstona Hoodem — lub: — gdyby zamiast Johnstona, zrobiono Hooda dowódcą Daltonu...

Gdyby! Gdyby! Ciche śpiewne głosy nabrzmiewały dawnym podnieceniem, gdy tak w ciemności rozmawiali żołnierze z piechoty, kawalerii, artylerii — przywołując wspomnienia dni, kiedy życie było bujne i dojrzałe, wspominając pełnię lata życia w tym ponurym zmierzchu jego zimy.

„Nie rozmawiają nigdy o niczym innym — myślała Scarlett. — Jedynie i wyłącznie o wojnie. Zawsze o wojnie. I o niczym innym nie będą rozmawiali aż do samej swojej śmierci”.

Rozglądała się dokoła, widziała małych, chłopców na kolanach ojców, z błyszczącymi oczyma przysłuchujących się opowiadaniom o wypadach nocnych, szalonych atakach kawaleryjskich, o chorągwiach zatykanych na okopach nieprzyjaciela. Słyszeli warczenie bębnów, dźwięk trąbek i hasła powstańcze, widzieli mężczyzn kulejących na deszczu, wlokących poszarpane sztandary.

„I nawet te dzieci nie potrafią nigdy mówić o niczym innym. Będą sądziły, że walka z Jankesami, otrzymywanie ran lub padanie na polu bitew było rzeczą wspaniałą, waleczną i bohaterską. Wszyscy lubią wspominać wojnę i rozmawiać o niej. Ja jednak nie lubię nawet o niej myśleć. Zapomniałabym najchętniej, gdybym mogła — ach, gdybym tylko mogła!”

Przysłuchiwała się z niechęcią, jak Melania opowiadała o Tarze robiąc ze Scarlett bohaterkę, bo stawiła czoło najeźdźcom i uratowała szablę Karola, jak chwaliła ją, że ugasiła pożar. Scarlett nie czuła dumy na wspomnienie tych spraw. Nie, nie miała ochoty w ogóle o nich pamiętać.

„Och, dlaczego nie potrafią zapomnieć? Dlaczego nie patrzą naprzód zamiast wstecz? Byliśmy szaleni, żeśmy prowadzili tę wojnę. I im prędzej o niej zapominamy, tym lepiej będzie dla nas…

Nikt jednak nie chciał zapomnieć, nikt prócz niej, była więc zadowolona, gdy mogła wreszcie Meli powiedzieć, że wstydzi się pokazywać ludziom nawet w ciemności. Mela, przewrażliwiona we wszystkich kwestiach dotyczących rodzenia dzieci, zrozumiała wymówkę od razu. Sama bardzo pragnęła drugiego dziecka, ale zarówno doktor Meade jak doktor Fontaine ostrzegli ją, że urodzenie go może przypłacić życiem. Tak więc, godząc się tylko w połowie z losem, spędzała długie godziny ze Scarlett, zastępczo radując się tą cudzą ciążą. Scarlett, która była niezadowolona ze zbliżającego się porodu i zirytowana, że przychodzi tak nie w porę, postawa Meli wydawała się szczytem sentymentalnej głupoty. Czerpała jednak pewno przewrotną przyjemność z tego, że wyrok doktorów uniemożliwia prawdziwą intymność między Ashleyem a jego żoną.

Scarlett widywała teraz Ashleya często, ale nigdy sam na sam. Wstępował do niej co wieczór po drodze z tartaku do domu, aby zdać jej sprawę ze zdarzeń dnia, zwykle jednak asystowała przy tym Pitty i Frank lub, co gorzej, Melania i India. Mogła zadawać mu tylko czysto rzeczowe pytania, poddawać pewne pomysły i potem mówić: — Ładnie z twojej strony, żeś wstąpił. Dobranoc.

Gdybyż tylko nie oczekiwała dziecka! Miałaby znakomitą sposobność wyjeżdżać z Ashleyem co rano do tartaku, przez samotne lasy, z dala od śledzących ich oczu. Mogliby sobie wyobrażać, że znowu są w rodzinnej okolicy, że wróciły spokojne dni przedwojenne.

Nie, nie usiłowałaby go sprowokować do wyznań miłosnych! Nie wspominałaby w ogóle o swoich uczuciach. Poprzysięgła sobie, że już nigdy tego nie zrobi. Ale może gdyby był z nią sam na sam, zrzuciłby na chwilę tę maskę obojętnej uprzejmości, którą przywdział od chwili przyjazdu do Atlanty. Może by znowu był sobą, dawnym Ashleyem, którego znała w czasach, nim wspomnieli o swojej miłości. Skoro się im nie wolno było kochać, mogli przynajmniej być przyjaciółmi, i Ashley mógłby w żarze swojej przyjaźni ogrzewać jej zimne i samotne serce.

„Gdybym się wreszcie mogła pozbyć tego dziecka — myślała niecierpliwie — mogłabym co dzień jeździć z Ashleyem do tartaku i rozmawiać...”

Nie samo tylko pragnienie zbliżenia z Ashleyem przyczyniało się do jej niecierpliwości. Była potrzebna w tartakach. Szły gorzej od czasu, gdy przestała się nimi zajmować i zdała prowadzenie interesów Ashleyowi i Hugonowi.

Hugon był bardzo niezaradny, jakkolwiek miał najlepsze chęci. Był złym kupcem i jeszcze gorszym zwierzchnikiem. Potargowawszy się z nim, każdy mógł uzyskać najniższą cenę. Jeżeli sprytny jakiś klient twierdził, że drzewo jest w niedobrym gatunku i niewarte swojej ceny, Hugon uważał, że jako dżentelmen powinien przeprosić i wziąć cenę niższą. Kiedy Scarlett usłyszała, jaką wziął cenę za tysiąc stóp klepki, wybuchła łzami rozpaczy. Była to najlepsza klepka, jaką tartak wydawał, a Hugon odstąpił ją za pół darmo! Nie umiał także kierować robotnikami. Murzyni upierali się, aby im wypłacał pensję codziennie, często przepijali ją od razu i następnego dnia wcale nie zjawiali się do pracy. W wypadkach takich Hugon musiał się starać o nowych robotników i tartak ruszał z opóźnieniem. Wobec tych trudności Hugon całymi tygodniami nie mógł wyjeżdżać do miasta ani sprzedawać drzewa.

Widząc, jak zarobki wymykają się spomiędzy jego palców, Scarlett szalała z powodu własnej bezsilności i jego głupoty. Jak tylko się dziecko urodzi i będzie mogła powrócić do pracy, pozbędzie się Hugona i przyjmie kogoś innego. Każdy byłby lepszy od niego.. I już nigdy nie będzie zatrudniała wyzwoleńców. Jakże można było pracować normalnie, gdy ci podli Murzyni co chwila wymawiali?

— Franku — powiedziała po burzliwej rozmowie z Hugonem na temat jego robotników — już prawie postanowiłam, że przyjmę do pracy w tartakach więźniów. Niedawno rozmawiałam z Janem Gallegherem, majstrem Tomka Wellburna, o kłopotach, jakie mam z Murzynami, którzy nie chcą pracować. Zapytał mnie, czemu nie przyjmuję więźniów. Wydaje mi się, że to dobry pomysł. Mówi, że mogłabym ich podnająć za grosze i tanio żywić. I mówi, że mogłabym ich zmuszać do pracy wszelkimi sposobami i że nie miałabym nic do czynienia z Biurem Wyzwoleńców, które teraz wtrąca się do wszystkiego, nawet do rzeczy, które nikogo nie powinny obchodzić. Jak tylko wygaśnie kontrakt Geralda z Wellburnem, przyjmę go do tartaku Hugona. Człowiek, który potrafi zmusić do pracy tych dzikich Irlandczyków, z pewnością będzie mógł dopilnować i więźniów.

Więźniów! Frank zupełnie oniemiał. Najmowanie więźniów do pracy było najgorszym ze wszystkich szalonych postanowień Scarlett, gorszym nawet od zamiaru wybudowania szynku.

W każdym razie wydało się rzeczą potworną Frankowi i konserwatywnym panom, wśród których się obracał. Nowy system najmowania do pracy więźniów wszedł w życie w związku z zubożeniem Georgii po wojnie. Nie mogąc wyżywić więźniów stan wypożyczał ich osobom, którym potrzebni byli robotnicy do budowy kolei, do wyrębu drzew czy do pracy w tartakach. Frank i jego bogobojni znajomi uznając, że system ten stał się koniecznością, opłakiwali go mimo to. Wielu z nich było wrogami niewolnictwa i uważało to za rzecz znacznie od niewolnictwa gorszą.

I Scarlett miała zamiar zatrudniać więźniów! Frank czuł, że jeżeli Scarlett to zrobi, on nie będzie mógł nigdy chodzić z podniesioną głową. To było bez porównania straszniejsze od prowadzenia tartaków czy innych jej sprawek. Dawne jego sprzeciwy zawsze szły w parze z pytaniem: „Co ludzie powiedzą?” To jednak... to jednak dotykało go głębiej niż obawa przed opinią. Uważał to za handel ludźmi na poziomie prostytucji, grzech, który zaciąży na jego duszy, jeżeli nie zdoła Scarlett odwieść od tego zamiaru.

Przekonany, że ma rację, Frank zebrał się na odwagę i zakazał Scarlett nawet myśleć o zrobieniu czegoś podobnego, uwagi zaś jego były tak stanowcze, że ona, przerażona, umilkła. Wreszcie, aby go uspokoić, powiedziała wymijająco, że nie ma zamiaru zrobić tego naprawdę. Była tylko tak zniechęcona do Hugona i do wyzwolonych Murzynów, że straciła cierpliwość. W tajemnicy jednak i z pewnym żalem wciąż myślała o nowym projekcie. Praca więźniów rozwiązałaby jeden z jej najtrudniejszych problemów, ale jeżeli Frank takie zacznie robić z tego powodu historie...

Westchnęła Gdyby przynajmniej jeden tartak szedł dobrze... Ashley jednak pracował nie lepiej niż Hugon.

Z początku Scarlett była zgorszona i rozczarowana, że pod zarządem Ashleya tartak nie przynosił dwa razy tyle, co pod jej zarządem. Ashley był mądry i przeczytał tyle książek, że nie było powodu, by nie miał doskonale pracować i masę zarabiać. A jednak wcale nie powodziło mu się lepiej niż Hugonowi. Niedoświadczeniem, pomyłkami, brakiem sprytu do interesów i

skrupułami gdy chodziło o cenę, dorównywał Hugonowi.

Jednakże miłość do Ashleya spiesznie podsunęła jej okoliczności łagodzące: nie mogła sądzić obu mężczyzn jednakową miarą. Hugon był po prostu bezgranicznie głupi, podczas gdy Ashley mało się rozumiał na handlu drzewem. Niespodziewanie jednak przeszła jej przez głowę myśl, że Ashley nie umie szybko rachować w pamięci ani podawać od razu dokładnej ceny drzewa. Czasem też zastanawiała się, czy kiedykolwiek nauczy się odróżniać deski od progów kolejowych. Ponieważ zaś był dżentelmenem godnym zaufania, ufał każdemu łotrowi, który się nadarzył, i kilka razy zaprzepaściłby jej pieniądze, gdyby delikatnie nie zainterweniowała w porę. Jeżeli zaś kogoś lubił — a zdawał się lubić bardzo wiele osób! — sprzedawał drzewo na kredyt nie starając się nawet dowiedzieć, czy ów ktoś ma konto w banku lub nieruchomości. Pod tym względem był nie lepszy od Franka.

Z pewnością jednak z czasem się nauczy! A w okresie nauki miała dla jego pomyłek czułą i matczyną wyrozumiałość. Gdy zjawiał się wieczorami w jej domu, zmęczony i zniechęcony, podsuwała mu cierpliwie rozmaite zbawienne myśli. Mimo jednak wszystkich jej wysiłków i stałego dodawania mu otuchy, w oczach miał ten sam dziwny, martwy wyraz. Nie mogła go zrozumieć i była tym bardzo przerażona. Ashley był inny, zupełnie inny niż dawniej. Gdyby mogła porozmawiać z nim sam na sam, odkryłaby może, co jest tego przyczyną.

Taka sytuacja odbierała jej sen. Martwiła się z powodu Ashleya, gdyż wiedziała, że jest niezadowolony i że niezadowolenie osłabia jego zapał do handlu drzewem. Torturą było dla niej, że powierzyła tartaki pieczy dwóch ludzi tak niezdolnych do interesów jak Hugon i Ashley, serce jej się krajało, gdy widziała, że konkurenci odbierają jej najlepszych klientów, mimo iż pracowała tak ciężko i uplanowała wszystko tak dokładnie na czas trudnych miesięcy. Och, gdybyż już prędzej mogła zacząć pracować! Zajęłaby się Ashleyem i z pewnością nauczyłaby go wszystkiego. Jan Gallegher mógłby wtedy poprowadzić drugi tartak, ona zajmowałaby się sprzedażą i wszystko poszłoby jak z płatka. Hugon mógłby odwozić towar, jeżeli zależało mu na posadzie u niej. Tylko do tego się nadawał.

Pewnie, że Gallegher robił wrażenie człowieka bez skrupułów, chociaż był bardzo układny — kogóż jednak mogła przyjąć? Czemuż inni mężczyźni, zaradni i uczciwi, tak się odnieśli do propozycji pracowania u niej? Gdyby teraz miała u siebie choć jednego z nich zamiast Hugona, nie musiałaby się tak bardzo martwić, ale...

Tomasz Wellburn był mimo swego kalectwa najbardziej wziętym przedsiębiorcą w mieście i jak mówili ludzie, zbierał pieniądze. Pani Merriweather i Picardom powodziło się dobrze — otworzyli teraz piekarnię w centrum miasta. Rene zarządzał nią z iście francuską oszczędnością, dziadek Merriweather zaś, zadowolony, że może wyjść ze swego kąta przy piecu, rozwoził teraz pieczywo. Młodzi Simmonsonowie mieli tyle roboty, że w swojej cegielni pracowali na trzy zmiany, Kells Whiting zaś doskonale zarabiał na swej maszynce do prostowania włosów, ponieważ wmówił Murzynom, że nie wolno im będzie głosować za partią republikańską, jak długo będą mieli kędzierzawe włosy.

To samo tyczyło się wszystkich zdolnych ludzi, których Scarlett znała — lekarzy, adwokatów, właścicieli sklepów. Apatia, która ich cechowała tuż po wojnie, znikła zupełnie i teraz zbyt byli zajęci gromadzeniem własnych majątków, aby chcieć jej pomagać. Ludzie nie zajęci należeli do typu Hugona czy Ashleya.

Jakże trudne było jednoczesne prowadzenie interesów i rodzenie dzieci!

— Już nigdy nie będę miała dzieci — postanowiła stanowczo. — Nie mam zamiaru iść w ślady innych kobiet i co rok mieć dziecko. Dobry Boże, to by znaczyło przecież, że sześć miesięcy do roku musiałabym spędzać w domu! Widzę zaś teraz, że nie mogę sobie pozwolić nawet na jednodniową przerwę w pracy. Będę musiała po prostu powiedzieć Frankowi, że nie chcę więcej dzieci.

Frank zamierzał mieć dużą rodzinę, ale jakoś chyba pozwoli się przekonać. Jej postanowienie już zapadło. To będzie jej ostatnie dziecko. Tartaki są znacznie ważniejsze od dzieci.

## ROZDZIAŁ XLII

Dziecko Scarlett było dziewczynką, małą łysą istotką, brzydką jak bezwłosa małpka i śmiesznie podobną do Franka. Nikt z wyjątkiem zachwyconego ojca nie mógł się w niej dopatrzyć urody, ale sąsiedzi byli o tyle łaskawi, że zapewniali, iż wszystkie brzydkie dzieci wyrastają na przystojnych ludzi. Nadano dziewczynce imiona Ella Lorena — Ella po babce Ellen, a Lorena, bo było to najmodniejsze w tych czasach imię żeńskie, podobnie jak dla chłopców Rober Lee i Stonewall Jackson, a dla dzieci murzyńskich Abraham Lincoln i Emancypacja.

Urodziła się w tygodniu, gdy Atlanta wrzała podnieceniem, a powietrze było naładowane przeczuciem nieszczęścia. Murzyn jakiś, który przechwalał się, że zgwałcił białą kobietę, został zaaresztowany, ale zanim zdążył stanąć przed sądem, Ku-Klux-Klan zaatakował więzienie i spokojnie Murzyna powiesił. Klan wmieszał się, aby uchronić nie znaną jeszcze z nazwiska ofiarę od świadczenia w sądzie. Ojciec jej i brat woleliby ją zastrzelić niż pozwolić jej na publiczne przyznanie się do swej hańby, zlinczowanie więc Murzyna wydawało się ludności miasta rozsądnym wyjściem z sytuacji, jedynym właściwie wyjściem. Władze wojskowe wpadły jednak we wściekłość. Nie mogły zrozumieć, dlaczego by dziewczyna miała się wstydzić świadczenia w sądzie.

Żołnierze dokonywali aresztowań na prawo i lewo i przysięgali, że zniszczą Klan, choćby mieli uwięzić wszystkich białych w Atlancie. Murzyni, przerażeni i posępni, szemrali i odgrażali się, że zaczną palić domy. Przekazywano sobie pogłoski, że będą masowe egzekucje jak tylko Jankesi wykryją winnych, o zorganizowanym powstaniu Murzynów przeciw białym. Ludność kryła się po domach, za zamkniętymi drzwiami i okiennicami, a mężczyźni bali się wychodzić do pracy i pozostawiać bez opieki żony i dzieci.

Scarlett, leżąc wyczerpana w łóżku, w duchu dziękowała Bogu, że Ashley jest zbyt rozsądny, aby należeć do Klanu, a Frank zbyt stary i nieśmiały. Jakże okropna byłaby świadomość, że Jankesi mogą się zjawić w każdej chwili i zaaresztować ich obu! Dlaczego ci szaleni młodzieńcy z Klanu nie zostawiali licha w spokoju i nie przestawali drażnić Jankesów? Prawdopodobnie dziewczyna wcale nie została zgwałcona. Z pewnością przestraszyła się tylko śmiertelnie i teraz przez nią mnóstwo ludzi mogło postradać życie.

W tej atmosferze szarpiącej nerwy tak jak obserwowanie płomienia lontu, który zbliża się do beczki z prochem, Scarlett szybko wróciła do sił. Żywotność i zdrowie, które umożliwiły jej przetrwanie ciężkich dni w Tarze, przydały się jej teraz: w dwa tygodnie po wydaniu na świat Elli Loreny była dość silna, aby siadać na łóżku i trapić się swoją bezczynnością. Po trzech tygodniach wstała i oświadczyła, że musi jechać do tartaków. Oba stały teraz, bo Hugon i Ashley bali się wychodzić z domu i zostawiać rodziny bez opieki.

Wtedy uderzył grom.

Frank, dumny z powodu swego świeżego ojcostwa, zebrał się na odwagę i zabronił Scarlett wychodzić z domu, jak długo sytuacja jest tak naprężona. Zakazem jego nie przejęłaby się wcale i wbrew niemu zajęłaby się swoimi sprawami, gdyby nie to, że kazał odstawić jej konia i bryczkę do remizy i wydał polecenie, aby nie zaprzęgano go dla nikogo prócz niego. Co gorsza, kiedy Scarlett leżała, on i Mammy cierpliwie przeszukali dom i znaleźli jej ukryte pieniądze. Frank złożył je w banku na swoje imię, tak że teraz Scarlett nie miała nawet za co wynająć powozu.

Początkowo była wściekła na Franka i Mammy, potem zaczęła ich prosić, a wreszcie przepłakała pewnego dnia cały ranek jak rozzłoszczone dziecko, któremu się dorośli sprzeciwiają. Wszystkie jej usiłowania spotykały się jednak tylko ze spokojnym: — Cicho, złotko! Jesteś małą, chorą dziewczynką. — I: — Scarlett, jeżeli nie przestaniesz, mleko ci się wzburzy i dziecko dostanie kolek, to pewne jak słońce na niebie.

Nie posiadając się ze złości, Scarlett przebiegła przez podwórze do Melanii i tam sobie ulżyła krzycząc na cały głos, że pójdzie do tartaków pieszo, że powie całej Atlancie, za jakiego idiotę wyszła, że nie pozwoli się traktować jak głupie i psotne dziecko. Weźmie ze sobą pistolet i zastrzeli każdego, kto jej zechce grozić. Zastrzeliła już jednego człowieka i z przyjemnością, tak, z przyjemnością zastrzeli drugiego. Pójdzie...

Melania, która bała się wychylić nosa na własny ganek, przeraziła się takimi pogróżkami.

— Och, nie możesz się przecież narażać na niebezpieczeństwo! Umrę, jeżeli się coś tobie stanie! Och, proszę cię...

— Ja pójdę! Pójdę! Pójdę!

Melania popatrzyła na nią i zrozumiała, że to nie jest histeria kobiety osłabionej porodem. Na twarzy Scarlett malowało się to samo zacięte, niebezpieczne postanowienie, co na twarzy Geralda, gdy był na coś zdecydowany. Otoczyła Scarlett ramieniem i mocno ją do siebie przycisnęła.

— To wszystko moja wina, że nie jestem tak odważna jak ty i trzymam Ashleya przez cały czas przy sobie, chociaż powinien być w tartaku. Och, Boże! Ale ze mnie jest taki tchórz! Kochanie, powiem Ashleyowi, że wcale się nie boję, pójdę do was, a wtedy on będzie mógł iść do pracy i...

Nawet przed samą sobą Scarlett nie chciała się przyznać, że uważa, iż Ashley nie da sobie sam rady, krzyknęła więc: — Nie pozwolę ci tego zrobić! Co komu z tego przyjdzie, że Ashley pójdzie do tartaku, jeżeli przez cały czas będzie o ciebie niespokojny? Wszyscy jesteście wstrętni! Nawet wuj Piotr nie chce ze mną wyjść na ulicę! Ale wszystko mi jedno! Pójdę sama! Sama pójdę do tartaku i zbiorę nowy zespół Murzynów do pracy.

— Och, nie! Nie rób tego! Może ci się zdarzyć coś strasznego. Podobno osada murzyńska na drodze do Decatur pełna jest złych Murzynów, a ty musisz właśnie tamtędy przechodzić. Poczekaj chwilę... Kochanie, przyrzeknij mi, że dzisiaj nic nie postanowisz, to coś wymyślę. Przyrzeknij mi, że pójdziesz do domu i położysz się do łóżka. Wyglądasz bardzo źle. Przyrzeknij mi.

Zbyt wyczerpana złością, aby się Meli sprzeciwiać Scarlett niechętnie przyrzekła i poszła do domu, wyniośle odmawiając zawarcia zgody z domownikami.

Tego samego popołudnia dziwna postać wychyliła się zza żywopłotu Melanii i weszła na podwórze ciotki Pitty. Był to prawdopodobnie jeden z tych mężczyzn, o których Manimy i Dilcey mówiły: „te szumowiny, które pani Mela zbiera na mieście i nocuje w swojej piwnicy”.

W suterenach domu Melanii były trzy izby, dawniej służące za mieszkanie dla służby i piwnicę win. Teraz jedną z nich zajmowała Dilcey, a dwie pozostałe oddane były do dyspozycji nędznych i obdartych gości przelotnych. Jedna tylko Melania wiedziała, skąd przychodzą i dokąd zmierzają, i tylko jej było wiadomo, gdzie ich zbierać. Możliwe, że Murzynki miały rację i że zabierała ich z ulicy. Tak samo jednak jak poważni i sławni ludzie trafiali do jej saloniku, tak nędzarze znajdowali drogę do piwnicy, gdzie ich karmiono, nocowano i odsyłano w dalszą drogę z paczkami jedzenia... Lokatorami dwóch izb byli przeważnie żołnierze konfederacji pochodzący z ludu, analfabeci, bezdomni, nigdzie nie przynależni i wędrujący po okolicy w nadziei znalezienia pracy.

Często spędzały tam noce ogorzałe i wyniszczone chłopki z gromadkami milczących dzieci o konopiastych włosach, kobiety, które straciły mężów na wojnie, zostały wywłaszczone z zagród i szukały rozproszonych czy zaginionych krewnych. Często sąsiedztwo gorszyło się obecnością cudzoziemców, słabo rozumiejących po angielsku, którzy ściągali na Południe, zwabieni opowiadaniami o łatwych fortunach. Raz nawet nocował tam republikanin. W każdym razie tak twierdziła Mammy, która zapewniała, że potrafi nosem wyczuć republikanina, podobnie jak koń wyczuwa grzechotnika. Nikt jednak nie wierzył Mammy, bo wszyscy uważali, że nawet dobroć Meli ma pewne granice. Bądź co bądź wygodniej było tak myśleć.

„Tak — myślała Scarlett siedząc na ganku w bladym słońcu listopadowym i trzymając dziecko przy piersi — to z pewnością jeden z »kulawych psów« Melanii. Ten zresztą naprawdę kuleje!”

Człowiek, który szedł przez podwórze, miał podobnie jak Will Benteen drewnianą nogę. Był wysokim, chudym starcem o łysej czaszce, różowawej i brudnej, i brodzie siwiejącej i tak długiej, że mógłby ją zatkać za pas. Miał lat ponad sześćdziesiąt, jeżeli sądzić po twardej, pooranej zmarszczkami twarzy, ale ciało jego było jeszcze bardzo krzepkie. Był niezgrabny i przygarbiony, ale mimo swojej drewnianej nogi poruszał się szybko jak wąż.

Wszedł po schodkach i zbliżył się do Scarlett. Zanim zdążył przemówić zdradzając się nosowym akcentem i podkreślaniem „r”, że nie pochodzi z nizin, Scarlett domyśliła się, że jest góralem. Chociaż odzież jego była brudna i złachmaniona, miał w sobie tak jak większość górali jakąś groźną dumę, która nie pozwalała na poufałość i nie dopuszczała żartów. Brodę miał poplamioną sokiem tytoniu do żucia, a jeden policzek wypchany sporą jego grudką. Nos miał cienki i garbaty, brwi krzaczaste i łukowate, a z konch jego uszu wystawały bujne włosy nadając im puszysty wygląd uszu rysia. Pod jedną brwią miał pustą dziurę, z której szła przez cały policzek blizna, przecinająca skośną linią brodę. Pozostałe oko było małe, jasne i zimne, o spojrzeniu bezwzględnym i czujnym. Za pas spodni zatknięty miał duży pistolet, a zza cholewy zniszczonego buta wyglądała rękojeść noża.

Popatrzył chłodno na Scarlett i zanim do niej przemówił, splunął przez poręcz ganku. Jedyne jego oko wyrażało pogardę, nie specjalnie dla niej, lecz w ogóle dla całego niewieściego rodu.

— Pani Wilkes przysłała mnie, abym się tu zgodził do roboty — powiedział krótko. Mówił z trudem, jak człowiek nie przywykły do rozmowy, i słowa jego padały wolno i chropowato. — Nazywam się Archie.

— Żałuję bardzo, ale nie mam dla pana pracy, panie Archie.

— Archie to moje imię.

— Przepraszam pana. Jak pana nazwisko?

Znowu splunął. — To moja rzecz — powiedział. — Archie wystarczy.

— Nie interesuje mnie pana nazwisko! Nie mam dla pana pracy.

— Zdaje mi się, że pani ma. Pani Wilkes martwi się, że pani chce sama latać po mieście jak wariatka, i przysłała mnie tutaj, abym panią woził.

— Czyżby? — krzyknęła Scarlett, oburzona ordynarnością człowieka i wtrącaniem się Meli do jej spraw.

Oko jego spoczęło na niej z bezosobową wrogością. — Tak. Kobieta nie powinna przeszkadzać mężowi, kiedy chce się nią opiekować. Ale skoro się pani upiera, żeby wyjść z domu, ja panią będę woził. Nienawidzę Murzynów... i Jankesów także.

Przesunął grudkę tytoniu pod drugi policzek i nie czekając na zaproszenie Scarlett usiadł na najwyższym stopniu schodków. — Nie powiem, żebym lubił wozić kobiety, ale pani Wilkes była dla mnie dobra, pozwoliła mi spać w piwnicy i przysłała mnie tutaj abym panią woził.

— Ale — zaczęła Scarlett bezradnie, po czym przerwała i spojrzała na mężczyznę. Po chwili zaczęła się uśmiechać. Nie podobała jej się powierzchowność tego starego zabijaki, ale obecność jego przy niej mogła wszystko uprościć. Pod jego opieką mogła jechać do miasta, do tartaków, odwiedzać klientów. W towarzystwie tego człowieka byłaby zupełnie bezpieczna, bo sam jego wygląd wystarczał, aby uchronić ją od skandalu.

— To się dobrze składa — powiedziała po chwili. — Zapytam męża, czy mi pozwoli wyjeżdżać.

Po rozmowie z Archiem Frank niechętnie przystał na wszystko i dał znać do remizy, aby wydano Scarlett bryczkę i konia. Był dotknięty i rozczarowany, że macierzyństwo nie wpłynęło na Scarlett tak, jak tego oczekiwał, ale skoro upierała się, aby jeździć do swoich przeklętych tartaków, towarzystwo Archiego było zrządzeniem bożym.

Taki był początek ich znajomości, która początkowo oburzyła Atlantę. Archie i Scarlett byli parą śmiesznie niedobraną — groźny, brudny starzec o drewnianej nodze, która sztywno wystawała z kozła, i śliczna, ładnie ubrana kobieta, która marszcząc czoło, nad czymś rozmyślała. Można ich było widzieć o każdej porze dnia i w każdej okolicy miasta i za miastem; rzadko rozmawiali ze sobą, wyraźnie się nie lubili, ale związani byli wzajemną potrzebą — jemu potrzebny był zarobek, jej opieka. — Ostatecznie — mówiły w mieście panie — lepiej, że Scarlett z nim jeździ, niż żeby się bezwstydnie pokazywała z tym Butlerem. — Dziwiły się, gdzie się podziewa Rett; przed trzema miesiącami nagle wyjechał i nikt, nawet Scarlett, nie wiedział, gdzie przebywa.

Archie był człowiekiem milczącym, nigdy sam nie zaczynał rozmowy, a odpowiadał przeważnie chrząkaniem. Co rano wynurzał się z piwnicy Melanii i siadał na frontowych schodkach domu Pitty, żując tytoń i plując, aż Scarlett wyszła i Piotr wyprowadził konia ze stajni. Wuj Piotr bał go się trochę tylko mniej od diabła czy Ku-Klux-Klanu i nawet Mammy chodziła koło niego milcząco i z lękiem. Archie nienawidził Murzynów, oni zaś wiedzieli o tym i unikali go. Do swego pistoletu i noża dodał teraz drugi pistolet. Sława jego rozniosła się szeroko wśród ludności murzyńskiej. Nie potrzebował nigdy wyciągać pistoletu ani nawet sięgać ręką do pasa. Wystarczała sama jego reputacja. Gdy Archie był w pobliżu, żaden Murzyn nie odważył się nawet zaśmiać.

Scarlett zapytała go kiedyś, dlaczego nienawidzi Murzynów. Była zdumiona, że jej odpowiedział, bo zwykle wszystkie pytania zbywał krótkim: „To moja rzecz”.

— Nienawidzę ich, tak jak wszyscy ludzie z gór. Nigdyśmy ich nie lubili i nigdyśmy ich nie kupowali. Ci przeklęci Murzyni wywołali wojnę. Nienawidzę ich też dlatego.

— Ale Archie przecież bił się na wojnie.

— To chyba jest przywilejem mężczyzny. Jankesów także nienawidzę, więcej niż Murzynów. Prawie tak samo jak nie cierpię gadatliwych kobiet.

Taka szczera bezczelność sprawiała, że Scarlett milkła z wściekłością i zastanawiała się, jak by się Archiego najprędzej pozbyć. Jakże się jednak mogła bez niego obejść? Jak inaczej mogłaby mieć tyle swobody? Był gburowaty, brudny i bynajmniej nie pachnący, ale spełniał swoje zadanie. Woził ją do tartaków i z powrotem, towarzyszył do klientów, plując i patrząc w przestrzeń, gdy rozmawiała lub wydawała polecenia. Gdy wysiadała z bryczki, szedł za nią i nie odstępował jej ani na chwilę. Kiedy była między robotnikami, Murzynami czy żołnierzami jankeskimi, szedł przy niej.

Wkrótce Atlanta przywykła do widoku Scarlett i jej anioła stróża, a po pewnym czasie panie zaczęły jej zazdrościć swobody ruchów. Od chwili zlinczowania Murzyna przez Ku-Klux-Klan kobiety były właściwie uwięzione po domach i do miasta wychodziły tylko w grupach po kilka. Z natury bardzo towarzyskie, zaczęły się nudzić i przymilnie prosiły Scarlett o wypożyczenie Archiego. Kiedy nie był jej potrzebny, odstępowała go łaskawie innym paniom.

W krótkim czasie Archie stał się instytucją i panie na wyścigi dobijały się o jego wolne chwile. Prawie co rano przysyłano do Scarlett małych lub dorosłych Murzynów z kartkami: „Jeżeli nie potrzebujesz Archiego po południu, bądź łaskawa przysłać go do mnie. Chciałabym pojechać z kwiatami na cmentarz”. „Mam przymiarkę u modystki”. „Chciałabym, aby Archie pojechał z ciocią Nelly na spacer”. „Muszę iść w odwiedziny na Peters Street, a dziadek czuje się niedobrze i nie może mnie podwieźć. Czy Archie...”

Woził je wszystkie, panny, mężatki i wdowy, i do wszystkich odnosił się z tą samą niewzruszoną pogardą. Było oczywiste, że z wyjątkiem Melanii nie więcej lubił kobiety niż Murzynów i Jankesów. Panie, początkowo oburzone jego niegrzecznością, w końcu przyzwyczaiły się do niej, a ponieważ stale milczał i tylko czasem głośno spluwał, nie zwracały na niego większej uwagi niż na konie, którymi kierował. Pewnego razu pani Merriweather opowiedziała pani Meade dokładne szczegóły porodu swojej siostrzenicy, zapomniawszy zupełnie o siedzącym na koźle Archiem.

Przed wojną sytuacja taka byłaby nie do pomyślenia. Przed wojną Archie nie miałby wstępu nawet do kuchni przyzwoitego domu. Podawano by mu jedzenie przez drzwi i odsyłano z powrotem do jego zajęć. Teraz jednak panie zadowolone były z jego krzepiącej obecności. Chociaż ordynarny, brudny i nie uczony, stanowił mur odgradzający je od niebezpieczeństw rekonstrukcji. Nie był ani przyjacielem, ani służącym. Był najemnym strażnikiem broniącym kobiet, podczas gdy mężowie ich w dzień pracowali lub wieczorem wychodzili z domu.

Scarlett miała wrażenie, że od czasu gdy Archie u niej pracował, Frank zaczął częściej wychodzić wieczorami. Mówił, że musi doprowadzić do porządku księgi, a sklep szedł teraz tak dobrze, że miał na to mało czasu za dnia. Poza tym odwiedzał chorych przyjaciół. Ponadto organizacja demokratów odbywała co środę zebrania celem omawiania sposobów odzyskania prawa wyborczego i Frank nigdy tych zebrań nie opuszczał. Scarlett przypuszczała, że głównym ich celem są jałowe sprzeczki, czy zasługi generała Johna Gordona i generała Lee przewyższają zasługi innych dowódców, oraz wspomnienia wojenne. Nie mogła jakoś wcale zauważyć postępu w kierunku odzyskania praw wyborczych, Frank jednak lubił najwidoczniej owe zebrania, bo siedział na nich do późna w noc.

Ashley także odwiedzał chorych, także chodził na zebrania demokratów i wychodził przeważnie w te same wieczory co Frank. W owe dnie Archie eskortował Pitty, Scarlett, Wade'a i małą Ellę przez podwórze do domu Melanii i obie rodziny spędzały czas razem. Panie szyły, Archie zaś leżał chrapiąc na kanapie w salonie, a szare jego wąsy chwiały się za każdym oddechem. Nikt go nie prosił, aby zajmował kanapę, a ponieważ był to najładniejszy mebel w pokoju, panie jęczały w duchu, ilekroć kładł się na niej i niszczył butami piękne pokrycie. Żadna z nich nie miała jednak serca zwrócić mu uwagi. Zwłaszcza po jego oświadczeniu, iż cieszy się, że ma mocny sen, bo inaczej głosy kobiet, paplających jak stado perliczek, z pewnością doprowadziłyby go do szału.

Scarlett czasem myślała o tym, skąd Archie przybył i jakie prowadził życie, zanim zamieszkał w piwnicy Meli, ale nie pytała go o nic. Jego ponure jednookie oblicze nie zachęcało do pytań. Wiedziała jedynie, że akcent jego świadczy o pochodzeniu z gór na północy i że na krótko przed kapitulacją stracił nogę i oko. Dopiero słowa jej, wypowiedziane w napadzie złości na Hugona Elsinga, rzuciły światło na przeszłość Archiego.

Pewnego ranka stary zawiózł Scarlett do tartaku Hugona. Przekonała się, że tartak stoi, Murzynów nie ma, a Hugon siedzi zrozpaczony pod drzewem. Żaden z robotników nie przyszedł do roboty i Hugon nie wiedział, co robić. Scarlett wpadła w pasję i nie kryła się wcale ze swą złością, bo właśnie dostała duże, w dodatku terminowe zamówienie na deski. Musiała zużyć wiele energii, targów i uśmiechów, aby je zdobyć, a teraz oto tartak stał.

— Zawieźcie mnie do drugiego tartaku — rozkazała. — Tak, wiem, że to długo potrwa i że nie będziemy jedli obiadu, ale za cóż wam w końcu płacę? Muszę poprosić pana Wilkesa, aby przerwał swoją robotę i zrobił mi te deski. Tylko, że prawdopodobnie i jego ludzie nie pracują. Do stu tysięcy piorunów! Nigdy w życiu nie widziałam takiej pokraki jak Hugon Elsing! Wymówię mu, jak tylko Jan Gallegher wykończy sklepy, które teraz buduje. Co mnie obchodzi, że Gallegher walczył po stronie Jankesów? Ważne jest, że będzie pracował. Nie spotkałam nigdy jeszcze leniwego Irlandczyka. I dość już mam wyzwolonych Murzynów. Nie można wcale na nich polegać. Przyjmę Galleghera i powiem mu, aby mi najął więźniów. Ci będą pracowali i..., Archie odwrócił się ku niej, oko jego wyrażało złość, a kiedy przemówił, w chropawym jego głosie brzmiał gniew.

— W dzień, kiedy pani przyjmie więźniów, ja podziękuję za służbę —powiedział.

Scarlett była zdumiona. — Na miłość boską! Dlaczego?

— Bo wiem coś o pracy więźniów. To tortura nie praca. Kupuje się ludzi, jak gdyby to było bydło. Traktuje się ich gorzej niż muły. Bije się ich, głodzi, zabija. I kogo to obchodzi? Stan się nie wtrąca, bo dostaje za to pieniądze. Ludzie, którzy najmują więźniów, także o to nie dbają. Zależy im tylko na tym, aby pożywienie ich nie kosztowało drogo i aby ludzie harowali ile sił. Do pioruna, nigdy nie myślałem dobrze o kobietach, ale teraz myślę o nich jeszcze gorzej.

— A cóż to was może obchodzić?

— Pewnie, że obchodzi — rzekł Archie lakonicznie i po chwili dodał: — Sam byłem więźniem przez blisko czterdzieści lat.

Scarlett otworzyła usta i na chwilę oparła się ciężko o poręcz bryczki. A więc miała odpowiedź na zagadkę, dlaczego Archie nie chciał powiedzieć, jak się nazywa ani skąd pochodzi, ani jak żył, dlaczego niechętnie rozmawia i okazuje światu zimną nienawiść. Czterdzieści lat! Musiał zatem zostać wtrącony do więzienia w młodym wieku! Czterdzieści lat! Wobec tego był chyba dożywotnim, dożywotni zaś...

— Czy to było... morderstwo?

— Tak — odparł Archie krótko, ściągając lejce. — Zabiłem żonę.

Scarlett z przerażenia zatrzepotała powiekami.

Usta pod zarostem poruszały się, jak gdyby Archie uśmiechnął się posępnie, widząc jej przerażenie. — Pani nie mam zamiaru zabić, więc niech się pani nie boi. Kobietę zabija się tylko w jednym wypadku.

— Zabiliście własną żonę!

— Spała z moim bratem. On zwiał. Wcale nie żałuję, że ją zabiłem. Płoche kobiety należy zabijać. Sąd nie powinien więzić za to mężczyzn, ale mnie skazali.

— Ale... jakżeście się wydostali? Czyście uciekli? Czy was ułaskawiono?

— Można to nazwać ułaskawieniem. — Zmarszczył gęste brwi, jak gdyby zmęczony wysiłkiem łączenia słów w zdania. — W roku sześćdziesiątym czwartym, kiedy Sherman przechodził przez Georgię, siedziałem w więzieniu w Milledgeville. Jak zresztą od czterdziestu lat. Dozorca zwołał nas wszystkich i powiedział, że idą Jankesi, że palą i zabijają. Jeżeli jest coś na świecie, czego bardziej nie cierpię od Murzyna i kobiety, to chyba Jankesa.

— Dlaczego? Czyście... Czyście znali kiedy Jankesów?

— Nie. Ale słyszałem o nich dużo. Słyszałem, że zawsze wtrącają się do cudzych spraw. Nienawidzę takich ludzi. I po co przychodzili do Georgii, po co wyzwalali naszych Murzynów, palili nam domy i zabijali bydło? No więc, dozorca nam powiedział, że armia potrzebuje żołnierzy, i ci z nas, którzy wstąpią do wojska, będą po wojnie zwolnieni — jeżeli wyjdą z niej cało. Powiedział jednak, że nas, dożywotnich, nawet armia nie chce. Nas mieli wysłać do innego więzienia. Na to powiedziałem dozorcy, że nie jestem podobny do innych dożywotnich. Że tylko zabiłem własną żonę, bo musiałem to zrobić. I że chcę się bić z Jankesami. Dozorca mnie zrozumiał i wypuścił wraz z innymi więźniami.

Przerwał i odchrząknął.

— Hm. To było bardzo śmieszne. Wsadzili mnie do więzienia za to, że zabiłem, a wypuścili z bronią i ułaskawili, abym znowu zabijał. Bardzo przyjemnie było znowu stać się wolnym człowiekiem i mieć karabin w ręku. My, ludzie z Milledgeville, dobrześmy się bili i zabijali i wielu z nas padło. Nie było między nami ani jednego, który by zdezerterował. A kiedy zawarto pokój, odzyskaliśmy wolność. Straciłem na wojnie nogę i oko. Ale nie żałuję.

— Och — rzekła Scarlett niewyraźnie.

Starała się sobie przypomnieć to wszystko, co słyszała o uwolnieniu więźniów z Milledgeville, w ostatnim rozpaczliwym wysiłku powstrzymania naporu armii Shermana. Frank mówił o tym na Boże Narodzenie 1864 r. Co wtedy powiedział? Wspomnienia jej z tego okresu były bardzo chaotyczne. Znowu odczuła przestrach, usłyszała granie dział, zobaczyła rzędy wozów, z których ciekła na drogę krew, odmarsz gwardii, małych kadetów, jak Filip Meade, i starców, jak wuj Henryk Hamilton i dziadek Merriweather. Wtedy poszli i więźniowie, aby marznąć w śniegu i deszczu tej ostatniej kampanii w Tennessee, umierać w zmierzchu Konfederacji.

Przez chwilę pomyślała, że starzec ten jest głupcem, bo walczył za stan, który zabrał mu czterdzieści lat życia. Georgia wzięła mu młodość i średni wiek za zbrodnię, która dla niego nie była zbrodnią, a mimo to oddał za nią nogę i oko. Gorzkie słowa Retta, wypowiedziane w pierwszych dniach wojny, przypomniały jej się znowu: mówił wtedy, że nie chce walczyć w obronie społeczeństwa, które go uczyniło wyrzutkiem. Kiedy jednak nadeszła potrzeba, walczył za nie tak samo jak Archie. Wydało jej się, że wszyscy ludzie z Południa, niezależnie od pochodzenia, byli sentymentalnymi głupcami, którzy mniej dbali o swoją skórę niż o słowa bez znaczenia.

Spojrzała na sękate ręce Archiego, na jego nóż i dwa pistolety i znowu ją strach obleciał. Czy na wolności było wielu jeszcze takich eks-więźniów, morderców, zabijaków, złodziei, ułaskawionych teraz w imię Konfederacji? Ależ każdy przechodzień na ulicy może być mordercą! Gdyby Frank dowiedział się kiedykolwiek prawdy o Archiem, zrobiłby piekło. Albo ciotka Pitty... Pitty z wrażenia dostałaby ataku. A co się tyczy Melanii... Scarlett miała ochotę powiedzieć Melanii prawdę o Archiem. Przyda jej się to i oduczy od przygarniania hołoty i polecania swoim krewnym i znajomym.

— Dziękuję wam, żeście mi to powiedzieli, Archie. Nie powiem o tym nikomu. Byłoby ciężkim przejściem dla pani Wilkes i innych pań, gdyby o tym wiedziały.

— Hm. Pani Wilkes wie. Powiedziałem jej to tej nocy, gdy pierwszy raz spałem w jej piwnicy. To pani przypuszczała, że pozwoliłbym, aby taka dobra pani wzięła mnie do swego domu nic o mnie nie wiedząc?

— W Imię Ojca i Syna! — zawołała Scarlett przerażona. Melania wiedziała, że człowiek ten jest mordercą, i w dodatku mordercą kobiety, i nie odmówiła mu schronienia! Pozwoliła mu przebywać z jej synem, z ciotką, bratową i wszystkimi znajomymi! I ona, najbardziej nieśmiała z kobiet, nie bała się zostawać z nim sama pod jednym dachem.

— Pani Wilkes jest bardzo rozsądna jak na kobietę. Wiedziała, że jestem porządnym człowiekiem. Wiedziała, że kłamca będzie zawsze kłamał, że złodziej nie przestanie kraść, ale że człowiek morduje tylko jeden raz w życiu. I uważała, że każdy, kto walczył za Konfederację, zmazał tym wszystkie swoje grzechy. Chociaż ja nie uważam, abym zrobił coś złego zabijając swoją żonę... Tak. Pani Wilkes jest bardzo rozsądna, jak na kobietę... A pani powiadam, że w dniu, gdy przyjmie pani więźniów do roboty, ja podziękuję za służbę.

Scarlett nic nie odpowiedziała, pomyślała tylko:

„Im wcześniej mi podziękujesz, tym lepiej. Morderca!!!”

Jak Melania mogła być tak... tak... Nie znajdowała słów na określenie postępku Meli. Przygarnęła tego starego zbrodniarza nie mówiąc nikomu, że to skazaniec. A więc służba w wojsku zmazywała wszystkie grzechy! Melania pomyliła to chyba z chrztem świętym! Ale bo też Mela była zwariowana na punkcie Konfederacji, weteranów wojennych i wszystkiego, co miało jakikolwiek z tym związek! Scarlett w milczeniu przeklinała Jankesów i dodała jeszcze jedną kreskę do licznych oskarżeń. Im zawdzięczała przecież, że zmuszona była do przebywania z mordercą, który czuwał nad jej bezpieczeństwem!

Jadąc z Archiem w chłodnym mroku do domu, Scarlett ujrzała zator koni, bryczek i wozów przed barem „Pod Współczesną Dziewczyną”. Ashley siedział na koniu, ożywiony i podniecony. Młodzi Simmonsonowie wychylali się ze swej bryczki przesadnie gestykulując; Hugon Elsing, z potarganymi włosami, wymachiwał rękoma. Wóz piekarski dziadka Merriweather stał pośrodku zatoru, a podjeżdżając bliżej Scarlett zobaczyła, że na koźle siedzą ze starym panem Tomasz Wellburn i Henryk Hamilton.

„Wolałabym — pomyślała Scarlett ze złością — aby wuj Henryk nie jeździł do domu teką »karetą«. Powinien się wstydzić, że go w niej ludzie widzą. Wygląda to, jak gdyby nie miał własnego konia. Robi to dlatego, żeby móc co wieczór chodzić z dziadkiem do baru”.

Kiedy zbliżyła się do tłumu, podniecenie udzieliło się i jej, chociaż nie była wrażliwa, i serce jej ścisnęło się obawą.

„Och! — pomyślała. — Mam nadzieję, że nie było żadnego gwałtu! Jeżeli Ku-Klux-Klan zlinczuje znowu Murzyna, Jankesi wymordują nas wszystkich”. — A głośno powiedziała: — Archie, zatrzymajcie się tutaj. Coś się musiało stać.

— Nie będzie się pani zatrzymywała przed szynkiem — rzekł Archie.

— Słyszeliście, co powiedziałam? Zatrzymajcie się. Dobry wieczór wszystkim. Ashleyu, wuju Henryku, czy stało się coś złego? Wszyscy tak wyglądacie...

Mężczyźni odwrócili się do niej zdejmując kapelusze i uśmiechając się, ale z oczu ich nie znikło podniecenie.

— Stało się coś jednocześnie dobrego... i złego — huknął wuj Henryk. — Zależy, z jakiej strony na to patrzeć. Ja uważam, że rząd nie mógł wydać innych przepisów.

„Rząd” — pomyślała Scarlett z uczuciem ulgi. Mało ją to interesowało, bo czuła, że to nie dotyczy jej bezpośrednio. Bała się tylko perspektywy ponownych rabunków jankeskich.

— A co rząd zrobił?

— Odmówił ratyfikacji poprawki — rzekł dziadek Merriweather i w głosie jego brzmiała duma. — To Jankesów nauczy.

— I będziemy za to musieli diabelnie drogo zapłacić — dodał Ashley.

— Ach, chodzi o poprawkę! — zapytała Scarlett udając, że wie, o co chodzi.

Polityka przerastała jej rozumienie, rzadko więc o niej myślała. Była jakaś tam Trzynasta Poprawka, ratyfikowana dawniej, czy może Szesnasta Poprawka, ale nawet nie wiedziała, co to jest ratyfikacja. Mężczyźni zawsze się przejmowali sprawami tego rodzaju. Brak jej zainteresowania musiał być widoczny, bo Ashley uśmiechnął się do niej.

— To ta poprawka, wiesz, na mocy której Murzyni mają prawo głosować — wytłumaczył. — Przedłożono ją rządowi stanowemu i ten odmówił ratyfikacji.

— Jak to głupio z ich strony! Przecież Jankesi wymuszą to na nas!

— To właśnie miałem na myśli mówiąc, że to nas drogo będzie kosztowało — rzekł Ashley.

— A ja jestem dumny z rządu, dumny z ich odwagi! — krzyczał wuj Henryk. — Jankesi nie wymuszą na nas nic, czego nie zechcemy przyjąć.

— Wymuszą z pewnością. — Głos Ashleya był spokojny, ale w oczach jego malowała się troska. — I sytuacja nasza stanie się jeszcze cięższa.

— Ach, Ashleyu, to niemożliwe! Niemożliwe, aby było jeszcze gorzej niż teraz!

— Owszem, może być gorzej, daleko gorzej. Pomyśl, co będzie, jeżeli rząd będzie się składał z Murzynów? Lub jeżeli gubernatorem będzie Murzyn? Wyobraź sobie, że władze wojskowe będą jeszcze surowsze niż teraz?

Oczy Scarlett rozszerzyły się ze strachu, bo zaczynała lepiej rozumieć sens słów Ashleya.

— Zastanawiam się, co byłoby lepsze dla Georgii, lepsze dla nas wszystkich. — Twarz Ashleya była chmurna. — Czy należy walczyć jak rząd i wzburzyć Północ przeciw nam, co sprowadzi nam na kark całą armię jankeską, która nas zmusi do przyjęcia tej poprawki, czy też należy przełknąć upokorzenie, poddać się i znieść tę całą rzecz możliwie najspokojniej. Wyjdzie w końcu na jedno. Jesteśmy bezsilni. Musimy przyjmować najgorsze leki, jakie nam podają. Może byłoby dla nas lepiej, gdybyśmy je przyjmowali bez awantur.

Scarlett ledwie słyszała jego słowa, a znaczenia ich nie pojmowała zupełnie. Wiedziała tylko, że Ashley swoim zwyczajem i tę sprawę rozpatruje obiektywnie. Ona myślała tylko o jednym: jak się ten „policzek” dla Jankesów na niej odbije.

— Oho, widzę że stajesz się radykałem i mało brakuje, a będziesz głosował na republikanów, Ashleyu! — zadrwił dziadek Merriweather.

Nastąpiło napięte milczenie. Scarlett zobaczyła, że dłoń Archiego szybko sięga do pistoletu i po chwili się zatrzymuje. Archie często mówił otwarcie, że dziadek jest starym durniem, teraz więc nie miał zamiaru pozwolić mu na obrażanie męża pani Melanii, chociaż mąż pani Melanii przemawiał jak głupiec.

Zakłopotanie znikło z oczu Ashleya i zapalił się w nich gniew. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, wuj Henryk napadł na dziadka.

— Ty przeklęty... ty... durny... przepraszam cię, Scarlett! Dziadku, ty ośle, nie mów takich rzeczy na Ashleya!

— Ashley da sobie radę sam, bez twojej obrony — odrzekł chłodno dziadek. — A mówi jak Scallawag. Poddać się, o rany!

— Nie miałem wiary w secesję — rzekł Ashley, a głos mu drżał z gniewu. — Kiedy jednak Georgia przystąpiła do secesji, poszedłem ze wszystkimi. Nie wierzyłem w wojnę, ale biłem się jak inni. Nie wierzę też, że należy jeszcze bardziej rozjątrzać Jankesów. Ale skoro rząd tak postanowił, będę popierał rząd.

— Archie — rzekł nagle wuj Henryk — zawieźcie panią Scarlett do domu. Tu nie miejsce dla niej. Polityka nie jest zajęciem dla kobiet, tym bardziej, że za chwilę wybuchnie tu kłótnia. Jedźcie, Archie. Dobranoc, Scarlett.

Kiedy jechali ulicą Brzoskwiniową, serce Scarlett waliło ze strachu. Czy głupia uchwała rządu odbije się na niej? Czy tak rozwścieczy Jankesów, że jej tartaki przepadną?

— No, no — mruczał Archie — słyszałem o królikach, które plują w mordy buldogów, ale dotąd jeszcze tego na oczy nie widziałem. Rząd mógł równie dobrze huknąć „niech żyje Davis i Konfederacja Południa” i skutek byłby taki sam dla niego — i dla nas. Ci przyjaciele Murzynów, Jankesi, postanowili z nich zrobić naszych władców. A my mamy jeszcze podziwiać odwagę rządu!

— Podziwiać ich? „Do stu piorunów! Podziwiać? Należałoby ich powystrzelać! Jankesi rzucą się na nas i rozszarpią. Dlaczego nie radyfi... radyfi... nie zrobili tego, co mieli zrobić, i nie ułagodzili Jankesów, zamiast ich znowu przeciw nam podburzać? I tak nas zmuszą do zupełnej uległości, lepiej więc poddać się teraz niż później.

Archie skierował na nią lodowate spojrzenie.

— Poddać się bez walki? Kobiety mają nie więcej dumy niż kozy.

Kiedy Scarlett najęła do pracy dziesięciu więźniów, po pięciu do każdego tartaku, Archie spełnił swoją groźbę i nie chciał z nią mieć więcej nic wspólnego. Ani prośby Melanii, ani obietnice Franka, że podwyższy mu pensję, nie mogły go skłonić do wożenia Scarlett. Chętnie towarzyszył do miasta Melanii, Pitty, Indii i ich znajomym, tylko nie Scarlett. Nie chciał nawet wozić żadnej z tych pań, kiedy i Scarlett siedziała w powozie. Było to dość kłopotliwe, że stary zabijaka tak ostro przeciw niej wystąpił, jeszcze zaś bardziej kłopotliwy był fakt, że rodzina Scarlett i przyjaciele podzielali zdanie Archiego.

Frank prosił ją, aby nie przyjmowała więźniów. Ashley początkowo nie chciał pozwolić, aby więźniowie pracowali w jego tartaku, wreszcie wbrew swojej woli został przekonany przy pomocy łez, próśb i przyrzeczeń, że kiedy czasy będą lepsze, przyjmie do roboty wyzwolonych Murzynów. Sąsiedzi tak mało kryli się ze swym potępieniem, że Frank, Pitty i Melania nie mieli odwagi patrzeć ludziom w oczy. Nawet Piotr i Mammy oświadczyli, że wyzysk więźniów przyniesie nieszczęście i że wszystko to się źle skończy. Wszyscy mówili, że grzechem jest korzystanie z nieszczęścia i nędzy bliźnich.

— A nie mieliście żadnych skrupułów wyzyskując niewolników! — wołała Scarlett z oburzeniem.

Ach, to było co innego. Niewolnicy nie byli ani nieszczęśliwi, ani biedni. Murzyni w czasach niewolnictwa mieli się znacznie lepiej niż teraz, po otrzymaniu wolności, a jeżeli Scarlett temu nie wierzy, wystarczy, aby się rozejrzała dokoła! Ale, jak zwykle, powszechny sprzeciw tylko utwierdził Scarlett w jej postanowieniu. Usunęła Hugona ze stanowiska kierownika tartaku, kazała mu rozwozić drzewo po mieście i zawarła umowę z Gallegherem.

Był on jedynym człowiekiem, który nie miał nic przeciwko zatrudnianiu więźniów. Skinął okrągłą głową i powiedział, że to mądre posunięcie. Scarlett patrząc na tego byłego dżokeja, mocno stojącego na krótkich kabłąkowatych nogach, pomyślała: „Człowiek, który pozwalał mu jeździć na swoich koniach, pewnie nie bardzo dbał o nie. Ja bym go nie dopuściła na odległość dziesięciu stóp do swojego konia”.

Nie miała jednak żadnych skrupułów powierzając mu zwierzchnictwo nad gromadką więźniów.

— A czy daje mi pani wolną rękę w postępowaniu z nimi? — zapytał i oczy jego były tak zimne jak szare agaty.

— Wolną rękę. Chcę tylko, aby tartak szedł i aby mi pan dostarczał drzewa, ile mi potrzeba i kiedy mi potrzeba.

— Jestem do pani usług — rzekł Gallegher krótko. — Powiem panu Wellburnowi, że odchodzę.

Kiedy znikł w ciżbie murarzy, cieśli i noszących wapno robotników, Scarlett doznała pewnej ulgi i poweselała. Gallegher był człowiekiem, jakiego jej było potrzeba. Był silny, twardy i zdecydowany. „Marny Irlandczyk na dorobku” — tak nazwał go pogardliwie Frank, ale Scarlett ceniła go właśnie dlatego. Wiedziała, że Irlandczyk, zdecydowany na dojście do pieniędzy, jest nieocenionym pracownikiem, niezależnie od właściwości swego charakteru. I czuła więcej wspólnego z nim niż z jakimkolwiek mężczyzną swojej klasy, ponieważ Gallegher znał wartość pieniądza.

W pierwszym tygodniu po przejęciu tartaku usprawiedliwił wszystkie jej nadzieje, bo przy pomocy pięciu więźniów wydał więcej drzewa niż Hugon, kiedy miał pod sobą dziesięciu Murzynów. Ponadto Scarlett miała teraz więcej wolnego czasu niż kiedykolwiek po przyjeździe do Atlanty, bo Gallegher nie lubił, aby przychodziła do tartaku, i powiedział jej to otwarcie.

— Niech się pani zajmuje sprzedażą, bo to pani sprawa, a ja się będę zajmować obróbką drzewa — powiedział. — Obóz więźniów nie jest miejscem dla damy i ja to pani mówię, Gallegher, skoro pani sama tego nie rozumie. Dostarczam pani tyle drzewa, ile pani potrzeba, prawda? No i nie mam ochoty, aby mnie pani kontrolowała co dzień jak pana Wilkesa. Może on potrzebuje kontroli. Ja nie.

Tak więc Scarlett wbrew swojej woli nie zaglądała do tartaku Galleghera obawiając się, że wymówi jej, jeżeli będzie przychodziła zbyt często, to zaś byłoby dla niej klęską. Uwaga jego, że Ashley potrzebuje kontroli, ukłuła ją, bo była bardziej słuszna, niż Scarlett chciała przyznać sama przed sobą. Ashley radził sobie z więźniami nie lepiej niż z wolnymi pracownikami, chociaż nie wiedział, dlaczego tak się dzieje. Ponadto wstydził się jak gdyby, że zatrudnia więźniów, i mało ze Scarlett rozmawiał.

Scarlett martwiła się zmianą, jaka w nim zaszła. W jasnej jego czuprynie zaczęły się pojawiać siwe włosy, ramiona zwisały mu smutnie, rzadko się uśmiechał. Nie był już owym dawnym dobrodusznym Ashleyem, którego pokochała wiele lat temu. Wyglądał jak człowiek, którego toczy tajemny, nieznośny ból, i wkoło jego ust pojawił się ponury grymas, który Scarlett zdumiewał i urażał. Pragnęła przyciągnąć jego głowę do swojej piersi, pogładzić po siwiejących włosach i zawołać: „Powiedz mi, co cię trapi! Naprawię to! Ułatwię ci wszystko!”

Ale jego zimna, zamknięta twarz nie pozwalała na poufałość.

## ROZDZIAŁ XLIII

Był jeden z tych ciepłych dni grudniowych, gdy słońce grzało prawie tak mocno jak u schyłku lata. Zeschłe czerwone liście zwisały jeszcze z dębu w ogródku ciotki Pitty, a obumierająca trawa barwiła się żółtą zielonością. Scarlett wyszła z dzieckiem na ręku na ganek i usiadła w słońcu w fotelu na biegunach. Nosiła nową zieloną suknię, obrzeżoną niezliczoną ilością jardów czarnej taśmy, i nowy koronkowy czepek, który jej zrobiła ciotka Pitty. Było jej bardzo do twarzy i w czepku, i w sukni, wiedziała o tym i bardzo była z tego rada. Jak przyjemnie było znowu ładnie wyglądać po długich miesiącach zaniedbania!

Kiedy tak siedziała kołysząc dziecko i nucąc sobie z cicha, usłyszała tętent kopyt w bocznej ulicy i patrząc ciekawie przez gąszcz zeschłych gałązek wina zobaczyła zbliżającego się Retta Butlera.

Nie było go w Atlancie od wielu miesięcy, znikł wkrótce po śmierci Geralda i dawno przed urodzeniem Elli Loreny. Brakło jej jego towarzystwa, teraz jednak chciała go w jakiś sposób uniknąć. Widok jego ciemnej twarzy wzbudził w jej piersi coś w rodzaju lęku. Pewna dotycząca Ashleya sprawa ciążyła jej na sumieniu i nie chciała na ten temat rozmawiać z Rettem, czuła jednak, że on nie bacząc na jej niechęć sprowokuje tę rozmowę.

Zatrzymał się przed furtką i lekko zeskoczył z konia. Scarlett pomyślała patrząc na niego niespokojnie, że wygląda jak pirat na obrazkach w czytankach Wade'a.

„Brakuje mu tylko kolczyka w uchu i noża w zębach — pomyślała. — Ale mimo że wygląda jak pirat, nie uda mu się dzisiaj zarzucić mi pętli na szyję”.

Gdy skierował się w stronę ganku, przywitała go głośno, rzucając mu najsłodszy z uśmiechów. Jak dobrze się stało, że nosiła nową suknię i twarzowy czepek i że wyglądała tak ładnie! Kiedy ją obrzucił szybkim spojrzeniem, wiedziała, że zauważył, jaka jest śliczna.

— Nowe dziecko! Ależ, Scarlett, to przecież niespodzianka! — zaśmiał się pochylając, by odsłonić kołderkę zakrywającą brzydką twarzyczkę Elli.

— Nie rób głupich żartów — powiedziała z rumieńcem. — Jak się miewasz, Rett? Nie było cię tutaj bardzo dawno.

— To prawda. Pozwól mi wziąć dziecko, Scarlett. Och, ja umiem trzymać dzieci. Posiadam wiele nieoczekiwanych umiejętności. Ach, wygląda zupełnie jak Frank. Brakuje mu tylko wąsów, ale i to przyjdzie z czasem.

— Mam nadzieję, że nie. To dziewczynka.

— Dziewczynka? To jeszcze lepiej. Chłopcy są niemożliwi. Nie miej już nigdy chłopców, Scarlett.

Miała na końcu języka ostrą odpowiedź, że w ogóle nie ma zamiaru mieć więcej dzieci, chłopców zarówno jak dziewczynek, ale się powstrzymała w porę, i uśmiechnęła, szukając w myślach tematu rozmowy, który by odsunął na dalszy plan sprawę Ashleya.

— Jak ci przeszła podróż, Rett? Gdzie byłeś tym razem?

— Och, na Kubie, w Nowym Orleanie, w wielu miejscowościach. Czekaj, Scarlett, weź ode mnie dziecko. Zaczyna się ślinić, a nie mogę wyciągnąć chusteczki. To miłe dziecko, ale mimo to nie chcę, aby mi zmoczyło gors koszuli.

Scarlett wzięła niemowlę od Retta, który usiadł wygodnie na poręczy ganku i wyciągnął cygaro ze srebrnej cygarnicy.

— Stale jeździsz do Nowego Orleanu — powiedziała z trochę nadąsaną minką — a nigdy nie chcesz mi powiedzieć, co tam robisz.

— Ciężko pracuję, Scarlett, może więc to interesy mnie tam wzywają?

— Ciężko pracujesz! Ty? — roześmiała się arogancko. — Tyś nigdy w swoim życiu nie pracował. Jesteś na to zbyt leniwy. Ty tylko finansujesz złodziejstwa Carpetbaggerów, dzielisz się z nimi zyskiem i dajesz łapówki urzędnikom jankeskim, aby zezwalali ci na rzeczy, rujnujące nas, którzy płacą podatki.

Odrzucił głowę w tył i roześmiał się głośno.

— Wyobrażam sobie, że pragnęłabyś mieć już dość pieniędzy na przekupywanie urzędników, aby móc iść za moim przykładem!

— Także pomysł!... — zaczęła się złościć.

— Może jednak zarobisz wkrótce dość pieniędzy, aby było cię stać na olbrzymie łapówki. Może zbogacisz się na pracy tych więźniów, których najęłaś.

— Och — odpowiedziała trochę zakłopotana — skąd dowiedziałeś się tak prędko o moich nowych robotnikach?

— Przyjechałem wczoraj i spędziłem, wieczór w barze „Pod Współczesną Dziewczyną”, gdzie słyszy się wszystkie nowinki miejskie. To rynsztok, do którego spływają wszystkie plotki. Znacznie lepszy niż kółko szyjących pań. Wszyscy po kolei mówili mi, żeś najęła więźniów i zaangażowała tego małego Galleghera, aby wyzyskiwał ich na śmierć.

— To kłamstwo — powiedziała z gniewem. — On wcale ich nie wyzyskuje. Ja nad tym czuwam.

— Czy naprawdę?

— Rozumie się! Jak możesz mnie podejrzewać, że jest inaczej?

— Och, bardzo panią przepraszam, pani Kennedy! Powinienem był wiedzieć, że intencje pani są zawsze czyste. Mimo to jednak Gallegher pozostanie bezwzględnym małym tyranem. Pilnuj go lepiej, bo będziesz miała kłopoty z inspekcją.

— Pilnuj swoich interesów, a ja będę pilnowała swoich — rzekła z oburzeniem. — I nie mam już ochoty rozmawiać dłużej o więźniach. Wszyscy mi ich wytykają. To chyba moja rzecz, kto u mnie ma pracować... Nie powiedziałeś mi jeszcze, co robisz w Nowym Orleanie. Jeździsz tam tak często, ze wszyscy mówią... — Przerwała. Nie miała zamiaru tyle powiedzieć.

— Co mówią?

— No... że masz tam ukochaną. Że się prawdopodobnie ożenisz. Czy to prawda, Rett?

Ciekawa tego była od tak dawna, że nie mogła się powstrzymać od zadania mu tego pytania. Odczuła ukłucie dziwnej zazdrości na myśl, że Rett mógłby się ożenić, choć nie mogła sobie wytłumaczyć, dlaczego jest zazdrosna.

Spokojne jego oczy nagle zaświeciły. Spojrzał w oczy Scarlett i nie odwracał spojrzenia, aż blady rumieniec wystąpił na jej policzki.

— Czyby cię to bardzo obeszło?

— Owszem, trochę. Nie chciałabym stracić twojej przyjaźni — rzekła z przesadną uprzejmością, a potem z pozorną obojętnością pochyliła się nad Ellą i otuliła ją lepiej w kołderkę.

Roześmiał się krótko i rzekł: — Popatrz na mnie, Scarlett. Podniosła niechętnie oczy i zarumieniła się jeszcze bardziej.

— Możesz zatem powiedzieć twoim ciekawym znajomym, że jeżeli się ożenię, będzie to znak, że nie mogłem w inny sposób zdobyć kobiety, która mi się spodobała. Dotąd zaś żadna kobieta nie podobała mi się tak bardzo, abym się chciał z nią ożenić.

Teraz Scarlett zmieszała się i zawstydziła naprawdę, bo przypomniała sobie noc na tym samym ganku, podczas oblężenia, i słowa Retta: „Nie należę do mężczyzn, którzy się żenią”, i propozycję, aby została jego kochanką... Przypomniała sobie także okropną wizytę u niego w więzieniu i oblała się wstydem na to wspomnienie. Złośliwy uśmiech zaczął powoli wypływać na jego twarz, ponieważ czytał w jej myślach.

— Zaspokoję jednak twoją prostacką ciekawość, skoro zadałaś mi już tak niedyskretne pytanie. To nie ukochana ciągnie mnie do Nowego Orleanu. To dziecko, mały chłopczyk.

— Mały chłopczyk! — Zdumienie jej z powodu niespodziewanej wiadomości całkowicie pokryło poprzednie zmieszanie.

— Tak, jestem jego prawnym opiekunem i sprawuję nad nim pieczę. Chodzi w Nowym Orleanie do szkoły. Często go tam odwiedzam.

— I zawozisz mu podarki? — „A więc dlatego — pomyślała — Rett tak dobrze wie, co Wade lubi dostawać!”

— Tak — powiedział krótko i niechętnie.

— No, no, no! Czy to ładny chłopczyk?

— Zbyt ładny. Niebezpiecznie ładny.

— Czy jest grzeczny?

— Nie. To nieprawdopodobny urwis. Wolałbym, żeby się nie był urodził. Chłopcy to nieznośne stworzenia. Czy chciałabyś jeszcze coś wiedzieć?

Stał się nagle zły i nachmurzył się, jak gdyby żałując już, że poruszył tę sprawę.

— Oczywiście że nie, jeżeli mi nie masz ochoty nic więcej powiedzieć — rzekła wyniośle, chociaż paliła się z ciekawości. — Trudno mi tylko sobie ciebie wyobrazić w roli opiekuna — i roześmiała się, chcąc go wprawić w zakłopotanie.

— Tak, nie przypuszczam, aby ci to mogło przyjść łatwo. Wyobraźnię masz dość ograniczoną.

Nie powiedział nic więcej i przez chwilę palił w milczeniu. Szukała odpowiedzi równie niegrzecznej jak jego słowa, ale nic jej nie przychodziło na myśl.

— Byłbym ci wdzięczny, gdybyś się tą wiadomością z nikim nie dzieliła — rzekł wreszcie. — Przypuszczam jednak, że to niemożliwe, aby kobieta umiała utrzymać język za zębami.

— Ja potrafię dochować tajemnicy — rzekła z urażoną godnością.

— Doprawdy? Bardzo miło dowiadywać się niespodziewanych rzeczy o przyjaciołach. A teraz przestań się dąsać, Scarlett. Przepraszam cię, że byłem niegrzeczny, ale zasłużyłaś na to, boś była wścibska. Uśmiechnij się do mnie i porozmawiajmy przyjemnie przez kilka chwil, zanim poruszę temat niezbyt miły.

„O, Boże — pomyślała. — Teraz zacznie mówić o Ashleyu i tartaku” — i pośpiesznie uśmiechnęła się i pokazała dołeczki, aby odciągnąć uwagę Retta. — Gdzie jeszcze byłeś Rett? Przecież chyba nie siedziałeś przez cały czas w Nowym Orleanie?

— Nie, przez ostatni miesiąc byłem w Charlestonie. Umarł mój ojciec.

— Och, jakże mi przykro!

— Wcale nie powinno ci być przykro. Pewien jestem, iż ojciec był zadowolony, że umiera, ja zaś nie martwię się zbytnio jego śmiercią.

— Rett, jakże możesz mówić podobne rzeczy!

— Znacznie straszniejsze byłoby, gdybym udawał, że się martwię, gdy tak nie jest, prawda? Nigdyśmy się z moim ojcem nie lubili. Nie przypominam sobie czasów, kiedy starszy pan był ze mnie zadowolony. Byłem zbyt podobny do jego ojca, on zaś bardzo mego dziadka nie lubił. A w miarę jak dorastałem, niezadowolenie ze mnie przekształciło się w wyraźną niechęć, której przyczyn, przyznaję, nie starałem się wcale usunąć. Wszystko, czego ojciec po mnie oczekiwał i czego sobie ode mnie życzył, było tak nudne...

Wreszcie wyrzucił mnie z domu bez grosza i bez żadnego przygotowania do życia poza tym, że byłem dżentelmenem z Południa, doskonałym strzelcem i jeszcze lepszym pokerzystą. Potem zaś uważał za osobistą zniewagę, że nie umarłem z głodu, tylko wyzyskałem umiejętność gry w pokera i utrzymywałem się po królewsku z kart. Był tak oburzony, że członek rodziny Butlerów stał się zawodowym graczem, że gdy po raz pierwszy przyjechałem do domu, zabronił matce widywać się ze mną. I podczas wojny, kiedy trudniłem się w Charlestonie przemytem przez blokadę, matka musiała się wykłamywać przed ojcem i wymykać z domu, aby mnie widzieć. To oczywiście nie wzmogło miłości ojca do mnie.

— Ach, nie wiedziałam o tym wszystkim!

— Ojciec mój był w całym tego słowa znaczeniu przyzwoitym starszym panem dawnego typu, to znaczy, że był głupi, uparty, nietolerancyjny i niezdolny do myślenia w sposób odbiegający od przekonań innych przyzwoitych starszych panów dawnego typu. Wszyscy w mieście okazywali mu podziw, że wyrzucił mnie z domu i traktował jak zmarłego. „Jeżeli skrzywdzi cię prawa źrenica, wykol ją”. Ja byłem jego prawą źrenicą, najstarszym synem, wykłuł mnie więc z zawziętością.

Uśmiechnął się blado, ale snuł te wspomnienia z ponurym wyrazem twarzy.

— Wybaczyłbym mu to wszystko, nie mogę jednak zapomnieć, jak postąpił po wojnie w stosunku do matki i siostry. Rodzina moja była w zupełnej nędzy. Dwór na plantacji został spalony i pola ryżowe leżały odłogiem. Dom w mieście sprzedano za zaległe podatki i wszyscy mieszkali w dwóch pokoikach, gorszych od dawnych kwater murzyńskich. Posyłałem matce pieniądze, ale ojciec je stale odsyłał — nieczyste pieniądze, rozumiesz! — kilkakrotnie więc musiałem jeździć do Charlestonu i dawać coś siostrze ukradkiem. Ojciec jednak zawsze dowiadywał się o tym i robił jej takie piekło, aż w końcu zupełnie tej biednej dziewczynie zatruł życie. No i pieniądze wracały do mnie. Nie wiem, jak mogli wyżyć... Przepraszam, wiem. Brat mój dawał im ile mógł, chociaż sam miał niewiele i ode mnie także nic nie chciał przyjąć... bo, widzisz, pieniądze spekulanta przynoszą nieszczęście! Wspierali ich przyjaciele. Twoja ciotka Eulalia była dla nich bardzo dobra. Jest jedną z najlepszych przyjaciółek matki. Dawała im odzież i... Dobry Boże! Matka moja korzystała ze wsparcia!

Był to jeden z nielicznych wypadków, gdy Scarlett widziała Retta bez maski. Twarz jego wyrażała szczerą nienawiść do ojca i żal z powodu położenia matki.

— Ciotka Eulalia! Ależ na Boga, Rett, ona także nic nie ma poza tym, co ja jej posyłam!

— Ach, a więc to stąd pochodzi! Jak to brzydko z twojej strony, że się tym chwalisz, choć widzisz moje upokorzenie. Musisz pozwolić, abym ci te pieniądze zwrócił!

— Z przyjemnością — powiedziała i uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział jej uśmiechem.

— Ach, Scarlett, jakże ci się oczy świecą na myśl o pieniądzach! Czy jesteś pewna, że nie masz w sobie poza krwią irlandzką domieszki krwi szkockiej lub żydowskiej?

— Nie bądź nieznośny! Nie chciałam wcale wspominać o tym, że pomagam ciotce Eulali. Jej się jednak wydaje, że siedzę na pieniądzach. Ciągle pisze do mnie prosząc o więcej, a Bóg jeden wie, że i bez utrzymywania całego Charlestonu mam dość obowiązków; Na co umarł twój ojciec?

— Przypuszczam, że z wyczerpania nędzą. Dobrze mu tak. Chciał, aby matka i Rosemary zginęły z nim razem. Teraz po jego śmierci mogę im już pomagać. Kupiłem im dom na Baterii i przyjąłem służbę, która się nimi opiekuje. Tylko, że oczywiście nie mogą się przyznać, iż pieniądze pochodzą ode mnie.

— Dlaczego?

— Moja droga, przecież ty chyba znasz Charleston! Bywałaś tam kiedyś. Rodzina moja, mimo że biedna, musi dbać o swoje stanowisko, które zostałoby zachwiane, gdyby się dowiedziano, że utrzymuje się z pieniędzy zdobytych grą w karty i spekulacją. Powiedziały ludziom, że ojciec zostawił wielką polisę ubezpieczeniową, że żył w zupełnej nędzy i umarł z głodu, ale płacił premie, aby po jego śmierci rodzina była zabezpieczona. Uważany jest więc teraz za jeszcze doskonalszego dżentelmena starego typu niż dawniej... Za coś w rodzaju męczennika. Mam nadzieję, że przewraca się w grobie widząc, że matka i Rosemary żyją teraz przyzwoicie, mimo jego starań... Właściwie martwię się trochę, że umarł, ponieważ chciał umrzeć — zadowolony był, że umiera.

— Dlaczego?

— Och, umarł już właściwie w chwili kapitulacji generała Lee. Znasz ludzi tego typu. Nie mógł się wcale przystosować do nowych warunków i bez przerwy mówił o dobrych starych czasach.

— Rett, czy wszyscy starzy ludzie są tacy sami? — Miała na myśli Geralda i to, co jej Will o nim powiedział.

— Ależ nie, na Boga! Przypatrz się tylko wujowi Henrykowi i temu staremu zawadiace, dziadkowi Merriweather, żeby tylko ich dwóch wymienić! Zaczęli nowe życie, w chwili gdy wymaszerowali z gwardią w pole, i wydaje mi się, że odtąd stają się coraz młodsi i pełniejsi wigoru. Spotkałem dzisiaj starego Merriweathera, gdy jechał wozem Renego i klął na konie jak zawodowy furman. Powiedział mi, że czuje się o dziesięć lat młodszy od chwili, gdy wydostał się z domu spod czułej opieki synowej i zaczął rozwozić po mieście pieczywo. Twój wuj zaś zwalcza z zamiłowaniem Jankesów w obrębie sądu i poza nim, broni wdów i sierot — obawiam się, że darmo — przed zakusami Carpetbaggerów. Gdyby nie było wojny, dawno by się wycofał z czynnego życia i pielęgnował swoje reumatyzmy. Obaj są znowu młodzi, bo czują się potrzebni. I lubią nowe czasy, które dają starcom tyle możliwości. Wielu jednak jest ludzi młodych, którzy czują jak mój ojciec i twój. Nie mogą i nie chcą się przystosować — to zaś naprowadza mnie, Scarlett, na niemiły temat, który chciałem z tobą poruszyć.

To nagłe przejście tak ją zmieszało, że zdołała tylko wyjąkać: — Co takiego... — w duchu zaś jęknęła: „O Boże! A więc to jednak przyszło! Ciekawam, czy będę go mogła ugłaskać?”

— Nie powinienem był oczekiwać od ciebie prawdomówności, honoru ani uczciwości, ponieważ znam cię zbyt dobrze. Mimo to zaufałem ci.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Wydaje mi się, że wiesz. W każdym razie wyglądasz jak winna. Kiedy przed chwilą w drodze do ciebie przejeżdżałem przez ulicę Bluszczową, wyobraź sobie, że zza żywopłotu zawołała do mnie pani Wilkes! Zatrzymałem się oczywiście i porozmawiałem z nią chwilkę.

— Naprawdę?

— Tak, bardzośmy sobie przyjemnie pogawędzili. Powiedziała mi, że od dawna chciała mi wyrazić swoje uznanie, że jednak poszedłem z Konfederacją, choć stało się to w ostatniej godzinie.

— Zawracanie głowy! Mela jest głupia. Z powodu twego bohaterstwa omal owej nocy nie umarła!

— Przypuszczam, że uważałaby, iż oddała życie dla dobrej sprawy. A kiedy zapytałem ją, co robi w Atlancie, wydała się bardzo zdumiona i powiedziała mi, że teraz mieszka tutaj z rodziną i żeś ty ofiarowała panu Wilkesowi udział w jednym z tartaków.

— No więc cóż z tego? — zapytała Scarlett krótko.

— Kiedy dałem ci pieniądze na kupno tartaku, zastrzegłem sobie jeden warunek, na który się zgodziłaś: że mianowicie pieniędzy tych nie obrócisz na pomaganie Ashleyowi Wilkes.

— Obrażasz mnie teraz. Zwróciłam ci pieniądze, tartak jest mój i mogę z nim robić, co mi się podoba.

— Może mi wobec tego powiesz, jak zarobiłaś na zwrot tej pożyczki?

— Ależ na sprzedaży drzewa, oczywiście.

— Zarobiłaś dzięki pieniądzom, które ci dałem na początek. To chyba chciałaś powiedzieć. Moje pieniądze służą do wspierania Ashleya. Jesteś kobietą wyzutą z honoru i gdybyś mi nie zwróciła pożyczki, z wielką przyjemnością upomniałbym się o nią teraz i zlicytowałbym cię nawet, gdybyś nie mogła zapłacić.

Mówił żartobliwie, ale oczy jego rzucały gniewne błyski. Scarlett pośpiesznie przeniosła walkę na teren nieprzyjaciela.

— Dlaczego nienawidzisz Ashleya? Czyżbyś był o niego zazdrosny?

Powiedziawszy to chciała się ugryźć w język, bo Rett odrzucił w tył głowę i zaczął się tak śmiać, że Scarlett musiała się zarumienić.

— Jesteś więc nie tylko pozbawiona honoru, ale i zarozumiała — powiedział. — Ciągle jeszcze zdaje ci się, że jesteś pięknością swego powiatu. Zawsze myślisz, że jesteś najrozkoszniejszą dziewczyną na świecie i że każdy spotkany mężczyzna więdnie z miłości do ciebie.

— Wcale tak nie jest! — zaprzeczyła ze złością. — Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego tak bardzo nienawidzisz Ashleya, i to wydało mi się jedynym możliwym wytłumaczeniem.

— No, więc poszukaj czym prędzej innego, piękna pani, bardziej prawdopodobnego. A co się tyczy rzekomej mojej nienawiści do Ashleya, to ani go nienawidzę, ani lubię. Właściwie jedynym uczuciem, jakie żywię dla niego i jemu podobnych, jest litość.

— Litość?

— Tak, oraz lekka pogarda. Teraz powinnaś rozzłościć się i powiedzieć mi, że jeden Ashley wart jest tysiąca łotrów mego pokroju i że zarozumiałością z mojej strony jest, iż czuję dla niego litość czy pogardę. Kiedy przestaniesz się złościć, powiem ci, co o tym myślę, jeżeli cię to ciekawi.

— Nie, nie ciekawi mnie wcale.

— Powiem ci to jednak, bo nie mogę pozwolić, abyś trwała w złudzeniu co do mojej rzekomej zazdrości. Lituję się nad nim, ponieważ powinien był umrzeć, a żyje. A gardzę nim, bo nie wie, co począć ze sobą teraz, gdy świat jego przeminął.

Wygłoszony przez Retta pogląd wydawał się Scarlett znajomy. Przypominała sobie mętnie, że słyszała już podobne słowa, ale nie mogła sobie uprzytomnić gdzie i kiedy. Nie miała zresztą czasu o tym myśleć, ponieważ trzęsła nią wściekłość.

— Cieszyłbyś się prawdopodobnie, gdyby wszyscy przyzwoici ludzie Południa wymarli!

— Gdyby mogli wybierać, Ashley i jemu podobni, z pewnością woleliby nie żyć. Woleliby spoczywać pod pięknymi nagrobkami z napisem: „Tu leży żołnierz Konfederacji poległy dla Ojczyzny” lub „Dulce et decorum est...”, lub czymś w tym rodzaju.

— Nie wiem, dlaczego tak przypuszczasz!

— Bo ty nigdy niczego nie rozumiesz, co nie jest wypisane wołowymi literami i podstawione ci przed nos do przeczytania. Gdyby nie żyli, nie mieliby kłopotów, nie mieliby przed sobą problemów, których nie można rozwiązać. Co więcej, rodziny ich byłyby z nich dumne przez niezliczone pokolenia. Słyszałem także, że umarli są podobno szczęśliwi. Czy przypuszczasz, że Ashley Wilkes jest szczęśliwy?

— Ależ oczywiście... — zaczęła, po czym przypomniała sobie wyraz jego oczu w ostatnich czasach i przerwała zdanie.

— Czy szczęśliwy jest on, Hugon Elsing lub doktor Meade? Czy ojcowie nasi byli szczęśliwi?

— No, może nie byli bardzo zadowoleni z życia, bo potracili swoje majątki.

Roześmiał się.

— Tu nie chodzi o stratę majątków, moja śliczna. Tu chodzi o stratę świata, ich świata — tego, w którym wyrośli. Czuli się ostatnio jak ryby bez wody lub koty, którym by wyrosły skrzydła. Wychowani zostali, aby być kimś, robić określone rzeczy, zajmować określone stanowiska. Te zaś rzeczy i miejsca i ci ludzie znikli na zawsze, gdy generał Lee przybył do Appomattox. Och, Scarlett, nie miej tak głupiej miny! Cóż Ashley Wilkes ma na świecie do roboty teraz, gdy nie ma domu, gdy mu plantację zabrano za podatki, a eleganckich dżentelmenów można nabyć po cenach wyprzedażowych? Czy umie pracować głową lub rękoma? Założę się, żeś straciła dużo pieniędzy od chwili, gdy prowadzi twój tartak.

— Nieprawda, nie straciłam!

— No, to doskonale. Czy pozwolisz mi przejrzeć swoje księgi którejś niedzieli wieczorem, gdy będziesz miała czas?

— Możesz iść do diabła nie czekając niedzieli, a nic mnie to nie obejdzie!

— Kochanie moje, byłem już u diabła i bardzo mi się tam nudziło. Nie chciałbym tam wracać, nawet dla ciebie... Wzięłaś ode mnie pieniądze, ponieważ były ci bardzo potrzebne, i zużyłaś je. Mieliśmy umowę co do tego, jak mają być zużytkowane — umowę tę złamałaś. Pamiętaj tylko, moja mała krętaczko, że przyjdzie taka chwila, gdy będziesz chciała pożyczyć ode mnie jeszcze więcej. Będziesz chciała, abym cię finansował i brał za to śmieszny procent, bo będą ci potrzebne tartaki, nowe muły i nowe szynki. Wtedy zaś długo na pieniądze poczekasz.

— Jeżeli będą mi potrzebne pieniądze, dostanę je w banku, dziękuję — rzekła zimno, ale pierś jej falowała ze wzburzenia.

— Doprawdy? Spróbuj to zrobić. Mam spory pakiet akcji banku.

— Rzeczywiście?

— Tak, mam pewne udziały i w uczciwych przedsiębiorstwach.

— Są jeszcze inne banki...

— O, bardzo wiele. Postaram się jednak, aby w żadnym z nich nie dano ci kredytu. Jak będą ci potrzebne pieniądze, będziesz się mogła zwrócić do lichwiarzy.

— Zwrócę się do nich z przyjemnością.

— Która szybko zniknie, gdy dowiesz się, jaki biorą procent. Moja śliczna, w świecie interesów należy płacić za nieuczciwe postępki. Powinnaś była być w stosunku do mnie szczera.

— O, z ciebie jest niezwykle przyzwoity człowiek! Taki jesteś bogaty i wpływowy, ale gnębisz ludzi, którym jest ciężko, jak Ashleya i mnie.

— Nie zaliczaj się do tej kategorii ludzi, co on. Tobie nie jest ciężko. Nigdy ci ciężko nie będzie. Jemu jednak jest ciężko i będzie tak zawsze, o ile jakaś energiczna osoba nie pokieruje nim i nie zaopiekuje się przez resztę jego żywota. Nie mam ochoty dawać pieniędzy na użytek podobnych osób.

— A jednak mnie pomogłeś, kiedy byłam w nędzy i...

— Tyś była dobrą lokatą, moja droga, interesującą lokatą. Dlaczego? Bo nie czekałaś na pomoc spokrewnionych z tobą mężczyzn i nie wzdychałaś za dawnymi czasami. Zakrzątnęłaś się, rozepchnęłaś łokciami i teraz ugruntowałaś swoją fortunę przy pomocy pieniędzy skradzionych z portfelu zabitego mężczyzny i pieniędzy zabranych Konfederacji. Po stronie aktywów swoich masz morderstwo, odbicie męża, usiłowanie cudzołóstwa, kłamstwa, wyzysk i rozmaite pomniejsze grzeszki, których z bliska lepiej nie oglądać. Wszystko to są rzeczy bardzo godne podziwu. Dowodzą one, że jesteś osobą energiczną i zdecydowaną na wszystko, a zatem dobrą lokatą pieniędzy. To bardzo pasjonujące — pomagać ludziom, którzy sami sobie umieją radzić. Pożyczyłbym bez zabezpieczenia nawet i dziesięć tysięcy dolarów tej starej rzymskiej matronie, pani Merriweather. Zaczęła od tacy ciastek, a przypatrz jej się teraz! Ma piekarnię zatrudniającą kilkanaście osób, uszczęśliwiła starego dziadka, powierzając mu rozwożenie towaru, i zmusiła tego leniwego małego Kreola, Renego, do ciężkiej pracy, którą odrabia z przyjemnością... Albo ten biedak, Tomek Wellburn, który pracuje za dwóch, choć ma ciało niecałego mężczyzny, i pracuje doskonale — albo... no, dość już zresztą, nie chcę cię nudzić

— Znudziłeś mnie już. Śmiertelnie nawet — rzekła Scarlett lodowato, przypuszczając, że go obrazi i odwróci jego uwagę od nieszczęsnego Ashleya. On jednak roześmiał się tylko i nie podjął rękawicy.

— Ludziom takim jak oni warto pomagać. Ale Ashley Wilkes — ba! Ludzie jego pokroju nie mają miejsca ani wartości w świecie tak zwariowanym jak nasz. Gdziekolwiek następują dziejowe przemiany, ludzie jego typu giną najpierw. Tak zresztą być powinno. Nie zasługują na to, aby żyć, ponieważ nie walczą, nie umieją walczyć. Nie jest to pierwszy wypadek, kiedy się świat wykręcił na opak, i nie ostatni. Zdarzało się to często i nie przestanie zdarzać. A kiedy się to zdarza, wszyscy tracą wszystko i stają się sobie równi. Potem zaś wszyscy zaczynają od nowa, nic nie mając. To znaczy: nic z wyjątkiem sprytu, rozumu i siły w rękach. Niektórzy jednak ludzie, jak Ashley, nie mają ani sprytu, ani siły, albo jeżeli mają, nie starają się ich wyzyskać. Idą więc na dno, bo na to zasługują. To rzecz naturalna — światu lepiej jest bez nich. Zawsze jednak zdarza się garstka osób umiejących się przebić; po pewnym czasie znowu są na tym samym miejscu, które zajmowali, zanim świat się przekręcił.

— Ty sam byłeś biedny! Przed chwilą powiedziałeś, że ojciec wyrzucił cię z domu bez grosza! — rzekła Scarlett wściekła. — Zdaje mi się, że choćby dlatego powinieneś mieć zrozumienie i sympatię dla Ashleya!

— Rozumiem go — powiedział Rett — ale współczuć mu nie mogę. Po kapitulacji miał znacznie więcej niż ja, kiedy znalazłem się na bruku. Miał przynajmniej przyjaciół, którzy mu pomagali, podczas gdy ja byłem jak Izmael. Czego jednak Ashley dokonał?

— Nie będziesz go chyba porównywał ze sobą, ty zarozumialcze? On, dzięki Bogu, nie jest podobny do ciebie! Nie potrafi walać sobie rąk jak ty i zarabiać przy pomocy Carpetbaggerów, Scallawagów i Jankesów. Jest uczciwy i sumienny!

— Nie dość jednak sumienny i uczciwy, by nie korzystać z pomocy i pieniędzy kobiety.

— Cóż mu innego pozostało?

— A skądże ja to mam wiedzieć? Wiem tylko, co sam robiłem, i wtedy, gdy mnie wyrzucono z domu, i teraz. Wiem także, co robili inni mężczyźni. Widzieliśmy koniunkturę w upadku cywilizacji i wyzyskaliśmy tę koniunkturę jak najlepiej, jedni uczciwie, inni mniej — i dotąd ją jeszcze wyzyskujemy. Ashleyowie tego świata mają te same okazje i nie chcą z nich korzystać. Nie są zaradni, Scarlett, a na przetrwanie zasługują wyłącznie ludzie zaradni.

Scarlett ledwie słyszała, co Rett mówił, bo teraz wreszcie przypomniała sobie, co męczyło ją od początku rozmowy. Przypomniała sobie zimny wiatr, hulający w Tarze po sadzie, i Ashleya opartego o stertę palików i patrzącego w przestrzeń. Powiedział wtedy... cóż on takiego powiedział? Jakieś dziwne cudzoziemskie słowo, które brzmiało jak bluźnierstwo... Mówił też o końcu świata. Nie wiedziała, co miał wtedy na myśli, teraz jednak zaświtało jej zrozumienie... a wraz z nim nieprzyjemne, męczące uczucie.

— Ashley powiedział mi kiedyś...

— Co?

— Kiedyś w Tarze powiedział coś o... zmierzchu bogów, końcu świata i takich tam głupstwach...

— Ach, o „Gotterdammerung”! — Oczy Retta zaświeciły zainteresowaniem. — I co jeszcze powiedział?

— Och, nie przypominam sobie dokładnie. Nie zwróciłam na to wielkiej uwagi. A tak, jeszcze coś o silnych, którzy się przebijają, i o słabych, którzy zostają zmieceni.

— A zatem wie o tym. Tym cięższe musi to być dla niego. Większość jemu podobnych nic o tych rzeczach nie wie i nigdy się nie dowie. Przez całe swoje życie będą się zastanawiali, czemu prysł czar ich życia. Będą cierpieli w dumnym i niewłaściwym milczeniu. On jednak rozumie. Wie, że został zmieciony.

— To nieprawda! I nie będzie prawdą, dopóki ja żyć będę!

Popatrzył na nią spokojnie i pogodnie.

— Scarlett, w jaki sposób uzyskałaś jego zgodę na przyjazd do Atlanty i zajęcie się tartakiem? Czy bardzo ci się opierał?

Uprzytomniła sobie błyskawicznie scenę z Ashleyem po pogrzebie Geralda, ale odsunęła od siebie to wspomnienie.

— Rozumie się, że nie — odparła z oburzeniem. — Kiedy mu wytłumaczyłam, że potrzebuję jego pomocy, bo nie ufam temu łotrowi, który zarządza tartakiem, bo Frank jest zbyt zajęty, aby mi pomagać, a ja oczekuję — no, miała się urodzić Ella Lorena... Był bardzo zadowolony, że może mi pomóc.

— Słodkie są przywileje macierzyństwa! A więc w ten sposób go omotałaś! Masz go zatem, gdzie chciałaś go mieć, i biedak jest teraz tak spętany zobowiązaniami wobec ciebie, jak twoi więźniowie łańcuchami. Życzę wam obojgu wiele przyjemności. Ale jak zaznaczyłem na początku tej rozmowy, nie dostaniesz ode mnie już nigdy ani centa na żaden z twoich przyziemnych projektów, moja dwulicowa paniusiu.

Paliła ją złość i rozczarowanie. Od pewnego czasu nosiła się z zamiarem pożyczenia od Retta pieniędzy na kupno placu w centrum miasta i założenia tam składu drzewa.

— Mogę się obejść bez twoich pieniędzy — zawołała. — Zarabiam dużo na tartaku, którym zarządza Gallegher, nawet bardzo dużo, odkąd nie zatrudniam wyzwolonych Murzynów, mam poza tym trochę dochodu z hipotek, a Frank w sklepie gromadzi grosze murzyńskich klientów.

— Tak, słyszałem o tym. Jak to mądrze z waszej strony, że obdzieracie ze skóry biedaków, wdowy, sieroty i ignorantów! Skoro jednak musisz kraść, Scarlett, dlaczego nie okradasz bogatych i silnych zamiast słabych i biednych? Już w czasach Robina Hooda uważano to za rzecz bardzo moralną.

— Ponieważ — odparła krótko — znacznie łatwiej jest, jak ty to nazywasz, okradać biednych.

Roześmiał się bezgłośnie i zatrzęsły mu się ramiona.

— Scarlett, jesteś przedziwnie uczciwą łotrzycą!

Łotrzycą! Dziwne, że ta nazwa tak bardzo ją ubodła. Nie jest łotrzycą, pomyślała z oburzeniem. Przynajmniej nie chciała nią być. Chciała być wielką damą. Na chwilę wróciła pamięcią do dawnych lat i ujrzała matkę swoją, poruszającą się z szelestem spódnic pachnących werbeną, niezmordowanie zajętą służbą dla innych — kochaną, szanowaną, wielbioną. I nagle ścisnęło jej się serce.

— Jeżeli chcesz mi zrobić przykrość — rzekła ze znużeniem w głosie — to nie trudź się tak bardzo. Wiem, że nie jestem ostatnio tak... sumienna, jak być powinnam. Nie jestem tak dobra i uprzejma, jak by należało. Ale nie mam na to rady, Rett. Naprawdę nie mam. Cóż innego mogłabym robić? Co stałoby się ze mną, z Wadem, z Tarą i z wszystkimi innymi, gdybym była łagodna, gdy Jankesi weszli do Tary? Powinnam była być inną, ale teraz nie chcę nawet o tym myśleć. A kiedy Jonasz Wilkerson chciał mi odebrać mój dom rodzinny, cóż by się stało, gdybym była łagodna i sumienna? Gdzież byśmy teraz byli? A gdybym chciała być dobra i głupia i nie męczyła Franka o te jego należności... och, mniejsza już z tym. Może jestem łotrzycą, ale nie będę nią wiecznie, Rett. W ciągu wszystkich tych lat, Rett, i nawet teraz — jakiż miałam wybór? Jak miałam postępować? Musiałam podczas burzy kierować łodzią zbyt obciążoną. Tyle mnie wysiłku kosztowało utrzymanie się na powierzchni wody, że nie mogłam już myśleć o sprawach bez znaczenia, o rzeczach, z którymi mogłam się rozstać bez żalu, jak dobre maniery i im podobne sprawy. Tak się bałam, iż łódź moja się przechyli, że za burtę wyrzucałam rzeczy, które wydawały mi się najmniej ważne.

— Dumę, honor, prawdę, cnotę i dobroć — wyliczył. — Masz słuszność, Scarlett. Nie są to sprawy ważne, gdy łódź tonie. Rozejrzyj się jednak dokoła. Popatrz na twoich przyjaciół. Albo szczęśliwie doprowadzają do brzegu łodzie z nie tkniętym ładunkiem albo idą na dno z wysoko wzniesionym sztandarem.

— To banda głupców — powiedziała krótko. — Na wszystko jest pora. Gdy zdobędę dość pieniędzy, będę tak miła, jak tylko sobie można wymarzyć. Będę łagodna jak baranek. Wtedy stać mnie będzie na to.

— Stać cię wtedy będzie na to, ale taka nie będziesz. Niełatwo jest odzyskać zatopiony ładunek, a jeżeli się go nawet wyławia, jest zwykle uszkodzony bezpowrotnie. Dlatego obawiam się, że jeżeli stać cię będzie na wyłowienie z odmętów honoru, cnoty i dobroci, wyrzuconych za burtę, przekonasz się, że morze je odmieniło, lecz nie w rzeczy dziwne i piękne.

Wstał nagle i wziął kapelusz.

— Idziesz już?

— Tak. Powinnaś być zadowolona. Zostawiam cię z resztkami twego sumienia.

Przerwał i popatrzył na dziecko wysuwając palec, aby go schwyciło.

— Frank pewnie bardzo jest dumny z tej małej?

— No tak, rozumie się.

— Pewnie już snuje dla niej piękne plany, prawda?

— Och, wiesz przecież, jak niemądrzy są mężczyźni, gdy chodzi o ich dzieci.

— A więc powiedz mu — rzekł Rett i przerwał z dziwną miną — powiedz mu, że jeżeli mu zależy na spełnieniu tych planów, lepiej zrobi, jeżeli częściej będzie przebywał wieczorami w domu.

— Jak to rozumiesz?

— Tak, jak powiedziałem. Powiedz mu, aby siedział w domu.

— Och, ty podły człowieku! Czy sądzisz, że biedny Frank mógłby...

— Ach, Boże wielki! — Rett wybuchnął głośnym śmiechem. — Wcale nie miałem na myśli, że lata za kobietami! Frank! Dobry Boże!

Zszedł po schodkach, nie przestając się śmiać.

## ROZDZIAŁ XLIV

Popołudnie marcowe było wietrzne i zimne. Scarlett, jadąc ulicą Decatur w stronę tartaku Galleghera, podciągnęła derkę wysoko pod pachy. Samotne wyjazdy były w tym czasie bardzo ryzykowne, jak o tym dobrze wiedziała, bardziej niebezpieczne niż dawniej, ponieważ teraz nikt już nie miał władzy nad Murzynami. Jak Ashley przewidywał, trzeba było drogo płacić za odmowę ratyfikowania poprawki do ustawy. Stanowcza forma odmowy była policzkiem dla rozwścieczonej Północy, represje więc nie dały na siebie czekać. Północ postanowiła narzucić Georgii prawo wyborcze dla Murzynów i w tym celu ogłoszono, że znajduje się ona, jako stan zbuntowany, pod rygorem najsurowszego prawa wojennego. Georgia przestała nawet istnieć jako oddzielny stan i stała się wraz z Florydą i Alabamą „Terytorium Wojskowym Numer Trzeci”, pod komendą generała federacji.

Życie, już i przedtem niepewne i przerażające, stało się teraz jeszcze trudniejsze. Przepisy wojskowe, które rok temu wydawały się bardzo ostre, okazały się łagodne w porównaniu z zarządzeniami generała Pope'a. Perspektywa władzy murzyńskiej sprawiała, że przyszłość rysowała się ciemno i beznadziejnie, a rozgoryczeni mieszkańcy Georgii cierpieli i borykali się bezsilnie. Znaczenie, jakiego nabrali, uderzyło Murzynom do głowy; zdając sobie sprawę, że mają za sobą armię jankeską, zaczęli się dopuszczać coraz śmielszych gwałtów. Nikt nie czuł się bezpieczny.

W tych strasznych i niespokojnych czasach Scarlett bała się bardzo, ale zdecydowana na wszystko, nadal jeździła sama po mieście, z zatkniętym za fartuch bryczki pistoletem Franka. W milczeniu przeklinała rząd, że sprowadził na ludność miasta gorsze jeszcze represje. Cóż dobrego przyszło z tej dzielnej postawy, z gestu, który wszyscy nazywali odważnym? Pogorszyło to tylko stan rzeczy.

Kiedy dojechała do ścieżki, która poprzez aleję nagich drzew prowadziła w dolinę, gdzie stały baraki murzyńskie, cmoknęła na konia, aby pobiegł szybciej. Czuła się nieswojo przejeżdżając koło tego brudnego, plugawego roju rozwalonych wojskowych namiotów i na wpół skleconych chat. Zakątek ten miał najgorszą opinię spośród wszystkich części Atlanty czy jej okolic, tu bowiem gnieździli się w brudzie zdeklasowani Murzyni, czarne prostytutki i zbieranina białych najgorszego gatunku. Mówiono, że tu chronią się przestępcy, biali i czarni, i tu przede wszystkim kierowali się poszukujący zbrodniarzy żołnierze jankescy. Strzelanie i ciosy nożem zdarzały się tutaj tak często, że władze rzadko kiedy przeprowadzały śledztwa i przeważnie pozostawiały mieszkańcom Shantytown (bo tak nazywano to osiedle) regulowanie własnych ciemnych spraw. Głęboko w lasach ukryta była potajemna gorzelnia, która fabrykowała tanią żytniówkę. Nocami chaty w dolinie rozbrzmiewały pijanym krzykiem i przekleństwami.

Nawet Jankesi przyznawali, że miejsce to jest zapowietrzone i że powinno być zmiecione z powierzchni ziemi, ale nie przedsiębrali w tym kierunku żadnych kroków. Mieszkańcy Atlanty i Decatur, którzy zmuszeni byli korzystać z drogi łączącej dwa miasta, pienili się z oburzenia. Mężczyźni przejeżdżali koło Shantytown z pistoletami w garści, a przyzwoite kobiety starały się osadę omijać, nawet jadąc w męskim towarzystwie, bo przy drodze siedziały zwykle pijane murzyńskie dziewki, rzucające obelgi i wywrzaskujące ordynarne słowa.

Dopóki Archie był u jej boku, Scarlett nie myślała o Shantytown, bo nawet najbardziej bezwstydna kobieta murzyńska nie odważyła się roześmiać w jego obecności. Od czasu jednak, gdy zmuszona była jeździć sama, zdarzyło jej się wiele nieprzyjemnych i denerwujących wypadków. Ilekroć przejeżdżała, murzyńskie dziewuchy zdawały się przechodzić same siebie. Nie miała innego wyboru, jak tylko ignorować je i pienić się z wściekłości. Nie mogła nawet ulżyć sobie zwierzeniem swoich kłopotów rodzinie czy sąsiadom, bo sąsiedzi powiedzieliby z tryumfem: „Ach, a czego się spodziewałaś?”, rodzina zaś przejęłaby się tym bardzo i starałaby się zatrzymać ją siłą w domu. Ona zaś nie miała zamiaru przerywać swoich wyjazdów.

Bogu dzięki, że choć dziś nie było przy drodze obdartych kobiet! Kiedy przejechała koło ścieżki, prowadzącej w dół do osady, popatrzyła z obrzydzeniem na grupę chałup przycupniętych nisko i oświetlonych skośnymi promieniami popołudniowego słońca. Wiał chłodny wiatr, do nozdrzy jej dochodził pomieszany zapach palącego się drzewa, piekącej się wieprzowiny i nie uprzątanych wychodków. Zatykając nos, mocno uderzyła lejcami po grzbiecie konia i pognała go za zakręt drogi.

W chwili gdy już chciała odetchnąć z ulgą, gardło ścisnęło jej się nagłym strachem, bo zza dużego dębu wysunął się w milczeniu rosły Murzyn. Przeraziła się — nie tak bardzo jednak, aby stracić głowę, i w jednej chwili ściągnęła konia i schwyciła pistolet Franka.

— Czego chcecie? — wykrzyknęła z całą surowością, na jaką się mogła zdobyć. Wysoki Murzyn schował się za drzewo, a głos, który jej odpowiedział, brzmiał przerażeniem:

— Na Boga, Miss Scarlett, niech pani nie strzela do Dużego Sama!

Duży Sam! Przez chwilę nie rozumiała jego słów. Duży Sam, ekonom z Tary, którego ostatni raz widziała w czasie oblężenia? Cóż na Boga...

— Wyjdź stamtąd, bo chcę się przekonać, czy to naprawdę Duży Sam!

Ociągając się Murzyn wysunął się ze swej kryjówki, olbrzymi, przygarbiony, bosy, ubrany w bawełniane spodnie w paski i w kurtkę niebieskiego munduru Unii, za krótką na niego i ciasną. Kiedy przekonała się, że to naprawdę Duży Sam, schowała pistolet i uśmiechnęła się z radością.

— Och, Sam! Jak się cieszę, że ciebie widzę!

Sam dobiegł pędem do bryczki, wywracając z radości oczyma i świecąc białymi zębami, i ujął jej wyciągniętą rękę obiema dłońmi, wielkimi jak szynki. Różowawożółty jego język wysunął się z ust, całe ciało chwiało się na wszystkie strony, a radosne wykrzywiania były tak śmieszne jak podskoki ciężkiego brytana.

— Mój Boże, jak to dobrze, że znowu widzę kogoś z rodziny! — zawołał ściskając rękę Scarlett tak mocno, że omal nie połamał jej kości. — Dlaczego była pani taka niedobra, że chciała pani do mnie strzelać, Miss Scarlett?

— Tylu jest teraz złych ludzi, że muszę nosić przy sobie broń, Samie. Ale co ty tu robisz w tak obrzydliwym miejscu jak Shantytown, ty, przyzwoity Murzyn? I dlaczego nie przyszedłeś mnie w mieście odwiedzić?

— Ależ, Miss Scarlett, ja wcale nie mieszkam w Shantytown. Jestem tu tylko chwilowo. Nie mieszkałbym tu za nic. Nigdy w życiu nie widziałem takiej hołoty. Nie wiedziałem zresztą, że pani jest w Atlancie. Myślałem, że pani jest w Tarze. Miałem zamiar iść do domu, do Tary, jak tylko będę mógł.

— Czy mieszkasz w Atlancie od czasu oblężenia?

— Nie, p'sze pani! Podróżowałem! — Puścił jej dłoń, którą rozprężyła z trudem, chcąc się przekonać, czy ma całe kości. — Czy pamięta pani, kiedyśmy się ostatni raz widzieli?

Scarlett pamiętała gorący dzień przed początkiem oblężenia, kiedy siedziała z Rettem w powozie, a oddział Murzynów z Dużym Samem na czele przemaszerował po zapylonej ulicy w stronę okopów, śpiewając „Znijdź, Mojżeszu”. Skinęła głową.

— No więc, pracowałem jak koń kopiąc doły i napełniając piaskiem worki, aż Konfederaci wyszli z Atlanty. Pan kapitan, który mi rozkazywał, został zabity i nie było nikogo, kto by Dużemu Samowi powiedział, co ma robić, więc ukrywałem się w zaroślach. Chciałem spróbować przedostać się do domu, ale powiedzieli mi ludzie, że wszystkie wsie w tej okolicy spalone. Zresztą nie znałem drogi i bałem się, że mnie patrole schwytają, bo nie miałem przepustki. Potem przyszli Jankesi i jeden jankeski pan, pułkownikiem był, polubił mnie i wziął do czyszczenia konia i butów. Tak, p'sze pani! Byłem bardzo dumny, bo stałem się lokajem jak Pork, kiedy dotąd byłem tylko parobkiem. Powiedziałem pułkownikowi, że jestem parobkiem z pola, a on... Ale przecież, Miss Scarlett, ci Jankesi to nieuki! Nie rozumiał, co to za różnica! Tak więc zostałem z nimi i pojechałem do Savannah, jak tam poszedł generał Sherman, i jak mi Bóg miły, Miss Scarlett, nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego jak w tej drodze do Savannah. Kradli i palili... czy spalili Tarę, Miss Scarlett?

— Podłożyli ogień, ale udało się nam go ugasić.

— Bardzo się cieszę, p'sze pani, że to słyszę. Tara to mój dom i mam tam zamiar wrócić. A kiedy się wojna skończyła, pułkownik mi powiedział: „Słuchaj, Sam. Pojedź ze mną na Północ. Będę ci płacił dobrą pensję”. A ja, proszę pani, jak wszyscy Murzyni, miałem chęć spróbować tej wolności przed powrotem do domu, więc pojechałem z pułkownikiem na Północ. Tak, p'sze pani, pojechaliśmy do Waszyngtonu i do Nowego Jorku, i do Bostonu, gdzie mieszkał pułkownik. Tak, proszę pani, ja teraz jestem bywałym Murzynem! Miss Scarlett, tam na tych jankeskich ulicach tyle jest koni i powozów, że ani szpilki już wetknąć nie można! Ciągle się tylko bałem, aby mnie nie przejechali!

— Czy podobało ci się na Północy, Samie?

Sam poskrobał się w kędzierzawą głowę.

— I tak, i nie. Pułkownik to bardzo miły pan i on rozumiał Murzynów. Ale jego żona, to zupełnie co innego. Jego żona powiedziała do mnie „Proszę pana”, jak mnie pierwszy raz zobaczyła. Tak, p'sze pani, tak powiedziała, a ja myślałem, że się pod ziemię zapadnę ze wstydu. A pułkownik zaraz jej powiedział, żeby do mnie mówiła „Sam”, więc tak już mnie potem wołała. Ale inni Jankesi, widząc mnie po raz pierwszy, mówili do mnie „Panie O'Hara”. I prosili mnie, abym z nimi siadał, jakbym był tak samo dobry jak oni. No, a ja nigdy w życiu nie siadałem z białymi ludźmi i jestem już za stary, aby się tego uczyć. Traktowali mnie, jak gdybym był tak samo dobry, jak oni, Miss Scarlett, ale w swych sercach nie lubili mnie wcale, bo w ogóle nie lubią Murzynów. I bali się mnie trochę, że taki jestem duży. I ciągle mnie pytali o psy gończe, które mnie ścigały, i o bicie, jakie dostawałem. A ja przecież, Miss Scarlett, nigdy w życiu nie dostałem bicia! Pani wie najlepiej, że pan Gerald nie pozwoliłby nikomu podnieść ręki na Murzyna, który tyle kosztował co ja!

Kiedy im to wyjaśniłem i opowiedziałem, jaka dobra była dla Murzynów pani Ellen i jak pielęgnowała mnie kiedyś przez cały tydzień, gdy leżałem na zapalenie płuc, nie chcieli mi wcale wierzyć. Więc ja, Miss Scarlett, zacząłem tak tęsknić za panią Ellen i za Tarą, że nie mogłem już więcej wytrzymać i pewnej nocy uciekłem do domu i dojechałem towarowymi wagonami aż tutaj do Atlanty. Jeżeli mi pani kupi bilet do Tary, będę szczęśliwy, że uciekłem do domu. Chętnie zobaczę znowu pana Geralda i panią Ellen. Dość już mam wolności. Chcę, aby mnie ktoś znowu dobrze karmił i mówił mi, co mam robić, a czego nie, i opiekował się mną, jeżeli zachoruję. Może znowu dostanę kiedyś zapalenia płuc? Czy się ta jankeska pani mną zajmie? Nie, p'sze pani! Będzie mnie nazywała „Panem O'Hara”, ale nie będzie mnie pielęgnowała... Co jest pani, Miss Scarlett?

— Ojciec i mama nie żyją, Samie.

— Nie żyją? Czy pani ze mnie kpi, Miss Scarlett? Nie powinna mnie pani tak traktować!

— Nie kpię, niestety. To prawda. Mama umarła, kiedy Sherman przechodził przez Tarę, a ojciec... odszedł w czerwcu. Och, Samie, nie płacz! Proszę cię, nie płacz! Jeżeli nie przestaniesz, to i ja się rozpłaczę. Samie, dość już! Nie zniosę tego dłużej. Nie mówmy o tym teraz. Opowiem ci o tym wszystkim innym razem... W Tarze jest teraz panna Zuela i mąż jej, bardzo miły człowiek, pan Will Benteen. A panna Karina jest w... — Scarlett przerwała. Nie potrafi nigdy wytłumaczyć temu czarnemu olbrzymowi, co to jest klasztor. — Mieszka teraz w Charlestonie. Ale Pork i Prissy są w Tarze. No już, Samie, wytrzyj sobie nos. Czy naprawdę chcesz jechać do domu?

— Tak, p'sze pani, ale to już nie będzie tak, jak sobie myślałem, jeśli pani Ellen i...

— Samie, a może byś chciał zostać w Atlancie i pracować u mnie? Potrzebny mi stangret, i to bardzo, teraz, kiedy tylu jest tutaj złych ludzi.

— Tak, p'sze pani. Bardzo pani potrzebny stangret. Miałem właśnie powiedzieć, że nie powinna pani jeździć sama, Miss Scarlett. Nie ma pani pojęcia, jak źli są teraz niektórzy Murzyni, szczególnie ci stąd, z Shantytown. Tu nie jest dla pani bezpiecznie. Jestem tu dopiero od dwóch dni, ale słyszałem, że o pani mówili. A wczoraj, kiedy pani przejeżdżała i te wstrętne czarne dziewuchy do pani krzyczały, ja panią poznałem, ale pani tak szybko przejechała, że nie mogłem do pani podbiec. Ale już tym Murzynom natarłem skórę! O, porządnie nawet. Czy pani nie zauważyła, że dzisiaj nie ma tu nikogo?

— Zauważyłam to i bardzo ci jestem wdzięczna, Samie. No więc, czy chciałbyś być moim stangretem?

— Dziękuję, Miss Scarlett, ale myślę, że wolałbym wrócić do Tary.

Duży Sam patrzył w ziemię, a gołe palce jego stóp kreśliły jakieś znaki na piasku. Stał się nieswój i niepewny.

— Ale dlaczego? Będę ci dobrze płaciła. Powinieneś tutaj zostać.

Duża czarna twarz, głupia i tak łatwa do przeniknięcia jak twarz dziecka, podniosła się i odmalował się na niej strach. Sam zbliżył się do Scarlett i pochylając się nad bryczką wyszeptał:

— Miss Scarlett, ja muszę wyjechać z Atlanty. Muszę dostać się do Tary, gdzie mnie nikt nie znajdzie. Ja... ja zabiłem człowieka.

— Murzyna?

— Nie. Białego. Jankeskiego żołnierza. Już mnie szukają. Dlatego jestem tutaj w Shantytown.

— Jak to się stało?

— Był pijany i powiedział coś takiego, czego nie mogłem ścierpieć, więc schwyciłem go za szyję... nie chciałem go zabić, Miss Scarlett, ale mam strasznie mocne ręce i zanim się spostrzegłem, już nie żył. Tak się przeląkłem, że nie wiedziałem, co robić! Przyszedłem się więc tutaj ukryć i jak panią widziałem przejeżdżającą wczoraj, powiedziałem sobie: „Bogu dzięki! To moja Miss Scarlett! Ona się mną zaopiekuje. Nie pozwoli, aby mnie Jankesi znaleźli. Wyśle mnie do Tary”.

— Mówisz, że cię szukają? Czy wiedzą, żeś to ty zrobił?

— Tak, p'sze pani, jestem taki duży, że nie można się omylić. Jestem pewnie najwyższym Murzynem w Atlancie. Już byli po mnie tutaj zeszłej nocy, ale jedna dziewczyna ukryła mnie w jaskini w lesie i tam siedziałem, póki nie poszli.

Scarlett przez chwilę siedziała w milczeniu i ze zmarszczonym czołem. Nie przeraziło jej to ani nie zmartwiło, że Sam popełnił morderstwo, ale była rozczarowana, że nie będzie mógł jej wozić. Murzyn wzrostu Sama byłby nie mniej dobrą ochroną jak Archie. No trudno, musi mu pomóc jakoś się przedostać do Tary, aby go sprawiedliwość nie dosięgła. Był zbyt dobrym Murzynem, aby zginąć na szubienicy. Jakże, był przecież najlepszym ekonomem, jakiego miała Tara! Wcale nie przyszło jej na myśl, że Sam jest wolny. Należał jeszcze do niej, jak Pork, Mammy, Piotr, kucharka czy Prissy. Był dotąd „jednym z rodziny” i dlatego należała mu się pomoc.

— Wyślę cię dziś wieczorem do Tary — powiedziała wreszcie. — Ale teraz słuchaj, muszę pojechać jeszcze dalej, ale będę wracała tędy przed zachodem słońca. Czekaj na mnie, dopóki nie wrócę. Nie mów nikomu, dokąd idziesz, i jeżeli masz kapelusz, włóż go zaraz, aby sobie zasłonić twarz.

— Nie mam kapelusza.

— Więc masz tutaj pół dolara. Kup sobie kapelusz od któregoś z tutejszych Murzynów i czekaj tu na mnie.

— Dobrze, p'sze pani. — Twarz jego rozjaśniła się zadowoleniem, że znowu znalazł kogoś, kto mu wydaje polecenia.

Scarlett odjechała w zamyśleniu. Will będzie z pewnością zadowolony z dobrego parobka. Pork dotąd nie umiał pracować na roli i nie było widoków, aby się nauczył. Gdyby Sam został na jego miejscu, Pork mógłby przyjechać do Atlanty i połączyć się z Dilcey, jak mu to Scarlett przyrzekła po śmierci Geralda.

Kiedy przybyła do tartaku, słońce zachodziło. Zajechała później, niż przypuszczała. Jan Gallegher stał w drzwiach nędznej budy, która służyła za kuchnię dla małej kolonii drwali. Na pniu przed skleconą z desek chatą, służącą za sypialnię, siedzieli czterej więźniowie, spośród pięciu, zatrudnionych w tartaku. Ich więzienne ubrania były brudne i przepocone, kajdany dzwoniły im na kostkach za każdym znużonym ruchem, unosiła się dokoła nich atmosfera przygnębienia i rozpaczy. Są chudzi i wymizerowani, pomyślała Scarlett przyglądając im się bacznie, a kiedy ich zwolniła z więzienia jeszcze nie tak dawno temu, wyglądali bardzo zdrowo. Nawet nie podnieśli oczu, kiedy wysiadała z bryczki, Gallegher jednak odwrócił się do niej, niedbale zdejmując kapelusz. Jego mała ciemna twarz była zacięta, kiedy ją witał.

— Nie podoba mi się wygląd tych ludzi — powiedziała krótko — Źle wyglądają. Gdzie jest piąty?

— Mówi, że chory — odparł Gallegher lakonicznie. — Leży w domu.

— Co mu dolega?

— Prawdopodobnie lenistwo.

— Wejdę do niego.

— Niech pani tego nie robi. Pewnie leży nago. Już ja go doglądam. Jutro wróci do pracy.

Scarlett zawahała się. Zauważyła, że jeden z więźniów podnosi zmęczoną głowę i rzuca na Galleghera spojrzenie pełne zawziętej nienawiści, a potem szybko opuszcza wzrok.

— Czy pan bił tych ludzi?

— Przepraszam bardzo, pani Kennedy, kto właściwie zarządza tym tartakiem? Pani mnie przyjęła i kazała mi go pani prowadzić. Powiedziała pani, że mam wolną rękę. Nie ma się pani powodu na mnie uskarżać, prawda? Czy nie dostarczam pani dwa razy więcej towaru niż pan Elsing?

— Owszem, dostarcza pan — rzekła Scarlett, ale przeszedł ją niemiły dreszcz.

Dokoła tartaku i brzydkich chałup mieszkalnych unosiło się coś złowrogiego, coś, czego nie czuło się, kiedy pracował tu Hugon Elsing. Był to jakiś smutek, dziwne opuszczenie, które aż ją zmroziło. Więźniowie ci byli pozostawieni samym sobie, tak całkowicie zdani na łaskę Galleghera, że jeżeli bił ich nawet lub w inny sposób znęcał się nad nimi, nie będzie się mogła o tym prawdopodobnie nigdy dowiedzieć. Więźniowie będą się bali skarżyć z obawy przed gorszą karą po jej odjeździe.

— Ludzie ci są wychudzeni. Czy daje im pan dość jedzenia? Bóg jeden wie, ile daję pieniędzy na ich wyżywienie, powinni być wypasieni jak wieprze. Sama mąka i wieprzowina kosztowały w zeszłym miesiącu trzydzieści dolarów. Co mają dziś na kolację?

Zbliżyła się do szopy mieszczącej kuchnię i zajrzała do wnętrza. Tłusta Mulatka, która pochylała się nad zardzewiałym starym piecem, ukłoniła się jej i dalej mieszała groch, warzący się w dużym garnku. Scarlett wiedziała, iż Gallegher z nią żyje, ale wolała udawać, że o tym nie wie. Zobaczyła teraz, że prócz grochu i placka z kukurydzy Mulatka nie przygotowuje nic więcej na kolację.

— Czy nie macie czegoś więcej dla tych ludzi?

— Nie, p'sze pani.

— Czy nie ma słoniny do grochu?

— Nie, p'sze pani.

— Nie gotuje się w nim boczek? Przecież biały groch jest niedobry bez boczku. Nie jest pożywny. Dlaczego nie ma boczku?

— Pan Jan mówi, że nie trzeba wkładać słoniny.

— Włożycie zaraz boczek. Gdzie trzymacie zapasy?

Mulatka zaczęła ze strachem wywracać oczyma w stronę małej szafy w ścianie, służącej za spiżarnię. Scarlett otwarła drzwi do niej. Na podłodze stała otwarta baryłka mąki kukurydzowej, mały worek mąki, funt kawy, trochę cukru, litrowy dzbanek sorgo i dwie szynki. Jedna z nich, leżąca na półce, była niedawno ugotowana, ale ukrojone z niej były najwyżej dwa plasterki. Scarlett zwróciła się z furią do Galleghera i spotkała jego zimny, zły wzrok.

— Gdzie jest pięć worków białej mąki, które tu przysłałam w zeszłym tygodniu? I worek cukru i kawy? Wysłałam też pięć szynek, dziesięć funtów słoniny i Bóg wie ile buszli yamów i ziemniaków. Gdzie się to wszystko podziało? Nie mógł pan tego zużyć w ciągu tygodnia, nawet jeżeliby ludzie dostawali po pięć posiłków dziennie. Sprzedał je pan! Pan to zrobił, złodzieju! Sprzedał pan moje dobre produkty, włożył pan pieniądze do własnej kieszeni, a teraz karmi pan tych ludzi grochem i plackiem z kukurydzy. Nic dziwnego, że tacy są chudzi. Proszę się odsunąć!

Wypadła przed drzwi.

— Wy, człowieku, wy tam z brzega... tak, wy! Chodźcie tutaj! Mężczyzna wstał i niechętne podszedł w jej stronę dzwoniąc kajdanami. Zauważyła, że gołe jego kostki są czerwone i otarte od żelaza.

— Kiedyście ostatni raz jedli szynkę?

Człowiek patrzył w ziemię.

— Mówcie!

Więzień stał w dalszym ciągu milczący i przygnębiony. Wreszcie podniósł wzrok, spojrzał błagalnie w twarz Scarlett i znowu spuścił oczy.

— Boicie się mówić, co? No więc, idźcie do spiżarni i weźcie sobie tę szynkę z półki. Rebeko, daj mu nóż. Zabierzcie ją do tamtych i rozdzielcie między sobą. Rebeko, zrób grzanki i kawę dla tych ludzi. I daj im dużo sorgo. Zabierz się do tego w tej chwili, jeszcze przy mnie.

— To jest osobista mąka i kawa pana Jana — wymamrotała Rebeka z przestrachem.

— Pana Jana, rzeczywiście! I pewnie jego osobista szynka, co? Zrób, co ci mówię. No, zaczynaj. Panie Gallegher, pan pójdzie ze mną do bryczki.

Przeszła przez zarzucone wiórami podwórze i wdrapała się na bryczkę stwierdzając z ponurym zadowoleniem, że więźniowie rozdzierają szynkę i wielkie jej kawały łapczywie pchają sobie do ust. Wyglądało to tak, jak gdyby bali się, że lada chwila im ją odbiorą.

— Wyjątkowy z pana łajdak! — zawołała Scarlett z pasją do Galleghera, który stanął przy bryczce w kapeluszu zsuniętym z czoła. — Zwróci mi pan to, co wydałam na zapasy. Na przyszłość będę dostarczała pożywienia co dzień, zamiast zamawiać je raz na miesiąc. Wtedy nie będzie mnie pan mógł oszukiwać.

— W przyszłości nie będzie mnie tutaj — odparł Gallegher.

— Czy to ma znaczyć, że pan odchodzi?

Przez chwilę miała na końcu języka okrzyk: — Niech pan idzie i szczęśliwej podróży! — ale wstrzymała ją zimna dłoń rozsądku. Cóż pocznie, jeżeli Gallegher odejdzie? Dostarczał jej dwa razy więcej drzewa niż Hugon. A właśnie teraz miała duże zamówienie, największe z dotychczasowych, i w dodatku terminowe. Musiała jak najprędzej mieć to drzewo. Jeżeli Gallegher odejdzie, kogo przyjmie na jego miejsce?

— Tak, odchodzę. Dała mi pani tutaj zupełnie wolną rękę i powiedziała mi pani, że oczekuje ode mnie maksymalnej ilości drzewa. Wtedy nie mówiła mi pani, jak mam prowadzić tartak, i nie mam zamiaru pytać się o to teraz. Nic panią nie powinno obchodzić, co robię, aby dostarczyć pani drzewa. Nie może się pani uskarżać, że nie wywiązuję się z umowy. Dzięki mnie zarobiła pani mnóstwo pieniędzy, ja zaś dobrze zapracowałem na swoją pensję — i na to, co mogłem mieć z boku. Aż nagle zjawia mi się pani tutaj, wtrąca się, zadaje pytania i podważa mój autorytet wobec tych ludzi. Jak pani chce, abym mógł ich teraz utrzymać w dyscyplinie? Cóż z tego, że czasem tych ludzi pobiję? Te leniuchy zasługują na lepsze baty. Cóż z tego, że ich nie tuczę i nie rozpieszczam? Nie zasługują na lepsze traktowanie. Albo przestanie się pani wtrącać w moje sprawy i zajmie się tylko swoimi, albo odejdę jeszcze dzisiaj.

Jego mała twarz miała wyraz bardziej stanowczy niż kiedykolwiek przedtem, Scarlett więc była w kłopocie. Jeżeli Gallegher z miejsca odejdzie, cóż pocznie? Nie może przecież zostać w tartaku przez całą noc, aby pilnować więźniów!

Wątpliwości te Gallegher wyczytał zapewne z jej oczu, bo wyraz jego twarzy zmienił się trochę i stał się nieco łagodniejszy. W głosie zabrzmiała teraz przyjacielska nutka:

— Robi się późno, pani Kennedy, i lepiej będzie, jeżeli pojedzie pani do domu. Nie poróżnimy się chyba o sprawę tak drobną, prawda? Niech mi pani potrąci dziesięć dolarów z przyszłej pensji, a będziemy kwita, dobrze?

Oczy Scarlett powędrowały mimo woli ku wynędzniałym ludziom przeżuwającym ostatek szynki, pomyślała także o chorym, który leżał w zimnej chałupie. Powinna się czym prędzej pozbyć Galleghera. Był nieuczciwy i okrutny. Trudno sobie wyobrazić, jak postępował z więźniami, kiedy jej nie było. Z drugiej jednak strony, był bardzo zaradny, a Bóg świadkiem, jak bardzo potrzebny jej był człowiek zaradny. Trudno, nie mogła się z nim teraz rozstać. Przysparzał jej pieniędzy. Będzie po prostu musiała w przyszłości pilnować, aby więźniowie dostawali odpowiednie racje.

— Potrącę panu z pensji dwadzieścia dolarów — rzekła krótko — i wrócę tu rano, aby omówić dokładniej tę sprawę.

Pochwyciła lejce. Dobrze wiedziała, że nie powróci już do tej kwestii. Wiedziała, że sprawa została zakończona. Wiedziała także, że Gallegher o tym wie.

Kiedy jechała ścieżką do szosy, sumienie jej walczyło z żądzą pieniędzy. Dobrze wiedziała, że nie powinna była zdawać istnień ludzkich na łaskę i niełaskę tego okrutnego człowieka. Jeżeli Gallegher doprowadzi do śmierci jednego z nich, wina spadnie w równej mierze i na nią, bo wiedząc o jego brutalności nie wymówiła mu posady. Ale, z drugiej strony — no, z drugiej strony ludzie nie powinni się dostawać do więzień. Jeżeli łamali prawo i dawali się na tym przyłapać, zasługiwali całkowicie na swój los. Ta myśl częściowo uspokoiła jej sumienie. Im dalej jednak jechała, tym częściej jawiły się w jej pamięci tępe, wychudłe twarze więźniów.

— Och, zajmę się tym później — postanowiła, przestając myśleć o tej sprawie.

Słońce zaszło zupełnie, gdy dojechała do zakrętu drogi koło Shantytown. Lasy okoliczne były już ciemne. Wraz ze zniknięciem słońca na ziemię opadł przejmujący chłód i po ciemnych lasach wiał zimny wiatr szeleszcząc suchymi liśćmi i świszcząc w nagich gałęziach. Nigdy dotąd nie jechała sama o tak późnej porze, czuła się więc nieswojo i żałowała, że nie jest w domu.

Dużego Sama nie było nigdzie widać i kiedy wstrzymała konia, aby na niego poczekać, zaniepokoiła się, czy go już nie schwytali Jankesi. Nagle od strony osady usłyszała kroki i odetchnęła z ulgą. Da Samowi burę, że tak długo musiała na niego czekać.

Zza zakrętu nie wyszedł jednak Sam.

Ukazał się na drodze wysoki, pochylony biały człowiek, a za nim krępy Murzyn o ramionach i piersi goryla. Scarlett szybko smagnęła konia lejcami i schwyciła za pistolet. Koń ruszył truchtem, ale nagle nastraszył się, bo biały człowiek wyciągnął rękę.

— Pani — powiedział — niech mi pani da dziesiątkę. Jestem głodny.

— Odsuńcie się — odrzekła starając się, aby głos jej brzmiał pewnie. — Nie mam pieniędzy. Idźcie.

Jednym szybkim ruchem mężczyzna schwycił konia za uzdę.

— Trzymaj ją! — krzyknął na Murzyna. — Pewnie ma pieniądze za stanikiem.

To, co się stało, było koszmarem, działo się zresztą w błyskawicznym tempie. Wyciągnęła szybko pistolet, ale instynkt jakiś kazał jej nie mierzyć w białego, aby przypadkiem nie trafić w konia. Kiedy Murzyn podbiegł do bryczki z twarzą wykrzywioną pożądliwym uśmiechem, wypaliła prosto w niego. Nie wiedziała, czy trafiła go, czy nie, bo w następnej chwili pistolet został jej wytrącony z ręki uderzeniem, które prawie przetrąciło jej kiść. Murzyn stał teraz koło niej, tak blisko, że czuła bijący od niego odór, gdy usiłował ściągnąć ją z bryczki. Wolną ręką zaczęła, wściekle walczyć, bijąc go w twarz, aż nagle poczuła dłoń jego na gardle: stanik jej został rozdarty od szyi aż po pas. Czarna dłoń zaczęła przebierać między jej piersiami, zdjęło ją przerażenie i wstręt taki, jakiego nigdy dotąd nie znała. Zaczęła wrzeszczeć jak szalona.

— Ucisz ją! Ściągnij ją z bryczki! — krzyknął biały i czarna dłoń skierowała się niepewnie ku ustom Scarlett. Ugryzła ją jak mogła najmocniej i znowu wrzasnęła; poprzez własny krzyk usłyszała przekleństwo białego i zrozumiała, że na ciemnej drodze pojawił się teraz jeszcze ktoś trzeci. Czarna dłoń opadła z jej twarzy i Murzyn odskoczył, bo rzucił się na niego Duży Sam.

— Niech pani ocieka, Miss Scarlett! — krzyknął Sam mocując się z Murzynem. Scarlett więc trzęsąc się i łkając odszukała jakoś lejce i bat i zaczęła okładać konia. Szarpnął się raptownie naprzód. Poczuła, że koła przechodzą po czymś miękkim, co stawia opór. Był to biały, rozciągnięty na drodze, na którą go Sam powalił.

Oszalała ze strachu, smagała konia raz po raz. Pędził teraz tak szybko, że bryczka chwiała się i podskakiwała. Mimo przerażenia usłyszała tupot biegnących po drodze stóp, krzyknęła więc na konia, aby go jeszcze bardziej przyspieszyć. Jeżeli ten czarny goryl złapie ją znowu, umrze pod jego dotknięciem na miejscu.

Usłyszała za sobą głos. — Miss Scarlett!

Nie zwalniając spojrzała przez ramię i zobaczyła Dużego Sama biegnącego tuż za nią. Czarne jego nogi pracowały jak dwa tłoki. Kiedy się zbliżył, wstrzymała konia. Rzucił się na bryczkę, przeważając ją na swoją stronę. Pot i krew spływały mu po twarzy, gdy wykrztusił:

— Czy ranili panią? Boli panią?

Nie mogła mówić, ale widząc w co się wpatrywał i że umknął szybko wzrokiem, przypomniała sobie, że ma stanik rozdarty aż do pasa i że widać jej gorset i gołe piersi. Drżącą dłonią przyciągnęła do siebie dwie poły stanika i pochylając głowę zaczęła łkać boleśnie.

— Niech im pani odda lejce — rzekł Sam wyrywając je z jej ręki. — Ruszaj prędzej!

Bat świsnął, a przerażony koń popędził dzikim galopem, omal nie wrzucając bryczki do rowu.

— Mam nadzieję, że zabiłem tę czarną małpę. Nie wiem na pewno, bo nie chciałem czekać — mówił łapiąc oddech. — Ale jeżeli panią skrzywdził, Miss Scarlett, to wrócę i sprawdzę, czy żyje.

— Nie... nie... jedź prędzej — łkała.

## ROZDZIAŁ XLV

Tego wieczora, gdy Frank odprowadził ciotkę Pitty, dzieci i ją do Melanii i odjechał w dół ulicy z Ashleyem, Scarlett nie posiadała się z wściekłości i żalu. Dlaczego Frank poszedł na zebranie polityczne właśnie tego wieczora? Zebranie polityczne! Tego samego wieczora, gdy ją napadnięto, gdy mogło jej się Bóg wie co zdarzyć! Dowodziło to egoizmu i braku współczucia z jego strony. Przyjął też całą tę sprawę z denerwującym spokojem, który nie opuścił go od chwili, gdy Sam wniósł ją do domu płaczącą, ze stanikiem rozdartym do pasa. Ani razu nie poskubał nawet brody, kiedy mu wszystko opowiedziała. Pytał ją tylko łagodnie: — Złotko, czy ranili cię, czy tylko nastraszyli?

Nie mogła odpowiedzieć, bo dławiły ją gniew i łzy, więc wyręczył ją Sam mówiąc, że tylko nastraszyli.

— Ja nadszedłem, zdążyli więc tylko podrzeć suknię.

— Jesteś dobrym chłopcem, Samie, i nie zapomnę ci nigdy tego, coś zrobił dla pani Scarlett. Gdybym ci się mógł w jakiś sposób odwdzięczyć...

— Owszem, może pan. Niech mnie pan jak najprędzej wyśle do Tary. Jankesi szukają mnie tutaj.

Frank i tego oświadczenia wysłuchał ze spokojem i o nic Sama nie pytał. Wyglądał prawie tak samo, jak owej nocy, gdy Tonio Fontaine zapukał do ich drzwi — jak gdyby i to uważał za sprawę czysto męską, którą należy załatwić bez zbytecznych słów i wzruszenia.

— Pakuj się do bryczki. Piotr zawiezie cię w nocy do Rough and Ready, do rana będziesz się ukrywał w lasach, a potem wsiądziesz w pociąg do Jonesboro. Tak będzie bezpieczniej... Złotko, przestań już płakać. Wszystko już minęło i właściwie nic ci się nie stało. Miss Pitty, czy może mi pani podać sole trzeźwiące? Mammy, przynieś Miss Scarlett szklankę wina.

Scarlett wybuchła ponownie łzami, tym razem łzami wściekłości. Pragnęła pocieszenia, słów oburzenia, zaprzysiężenia zemsty. Wolałaby nawet, aby Frank na nią krzyczał, aby mówił, że właśnie przed tym wielokrotnie ją ostrzegał; wolałaby wszystko od tej obojętności i od traktowania jej przygody jak sprawy mało ważnej. Frank był wprawdzie miły i łagodny, ale w sposób obojętny, jak gdyby zajęty był czymś daleko ważniejszym.

I wreszcie okazało się, że tą ważniejszą sprawą jest małe zebranie polityczne!

Scarlett ledwie uszom swoim wierzyła, gdy Frank kazał jej przebrać się i przygotować do wyjścia do Melanii na cały wieczór. Powinien był wiedzieć, jak przykre było to przejście, powinien wiedzieć, że nie miała ochoty spędzić wieczoru u Melanii, kiedy tak zmęczona i bardzo zdenerwowana tęskniła tylko do ciepłego łóżka — do gorącej cegły, która by rozgrzała jej stopy, i gorącej polewki, która by ukoiła jej obawy. Gdyby ją Frank rzeczywiście kochał, nic w świecie nie mogłoby go oderwać od jej boku tego właśnie wieczora. Zostałby w domu, trzymałby jej dłoń w swojej i powtarzałby raz po raz, że umarłby, gdyby jej się coś złego przytrafiło. Po jego powrocie do domu, gdy zostanie z nim sama, z pewnością mu to wszystko wypomni.

Mały salonik Melanii wyglądał tak pogodnie jak zwykle wieczorami, gdy Franka i Ashleya nie było i kobiety zbierały się razom, aby szyć przy lampie Pokój był ciepły i wesoły, oświetlony ogniem na kominku. Lampa stojąca na stole rzucała spokojne żółte światło na cztery pochylone nad igłą i gładko przyczesane głowy. Cztery suknie spływały w skromnych fałdach do ziemi, osiem małych stóp spoczywało na niskich podnóżkach. Przez otwarte drzwi pokoju dziecinnego dochodziły równe oddechy Wade’a, Elli i Beau. Archie siedział na taborecie przy kominku, plecami zwrócony do ognia, usta miał pełne tytoniu i pilnie coś wycinał z drzewa. Kontrast między brudnym obrośniętym starcem a czterema schludnymi, wytwornymi paniami był tak wielki jak między posiwiałym, krnąbrnym, starym psem łańcuchowym i czterema małymi kotkami.

Cichy, zabarwiony oburzeniem głos Melanii rozbrzmiewał w pokoju, gdy opowiadała szczegółowo o niedawnym wystąpieniu „Stowarzyszenia Harfiarek”'. Nie mogąc się pogodzić ze śpiewaczym Klubem Męskim w sprawie programu następnego recitalu, panie przyszły tego popołudnia do Melanii oświadczając, że postanowiły zupełnie wystąpić z „Kółka Muzycznego”. Melania musiała użyć wszelkich chwytów dyplomatycznych, aby nakłonić je do odwleczenia tej decyzji.

Scarlett, zupełnie wyczerpana, omal nie krzyknęła: — Och, niech licho porwie „Stowarzyszenie Harfiarek”! — Chciała rozmawiać o swoim okropnym przejściu. Chciała je opowiedzieć szczegółowo, aby strasząc inne dać upust własnemu przerażeniu. Chciała się pochwalić, jaka była dzielna, aby upewnić się brzmieniem własnych słów, że rzeczywiście spisała się odważnie. Ilekroć jednak naprowadzała rozmowę na ten temat, Melania zwracała ją na inne i bezpieczniejsze tory. Irytowało to Scarlett nieznośnie. Wszyscy byli dziś dla niej tak samo niedobrzy jak Frank.

Dlaczego byli tak spokojni i opanowani, kiedy ona ledwie uniknęła strasznego losu? Nie okazywali jej nawet tyle uprzejmości, aby pozwolić jej się wygadać.

Wypadki popołudnia wstrząsnęły nią głębiej, niż chciała się do tego przyznać sama przed sobą. Ilekroć przypominała sobie wstrętną twarz, patrzącą na nią z cienia mrocznej drogi leśnej, zaczynała drżeć na całym ciele. Kiedy myślała o czarnej dłoni na swojej piersi i o tym, co się mogło stać, gdyby się Duży Sam nie zjawił, nisko pochylała głowę i mocno zaciskała powieki. Im dłużej siedziała w spokojnym pokoju, starając się szyć i słuchać słów Melanii, tym bardziej wzmagało się jej napięcie. Czuła, że lada chwila usłyszy, jak jej napięte do ostatka nerwy pękają niczym struny banjo.

Struganie Archiego bardzo ją denerwowało. Rzuciła mu złe spojrzenie spod oka. Naraz wydało się jej dziwne, że starzec siedzi tak przy piecu i coś sobie dłubie. Zwykle wieczorami, gdy sprawował straż w domu, leżał na sofie, śpiąc i chrapiąc tak gwałtownie, że długa jego broda powiewała w powietrzu za każdym oddechem. Jeszcze dziwniejsze było, że ani Melania, ani India nie zwróciły mu uwagi, aby położył na podłogę kawał papieru i na to rzucał drzazgi. Na dywaniku przed kominkiem zebrał się już zupełny śmietnik, ale żadna z kobiet nie zdawała się tego spostrzegać.

Kiedy mu się tak przyglądała, Archie odwrócił się nagle do ognia i wypluł przeżuty tytoń z taką gwałtownością, że India, Melania i Pitty podskoczyły na krzesłach, jak gdyby wybuchła bomba.

— Czy musicie spluwać tak głośno? — zawołała India głosem, który załamał się ze zdenerwowania. Scarlett spojrzała na nią ze zdziwieniem, ponieważ India była zazwyczaj doskonale opanowana.

Archie popatrzył na nią zimno.

— Owszem, muszę — odrzekł spokojnie i znowu splunął. Melania rzuciła na Indię spojrzenie z ukosa.

— Zawsze byłam taka rada, że mój drogi ojciec nie żuł tytoniu — zaczęła Pitty, a Melania z marsem na czole zwróciła się teraz ku niej i przemówiła bardzo ostro:

— Och, niechże się ciocia uspokoi! Nie ma ciocia za grosz taktu!

— Och, Boże! — Pitty opuściła szycie na kolana i wydęła usta w grymasie obrazy. — Przysięgam, że nie wiem, co się wam dzisiaj stało. Obie z Indią jesteście dzisiaj jadowite i kąśliwe niczym osy.

Nikt jej nie odpowiedział. Melania nawet jej nie przeprosiła za swoją napaść, tylko znowu zabrała się gwałtownie do szycia.

— Robisz calowe ściegi — oświadczyła Pitty z pewną dozą zadowolenia. — Będziesz musiała wszystko to spruć. Co się z tobą dzieje?

Ale Melania znowu nic nie odrzekła.

„Czy rzeczywiście kryje się coś pod tym wszystkim?” — zastanawiała się Scarlett. Czy była zbyt zajęta własnymi obawami, aby coś zauważyć? Tak, mimo wysiłków Melanii, aby wieczór ten niczym się pozornie nie różnił od pięćdziesięciu podobnych, które spędziły razem, atmosfera była jednak inna. Była w niej nerwowość, której nie można było przypisać wyłącznie przejęciu się pań zdarzeniami popołudnia. Scarlett spojrzała ukradkiem na swoje towarzyszki i spotkała się ze wzrokiem Indii. Zmieszała się pod tym spojrzeniem, ponieważ było przenikliwe, badawcze i w zimnej swojej głębi kryło coś silniejszego od nienawiści, coś bardziej dotkliwego od pogardy.

„Jak gdyby myślała, że to, co się stało, jest moją winą” — pomyślała Scarlett z oburzeniem.

India spojrzała z kolei na Archiego i wzrok jej, w którym nie było już złości, wyrażał niepokój i pytanie. Archie jednak nie patrzył na nią. Spojrzał tylko na Scarlett równie zimno i bezwzględnie jak India.

Tępe milczenie zaległo teraz pokój, bo Melania przestała podtrzymywać rozmowę. W ciszy Scarlett słyszała szum wiatru zrywającego się na dworze. Wieczór stał się nagle wyraźnie nieprzyjemny. Zaczęła teraz odczuwać w powietrzu naprężenie. Czuć je było prawdopodobnie przez cały czas, tylko ona była zbyt przygnębiona, aby je zauważyć. Archie wyglądał, jak gdyby na coś w napięciu czekał, a jego obrośnięte włochate uszy zdawały się być nadstawione jak uszy rysia. Niepokój Melanii i Indii, choć siłą powstrzymywany, sprawiał, że podnosiły głowy od szycia za każdym dźwiękiem kopyt na drodze, za każdym skrzypem poruszanych wiatrem nagich konarów i szelestem zeschłych liści, toczących się po trawniku. Kiedy płonące głownie spalały się z cichym trzaskiem w kominku, wzdragały się, jak gdyby na dźwięk skradających się kroków.

Coś groźnego wisiało w powietrzu i Scarlett nie wiedziała, co by to mogło być. Coś się kroiło, o czym nic jej nie było wiadome. Spojrzenie na pulchną, szczerą twarz ciotki Pitty, bardzo jeszcze nadąsaną, powiedziało jej, że stara pani wie równie mało jak ona. Ale Archie, Melania i India wiedzieli o wszystkim. W panującym milczeniu prawie namacalnie mogła wyczuć myśli Melanii i Indii, kołujące wściekle jak wiewiórki w klatce. Wiedziały o czymś, czekały, mimo iż starały się udawać, że wszystko jest po dawnemu. Wewnętrzny ich niepokój udzielił się wreszcie Scarlett i spotęgował jeszcze jej zdenerwowanie. Niezgrabnie wetknąwszy igłę w materiał ukłuła się w duży palec i z okrzykiem bólu i złości, na który wszyscy drgnęli nerwowo, naciskała palec poty, póki nie ukazała się na nim mała kropelka krwi.

— Jestem dziś zbyt zdenerwowana, aby móc szyć — oświadczyła rzucając cerowanie na podłogę. — Jestem tak zdenerwowana, że chciałabym krzyczeć. Chcę iść do domu i położyć się do łóżka. Frank wiedział, w jakim jestem stanie, i nie powinien był wychodzić. Gada, gada bez końca o obronie kobiet przed Murzynami i Carpetbaggerami, a kiedy nadchodzi pora, aby je bronić, gdzie go szukać? Czy w domu u mego boku? Nie, wręcz przeciwnie, włóczy się z kupą innych mężczyzn, także spędzających czas na gadaniu i...

Rozpalony jej wzrok spoczął na chwilę na twarzy Indii. Przerwała. India oddychała szybko, a blade jej bezrzęse oczy wlepione były w twarz Scarlett z wyrazem śmiertelnego chłodu.

— Jeżeli nie sprawi ci to zbyt wiele przykrości, Indio — zaczęła z sarkazmem — będę ci wdzięczna, jeśli mi powiesz, dlaczego mi się tak przypatrujesz przez cały wieczór? Czy twarz mi pozieleniała lub coś w tym rodzaju?

— Wcale mi nie sprawi przykrości, jeśli ci na to odpowiem. Przeciwnie, zrobię to z przyjemnością — rzekła India i oczy jej zabłysły. — Złości mnie, że nie doceniasz tak szlachetnego człowieka jak pan Kennedy, bo gdybyś wiedziała...

— Indio! — rzekła Melania ostrzegawczo, splatając ręce na szyciu.

— Zdaje mi się, że męża swego znam lepiej niż ty — rzekła Scarlett i możliwość kłótni, pierwszej otwartej kłótni z Indią, sprawiła, że humor jej się poprawił i zdenerwowanie przeszło. Melania spojrzała na Indię i India z wysiłkiem zamknęła usta. Po sekundzie jednak znowu przemówiła, a głos jej brzmiał teraz, zimną nienawiścią:

— Mdli mnie, Scarlett O'Hara, kiedy ty zaczynasz mówić o potrzebie obrony! Nie dbasz wcale o to, aby cię broniono! Gdyby ci na tym zależało, nigdy byś się nie narażała tak, jak w ostatnich miesiącach, nie rozjeżdżałabyś po mieście, pokazując się obcym mężczyznom w nadziei, że będą cię podziwiali! Zasłużyłaś na to, co ci się zdarzyło po południu, i gdyby istniała na świecie sprawiedliwość, oberwałabyś jeszcze znacznie gorzej.

— Och, Indio, przestań! — zawołała Melania.

— Pozwól jej mówić! — krzyknęła Scarlett. — Bardzo mnie to bawi. Wiedziałam zawsze, że India mnie nienawidzi, była tylko zbyt wielką hipokrytką, aby się do tego otwarcie przyznać. Gdyby przypuszczała, że ktoś ją będzie podziwiał, chodziłaby od rana do nocy po ulicach nago.

India zerwała się na równe nogi, a szczupłe jej ciało drżało z oburzenia.

— Nienawidzę cię naprawdę — rzekła wyraźnie, choć głos jej drżał. — Ale nie hipokryzja była powodem, że to ukrywałam. Raczej może coś, czego ty nie możesz zrozumieć, ponieważ nie masz żadnego... żadnego obejścia, prymitywnych dobrych manier. Było to przekonanie, że jeżeli nie będziemy się wszyscy trzymali razem i zapominali o drobnych naszych nienawiściach, nie potrafimy się oprzeć Jankesom. Ale ty... ty... tyś zrobiła wszystko, co w twojej mocy, aby poniżyć godność przyzwoitych ludzi, pracowałaś i przynosiłaś wstyd dobremu mężowi, dając Jankesom i innej hołocie prawo, aby nas wyśmiewali i robili obelżywe uwagi na temat naszego braku manier. Jankesi nie wiedzą, że nie należysz do nas i nigdy nie należałaś. Jankesi nie mają dość rozumu, aby stwierdzić, że nie ma w tobie żadnej godności. A kiedy jeździłaś po lasach i narażałaś się na napaści, naraziłaś na nie tym samym wszystkie przyzwoite kobiety w mieście, bo wodziłaś na pokuszenie Murzynów i najgorszą białą nędzę. I życie naszych mężczyzn naraziłaś na niebezpieczeństwo, bo muszą...

— O mój Boże, Indio! — zawołała Melania i mimo swej złości Scarlett zdumiała się, że Melania wzywa imię Boże nadaremnie. — Uspokój się! Ona nie wie o niczym i... bądź cicho! Przyrzekłaś...

— Och, dziewczęta! — powiedziała błagalnie panna Pittypat drżącymi ustami.

— O czym ja nie wiem? — Scarlett porwała się na nogi, wściekła patrząc na rozpaloną do białości Indię i na błagalną minę Melanii.

— Stado kwok — rzekł nagle Archie z pogardą w głosie. Zanim którakolwiek z nich mogła go ofuknąć, szybko odwrócił siwą głowę i zerwał się z krzesła. — Ktoś idzie ścieżką. To nie pan Wilkes. Przestańcie gdakać.

Głos jego brzmiał autorytetem mężczyzny, kobiety więc nagle umilkły i gniew znikł z ich twarzy, gdy Archie pokuśtykał przez pokój w stronę drzwi.

— Kto idzie? — zapytał, nim zapukano.

— Kapitan Butler. Proszę mnie wpuścić.

Melania przebiegła przez pokój tak szybko, że krynolina jej zakołysała się gwałtownie i odsłoniła pantalony aż do kolan, i zanim Archie mógł sięgnąć do klamki, otwarła szeroko drzwi. Stanął w nich Rett Butler; miękki kapelusz miał nisko nasunięty na oczy, a ostry wiatr rozwiewał mu pelerynę szeroko. Dobre maniery opuściły go teraz zupełnie. Nie zdjął kapelusza ani nie przywitał się z nikim w pokoju. Patrzył na Melanię i od razu przystąpił do rzeczy, bez wstępów.

— Dokąd poszli? Proszę mi natychmiast powiedzieć. To sprawa życia lub śmierci.

Scarlett i Pitty, przerażone i zdumione, niemo patrzyły na siebie, ale India, jak stary chudy kot, przebiegła przez pokój do boku Melanii.

— Nie mów mu nic — zawołała zapalczywie. — To szpieg, to Scallawag!

Rett nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem.

— Szybko, pani Wilkes! Jeszcze nie jest za późno.

Melania znieruchomiała ze strachu i bez słowa patrzyła na Retta.

— Co, na Boga... — zaczęła Scarlett.

— Niech pani zamknie buzię — rozkazał Archie krótko. — I pani też, pani Melu. A pan niech się stąd wynosi, przeklęty Scallawagu!

— Nie, Archie, nie! — zawołała Melania i położyła drżącą dłoń na ramieniu Retta, broniąc go jak gdyby przed Archiem. — Co się stało? Skąd pan... skąd pan wie?

Na ciemnej twarzy Retta zniecierpliwienie walczyło o lepsze z uprzejmością.

— Dobry Boże, pani Wilkes, podejrzani są od samego początku, tylko że jak dotąd udawało im się wszystko, do dziś! Skąd wiem? Grałem wieczorem w pokera z dwoma pijanymi kapitanami jankeskimi i ci się wygadali. Jankesi wiedzieli, że na dziś w nocy szykują się niepokoje, i byli na nie przygotowani. Ci głupcy wpadli w pułapkę.

Przez chwilę zdawało się, że Melania upadnie jak pod ciężkim uderzeniem, ale ramię Retta podtrzymało ją w porę.

— Nie mów mu nic! On knuje jakiś podstęp! — wołała India patrząc nienawistnie na Retta. — Czy nie słyszałaś, jak mówił, że był dziś wieczorem w towarzystwie jankeskich oficerów?

Rett wciąż jeszcze nie patrzył na nią. Oczy jego spoczywały na białej twarzy Melanii.

— Niech mi pani powie. Dokąd poszli? Czy mają jakieś miejsce spotkania?

Mimo swego strachu i zmieszania Scarlett pomyślała, że nigdy w życiu nie widziała twarzy bardziej pozbawionej wyrazu niż twarz Retta, Melania jednak musiała w niej wyczytać coś więcej — coś, co dodało jej otuchy. Wyprostowała wątłe ciało, odsunęła podpierające ją ramię i powiedziała głosem spokojnym, choć drżącym:

— Na szosie do Decatur, w pobliżu Shantytown. Spotykają się w piwnicy dawnej plantacji Sullivanów, tej na wpół spalonej.

— Dziękuję pani. Pojadę szybko. Gdyby Jankesi tu przyszli, nikt z was nie wie o niczym.

Odszedł tak szybko, czarna jego peleryna tak nagle zlała się z ciemnością, iż trudno im było uwierzyć, że był rzeczywiście, póki nie usłyszeli zgrzytania żwiru i szalonego pędu konia, ruszającego galopem.

— Jankesi mieliby tu przyjść? — zawołała Pitty i opadła bezwładnie na kanapę zbyt przerażona, by płakać.

— O co tu chodzi? Co to ma znaczyć? Zwariuję, jeżeli mi w tej chwili nie powiecie! — Scarlett położyła ręce na ramionach Melanii i potrząsnęła nią gwałtownie, jak gdyby siłą chciała z niej wyrwać odpowiedź.

— Co to znaczy? To znaczy, że to ty będziesz prawdopodobnie przyczyną śmierci Ashleya i pana Kennedy'ego! — Mimo śmiertelnego niepokoju, w głosie Indii brzmiała nutka tryumfu. — Przestań potrząsać Melą. Już i tak jest ledwie żywa.

— Nie, nic mi nie jest — wyszeptała Melania i schwyciła się za poręcz krzesła.

— Boże mój, Boże! Nic nie rozumiem! Zabiją Ashleya? Proszę, niech mi ktoś powie...

Głos Archiego, skrzypiący jak zardzewiałe zawiasy, przeciął słowa Scarlett:

— Siadajcie — rozkazał krótko. — Podnieście szycie. Szyjcie, jak gdyby nic się nie stało. Nie wiadomo, może Jankesi szpiegują już przed domem od zmierzchu. Siadajcie, mówię, i szyjcie.

Usłuchały go drżąc, nawet Pitty podniosła skarpetkę i trzymała ją w trzęsących się palcach, a oczy jej, dziecinne i okrągłe z przerażenia, krążyły po obecnych z niemym pytaniem.

— Gdzie jest Ashley? Co się z nim dzieje, Melu? — zawołała Scarlett.

— A gdzie twój mąż? Czy to cię wcale nie interesuje? — Blade oczy Indii świeciły obłąkaną złością, kiedy gniotła i prostowała na kolanach ręcznik, który łatała.

— Indio, proszę cię! — Melania panowała już nad głosem, ale blada jej twarz i umęczone oczy świadczyły o gnębiącym ją niepokoju. — Scarlett, powinnyśmy ci były może powiedzieć, ale... ale... tyle przeszłaś po południu, że... Frank uważał... zresztą występowałaś zawsze tak zdecydowanie przeciw Klanowi...

— Przeciw Klanowi...?

Scarlett tak wypowiedziała to słowo, jak gdyby go nigdy dotąd nie słyszała i nie rozumiała jego znaczenia, a potem:

— Klan! — krzyknęła prawie. — Ashley przecież nie należy chyba do Klanu! Ani Frank! Och, przecież mi przyrzekł!

— Rozumie się, że pan Kennedy należy do Klanu, i Ashley, i wszyscy panowie, których znamy! — wołała India. — Są przecież mężczyznami, prawda? Są białymi i południowcami. Powinnaś być dumna z twego męża, nie zaś dopuszczać do tego, aby się wykradał z domu, jak gdyby popełniał jakąś niegodziwość, i...

— Wszyscyście wiedzieli o tym od dawna, a ja...

— Baliśmy się, że się tym zanadto przejmiesz — rzekła Melania ze skruchą.

— A więc to tam chodzą, kiedy się wybierają niby na zebrania polityczne? Och, Frank przyrzekł mi przecież! Teraz Jankesi zabiorą mi tartaki i sklep, a jego wsadzą do więzienia... och, co miał na myśli Rett Butler?

Oczy Indii spoczęły na Melanii z dzikim przerażeniem. Scarlett wstała rzucając szycie na ziemię.

— Jeżeli mi nie powiecie wszystkiego, pójdę do miasta i dowiem się sama. Będę pytała wszystkich, póki się nie dowiem...

— Niech pani siada — rzekł Archie patrząc jej prosto w oczy. — Ja powiem. Ponieważ podobało się pani znowu wałęsać się dziś po południu i z własnej winy miała pani przykrość, pan Wilkes, pan Kennedy i inni panowie wyszli wieczorem, aby odnaleźć tego Murzyna i tego białego, i zabić ich, i aby zniszczyć całe Shantytown. A jeżeli to, co mówił ten Scallawag, jest prawdą, znaczy, że Jankesi coś podejrzewali albo dowiedzieli się jakoś o tym i wysłali na nich wojsko. W takim razie nasi weszli w zasadzkę. A jeżeli to, co Butler powiedział, nie jest prawdą, to znaczy, że on jest szpiegiem i że to on ich wyda Jankesom, a wtedy zabiją ich i tak. Ale jak on ich wyda, to ja go zabiję, choćby to był ostatni uczynek w moim życiu. A jeżeli ich nawet nie zabiją, to wszyscy będą musieli uciekać do Texas, ukrywać się tam i może już nigdy nie wrócą. Wszystko to jest pani winą i teraz ma pani krew na swoich rękach.

Gniew zmazał teraz strach z twarzy Melanii. Widziała, że Scarlett powoli zaczyna pojmować i że ogarnia ją przerażenie. Wstała i położyła dłoń na jej ramieniu.

— Jeszcze jedno słowo, a wyjdziecie z tego domu, Archie — powiedziała stanowczo. — To nie jest wina Scarlett. Robiła tylko to, co uważała za słuszne. A nasi panowie także postępują, jak uważają za właściwe. Ludzie tak właśnie powinni postępować. Nie wszyscy myślimy jednakowo ani jednakowo postępujemy i źle jest... sądzić innych wedle własnej naszej miary. Jak możecie wy i ty, Indio, mówić tak okrutne rzeczy, kiedy mąż Scarlett, podobnie jak mój mąż, są może... są może...

— Cicho! — przerwał jej Archie szeptem. — Niech pani siada. Słyszę konie.

Melania opadła na krzesło, wzięła w ręce koszulę Ashleya i pochylając nad nią głowę zaczęła bezwiednie odpruwać z niej plisy.

Stukot kopyt stał się głośniejszy, konie skierowały się przed dom. Rozległo się dźwięczenie uprzęży, skrzyp skóry i głosy. Kiedy wreszcie konie zatrzymały się przed domem, jeden głos zagórował nad innymi w komendzie i dały się słyszeć kroki kierujące się przez ogród w stronę kuchennego ganku. Wydało im się, jak gdyby tysiące wrogich oczu patrzyło na nich przez nie zasłonięte okna. Cztery kobiety ze strachem w sercach pochylały głowy i pilnie szyły. Serce Scarlett kołatało w piersiach: „Zabiłam Ashleya! To ja go zabiłam!” I w strasznej tej chwili nie pomyślała nawet, że zabiła może i Franka. W pamięci miała miejsce tylko na obraz Ashleya rozciągniętego ze zbroczonymi krwią włosami u stóp jankeskich kawalerzystów.

Kiedy u drzwi rozległo się ostre, szybkie pukanie, spojrzała, na Melanię i zobaczyła, że mała, napięta jej twarz przybiera nowy wyraz, tak nieprzenikniony jak przed chwilą twarz Retta Butlera — łagodny, obojętny wyraz twarzy pokerzysty, który bluffuje o wielką stawkę, mając tylko parę asów.

— Archie, otwórzcie drzwi — powiedziała spokojnie.

Wsuwając nóż za cholewę i obluźniając pistolet za pasem, Archie pokuśtykał do drzwi i otworzył je szeroko. Pitty wydała krótki jęk, jak mysz, która widzi, że się pułapka zamyka, bo zobaczyła zgromadzony w drzwiach oddział żołnierzy jankeskich pod wodzą kapitana. Pozostali nic nie powiedzieli. Scarlett z uczuciem pewnej ulgi stwierdziła, że zna dowodzącego oficera. Był to kapitan Tomasz Jaffery, znajomy Retta. Kupił u niej drzewo na budowę domu. Wiedziała, że jest dżentelmenem. Może wobec tego nie zawlecze ich od razu do więzienia. On także poznał ją natychmiast i zdejmując kapelusz skłonił się z pewnym zmieszaniem.

— Dobry wieczór, pani Kennedy. Która z pań jest panią Wilkes?

— Ja jestem panią Wilkes — odrzekła Melania wstając. Mimo swego małego wzrostu była pełna godności. — Czemu zawdzięczam to najście panów?

Oczy kapitana przebiegły szybko po pokoju zatrzymując się na chwilę na każdej twarzy, z twarzy przechodząc na stół i szaragi, jak gdyby w poszukiwaniu śladów mężczyzn.

— Chciałbym porozmawiać z panem Wilkesem i panem Kennedym, jeżeli można.

— Nie ma ich tutaj — rzekła Melania lodowatym głosem.

— Czy jest pani tego pewna?

— Niech pan nie poddaje w wątpliwość słów pani Wilkes — rzekł Archie i broda mu się zjeżyła.

— Przepraszam panią, pani Wilkes. Nie chciałem pani dotknąć. Jeżeli da mi pani na to słowo, nie każę przeszukiwać domu.

— Daję panu słowo. Ale może pan szukać, jeżeli pan sobie życzy. Panowie są na zebraniu w mieście, w sklepie pana Kennedy'ego.

— Nie ma ich w sklepie. Nie było tam dziś zebrania — odrzekł kapitan ponuro. — Poczekamy przed domem, aż wrócą.

Skłonił się sztywno i wyszedł zamykając za sobą drzwi. Kobiety usłyszały ostry rozkaz, stłumiony trochę wiatrem: — Otoczyć dom. Postawić ludzi przed wszystkimi drzwiami i oknami. — Rozległo się szuranie stóp. Scarlett powstrzymała odruch przerażenia, gdy ujrzała brodate twarze, patrzące na nią przez okna. Melania usiadła i dłonią, która nie drżała, sięgnęła po leżącą na stole książkę. Był to zniszczony egzemplarz „Nędzników” — książki, którą tak sobie upodobali żołnierze Konfederacji, że czytali ją przy ogniskach obozowych. Otworzyła ją w środku i zaczęła czytać wyraźnym, monotonnym głosem.

— Szyjcie — zakomenderował Archie ochrypłym szeptem i trzy kobiety, uspokojone chłodnym głosem Melanii, znowu pochyliły głowy nad szyciem.

Jak długo Melania czytała pod kręgiem czujnych oczu, Scarlett nie wiedziała, wydawało jej się jednak, że wieki całe. Nie zrozumiała ani jednego słowa. Teraz zaczęła już myśleć o Franku, nie tylko o samym Ashleyu. A więc to było przyczyną jego pozornego spokoju wieczorem! A przyrzekł jej, że nie będzie miał nic wspólnego z Klanem. Och, właśnie tego obawiała się od dawna! Cała praca ostatnich lat pójdzie teraz na marne. Wszystkie jej wysiłki, zachody i trudy — w deszcz i mrozy — na próżno. I któż mógłby przypuszczać, że stary, spokojny Frank zapłacze się w niebezpieczne sprawki Klanu? Może już w tej chwili nie żyje. Jeżeli zaś żyje i schwytają go Jankesi, zostanie powieszony. I Ashley także!!!

Tak mocno wbiła paznokcie' w dłonie, że ukazały się na nich czerwone półksiężyce. Jak Melania może czytać tak spokojnie, kiedy Ashleyowi grozi niebezpieczeństwo powieszenia? Kiedy już może nie żyje? Coś jednak w chłodnym, cichym głosie, czytającym o nieszczęściach Jana Valjeana, dodało jej sił, powstrzymało od zerwania się na równe nogi i głośnego krzyku.

Wróciła myślą do owej nocy, kiedy przyjechał do Atlanty Tonio Fontaine, ścigany, ledwie żywy, bez grosza. Gdyby nie dostał się do ich domu, nie otrzymał pieniędzy i nowego konia, na pewno by nie żył od dawna. Jeżeli Frank i Ashley jeszcze żyją, są z kolei w takim jak Tonio położeniu, właściwie zaś w znacznie gorszym. Wobec otoczenia domu przez żołnierzy nie mogą wrócić po pieniądze i ubrania bez narażenia się na schwytanie. I prawdopodobnie wszystkie domy na całej ulicy są pod podobną strażą, tak że nie mogą nawet prosić o pomoc przyjaciół. Może już teraz jadą co koń wyskoczy w noc, w stronę Texas.

Ale Rett... może Rett dotarł do nich w porę. Rett miał zawsze dużo pieniędzy przy sobie. Może pożyczy im tyle, żeby wystarczyło na wszystko. To jednak dziwne. Dlaczego Rett tak się troszczy o bezpieczeństwo Ashleya? Nie lubił go, to pewne, czuł dlań wyraźną pogardę. Dlaczego więc... Zagadka ta trapiła ją jednak krótko wobec wzmagającego się niepokoju o losy Ashleya i Franka.

„Och, to wszystko moja wina! — lamentowała w duchu. — India i Archie mają rację. To moja wina. Ale skąd mogłam wiedzieć, że są tak niemądrzy, aby przystać do Klanu! Nie sądziłam też, że coś złego może mnie spotkać! Nie mogłam zresztą inaczej postąpić. Mela ma rację. Ludzie powinni robić to, co uważają za słuszne. Musiałam przecież utrzymać tartaki w ruchu! Musiałam zarabiać! A teraz stracę pewnie wszystko, i w dodatku z własnej winy!”

Po długim czasie głos Melanii załamał się, ściszył, wreszcie zamilkł. Zwróciła głowę do okna i popatrzyła w nie, jak gdyby nie widząc wpatrzonych w nią zza szyby Jankesów. Inni także podnieśli głowy i zaczęli nasłuchiwać za jej przykładem.

Rozległ się tętent kopyt i śpiew, stłumiony jeszcze, rozpływający się na wietrze, dość jednak wyraźny. Był to „Marsz przez Georgię”, nienawistna i znienawidzona pieśń o żołnierzach Shermana, a śpiewał ją Rett Butler.

Ledwie skończył pierwszą zwrotkę, kiedy dwa inne głosy pijane zagłuszyły go — głosy zapite, błazeńskie, które nie wypowiadały słów i zamazywały sylaby. Na ganku padł jakiś szybki rozkaz kapitana Jaffery'ego, potem zatupotały stopy żołnierzy. Zanim jeszcze rozległy się te dźwięki, panie spojrzały na siebie w zdumieniu, pijane bowiem głosy, wydzierające się na wyścigi z Rettem, należały do Ashleya i Hugona Elsinga.

Na podjeździe zrobiło się głośno. Kapitan Jaffery pytał o coś krótko, Hugon zanosił się idiotycznym, ostrym śmiechem, głos Retta brzmiał głęboko i zuchwale, a Ashleya dziwnie obco, gdy wrzeszczał: — Co u diabła! Co u diabła!

„To nie może być Ashley! — pomyślała Scarlett z niepokojem. — On się nigdy nie upija! A Rett, kiedy jest pijany, staje się zupełnie spokojny, nigdy tak nie krzyczy!”

Melania wstała, a za nią Archie. Usłyszeli ostry głos kapitana: — Ci dwaj ludzie są aresztowani. — Dłoń Archiego zacisnęła się na kolbie pistoletu.

— Nie — wyszeptała Melania stanowczo. — Nie. Pozostaw to mnie.

Na twarzy jej malował się ten sam wyraz, który Scarlett poznała już w Tarze, gdy Melania stała u szczytu schodów i patrzyła na zabitego. Jankesa, a słaba jej dłoń ledwie mogła udźwignąć ciężką szablę — była to twarz istoty łagodnej i bojaźliwej, którą okoliczności doprowadziły do chytrości i furii tygrysicy. Teraz szeroko otwarła frontowe drzwi.

— Niech go pan tu wprowadzi, kapitanie Butler! — zawołała jasnym, pełnym jadu głosem. — Zdaje mi się, że spoił go pan znowu. Niech go pan tu wprowadzi.

Z ciemnego wietrznego ganku przemówił kapitan jankeski: — Przykro mi, pani Wilkes, ale mąż pani i pan Elsing są aresztowani.

— Aresztowani! Za co? Za pijaństwo? Gdyby w Atlancie każdego mężczyznę, który pije, miano aresztować, cały jankeski garnizon musiałby bez przerwy przebywać w więzieniu. No, niechże pan go wreszcie wprowadzi, panie Butler... oczywiście, jeżeli pan sam może się utrzymać na nogach.

Mózg Scarlett nie był w stanie szybko pracować. Przez chwilę nie rozumiała nic. Wiedziała, że ani Ashley, ani Rett nie są pijani i że Melania o tym wie. Mimo to Melania, zwykle tak łagodna i dystyngowana, wydzierała się teraz w obecności Jankesów jak sekutnica i krzyczała, że obaj są zbyt pijani, aby chodzić o własnych siłach.

Rozległa się krótka, niewyraźna kłótnia, przerywana przekleństwami, i niepewne stopy zaczęły wchodzić na schodki. W drzwiach ukazał się Ashley, blady, z chwiejącą się głową, z roztarganymi włosami, od szyi aż po kolana owinięty czarną peleryną Retta. Hugon Elsing i Rett, także niezbyt pewni na nogach, podtrzymywali go z obu stron. Widoczne było, że zwaliłby się na podłogę, gdyby nie ich pomoc. Za nimi wszedł kapitan jankeski, a na twarzy jego malowała się podejrzliwość zmieszana z rozbawieniem. Stanął w otwartych drzwiach, a żołnierze zaglądali mu ciekawie przez ramię; zimny wiatr powiał po domu.

Scarlett, przerażona i zaskoczona tym wszystkim, popatrzyła na Melanię, potem na bezwładnego Ashleya, i zaczęła coś niecoś rozumieć. Chciała zawołać: „Ależ on z pewnością nie jest pijany!”, ugryzła się jednak w język. Zdała sobie sprawę, że jest świadkiem komedii, rozpaczliwej komedii, od której zależy życie ludzkie. Wiedziała, że nie ma w niej roli do odegrania ani ona, ani ciotka Pitty, reszta jednak recytowała swe kwestie tak swobodnie jak aktorzy często próbowanej sztuki. Zrozumiała wszystko tylko częściowo, to wystarczyło jednak, aby zachowała milczenie.

— Posadźcie go na krześle! — zawołała Melania z oburzeniem. — A pan, kapitanie Butler niech natychmiast opuści ten dom! Jak się pan śmie tutaj pokazywać, kiedy znowu doprowadził pan mego męża do takiego stanu!

Dwaj mężczyźni posadzili wreszcie Ashleya w fotelu. Rett zataczając się schwycił za poręcz krzesła, aby zachować równowagę, i z bólem w głosie zwrócił się do kapitana.

— Ładne mi podziękowanie, co? Za to, że nie pozwoliłem, aby go aresztowała policja, że go przyprowadziłem do domu, choć wrzeszczał i bił się ze mną.

— A za ciebie, Hugonie, bardzo mi wstyd! Co powie twoja biedna matka? Upijasz się i włóczysz z... z kapitanem Butlerem, Scallawagiem i stronnikiem Jankesów! Och, panie Wilkes, jakże mogłeś coś podobnego uczynić?

— Melu, ja nie jestem znowu tak bardzo pijany — wymamrotał Ashley i mówiąc to pochylił się ku przodowi i położył łokcie na stole, a na nich twarz.

— Archie, proszę zaprowadzić pana do jego sypialni i ułożyć go do łóżka, jak zwykle — rozkazała Melania. — Ciociu, proszę cię, pobiegnij i pościel mu łóżko i... oooch — nagle zaniosła się płaczem. — Och, jakże on mógł? Dał mi przecież słowo!

Archie wziął już Ashleya pod ramię, a Pitty, przerażona i niepewna, zerwała się na nogi, kiedy wtrącił się znowu kapitan.

— Proszę go nie ruszać. Jest aresztowany. Sierżancie!

Kiedy do pokoju wszedł sierżant z karabinem w ręku, Rett, starając się utrzymać równowagę, położył dłoń na ramieniu kapitana i z widocznym wysiłkiem popatrzył mu w oczy.

— Tomku, za co go aresztujesz? Nie jest przecież tak bardzo pijany. Bywał już w gorszym stanie.

— Co mi do tego, że pijany! — zawołał kapitan. — Dla mnie może leżeć choćby w rynsztoku. Nie jestem policjantem. Aresztuję pana Elsinga i jego za udział w dzisiejszym najściu Klanu na Shantytown. Zabito Murzyna i białego. Pan Wilkes był jednym z przywódców.

— Dziś wieczorem? — Rett zaczął się śmiać. Śmiał się tak serdecznie, że aż usiadł na sofie i objął rękami głowę. — Chyba nie dzisiaj, Tomku — powiedział, kiedy znowu mógł mówić. — Obaj byli ze mną dziś wieczorem, od ósmej, kiedy to rzekomo poszli na zebranie.

— Z tobą, Rett? Ale... — Kapitan zmarszczył czoło i popatrzył niepewnie na chrapiącego Ashleya i jego płaczącą żonę. — A gdzieś ty był?

— Wolałbym nie mówić — i Rett rzucił chytre spojrzenie w stronę Melanii.

— Powiedz lepiej!

— Wyjdź na ganek, to ci powiem.

— Powiedz mi tutaj.

— Nie chciałbym tego mówić w obecności pań. Gdyby panie zechciały wyjść z pokoju...

— Ja nie wyjdę — zawołała Melania, ze złością ocierając oczy. — Mam prawo wiedzieć. Gdzie był mój mąż?

— W barze Belli Watling — rzekł Rett, bardzo zmieszany. — On tam był, i Hugon, i Frank Kennedy, i doktor Meade, i... cała ta ich paczka. Mieli tam zabawę. Dużą zabawę. Szampan. Dziewczęta...

— U... u Belli Watling?

Głos Melanii wzniósł się nagle i załamał w takim bólu, że oczy wszystkich zwróciły się z przerażeniem w jej stronę. Dłoń przycisnęła do piersi i zanim Archie zdążył ją podeprzeć, zemdlała. Powstało zamieszanie. Archie podnosił Melanię, India pobiegła do kuchni po wodę, Pitty i Scarlett wachlowały Melę i biły ją po rękach, podczas gdy Hugon Elsing krzyczał raz po raz: — No i masz teraz! No i masz teraz!

— Teraz już całe miasto będzie o tym wiedziało — rzekł Rett z wściekłością. — Jesteś chyba zadowolony, Tom. Nie będzie w Atlancie ani jednej żony, która by chciała rozmawiać ze swoim mężem.

— Rett, nie miałem pojęcia... — Mimo, że chłodny wiatr wiał mu przez otwarte drzwi w plecy, kapitan zlany był potem. — Słuchaj! Czy możesz przysiąc, że oni byli w... u... hhm... Belli?

— Rozumie się — warknął Rett. — Idź do Belli i zapytaj ją, jeżeli mnie nie wierzysz. A teraz pozwól mi zanieść panią Wilkes do jej pokoju. Dajcie mi ją na ręce, Archie. Tak, ja ją zaniosę. Panno Pitty, może pani zechce mi poświecić.

Wziął bezwładne ciało Melanii z rąk Archiego.

— Wy przenieście pana Wilkesa na łóżko, Archie. Po tym, co dziś zaszło, nie chcę go ani widzieć, ani dotykać.

Dłoń Pitty drżała tak, że zachodziła obawa, iż zrzuci lampę i podpali dom, jednak utrzymała się jakoś i podreptała w stronę ciemnej sypialni. Archie odchrząknąwszy wziął Ashleya pod ramiona i podniósł go.

— Ale... ja mam rozkaz aresztowania tych ludzi!

Rett odwrócił się w mrocznym korytarzyku:

— To zaaresztuj ich rano. W takim stanie nie mogą uciec, a zresztą nie wiedziałem dotąd, że picie w barze jest karalne. Na Boga, Tom, z pięćdziesiąt osób zaświadczy, że oni byli dzisiaj u Belli.

— Zawsze się znajdzie pięćdziesięciu świadków, kiedy trzeba dowieść, że południowiec był tam, gdzie go wcale nie było — rzekł kapitan posępnie. — Pan pójdzie ze mną, panie Elsing. Pana Wilkesa zwolnię na odpowiedzialność...

— Jestem siostrą pana Wilkesa. Mogę odpowiadać za jego obecność — rzekła India chłodno. — A teraz może by pan zechciał nas opuścić? Dość nam pan sprawił kłopotu jak na jeden wieczór.

— Żałuję tego niezmiernie. — Kapitan skłonił się niezgrabnie. — Mam tylko nadzieję, że obaj panowie potrafią dowieść swojej bytności w domu panny... pani... Watling. Może zechce pani powiedzieć bratu, że musi się stawić jutro rano u komendanta miasta na przesłuchanie.

India odkłoniła się obojętnie i kładąc dłoń na klamce dała do zrozumienia, że byłoby pożądane, aby kapitan, jak najprędzej sobie poszedł. Kapitan i sierżant wycofali się tyłem, zabierając Hugona Elsinga, a India zatrzasnęła za nimi drzwi. Nie patrząc nawet na Scarlett, podeszła po kolei do wszystkich okien i zapuściła rolety. Scarlett, pod którą uginały się kolana, złapała się poręczy krzesła, na którym siedział Ashley. Patrząc na nie spostrzegła, że na poduszce oparcia widnieje ciemna wilgotna plama, większa od jej dłoni. Dotknęła jej zdziwiona i ku swemu przerażeniu stwierdziła, że ma na dłoni czerwony ślad.

— Indio — wyszeptała — Indio, Ashley... jest ranny.

— Ty głupia! Czy przypuszczałaś, że naprawdę jest pijany?

India zapuściła ostatnią roletę i szybko poszła w stronę sypialni, tuż za nią Scarlett ze ściśniętym z przerażenia gardłem. Rett wielką swoją postacią zasłaniał wejście, ale przez jego ramię Scarlett zobaczyła Ashleya, bardzo bladego, leżącego nieruchomo na łóżku. Melania, dziwnie przytomna jak na osobę jeszcze tak niedawno zemdloną, małymi nożyczkami rozcinała szybko jego przesiąkniętą krwią koszulę. Archie trzymał lampę nisko nad łóżkiem, a jeden z jego sękatych palców dotykał ręki Ashleya.

— Czy żyje? — zawołały Scarlett i India.

— Tak, zemdlał tylko z upływu krwi. Przestrzelono mu ramię — rzekł Rett.

— Dlaczego przyniósł go pan tutaj, głupcze? — krzyknęła India. — Niech mnie pan do niego puści! Niech mnie pan puści! Przyniósł go pan tutaj, aby go aresztowano!

— Był zbyt słaby, aby wytrzymać dłuższą podróż. Poza tym nie było go dokąd zanieść, panno Wilkes. A zresztą, czy chciałaby pani, aby został wygnańcem jak Tonio Fontaine? Czy chciałaby pani, aby kilkunastu pani najbliższych sąsiadów musiało do końca życia być w Texas pod przybranymi nazwiskami? Jest nadzieja, że uratujemy ich wszystkich, jeżeli Bella...

— Niech mnie pan puści!

— Nie, panno Wilkes. Mam dla pani inne zadanie. Musi pani iść po doktora. Nie po doktora Meade, który jest w tę sprawę wmieszany i prawdopodobnie w tej chwili tłumaczy się przed Jankesami. Niech pani znajdzie jakiegoś innego doktora. Czy boi się pani chodzić po nocy sama?

— Nie — rzekła India z błyskiem w bladych oczach. — Wcale się nie boję. — Wzięła pelerynę z kapiszonem wiszącą na haku w hallu. — Pójdę po starego doktora Deana. — Głos jej brzmiał już spokojniej, po chwili mówiła już zupełnie normalnie. — Przykro mi, że nazwałam pana szpiegiem i głupcem. Nie rozumiałam. Jestem panu głęboko wdzięczna za to, co pan zrobił dla Ashleya, ale mimo to gardzę panem.

— Doceniam pani szczerość i dziękuję za nią. — Rett skłonił się i lekko uśmiechnął. — A teraz niech pani biegnie szybko tylnymi ulicami. Jeżeli wracając zobaczy pani, że żołnierze są w pobliżu, niech pani nie wchodzi do domu.

India rzuciła na Ashleya ostatnie niespokojne spojrzenie i otulając się w pelerynę lekko zbiegła po schodach i wyszła kuchennymi drzwiami w ciemność.

Wytężając wzrok ode drzwi, Scarlett odetchnęła z ulgą widząc, że Ashley otwiera oczy. Melania wzięła z umywalni złożony ręcznik i przytknęła go do jego broczącego ramienia, on zaś uśmiechnął się do niej blado, uspokajająco. Scarlett czuła na sobie twardy, przenikliwy wzrok Retta, wiedziała, że uczucia jej wypisane są wyraźnie na twarzy, ale wszystko jej było jedno. Ashley krwawił tutaj, może umierał, i to ona, która go kochała, była tego przyczyną. Chciała biec do łóżka, uklęknąć przy nim i przytulić go do siebie, ale kolana tak pod nią drżały, że nie mogła przestąpić progu. Z dłonią przy ustach patrzyła, jak Melania przykłada świeży ręcznik do rany, przyciskając go mocno, jak gdyby chciała wcisnąć krew z powrotem w ciało Ashleya. Ręcznik jednak zaczerwienił się w okamgnieniu.

Czy możliwe, aby człowiek krwawił tak bardzo, a mimo to żył? Ale, Bogu dzięki, nie miał krwawej piany na ustach — tej strasznej, zwiastującej śmierć piany, którą tak dobrze pamiętała od dnia bitwy w Dolinie Brzoskwiniowej, kiedy ranni żołnierze umierali na trawniku przed domem.

— Uspokój się — rzekł Rett i w głosie jego zabrzmiała ostra, trochę drwiąca nuta. — Ashley nie umrze. A teraz weź lampę i poświeć pani Wilkes. Chcę, aby Archie poszedł mi coś załatwić.

Archie spojrzał spod lampy na Retta.

— Ja od pana żadnych poleceń nie wezmę — rzekł krótko, przesuwając grudkę tytoniu z jednego policzka pod drugi.

— Zrobicie, co kapitan mówi — rzekła Melania surowo — i to natychmiast. Róbcie wszystko, co każe kapitan Butler. Scarlett, weź od niego lampę.

Scarlett weszła do pokoju i wzięła lampę, trzymając ją obiema rękami, aby jej nie upuścić. Ashley miał znowu zamknięte oczy Naga jego pierś podnosiła się powoli i opadała szybko, a między drobnymi palcami Melanii przeciekała czerwona strużka krwi. Słyszała, jak Archie kieruje się przez pokój w stronę Retta. Myśli jej były tak skupione dokoła osoby Ashleya, że słyszała tylko: — Weź mego konia... przywiązany na dworze... pędź jak diabeł.

Archie wymamrotał jakieś pytanie, Rett odpowiedział: — W starej plantacji Sullivana. Kaptury znajdziesz w najwyższym kominie. Spal je.

— Uhu — mruknął Archie.

— W piwnicy są dwa... dwaj mężczyźni. Weź ich na konia i przewieź na pusty plac za domem Belli, ten między domem a torem kolejowym. Bądź ostrożny. Jeżeli cię ktoś zobaczy, pójdziesz na szubienicę, a z tobą i my wszyscy. Zostaw ich na tym placu i połóż koło nich pistolety, wetknij je im w ręce. Masz tutaj, weź moje.

Scarlett odwracając się zobaczyła, jak Rett sięga pod połę surduta i wyjmuje dwa rewolwery, które Archie wsunął sobie za pas.

— Wystrzel z każdego po jednej kuli. Ma to wyglądać na pojedynek. Rozumiesz?

Archie skinął głową, jak gdyby rozumiał doskonale, i niechętny blask podziwu zaświecił w jego chłodnym oku. Scarlett jednak nic nie rozumiała. Ostatnie pół godziny było tak koszmarne, że odtąd, jak jej się zdawało, nic już nie będzie nigdy jasne i proste. Rett jednak zdawał się najzupełniej panować nad tą zawiłą sytuacją i to stanowiło pewną pociechę. Archie poszedł ku drzwiom, potem odwrócił się: jedyne jego oko spoczęło pytająco na Recie.

— On?

— Tak.

Archie chrząknął i splunął na podłogę.

— Drogo zapłacił — rzekł i pokuśtykał przez hali do kuchennych drzwi.

W tej ostatniej cichej wymianie słów było coś takiego, co sprawiło, że nowe obawy i podejrzenia powstały w piersi Scarlett jak lodowata, nadymająca się bańka. Kiedy ta bańka pęknie...

— Gdzie jest Frank? — zawołała.

Rett szybko przeszedł w stronę łóżka, zwinnie i bezszelestnie jak duży kot.

— Wszystko w odpowiednim czasie — rzekł i uśmiechnął się krótko. — Popraw płomień, Scarlett. Nie masz chyba ochoty spalić pana Wilkesa. Pani Melu...

Melania podniosła głowę jak dzielny mały żołnierz, czekający rozkazów. Sytuacja była tak naprężona, że nie spostrzegła, iż Rett po raz pierwszy nazwał ją zdrobniałym imieniem, używanym tylko przez jej rodzinę i najbliższych przyjaciół.

— Przepraszam bardzo, chciałem powiedzieć: pani Wilkes...

— Och, kapitanie Butler, niech mnie pan nie przeprasza! Byłoby dla mnie zaszczytem, gdyby mi pan mówił „Melu”, nawet z pominięciem „pani”! Wydaje mi się, jak gdyby pan był moim... bratem czy... kuzynem. Jaki pan jest dobry i jaki mądry! Czym będę się panu mogła odwdzięczyć?

— Dziękuję pani — rzekł Rett i przez chwilę wydawał się prawie zakłopotany. — Przecenia mnie parni z pewnością, ale, pani Melu — i w głosie jego zabrzmiała skrucha — przykro mi, iż musiałem powiedzieć, że pan Wilkes był u Belli Watling. Przykro mi, że musiałem jego i innych zamieszać w taką... Musiałem jednak szybko coś wymyślić, gdy stąd odjeżdżałem, i to był jedyny plan, jaki mi przyszedł na myśl. Wiedziałem, że słowa moje znajdą wiarę, bo mam wśród oficerów jankeskich wielu przyjaciół. Robią mi wątpliwy zaszczyt uważając mnie prawie za jednego ze swoich, ponieważ znana im jest — czy wolno mi tak się wyrazić? — moja niepopularność wśród moich współziomków. Widzi pani, wcześnie wieczorem grałem w pokera w barze Belli. Przynajmniej tuzin żołnierzy jankeskich może to poświadczyć. A Bella i jej dziewczęta z radością zakłamią się w żywe oczy i będą twierdziły, że pan Wilkes i inni byli na górze przez cały wieczór. Jankesi uwierzą im z pewnością, są dość dziwni pod tym względem. Nie przyjdzie im na myśl, aby kobiety... tego... zawodu zdolne były do lojalności czy szczerego patriotyzmu. Nie daliby wiary słowom żadnej przyzwoitej damy w Atlancie o poczynaniach mężczyzn, którzy byli rzekomo wieczorem na zebraniu. Mam wrażenie, że słowo honoru Scallawaga i tuzina lekkich kobiet może uratuje ich wszystkich z opresji.

Na twarzy jego rozlał się ironiczny uśmiech, który znikł, kiedy Melania zwróciła na niego oczy rozjaśnione wdzięcznością.

— Panie kapitanie, jest pan taki rozumny! Nie miałabym panu za złe, gdyby pan powiedział nawet, że byli dziś w piekle, jeżeliby to miało ich uratować! Bo i ja wiem, i wszyscy wiedzą, że mąż mój nigdy nie był w tak okropnym miejscu!

— Hmm — zaczął Rett z wahaniem — właściwie był nawet dzisiaj u Belli...

Melania wyprostowała się z godnością.

— Nigdy nie uwierzę w podobne kłamstwo!

— Ależ, pani Melu! Niech mi się pani pozwoli wytłumaczyć! Kiedy przyjechałem na starą plantację, zastałem pana Wilkesa rannego, z nim zaś był Hugon Elsing, doktor Meade i stary pan Merriweather...

— Ten starzec?! — zawołała Scarlett.

— Mężczyźni rzadko kiedy mądrzeją z wiekiem. I wuj pani, Henryk...

— Boże miłosierny! — zawołała ciotka Pitty.

— Inni rozbiegli się po utarczce z żołnierzami, a ta grupa, która trzymała się razem, wróciła na plantację, aby ukryć w kominie kaptury i zbadać, czy pan Wilkes jest ciężko ranny. Gdyby nie jego rana, byliby teraz wszyscy w drodze do Texas, on jednak nie mógłby daleko zajechać, a zostawić go nie chcieli. Należało dowieść, że byli nie tam, a gdzie indziej, więc tylnymi drogami zaprowadziłem ich do Belli.

— Och, rozumiem... Przepraszam pana bardzo za moją niegrzeczność, panie kapitanie. Widzę teraz, że było koniecznością, aby tam byli, ale... Och, panie kapitanie, ludzie musieli przecież widzieć, jak oni tam wchodzili!

— Nikt nas nie widział. Weszliśmy prywatnym tylnym wejściem, które wychodzi na tor kolejowy. Jest zawsze nieoświetlone i zamknięte.

— W jaki więc sposób?

— Ja mam klucz — rzekł Rett lakonicznie i spokojnie popatrzył Melanii w oczy.

Kiedy całe znaczenie tych słów doszło do jej świadomości, Melania tak się zmieszała, że poplątała bandaż, który zsunął się z rany.

— Nie chciałam być niedyskretna — rzekła zdławionym głosem i zaczerwieniła się, przesuwając ręcznik na miejsce.

— Żałuję, że musiałem pani wyznać coś podobnego.

„A więc to prawda! — pomyślała Scarlett z dziwną przykrością. — A więc jednak żyje z tą okropną kreaturą! I dom jej należy do niego!”

— Widziałem Bellę i wszystko jej wytłumaczyłem. Daliśmy jej listę mężczyzn, którzy wyszli dzisiaj na wyprawę, a ona i jej dziewczęta poświadczą, że byliśmy wszyscy razem w jej lokalu. Aby nasze wyjście było bardziej widoczne, zawołała dwóch zabijaków, którzy pilnują u niej porządku, i kazała nas siłą zrzucić ze schodów, wywlec przed bar i wypchnąć na ulicę jako pijanych awanturników, którzy zakłócają spokój.

Roześmiał się do siebie. — Doktor Meade wyglądał niezbyt przekonywająco. Był urażony w swej godności, że znajduje się w takim miejscu. Ale wuj pani i stary pan Merriweather spisali się doskonale. Scena straciła w nich dwóch wielkich aktorów. Zdawali się doskonale bawić całą tą sprawą. Obawiam się, że z powodu zapału, jaki pan Merriweather okazywał dla swej roli, wuj pani ma podbite oko. On...

Drzwi otwarły się i weszła India, a za nią doktor Dean o roztarganej siwej czuprynie, niosący pod peleryną zniszczoną walizeczkę. Skłonił się wszystkim lekko i szybko zdjął bandaż z ramienia Ashleya.

— Za wysoko jak na płuco — powiedział. — Jeżeli kula nie dotknęła obojczyka, sprawa nie będzie wcale groźna. Niech panie dadzą dużo ręczników, trochę waty i koniaku.

Rett wziął lampę od Scarlett i postawił na stole, podczas gdy Melania i India krzątały się spełniając polecenia doktora.

— Nie jesteś tutaj potrzebna. Chodź do saloniku, usiądziemy przy ogniu. — Wziął ją pod rękę i przeprowadził przez pokój. Głos jego i ruchy nacechowane były niezwykłą jak na niego łagodnością. — Miałaś bardzo ciężki dzień, prawda?

Pozwoliła się zaprowadzić do frontowego pokoju i choć stanęła przed kominkiem, zaczęła gwałtownie drżeć. Bańka podejrzenia w jej sercu zaczęła się raptownie wydymać. Było to więcej niż podejrzenie. Była to prawie pewność, okropna pewność. Popatrzyła w nieruchomą twarz Retta i przez chwilę nie mogła głosu wydobyć. Potem zapytała:

— Czy Frank był u Belli Watling?

— Nie.

Głos Retta brzmiał głucho.

— Archie przenosi go teraz na pusty plac koło jej domu. Nie żyje. Dostał kulę w głowę.

## ROZDZIAŁ XLVI

Mało ludzi w północnej części miasta spało tej nocy, bo nowina o rozsypce Klanu i wiadomość o fortelu Retta rozniosły się szybko: India Wilkes bezszelestnie jak cień wsuwała się w podwórza, szeptała coś gwałtownie przy kuchennych drzwiach i znikała w wietrznej ciemności. Zostawiała po sobie strach i rozpaczliwą nadzieje.

Na zewnątrz domy były ciemne, ciche, zmożone snem, ale wewnątrz głosy szeptały zapamiętale aż do samego świtu. Nie tylko ci, którzy wzięli udział w nocnym najeździe, ale wszyscy członkowie Klanu gotowi byli do wyjazdu i we wszystkich prawie stajniach wzdłuż ulicy Brzoskwiniowej stały w ciemności osiodłane konie z pistoletami w olstrach i paszą w workach. Zbiorowej ucieczce zapobiegało jedynie zlecenie Indii: — Kapitan Butler mówi, żebyście nie uciekali. Drogi będą strzeżone. Umówił się z tą Bellą Watling... — W ciemnych pokojach mężczyźni szeptali: — Dlaczego wierzyć temu przeklętemu Scallawagowi? Może to pułapka! — A głosy kobiece błagały: — Nie jedź. Skoro uratował Ashleya i Hugona, uratuje może i innych. Przecież ufają mu India i Melania. — Oni zaś dawali się niechętnie przekonać i zostawali, ponieważ nie mieli innego wyjścia. Przed północą żołnierze przeszukali cały szereg domów i aresztowali tych, którzy nie mogli czy nie chcieli powiedzieć, gdzie byli wieczorem. Rene Picard, jeden z siostrzeńców pani Merriweather, młodzi Simmonsonowie i Andy Bonnell należeli do liczby tych, którzy noc spędzili w więzieniu. Brali oni udział w nieszczęsnym napadzie, ale po strzelaninie zostali odcięci od innych. Wrócili co koń wyskoczy do domów i zostali aresztowani, zanim zdążyli się dowiedzieć o planie Retta.

Szczęściem, na wszystkie pytania odpowiadali, że byli wieczorem tam, gdzie im się podobało, i że przeklętym Jankesom nic do tego. Zamknięto ich w więzieniu do czasu dalszego przesłuchania. Stary pan Merriweather i wuj Henryk Hamilton oświadczyli bezwstydnie, że spędzili wieczór w domu Belli Watling, i omal nie pobili kapitana Jaffery, kiedy z irytacją zauważył, że są na takie rozrywki za starzy.

Bella Watling na wezwanie kapitana sama podeszła do drzwi i zanim jeszcze zdołał powiedzieć, o co mu chodzi, krzyknęła, że lokal jest na noc zamknięty. Banda kłótliwych pijaków była u niej wcześnie wieczorem, pobiła się, zniszczyła cały dom, potłukła jej najpiękniejsze lustra i tak nastraszyła dziewczęta, że trzeba było zamknąć zakład na całą noc. Ale jeżeli kapitan Jaffery chce się tylko czegoś napić, bar jest jeszcze czynny...

Kapitan Jaffery zdając sobie sprawę z drwiących uśmiechów swoich ludzi i czując, że walczy z niewiadomym, oświadczył ze złością, że nie chce ani usług dziewcząt, ani alkoholu, i zapytał, czy Bella zna nazwiska swoich przykrych klientów. O, tak, Bella znała je dobrze. Byli jej stałymi klientami. Przychodzili co środę wieczór i kazali się nazywać Demokratami Środowymi, dlaczego — nie wie i nic ją to nie obchodzi. A jeżeli nie zapłacą jej za stłuczone na górze lustra, wytoczy im sprawę. Prowadzi przyzwoity dom... Ach, nazwiska ich? Bella bez wahania wypaliła jedno po drugim nazwiska dwunastu podejrzanych. Kapitan Jaffery uśmiechnął się gorzko.

— Ci przeklęci buntownicy są tak niezawodnie zorganizowani jak nasza służba wywiadowcza — powiedział. — Ty i twoje panny stawicie się jutro przed dowódcą żandarmerii.

— Czy każą tym ludziom zapłacić za moje lustra?

— Do diabła z twoimi lustrami! Niech ci Rett Butler za nie zapłaci. To przecież jego dom, prawda?

Przed świtem wszystkie rodziny dawnych konfederatów wiedziały o wszystkim. I służba murzyńska, której nic nie powiedziano, wiedziała o tym także, dzięki swoistemu sposobowi porozumiewania się, nie do pojęcia dla człowieka białego. Wszyscy znali szczegóły najazdu, wiedzieli o śmierci Franka Kennedy'ego i kaleki Tomasza Wellburna i o tym, jak Ashley został ranny przy przenoszeniu ciała Franka w ukrycie.

Gorzką nienawiść, jaką kobiety pałały do Scarlett za jej przyczynienie się do tej tragedii, trochę złagodziła świadomość, że mąż jej został zabity, że wiedziała o tym i nie mogła nawet zgłosić się po jego ciało. Do czasu, kiedy ciała zostaną znalezione i władze zawiadomią ją o tym, musiała udawać, że o niczym nie wie. Frank i Tomasz z pistoletami w zimnych dłoniach sztywnieli więc wśród chwastów na pustym placu Belli. Jankesi wywnioskują, że zabili się w zwyczajnej pijackiej bójce o dziewczynę z domu Belli. Wszyscy gorąco współczuli Fanny, żonie Tomasza, która niedawno urodziła dziecko, ale nikt nie mógł się do niej przekraść w ciemności ani jej pocieszyć, bo oddział Jankesów otoczył jej dom, czekając powrotu Tomasza. Drugi oddział otoczył dom Pitty i czekał na Franka.

Przed świtem rozeszła się wiadomość, że przesłuchanie, podejrzanych odbędzie się tego samego dnia. Ludność miasta, zmęczona bezsennością i niespokojnym czekaniem, wiedziała, że los najwybitniejszych obywateli Atlanty zależy od trzech czynników — czy Ashley Wilkes będzie się mógł utrzymać na nogach, stawić w dowództwie żandarmerii i udawać, że nie dolega mu nic poza bólem głowy po przepitej nocy, czy Bella Watling zaświadczy, że wszyscy podejrzani byli u niej przez cały wieczór, czy Rett Butler zezna, że był razem z nimi.

Miasto wściekało się z powodu zależności od tych dwojga. Bella Watling! Zawdzięczać życie swoich najbliższych właśnie jej! To było nie do zniesienia! Kobiety, które widząc Bellę ostentacyjnie przechodziły na drugą stronę ulicy, zastanawiały się teraz, czy pamięta o tym, i drżały na myśl, że pamięta. Mężczyźni mniej byli upokorzeni, że zaciągają wobec Belli dług wdzięczności, bo wielu z nich uważało, że to dobra kobieta. Bolało ich jednak, że bezpieczeństwo i wolność mają zawdzięczać Rettowi, który był spekulantem i Scallawagiem. Bella i Rett, najpopularniejsza kokota miasta i najbardziej znienawidzony w mieście mężczyzna! I właśnie im winni byli wdzięczność!

Drugą rzeczą, która ich przyprawiała o bezsilną pasję, była świadomość, że Jankesi i Carpetbaggerzy będą się z nich śmieli. Och, jakże się będą śmieli! Dwunastu najwybitniejszych obywateli miasta okazało się stałymi bywalcami domu Belli Watling! Dwaj zostali zabici w bójce o tanią dziewkę, innych wyrzucono na ulicę jako zanadto pijanych nawet dla Belli, a resztę aresztowano, ponieważ nie chcieli się przyznać, że byli w domu publicznym, chociaż wszyscy już o tym wiedzieli!

Obawy Atlanty, że Jankesi będą się śmieli, były uzasadnione. Zbyt długo musieli znosić chłód i pogardę południowców, teraz więc nie posiadali się z radości. Oficerowie budzili szeregowych i opowiadali nowinę. Mężowie budzili o świcie żony i dzielili się z nimi szczegółami, dostępnymi dla kobiecych uszu. Kobiety zaś ubrawszy się pośpiesznie pukały do drzwi sąsiadek i roznosiły wiadomość dalej. Panie jankeskie zachwycone były tym wszystkim i śmiały się do łez. A więc to taka jest rycerskość i waleczność południowców! Może wreszcie teraz damy, które wysoko zadzierały nosa i nie odpowiadały na żadne awanse, zejdą ze swego piedestału, skoro już wszyscy wiedzą, gdzie przebywali ich mężowie w czasie domniemanych zebrań politycznych! Zebrania polityczne! A jużci! Ach, jakież to było śmieszne!

Ale Jankeski, mimo że się śmiały, bardzo ubolewały nad tragedią Scarlett. Scarlett była prawdziwą damą, jedną z niewielu w Atlancie, które były dla Jankesów uprzejme. Zyskała ich sympatię, choćby przez to, że musiała pracować, bo mąż jej nie mógł czy nie chciał odpowiednio jej utrzymywać. Jakkolwiek był takim niedołęgą, musiało być straszne dla biedaczki, kiedy się dowiedziała, że ją zdradzał. Podwójnie zaś straszne było, że śmierć jego przyszła równocześnie z dowodem zdrady. Ostatecznie, nawet zły jest lepszy od żadnego, panie jankeskie postanowiły więc, że będą dla Scarlett podwójnie miłe. Innym jednak paniom, pani Meade, pani Merriweather, pani Elsing, wdowie po Tomaszu Wellburnie, przede wszystkim zaś pani Ashleyowej Wilkes postanowiły śmiać się w oczy. To je może nauczy większej uprzejmości.

Szepty, które trwały nieprzerwanie w ciemnych pokojach północnej części miasta, obracały się koło tego samego tematu. Żony konfederatów namiętnie zapewniały swoich mężów, że nie dbają ani trochę o opinię Jankesów, w duchu jednak myślały, że publiczne batożenie byłoby lepsze od konieczności znoszenia w milczeniu jankeskich drwin i od niemożności wyznania prawdy o mężach.

Doktor Meade nie posiadając się z oburzenia z powodu sytuacji, na jaką Rett naraził jego i innych, oświadczył pani Meade, że gdyby nic okoliczność, iż wydałby swoich przyjaciół, wolałby wyznać prawdę i zginąć na szubienicy niż twierdzić, że był w domu Belli.

— To zniewaga dla ciebie, pani Meade — oburzał się.

— Ale wszyscy przecież wiedzą, że nie byłeś tam, aby... aby...

— Jankesi nie będą wiedzieli. Będą nam musieli uwierzyć, jeżeli zdołamy uratować swoją skórę. I będą się z nas śmieli. Myśl, że ktoś w to uwierzy i będzie się śmiał, wprawia mnie we wściekłość. I jest zniewagą dla ciebie — ponieważ, moja droga, zawsze byłem ci wierny.

— Wiem o tym — pani Meade w ciemności uśmiechnęła się i wsunęła szczupłą dłoń pod dłoń doktora. — Wolałabym jednak, aby to było prawdą, niż aby spadł ci choć jeden włos z głowy.

— Pani Meade, czy wiesz, co mówisz? — wykrzyknął doktor, zdumiony niespodziewaną trzeźwością żony.

— Owszem, wiem. Straciłam Darcy'ego i Filipa, ty jesteś jedynym, co mi zostało, i wolałabym, abyś stale chodził do tego przybytku, niżbym miała cię stracić.

— Jesteś nieprzytomna! Nie wiesz, co mówisz!

— Ty stary głupcze — rzekła pani Meade z czułością i oparła głowę o ramię męża.

Doktor Meade sapał w milczeniu z gniewu i gładził ją po policzku, aż wreszcie znowu wybuchł: — Mieć dług wdzięczności w stosunku do Butlera! Powieszenie byłoby w porównaniu z tym drobnostką. Nie, nie będę dla niego uprzejmy, mimo że zawdzięczam mu życie. Zuchwałość jego jest niebywała, a bezwstydne spekulowanie doprowadza mnie do szału! Zawdzięczać życie człowiekowi, który nawet nie był w wojsku...

— Melania mówi, że zaciągnął się po upadku Atlanty.

— To nieprawda. Mela wierzy byle łajdakowi. A najmniej rozumiem, dlaczego on to wszystko zrobił i narażał się na niebezpieczeństwo. Przykro mi powiedzieć, ale... ludzie od dawna gadają o nim i o pani Kennedy. Widywałem ich jadących powozem bardzo często w tym roku. Zrobił to pewnie ze względu na nią.

— Gdyby mu chodziło o Scarlett, palcem by nie kiwnął. Byłby zadowolony, że powieszą Franka Kennedy'ego. Mnie się zdaje, że to z powodu Meli...

— Pani Meade, nie chcesz chyba powiedzieć, że tych dwoje coś łączy!

— Och, nie bądź głupi! Ale Mela lubi go bardzo od czasu, gdy starał się o uwolnienie Ashleya z niewoli. I trzeba przyznać, że do niej nigdy się złośliwie nie uśmiecha. Jest w stosunku do niej prosty, przyjemny i uważny — zupełnie jak inny człowiek. Sądząc z tego, jaki jest dla Meli, można by powiedzieć, że umiałby być bardzo miły, gdyby mu na tym zależało. Ja przypuszczam, że zrobił to wszystko, bo... — Przerwała. — Doktorze, nie spodoba ci się moje podejrzenie.

— Nic mi się w tej całej sprawie nie podoba!

— A więc wydaje mi się, że zrobił to po części ze względu na Melanię, ale głównie dlatego, żeby nam wszystkim wypłatać figla. Nienawidziliśmy go bardzo i okazywaliśmy mu to wyraźnie, a teraz doprowadził was do takiej sytuacji, że musicie się albo przyznać, że byliście w domu tej panny Watling i skompromitować wobec Jankesów siebie i swoje żony, albo powiedzieć prawdę i zginąć na szubienicy. Butler wie, że będziemy mieli dług wdzięczności wobec niego i jego... kochanki, chociaż wolelibyśmy wisieć, niż im coś zawdzięczać. Och, mogłabym się założyć, że cieszy się z tego.

Doktor jęknął: — Rzeczywiście śmiał się do siebie, kiedy nas prowadził do Belli.

— Doktorze — pani Meade zawahała się przez chwilę — a jak tam wygląda?

— O czym ty mówisz, pani Meade?

— O tym domu. Jak tam wygląda? Czy wiszą tam kryształowe kandelabry? I czerwone portiery pluszowe, i tuziny długich luster w złotych ramach? I czy dziewczyny... były bardzo rozebrane...?

— Dobry Boże! — wykrzyknął doktor i zaniemówił, bo nigdy nie przypuszczał, aby ciekawość przyzwoitej kobiety mogła być tak nienasycona, gdy chodzi o jej upadłe siostrzyce.

— Jakże możesz zadawać tak nieskromne pytania? Co się z tobą dzieje? Dam ci proszek na uspokojenie.

— Nie chcę proszku! Chcę wiedzieć. Och, Boże, to jedyna w moim życiu sposobność dowiedzenia się, jak wygląda dom publiczny, a ty jesteś tak wstrętny, że mi nic nie mówisz!

— Nic nie widziałem. Byłem zbyt zawstydzony, że znajduję się w podobnym miejscu, aby zwracać uwagę na swoje otoczenie — rzekł doktor chłodno, bardziej zmartwiony niespodziewanym wejrzeniem w prawdziwe oblicze swej żony niż innymi zdarzeniami wieczora. — Ale teraz przepraszam cię bardzo, chcę spróbować zasnąć.

— No dobrze, a więc kładź się spać — odrzekła pani Meade z zawodem w głosie. Po chwili, kiedy doktor pochylił się, aby ściągnąć buty, przemówiła w ciemności weselszym tonem. — Przypuszczam, że Dolly wszystko to wyciągnęła od starego pana Merriweathera i rano mi opowie!

— Na miłość boską, pani Meade! Czy chcesz przez to powiedzieć, że przyzwoite kobiety rozmawiają między sobą o podobnych sprawach...!?

— Och, idź już spać — odrzekła pani Meade.

Następnego dnia padał śnieg z deszczem, ale kiedy zapadł zimny zmierzch, śnieg ustał i powiał mroźny wiatr. Otulona w płaszcz, Mela wyszła zdumiona przed dom za nieznajomym stangretem-Murzynem, który wywołał ją tajemniczo do zamkniętego powozu, stojącego na ulicy. Kiedy się doń zbliżyła, otwarły się drzwiczki i zobaczyła w ciemnym wnętrzu zarys postaci kobiecej.

Pochylając się naprzód i wpatrując się w ciemność, Melania zapytała: — Kto to? Czy nie zechciałaby pani wejść do domu? Tak zimno...

— Proszę, niech pani wejdzie i posiedzi ze mną chwilkę tutaj, pani Wilkes — doszedł ją z głębi powozu jakiś znajomy głos, trochę zakłopotany.

— Och, to pani... panna... Watling! —zawołała Melania. — Tak bardzo chciałam panią widzieć! Proszę, niech pani wejdzie do mieszkania.

— Tego nie mogę zrobić, pani Wilkes! — W głosie Belli zabrzmiało zgorszenie. — Niech pani wejdzie do powozu i minutkę ze mną posiedzi.

Melania wsiadła, a stangret zatrzasnął za nią drzwiczki. Usiadła przy Belli i wyciągnęła do niej dłoń.

— Jakże mam pani dziękować za to, co pani dziś zrobiła! Czy potrafimy się pani kiedykolwiek za to odwdzięczyć?

— Pani Wilkes, nie powinna mi pani była przysłać dziś rano tego listu. Nie znaczy to, że nie jestem dumna, że pani do mnie napisała, ale Jankesi mogli list przejąć. Co się zaś tego tyczy, że mnie pani odwiedzi, aby mi podziękować osobiście... ależ, pani Wilkes, pani chyba nie wie, co pani mówi! Cóż to za pomysł! Przyjechałam tutaj, jak tylko się ściemniło, bo chciałam pani powiedzieć, żeby to sobie pani z głowy wybiła. Gdzie ja... gdzie pani... to stanowczo nie wypada!

— Nie wypadałoby, abym złożyła wizytę i podziękowała szlachetnej kobiecie, która uratowała memu mężowi życie?

— Och, co tam, pani Wilkes! Pani wie, co mam na myśli!

Melania zamilkła na chwilę, zakłopotana aluzją. Ta siedząca w głębi powozu przystojna, statecznie ubrana kobieta zupełnie nie miała wyglądu ani sposobu mówienia kobiety złego prowadzenia się, patronki domu publicznego, jak ją sobie Melania wyobrażała. Akcent miała... no, może trochę zwyczajny i chłopski, ale głos jej brzmiał przyjemnie i serdecznie.

— Świetnie się pani dzisiaj spisała przed dowódcą żandarmerii, pani Watling! Pani i te... młode panie uratowały życie naszym mężczyznom.

— To pan Wilkes był godny podziwu. Nie rozumiem, jak się mógł w ogóle trzymać na nogach i odpowiadać na pytania, w dodatku tak obojętnie. Wczoraj, kiedy go widziałam, strasznie krwawił. Czy miewa się teraz dobrze?

— Tak, dziękuję pani. Doktor mówi, że to tylko powierzchowna rana, chociaż upływ krwi był duży. Dziś rano uraczył się koniakiem, bo inaczej nie miałby siły sprawić się tak dzielnie. Ale to pani, pani Watling, uratowała ich wszystkich. Kiedy się pani rozzłościła i mówiła o stłuczonych lustrach, była pani bardzo, bardzo przekonywająca.

— Bardzo pani dziękuję. Uważam, że... kapitan Butler także był doskonały — rzekła Bella z nieśmiałą dumą w głosie.

— Och, on był po prostu wspaniały! — zawołała Melania z zapałem. — Jankesi wbrew woli musieli mu uwierzyć. Tak się mądrze zachował w całej tej sprawie. Nigdy mu się nie potrafię odwdzięczyć... ani pani! Jaka pani jest dobra i miła!

— Dziękuję pani uprzejmie, pani Wilkes. Zrobiłam to z przyjemnością. Nie miała mi pani chyba za złe, że powiedziałam, iż pan Wilkes przychodzi regularnie do mego lokalu. Jak pani wie, on nigdy jeszcze...

— Tak, wiem i nie miałam pani tego za złe. Jestem pani bardzo wdzięczna.

— Założyłabym się, że inne panie wcale mi nie są wdzięczne — rzekła Bella z nagłą złością. — Ani kapitanowi Butlerowi. Pewna jestem, że jeszcze go bardziej nienawidzą. Pani będzie na pewno jedyną, która mi podziękowała. Założę się, że tamte panie nawet nie spojrzą mi w oczy, jak mnie zobaczą na ulicy. Ale nie dbam o to. Nie zmartwiłabym się wcale, gdyby wszystkich ich mężów powieszono. Ale pana Wilkesa było mi szkoda. Widzi pani, nie zapomniałam jeszcze, jaka pani była dla mnie miła podczas wojny, gdy chodziło o pieniądze na szpital. W tym mieście żadna z pań nie była dla mnie tak dobra jak pani, a ja mam dobrą pamięć. I myślałam o tym, jakie to będzie smutne, jak pani zostanie sama z małym synkiem, gdy pana Wilkesa powieszą. A... to ładny mały chłopczyk, ten pani synek, pani Wilkes. Ja sama mam synka, więc...

— Och, doprawdy? Czy mieszka... hm...

— Ach, nie, proszę pani! Nie ma go w Atlancie. Nigdy tutaj nie był. Jest w szkole. Nie widziałam go od czasu, gdy był malutki. No, mniejsza z tym... kiedy kapitan Butler prosił mnie, abym skłamała dla tych mężczyzn, chciałam wiedzieć, co to są za jedni, a gdy usłyszałam, że pan Wilkes jest między nimi, nie namyślałam się wcale. Powiedziałam moim dziewczętom: „Wydrapię wam wszystkim oczy, jeżeli nie powiecie, żeście były przez cały wieczór z panem Wilkesem”.

— Och! — rzekła Melania, coraz bardziej zakłopotana szczerością Belli i nawiązywaniem do jej „dziewcząt”. — Och, to było... bardzo ładnie z pani strony... z ich strony też.

— Zasłużyła pani na to — rzekła Bella serdecznie. — Nie zrobiłabym tego dla byle kogo. Gdyby to chodziło tylko o męża tej pani Kennedy, nie stuknęłabym palcem o palec, choćby kapitan Butler nie wiem co mówił.

— Dlaczego?

— No bo, proszę pani, ludzie z mego zawodu wiedzą mnóstwo rzeczy. Przyzwoite kobiety byłyby bardzo zdziwione i zgorszone, gdyby wiedziały, ile my o nich wiemy. A pani Kennedy nic nie jest warta, pani Wilkes. Zabiła swego męża i tego małego pana Wellburna, chociaż to nie ona do nich strzelała. Ona to wszystko spowodowała, bo paradowała po Atlancie sama, kusząc Murzynów i inną hołotę. Przecież żadna z moich dziewcząt...

— Niech pani z łaski swojej nie mówi źle o mojej bratowej. — Melania wyprostowała się z godnością.

Bella położyła dłoń na ramieniu Melanii i zaraz ją cofnęła.

— Niech pani mnie nie mrozi, pani Wilkes. To byłoby bardzo przykre po tym, gdy była pani dla mnie taka miła i dobra. Zapomniałam, że pani ją bardzo lubi, i przykro mi, że to powiedziałam. Przykro mi także, że zabito biednego pana Kennedy. To był porządny człowiek. Kupowałam u niego niektóre rzeczy do mego domu — zawsze był dla mnie grzeczny. Ale pani Kennedy... no, ona nie należy do tej samej klasy ludzi co pani, pani Wilkes. Uważam, że to zimna kobieta, i zdania swego nie zmienię... Kiedy odbędzie się pogrzeb pana Kennedy'ego?

— Jutro rano. I nie ma pani racji co do pani Kennedy. Jest teraz pogrążona w bólu.

— Możliwe — rzekła Bella z widocznym niedowierzaniem. — No, muszę już jechać. Boję się, że ludzie poznają mój powóz, jeżeli tu dłużej postoję, a to byłoby niedobrze dla pani. I jeszcze coś, pani Wilkes: jeżeli mnie pani spotka kiedyś na ulicy, niech się pani ze mną nie wita. Ja zrozumiem.

— Będę dumna, jeżeli wolno mi będzie przywitać się z panią. Dumna, że tyle pani zawdzięczam. Mam nadzieję, że... zobaczymy się jeszcze.

— Nie — rzekła Bella. — To nie wypada. Dobranoc pani.

## ROZDZIAŁ XLVII

Scarlett siedziała w swojej sypialni jedząc bez apetytu kolację, którą przyniosła jej na tacy Manimy, i przysłuchiwała się jękowi wiatru. Dom był przeraźliwie cichy, cichszy jeszcze niż parę godzin temu, kiedy ciało Franka leżało w salonie. Wtedy słychać było ostrożne kroki i przyciszone głosy, ciche pukanie do frontowych drzwi, wchodzenie sąsiadów, którzy składali kondolencje, i od czasu do czasu głośne szlochy siostry Franka przybyłej na pogrzeb z Jonesboro.

Teraz dom był pogrążony w milczeniu. Mimo że drzwi jej pokoju były otwarte, z dołu nie dochodził żaden dźwięk. Wade i Ella byli u Melanii od chwili przeniesienia ciała Franka do domu, brak więc było Scarlett kroków małego i gaworzenia Elli. W kuchni zapanował rozejm, nie dochodziły z niej odgłosy kłótni Piotra i Mammy z kucharką. Nawet ciotka Pitty szanując żałobę Scarlett nie bujała się w skrzypiącym fotelu w bibliotece.

Nikt jej nie przeszkadzał, w przekonaniu, że chce być sama ze swoim bólem, samotność jednak była ostatnią rzeczą, której by sobie Scarlett życzyła. Gdyby towarzyszył jej wyłącznie ból, zniosłaby go może, tak jak znosiła już nieraz. Z żalem jednak i poczuciem straty mieszał się strach i ciężkie wyrzuty sumienia. Po raz pierwszy w życiu żałowała swoich postępków, żałowała ich z zabobonnym strachem, sprawiającym, że rzucała długie ukradkowe spojrzenia na łóżko, w którym sypiała z Frankiem.

Zabiła Franka. Zabiła go tak niewątpliwie, jak gdyby to jej palec pociągnął za cyngiel karabinu. Błagał ją, aby nie wyjeżdżała sama, ale go nie usłuchała. A teraz zginął z powodu jej uporu. Bóg ukarze ją za to. Na sumieniu jej zresztą ciążyła inna sprawa, gorsza i bardziej nawet przerażająca niż przyczynienie się do jego śmierci — sprawa, o której nie myślała do chwili, gdy spojrzała na twarz Franka w trumnie. Na tej nieruchomej twarzy malowała się bezradność jakaś i tragizm, które zrozumiała jako oskarżenie. Bóg skarał ją, ponieważ odbiła Franka Zueli. Będzie musiała pokajać się przed sądem ostatecznym i odpowiadać za te kłamstwa, które mu powiedziała wracając w jego bryczce z jankeskiego więzienia.

Nie pomoże teraz przekonywanie, że cel uświęca środki, że zmuszona była wyjść za niego, ponieważ na jej barkach spoczywał los zbyt wielu osób, aby mogła się zastanawiać nad prawami lub szczęściem Franka czy Zueli. Prawda rysowała się jasno — musiała teraz spojrzeć jej w oczy. Poślubiła Franka z wyrachowania i z wyrachowaniem wyzyskiwała. Unieszczęśliwiła go w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, mimo że mogła uczynić go szczęśliwym. Bóg skarze ją za to, że nie była dla niego lepsza — skarze ją za łajanie, wybuchy złości i docinki, za poróżnienie go z przyjaciółmi i przynoszenie mu wstydu z powodu prowadzenia tartaków, zbudowania szynku i najęcia więźniów do pracy.

Frank był z nią nieszczęśliwy, a ona wiedziała o tym — znosił to jednak jak prawdziwy dżentelmen. Jedyną rzeczą, jaka mu naprawdę sprawiła przyjemność, było obdarzenie go Ellą. Wiedziała jednak, że gdyby mogła zapobiec urodzeniu się dziecka, Ella nie urodziłaby się nigdy.

Zadrżała z przerażenia i pożałowała, że Frank nie żyje, bo teraz byłaby dla niego bardzo dobra, aby wszystko mu wynagrodzić. Och, gdybyż Bóg nie był tak gniewny i mściwy! Och, gdyby minuty nie wlokły się tak powoli i dom nie był tak cichy! Gdybyż nie była tak samotna!

Gdyby Melania była blisko niej, ukoiłaby z pewnością jej obawy. Ale Mela była w domu, u boku Ashleya. Przez chwilę Scarlett pomyślała o zawołaniu Pittypat, aby stanęła między nią a jej sumieniem, zawahała się jednak... Pitty prawdopodobnie jeszcze utrudniłaby wszystko, bo szczerze opłakiwała Franka. Był rówieśnikiem raczej jej niż Scarlett i bardzo była do niego przywiązana. Znakomicie ucieleśniał marzenia Pitty o „mężczyźnie w domu”, bo często przynosił jej małe podarki i ploteczki, wieczorami czytał jej gazetę i rozmawiał z nią o bieżących sprawach, podczas gdy ona cerowała mu skarpetki. Opiekowała się nim czule, przygotowywała mu specjalne przysmaki i pielęgnowała podczas niezliczonych zaziębień. Teraz boleśnie odczuła jego brak, powtarzała więc raz po raz, ocierając czerwone, spuchnięte oczy: — I po co on przyłączył się do Klanu!

Gdybyż był na świecie ktoś taki, kto mógłby Scarlett pocieszyć, ukoić jej obawy, wytłumaczyć jej, co znaczą przeróżne strachy, mrożące jej serce! Gdybyż Ashley — odepchnęła czym prędzej tę myśl. Omal nie zabiła Ashleya tak samo jak Franka. I gdyby Ashley wiedział o tym, jak skłamała Frankowi, aby go skłonić do małżeństwa, jak była dla niego niedobra, z pewnością przestałby ja kochać. Ashley miał silne poczucie honoru, był tak prawdomówny, tak szlachetny, prostolinijny i szczery... Ale gdyby znał całą prawdę, zrozumiałby z pewnością. O, tak, zrozumiałby aż za dobrze! Przestałby ją kochać. Nigdy więc nie będzie znał prawdy, ponieważ życzyła sobie, aby zawsze ją kochał. Jakże by mogła żyć, gdyby zabrano jej to tajemne źródło siły, jego miłość? Ale jakąż by jej ulgę sprawiło, gdyby mogła złożyć głowę na jego ramieniu, wypłakać się i zrzucić ciężar z grzesznego serca!

Milczenie domu i atmosfera śmierci działały na nią tak przytłaczająco, że czuła, iż nie zniesie ich dłużej. Wstała ostrożnie, na wpół zamknęła drzwi i zaczęła grzebać pod bielizną w dolnej szufladzie komody. Wyjęła butelkę koniaku ciotki Pitty „od omdleń”, którą tam ukryła, i podniosła ją pod światło. Była do połowy pusta. Niemożliwe, aby tyle wypiła od ostatniej nocy! Nalała sobie sporo do szklanki i szybko przełknęła. Będzie musiała jeszcze przed ranem odstawić butelkę do kredensu i napełnić ją wodą. Mammy szukała jej tuż przed pogrzebem, bo żałobnicy chcieli się napić — kuchnia była naładowana wzajemnymi podejrzeniami Mammy, kucharki i Piotra.

Koniak palił ją ogniście, przyjemnie. Nie było nic lepszego nad trunek, kiedy człowiek łaknął pokrzepienia. Właściwie koniak dobry był o każdej niemal porze dnia, znacznie lepszy od mdłego wina. Dlaczego, na Boga, wypada, aby kobieta piła wino, a nie wolno jej pić alkoholu? Pani Merriweather i pani Meade najwyraźniej wąchały jej oddech na pogrzebie, a potem zamieniły tryumfujące spojrzenia. Wstrętne stare baby!

Nalała sobie drugą szklankę. Jeżeli nawet wstawi się trochę, to i tak położy się zaraz do łóżka i najwyżej wypłucze sobie usta wodą kolońską, zanim Mammy przyjdzie ją rozsznurować. Żałowała, że nie może upić się tak zupełnie i do nieprzytomności, jak Gerald w dniach sesji sądowej. Może by mogła wtedy zapomnieć zapadniętą twarz Franka i wypisane na niej oskarżenie, że zrujnowała mu życie i przyczyniła się do jego śmierci.

Zaczęła się zastanawiać, czy wszyscy w mieście uważają, że Frank zginął z jej winy. Na pogrzebie znajomi byli dla niej dość chłodni. Jedynymi osobami, które w kondolencje włożyły trochę serdeczności, były żony jankeskich oficerów, z którymi prowadziła interesy. Wszystko zresztą jedno, nie dbała o to, co miasto o niej mówi. Jakże się to wydawało nieważne w porównaniu z tym, za co odpowie przed Bogiem!

Na tę myśl znowu się napiła, wzdrygając się, gdy koniak gorącą strugą spływał jej przez gardło. Było jej teraz bardzo ciepło, ale wciąż jeszcze nie mogła się uwolnić od myśli o Franku. Jakże głupi byli ludzie twierdzący, że alkohol pomaga zapomnieć! Póki nie upije się do nieprzytomności, będzie ciągle widziała przed sobą twarz Franka, po raz ostatni proszącego ją, aby nie jeździła sama — nieśmiało, z wyrzutem, z żalem.

Kołatka przy frontowych drzwiach uderzyła tępo, po cichym domu rozniosło się echo. Usłyszała w hallu człapanie ciotki Pitty, potem otwarcie drzwi. Rozległy się powitania i niewyraźne szepty. Pewnie jakaś sąsiadka, która przyszła porozmawiać o pogrzebie lub przyniosła do skosztowania galaretkę. Pitty będzie z tego zadowolona. Rozmawiała z kondolentami z przyjemnością i poczuciem ważności.

Przez chwilę Scarlett zastanawiała się bez ciekawości, kto to taki, aż głos męski, dźwięczny i przeciągły, zagórował nad pogrzebowym szeptem Pitty. Ogarnęła ją nagle radość i poczucie ulgi. Był to Rett. Nie widziała go od chwili, gdy przyniósł jej wiadomość o śmierci Franka, teraz jednak poczuła, że jest on jedynym człowiekiem, który mógł jej pomóc.

— Mam wrażenie, że mnie przyjmie — doszedł ją głos Retta.

— Ale ona położyła się, panie kapitanie, i nie chce nikogo widzieć. Biedne dziecko, taka jest zrozpaczona. Nie...

— Zdaje mi się, że mnie przyjmie. Niech jej pani z łaski swojej powie, że wyjeżdżam jutro i nie będzie mnie tu dość długo. To bardzo ważne.

— Ale... — zaczęła się wykręcać ciotka Pitty.

Scarlett wybiegła do hallu, ze zdziwieniem stwierdzając, że niepewnie stoi na nogach, i oparła się o poręcz schodów.

— Schodzę w tej chwili, Rett! — zawołała.

Widziała w przelocie pulchną, w górę zwróconą twarz ciotki Pittypat i oczy jej, okrągłe ze zdziwienia i zgorszenia. „Teraz całe miasto będzie już wiedziało, że zachowałam się niewłaściwie w dniu pogrzebu męża — myślała Scarlett wracając pospiesznie do sypialni, aby przyczesać sobie włosy. Zapięła pod sam podbródek czarny stanik i przypięła kołnierzyk żałobną broszką Pitty. — Nie wyglądam bardzo pięknie — myślała pochylając się nad lustrem — jestem blada i wylękniona. — Ręka jej bezwiednie skierowała się do skrytki, w której trzymała róż, ale cofnęła się po chwili. Biedna Pittypat byłaby naprawdę zmartwiona, gdyby ukazała się na dole różowa i świeża. Przechyliła butelkę wody kolońskiej, nabrała sporo jej w usta, starannie je wypłukała i splunęła wodę do kubła.

Z szumem spódnic zbiegła po schodach w stronę tych dwojga, jeszcze ciągle stojących w hallu, bo Pittypat była zanadto pod wrażeniem postępowania Scarlett, aby poprosić Retta do pokoju. Ubrany był w uroczystą czerń, koszulę miał sztywno wykrochmaloną i zachowywał się, jak przystoi staremu przyjacielowi, który składa wizytę osieroconej niewieście. Zachowywał się tak bardzo poprawnie, że trąciło to groteską, chociaż Pittypat tego nie dostrzegła. Przeprosił Scarlett, jak należy, że ją niepokoi, i usprawiedliwił się, że z powodu nawału zajęć związanych z wyjazdem nie mógł być na pogrzebie.

„Co go naszło, że przyszedł? — dziwiła się w duchu Scarlett. — Przecież nie myśli tego, co mówi”.

— Przykro mi, że panią trudzę w takiej chwili, ale mam do omówienia pewną sprawę handlową, nie cierpiącą zwłoki. Planowaliśmy coś wspólnie z panem Kennedym...

— Nie wiedziałam wcale, że pan miał jakieś interesy z panem Kennedym — rzekła ciotka Pittypat, prawie urażona, że nie znała jakichś projektów Franka.

— Pan Kennedy był człowiekiem o tak różnorodnych zainteresowaniach — rzekł Rett z szacunkiem. — Czy mógłbym wejść do salonu?

— Nie! — zawołała Scarlett patrząc na zasunięte drzwi. Jeszcze ciągle miała przed oczyma obraz stojącej w tym pokoju trumny. Nie chciała do tego pokoju nigdy więcej zaglądać. Pitty wyjątkowo zachowała się taktownie i rzekła:

— Proszę, wejdźcie państwo do biblioteki. Ja muszę... powinnam właściwie iść na górę i poszyć trochę. Bardzo wszystko zaniedbałam w ostatnim tygodniu. Doprawdy...

Weszła na schody rzucając na odchodnym spojrzenie pełne wyrzutu, którego nie zauważyła jednak ani Scarlett, ani Rett. Rett otworzył drzwi przed Scarlett.

— Jakież interesy miałeś z Frankiem? — zapytała.

Podszedł do niej bliżej i szepnął: — Żadnych w ogóle. Chciałem tylko pozbyć się panny Pitty. — Przerwał i pochylił się nad nią. — To nie ma sensu, Scarlett.

— Co?

— Woda kolońska.

— Zapewniam cię, że nie wiem, o czym mówisz.

— Przysiągłbym, że wiesz. Piłaś.

— No więc, cóż z tego? To chyba nie twoja rzecz.

— Co za uosobienie uprzejmości, nawet w najgłębszym smutku! Nie pij w samotności, Scarlett. Ludzie zawsze się o tym dowiadują, to szkodzi opinii. Poza tym zaś, samotne picie to rzecz bardzo zła. Co ci dolega, kochanie?

Poprowadził ją do kanapki z drzewa różanego; usiadła w milczeniu.

— Czy mogę zamknąć drzwi?

Scarlett wiedziała, że jeżeli Mammy zobaczy zamknięte drzwi, będzie bardzo zgorszona i będzie gderała i prawiła na ten temat morały bez końca — gorzej jednak byłoby, gdyby miała usłyszeć tę rozmowę o piciu, szczególnie teraz, wobec zniknięcia butelki koniaku. Skinęła więc głową i Rett zamknął drzwi. Kiedy wrócił i usiadł koło niej, a ciemne jego oczy spoczęły badawczo na jej twarzy, zmora śmierci ustąpiła trochę, pokój wydał się znowu miły i zaciszny, a światło lampy różowe i ciepłe.

— Co ci jest, kochanie?

Nikt na świecie nie umiał tego czułego słówka wypowiadać tak pieszczotliwie jak Rett, nawet gdy żartował — a teraz wyglądał bardzo serio. Podniosła na niego udręczone spojrzenie i znalazła pewną pociechę widząc, że twarz jego jest spokojna i nieprzenikniona. Zdziwiła się, Rett zwykle bywał dokuczliwy i nieczuły. Czasem myślała, że wszyscy ludzie, których w życiu swoim znała, byli dla niej obcy, poza jedynym Rettem.

— Czy nie możesz mi powiedzieć? — podniósł jej dłoń bardzo łagodnie. — Czy jeszcze coś cię trapi poza śmiercią poczciwego Franka? Czy potrzebne ci pieniądze?

— Pieniądze? Ach, nie! Och, Rett, tak się boję!

— Nie bądź gąską, Scarlett, nigdy w życiu niczego się nie bałaś.

— Och, Rett, boję się.

Słowa cisnęły się jej na usta szybciej, niż mogła je wypowiedzieć. Jemu można było wszystko powiedzieć. Nabroił w swoim życiu tak wiele, że z pewnością nie osądzi jej surowo. Jak to dobrze, że zna kogoś, kto był niedobry i niehonorowy, kto oszukiwał i kłamał, gdy świat cały pełen był ludzi, którzy nie skłamaliby nawet we własnej obronie i którzy by raczej umarli z głodu, niż postąpili nieuczciwie!

— Boję się, że umrę i pójdę do piekła.

Gdyby ją wyśmiał, umarłaby na miejscu. On jednak nie uśmiechnął się nawet.

— Jesteś bardzo zdrowa, poza tym zaś nie wiadomo, czy piekło istnieje.

— Och, istnieje z pewnością, Rett! Wiesz o tym dobrze!

— Wiem, że istnieje, ale znajduje się tutaj, na ziemi. Nie ma go po śmierci. Po śmierci nie ma już nic, Scarlett. Piekło swoje przeżywamy teraz.

— Och, Rett, to przecież bluźnierstwo!

— Ale bardzo pocieszające. Powiedz mi, dlaczego przypuszczasz, że pójdziesz do piekła?

Teraz już kpił z niej trochę, poznawała to po błysku jego oczu, ale nie miała mu tego za złe. Ręce jego były ciepłe i silne, uścisk bardzo krzepiący..

— Rett, nie powinnam była wychodzić za Franka. To było grzechem. Był wielbicielem Zueli i kochał ją, nie zaś mnie. A ja go okłamałam, powiedziałam mu, że Zuela wychodzi za Tonia Fontaine. Och, jakże mogłam to zrobić!

— Ach, a więc to w ten sposób się stało! Zawsze się nad tym zastanawiałem.

— A potem tak go unieszczęśliwiłam. Zmuszałam go do robienia rzeczy, których nie chciał robić, kazałam mu wyduszać pieniądze z ludzi, którzy doprawdy nie mieli czym płacić rachunków. I bolał tak bardzo nad tym, że prowadzę tartaki, że zbudowałam szynk i najęłam więźniów... Ze wstydu nie mógł patrzeć ludziom w oczy. I Rett... to ja go zabiłam. Tak, ja! Nie wiedziałam, że należy do Klanu. Nie przypuszczałam, że ma tyle odwagi. Ale powinnam była o tym wiedzieć. I zabiłam go.

— „...Mógłżeby cały ocean te krwawe ślady spłukać z mojej ręki?”[[5]](#footnote-5)

— Co mówisz? .

— Mniejsza z tym. Mów dalej.

— Mówić dalej? To już wszystko. Czy to nie dość? Wyszłam za niego, unieszczęśliwiłam go, a teraz zabiłam. O, Boże, Boże! Nie rozumiem, jak mogłam to zrobić! Skłamałam, aby móc go poślubić. Wszystko to wydawało mi się bardzo właściwe, kiedy to robiłam, a teraz nagle widzę, że źle postępowałam. Rett, zdaje mi się, jak gdybym to nie ja zrobiła te wszystkie straszne rzeczy. Byłam dla niego tak niedobra, a ja w rzeczywistości wcale nie jestem zła. Wychowano mnie zupełnie inaczej. Matka... — przerwała i przełknęła ślinę. Przez cały dzień unikała myśli o Ellen, ale teraz nie mogła już dłużej odpędzić wspomnienia o niej.

— Zastanawiam się często, jaka była twoja matka. Ty wydajesz mi się bardzo podobna do swego ojca

— Matka była... Och, Rett, po raz pierwszy w życiu jestem zadowolona, że już nie żyje i że mnie nie może widzieć. Nie wychowała mnie na istotę złą. Była taka miła dla wszystkich, taka dobra. Wolałaby pewnie, abym umarła z głodu, niżbym miała zrobić to, co zrobiłam. A ja tak pragnęłam być do niej pod każdym względem podobna — i nie jestem podobna wcale... Nie myślałam o tym dotąd, musiałam myśleć o tylu innych sprawach, ale zawsze chciałam być taka jak matka. Nie chciałam się wdać w ojca. Kochałam go, ale on był... trochę bezmyślny. Rett, czasem bardzo się starałam być miła dla ludzi i dobra dla Franka, wtedy jednak znowu wracał mój koszmar i tak mnie przerażał, że chciałam biec przed siebie i wyrywać ludziom pieniądze, moje czy nie moje.

Łzy spływały niepowstrzymanie po jej twarzy, ściskała go za rękę tak mocno, że paznokcie jej wpijały mu się w ciało.

— Jaki koszmar? — Głos Retta brzmiał spokojnie i krzepiąco.

— Och, zapomniałam, że ty o nim nie wiesz. No więc zawsze wtedy, gdy starałam się być miła dla ludzi i mówiłam sobie, że pieniądze nie są wszystkim, kładąc się spać śniłam, że znowu jestem w Tarze, tuż po śmierci matki, zaraz po przejściu Jankesów. Rett, nie możesz sobie wyobrazić... zimno mi się robi, gdy o tym pomyślę. Wszystko jest spalone, jest bardzo cicho i nie ma nic do jedzenia... Och, Rett, śni mi się, że jestem znowu głodna...

— Mów dalej.

— Jestem głodna, a ojciec, siostry i Murzyni nie mają nic do jedzenia i powtarzają mi raz po raz: „Jesteśmy głodni”; żołądek mój jest tak pusty, że aż boli, i jestem śmiertelnie przerażona. Powtarzam sobie w duchu: „Jeżeli to przetrzymam, nigdy, przenigdy więcej w życiu nie będę głodna”, a potem sen zmienia się: opada szara mgła, a ja biegnę, biegnę wśród niej, biegnę tak szybko, że serce mi omal nie pęka — goni mnie coś, a ja nie mogę tchu złapać, ale myślę bez przerwy, że jeżeli dobiegnę, będę uratowana. Nie wiem jednak, dokąd staram się dobiec. A potem budzę się, jestem zimna z przerażenia i znowu bardzo się boje, że będę głodna. Kiedy wstaję po takim śnie, wydaje mi się, że na całym świecie nie ma dość pieniędzy, które by mnie uchroniły przed obawą głodu. Kiedy więc Frank bywał ślamazarny i ustępliwy, musiałam się na niego złościć i gniewać. Nie rozumiał pewno, dlaczego taka jestem, a ja nie mogłam mu tego wytłumaczyć. Myślałam wciąż, że wynagrodzę mu to wszystko kiedyś w przyszłości, gdy będę miała pieniądze i nie będę się już bała głodu. A teraz on nie żyje i jest już za późno... Och, wszystko wydawało mi się tak słuszne, kiedy to robiłam, a było tak złe... Gdybym mogła to teraz odrobić, postępowałabym zupełnie inaczej.

— Cicho — powiedział Rett wyplątując dłoń z jej rozpaczliwego uścisku i wyciągając z kieszeni chusteczkę. — Wytrzyj sobie twarz. Nie ma sensu, abyś się tak szarpała.

Wzięła chustkę i otarła wilgotne policzki. Czuła teraz pewną ulgę, jak gdyby część swoich ciężarów przeniosła na jego szerokie barki. Wyglądał rozumnie i spokojnie, i nawet lekki jego uśmieszek stanowił pokrzepienie, bo świadczył, że rozpacz jej i niepokój są zbędne.

— Czy czujesz się lepiej teraz? No więc, wyczerpmy tę sprawę do dna. Mówisz, że gdybyś mogła to wszystko odrobić, postępowałabyś inaczej. Czy jesteś tego pewna? Zastanów się nad tym.

— No...

— Nie, zrobiłabyś po raz wtóry to samo. Czy miałaś inne wyjście?

— Nie.

— Czego więc żałujesz?

— Byłam taka niedobra, a teraz on nie żyje.

— Gdyby żył, byłabyś znowu niedobra. Tak jak ja to rozumiem, nie żałujesz właściwie, że poślubiłaś Franka, że dokuczałaś mu i nieopatrznie spowodowałaś jego śmierć. Jest ci źle, ponieważ boisz się, że pójdziesz do piekła. Czy tak?

— No... to bardzo skomplikowane.

— Twoja moralność jest także bardzo skomplikowana. Jesteś w położeniu złodzieja, który został schwytany na gorącym uczynku i nie żałuje, że ukradł, ale bardzo, bardzo żałuje, że idzie do więzienia.

— Złodzieja...

— Och, nie bierz wszystkiego tak dosłownie! Innymi słowy, gdyby nie głupia myśl, że będziesz skazana na wieczysty ogień piekielny, myślałabyś może, żeś się znakomicie pozbyła Franka.

— Rett, jakże możesz!

— Och, dajże spokój! Spowiadasz się przede mną, więc lepiej, abyś wyznała całą prawdę niż zacne kłamstwo. Czy twoje... hmm... sumienie bardzo ci się dawało we znaki, kiedy miałaś zamiar — jak by to powiedzieć? — rozstać się z owym klejnotem, który jest rzekomo droższy od życia, za sumę trzystu dolarów?

Koniak snuł jej się teraz po głowie, była zamroczona i obojętna na wszystko. Na co się zda okłamywanie Retta? Zawsze zdawał się czytać w jej myślach.

— Wtedy mało właściwie myślałam o Bogu czy piekle. A jeżeli myślałam... no, to wydawało mi się po prostu, że Bóg zrozumie.

— Dlaczego jednak odmawiasz Bogu rozumienia, gdy chodzi o sprawę wydania się za Franka?

— Rett, jakże możesz mówić o Bogu, kiedy wcale w Niego nie wierzysz?

— Ale ty przecież wierzysz w Boga Zemsty i to jest w tej chwili ważne. Dlaczego by Pan Bóg nie miał rozumieć? Czy żałujesz, że Tara dotąd należy do ciebie i że nie mieszkają tam Carpetbaggerzy? Czy żałujesz, że nie jesteś głodna i obdarta?

— Och, nie!

— A czy miałaś inny wybór niż poślubienie Franka?

— Nie.

— Nie potrzebował się przecież z tobą żenić, prawda? Mężczyźni mają własną wolę. I nie potrzebował ci pozwalać na dokuczanie sobie i zmuszanie do robienia rzeczy, których nie miał ochoty robić, prawda?

— No...

— A więc dlaczego się tym martwisz, Scarlett? Gdybyś miała zrobić powtórnie to samo, znowu byłabyś zmuszona do kłamstwa, a on do ożenku z tobą. Znowu narażałabyś się na niebezpieczeństwo, on zaś musiałby cię pomścić. Gdyby ożenił się z siostrą twoją, Zuelą, ona nie stałaby się może przyczyną jego śmierci, ale uczyniłaby go prawdopodobnie dwa razy nieszczęśliwszym niż ty. Nie mogło być inaczej.

— Mogłam jednak być dla niego lepsza.

— Mogłabyś, gdybyś była inna. Zostałaś jednak stworzona do dokuczania każdemu, kto ci na to pozwoli. Silni stworzeni są do panowania, a słabi do ulegania. To wina Franka, bo nie bił cię batem... Dziwię się, Scarlett, że po tylu latach rodzi się w tobie sumienie. Oportuniści twego pokroju nie powinni mieć sumienia.

— Co to jest opór... jak to powiedziałeś?

— Człowiek, który umie wyzyskiwać sprzyjające okoliczności.

— Czy to coś złego?

— To nigdy nie cieszyło się dobrą sławą, zwłaszcza u tych, którzy posiadali takie same możliwości i wyzyskać ich nie umieli.

— Och, Rett, znowu żartujesz, a ja przypuszczałam, że będziesz dzisiaj miły!

— Jestem miły, jak na mnie. Scarlett, kochanie, jesteś wstawiona. Tylko to ci dolega i nic więcej.

— Ośmielasz się powiedzieć mi...

— Tak, ośmielam się. Jesteś na progu tego, co się wulgarnie nazywa „ululaniem się na smutno”, zmienię więc temat i rozerwę cię trochę pewną nowiną, która cię na pewno ubawi. Właściwie przyszedłem tu dzisiaj, aby ci przed wyjazdem tę nowinę oznajmić.

— Dokąd jedziesz?

— Do Anglii, nie będzie mnie przez parę miesięcy. Zapomnij o swoim sumieniu, Scarlett. Nie mam zamiaru dłużej rozmawiać o zbawieniu twej duszy. Czy nie jesteś ciekawa mojej nowiny?

— Ale... — zaczęła niepewnie i przerwała. Dzięki alkoholowi, który łagodził ostrość wyrzutów sumienia, i kpiącym, ale krzepiącym słowom Retta, blade widmo Franka nikło w cieniu. Może Rett ma słuszność. Może Bóg rozumie. Przyszła do siebie już o tyle, że mogła odsunąć te myśli na dalszy plan i postanowić: „Pomyślę o tym wszystkim jutro”.

— Co to za nowina? — zapytała z wysiłkiem, wydmuchując nos w chusteczkę Retta i przygładzając włosy, które zdążyły się roztargać.

— Nowina jest następująca — odrzekł uśmiechając się do niej. — Nadal jeszcze pragnę cię bardziej od wszystkich znanych mi kobiet, uważałem więc, że ponieważ Frank już nie żyje, powinienem ci o tym powiedzieć.

Scarlett wyrwała mu ręce z uścisku i skoczyła na równe nogi.

— Ja... jesteś najgorzej wychowanym człowiekiem na świecie! Przychodzisz tutaj w takiej chwili z twoimi brudnymi... Powinnam była wiedzieć, że nie zmienisz się nigdy. Kiedy ciało Franka nie zdążyło jeszcze ostygnąć! Gdybyś miał choć trochę przyzwoitości... Może zechcesz opuścić ten...

— Uspokój się lepiej, bo panna Pittypat zjawi się tutaj za chwilę — rzekł nie wstając, tylko wyciągając rękę i biorąc w nią obie jej piąstki. — Obawiam się, żeś mnie źle zrozumiała.

— Nie. zrozumiałam cię? Zrozumiałam doskonale. — Chciała mu się znowu wyrwać. — Puść mnie i idź sobie stąd. Nigdy nie słyszałam rzeczy podobnie niesmacznej. Nie...

— Uspokój się — powiedział. — Proponuję ci, abyś wyszła za mnie za mąż. Czy mam uklęknąć, aby dowieść powagi moich zamiarów?

Powiedziała ze ściśniętym gardłem „Och” i ciężko opadła na kanapę.

Patrzyła na niego z otwartymi ustami, zastanawiając się, czy to alkohol płata jej figle, przypominając sobie jego drwiny: „Moja droga, nie należę do ludzi, którzy się żenią”. Albo to ona jest pijana, albo też on oszalał. Ale Rett nie wyglądał wcale na szaleńca. Był tak spokojny, jakby rozmawiał o pogodzie, i w jego przyjemnie przeciągającym głosie nie było szczególnego wzruszenia.

— Zawsze cię pragnąłem, Scarlett, od owego pierwszego dnia, kiedy poznałem cię w Dwunastu Dębach, kiedy stłukłaś wazonik, klęłaś i dałaś dowody, że wcale nie jesteś damą. Zawsze zamierzałem cię zdobyć tak czy inaczej. Ponieważ jednak dorobiliście się z Frankiem pieniędzy, wiem. że nie będziesz musiała zwracać się do mnie z interesującymi propozycjami pożyczek i gwarancją. Widzę więc, że będę się musiał z tobą ożenić.

— Recie Butler, czy to znowu jeden z twoich nieprzyjemnych żartów?

— Obnażam przed tobą serce, a ty tak mnie podejrzewasz! Nie, Scarlett, to szczera i uczciwa propozycja. Przyznaję, że nie jest w najlepszym guście, iż zwracam się z nią do ciebie w takiej chwili, mam jednak bardzo dobre usprawiedliwienie. Wyjeżdżam jutro na dość długo i obawiam się, abyś do czasu mego powrotu nie wyszła za mąż za kogoś innego, kto ma gotówkę. Pomyślałem więc sobie, że przecież i moje pieniądze są dobre. Doprawdy, Scarlett, nie mogę przecież stracić całego życia na czekaniu, aż cię przyłapię między jednym mężem a drugim.

Mówił poważnie. Co do tego nie mogło być wątpliwości. Wargi jej zeschły, kiedy to sobie uświadomiła. Z trudem przełykała ślinę i starając się go przeniknąć, patrzyła mu w oczy. Były pełne wesołości, ale kryło się w nich, głęboko, jeszcze coś innego, coś czego w nich dotąd nie widziała, błysk jakiś, którego nie umiała zanalizować. Siedział niedbale, wygodnie, ale czuła, że obserwuje ją bacznie jak kot wpatrzony w mysią norę. Za spokojem jego kryła się skupiona siła, przed którą cofnęła się trochę przestraszona.

Rzeczywiście poprosił ją o rękę. Zrobił tę rzecz niewiarygodną. Kiedyś planowała sobie, że będzie go dręczyć, gdyby się jej kiedykolwiek oświadczył. Kiedyś myślała, że jeżeli Rett wypowie te słowa, upokorzy go i wykaże swoją nad nim władzę, i znajdzie w tym przyjemność. Teraz przemówił wreszcie, nie myślała jednak o swym postanowieniu, bo nie miała nad nim władzy. To on

właściwie całkowicie panował nad sytuacją, a ona była zmieszana jak młoda dziewczynka, której się oświadcza pierwszy mężczyzna. Rumieniła się i jąkała.

— Ja... ja nigdy już nie wyjdę za mąż.

— Ależ owszem, wyjdziesz za mąż. Stworzona jesteś do tego. Wyjdź za mnie.

— Ależ, Rett, ja... ja ciebie nie kocham.

— To nie powinno być przeszkodą. Nie przypominam sobie, aby miłość grała najważniejszą rolę w dwóch twoich poprzednich związkach.

— Och, jakże możesz tak mówić? Wiesz, jak byłam przywiązana do Franka!

Nic nie powiedział.

— Byłam! Byłam!

— No dobrze, nie będziemy się o to sprzeczali. Czy rozważysz moją propozycję podczas mej nieobecności?

— Rett, nie lubię spraw, które się wloką. Wolałabym odpowiedzieć ci teraz. Pojadę wkrótce do domu, do Tary, a India Wilkes przeprowadzi się do ciotki Pitty. Chcę pojechać do domu na długo i... nie mam zamiaru ponownie wychodzić za mąż.

— Nonsens. Dlaczego?

— Och, no bo... mniejsza z tym, dlaczego. Nie podoba mi się stan małżeński.

— Ależ moje biedne dziecko, tyś nigdy nie była naprawdę zamężną. Jakże możesz coś o tym wiedzieć? Muszę przyznać, że nie miałaś szczęścia... raz wyszłaś za mąż na złość, a raz dla pieniędzy. Czy myślałaś kiedyś o wyjściu za mąż dla przyjemności?

— Dla przyjemności?! Nie mów głupstw. W małżeństwie nie ma żadnej przyjemności.

— Nie? A dlaczego?

Wrócił jej spokój, a z nim wrodzona szczerość, którą alkohol jeszcze zaostrzał.

— Małżeństwo jest może przyjemne dla mężczyzn, choć Bóg jeden wie, dlaczego. Nigdy tego nie mogłam zrozumieć. Kobieta jednak tylko tyle ma z tego, że ma co jeść, musi znosić humory męża, ma dużo pracy i co rok dziecko.

Roześmiał się tak głośno, że aż echo rozległo się w ciszy. Scarlett usłyszała zgrzyt drzwi kuchennych.

— Cicho! Mammy ma słuch jak ryś. Nie wypada zresztą śmiać się tak zaraz po... przestań się śmiać. Wiesz, że mam rację. Przyjemność! Zawracanie głowy!

— Powiedziałem, że nie miałaś szczęścia, i słowa twoje dowodzą, że miałem słuszność. Mężem twoim był najpierw chłopiec, potem człowiek stary, w dodatku zaś matka twoja powiedziała ci z pewnością, że kobieta musi znosić „te rzeczy” z racji przyszłych rozkoszy macierzyństwa. Ale wszystko to jest nieprawdą. Dlaczego nie miałabyś spróbować małżeństwa z przystojnym młodym człowiekiem, który ma złą reputację i umie postępować z kobietami? Może to się okaże przyjemne?

— Jesteś ordynarny i zarozumiały. Zdaje mi się, że rozmowa zaszła już zbyt daleko. Jest... jest dość niesmaczna.

— I dość przyjemna, prawda? Założę się, żeś o stosunkach małżeńskich nie rozmawiała nigdy dotąd z żadnym mężczyzną, nawet z Karolem i Frankiem.

Spojrzała na niego ze złością. Rett wiedział zbyt wiele. Zastanawiała się, gdzie się nauczył tego wszystkiego, co wie o kobietach. Było to aż nieprzyzwoite.

— Nie marszcz się. Wyznacz datę, Scarlett. Ze względu na twoją opinię, nie nalegam na szybki ślub. Odczekamy właściwy czas. A propos, jak długo trwa „właściwy czas”?

— Nie powiedziałam jeszcze, że zgadzam się wyjść za ciebie. W takiej chwili nie wypada nawet rozmawiać o tych sprawach.

— Wytłumaczyłem ci, dlaczego o nich mówię. Jutro wyjeżdżam, a jestem zbyt namiętnym kochankiem, aby namiętność swoją powstrzymywać dłużej. Może jednak byłem zbyt gwałtowny w moich zapałach.

Z nagłością, która ją zaskoczyła, zsunął się z kanapy na kolana i z ręką lekko przytkniętą do serca szybko wyrecytował:

— Wybacz mi, że przerażani cię gwałtownością moich uczuć, droga moja Scarlett... to jest, droga pani Kennedy. Nie mogło ujść twojej uwagi, że od pewnego czasu przyjaźń, jaką żywiłem dla ciebie, przemieniła się w mym sercu w głębsze uczucie, uczucie piękniejsze, czystsze i świętsze. Czy wolno mi je nazwać? Ach! To miłość dodaje mi odwagi!

— Proszę cię, wstań! — błagała. — Wyglądasz jak wariat! Mammy może wejść i zobaczy cię tutaj!

— Będzie zdumiona z powodu pierwszych oznak mojej dżentelmenerii — rzekł Rett, lekko się podnosząc. — Słuchaj, Scarlett, nie jesteś dzieckiem ani pensjonarką i nie odprawiaj mnie głupimi wymówkami o przyzwoitości lub czymś w tym rodzaju. Powiedz, że wyjdziesz za mnie po moim powrocie, albo jak mi Bóg miły, nie pojadę wcale. Będę krążył koło ciebie i co wieczór grał pod twoim oknem na gitarze, będę śpiewał na cały głos i skompromituję cię tak, że będziesz musiała za mnie wyjść dla uratowania opinii.

— Rett, bądźże rozsądny. W ogóle nie chcę wychodzić za mąż.

— Nie? Nie podajesz mi prawdziwego powodu. Nie jest to dziewczęca nieśmiałość. A zatem co?

Nagle pomyślała o Ashleyu, zobaczyła go tak wyraźnie, jak gdyby stał przy niej — jasnowłosy, o marzących oczach, pełen godności, tak zupełnie różny od Retta. On był prawdziwą przyczyną tego, że nie chciała wychodzić za mąż, chociaż zastrzeżeń co do Retta nie miała żadnych i chwilami szczerze go lubiła. Należała do Ashleya na zawsze. Nigdy nie należała do Karola czy Franka, nigdy nie mogła należeć naprawdę do Retta. Każda cząstka jej istoty, prawie wszystko, co robiła w życiu, do czego dążyła, co osiągała, należało do Ashleya, robione było w imię miłości do niego. Ashley i Tara — im oddała się wyłącznie. Uśmiechy i pocałunki, którymi darzyła Karola i Franka, należały do Ashleya, chociaż wcale ich nie żądał i nigdy nie mógł zażądać! Gdzieś głęboko w jej duszy kryło się pragnienie oszczędzania się dla niego, choć wiedziała, że on jej nigdy nie weźmie.

Nie zdawała sobie sprawy, że zmienił się wyraz jej twarzy, że marzenie nadało jej miękkość, której Rett nigdy w niej dotąd nie widział. Patrzył na skośne zielone oczy, szeroko otwarte i zamglone, na miękką linię jej warg i na chwilę wstrzymał oddech. Potem usta jego skrzywiły się gwałtownie i zaklął z niecierpliwością:

— Scarlett O'Hara, jesteś idiotką!

Zanim mogła wrócić myślami z dalekich przestrzeni, otoczył ją ramionami tak pewnie i mocno jak dawno temu na ciemnej drodze do Tary. Poczuła znowu obezwładniającą bezradność, poddanie się, falę nagłego ciepła, od którego osłabła. Spokojna twarz Ashleya Wilkesa zatarła się i rozpłynęła w nicość. Rett przechylił jej głowę przez swoje ramię i całował ją, lekko z początku, potem coraz gwałtowniej, aż zaczęła się tulić do niego coraz mocniej, jak do jedynego oparcia w kołującym pijanym świecie. Natarczywe jego usta rozchylały jej drżące wargi, wprawiały ją w silne podniecenie, wywoływały w niej wrażenia, o które nigdy się nie posądzała. I jeszcze zanim ogarnął ją upojny zawrót głowy, poczuła, że oddaje mu pocałunki.

— Przestań, proszę, słabo mi! — wyszeptała starając się odwrócić głowę. On jednak przycisnął ją mocniej do swego ramienia: przez chwilę widziała niejasno jego twarz. Oczy miał szeroko otwarte i dziwnie płonące — przeraziło ją drżenie jego ramion.

— Chcę, aby ci było słabo. Powinno ci być słabo. Czekałaś na to od lat. Żaden z tych głupców, których znałaś, nie całował cię w ten sposób, prawda? Ani twój drogi Karol, ani Frank czy ten głupi Ashley.

— Proszę cię...

— Powiedziałem: ten głupi Ashley. Wszystko to dżentelmeni... cóż wiedzą o kobietach? Co wiedzieli o tobie? Tylko ja ciebie znam.

Usta jego znowu spoczęły na jej ustach. Poddała się bez oporu, zbyt słaba teraz, aby odwrócić głowę; serce jej tłukło się przeraźliwie, ogarnął ją strach przed jego siłą i swoją bezwładną słabością. Co on z nią robił? Zemdleje, jeśli nie przestanie. Żeby już przestał, żeby nigdy nie przestawał!

— Powiedz „tak”! — Usta jego były tuż nad jej ustami, a oczy były tak blisko, że wydawały się olbrzymie, zapełniające świat cały. — Powiedz „tak”, u licha, bo...

Wyszeptała „tak”, zanim zdążyła pomyśleć. Zdawało jej się, jak gdyby on wymógł na niej to słowo, a ona wypowiadała je nie z własnej woli. Kiedy je jednak powiedziała, uspokoiła się od razu, w głowie przestało jej się kręcić, ustąpiło nawet zamroczenie koniakiem. Przyrzekła, że wyjdzie za niego, chociaż nie miała zamiaru przyrzekać. Nie wiedziała dobrze, jak się to wszystko stało, ale nie żałowała niczego. Wydawało jej się teraz bardzo naturalne, że powiedziała „tak” — zupełnie, jak gdyby za wstawiennictwem bożym ręka silniejsza od jej własnej czuwała nad jej losem, rozwiązywała za nią jej problemy.

Kiedy to powiedziała, Rett odetchnął głęboko i pochylił się, jak gdyby chciał pocałować ją znowu, ona zaś zamknęła oczy i odchyliła głowę. Cofnął się jednak i Scarlett poczuła lekkie rozczarowanie. Było jej dziwnie, że całowana jest w podobny sposób, jednocześnie zaś było to bardzo podniecające.

Siedział bardzo spokojnie, trzymając jej głowę opartą na swoim ramieniu; drżenie jego rąk ustąpiło, jak gdyby powstrzymał je siłą. Odsunął się trochę od Scarlett i popatrzył na nią. Otworzyła oczy i przekonała się, że dziwna łuna ustąpiła z jego twarzy. Nie mogła jednak patrzeć mu teraz w oczy, była zawstydzona i zmieszana.

Kiedy przemówił, głos jego był bardzo spokojny.

— Czy nie cofniesz słowa?

— Nie.

— Czy to nie tylko dlatego, że... jak to się mówi?... zwaliłem cię z nóg moim — hm — zapałem?

Nie mogła odpowiedzieć, bo nie wiedziała, co powiedzieć, nie mogła też spojrzeć mu w oczy. Wziął ją pod brodę i podniósł jej twarz do siebie.

— Powiedziałem ci kiedyś, że wszystko z twojej strony zniosę z wyjątkiem kłamstwa. A teraz żądam prawdy. Dlaczego powiedziałaś „tak”?

Jeszcze ciągle brakło jej słów, ponieważ jednak wróciła do równowagi, miała teraz skromnie spuszczone oczy, a kąciki ust rozciągnęły się w lekkim uśmieszku.

— Popatrz na mnie. Czy to ze względu na moje pieniądze?

— Ależ Rett! Cóż to za pytanie!

— Podnieś głowę i nie staraj się być przesadnie miła. Nie jestem Karolem, Frankiem czy innym młodzieńcem z twego powiatu i nie dam się złapać na trzepotanie powiekami. Czy to ze względu na moje pieniądze?

— No, może trochę.

— Trochę?

Nie był tym wcale dotknięty. Znowu odetchnął głośno i z pewnym wysiłkiem opanował zniecierpliwienie,, jakie to wyznanie w nim wywołało, zniecierpliwienie, którego Scarlett nie zauważyła.

— No bo, Rett — plątała się bezradnie — pieniądze są dość ważne, jak wiesz, tym bardziej że Frank nie zostawił mi zbyt wiele. A poza tym... wiesz, Rett, że się dobrze rozumiemy. I jesteś jedynym mężczyzną spośród moich znajomych, któremu kobieta może powiedzieć prawdę, bardzo też mi będzie przyjemnie mieć męża, który nie uważa, że jestem głupią gęsią i nie oczekuje ode mnie przyjemnych kłamstewek — no i poza tym — lubię cię bardzo.

— Lubisz mnie?

— No — rzekła z irytacją — gdybym powiedziała, że jestem w tobie zakochana do szaleństwa, kłamałabym, a co więcej... i ty byś wiedział, że kłamię.

— Czasem sądzę, że zbyt daleko posuwasz swój nałóg mówienia prawdy, moja śliczna. Czy nie uważasz, że choćby to było kłamstwem, byłoby bardzo właściwe, gdybyś powiedziała teraz, że mnie kochasz, mimo że tak nie jest?

Do czego on zmierza, dziwiła się, coraz bardziej zakłopotana. Wyglądał bardzo dziwnie, był niespokojny, drwiący, przejęty. Puścił teraz jej ręce, dłonie wsunął głęboko w kieszenie spodni; widziała, że zacisnął je w pięści. „Choćbym go miała stracić, będę mówiła prawdę” — pomyślała posępnie, rozjątrzona jak zwykle, kiedy jej dokuczał.

— Rett, to byłoby nieprawdą, zresztą po cóż mielibyśmy się bawić w te głupstwa? Bardzo cię lubię, jak powiedziałam. Wiesz, co to znaczy. Powiedziałeś mi kiedyś, że mnie nie kochasz, ale że mamy ze sobą wiele wspólnego. Para łotrów, tak nas kiedyś...

— Och, Boże! — wyszeptał odwracając szybko głowę. — Złapałem się we własne sidła!

— Coś powiedział?

— Nic — popatrzył na nią i roześmiał się, ale śmiech ten brzmiał nieprzyjemnie. — Wyznacz, datę, moja droga — zaśmiał się znowu, pochylił i pocałował ją w obie ręce. Była zadowolona, że przeszedł mu zły humor i że najwidoczniej poweselał, więc uśmiechnęła się także.

Pieścił przez chwilę jej dłoń, potem uśmiechnął się do niej.

— Czy zdarzyło ci się kiedyś czytać w powieściach o starej jak świat sytuacji, że obojętna żona zakochuje się we własnym mężu?

— Wiesz, że nie czytam powieści — powiedziała i chcąc dostroić się do jego żartobliwego tonu, dodała: — Poza tym zaś powiedziałeś kiedyś, że to w bardzo złym stylu, jeżeli małżonkowie się kochają.

— U licha, mówiłem kiedyś zbyt wiele głupstw! — odrzekł krótko i wstał.

— Nie klnij.

— Będziesz się musiała do tego przyzwyczaić i także nauczyć kląć. Będziesz musiała znosić wszystkie moje złe narowy. To będzie częścią ceny, jaką zapłacisz za to, że... bardzo mnie lubisz i że dorwiesz się do moich pieniędzy.

— No, nie złość się tak bardzo, że nie skłamałam i nie starałam się pochlebić ci. Przecież nie jesteś we mnie zakochany, prawda? Dlaczego więc ja miałabym ciebie kochać?

— Nie, moja droga, nie jestem w tobie zakochany, tak samo jak ty we mnie, a gdybym cię nawet kochał, byłabyś ostatnią osobą, której bym to wyznał. Niechaj Bóg ma w swej opiece człowieka, który cię naprawdę pokocha. Złamiesz mu serce, śliczna moja, okrutna, psotna kotko, która tak jest nieuważna i pewna siebie, że nie stara się nawet osłaniać swoich pazurków.

Porwał ją na nogi i znowu pocałował, teraz jednak usta jego były inne, bo zdawał się nie zważać, czy sprawia jej ból — wydawało się, że chce ją dotknąć, obrazić. Wargi jego zsunęły się po jej szyi i wreszcie przycisnął je do jej okrytej taftą piersi tak mocno i tak gorąco, że oddech jego parzył jej skórę. Zaczęła go odpychać z urażoną miną.

— Nie rób tego! Jak śmiesz!

— Serce twoje bije jak serce królika — rzekł drwiąco. — Gdybym był zarozumiały, powiedziałbym, że zbyt szybko jak na zwykłe lubienie. Przygładź swoje stargane piórka i nie rób tych dziewiczych minek. Powiedz mi lepiej, co ci przywieźć z Anglii. Może pierścionek? Jaki byś chciała?

Zawahała się przez chwilę, zaciekawiona ostatnimi jego słowami, jednocześnie pragnąc przedłużenia sceny wybuchem złości i oburzenia.

— Och z diamentem!... i Rett, żeby kamień był bardzo duży!

— Tak duży, abyś mogła się nim chwalić przed twoimi ubogimi przyjaciółmi i mówić: „Patrzcie, co ja mam!” Doskonale, dostaniesz duży kamień, tak duży, że twoje mniej szczęśliwe przyjaciółki będą się mogły pocieszać szeptami, że to bardzo wulgarnie nosić tak wielkie diamenty.

Przeszedł szybko przez pokój w stronę zamkniętych drzwi, za nim zaś podążyła Scarlett, bardzo zdziwiona.

— Co się stało? Dokąd idziesz?

— Do siebie, kończyć pakowanie.

— Och, ale...

— Ale co?

— Nic. Życzę ci przyjemnej podróży.

— Dziękuję ci.

Otworzył drzwi i wyszedł do hallu. Scarlett podreptała za nim, trochę zmieszana, trochę rozczarowana nieoczekiwanym obrotem spraw. Zarzucił płaszcz, wziął kapelusz i rękawiczki.

— Napiszę do ciebie. Zawiadom mnie, gdybyś się rozmyśliła.

— Czy nie...

— Co? — Zdawało się, że mu się bardzo śpieszy.

— Czy nie pocałujesz mnie na pożegnanie? — powiedziała szeptem, z uwagi na domowników.

— Czy nie uważasz, że miałaś już dość pocałunków jak na jeden wieczór? — odpowiedział i uśmiechnął się blado. — I pomyśleć, że skromna, dobrze wychowana młoda dama... A co, czy nie mówiłem ci, że to przyjemnie?

— Och, jesteś niemożliwy! — zawołała w złości, nie dbając o to, że Mammy może ją usłyszeć. — I nie zmartwię się, jeżeli nigdy nie wrócisz.

Odwróciła się i poszła w stronę schodów spodziewając się, że ciepła jego dłoń spocznie na jej ramieniu i zatrzyma ją. On jednak otworzył już drzwi frontowe, przez które powiał zimny wiatr.

— A jednak wrócę — powiedział i wyszedł, ona zaś stała na pierwszym stopniu schodów i długo patrzyła na zamknięte drzwi.

Pierścionek, jaki Rett przywiózł Scarlett z Anglii, był rzeczywiście okazały, tak okazały, że Scarlett wstydziła się go nosić. Lubiła krzykliwą i kosztowną biżuterię, teraz jednak miała nieprzyjemne wrażenie, że wszyscy mówią, zresztą zgodnie z prawdą, iż pierścionek jest wulgarny. Środkowy kamień był czterokaratowym diamentem, otaczały go zaś szmaragdy. Sięgał do kłykcia jej palca i przytłaczał całą dłoń. Scarlett podejrzewała, że Rett specjalnie wybrał jej pierścionek, który by jak najbardziej rzucał się w oczy.

Do chwili powrotu Retta do Atlanty i włożenia pierścionka na palec nie powiedziała nikomu, nawet rodzinie, o swoich zamiarach, kiedy więc ogłosiła zaręczyny, zerwała się istna burza nieprzyjemnych plotek. Od czasu sprawy z Klanem, Rett i Scarlett stali się najbardziej nie lubianymi obywatelami miasta. Wszyscy krytykowali Scarlett już od dawna, od chwili gdy zdjęła żałobę po Karolu Hamiltonie. Krytyka przeistoczyła się w niechęć z powodu jej nieodpowiedniego dla kobiety postępowania w sprawie tartaków, nieskromności, jakiej dowodziło publiczne pokazywanie się podczas ciąży, oraz wielu innych rzeczy. Kiedy jednak przyczyniła się do śmierci Franka i Tomasza i naraziła na niebezpieczeństwo kilkunastu innych mężczyzn, niechęć przeistoczyła się w publiczne potępienie.

Co się tyczy Retta, to już ściągnął na siebie nienawiść miasta swymi spekulacjami w czasie wojny, potem zaś jeszcze bardziej naraził się współobywatelom przez stosunki z republikanami. Co dziwniejsze jednak, najgorszą nienawiść w sercach dam wzbudził fakt, że to on uratował życie kilku najwybitniejszym obywatelom miasta.

Nie znaczy to, aby żałowały, że mężowie ich pozostali przy życiu. Dotknięte jednak były tym, że zawdzięczają ocalenie swoich bliskich tak kłopotliwemu postępkowi człowieka pokroju Retta. Przez długie miesiące wiły się w bezsilnej złości, gdy z nich drwili Jankesi. Głośno wypowiadały zdanie, że gdyby Rett miał rzeczywiście dobro Ku-Klux-Klanu na sercu, przeprowadziłby tę całą sprawę o wiele przyzwoiciej. Mówiły, że rozmyślnie wciągnął do sprawy Bellę Watling, aby szanowanych ludzi narazić na dwuznaczną sytuację. Nie zasłużył więc ani na wdzięczność za uratowanie mężczyzn, ani na odpuszczenie mu dawnych grzechów.

Kobiety te, tak współczujące, tak dobre dla nieszczęśliwych, tak wytrzymałe w niedoli, potrafiły być nieubłagane jak istne furie w stosunku do renegatów, którzy przekroczyli choćby jeden drobny nakaz ich niepisanego kodeksu. Kodeks ten był bardzo prosty: cześć dla Konfederacji, szacunek dla jej weteranów, wierność tradycji, duma z ubóstwa, otwarte serca dla przyjaciół i nienawiść do Jankesów — to były jego wytyczne. Scarlett i Rett przekroczyli wszystkie te przepisy.

Mężczyźni, których Rett uratował, z przyzwoitości i pewnego rodzaju wdzięczności starali się ułagodzić swoje żony, ale się to im wcale nie udawało. Przed ogłoszeniem swoich zaręczyn Rett i Scarlett byli już bardzo niepopularni, chociaż ludzie okazywali im pozorną uprzejmość. Teraz nawet uprzejmość ustała. Wiadomość o ich zamierzonym małżeństwie podziałała wstrząsająco, jak wybuch, a kiedy potoczyła się przez miasto, nawet najłagodniejsze kobiety bez ogródek mówiły, co sobie o tym myślą. Wychodzić za mąż w rok zaledwie po śmierci Franka, którego śmierci była przyczyną! I wychodzić za Butlera, który był właścicielem domu publicznego, bratał się z Jankesami i Carpetbaggerami i wspólnie z nimi obmyślał złodziejstwa! Oddzielnie można ich było jeszcze tolerować — bezwstydne jednak połączenie się Scarlett i Retta było już nie do zniesienia. Podli i ordynarni! Należałoby ich wypędzić z miasta!

Atlanta okazałaby może większą pobłażliwość, gdyby wiadomość o zaręczynach Retta i Scarlett nie rozeszła się w czasie, kiedy przyjaciele Retta, Scallawagowie i Carpetbaggerzy, stali się dla szanujących się obywateli bardziej nienawistni niż kiedykolwiek przedtem. Powszechna nienawiść do Jankesów i ich sprzymierzeńców dosięgła wtedy szczytowego punktu, bo właśnie padła ostatnia twierdza oporu Georgii przeciw władzy Jankesów. Długa kampania, rozpoczęta, kiedy Sherman przed czterema laty zaczął się posuwać od Daltonu na południe, osiągnęła wreszcie zenit: upokorzenie stanu było zupełne.

Minęły właśnie trzy lata rekonstrukcji: były to trzy lata terroru. Wszyscy uważali, że sytuacja jest beznadziejna. Teraz Georgia miała się przekonać, że najgorsze czasy rekonstrukcji dopiero się rozpoczynają.

Przez trzy lata rząd federalny starał się narzucać Georgii obce idee i obce prawa, co przy pomocy armii, która dbała o wykonanie rozporządzeń, udawało się w dużej mierze. Nowy ustrój trzymał się wyłącznie dzięki okupacji wojskowej. Stan wbrew swojej woli znajdował się pod panowaniem Jankesów. Przywódcy polityczni Georgii nie przestawali walczyć o prawo stanu do rządzenia się wedle własnych przekonań. Nie przestawali przeciwstawiać się wysiłkom zmierzającym do ugięcia ich karków i uznania dyktanda Waszyngtonu za konstytucję stanową.

Oficjalnie rząd Georgii wcale nie skapitulował, opór był jednak płonny, bo z góry skazany na niepowodzenie. Była to walka, której wygrać nie było można, ale tocząc ją odsuwało się przynajmniej to, co nieuniknione. W wielu stanach Południa Murzyni analfabeci już zajmowali wysokie urzędy publiczne, w samorządach zaś niejednokrotnie mieli większość Murzyni i Carpetbaggerzy. Georgia jednak, zawdzięczając upartemu oporowi, uniknęła jak dotąd tego ostatecznego poniżenia. Przez znaczny okres nowych trzech lat kongres stanu pozostawał pod kontrolą białych i demokratów. Wobec rozsiania wojsk jankeskich wszędzie, członkowie rządu nie mogli robić nic więcej jak protestować i stawiać opór. Władza ich była nominalna, ale utrzymali przynajmniej przy sterze rządów stanowych rodowitych Georgijczyków. Teraz padła nawet i ta ostatnia twierdza.

Podobnie jak przed czterema laty odparto krok po kroku Johnstona i jego ludzi z Daltonu do Atlanty, tak poczynając od r. 1865 zaczęto zewsząd wypierać demokratów georgijskich. Wpływy rządu federalnego na interesy stanu i na życie jego obywateli wzrastały stale. Gwałt następował za gwałtem, a coraz liczniejsze zarządzenia wojskowe z dnia na dzień podważały władzę cywilną. Wreszcie kiedy Georgia stała się właściwie prowincją pod zarządem władz wojskowych, dopuszczono do urn wyborczych Murzynów, mimo że konstytucja stanowa na to nie zezwalała.

Na tydzień przed ogłoszeniem zaręczyn Retta i Scarlett odbyły się wybory gubernatora. Demokraci Południa wysunęli kandydaturę generała Johna B. Gordona, jednego z najbardziej ukochanych i poważanych obywateli Georgii. Kontrkandydatem jego był republikanin nazwiskiem Bullock. Wybory trwały trzy dni zamiast jednego. Murzyni wysyłani byli całymi pociągami z miasta do miasta i po drodze głosowali w każdym obwodzie. Bullock oczywiście przeszedł.

Jeżeli podbój Georgii przez Shermana wywołał rozgoryczenie, ostateczne zdobycie władzy nad stanem przez Carpetbaggerów, Jankesów i Murzynów spowodowało natężenie nienawiści takie, jakiego stan nigdy przedtem nie doświadczał. Atlanta i Georgia kipiały i wrzały.

Rett Butler zaś był przyjacielem znienawidzonego Bullocka!

Scarlett z właściwą sobie obojętnością na sprawy nie dotyczące jej bezpośrednio ledwie zauważyła, że odbyły się wybory. Rett nie brał w nich udziału, a jego stosunki z Jankesami były takie same jak poprzednio. To nie zmieniło jednak faktu, że był Scallawagiem i przyjacielem Bullocka. Po zawarciu z nim małżeństwa Scarlett także przejdzie na stronę Scallawagów. Atlanta nie była teraz w nastroju pobłażania czy życzliwości dla nikogo z obozu nieprzyjaciela, więc na wiadomość o zaręczynach Scarlett z Rettem miasto przypomniało sobie o młodej parze wszystko złe, a zapomniało o dobrym.

Scarlett wiedziała, że miasto jest wzburzone, nie doceniała jednak siły tego oburzenia, aż pani Merriweather, przynaglona przez swój komitet kościelny, podjęła się porozmawiać z nią w imię jej własnego dobra.

— Ponieważ twoja droga matka nie żyje, a panna Pitty nie będąc mężatką nie ma kwalifikacji do... no, do rozmawiania z tobą na taki temat, uważam, że to ja powinnam cię ostrzec, Scarlett. Kapitan Butler nie jest odpowiednią partią dla kobiety z dobrej rodziny. Jest...

— Potrafił jednak uratować dziadka Merriweathera, a także pani siostrzeńca!

Pani Merriweather nadęła się w milczeniu. Zaledwie przed godziną miała irytującą rozmowę z dziadkiem. Stary pan powiedział, że chyba nie bardzo jej zależy na jego skórze, skoro nie ma dla Retta Butlera żadnej wdzięczności, nawet jeśli jest Scallawagiem i łotrem.

— Zrobił to tylko dlatego, Scarlett, żeby nam wypłatać figla, żeby nas upokorzyć w oczach Jankesów — ciągnęła pani Merriweather po chwili. — Wiesz równie dobrze jak ja, że ten człowiek jest łajdakiem. Zawsze nim był, a teraz stał się zupełnie niemożliwy. Po prostu nie należy do ludzi, których się przyjmuje w przyzwoitych domach.

— Nie? To dziwne, pani Merriweather. W pani salonie bywał jednak podczas wojny dość często. I podarował Maybelle biały atłas na suknię, prawda? Czy też mnie może pamięć zawodzi?

— Podczas wojny sprawy miały się zupełnie inaczej, przyzwoici ludzie łączyli się z wielu osobami nie bardzo... Wszystko to robione było dla Sprawy i dlatego bardzo właściwe. Nie. możesz przecież myśleć poważnie o poślubieniu człowieka, który nie był w wojsku i kpił z ludzi zaciągających się do armii?

— Przeciwnie, Rett był w wojsku. Był w wojsku przez osiem miesięcy. Przez cały czas ostatniej kampanii. Walczył pod Franklinem, a w czasie kapitulacji był w pułku generała Johnstona.

— Nie słyszałam o tym — rzekła pani Merriweather i miała taką minę, jak gdyby w to wcale nie wierzyła. — Ale nie był ranny — dodała z tryumfem.

— Podobnie jak wielu innych.

— Każdy, kto się liczy, był ranny. Przynajmniej ja nie znam nikogo, kto by nie był ranny.

Scarlett wpadła we wściekłość.

— Przypuszczam więc, że wszyscy mężczyźni, których pani znała, byli tak głupi, że nie wiedzieli, kiedy schronić się przed gradem kul. A teraz niech mi pani pozwoli powiedzieć sobie, co następuje — upoważniam panią także do powtórzenia tego pani wścibskim przyjaciółkom: wychodzę za mąż za kapitana Butlera i nie powstrzymałaby mnie od tego nawet świadomość, że walczył po stronie Jankesów.

Kiedy godna matrona wyszła z jej domu w czepku przekrzywionym z pasji, Scarlett wiedziała, że zamiast krytykującej znajomej ma teraz otwartego wroga. Nie przejęła się tym zbytnio. Nie dbała o to, co pani Merriweather powie i co pomyśli. Nie obchodziło jej niczyje zdanie z wyjątkiem zdania Mammy.

Scarlett zniosła spokojnie zemdlenie Pitty na wiadomość o jej zaręczynach i reakcję Ashleya, który nagle sposępniał i życząc jej szczęścia nie patrzył jej w oczy. Ubawiły ją trochę, a trochę rozzłościły listy od ciotki Pauliny i Eulali z Charlestonu, oszołomionych nowiną, zabraniających małżeństwa i przepowiadających, że to nie tylko podważy stanowisko towarzyskie Scarlett, ale i na nich odbije się niekorzystnie. Śmiała się nawet, kiedy Melania ze zmarszczonymi poważnie brwiami powiedziała jej szczerze: — Pewnie, że kapitan Butler jest daleko lepszy, niż ludzie przypuszczają, i w bardzo dobry i mądry sposób uratował Ashleya. Walczył także po stronie Konfederacji. Ale, Scarlett, czy nie wydaje ci się, że nie powinnaś się decydować tak szybko?

Nie, nie dbała o to wcale, co mówią wszyscy — z jedynym wyjątkiem Mammy. Słowa Mammy najbardziej ją rozzłościły i najwięcej ubodły.

— Patrzyłam, jak robiłaś rzeczy, które by zmartwiły panią Ellen, gdyby o nich wiedziała. I mnie one bardzo zasmucały. Ale to jest już najgorsze ze wszystkiego. Wyjść za mąż za człowieka z hołoty! Tak, powiedziałam: z hołoty! Nie mów mi, że pochodzi z dobrej rodziny. To nie stanowi żadnej różnicy. Hołota przychodzi z różnych sfer, a on jest z hołoty! Tak, Scarlett, widziałam, jak odbiłaś pana Karola Miss Honey, chociaż go wcale nie lubiłaś. I widziałam, jak własnej siostrze odebrałaś pana Franka. I nie otwierałam ust, kiedy robiłaś to wszystko, co robiłaś — kiedy sprzedawałaś marne drzewo jako dobre, opowiadałaś kłamstwa o innych panach, co handlują drzewem, jeździłaś sama i pokazywałaś się wyzwolonym Murzynom, sprowadziłaś śmierć na pana Franka i tak mało dawałaś do jedzenia tym biednym więźniom, że mało nie poumierali z głodu. Nie otwierałam ust, chociaż pani Ellen w Ziemi Obiecanej mówiła: „Mammy, Mammy! Źle pilnujesz mojego dziecka!” Tak, Scarlett, zniosłam to wszystko, ale tego nie zniosę. Dopóki ja żyję na świecie, nie wyjdziesz za mąż za byle kogo.

— Wyjdę, za kogo mi się podoba — rzekła Scarlett zimno. — Zdaje mi się, że się zapominasz, Mammy.

— Już najwyższy czas na to! Jeżeli ja nie powiem ci tego, co myślę, kto to zrobi?

— Mammy, zastanawiałam się nad tym długo i uważam, że najlepiej dla ciebie będzie, jeżeli wrócisz do Tary. Dam ci trochę pieniędzy i...

Mammy wyprostowała się z całą godnością, na jaką ją było stać.

— Ja jestem wolna, Scarlett. Nie możesz mnie posłać tam, gdzie nie będę chciała pojechać. A do Tary pojadę, jeżeli ty pojedziesz ze mną. Nie zostawię dziecka pani Ellen i nic na świecie nie zmusi mnie do wyjazdu. I nie opuszczę także wnuczków pani Ellen, aby je wychowywał byle jaki ojczym. Tu jestem i tu zostanę!

— Nie chcę, abyś w moim domu zachowywała się niegrzecznie w stosunku do kapitana Butlera. Wychodzę za niego, i to wszystko, co mam ci do powiedzenia.

— Ale ja mam ci jeszcze coś więcej do powiedzenia — odparła Mammy wolno i w jej starych, zmętniałych oczach pojawiły się wojownicze błyski. — Miałam zamiar nigdy tego nie powiedzieć nikomu z rodziny pani Ellen. Ale, Scarlett, teraz mnie słuchaj. Nie jesteś niczym więcej jak mułem w końskiej uprzęży. Można czyścić kopyta muła, szczotkować jego sierść, powiesić na jego grzbiecie mosiężne sprzączki i zaprząc go do pięknego powozu — mułem i tak zostanie. Nikogo nie oszuka. Z tobą jest tak samo. Masz jedwabne suknie i tartaki, sklep i pieniądze, udajesz pięknego konia, ale jesteś tylko mułem. I także nikogo nie możesz oszukać. I ten Butler tak samo: pochodzi z dobrej rodziny i taki jest gładki jak wyścigowy koń, ale jest jak ty: mułem w końskiej uprzęży.

Mammy rzuciła przenikliwe spojrzenie na swoją panią. Scarlett zaniemówiła; drżała z oburzenia.

— Skoro mówisz, że za niego wyjdziesz, zrobisz to, bo jesteś uparta jak twój ojciec. Ale pamiętaj, Scarlett, że ja nie odejdę. Zostanę tutaj i zniosę jeszcze i to.

Nie czekając na odpowiedź, Mammy odwróciła się i wyszła z pokoju; gdyby powiedziała: „Spotkamy się pod Filippi!” głos jej nie mógłby brzmieć bardziej złowróżbnie.

W Nowym Orleanie podczas podróży poślubnej Scarlett opowiedziała Rettowi o słowach Mammy. Ku oburzeniu jej i zdziwieniu roześmiał się słysząc zdanie o „mułach w końskiej uprzęży”.

— Nigdy dotąd nie słyszałem podobnie głębokiej prawdy wyrażonej tak zwięźle — powiedział. — Mammy jest mądrą osobą i jedną z niewielu, których zaufanie i życzliwość chciałbym pozyskać. Ale ponieważ jestem mułem, nie doczekam się z jej strony ani jednego, ani drugiego. Odmówiła nawet przyjęcia dziesięciu złotych dolarów, które jej w zapale dałem po ślubie. Znam bardzo mało osób, które by nie miękły na widok gotówki. Ona jednak popatrzyła mi tylko w oczy, podziękowała i powiedziała, że nie jest wyzwoloną Murzynką i że moich pieniędzy nie potrzebuje.

— Dlaczego ona tak się tym przejęła? Dlaczego wszyscy nie przestają o mnie gadać? To moja sprawa, za kogo wychodzę za mąż i ile razy to robię. Nigdy nie wtrącałam się w cudze sprawy. Dlaczego inni ludzie wtrącają się w moje?

— Moje złotko, ludzie potrafią prawie wszystko wybaczyć z wyjątkiem niewtrącania się w cudze sprawy. Ale dlaczego krzyczysz teraz jak oparzony kot? Powtarzałaś dość często, że nie dbasz o to, co ludzie o tobie mówią. Czemu nie dajesz dowodu tego? Wiesz dobrze, że narażałaś się niejednokrotnie na krytyki w drobnych sprawach, trudno więc, abyś uniknęła plotek w sprawie tak ważnej. Wiedziałaś, że będzie gadanie, kiedy wyjdziesz za takiego obwiesia jak ja. Gdybym był łajdakiem niskiego pochodzenia, i biednym, ludzie nie byliby tak wściekli. Bogaty jednak, znakomicie prosperujący drań — to jest oczywiście nie do wybaczenia.

— Choiałabym, abyś czasem bywał poważny.

— Ależ ja jestem poważny. To zawsze jest przykre dla ludzi czcigodnych, kiedy mniej czcigodnym powodzi się tak jak mnie. Nie martw się, Scarlett, powiedziałaś mi przecież kiedyś, że chcesz mieć dużo pieniędzy głównie dlatego, aby móc wszystkim na świecie powiedzieć, żeby poszli do diabła. Masz teraz doskonałą sposobność.

— Ależ to ty przecież byłeś tym, któremu przede wszystkim chciałam to powiedzieć — rzekła Scarlett i roześmiała się.

— Czy jeszcze i teraz masz na to ochotę?

— No już nie tak często jak dawniej.

— Ale mów mi to, ile razy zechcesz, jeśli ci to sprawia przyjemność.

— Nie sprawia mi szczególnej przyjemności — rzekła Scarlett i pochylając się pocałowała go niedbale. Ciemne jego oczy szybko przebiegły po jej twarzy wypatrując czegoś, czego nie znalazły. Roześmiał się krótko.

— Zapomnij o Atlancie. Zapomnij o tych starych plotkarach. Przywiozłem cię do Nowego Orleanu, abyś się rozerwała, i chcę, abyś się dobrze bawiła.

CZĘŚĆ PIĄTA

## ROZDZIAŁ XLVIII

Scarlett bawiła się w istocie doskonale, prawie tak dobrze jak owej ostatniej wiosny przed wojną. Nowy Orlean był dziwnym, czarownym miejscem i Scarlett używała życia z takim zapałem jak dożywotni więzień, którego ułaskawiono. Carpetbaggerzy łupili miasto, uczciwi ludzie tracili dachy nad głowami i nie wiedzieli, skąd wziąć na następny obiad — stanowisko gubernatora zajmował Murzyn. Ten jednak Nowy Orlean, który jej Rett pokazywał, był najweselszym miastem pod słońcem. Ludzie, których poznawała. mieli pieniędzy pod dostatkiem i nie mieli żadnych trosk. Rett przedstawił jej wiele pań, ładnych pań w barwnych sukniach, pań, które miały gładkie, nie noszące śladów ciężkiej pracy ręce — które śmiały się ze wszystkiego i nigdy nie rozmawiały o nudnych poważ­nych rzeczach czy ciężkich czasach. A nowo poznani mężczyźni — jacyż byli interesujący! I jak różni od mężczyzn w Atlancie — wal­czyli o to, który ma z nią tańczyć pierwszy, i prawili jej wyszukane komplementy, jak gdyby była młodą dziewczyną.

Mężczyźni ci mieli, podobnie jak Rett, wzrok bezwzględny i twardy. Oczy ich były zawsze czujne, jak oczy ludzi tak przywy­kłych do niebezpieczeństwa, że nigdy nie potrafią o nim zapom­nieć. Nie mieli przeszłości ani przyszłości i grzecznie zniechęcali Scarlett do indagacji, kiedy dla podtrzymania rozmowy pytała ich, czym się zajmowali i gdzie mieszkali przed osiedleniem się w Nowym Orleanie. Już choćby i to było dziwne, bo w Atlancie każdy szanujący się nowo przybyły spiesznie przedstawiał swoje listy polecające. Opowiadał z dumą o swoim domu i rodzinie i starał się rozwikłać kręte labirynty powinowactwa, które łączyło wszystkich prawie mieszkańców Południa.

Ci mężczyźni jednak byli milczący i słowa dobierali ostrożnie. Czasem, kiedy Rett był z nimi sam, a Scarlett siedziała w sąsiednim pokoju, słyszała ich śmiechy i nic jej nie mówiące fragmenty rozmów, urywki słów, tajemnicze nazwy: Kuba i Nassau w czasach blokady, gorączka złota, przywłaszczanie sobie działek, przemyt broni i korsarstwo, Nicaragua, William Walker i jego śmierć pod ścianą w Truxillo. Pewnego razu nagłe jej wejście przerwało rozmowę o losach bandy gerylasów Quantrilla, dosłyszała też nazwiska Franka i Jesse Jamesów.

Wszyscy ci panowie mieli jednak doskonałe maniery, byli pięknie ubrani i pełni dla niej szczerego podziwu, więc mało Scarlett obchodziło, że chcieli żyć wyłącznie teraźniejszością. Ważne dla niej było tylko to, że byli przyjaciółmi Retta, że mieli duże domy i piękne powozy, że obwozili ją z Rettem po mieście, zapraszali na kolacje i urządzali na ich cześć przyjęcia. Scarlett lubiła ich bardzo. Rett był ubawiony, kiedy mu o tym powiedziała.

— Przypuszczałem, że ci się spodobają — powiedział i roześmiał się.

— Czemu nie? — śmiech jego zbudził w niej jak zwykle podejrzenia.

— To wszystko ludzie pośledniejszego gatunku, parszywe owce, łajdacy. Są to awanturnicy lub arystokraci między Carpetbaggerami. Dorobili się pieniędzy na spekulacji żywnością, podobnie jak twój kochający małżonek na wątpliwych dostawach rządowych lub też w inny niezbyt czysty sposób.

— Nie wierzę w to. Chcesz mi dokuczyć. To przemili ludzie...

— Najlepsi ludzie w tym mieście przymierają głodem — rzekł Rett. — I żyją z godnością w norach, w których na pewno nie zostałbym przyjęty. Widzisz, moja droga, podczas wojny byłem tutaj zaangażowany w pewne niecne sprawki, a ludzie ci mają doskonałą pamięć... Scarlett, jesteś dla mnie źródłem nieustannej radości. Zawsze umiesz sobie dobrać nieodpowiednich ludzi i nieodpowiednie rzeczy.

— Ale to przecież są twoi przyjaciele?

— Tak, ale ja lubię łajdaków. Wczesną młodość spędziłem jako szuler na parowcu rzecznym, rozumiem więc takich ludzi. Nie mam jednak złudzeń co do nich. Podczas gdy ty — znowu się zaśmiał — nie masz żadnego instynktu, jeżeli chodzi o ludzi, nie rozróżniasz między tym, co niskie i co wielkie. Czasem myślę, że jedynymi wielkimi damami, które znałaś, były twoja matka i pani Mela, chociaż żadna z nich nie wywarła na ciebie większego wpływu.

— Mela! ależ ona jest brzydka jak rozdeptany trzewik, ma zawsze wymięte suknie i nie potrafi dwóch słów śmiało powiedzieć!

— Zaoszczędź mi tego wybuchu zazdrości, Scarlett. Piękność nie czyni z kobiety damy ani suknie- wielkiej damy.

— Rzeczywiście? Czekaj tylko, Recie Butler, a przekonam cię! Teraz, kiedy mam... kiedy mamy pieniądze, stanę się największą damą, jaką kiedykolwiek znałeś.

— Będę czekał cierpliwie — powiedział.

Bardziej interesujące od świeżo poznanych ludzi były suknie, które jej Rett kupował doglądając sam wyboru koloru, materiałów i fasonów. Krynoliny wyszły już z mody, a nowe fasony były po prostu urocze: spódnice ściągnięte do dołu i udrapowane na turniurach przybieranych pękami kwiatów, kokardami lub falbanami z koronki. Scarlett wspominała skromne krynolinki z lat wojennych i czuła się trochę zakłopotana nosząc nowe suknie, bardzo uwydatniające jej kształty. A te rozkoszne małe czepeczki, które nie były właściwie czepkami, ale płaskimi, nasuniętymi na jedno oko talerzykami, przystrojonymi owocami, piórami, kwiatami lub wstążkami! (Że też Rett był taki niemądry i spalił jej sztuczny warkocz, który kupił, aby powiększyć węzeł gładko zaczesanych włosów, mających wystawać spod kapelusza!). A delikatna, w klasztorach szyta bielizna! Jaka była śliczna, ile kompletów sobie nakupiła! Miała koszulki, nocne koszule i halki z najcieńszego płótna, brzeżone ślicznym haftem i malutkimi groszkami. I atłasowe pantofelki, które jej Rett sam kupował! Z obcasami na trzy cale i wielkimi błyszczącymi klamrami ze strasu. I pończochy jedwabne, całe tuziny, bez stóp bawełnianych! Cóż za bogactwo!

Kupowała z zachłannością podarki dla rodziny: puszyste szczenię św. Bernarda dla Wade'a, który od dawna o takim piesku marzył, perskiego kota dla Beau, bransoletkę z korali dla małej Elli, ciężki naszyjnik z selenitów dla ciotki Pitty, wydanie zbiorowe Szekspira dla Melanii i Ashleya, dla wuja Piotra wytworną liberię z wysokim cylindrem, materiały na suknie dla Dilcey i kucharki, kosztowne prezenty dla wszystkich w Tarze.

— A co kupiłaś dla Mammy? — zapytał Rett patrząc na stertę zakupów zawalającą łóżka hotelowe i wynosząc pieska i kotka do garderoby.

— Nic. Zachowała się wstrętnie. Dlaczego miałabym jej kupić prezent, skoro nazwała nas „mułami”?

— Dlaczego tak nie lubisz prawdy, moje złotko? Powinnaś coś kupić dla Mammy. Pękłoby jej serce, gdybyś jej nic nie przywiozła, a serca takie jak jej są zbyt cenne, aby je łamać.

— Nie przywiozę jej nic. Nie zasłużyła na to.

— Wobec tego ja jej coś kupię. Przypominam sobie, że moja piastunka zawsze sobie życzyła mieć, kiedy pójdzie do Nieba, halkę taftową tak sztywną, aby nie można jej było złożyć, i tak szeleszczącą, aby Pan Bóg myślał, że zrobiona jest ze skrzydeł anielskich. Kupię dla Mammy czerwoną taftę i każę jej z tego uszyć elegancką halkę.

— Nie przyjmie nic od ciebie. Raczej skona, niż ją włoży.

— Nie wątpię o tym. Ale mimo to dam jej tę halkę.

Sklepy w Nowym Orleanie były bogate i interesujące, a robienie zakupów w towarzystwie Retta stanowiło przeżycie, tak samo zresztą jak jadanie z nim — bo wiedział, co zamawiać, i znał się na kuchni. Wina, likiery i szampan w Nowym Orleanie były dla Scarlett podniecającą nowością, ponieważ dotąd znała tylko domowe wino porzeczkowe i koniak ,,od omdleń” ciotki Pitty. Jakie jednak Rett zamawiał potrawy! Najlepsze bodaj ze wszystkiego w Nowym Orleanie było jedzenie. Przypominając sobie czasy głodowania w Tarze i późniejszy niedostatek, Scarlett czuła, że nigdy się dość nie naje tych doskonałych potraw: zupy żółwiowej i krewetek, gołąbków w winie, ostryg w cieście ze śmietanowym sosem, pieczarek i wątróbek indyczych, ryb smażonych wymyślnie w przesyconym oliwą papierze. Nigdy nie mogła zaspokoić apetytu, bo ilekroć przypominała sobie o suszonej fasoli i bulwach w Tarze, czuła potrzebę nasycenia się na nowo kreolskimi smakołykami.

— Jesz, jak gdyby każdy posiłek był ostatni w twoim życiu — powiedział kiedyś Rett. — Nie skrob talerza, Scarlett. W kuchni z pewnością jest jeszcze dużo jedzenia. Wystarczy tylko poprosić kelnera. Jeżeli nie przestaniesz tak się objadać, staniesz się tłusta jak Kubanki i zmuszony będę rozwieść się z tobą.

W odpowiedzi pokazała mu tylko język i zamówiła jeszcze jednego ptysia z kremem, polanego czekoladą.

Jak przyjemnie było wydawać tyle pieniędzy; ile człowiek chciał, nie liczyć się z groszem i nie myśleć o tym, że należałoby zaoszczędzić na podatki czy kupno mułów. Jak przyjemnie było przebywać między ludźmi, którzy byli weseli i bogaci, a nie dostojnie ubodzy jak znajomi w Atlancie. Jak przyjemnie było nosić szeleszczące suknie brokatelowe, które obciskały stan, odsłaniały szyję, ramiona oraz dość znacznie piersi, i wiedzieć, że mężczyźni są pełni zachwytu. I jeść wszystko, co się podoba, bez obawy nagany, że dama tak się nie zachowuje. I pić szampana, ile dusza zapragnie. Kiedy pierwszy raz się wstawiła, zawstydzona była budząc się następnego dnia ze straszną migreną i przypominając sobie, że w drodze do hotelu, jadąc otwartym powozem przez ulice miasta, śpiewała „Niebieski Sztandar”. Nigdy dotąd nie spotkała wstawionej damy, a jedyną pijaną kobietą, jaką widziała, była Bella Watling w dniu upadku Atlanty. Wstydziła się spojrzeć Rettowi w oczy, tak bardzo się czuła upokorzona, ale zdarzenie to zdawało się go tylko bawić. Wszystko, co robiła, bawiło go bardzo, jak gdyby była figlującą kotką.

Przyjemnie było pokazywać się u boku Retta, ponieważ był bardzo przystojny. Dziwnym zbiegiem okoliczności nigdy dotąd nie myślała o jego urodzie, bo w Atlancie wszyscy zanadto byli zajęci jego wadami, by zwracać uwagę na jego wygląd. Tutaj jednak, w Nowym Orleanie, spostrzegła, jak śledzą za nim oczy innych kobiet i jak kobiety okazują zmieszanie, gdy pochyla się nad ich dłońmi. Świadomość, że inne panie interesują się jej mężem i prawdopodobnie zazdroszczą jej go, sprawiła, iż zaczęła być dumna z pokazywania się u jego boku.

„Bardzo z nas ładna para” — myślała z zadowoleniem.

Tak, Rett miał słuszność przepowiadając, że małżeństwo może być sprawą bardzo przyjemną. Nie tylko było przyjemne, ale i pouczające. Dziwne to, ponieważ Scarlett była przekonana, że życie nie może jej już niczego więcej nauczyć. Teraz czuła się jak dziecko, które co dzień odkrywa nowe światy.

Przede wszystkim dowiedziała się, że małżeństwo z Rettem jest czymś zupełnie innym niż małżeństwo z Karolem czy Frankiem. Tamci dwaj szanowali ją i bali się wybuchów jej złości. Zabiegali o jej względy, którymi darzyła ich, gdy miała ochotę. Rett nie bał się jej ani, jak czasem myślała, zbytnio jej nie szanował. Robił wszystko, na co miał ochotę, a jeżeli to nie przypadło Scarlett do smaku, śmiał się z niej jeszcze. Nie kochała go, ale musiała przyznać, że był bardzo interesujący we współżyciu. Najciekawsze w nim było to, że nawet podczas wybuchów namiętności — czasem zaprawionej okrucieństwem, czasem denerwującą ironią — zdawał się trzymać zawsze na wodzy, zawsze kontrolować swoje uczucia.

„To pewnie dlatego, że mnie nie kocha naprawdę — myślała i zadowalała się takim stanem rzeczy. — Nawet nie chciałabym wcale, aby tracił panowanie nad sobą”. A jednak myśl o takiej możliwości bardzo podniecała jej ciekawość.

Żyjąc z Rettem poznała go z wielu nowych stron, chociaż myślała, że zna go bardzo dobrze. Dowiedziała się, że głos jego mógł być jedwabisty jak sierść kota w jednej chwili, a szorstki i nabrzmiały przekleństwami w następnej. Potrafił wspominać szczerze i z widocznym uznaniem dzieje odwagi, honoru, cnoty i miłości ludzi, których spotykał w swoim urozmaiconym życiu, a zaraz potem rozpustne i cyniczne anegdotki. Scarlett wiedziała, że mąż nie powinien takich rzeczy opowiadać swej żonie, były jednak zajmujące i przemawiały do jakiejś pierwotnej i przyziemnej strony jej natury. Na krótką chwilę potrafił być gorącym, nawet czułym kochankiem, i prawie natychmiast dokuczliwym kpiarzem, który podżegał jej wybuchowy temperament, wywoływał krótkie spięcie i zdawał się nim cieszyć. Przekonała się, że komplementy jego miały zawsze dwa ostrza, a najczulsze wylewy brzmiały podejrzanie. Podczas tych tygodni w Nowym Orleanie dowiedziała się o Recie wszystkiego właściwie poza tym, jakim jest naprawdę.

Niekiedy rano zwalniał służącą, przynosił jej sam śniadanie do pokoju i karmił ją, jak gdyby była dzieckiem, potem brał od niej szczotkę i szczotkował jej długie ciemne włosy, aż trzeszczały. A w inne dni wyrywał ją bezlitośnie z głębokiego snu, ściągając z niej kołdrę i łechcząc w gołe stopy. Czasem słuchał z zainteresowaniem szczegółów jej transakcji i chwalił jej spryt, a kiedy indziej nazywał jej wątpliwe interesy zdzierstwem, złodziejstwem i rabunkiem. Zabierał ją do teatru i zanudzał szeptami, że Bóg prawdopodobnie nie pochwala takich rozrywek — i do kościołów, gdzie półgłosem opowiadał jej śmieszne dowcipy, a potem ganił ją, gdy się śmiała. Zachęcał ją do głośnego wypowiadania prawdy, do błyskotliwych i ryzykownych uwag. Nauczyła się od niego lotnych słówek i złośliwości i używała ich często, bo dawało jej to pewnego rodzaju przewagę nad innymi ludźmi. Nie miała jednak humoru, który łagodził jego złośliwość, ani charakterystycznego dla Retta uśmiechu, którym szydził zarówno z siebie, jak z innych.

Rett umożliwił jej zabawę, a prawie już nie umiała się bawić. Życie było przecież poważne i gorzkie. Sam umiał się bawić, więc i ją ciągnął za sobą. Nigdy jednak nie bawił się jak chłopiec; był mężczyzną i nigdy nie pozwalał jej o tym zapominać. Nie mogła patrzeć na niego z góry, z wyżyn kobiecej przewagi, ani uśmiechać się lekceważąco, jak zwykle kobiety, gdy kpią z dziwactw mężczyzn, którzy w duszy pozostali chłopcami.

Złościło ją to trochę, gdy o tym myślała. Byłoby przyjemnie móc okazać Rettowi swoją wyższość. Wszystkich innych mężczyzn, których znała, mogła była skwitować na wpół pogardliwym określeniem: „Jaki to dzieciak!” — ojca swego, braci Tarletonów z ich zamiłowaniem do figlów, małych Fontaine'ów z ich dziecinnymi napadami pasji, Karola, Franka, wszystkich mężczyzn, którzy ją adorowali podczas wojny — wszystkich właściwie, z wyjątkiem Ashleya. Tylko Ashley i Rett wymykali się spod jej rozumienia i władzy, bo obydwaj byli dorośli i brakło im cech chłopięcych.

Nie rozumiała Retta ani nie starała się go zrozumieć, chociaż pewne rzeczy zastanawiały ją czasem. Zwykł na przykład patrzeć na nią dziwnie, gdy przypuszczał, że tego nie widzi. Odwracając się szybko dostrzegała, że obserwuje ją czujnym, bacznym, wyczekującym spojrzeniem.

— Dlaczego patrzysz na mnie w ten sposób? — zapytała raz ze złością. — Jak kot na mysią norę!

Twarz zmieniła mu się jednak szybko i tylko się roześmiał. Wkrótce Scarlett zapomniała i nie myślała więcej ani o tym, ani o innych cechach jego charakteru. Był zbyt nieobliczalny, aby sobie nim głowę zawracać, a życie było bardzo przyjemne — jak długo nie myślała o Ashleyu.

Rett zanadto ją pochłaniał, aby mogła często marzyć o Ashleyu. W dzień Ashley rzadko zajmował jej myśli, ale nocą, kiedy zmęczona była tańcem albo kręciło jej się w głowie od nadmiaru szampana — zaczynała go wspominać. Często, kiedy senna leżała w ramionach Retta przy padającym na łóżko świetle księżyca, myślała, jak piękne byłoby życie, gdyby to ramiona Ashleya obejmowały ją tak mocno, gdyby to Ashley zakrywał sobie jej włosami twarz i omotywał szyję.

Pewnego razu myśląc o tym westchnęła i odwróciła głowę w stronę okna. Po chwili mocne ramię pod jej szyją stwardniało jak stal i w ciszy rozległ się głos Retta:

— Niech Bóg potępi na wieki twoją kłamliwą duszę!

Wstał, ubrał się i wyszedł z pokoju mimo jej zdumionych protestów i pytań. Zjawił się następnego ranka, gdy jadła śniadanie, potargany, pijany w sztok i w najzłośliwszym z nastrojów i ani jej nie przeprosił, ani nie wytłumaczył swojej nieobecności.

Scarlett nie pytała go o nic i była bardzo chłodna, jak przystało obrażonej małżonce, a skończywszy śniadanie ubrała się pod jego nalanym krwią spojrzeniem i wyszła za sprawunkami. Po powrocie nie zastała go; przyszedł dopiero w porze kolacji.

Jedli w zupełnym milczeniu i humor Scarlett stawał się coraz gorszy, ponieważ był to ich ostatni wieczór w Nowym Orleanie. Chciała pożegnać się z krabami, a nie mogła jeść pod spojrzeniem Retta. Mimo to zjadła sporego kraba i wypiła dość dużo szampana. To właśnie połączenie przyczyniło się może do nawrotu jej koszmarnego snu, ponieważ zbudziła się z płaczem, zlana zimnym potem. Znowu była w opustoszałej Tarze. Matka nie żyła, a z nią odeszła jej siła i mądrość. Na całym świecie nie było nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić, komu mogłaby zaufać. Ścigało ją coś strasznego, biegła i biegła. Serce tłukło jej się w piersiach, biegła w gęstej mgle, krzycząc, ślepo szukając niewiadomej, nieznanej, bezpiecznej przystani, która była gdzieś blisko.

Gdy się obudziła, Rett pochylał się nad nią. Bez słowa wziął ją na ręce jak małe dziecko i trzymał mocno przy sobie, twarde jego mięśnie krzepiły ją, a szept nieartykułowany pocieszał, aż wreszcie ustały jej łkania.

— Och, Rett, było mi tak zimno, byłam głodna i zmęczona i nie mogłam „tego” odszukać. Biegłam we mgle, biegłam i nie mogłam znaleźć.

— Czego znaleźć, złotko?

— Nie wiem. Chciałabym wiedzieć.

— Czy to twój dawny sen?

— Ach tak!

Posadził ją łagodnie na łóżku, poszperał w ciemności i zapalił świecę. W słabym świetle twarz jego o nabiegłych krwią oczach i ostrych rysach wydała się Scarlett niezbadana jak kamień. Koszula jego, odpięta do pasa, odsłaniała brązową pierś, pokrytą gęstym czarnym włosem. Scarlett, ciągle jeszcze drżąc ze strachu, pomyślała sobie, że pierś ta jest silna i nieustępliwa, i wyszeptała: — Przytul mnie do siebie, Rett.

— Kochanie moje! — powiedział szybko i biorąc ją znowu na ręce usiadł w dużym fotelu, i mocno przycisnął do siebie.

— Och, Rett, to takie straszne, kiedy człowiek jest głodny.

— Wyobrażam sobie, że to straszne, jeżeli śni się o głodzie po obiedzie z siedmiu dań i zjedzeniu olbrzymiego kraba. — Uśmiechnął się, ale wyraz oczu miał łagodny.

— Och, Rett, biegnę i biegnę, gonię za czymś, a nie wiem za czym. Zawsze się to kryje we mgle. Wiem, że gdybym mogła to znaleźć, byłabym po wsze czasy bezpieczna i nigdy już głodna ani zziębnięta.

— Czy to osoba, czy rzecz, której szukasz?

— Nie wiem. Nigdy o tym nie myślałam. Rett, jak ci się zdaje, czy przyśni mi się kiedyś, że schroniłam się w bezpieczne miejsce?

— Nie — powiedział przygładzając jej stargane włosy — nie przypuszczam. Sny nie bywają takie. Zdaje mi się jednak, że jeżeli przyzwyczaisz się do bezpieczeństwa, ciepła i sytości w życiu codziennym, przestanie cię ten sen nawiedzać. O to zaś już ja się postaram.

— Rett, jesteś bardzo dobry.

— Dziękuję ci za okruchy z twego stołu, Scarlett. Chciałbym, abyś sobie mówiła co rano, kiedy się obudzisz: „Nigdy już nie będę głodna i nic złego nie może mi się stać, dopóki Rett jest przy mnie, a rząd Stanów Zjednoczonych u władzy”.

— Rząd Stanów Zjednoczonych? — zapytała prostując się zdumiona, z nie otartymi łzami na policzkach.

— Dawne pieniądze konfederackie stały się wreszcie uczciwe. Ulokowałem większą ich część w pożyczce rządowej.

— Do stu tysięcy piorunów! — zawołała Scarlett zapominając o niedawnym przerażeniu. — Czy chcesz mi powiedzieć, żeś pożyczył swoje pieniądze Jankesom?

— Na doskonały procent.

— Wszystko mi jedno, choćby to było i sto procent! Musisz natychmiast sprzedać pożyczkę. Cóż to za pomysł, by Jankesi korzystali z twoich pieniędzy!

— A co mam z nimi zrobić? — zapytał z uśmiechem, zauważywszy, że oczy jej nie są już rozszerzone strachem.

— Ależ... ależ... kupić nieruchomości na Pięciu Znakach. Założyłabym się, że za pieniądze, jakie masz, mógłbyś wykupić wszystkie tereny.

— Dziękuję ci, nie chcę Pięciu Znaków. Teraz, gdy rząd Carpetbaggerów rzeczywiście zawładnął Georgią, nie można przewidzieć, co się może zdarzyć. Niczego bym nie zostawił na pastwę tych sępów, które opadły Georgię z Północy, Wschodu, Południa i Zachodu. Zadaję się z nimi, rozumiesz, bo powinien to robić każdy dobry Scallawag, ale im wcale nie ufam. I nie chcę lokować pieniędzy w nieruchomościach. Wolę papiery państwowe. Można je ukryć. Nieruchomości ukryć jest trudniej.

— Czy przypuszczasz... — zaczęła blednąc na myśl o tartakach i sklepie.

— Nie wiem. Nie miej tak wystraszonej miny, Scarlett. Nasz nowy uroczy gubernator jest moim dobrym znajomym. Tylko że czasy są teraz niepewne, nie chcę więc zbyt wiele pieniędzy lokować w nieruchomościach.

Przesunął Scarlett na jedno kolano i odchyliwszy się trochę do tyłu sięgnął po cygaro, które zapalił. Scarlett siedziała przebierając gołymi nogami, przyglądając się grze mięśni na szerokiej piersi Retta, zapomniawszy już zupełnie o strachach.

— Ale skoro już mowa o nieruchomościach, Scarlett — rzekł Rett — muszę ci powiedzieć, że zamierzam wybudować dom. Mogłaś nakłonić Franka do mieszkania w domu ciotki Pitty, mnie do tego nie namówisz. Nie zdaje mi się, abym mógł znosić jej zemdlenia trzy razy dziennie, ponadto zaś przypuszczam, że wuj Piotr zamordowałby mnie raczej, niż pozwolił mieszkać pod świętym dachem Hamiltonów. Panna Pitty może poprosić Indię Wilkes, aby z nią zamieszkała i odpędzała jej strachy. Po powrocie do Atlanty zamieszkamy w apartamencie w hotelu National, póki nie wykończą naszego domu. Przed wyjazdem pertraktowałem o ten duży plac na Brzoskwiniowej, obok domu Leydenów. Czy wiesz, o którym mówię?

— Och, Rett, jak to wspaniale! Bardzo chciałabym mieć własny dom. Duży dom.

— A więc wreszcie zgadzamy się co do czegoś. Jak by ci się podobał biały, otynkowany, z bramą z kutego żelaza, taki jak tutejsze domy kreolskie?

— Ale nie, Rett. Nie chcę nic staromodnego jak domy w Nowym Orleanie. Doskonale wiem, czego bym chciała. To rzecz najnowsza, ponieważ widziałam podobny dom na obrazku — poczekaj, gdzie? — w tygodniku Harpera, który przeglądałam. Był w stylu szwajcarskiego szaletu.

— Czego?

— Szwajcarskiego szaletu.

— Powiedz mi, jak się to pisze. Usłuchała.

— Aha — powiedział i podkręcił wąsa.

— Był śliczny. Miał wysoki mansardowy dach z balustradą na szczycie i dwie wieżyczki z kolorowych dachówek. A w wieżach były okna o czerwonych i granatowych szybach. To wyglądało bardzo wytwornie.

— Przypuszczam, że ganki miały rzeźbione poręcze?

— Tak.

— I że nad gankami były rzeźbione daszki?

— Tak. Musiałeś chyba widzieć podobny dom?

— Owszem, ale nie w Szwajcarii. Szwajcarzy to inteligentny naród i bardzo wrażliwy na piękno architektury. Czy rzeczywiście chcesz mieć taki właśnie dom?

— O tak!

— Miałem nadzieję, że pożycie ze mną poprawi ci smak. Dlaczego nie chcesz domu w stylu kreolskim albo kolonialnym, białego, z sześcioma kolumienkami?

— Mówię ci przecież, że nie chcę niczego, co by wyglądało staromodnie. A wewnątrz będziemy mieli czerwone tapety i czerwone aksamitne portiery na wszystkich rozsuwanych drzwiach i całe masy drogich orzechowych mebli, i duże miękkie dywany, i... Och, Rett, wszyscy zzielenieją z zazdrości, jak zobaczą nasz dom!

— Czy koniecznie trzeba, aby wszyscy ci zazdrościli? Jeżeli chcesz, mogą i zzielenieć. Ale, Scarlett, czy nie przyszło ci na myśl, że trochę w złym smaku urządzać sobie dom z takim przepychem, kiedy wszyscy dokoła są tak biedni?

— Chcę właśnie tego — rzekła z uporem. — Chcę, aby wszyscy, którzy byli dla mnie źli, zaczęli tego żałować. Będziemy wydawali wielkie przyjęcia, o których będzie mówiło całe miasto.

— Ale kto będzie na nie przychodził?

— Ależ wszyscy, oczywiście.

— Bardzo wątpię. Stara gwardia umiera, ale się nie poddaje.

— Och, Rett, co też ty mówisz! Ludzie są zawsze życzliwi, jeżeli ma się pieniądze.

— Nie południowcy. Pieniądzom spekulantów trudniej się przedostać do najlepszych salonów niż wielbłądowi przejść przez ucho igielne. Jeżeli zaś chodzi o Scallawagów — to jest o mnie i o ciebie, kochanie — powinniśmy być zadowoleni, jeżeli ludzie nie będą za nami spluwali Jeżeli jednak chcesz spróbować szczęścia, pomogę ci i z pewnością bardzo się będę cieszył, jak ci się powiedzie. Skoro zaś mówimy o pieniądzach, pozwól mi sobie pewne rzeczy wyjaśnić. Będziesz miała, ile chcesz, gotówki na dom i swoje fatałaszki. Jeżeli lubisz biżuterię, będę ci ją kupował, ale ja będę wszystko wybierał. Masz okropny gust, moje złotko. Dostaniesz wszystko, co zechcesz, dla Wade'a i Elli. A jeżeli Will Benteen będzie miał trudności z bawełną, chętnie mu pomogę i wesprę tę plantację, którą tak kochasz. To przyzwoicie, prawda?

— Rozumie się. Jesteś bardzo hojny.

— A teraz słuchaj uważnie. Ani centa nie dam na sklep i ani centa na twoje fabryki drewek.

— Och — rzekła Scarlett i posmutniała. Podczas miodowych tygodni myślała niejednokrotnie o tym, jakby poruszyć sprawę tysiąca dolarów, których potrzebowała na kupno placu dla rozszerzenia tartaku.

— Myślałam, że rzeczywiście jesteś wyrozumiały i nie dbasz o to, co ludzie mówią o moim prowadzeniu interesów, ale okazuje się, że nie różnisz się od innych mężczyzn... boisz się, aby ludzie nie powiedzieli, że to ja noszę spodnie w rodzinie.

— Nigdy nie będzie najmniejszej wątpliwości co do tego, kto nosi spodnie w rodzinie Butlerów — powiedział przeciągając. — Nie dbam o to, co mówią głupcy. Przeciwnie, jestem dość źle wychowany, żeby być dumny z zaradnej żony. Chcę, abyś dalej prowadziła tartaki i sklep. To twoje dzieci. Kiedy Wade dorośnie, nie będzie mu przyjemnie, że jest na utrzymaniu ojczyma, i wtedy on będzie mógł przejąć twoje interesy. Ja jednak nie dam na nie ani grosza.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie mam ochoty przyczyniać się do utrzymywania Ashleya Wilkesa.

— Czy już znowu zaczynasz?

— Nie. Pytałaś mnie jednak, więc musiałem ci wyjaśnić moje stanowisko. I jeszcze jedno. Nie przypuszczaj, że będziesz mogła fałszować księgi i przesadzać wysokości wydatków na dom i na suknie, aby móc te pieniądze obracać na kupno mułów lub nowych tartaków dla Ashleya. Będę sprawdzał wszystko i ograniczał twoje wydatki, jak zajdzie potrzeba, bo wiem, ile co kosztuje. Och, nie obrażaj się teraz. Będziesz mi posłuszna. Nie będę ci w najmniejszym stopniu ufał. Nie mogę ci wcale ufać, gdy chodzi o Tarę czy Ashleya. Nie mam nic przeciw Tarze. Ashleya jednak muszę wykreślić na zawsze. Popuszczam ci cugle, moje złotko, ale nie zapominaj, że nie rozstanę się z ostrogami i szpicrutą.

## ROZDZIAŁ XLIX

Pani Elsing nastawiła uszu w stronę hallu. Słysząc, że kroki Melanii ucichły w kuchni, gdzie szczękanie talerzy i dźwięczenie nakryć świadczyło o przygotowaniach do poczęstunku, odwróciła się cicho i powiedziała do pań, siedzących półkolem w salonie, z koszyczkami do szycia na kolanach:

— Jeżeli o mnie chodzi, nie mam zamiaru składać Scarlett wizyty ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości — powiedziała z większą jeszcze niż zwykle dystynkcją i chłodem.

Inne członkinie „Kółka szycia dla wdów i sierot Konfederacji” pośpiesznie odłożyły igły i zsunęły bliżej fotele na biegunach. Wszystkie damy umierały z niecierpliwości, aby porozmawiać o Scarlett i Recie, ale obecność Melanii wstrzymywała je od tego. Poprzedniego dnia młoda para wróciła z Nowego Orleanu i zajęła apartament w hotelu National.

— Hugon mówi, że powinnam im złożyć wizytę kurtuazyjną, bo kapitan Butler uratował mu życie — ciągnęła dalej pani Elsing. — A biedna Fanny trzyma jego stronę i mówi, że także ich odwiedzi. Powiedziałam jej: „Słuchaj, Fanny, gdyby nie Scarlett, Tomek żyłby jeszcze dotąd. Wizyta twoja będzie zniewagą wyrządzoną jego pamięci”. Fanny odpowiedziała mi niemądrze: „Mamo, nie składam wizyty Scarlett, tylko kapitanowi Butlerowi. Starał się, jak mógł, aby uratować Tomka, i nie powiodło mu się to nie z jego winy”.

— Dziwna jest ta młodzież — rzekła pani Merriweather. — Składać wizytę, rzeczywiście! — Obfita jej pierś wydęła się oburzeniem, bo przypomniała sobie, jak niegrzecznie Scarlett przyjęła jej rady dotyczące małżeństwa z Rettem. — Moja Maybelle jest równie głupia jak twoja Fanny. Mówi, że pójdą do niej z Rene z wizytą, ponieważ kapitan Butler uchronił Rene od szubienicy. Ja zaś mówię, że gdyby nie Scarlett, Rene nigdy nie znalazłby się w niebezpieczeństwie. Dziadek Merriweather także się do nich wybiera. Zachowuje się jak człowiek niespełna rozumu i powiada, że czuje dla tego łajdaka wdzięczność! Przysięgam, że od czasu, gdy mój teść był w domu tej kreatury, Belli Watling, zachowuje się w sposób niegodny! Wizytę złożyć, rzeczywiście! Ja z pewnością tego nie zrobię. Scarlett przez połączenie się z takim człowiekiem postawiła się poza nawiasem społeczeństwa. Był dość nieznośny, gdy spekulował podczas wojny i bogacił się na naszej nędzy, ale teraz, kiedy idzie ręka w rękę z Carpetbaggerami i Scallawagami i kiedy jest przyjacielem tego wstrętnego łotra, gubernatora Bullocka...! Wizytę mu składać, jeszcze czego!

Pani Bonnell westchnęła. Była pulchną ciemnowłosą kobietką o wesołej twarzy.

— Złożę im tylko jedną grzecznościową wizytę, Dolly. Nie jestem pewna, czy można ich potępiać. Słyszałam, że wszyscy mężczyźni, który owej nocy wzięli udział w najeździe, zamierzają ich odwiedzić, i uważam, że powinni to zrobić. Trudno mi jakoś uwierzyć, że Scarlett jest dzieckiem swojej matki. Chodziłam z Ellen Robillard do szkoły w Savannah. Nie było ładniejszej od niej dziewczyny — zawsze ją bardzo lubiłam. Gdybyż ojciec jej nie sprzeciwił się jej małżeństwu z Filipem Robillardem! Właściwie nie można było niczego temu chłopcu zarzucić. Przecież chłopcy muszą się wyszumieć. Ellen jednak postanowiła wyjść za starego O'Harę i Scarlett jest tego rezultatem! Mimo to uważam, że powinnam raz do niej pójść ze względu na pamięć Ellen.

— Sentymentalne bzdury! — warknęła pani Merriweather z przekonaniem. — Kitty, czy rzeczywiście chcesz złożyć wizytę kobiecie, która wyszła za mąż ledwo w rok po śmierci męża? Kobiecie...

— Przecież to właśnie ona zabiła pana Kennedy'ego — przerwała India. Głos jej był chłodny i cierpki. Ilekroć myślała o Scarlett, trudno jej było zdobyć się na uprzejmość, bo stale, stale przypominała sobie Stuarta Tarletona. — I zawsze mi się wydawało, że jeszcze przed śmiercią pana Kennedy'ego łączyło ją z Butlerem więcej, niż ludzie podejrzewali.

Zanim panie mogły otrząsnąć się ze zdumienia, że niezamężna panna ośmiela się wypowiadać tego rodzaju przypuszczenie, Melania stanęła w drzwiach. Tak były pochłonięte plotkami, że nie usłyszały lekkich jej kroków, i teraz, widząc przed sobą gospodynię domu, wyglądały jak niesforne uczennice, przyłapane przez nauczycielkę na gorącym uczynku. Ze zmieszaniem ich łączyła się konsternacja z powodu nagłej zmiany w twarzy Melanii. Była zaczerwieniona z oburzenia, łagodne jej oczy rzucały płomienie, nozdrza drżały. Nikt dotąd nie widział Melanii w złości. Żadna z pań nie przypuszczała, że w ogóle zdolna jest się gniewać. Wszystkie ją kochały, ale uważały ją za najłagodniejszą, najbardziej uległą młodą kobietę, pełną szacunku dla starszych i nie mającą nigdy własnego zdania.

— Indio, jak śmiesz tak mówić! — zawołała cichym, drżącym głosem. — Dokąd jeszcze zawiedzie cię twoja zazdrość? Wstydziłabyś się!

India pobladła, ale głowę trzymała wysoko.

— Nie cofam niczego — powiedziała krótko. Ale w duszy burzyła się.

„Czyżbym naprawdę była zazdrosna?” — pomyślała. Ale czy nie miała powodu do zazdrości o Scarlett z powodu Stuarta Tarletona i Karola, odbitego Honey? Czy nie miała powodu jej nienawidzić, zwłaszcza teraz, kiedy podejrzewała, że Scarlett zdołała w jakiś sposób usidlić Ashleya? Myślała: „Mogłabym ci niejedno opowiedzieć o Ashleyu i twojej kochanej Scarlett!” Rozdarta była między chęcią osłonięcia Ashleya milczeniem a wyplątania go z sideł Scarlett przez podzielenie się swoimi podejrzeniami z Melanią i całym światem. To zmusiłoby Scarlett do zrezygnowania z Ashleya, jeżeli miała jakieś w stosunku do niego zamiary. Teraz jednak chwila była nieodpowiednia. Nie miała żadnych dowodów, jedynie podejrzenie.

— Nie cofam niczego — powtórzyła.

— A więc doskonale się składa, że nie mieszkam już pod twoim dachem — rzekła Melania i słowa jej zabrzmiały lodowato.

India porwała się na nogi, a krew zalewała jej bladą twarz.

— Melanio, ty, moja bratowa, nie poróżnisz się ze mną o tę flirciarę...

— Scarlett jest także moją bratową — rzekła Melania patrząc Indii ostro w oczy, jak gdyby była dla niej obca. — I jest mi droższa, niż gdyby była moją rodzoną siostrą. Możliwe, że ty nie pamiętasz o dobrodziejstwach, jakich od niej doznałam, ja jednak o nich nie zapominam. Scarlett została ze mną w Atlancie podczas oblężenia, mimo że mogła pojechać do domu, bo nawet ciotka Pitty uciekła do Macon. Była przy urodzeniu mego dziecka, gdy Jankesi dochodzili do Atlanty, i wzięła mnie i Beau w tę straszliwą podróż do Tary, chociaż mogła była zostawić mnie w szpitalu na pastwę Jankesów. Pielęgnowała mnie i żywiła, mimo że była wyczerpana i sama nie miała co jeść. Miałam najlepszy materac w Tarze, ponieważ byłam chora i słaba. Gdy wstałam, dostałam jedyną parę całych butów. Ty możesz nie pamiętać tego wszystkiego, Indio, ja muszę. A kiedy Ashley wrócił do domu chory, zniechęcony, bezdomny, bez grosza w kieszeni, przyjęła go jak siostra. A kiedy chcieliśmy wyjechać na Północ i serce nam pękało na myśl o opuszczeniu Georgii, Scarlett pomogła nam i oddała mu prowadzenie tartaku. Kapitan Butler zaś uratował życie Ashleya tylko z dobrego serca. Ashley wcale nie mógł tego od niego oczekiwać! Jestem wdzięczna, wdzięczna z całego serca i Scarlett, i kapitanowi Butlerowi. A ty, Indio? Jakże możesz nie pamiętać tych łask, którymi Scarlett obsypywała mnie i Ashleya? Jak możesz tak nisko sobie cenić życie swego brata, by rzucać cień na człowieka, który go uratował? Gdybyś na kolanach poszła do Scarlett i kapitana Butlera, jeszcze by to było mało.

— Ależ, Melu — zaczęła pani Merriweather gwałtownie, bo zdążyła już odzyskać panowanie nad sobą — nie powinnaś w ten sposób mówić do Indii.

— Słyszałam też, co pani mówiła o Scarlett! — zawołała Melania zwracając się ku tęgiej matronie z miną szermierza, który wyciągnąwszy broń z ciała jednego pokonanego przeciwnika zwraca się natychmiast do następnego. — I pani, pani Elsing. Nie obchodzi mnie wcale, co panie czują w swoich niskich duszach, bo to wasza sprawa. Obchodzi mnie jednak to, co mówicie o Scarlett w moim domu, niemal przy mnie. Jak jednak możecie myśleć tak straszne rzeczy, a tym bardziej je wypowiadać? Czy wasi mężczyźni tak wam są obojętni, że wszystko wam jedno, czy żyją, czy nie? Czy nie czujecie wdzięczności dla człowieka, który ich uratował, i to z narażeniem własnego życia? Jankesi byliby przypuszczali, że i on jest członkiem Klanu, gdyby prawda wyszła na jaw! Byliby go powiesili. On jednak naraził się dla waszych mężczyzn. Dla pani teścia, pani Merriweather, dla zięcia pani i dwóch siostrzeńców. I dla brata pani, pani Bonnell... dla pani syna i zięcia, pani Elsing. Jesteście niewdzięczne, ot co! Żądam, aby mnie wszystkie panie przeprosiły.

Pani Elsing porwała się na nogi, zacięła wargi i rzuciła szycie do koszyczka.

— Gdybym to mogła przewidzieć, że będziesz tak źle wychowana, Melu... Nie, nie przeproszę cię. India ma rację. Scarlett jest zalotną, rozflirtowaną kobietą. Nie mogę zapomnieć o tym, jak się zachowywała podczas wojny. I nie mogę zapomnieć, jak niegodnie się zachowuje od czasu, gdy ma trochę pieniędzy...

— Przede wszystkim zaś nie może pani zapomnieć — rzekła Melania podpierając się pod boki małymi piąstkami — że usunęła Hugona, bo nie był dość zaradny, aby prowadzić jej tartak.

— Melu! — jęknął cały chór głosów.

Pani Elsing wysoko podniosła głowę i skierowała się w stronę drzwi. Z dłonią na klamce frontowych drzwi zatrzymała się i odwróciła.

— Melu — rzekła i głos jej brzmiał łagodniej — kochanie, nie łam mi serca. Byłam najlepszą przyjaciółką twojej matki, pomagałam doktorowi Meade, kiedy przychodziłaś na świat, i kochałam cię jak własną córkę. Gdyby to była rzecz ważna, nie byłoby mi może tak ciężko słuchać twoich słów. Ale że chodzi tu o kobietę pokroju Scarlett O'Hara, która by tobie wypłatała brzydkiego figla równie chętnie jak każdej z nas...

Łzy ukazały się w oczach Melanii na pierwsze słowa pani Elsing, ale twarz jej spochmurniała, gdy stara pani skończyła.

— Chcę jasno postawić sprawę — powiedziała. — Ta pani, która nie złoży wizyty Scarlett, może nigdy nie odwiedzać i mnie.

Rozległ się głośny szept głosów i zamieszanie, bo wszystkie panie naraz powstały na nogi. Pani Elsing rzuciła swój koszyczek na podłogę i wróciła do pokoju, a sztuczna jej grzywka przekrzywiła się żałośnie.

— Nie godzę się na to! — krzyknęła. — Nie chcę się zgodzić! Nie wiesz, co mówisz, Melu, i nie jesteś za siebie odpowiedzialna. Będziesz nadal moją przyjaciółką, a ja będę twoją. Nie chcę, aby nas poróżniła ta sprawa.

Zaczęła płakać; w niewiadomy sposób Melania znalazła się w jej ramionach także płacząc i powtarzając wśród szlochów, że spełni wszystkie swoje groźby. Kilka innych pań również wybuchło płaczem, a pani Merriweather, głośno ocierając nos w chusteczkę, zaczęła obejmować i panią Elsing, i Melanię. Ciotka Pitty, która była niemym świadkiem całej sceny, nagle osunęła się na podłogę, tym razem w prawdziwym omdleniu. Wśród łez, zamieszania, pocałunków i bieganiny po koniak i sole trzeźwiące, jedna tylko osoba pozostała spokojna, jedna para oczu sucha. India Wilkes wyszła, nie zauważona przez nikogo.

Dziadek Merriweather, spotkawszy w kilka godzin później Henryka Hamiltona w barze „Pod Współczesną Dziewczyną”, opowiedział o zajściu z przyjemnością, bo był zachwycony, że ktoś na świecie okazał się dość odważnym, aby przeciwstawić się jego groźnej synowej. On sam nigdy nie miał tak wiele odwagi.

— No, i co ta banda idiotek postanowiła ostatecznie? — zapytał wuj Henryk z irytacją.

— Nie wiem na pewno — rzekł dziadek — ale zdaje mi się, że Mela odniosła łatwe zwycięstwo. Założę się, że wszystkie złożą Scarlett wizytę przynajmniej jeden raz. Ludzie bardzo lubią tę twoją bratanicę, Henryku.

— Mela jest głupia, a te panie mają rację. Scarlett to niebezpieczna sztuka, nie rozumiem, dlaczego się z nią Karolek w ogóle ożenił — rzekł wuj Henryk ponuro. — Ale i Mela miała trochę słuszności. Wypada, aby rodziny mężczyzn, których kapitan Butler uratował, złożyły mu wizytę. Jeżeli się nad tym głębiej zastanowić, to właściwie nie mam nic przeciw Butlerowi. Tej nocy, gdy uratował nam skórę, dowiódł, że jest przyzwoitym człowiekiem. To raczej Scarlett działa mi na nerwy. Jest za sprytna i sama na tym najgorzej wychodzi. No, ale będę im musiał złożyć wizytę. Taka czy inna, Scarlett jest ostatecznie moją bratanicą. Miałem zamiar iść tam po południu.

— Pójdę z tobą, Henryku. Dolly wpadnie w szał, kiedy się dowie, że tam poszedłem. Poczekaj, napiję się jeszcze jednego.

— Nie, dostaniemy coś do picia u kapitana Butlera. To mu muszę przyznać: zawsze ma dobre trunki.

Rett przepowiedział, że stara gwardia nigdy się nie podda, i miał słuszność. Wiedział, jak mało znaczenia mają nieliczne wizyty, które im składano, i wiedział, dlaczego je złożono. Rodziny mężczyzn, którzy brali udział w nieszczęsnej wyprawie Klanu, odwiedzały ich początkowo, później jednak zjawiały się coraz rzadziej i wcale nie zapraszały Butlerów do siebie.

Rett twierdził, że znajomi nie zjawiliby się w ogóle, gdyby nie strach przed Melanią. Skąd wpadł na ten pomysł, Scarlett nie wiedziała, ale zlekceważyła jego słowa, jak na to zasługiwały. Bo jaki też wpływ mogła mieć Melania na osoby pokroju pani Elsing czy pani Merriweather? Nie martwiła się wcale, że panie te nie zjawiły się z ponowną wizytą; właściwie wcale nie spostrzegła ich braku, ponieważ pokoje jej pełne były gości innego pokroju. Dawni mieszkańcy Atlanty nazywali ich „nowymi ludźmi” i to było najbardziej pochlebne z możliwych określeń.

W hotelu National mieszkało sporo tych „nowych ludzi”, którzy podobnie jak Scarlett i Rett czekali na wykończenie swoich domów. Byli to ludzie weseli, zamożni, przypominający znajomych Retta z Nowego Orleanu, elegancko ubrani, nie liczący się z pieniędzmi i dość niejasno mówiący o swojej przeszłości. Wszyscy mężczyźni byli republikanami i przebywali w Atlancie „w interesach związanych z rządem stanowym”. Jakie to były interesy, Scarlett nie wiedziała i nie starała się dowiedzieć.

Rett mógłby jej o tym powiedzieć — były to te same interesy, które sprowadzają sępy nad padlinę. Czuli z daleka śmierć i przyciągali zewsząd, aby się nasycić. Sprawowanie rządów przez obywateli Georgii należało do przeszłości, stan był bezsilny, awanturnicy zjawiali się więc całymi rojami.

Żony znajomych Scallawagów i Carpetbaggerów przychodziły do Scarlett tłumnie, tak samo jak „nowi ludzie”, których poznawała sprzedając im drzewo na budowę domów. Rett mówił, że skoro robiła z nimi interesy, powinna ich była przyjmować, przyjąwszy ich zaś raz, uznała, że towarzystwo ich jest przyjemne. Nosili piękne ubrania i nigdy nie rozmawiali o wojnie ani o ciężkich czasach, lecz ograniczali konwersację do nowych mód, plotek i omawiania partyjek wista. Scarlett nigdy dotąd nie grała w karty, zabrała się więc do wista z ochotą i w krótkim czasie zaczęła grać bardzo dobrze.

Ilekroć była w hotelu, apartament jej pełen był graczy. W hotelu bywała jednak w tym okresie dość rzadko, bo zbyt pochłaniała ją budowa domu, aby mogła mieć czas dla gości. Nie zależało jej wówczas wcale na nich. Chciała życie towarzyskie odwlec do czasu wykończenia domu, do chwili, gdy stanie się panią największego pałacyku w Atlancie, urządzającą najwspanialsze w mieście przyjęcia.

Przez długie ciepłe dni przypatrywała się, jak okazale wznosi się jej dom z czerwonego kamienia i szarych dachówek, jak zaczyna wyrastać nad inne domy na Brzoskwiniowej. Zaniedbując sklep i tartaki spędzała cały czas na placu, kłócąc się ze stolarzami, wadząc z murarzami, dręcząc przedsiębiorcę. Kiedy mury szybko wyrastały, myślała z zadowoleniem, ze po wykończeniu będzie to największy i najpiękniejszy dom w mieście. Będzie nawet okazalszy od pobliskiej rezydencji Jamesów, która została niedawno zakupiona na oficjalną siedzibę gubernatora Bullocka.

Pałac gubernatora pokryty był rzeźbami na balustradach, ale skomplikowane rzeźby na domu Scarlett zupełnie zaćmiły tamte. Pałac miał salę balową, która w porównaniu z olbrzymią salą, zajmującą całe trzecie piętro domu Scarlett, wyglądała jak stół bilardowy. Dom jej był bogatszy od pałacu czy jakiegokolwiek innego domu w mieście — miał mnóstwo kopułek, wieżyczek, balkonów, piorunochronów i okien o kolorowych szybach.

Weranda otaczała go dookoła, a prowadziły do niej schodki z czterech stron. Ogród był obszerny, bardzo zielony — stały w nim żelazne ławki, żelazna altanka, która, jak zapewniano Scarlett, była w czystym gotyckim stylu, oraz dwie duże rzeźby z lanego żelaza — jeleń i pies, wielkości szetlandzkiego kuca. Dla Wade'a i Elli, trochę przytłoczonych wielkością, wspaniałością i modną ponurością wnętrz nowego domu, te dwa metalowe zwierzaki stanowiły jedyną radość.

Wewnątrz dom umeblowany był tak, jak sobie tego życzyła Scarlett: podłogi były wybite czerwonym grubym suknem, portiery były z czerwonego aksamitu, meble z bardzo polerowanego czarnego orzecha — rzeźbione, gdzie się dało, i wyściełane tak, że panie siadały na fotelach z największą ostrożnością, z obawy, aby się nie zapaść w nie. Na ścianach lśniły okrągłe lub długie lustra w złoconych ramach — jak mawiał Rett, było ich prawie tyle co u Belli Watling. Między nimi wisiały sztychy w ciężkich ramach, niektóre długie na osiem stóp i specjalnie zamówione przez Scarlett w Nowym Jorku. Ściany wylepione były ciemną tapetą, dom więc zawsze tonął w mroku, bo okna były zawieszone ciężkimi, zasłaniającymi światło firankami.

W sumie był to dom tak wspaniały, że onieśmielał. Scarlett stąpając po miękkich dywanach i wylegując się na miękkich puchach łóżek przypominała sobie zimne podłogi i słomą wypchane sienniki Tary i była dumna i szczęśliwa. Uważała, że dom jej jest najwytworniejszy i najpiękniej umeblowany ze wszystkich, jakie znała, Rett jednak twierdził, że jest koszmarny. Ale, mówił, wystarczało mu, że ona jest zadowolona.

— Nieznajomy, który nic o nas nie wie, może się od razu domyślić, że dom ten powstał z nieczystych pieniędzy — powiedział. — Wiesz chyba o tym, Scarlett, że pieniądze zarobione nieuczciwie nigdy nic dobrego nie przynoszą. Dom ten może stanowić dowód tej tezy. Dom tego rodzaju mógł sobie zbudować jedynie paskarz.

Scarlett jednak, przepełniona dumą i zadowoleniem i pełna planów co do przyjęć, jakie będzie wydawała, kiedy się na dobre urządzi, wytargała go tylko żartobliwie za ucho i powiedziała: — Zawracanie głowy! Co też ty wygadujesz!

Wiedziała już teraz, że Rett lubi ją upokarzać i umiałby jej popsuć każdą przyjemność, gdyby zwracała uwagę na jego kpiny. Gdyby go brała poważnie, musiałaby się z nim kłócić, a nie miała ochoty kruszyć z nim kopii, ponieważ z utarczek wychodziła zawsze pokonana. Ledwie więc słuchała tego, co mówił, a jeżeli musiała już słyszeć, starała się słowa jego obrócić w żart. Starała się o to przynajmniej z początku.

Podczas podróży poślubnej i pobytu w hotelu National żyli ze sobą w zgodzie. Zaledwie jednak wprowadzili się do nowego domu i Scarlett zaczęła się otaczać nowymi przyjaciółmi, zaczęli się kłócić często i ostro. Kłótnie ich były krótkie, bo nie można się było długo sprzeczać z Rettem, który nie zwracał uwagi na ostre słowa i czekał tylko sposobności, aby ukłuć w nie osłonięte miejsce. To ona wykłócała się o wszystko — nie Rett. On zadowalał się wypowiadaniem niedwuznacznej opinii o niej, o jej postępkach, o jej domu i nowych znajomych. A niektóre z jego opinii były takie, że nie mogła ich ignorować ani obrócić w żart.

Kiedy na przykład postanowiła zmienić szyld „Magazyn Kennedy'ego” na bardziej efektowny, poprosiła go, aby obmyślił nazwę, której częścią byłoby słowo „emptorium”. Rett poddał projekt „Caveat Emptorium” zapewniając ją, że będzie to nazwa bardzo stosowna dla rodzaju towarów, sprzedawanych w sklepie. Scarlett uważała, że nazwa brzmi bardzo imponująco, i kazała nawet wymalować szyld, gdy Ashley, bardzo zakłopotany, przetłumaczył jej, co te słowa znaczą. A Rett wyśmiewał się tylko z jej wściekłości.

Poza tym — kłócili się o Mammy. Mammy nie odstąpiła ani o cal od swego przekonania, że Rett jest „mułem w końskiej uprzęży”. Była dla niego grzeczna, ale chłodna. Zwracała się do niego zawsze per „panie kapitanie”, nigdy per „panie Recie”. Nie dygnęła nawet, kiedy Rett podarował jej czerwoną halkę, i nigdy jej nie nosiła. Starała się usuwać mu z drogi Wade'a i Ellę, mimo że Wade ubóstwiał wuja Retta, a Rett chłopca najwyraźniej lubił. Zamiast jednak zwolnić Mammy ze służby czy zwracać się do niej krótko i surowo, Rett odnosił się do niej z najwyższym szacunkiem, ze znacznie większą uprzejmością niż do pań z nowego koła znajomych Scarlett. Traktował ją nawet znacznie uprzejmiej niż Scarlett. Zawsze pytał o pozwolenie Mammy, gdy chciał wziąć Wade'a na przejażdżkę, i radził się jej co do wyboru lalek dla Elli. Mammy była dlań zaledwie grzeczna.

Scarlett uważała, że powinien być dla Murzynki surowszy, jak przystało prawdziwej głowie domu, Rett jednak wyśmiał ją tylko i odpowiedział, że to Mammy jest prawdziwą głową domu.

Rozwścieczył pewnego dnia Scarlett oświadczając chłodno, że za kilka lat będzie godna pożałowania, bo w Georgii skończą się rządy republikanów i demokraci wrócą do władzy.

— Z chwilą gdy demokraci będą mieli większość w rządzie, wszyscy twoi nowi znajomi zostaną zmieceni z powierzchni i odesłani do usługiwania w szynkach i wyprzątania rynsztoków, gdzie zresztą jest ich właściwe miejsce. Ty zaś zawiśniesz w próżni, bez przyjaciół. No, ale nie myśl o jutrze.

Scarlett roześmiała się nie bez słuszności, ponieważ w tym czasie Bullock bezpiecznie siedział na stolcu gubernatorskim, w rządzie było dwudziestu siedmiu Murzynów, a tysiące demokratów w Georgii straciło prawo wyborcze.

— Demokraci nigdy nie wrócą do władzy. Drażnią tylko Jankesów i odsuwają tym samym dzień, kiedy będą mogli wrócić do rządów. Nie robią nic, tylko gadają i nocą robią wypady Ku-Klux-Klanu.

— A jednak wrócą. Znam południowców. Znam Georgijczyków. To zacięci i uparci ludzie. Jeżeli trzeba będzie stoczyć drugą wojnę, aby wrócić na dawne miejsca, stoczą ją. Jeżeli trzeba będzie wzorem Jankesów kupować głosy murzyńskie, zrobią to. Jeżeli trzeba będzie do urn stawiać „martwe dusze”, jak to robili Jankesi, do wyborów pójdą wszyscy nieboszczycy ze wszystkich cmentarzy Georgii. Sprawy przybiorą obrót tak straszny pod łagodnymi rządami naszego przyjaciela, Rufusa Bullocka, że Georgia prędzej czy później go wypluje.

— Rett, nie używaj przynajmniej tak ordynarnych wyrażeń! — zawołała Scarlett. — Mówisz, jak gdybym ja nie życzyła sobie powrotu demokratów. Wiesz dobrze, że tak nie jest! Będę bardzo zadowolona, jeżeli wrócą. Czy wydaje ci się, że miło mi widzieć wszędzie tych żołnierzy, którzy przypominają mi... czy przypuszczasz, że... przecież i ja jestem Georgijką! Bardzo bym chciała, aby demokraci wrócili. Nie mogą jednak wrócić. Jeszcze nie. A nawet gdyby to się stało, w czym to dotyczy moich znajomych? Przecież będą mieli pieniądze, prawda?

— Jeżeli potrafią je utrzymać. Nie wierzę jednak, aby którykolwiek z nich mógł mieć pieniądze dłużej niż przez pięć lat przy skali ich wydatków. Łatwo przyszły, łatwo pójdą. Pieniądze zresztą nie zdadzą, się im na nic. Tak samo jak się moje na nic nie zdały tobie. W każdym razie dotąd nie uczyniły z ciebie konia, prawda, mój piękny mule?

Kłótnia, która wybuchła po tej ostatniej uwadze Retta, trwała przez kilka dni. Po czterech dniach dąsów Scarlett i wyraźnego, choć milczącego czekania na przeprosiny, Rett wyjechał do Nowego Orleanu, zabierając ze sobą mimo protestów Mammy Wade'a. Nie było go tak długo, że nastroje Scarlett zdążyły tymczasem minąć. Została w niej uraza, że nie zdołała Retta upokorzyć.

Kiedy Rett wrócił z Nowego Orleanu, zimny i ugrzeczniony, przełknęła złość, jak mogła najlepiej, i odsunęła ją na daleki plan, aby pomyśleć o niej kiedy indziej. Nie chciała zajmować się teraz niczym nieprzyjemnym. Chciała być w dobrym humorze, ponieważ myślała bez ustanku o pierwszym przyjęciu, które miała wydać w nowym domu. Miała to być olbrzymia zabawa, z palmami, orkiestrą, daszkami płóciennymi nad werandą i kolacją, na myśl o której ślinka szła jej do ust. Chciała zaprosić na nią wszystkich znajomych, zarówno starych przyjaciół, jak i przemiłych nowych, poznanych po powrocie z podróży poślubnej. Podniecenie zabawą zatarło w znacznej mierze pamięć o docinkach Retta. Scarlett czuła się szczęśliwa, szczęśliwsza niż od wielu lat, gdy obmyślała bal we wszystkich szczegółach.

Och, jak przyjemnie być bogatą! Przyjmować gości i nie liczyć się z kosztem! Kupować najdroższe meble, suknie, najlepsze produkty i nigdy nie myśleć o rachunkach! Jak cudownie było móc wysyłać pokaźne czeki ciotkom Paulinie i Eulalii do Charlestonu i Willowi do Tary. Och, jakimiż zazdrosnymi głupcami byli ci, którzy twierdzili, że pieniądze nie są wszystkim! Jakie to perfidne ze strony Retta, że mówił, iż pieniądze na nic jej się nie zdały!

Scarlett wysłała zaproszenia wszystkim swoim przyjaciołom i znajomym, starym i nowym, nawet tym, których nie lubiła. Nie pominęła nawet pani Merriweather, która była prawie niegrzeczna, gdy przyszła z oficjalną wizytą do hotelu National, ani pani Elsing, która była lodowata. Zaprosiła panią Meade i panią Whiting, które nie lubiły jej i prawdopodobnie nie miały odpowiednich sukien na tak wytworne przyjęcie. Bo otwarcie salonów Scarlett — kolacja połączona z balem — było z pewnością najwykwintniejszym zebraniem towarzyskim od czasu istnienia Atlanty.

Nocy owej dom i osłonięta płótnem weranda pełne były gości, którzy pili kruszon z szampana, jedli pasztety i ostrygi i tańczyli pod dźwięki muzyki starannie ukrytej za ścianą palm i fikusów. Z tych jednak, których Rett nazwał „starą gwardią”, nie było nikogo z wyjątkiem Melanii i Ashleya, ciotki Pitty i wuja Henryka, doktorostwa Meade i dziadka Merriweathera.

Wielu członków „starej gwardii”, mimo że niechętnie, postanowiło zjawić się u Scarlett. Niektórzy przyjęli zaproszenie ze względu na postawę Melanii, inni — bo uważali, że mają w stosunku do Retta dług wdzięczności za uratowanie życia im samym czy ich krewnym. Ale na dwa dni przed przyjęciem rozeszła się po Atlancie pogłoska, że gubernator Bullock także został zaproszony. Stara gwardia wyraziła swoje potępienie przysłaniem stosu kart z zawiadomieniem o niemożności skorzystania z miłego zaproszenia, mała zaś grupa przyjaciół, którzy się zjawili, wyszła zakłopotana, ale stanowcza, z chwilą gdy gubernator wszedł do domu Scarlett.

Scarlett była tak wściekła z powodu tych afrontów, że nie miała żadnej przyjemności z przyjęcia. Jej wytworna zabawa! Przygotowała ją tak starannie, a starzy przyjaciele i starzy wrogowie nie zjawili się wcale i nie mogli podziwiać jej domu! Kiedy ostatni goście rozeszli się o świcie, omal nie zaczęła płakać i spazmować, ale bała się, że Rett wybuchnie śmiechem, że w jego iskrzących się czarnych oczach wyczyta: ,,A mówiłem!”, chociaż słów tych głośno nie wypowie. Przełknęła więc złość, jak mogła najlepiej, i udała obojętność.

Tylko przed Melanią pozwoliła sobie następnego dnia na luksus wybuchu.

— Obraziłaś mnie ciężko, Melanio Wilkes, i z twojej winy obraził mnie Ashley i cała reszta! Wiesz dobrze, że nie poszliby do domu tak wcześnie, gdybyś ty ich nie wyciągnęła. Och, widziałam to dokładnie! W chwili gdy szłam w waszą stronę z gubernatorem Bullockiem, aby go wam przedstawić, czmychnęłaś jak zając!

— Nie wierzyłam, nie chciałam uwierzyć, że on rzeczywiście będzie u ciebie — odrzekła Melania ze smutkiem. — Mimo że wszyscy mówili o tym...

— Wszyscy? A więc wszyscy gadali na mnie i plotkowali, prawda? — zawołała Scarlett z pasją. — Czy chcesz przez to powiedzieć, ze ty także byś nie przyszła, gdybyś wiedziała, że zaprosiłam gubernatora?

— Nie — odrzekła Melania cicho patrząc w podłogę. — Kochanie, po prostu nie mogłabym przyjść.

— Do stu piorunów! A więc i ty obraziłaś mnie równie ciężko jak inni.

— Och. zlituj się! — zawołała Mela w prawdziwej rozpaczy. — Nie miałam cię zamiaru dotknąć. Jesteś moją siostrą, kochanie, wdową po moim Karolku, i ja...

Położyła nieśmiało dłoń na ramieniu Scarlett, Scarlett jednak otrząsnęła się żałując, że nie potrafi ryknąć tak głośno jak Gerald w ataku gniewu. Melania jednak nie przelękła się jej złości. A kiedy patrzyła w zielone oczy Scarlett, rzucające teraz pioruny, szczupłe jej ramiona wyprostowały się i spłynęła na nią wielka duma, bardzo kontrastująca z jej dziecinną twarzyczką i figurą.

— Przykro mi, że się gniewasz, moja droga, ale nie mogę spotykać się z gubernatorem Bullockiem ani z żadnym republikaninem czy Scallawagiem. Nie mam zamiaru spotykać ich ani w twoim domu, ani w żadnym innym. Nie, choćbym miała być... miała być — Melania szukała najgorszych słów jakie by mogła powiedzieć. — Choćbym miała być niegrzeczna.

— Czy to znaczy, że krytykujesz moich przyjaciół?

— Nie, kochanie. Ale są to przyjaciele twoi, a nie moi.

— Czy masz mi za złe, że zaprosiłam do siebie gubernatora? Nawet przyparta do muru Melania wciąż jeszcze patrzyła Scarlett w oczy.

— Kochanie, motywy wszystkiego, co robisz, są z pewnością słuszne, a ja kocham cię, ufam ci i nie mam prawa cię krytykować. Nie pozwolę także, aby ktokolwiek inny krytykował cię w mojej obecności. Ale, ach, Scarlett! — Nagle zaczęły się jej cisnąć na usta ostre, gniewne wyrzuty i w głosie jej zabrzmiała nieugięta nienawiść. — Czy możesz zapomnieć, czegośmy doznali od tych ludzi? Czy możesz zapomnieć o śmierci naszego Karolka, o zrujnowaniu Ashleyowi zdrowia i spaleniu Dwunastu Dębów? Scarlett, jestem pewna, że nie zapomniałaś o tym strasznym, zastrzelonym człowieku, który miał w rękach szkatułkę twojej matki! Z pewnością pamiętasz ludzi Shermana w Tarze, którzy zabrali nam nawet bieliznę! Którzy chcieli spalić dwór i nawet nie uszanowali szabli mego ojca! Och, Scarlett, zaprosiłaś do swego domu tych samych ludzi, którzy nas okradali, którzy nas męczyli i narażali na śmierć głodową. Tych samych, którzy Murzynom pozwalają panoszyć się nad nami, którzy nas grabią, a mężczyzn naszych pozbawili praw wyborczych! Ja nie mogę zapomnieć. Nie zapomnę nigdy. Nie dopuszczę, aby mój Beau zapomniał, nawet wnuki moje nauczę nienawiści do tych ludzi i wnuki moich wnuków, jeżeli Bóg pozwoli mi żyć dość długo! Scarlett, jak mogłaś o tym zapomnieć?

Melania przerwała dla zaczerpnięcia oddechu, a Scarlett patrzyła na nią, niepomna własnego gniewu, zdumiona nutą gwałtowności w jej głosie.

— Czy przypuszczasz, że jestem idiotką? — zapytała niecierpliwie. — Rozumie się, że nie zapomniałam! Ale to należy do przeszłości, Melu. Naszym zadaniem jest nie zaogniać tych spraw i właśnie o to się staram. Gubernator Bullock i przyzwoitsi republikanie mogą nam bardzo pomóc, jeżeli będziemy umieli z nimi postępować.

— Nie ma przyzwoitych republikanów — rzekła Melania głucho. — Nie życzę sobie ich pomocy. I nie moją rzeczą jest cośkolwiek łagodzić, jeżeli to ma jakąś łączność z Jankesami.

— Na miłość boską, Melu, ale dlaczego wpadasz w taką złość?

— Och! — zawołała Melania z zakłopotaniem. — Jakże się rozgadałam! Scarlett, nie chciałam cię obrazić ani skrytykować. Każdy myśli inaczej i każdy ma prawo do własnych przekonań. Słuchaj, kochanie, kocham cię, wiesz o tym dobrze, i żaden twój postępek nie zmieni moich uczuć. Prawda, że i ty mnie jeszcze kochasz? Nie zaczęłaś mnie nienawidzić, prawda, Scarlett? Nie zniosłabym, aby coś kiedykolwiek stanęło między nami... po tym, co przecierpiałyśmy razem! Powiedz, że już się nie gniewasz.

— Zawracanie głowy, Melu. Robisz burzę w szklance wody — rzekła Scarlett mrukliwie, ale nie zrzuciła już ręki, która ją nieśmiało objęła.

— No więc, wszystko w porządku — rzekła Melania z zadowoleniem, ale dodała cicho: — Chcę, abyśmy bywały u siebie jak dotąd, kochanie. Musisz mnie tylko uprzedzać, w jakie dni przychodzą do ciebie republikanie i Scallawagowie, a ja będę wtedy zostawała w domu.

— To sprawa najzupełniej dla mnie obojętna, czy będziesz przychodziła do mnie, czy nie — powiedziała Scarlett nakładając czepek i zabierając się ze złością do domu. Pewnym zadośćuczynieniem jej zranionej próżności był wyraz bólu na twarzy Melanii.

W tygodniach, które nastąpiły po pierwszym przyjęciu, Scarlett bardzo musiała się wysilać, aby podtrzymać pozory obojętności na opinię publiczną. Kiedy przestali ją odwiedzać starzy przyjaciele, z wyjątkiem Melanii, Pitty, wuja Henryka i Ashleya, i przestała dostawać zaproszenia na ich skromne przyjęcia, była szczerze zmieszana i dotknięta. Czy nie dała dowodu, że zapomniała o starych waśniach i że nie żywi w stosunku do tych ludzi urazy za ich plotki i oszczerstwa? Powinni przecież wiedzieć, że nie bardziej niż oni lubi gubernatora Bullocka, ale że wypada, by była dla niego uprzejma. Idioci! Gdyby wszyscy byli uprzejmi dla republikanów, Georgia bardzo prędko wyszłaby z obecnego impasu.

Nie zdawała sobie wcale sprawy, że jednym posunięciem przecięła na zawsze kruchą więź łączącą ją jeszcze z dawnymi czasami, z dawnymi przyjaciółmi. Nawet wpływ Melanii nie mógł naprawić tej pajęczej nici, tym bardziej że Melania, zdumiona, zraniona, ale jeszcze lojalna dla Scarlett, nie starała się jej wcale naprawiać. Gdyby nawet Scarlett chciała wrócić do dawnych zwyczajów i dawnych przyjaciół, odcięła już sobie powrót. Twarz miasta była teraz niewzruszona i kamienna. Nienawiść, którą wzbudziły rządy Bullocka, rozciągnęła się i na Scarlett — nienawiść, w której było mało ognia i furii, ale dużo zaciętej nieustępliwości. Scarlett złączyła swoje losy z nieprzyjaciółmi, więc bez względu na urodzenie i stosunki rodzinne przeszła teraz do kategorii renegatów, przyjaciół Murzynów, zdrajców, republikanów i Scallawagów.

Po krótkim okresie przygnębienia udana obojętność Scarlett przeistoczyła się w prawdziwą. Nigdy nie umiała długo się przejmować kapryśnością ludzkich postępków ani martwić, kiedy zawodziła ją jakaś linia postępowania. Po bardzo niedługim czasie zobojętniała na to, co rodziny Merriweather, Elsing, Whiting, Meade, Bonnell i inne myślą sobie o niej. Wystarczało jej, że Melania odwiedza ją i przyprowadza męża, o niego zresztą chodziło jej najbardziej. Ponadto zaś — byli w Atlancie inni ludzie, którzy chętnie bywali na jej przyjęciach, ludzie daleko dla niej odpowiedniejsi niż te sztywne stare kwoki. Mogła mieć dom pełen gości, ilekroć tego chciała, i goście ci byli daleko ciekawsi i daleko piękniej ubrani od tych przesadnych, cnotliwych bab, które, jej nie uznawały.

Ludzie ci byli nowymi przybyszami. Niektórzy byli znajomymi Retta, inni wraz z nim zajmowali się tajemniczymi sprawami, które określał jako „nudne interesy, złotko”. Było kilka par małżeńskich, które Scarlett poznała mieszkając w hotelu National, była i garstka współpracowników gubernatora Bullocka.

Towarzystwo, w którym Scarlett obracała się teraz, było bardzo różnorodne. Należeli doń państwo Gelert, którzy zamieszkiwali już w kilku stanach i wynosili się pośpiesznie z każdego po kolei, gdy odkrywano ich oszustwa; państwo Connington, których stosunki z Biurem Wyzwoleńców w pewnym odległym stanie były niezwykle rentowne, kosztem ciemnych Murzynów; państwo Deal, którzy z takim powodzeniem sprzedawali tekturowe buty rządowi Konfederacji, że ostatni rok wojny musieli spędzić w Europie; państwo Hundon, którzy byli notowani w kronikach policyjnych wielu miast, ale mimo to z powodzeniem zdobywali przetargi na dostawy rządowe; państwo Carahan, którzy zaczęli karierę w domu gry, teraz zaś grali o większe stawki budując nie istniejące linie kolejowe za pieniądze stanu; państwo Flaherty, którzy skupowali sól po cencie za funt w r. 1861 i dorobili się fortuny, gdy sól podskoczyła do pięćdziesięciu centów w r. 1863; wreszcie państwo Bart, którzy podczas wojny byli właścicielami największego domu publicznego w pewnej północnej stolicy, a teraz obracali się w najlepszych kołach towarzystwa Carpetbaggerów.

Ludzie ci byli zażyłymi przyjaciółmi Scarlett. Inni jednak, których zapraszała na większe przyjęcia, posiadali niejednokrotnie pewną kulturę i wytworność, a wielu pochodziło z doskonałych rodzin. Poza arystokracją Carpetbaggerów do Atlanty przybywali także i przyzwoici ludzie z Północy, przyciągnięci nieustającą aktywnością miasta w tym okresie rozbudowy i rozrostu. Bogate rodziny jankeskie wysyłały synów do pracy pionierskiej na Południe, a jankescy oficerowie po skończeniu służby osiedlali się na stałe w mieście, które tak trudno im było ujarzmić. Z początku, czując się obco w Atlancie, z ochotą przyjmowali zaproszenia na wspaniałe przyjęcia bogatej i gościnnej pani Butler, wkrótce jednak i oni odsunęli się od Scarlett. Byli przyzwoitymi ludźmi. Wystarczała im tylko krótka znajomość z Carpetbaggerami i ich rządem, aby się do nich uprzedzić jak rodowici Georgijczycy. Wielu z nich z biegiem czasu stało się demokratami i większymi patriotami Południa niż urodzeni południowcy.

Inne także nie dobrane do kółka Scarlett osoby tkwiły w nim tylko dlatego, że nie miały wstępu gdzie indziej. Milsze byłyby im spokojne salony „starej gwardii”, ale stara gwardia nie chciała ich u siebie widzieć. Do osób tych należały jankeskie nauczycielki, które przyjechały na Południe w zamiarze duchowego podźwignięcia Murzynów, oraz Scallawagowie, którzy urodzili się dobrymi demokratami, ale po kapitulacji przeszli do republikanów.

Trudno powiedzieć, których z nich szczerzej nienawidziła ludność dawno osiadła: niemożliwe nauczycielki czy też Scallawagów — szala przechylała się prawdopodobnie jednak na stronę tych ostatnich. Nauczycielki zbywało się krótkim: — No, i czegóż można oczekiwać od Jankesów? Zrozumiałe, że myślą, iż Murzyni są nie gorsi od nich! — Dla Georgijczyków jednak, którzy stali się republikanami, nie było żadnego usprawiedliwienia.

— Jeżeli przymieranie głodem jest dobre dla nas, powinno być dobre i dla was — tak mniej więcej myśleli członkowie starej gwardii. Wielu żołnierzy Konfederacji, znając rozpaczliwe położenie mężczyzn, których rodziny były w potrzebie, bardziej pobłażliwie odnosiło się do towarzyszów broni, którzy zmienili barwy polityczne, aby zabezpieczyć byt swoich najbliższych. Kobiety „starej gwardii” były jednak nieustępliwe i nieugięte i one to miały istotną władzę w społeczeństwie. Przegrana Sprawa była im droższa teraz i bliższa niż w chwilach największej swej chwały. Teraz stała się fetyszem. Wszystko, co się jej tyczyło, było święte — groby poległych za nią, pola bitwy, podarte sztandary, na krzyż zawieszone na ścianach szable, płowiejące listy z frontu, weterani. Kobiety te nie dawały wsparcia, pociechy czy schronienia dawnym nieprzyjaciołom, a do tych zaczęły teraz zaliczać i Scarlett.

Mieszane towarzystwo, zespolone ze sobą wymaganiami sytuacji politycznej, jedną jeszcze rzecz miało wspólną: pieniądze. Ponieważ większość ich nie posiadała nawet dwudziestu pięciu dolarów przed wojną, rzucili się teraz w taką orgię wydawania, jakiej Atlanta nigdy dotąd nie przeżywała.

Od czasu gdy republikanie rozsiedli się w politycznym siodle, miasto weszło w okres rozrzutności i przepychu, a pozory wytworności tylko cienką warstwą pokrywały zepsucie i ordynarność, kryjące się od spodu. Nigdy dotychczas rozłam między bardzo bogatymi a bardzo biednymi nie zaznaczał się tak wyraźnie. Ludzie u szczytu drabiny społecznej nie poświęcali mniej szczęśliwym ani jednej myśli. Z wyjątkiem oczywiście Murzynów. Murzyni musieli mieć wszystko, co najlepsze. Najlepsze szkoły i mieszkania, najlepszą odzież i rozrywki — ponieważ byli kluczem do władzy i każdy głos murzyński się liczył. Jeżeli chodzi jednak o niedawno zubożałą ludność Atlanty — mogła umierać z głodu i padać na ulicach, a nowo wzbogaceni republikanie nie przejmowali się tym wcale.

Na fali tej wulgarności Scarlett jechała w tryumfie — była młodą mężatką, piękną i elegancką, majątek Retta zapewniał jej bezpieczeństwo. Nastała teraz epoka, która jej bardzo odpowiadała — niewyrafinowana, okazała, ordynarna, pełna wystrojonych kobiet, przeładowanych meblami domów, biżuterii, koni, powozów, jadła i napojów. Kiedy w nieczęstych chwilach Scarlett. myślała o tych sprawach, rozumiała dobrze, że Ellen żadnej z nowych znajomych nie nazwałaby damą. Zbyt jednak często łamała zasady Ellen od owego dnia, gdy w salonie Tary postanowiła, że zostanie kochanką Retta, aby teraz odczuwać wyrzuty sumienia.

Może istotnie nowi jej znajomi nie byli w ścisłym tych słów znaczeniu damami i dżentelmenami, ale, podobnie jak znajomi Retta w Nowym Orleanie, byli bardzo zabawni. O tyle bardziej interesujący od spokojnych, pobożnych, czytających Szekspira przyjaciół z czasów pierwszego jej pobytu w Atlancie! A poza okresem krótkiej- podróży poślubnej, Scarlett nie bawiła się od tak dawna! Nie czuła się także od dawna bezpieczna. Teraz więc, wreszcie zabezpieczona, chciała tańczyć, bawić się, hulać, napychać jedzeniem i dobrym1 winem, okrywać jedwabiami i atłasami, tarzać na miękkich łóżkach i sofach. Używała więc wszystkiego do woli. Ośmielona pobłażliwością Retta, oswobodzona z zakazów krępujących ją w dzieciństwie, wolna wreszcie od obawy ubóstwa, pozwalała sobie na luksus, o którym marzyła często — robienia wszystkiego, co chciała, i oświadczania ludziom, którym się to nie podobało, aby czym prędzej szli do diabła.

Ogarnęło ją teraz przyjemne odurzenie, właściwe tym, których samo istnienie jest policzkiem dla zorganizowanego społeczeństwa — jak gracze, konfidenci, eleganckie awanturnice, wszyscy, którzy opierają istnienie swoje na własnej przemyślności. Mówiła i robiła wszystko, co jej się podobało, i w niedługim czasie zuchwałość jej przeszła wszelkie granice.

Nie wahała się zachowywać arogancko w stosunku do znajomych republikanów i Scallawagów, najbardziej jednak niegrzeczna i zuchwała była wobec jankeskich oficerów i ich rodzin. Z różnorodnej masy ludzi, którzy zbiegli się do Atlanty, wojskowi byli jedynymi, których nie chciała przyjmować i tolerować. Wysilała się nawet bardzo, aby okazywać im niegrzeczność. Nie tylko Melania nie mogła zapomnieć niebieskich mundurów. Dla Scarlett mundury te i złote guziki były synonimem niepewności oblężenia, strachu, ucieczki, łupienia i palenia, rozpaczliwej biedy i ciężkiej pracy w Tarze. Teraz, gdy była bogata i bezpieczna dzięki przyjaźni gubernatora i wielu wybitnych republikanów, mogła zachowywać się obelżywie w stosunku do każdego niebieskiego munduru, jaki spotykała. I robiła to stale.

Rett kiedyś wytknął jej niedbale, że większość mężczyzn, którzy zbierali się pod jej dachem, nosiła te same niebieskie mundury przed bardzo niedawnym czasem, ale Scarlett odpowiedziała mu na to, że Jankes nie wydawał jej się Jankesem, jeśli nie miał na sobie munduru. Na co Rett odparł: — Konsekwencjo, tyś jest wielką cnotą — i wzruszył ramionami.

Scarlett, w nienawiści swojej do niebieskich mundurów, tym bardziej lubiła robić wojskowym afronty, że to wprawiało ich w zdumienie. Rodziny oficerów garnizonu słusznie się temu dziwiły, bo byli to spokojni, dobrze wychowani ludzie, osamotnieni we wrogim kraju, pragnący powrotu na Północ, trochę wstydzący się rządów hołoty, którą musieli osłaniać — ludzie ze znacznie lepszej sfery niż inni znajomi Scarlett. Żony oficerów nie mogły się nadziwić, że elegancka pani Butler kuma się z takimi kobietami jak rudowłosa Brygida Flaherty, a im — przeciwnie — stara się wyrządzać afronty.

Lecz nawet panie, które Scarlett darzyła względami, musiały wiele od niej znosić. Godziły się na to chętnie. Dla nich była nie tylko bogata i elegancka — była przedstawicielką starego ustroju, dobrych nazwisk, Starych rodzin, starych tradycji, którym koniecznie starali się dorównać. Rodziny, do których się panie z nowej arystokracji garnęły, wyrzekły się Scarlett, o tym jednak one nie wiedziały. Wiedziały jedynie, że ojciec Scarlett był właścicielem wielkiej liczby niewolników, matka pochodziła z Robillardów z Savannah, a mężem jej był Rett Butler z Charlestonu. To im zupełnie wystarczało. Scarlett była klinem mającym je wepchnąć do starego towarzystwa, do towarzystwa, które nimi gardziło, nie rewizytowało ich, a w kościołach odpowiadało lodowato na ukłony. Scarlett była nawet więcej niż klinem. Dla nich, które świeżo, wydostały się na szersze wody, była symbolem „towarzystwa”. Ponieważ same udawały prawdziwe damy, w pretensjach Scarlett, aby uchodzić za wielką damę, orientowały się nie lepiej niż ona sama. Brały ją za taką, jaką chciała im się wydawać, i znosiły jej fochy, łaski, humory, arogancję, wyraźną niegrzeczność i jawną krytykę ich błędów.

Powstały z niczego tak niedawno i tak im brakło pewności siebie, że chcąc udawać dystynkcję obawiały się okazać złość czy ostro odpowiedzieć, żeby Scarlett nie uznała ich za źle wychowane. Chciały być damami za wszelką cenę. Miały pretensje do wielkiej subtelności, skromności i niewinności. Ktoś, kto by przysłuchiwał się ich rozmowom, mógłby pomyśleć, że nie miały nóg, nie spełniały naturalnych funkcji i wcale nie znały podłego, zepsutego świata. Nikt by nie mógł przypuszczać, że ruda Brygida Flaherty, o białej skórze i przeraźliwym irlandzkim akcencie, skradła oszczędności swego ojca i przyjechała do Ameryki na posadę pokojówki w nowojorskim hotelu. Obserwując humory Sylwii (dawniej Sadie) Connington i Mamie Bart, nikt by nie mógł podejrzewać, że pierwsza wychowała się pod szynkiem ojca w portowej dzielnicy Nowego Jorku i usługiwała gościom w godzinach wielkiego ruchu, a druga, jak głosiła fama, pochodziła z domu publicznego swego męża. Teraz jednak były to delikatne, niezaradne stworzenia.

Mężczyźni, mimo że dorobili się majątków, trudniej przyswajali sobie nowe maniery i mniej mieli cierpliwości, aby podporządkować się nowym kodeksom. Pili dużo na przyjęciach u Scarlett, zbyt dużo nawet, i zwykle po kolacjach proszonych kilku gości nocowało w jej domu. Nie upijali się tak jak mężczyźni, których Scarlett pamiętała z dzieciństwa. Stawali się ogłupiali, wstrętni i nieprzyzwoici. Poza tym zaś, choćby nie wiadomo ile spluwaczek stawiała na widocznych miejscach, zawsze po przyjęciach miała dywany poplamione sokiem tytoniowym.

Scarlett gardziła tymi ludźmi, ale dobrze się czuła w ich towarzystwie. Dlatego zapraszała ich do siebie — ale ponieważ nimi gardziła, kazała im się wynosić, jak tylko miała ich dość. Oni jednak znosili wszystko.

Znosili nawet uwagi Retta, co było sprawą trudniejszą, bo Rett znał ich na wylot i nie krył się z tym wcale. Nie wahał się im mówić prawdy nawet w swoim domu, i to w taki sposób, że nie mogli nic odpowiedzieć. Nie wstydząc się tego, jak doszedł do majątku, udawał, iż wydaje mu się, że i oni nie wstydzą się swoich początków, i rzadko przepuszczał sposobność robienia uwag na temat spraw, które za wspólnym porozumieniem wszyscy woleli pozostawiać w przyjemnym cieniu.

Nie można było nigdy przewidzieć, kiedy zauważy nad szklanką ponczu: „Ralf, gdybym miał więcej rozumu, starałbym się zrobić fortunę jak ty — na sprzedaży akcji nie istniejących kopalni złota wdowom i sierotom, a nie na blokadzie. To o tyle pewniejszy interes”. „Słuchaj, Bili, widzę, że masz nową parę koni. Znowu więc chyba sprzedałeś kilka tysięcy akcji nie istniejących kolei? Dobrześ się spisał, chłopie!” „Winszuję ci, Amos, tej nowej dostawy rządowej. Szkoda tylko, żeś tyle rąk musiał posmarować”.

Panie uważały, że jest obrzydliwie, nieznośnie wulgarny. Mężczyźni mawiali za jego plecami, że jest świnią i łotrem. Nowa Atlanta nie więcej lubiła Retta niż stara, on zaś równie mało starał się o względy jednej jak i drugiej. Szedł swoimi drogami, ubawiony, wzgardliwy, nie liczący się z opinią publiczną i tak uprzejmy, że już sama uprzejmość jego była obelgą. Dla Scarlett stanowił jeszcze ciągle zagadkę, ale zagadkę, nad której rozwiązaniem przestała sobie łamać głowę. Była przekonana, że nic mu się nigdy nie podoba i nigdy podobać nie będzie, że albo bardzo czegoś chciał i nie mógł zdobyć, albo nigdy niczego szczerze nie pragnął i dlatego o nic nie dbał. Śmiał się ze wszystkiego, co robiła, zachęcał ją do wybryków i zuchwałości, drwił z jej pretensji — i płacił rachunki.

## ROZDZIAŁ L

Rett nawet w najbardziej intymnych chwilach nie przestawał się zachowywać w stosunku do Scarlett uprzejmie, poprawnie, gładko — Scarlett jednak nie mogła się pozbyć wrażenia, że obserwuje ją ukradkiem. Wiedziała, że jeżeli odwróci nagle głowę, spostrzeże w jego oczach badawcze, wyczekujące spojrzenie, spojrzenie prawie nadludzkiej cierpliwości, którego nie mogła zrozumieć.

Czasami był bardzo miły we współżyciu, mimo że nadal bardzo konsekwentnie nie tolerował jakichkolwiek kłamstw, puszenia się czy też przechwałek. Słuchał opowiadań Scarlett o sklepie, tartakach czy szynku, o więźniach i koszcie ich wyżywienia i dawał jej mądre, praktyczne rady. Miał nie wyczerpaną energię do zabaw i przyjęć, które lubiła, nie kończący się zapas sprośnych historyjek, którymi raczył ją podczas nielicznych wieczorów, gdy siedzieli sami przy kawie i likierach. Przekonała się. że Rett podaruje jej wszystko, czego zapragnie, odpowie na każde pytanie, dopóki będzie szczera — że jednak odmówi jej wszystkiego, co zechce zdobyć podstępem, fintą czy kobiecymi sztuczkami. Miał żenującą umiejętność domyślania się jej intencji i głośnego ich wyśmiewania.

Uprzytomniając sobie łagodną obojętność, z jaką ją zwykle traktował. Scarlett zastanawiała się niejednokrotnie, ale bez ciekawości, po co się Rett z nią ożenił. Mężczyźni żenili się z miłości, żeby mieć własny dom i dzieci, albo dla pieniędzy — on zaś nie poślubił jej dla żadnego z tych powodów. Pewne było, że jej nie kochał.

O pięknym jej domu mówił, że jest architektonicznie potworny i że osobiście wolałby mieszkać w dobrze prowadzonym hotelu niż w tym domu. I ani razu nie napomknął o dzieciach, jak Frank czy Karol. Razu pewnego, gdy chciała go skokietować, zapytała go, po co się z nią ożenił, i rozzłościła się, kiedy odpowiedział z błyskiem wesołości w oczach: — Ożeniłem się z tobą, moja droga, ponieważ chciałem mieć w domu ładne zwierzątko.

Nie, nie poślubił jej dla żadnego z tych powodów, dla których mężczyźni żenili się z kobietami. Ożenił się z nią tylko dlatego, że jej pragnął, a nie mógł jej zdobyć w inny sposób. Wyznał jej to tego wieczora, gdy się jej oświadczył. Pragnął jej tak samo jak niegdyś Belli Watling. Nie była to przyjemna myśl. Właściwie była to nawet wielka zniewaga. Odsunęła jednak tę myśl daleko, jak odsuwała wszystkie niemiłe dla siebie prawdy. Zawarła z Rettem umowę, z której osobiście była zupełnie zadowolona. Miała nadzieję, że i on jest zadowolony, ale nie obchodziło to jej zbyt wiele.

Pewnego jednak popołudnia, kiedy poszła do doktora Meade po poradę w jakiejś żołądkowej dolegliwości, dowiedziała się nieprzyjemnej nowiny, którą trudno jej było odsunąć z myśli. Z prawdziwą nienawiścią w oczach wpadła o zmierzchu do sypialni i powiedziała Rettowi, że spodziewa się dziecka.

Leżał w jedwabnym szlafroku, otoczony kłębami dymu, i gdy to mówiła, oczy jego badawczo, spoczywały na jej twarzy. Nic jednak nie powiedział. Obserwował ją w milczeniu, ale postawa jego, gdy czekał jej następnych słów, wyrażała napięcie, które uszło uwagi Scarlett. Oburzenie i rozpacz pochłaniały ją tak dalece, że nie miała czasu na inne myśli.

— Wiesz dobrze, że nie chcę więcej dzieci! Nigdy w ogóle nie chciałam mieć dzieci. Ilekroć zaczyna mi być dobrze na świecie, zjawia się dziecko! Och, nie siedź tak spokojnie i nie śmiej się! I ty przecież nie chcesz dziecka! Och, Matko święta!

Jeżeli rzeczywiście czekał na jej słowa, nie tych się spodziewał. Twarz jego spochmurniała trochę i oczy stały się posępne.

— A więc dlaczego byś nie miała go oddać Meli? Mówiłaś mi przecie, że ona jest taka nierozsądna, iż pragnie drugiego dziecka?

— Och, miałabym ochotę cię zabić! Nie chcę go, mówię ci, że go nie chcę!

— Nie? No, i co z tego?

— Och, są na to sposoby. Nie jestem już głupią wieśniaczką, jaką byłam dawniej. Teraz wiem. że kobiety nie muszą mieć dzieci, jeżeli nie chcą! Są sposoby...

Zerwał się na nogi i chwycił ją za ręce. a twarz jego wyrażała obłędny strach.

— Scarlett. ty głupia, powiedz mi prawdę! Czy zrobiłaś coś takiego?

— Nie. nie zrobiłam, ale mam zamiar. Czy przypuszczasz, że pozwolę, aby mi się figura znowu popsuła, teraz właśnie, kiedy wreszcie jestem szczupła w pasie i dobrze się bawię, i...

— Kto ci poddał tę myśl? Kto ci o tym powiedział?

— Mamie Bart... ona...

— Oczywiście, że „ciocia” z domu publicznego zna takie sztuki! Ta kobieta nie przestąpi więcej progu tego domu. rozumiesz? Ostatecznie to mój dom i ja tu jestem panem. Nie będę nawet więcej z nią rozmawiał.

— Zrobię, jak mi się podoba. Puść mnie. Co cię to może obchodzić?

— Nie obchodzi mnie. czy będziesz miała jedno dziecko, czy tuzin, ale obchodzi twoje życie czy śmierć.

— Śmierć? Moja?

— Tak, śmierć. Nie przypuszczam, aby Mamie Bart powiedziała ci, na co się naraża kobieta, która robi podobne rzeczy.

— Nie — rzekła Scarlett niechętnie. — Powiedziała tylko, że to by zapobiegło wszystkiemu.

— Na Boga, zabiję tę babę! — krzyknął Rett. a twarz poczerniała mu z pasji. Spojrzał na zalaną łzami twarz Scarlett i gniew trochę mu przeszedł, ale twarz pozostała jeszcze zacięta i zła. Nagle wziął ją w ramiona i usiadł z nią na krześle, trzymając ją blisko przy sobie, mocno, jak gdyby się bał, że może mu się wyrwać.

— Słuchaj, dziecinko, nie chcę, abyś narażała życie. Czy słyszysz? Dobry Boże, nie chcę dzieci tak samo jak ty, ale mogę sobie pozwolić na ich wychowanie. Nie chcę już więcej słyszeć głupstw na ten temat, a jeżeli ośmielisz się spróbować... Scarlett, byłem świadkiem śmierci pewnej dziewczyny, która umarła od tego. Była tylko... mniejsza z tym. ale była dobrą dziewczyną. To nie jest lekka śmierć.

— Ależ Rett! — zawołała, mimo zmartwienia poruszona do głębi wzruszeniem w jego głosie. Nigdy nie widziała go w podobnym stanie. — Gdzie, kto...

— W Nowym Orleanie, och, dużo lat temu. Byłem młody i wrażliwy. — Pochylił nagle głowę i dotknął wargami jej włosów. — Będziesz miała dziecko, Scarlett, choćbym miał cię przykuć do siebie kajdanami na najbliższych dziewięć miesięcy.

Usiadła mu na kolanach i popatrzyła w twarz ze szczerą ciekawością. Pod jej spojrzeniem twarz ta stała się nagle nieodgadniona i uprzejma, jak gdyby magicznym sposobem wyprana ze wzruszenia. Brwi Retta podniosły się, a jeden kącik ust opadł.

— Czy naprawdę znaczę dla ciebie tak wiele? — zapytała spuszczając powieki.

Rzucił jej przenikliwe spojrzenie, jak gdyby chcąc ocenić, ile kokieterii kryje się pod tym pytaniem. Wyczytawszy prawdziwą jej intencję, odpowiedział obojętnie:

— No owszem. Widzisz, ulokowałem w tobie dość dużo pieniędzy i nie chciałbym ich stracić.

Melania wyszła z pokoju Scarlett zmęczona napięciem, ale rozczulona do łez narodzinami córki Scarlett. Rett stał w hallu, bardzo zdenerwowany, otoczony niedopałkami cygar, które powypalały dziury w kosztownym dywanie.

— Może pan już wejść, kapitanie — rzekła nieśmiało.

Wyminąwszy ją szybko Rett wszedł do pokoju. Przez krótką chwilę, zanim doktor Meade zamknął drzwi, Melania widziała, jak się pochylał nad nagim noworodkiem, którego Mammy trzymała na rękach. Melania opadła na fotel i twarz jej zaróżowiła się ze zmieszania, że przypadkiem stała się świadkiem tak intymnej sceny.

„Ach! — myślała. — Jakie to wzruszające! Jak się biedny kapitan Butler niepokoił! I przez cały ten czas nie wypił ani kropelki! Jak to ładnie z jego strony. Zdarzają się mężczyźni, którzy są zupełnie wstawieni, kiedy dzieci ich przychodzą na świat. Zdaje mi się jednak, że kieliszek wódki bardzo by mu się przydał. Czy mam mu o tym powiedzieć? Nie, to byłoby zbyt niedelikatne z mej strony”

Rozsiadła się wygodniej w fotelu, bo plecy, ostatnio stale obolałe, sprawiały jej teraz ból, jak gdyby miały w pasie pęknąć na dwoje. Och, jakże szczęśliwa była Scarlett, że kapitan Butler stał za jej drzwiami, podczas gdy rodziła. Gdyby Ashley był przy niej owego strasznego dnia narodzin Beau, nie byłaby wcale cierpiała. Gdybyż ta maleńka dziewczynka za zamkniętymi drzwiami była jej, a nie Scarlett! „Och, jakaż ja jestem podła — pomyślała ze skruchą. — Zazdroszczę Scarlett dziecka, mimo że była dla mnie taka dobra. Przebacz mi, Panie. Nie chciałabym wcale dziecka Scarlett, ale... ale tak bardzo bym chciała mieć jeszcze jedno własne!”

Podsunęła małą poduszeczkę pod swoje bolące plecy i zaczęła myśleć o upragnionej własnej córeczce. Doktor Meade nie odstępował jednak od swego zdania w tej sprawie. I chociaż ona chętnie by naraziła życie dla dziecka, Ashley nie chciał o tym słyszeć. Córka... Jakżeby Ashley kochał córkę!

Córka! Na miłość boską! Wyprostowała się z niepokojem. Nie powiedziała nawet kapitanowi Butlerowi, że to córka! A on oczywiście oczekiwał chłopca. Och, jakie to straszne!

Melania wiedziała, że dla kobiety każde dziecko jest jednakowo drogie, ale dla mężczyzny, zwłaszcza tak despotycznego jak kapitan Butler, dziewczynka będzie ciosem, skazą na jego męskości. Och, jakże wdzięczna była Bogu za to, że pozwolił, aby jej jedyne dziecko było chłopcem! Wiedziała, że gdyby to ona była żoną groźnego kapitana Butlera, wolałaby raczej umrzeć przy porodzie, niż obdarzyć go córką jako pierworodną.

Mammy jednak, która przyczłapała uśmiechnięta z sypialni, uspokoiła jej obawy — Melania zaczęła się więc zastanawiać, jakiego rodzaju człowiekiem jest właściwie kapitan Butler.

— Kiedy kąpałam teraz to dziecko — zaczęła Mammy — przeprosiłam pana Retta, że to nie chłopiec. Ale czy wie pani, Miss Melu, co powiedział? Powiedział: „Uspokój się, Mammy! Któż by chciał chłopca? Chłopcy nie są zabawni. Człowiek ma z nimi tylko kłopoty. Dziewczynki, to zupełnie co innego. Nie zamieniłbym tej małej na cały tuzin chłopców”. Potem chciał zabrać ode mnie to dziecko, naguteńkie, jak było, a ja uderzyłam go po ręce i powiedziałam: „Jak się pan zachowuje, panie Recie! Poczekamy, aż przyjdzie chłopiec, i wtedy się będę śmiała, bo pan będzie krzyczał z radości”. A on się uśmiechnął, potrząsnął głową i powiedział:

„Mammy, jesteś niemądra. Chłopcy są do niczego: czy ja nie jestem tego dowodem?” Tak, Miss Melu, zachował się, jak przystało na dżentelmena — zakończyła Mammy łaskawie. Melania zauważyła, że dzięki swemu postępowaniu Rett bardzo wiele zyskał w oczach Mammy. — Może ja się troszkę myliłam co do pana Retta. To bardzo szczęśliwy dzień dla mnie, pani Melu. Przewijałam już trzy pokolenia dziewczynek w rodzinie Robillardów... to bardzo szczęśliwy dla mnie dzień.

— O tak, szczęśliwy dzień, Mammy! Najszczęśliwsze są dni, kiedy rodzą się dzieci!

Dla jednej osoby w domu dzień ten nie był szczęśliwy. Łajany i prawie zupełnie zapomniany, Wade Hampton kręcił się smutnie po jadalni. Z rana Mammy obudziła go nagle, ubrała pośpiesznie i posłała z Ellą na śniadanie do ciotki Pitty. Wytłumaczono mu jedynie, że matka jego jest chora i że hałas może jej zaszkodzić. W domu ciotki Pitty panowało zamieszanie, bo wiadomość o chorobie Scarlett sprawiła, że starsza pani poczuła się słabo i położyła do łóżka, a kucharka musiała ją pielęgnować, śniadanie zaś było bardzo skromne, bo przygotował je dla dzieci wuj Piotr. Wraz z mijaniem godzin, Wade'a zaczęły ogarniać obawy. A jeżeli mamusia umrze? Matki innych chłopców umierały przecież. Widział karawany zajeżdżające przed domy i słyszał łkania swoich małych przyjaciół. A jeżeli jego mamusia także umrze? Wade bardzo kochał swoją matkę, prawie tak bardzo, jak się jej obawiał, i myśl, że wywiozą ją w czarnym karawanie, zaprzężonym w czarne konie z pióropuszami, sprawiła mu taki ból, że serce mu się ścisnęło i ledwie mógł oddychać.

Kiedy przyszło południe i Piotr zajęty był w kuchni, Wade wyśliznął się przez drzwi frontowe i gnany wielkim strachem pobiegł do domu tak szybko, jak mu na to pozwoliły jego krótkie nóżki. Wuj Rett, ciocia Mela lub Mammy z pewnością powiedzą mu prawdę. Ale wuja Retta ani cioci Meli nie było widać, a Mammy i Dilcey wbiegały i zbiegały po kuchennych schodach z ręcznikami i miednicami gorącej wody i nie zauważyły go wcale we frontowym hallu. Z góry, ilekroć otwierały się drzwi, słyszał krótkie rozkazy doktora Meade. Raz usłyszał jęk matki, wybuchnął więc płaczem przerywanym czkawką. Czuł, że matka umrze. Na pocieszenie zaczął rozmawiać z żółtym kotem, który leżał w słońcu na parapecie okna. Tom jednak, sędziwy i lubiący spokój, naprężył ogon i począł cicho parskać.

Wreszcie jednak Mammy, zszedłszy po frontowych schodach w zgniecionym i zaplamionym fartuchu, w przekrzywionej chustce na głowie, zauważyła go i zasępiła się groźnie. Mammy była zawsze podporą Wade'a, więc mina jej napełniła go przerażeniem.

— Jesteś najgorszym chłopcem, jakiego znam — powiedziała.- Posłałam cię przecież do panny Pitty! Wracaj tam zaraz!

— Czy mamusia, czy mamusia umrze?

— Jesteś najnieznośniejszym dzieckiem pod słońcem! Umrze? Na Boga, nie! Boże, cóż to za chłopiec! Nie rozumiem, po co Pan Bóg daje ludziom małych chłopców. A teraz wynoś mi się stąd w tej chwili!

Wade jednak został. Schował się za portierę w hallu, na wpół tylko przekonany o prawdzie słów Mammy. Uwaga, że chłopcy są nieznośni, dotknęła go bardzo, ponieważ zawsze starał się być grzeczny. W pół godziny później zeszła na dół ciocia Mela, blada i zmęczona, ale uśmiechnięta. Przeraziła się prawie, kiedy w cieniu draperii zauważyła zrozpaczoną twarzyczkę Wade'a. Zwykle ciocia Mela nie szczędziła mu czasu. Nigdy nie mówiła tak jak mamusia: — Nie przeszkadzaj mi teraz. Spieszę się — albo: — Zmykaj, Wade. Jestem zajęta.

Teraz jednak nawet ciocia Mela powiedziałam — Wade, jesteś bardzo niegrzeczny. Dlaczego nie zostałeś u cioci Pitty?

— Czy mamusia umrze?

— Ale skądże znowu. Wade! Nie bądź głuptaskiem — i potem, łagodniej: — Doktor Meade przed chwilą przyniósł jej małe śliczne dziecko, małą siostrzyczkę, z którą będziesz się bawił, a jeżeli będziesz bardzo grzeczny, zobaczysz ją może dziś wieczorem. A teraz baw się, ale nie hałasuj.

Wade wsunął się do cichej teraz jadalni. Mały jego i niepewny świat zadrżał w posadach. Czy w ten słoneczny dzień, kiedy dorośli zachowywali się tak dziwnie, nigdzie na świecie nie było miejsca dla strapionego siedmioletniego chłopca? Usiadł w niszy na parapecie okna i zaczął skubać listki nasturcji rosnącej w skrzynce na słońcu. Były tak pieprzne. że łzy zakręciły mu się w oczach i zaczął płakać. Mama prawdopodobnie umiera, nikt na niego nie zwraca uwagi, przejęci są tym nowym dzieckiem — dziewczynka w dodatku. Wade nie interesował się dziećmi, zwłaszcza dziewczynkami. Jedyną małą dziewczynką, jaką znał, była Ella, która jak dotąd nie potrafiła zjednać sobie jego szacunku czy sympatii.

Po dłuższym czasie zeszli z góry doktor Meade z wujem Rettem i stanęli w hallu rozmawiając przyciszonym głosem. Kiedy drzwi zamknęły się za doktorem, wuj Rett szybko wszedł do jadalni, nalał sobie whisky z karafki i wtedy dopiero zauważył Wade'a. Wade cofnął się przygotowany, że znowu usłyszy, iż jest niegrzeczny i powinien wracać do ciotki Pitty, zamiast tego jednak wuj Rett uśmiechnął się do niego. Wade nigdy nie widział go tak uśmiechniętego i rozradowanego, więc ośmielony, zeskoczył z okna i podbiegł ku niemu.

— Masz siostrzyczkę — rzekł Rett obejmując go. — Daję słowo, że to najpiękniejsze dziecko, jakie widziałem! Co to, dlaczego płaczesz?

— Mamusia...

— Mamusia je teraz obfity obiad, kurczę w potrawce i kawę, a za chwilę zrobimy jej lody, i ty dostaniesz dużą porcję, jeżeli zechcesz. I pokaże ci także twoją siostrę.

Ogarnięty radością, Wade chciał powiedzieć coś miłego na temat tej nowej siostry, ale nie mógł. Wszyscy interesowali się tą dziewczynką. Nikt nie dbał już o niego — ani ciocia Mela, ani wuj Rett.

— Wuju Recie — zaczął — czy ludzie bardziej lubią małe dziewczynki, czy małych chłopców?

Rett odstawił szklankę i spojrzał przenikliwie w małą twarz dziecka, a wyraz zrozumienia pojawił się w jego oczach.

— Nie, tego bym nie powiedział — odrzekł poważnie, jak gdyby z głębokim zastanowieniem. — Tylko że dziewczynki są bardziej nieznośne niż chłopcy, więc ludzie muszą się nimi zajmować bardziej niż chłopcami.

— A Mammy dopiero co powiedziała, że chłopcy są nieznośni.

— No, Mammy pewnie była zmęczona. Nie mówiła serio.

— Wuju Recie, a czy wuj nie wolałby mieć małego chłopczyka zamiast małej dziewczynki? — zapytał Wade z nadzieją w głosie.

— Nie — odrzekł Rett szybko, ale widząc, że chłopczyk się zasępił, ciągnął dalej: — Dlaczego miałbym chcieć chłopca, kiedy mam już jednego.

— Naprawdę? — zapytał Wade i buzia aż otwarła mu się ze zdumienia. — Gdzie on jest?

— Właśnie tutaj — odrzekł Rett i podnosząc chłopca wziął go na kolana. — Ty mi zupełnie wystarczasz, synku.

Przez chwilę poczucie bezpieczeństwa i szczęście, że ktoś go lubi, były tak silne, iż Wade omal nie rozpłakał się znowu. Zaczął głośno przełykać ślinę i mocno przytulił główkę do piersi Retta.

— Jesteś przecież moim synkiem, prawda?

— Ale czy można... czy można być synkiem dwóch osób? — zapytał Wade, w którym wierność dla pamięci nigdy nie widzianego ojca walczyła o lepsze z miłością do człowieka, który go tak dobrze rozumiał.

— Tak — rzekł Rett stanowczo. — Tak samo możesz być synkiem twojej mamusi i cioci Meli.

Wade rozważał przez chwilę to zdanie. Wydało mu się rozsądne, uśmiechnął się więc i zaczął się nieśmiało ocierać o ramię Retta.

— Wuj rozumie małych chłopców, prawda, wuju?

Ciemna twarz Retta znowu przybrała dawny, surowy wyraz i wargi mu się skrzywiły.

— Tak — powiedział z goryczą — rozumiem małych chłopców.

Na chwilę Wade'a znowu ogarnęła obawa, obawa i pewnego rodzaju zazdrość. Wuj Rett nie myślał o nim, ale o kimś innym.

— Ale wuj nie ma innych synków, prawda, wuju?

Rett postawił go na podłodze.

— A teraz napijmy się czegoś razem, Wade. Będzie to twój pierwszy kieliszek wina w życiu, wypijemy toast na cześć twojej siostrzyczki.

— Więc wuj nie ma innych — zaczął Wade, a potem widząc, że Rett sięga po karafkę, przerwał podniecony, że i on będzie brał udział w tak niedziecinnym obrządku.

— Och, ale mnie nie wolno, wuju Recie! Przyrzekłem cioci Meli, że nie będę pił, póki nie skończę uniwersytetu, a jeżeli dotrzymam słowa, ciocia podaruje mi zegarek.

— A ja ci dam łańcuszek do zegarka... o, ten, który noszę, jeżeli ci się podoba — rzekł Rett i znowu zaczął się uśmiechać. — Ciocia Mela ma rację. Miała jednak na myśli wódkę, a nie wino. Powinieneś się nauczyć pić wino, jak przystało dżentelmenowi, synku, a teraz jest do tego najlepsza sposobność.

Wprawnym ruchem dolał do wina trochę wody z drugiej karafki, aż płyn stał się jasnoróżowy, i podał Wade'owi szklankę. W tej samej chwili do jadalni weszła Mammy. Przebrała się w najlepszą czarną suknię niedzielną, włożyła czysty fartuch i wykrochmaloną chustkę. Idąc ociężale, mocno poruszała biodrami — spod sukni słychać było szelest jedwabiu. Wyraz zafrasowania ustąpił z jej twarzy, uśmiechała się teraz, ukazując prawie bezzębne dziąsła.

— Prezent urodzinowy, panie Recie! — powiedziała.

Wade ze zdumienia przestał pić. Wiedział dobrze, że Mammy nie lubi jego ojczyma. Nigdy nie nazywała go inaczej niż „kapitan Butler” i odnosiła się do niego grzecznie, ale chłodno. Teraz zaś nagle uśmiechała się i wdzięczyła, i nazywała „panem Rettem”. Co za zwariowany dzień!

— Mammy pewnie woli rum od wina — powiedział Rett schylając się do kredensu i wyjmując pękatą butelkę. — Mała jest ślicznym dzieckiem, prawda, Mammy?

— Rozumie się, że ślicznym — odrzekła Mammy, głośno mlaskając po skosztowaniu trunku.

— Czy Mammy widziała kiedyś ładniejszą dziewczynkę?

— No, proszę pana, Miss Scarlett była prawie tak samo ładna, jak się urodziła, ale nie całkiem.

— Niech się Mammy napije jeszcze kieliszek. I, Mammy — ton jego był poważny, ale oczy mu się śmiały — co to ja za szum słyszę?

— Na Boga, panie Recie, to przecież tylko moja czerwona halka jedwabna! — Mammy zachichotała i zaczęła się wykręcać na wszystkie strony.

— Tylko halka! Nie wierzę. To brzmi jak szelest zeschłych liści. Proszę mi pokazać, czy to halka. Proszę podnieść suknię.

— Panie Recie, co też pan mówi! O, mój Boże złoty!

Mammy wydała krótki okrzyk, cofnęła się i z odległości kilku kroków skromnie podniosła suknię o parę cali, pokazując falbankę czerwonej taftowej halki.

— Dość długo namyślała się Mammy, czy ją włożyć — mruknął Rett, ale czarne jego oczy rzucały wesołe iskry.

— Tak, proszę pana, za długo.

Wtedy Rett powiedział coś, czego Wade nie zrozumiał.

— A więc już nie jestem mułem w końskiej uprzęży?

— Panie Recie, Miss Scarlett źle zrobiła mówiąc to panu! Nie gniewa się pan o to na starą Murzynkę?

— Nie. Nie gniewam się. Chciałem tylko wiedzieć. Niech się Mammy jeszcze kieliszek napije. Proszę sobie wziąć całą butelkę. Pij, Wade! Za co wypijemy?

— Za zdrowie siostrzyczki! — zawołał Wade i wychylił szklankę do dna. Zakrztusił się i zaczął kaszleć, a dwoje starszych ze śmiechem biło go po plecach.

Od chwili narodzin córki zachowanie Retta stało się tak zastanawiające, że ludzie musieli zmienić o nim wyrobiony pogląd, z którym zarówno miastu, jak i Scarlett trudno się było rozstać. Któż by bowiem mógł przypuszczać, że właśnie on będzie tak bezwstydnie, tak jawnie dumny ze swego ojcostwa? Zwłaszcza wobec kłopotliwej okoliczności, że pierwsze jego dziecko było dziewczynką, a nie chłopcem.

Ojcostwo stało się dla niego źródłem wciąż nowych wzruszeń. Budziło to tajemną zazdrość kobiet, których mężowie nie zajmowali się potomstwem od chwili chrztu dzieci. Rett zaczepiał znajomych na ulicy i opowiadał im szczegóły przedziwnego rozwoju małej, nie poprzedzając nawet swoich uwag pełnym hipokryzji, ale uprzejmym: — Wiem, że wszyscy rodzice uważają swoje dzieci za mądre, ale... — Uważał swoją córkę za dziecko niezwykłe, nie do porównania z innymi dziećmi, i wszystko mu było jedno, komu o tym mówił. Kiedy nowa niania dała dziecku do ssania kawałek tłuszczu z wieprzowiny i wywołała pierwszy w życiu dziewczynki atak kolek, postępowanie Retta wywołało wesołość doświadczeńszych ojców i matek. Spiesznie zawezwał doktora Meade i dwóch innych lekarzy i tylko z trudem zdołano go powstrzymać od wysmagania nieszczęsnej niani szpicrutą. Została jednak zwolniona i odtąd zaczęła się odbywać procesja piastunek, które zostawały w służbie co najwyżej tydzień. Żadna nie była odpowiednia i żadna nie zaspokajała wielkich wymagań Retta.

Mammy z niechęcią patrzyła na piastunki, które przychodziły i odchodziły, bo zazdrosna była o każdą obcą Murzynkę, która zjawiała się w domu. Nie widziała powodu, dlaczego nie miałaby się zajmować niemowlęciem tak samo jak Wade'em i Ellą. Mammy jednak starzała się i reumatyzm coraz bardziej krępował ciężkie jej kroki. Rettowi brakło odwagi, aby to podać jako przyczynę godzenia nowych niań. Powiedział jej jednak, że człowiek na jego stanowisku musi mieć więcej niż jedną piastunkę do dzieci. Jedna nie wystarczała. Postanowił zatem przyjąć dwie inne do cięższej roboty, a ją mianować nianią honorową. Takie ujęcie sprawy Mammy zrozumiała doskonale. Wielka ilość służących dobrze świadczyła o stanowisku zarówno Retta, jak i jej. Zapowiedziała wszakże, że nie dopuści, aby byle jakie wyzwolone Murzynki kręciły się jej koło dzieci. Rett napisał zatem do Tary po Prissy. Znał dobrze jej wady, ale ostatecznie należała do rodziny; wuj Piotr sprowadził zaś swoją wnuczkę cioteczną imieniem Lu, która należała niegdyś do kuzynów Pitty, Burrów z Macon.

Jeszcze zanim Scarlett wstała z połogu, zauważyła, jak bardzo Rett zajęty jest dzieckiem, i była trochę zawstydzona i zakłopotana, że nawet przed obcymi nie ukrywa swojej dumy z ojcostwa. Bardzo ładnie, że mężczyzna tak kochał swoje dziecko, ale okazywanie tej miłości było bardzo niemęskie. Rett powinien był raczej udawać obojętnego jak inni mężczyźni.

— Wystawiasz się na głupca — powiedziała ze złością — i najgorsze, wcale nie rozumiem, po co to robisz?

— Nie rozumiesz? Nie przypuszczam zresztą, abyś to mogła rozumieć. Powód jest prosty — jest to pierwsza osoba, która należy wyłącznie do mnie.

— Do mnie należy także.

— Nie, ty masz dwoje innych dzieci. Ona jest moja.

— Do stu piorunów! — rzekła Scarlett. — Ale ja ją urodziłam, prawda? A poza tym, kochanie, ja także należę do ciebie.

Rett popatrzył na nią znad czarnej główki dziecka i uśmiechnął się dziwnie.

— Czy rzeczywiście, moja droga?

Tylko wejście Melanii zapobiegło jednej z krótkich, gorących kłótni, które ostatnio łatwo między nimi wybuchały. Scarlett przełknęła swoje oburzenie i przyglądała się, jak Melania bierze dziecko na ręce. Dla dziewczynki zostały już obrane imiona Eugenia Wiktoria, tego popołudnia jednak Melania bezwiednie obdarzyła ją przezwiskiem, które tak do niej przylgnęło jak Pittypat do ciotki, w rzeczywistości noszącej imiona Sary Janiny.

Rett pochylając się nad dzieckiem powiedział: — Będzie miała oczy zielone jak groszek.

— Ale skądże znowu! — zawołała z oburzeniem Melania zapominając, że Scarlett miała oczy prawie tego samego koloru. — Oczy jej będą tak niebieskie, jak oczy pana O'Hary, tak niebieskie jak nasz sztandar, Bonnie Blue Flag.

— Bonnie Blue Butler — zaśmiał się Rett biorąc od Meli dziecko i patrząc uważnie w małe oczęta. Została więc Bonnie i nawet jej rodzice przestali pamiętać, że nazwana została imionami dwóch królowych.

## ROZDZIAŁ LI

Kiedy wreszcie Scarlett mogła znowu wychodzić, kazała Lu zasznurować sobie gorset możliwie najciaśniej. Potem objęła talię miarką calową. Dwadzieścia cali! Jęknęła głośno. Takie były skutki rodzenia dzieci. Miała teraz talię jak ciotka Pitty, ba! jak Mammy!

— Ściśnij mnie mocniej, Lu. Spróbuj ścisnąć tak, abym mierzyła w talii osiemnaście i pół cala, bo inaczej nie wejdzie na mnie żadna z moich sukien.

— Pękną sznurowadła — odparła Lu. — Utyła pani w stanie, Miss Scarlett, i nic się na to nie poradzi.

,,A właśnie, że się poradzi — myślała Scarlett prując z wściekłością szwy sukni, aby wypuścić potrzebne cale. — Nie będę miała więcej dzieci”.

Pewnie, że Bonnie była śliczna i że mogła być z niej dumna; pewnie, że Rett ubóstwiał dziecko — ale dzieci więcej mieć nie będzie. Jak miała temu zaradzić, właściwie nie wiedziała, bo Rettem nie mogła kierować tak łatwo jak Frankiem. Rett nie bał się jej wcale. Prawdopodobnie nie będzie to rzeczą łatwą, skoro Rett tak wariował za Bonnie. Za rok będzie pewnie chciał syna, chociaż twierdził, że utopiłby każdego chłopca, którego by mu urodziła. Na szczęście nie ma zamiaru dawać mu ani chłopców, ani dziewczynek. Troje dzieci wystarczy każdej kobiecie.

Kiedy Lu zafastrygowała odprute szwy, wyprasowała je i zapięła suknię, Scarlett kazała zaprzęgać i pojechała do tartaku. W drodze humor jej się poprawił i zapomniała o swojej talii, bo w tartaku miała zobaczyć Ashleya i sprawdzić z nim księgi. Jeżeli będzie miała szczęście, zobaczy go może sam na sam. Widziała go bardzo dawno temu, jeszcze na długo przed urodzeniem Bonnie. Nie chciała go widzieć od chwili, gdy ciąża jej stała się zanadto widoczna. Bardzo jej brakło codziennych z nim spotkań, chociaż nigdy nie bywała z nim sama. Brakło jej pracy i interesów, kiedy była uwięziona w domu. Pewnie, że teraz nie potrzebowała pracować. Mogła łatwo znaleźć nabywcę na tartaki, a pieniądze zainwestować dla Wade'a i Elli. To by jednak znaczyło, że musiałaby przestać widywać Ashleya, chyba że w towarzystwie, z mnóstwem ludzi dokoła. A praca przy boku Ashleya stanowiła teraz największą jej przyjemność.

Kiedy podjeżdżała do tartaku, zauważyła, że stosy drzewa piętrzą się wysoko i że stoi koło nich wielu klientów, rozmawiających z Hugonem Elsingiem. Murzyńscy woźnice ładowali drzewo na sześć zaprzężonych w muły wozów. „Sześć wozów — pomyślała z dumą. — I wszystko to zdobyłam sama!”

Ashley podszedł do drzwi małego biura, uradowany, że widzi ją znowu, pomógł jej wysiąść z powozu i wprowadził do biura, jak gdyby była królową.

Zasępiła się jednak trochę, kiedy sprawdziła księgi tartaku i porównała je z księgami Jana Galleghera. Ashley zaledwie pokrywał wydatki, gdy tymczasem Gallegher wykazywał znaczne dochody. Wstrzymała się od zrobienia jakiejkolwiek uwagi, Ashley jednak odczytał jej myśli.

— Bardzo mi przykro, Scarlett. Chciałbym cię jednak poprosić, abyś pozwoliła mi przyjąć wyzwolonych Murzynów zamiast więźniów. Pewien jestem, że mógłbym wtedy lepiej pracować.

— Murzynów! Ależ ich płace zrujnowałyby nas zupełnie! Więźniowie są bardzo tani. Skoro Gallegher wykazuje takie dochody zatrudniając więźniów...

Oczy Ashleya patrzyły w przestrzeń na coś, czego nie widziała, i radość z nich znikła.

— Nie mogę wyzyskiwać więźniów tak jak Gallegher. Nie mogę ich zamęczać.

— Do stu piorunów! Gallegher zmusza ich tylko do pracy. Ashleyu, jesteś po prostu zbyt łagodny. Powinieneś starać się, aby pracowali więcej. Gallegher mówił mi, że ilekroć jakiś symulant chce się zwolnić z pracy, mówi ci, że jest chory, i ty mu dajesz dzień urlopu. Na Boga, Ashleyu! W ten sposób nie można nic zarobić! Parę batów wyleczy prawie każdą chorobę z wyjątkiem może złamania nogi...

— Scarlett! Scarlett! Przestań! Nie mogę tego słuchać! — zawołał Ashley patrząc na nią z gwałtownością, która zbiła ją z tropu. — Czy nie rozumiesz, że to tylko ludzie. Niektórzy chorzy, niedożywieni, nieszczęśliwi i... Och, moja droga, nie mogę patrzeć na to, jak on cię brutalizuje, ciebie, która zawsze byłaś tak dobra...

— Kto? Co?

— Muszę to powiedzieć, choć nie mam żadnego prawa. Ale powiem ci jednak. Twój Rett Butler. Zatruwa wszystko, czego się tknie. Wziął ciebie, która byłaś tak łagodna, szlachetna i dobra, mimo że zawsze nieopanowana, i to z ciebie zrobił — zbrutalizował cię przez sam kontakt ze sobą.

— Och — westchnęła Scarlett, w której poczucie winy walczyło z radością, że Ashley tak głęboko się tym przejął, że jeszcze ciągle uważa ją za dobrą. Dzieli Bogu, iż sądził, że to z winy Retta zaczęła tak dusić grosze. Wprawdzie Rett nie miał z tym nic wspólnego i wina była wyłącznie jej, ale ostatecznie jeszcze jedna plama na reputacji nic Rettowi nie zaszkodzi.

— Gdyby to był jakikolwiek inny człowiek, nie przejmowałbym się tym tak bardzo, ale Rett Butler! Patrzę na to, co on z ciebie zrobił. Bez twojej wiedzy skierował twe myśli w to samo koryto bezwzględności, którym jego myśli płyną. O tak, wiem, że nie powinienem tego mówić... Uratował mi życie i jestem mu za to wdzięczny, ale bardzo żałuję, że nie zrobił tego ktokolwiek inny, a nie on! Nie mam może prawa w ten sposób do ciebie mówić...

— Och, Ashleyu, masz prawo... właśnie ty, nikt inny!

— Mówię ci, że nie mogę patrzeć, jak z delikatnej stajesz się pod jego wpływem twarda, nie mogę znieść świadomości, że piękność twoja i wdzięk są w mocy człowieka, który... Kiedy pomyślę, że on ciebie dotyka...

„Pocałuje mnie teraz! — myślała Scarlett w upojeniu. — I nie będzie w tym mojej winy!” Podała się ku niemu, on jednak cofnął się nagle, jak gdyby rozumiejąc, że powiedział zbyt wiele, że padły słowa, których nie miał zamiaru wypowiedzieć.

— Przepraszam cię najpokorniej, Scarlett. Dałem ci do zrozumienia, że nie uważam twego męża za dżentelmena, ale własne moje słowa stanowią dowód, że to ja nim nie jestem. Nikt nie ma prawa krytykować męża przed żoną. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, chyba to tylko... że... — Zaciął się i twarz jego zadrgała. Scarlett czekała z zapartym oddechem.

— Nie mam żadnego usprawiedliwienia.

Przez całą drogę do domu Scarlett była jak w gorączce. Nie miał nic na swoje usprawiedliwienie, chyba tylko że... chyba to, że ją kocha! I myśl, że Scarlett leży w ramionach Retta, wzbudzała w nim bunt, o który go nigdy nie byłaby posądzała. No, to można zrozumieć. Gdyby nie świadomość, że stosunki Ashleya z Melanią z konieczności stały się takie jak między bratem i siostrą, własne jej życie byłoby udręką... Uściski Retta brutalizowały ją, czyniły złą! A więc jeżeli Ashley tak uważa, doskonale potrafi się bez nich obejść! Myślała, jak to będzie romantycznie i cudownie, jeżeli oboje z Ashleyem będą sobie fizycznie wierni, chociaż poślubieni są innym. Myśl ta nie opuszczała jej — sprawiała jej wielką przyjemność. Poza tym rozwiązanie takie miało i stronę praktyczną — przestanie ją męczyć obawa przed nowym dzieckiem.

Kiedy dojechała do domu i odesłała powóz, radość, która ją wypełniała na słowa Ashleya, zaczęła blednąc, bo zrozumiała, że będzie musiała powiedzieć Rettowi, iż życzy sobie dwóch sypialni i tego wszystkiego, co za tym idzie. Nie będzie to rzecz łatwa. Ponadto zaś, jak powie Ashleyowi, że na jego prośbę przestała fizycznie obcować z Rettem? Jakież znaczenie miała ofiara, o której nikt nie miał wiedzieć? Jakim ciężarem była skromność i delikatność uczuć! Gdybyż to mogła rozmawiać z Ashleyem tak szczerze jak z Rettem! Ale mniejsza z tym. W jakiś sposób da Ashleyowi do zrozumienia, jaki jest prawdziwy stan rzeczy.

Poszła na górę i otworzywszy drzwi pokoju dziecinnego zastała Retta siedzącego przy kołysce Bonnie z Ellą na kolanach i przypatrującego się Wade'owi, który mu pokazywał zawartość swoich kieszeni. Jak to dobrze, że Rett lubił dzieci i umiał się nimi zajmować! Niektórzy przybrani ojcowie źle traktowali dzieci z poprzednich małżeństw żony.

— Chcę z tobą pomówić — powiedziała i przeszła do sypialni. Lepiej załatwić to teraz, kiedy postanowienie jej, że nie będzie miała więcej dzieci, było mocne, i kiedy świadomość miłości Ashleya dodawała jej sił.

— Rett — powiedziała bez wstępów, kiedy zamknął za sobą drzwi sypialni — postanowiłam nie mieć więcej dzieci.

Jeżeli był zdumiony nagłością tego oświadczenia, nie dał tego po sobie poznać. Wziął krzesło i siadając przechylił się na nim do tyłu.

— Kochanie, przed urodzeniem Bonnie powiedziałem ci, że mało mnie obchodzi, czy będziesz miała jedno dziecko, czy dwa tuziny.

Jak przebiegle z jego strony, że tak to odwrócił, jak gdyby zdając się zapominać, że przychodzenie na świat dzieci łączy się z inną sprawą.

— Uważam, że troje to dość. Nie mam zamiaru mieć za rok dziecka.

— Troje wydaje się i mnie liczbą wystarczającą.

— Wiesz bardzo dobrze — zaczęła i zarumieniła się ze zmieszania. — Wiesz dobrze, co mam na myśli.

— Wiem. Czy zdajesz sobie jednak sprawę, że mam prawo rozwieść się z tobą, ponieważ nie chcesz wypełniać obowiązków małżeńskich?

— Jesteś tak podły, że mógłbyś to rzeczywiście zrobić! — krzyknęła, zła, że wszystko idzie nie tak, jak sobie umyśliła. — Gdybyś był trochę bardziej rycerski, byłbyś... byłbyś tak przyzwoity jak... Popatrz tylko na Ashleya Wilkesa. Melania nie może mieć dzieci, więc on...

— Ashley jest dżentelmenem w każdym calu — rzekł Rett i oczy zaświeciły mu dziwnie. — Proszę cię, skończ swoją przemowę.

Scarlett przełknęła ślinę, bo przemowa jej była właściwie skończona i nie miała nic więcej do powiedzenia. Wiedziała teraz, że płonna była jej nadzieja, aby ważną tę sprawę załatwić po przyjacielsku — było to niemożliwe z egoistą takim jak Rett.

— Byłaś dziś w południe w tartaku, prawda?

— Co to ma z tym wspólnego?

— Prawda, że lubisz psy, Scarlett? Czy lubisz także takie, które i same nie gryzą kości, i innym nie dają?

Sens aluzji uszedł jej uwagi, tak była zła i rozczarowana. Rett wstał lekko z krzesła i podchodząc ku niej wziął ją pod brodę i podniósł jej twarz ku swojej.

— Jakie z ciebie dziecko, Scarlett! Żyłaś z trzema mężczyznami i jeszcze nic nie wiesz o naturze męskiej. Wydaje ci się, że mężczyźni podobni są do starszych pań w przejściowym wieku.

Uszczypnął ją od niechcenia w podbródek, po czym cofnął rękę. Podniósł jedną brew patrząc na nią przeciągle i chłodno.

— Scarlett, zrozum dobrze, proszę, to, co ci powiem. Gdyby twoje łóżko kryło dla mnie jeszcze jakiekolwiek ponęty, nie powstrzymałyby mnie od niego ani zamki, ani prośby. I nie wstydziłbym się niczego, co robię, ponieważ zawarłem z tobą umowę — umowę, której dotrzymałem, a którą ty teraz łamiesz. Niechaj łóżko twoje pozostanie czyste, moja miła.

— Czy chcesz powiedzieć — zawołała Scarlett z oburzeniem — że nie obchodzi cię wcale...

— Znudziłem ci się, prawda? A więc wiedz, że mężczyźni nudzą się o wiele łatwiej niż kobiety. Zachowaj swoją cnotę, Scarlett. To nie sprawi mi żadnej przykrości. To nie ma znaczenia — wzruszył ramionami i zaśmiał się złośliwie. — Na szczęście świat pełen jest łóżek, z których większość pełna jest kobiet...

— Czy to ma znaczyć, że byłbyś zdolny do...

— Ach, moje niewiniątko! Ależ oczywiście. To cud, że dotąd nie pobłądziłem. Nigdy nie uważałem wierności za cnotę.

— Będę się zamykała co nocy na klucz!

— Ale po co? Gdybym cię pragnął, żaden zamek nie mógłby mnie powstrzymać.

Odwrócił się, jak gdyby temat został wyczerpany, i wyszedł z pokoju. Scarlett słyszała, że wrócił do dzieci, które powitały go z radością. Usiadła. Przeprowadziła to, czego chciała. Chcieli tego oboje z Ashleyem. Mimo to wcale nie była zadowolona. Próżność jej była zraniona, złościło ją też, że Rett przyjął to wszystko tak lekko, że nie pragnął jej, że przyrównał jej osobę do innych kobiet w innych łóżkach.

Miała zamiar obmyślić, jak w delikatny sposób powiedzieć Ashleyowi, że ona i Rett przestali właściwie być mężem i żoną. Wiedziała jednak, że nie zdobędzie się na to. Teraz wszystko wydało jej się bardzo skomplikowane i żałowała trochę, że w ogóle poruszyła tę sprawę. Brak jej będzie długich zabawnych rozmów z Rettem — w łóżku, gdy w ciemności żarzył się ogieniek jego cygara. Będzie jej brak objęcia jego ramion, gdy budziła się w przerażeniu ze snu, w którym wydawało jej się, że biegnie przez zimną mgłę.

Poczuła się nagle bardzo nieszczęśliwa i opierając głowę o poręcz fotela zaczęła płakać.

## ROZDZIAŁ LII

Pewnego deszczowego popołudnia, wkrótce po pierwszych urodzinach Bonnie, Wade krążył po salonie, od czasu do czasu podchodząc do okna i płaszcząc nos na ociekającej wodą szybie. Był szczupłym, wątłym chłopcem, małym jak na swoje osiem lat, spokojnym i tak nieśmiałym, że nigdy pierwszy nikogo nie zagadnął. Nudził się wyraźnie i nie miał się z kim bawić, bo Ella zajęta była w kącie lalkami. Scarlett siedziała przy biurku i mruczała coś do siebie, dodając długą kolumnę cyfr, a Rett leżał na podłodze i poruszał zegarkiem na długim łańcuszku, tak aby Bonnie nie mogła go schwytać.

Wade brał do ręki kolejno rozmaite książki. Rzucał je na stół z hałasem i głęboko wzdychał, aż wreszcie Scarlett zwróciła się do niego z irytacją.

— Na miłość boską, Wade! Idź na dwór i baw się!

— Nie mogę. Deszcz pada.

— Naprawdę? Nie zauważyłam. No więc, rób coś innego. Denerwujesz mnie, kiedy się tak kręcisz. Powiedz Porkowi, aby zaprzągł konie i zawiózł cię do Beau.

— Beau nie ma w domu — westchnął Wade. — Jest na urodzinach u Raula Picarda.

Raul był małym synkiem Maybelle i Rene Picardów — obrzydliwym dzieciakiem, zdaniem Scarlett, bardziej podobnym do małpy niż do dziecka.

— No więc, idź gdzie indziej, do kogo chcesz. Biegnij po Porka.

— Nikogo nie ma dziś w domu — odrzekł Wade. — Wszyscy są na urodzinach.

Nie wypowiedziane słowa: „Wszyscy — z wyjątkiem mnie” wisiały w powietrzu. Scarlett jednak, zajęta księgami, nie zwróciła na nie uwagi.

Rett wyprostował się do pozycji siedzącej i zapytał: — A ty dlaczego nie jesteś na zabawie, synku?

Wade podszedł do niego powłócząc nogami i wyglądając bardzo żałośnie.

— Nie zaproszono mnie, wuju.

Rett oddał zegarek na pastwę Bonnie i lekko wstał z podłogi.

— Zostaw te przeklęte rachunki, Scarlett. Dlaczego Wade nie był zaproszony na te urodziny?

— Na miłość boską, Rett, nie zawracaj mi teraz głowy! Ashley strasznie te rachunki zagmatwał... Och, na te urodziny? To nic niezwykłego, że Wade nie został zaproszony, zresztą nie pozwoliłabym mu pójść, gdyby nawet chciał. Nie zapominaj, że Raul jest wnukiem pani Merriweather, a ona raczej zaprosiłaby do swego świętego salonu wyzwolonych Murzynów, niż kogoś z nas.

Rett przyglądając się badawczo twarzyczce Wade'a spostrzegł, że chłopiec się wzdrygnął.

— Chodź tutaj, synku — powiedział przyciągając go do siebie. — Czy chciałeś być na tej zabawie?

— Nie, wuju — rzekł Wade odważnie, ale spuścił oczy.

— Hm. Powiedz mi, Wade, czy chodzisz do Józia Whitinga, Franka Bonnella, czy ... no, do któregokolwiek z twoich kolegów?

— Nie, wuju. Niezbyt często jestem zapraszany.

— Wade, mówisz nieprawdę! — zawołała Scarlett odwracając się od biurka. — Byłeś na trzech zabawach w zeszłym tygodniu, u Bartów, Gelertów i Hudonów.

— Tak doborowa kolekcja mułów w końskiej uprzęży, jaką tylko mogłaś zgromadzić — rzekł Rett przeciągając. — Czy dobrze się tam bawiłeś? Mów.

— Nie, wuju.

— Dlaczego nie?

— Ja... ja nie wiem, wuju. Mammy... Mammy mówi, że to biała hołota.

— Nawymyślam Mammy w tej chwili! — zawołała Scarlett zrywając się z krzesła. — A ty, Wade, nie śmiej odzywać się w ten sposób o znajomych mamusi...

— Chłopiec ma rację, tak samo jak Mammy — rzekł Rett. — Ale, oczywiście, ty nigdy nie potrafisz ocenić prawdy... Nie martw się, synku. Nie będziesz chodził na te zabawy, jeżeli nie masz chęci. Masz tutaj — wyciągnął z kieszeni banknot — powiedz Porkowi, aby zaprzęgał i zawiózł cię do miasta. Kup sobie cukierków — masę, tyle, aby cię po nich rozkosznie rozbolał brzuszek.

Wade, rozpromieniony, włożył pieniądze do kieszeni i spojrzał niespokojnie na matkę. Ona jednak ze zmarszczonym czołem obserwowała Retta. Podniósł Bonnie z podłogi i przyciskał do swojej twarzy jej małą buzię. Scarlett nie mogła odczytać jego myśli, ale w oczach jego odmalował się jak gdyby strach — strach i wyrzut.

Wade, zachęcony szczodrością ojczyma, nieśmiało podszedł do niego.

— Wuju Recie, czy mogę o coś zapytać?

— Rozumie się. — Rett mocno przyciskał do siebie główkę Bonnie. Spojrzenie jego było zatroskane i dalekie. — O co chodzi, Wade?

— Wuju Recie, czy wuj... czy wuj był na wojnie?

Oczy Retta ożywiły się, popatrzył na Wade'a badawczo, ale głos jego zabrzmiał obojętnie.

— Dlaczego pytasz o to, synku?

— No, bo Józio Whiting powiedział, że wuj nie był, i to samo mówi Franek Bonnell.

— Ach — rzekł Rett — a ty, co im na to powiedziałeś?

Wade posmutniał.

— Ja powiedziałem, że nie wiem. — I z nagłym ożywieniem: — Ale w każdym razie zbiłem ich za to. Ale czy wuj był na wojnie, wuju?

— Tak — rzekł Rett z nagłą gwałtownością. — Byłem na wojnie. Byłem w wojsku przez osiem miesięcy. Walczyłem wszędzie, począwszy od Lovejoy aż do Franklinu w Tennessee. I byłem w pułku Johnstona, kiedy generał skapitulował.

Wade promieniał z dumy, ale Scarlett zaczęła się śmiać.

— Wydawało mi się dotąd, że wstydzisz się swoich czynów wojennych — powiedziała. — Czy nie mówiłeś mi wiele razy, abym je zatajała?

— Cicho — powiedział krótko. — Czy to ci wystarcza, Wade?

— O, tak, wuju! Ja zresztą byłem pewien, że wuj był na wojnie. Wiedziałem, że wuj nie stchórzył, tak jak oni mówią. Ale, ale dlaczego wuj nie był z ojcami innych chłopczyków?

— Ponieważ ojcowie innych chłopczyków byli takimi niedołęgami, że wcielono ich do piechoty. Ja skończyłem szkołę w West Point, więc byłem w artylerii. W regularnej artylerii, nie w gwardii stanowej. Trzeba bardzo dużo umieć, aby być w artylerii, Wade.

— Rozumie się — rzekł Wade, radośnie uśmiechnięty. — A czy wuj był ranny, wuju?

Rett zawahał się.

— Opowiedz mu o swojej dyzenterii — zadrwiła Scarlett.

Rett ostrożnie postawił dziecko na podłodze i wyciągnął koszulę zza paska spodni.

— Chodź tutaj, Wade, to ci pokażę, gdzie miałem ranę.

Wade zbliżył się zaciekawiony i popatrzył na miejsce, które mu Rett wskazywał. Długa wypukła blizna szła przez jego brązową pierś, aż za muskularny żołądek. Była to pamiątka rozprawy nożowej w kalifornijskich kopalniach złota, ale o tym Wade nie wiedział. Oddychał teraz głęboko z widoczną ulgą.

— Sądzę, że wuj był równie odważny jak mój ojciec, wuju.

— Prawie, ale niezupełnie — rzekł Rett wsuwając koszulę w spodnie. — No, a teraz biegnij wydać swego dolara i nabij porządnie każdego chłopca, który ośmieli się powiedzieć, że nie byłem w wojsku.

Wade wybiegł tańcząc z radości i wołając Porka, a Rett znowu podniósł Bonnie.

— No, i po co te wszystkie kłamstwa, mój odważny żołnierzyku? — zapytała Scarlett.

— Chłopiec powinien być dumny ze swego ojca czy ojczyma. Nie mogę dopuścić do tego, aby wstydził się mnie przed innymi dziećmi. Dzieci to okrutne stworzenia.

— Och, zawracanie głowy!

— Nigdy nie myślałem o tym, jakie to ma dla Wade'a znaczenie — rzekł Rett powoli. — Nigdy nie myślałem, że może tak cierpieć. I nie chcę, aby to samo powtórzyło się z Bonnie.

— Co takiego?

— Czy wydaje ci się, że dopuszczę, aby moja Bonnie wstydziła się swego ojca? Aby nie była zapraszana na zabawy, kiedy będzie miała dziewięć czy dziesięć lat? Czy wydaje ci się, że dopuszczę, aby jak Wade znosiła upokorzenia za rzeczy, które nie są jej winą, ale twoją i moją?

— Och, ważne mi zabawy dziecinne!

— Zabawy dziecinne przeistaczają się w pierwsze bale dla panienek na wydaniu. Czy sądzisz, że dopuszczę, aby moja córka wyrastała poza nawiasem wszystkiego, co przyzwoite w Atlancie? Nie wyślę jej do szkoły na Północ ani w podróż, dlatego że nie zechcą jej przyjmować tutaj ani w Charlestonie, Savannah czy Nowym Orleanie. I nie chcę, aby zmuszona była poślubić Jankesa czy cudzoziemca, dlatego, że nie zechce jej żadna przyzwoita rodzina z Południa... bo matka jej była idiotką a ojciec łajdakiem.

Wade, który wrócił od drzwi, był zainteresowanym, ale zdumionym słuchaczem tej rozmowy.

— Bonnie może wyjść za mąż za Beau, wuju.

Gniew znikł z twarzy Retta, gdy odwrócił się do chłopczyka. Zdawał się słowa jego rozważać z wielką powagą, która cechowała go zwykle, gdy rozmawiał z dziećmi.

— To prawda, Wade. Bonnie może wyjść za Beau Wilkesa, ale z kim ty się ożenisz?

— Och, ja się wcale nie ożenię — rzekł Wade szczerze, lubując się w tej poważnej rozmowie z jedynym człowiekiem, który, poza ciocią Melą, nigdy go nie łajał, a zawsze ośmielał. — Ja pójdę do Harvardu i będę prawnikiem, jak mój ojciec, a potem będę dzielnym żołnierzem, także jak on.

— Szkoda, że Mela nie umie milczeć! — zawołała Scarlett. — Wade, nie pójdziesz do Harvardu. To jankeska uczelnia, a ja nie chcę, abyś chodził na jankeski uniwersytet. Będziesz chodził na Uniwersytet Georgijski, a jak skończysz, będziesz prowadził sklep. A co się tyczy tego, że twój ojciec był dzielnym żołnierzem...

— Cicho — rzekł Rett, którego uwagi nie uszedł blask w oczach Wade'a, gdy mówił o nie znanym mu ojcu. — Wyrośnij tylko i bądź dzielnym człowiekiem jak twój ojciec, Wade. Bądź taki jak on, bo on był bohaterem. Nie pozwalaj też, aby ktoś podawał to w wątpliwość. Ożenił się przecież z twoją matką, prawda? To już jest dostatecznym dowodem bohaterstwa. Ja zaś postaram się o to, abyś pojechał do Harvardu i został prawnikiem. No, a teraz leć i powiedz Porkowi, aby cię zabrał do miasta.

— Byłabym ci wdzięczna, gdybyś mnie pozostawił wychowanie moich dzieci! — zawołała Scarlett, kiedy Wade posłusznie wyszedł z pokoju.

— Bardzo z ciebie kiepska wychowawczyni. Popsułaś wszelkie szansę życiowe Elli i Wade'a, nie pozwolę ci jednak tego samego zrobić z Bonnie. Bonnie będzie małą księżniczką i wszyscy na świecie będą się ubiegać o jej względy. Nie będzie takiego domu, do którego by jej nie zapraszano. Dobry Boże, czy sądzisz, że gdy dorośnie, pozwolę jej bratać się z hołotą, która zapełnia ten dom?

— Ludzie ci są dostatecznie dobrym towarzystwem dla ciebie...

— I o wiele za dobrym dla ciebie, kochanie. Ale nie dla Bonnie. Czy przypuszczasz, że pozwoliłbym jej wyjść za któregoś z tej bandy przybłędów, z którymi ty czas spędzasz? Irlandczycy na dorobku, Jankesi, biała nędza, parweniusze, Carpetbaggerzy... Moja Bonnie, w której płynie krew Butlerów i Robillardów...

— O'Harowie...

— O'Harowie byli może niegdyś królami Irlandii, ale ojciec twój był tylko sprytnym irlandzkim dorobkiewiczem. A ty jesteś nie lepsza... Mojej winy także jest w tym dużo. Przechodziłem przez życie ślepo, nie dbając nigdy o to, co robię, ponieważ nic mnie nigdy nie obchodziło. Bonnie mnie jednak obchodzi. Boże, jakimże ja byłem głupcem! Bonnie nie będzie przyjmowana w towarzystwie charlestońskim, bez względu na to, jaką rolę odgrywa w nim moja matka czy twoje ciotki Eulalia i Paulina — i jasne, że nie będzie przyjmowana także tutaj, chyba że zaradzimy temu natychmiast.

— Och, Rett, tak się tym przejąłeś, że to aż śmieszne. Z naszymi pieniędzmi...

— Licho niech porwie nasze pieniądze! Za pieniądze nie kupimy tego, co sobie dla niej wymarzyłem. Wolę, aby Bonnie była zapraszana na kawałek suchego chleba w ubogim domu Picardów czy w rozwalonej stodole pani Elsing, niż aby była królową balu republikańskiego. Scarlett, byłaś idiotką. Powinnaś była zapewnić swoim dzieciom miejsce w towarzystwie już wiele lat temu, a nie zrobiłaś tego. Nie starałaś się nawet utrzymać tej pozycji, jaką sama miałaś. I trudno mieć nadzieję, abyś reputację swoją zdołała jeszcze naprawić. Zanadto lubisz pieniądze i z dokuczania ludziom czerpiesz za wiele przyjemności.

— Uważam całą tę sprawę za burzę w szklance wody — rzekła Scarlett chłodno, szeleszcząc papierami, aby dać do zrozumienia, że uważa dyskusję za skończoną.

— Mamy jedynie panią Wilkes po naszej stronie, a ty robisz, co możesz, aby i ją ranić i obrażać. Och, zaoszczędź mi uwag o jej ubóstwie i wyświeconych sukniach. Ona jest duszą i ośrodkiem wszystkiego, co cenne w Atlancie. Bogu niechaj będą za nią dzięki. Ona pomoże mi wszystkiemu zaradzić.

— A co masz zamiar zrobić?

— Zrobić? Będę nadskakiwał każdemu smokowi żeńskiego rodzaju ze starej gwardii tego miasta, zwłaszcza zaś pani Merriweather, pani Elsing, pani Whiting i pani Meade. Gdybym miał się nawet czołgać na czworakach przed każdą grubą babą, która mnie nie cierpi, zrobię to. Będę pokornie znosił ich chłód i udawał, że żałuję swoich złych postępków. Będę wspierał ich głupie cele dobroczynne i będę chodził do ich nudnych kościołów. Przyznam się do swoich zasług dla Konfederacji i będę się nimi głośno chwalił, a jeżeli zajdzie tego potrzeba, przyłączę się do ich przeklętego Klanu. Chociaż mam nadzieję, że miłosierny Bóg nie skarze mnie aż tak ciężko. Nie będę się też wahał wypominać tym głupcom, których uratowałem, że zaciągnęli w stosunku do mnie dług wdzięczności. A ty, o pani, postaraj się łaskawie nie psuć moich starań wytaczaniem spraw o nie zapłacone hipoteki ludziom, którym będę nadskakiwał, ani sprzedawaniem im zgniłego drzewa lub dokuczaniem w inny sposób. Gubernator Bullock nigdy już nie przekroczy progu tego domu! Czy słyszysz? I nikt z tej bandy eleganckich złodziei, z którymi przestawałaś. Jeżeli ich mimo mojego zakazu zaprosisz, znajdziesz się w kłopotliwej sytuacji, bo na twoim przyjęciu zabraknie gospodarza. Jeżeli zjawią się w tym domu, ja pójdę do baru Belli Watling i będę mówił każdemu, kto zechce mnie słuchać, że nie mogę być w jednym pokoju z tymi ludźmi.

Scarlett, która słysząc te słowa gotowała się z pasji, zaśmiała się krótko.

— A więc szuler i spekulant stanie się teraz przyzwoitym człowiekiem! Uważam zatem, ze pierwszym twoim zadaniem powinna się stać sprzedaż domu Belli Watling.

Było to uderzenie na oślep. Nie miała wcale pewności, czy dom Belli istotnie należy do Retta. On jednak roześmiał się nagle, jak gdyby odczytał jej myśli.

— Dziękuję ci za ten pomysł.

Rett nie mógł sobie wybrać trudniejszego okresu dla swego nawrócenia. Nigdy przedtem czy potem nazwa republikanin lub Scallawag nie wzbudzała takiego wstrętu, gdyż wewnętrzny rozkład rządów Carpetbaggerów doszedł teraz do zenitu. A od czasu kapitulacji nazwisko Retta było nierozdzielnie złączone z Jankesami, republikanami i Carpetbaggerami.

Ludność Atlanty w r. 1866 przypuszczała, że nie ma nic gorszego od surowej władzy wojskowej, jaką miała wtedy — teraz jednak, pod rządami Bullocka, przeżywała rzeczy stokroć straszniejsze. Dzięki głosom murzyńskim republikanie i ich sprzymierzeńcy obwarowani byli bardzo mocno i panoszyli się nad bezsilną, ale ciągle protestującą mniejszością.

Między Murzynami rozsiewano bajki, że w Biblii wspomniane są tylko dwa stronnictwa polityczne, celnicy, zwani Publikanami, i Grzesznicy. Żaden Murzyn nie chciał przyłączyć się do partii składającej się z samych Grzeszników, przyłączali się więc pośpiesznie do republikanów. Nowi ich władcy kazali im raz po raz głosować, wybierać Scallawagów i ubogich białych na wysokie stanowiska, wybierać nawet Murzynów. Murzyni ci zasiadali w biurach urzędów i większą część czasu spędzali na jedzeniu i wkładaniu lub zdejmowaniu obuwia, do którego nie byli przyzwyczajeni. Tylko nieliczni umieli czytać i pisać. Przybywali wprost z pól bawełny czy plantacji trzciny cukrowej, ale mieli władze ustanawiania podatków i opłat oraz wielkich funduszów dyspozycyjnych dla siebie i swoich republikańskich przyjaciół. Czynili to z ochotą. Stan uginał się pod brzemieniem podatków, które płacono z wściekłością, bo podatnicy dobrze wiedzieli, że znaczna część pieniędzy, przeznaczonych rzekomo na cele publiczne, szła do prywatnych kieszeni.

Siedziba rządu stanowego była stale otoczona rojem aferzystów, spekulantów, łowców dostaw i tym podobnych, którzy chcieli zarabiać korzystając z orgii rozrzutności i z których większość bogaciła się bezwstydnie i szybko. Nie mieli żadnych trudności Paszowski otrzymywaniu pieniędzy na budowę linii kolejowych, które nigdy nie powstawały, na kupno lokomotyw i wagonów, których nigdy nie dostarczano, na stawianie budynków publicznych, które istniały tylko w głowach projektodawców.

Bony skarbowe wystawiano na miliony dolarów. Większość ich była nielegalna i fałszywa, ale nie przestawano ich mimo to wypuszczać. Zarządca finansów stanu, republikanin, ale człowiek uczciwy, protestował przeciw nielegalnym emisjom i nie chciał ich podpisywać, ale tak on, jak i inni, którzy starali się położyć kres nadużyciom, nie mogli się przeciwstawić fali zalewającej wszystko.

Koleje należące do stanu przynosiły niegdyś wielkie dochody, ale teraz pracowały z deficytem i długi ich sięgały miliona. Nie były to już właściwie koleje. Było to olbrzymie koryto bez dna, w którym nurzały się i babrały świnie. Wielu urzędników kolejowych dostawało nominacje z racji przekonań politycznych, bez względu na fachowość i wykształcenie. Zatrudnionych było trzy razy więcej niż potrzeba, republikanie mieli wolne przejazdy, a całe wagony Murzynów jeździły za darmo na wesołe wyprawy po stanie — aby ciągle na nowo głosować w tych samych wyborach.

Rabunkowa gospodarka w kolejnictwie szczególnie oburzała podatników, ponieważ z dochodów kolei miały powstawać bezpłatne szkoły. Nie było jednak dochodów, były tylko długi — a zatem nie było szkół. Nieliczna tylko garstka osób miała pieniądze na kształcenie dzieci, cała więc generacja młodzieży wyrastała w nieuctwie, które cofnęło ogólny poziom kulturalny o wiele lat.

Wściekłość jednak z powodu rozrzutności, złej gospodarki i złodziejstw nie byłaby tak wielka, gdyby na dodatek gubernator nie przedstawiał Georgijczyków w bardzo złym świetle na Północy. Kiedy Georgia grzmiała przeciw przekupstwu, gubernator pośpiesznie pojechał na Północ, stanął przed Kongresem i opowiedział o gwałtach popełnianych przez białych na Murzynach,

o przygotowaniach do nowego buntu w Georgii i o konieczności wprowadzenia w stanie surowszych rządów wojskowych. Żaden Georgijczyk nie chciał zamieszek z Murzynami, starali się też tych zamieszek unikać. Nikt nie chciał nowej wojny, nikt nie chciał i nie potrzebował rządu bagnetów. Cała Georgia pragnęła spokoju, aby stan mógł wreszcie wrócić do równowagi. Wobec jednak działania tak zwanego ,,młyna oszczerstw” gubernatora, Północ widziała w Georgii buntowniczy stan, który potrzebował silnej ręki — silna więc ręka dawała się bardzo we znaki.

Były to czasy pomyślności dla bandy, która trzymała Georgię za gardło. Zapanowała orgia grabieży, najgorszy zaś był cynizm, z jakim dokonywano nadużyć w wysokich urzędach, na który nie można było spokojnie patrzeć. Protesty i próby oporu nie doprowadzały do niczego, bo rząd stanowy był osłaniany i podtrzymywany przez armię Stanów Zjednoczonych.

Atlanta przeklinała Bullocka, jego Scallawagów i republikanów oraz tych wszystkich, którzy byli z nimi związani. Do tych zaś należał Rett Butler. Ogólnie twierdzono, że brał udział we wszystkich projektach. Teraz jednak zaczął się przeciwstawiać nurtowi, który jeszcze przed niedawnym czasem i jego unosił, i z wysiłkiem płynął przeciw prądowi.

Kampanię swoją rozpoczął powoli i mądrze, nie wzbudzając podejrzeń Atlanty nagłą zmianą skóry. Zaczął unikać swoich wątpliwych towarzyszów i nie pokazywał się już w towarzystwie oficerów jankeskich, Scallawagów i republikanów. Chodził na zebrania demokratyczne i ostentacyjnie głosował za demokratami. Zarzucił wysoką grę w karty i pił stosunkowo mniej. Jeżeli zachodził jeszcze do lokalu Belli Watling, robił to nocą i ukradkiem, jak bardziej szanowani obywatele, i nigdy nie zostawiał jak dawniej konia uwiązanego po południu przed jej drzwiami, co dotąd bywało niewątpliwym dowodem jego tam obecności.

Wierni kościoła episkopalnego omal nie spadali z ławek, kiedy Rett, spóźniony, wchodził na palcach na nabożeństwo, prowadząc Wade'a za rączkę. Byli w równym stopniu zdumieni obecnością Wade'a jak Retta, bo chłopczyk uważany był za katolika. W każdym razie Scarlett była katoliczką czy też urodziła się w tej wierze. Od lat jednak nie przestąpiła progu kościoła, bo pobożność wywietrzała z niej równie szybko jak inne nauki Ellen. Wszyscy uważali, że Scarlett zaniedbuje wychowanie religijne swego syna, więc podobało im się, że Rett stara się to naprawić, chociaż zabierał chłopca do kościoła episkopalnego, a nie do katolickiego.

Rett potrafił być poważny i czarujący, kiedy powściągał język i nie błyskał złośliwie oczyma. Przez całe lata nie starał się o to, teraz jednak przywdział powagę i wdzięk, tak jak i kamizelki ciemniejszych kolorów. Nietrudno mu było znaleźć platformę porozumienia z mężczyznami, którzy zawdzięczali mu życie. Wdzięczność swoją okazywaliby mu już dawno, lecz Rett zawsze się tak zachowywał, jak gdyby go ich wdzięczność mało obchodziła. Teraz Hugon Elsing, Rene, młodzi Simmonowie, Andy Bonnell i inni przekonali się, że jest bardzo miły, że nie lubi wysuwać się naprzód i że jest wyraźnie zakłopotany, gdy mówią o długu wdzięczności wobec niego.

— To była drobnostka — zapewniał. — Na moim miejscu każdy z was zrobiłby to samo.

Złożył znaczny datek na odnowienie kościoła episkopalnego i dał dużą, ale nie przesadnie dużą ofiarę na „Towarzystwo ochrony grobów poległych”. Odwiedził w tej sprawie osobiście panią Elsing i ze zmieszaniem prosił, aby zatrzymała tę jego ofiarę w tajemnicy, wiedząc doskonale, że to ją skłoni do tym szybszego rozgłoszenia nowiny. Pani Elsing nie miała ochoty brać „pieniędzy spekulanta”, ale Towarzystwu bardzo były potrzebne fundusze.

— Nie rozumiem, dlaczego właśnie pan składa taką ofiarę? — rzekła złośliwie.

Kiedy Rett odpowiedział jej z odpowiednio skromną miną, że skłoniła go do tego pamięć o dawnych towarzyszach broni, arystokratyczna szczęka pani Elsing opadła ze zdumienia. Dolly Merriweather powiedziała jej, że Scarlett twierdzi, jakoby kapitan Butler służył w wojsku, ale oczywiście wcale w to nie uwierzyła. Nikt w to nie wierzył.

— Pan był w wojsku? W której pan był kompanii, w którym pułku?

Rett wymienił je szybko.

— Ach, był pan w artylerii! Moi znajomi służyli albo w kawalerii, albo w piechocie. Tak, to wszystko tłumaczy... — Przerwała zakłopotana, pewna, że oczy jego błysną złośliwością. On jednak patrzył w podłogę i bawił się dewizką.

— Bardzo chciałem zaciągnąć się do piechoty — powiedział nie zwracając uwagi na jej aluzję — ale kiedy wydało się, że byłem kadetem West Point, chociaż przez młodzieńczą przekorę nie wziąłem dyplomu, wcielono mnie do artylerii, regularnej artylerii, nie zaś milicji. W ostatniej kampanii potrzebni byli ludzie z fachowym wykształceniem. Wie pani zapewne, jak wielkie były straty, ilu artylerzystów padło. Byłem w artylerii dość samotny. Nie spotkałem nikogo ze znajomych. Nie zdaje mi się, abym podczas służby spotkał kogokolwiek z Atlanty.

— No tak — powiedziała pani Elsing, trochę zawstydzona. Jeżeli Rett służył w wojsku, to znaczy, że się omyliła. Robiła często uwagi na temat jego tchórzostwa i wspomnienie o nich przyprawiło ją teraz o wyrzuty sumienia. — No tak! A dlaczego nigdy nie mówił pan nikomu o swojej służbie wojskowej? Tak się pan zachowuje, jak gdyby się pan tego wstydził. Rett popatrzył jej prosto w oczy.

— Pani Elsing — powiedział poważnie — niech mi pani wierzy, że jestem bardziej dumny ze swej służby dla Konfederacji niż ze wszystkiego, czego dokonałem dotąd czy jeszcze dokonam. Czuję... czuję...

— No więc, dlaczego pan to ukrywa?

— Wstydziłem się mówić o tym w świetle moich... niektórych wcześniejszych postępków.

O ofierze i o szczegółach rozmowy pani Elsing doniosła natychmiast pani Merriweather.

— I wiesz, Dolly, daję ci słowo, że kiedy mówił o tym, jak się wstydził, miał łzy w oczach! Tak, łzy! Sama omal się nie rozpłakałam!

— Zawracanie głowy! — zawołała pani Merriweather z niedowierzaniem. — Nie wierzę, że miał łzy w oczach, tak samo jak nie wierzę, że był w wojsku. A o to mogę się łatwo dowiedzieć. Jeżeli naprawdę służył w artylerii, mogę się wreszcie dowiedzieć prawdy, bo pułkownik Carleton, który dowodził jego pułkiem, ożenił się z córką jednej z sióstr mego dziadka. Zaraz napiszę do niego.

Napisała do pułkownika Carletona i ku swemu zdumieniu otrzymała odpowiedź, w której wychwalano Retta pod niebiosa. Urodzony artylerzysta, dzielny żołnierz i prawdziwy dżentelmen, człowiek skromny, który nie chciał przyjąć awansu, choć mu go ofiarowywano.

— To dopiero! — powiedziała pani Merriweather pokazując list pani Elsing. — Nic już nie rozumiem! Możeśmy nie doceniały tego łajdaka mówiąc, że nie był żołnierzem. Może powinnyśmy były wierzyć Scarlett i Melanii, kiedy mówiły, że zaciągnął się w dzień upadku miasta. Ale, mimo wszystko, jest Scallawagiem i łotrem i bardzo go nie lubię!

— A jednak — rzekła pani Elsing niepewnie — a jednak nie wydaje mi się, aby był taki zły. Człowiek, który walczył za Konfederację, nie może być zły. To tylko Scarlett jest zła. Czy wiesz, Dolly, ja naprawdę sądzę, że on wstydzi się za Scarlett, ale jest zbyt wielkim dżentelmenem, aby się do tego przyznać.

— Wstydzi! Jeszcze czego! Dobrali się oboje jak w korcu maku. Jak wpadłaś na taką głupią myśl?

— To nie jest głupia myśl — rzekła pani Elsing z oburzeniem. — Wczoraj, w ulewny deszcz, wziął dzieci, nawet i to maleństwo, do powozu i jeździł z nimi tam i z powrotem po Brzoskwiniowej. Podwiózł mnie do domu, a kiedy powiedziałam: „Panie kapitanie, przecież to szaleństwo trzymać dzieci na dworze w taką pogodę! Dlaczego ich pan nie zawiezie do domu?” — nic nie odpowiedział, tylko bardzo się zmieszał. Ale Mammy odezwała się za niego i powiedziała: „Dom pełen jest białej hołoty, więc dla dzieci jest zdrowiej na dworze niż w domu!”

— A co on na to?

— Cóż mógł powiedzieć? Popatrzył groźnie na Mammy i przemilczał tę uwagę. Wiesz przecież, że Scarlett miała wczoraj gości na kartach. Były u niej te wszystkie ordynarne kobiety. Przypuszczam, że nie chciał, aby całowały jego dziecko.

— Hm! — chrząknęła pani Merriweather, już ustępliwsza, ale jeszcze nie przekonana. Ale po tygodniu i ona skapitulowała.

Rett miał teraz swoje biurko w banku. Co przy nim robił — tego zdumieni urzędnicy nie wiedzieli, ale był właścicielem tak wielkiego pakietu akcji, że nie mogli przeciw jego obecności zaprotestować. Po jakimś czasie zapomnieli o swej początkowej niechęci, bo Rett zachowywał się spokojnie i grzecznie i nawet znał się trochę na bankowości i lokacie kapitałów. W każdym razie siedział przy biurku i udawał, że pilnie pracuje, bo chciał się wydawać we wszystkim podobny do szanowanych obywateli miasta, którzy pracowali bardzo ciężko.

Pani Merriweather, chcąc rozbudować swoją dobrze prosperującą ciastkarnię, starała się w banku o pożyczkę dwóch tysięcy dolarów na hipotekę swego domu. Odmówiono jej już dwukrotnie, ponieważ na domu były dwie inne hipoteki. Kiedy tęga stara pani wychodziła w oburzeniu z banku, Rett zatrzymał ją, wypytał o przyczynę zdenerwowania i z wyraźnym przejęciem powiedział: — Ale to chyba jakieś nieporozumienie, pani Merriweather. Jakieś fatalne nieporozumienie. Właśnie pani nie powinna się kłopotać o hipoteki i tym podobne rzeczy. Ależ ja sam chętnie pożyczyłbym pani pieniądze na słowo! Osoba, która tak potrafiła rozwinąć interes jak pani, stanowi najlepszą gwarancję w świecie. Bank chętnie pożycza pieniądze ludziom pani pokroju. Proszę, niech pani spocznie tutaj, na moim krześle, a ja się już wszystkim zajmę.

Kiedy wrócił, uśmiechał się łagodnie, mówiąc, że rzeczywiście była to pomyłka, jak zresztą przypuszczał. Dwa tysiące dolarów były już w kasie do jej dyspozycji. A co się tyczy domu — czy nie zechciałaby podpisać się, o, tu?

Pani Merriweather, oburzona i dotknięta, wściekła, że musi przyjąć tę grzeczność z rąk człowieka, którego nie lubiła i nie szanowała, ledwie Rettowi podziękowała.

On jednak wcale tego nie zauważył. Kiedy odprowadzał ją do drzwi, powiedział: — Pani Merriweather, zawsze miałem wiele szacunku dla pani doświadczenia... czy nie byłaby pani łaskawa udzielić mi pewnej informacji?

Pióra na jej czepku ledwie się poruszyły, gdy skinęła głową.

— Co pani robiła, kiedy Maybelle była mała i ssała palec?

— Co takiego?

— Moja Bonnie ssie duży palec. Nie mogę jej od tego odzwyczaić.

— Powinien ją pan od tego koniecznie oduczyć — rzekła pani Merriweather stanowczo. — To popsuje jej linię ust.

— Wiem! Wiem! A takie ma śliczne usteczka! Nie wiem, co mam zrobić.

— Przecież Scarlett powinna to wiedzieć — rzekła pani Merriweather krótko. — Wychowała już dwoje dzieci.

Rett popatrzył na czubki swoich butów i westchnął.

— Próbowałem smarować mydłem końce jej palców — powiedział pomijając milczeniem uwagę o Scarlett.

— Mydłem! Skądże znowu! Mydło się do tego zupełnie nie nadaje. Ja smarowałam rączki Maybelle chininą i zapewniam pana, panie kapitanie, że bardzo szybko odzwyczaiłam ją od ssania palca.

— Chininą! Nigdy by mi to na myśl nie przyszło! Nie wiem, jak pani dziękować, pani Merriweather. To mnie bardzo martwiło.

Uśmiechnął się do niej tak uprzejmie i z taką wdzięcznością, że pani Merriweather była przez chwilę zmieszana. Ale żegnając się z nim uśmiechnęła się także. Nie chciała się przyznać przed panią Elsing, że omyliła się co do Retta, ale ponieważ była osobą uczciwą, powiedziała, że człowiek, który kocha swoje dziecko, nie może być zupełnie zły. Jaka szkoda, że Scarlett nie zajmuje się tak ślicznym dzieckiem jak Bonnie! To wzruszające po prostu, że mężczyzna sam musi wychowywać, małą dziewczynkę! Rett doskonale wiedział, że to jest bardzo wzruszające, a że psuło Scarlett opinię — o to mniejsza.

Od chwili gdy Bonnie zaczęła chodzić, zabierał ją ze sobą stale i do powozu, i na konia. Kiedy po południu wracał z banku do domu, zabierał ją na przechadzkę po Brzoskwiniowej, trzymając ją za rączkę, dopasowując swoje długie kroki do jej dziecinnego dreptania, cierpliwie odpowiadając na tysiące pytań. Ludzie siedzieli zwykle o zmierzchu w ogródkach lub na gankach, a ponieważ Bonnie była tak miłą, śliczną dziewczynką, o czarnych lokach i jasnoniebieskich oczach, prawie każdy zatrzymywał ją i zaczynał rozmowę. Rett nigdy nie brał udziału w tych rozmowach, ale stał na boku, promieniując dumą i wdzięcznością, że ludzie poświęcają jego córce tyle uwagi.

Atlanta niełatwo zapominała, była podejrzliwa i zdanie zmieniała powoli. Czasy były ciężkie, a żal do wszystkich, którzy mieli jakiekolwiek stosunki z Bullockiem i jego otoczeniem — wielki. Bonnie jednak odziedziczyła wdzięk zarówno po Scarlett, jak i po Recie, ona więc stała się małym klinem, który Rett wbijał w mur oziębłości Atlanty.

Bonnie rosła szybko i co dzień bardziej widoczne stawało się jej podobieństwo do Geralda O'Hary. Miała krótkie, mocne nóżki, duże oczy, niebieskie i bardzo irlandzkie, i mały kwadratowy podbródek, który świadczył o jej uporze w zdobywaniu tego, na co miała chęć. Po Geraldzie odziedziczyła nagłe wybuchy złości, które mijały, jak tylko spełniono jej życzenia. Kiedy ojciec był przy niej, życzenia te były spełniane natychmiast. Psuł ją, mimo wysiłków Mammy i Scarlett, bo zadowolony był z niej pod prawie każdym względem. Jednej tylko rzeczy nie mógł w niej przezwyciężyć: obawy przed ciemnością.

Do drugiego roku życia Bonnie łatwo zasypiała w pokoju dziecinnym, który dzieliła z Wade'em i Ellą. Potem, z niewiadomej przyczyny, zaczynała płakać, gdy tylko Mammy wychodziła z pokoju zabierając ze sobą lampę. Po jakimś czasie zaczęła się budzić w nocy, krzycząc z przerażenia, budząc dzieci i alarmując cały dom. Raz trzeba nawet było wezwać doktora Maede i Rett ostro się z nim rozprawił, kiedy orzekł, że to tylko złe sny. Z dziecka nie można było wydobyć nic prócz słówka „ciemno”.

Scarlett była zła na małą i skłonna do dania jej klapsów. Nie mogła zostawiać światła w pokoju dziecinnym, bo wtedy Wade i Ella nie mogliby spać. Rett, zmartwiony, ale spokojny, starał się wydobyć z dziecka coś więcej i rzekł chłodno, że jeżeli Bonnie dostanie klapsa, on ze swej strony zbije Scarlett.

W rezultacie Bonnie została przeniesiona z dziecinnego do pokoju, w którym Rett sypiał teraz sam. Małe jej łóżeczko ustawiono koło jego łóżka i dobrze osłonięta lampka paliła się na stole przez całą noc. Dowiedziawszy się o tej historii miasto zawrzało. Było coś trochę nieprzyzwoitego w tym, że mała dziewczynka sypia w jednym pokoju z ojcem, chociaż dziewczynka ta miała zaledwie dwa lata. Scarlett podwójnie ucierpiała z powodu tej plotki. Po pierwsze, wyszło na jaw, że mają z mężem oddzielne sypialnie, co samo w sobie było gorszącym zjawiskiem; po drugie, wszyscy uważali, że jeżeli dziecko boi się spać samo, miejsce jego jest przy matce. Scarlett nie mogła przecież tłumaczyć, że nie potrafi spać w oświetlonym pokoju i że Rett nie pozwala jej sypiać z dzieckiem.

— Budziłabyś się na płacz Bonnie i wtedy dawałabyś jej pewnie klapsa — powiedział krótko.

Scarlett była zła, że Rett tyle wagi przypisuje nocnym strachom Bonnie, myślała jednak, że z czasem zaradzi się temu i mała będzie mogła wrócić do dziecinnego pokoju. Wszystkie dzieci bały się ciemności i jedyną na to radą była surowość. Rett okazał się w całej tej sprawie perfidny, wyrobił jej opinię złej matki, aby jej odpłacić za wygnanie go z sypialni.

Nie przestąpił progu jej pokoju ani nawet nie poruszył klamką od dnia, gdy go zawiadomiła, że nie chce więcej dzieci. Odtąd do chwili, gdy zaczął przebywać w domu z powodu strachów Bonnie, rzadko kiedy zjawiał się do kolacji. Czasem nie było go przez całą noc, a Scarlett leżąc bezsennie za swoimi zamkniętymi drzwiami i słysząc, jak zegar wybija wczesne godziny, zastanawiała się, gdzie się podziewa. Przypomniała sobie wtedy jego słowa: „Są jeszcze inne łóżka, moja droga!” i mimo że piekła ją ta myśl, nie mogła na to nic poradzić. Nie mogła nic powiedzieć, co by nie wywołało sceny, podczas której Rett z pewnością by jej przypomniał zamknięte drzwi i rolę, jaką w sprawie tej odegrał Ashley. Tak, upór Retta, aby Bonnie spała w oświetlonym pokoju — w jego pokoju — był tylko próbą odpłacenia Scarlett za zamknięcie przed nim sypialni.

Nie zdawała sobie sprawy z wagi, jaką przywiązywał do fantazji Bonnie, ani z wielkości jego przywiązania do dziecka, aż do pewnej straszliwej nocy. Nikt z domowników nie mógł tej nocy zapomnieć.

Dnia tego Rett spotkał znajomego z czasów blokady, z którym mieli sobie wiele do opowiedzenia. Dokąd poszli na rozmowę i pijatykę, Scarlett nie wiedziała, podejrzewała jednak, że byli oczywiście u Belli Watling. Rett nie przyszedł do domu po południu, aby wyprowadzić Bonnie na spacer, nie wrócił także na kolację. Bonnie, która z niecierpliwością wyglądała oknem przez całe popołudnie, ponieważ chciała się pochwalić przed ojcem kolekcją rozmaitych chrząszczy, w końcu wśród płaczów i protestów została ułożona do snu przez Lu.

Albo Lu zapomniała zapalić lampę, albo też lampa wypaliła się sama. Nikt nie wiedział dokładnie, co się stało — dość że kiedy Rett wrócił wreszcie do domu, trochę podchmielony, w domu panowało zamieszanie, a krzyki Bonnie słychać było aż w stajni. Mała obudziła się w ciemności i zaczęła wołać ojca, którego nie było. Opadły ją wszystkie strachy, zaludniające jej dziecinną wyobraźnię. Nie mogły jej uspokoić ani jasne lampy, które przyniosła Scarlett i służące, ani słowa otuchy, i Rett wbiegając na schody po trzy stopnie na raz wyglądał jak człowiek, który zobaczył śmierć.

Kiedy wreszcie wziął Bonnie w ramiona i w łkaniach jej rozróżnił słowo „ciemno”, zwrócił się z wściekłością do Scarlett i Murzynek.

— Kto zgasił światło? Kto ją zostawił samą w ciemności? Prissy, zabiję cię za to, ty...

— Boże miłosierny, panie Recie! To nie ja! To Lu!

— Na Boga, proszę pana, ja...

— Cicho bądź. Znasz moje polecenia. Na Boga, ja cię... wynoś się stąd! Nie wracaj! Scarlett, daj jej pieniądze i postaraj się, aby się wyniosła, zanim zejdę na dół. A teraz niech wszyscy mi stąd wyjdą, wszyscy!

Murzynki uciekły — nieszczęsna Lu płacząc w fartuch, Scarlett jednak została. Ciężko jej było, gdy widziała najukochańsze swoje dziecko spokojne w objęciach Retta, kiedy tak bardzo płakało na jej rękach. Ciężko było widzieć, jak małe ramionka obejmują go za szyję, a zdławiony głosik opowiada, czego się tak przestraszyła, kiedy ona, Scarlett, niczego od niej nie mogła wydobyć.

— Więc to usiadło ci na piersiach — mówił Rett łagodnie. — Czy to duże?

— O, tak! Strasznie duże. I miało pazury.

— Ach, i pazury też. No, no, no. Ale ja będę tutaj czuwał przez całą noc i zastrzelę je, gdyby jeszcze wróciło. — Głos Retta brzmiał przejęciem, więc łkania Bonnie powoli ucichły. Głos jej stał się spokojniejszy, kiedy zagłębiła się w szczegółowy opis stracha w języku, który tylko Rett mógł zrozumieć. Złość ogarnęła Scarlett, że Rett rozmawia o tym z dzieckiem jak o rzeczy realnej.

— Na miłość boską, Rett...

On jednak gestem nakazał jej milczenie. Kiedy Bonnie wreszcie usnęła, położył ją w łóżku i nakrył kołdrą.

— Obedrę tę Murzynkę żywcem ze skóry — powiedział spokojnie. — To także twoja wina. Dlaczego nie weszłaś na górę i nie sprawdziłaś, czy pali się światło?

— Nie bądź głupi, Rett — wyszeptała. — Ona doprowadza się do takiego stanu,, bo jej na to pozwalasz. Wiele dzieci boi się ciemności, ale im to szybko przechodzi. Wade bał się także, ale ja go nie rozpieszczałam. Gdyby popłakała przez kilka nocy...

— Ja miałbym jej pozwolić płakać! — Przez chwilę Scarlett myślała, że Rett ją uderzy. — Albo jesteś zupełną idiotką, albo najbardziej okrutną kobietą, jaką znam.

— Nie chcę, aby dziecko stało się nerwowe i tchórzliwe.

— Tchórzliwe? Na Boga! W Bonnie nie ma ani odrobiny tchórzostwa! Ty jednak nie posiadasz wyobraźni i dlatego, oczywiście, nie możesz ocenić tortur ludzi, którzy ją mają... a mają ją szczególnie dzieci. Gdyby coś, co ma rogi i pazury, usiadło na twojej piersi, powiedziałabyś spokojnie, aby się wynosiło do diabła, prawda? Widzę już, jak to robisz! Przypomnij sobie łaskawie, że byłem świadkiem, jak się budziłaś wrzeszcząc jak oparzona, boś śniła, że biegniesz we mgle. I nie było to tak bardzo dawno temu!

Scarlett była zakłopotana, bo nie lubiła przypominać sobie tego snu. Wstydziła się także, ponieważ uświadomiła sobie, że Rett pocieszał ją w taki sam prawie sposób jak Bonnie. Przeszła więc szybko do ataku:

— Ty ją tylko rozpieszczasz i...

— I mam zamiar stale ją rozpieszczać. W ten sposób wyrośnie z tego i zapomni o tym zupełnie.

— A więc — rzekła Scarlett jadowicie — jeżeli masz zamiar bawić się w nianię, powinieneś przychodzić do domu wcześniej i trochę trzeźwiejszy niż dziś.

— Będę wracał do domu wcześniej, ale pijany jak bela, jeżeli tak mi się spodoba.

Odtąd rzeczywiście wracał wcześnie, przychodząc do domu na długo przed porą kładzenia Bonnie na spoczynek. Siadał przy niej i trzymał ją za rączkę, dopóki sen nie rozluźnił jej uścisku. Dopiero wtedy wychodził na palcach z pokoju zostawiając lampę palącą się jasno i drzwi szeroko otwarte, aby mógł usłyszeć jej wołanie, gdyby się obudziła przestraszona. Nie chciał, aby miała nawroty strachu przed ciemnością. Cały dom doskonale pamiętał o palącej się lampie — Scarlett, Mammy, Prissy i Pork często wchodzili na górę i sprawdzali, czy jeszcze się pali.

Zaczął także wracać do domu trzeźwy, to jednak nie było zasługą Scarlett. Od wielu miesięcy pił dużo, chociaż nigdy nie bywał pijany, a pewnego wieczora zalatywało od niego wódką mocniej niż zwykle. Podniósł Bonnie, posadził ją sobie na ramieniu i zapytał: — A czy dasz całuska swojemu tatusiowi?

Zmarszczyła swój mały zadarty nosek i zaczęła się wyrywać z jego ramion.

— Nie — rzekła szczerze. — Brzydki.

— Jaki jestem?

— Zapach brzydki. Wuj Ashley nie pachnie brzydko.

— Bardzo mi przykro — rzekł ze skruchą stawiając ją na podłodze. — Nie spodziewałem się, że we własnym domu znajdę rzeczniczkę trzeźwości!

Odtąd jednak ograniczał się do jednej szklanki wina po kolacji. Bonnie, której wolno było wypić ostatnie kropelki z dna, nie uważała, że zapach wina jest brzydki. W rezultacie obrzękłość, która zaczęła zalewać ostre kontury twarzy Retta, znikła z wolna, a obwódki pod jego ciemnymi oczyma stały się jaśniejsze i mniej wyraźne. Ponieważ Bonnie lubiła, aby ją brał na konia, przebywał więcej na powietrzu i opalił się, stając się ciemniejszy na twarzy niż zwykle. Wyglądał zdrowiej, śmiał się częściej i znowu przypominał wytwornego młodego kapitana, który tyle wrzawy wywołał w Atlancie na początku wojny.

Ludzie, którzy nigdy nie lubili Retta, uśmiechali się teraz do niego, gdy przejeżdżał z Bonnie konno. Kobiety, które dotąd uważały, że żadna niewiasta nie jest z nim bezpieczna, zaczęły się zatrzymywać, rozmawiać z nim na ulicy i chwalić Bonnie. Nawet najsurowsze matrony doszły do przekonania, że człowiek, który potrafi omawiać choroby i trudności dzieciństwa tak dobrze jak Rett, nie może być zupełnie wyzuty z sumienia.

## ROZDZIAŁ LIII

Był to dzień urodzin Ashleya. Melania postanowiła urządzić tego wieczora jako niespodziankę duże przyjęcie. Wiedzieli o nim wszyscy z wyjątkiem Ashleya. Nawet Wade i mały Beau dopuszczeni zostali do sekretu, co napełniało ich niemałą dumą. Wszyscy przyzwoici ludzie w Atlancie zostali zaproszeni i mieli się zjawić. Generał Gordon z rodziną łaskawie przyjął zaproszenie, Aleksander Stephens przyrzekł przyjść, jeżeli pozwoli mu na to stan zdrowia, spodziewano się nawet Roberta Toombsa, chluby Konfederacji.

Przez cały ranek Scarlett, Melania, India i ciotka Pitty krzątały się po małym domku doglądając Murzynek, które zawieszały świeżo wyprane firanki, czyściły srebro, woskowały podłogi i gotowały, kosztowały i mieszały przeróżne dania. Scarlett nigdy jeszcze nie widziała Melanii tak podnieconej i uszczęśliwionej.

— Widzisz, moja droga, Ashley nie obchodził swoich urodzin od czasu... czy pamiętasz tę barbakoję w Dwunastu Dębach? W dniu, kiedy dowiedzieliśmy się, że Lincoln powołuje ochotników? A więc od tego czasu nie obchodzi urodzin. Pracuje tak ciężko i taki jest zmęczony, gdy wraca wieczorami do domu, że na pewno nie pamięta, że to dziś są jego urodziny. Wyobrażam sobie, jaki będzie zdumiony po kolacji, kiedy zaczną się schodzić goście.

— Jak pani chce zawiesić lampiony w ogrodzie, jeżeli pan Wilkes nie ma ich widzieć, jak przyjdzie na kolację? — zapytał Archie zrzędliwie.

Siedział przez cały ranek w milczeniu, przyglądając się przygotowaniom, zainteresowany, ale nie chcący się do tego przyznać. Nigdy nie widział przygotowań do dużego przyjęcia w mieście i było to dla niego nowym przeżyciem. Robił niegrzeczne uwagi o kobietach, które biegają jak do pożaru, bo mają mieć gości, ale nawet i czwórka koni nie mogłaby go odciągnąć od domu. Lampiony z kolorowego papieru, które pani Elsing i Fanny zrobiły i pomalowały na tę okazję, interesowały go najbardziej, bo nigdy dotąd nie widział „takich sztuczek”. Schowane były w suterenie w jego pokoju, więc obejrzał je bardzo skrupulatnie.

— Zlitujcie się! Nie pomyślałam o tym! — zawołała Melania. — Archie, jak to dobrze, żeście mi o tym wspomnieli. Boże, Boże! Co ja zrobię? Trzeba je zawiesić na krzakach i drzewach i włożyć w nie małe świeczki, aby je można było zapalić przed przybyciem gości. Scarlett, czy możesz tu przysłać Porka, aby to zrobił, gdy będziemy jedli kolację?

— Pani Wilkes, pani ma więcej rozumu niż większość kobiet, ale łatwo pani traci głowę — rzekł Archie. — A co się tyczy tego głupiego Murzyna, Porka, to on do tych „sztuczek” wcale nie jest potrzebny. Spaliłby cały dom w jednej chwili. One są całkiem ładne — przyznał. — Już ja zawieszę, jak państwo będą jedli.

— Och, Archie, jak to ładnie z waszej strony! — Melania zwróciła na niego dziecinne spojrzenie pełne wdzięczności i zaufania. — Nie wiem, co bym bez was poczęła. A może byście teraz powtykali świeczki w lampiony, aby nam choć ten kłopot spadł z głowy?

— No dobrze, zrobię to może — rzekł Archie niełaskawie i pokuśtykał w stronę schodów do piwnicy.

— Jak to łatwo podejść mężczyznę — zachichotała Melania, kiedy wąsaty starzec wyszedł z pokoju. — Chciałam przez cały czas, aby Archie zawiesił te latarnie, ale wiesz sama, jaki on jest. Nie zrobi nic, o co go poprosić. A teraz pozbyliśmy się go stąd na chwilę. Murzyni tak się go boją, że nie mogą pracować, kiedy jest blisko i łypie na nich jednym swoim okiem.

— Melu, ja bym tego starego obwiesia nie trzymała w domu — rzekła Scarlett. Nienawidziła Archiego tak samo jak on jej i ledwie z nim mówiła. Tylko w domu Melanii Archie nie wychodził z pokoju, gdy ona przychodziła. Ale nawet u Melanii przyglądał jej się podejrzliwie i z zimną pogardą. — Narobi ci jeszcze kiedyś przykrości, zobaczysz.

— Och, on jest zupełnie nieszkodliwy, byle mu pochlebiać i okazywać zaufanie — rzekła Melania. — Tak jest zresztą oddany Ashleyowi i Beau, że czuję się bezpieczniejsza, kiedy jest w domu.

— Chcesz powiedzieć, że oddany jest tobie, Melu — rzekła India, a zimna jej twarz rozjaśniła się ciepłym uśmiechem, gdy spojrzała na swoją bratową. — Zdaje mi się, że ty jesteś pierwszą osobą, którą ten stary zbój kocha od czasu... od czasu swojej żony... Myślę czasem, że byłby zadowolony, gdyby cię ktoś obraził, aby mógł go zabić na dowód szacunku dla ciebie.

— Zlituj się, Indio! Co też ty wygadujesz! — zawołała rumieniąc się Melania. — Uważa mnie za głupią gęś, wiesz o tym dobrze.

— Nie pojmuję, dlaczego zdanie tego brudnego starego nicponia miałoby, mieć jakiekolwiek znaczenie — rzekła Scarlett ostro. Myśl o tym, jak Archie ją potępił, kiedy przyjęła więźniów do tartaku, zawsze doprowadzała ją do pasji. — Muszę teraz iść. Mam obiad, a potem chcę iść do sklepu i zapłacić subiektom, wstąpię także do składu drzewa i zapłacę Hugonowi i woźnicom.

— Ach, więc będziesz w składzie? — zapytała Melania. — Ashley ma tam być przed wieczorem, aby widzieć się z Hugonem. Czy mogłabyś go tam zatrzymać do piątej? Jeżeli wróci wcześniej do domu, zastanie nas na pewno przy pieczeniu ciasta lub czymś podobnym i wszystkiego się od razu domyśli.

Scarlett uśmiechnęła się w duchu i dobry humor wrócił jej natychmiast.

— Dobrze, zatrzymam go — powiedziała.

Mówiąc to zauważyła, że blade, bezrzęse oczy Indii patrzą na nią przenikliwie. „India zawsze tak na mnie dziwnie patrzy, kiedy mówię o Ashleyu” — pomyślała Scarlett.

— No więc, dobrze, zatrzymaj go tam jak najdłużej po piątej — rzekła Melania. — A potem India wstąpi po niego powozem i zabierze go do domu. Scarlett, przyjdź dziś wcześnie wieczorem. Nie chcę, abyś się choćby o minutę spóźniła na przyjęcie.

Jadąc do domu Scarlett myślała z urazą; „Nie chce, abym się choćby o minutę spóźniła? No więc, dlaczego mnie nie prosi, abym czyniła honory domu z nią, Indią i ciotką Pitty?”

Na ogół Scarlett mało dbała o to, aby czynić honory domu na marnych przyjęciach Meli. To jednak przyjęcie było największym, jakie Mela kiedykolwiek wydała, i w dodatku przyjęciem urodzinowym Ashleya, Scarlett więc pragnęła witać gości u jego boku.

Wiedziała jednak, dlaczego Mela nie poprosiła jej o to. Gdyby nawet nie wiedziała, złośliwe uwagi Retta oświeciłyby ją niewątpliwie.

— Przyjaciółka Scallawagów miałaby czynić honory domu, kiedy przychodzą wybitni eks-konfederaci i demokraci? Pomysły twoje są równie wzruszające jak niekonsekwentne. Tylko ze względu na wyjątkową lojalność pani Meli zostałaś w ogóle zaproszona.

Po południu Scarlett ubrała się staranniej niż zwykle na wyjazd do sklepu i składu drzewa, nakładając nową zieloną suknię z mieniącej się tafty, która miejscami miała liliowe połyski, i nowy jasnozielony kapelusz z ciemnozielonymi piórami. Gdyby tylko Rett pozwolił jej ściąć grzywkę i ufryzować ją na czole, kapelusz wyglądałby znacznie piękniej! Oświadczył jednak, że ogoli jej całą głowę, jeżeli ośmieli się ściąć włosy na grzywkę. Ostatnio zaś zachowywał się tak wstrętnie, że gotów był to rzeczywiście uczynić.

Popołudnie było piękne, słoneczne, ale niezbyt gorące, a ciepły wietrzyk, który poruszał liśćmi drzew na Brzoskwiniowej, chwiał piórami kapelusza Scarlett. Serce miała rozradowane jak zwykle, gdy czekało ją widzenie z Ashleyem., Jeżeli wypłaci pensję woźnicom i Hugonowi, pójdą do domu wcześniej i zostawią ją samą z Ashleyem, w małym kantorku na środku placu, na którym jest skład. Sposobności widzenia Ashleya sam na sam miała ostatnio bardzo niewiele. I pomyśleć, że to Melania prosiła ją, aby go zatrzymała jak najdłużej! Jakie to śmieszne!

Była bardzo wesoła, kiedy dojechała do sklepu. Wypłaciła pensję Willowi i innym subiektom nie pytając nawet, jakie były dzienne wpływy. Była to sobota, dzień największych obrotów w sklepie, bo farmerzy zwykle przyjeżdżali wtedy po zakupy, ona wszakże nie spytała o nic.

W drodze do składu zatrzymywała się z dziesięć razy, aby porozmawiać z żonami Carpetbaggerów, jadącymi we wspaniałych powozach — nie tak wspaniałych jednak jak jej własny — i z wieloma panami, którzy przechodzili przez pokrytą czerwonym pyłem jezdnię, aby odkryć przed nią głowę i chwilkę pogawędzić. Popołudnie było cudowne, czuła się szczęśliwa, wyglądała ślicznie i jechała jak królowa. Z powodu tych spotkań zajechała do składu później, niż zamierzała, i zastała Hugona i woźniców czekających już na nią na stercie desek

— Czy jest tu Ashley?

— Tak, jest w biurze — rzekł Hugon i zwykły strapiony wyraz ustąpił ż jego twarzy na widok jej roześmianych, zadowolonych oczu. — Stara się, to znaczy przegląda książki.

— Och, nie powinien tego dzisiaj robić — powiedziała, a potem zniżając głos: — Mela przysłała mnie tutaj, abym go zatrzymała, póki nie przygotują wszystkiego na dzisiejsze przyjęcie.

Hugon uśmiechnął się, ponieważ także wybierał się wieczorem do Meli. Lubił zebrania towarzyskie i łatwo było się domyślić, że Scarlett lubi je także, choćby po jej dzisiejszym wyglądzie. Zapłaciła woźnicom i Hugonowi i krótko pożegnawszy się z nimi poszła w stronę biura dając do zrozumienia swoim zachowaniem, że nie życzy sobie, aby jej ktoś towarzyszył. Ashley wyszedł do drzwi na jej spotkanie i stał w słońcu — włosy mu lśniły, a na wargach ukazał się uśmiech prawie złośliwy.

— Ależ Scarlett, co też ty robisz w mieście o tej porze? Dlaczego nie jesteś u nas w domu i nie pomagasz Meli w przygotowaniu do jej niespodzianki?

— No, Ashleyu! — zawołała z oburzeniem. — Nie powinieneś był nic o tym wiedzieć. Mela będzie bardzo rozżalona, jeżeli nie okażesz zdziwienia.

— Och, nie zdradzę się z pewnością. Będę najbardziej zdumionym człowiekiem w Atlancie — rzekł Ashley i oczy mu się śmiały.

— Kto był tak niedobry, że ci o tym powiedział?

— Po kolei każdy z panów zaproszonych przez Melę. Generał Gordon był pierwszy. Powiedział, że wie z doświadczenia, iż panie niespodzianki tego rodzaju urządzają w dni, kiedy mężczyźni postanawiają oczyścić i naoliwić wszystkie dubeltówki w domu. A potem ostrzegł mnie dziadek Merriweather. Powiedział, że pani Merriweather zaprosiła kiedyś gości w sekrecie przed nim i że największą niespodziankę zrobiła samej sobie, bo dziadek leczył wtedy ukradkiem swój reumatyzm butelką whisky i był zbyt pijany, aby wstać z łóżka. Poza nimi ostrzegli mnie jeszcze prawie wszyscy panowie, którzy przeżyli takie niespodzianki.

— Wstrętni ludzie! — zawołała Scarlett, ale uśmiechnęła się mimo woli.

Uśmiechając się tak, Ashley wyglądał jak dawny Ashley z Dwunastu Dębów. Rzadko się ostatnio uśmiechał... Powietrze było tak łagodne, twarz jego tak wesoła, słowa tak swobodne, że serce Scarlett zabiło szczęściem. Wezbrało coś w jej piersi tak bardzo, że aż serce zaczęło bić z radości. Biło tak silnie, że niemal bolało jak pod ciężarem gorących, radosnych, nie przelanych łez. Nagle poczuła się znowu szesnastoletnią, podnieconą i szczęśliwą dziewczyną. Miała ochotę zerwać z głowy kapelusz, podrzucić go w powietrze i krzyknąć: „Hura!” Potem pomyślała, jak by to zdumiało Ashleya, i roześmiała się nagle tak serdecznie, że łzy napłynęły jej do oczu. On także się roześmiał odrzucając w tył głowę, jak gdyby śmiech ten sprawiał mu przyjemność — przekonany był, że to przyjacielska zdrada sekretu Meli była przyczyną wesołości Scarlett.

— Wejdź do biura, Scarlett. Właśnie przeglądałem księgi. Weszła do małego pokoju, rozgrzanego popołudniowym słońcem i usiadła na fotelu przed biurkiem. Ashley, który wszedł za nią, przysiadł na brzegu nie heblowanego stołu kołysząc długimi nogami.

— Och, nie zawracajmy sobie dzisiaj głowy księgami, Ashleyu! Nie chce mi się nic robić. Kiedy mam nowy kapelusz, wydaje mi się, że cyfry wylatują mi z głowy.

— Cyfry mogą się rzeczywiście pomieszać, jeżeli kapelusz jest tak ładny jak ten — powiedział. — Scarlett, piękniejesz z dnia na dzień!

Zsunął się ze stołu i śmiejąc się wziął ją za obie ręce i rozłożył je szeroko, aby móc obejrzeć jej suknię. — Taka jesteś śliczna! Pewien jestem, że nie zestarzejesz się nigdy!

Pod dotknięciem jego uświadomiła sobie, że nie wiedząc, właśnie o tym przez cały dzień marzyła. Przez całe to szczęśliwe popołudnie marzyła o cieple jego dłoni, czułości spojrzenia, o słowie, które byłoby dowodem, że ją jeszcze kocha. Od owego zimnego dnia w sadzie Tary byli pierwszy raz zupełnie sami, pierwszy raz ręce ich spotkały się w serdecznym geście, a przez wszystkie te długie miesiące łaknęła bliższego z nim kontaktu. Teraz jednak...

Jakie to dziwne, że dotknięcie Ashleya wcale jej nie podniecało! Niegdyś sama jego bliskość przyprawiała ją o drżenie. Teraz czuła tylko dziwnie ciepłą serdeczność i zadowolenie. Żar nie płynął już z jego dłoni do jej. To ją zdumiało i trochę zaniepokoiło. Był ciągle jeszcze jej Ashleyem, ciągle jej jasnym, świetlanym kochaniem, i kochała go nad życie. Dlaczego więc...

Odsunęła jednak na bok tę myśl. Wystarczyło, że była przy nim, że trzymał jej ręce w swoich i uśmiechał się bardzo serdecznie, bez napięcia czy namiętności. Wydawało się nieprawdopodobne, że mogło tak być, mimo wszystkich nie wypowiedzianych rzeczy, które stały między nimi. Popatrzył jej w oczy i oczy jego były jasne i błyszczące, uśmiechnięte w ten dawny sposób, który kochała, uśmiechnięte tak, jak gdyby nie łączyło ich nic poza szczęściem. W spojrzeniach ich nie było teraz żadnego przymusu — ani zawodu, ani obcości. Roześmiała się.

— Och, Ashleyu, staję się stara i zgrzybiała.

— Tak, i widać to nawet! Nie, Scarlett, nawet jako sześćdziesięcioletnia staruszka będziesz dla mnie taka sama. Zawsze będę cię pamiętał taką, jaką byłaś w dniu naszej ostatniej barbakoi, kiedy siedziałaś pod dębem otoczona tuzinem chłopców. Mogę ci nawet powiedzieć, jak byłaś ubrana. Nosiłaś białą suknię w małe zielone kwiatuszki i biały koronkowy szal na ramionach. Miałaś malutkie zielone pantofelki z czarnymi sznurowadłami i olbrzymi kapelusz słomkowy z długimi wstążkami. Znam tę suknię na pamięć, bo kiedy byłem w więzieniu i było mi bardzo źle na duszy, przypominałem sobie dawne czasy i na każde wspomnienie patrzyłem jak na obraz, rozpatrując wszystkie szczegóły...

Przerwał nagle i blask znikł z jego twarzy. Puścił lekko jej dłonie — ona zaś czekała, czekała w napięciu na następne jego słowa.

— Długą przeszliśmy obydwoje drogę od owego dnia, prawda, Scarlett? Wędrowaliśmy po ścieżkach, o których nic jeszcze wówczas nie wiedzieliśmy. Ty szłaś szybko i wprost, ja wolno i niechętnie.

Usiadł znowu na stole, popatrzył na nią i znowu się uśmiechnął. Nie był to już jednak ten sam uśmiech, który tak ją rozradował przed chwilą. Był to smutny uśmiech.

— Tak, ty poszłaś szybko naprzód, ciągnąc mnie za kołami swego wozu. Scarlett, czasem czuję obiektywną ciekawość, co też by się ze mną stało bez twojej pomocy.

Szybko zaczęła go bronić przed samym sobą, tym szybciej, że przypomniały jej się zdradliwe słowa Retta na ten temat.

— Ależ ja nic nigdy nie zrobiłam dla ciebie, Ashleyu. Beze mnie czy ze mną, zawsze jesteś ten sam. Stałbyś się bogatym człowiekiem, wielkim człowiekiem, którym jeszcze zresztą będziesz.

— Nie, Scarlett, nigdy nie było we mnie zadatków wielkości. Sądzę, że gdyby nie ty poszedłbym w zapomnienie — jak biedna Kasia Calvert i tyle innych osób, które niegdyś nosiły wielkie i stare nazwiska.

— Ach, Ashleyu, nie mów tak. To brzmi tak smutno.

— Nie, nie jestem wcale smutny. Już nie. Kiedyś, kiedyś byłem smutny. Teraz jestem tylko...

Przerwał. Domyśliła się, co myślał. Gdy oczy jego popatrzyły poza nią, czyste jak kryształ i dalekie, po raz pierwszy od czasu, kiedy go znała, wiedziała, co myśli. Wówczas, gdy kochała go bez opamiętania, on był dla niej całkowitą zagadką. Teraz, w spokojnej serdeczności, jaka zrodziła się między nimi, mogła wniknąć w jego myśli, zrozumieć go trochę. Nie był już smutny. Smutny był po kapitulacji, smutny, kiedy błagała go, aby przeniósł się do Atlanty. Teraz był już tylko zrezygnowany.

— Nie chcę, abyś tak mówił, Ashleyu — rzekła gwałtownie. — Mówisz jak Rett. On zawsze bez końca mówi o podobnych rzeczach i o tym, co nazywa prawem przetrwania najsilniejszych, aż chce mi się płakać ze znudzenia.

Ashley uśmiechnął się.

— Czy nigdy nie pomyślałaś o tym, Scarlett, że Rett i ja jesteśmy do siebie zasadniczo podobni?

— Ach, nie! Ty jesteś szlachetny, tak uczciwy, a on... — Przerwała, bardzo zmieszana.

— Ale jesteśmy podobni. Pochodzimy z tej samej sfery, byliśmy wychowani w podobny sposób, nauczono nas myśleć tak samo. Gdzieś po drodze skręciliśmy w różne strony. Jeszcze nadal myślimy podobnie, tylko reagujemy inaczej. Tak na przykład, żaden z nas nie wierzył w wygranie wojny, ale ja zaciągnąłem się od razu i walczyłem w szeregach, a on czekał z tym prawie do końca. Obaj wiedzieliśmy, że ta wojna jest zła. Wiedzieliśmy, że walka jest przegrana. Ja godziłem się walczyć o sprawę z góry przegraną — on nie. Czasem myślę, że on miał rację, potem znowu...

— Ach, Ashleyu, kiedyż wreszcie przestaniesz oglądać każde zagadnienie ze wszystkich stron? — zapytała. Nie mówiła ze zniecierpliwieniem jak dawniej. — Nie można nigdzie dojść, jeżeli się w ten sposób na wszystko patrzy.

— To prawda, ale... Scarlett, a dokąd właściwie chciałabyś dojść? Zastanawiam się nad tym często. Widzisz ja nigdy nie chciałem do niczego dochodzić. Chciałem zawsze być tylko sobą.

Dokąd chciałaby dojść? To dziwne pytanie. Oczywiście do pieniędzy i bezpieczeństwa. A jednak... Zaczęła się zastanawiać. Miała pieniądze i maksimum bezpieczeństwa, jakie można było zdobyć w tym bardzo niepewnym świecie. Teraz jednak, gdy o tym myślała, nie wydawało jej się, aby to było wystarczające. Teraz, gdy o tym myślała, dochodziła do przekonania, że te rzeczy wcale nie uczyniły jej bardziej szczęśliwą, chociaż stała się mniej zatroskana, mniej niepewna jutra. „Gdybym miała pieniądze, bezpieczeństwo i ciebie, miałabym wszystko, co chciałam osiągnąć” — myślała patrząc na niego tęsknie. Nie wypowiedziała jednak tych słów bojąc się przerwać czar, bojąc się, że przerwie nić porozumienia.

— A więc ty chcesz tylko być sobą? — zaśmiała się trochę boleśnie. — Moim największym kłopotem było zawsze to, że nie byłam sobą! Jeżeli zaś chodzi o to, dokąd chciałabym dojść, to zdaje mi się, że już doszłam. Chciałam być bogata i bezpieczna...

— Ależ Scarlett, czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że ja nie dbam o to, czy jestem bogaty, czy nie?

Nie, nigdy jej nie przyszło na myśl, że ktoś może nie chcieć być bogaty.

— A zatem czego chcesz?

— Nie wiem już teraz. Wiedziałem kiedyś, ale prawie zapomniałem. Chciałem mieć spokój, nie mieć nic wspólnego z ludźmi, których nie lubię, nie być zmuszany do robienia rzeczy, których nie chcę robić. Może... chciałbym, aby znowu wróciły dawne czasy, one zaś nigdy nie wrócą i prześladuje mnie wspomnienie o nich i o świecie, który rozpada się na moich oczach.

Scarlett wydęła usta z uporem. Doskonale rozumiała, co Ashley miał na myśli. Sam ton jego głosu przypominał dawne dni i sprawiał, że serce jej ściskało się boleśnie i ogarniały ją wspomnienia. W chwili jednak, gdy leżała słaba i zrozpaczona w ogrodzie Dwunastu Dębów i powtarzała sobie: „Nie będę patrzyła wstecz”, odgrodziła się ostatecznie od przeszłości.

— Wolę czasy obecne — powiedziała. Ale mówiąc to nie patrzyła mu w oczy. — Teraz zdarzają się stale rzeczy interesujące, są zabawy i inne rozrywki. Wszystko ma jakiś blask — dawne czasy były takie nudne. (O, leniwe dni i ciepłe spokojne wiejskie zmierzchy! Łagodne śmiechy dochodzące z chat murzyńskich! Złociste ciepło życia i krzepiąca pewność tego, co przyniesie jutro! Jakże mogę się was wypierać?)

— Wolę czasy obecne — powtórzyła, już z drżeniem w głosie. Zsunął się ze stołu i cicho się śmiał z niedowierzaniem. Kładąc dłoń pod jej podbródek podniósł jej twarz ku sobie.

— Ach, Scarlett, jakże ty źle kłamiesz! Tak, życie ma teraz blask... pewnego rodzaju. Właśnie o to chodzi. Dawne czasy nie miały blasku, ale miały wdzięk, piękno, spokojny czar...

Tak przyparta do muru, spuściła oczy, Dźwięk jego głosu i dotknięcie jego ręki otworzyły łagodnie wrota, które zamknęła na zawsze. Za wrotami tymi leżało piękno dawnych dni; teraz zbudziła się w niej tęsknota za nimi. Wiedziała jednak, że piękna tego nie należy budzić. Nikt nie mógł iść naprzód obciążony brzemieniem bolesnych wspomnień.

Ashley puścił teraz jej twarz, wziął jedną jej dłoń w obie swoje i trzymał ją w nich łagodnie.

— Czy pamiętasz... — zaczął.

Sygnał ostrzegawczy w jej głowie zadzwonił: „Nie patrz wstecz! Nie oglądaj się!”

Nie zwróciła nań uwagi, bo już ją unosiła fala szczęścia. Zaczęła go wreszcie rozumieć, dusze ich spotkały się wreszcie. Chwila ta była zbyt cenna, aby ją stracić, choćby nie wiem jaki ból miał przyjść potem.

— Czy pamiętasz — powiedział, i pod zaklęciem jego głosu znikły gołe ściany małego kantorku, lata rozstąpiły się: znowu cwałowali razem miedzami podczas dawno minionej wiosny. Kiedy mówił, uścisk jego zacieśniał się na jej dłoni i w głosie zabrzmiał smutny czar dawno zapomnianych pieśni. Słyszała wesołe dźwięczenie uprzęży, kiedy pod krzakami dereni jechali na pikniki do Tarletonów, słyszała własny beztroski śmiech, widziała blask słońca na jego złotosrebrzystych włosach i podziwiała dumny wdzięk, z jakim siedział na koniu. W głosie jego brzmiała muzyka, skrzypce i banjo, pod których dźwięk tańczyli w białym, już nie istniejącym domu. Słychać było dalekie ujadanie psów tropiących oposy na moczarach w świetle chłodnego jesiennego księżyca i zapach przystrojonych choiną misek nalewki w czasie Świąt Bożego Narodzenia, i uśmiechy na czarnych i białych twarzach. I starzy przyjaciele tłoczyli się w jej wspomnieniu, śmiejąc się, jak gdyby nie odeszli przed laty. Stuart i Brent o długich nogach, rudawych włosach i skłonności do figlów, Tom i Boyd, niespokojni jak młode źrebce, Józio Fontaine o gorących czarnych oczach, Cade i Raiford Calvertowie poruszający się z ospałym wdziękiem. Zjawił się i Jan Wilkes, i Gerald, czerwony od koniaku, i szept, i zapach, którym była Ellen. Wszystko to osnute było poczuciem bezpieczeństwa, świadomością, że jutro przyniesie taką samą radość, jaką dał dzień dzisiejszy.

Głos Ashleya ucichł. Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy — stała między nimi słoneczna miniona młodość, którą niegdyś beztrosko dzielili.

„Teraz rozumiem, dlaczego nie możesz być szczęśliwy — myślała smutnie. — Nigdy tego dotąd nie rozumiałam. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego i ja nie byłam zupełnie szczęśliwa. Ależ, przecież rozmawiamy teraz jak starzy ludzie! — pomyślała z posępnym zdziwieniem. — Jak starzy ludzie, wspominający zdarzenia sprzed pięćdziesięciu lat. A nie jesteśmy przecież jeszcze starzy! Tylko że tyle się w tym czasie zdarzyło. Wszystko zmieniło się tak bardzo, jak gdyby minęło pięćdziesiąt lat. A nie jesteśmy wcale starzy!”

Kiedy jednak spojrzała na Ashleya, nie wyglądał on już młodo i radośnie. Pochylił głowę i nie widząc patrzył na jej dłoń, którą jeszcze trzymał w swoich. Spostrzegła, że jego niegdyś jasne włosy bardzo posiwiały, że srebrzą się jak promień księżyca na spokojnej wodzie. Wesoły blask kwietniowego popołudnia znikł gdzieś, radość ustąpiła z jej serca, i smutna słodycz wspomnień stała się gorzka jak piołun.

„Nie powinnam była pozwolić mu wspominać — myślała z rozpaczą. — Miałam rację mówiąc, że nie chcę się za siebie oglądać. To boli za bardzo, to tak ściska serce, że nie można już nic robić, tylko trzeba patrzeć w przeszłość. Tak właśnie jest z Ashleyem. Nie może już patrzeć naprzód. Nie widzi teraźniejszości, boi się przyszłości, więc patrzy wstecz. Nigdy tego przedtem nie rozumiałam. Nigdy przedtem nie rozumiałam Ashleya. Och, Ashleyu, najdroższy mój, po cóż oglądasz się za siebie? Cóż ci z tego przyjdzie? Nie powinnam ci była pozwolić na rozmowę o dawnych czasach. Tak się właśnie dzieje, kiedy człowiek patrzy na minione szczęście — boli go serce, nic go cieszyć nie może”.

Wstała teraz; Ashley jeszcze nie puszczał jej ręki. Musi już iść. Nie może tu zostać, myśleć o dawnych czasach i patrzeć na jego twarz — zmęczoną, smutną i żałosną jak teraz.

— Długą drogę przeszliśmy od owych czasów, Ashleyu — powiedziała starając się, aby głos jej nie drżał, starając się zwalczyć ściskanie w gardle. — Mieliśmy szlachetne zamiary, prawda? — a potem w nagłym porywie, — Och, Ashleyu, nic nie poszło tak, jak chcieliśmy!

— I nigdy tak nie idzie — powiedział. — Życie nie jest obowiązane dawać nam to, czego oczekujemy. Bierzemy to, co nam daje, i jesteśmy wdzięczni, że nie jest jeszcze gorzej.

Serce jej oniemiało z bólu i ze zmęczenia, kiedy pomyślała o długiej przebytej drodze. Odżyło w jej pamięci wspomnienie Scarlett O'Hara, która lubiła chłopców i piękne suknie, i miała zamiar kiedyś, gdy będzie na to czas, stać się tak wielką damą jak Ellen.

Nagle w oczach jej zabłysły łzy i stoczyły się wolno po policzkach. Patrzyła teraz na Ashleya jak zranione zdumione dziecko. On nic nie powiedział, ale wziął ją łagodnie w objęcia, przycisnął głowę jej do swego ramienia i pochylając się ku niej przyłożył twarz swoją do jej twarzy. Poddała mu się i otoczyła go ramionami. Uścisk jego osuszył jej od razu łzy. Ach, dobrze było znowu być w jego objęciach, bez namiętności, bez napięcia, być w nich jak najlepsza przyjaciółka. Tylko Ashley, który znał jej wspomnienia i całą jej młodość, który wiedział, jak zaczynała i. co osiągnęła, mógł ją zrozumieć.

Usłyszała kroki na dworze, ale nie zwróciła na nie uwagi myśląc, że to woźnice odchodzą do domu. Przez chwilę stała cicho, wsłuchując się w bicie serca Ashleya. Nagle oderwał się od niej, zdumiewając ją swoją gwałtownością. Spojrzała w jego twarz ze zdziwieniem, on jednak nie patrzył na nią. Patrzył przez jej ramię na drzwi.

Odwróciła się: stała tam India, blada, z błyszczącymi oczyma, i Archie, nieprzyjazny jak jednooka papuga. Za nimi stała pani Elsing.

Kiedy i jak wyszła z kantorku — nie mogła sobie nigdy przypomnieć. Wyszła jednak natychmiast, szybko, na rozkaz Ashleya, zostawiając go w nieprzyjemnej rozmowie z Archiem, a Indię i panią Elsing na dworze, odwrócone do niej plecami. Wstyd i strach pędziły ją do domu. W wyobraźni jej Archie z patriarchalną brodą wyrósł do rozmiarów anioła zemsty ze stronic Starego Testamentu.

Dom był pusty i cichy w kwietniowym zmierzchu. Cała służba wyszła na jakiś pogrzeb, a dzieci bawiły się w ogródku Melanii. Melanii...

Melania! Na myśl o niej dreszcz przejął Scarlett. Melania dowie się o wszystkim! India uprzedziła, że powie jej wszystko. Och, India powie jej z rozkoszą nie dbając o to, że oczernia Ashleya, nie dbając o to, że zrani Melanię, byle tylko mogła Scarlett dokuczyć! I pani Elsing także wszystko rozgada, chociaż nic nie widziała, bo stała w drzwiach kantoru za Indią i Archiem. Ale mimo to będzie gadała. Do kolacji wiadomość rozniesie się po całym mieście. Wszyscy, nawet Murzyni, będą o tym wiedzieli przed śniadaniem. Wieczorem na przyjęciu kobiety będą się gromadziły po kątach i szeptały ze sobą cicho i ze złośliwą przyjemnością. Scarlett Butler strącona ze swego wysokiego i potężnego piedestału! Plotka będzie rosła i rosła. Nie było możności jej powstrzymać. Ludzie nie poprzestaną na nagim fakcie, że Ashley tulił ją w objęciach, ponieważ płakała. Przed zapadnięciem nocy będą mówili, że została przyłapana na gorącym uczynku. A wszystko to było tak niewinne, tak słodkie! Scarlett myślała z pasją: „Gdyby przyłapano nas podczas jego urlopu na Boże Narodzenie, kiedy mnie całował na pożegnanie — gdyby nas przyłapano w sadzie w Tarze, kiedy go błagałam, aby ze mną uciekł — gdyby nas przyłapano, kiedy byliśmy naprawdę winni, nie byłoby mi tak ciężko. Ale teraz! Teraz! Kiedy obejmował mnie jak przyjaciel...”

Nikt w to jednak nie uwierzy. Nie będzie ani jednej osoby, która by ujęła się za nią, ani jednego głosu, który by powiedział: „Nie, wierzę, że zrobiła coś złego”. Zbyt długo gorszyła starych przyjaciół, aby teraz znaleźć pośród nich obrońców. Nowi przyjaciele, w milczeniu cierpiący jej arogancję, z radością powitają sposobność oczernienia jej. Nie, wszyscy uwierzą we wszystko złe o niej, chociaż będą może żałowali, że człowiek tak dobry jak Ashley Wilkes został wmieszany w tę brudną sprawę. Jak zwykle — potępią przede wszystkim kobietę i zbagatelizują winę mężczyzny. I w tym wypadku będą mieli słuszność. To ona pozwoliła się wziąć w ramiona.

Och, jeżeli trzeba, zniesie afronty, pogardliwe spojrzenia, dwuznaczne uśmiechy, wszystko, co powie miasto — nie zniesie tylko spojrzenia Melanii! Ach, nie! Nie rozumiała, dlaczego to ją obchodziło najwięcej. Była zbyt przerażona i przytłoczona poczuciem dawnych win, aby starać się to sobie wytłumaczyć. Wybuchła jednak płaczem na myśl o tym, co przeżyje Melania, gdy India powie jej, że przyłapała Ashleya całującego Scarlett. I co zrobi Melania, jeżeli uwierzy? Czy opuści Ashleya? Cóż jej innego pozostaje, jeżeli ma jakąkolwiek godność? ,,I co wtedy zrobię ja i Ashley? — myślała gwałtownie zalewając się łzami. — Och, Ashley umrze ze wstydu i znienawidzi mnie za to, co na niego sprowadziłam”. Nagle przestała płakać i śmiertelny strach przeszył jej serce. A Rett? Co zrobi Rett?

Może się nigdy o tym nie dowie. Jakie to było stare, cyniczne przysłowie? „Mąż dowiaduje się o wszystkim ostatni!” Może nikt mu nie powie. Trzeba będzie odważnego człowieka, który by mu o tym powiedział, bo Rett miał opinię, że najpierw strzela, a potem zadaje pytania. O Boże, nie dopuść, aby ktoś był tak odważny i powiedział mu o tym! Przypomniała sobie jednak twarz Archiego w kantorku, jego zimne, bezwzględne, jasne oko, pełne nienawiści do niej i do wszystkich kobiet. Archie nie bał się ani Boga, ani ludzi i nienawidził niewiernych kobiet. Nienawidził ich tak, że jedną zabił. I zapowiedział jej, że powie o wszystkim Rettowi. Powie mu, mimo starań Ashleya, aby go od tego odwieść. Jeżeli Ashley go nie zabije, Archie powie Rettowi, gdyż będzie to uważał za swoją chrześcijańską powinność.

Zdjęła suknię i położyła się na łóżku, a myśli jej krążyły bez przerwy w kółko. Gdybyż tylko mogła zamknąć drzwi i zostać na zawsze w tym bezpiecznym miejscu i nigdy nikogo nie widzieć! Może Rett nie dowie się o tym dzisiaj. Powie mu, że ma ból głowy i że nie może iść na przyjęcie. Do rana wymyśli jakieś usprawiedliwienie, jakąś obronę, która wytrzyma krytykę.

— Nie mogę o tym myśleć teraz — wyszeptała z rozpaczą,, kryjąc twarz w poduszce. — Nie będę o tym teraz myślała. Pomyślę później, kiedy mi łatwiej będzie to znieść.

Słyszała, że służba wróciła, kiedy zapadł zmierzch. Wydawało jej się, że zachowują się wyjątkowo cicho, krzątając się przy gotowaniu kolacji. Czy też gryzło ją tylko sumienie? Mammy przyszła pod drzwi i zapukała, ale Scarlett odesłała ją mówiąc, że nie chce kolacji. Czas mijał — wreszcie usłyszała kroki Retta na schodach. Czekała w napięciu, aż doszedł do hallu na górze, zbierała siły na rozmowę, on jednak przeszedł do swego pokoju. Odetchnęła z ulgą. Nie wiedział o niczym. Bogu niechaj będą dzięki, że uznaje jej prośbę, aby nigdy więcej nie przekraczać progu jej sypialni, bo gdyby teraz ją zobaczył, wyczytałby z jej twarzy wszystko. Musi się wziąć dobrze w garść, aby mu powiedzieć, że źle się czuje i nie pójdzie na przyjęcie. Jeszcze jest czas, aby się uspokoić. Czy też może już za późno? Od owej strasznej chwili przed wieczorem straciła poczucie czasu. Słyszała, że Rett dość długo chodzi po swoim pokoju i czasem odzywa się do Porka. Jeszcze nie miała odwagi go zawołać. Leżała w ciemności na łóżku i drżała.

Po długiej chwili zapukał do drzwi. Starając się opanować głos odpowiedziała: — Wejdź.

— A więc rzeczywiście pozwalasz mi wejść do sanktuarium? — zapytał otwierając drzwi. Było ciemno, nie mogła widzieć jego twarzy. Nie mogła też niczego wywnioskować z jego głosu. Wszedł zamykając za sobą drzwi.

— Czy jesteś gotowa na przyjęcie?

— Przykro mi bardzo, ale boli mnie głowa. — Jakie to dziwne, że głos jej brzmi normalnie! Dzięki Bogu za ciemność! — Nie pójdę chyba do Meli. Ty idź, Rett, i przeproś Melanię w moim imieniu.

Nastąpiła długa pauza, aż wreszcie Rett powoli i zgryźliwie przemówił z ciemności:

— Jakaż z ciebie tchórzliwa, lękliwa samiczka!

Wiedział! Drżała na całym ciele nie mogąc mówić. Słyszała, jak szperał po ciemku, jak potarł zapałkę. Światło zalało pokój. Podszedł do łóżka i popatrzył na nią. Był we fraku.

— Wstań — powiedział bezbarwnym głosem. — Idziemy na przyjęcie. Będziesz się musiała pośpieszyć.

— Och, Rett, nie mogę iść. Widzisz...

— Widzę. Wstań.

— Rett, czy Archie śmiał...

— Archie śmiał. Archie to bardzo odważny człowiek.

— Powinieneś był go zabić za rozsiewanie kłamstw...

— Nie mam zwyczaju zabijać ludzi, którzy mówią prawdę. Nie ma teraz czasu na sprzeczki. Wstań.

Usiadła na łóżku otulając się szlafrokiem i patrząc badawczo w twarz Retta. Była ciemna i obojętna.

— Nie pójdę, Rett. Nie. mogę, dopóki to... nieporozumienie nie zostanie wyjaśnione.

— Jeżeli nie pokażesz się ludziom dzisiaj, nie będziesz się mogła pokazać do końca życia nikomu w tym mieście. Mogę znieść, że mam za żonę dziewkę, ale nie zniosę przy sobie tchórza. Pójdziesz dziś na przyjęcie, choćby wszyscy, od Stephensa poczynając, zrobili ci afront, i choćby pani Wilkes wyprosiła nas z domu.

— Rett, pozwól mi wytłumaczyć.

— Nie chcę nic słyszeć. Nie ma już czasu. Włóż suknię.

— Oni nic nie rozumieją — India, pani Elsing i Archie. Tak mnie nienawidzą. India nienawidzi mnie tak bardzo, że gotowa jest opowiadać kłamstwa o własnym bracie, byleby mnie przedstawić w złym świetle. Gdybyś mi się tylko pozwolił wytłumaczyć...

„Och, Matko Przenajświętsza — myślała z rozpaczą — a jeżeli powie: Proszę, wytłumacz się! Co mogę powiedzieć? Jak mu wytłumaczyć?”

— Oni już z pewnością rozpowiedzieli wszystkim te kłamstwa. Nie mogę tam dzisiaj iść.

— Pójdziesz — powiedział — choćbym cię miał tam zaciągnąć za kark i co krok cię kopać w twoje bardzo ponętne pośladki.

W oczach jego czaił się zimny blask, gdy jednym ruchem postawił ją na nogi. Wziął jej gorset i rzucił go w jej stronę.

— Włóż to. Ja cię zasznuruję. O tak, umiem to robić. Nie, nie zawołam Mammy, aby ci pomogła, bo gotowa byłabyś zamknąć drzwi na klucz i ukryć się tutaj, jak przystało tchórzowi, którym jesteś.

— Nie jestem tchórzem! — zawołała dotknięta do żywego. — Nie...

— Och, zaoszczędź mi swojej bajeczki o zastrzeleniu Jankesa i stawieniu czoła żołnierzom Shermana. Jesteś tchórzem... na dodatek do innych swoich cnót. Jeżeli nie ze względu na siebie samą, pójdziesz dzisiaj ze względu na Bonnie. Jak mogłaś bardziej jeszcze popsuć jej szansę życiowe? Wkładaj gorset, śpiesz się.

Szybko zrzuciła szlafrok i została w samej tylko koszuli. Gdybyż spojrzał teraz na nią i zobaczył, jak ładnie wygląda w koszuli, może by znikł z jego twarzy ten straszny wyraz. Ostatecznie, nie widział jej w koszuli już od bardzo dawna. On jednak nie patrzył na nią. Stał przy szafie i szybko przeglądał jej suknie. Wreszcie zdecydował się i wyjął jej nową suknię z jasnozielonej mory. Była z przodu głęboko wycięta, spódnica zaś udrapowana była na olbrzymiej turniurze, do której przypięty był wielki pęk różowych aksamitnych róż.

— Włóż tę — powiedział rzucając ją na łóżko i podchodząc do Scarlett. — Na dziś nieodpowiednie byłyby skromne tony perłowe lub lila. Sztandar twój musi powiewać dumnie. I nałóż dużo różu. Jestem przekonany, że kobieta, którą faryzeusze przyłapali na cudzołóstwie, była znacznie mniej blada. Odwróć się.

Wziął w ręce sznurowadła gorsetu i ściągnął je tak mocno, że Scarlett krzyknęła, przerażona, upokorzona, zmieszana jego brutalnością.

— Boli, prawda? — Roześmiał się krótko; nie widziała jego twarzy. — Szkoda, że to nie twoja szyja.

Dom Melanii jarzył się światłem ze wszystkich pokojów, a muzykę słychać było daleko w ulicy. Kiedy zajechali przed front, doszedł ich przyjemny gwar rozbawionych głosów. Dom był przepełniony gośćmi. Zapełniali werandę, a wielu siedziało na ławkach w oświetlonym lampionami ogródku.

„Nie mogę tam wejść, nie mogę — myślała Scarlett siedząc w powozie i szarpiąc zmiętą chusteczkę. — Nie mogę. Nie wejdę. Wyskoczę z powozu i ucieknę, dokądkolwiek, do domu, do Tary. Dlaczego Rett mnie zmusił, abym tu przyszła? Jak zachowają się ludzie? Jak zachowa się Melania? Jak będzie wyglądała? Och, nie mogę jej spojrzeć w oczy. Ucieknę”.

Jak gdyby czytając jej myśli, Rett objął ją mocno za ramię i ścisnął tak, że z pewnością zrobił jej sińca. Ścisnął obojętnie, jak człowiek obcy.

— Nigdy dotąd nie widziałem Irlandczyka, który by był tchórzem. Gdzież się podziała twoja słynna odwaga?

— Rett, proszę cię, pozwól mi wrócić do domu i wszystko ci wytłumaczyć.

— Masz całą wieczność na tłumaczenie się, a tylko tę jedną noc na męczeństwo na arenie. Wysiądź, kochanie, i pozwól mi patrzeć, jak cię lwy będą pożerać. Wysiądź.

W jakiś sposób przeszła przez alejkę; ramię, na którym się opierała, było twarde i mocne jak granit i udzielało jej nieco odwagi. Na Boga, potrafi im się przeciwstawić. Czymże byli więcej niż garstką rozwścieczonych kotów, bardzo o nią zazdrosnych? Już ona im pokaże. Nie dbała o to, co myślą. Jedynie Melania — jedynie Melania...

Byli już na ganku i Rett kłaniał się na prawo i na lewo; trzymał w ręce kapelusz, a głos. jego był chłodny i cichy. Kiedy wchodzili, muzyka przestała grać, a gwar głosów, jak się Scarlett zdawało, to wznosił się jak szum morza, to ucichał, stawał się słabszy i nikł. Czy wszyscy zrobią jej afront? No więc, do stu piorunów, niech zrobią! Podniosła twarz i uśmiechnęła się mrużąc oczy.

Zanim mogła zwrócić się z powitaniem do ludzi stojących najbliżej drzwi, ktoś zaczął się przeciskać przez ciżbę. Zapadła dziwna cisza, od której ścisnęło się serce Scarlett. Między rozstępującymi się ludźmi szła Melania, na drobnych nóżkach, które śpieszyły się, śpieszyły, by spotkać Scarlett przy drzwiach, przemówić do niej, zanim przemówi ktokolwiek inny. Wąskie jej plecy były wyprostowane, a mały podbródek podniesiony; wydawało się, że myśli wyłącznie o Scarlett, że Scarlett jest jej jedynym gościem. Podeszła do niej i otoczyła ją ramieniem.

— Jaką masz śliczną suknię, kochanie — powiedziała czystym, dźwięcznym głosikiem. — Czy chciałabyś mi wyświadczyć wielką przysługę? India nie mogła dzisiaj przyjść, aby mi pomagać. Czy zechcesz czynić ze mną honory domu?

## ROZDZIAŁ LIV

Bezpieczna w swoim pokoju, Scarlett rzuciła się na łóżko nie zważając, że zgniecie suknię z mory, turniurę i kwiaty. Przez czas jakiś leżała bez ruchu i myślała tylko o tym, jak z Melanią i Ashleyem przyjmowała gości. Cóż za koszmar! Wolałaby znowu stawie opór żołnierzom Shermana niż powtórzyć tę komedię! Po dłuższej chwili wstała z łóżka i poczęła nerwowo chodzić po pokoju, rozbierając się po trochu.

Zaczęła odczuwać reakcję po tym wysiłku — dostała dreszczy. Szpilki do włosów wysuwały się z jej rąk i spadały na podłogę, a kiedy zaczęła szczotkować włosy, uderzyła się szczotką w skroń. Niezliczoną ilość razy podchodziła na palcach do drzwi i słuchała, czy z dołu nie usłyszy jakiegoś dźwięku, dom jednak był cichy jak przepaść bez dna.

Po przyjęciu Rett odesłał ją do domu samą w powozie, dziękowała więc Bogu za to odwleczenie egzekucji. Dotąd jeszcze go nie było. Bogu dzięki, że jeszcze nie wrócił. Nie potrafiłaby go dzisiaj widzieć, pełna wstydu, przerażona, drżąca. Gdzież się jednak podziewał? Prawdopodobnie znowu był u tej dziewki. Po raz pierwszy w życiu Scarlett była zadowolona, że istnieją osoby pokroju Belli Watling. Zadowolona, że poza domem jest jeszcze jakieś miejsce, gdzie Rett może się schronić, dopóki mu nie przejdzie drwiący, morderczy nastrój. To źle, że była zadowolona, że mąż jej jest w domu prostytutki, ale na to nie miała rady. Byłaby prawie zadowolona, gdyby nie żył, bo znaczyłoby to, że nie potrzebuje go już tej nocy widzieć.

Jutro — no, jutro będzie inny dzień. Jutro pomyśli o jakiejś wymówce, o jakimś przeciw oskarżeniu, o sposobie oszukania Retta.

Jutro wspomnienie tej okropnej nocy nie będzie na niej ciążyło tak mocno, że aż drżała z przejęcia. Jutro przestanie ją może prześladować wspomnienie twarzy Ashleya, jego zdeptanej dumy i jego wstydu — wstydu, który zawdzięczał jej, do którego nie przyczynił się wcale. Czy znienawidzi ją teraz — ukochany jej, pełen honoru Ashley, ponieważ naraziła go na wstyd? Rozumie się, że będzie ją nienawidził — teraz, kiedy uratowała ich tylko dumna postawa Melanii, jej miłość i wyraźna ufność brzmiąca w jej głosie, gdy śpiesząc przez śliską posadzkę objęła Scarlett i przeciwstawiła się ciekawemu, złośliwemu, wrogiemu tłumowi. Jak doskonale Melania zatuszowała skandal nie pozwalając Scarlett oddalać się od swego boku przez cały ten straszny wieczór! Ludzie byli chłodni, trochę zdumieni, ale grzeczni.

Och, jakaż to była hańba — chować się za suknię Melanii przed tymi, którzy jej nienawidzili, którzy ją na sztuki będą rozrywali swoją obmową! Ocalenie zawdzięczać ślepemu zaufaniu Melanii, właśnie Melanii!

Scarlett zadrżała na tę myśl jak z zimna. Musi się napić czegoś mocnego, bo inaczej nie będzie się mogła położyć i zasnąć. Zarzuciła na siebie szlafrok i szybko weszła do ciemnego hallu, a ranne jej pantofle głośno stukały w ciszy. Była już na półpiętrze, kiedy spojrzawszy na zamknięte drzwi jadalni zobaczyła pod nimi wąski pasek światła. Serce jej zamarło na chwilę. Czy światło paliło się, gdy przyszła do domu, i tylko była zbyt zgnębiona, aby je zauważyć? Czy też to Rett wrócił do domu? Mógł cicho wejść przez drzwi kuchenne. Jeżeli Rett jest w domu, wróci na palcach do łóżka i położy się nic nie pijąc, chociaż koniak bardzo by się jej przydał. Nie będzie wtedy potrzebowała rozmawiać z Rettem. W pokoju swoim będzie bezpieczna, bo zamknie drzwi na klucz.

Pochyliła się, aby zdjąć pantofle i po cichu móc wrócić na górę, kiedy drzwi jadalni otwarły się nagle i ukazał się w nich Rett odcinający się ciemnym konturem na tle oświetlonego pokoju. Wyglądał jak olbrzym, wydawał się większy niż zwykle, stanowił czarną masę bez twarzy, masę chwiejącą się trochę na nogach.

— Niech mi pani zechce dotrzymać towarzystwa, pani Butler — powiedział trochę zachrypniętym głosem.

Był wyraźnie pijany i Scarlett nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie, chociaż potrafił pić bardzo dużo. Zatrzymała się niepewnie, ale nic nie odpowiedziała, gdy nagle Rett podniósł rozkazująco ramię.

— Chodź tutaj, u diabła! — zawołał ostro.

„Musi być bardzo pijany” — pomyślała z mocno bijącym sercem. Zazwyczaj im więcej pił, tym stawał się grzeczniejszy. Drwił częściej, słowa jego stawały się złośliwsze, ale zachowanie było wtedy z reguły niezwykle uprzejme — aż zbyt uprzejme.

„Nie powinnam dać poznać po sobie, że się go boję” — pomyślała Scarlett i owijając się lepiej szlafrokiem zeszła po schodach z wysoko podniesioną głową, głośno stukając obcasami.

Ustąpił jej z drogi i przepuścił przez drzwi z ukłonem tak szyderczym, że przez chwilę zawahała się, czy wejść. Spostrzegła, że jest bez marynarki i że ma rozwiązany krawat. Koszulę miał odpiętą; na piersi jego widać było grubą warstwę czarnych włosów. Włosy miał stargane, a oczy nalane krwią i bardzo zwężone. Na stole paliła się tylko jedna świeca — wątły promyk światła, który rzucał olbrzymie cienie na wysoki pokój i sprawiał, że masywne bufety i kredensy wyglądały jak nieruchome bestie. Obok świecy na srebrnej tacy stała otwarta karafka i kieliszki...

— Siadaj — powiedział ostro, wchodząc za Scarlett do pokoju. Teraz ogarnął ją strach innego rodzaju, strach, wobec którego poprzednie jej obawy wydały się bardzo błahe. Rett wyglądał, mówił i postępował jak obcy. Miała przed sobą źle wychowanego mężczyznę, którego dotąd nie znała. Zawsze dotychczas, nawet w najintymniejszych momentach zachowywał się co najwyżej nonszalancko. Nawet w złości był przesadnie uprzejmy i szyderczy, a trunek zwykle potęgował te jego cechy. Z początku złościło ją to i starała się tę nonszalancję przełamać, szybko jednak przyzwyczaiła się do niej i przyjęła jako rzecz bardzo wygodną. Przez całe lata myślała, ze nic go nie może głęboko przejąć, że wszystko w życiu, nawet i ją, traktuje jak ironiczny żart. Teraz jednak przyglądając mu się zza stołu zrozumiała z mdlejącym uczuciem w żołądku, że wreszcie obeszło go coś, obeszło bardzo.

— Nie widzę powodu, dlaczego nie miałabyś się napić ze mną, skoro jestem już tak źle wychowany, aby teraz być w domu — powiedział. — Czy mam ci nalać?

— Nie chciałam wcale pić — rzekła sztywno. — Usłyszałam jakiś hałas i przyszłam.

— Nic nie słyszałaś. Nie zeszłabyś, gdybyś przypuszczała, że jestem w domu. Siedziałem tutaj i słuchałem, jak miotasz się tam i z powrotem po pokoju. Koniak zrobi ci bardzo dobrze. Napij się.

— Ja nie...

Wziął karafkę i nalał trunek do kieliszka.

— Weź to — powiedział wsuwając jej kieliszek do ręki. — Drżysz na całym ciele. Och, tylko mi nie zaczynaj udawać. Wiem, że pijesz ukradkiem, i wiem, ile. Od dawna już chciałem ci powiedzieć, abyś zaniechała swoich wymyślnych sztuczek i piła otwarcie, jeżeli masz na to ochotę. Czy sądzisz, że mnie to obchodzi, że lubisz sobie pociągnąć?

Wzięła wilgotny kieliszek, przeklinając Retta w duchu. Czytał w niej jak w książce. Zawsze w niej tak czytał, choć był jedynym człowiekiem na świecie, przed którym chętnie by ukryła swe prawdziwe myśli.

— Wypij to, mówię.

Podniosła kieliszek i wychyliła jego zawartość jednym krótkim ruchem ręki, ze sztywnym przegubem dłoni, jak zwykle Gerald pijał czysty alkohol — wychyliła go, zanim zdążyła pomyśleć, że robi to zbyt fachowo. Gest jej nie uszedł uwagi Retta; jeden kącik ust podniósł mu się w uśmiechu.

— Usiądź! Odbędziemy teraz przyjemną małżeńską rozmówkę na temat eleganckiego przyjęcia, z którego właśnie wracamy.

— Jesteś pijany — powiedziała chłodno — a ja chcę iść spać.

— Bardzo jestem pijany i przed końcem nocy upiję się jeszcze bardziej. Ty jednak nie pójdziesz spać... jeszcze nie. Siadaj.

W głosie jego słychać było jeszcze pewne ślady zwykłego przeciągania, ale pod słowami Scarlett wyczuwała gwałtowność, która przeciskała się na powierzchnię, gwałtowność tak ostrą jak smaganie batem. Stała niezdecydowana, gdy nagle Rett zbliżył się do niej i objął ją za ramię bolesnym uściskiem. Szarpnął nią, więc krzyknąwszy z bólu szybko usiadła. Teraz bała się wyraźnie, więcej niż kiedykolwiek w życiu. Kiedy pochylił się nad nią, spostrzegła, że twarz jego jest ponura i zaczerwieniona, a oczy jeszcze ciągle błyszczą przerażająco. W głębi ich kryło się coś, czego nie mogła odczytać, nie mogła zrozumieć, coś mocniejszego od gniewu, od bólu, coś, co go tak męczyło, że oczy zaczęły mu się żarzyć czerwono, jak rozpalone węgle. Patrzył na nią długo, tak długo, że spuściła zuchwały wzrok. Wtedy siadł na krześle naprzeciw niej i nalał sobie nowy kieliszek. Zaczęła szybko myśleć, starając się wytyczyć sobie jakąś linię obrony. Póki Rett milczał, nie będzie wiedziała, co powiedzieć, bo nie wiedziała dokładnie, o co ją zamierza oskarżyć.

Rett pił powoli, patrząc znad kieliszka, na Scarlett, ona zaś starała się opanować nerwowość, powstrzymać drżenie. Przez jakiś czas nie zmieniał wyrazu twarzy, wreszcie jednak roześmiał się, wciąż jeszcze nie spuszczając wzroku; słysząc jego śmiech drgnęła nerwowo.

— To była bardzo wesoła komedia dziś wieczorem, prawda?

Nic nie odrzekła, tylko ścisnęła palce nóg w za luźnych pantoflach, aby choć w ten sposób opanować drżenie.

— Przyjemna komedia, w której wszystkie role były obsadzone. Miasteczko zgromadziło się, aby ukamienować zbłąkaną kobietę, skrzywdzony mąż podtrzymywał żonę, jak przystało na dżentelmena, skrzywdzona żona wtrąciła się z chrześcijańskim miłosierdziem i zarzuciła na wszystko płaszcz swojej nieskazitelnej reputacji. A kochanek...

— Proszę cię.

— Nie proś mnie. Nie dzisiaj. To jest zbyt zabawne. A kochanek wyglądał jak ostatni głupiec i życzył sobie nagłej śmierci. Co czułaś, moja droga, gdy kobieta, której nienawidzisz, osłaniała ciebie i twoje grzechy? Siadaj.

Usiadła.

— Zdaje mi się, że wcale jej dlatego więcej nie lubisz. Głowisz się nad tym, czy ona wie wszystko o tobie i Ashleyu. Zastanawiasz się, po co to zrobiła, jeżeli wie — czy dlatego, aby siebie osłonić? I myślisz, iż głupia jest, że to zrobiła, chociaż uratowała twoją skórę, ale...

— Nie będę tego słuchała...

— Owszem, będziesz. A powiem ci jeszcze i to na pocieszenie. Pani Mela jest może głupia, ale inaczej głupia niż sądzisz. Nie ulega wątpliwości, że ktoś jej o wszystkim powiedział, nie uwierzyła jednak. Nawet gdyby widziała na własne oczy, jeszcze by nie wierzyła. Zbyt wiele posiada honoru, aby mogła pojąć dyshonor osób, które kocha. Nie wiem, jakie kłamstwo wymyślił Ashley Wilkes, ale nawet najmniej zręczne wystarczyło, bo Melania kocha Ashleya i kocha ciebie. Nie rozumiem zupełnie, dlaczego cię kocha, ale to fakt. Niechaj to będzie twoim krzyżem.

— Gdybyś nie był pijany i zuchwały, wytłumaczyłabym ci wszystko — powiedziała Scarlett odzyskując trochę godności. — Teraz jednak...

— Nie interesują mnie twoje wyjaśnienia. Znam prawdę lepiej, niż ty sama. Na Boga, jeżeli wstaniesz z tego miejsca raz jeszcze... A więcej nawet od dzisiejszej komedii, bawi mnie to, że w tym samym czasie, kiedy tak cnotliwie odmawiałaś mi przyjemności łóżka z powodu moich licznych grzechów, w sercu swym pożądałaś Ashleya Wilkesa. „Pożądałaś w sercu”. To dobre określenie, prawda? W księdze tej jest wiele dobrych określeń, co?

„W jakiej księdze? W jakiej księdze?” — powtarzała w myśli głupio, bez związku, rozglądając się w popłochu po pokoju, zauważając, jak matowo lśni srebro w bladym świetle — jak przerażająco ciemne są kąty.

— Zostałem wygnany, ponieważ moje grubiańskie zapały zbyt raziły twoją delikatność, ponieważ nie chciałaś więcej dzieci. Jakże mnie to ubodło, drogie serce! Jakże mnie to dotknęło! Wyszedłem więc i znalazłem pocieszenie, a ciebie pozostawiłem samą, abyś mogła cieszyć się swoją delikatnością. Tyś jednak czas ten spędziła na napastowaniu cierpliwego pana Wilkesa. Niechże go diabeł porwie, czegóż mu brak? Ani nie potrafi być wierny swojej żonie myślami, ani niewierny czynem. Dlaczego się nie decyduje? Nie miałabyś nic przeciw temu, żeby rodzić jego dzieci — i przedstawiać je jako moje, prawda?

Z krzykiem porwała się na równe nogi. On także wstał z krzesła śmiejąc się tym cichym śmiechem, który ją mroził. Pchnął ją dużymi ciemnymi dłońmi z powrotem na krzesło i pochylił się nad nią.

— Popatrz na moje ręce, moja droga — powiedział zginając je przed jej oczyma, — Mógłbym cię bez trudu rozerwać nimi na kawałki i zrobiłbym to, gdyby to mogło wymazać Ashleya z twoich myśli. Nie wymazałoby jednak. Sądzę więc, że usunę go na zawsze z twojej duszy w taki oto sposób: położę ręce, ot tak, na twojej głowie, i zgniotę twoją czaszkę jak orzech laskowy.

Ręce jego znalazły się na jej głowie, pod jej rozpuszczonymi włosami, pieszczotliwe, mocne — odwrócił jej twarz ku sobie. Patrzyła w oblicze nieznajomego, pijanego człowieka o miękkim głosie. Nigdy nie brakło jej odwagi, teraz więc w obliczu niebezpieczeństwa krew zagrała szybciej w jej żyłach, plecy wyprostowały się, oczy zwęziły.

— Ty pijany głupcze —.powiedziała. — Puść mnie w tej chwili.

Ku jej zdziwieniu puścił ją i siadając na brzegu stołu, nalał sobie

znowu kieliszek koniaku.

— Zawsze podziwiałem twoją odwagę, moja droga. Najbardziej zaś podziwiam ją teraz, gdy jesteś osaczona.

Owinęła się lepiej szlafrokiem. Och, gdybyż mogła się tylko dostać do swego pokoju, przekręcić klucz w zamku mocnych drzwi i zostać sama! Musiała jednak przeciwstawić się Rettowi, dopiec mu tak, aby jej uległ — ten nowy Rett, którego dotąd nie znała. Wstała bez pośpiechu, mimo że kolana pod nią drżały, i odrzuciła włosy z twarzy.

— Nie jestem osaczona — powiedziała dobitnie. — Nie potrafisz mnie nastraszyć, Recie Butler, ani przyprzeć do muru. Nie jesteś niczym więcej jak tylko pijanym chamem, który tak długo przebywał w towarzystwie dziewek, że rozumie tylko podłość. Nie potrafisz zrozumieć Ashleya ani mnie. Zbyt długo żyłeś w brudzie, aby znać coś więcej. Jesteś zazdrosny o coś, czego nie możesz pojąć. Dobranoc.

Odwróciła się obojętnie i poszła w stronę drzwi, gdy zatrzymał ją wybuch śmiechu. Obejrzała się — Rett szedł zataczając się w jej stronę. Na miłość boską, gdybyż tylko przestał się śmiać tak strasznie! Cóż śmiesznego było w tym wszystkim? Kiedy zbliżył się ku niej, zaczęła cofać się do drzwi i wreszcie oparła się o ścianę. Położył jej dłonie na ramionach.

— Przestań się śmiać.

— Śmieję się, ponieważ bardzo mi cię żal.

— Żal ci mnie? Lituj się raczej nad sobą.

— Tak, na Boga, żal mi ciebie, moja droga, śliczna, głupia istotko. To boli, prawda? Nie znosisz ani śmiechu, ani litości, prawda?

Przestał się jednak śmiać i tak mocno oparł się o jej ramiona, że aż ją zabolały. Twarz jego zmieniła wyraz — pochylił się nad nią tak nisko i cuchnął tak silnie wódką, że musiała odwrócić głowę.

— Zazdrosny jestem, mówisz? — powiedział. — I czemu nie miałbym być zazdrosny? O tak, jestem zazdrosny o Ashleya Wilkesa. Czemu nie? Och, nie staraj się nic mówić ani tłumaczyć. Wiem, że byłaś mi fizycznie wierna. Czy to chciałaś powiedzieć? Och, wiem o tym od dawna. Przez wszystkie te lata. Skąd wiem? Ot, znam po prostu Ashleya Wilkesa i jemu podobnych. Wiem, że ma honor i że jest dżentelmenem. A to, moja droga, jest więcej, niż mogę powiedzieć o tobie — czy o sobie. My nie jesteśmy dżentelmenami i nie mamy honoru, prawda? Dlatego plenimy się jak chwasty.

— Puść mnie stąd. Nie chcę tu stać i znosić twych obelg.

— Nie obrażam cię wcale. Wysławiam twoją fizyczną wierność. Ale mimo to nie zdołałaś mnie oszukać ani na chwilę. Uważasz mężczyzn za koronowanych głupców, Scarlett. Źle się wychodzi na niedocenianiu siły i inteligencji przeciwnika. A ja nie jestem głupi. Czy wydaje ci się, że nie wiem, jak leżąc w moich objęciach wyobrażałaś sobie, że jestem Ashleyem Wilkesem?

Otworzyła usta ze zdumienia, przerażenie malowało się jasno na jej twarzy.

— To rzecz niezwykle przyjemna. Raczej nawet niesamowita. To tak, jak gdyby troje leżało w łóżku, w którym jest miejsce na dwoje. — Potrząsnął bardzo łagodnie jej ramionami, czknął i uśmiechnął się drwiąco.

— O tak, byłaś mi wierna, bo Ashley ciebie nie chciał. Ale, u diabła, użyczyłbym mu twego ciała. Wiem, że niewiele znaczą ciała, zwłaszcza ciała kobiet. Nie użyczam mu jednak twego serca i twojej twardej, bezwzględnej, drogiej mi duszy. On nie chce twojej duszy, głupiec, ja zaś nie chcę twego ciała. Mogę mieć kobiet, ile zechcę. Pragnę jednak duszy twojej i twego serca — i nigdy ich nie będę miał, tak samo jak ty nigdy nie posiądziesz duszy Ashleya. I dlatego żal mi ciebie.

Mimo zdumienia i przerażenia, dotknęła ją ironia w jego głosie.

— Żal ci mnie?

— Tak, żal mi ciebie, bo jesteś wielkim dzieckiem, Scarlett. Dzieckiem, które płacze, bo chce mieć księżyc. Cóż by zrobiło z księżycem, gdyby go dostało? I cóż byś ty poczęła z Ashleyem? Tak, żal mi ciebie — żal mi, że odrzucasz obiema rękami szczęście i gonisz za czymś, co nigdy ci szczęścia nie da. Żal mi cię, bo jesteś tak głupia, że nie wiesz, iż szczęście może być tylko tam, gdzie łączy się ze sobą dwoje podobnych istot. Gdybym ja umarł, gdyby pani Mela umarła i ty mogłabyś wreszcie mieć swego honorowego kochanka, czy sądzisz, że byłabyś z nim szczęśliwa? Nie. Nie! Nie poznałabyś go nigdy, nie wiedziałabyś, o czym myśli, nigdy byś go nie rozumiała, tak samo jak nie rozumiesz muzyki, poezji, książek czy innych rzeczy — poza pieniędzmi. Podczas gdy my, droga wybranko mego serca, mogliśmy byli być idealnie szczęśliwi, gdybyś to umożliwiła, bo jesteśmy bardzo do siebie podobni. Jesteśmy parą łajdaków, Scarlett, i nie cofamy się przed niczym, jeżeli czegoś bardzo chcemy. Mogliśmy byli żyć szczęśliwie, bo kochałem cię i znam cię, Scarlett, na wylot, tak dokładnie, jak Ashley cię wcale znać nie może. Gardziłby tobą, gdyby cię znał... Ale ty, ty wolałaś przez całe swoje życie gonić za człowiekiem, którego nie możesz zrozumieć. Ja zaś, moje kochanie, będę w dalszym ciągu gonił za dziewkami. Przy tym wszystkim będziemy żyli ze sobą lepiej niż większość małżeństw.

Puścił ją nagle i znowu chwiejnie podszedł ku karafce. Przez chwilę Scarlett stała jak skamieniała, a myśli krążyły jej po głowie tak szybko, że żadnej nie mogła uchwycić, nad żadną zastanowić się dłużej. Rett powiedział, że ją kochał. Czy mówił serio? Czy był tylko pijany? Czy może znowu żartował? A Ashley — księżyc — płakać za księżycem... Wybiegła szybko do ciemnego hallu uciekając, jak gdyby ścigały ją demony. Och, gdybyż mogła się dostać do swego pokoju! Wykręciła sobie kostkę i pantofel zsunął jej się z nogi. Kiedy zatrzymała się na chwilę, aby go zrzucić zupełnie, Rett biegnąc lekko jak Indianin dogonił ją w ciemności. Poczuła na twarzy jego gorący oddech i ręce, które objęły ją brutalnie, odchyliły szlafrok i przylgnęły do gołego ciała.

— Zmusiłaś mnie do wyjścia na miasto, a sama goniłaś za nim. Ale, na Boga, dzisiejszej nocy w moim łóżku będzie nas tylko dwoje!

Wziął ją na ręce i zaczął iść po schodach na górę. Głowa jej przyciśnięta była do jego piersi — słyszała mocne uderzenia jego serca. Uścisk ten sprawiał jej ból, krzyknęła więc, ogłuszona, przerażona. Szedł ciągle w górę w zupełnej ciemności, w górę, w górę, ona zaś była oszalała ze strachu. Był obcy, szalony, wrogie ciemność była groźna, czarna, ciemniejsza od śmierci. Był jak śmierć, kiedy ją tak niósł w gniotącym uścisku. Znów krzyknęła, przyduszona, więc nagle zatrzymał się na półpiętrze i odwracając ją szybko ku sobie pochylił się nad nią i pocałował dziko i tak zachłannie, że ze świadomości jej znikło wszystko poza ciemnością, w którą zapadła, i jego ustami na jej ustach. Drżał, jak gdyby wstrząsał nim ostry wiatr, i usta jego wędrując z warg Scarlett w dół po jej ciele wpijały się w nią gwałtownie. Mruczał jakieś słowa, których nie rozumiała, wargi jego budziły w niej nie znane dotąd dreszcze. Była ciemnością i on był ciemnością i nigdy nic nie istniało do owej chwili, tylko ciemność i błądzące po jej ciele jego wargi. Chciała coś powiedzieć, ale usta jego znowu znalazły się na jej ustach. Nagle przeszył ją dreszcz szalony, jakiego nigdy dotąd nie zaznała; była to radość, strach, szaleństwo, podniecenie, poddanie ramionom zbyt silnym, wargom zbyt twardym, przeznaczeniu, które szło zbyt szybko. Po raz pierwszy w życiu zetknęła się z kimś czy z czymś, co było silniejsze od niej, z kimś, kogo nie mogła złamać ani zastraszyć, kimś, kto ją złamał. Ramionami otoczyła jego szyję i wargi jej zaczęły drżeć pod dotknięciem jego warg. Szli znowu w górę, w górę, w ciemność — w ciemność miękką, kołującą, ogarniającą wszystko.

Kiedy zbudziła się następnego ranka, Retta nie było, i gdyby nie zgnieciona poduszka, mogłaby pomyśleć, że zdarzenia minionej nocy były szalonym, niedorzecznym snem. Zaczerwieniła się na ich wspomnienie i podciągając kołdrę aż po szyję, leżała w świetle słonecznym, starając się uporządkować bezładne wrażenia.

Dwie rzeczy uderzyły ją najwięcej. Żyła od wielu lat z Rettem, spała z nim, jadła, kłóciła się — urodziła mu dziecko — a przecież nie znała go dotąd. Człowiek niosący ją po ciemnych schodach był nieznajomym, którego istnienia nie podejrzewała. Teraz zaś, chociaż chciała go nienawidzić, chociaż chciała się oburzać, nie mogła. Upokorzył ją, poniżył, brutalnie posiadł tej dzikiej, szalonej nocy, ona zaś przyjęła to z zachwytem.

Och, powinna się była wstydzić, powinna była odwrócić się ze wstrętem od samych wspomnień tej gorącej kołującej ciemności! Dama, prawdziwa dama nie może nieść głowy wysoko po takiej nocy. Silniejsze od wstydu było jednak wspomnienie zachwytu, upojenia oddaniem. Po raz pierwszy w życiu poczuła namiętność tak pochłaniającą i prymitywną jak strach, którego doznała w noc

ucieczki z Atlanty, tak mdląco-słodką jak zimna nienawiść, z którą zabiła Jankesa.

Rett kochał ją! W każdym razie powiedział, że ją kochał, a jakże mogła teraz o tym wątpić? Jakie to dziwne, zdumiewające — jakie nieprawdopodobne, że kochał ją ten namiętny nieznajomy, z którym żyła dotąd w takim chłodzie. Nie była pewna, jak przyjąć tę rewelację, ale nagle roześmiała się na głos, bo przyszła jej nowa myśl do głowy. Kochał ją, więc wreszcie miała go w swej mocy. Prawie już zapomniała o pragnieniu zmuszenia go do miłości, aby mogła trzymać bat nad jego czarną zuchwałą głową. Teraz przypomniała sobie o tym z wielką radością. Przez jedną noc miała ją w swojej władzy, ale teraz znała już słaby punkt jego zbroi. Odtąd zacznie nim kierować, jak zechce. Dość długo znosiła już jego kpiny, ale teraz on będzie tańczył, jak mu ona zagra.

Kiedy pomyślała, że zobaczy go twarzą w twarz w trzeźwym świetle dnia, ogarnęło ją nerwowe zakłopotanie, w którym była takie niepokojąca przyjemność.

„Jestem zażenowana jak panna młoda — pomyślała. — I to z powodu Retta!” I na tę myśl zaczęła nerwowo chichotać.

Ale Rett nie zjawił się do obiadu i nie było go przy stole na kolacji. Przyszła noc, długa noc, podczas której czuwała do świtu wytężając słuch, czy nie usłyszy szczęku jego klucza w zamku. Nie przyszedł jednak. Kiedy drugi dzień minął bez wiadomości od niego, omal nie oszalała z rozczarowania i strachu. Przeszła koło banku, ale i tam go nie było. Poszła do sklepu i bardzo opryskliwie traktowała wszystkich, bo ilekroć otwierały się drzwi przed klientem, podrywała się z miejsca spodziewając się, że to Rett. Poszła do składu i tak zbeształa Hugona, że skrył się wreszcie za stosem desek. Ale Rett i tam się nie zjawił.

Nie mogła się upokorzyć tak bardzo, aby pytać znajomych, czy go nie widzieli. Nie mogła dopytywać się o niego służby. Czuła jednak, że wiedzą coś więcej niż ona. Murzyni zawsze o wszystkim wiedzieli. Mammy była przez te dwa dni niezwykle milcząca. Przyglądała się Scarlett spod oka i nic nie mówiła. Kiedy i druga noc minęła, Scarlett postanowiła zawiadomić policję. Może zdarzył mu się jakiś wypadek, może spadł z konia i leżał teraz bezradnie w jakimś rowie. Może — och, co za potworna myśl! — może nie żył...

Następnego ranka, gdy zjadła śniadanie i wkładała w swoim pokoju kapelusz, usłyszała na schodach szybkie kroki. Opadła na łóżko, słaba ze wzruszenia — Rett wszedł do pokoju. Był świeżo ogolony, ostrzyżony, wymasowany i zupełnie trzeźwy, chociaż oczy miał nabiegłe krwią, a twarz obrzękłą z przepicia. Skinął do niej obojętnie ręką i powiedział: — Jak się masz?

Jak może człowiek mówić: „Jak się masz?”, kiedy bez usprawiedliwienia znikł na dwa dni? Jak może być tak nonszalancki po takiej nocy? Nie może — chyba że — chyba że — straszna myśl zaświtała jej w głowie. Chyba że noce takie są dla niego sprawą zwykłą. Na chwilę zaniemówiła zapominając o ślicznych gestach i słowach, które miała mu zamiar powiedzieć. Nie podszedł nawet do niej, aby ją obojętnie pocałować, ale stał patrząc na nią z drwiącym uśmiechem, trzymając w dłoni zapalone cygaro.

— Gdzie... gdzieś ty był?

— Nie mów mi, że nie wiesz! Przypuszczałem, że teraz wie o tym całe miasto. Może zresztą wiedzą wszyscy prócz ciebie. Znasz chyba stare przysłowie: „Żona dowiaduje się o wszystkim ostatnia”?

— Co masz na myśli?

— Przypuszczałem, że po najściu policji na lokal Belli przedwczoraj w nocy...

— Belli... tej... tej kobiety. Byłeś u tej...

— Oczywiście. Gdzież mogłem być! Mam nadzieję, że nie niepokoiłaś się o mnie.

— Poszedłeś ode mnie do... och!

— No, no, Scarlett... Przestań udawać zazdrosną żonę. Wiedziałaś chyba od dawna o Belli.

— Poszedłeś do niej ode mnie, po... po...

— Ach, to... — Zrobił niedbały gest. — Straciłem panowanie nad sobą. Przepraszam cię za moje zachowanie. Byłem bardzo pijany, jak zapewne pamiętasz, i zupełnie oszołomiony twoimi wdziękami... czy mam je wyliczyć?

Chciała nagle zapłakać, położyć się na łóżku i płakać bez końca. Nie zmienił się wcale, nic się nie zmieniło, była głupią, śmieszną, zarozumiałą gęsią myśląc, że Rett ją kocha. Wszystko to było jednym z jego wstrętnych, pijanych żartów. Wziął ją i posiadł po pijanemu jak byle dziewkę z domu Belli. A teraz wrócił, arogancki, ironiczny, niedostępny. Przełknęła łzy i opanowała się. Nigdy, nigdy nie powinien się dowiedzieć, co się w niej działo! Jakżeby się śmiał, gdyby wiedział! A więc nie dowie się nigdy. Spojrzała na niego szybko i zauważyła jego dawny, niepokojący, badawczy błysk w oczach — przenikliwy, ostry, jak gdyby czekał na następne jej słowa, jak gdyby miał nadzieję, że będą — czego się właściwie spodziewał? Że wystawi się na pośmiewisko i rozpłacze, aby znowu się z niej śmiał? Nigdy! Skośne jej brwi zmarszczyły się chłodno.

— Podejrzewałam, oczywiście, jakie stosunki łączą cię z tą kreaturą.

— Tylko podejrzewałaś? Dlaczego nie spytałaś mnie wprost i nie zaspokoiłaś swojej ciekawości? Powiedziałbym ci o tym od razu. Żyję z nią od dnia, gdy postanowiłaś z Ashleyem Wilkesem, że mamy mieć oddzielne sypialnie.

— Masz czoło przyznawać się przede mną, twoją żoną, że...

— Och, zaoszczędź mi swego świętego oburzenia. Nigdy nie dbałaś o to, co robię, bylebym płacił rachunki. I wiesz dobrze, że ostatnio nie zachowywałem się „poprawnie”. A co się tyczy tego, czy jesteś moją żoną — nie byłaś nią od czasu urodzenia Bonnie, prawda? Byłaś złą lokatą kapitału, Scarlett. Bella jest znacznie lepszą.

— Lokatą kapitału? Chcesz powiedzieć, że dałeś jej?...

— „Urządziłem ją”, należałoby chyba powiedzieć. Bella jest dzielną kobietą. Chciałem, żeby do czegoś doszła. Potrzebne jej były tylko pieniądze na założenie własnego przedsiębiorstwa. Powinnaś dobrze wiedzieć, jakich cudów może dokonać kobieta, która ma trochę gotówki. Spójrz na siebie.

— Porównujesz mnie z...

— Jesteście obydwie doskonałymi kupcowymi, dobrze wam się wiedzie. Bella ma, oczywiście, pewną wyższość nad tobą, bo jest dobrą, poczciwą istotą...

— Czy zechcesz opuścić ten pokój?

Poszedł w kierunku drzwi z jedną brwią kpiąco wzniesioną. Jakże mógł ją tak obrażać, myślała z wściekłością i bólem. Starał się wszystkimi siłami dotknąć ją i poniżyć. Wiła się ze złości, kiedy pomyślała, jak cieszyła się na jego powrót, a on przez cały ten czas upijał się i robił burdy z policją u Belli.

— Wyjdź z tego pokoju i więcej nie wracaj. Powiedziałam ci to już raz, tyś jednak nie miał dość ambicji, by to zrozumieć. Odtąd będę zamykała drzwi.

— Nie fatyguj się.

— Zamknę je. Po twoim ostatnim zachowaniu się, kiedy byłeś tak pijany, tak wstrętny...

— Co też ty mówisz, kochanie! Chyba nie wstrętny?

— Wyjdź stąd.

— Nie unoś się. Wyjdę. I przyrzekam ci, że już nigdy nie będę cię niepokoił. To ostateczne postanowienie. A jeżeli moje haniebne postępowanie wydaje ci się nieznośne, chętnie dam ci rozwód. Daj mi Bonnie. a pozwolę ci odejść.

— Nie mam zamiaru kompromitować rodziny rozwodem.

— Skompromitowałabyś ją jednak bardzo szybko, gdyby na przykład pani Mela umarła, prawda? W głowie mi się kręci, gdy pomyślę, jak szybko byś się ze mną rozwiodła.

— Kiedy wreszcie pójdziesz?

— Już idę. Przyszedłem do domu, żeby ci to właśnie powiedzieć. Wyjeżdżam do Charlestonu, Nowego Orleanu i... och, w dość długą podróż. Wyjeżdżam dziś.

— Och!

— I zabieram ze sobą Bonnie. Każ tej głupiej Prissy zapakować jej fatałaszki. Prissy także zabieram.

— Nie pozwolę ci zabrać z domu mego dziecka.

— To także i moje dziecko, pani Butler. Z pewnością nie masz chyba nic przeciwko temu, abym ją zabrał do Charlestonu do babci?

— Do babci, aha! Czy przypuszczasz, że dam ci dziecko, kiedy będzie się z pewnością co wieczór upijał i zabierał ją do takich domów jak Belli...

Rzucił cygaro tak gwałtownie, że wypaliło dziurę w dywanie, a zapach przypalonej wełny rozszedł się w powietrzu. W jednej chwili przeszedł przez pokój i dopadł do niej z pasją, zmieniony na twarzy.

— Gdybyś była mężczyzną, zabiłbym cię za to. Ponieważ jesteś kobietą, mówię ci, abyś wreszcie przestała gadać. Czy wydaje ci się, że nie kocham Bonnie, że zabrałbym ją, moją córkę, dokąd? Ty idiotko! A co się tyczy ciebie i twojego udawania odpowiedzialnej matki, to przecież kotka jest lepszą matką niż ty! Czy kiedykolwiek zrobiłaś coś dla dzieci? Wade i Ella boją się ciebie śmiertelnie i gdyby nie Melania, nie wiedzieliby wcale, co to miłość i czułość. Ale Bonnie, moja Bonnie! Czy przypuszczasz, że nie potrafię się nią lepiej zajmować niż ty? Czy przypuszczasz, że pozwolę ci kiedykolwiek gniewać się na nią i zahukać ją tak, jak zahukałaś już Wade'a i Ellę? Na Boga, nie! Każ ją zapakować i niech będzie za godzinę gotowa, bo inaczej, uprzedzam cię, że to, co zdarzyło się owej nocy, będzie drobnostką w porównaniu z tym, co zrobię dzisiaj. Zawsze uważałem, że dobre cięgi zrobiłyby ci doskonale.

Odwrócił się na pięcie, zanim zdążyła odpowiedzieć, i szybko wyszedł z pokoju. Słyszała, jak przeszedł przez hali w stronę dziecinnego pokoju i otworzył drzwi. Rozległo się radosne trio dziecinnych głosików, w którym zagórował wreszcie głos Bonnie.

— Tatusiu, gdzieś ty był?

— Zarabiałem na chlebek dla mojej małej Bonnie. Daj buzi tatusiowi, Bonnie, i ty także, Ellu

## ROZDZIAŁ LV

Kochanie, nie chcę żadnych wyjaśnień i nie mam ich zamiaru słuchać — powiedziała Melania stanowczo, zamykając małą dłonią usta Scarlett. — Obrażasz samą siebie, Ashleya i mnie, jeżeli sądzisz, że między nami potrzebne są jakieś wyjaśnienia. Przecież my troje byliśmy... byliśmy jak żołnierze walczący przez tyle lat razem przeciw światu! Wstyd mi, że możesz sądzić, iż głupie plotki mogłyby nas kiedykolwiek poróżnić. Czy zdaje ci się, że uwierzyłabym, że ty i mój Ashley... Co to w ogóle za pomysł. Czy nie wiesz o tym, że znam cię lepiej niż ktokolwiek w świecie? Czy przypuszczasz, że zapomniałam o tych pięknych, szlachetnych rzeczach, które zrobiłaś dla Ashleya, dla mnie i dla Beau... od uratowania mi życia poczynając, na uratowaniu mnie od nędzy kończąc? Czy sądzisz, że mając w pamięci, jak chodziłaś za pługiem prawie boso i z rękami w pęcherzach, abym ja z moim dzieckiem miała co jeść, mogłabym uwierzyć w tak brzydkie rzeczy o tobie? Nie chcę słyszeć ani słowa więcej, Scarlett. Ani słowa.

— Ale... — zaczęła Scarlett i przerwała.

Rett wyjechał przed godziną zabierając Bonnie i Prissy i teraz rozpacz dołączyła się do wstydu i upokorzenia Scarlett. Dodatkowy ciężar winy jej wobec Ashleya i obrony ze strony Melanii był już nie do zniesienia. Gdyby Melania uwierzyła Archiemu i Indii, zrobiła jej afront na przyjęciu czy choćby chłodno ją przywitała, mogłaby głowę nieść wysoko i nawet bronić się każdą dostępną jej bronią. Teraz jednak wobec świadomości, że Melania uratowała ją od ruiny towarzyskiej, że opowiedziała się przy niej z ufnością i wyzwaniem w oczach — nie pozostawało jej nic innego do zrobienia, jak wyznać uczciwie wszystko. Tak, wyznać wszystko po kolei, od owych dawno minionych początków na ganku w Tarze.

Szarpał nią głos sumienia, który, choć dawno przytłumiony, potrafił się jeszcze budzić — głos sumienia prawdziwej katoliczki. „Wyznaj swoje grzechy i odpokutuj za nie w smutku i skrusze” — mawiała Ellen po setki razy. W tej więc przełomowej chwili nauki Ellen odżyły Scarlett w pamięci i zaczęły ją gnębić. Wyzna wszystko — tak, wszystko, każde spojrzenie i słowo, tych kilka pocałunków — i wtedy Bóg ułagodzi jej cierpienie i przywróci spokój. A pokutą dla niej będzie widok twarzy Melanii, serdecznej i pełnej ufności, teraz przybierającej wyraz niedowierzania, wstrętu i zgrozy. „Ach, to zbyt ostra pokuta — myślała z rozpaczą — do końca życia przypominać sobie twarz Melanii, wiedzieć, że Melania zna całą moją podłość, złość, dwulicowość i hipokryzję”.

Niegdyś myśl o szyderczym rzuceniu prawdy w twarz Melanii, o zburzeniu ułudy jej szczęścia podniecała ją, wydawała jej się gestem wartym nawet późniejszych przykrości. Teraz jednak wszystko zmieniło się przez noc i niczego nie pragnęła mniej. Dlaczego tak się stało — nie wiedziała. Zbyt wielki panował w niej zamęt sprzecznych myśli, aby mogła się w nich rozeznać. Wiedziała tylko, że podobnie jak dawniej pragnęła, aby matka uważała ją za skromną, dobrą i czystą, tak teraz namiętnie chciała zachować dobre mniemanie Melanii o sobie. Wiedziała, że nie zależy jej na tym, co sobie o niej myśli świat czy nawet Ashley lub Rett, ale że pragnie serdecznie, aby Melania nie zmieniła o niej zdania.

Bała się powiedzieć Melanii prawdę, ale instynkt uczciwości nie dawał jej spokoju, nie pozwalał na przedstawienie się w fałszywym świetle kobiecie, która jej zawsze broniła. Pobiegła więc do nie; rano, natychmiast po wyjeździe Retta i Bonnie.

Po pierwszych jednak słowach, które zdołała wybełkotać. — Melu, muszę ci wytłumaczyć, co zaszło owego wieczora — Melania przerwała jej gwałtownie. Scarlett patrząc ze wstydem w ciemne, oczy, które płonęły miłością i gniewem, wyczuła z zawodem, że nigdy nie zazna spokoju i ukojenia, jakie daje spowiedź. Melania pierwszymi już słowami uniemożliwiła jej wyznanie. Scarlett uświadomiła sobie — i było to jednym z jej nielicznych przebłysków dojrzałości, że wyznanie z głębi jej umęczonego serca byłoby czystym egoizmem. Pozbyłaby się swego brzemienia i złożyłaby je na osobę niewinną i ufną. Winna była Melanii wdzięczność za obronę i dług swój spłacić mogła wyłącznie milczeniem. Jakąż okrutną ceną byłoby zrujnowanie życia Melanii niepożądanym wyznaniem, że mąż nie jest jej wierny i że winę za to ponosi jej ukochana przyjaciółka!

„Nie mogę jej tego powiedzieć — myślała z rozpaczą. — Nigdy, choćby sumienie miało mnie zabić”. Przypomniała sobie bez związku pijaną uwagę Retta: „Melania nie może pojąć podłości w osobach, które kocha... niechaj to będzie twoim krzyżem”.

Tak, to będzie jej krzyżem aż do śmierci — że udrękę tę będzie dusiła w sobie, że będzie nosiła tę włosiennicę wstydu, że będzie odczuwała jej ucisk przez długie lata za każdym czułym spojrzeniem czy gestem Melanii, że zawsze będzie musiała dławić w sobie chęć zawołania: ,.,Nie bądź taka dobra! Nie broń mnie! Nie jestem tego warta!”

„Gdybyś ty nie była taką gąską, taką słodką, ufną, prostolinijną gąską, nie byłoby mi tak ciężko — myślała ponuro. — Dźwigałam już na sobie wielkie ciężary, ten jednak będzie najcięższy i najbardziej gorzki ze wszystkich”.

Melania siedziała naprzeciw niej w niskim fotelu, a stopy opierała o tak wysoki taboret, że kolana sterczały jej wysoko — było to najlepszym dowodem jej podniecenia, bo inaczej nigdy by nie usiadła w tak nieprzyzwoitej pozycji. W ręku trzymała rozpoczęty pas koronkowych ząbków i poruszała lśniącym szydełkiem tak wściekle, jakby to był rapier do pojedynku.

Gdyby Scarlett była w równym stopniu oburzona, tupałaby nogami i wrzeszczała jak Gerald w swoich najlepszych chwilach, przywoływałaby Boga na świadka przeklętego fałszu i podłości ludzkiej i rzucałaby ścinające krew w żyłach przysięgi odwetu. Melania przeciwnie — tylko szybkim poruszaniem szydełka i ściąganiem cienkich brwi wykazywała, że pieni się wewnętrznie. Głos jej był chłodniejszy, a słowa bardziej urywane niż zwykle. Ale mocne słowa, które wypowiadała teraz, były jej obce, gdyż rzadko mówiła to, co myśli, a nigdy nie mówiła nic przykrego. Scarlett zrozumiała nagle, że Wilkesowie i Hamiltonowie także są zdolni do wybuchów gniewu, dorównujących lub nawet przewyższających pasję 0'Harów.

— Znudziło mi się słyszeć ciągłe krytykowanie twojej osoby, kochanie — rzekła Melania — to jest już ostatnia kropla i teraz wreszcie zajmę się tym poważnie. Wszystko to stało się dlatego, że ludzie są o ciebie zazdrośni, bo jesteś mądra i dobrze ci się wiedzie, lepiej niż niejednemu mężczyźnie. Nie bądź na mnie zła, że ci to mówię. Nie uważam wcale, że postępujesz nieodpowiednio jak na kobietę i że zatraciłaś, swoją kobiecość, jak twierdzi wiele osób. Wcale tak nie jest. Ludzie cię po prostu nie rozumieją i nie znoszą, kiedy kobieta jest zaradna. Ale mądrość twoja i powodzenie nie dają jeszcze ludziom prawa do twierdzenia, że ty i Ashley... Wielkie nieba!

Skupiona gwałtowność nadała ostatnim tym słowom cechy nie-ledwie bluźnierstwa. Scarlett popatrzyła na Melę, zaniepokojona tak niezwykłym jak na nią wybuchem.

— I jeszcze do mnie śmieli przyjść z tymi brudnymi kłamstwami, które wymyślili. Archie, India, pani Elsing! Jakże mogli? Pani Elsing, oczywiście, nie zjawiła się tutaj. Nie, rozumie się, zabrakło jej odwagi. Zawsze cię nienawidziła, kochanie, ponieważ miałaś większe powodzenie niż Fanny. I była bardzo rozgniewana, że odsunęłaś Hugona od zarządzania tartakiem. Miałaś zupełną słuszność. To leniwy, gnuśny niedołęga! — Melania szybko załatwiła się z towarzyszem dziecinnych zabaw i wielbicielem z lat dzieciństwa. — Obwiniam siebie z powodu Archiego. Nie powinnam była przygarnąć tego starego łotra. Wszyscy mi to mówili, ale nie chciałam słuchać. Nie lubił ciebie, kochanie, z powodu tych więźniów, ale jakież on ma prawo krytykować? Morderca, zabójca kobiety! I po tym wszystkim, co dla niego zrobiłam, przychodzi mi tutaj i mówi... nie byłabym się wcale zmartwiła, gdyby go Ashley zastrzelił! No, ale odprawiłam go po porządnej awanturze, zapewniam cię! Wyjechał z miasta.

Jeżeli zaś chodzi o Indię, tę podłą istotę! Kochanie, kiedy widziałam was obie po raz pierwszy razem, zauważyłam, że ona jest o ciebie zazdrosna i nienawidzi cię, bo byłaś o wiele ładniejsza i miałaś więcej wielbicieli. Zaczęła cię jawnie nie cierpieć z powodu Stuarta Tarletona. I tak dużo o nim myślała, że — przykro mi to mówić o siostrze Ashleya — ale zdaje mi się, że się jej od tego pomieszało w głowie! Nie ma innego wytłumaczenia jej postępku... Powiedziałam jej, żeby nigdy więcej nie przestąpiła progu mego domu i że, jeżeli dowiem się, iż rozpowiada tak podłe insynuacje, nazwę ją... nazwę ją publicznie kłamczynią!

Melania przestała na chwilę mówić. Gniew ustąpił z jej twarzy, która pokryła się teraz smutkiem. Melania posiadała właściwe Georgijczykom przywiązanie do rodziny i myśl o waśni rodzinnej rozdzierała jej serce. Zawahała się na chwilę. Scarlett jednak zajmowała pierwsze miejsce w jej sercu, ciągnęła więc dalej lojalnie:

— India była zawsze zazdrosna, ponieważ ja ciebie kocham bardziej niż ją, kochanie. Nigdy nie przyjdzie więcej do tego domu, moja zaś noga nigdy nie postanie w domu, w którym ją będą przyjmować. Ashley zgadza się ze mną, ale serce go boli, że własna siostra potrafiła powiedzieć taką...

Na wzmiankę o Ashleyu przeczulone nerwy nie wytrzymały i Scarlett wybuchła płaczem. Czy zawsze będzie musiała zadawać mu serdeczne rany? Jedynym jej pragnieniem było uczynić go szczęśliwym i bezpiecznym, ale przy każdej sposobności zdawała się go ranić. Zatruła mu życie, złamała dumę jego i szacunek dla samego siebie, wstrząsnęła tym wewnętrznym spokojem, który wypływa z uczciwości. A teraz poróżniła go z siostrą, którą tak bardzo kochał! Dla uratowania jej opinii i szczęścia żony, trzeba było poświęcić Indię, zrobić z niej kłamliwą, zazdrosną, na wpół zwariowaną starą pannę — Indię, która była całkowicie usprawiedliwiona we wszystkich swoich podejrzeniach i w każdym słowie oskarżenia, jakie wypowiedziała. Ilekroć Ashley spojrzy teraz w oczy Indii, zobaczy w nich światło prawdy — prawdy, wyrzutu i zimnej pogardy, w której Wilkesowie celowali.

Wiedząc, że Ashley honor ceni wyżej od życia, Scarlett domyślała się, jak musi cierpieć. I on, jak ona, musiał skryć się za spódnicą Melanii. Scarlett, mimo że rozumiała konieczność tego postępowania i wiedziała, że winę za tę fałszywą sytuację ponosi głównie ona, jednak — jednak... Jako kobieta szanowałaby Ashleya bardziej, gdyby zastrzelił Archiego i przyznał się do wszystkiego przed Melanią i całym światem. Wiedziała, że jest niesprawiedliwa, ale czuła się zbyt nieszczęśliwa, by się nad takimi szczegółami zastanawiać. Przypomniały jej się szydercze i pogardliwe słowa Retta i zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście Ashley zachował się jak mężczyzna w tej całej historii. I po raz pierwszy przybladło nieznacznie uwielbienie, którym otaczała go od chwili, gdy go pokochała. Powłoka wstydu i winy, która ją oblekła, przeniosła się i na niego. Z wysiłkiem starała się odpędzić tę myśl, płakała jednak coraz żałośniej.

— Przestań! Przestań! — zawołała Melania opuszczając robótkę, rzucając się na kanapę i przyciągając głowę Scarlett do swojej piersi. — Nie powinnam była mówić o tym wszystkim i tak cię zasmucać. Rozumiem, jak ci jest na sercu, nie będziemy więc o tym nigdy więcej mówiły. Ani ze sobą, ani z nikim na świecie. Ale — dodała ze spokojną złośliwością — Indii i pani Elsing ja jeszcze pokażę! Niech im się nie wydaje, że mogą rozsiewać kłamliwe plotki o moim mężu i mojej bratowej. Tak je urządzę, że żadna z nich nie będzie miała odwagi podnieść oczu w Atlancie. I wszyscy, którzy uwierzą im lub będą je przyjmować, staną się moimi wrogami.

Scarlett, patrząc ze smutkiem na długie pasmo przyszłych lat, wiedziała, że stała się przyczyną rozłamu, który poróżni ze sobą rodzinę i miasto na całe pokolenia.

Melania dotrzymała słowa. Nigdy więcej nie rozmawiała o tej sprawie ze Scarlett ani Ashleyem. Nie chciała też poruszać jej z nikim innym. Przybierała wyraz zimnej obojętności, który szybko się zmieniał w lodowatą oficjalność, jeżeli ktokolwiek ośmielał się zahaczyć o tę sprawę. W ciągu tygodni, które nastąpiły po urodzinach Ashleya, kiedy Rett znikł tajemniczo a miasto gotowało się od plotek, podniecenia i stronniczych głosów — nie przyjmowała u siebie prześladowców Scarlett, niezależnie od tego, czy byli jej starymi przyjaciółmi, czy krewnymi. Nie mówiła wiele — działała.

Trzymała się Scarlett po prostu kurczowo. Kazała jej chodzić jak zwykle co rano do sklepu i składu drzewa i wszędzie jej towarzyszyła. Upierała się, aby wyjeżdżała po południu powozem, chociaż Scarlett nie miała ochoty wystawiać się na zaciekawione spojrzenia współobywateli. Melania siedziała w powozie obok niej. Zabierała ją ze sobą na oficjalne wizyty, łagodnie wprowadzając ją do salonów, w których Scarlett nie bywała od przeszło dwóch lat. I z zajadłością w twarzy prowadziła rozmowę ze zdumionymi paniami domu.

Kazała Scarlett przychodzić wcześnie w takie dnie i zostawać, aż odeszli ostatni goście, w ten sposób uniemożliwiając paniom przyjemne zbiorowe dyskusje i plotki — co także wywoływało niemałe wzburzenie. Wizyty te były dla Scarlett szczególną torturą, ale nie ośmielała się nie pokazywać z Melanią. Źle się czuła w gromadzie kobiet, z których każda zastanawiała się w duchu, czy rzeczywiście została przyłapana na gorącym uczynku. Świadomość, że kobiety te nie rozmawiałyby z nią wcale, gdyby nie fakt, że lubiły Melanię i nie chciały tracić jej sympatii, sprawiała jej wyraźną przykrość. Wiedziała jednak, że przyjąwszy ją raz, nie mogły jej potem zrobić żadnego afrontu.

Charakterystyczne dla opinii Scarlett było to, że ludzie na ogół nie opierali swojej obrony czy oskarżenia na przekonaniu o jej osobistej uczciwości. „Po niej się wszystkiego można spodziewać” — to określało ogólną postawę. Scarlett narobiła sobie zbyt wielu wrogów, aby teraz mieć wielu obrońców. Słowa jej i postępki rozjątrzyły przeciw niej zbyt wiele serc, aby teraz ludzie mogli się zastanawiać, czy skandal sprawił jej przykrość, czy nie. Wszystkim jednak zależało na tym, aby nie dotknąć Melanii czy Indii, burza więc toczyła się bardziej dokoła nich niż dokoła Scarlett i ogniskowała się koło pytania: „Czy India skłamała?”

Ci, którzy wzięli stronę Melanii, wskazywali tryumfalnie na fakt, że Melania nie odstępowała w tym okresie Scarlett. Czyżby kobieta o czystości przekonań Meli podjęła się bronić sprawy kobiety winnej, zwłaszcza zaś kobiety, która zawiniła z jej własnym mężem? Nie, z pewnością nie! India była zwariowaną starą panną, która nienawidziła Scarlett, skłamała i nakłoniła Archiego i panią Elsing do uwierzenia w jej kłamstwa.

„Ale — zapytywali stronnicy Indii — jeżeli Scarlett nie jest winna, gdzie jest kapitan Butler? Dlaczego nie ma go przy boku żony, dlaczego nie osłania jej swoją osobą?” Na to pytanie nie było odpowiedzi i w miarę mijania tygodni, kiedy rozeszła się pogłoska, że Scarlett jest w ciąży, grupa Indii zaczęła tryumfować. Nie jest to dziecko kapitana Butlera, mówili. Od dawna już nieporozumienie między nimi stanowiło publiczną tajemnicę. Od dawna już miasto gorszyło się, że mają oddzielne sypialnie.

Tak więc plotki kursowały rozdzierając miasto, rozdzierając także ciasno ze sobą związane rodziny Hamiltonów, Wilkesów, Burrów, Whitmanów i Winfieldów. Wszyscy w rodzinie zmuszeni byli do opowiedzenia się za jedną ze stron. Nikt nie mógł pozostać neutralny. O to postarała się już Melania — z chłodną godnością, i India — z gryzącą goryczą. Niezależnie jednak od tego, po czyjej stronie opowiedzieli się krewni, wszyscy byli rozżaleni, że Scarlett stała się przyczyną rozłamu w rodzinie. Wszyscy uważali, że nie zasługuje na to. I wszyscy krewni szczerze żałowali, że India wzięła się do publicznego prania brudnej bielizny i że uwikłała Ashleya w tak nieprzyjemny skandal. Ale ponieważ już to zrobiła, wiele osób opowiedziało się po jej stronie przeciwko Scarlett, gdy tymczasem inni, którzy kochali Melanię, popierali ją i Scarlett.

Połowa Atlanty była spokrewniona lub spowinowacona z Melanią i Indią. Odgałęzienia kuzynów, kuzynów z drugiej linii, kuzynów przez małżeństwo i jeszcze dalszych, były tak zawiłe i skomplikowane, że mógł się w nich rozeznać tylko urodzony Georgijczyk. Stanowili zawsze silnie zespolony klan, w czasach krytycznych przeciwstawiający się światu falangą połączonych tarcz, bez względu na osobiste zdanie o postępowaniu poszczególnych krewnych. Oprócz walki podjazdowej, prowadzonej przez ciotkę Pitty przeciw wujowi Henrykowi, która zresztą stanowiła od lat przedmiot żartów całej rodziny, nigdy nie było otwartej waśni i stosunki rodzinne układały się jak najzgodniej. Byli to łagodni, spokojni, opanowani ludzie, nie hołdujący nawet przyjacielskim sprzeczkom, które były charakterystyczne dla innych rodzin Atlanty.

Teraz jednak podzielili się na dwa obozy i miasto mogło oglądać, jak kuzynowie piątego i szóstego stopnia biorą udział w największym skandalu, jaki przeżyła Atlanta. Spowodowało to wiele nieprzyjemnych sytuacji i wymagało wielkiego taktu i wyrozumiałości ze strony osób nie spowinowaconych z Melanią i Indią, bo spór między nimi wywołał echo prawie we wszystkich stowarzyszeniach i organizacjach. „Klub dramatyczny”, „Kółko szycia dla wdów i sierot po konfederatach”, „Stowarzyszenie opieki nad grobami poległych”, „Sobotnie kółko muzyczne”, „Towarzystwo miłośniczek tańca”, „Czytelnia młodzieży” — wszystkie te instytucje zostały wplątane w waśń, tak samo jak cztery kościoły ze swoimi Komitetami Parafialnymi i Towarzystwami Misyjnymi. Trzeba było bardzo uważać, aby członków wojujących partii nie wybierać do tych samych komitetów.

Podczas swoich jeur fixe'ów damy Atlanty były od czwartej do szóstej stale podniecone z obawy, aby Melania i Scarlett nie zjawiły się w tym samym czasie co India i jej wierne zwolenniczki.

Z całej jednak rodziny ciotka Pitty ucierpiała najwięcej. Pitty, która niczego tak nie pragnęła jak wygodnego życia i miłości swoich krewnych, w tej sprawie chciałaby, aby i wilki były syte, i owce całe. Do tego nie chciały jednak dopuścić ani wilki, ani owce.

India mieszkała z ciotką Pitty i gdyby Pitty opowiedziała się po stronie Melanii, jak to chciała początkowo zrobić, India wyprowadziłaby się od niej natychmiast. Cóż by zaś biedna Pitty wtedy poczęła? Nie mogła mieszkać sama. Musiałaby poprosić o towarzystwo kogoś obcego albo też musiałaby zamknąć swój dom i zamieszkać ze Scarlett. Pitty wyczuwała niejasno, że kapitan Butler nie byłby zachwycony takim obrotem sprawy. Albo też musiałaby mieszkać u Melanii i sypiać w małym pokoiku Beau.

Pitty niezbyt przepadała za Indią, bo India onieśmielała ją swoją sztywnością i chłodem oraz namiętnym przestrzeganiem zasad. Umożliwiała jednak Pitty prowadzenie własnego, wygodnego domu. Pitty zaś bardziej powodowała się w życiu wygodą niż zasadami moralnymi. Tak więc India została u niej.

Obecność jej wszakże uczyniła dom Pitty ośrodkiem burzy, bo zarówno Scarlett jak Melania uznały, że oznacza to opowiedzenie się ciotki po stronie Indii. Scarlett stanowczo odmówiła dawania Pitty pieniędzy na prowadzenie domu, dopóki India znajduje się pod jej dachem. Ashley posyłał Indii pieniądze co tydzień i co tydzień India dumnie i milcząco odsyłała je, ku przerażeniu i żalowi starej pani. Finanse w domu z czerwonej cegły znalazłyby się w opłakanym stanie, gdyby nie interwencja wuja Henryka, a Pitty była bardzo upokorzona, ilekroć musiała korzystać z jego pomocy.

Pitty kochała Melanię więcej niż kogokolwiek na świecie prócz siebie samej, a teraz Mela zachowywała się jak uprzejma, chłodna nieznajoma. Mimo że mieszkała tuż za podwórzem Pitty, nigdy nie zachodziła do niej, choć dawniej zjawiała się po kilkanaście razy dziennie. Pitty odwiedzała ją, płakała i zapewniała o swej miłości i oddaniu, ale Melania nie chciała o tym nawet rozmawiać i nigdy jej nie rewizytowała.

Pitty doskonale wiedziała, ile zawdzięcza Scarlett — właściwie całą swoją egzystencję. Podczas czarnych dni powojennych, kiedy Pitty miała do wyboru albo pomoc brata Henryka, albo ostateczną nędzę, Scarlett dawała jej na dom, żywiła ją, ubierała i umożliwiała jej utrzymanie dawnej pozycji towarzyskiej. A odkąd wyszła za mąż i przeniosła się do nowego domu, była uosobieniem hojności. A ten przerażający, niepokojący kapitan Butler — często po jego wizytach Pitty znajdowała na konsolce nowe portmonetki wypchane banknotami lub koronkowe chusteczki, podstępem wsunięte do jej skrzyneczki z szyciem, w których ukryte były złote monety. Rett zaklinał się, że nic o tym nie wie, i posądzał ją, bardzo zresztą niedelikatnie, że ma skrytego adoratora, którym jest prawdopodobnie wąsaty dziadek Merriweather.

Tak, Pitty żywiła miłość dla Melanii, wdzięczność dla Scarlett — z Indią nie łączyło jej prawie nic. Nic poza tym, że obecność Indii chroniła ją od zmiany przyjemnego trybu życia i samodzielnego decydowania o wszystkim. Było to bardzo smutne i bardzo, bardzo brutalne, toteż Pitty, która nigdy w życiu niczego sama nie postanowiła, po prostu pozostawiła sprawy ich własnemu biegowi i ograniczyła się do spędzenia wielu godzin na bezradnym płaczu.

W końcu, niektórzy ludzie uwierzyli całym sercem w niewinność Scarlett, nie ze względu na jej wrodzoną cnotliwość, ale dlatego, że w nią wierzyła Melania. Inni mieli pewne zastrzeżenia, ale byli dla Scarlett uprzejmi i odwiedzali ją, bo kochali Melanię i chcieli zachować jej sympatią. Zwolennicy Indii kłaniali się jej chłodno, niektórzy zaś udawali, że jej nie poznają. Ci ostatni doprowadzali Scarlett do pasji, zdawała sobie jednak sprawę, że gdyby nie wstawiennictwo Melanii i szybkie jej działanie, całe miasto odwróciłoby się od niej i znalazłaby się poza nawiasem społeczeństwa.

## ROZDZIAŁ LVI

Retta nie było już od trzech miesięcy i przez cały ten czas Scarlett nie miała od niego wiadomości. Nie wiedziała, gdzie jest ani jak długo go nie będzie. Nie miała pojęcia, czy w ogóle wróci. Przez cały ten czas pracowała jak zwykle, z podniesioną wysoko głową i zbolałym sercem. Nie czuła się dobrze, ale, zmuszona przez Melanię, chodziła co dzień do sklepu i starała się okazywać powierzchowne zainteresowanie tartakami. Sklep jednak po raz pierwszy zaczął ją nudzić i chociaż obroty były trzy razy większe niż w roku poprzednim, a pieniądze płynęły strumieniem, mało się nim interesowała i stała się niesprawiedliwa i zła w stosunku do subiektów. Tartak Galleghera był w rozkwicie, drzewo w składzie sprzedawano łatwo, ale przestało jej się podobać wszystko, co robił Gallegher. Był on równie typowym Irlandczykiem jak Scarlett, zrobił więc awanturę z powodu jej wiecznych przymówek i po długiej tyradzie, która skończyła się słowami: „Niechaj spadnie na panią przekleństwo Cromwella”, zagroził, że odejdzie. Musiała go uspokoić i bardzo pokornie przeprosić.

Do tartaku Ashleya nie chodziła wcale, tak samo jak do kantorku w składzie desek, jeżeli spodziewała się go tam zastać. Wiedziała, że i on jej unika, że stała obecność jej w jego domu, na stanowcze nalegania Melanii, jest dla niego udręką. Nigdy nie rozmawiali ze sobą w cztery oczy, chociaż bardzo chciała go zapytać o wiele rzeczy. Chciała wiedzieć, czy ją znienawidził i co właściwie powiedział Melanii, on jednak trzymał się z daleka i milcząco dawał do zrozumienia, aby nic nie mówiła. Widok jego twarzy, postarzałej i wychudłej ze zgryzoty, jeszcze potęgował jej wyrzuty, a fakt, że tartak jego miał z tygodnia na tydzień większe straty, był dodatkowym powodem zdenerwowania, któremu nie mogła dać ujścia.

Bezradność Ashleya w obliczu wytworzonej sytuacji gniewała ją niezmiernie. Nie wiedziała, co mógłby zrobić, aby załagodzić tę sprawę, czuła jednak, że coś zrobić powinien. Rett zrobiłby coś z pewnością, Rett zawsze działał, choćby nawet niewłaściwie, i Scarlett mimo woli szanowała go za to.

Teraz, kiedy minęła jej pierwsza złość na Retta i jego obelgi, zaczęła za nim tęsknić i tęskniła coraz bardziej a bardziej, w miarę jak mijały dni i nie było od niego wiadomości. Z mieszaniny upojenia, złości, zgryzoty i upokorzenia, jaką po sobie zostawił, wyłoniło się przygnębienie i krążyło nad nią jak kruk nad padliną. Tęskniła za nim, brakło jej jego lekkich, ironicznych anegdotek, z których śmiała się do rozpuku, jego szyderczego uśmiechu, którym przywracał właściwe proporcje jej kłopotom, brakło jej nawet jego drwin, które zmuszały ją do ostrych reakcji. Najbardziej jednak brakło jej rozmów z nim. Rett był tak dobrym słuchaczem. Mogła mu opowiadać bezwstydnie i z dumą, jak obdzierała ludzi ze skóry, a on jeszcze ją chwalił. Inni ludzie gorszyliby się, gdyby im o takich rzeczach napomknęła.

Czuła się samotna bez niego i Bonnie. Tęskniła za dzieckiem bardziej, niż przypuszczała. Pamiętając ostatnie dotkliwe słowa Retta na temat Wade'a i Elli, starała się wypełniać nimi swoje puste godziny. Nic z tego jednak nie wychodziło. Słowa Retta i reakcje dzieci otworzyły jej oczy na zdumiewająco gorzką prawdę. Podczas dzieciństwa obojga była zbyt zajęta, zbyt skłopotana troskami materialnymi, zbyt surowa i łatwo wpadająca w złość, aby zdobyć ich zaufanie czy miłość. A teraz było już za późno albo też nie miała cierpliwości czy umiejętności w zdobyciu sobie ich małych skrytych serduszek.

Ella! Scarlett z przykrością musiała stwierdzić, że Ella była głupim dzieckiem. Nie umiała skupić uwagi na jednym przedmiocie, a kiedy Scarlett starała się ją zainteresować bajeczkami, Ella robiła dziecinne dygresje, przerywała jej pytaniami, które nie miały nic wspólnego z opowiadaniem, i zapomniała, o co pytała, zanim jeszcze Scarlett mogła jej odpowiedzieć. Co się zaś tyczy Wade'a — może Rett miał rację. Może się Wade jej bał? To było dziwne i bardzo bolesne. Dlaczego własny jej syn, jedyny jej syn, miałby się bać matki? Kiedy starała się wciągnąć go w rozmowę, patrzył na nią łagodnymi, brązowymi oczyma Karola, wił się w zakłopotaniu i przestępował z nogi na nogę. Ale kiedy był z Melanią, nie przestawał paplać, wyciągał z kieszeni wszystkie skarby, od robaków do wędki, aż po stare sznurki, i pokazywał jej.

Melania umiała postępować z dziećmi. Temu zaprzeczyć nie było można. Jej własny mały Beau był najgrzeczniejszym i najsłodszym dzieckiem w Atlancie. Scarlett porozumiewała się z nim lepiej niż z własnym synem, bo Beau nie wstydził się dorosłych i wdrapywał się na jej kolana, jak tylko przychodziła. Jakież to było śliczne, jasnowłose dziecko, zupełnie podobne do Ashleya. Gdybyż Wade był taki jak Beau... Rozumie się, że Melania mogła Beau wychowywać, bo miała tylko jedno dziecko, nie musiała pracować ani nie miała takich obowiązków jak Scarlett. Scarlett starała się w ten przynajmniej sposób siebie usprawiedliwić, ale uczciwość kazała jej przyznać, że Melania kochała dzieci i cieszyłaby się nawet z całego ich tuzina. Swoje nie wyładowane uczucia zwracała na Wade'a i dzieci sąsiadów.

Scarlett nie mogła zapomnieć swego wzburzenia, kiedy przejeżdżając koło domu Melanii wstąpiła po Wade'a i usłyszała wchodząc po schodkach, że syn jej głośno krzyczy — naśladując dość nawet udatnie krzyk powstańców; ten sam Wade, który w domu był cichy jak myszka. Wrzaskom zaś Wade'a dzielnie wtórował ostry, cieniutki głosik Beau. Kiedy weszła do pokoju, zastała obydwu chłopców atakujących drewnianymi szablami kanapę. Widząc ją umilkli zawstydzeni, z kryjówki zaś za kanapą wyszła śmiejąc się i poprawiając szpilki i roztargane włosy Melania.

— To jest bitwa pod Gettysburgiem — wytłumaczyła. — Ja jestem wojskiem jankeskim i, jak widzisz, zostałam pobita. To jest generał Lee — wskazała na Beau — a to generał Pickett — położyła dłoń na ramieniu Wade'a.

Tak, Melania umiała postępować z dziećmi. Scarlett wcale jej nie mogła dorównać.

„Ale przynajmniej Bonnie mnie kocha — myślała — i lubi się ze mną bawić”. Lecz uczciwość kazała jej przyznać, że Bonnie nieskończenie bardziej kocha Retta. Może już nigdy nie zobaczy Bonnie. Kto wie, może Rett jest teraz w Persji czy w Egipcie i wcale nie ma zamiaru wrócić?

Kiedy doktor Meade powiedział jej, że jest w ciąży, była zdumiona, bo oczekiwała diagnozy powiększenia wątroby i wyczerpania nerwowego. Potem przypomniała sobie ową szaloną noc i twarz jej pokryła się szkarłatem. A więc dziecko jest rezultatem tych chwil wielkiej rozkoszy — rozkoszy, której wspomnienie zbladło trochę na skutek tego, co zaszło później. Po raz pierwszy była zadowolona, że będzie miała dziecko. Gdybyż to tylko był chłopiec! Ładny chłopiec, nie zastraszone małe stworzenie jak Wade. Jak troskliwie będzie go wychowywała! Teraz, kiedy miała dość czasu dla dziecka i dość pieniędzy na ułatwienie mu życia, jakaż będzie szczęśliwa! Miała chęć napisać do Retta na adres jego matki w Charlestonie i zawiadomić go o tym. Dobry Boże, przecież teraz musi przyjechać do domu! A jeżeli nie wróci do narodzenia dziecka? Nie potrafi tego wytłumaczyć ludziom. Ale jeżeli do niego napisze, będzie przypuszczał, że chce, aby wrócił, i będzie tym ubawiony. Nie powinien zaś nigdy sądzić, że Scarlett potrzebuje go czy pragnie jego towarzystwa.

Bardzo była zadowolona, że nie napisała, ponieważ wiadomość o Recie otrzymała w liście od ciotki Pauliny z Charlestonu, gdzie, jak się okazało, Rett bawił u swojej matki. Jaką ulgą była wiadomość, że przebywał jeszcze w Stanach! Choć poza tym list ciotki był raczej denerwujący. Rett przyprowadził Bonnie z wizytą do niej i do ciotki Eulalii i list był pełen zachwytów.

„To przecież mała piękność! Kiedy dorośnie, będzie z pewnością słynna z urody. Zdaje mi się jednak, że każdy młodzieniec, który zechce się o nią starać, będzie musiał stoczyć walkę z kapitanem Butlerem — bo nigdy w życiu nie widziałam równie oddanego ojca. Teraz, moja droga, muszę Ci coś wyznać. Dopóki nie znałam kapitana Butlera, uważałam, że Twoje małżeństwo z nim jest strasznym mezaliansem, bo jak wiesz, mąż Twój ma w Charlestonie bardzo złą opinię i wszyscy bardzo współczują jego rodzinie. Właściwie Eulalia i ja nie byłyśmy nawet pewne, czy możemy go przyjąć — ale, ostatecznie, Bonnie jest naszą cioteczną wnuczką. Kiedy kapitan Butler przyszedł, byłyśmy mile, bardzo nawet mile zdziwione, i zrozumiałyśmy, że słuchanie głupich plotek jest uczynkiem niechrześcijańskim. Mąż Twój jest wprost czarujący, bardzo przystojny, bardzo poważny i uprzejmy. A jak oddany Tobie i dziecku!

Muszę jeszcze, moja droga, napisać Ci o czymś, co doszło naszych uszu — o czymś, w co obie z Eulalią nie chciałyśmy z początku uwierzyć. Słyszałyśmy niejednokrotnie, że czasem zachodzisz do sklepu, który Ci został po panu Kennedym. Dochodziły nas takie pogłoski, ale oczywiście, przeczyłyśmy im gorąco. Rozumiałyśmy, że w pierwszych strasznych latach po wojnie było to może koniecznością ze względu na warunki. Ale teraz nie widzę konieczności takiego postępowania, bo, jak wiem, kapitan Butler jest w zupełnie dobrym położeniu materialnym, a poza tym doskonale może prowadzić Twoje interesy za Ciebie i zarządzać Twoim majątkiem. Chciałyśmy się przekonać, ile jest prawdy w tych pogłoskach, i zmuszone byłyśmy zadawać kapitanowi Butlerowi wyraźne pytania — co było dla nas bardzo przykre.

Odpowiedział nam z wahaniem, że spędzasz całe poranki w sklepie i nikogo nie dopuszczasz do prowadzenia ksiąg. Przyznał także, że masz pewne udziały w tartaku czy tartakach (nie wypytywałyśmy go o to szczegółowo, ponieważ za bardzo zmartwiła nas ta wiadomość, zupełnie niespodziana), co pociąga za sobą konieczność wyjeżdżania za miasto samej albo pod opieką jakiegoś zbója, który, jak twierdzi kapitan Butler, jest mordercą. Widziałyśmy wyraźnie, jak mąż Twój boleje nad tym, i uważamy, że jest dla Ciebie bardzo wyrozumiały — właściwie zanadto wyrozumiały. Scarlett, to musi ustać! Nie ma już między nami Twojej matki, aby mogła Ci tego zakazać, więc ja muszę to zrobić w jej zastępstwie. Pomyśl o tym, jak to dotknie Twoje dzieci, kiedy dorosną i zrozumieją, że matka ich zajmowała się handlem! Jak będą zmartwione, kiedy się dowiedzą, że wskutek prowadzenia tartaków narażałaś się na zniewagi ordynarnych mężczyzn i niebezpieczeństwo plotek! Takie niekobiece...”

Scarlett z przekleństwem rzuciła nie doczytany list na podłogę. Wyobrażała sobie dokładnie ciotkę Paulinę i Eulalię potępiające ją w na wpół rozwalonym domu na Baterii — mimo że od ostatecznej nędzy chroniło je to, co Scarlett posyłała im co miesiąc. Niekobiece postępowanie? Na Boga, gdyby była „kobieca”, ciotki Paulina i Eulalia nie miałyby prawdopodobnie w tej chwili dachu nad głowami. Niech licho porwie Retta za to, że opowiedział im o sklepie, buchalterii i tartakach! Z wahaniem to powiedział, co? Wyobrażała sobie doskonale, jaką przyjemność sprawiło mu przedstawienie się starym paniom w roli poważnego, uprzejmego i czarującego człowieka, kochającego męża i ojca. Jaką przyjemność musiało mu sprawić gorszenie ich opisami zajęć Scarlett w sklepie, tartakach czy szynku. Jakiż on był niemożliwy! Dlaczego tyle przyjemności czerpał z takiej perfidii?

Szybko jednak nawet i złość na Retta przeistoczyła się w apatię. Ostatnio życie jej straciło wiele ze swego uroku... Gdybyż choć mogła odnaleźć dawny zapał i podziw dla Ashleya — gdybyż Rett wrócił wreszcie do domu i rozweselił ją trochę...

Zjawili się w domu bez uprzedzenia. Pierwszym zwiastunem ich powrotu był odgłos kufrów wnoszonych do frontowego hallu i wołanie Bonnie: — Mamusiu!

Scarlett wybiegła ze swego pokoju na schody i zobaczyła małą wyciągającą grube, krótkie nóżki i z wysiłkiem drapiącą się na schody. Do piersi przyciskała pręgowanego kociaka o zrezygnowanej minie.

— Babcia mi go dała!- wołała w podnieceniu podnosząc kotka za kark.

Scarlett objęła ją, podniosła i pocałowała, zadowolona, że obecność dziecka zaoszczędza jej spotkania w cztery oczy z Rettem. Patrząc w dół nad głową Bonnie zobaczyła, że Rett w hallu na dole płaci stangretowi, który ich przywiózł. Spojrzał w górę, zobaczył ją, zdjął kapelusz szerokim gestem i skłonił się jej nisko. Kiedy spojrzała w jego czarne oczy, serce zabiło jej mocniej. Bez względu na to, jaki był i co robił — wrócił — i z tego się cieszyła.

— Gdzie jest Mammy? — zapytała Bonnie wyrywając się z objęć Scarlett. Niechętnie postawiła dziecko na podłogę.

Przywitanie Retta z odpowiednią dozą obojętności będzie trudniejsze, niż przypuszczała, cóż dopiero — zawiadomienie go o nowym dziecku! Patrzyła mu w twarz, kiedy wchodził po schodach, w ciemną, nonszalancką twarz, tak trudną do odczytania, tak gładką. Nie, poczeka trochę, zanim powie mu o tym. Nie może powiedzieć mu tego od razu. A przecież taka nowina należała się mężowi przede wszystkim, mężowie są z takich wiadomości zwykle zadowoleni. Nie miała jednak wrażenia, że Rett się ucieszy.

Stała u wylotu schodów, opierała się o poręcz i zastanawiała się, czy Rett ją pocałuje. Nie pocałował jej jednak. Powiedział tylko: — Wyglądasz blado, pani Butler. Czy w mieście zabrakło różu? Ani słowa o tym, że za nią tęsknił — choćby tak wcale nie było. I mógł ją pocałować, choćby ze względu na obecność Mammy, która ukłoniwszy mu się prowadziła teraz Bonnie do dziecinnego pokoju. Rett stanął przy Scarlett i niedbale wodził po niej wzrokiem.

— Czyżby ta bladość znaczyła, żeś za mną tęskniła? — zapytał i chociaż uśmiechał się, oczy miał poważne.

A więc tak będzie się do niej odnosił. Znowu będzie tak wstrętny jak dawniej. Nagle dziecko, które nosiła, stało się dla niej obrzydliwym ciężarem, a mężczyzna naprzeciw niej, trzymający rękę na biodrze, a w niej kapelusz — najzajadlejszym jej wrogiem, przyczyną wszystkich jej zgryzot. Kiedy mu odpowiedziała, w oczach jej był jad, jad tak wyraźny, że trudno go było nie zauważyć. Uśmiech znikł z twarzy Retta.

— Jeżeli jestem blada, to z twojej winy, ale nie dlatego, że tęskniłam za tobą, ty zarozumialcze! To dlatego... — Ale nie miała zamiaru powiedzieć mu tego w ten sposób; gorące słowa cisnęły się jej jednak na wargi i rzuciła mu je w twarz nie myśląc o służbie, która mogła słyszeć. — To dlatego, że będę miała dziecko.

Złapał gwałtownie oddech i spojrzał na nią szybko. Zbliżył się do niej o krok, jak gdyby chciał położyć dłoń na jej ramieniu, ale ona odsunęła się od niego; widząc nienawiść w jej oczach sposępniał.

— Ach, rzeczywiście! — rzekł chłodno. — No, i kto jest szczęśliwym ojcem? Czy Ashley?

Schwyciła słupek schodów, przy którym stała, i uszy rzeźbionego lwa wpiły się w jej dłoń. Choć znała go tak dobrze, nie spodziewała się takiej obelgi. Rozumie się, że żartował, żarty te były jednak zbyt potworne, aby je znosić. Miała ochotę wydrapać mu ostrymi paznokciami oczy, aby raz na zawsze zniszczyć w nich te dziwne błyski.

— Niechże cię...! — zaczęła, a głos jej drżał z wściekłości. — Ty... ty wiesz doskonale, że dziecko jest twoje. Nie życzę go sobie tak samo jak ty. Żadna kobieta nie chciałaby mieć dzieci z łotrem takim jak ty. Żałuję... och, Boże, żałuję, że nie jest to dziecko czyjekolwiek, byle nie twoje!

Widziała, że jego ogorzała twarz zmieniła się nagle, że i coś, z czego nie zdawała sobie sprawy, wprawiają go w drżenie.

„Nareszcie! — myślała z pasją i z gorzką przyjemnością. — Nareszcie! Teraz ja go dotknęłam!”

Dawna maska obojętności wróciła mu jednak na twarz i jedna ręką podkręcił sobie wąsa.

— Nie martw się — rzekł odwracając się od niej i idąc w górę po schodach — może jeszcze poronisz.

W mgnieniu oka uświadomiła sobie, co znaczy rodzenie dzieci — mdłości, które ją rozrywały, nudne czekanie, tracenie figury, go­dziny bólu. Sprawy, których żaden mężczyzna nie może zrozu­mieć. A on ośmielał się żartować! Rozszarpie go. Tylko widok krwi na jego ciemnej twarzy ukoi ból jej serca. Zamierzyła się na niego zwinna jak kot, ale on, trochę zmieszany, lekkim ruchem usko­czył na stronę i wyciągnął rękę, aby odeprzeć jej cios. Stała na brzegu świeżo wywoskowanego stopnia schodów i kiedy ramię jej z całym rozpędem uderzyło w jego wyciągniętą rękę, straciła rów­nowagę. Sięgnęła w przerażeniu do balustrady, ale nie mogła jej schwycić. Zaczęła spadać tyłem, czując rozdzierający ból w że­brach. I zbyt oszołomiona, aby się zatrzymać, spadała niżej i niżej, aż na sam dół schodów.

Po raz pierwszy w życiu Scarlett była chora — nie licząc oczy­wiście porodów, które trudno nazwać chorobą. Wtedy nie była przerażona i nieszczęśliwa jak teraz, słaba, zbolała i zgubiona. Wiedziała, że jest poważniej chora, niż jej mówią, zdawała sobie niejasno sprawę, że może umrzeć. Złamane żebro kłuło ją przy oddychaniu, potłuczona twarz i głowa bolały, a całe ciało oddane było na pastwę demonom, które szarpały ją gorącymi cęgami, kra­jały tępymi nożami i tak męczyły, że nie mogła wcale zebrać myśli w krótkich przerwach między bólami. Nie, rodzenie dzieci nie było do tego podobne. Jadła obfite posiłki w dwie godziny po urodzeniu Wade'a, Elli czy Bonnie, teraz jednak myśl o czymkolwiek prócz zimnej wody przeprawiała ją o mdłości.

Jak łatwo było urodzić dziecko i jak trudno nie móc urodzić! Dziwne, iż mimo bólu trapiła się, że nie będzie miała teraz dziecka. Jeszcze dziwniejsze było, że tego dziecka pragnęła naprawdę. Sta­rała się przypomnieć sobie, dlaczego je chciała mieć, ale była zbyt słaba, aby myśleć o czymkolwiek poza bliskością śmierci. Śmierć była w jej pokoju, ona jednak nie miała siły stawić jej czoła i tylko się bała. Chciała, żeby ktoś silny stanął przy niej, trzymał ją za ręce i walczył ze śmiercią, do chwili, gdy będzie dość mocna, aby sama podjąć z nią walkę.

Wściekłość przeszła jej pod wpływem bólu i teraz pragnęła bliskości Retta. Nie było go jednak przy niej, a nie mogła się na to zdobyć, by go zawołać.

Pamiętała, jak podniósł ją w ciemnym hallu, pod schodami, pa­miętała twarz jego śmiertelnie bladą i wystraszoną, kiedy głośno i ochryple wołał Mammy. Potem majaczyło jeszcze niejasne wspomnienie, że niósł ją po schodach, a potem ogarnęła ją ciem­ność. Później był już tylko ból, coraz większy ból, pokój pełen szepczących głosów, szlochy ciotki Pittypat i urywane rozkazy doktora Meade, i stopy biegnące po schodach i cicho przechodzą­ce przez górny hali. A potem, jak oślepiająca błyskawica, świado­mość śmierci i strach tak wielki, że chciała wrzasnąć jakieś imię, ale wrzask był zaledwie szeptem.

Ten słaby szept wywołał jednak natychmiastowe echo z ciem­ności koło łóżka i cichy głos tej, którą wołała, odpowiadał śpiew­nym tonem: — Jestem tutaj, kochanie. Jestem przy tobie przez cały czas.

Śmierć i strach ustąpiły powoli, kiedy Melania wzięła jej dłoń i przyłożyła ją spokojnie do swego chłodnego policzka. Scarlett chciała się odwrócić, aby ją zobaczyć, ale nie mogła. Melania mia­ła mieć dziecko i Jankesi byli już blisko. Miasto płonęło — musiała się śpieszyć, śpieszyć. Ale Melania rodziła, więc śpieszyć się nie mogła. Musiała z nią zostać, dopóki się dziecko nie urodzi, i mu­siała być silna, bo Melanii potrzebna była jej siła. Melania spra­wiała jej ból — znowu szarpały ją cęgi i krajały tępe noże, znowu powracało cierpienie. Musi trzymać dłoń Meli.

Doktor Meade przyszedł jednak, przyszedł, mimo że potrzebo­wali go żołnierze na stacji, bo słyszała, jak mówił: — Bredzi. Gdzie jest kapitan Butler?

Noc była ciemna, potem się rozjaśniało i czasem to ona rodziła, czasem krzyczała Melania, ale przez cały czas Mela była przy niej, dłonie jej były chłodne, nie robiła głupich, niespokojnych gestów ani nie płakała jak ciotka Pitty. Ilekroć Scarlett otwierała oczy, mówiła: — Melu? — i głos Meli jej odpowiadał. I zwykle zaczynała szeptać: „Rett — chcę Retta!”, ale przypominała sobie, jak przez sen, że Rett jej nie chce, że twarz jego jest ciemna jak twarz Indianina, a zęby bieleją w drwiącym uśmiechu. Chciała go, ale on jej nie chciał.

Raz jeden powiedziała: — Melu? — głos Mammy odpowiedział: — To ja, dziecino — i Mammy położyła jej zimną chustkę na czole, ona jednak płakała żałośnie: — Melu... Melanio... — ale Melania nie zjawiła się bardzo długo. Bo Melania siedziała wtedy na łóżku Retta, a Rett, pijany, leżał na podłodze i szlochał z głową na jej kolanach.

Za każdym razem, kiedy Mela wychodziła z pokoju Scarlett, widziała go, jak siedział na łóżku w swoim pokoju, którego drzwi były szeroko otwarte, i patrzył na drzwi po przeciwnej stronie hallu. Pokój był stale w nieporządku, zaśmiecony niedopałkami cygar i pełen talerzy nie tkniętego jedzenia. Łóżko było rozwalone i niepościelone, Rett zaś siedział na nim zarośnięty i wychudły i palił bez przerwy. Widząc Melanię nigdy o nic nie pytał. To ona przystawała na chwilę i zdawała raport: — Przykro mi, ale miewa się gorzej. — Lub: — Nie, jeszcze o pana nie pytała. Widzi pan, jest nieprzytomna — albo: — Niech pan nie traci nadziei, panie kapitanie. Każę podać panu gorącej kawy i coś do jedzenia. Wpędzi się pan jeszcze w chorobę.

Serce ją zawsze bolało z litości dla niego, chociaż była zbyt zmęczona i śpiąca, aby cośkolwiek odczuwać. Jak mogli ludzie takie wstrętne, rzeczy o nim opowiadać — mówić, że nie ma serca, że jest zły i że zdradza Scarlett, kiedy widziała, jak chudł w oczach, widziała wypisaną na jego twarzy udrękę? Mimo zmęczenia starała się być specjalnie miła, kiedy przynosiła mu biuletyny o zdrowiu Scarlett. Wyglądał jak potępieniec czekający sądu — jak dziecko, które się nagle znalazło we wrogim otoczeniu. Wszyscy zresztą wydawali się Melanii dziećmi.

Kiedy wreszcie podeszła do jego drzwi rozradowana, aby powiedzieć mu, że Scarlett miewa się lepiej, nie była przygotowana na to, co zastanie. Na stoliku przy łóżku stała na wpół pusta butelka wódki i cały pokój nią cuchnął. Rett spojrzał na nią szklanymi oczyma i zęby mu zaszczekały, chociaż starał się nad sobą zapanować.

— Nie żyje?

— Ach, nie! Miewa się znacznie lepiej.

Powiedział: — O, mój Boże! — i złożył głowę na rękach. Widziała, że jego szerokie ramiona zaczynają się trząść jak w febrze i kiedy przyglądała mu się z litością, litość jej zamieniła się w zgrozę, bo okazało się, że Rett płacze. Melania nigdy nie widziała płaczącego mężczyzny. Nie sądziła, że może płakać Rett, tak ironiczny, tak obojętny, zawsze tak pewny siebie!

Przerażona była jego rozpaczliwym szlochem. Miała niejasną obawę, że jest pijany — a bała się ludzi nietrzeźwych. Ale kiedy podniósł głowę i kiedy spojrzała mu w oczy, szybko weszła do pokoju, cicho zamknęła za sobą drzwi i zbliżyła się do niego. Nigdy nie widziała płaczącego mężczyzny, ale pocieszała wiele płaczących dzieci. Gdy położyła miękką dłoń na jego ramieniu, Rett objął ją nagle za kolana. Zanim spostrzegła, jak się to stało, siedziała na jego łóżku, on zaś zesunął się na podłogę, złożył głowę na jej kolanach i objął ją tak mocno, że ją to aż zabolało.

Głaskała go po ciemnej głowie mówiąc: — Cicho, już cicho! — aby go uspokoić. — Scarlett na pewno wyzdrowieje.

Na te słowa ścisnął ją silniej i zaczął mówić szybko, chrapliwie, bezładnie, jak w grób, który nigdy nie wyda jego tajemnic, po raz pierwszy w życiu mówiąc prawdę, obnażając się bezlitośnie przed Melanią, która nic z początku nie rozumiała, tylko starała się go uspokoić. Mówił urywanie, kryjąc głowę na jej łonie, ciągnąc ją za fałdy sukni. Czasem słowa jego były zniekształcone, niewyraźne, czasem dochodziły do niej zbyt wyraźnie. Były to ostre, gorzkie słowa spowiedzi i skruchy — mówił o rzeczach, których nigdy nie poruszały z nią nawet kobiety, o tajemnych sprawach, przyprawiających ją o rumieniec wstydu.

Głaskała go po pochylonej głowie tak samo jak małego Beau i mówiła; — Cicho, panie kapitanie. Nie powinien pan mówić takich rzeczy! Zapomina się pan. Cicho. Cicho! — On jednak nie przestawał się zwierzać i trzymał się jej sukni, jak gdyby ostatniej deski ratunku.

Oskarżał się o postępki, których nie rozumiała. Mamrotał imię Belli Watling. Nagle potrząsnął nią gwałtownie, krzycząc: — To ja zabiłem Scarlett, ja ją zabiłem! Pani nie rozumie. Ona nie chciała tego dziecka i...

— Niech się pan uspokoi! Nie panuje pan nad sobą! Nie chciała dziecka? Przecież każda kobieta chce...

— Nie! Nie! Pani chce dzieci. Ale nie ona. Nie chce moich dzieci...

— Niech pan przestanie!

— Pani nie rozumie. Nie chciała mieć dziecka, a ja ją zmusiłem. To... to dziecko... to moja wyłączna wina. Nie sypialiśmy razem...

— Cicho, panie kapitanie! To nie wypada...

— A ja byłem pijany i nieprzytomny i chciałem jej zrobić krzywdę, bo ona mnie skrzywdziła. Chciałem tego — i zrobiłem — ona mnie jednak nie chciała. Nie chciała mnie nigdy. Nigdy, a ja się tak bardzo starałem i...

— Och, proszę!

— I nie wiedziałem nic o tym dziecku aż do owego dnia, kiedy upadła. Nie wiedziała, gdzie jestem, nie mogła do mnie napisać i powiedzieć mi o tym. Nie napisałaby zresztą, gdyby nawet wiedziała. Mówię pani, przysięgam, że wróciłbym prosto do domu, gdybym tylko wiedział, czy chciała, abym wrócił, czy nie...

— O tak, ja wiem, że wróciłby pan na pewno.

— Boże, a ja szalałem przez te tygodnie i piłem! A kiedy mi powiedziała o tym na tych schodach — co wtedy zrobiłem? Co jej powiedziałem? Roześmiałem się i rzekłem: „Nie martw się. Może jeszcze poronisz.” A ona...

Melania nagle śmiertelnie zbladła i oczy rozszerzyły jej się ze zgrozy, gdy spojrzała na czarną, udręczoną głowę, wijącą się w męce na jej kolanach. Słońce popołudniowe świeciło przez otwarte okno — nagle zauważyła jak gdyby po raz pierwszy, jak duże, ciemne i silne są ręce Retta i jak bardzo obrośnięte czarnymi włosami. Mimo woli wzdrygnęła się. Wydały jej się bardzo zaborcze i okrutne, a jednak, gdy się czepiały fałd jej sukni, były bardzo słabe i bezradne.

Czy możliwe, aby Rett słyszał i uwierzył w to niedorzeczne kłamstwo o Scarlett i Ashleyu i aby był zazdrosny? Prawda, że wyjechał z miasta bezpośrednio po wybuchu skandalu, ale... Nie, to nie było to. Kapitan Butler zawsze nagle wyjeżdżał. Nie mógł dać wiary tej plotce. Na to był zbyt rozsądny. Gdyby to było przyczyną tego rozdźwięku, czy nie usiłowałby zastrzelić Ashleya? Albo przynajmniej zażądać wyjaśnień?

Nie, to nie mogło być to. Był po prostu pijany i chory z niepokoju i myśli mieszały mu się w głowie, mówił jak człowiek w malignie, roiły mu się jakieś fantazje. Mężczyźni nie byli tak wytrzymali jak kobiety. Coś go ubodło, miał może jakąś drobną sprzeczkę ze Scarlett i teraz ją wyolbrzymiał. Może zresztą niektóre z tych strasznych rzeczy były prawdą. Ale nie wszystkie. Och, a ostatnie z pewnością nie! Żaden mężczyzna nie mógł takiej rzeczy powiedzieć kobiecie, którą kochał tak namiętnie, jak ten człowiek kochał Scarlett. Melania nigdy nie widziała zła ani okrucieństwa, teraz więc, kiedy patrzyła na nie po raz pierwszy, nie mogła ich zrozumieć ani w nie uwierzyć. Rett był pijany i chory. A chore dzieci należy uspokoić.

— Dobrze, już dobrze — powiedziała śpiewnie. — Proszę się uspokoić. Rozumiem.

Podniósł gwałtownie głowę, popatrzył na nią zalanymi krwią oczyma i zarzucił jej ręce.

— Nie, na Boga, nie rozumie pani! Nie może pani zrozumieć! Jest pani za dobra na to, aby to zrozumieć. Nie wierzy pani, ale to wszystko prawda, a ja jestem podłym psem. A wie pani, dlaczego to zrobiłem? Byłem szalony, nieprzytomny z zazdrości. Ona mnie nigdy nie kochała, a mnie się zdawało, że będę ją mógł w sobie rozkochać. Ale nie udało mi się. Nie kocha mnie. Nigdy mnie nie kochała. Kocha...

Namiętne jego, pijane spojrzenie spoczęło na Melanii — przerwał z otwartymi ustami, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę, do kogo mówi. Twarz Melanii była blada i znużona, ale oczy patrzyły łagodnie, były pełne współczucia i niedowierzania. Była w nich świetlana jakaś pogoda; niewinność ich łagodnej brązowej głębi uderzyła go jak cios w twarz, rozpędzając częściowo opary alkoholu, wstrzymując w połowie drogi szalone, nieprzytomne słowa. Zaczął coś mamrotać, spuścił oczy i zamrugał powiekami, z wolna przytomniejąc.

— Jestem łotrem — mruczał, znowu opuszczając zmęczoną głowę na kolana Melanii. — Ale nie tak wielkim łotrem. Gdybym to pani powiedział, nie uwierzyłaby mi pani, prawda? Zbyt pani jest dobra, aby mi uwierzyć. Nigdy dotąd nie znałem nikogo, kto byt naprawdę dobry. Nie uwierzyłaby mi pani, prawda?

— Nie, nie uwierzyłabym panu — powiedziała Melania łagodnie i znowu zaczęła go gładzić po włosach. — Scarlett wyzdrowieje. Cicho, panie kapitanie, niech pan nie płacze! Wyzdrowieje na pewno.

## ROZDZIAŁ LVII

W miesiąc później Rett odprowadzał na pociąg do Jonesboro bladą, chudą kobietę. Wade i Ella, którzy jechali ze Scarlett, siedzieli milcząco i nieswojo przy boku tej matki o nieruchomej, białej twarzy. Tulili się do Prissy, bo po dziecinnemu wyczuwali coś przerażającego w zimnej atmosferze, która cechowała teraz stosunki matki z ojczymem.

Mimo że bardzo słaba, Scarlett jechała do domu, do Tary. Czuła, że zadusi się, jeżeli zostanie w Atlancie choćby jeden dzień dłużej — ze swymi beznadziejnymi myślami, krążącymi w kółko, utartą ścieżką, dokoła ruiny, w jakiej się znalazła. Była chora na ciele i strapiona na duchu i jak zbłąkane dziecko znalazła się w koszmarnym kraju, z którego nie było wyjścia.

Tak jak raz uciekła z Atlanty przed armią najeźdźcy, tak uciekała i teraz, odsuwając zmartwienia na dalszy plan swoich myśli, w zwykły stary sposób: „Nie będę o tym myślała teraz. Nie mogłabym tego teraz znieść. Pomyślę o tym jutro w Tarze. Jutro „będzie nowy dzień”. Wydawało jej się, że jeżeli powróci do ciszy zielonych, ojczystych pól bawełny, wszystkie jej troski odpadną, a myśli ułożą się inaczej.

Rett patrzył długo na pociąg, aż znikł mu z oczu; na twarzy jego malował się wyraz skupionej goryczy. Westchnął, odesłał powóz, wsiadł na konia i przez ulicę Bluszczową pojechał w stronę domu Melanii.

Poranek był ciepły, więc Melania siedziała na ocienionej winem werandzie nad koszykiem wysoko napchanym skarpetkami do cerowania. Ogarnęło ją zmieszanie i przerażenie, kiedy zobaczyła Retta zsiadającego z konia i rzucającego lejce na ramię Murzynka z lanego żelaza, który stał na chodniku przed domem. Nie widziała go sam na sam od owego strasznego dnia, kiedy Scarlett była chora, a on — no — bardzo pijany. Melania nie lubiła nawet myśleć o pijaństwie. Rozmawiała z Rettem o rzeczach obojętnych podczas rekonwalescencji Scarlett i wtedy wstydziła mu się patrzeć w oczy. On jednak był dla niej jak zwykle uprzejmy i nigdy słowem ani spojrzeniem nie nawiązał do sceny, która zaszła między nimi. Ashley powiedział jej kiedyś, że mężczyźni często nie pamiętają rzeczy, które mówią czy robią po pijanemu. Melania więc modliła się w duchu, aby pamięć kapitana Butlera zawiodła go właśnie w tym wypadku. Wolałaby umrzeć niż dowiedzieć się, że pamięta on swoje wynurzenia. Teraz ogarnęła ją nieśmiałość i zakłopotanie i zarumieniła się, gdy Rett szedł w stronę domu. Może przyszedł tylko zapytać, czy Beau może iść na cały dzień do Bonnie? Z pewnością nie byłby tak niedelikatny, żeby dziękować jej za to, co tego dnia zrobiła dla niego!

Wstała na jego powitanie dziwiąc się, jak zwykle, że stąpa tak lekko mimo swego wzrostu.

— Czy Scarlett pojechała?

— Tak, Tara dobrze jej zrobi — powiedział z uśmiechem. — Czasem myślę, że podobna jest do olbrzyma Anteusza, który zyskiwał siłę, ilekroć dotykał Matki Ziemi. Scarlett także nie może długo wytrzymać bez tego kawałka czerwonej gliny, którą kocha. Widok wschodzącej bawełny lepiej jej zrobi niż wszystkie leki doktora Meade.

— Może pan usiądzie? — rzekła Melania nie wiedząc, co począć z rękami. Rett był bardzo wysoki i męski — a zdecydowanie męskie istoty zawsze wprawiały ją w niepokój. Zdawały się wydzielać siłę i żywotność, od której czuła się jeszcze mniejsza i słabsza niż w rzeczywistości. Rett był tak śniady i mocny, a grube mięśnie jego ramion rysowały się tak wyraźnie pod białą płócienną marynarką, że ją to aż przerażało. Wydawało jej się teraz niemożliwe, że była świadkiem, jak opuściła go siła i zuchwałość. I że tę czarną głowę trzymała na swoich kolanach.

„O, mój Boże!” — pomyślała w rozpaczy i znowu się zarumieniła.

— Pani Melu — powiedział łagodnie — czy obecność moja nie przeszkadza pani? Czy nie wolałaby pani, abym poszedł? Niech mi pani szczerze odpowie.

„Och! — pomyślała. — A więc pamięta! I wie, że jestem zdenerwowana!”

Spojrzała na niego błagalnie i nagle minęło jej zakłopotanie i zmieszanie. Oczy Retta była tak spokojne, tak dobre, tak wyrozumiałe, że zaczęła się zastanawiać, jak mogła się w ogóle tak zaniepokoić. Miał twarz zmęczoną i, myślała ze zdziwieniem, jak gdyby smutną. Jak mogła sądzić, że będzie tak źle wychowany, aby poruszać sprawy, o których oboje woleli nie pamiętać?

„Biedny człowiek, tyle miał zmartwienia z powodu Scarlett” — myślała i uśmiechając się powiedziała: — Niech pan spocznie, panie kapitanie.

Usiadł ciężko i przyglądał się jej, kiedy się wzięła znowu do cerowania.

— Pani Melu, przyszedłem prosić panią o wielką łaskę — uśmiechnął się i opuścił kąciki ust — i zapewnić sobie pomoc w przeprowadzeniu pewnego podstępu, choć wiem, że trudno pani będzie na to się zgodzić.

— Podstępu?

— Tak. Przyszedłem porozmawiać z panią o interesach.

— O Boże. W takim razie powinien pan raczej porozmawiać z panem. Wilkesem. Ja się bardzo mało znam na interesach. Nie jestem taka zdolna jak Scarlett.

— Obawiam się, że Scarlett na swoich zdolnościach bardzo źle wychodzi — powiedział — i właśnie o tym chciałbym z panią porozmawiać. Wie pani, jak ciężko była chora. Kiedy wróci z Tary, zacznie znowu pracować w sklepie i w tych tartakach, którym pobożnie życzę jak najszybszego pożaru. Obawiam się o jej zdrowie, pani Melu.

— Tak, ona rzeczywiście za dużo pracuje. Powinien pan kazać jej przestać i bardziej dbać o swoje zdrowie.

Roześmiał się.

— Wie pani, jaka jest uparta. Nawet nie usiłuję się z nią spierać. Przypomina samowolne dziecko. Nie pozwala, abym jej pomagał... nie pozwala, aby ktokolwiek jej pomagał. Starałem się ją namówić, aby sprzedała swoje udziały w tartakach, ale nie chce. A teraz, pani Melu, przejdę do interesu. Wiem, że Scarlett sprzedałaby resztę swoich udziałów w tartakach panu Wilkesowi, ale nikomu innemu, chcę więc, aby ją pan Wilkes spłacił.

— Och, Boże drogi! To byłoby świetnie, ale — Melania przerwała i przygryzła wargi. Nie mogła rozmawiać z obcym człowiekiem o sprawach pieniężnych. W dziwny sposób, mimo zarobków z tartaku, nie mieli z Ashleyem nigdy pieniędzy. Martwiła się, że oszczędzają tak mało. Sama nie wiedziała, co się dzieje z pieniędzmi. Ashley dawał jej dość dużo na dom, ale kiedy zdarzały się nadzwyczajne wydatki, nigdy nie mogli ich pokryć. Pewnie, że rachunki jej lekarzy były spore, poza tym książki i meble, które Ashley sprowadził z Nowego Jorku, także wiele pochłonęły. Żywili też i odziewali wszystkich nieszczęśników, którzy nocowali w ich piwnicy. I Ashley nigdy nie mógł odmówić pożyczki dawnym żołnierzom Konfederacji. I...

— Pani Melu, ja pani na to pożyczę pieniędzy — rzekł Rett.

— To bardzo uprzejmie z pana strony, ale my nigdy nie będziemy w stanie tego spłacić.

— Ja nie chcę spłaty. Proszę się na mnie nie gniewać, pani Melu! Niech mnie pani wysłucha. Dostateczną zapłatą będzie dla mnie to, że Scarlett nie będzie się męczyła jeżdżeniem do tych tartaków. Sklep wystarczy jej, aby miała zajęcie i czuła się zadowolona... Czy pani tego nie rozumie?

— No... owszem... — rzekła Melania z wahaniem.

— Chciałaby pani, aby pani synek miał kucyka, prawda? I chciałaby pani, aby poszedł na uniwersytet do Harvardu i pojechał w wielką podróż po Europie?

— Och, rozumie się! — zawołała Melania i twarz jej rozjaśniła się, jak zwykle na wzmiankę o Beau. — Chciałabym, aby miał to wszystko, ale wszyscy są tak teraz biedni, że...

— Pan Wilkes może się z czasem bardzo wzbogacić na tartakach — rzekł Rett. — Mnie zaś byłoby przyjemnie, gdyby Beau miał to wszystko, na co zasługuje.

— O, panie kapitanie, jaki z pana przebiegły człowiek! — zawołała Mela z uśmiechem. — Pochlebia pan matczynej dumie! Czytam w panu jak w otwartej księdze.

— Mam nadzieję, że nie — rzekł Rett i po raz pierwszy oczy zalśniły mu żywiej. — A więc, czy pozwoli pani, abym pożyczył pani pieniądze?

— Ale gdzie tu miejsce na podstęp?

— Musimy zachować tajemnicę i podejść zarówno Scarlett, jak pana Wilkesa.

— O, mój Boże! Tego nie potrafię!

— Gdyby Scarlett wiedziała, że uknułem coś za jej plecami, nawet dla jej własnego dobra — no, zna pani jej wybuchy gniewu! Obawiam się także, że pan Wilkes odmówiłby pożyczki, którą bym ja mu zaproponował. Tak więc żadne z nich nie może wiedzieć, skąd pochodzą pieniądze.

— Och, jestem pewna, że pan Wilkes nie odmówiłby panu, gdyby zrozumiał, o co chodzi. On tak lubi Scarlett.

— Tak, o tym nie wątpię — rzekł Rett gładko. — Mimo to odmówiłby chyba. Wie pani, jacy dumni są Wilkesowie.

— O Boże! — zawołała Melania ze smutkiem. — Wolałabym... Doprawdy, panie kapitanie, nie będę mogła podejść swojego męża.

— Nawet dla przysłużenia się Scarlett? — Rett wydawał się bardzo dotknięty. — A ona tak panią lubi!

Łzy zawisły na powiekach Melanii.

— Wie pan doskonale, że uczyniłabym dla Scarlett wszystko. Nigdy, przenigdy nie będę mogła jej się odwdzięczyć za to, co dla mnie zrobiła. Wie pan o tym dobrze.

— Tak — powiedział krótko — wiem, co zrobiła dla pani. Czy nie mogłaby pani powiedzieć panu Wilkesowi, że pieniądze zostawił pani w spadku jakiś krewny?

— Och, panie kapitanie, nie mam żadnego krewnego z pieniędzmi!

— A gdybym przysłał panu Wilkesowi pieniądze pocztą, bez podania nazwiska tego, kto je wysyła, czy dopilnuje pani, aby zostały zużyte na kupno tartaków, a nie rozdane na przykład ubogim eks-konfederatom?

Z początku Melania była trochę dotknięta słowami Retta, bo zawierały jak gdyby krytykę Ashleya, ale Rett uśmiechnął się tak pobłażliwie, że odpowiedziała mu uśmiechem.

— Rozumie się.

— A zatem załatwione? Pozostanie to naszą tajemnicą, dobrze?

— Ale ja nigdy nie miałam żadnej tajemnicy przed mężem!

— Tego jestem pewien, pani Melu.

Kiedy spojrzała na niego, pomyślała, że nigdy się co do niego nie myliła tak jak inni ludzie. Ludzie mówili, że jest brutalny, ironiczny, źle wychowany, nawet nieuczciwy. To prawda, że coraz więcej bardzo miłych osób przyznawało się teraz do swojej pomyłki. Ona jednak od samego początku wiedziała, że kapitan jest szlachetnym człowiekiem. Doznawała od niego zawsze najuprzejmiejszego zachowania, życzliwości, głębokiego szacunku i wielkiego zrozumienia. Poza tym zaś, jakże kochał Scarlett! Jak to z jego strony ładnie, że w tak okrężny sposób starał się uwolnić ją od ciężarów, które dźwigała.

W nagłym przypływie uczucia powiedziała: — Scarlett powinna być szczęśliwa, że ma męża, który tak jest dla niej dobry!

— Tak pani sądzi? Obawiam się, że nie zgodziłaby się z panią, gdyby to słyszała. Poza tym staram się być dobry także i dla pani, pani Melu. Daję pani znacznie więcej niż Scarlett.

— Mnie? — zapytała zaskoczona. — Och, myśli pan dla Beau.

Wziął do ręki kapelusz i wstał. Przez chwilę patrzył na nieładną twarzyczkę w kształcie serca i na ciemne poważne oczy Meli. Jaka to uduchowiona twarz, twarz bez siły przeciwstawiania się życiu.

— Nie, nie dla Beau. Staram się dać pani więcej nawet niż przyszłość Beau, jeżeli może sobie pani coś takiego wyobrazić.

— Nie, nie mogę — rzekła, znowu zdumiona. — Nie ma na świecie nic droższego dla mnie niż Beau, z wyjątkiem Ash... pana Wilkesa.

Rett nic nie powiedział, ale nie przestawał na nią patrzeć z nieruchomą twarzą.

— Bardzo pan jest dobry, że chce pan coś dla mnie zrobić, panie kapitanie, ale doprawdy, ja jestem tak bardzo szczęśliwa. Mam wszystko w świecie, o czym może marzyć kobieta.

— To doskonale — powiedział Rett sposępniawszy nagle. — Postaram się więc, aby mogła to pani zachować.

Kiedy Scarlett wróciła z Tary, z twarzy jej znikła niezdrowa bladość, a policzki były pełniejsze i lekko zaróżowione. Zielone jej oczy znowu były żywe i błyszczące i po raz pierwszy od wielu tygodni roześmiała się na głos, kiedy Rett i Bonnie przyszli po nią i dzieci na stację — roześmiała się, rozbawiona i trochę zła. Rett miał zatknięte za kapelusz dwa indycze pióra, Bonnie zaś, ubrana w rozpaczliwie podartą sukienkę, niegdyś odświętną, wymalowane miała na policzkach jaskrawoniebieskie poprzeczne pasy, a we włosach sterczało jej pawie piórko niemal tak duże jak ona. Odbywała się najprawdopodobniej zabawa w Indian, kiedy nadeszła pora wyjścia na stację, i z zakłopotanej i bezradnej miny Retta i z oburzenia Mammy wynikało, że Bonnie nie pozwoliła się przebrać nawet na spotkanie matki.

Scarlett powiedziała: — Co też z ciebie za oberwaniec — całując dziecko i nadstawiając policzek pod wargi Retta. Na stacji były tłumy ludzi i dlatego przywitała się z nim tak serdecznie. Mimo zakłopotania z powodu wyglądu Bonnie zdołała zauważyć, że wszyscy w tłumie uśmiechali się do ojca i córeczki nie kpiąco, ale z prawdziwym ubawieniem i sympatią. Wszyscy wiedzieli, że najmłodsze dziecko Scarlett całkowicie zawojowało ojca, i Atlanta bardzo to pochwalała. Wielka miłość Retta do córki bardzo się przyczyniła do przywrócenia mu łask w opinii publicznej.

W drodze do domu Scarlett opowiadała nowiny z powiatu. Upały i susza tak się przyczyniły do wzrostu bawełny, że rosła po prostu w oczach, ale mimo to Will mówił, że ceny będą na jesieni niskie. Zuela znowu spodziewa się dziecka — wymówiła to tak, aby dzieci nie zrozumiały — a Ella wykazała niezwykłą jak na siebie energię i pogryzła najstarszą córeczkę Zueli. Na to zresztą, zdaniem Scarlett, mała Zuzia zupełnie zasłużyła, bo wdała się w swoją matkę. Zuela jednak wpadła we wściekłość i pokłóciły się ze sobą tak jak w dawnych czasach. Wade zabił wodnego węża, zupełnie sam. Randa i Kamila Tarleton uczą w szkole, czy to nie zabawne? Żadne z rodziny Tarletonów nigdy nie wiedziało, jak się pisze „róża”! Betsy Tarleton wyszła za tęgiego jednorękiego mężczyznę z Lovejoy i z mężem Hetty, Jimem Tarletonem zajmują się majątkiem. Pani Tarleton miała klacz i źrebca, i była z tego tak zadowolona jak z miliona dolarów. A w dawnym domu Calvertów mieszkają Murzyni! Całe ich roje — są właścicielami plantacji! Kupili ją z licytacji. Dom jest prawie rozwalony i serce się kraje na jego widok. Nikt nie wie, co się dzieje z Kasią i jej mężem nicponiem. A Aleks Fontaine ma się żenić z Sally, wdową po jego bracie! To dopiero, po tylu latach mieszkania pod jednym dachem! Wszyscy mówią, że to małżeństwo z rozsądku, bo ludzie zaczęli już plotkować na temat ich mieszkania we dwoje, po śmierci starej i młodej pani Fontaine. To omal nie złamało serca Dimity Munroe. Ale dobrze jej tak. Gdyby miała trochę rozumu, złapałaby sobie innego męża, zamiast czekać, aż Aleks tak się wzbogaci, aby móc się z nią ożenić.

Scarlett paplała wesoło, ale wiele było wiadomości o powiecie, które przemilczała, wiele spraw, o których myślała z bólem. Jeździła z Willem po okolicy i starała się nie pamiętać czasów, gdy tysiące urodzajnych akrów zieleniły się bawełną. Teraz plantacja za plantacją pokrywały się lasem i gdzie dawniej stały domy i ciągnęły się łany bawełny, pola zarosłe były jałowcem, karłowatym dębem i sosną. Uprawiano teraz jeden akr ziemi, gdzie dawniej orało się sto. Miała wrażenie, jak gdyby przejeżdżała przez umarły kraj.

— Ta okolica nie odrodzi się i za pięćdziesiąt lat, jeżeli odrodzi się w ogóle — powiedział Will. — Tara jest najlepszą fermą w powiecie, dzięki mnie i tobie, Scarlett, ale to jest ferma, nie plantacja. Majątek Fontaine'ów idzie za Tarą, potem zaś ferma Tarletonów. Nie mają pieniędzy, ale jakoś żyją i dają sobie radę. Ale reszta ludzi, reszta ferm...

Nie, Scarlett nie chciała sobie przypominać, jak wyglądał opustoszały powiat. Teraz, na tle ruchu i dobrobytu Atlanty, było to tym bardziej smutne.

— A co się tutaj działo? — zapytała, kiedy wreszcie dojechali do domu i usiedli na ganku. Po drodze ze stacji mówiła dużo i szybko, obawiając się, że zapadnie kłopotliwe milczenie. Nie rozmawiała sam na sam z Rettem od dnia, kiedy spadła ze schodów, i nie bardzo chciała być z nim teraz sama. Podczas jej rekonwalescencji był uosobieniem dobroci, ale była to dobroć obojętnego znajomego. Uprzedzał jej życzenia, pilnował, aby dzieci jej nie męczyły, i doglądał sklepu i tartaków. Nie powiedział jednak — Przepraszam cię, Scarlett. — Może zresztą wcale niczego nie żałował. Może w dalszym ciągu sądził, że dziecko, które się nie urodziło, nie było jego dzieckiem. Skądże mogła wiedzieć, co się działo w tym mózgu za układną, ciemną twarzą? Ale starał się być uprzejmy, po raz pierwszy w ich życiu, i zdradzał chęć, aby życie szło naprzód, jak gdyby nie było nigdy nieprzyjemnych zajść między nimi — jak gdyby, myślała Scarlett ze smutkiem, jak gdyby nic ich nigdy ze sobą nie łączyło. Skoro więc tego sobie życzył, ona gotowa była także się przystosować.

— Czy wszystko w porządku? — powtórzyła. — Czy dostarczono do sklepu nowych dachówek? Czy zamieniłeś muły? Na miłość boską, Rett, wyjm już te pióra z kapelusza. Wyglądasz jak wariat i gotów jesteś pójść tak do miasta, jeżeli zapomnisz je wyjąć.

— Nie — powiedziała Bonnie zaczepnie, biorąc kapelusz ojca.

— Wszystko szło jak najlepiej — odparł Rett. — Bardzośmy się dobrze z Bonnie bawili, ale zdaje mi się, że nie widziała grzebienia od czasu twego wyjazdu. Nie oblizuj tych piór, kochanie, to brzydko. Tak, dachówkę już położono i muły zamieniłem bardzo korzystnie. Nie, naprawdę, nie ma żadnych nowin. Było właściwie zupełnie nudno. — Po chwili, jak gdyby przypomniawszy coś sobie, dodał: — Wielmożny pan Ashley był tutaj wczoraj wieczorem. Chciał wiedzieć, czy nie miałabyś chęci sprzedać mu swego tartaku oraz udziału w tartaku, który on prowadzi.

Scarlett, która bujała się w fotelu i wachlowała wachlarzem z piór kogucich, nagłe zatrzymała się.

— Sprzedać? A skądże Ashley ma pieniądze? Wiesz, że nigdy ani grosza nie mieli. Melania wydaje równie szybko, jak on zarabia.

Rett wzruszył ramionami. — Uważałem ją zawsze za osobę bardzo skromną, ale oczywiście nie jestem tak dokładnie poinformowany o intymnych szczegółach życia Wilkesów jak ty.

Ten docinek bardziej już przypominał dawny styl Retta, więc Scarlett rozzłościła się.

— Idź sobie teraz, kochanie — powiedziała do Bonnie. — Mamusia chce porozmawiać z tatusiem.

— Nie — rzekła Bonnie stanowczo i wdrapała się na kolana Retta.

Scarlett zmarszczyła brwi, ale Bonnie w odpowiedzi spojrzała na nią spod oka i tak przy tym była podobna do Geralda O'Hary, że Scarlett miała ochotę roześmiać się.

— Pozwól jej zostać — rzekł Rett łagodnie. — A co się tego tyczy, skąd Ashley ma pieniądze, to zdaje mi się, że przysłał mu je ktoś, kogo pielęgnował podczas ciężkiej ospy w Rock Island. Świadomość, że wdzięczność jeszcze istnieje na tym świecie, przywraca mi wiarę w człowieka.

— Kto to taki? Czy jakiś znajomy?

— List nie był podpisany, a przyszedł z Waszyngtonu. Ashley był w kłopocie, bo nie wiedział, kto to może być. No, ale człowiek tak pozbawiony egoizmu jak Ashley chodząc po świecie spełnia tyle dobrych uczynków, że trudno, aby wszystkie pamiętał.

Gdyby nie była tak zdumiona szczęśliwym dla Ashleya zrządzeniem losu, podniosłaby tę rękawicę, chociaż w Tarze postanowiła już nigdy się nie kłócić z Rettem na temat Ashleya. Grunt pod jej nogami był w tej sprawie zbyt niepewny i dopóki nie wyjaśniła całkowicie sytuacji z nimi obydwoma, nie miała ochoty dawać się wciągać w rozmowę.

— Chce odkupić ode mnie tartaki?

— Tak. Powiedziałem mu, że ty, oczywiście, nie sprzedasz.

— Wolałabym, abyś się nie wtrącał do moich spraw.

— No, ale przecież to jasne, że nie zechcesz się rozstać z tartakami. Powiedziałem mu, że wie chyba tak dobrze jak ja, że lubisz wglądać we wszystko, a gdybyś mu sprzedała tartaki, nie mogłabyś mu radzić, jak prowadzić interesy.

— Ośmieliłeś się to o mnie powiedzieć?

— Czemu nie? To przecież prawda. Wydaje mi się, że podziela moje zdanie, ale, oczywiście, jest zbyt wielkim dżentelmenem, aby przyznać to głośno.

— To kłamstwo! Sprzedam mu tartaki! — zawołała Scarlett ze złością.

Do tej chwili nie miała zamiaru rozstawać się z nimi. Miała wiele powodów, aby je zatrzymać, przy czym wartość ich była najmniej ważna. Mogła je była sprzedać niejednokrotnie w ciągu ostatnich lat, i za dobrą cenę, odrzucała jednak wszystkie oferty. Tartaki były namacalnym dowodem tego, co dokonała, bez pomocy i mimo wielkich przeszkód; dumna więc była z nich i z siebie. Przede wszystkim zaś nie chciała ich sprzedać, bo stanowiły jedyną możliwość spotykania się z Ashleyem. Jeżeli tartaki przestaną być jej własnością, będzie musiała widywać Ashleya rzadziej i nigdy nie będzie z nim sam na sam. Musiała zaś go widywać. Nie mogła dłużej żyć w ten sposób, nie wiedząc, jakie Ashley żywi dla niej uczucia, zastanawiając się, czy miłość jego zabił wstyd owego okropnego wieczoru, gdy było przyjęcie Melanii. Podczas załatwiania z nim interesów mogła znajdować wiele sposobnych do rozmowy chwil i nikt nie mógł jej podejrzewać, że go prześladuje. Wiedziała, że z biegiem czasu może odzyska to, co w jego sercu straciła. Gdyby jednak sprzedała tartaki...

Nie, nie chciała ich wcale sprzedawać, ale wzburzona myślą, że Rett przedstawił ją przed Ashleyem w tak prawdziwym i niepochlebnym świetle, zdecydowała się w jednej chwili. Ashley może mieć tartaki, i po takiej cenie, że zrozumie wreszcie, jak jest wspaniałomyślna.

— Sprzedam je! — krzyknęła z pasją. — No, i co teraz powiesz?

W oczach Retta ukazała się iskierka tryumfu, gdy pochylił się, aby zawiązać Bonnie sznurowadło.

— Powiem, że tego pożałujesz — rzekł spokojnie.

Już żałowała swoich nierozważnych słów. Gdyby powiedziała je komuś innemu, nie Rettowi, zaparłaby się ich bezwstydnie. Dlaczego uniosła się w ten sposób? Spojrzała na Retta ze złością i zauważyła, że patrzy na nią dawnym swoim, przenikliwym spojrzeniem. Kiedy zobaczył jej zmarszczone brwi, zaśmiał się nagle i zęby mu błysnęły. Scarlett miała niejasne wrażenie, że Rett z rozmysłem doprowadził ją do tego kroku.

— Czyś ty miał coś wspólnego z tą sprawą? — zapytała ostro.

— Ja? — Rett podniósł brwi w udanym zdziwieniu. — Powinnaś mnie lepiej znać. Nigdy nie staram się spełniać dobrych uczynków, jeżeli mogę tego uniknąć.

Tego samego wieczora Scarlett sprzedała Ashleyowi tartaki i wszystkie swoje udziały. Nic na tym nie straciła, bo Ashley nie chciał przyjąć jej pierwszej niskiej oferty i zapłacił jej najwyższą cenę, jaką jej kiedykolwiek ofiarowano. Kiedy podpisała papiery i tartaki już nieodwołalnie przestały być jej własnością, a Melania dla uczczenia transakcji podała Ashleyowi i Rettowi małe szklaneczki wina, Scarlett poczuła się tak osierocona, jak gdyby sprzedała jedno ze swoich dzieci.

Tartaki były jej ukochaniem, chlubą jej, dorobkiem jej małych, zaborczych dłoni, W tych ponurych dniach, gdy Atlanta zaczynała się odradzać z ruin i popiołów, a niedostatek zaglądał jej w oczy, zaczęła od jednego małego tartaczku. Walczyła o nie, zabiegała i chroniła je w trudnych czasach, gdy groziła konfiskata jankeska, gdy ciężko było o pieniądze i nawet mężczyzn zewsząd wypierano. A teraz, kiedy rany Atlanty zabliźniły się, kiedy nowe budynki wyrastały wszędzie, a nowi przybysze napływali z każdym dniem do miasta, miała dwa doskonałe tartaki, dwa składy drzewa, tuzin mułów i wozów, i robotników-więźniów, którzy umożliwiali jej niską kalkulację cen. Pożegnanie tego wszystkiego równało się dla niej zamknięciu drzwi za szmatem życia, trudnym i ciężkim — który jednak wspominała z nostalgią i dumą.

Zbudowała to przedsiębiorstwo, a teraz sprzedała je i gnębiło ją przeczucie, że bez jej pomocy Ashley wszystko straci — wszystko, co zbudowała własną pracą. Ashley ufał wszystkim i dotąd nie rozróżniał wymiarów desek. A teraz nie będzie go mogła wspierać nawet radą — ponieważ Rett go uprzedził, że lubi się do wszystkiego wtrącać.

„Ach, niech licho porwie Retta!” — myślała i obserwując go była niemal pewna, że on to wszystko urządził. Jak i dlaczego — nie wiedziała. Rozmawiał teraz z Ashleyem; zastanowiły ją jego słowa.

— Sądzę, że teraz zwolni pan od razu więźniów — powiedział.

Zwolnić więźniów? Cóż to znowu za pomysł? Rett wiedział doskonale, że tartaki dawały wielkie zyski właśnie dzięki taniej robociźnie. I dlaczego Rett z taką pewnością mówił o planach Ashleya? Cóż mógł wiedzieć o jego zamiarach?

— Tak, odprawię ich natychmiast — odrzekł Ashley unikając wzroku zaskoczonej Scarlett.

— Czyś ty zwariował? — zawołała. — Stracisz złożoną za nich kaucję. I jakich robotników znajdziesz na ich miejsce?

— Przyjmę wyzwoleńców — odparł Ashley.

— Wyzwoleńców! Zawracanie głowy! Wiesz, ile będziesz im musiał płacić, poza tym zaś będziesz miał co chwila na karku Jankesów, którzy będą sprawdzali, czy dajesz im trzy razy dziennie drób i czy śpią na edredonowych puchach. A jeżeli przyłożysz leniwemu Murzynowi parę batów, aby wziął się do roboty, Jankesi podniosą wrzawę na cały stan i skończysz jeszcze w więzieniu. Więźniowie są jedynym...

Melania patrzyła na swoje splecione na kolanach dłonie, Ashley miał minę smutną, ale stanowczą. Przez chwilę milczał. Potem spojrzał na Retta i w spojrzeniu jego wyczytał zrozumienie i jak gdyby zachętę, które nie uszły uwagi Scarlett.

— Nie będę zatrudniał więźniów, Scarlett — powiedział spokojnie.

— Też dopiero! — aż jej dech zaparło. — Ale dlaczego? Czy obawiasz się, że ludzie będą cię tak krytykowali jak mnie?

Ashley podniósł głowę.

— Nie obchodzi mnie to, co mówią ludzie, jeżeli wiem, że mam słuszność. Nigdy zaś nie uważałem, aby zatrudnianie więźniów było słuszne.

— A dlaczego...

— Nie mogę się bogacić na przymusowej pracy i na nieszczęściu innych.

— Miałeś przecież niewolników!

— Nie byli nieszczęśliwi.. Poza tym zaś po śmierci ojca dałbym im wolność, gdyby nie okoliczność, że zyskali ją dzięki wojnie. To jednak jest inna sprawa, Scarlett. System ten pozwala na zbyt wiele nadużyć. Może ty o tym nie wiesz, ja jednak wiem. Wiem doskonale, że Gallegher zabił u siebie przynajmniej jednego człowieka. Może nawet i więcej, bo któż dba o to, ilu jest więźniów — jeden mniej czy więcej? Mówił, że człowiek został zabity, kiedy usiłował uciec, ale z innej strony słyszałem cc innego... Wiem także, że zmuszał do pracy ludzi chorych i słabych. Nazwij to przesądem, ale nie wierzę, aby człowiekowi mogły przynieść szczęście pieniądze zdobyte dzięki cierpieniom bliźnich.

— Do stu tysięcy piorunów! Chcesz powiedzieć... na miłość boską, Ashleyu, przecież nie przejąłeś się chyba kazaniem księdza Wallace'a na temat skalanych pieniędzy?

— Nie, nie przejąłem się wcale. Wierzyłem w to, zanim usłyszałem owo kazanie.

— A więc musisz wobec tego uważać, że cały mój majątek jest skalany! — zawołała Scarlett, trochę już zła. — Ponieważ zatrudniałam więźniów i jestem właścicielką szynku i... — Przerwała. Wilkesowie byli zakłopotani, a Rett uśmiechał się złośliwie. „Niech go wszyscy diabli — pomyślała Scarlett gwałtownie. — Myśli, że znowu wtrącam się w cudze sprawy, i Ashley myśli to samo. Żałuję, że nie mogę im porozbijać głów!” Opanowała złość i bez powodzenia starała się przybrać wyraz obojętnej godności.

— To mnie oczywiście mało wzrusza — powiedziała.

— Scarlett, nie sądź, że cię potępiam! Skądże znowu. Patrzymy tylko na wiele spraw zupełnie odmiennie, i to, co tobie odpowiada, może nie być dobre dla mnie.

Nagle zaczęła żałować, że nie są sami, że Rett i Melania nie znajdują się na drugim końcu świata, tak, by mogła zawołać: — Ale ja chciałabym patrzeć na wszystko tak samo jak ty! Powiedz mi, co masz na myśli, abym cię mogła zrozumieć i stać się podobna do ciebie.

W obecności Melanii, drżącej z zakłopotania z powodu tej sceny, i Retta, wygodnie rozpartego i uśmiechającego się do niej z ironią, mogła tylko powiedzieć bardzo chłodno i z obrażoną godnością: — Zresztą to są twoje sprawy, Ashleyu, i nie mam się bynajmniej zamiaru do nich wtrącać. Muszę jednak przyznać, że nie pojmuję ani twego punktu widzenia, ani twoich uwag.

Och, gdybyż tylko byli sami, aby nie musiała mówić mu tych chłodnych słów, które go zasmuciły!

— Obraziłem cię, Scarlett, choć nie miałem zamiaru tego robić. Sądzę, że uwierzysz mi i przebaczysz. Nie ma nic zagadkowego w tym, co powiedziałem. Przekonany tylko jestem, że pieniądze zdobyte w pewien sposób rzadko przynoszą szczęście.

— Ależ mylisz się! — zawołała nie mogąc się dłużej opanować. — Spójrz na mnie! Wiesz, w jaki sposób dorobiłam się majątku. Wiesz przecież, w jakiej byłam sytuacji, zanim zaczęłam zarabiać! Pamiętasz chyba tę zimę w Tarze, kiedy były mrozy, kiedy robiliśmy sobie buty z dywanów, kiedy nie mieliśmy dość jedzenia i zastanawialiśmy się, w jaki sposób wychowamy Beau i Wade'a. Pamię...

— Pamiętam — rzekł Ashley znużonym głosem — ale wolałbym zapomnieć.

— Nie możesz chyba twierdzić, że ktokolwiek z nas był wtedy szczęśliwy, prawda? A popatrz na nas teraz! Ty masz ładny dom i zapewnioną przyszłość. A czy jest ktoś w mieście, kto by miał piękniejszy dom, ładniejsze suknie czy lepsze konie niż ja? Nikt tak pięknie nie przyjmuje ani ładniej nie nakrywa do stołu, a dzieci moje mają wszystko, czego zapragną. No, a w jaki sposób doszłam do pieniędzy, które mi wszystko umożliwiają? Czy spadły z nieba? Nie, mój drogi! Dali mi je więźniowie, czynsz z szynku i...

— Nie zapominaj także o zamordowaniu tego Jankesa — rzekł Rett cicho. — To właściwie dało ci start życiowy.

Scarlett odwróciła się do niego odpowiadając ostro.

— I pieniądze te uczyniły cię bardzo szczęśliwą, prawda, kochanie? — zapytał z jadowitą słodyczą.

Scarlett zatrzymała się w pół słowa, z otwartymi ustami, i szybko przebiegła wzrokiem po twarzach trojga obecnych. Melania omal nie płakała z zakłopotania, Ashley nagle spochmurniał i zamknął się w sobie, a Rett obserwował ją znad cygara z obojętnym uśmiechem. Chciała krzyknąć: „Rozumie się, że uczyniły mnie szczęśliwą!”

Nie wiadomo jednak dlaczego, nie mogła nic powiedzieć.

## ROZDZIAŁ LVIII

W okresie, który nastąpił po jej powrocie do zdrowia, Scarlett zauważyła zmianę w Recie, która na ogół nie bardzo jej się spodobała. Rett był trzeźwy, spokojny i zamknięty w sobie. Częściej bywał teraz w domu na kolacji, był grzeczniejszy dla służby i czulszy dla Wade'a i Elli. Nigdy nie nawiązywał do niczego z ich wspólnej przeszłości, ani do rzeczy przyjemnych, ani do niemiłych, i jak gdyby czekał milcząco, że Scarlett coś o tym wspomni. Scarlett jednak chciała spokoju, łatwiej było zostawić sprawy własnemu ich biegowi, bo życie układało się pozornie dość gładko. Obojętna uprzejmość Retta, którą zaczął jej okazywać podczas rekonwalescencji, trwała dalej: przestał jej teraz docinać i dokuczać. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, że chociaż doprowadzał ją do pasji złośliwymi uwagami i zmuszał do gniewnych odpowiedzi, czynił to wyłącznie z zainteresowania tym co robi czy mówi. Zastanawiała się, czy go to teraz jeszcze obchodzi. Był grzeczny i obojętny — jej zaś brakło dawnych sprzeczek i przekomarzań.

Rett był teraz dla niej tak uprzejmy jak człowiek obcy; ale tak samo, jak dawniej za nią, teraz wodził wzrokiem za Bonnie. Mogło się wydawać, że wartki nurt jego życia mieścił się teraz w jednym wąskim łożysku. Czasem Scarlett myślała, że gdyby Rett dawał jej połowę tej uwagi i czułości, którą poświęcał Bonnie, życie byłoby zupełnie inne. Czasem trudno było jej się uśmiechać, kiedy ludzie mówili: — Ależ kapitan Butler ubóstwia to dziecko! — Ale gdyby się nie uśmiechała, ludzie zaczęliby się dziwić, Scarlett zaś nie chciała się przyznawać, nawet przed samą sobą, że jest zazdrosna o córeczkę, zwłaszcza że Bonnie była jej najukochańszym dzieckiem. Scarlett zawsze chciała mieć pierwsze miejsce w sercach ludzi, którzy ją otaczali, a teraz stało się jasne, że Rett i Bonnie zawsze będą dla siebie najbliżsi.

Rett wychodził dość często późnym wieczorem, ale wracał zawsze trzeźwy do domu. Czasem słyszała, jak cicho pogwizduje schodząc na dół koło jej zamkniętych drzwi. Czasem przychodził w nocy w towarzystwie jakichś mężczyzn, z którymi rozmawiał w jadalni przy butelce koniaku. Nie byli to ci sami mężczyźni, z którymi pijał w pierwszych latach małżeństwa. Nie zapraszał teraz nigdy do domu ani bogatych Carpetbaggerów, ani Scallawagów, ani republikanów. Scarlett wykradając się na palcach do górnego hallu starała się podsłuchiwać i ku swemu zdumieniu często słyszała głosy Rene Picarda, Hugona Elsinga, młodych Simmonsów i Andy Bonnella. Zawsze także przychodził dziadek Merriweather i wuj Henryk. Razu pewnego, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, dosłyszała nawet głos doktora Meade. A ludzie ci uważali kiedyś, że szubienica jest dla Retta za dobra!

Ta grupa ludzi kojarzyła się zawsze w jej pamięci ze śmiercią Franka, a późne powroty Retta w owe dni przypominały jej czasy poprzedzające wyprawę Klanu, w której Frank postradał życie. Przypomniała sobie z przerażeniem uwagę Retta, że dla zyskania sobie szacunku przystąpiłby nawet do przeklętego Klanu, choć prosi Boga, aby nie wyznaczał mu tak ciężkiej pokuty. A jeżeli Rett jak Frank...

Pewnej nocy, kiedy nie było go dłużej niż zwykle, nie mogła już znieść niepewności. Kiedy usłyszała zgrzyt klucza w zamku, narzuciła szlafrok i wyszedłszy do oświetlonego gazem hallu spotkała go na schodach. Wyraz jego twarzy, zamyślony i daleki, zmienił się w zdziwienie, kiedy ją zobaczył.

— Rett, ja muszę wiedzieć! Muszę wiedzieć, czy ty... czy to Klan jest przyczyną, że wracasz tak późno? Czy należysz...

W jasnym świetle gazowym popatrzył na nią uważnie, a potem się uśmiechnął.

— Nie wiesz, co się dzieje na świecie, Scarlett — powiedział. — Nie ma już Klanu w Atlancie ani prawdopodobnie w całej Georgii. Zbyt uważnie przysłuchujesz się opowiadaniom twoich przyjaciół Carpetbaggerów i Scallawagów o okrucieństwach Klanu.

— Czy kłamiesz teraz, aby mnie uspokoić?

— Moja droga, czy kiedykolwiek starałem się ciebie uspokoić? Nie, nie ma już teraz Klanu. Zdecydowaliśmy, że bardziej nam szkodzi, niż pomaga, bo tylko podniecał Jankesów i dostarczał wody na młyn oszczerstw jego ekscelencji, gubernatora Bullocka. Gubernator wie, że pozostanie przy władzy dopóty, dopóki uda mu się utrzymać rząd federalny i dzienniki jankeskie w przekonaniu, że w Georgii krzewi się bunt i że członkowie Klanu czają się za każdym drzewem. Dla utrzymania się przy władzy rozpaczliwie zmyśla historyjki o okrucieństwach Klanu, w ogóle nie zdarzających się, i opowiada, że lojalni republikanie wieszani są za palce, a uczciwi Murzyni linczowani dla przyjemności. Mierzy jednak w nie istniejący cel i zdaje sobie z tego sprawę. Dziękuję ci za twoją troskliwość, ale Klan zawiesił swoją działalność wkrótce potem, gdy przestałem być Scallawagiem i stałem się pokornym demokratą.

Większa część tego, co powiedział o gubernatorze Bullocku, weszła jej w jedno ucho, a wyszła drugim, bo wypełniło ją uczucie ulgi, że Klan przestał istnieć. Rett nie zostanie zabity jak Frank; nie straci sklepu swego ani pieniędzy. Jedno jego słowo utkwiło jej ostro w pamięci. Powiedział: „zdecydowaliśmy”, łącząc się w sposób oczywisty z tymi, których dawniej nazywał „starą gwardią”.

— Rett — zapytała nagie — czyś to ty przyczynił się do rozwiązania Klanu?

Rzucił jej przeciągłe spojrzenie i oczy mu zabłysły.

— Tak, kochanie, ja. Jest to zasługą głównie Ashleya Wilkesa i moją.

— Ashleya... i twoją?

— Tak, to banalne, ale prawdziwe — polityka dziwnie łączy ludzi. Ani Ashleyowi, ani mnie nie bardzo zależy na związku tak ścisłym, ale... Ashley nigdy nie miał przekonania do Klanu, bo przeciwny jest zasadniczo gwałtom. Ja zaś nie miałem przekonania, bo to był głupi i zły sposób dochodzenia do celu. Obstając przy Klanie mielibyśmy Jankesów na karku do skończenia świata. Razem więc z Ashleyem przekonaliśmy resztę tych zapaleńców, że obserwowanie, czekanie i praca dalej nas zaprowadzą niż koszule i ogniste krzyże.

— Chcesz więc powiedzieć, że Klan usłuchał twojej rady, mimo że byłeś...

— Mimo że byłem spekulantem? Scallawagiem? Zausznikiem Jankesów? Zapominasz jednak, pani Butler, że jestem teraz dobrze widzianym demokratą, do ostatniej kropli krwi oddanym sprawie oswobodzenia naszego ukochanego stanu z rąk najeźdźców! Rada moja była dobra, więc jej usłuchano. W innych politycznych kwestiach rada moja jest nie mniej dobra. Prawda, że mamy teraz większość demokratyczną w rządzie stanowym? A wkrótce już, moja kochana, kilku dobrych naszych przyjaciół republikanów zasiądzie za kratkami. Wszyscy oni stali się ostatnio trochę zbyt łapczywi, zbyt bezwstydni.

— I ty przyczynisz się do ich uwięzienia? Ale przecież jesteś z nimi w przyjaźni! Dopuścili cię do budowy kolei, na której zarobiłeś tysiące!

Rett uśmiechnął się nagle swoim dawnym drwiącym uśmiechem.

— Och, toteż ja bynajmniej nie mam do nich żalu. Ale stoją teraz po przeciwnej stronie i jeżeli będę się mógł przyczynić do wsadzenia ich tam, gdzie ich miejsce, zrobię to z ochotą. I jakże to poprawi moją opinię! Wiem dość dużo o niektórych z tych interesów, aby być bardzo użytecznym, gdy prokuratura zacznie się nimi zajmować — a to nastąpi już wkrótce, jeżeli sądzić po tym, jak się sprawy teraz przedstawiają. Wytoczy się dochodzenie przeciw gubernatorowi i jeżeli dobrze pójdzie, zamknie się i jego w więzieniu. Powiedz lepiej swoim przyjaciołom, Gelertom i Hundonom, aby się przygotowali do wyjazdu z miasta, bo jeżeli capną gubernatora, przytrzymają i ich.

Scarlett zbyt długo widziała republikanów, popieranych przez armię jankeską, u szczytu władzy w Georgii, aby uwierzyć w słowa Retta. Pozycja gubernatora była zbyt mocna, aby go rząd mógł utrącić, tym bardziej zaś zamknąć w więzieniu.

— Co też ty wygadujesz — powiedziała tylko.

— Jeżeli nie wsadzą go do więzienia, to przynajmniej nie wybiorą po raz drugi. Będziemy mieli już wkrótce gubernatora demokratę.

— A ty prawdopodobnie i w tym będziesz brał udział? — zapytała z sarkazmem.

— Będę brał udział, moja złota. Już mam z tym dużo wspólnego. Dlatego tak późno wracam wieczorami. Pracuję przy organizowaniu nowych wyborów ciężej, niż kiedy kopałem złoto. I wiem, że to cię niemile dotknie, pani Butler, ale daję bardzo dużo na tę organizację. Czy pamiętasz, jak mi wiele lat temu powiedziałaś w sklepie Franka, że to nieuczciwe z mojej strony, abym zatrzymywał pieniądze Konfederacji? Zgodziłem się wreszcie z tobą i wydaję teraz złoto Konfederacji na przywrócenie konfederatów do władzy!

— Rzucasz pieniądze w błoto!

— Co takiego? Nazywasz błotem partię demokratyczną? — Oczy jego spojrzały drwiąco, a potem stały się spokojne, bez wyrazu. — Nic mnie to nie obchodzi, kto zwycięży w wyborach. Obchodzi mnie tylko to, aby wszyscy wiedzieli, że pracowałem przy nich i dawałem pieniądze. To zaś ludzie zapamiętają i za wiele lat policzą na korzyść Bonnie.

— Prawie się już obawiałam, słysząc twoje bogobojne słowa, żeś zmienił się w duszy, ale widzę teraz, że nie jesteś szczerszy w stosunku do demokratów niż w stosunku do kogokolwiek innego.

— W duszy nie zmieniłem się wcale. Zmieniłem tylko skórę. Można prawdopodobnie zetrzeć plamy ze skóry lamparta, ale mimo to lampart pozostanie lampartem.

Bonnie, zbudzona dźwiękiem rozmowy w hallu, zawołała sennie, ale rozkazująco: — Tatusiu! — i Rett minąwszy Scarlett skierował się w stronę jej pokoju.

— Rett, poczekaj chwilkę. Chcę ci jeszcze coś powiedzieć. Musisz przestać zabierać Bonnie na popołudniowe zebrania polityczne. To nie wygląda właściwie. Cóż to za pomysł, aby małą dziewczynkę zabierać w takie miejsca! I ty także wyglądasz z tym głupio. Nigdy tego nie podejrzewałam, ale wuj Henryk wspomniał mi o tym, przekonany zresztą, że o tym wiem.

Odwrócił się ku niej ze zmarszczonymi brwiami.

— Jak możesz dopatrywać się czegoś złego w tym, że mała dziewczynka siedzi na kolanach ojca podczas zebrań politycznych? Możesz zresztą uważać, że to głupio wygląda, ale zapewniam cię, że tak nie jest. Ludzie przez długie lata będą pamiętali, że Bonnie siedziała na moich kolanach, kiedy pomagałem wypędzać republikanów z Georgii. Ludzie będą pamiętali to przez długie lata... — Rozpogodził się i w oczach jego ukazały się złośliwe błyski. — Czy wiesz, że kiedy pytają ją, kogo kocha najbardziej, odpowiada: „Tatusia i demokratów” a kogo najbardziej nienawidzi, odpowiada: „Skallwagów”. Ludzie, Bogu dzięki, pamiętają takie rzeczy.

Głos Scarlett nabrzmiał wściekłością. — I prawdopodobnie mówisz jej, że i ja należę do Scallawagów?!

— Tatusiu! — zabrzmiał cienki głosik, teraz już pełen oburzenia, i Rett, jeszcze się śmiejąc, poszedł przez hali do pokoju córeczki.

W październiku tego roku gubernator Bullock podał się do dymisji i uciekł z Georgii. Nadużywanie publicznych pieniędzy, rozrzutność i przekupstwo doszły podczas jego kadencji do takich rozmiarów, że cały gmach administracji walił się pod własnym ciężarem. Nawet we własnej partii gubernatora nastąpił rozłam, tak wielkie było oburzenie opinii publicznej. Demokraci mieli teraz większość w rządzie stanowym i to było groźnym znakiem. Wiedząc, że zostanie mu wytoczone śledztwo, i bojąc się oskarżenia, Bullock postanowił nie czekać. Pośpiesznie i ukradkiem uciekł, tak to urządziwszy, że rezygnacja jego stała się wiadoma dopiero wtedy, gdy był już bezpieczny na Północy.

Kiedy w tydzień potem rozeszła się wiadomość o jego ucieczce, w Atlancie zapanowało podniecenie i radość. Ludzie wylegli na ulice, mężczyźni śmieli się i winszowali sobie, panie całowały się i płakały. Wszyscy dla uczczenia tej nowiny zaczęli wydawać przyjęcia, a straż ogniowa była bez przerwy zajęta pożarami, które wybuchały od zniczów palonych przez małych chłopców.

A zatem prawie zwycięstwo! Rekonstrukcja prawie minęła! Zastępca gubernatora był właściwie także republikaninem, ale wybory miały się odbyć w grudniu i nikt nie miał wątpliwości co do ich wyniku. A kiedy wreszcie nadeszły, mimo rozpaczliwych wysiłków partii republikańskiej Georgia znowu zyskała gubernatora-demokratę.

Wtedy także zapanowało podniecenie i radość, ale innego już rodzaju niż w chwili, gdy Bullock wziął nogi za pas. Radość była wstrzemięźliwsza i głębsza, bardziej podobna do uczucia wdzięczności, i kościoły były pełne, kiedy duchowni pokornie dziękowali Bogu za wyzwolenie stanu. Z radością i poczuciem ulgi mieszała się także duma, że Georgia jest znowu pod rządami swoich ludzi, mimo wysiłków administracji w Waszyngtonie, mimo wojska, Carpetbaggerów, Scallawagów i miejscowych republikanów.

Siedem razy Kongres uchwalał ustawy wymierzone przeciw stanowi, aby utrzymać go w charakterze podbitej prowincji, trzy razy wojsko deptało prawo cywilne. Murzyni kręcili się po urzędach, zachłanni przybysze popełniali nadużycia, ludzie prywatni bogacili się z funduszów publicznych. Georgia była bezsilna, udręczona, wyzyskiwana, przybita. Teraz jednak, dzięki wysiłkom swoich obywateli, Georgia mimo wszystko była znowu sobą.

Nagłe odtrącenie republikanów od władzy nie wszystkich napełniło radością. W szeregach Scallawagów, Carpetbaggerów i republikanów zapanowała konsternacja. Gelertowie i Hundowie, powiadomieni prawdopodobnie o wyjeździe Bullocka przed ogłoszeniem jego rezygnacji, wyjechali nagle z miasta znikając w niebycie, z którego przybyli. Inni Carpetbaggerzy i Scallawagowie, którzy jeszcze zostali, czuli się niepewnie, byli przerażeni i skupiali się razem, aby pocieszać się wzajemnie i zastanawiać się, jakie ich sprawki dochodzenie wyniesie na światło dzienne. Nie byli już teraz bezczelni. Byli zdumieni, oszołomieni, wystraszeni. A panie, które odwiedzały Scarlett, powtarzały raz po raz:

— Ale któż by mógł przypuszczać, że sprawy wezmą taki obrót? Uważaliśmy, że gubernator ma zbyt wielką na to władzę. Przypuszczaliśmy, że będzie tu zawsze. Myśleliśmy...

Scarlett, mimo przepowiedni Retta, była także zdumiona biegiem wypadków. Nie znaczy to, aby martwiła się, że Bullock uciekł i demokraci wrócili do władzy. Chociaż nikt by w to nie uwierzył, i ona czuła ponurą radość, że skończyło się wreszcie panowanie Jankesów. Pamiętała zbyt dokładnie swoje pierwsze przejścia na początku rekonstrukcji, stały lęk, że żołnierze i Carpetbaggerzy skonfiskują jej pieniądze i majątek. Pamiętała swoją bezradność i płynący z niej strach, i nienawiść do Jankesów, którzy narzucili tę upokarzającą władzę całemu Południu. I nigdy nie przestała ich nienawidzić. Ale starając się wyzyskać jak najlepiej koniunkturę, starając się o zupełne bezpieczeństwo, poszła za zwycięzcami. Mimo że bardzo ich nie lubiła, przebywała z nimi, odgrodziła się od starych przyjaciół i dawnego sposobu życia. Teraz panowanie zwycięzców było skończone. Scarlett postawiła na trwanie rządów Bullocka i przegrała.

Kiedy spoglądała wokół siebie w to Boże Narodzenie 1871 r., najszczęśliwsze dla Georgii Boże Narodzenie od lat dziesięciu, czuła pewien niepokój. Wiedziała doskonale, że Rett, niegdyś najbardziej znienawidzony człowiek w Atlancie, był teraz jednym z najbardziej popularnych obywateli, ponieważ wyparł się pokornie swoich republikańskich herezji i oddał czas swój, pieniądze, myśli i pracę na pomaganie Georgii w odzyskaniu wolności. Kiedy przejeżdżał ulicami miasta uśmiechając się i uchylając kapelusza, z małą, niebieską Bonnie, usadowioną przed nim na siodle, wszyscy odpowiadali mu uśmiechem, przemawiali przyjaźnie i patrzyli z czułością na małą dziewczynkę. Gdy tymczasem ona, Scarlett...

## ROZDZIAŁ LIX

Nie ulegało wątpliwości, że Bonnie Butler jest bardzo rozpieszczona i że przydałaby jej się silna ręka, była jednak tak powszechną ulubienicą, że nikt nie miał serca postępować z nią surowo. Przestała być posłuszna w czasie długiej podróży z ojcem. Kiedy była z Rettem w Nowym Orleanie i Charlestonie, pozwalał jej siedzieć wieczorami, jak długo chciała, i zasypiać na jego kolanach w teatrach, restauracjach czy przy stolikach karcianych. Odtąd nic z wyjątkiem przemocy nie mogło jej skłonić do pójścia spać o tej samej porze, co posłuszna Ella. Kiedy była z Rettem w podróży, pozwalał jej nosić sukienki, jakie chciała, i odtąd gniewała się, ilekroć Mammy usiłowała ubrać ją w perkaliki i śliniaczki, a nie w niebieskie taftowe suknie i koronkowe kołnierzyki.

Nie było sposobu na wzięcie jej w karby — bo rozpuściła się podczas nieobecności w domu, podczas choroby Scarlett i długiego jej pobytu w Tarze. W miarę jak Bonnie rosła, Scarlett starała się ją ukrócić i zwalczać w niej upór i zepsucie, z małym jednak powodzeniem. Rett zawsze brał stronę małej, choćby żądania jej były szalone, a zachowanie niegrzeczne. Ośmielał ją do rozmowy i traktował jak dorosłą, przysłuchując się jej opiniom z pozorną powagą i udając, że się do nich stosuje. W rezultacie Bonnie przerywała starszym, gdy miała ochotę, przeczyła ojcu i odpowiadała mu ostro. On śmiał się tylko i nie pozwalał, aby Scarlett dawała jej za karę klapsy.

„Gdyby nie była taka słodka i kochana, byłaby zupełnie nieznośna — myślała Scarlett z żalem, zdając sobie sprawę, że dziecko ma równie silną wolę jak ona. — Ubóstwia Retta, jemu byłoby łatwo kazać jej zachowywać się grzecznie”.

Rett jednak nie zdradzał żadnej w tym kierunku chęci. Przyznawał Bonnie rację we wszystkim, co robiła, i choćby zapragnęła gwiazdki z nieba, dostałaby ją z pewnością, gdyby to było w jego mocy. Był niezmiernie dumny z jej urody, loczków, dołeczków i pełnych wdzięku ruchów. Lubił jej żywość, wesołość i rozkoszne sposoby okazywania mu swej miłości. Mimo zepsucia i uporu Bonnie była tak miłym dzieckiem, że nie miał serca jej poskromić. Był jej bogiem, osią jej małego światka i cenił to sobie tak bardzo, że nie chciał tego tracić na skutek surowości i napomnień.

Bonnie trzymała go się jak cień. Budziła go wcześniej, niż miał ochotę wstawać, siedziała obok niego przy stole i jadła na przemian z jego talerza i ze swego, jeździła z nim konno i tylko jemu pozwalała się rozbierać i układać do snu.

Scarlett była ubawiona i wzruszona widząc, jak to małe dziecko potrafi rządzić ojcem. Któż by mógł przypuszczać, że właśnie Rett tak się całkowicie odda swemu ojcostwu? Czasem jednak strzała zazdrości kłuła jej serce, bo Bonnie jako czteroletnia dziewczynka lepiej rozumiała Retta niż ona i znacznie lepiej umiała z nim postępować.

Kiedy mała skończyła cztery lata, Mammy zaczęła gderać, że to nieprzyzwoite, aby mała dziewczynka jeździła ,,na oklep z podwiewającą sukienką na siodle ojca”. Rett wysłuchał uważnie tych uwag, jak wszystkich uwag Mammy dotyczących właściwego wychowania małych panienek. Wynikiem ich był mały brązowo-biały kucyk szetlandzki z długą jedwabistą grzywą i ogonem i maleńkie siodło ze srebrnymi okuciami. Kucyk był rzekomo dla wszystkich trojga dzieci i Rett kupił Wade'owi osobne siodło. Wade jednak znacznie bardziej lubił swego psa św. Bernarda, a Ella bała się zwierząt. Tak więc kucyk stał się wyłączną własnością Bonnie i nazwany został „Panem Butlerem”. Jedyną chmurą na niebie radości Bonnie było to, że nie mogła jeszcze jeździć po męsku jak ojciec, ale kiedy wytłumaczył jej, że znacznie trudniej jest jechać na damskim siodle, uspokoiła się i szybko nauczyła jeździć konno. Rett był niezmiernie dumny z jej dobrej postawy i mocnych rączek.

— Poczekaj, aż będzie dość duża, aby jeździć na polowania — przechwalał się. — Będzie najlepszą amazonką w całym stanie. Wtedy zabiorę ją do Wirginii. Tam tylko istnieją prawdziwe polowania z nagonką. I do Kentucky, gdzie umieją oceniać dobrych jeźdźców.

Kiedy trzeba było sprawić jej amazonkę, Bonnie jak zwykle miała sama zdecydować o kolorze i wybrała, oczywiście, niebieski.

— Ależ kochanie! Nie ten niebieski aksamit! Ten materiał jest dla mnie na suknię balową — zaśmiała się Scarlett. — Małe dziewczynki powinny nosić amazonki z czarnego sukna. — Widząc jednak, że czarne brwi małej zaczynają się marszczyć, dodała: — Na miłość boską, Rett, powiedz jej, że to nieodpowiedni materiał i że się od razu zabrudzi.

— Och, pozwól jej wziąć ten niebieski aksamit. Jak się pobrudzi, sprawię jej drugi kostium — rzekł Rett pojednawczo.

Tak więc Bonnie dostała niebieską aksamitną amazonkę, o długiej spódnicy, która zwieszała się z boku kucyka, i do tego czarny kapelusz z czerwonym piórem — ponieważ pamiętała opowiadania cioci Meli o piórze generała Stuarta. W jasne i pogodne dni można było widzieć ojca z córką konno na Brzoskwiniowej — Rett wstrzymywał swego wielkiego czarnego wierzchowca, aby opasły kucyk mógł dotrzymać mu kroku. Czasem cwałowali po spokojnych drogach za miastem, płosząc ptactwo, psy i dzieci. Bonnie z rozwianymi lokami okładała szpicrutą „Pana Butlera”, a Rett mocną dłonią wstrzymywał swego konia, aby sądziła, że zwycięża w wyścigu.

Kiedy Rett upewnił się co do stylu jazdy Bonnie, pewności jej ręki i odwagi, postanowił, że już czas, aby nauczyła się brać niskie przeszkody, jedyne, jakie mógł pokonać „Pan Butler”. W tym celu kazał zbudować na podwórzu płotek i płacił Washowi, siostrzeńcowi wuja Piotra, po dwadzieścia pięć centów dziennie za uczenie „Pana Butlera” skoków. Zaczął od drążka ułożonego o dwa cale nad ziemią i stopniowo przeszedł aż do całej stopy.

Zarządzenie to spotkało się ze sprzeciwem trzech stron najbardziej zainteresowanych — Washa, „Pana Butlera” i Bonnie. Wash bał się koni i tylko książęce wynagrodzenie skłaniało go do przeganiania upartego kuca po kilkanaście razy dziennie przez przeszkodę; „Pan Butler”, który znosił bez gniewu, gdy mała jego pani ciągnęła go bez litości za ogon i ciągle oglądała mu kopyta, uważał, że twórca kucyków nie przewidział, aby kucyki miały swoje tłuste ciała przenosić przez płotki; Bonnie, która nie znosiła, aby ktokolwiek zbliżał się do jej własności, kręciła się niecierpliwie, kiedy „Pan Butler” miał lekcję.

Gdy Rett orzekł wreszcie, że „Pan Butler” dość dużo umie, aby powierzyć mu Bonnie, dziewczynka nie posiadała się z podniecenia. Skoczyła od razu doskonale i odtąd mniej gustowała w wyjazdach z ojcem na miasto. Scarlett śmiała się z dumy i entuzjazmu ojca i córki, miała jednak nadzieję, że kiedy minie podniecenie nowością, Bonnie zwróci się ku innym rzeczom i sąsiedztwo będzie miało spokój. Sport ten jednak nigdy Bonnie nie zbrzydł. Na krańcu ogrodu była niezadrzewiona alejka wiodąca od altany do płotku, i przez cały ranek ogród rozbrzmiewał wrzaskami radości. Dziadek Merriweather, który w roku 1849 wiele podróżował po Stanach, twierdził, że wrzaski te przypominają mu zupełnie krzyki Apaczów po udanym oskalpowaniu.

Po upływie pierwszego tygodnia Bonnie zaczęła prosić o ustawienie płotka na półtorej stopy od ziemi.

— Jak skończysz sześć lat — odpowiedział Rett. — Będziesz wtedy dość duża, aby skakać wyżej, i kupię ci większego konia. „Pan Butler” ma za krótkie nogi.

— Wcale nie. Skakałam przez krzaki róż w ogrodzie cioci Meli, a one są strasznie wysokie.

— Nie, musisz poczekać — powiedział Rett, tym razem stanowczo. Ale stanowczość jego zaczęła kruszeć po ustawicznych prośbach i grymasach Bonnie.

— Och, dobrze już — rzekł wreszcie ze śmiechem pewnego poranka i przesunął wąski biały drążek wyżej. — Ale jeżeli spadniesz z konia, nie płacz i nie miej do mnie żalu!

— Mamusiu! — krzyknęła Bonnie w stronę okien sypialni Scarlett. — Mamusiu! Przyjrzyj się! Tatuś pozwolił mi skoczyć!

Scarlett, która się właśnie czesała, podeszła do okna i uśmiechnęła się do małej podnieconej istotki, zabawnie wyglądającej w poplamionej niebieskiej amazonce.

„Muszę jej koniecznie sprawić nową amazonkę — pomyślała. — Bóg jeden wie, jak ją namówić, aby zdjęła tę brudną”.

— Mamusiu, patrz!

— Patrzę, kochanie! — rzekła Scarlett z uśmiechem.

Kiedy Rett podniósł dziecko i posadził na kucu, Scarlett zawołała w nagłym przypływie dumy z urody i postawy Bonnie:

— Jesteś śliczna, mój skarbie!

— I ty także — odrzekła Bonnie łaskawie i uderzając obcasem w bok „Pana Butlera”, pogalopowała przez ogród w stronę altany.

— Mamusiu, patrz, jak skaczę! — zawołała okładając konia szpicrutą.

„Patrz, jak skaczę!”

Jakieś wspomnienie odezwało się echem w mózgu Scarlett. Słowa te zabrzmiały złowrogo. Dlaczego? Dlaczego nie mogła sobie przypomnieć? Patrzyła na swoją małą córeczkę, tak lekko siedzącą na galopującym koniku, i zmarszczyła czoło, bo nagle przeszył ją zimny dreszcz. Bonnie jechała pędem, z rozwianymi czarnymi lokami, z ogniem w niebieskich oczach.

„Ma takie oczy jak mój ojciec — myślała Scarlett — niebieskie, irlandzkie, i jest we wszystkim do niego podobna”.

I na myśl o Geraldzie wspomnienie, którego szukała, wróciło jej szybko, wróciło z przeraźliwą jasnością letniej błyskawicy, na chwilę oświetlającej nienaturalnym blaskiem widnokrąg. Usłyszała znowu głośny irlandzki śpiew, szybki, twardy tętent kopyt pędzących przez pastwisko w Tarze, usłyszała odważny głos, tak podobny do głosu jej córki: — Ellen, patrz, jak skaczę!

— Nie! — krzyknęła. — Nie! Och, Bonnie, stój!

W chwili gdy wychylała się z okna, rozległ się straszny trzask pękającego drzewa, ochrypły krzyk Retta — zamajaczyła plama niebieskiego aksamitu i rozbiegane końskie kopyta. Po chwili „Pan Butler” wstał na nogi i odszedł truchcikiem z pustym siodłem.

Trzeciego wieczora po śmierci Bonnie Mammy ciężko wdrapała się na schodki kuchenne domu Melanii. Ubrana była na czarno od stóp obutych w olbrzymie rozcięte na noskach męskie buty, aż po czarną chustkę na głowie. Zamglone stare oczy były nabiegłe, krwią i zaczerwienione i cała jej wielka postać wyrażała ciężkie strapienie. Twarz była pomarszczona i smutna, ale usta wyrażały mocne postanowienie.

Powiedziała parę cichych słów do Dilcey, która życzliwie skinęła głową, jak gdyby nie pamiętając o dawnych waśniach. Dilcey odstawiła talerze, które trzymała w ręku, i przeszła przez pokój kredensowy do jadalni. Po minucie Melania wpadła do kuchni trzymając w ręku serwetkę, a na twarzy jej malował się niepokój.

— Czy pani Scarlett...?

— Miss Scarlett trzyma się jak zwykle — rzekła Mammy ponuro. — Nie chciałam przerywać pani kolacji, Miss Melu. Poczekam, aż pani skończy, i potem powiem, co mam na sercu.

— Kolacja może poczekać — rzekła Melania. — Dilcey, podaj resztę do stołu. Mammy, proszę iść za mną.

Mammy poczłapała za nią przez jadalnię, w której siedział przy stole Ashley z małym Beau i dwojgiem hałasujących dzieci Scarlett. Rozbawione głosy Wade'a i Elli wypełniały pokój. Było dla nich wielką uciechą, że wolno im tak długo być u cioci Meli. Ciocia Mela była bardzo dobra, a teraz jeszcze lepsza niż zwykle. Śmierć małej siostrzyczki obeszła ich bardzo niewiele. Bonnie spadła z kucyka, mamusia płakała bardzo długo, a ciocia Mela wzięła ich do swego domu, gdzie bawili się w ogródku z Beau i jedli tyle ciastek, ile chcieli.

Melania skierowała się do małego, pełnego książek gabineciku, zamknęła drzwi i usadowiła Mammy na kanapie.

— Wybierałam się do was natychmiast po kolacji — powiedziała. — Przypuszczam, że wobec przyjazdu matki pana Butlera, pogrzeb odbędzie się jutro rano.

— Pogrzeb. O to właśnie chodzi — westchnęła Mammy. — Miss Melu, mamy wielkie zmartwienie, więc ja przyszłam do pani o pomoc. Ciężkie to brzemię, kochanie, ciężkie brzemię...

— Czy pani Scarlett się załamała? — zapytała Melania z troską. — Ledwie ją widziałam od chwili, gdy Bonnie... Zamknęła się w swoim pokoju, a kapitana Butlera nie było w domu i...

Nagle łzy zaczęły spływać po czarnej twarzy Mammy. Melania usiadła koło niej i klepała ją po ramieniu, po chwili Mammy podniosła brzeg czarnej spódnicy i otarła nią oczy.

— Pani musi nam pomóc, pani Melu. Ja robię, co mogę, ale to nic nie pomaga.

— Czy pani Scarlett...

Mammy wyprostowała się.

— Pani Melu, pani zna Scarlett równie dobrze jak ja. Wszystko, co musi znosić, z pomocą Bożą jakoś znieść potrafi. To nieszczęście złamało jej serce, ale wytrzyma. Ja przyszłam w sprawie pana Retta.

— Bardzo chciałam go widzieć, ale ilekroć u was byłam, był albo w mieście, albo zamknięty w swoim pokoju z... A Scarlett wyglądała jak duch i nie chciała rozmawiać... Powiedz mi szybko, Mammy. Wiesz, że chętnie pomogę, jeżeli będę mogła.

Mammy utarła nos wierzchem dłoni.

— Powiedziałam, że Miss Scarlett potrafi znieść zrządzenia boskie, bo już dużo w życiu zniosła, ale pan Rett... Pani Melu, on nigdy nie musiał znosić, czego nie chciał. Przyszłam do pani w jego sprawie.

— Ale...

— Pani Melu, musi pani iść ze mną do nas dziś wieczorem. — W głosie Mammy brzmiało naleganie. — Może pan Rett pani usłucha. Zawsze bardzo się liczył z pani zdaniem.

— Och, Mammy, o co chodzi? Co się stało?

Mammy podniosła głowę.

— Pani Melu, pan Rett... pan Rett... stracił rozum. Nie chce pozwolić zabrać małej panienki.

— Stracił rozum? Och, Mammy, to niemożliwe!

— Ja nie kłamię. To szczera prawda. Nie chce nam pozwolić na pogrzeb dziecka. Powiedział mi to sam, nie więcej niż godzinę temu.

— Ależ nie może... nie powinien...

— Dlatego mówię, że stracił rozum.

— A dlaczego...

— Miss Melu, powiem wszystko. Nie powinnam mówić nikomu, ale pani należy do naszej rodziny i jest jedyną, której mogę powiedzieć. Pani wie, jak on to dziecko kochał. Nigdy jeszcze w życiu nie widziałam mężczyzny, czarnego czy białego, który by tak kochał swoje dziecko. Wariował zupełnie, kiedy doktor Meade powiedział, że Bonnie nie żyje. Złapał rewolwer, wybiegł z domu i zastrzelił tego biednego konika, i, na Boga, sądziłam, że i siebie zabije. Nie wiedziałam, co mam robić, bo Miss Scarlett zemdlała, wszyscy sąsiedzi zebrali się w domu, a pan Rett trzymał to dziecko i trzymał i nie pozwolił mi nawet umyć jej buzi przeciętej kamieniem. A kiedy Miss Scarlett oprzytomniała, pomyślałam sobie: „Bogu dzięki! Teraz będą się mogli wzajemnie pocieszyć”.

Znowu łzy zaczęły jej ciec po twarzy, ale tym razem Mammy nie starała się ich nawet obetrzeć.

— Ale jak oprzytomniała, weszła do pokoju, gdzie siedział z Bonnie, i powiedziała: „Oddaj mi dziecko, które zabiłeś”

— Ach, nie! To niemożliwe!

— Tak, proszę pani. Tak powiedziała. Powiedziała: „Zabiłeś ją”. A mnie się tak żal zrobiło pana Retta, że zaczęłam płakać, bo wyglądał jak zbity pies. Więc powiedziałam: „Niech pan da dziecko starej niani. Ja nie chcę takich scen nad moją małą panienką”. I zabrałam od niego dziecko, wzięłam je do pokoju i obmyłam jej twarz. Ale słyszałam, co mówili, i krew we mnie zastygła, takie to były straszne rzeczy. Miss Scarlett nazwała go mordercą, bo pozwolił jej tak wysoko skakać, a on mówił, że Miss Scarlett nigdy nie dbała ani o Bonnie, ani o żadne z dzieci...

— Dość, Mammy! Proszę mi więcej nie mówić. Nie powinnam takich rzeczy wiedzieć! — zawołała Melania wstrząśnięta obrazem, jaki jej Mammy odmalowała.

— Ja wiem, że nie powinnam tego mówić, ale mam już za dużo na sercu, aby wiedzieć, czego nie mogę mówić. Potem sam zabrał ją do zakładu pogrzebowego, a jak przyniósł z powrotem, położył na łóżku w swoim pokoju. A kiedy Miss Scarlett powiedziała, że powinna leżeć w trumnie w salonie, sądziłam, że pan Rett ją uderzy. Powiedział zupełnie zimno: „Jej miejsce jest w moim pokoju”. I zawołał mnie do siebie, i powiedział: „Mammy, ty pilnuj, żeby jej stąd nikt nie ruszył, póki nie wrócę”. Potem pojechał gdzieś konno sprzed domu i nie było go aż do zachodu słońca. Kiedy wrócił, widziałam, że pił, i to dużo, ale jak zwykle nic nie można było po nim poznać. Wszedł do domu i nawet nie odezwał się do Miss Scarlett ani do Miss Pitty, ani do innych pań, które przyszły, ale pobiegł na górę, otworzył drzwi swojego pokoju i potem na mnie krzyknął. Kiedy przybiegłam, jak mogłam najszybciej, stał przy łóżku, ale w pokoju było tak ciemno, że ledwie go mogłam widzieć, bo okiennice były zamknięte.

I powiedział do mnie ze złością: „Otwórz okiennice. Dlaczego tak ciemno?” A kiedy je otworzyłam, popatrzył na mnie i, pani Melu, pode mną aż kolana zadrżały, tak dziwnie wyglądał. Potem powiedział: „Przynieś świece. Mnóstwo świec. Niech się palą. I nie zaciągaj portier ani nie zamykaj okiennic. Czy nie wiesz, że Bonnie boi się ciemności?”

Przerażone oczy Melanii spotkały wzrok Mammy — Mammy złowrogo skinęła głową.

— Tak właśnie powiedział: „Bonnie boi się ciemności”.

Mammy wzdrygnęła się.

— Kiedy przyniosłam z tuzin świec, powiedział: „Odejdź!” Potem zamknął się z małą panienką i nie otworzył drzwi, choć Miss Scarlett biła w nie i krzyczała do niego. I tak trwa już od dwóch dni. Nic nie mówi o pogrzebie, rano zamyka drzwi na klucz, siada na koń i jedzie do miasta. A po zachodzie wraca pijany i znowu się tam zamyka, i nic nie je ani nie śpi. A teraz przyjechała na pogrzeb jego matka, stara pani Butler z Charlestonu, i pani Zuela, i pan Will z Tary, ale pan Rett z nikim nie chce rozmawiać. Och, pani Melu, to straszne! A będzie jeszcze gorzej, bo ludzie zaczną mówić okropne rzeczy.

— A potem, dziś wieczorem — Mammy przerwała i znowu otarła nos ręką. — Dziś wieczorem Miss Scarlett przyłapała go w hallu na górze, jak przyszedł do domu, weszła z nim do pokoju i powiedziała: „Pogrzeb odbędzie się jutro rano”. A on odpowiedział: „A więc jutro cię zabiję”.

— Och, z pewnością zmysły postradał!

— Tak, proszę pani. A potem mówili ciszej, więc nie wszystko słyszałam, tylko znowu o tym, że Bonnie boi się ciemności, a w grobie jest bardzo ciemno. A po chwili Miss Scarlett powiedziała: „Teraz się tak niby przejmujesz, a zabiłeś ją, aby dogodzić swej dumie”. A on odpowiedział: „Czy ty nie masz litości?” A ona: „Nie. I dziecka także już nie mam. Dość mam tego, jak zachowujesz się od śmierci Bonnie. Robisz skandal na całe miasto. Jesteś bez przerwy pijany i jeżeli sądzisz, że nie wiem, gdzie spędzasz całe dnie, toś głupi. Wiem, że chodzisz do tej kreatury, do Belli Watling”.

— Och nie, Mammy, nie!

— Tak p'sze pani. Tak powiedziała. I to jest, proszę pani, prawda. Murzyni wiedzą o wszystkim prędzej niż biali ludzie, więc i ja wiedziałam, gdzie on chodzi, ale nic nie mówiłam. A on wcale temu nie przeczył. Powiedział: „Tak, moja droga, byłem tam i nie powinnaś się tym gorszyć, bo to cię nic nie obchodzi. Dom publiczny jest spokojną przystanią po piekle tego domu. A Bella ma dobre, poczciwe serce. Nie wyrzuca mi bez przerwy, że zabiłem swoje dziecko”.

— Och! — zawołała Melania, ukłuta w serce.

Jej własne życie było tak przyjemne i spokojne, otoczona była ludźmi, którzy ją tak kochali i byli tak pełni dobroci, że to, co Mammy mówiła, było dla niej prawie nie do pojęcia. Nagle jednak nasunęło jej się wspomnienie, obraz, który szybko od siebie odepchnęła jak myśl o cudzej nagości. Rett mówił o Belli Watling w dniu, kiedy płakał złożywszy głowę na jej kolanach. A przecież kochał Scarlett. Nie mogła się wówczas co do tego pomylić. I Scarlett, oczywiście, także go kochała. Cóż zatem stanęło między nimi? Jak mogli mąż i żona krajać się nawzajem na kawały ostrymi nożami?

Mammy dalej ciągnęła swoje opowiadanie:

— Po chwili Miss Scarlett wyszła z pokoju biała jak płótno, ale z podniesioną głową, i kiedy mnie zobaczyła, powiedziała: „Mammy, pogrzeb będzie jutro”. I minęła mnie jak duch. We mnie wtedy serce zamarło, bo Scarlett dotrzymuje słowa. A pan Rett — tak samo. A powiedział, że zabije ją, jak to zrobi. Stałam jak skamieniała, pani Melu, bo miałam coś na sumieniu, co mi bardzo ciążyło. Pani Melu, to ja nastraszyłam małą panienkę ciemnością.

— Och, Mammy, to teraz już nie ma znaczenia.

— Owszem, proszę pani, ma znaczenie. Stąd poszło całe zmartwienie. I pomyślałam sobie, że lepiej powiem panu Rettowi, choćby mnie nawet miał zabić, bo ciąży mi to na sumieniu. Więc wśliznęłam się szybko przez drzwi, nim je zamknął, i powiedziałam: „Panie Recie, przyszłam się wyspowiadać”. A on rzucił się do mnie jak wariat i powiedział: „Idź stąd!” Na Boga, nigdy w życiu tak się nie bałam! Ale powiedziałam: „Proszę pana, panie Recie, niech mi pan pozwoli coś powiedzieć. Może mnie pan potem zabić. To ja straszyłam małą panienkę ciemnością”. Potem, pani Melu, spuściłam głowę i czekałam, żeby mnie uderzył. Ale on nic nie odrzekł. Więc powiedziałam: „Nie miałam nic złego na myśli. Ale, panie Recie, Miss Bonnie była nieostrożna i niczego się nie bała. I stale wychodziła z łóżka, kiedy wszyscy się już pokładli, i biegała po domu boso. Ja bardzo się martwiłam, bo się bałam, że sobie krzywdę zrobi. Więc powiedziałam jej, że w ciemności są duchy i diabły”.

I wie pani, co on wtedy zrobił? Twarz mu złagodniała, zbliżył się do mnie i położył mi rękę na ramieniu. Zrobił to pierwszy raz w życiu. I powiedział: „Prawda, jaka Bonnie była odważna? Nie bała się niczego prócz ciemności”. A kiedy wybuchłam płaczem, powiedział: „No, przestań, Mammy”, i poklepał mnie po ramieniu. „Mammy, proszę się tak nie przejmować. Jestem rad, żeś mi o tym powiedziała. Ja wiem, że kochałaś Bonnie, a ponieważ ją kochałaś, to nie ma znaczenia. Tylko serce ma znaczenie”. To mnie trochę pocieszyło, więc powiedziałam: „Panie Recie, a co będzie z pogrzebem?” Wtedy spojrzał na mnie jak dziki człowiek, oczy mu zabłysły i powiedział: „Dobry Boże, sądziłem, że przynajmniej Mammy mnie zrozumie! Czy Mammy myśli, że pozwolę położyć moje dziecko w ciemnym grobie, kiedy ona tak bardzo bała się ciemności? Jeszcze dotąd słyszę, jak płakała, kiedy budziła się po ciemku. A nie chcę, aby się bała”. Pani Melu, wtedy przekonałam się, że stracił rozum. Pije ciągle, nie śpi i nic nie je, ale to jeszcze nie wszystko. Zupełnie zwariował. Na koniec wypchnął mnie z pokoju i krzyknął: „Wynoś mi się stąd do diabła!”

Zeszłam na dół i zaczęłam myśleć: Pan Rett mówi, że nie będzie pogrzebu, Scarlett mówi, że pogrzeb będzie, więc z tego z pewnością wyniknie strzelanina. Dom pełen krewnych, sąsiedzi już paplają jak stado kwok, więc pomyślałam o pani, Miss Melu. Pani musi przyjść i nam pomóc.

— Och, Mammy, ja nie mogę się wtrącać!

— Jeżeli pani nie może, to kto może?

— Ale cóż ja mogę zrobić, Mammy?

— Miss Melu, ja nie wiem. Pani już coś poradzi. Może pani porozmawia z panem Rettem i może on panią wysłucha. On bardzo się z pandą liczy, Miss Melu. Może pani o tym nie wie, ale tak jest. Słyszałam, jak często mówił, że pani jest jedyną wielką damą, jaką zna.

— Ale...

Melania zerwała się na równe nogi. Serce zamierało jej na myśl o spotkaniu z Rettem. Możliwość sprzeczki z człowiekiem oszalałym z bólu napełniała ją przerażeniem. Na myśl o wejściu do jasno oświetlonego pokoju, w którym leżała mała, tak przez nią kochana dziewczynka, ścisnęło się jej serce. Co miała zrobić? Cóż mogła powiedzieć Rettowi, co by pocieszyło go i wróciło mu rozum?

Przez chwilę stała niezdecydowana, kiedy przez zamknięte drzwi doszedł ją dźwięk śmiechu jej synka. Jak zimny nóż przeszła jej serce myśl, że i on mógłby nie żyć. A gdyby to jej mały Beau leżał na górze, zimny, sztywny, milczący na wieki...

— Och! — zawołała na głos w przestrachu i w myśli przytuliła go mocno do serca. Wiedziała już, co odczuwał Rett. Gdyby Beau umarł, jakżeby się mogła zdobyć na rozstanie z nim, na pozostawienie go samego na pastwę wiatru, deszczu i ciemności?

— Och! Biedny, biedny kapitan Butler! — zawołała. — Idę do niego w tej chwili.

Wbiegła z powrotem do jadalni, powiedziała coś po cichu Ashleyowi i zadziwiła Beau namiętnym przytuleniem go do siebie i ucałowaniem jego jasnych loczków.

Wyszła z domu bez kapelusza, trzymając serwetkę w zaciśniętej dłoni, i szła tak szybko, że Mammy nie mogła za nią nadążyć. Kiedy znalazła się w domu Scarlett, sztywno ukłoniła się krewnym zebranym w bibliotece — przerażonej pani Pittypat, dostojnej starej pani Butler, Willowi i Zueli. Szybko weszła na schody, a za nią zadyszana Mammy. Na chwilę przystanęła przed zamkniętymi drzwiami pokoju Scarlett, Mammy jednak syknęła: — Nie, niech pani tego nie robi.

Przeszła przez hali, wolniej już teraz, i przystanęła przed drzwiami Retta. Przez chwilę stała niezdecydowana, jak gdyby miała chęć uciec. Potem, wyprostowawszy się jak mały żołnierzyk idący w bój, zapukała do drzwi i cicho zawołała: — Proszę, niech mnie pan wpuści, panie kapitanie...Tu Melania Wilkes. Chcę zobaczyć Bonnie.

Drzwi otwarły się od razu i Mammy, cofając się w cień hallu, zobaczyła wielką postać Retta, odcinającą się czarno na tle płonących świec. Chwiał się na nogach — czuć było buchający od niego zapach wódki. Popatrzył przez chwilę na Melę, potem wziąwszy ją pod ramię wciągnął do pokoju i zamknął drzwi.

Mammy osunęła się cicho na krzesło przy drzwiach i usiadła na nim zmęczona. Siedziała bez ruchu, płacząc i modląc się w milczeniu. Od czasu do czasu podnosiła brzeg sukni i ocierała oczy. Mimo że bardzo wytężała słuch, nie słyszała z pokoju słów, tylko niski, przerywany jakiś szmer.

Po nie kończącej się chwili drzwi skrzypnęły i ukazała się w nich twarz Meli, blada i zmęczona.

— Przynieś mi dzbanuszek kawy, szybko, i parę kanapek.

W razie potrzeby Mammy potrafiła ruszać się tak zwinnie jak szesnastolatka, teraz zaś gnała ją w dodatku ciekawość, co się dzieje w pokoju Retta. Ale nadzieja jej zamieniła się w zawód, kiedy Mela ledwie uchyliła drzwi i wzięła od niej tacę. Przez dłuższy czas Mammy natężała słuch, ale nie mogła niczego odróżnić poza dźwiękiem porcelany i stłumionym, cichym głosem Melanii. Potem usłyszała skrzyp łóżka, jak gdyby upadło na nie ciężkie ciało, i po chwili stuk rzuconych na podłogę butów. Po przerwie Melania ukazała się w drzwiach, ale mimo usiłowań, Mammy nie mogła nawet zajrzeć do pokoju. Melania była zmęczona i łzy błyszczały jej na rzęsach, ale twarz jej była znowu pogodna.

— Idź powiedzieć Miss Scarlett, że kapitan Butler zgadza się, aby pogrzeb odbył się jutro — szepnęła.

— Na miłość boską! — wykrzyknęła Mammy. — Jakże to...

— Nie mów tak głośno. Pan kapitan położył się teraz. I, Mammy, powiedz Miss Scarlett, że ja spędzę tutaj noc. Przynieś mi trochę czarnej kawy.

— Do tego pokoju?

— Tak, przyrzekłam panu kapitanowi, że jeżeli się położy, będę czuwała tutaj przez całą noc. Teraz powiedz o tym pani Scarlett, aby wreszcie przestała się martwić.

Mammy ruszyła na drugą stronę hallu, podłoga uginała się pod jej ciężarem, a serce jej śpiewało radośnie: „Alleluja! Alleluja!” Przystanęła w zamyśleniu przed drzwiami Scarlett, bardzo uszczęśliwiona i bardzo ciekawa.

— Nie mogę pojąć, jak to Miss Mela zrobiła. Aniołowie jej pomagali z pewnością. Powiem Scarlett, że pogrzeb będzie jutro, ale lepiej przemilczę, że pani Mela czuwa przy Bonnie. Scarlett wcale z tego nie będzie zadowolona.

## ROZDZIAŁ LX

Coś się popsuło na świecie, ponura, przerażająca niepewność ogarnęła wszystko niczym ciemna, nieprzenikliwa mgła i ukradkiem zacieśniła się wkoło Scarlett. Sięgała głębiej jeszcze niż strata Bonnie, bo teraz pierwsza nieznośna rozpacz przeistoczyła się już w zrezygnowane pogodzenie się z losem. A jednak niesamowite poczucie nieszczęścia trwało dalej, jak gdyby czarna jakaś, zakapturzona zjawa stała tuż za nią, jak gdyby ziemia pod jej stopami przemieniała się w lotne piaski.

Nigdy dotąd nie znała obaw tego rodzaju. Przez całe życie mocno stała na gruncie zdrowego rozsądku i jedynymi sprawami, których się obawiała, były rzeczy namacalne — ból, głód, bieda, utrata miłości Ashleya. Chociaż nie umiała analizować, starała się to robić teraz — bez powodzenia jednak. Straciła najukochańsze dziecko, ale musiała to jakoś przetrzymać, jak przetrzymywała inne wielkie ciosy. Miała zdrowie, miała pod dostatkiem pieniędzy i miała jeszcze Ashleya, chociaż widywała go teraz coraz rzadziej. Nie, strach jej nie wynikał z bólu, głodu czy utraty miłości. Tamte obawy nigdy jej nie gnębiły tak bardzo jak to poczucie niepewności, jak ten mrożący strach, który przypominał trochę dawny jej koszmar — gęstą, lotną mgłę, prze\* którą biegła z walącym sercem niczym zbłąkane dziecko, szukające niewidocznej przystani.

Wspominała teraz, że Rett zawsze umiał wyśmiać jej obawy. Wspominała pokrzepienie, jakie dawało jej złożenie głowy na jego ciemnej szerokiej piersi czy objęcie jego mocnych ramion. Zwróciła się więc ku niemu i przypatrzyła mu się po raz pierwszy od wielu tygodni. Przeraziła ją zmiana, jaką zobaczyła. Człowiek ten nie umiał się już śmiać ani nie mógł jej pocieszyć.

Przez pewien czas po śmierci Bonnie Scarlett była zbyt na niego rozżalona, zbyt zajęta własnym cierpieniem, aby zdobyć się na coś więcej niż grzeczną rozmowę w obecności służby. Zbyt była zajęta przypominaniem sobie szybkiego dreptania nóżek Bonnie i jej srebrzystego śmiechu, aby zastanawiać się nad tym, że on może także to pamięta i wspomina z większym jeszcze niż ona bólem. Przez wszystkie te tygodnie widywali się i rozmawiali ze sobą chłodno, jak nieznajomi spotykający się w zimnych murach hotelu, dzielący ten sam dach nad głową, ten sam stół — nigdy nie myśli.

Teraz, gdy była przerażona i samotna, chciała przełamać tę barierę, ale spostrzegła, że Rett trzyma ją z daleka, jak gdyby nie chciał zamieniać z nią słów innych niż obojętne. Teraz, gdy gniew jej przeminął, chciała mu powiedzieć, że nie przypisuje mu winy za śmierć Bonnie. Chciała wypłakać się w jego ramionach i wyznać, że i ona była bardzo dumna z odwagi dziecka, i ona była zbyt dla niej pobłażliwa. Teraz by się upokorzyła z rozkoszą i przyznała, że rzuciła na Retta oskarżenie z rozpaczy, sądząc, że ulży sobie w ten sposób. Nigdy jednak nie było właściwej chwili do wyjaśnień. Rett patrzył na nią czarnymi, obojętnymi oczyma, które nie zachęcały do wyznań. Wyjaśnienia raz odwleczone stawały się coraz trudniejsze, aż wreszcie stały się niemożliwe

Dziwiła się, dlaczego tak się stało. Rett był jej mężem; łączyła ich mocna więź, zespalająca dwoje ludzi, którzy dzielili to samo łóżko, spłodzili, wychowali i przedwcześnie złożyli do grobu ukochane dziecko. Tylko w objęciach ojca dziecka mogła znaleźć pociechę, tylko w wymianie wspomnień i żalów, które bolałyby z początku, ale z czasem pomogłyby zaleczyć rany. Teraz jednak stosunki między nimi tak się ułożyły, że równie dobrze mogłaby pójść w objęcia człowieka obcego.

Rett rzadko bywał w domu. Kiedy zasiadał z nią do kolacji, był zwykle pijany. Nie upijał się tak jak dawniej, nie stawał się coraz bardziej uprzejmy i cięty, gdy władał nim alkohol, nie mówił zabawnych, złośliwych rzeczy, które ją rozśmieszały mimo woli. Teraz upijał się milcząco i ponuro, a w miarę mijania godzin stawał się coraz mniej przytomny. Czasem, nad ranem, słyszała, jak zajeżdżał na podwórze i pukał do drzwi domu służby, aby Pork pomógł mu wejść na kuchenne schody i ułożył do łóżka. Pork układał Retta do snu! Retta, który zawsze bez trudu upijał innych i innych odprowadzał do domu!

Dawniej był przesadnie elegancki — teraz stał się nieporządny i dopiero oburzone perswazje Porka skłaniały go do zmiany bielizny przed kolacją. Nadużywanie trunku odbijało się na jego wyglądzie: ostra linia podbródka zatarła się pod niezdrową obrzmiałością, a pod nabiegłymi krwią oczyma potworzyły się worki. Ciało jego, o niegdyś twardych mięśniach, wyglądało teraz miękko i wiotko, zaczął coraz bardziej tyć.

Czasem wcale nie wracał do domu ani nie zawiadamiał, że nie wróci na noc. Bywało, że chrapał wtedy w jakimś pokoju nad barem, Scarlett jednak zawsze przypuszczała, że spędza noc u Belli Watling. Kiedyś spotkała Bellę w jakimś sklepie — była teraz tęgą, przekwitłą kobietą z resztkami dawnej urody. Ale mimo szminki i krzyczących sukien, wyglądała poczciwie i prawie po mieszczańsku. Zamiast spuścić oczy lub patrzeć wyzywająco, jak zwykle kobiety lekkich obyczajów w obecności dam, Bella spojrzała jej prosto w twarz badawczym, prawie współczującym spojrzeniem, pod którym Scarlett spłonęła rumieńcem. Scarlett nie mogła jednak teraz winić Retta, nie mogła się na niego gniewać, wymagać wierności czy starać się go zawstydzać — tak samo jak nie mogła się zdobyć na wyjaśnienie, dlaczego obwiniła go o śmierć Bonnie. Ogarnęła ją apatia, niezadowolenie, którego nie mogła pojąć, sięgające głębiej niż Wszystko, czego kiedykolwiek zaznała. Była samotna — a nigdy dotąd nie odczuwała samotności! Może nigdy nie miała czasu, aby czuć się samotną. Była osamotniona, przerażona i nie mogła zwrócić się do nikogo z wyjątkiem Melanii. Bo teraz nawet Mammy, wierna jej podpora, wróciła do Tary. Wróciła tam na stałe.

Mammy nie wytłumaczyła przyczyny swego wyjazdu. Jej zmęczone stare oczy patrzyły smutnie na Scarlett, kiedy poprosiła o pieniądze na bilet do domu. Na łzy Scarlett i zaklęcia, aby została, Mammy odpowiadała tylko: — Zdaje mi się, jak gdyby Miss Ellen do mnie mówiła: „Mammy, wracaj do domu. Twoja praca skończona”. Jadę więc do domu.

Rett, który się przysłuchiwał tej rozmowie, dał Mammy pieniądze i poklepał ją po ramieniu.

— Mammy ma rację. Miss Ellen ma rację. Praca Mammy tutaj skończona. Niech Mammy jedzie do domu. Proszę do mnie napisać, gdyby Mammy czegoś potrzebowała. — A kiedy Scarlett na nowo zaczęła ją prosić i zatrzymywać, powiedział: — Cicho, głupia! Puść ją do domu! Po cóż by ludzie chcieli być tutaj — teraz?

W oczach jego, kiedy to mówił, był tak dziki, ostry blask, że Scarlett, przerażona, odsunęła się od niego.

— Panie doktorze, czy to możliwe, aby postradał zmysły? — zapytała doktora Meade, do którego poszła nie wiedząc, jak sobie poradzić.

— Nie — odparł doktor — ale pije jak gąbka i zabije się, jeżeli nie przestanie. Kochał Bonnie, Scarlett, i wydaje mi się, że pije, aby o niej zapomnieć. Radzę ci dobrze, daj mu jak najszybciej drugie dziecko.

„Aha!” — pomyślała Scarlett z goryczą, wychodząc z gabinetu doktora. To było łatwiej powiedzieć niż zrobić. Z ochotą urodziłaby drugie dziecko, kilkoro dzieci, gdyby dzięki temu znikł wreszcie z oczu Retta straszny wyraz i gdyby mogły się znowu zapełnić puste przestrzenie jej serca. Chciałaby chłopca, który by odziedziczył ciemną urodę Retta, i jeszcze jedną dziewczynkę. Ach, dziewczynkę, śliczną, roześmianą i mądrą, nie taką jak roztrzepana Ella. Dlaczego, ach, dlaczego Bóg nie zabrał Elli, skoro przeznaczone jej było stracić jedno ze swoich dzieci? Ella nie była dla niej żadną pociechą, teraz, gdy zabrakło Bonnie. Rett jednak nie miał widocznie chęci na inne dzieci. W każdym bądź razie nigdy nie wchodził do jej sypialni, chociaż drzwi nie były teraz nigdy zamknięte — przeciwnie — zachęcająco otwarte na oścież. Mało go to chyba obchodziło. Interesowała go teraz wyłącznie wódka i ta nalana, ruda kobieta.

Był teraz zgorzkniały — a dawniej nawet docinki jego były przyjemne, i brutalny — gdy dawniej złośliwość jego zaprawiona była humorem. Po śmierci Bonnie poczciwe panie z sąsiedztwa, które przekonały się do niego z powodu jego niezwykłego stosunku do córki, starały mu się okazać współczucie. Zatrzymywały go na ulicy, aby mu okazać sympatię, i zaczepiały znad żywopłotów swoich ogródków mówiąc, że dobrze go rozumieją. Teraz jednak, kiedy nie było Bonnie — przyczyny jego układnych manier, dobre maniery także minęły. Rett zbywał krótko i panie, i ich szczere kondolencje — krótko i niegrzecznie.

Panie jednak, o dziwo, wcale nie były dotknięte. Rozumiały go albo wydawało im się, że rozumieją. Kiedy wracał o zmroku do domu, zbyt pijany, aby trzymać się prosto na siodle, i patrzył pochmurnie na tych, którzy go zaczepiali, panie mówiły: „Biedny człowiek!” i jeszcze bardziej starały się być dla niego miłe i dobre. Bardzo mu współczuły, że ze swym złamanym sercem wraca do tak kiepskiej pocieszycielki jak Scarlett.

Wszyscy wiedzieli, jaka jest zimna i bez serca. Wszyscy zdumieni byli pozorną łatwością, z jaką przyszła do siebie po śmierci Bonnie, nie wnikając ani nie starając się wniknąć w wysiłek, który krył się za rzekomym spokojem. Miasto darzyło najgłębszym współczuciem Retta, który nie dbał o nie i o nim nie wiedział. Scarlett zdobyła niechęć miasta, a po raz pierwszy w życiu cieszyłaby się z objawów sympatii starych znajomych.

Prócz ciotki Pitty, Melanii i Ashleya nie odwiedzał jej teraz nikt z dawnych przyjaciół. Tylko nowi znajomi zajeżdżali do niej w lśniących powozach, starając się zapewnić ją o swoim współczuciu i rozerwać trochę plotkami o innych znajomych, którymi się wcale nie interesowała. Wszyscy „nowi ludzie” byli przecież dla niej obcy! Nie znali jej wcale i nigdy nie będą znali. Nie mieli pojęcia, jakie było jej życie, zanim zyskała obecną bezpieczną pozycję w pałacu na Brzoskwiniowej. Nie opowiadali nigdy, jakie było ich życie, zanim zdobyli sztywne brokaty i powozy o pięknych zaprzęgach. Nie wiedzieli nic o walkach Scarlett, o jej wyrzeczeniach, o wszystkich przejściach, dzięki którym zbudowała wielki dom, doszła do pięknych sukien, sreber i przyjęć, na które warto było przychodzić. Nie wiedzieli nić. Nie obchodziło ich to nawet — tych ludzi Bóg wie skąd, którzy zawsze zdawali się ślizgać po powierzchni zdarzeń, którzy nie mieli wspólnych z nią wspomnień o wojnie, głodzie i walce, którzy nie mieli wspólnych korzeni, zapuszczonych w tę samą czerwoną glebę.

Teraz, w swojej samotności, chciałaby spędzać popołudnia z Maybelle lub Fanny, z panią Elsing lub panią Whiting czy nawet w towarzystwie starej groźnej wojowniczki, pani Merriweather. Albo z panią Bonnell czy... czy którąkolwiek z dawnych przyjaciółek i sąsiadek. One bowiem wiedziały. Przeżyły wojnę, terror i pożar, widziały przedwczesną śmierć swoich najbliższych; głodowały, chodziły w łachmanach i żyły pod stałą groźbą nędzy. I z ruin odbudowały swoje fortuny.

Byłoby dla niej pociechą posiedzieć z Maybelle, ponieważ Maybelle pochowała dziecko, zmarłe podczas szalonej ucieczki przed Shermanem. Ulgę sprawiłby jej widok Fanny, bo wiedziała, że straciły jednocześnie mężów w czarnych dniach powojennego ucisku. Mogłaby się śmiać gorzko z panią Elsing, wspominając jej twarz, gdy zacinała konia w dniu zdobycia Atlanty, pędząc przez Pięć Znaków i wysypując z powozu łupy z magazynów. Przyjemnie byłoby słuchać historyjek pani Merriweather, teraz pewnej dobrych dochodów z piekarni, przyjemnie byłoby mówić: „Czy pamięta pani, jak nam było źle po kapitulacji? Czy pamięta pani, jak nie wiedziałyśmy, za co kupimy sobie nowe buty? A jak wyglądamy teraz!”

Tak, to wszystko byłoby bardzo przyjemne. Teraz dopiero zrozumiała, dlaczego byli konfederaci spotykając się mówili o wojnie z rozkoszą, z dumą, z tęsknotą. Wspominali czasy, które były próbą ich serc, które przebyli zwycięsko. Teraz byli weteranami. Ona także była weteranką, ale nie miała towarzyszów broni, z którymi by mogła wspominać dawne boje. Och, czego by nie dała za to, by znowu być wśród swoich, wśród ludzi, którzy przeszli to samo co ona i wiedzieli, jak bolesne były to przejścia — i jak wielką część duszy wypełniły!

W jakiś sposób ludzie ci gdzieś się rozpierzchli. Zrozumiała teraz, że było to jej własną winą. Nigdy jej to nie obchodziło aż dotąd — do czasu, gdy po śmierci Bonnie stała się samotna i przerażona i gdy ponad lśniącą taflą stołu widziała śniadego, zapitego człowieka, który marniał na jej oczach.

## ROZDZIAŁ LXI

Scarlett była w Mariecie, kiedy dostała pilny telegram od Retta. Najbliższy pociąg do Atlanty odchodził za dziesięć minut, zdążyła nań jednak, nie zabrawszy żadnego bagażu prócz torebki podręcznej i zostawiwszy w hotelu Wade'a i Ellę pod opieką Prissy.

Do Atlanty było zaledwie dwadzieścia mil, ale pociąg wlókł się, bez końca przez mokre jesienne popołudnie i zatrzymywał na każdym przystanku. Przerażona wezwaniem Retta, dygocąca z niecierpliwości, Scarlett omal nie płakała na każdej stacji. Pociąg szedł przez lasy zaczynające się już jesiennie złocić, mijał czerwone pagórki, jeszcze noszące ślady zasieków, stare reduty i zarośnięte chwastem doły strzeleckie, szedł wzdłuż drogi, po której tak nieustępliwie cofali się ludzie Johnstona tocząc walki na każdym kroku. Każda stacja, każde rozdroże, które oznajmiał konduktor, było nazwą bitwy, miejscem utarczki. Kiedyś nazwy te wywołałyby w Scarlett przerażające wspomnienia, teraz jednak nie mogła o nich myśleć.

Depesza Retta brzmiała:

„Pani Wilkes chora. Przyjeżdżaj natychmiast”.

Zmrok już zapadał, gdy pociąg zatrzymał się w Atlancie; lekki mżący deszczyk przesłaniał miasto. Uliczne lampy gazowe świeciły we mgle mdło jak żółte krople. Rett czekał na nią na dworcu w powozie. Widok jego twarzy przeraził ją jeszcze bardziej od depeszy, nigdy dotąd bowiem nie była tak pozbawiona wyrazu.

— Przecież nie... — zawołała.

— Nie. Jeszcze żyje. — Rett pomógł jej wsiąść do powozu. — Do państwa Wilkes, jak możesz najszybciej! — rozkazał stangretowi.

— Co jej się stało? Nie wiedziałam, że się źle czuje. W zeszłym tygodniu wyglądała zupełnie dobrze... Czy zdarzył się jakiś wypadek? Och, Rett, to chyba nie może być tak poważne...

— Umiera — rzekł Rett i głos jego miał równie mało wyrazu jak twarz. — Chce ciebie widzieć.

— Och, to niemożliwe! Niemożliwe, aby Mela... Co jej się stało?

— Miała poronienie.

— Poro... ależ Rett... ona — Scarlett zająknęła się. Ta wiadomość w parze z przerażającą nowiną zupełnie zbiła ją z tropu.

— Więc nie wiedziałaś, że spodziewa się dziecka?

Nie mogła się nawet zdobyć na potrząśnięcie głową.

— No tak. Nie mogłaś wiedzieć. Nie sądzę, aby o tym komuś powiedziała. Chciała, aby to było niespodzianką. Ja jednak wiedziałem.

— Ty wiedziałeś? Ale przecież Mela nie powiedziała ci chyba tego?

— Wcale nie potrzebowała mi mówić. Wiedziałem. Była tak... rozradowana przez ostatnie dwa miesiące, iż domyśliłem się, że to z pewnością dlatego.

— Ale Rett, doktor powiedział, że następne dziecko ją zabije!

— Toteż ją zabiło — rzekł Rett. I do woźnicy: — Na miłość boską, czy nie możesz jechać szybciej?

— Rett, ona nie może umrzeć! Ja... ja nie umarłam, a...

— Ona nie ma takiej wytrzymałości jak ty. Nigdy nie była odporna. Miała tylko serce.

Powóz wstrzymał się raptownie przed płaskim małym domkiem i Rett pomógł jej wysiąść. Drżąca, przejęta nagłym poczuciem samotności, chwyciła się jego ramienia.

— Czy wejdziesz ze mną, Rett?

— Nie — powiedział i wrócił do powozu.

Wbiegła na frontowe schodki, potem na ganek i otworzyła szeroko drzwi. W pokoju, w żółtym świetle lampy, siedzieli Ashley, ciotka Pitty i India. Scarlett pomyślała: „Co India robi tutaj? Melania zabroniła jej przechodzić przez próg tego domu”. Wszyscy troje wstali, gdy weszła, ciotka Pitty zagryzła wargi, aby opanować ich drżenie, India patrzyła na nią bez nienawiści, spojrzeniem pełnym bólu. Ashley wyglądał jak lunatyk, kiedy podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu, i mówił jak lunatyk.

— Pytała o ciebie — powiedział. — Pytała o ciebie.

— Czy mogę ją teraz widzieć? — Zwróciła się ku zamkniętym drzwiom pokoju Melanii.

— Nie. Jest tam teraz doktor Meade. Zadowolony jestem, żeś przyjechała, Scarlett.

— Przyjechałam, jak mogłam najszybciej. — Scarlett zrzuciła kapelusz i płaszcz. — Pociąg... Czy ona rzeczywiście... Powiedz mi, prawda, że czuje się lepiej, Ashleyu? Mów do mnie! Nie patrz tak na mnie! Przecież ona chyba...

— Nie przestaje pytać o ciebie — powiedział Ashley i popatrzył jej w oczy. Wyczytała w nich odpowiedź na swoje pytanie. Serce ustało jej na chwilę, potem zaś wstrząsnął nią dziwny strach, mocniejszy od niepokoju, mocniejszy od żalu. „To nie może być prawdą — myślała gwałtownie, starając się odpędzać lęk. — Lekarze się mylą. Nie chcę myśleć, że to prawda. Nie mogę sobie pozwolić na takie myśli. Zaczęłabym płakać. Muszę myśleć o czymś innym”.

— Nie wierzę w to! — krzyknęła zapalczywie, patrząc kolejno na napięte twarze tych trojga, jak gdyby chciała ich zmusić do zaprzeczenia. — I dlaczego mi Mela nic nie mówiła? Nigdy bym nie pojechała do Marietty, gdybym wiedziała!

Oczy Ashleya ożywiły się trochę i ukazała się w nich rozpacz.

— Nie chciała nic nikomu mówić, zwłaszcza zaś tobie, Scarlett. Bała się, że ją skrzyczysz, jeżeli się dowiesz. Chciała czekać trzy... aż wszystko będzie w porządku i potem zrobić niespodziankę tobie i innym, i śmiać się z was, i cieszyć się, że się lekarze omylili. Była tak szczęśliwa. Wiesz przecież, jak kocha dzieci, jak bardzo chciała mieć córeczkę. Wszystko szło bardzo dobrze... a potem bez żadnego powodu...

Drzwi pokoju Melanii otwarły się i do hallu wyszedł doktor Meade, zamykając je cicho za sobą. Zatrzymał się przez chwilę, z siwą brodą opuszczoną na piersi i popatrzył na nagle ucichła czwórkę osób. Wreszcie spojrzenie jego spoczęło na Scarlett. Kiedy szedł w jej stronę, poznała, że w oczach ma żal, niechęć i pogardę, która napełniła jej przerażone serce poczuciem jakiejś winy.

— A więc wreszcie przyjechałaś — rzekł.

Zanim mogła odpowiedzieć, Ashley rzucił się w stronę zamkniętych drzwi.

— Jeszcze nie ty — rzekł doktor. — Chce mówić ze Scarlett.

— Doktorze — powiedziała India łapiąc go za rękaw. Mimo że głos jej był cichy, brzmiał bardziej błagalnie niż głośne zaklęcia. — Niech mi pan pozwoli wejść do niej na chwilkę. Jestem tutaj od rana i czekam, ale ona... Niech mi pan pozwoli ją zobaczyć. Chcę jej powiedzieć... muszę powiedzieć... że omyliłam się... co do pewnej rzeczy.

Mówiąc to nie patrzyła na Ashleya ani na Scarlett, ale Scarlett poczuła na sobie zimne spojrzenie doktora Meade.

— Zobaczę, panno Indio — rzekł krótko. — Ale tylko jeżeli mi pani da słowo, że nie zmęczy jej pani opowiadaniem o swej pomyłce. Ona wie o tym i zmartwi się tylko, że pani ją przeprasza.

Pitty zaczęła nieśmiało: — Panie doktorze, proszę...

— Panno Pitty, wie pani doskonale, że zacznie pani płakać i mdleć.

Pitty wyprostowała całą swoją tęgą postać i spojrzała ostro na doktora. Oczy jej były suche, a twarz wyrażała godność.

— No dobrze, moja droga, może później — rzekł doktor trochę łagodniej. — Chodź, Scarlett.

Przeszli na palcach przez hali do zamkniętych drzwi; tam doktor mocno szarpnął Scarlett za ramię.

— Słuchaj, Scarlett — szepnął — tylko bez histerii i wyznań przedśmiertnych, bo klnę się Bogiem, że cię zatłukę! Nie patrz na mnie z niewinną minką. Wiesz, co mam na myśli. Mela musi mieć lekką śmierć i nie chcę, abyś oczyszczała swoje sumienie opowiadaniem jej czegokolwiek o Ashleyu. Nigdy dotąd nie zrobiłem krzywdy kobiecie, ale jeżeli coś jej powiesz, będziesz miała ze mną do czynienia.

Otworzył drzwi, zanim mogła odpowiedzieć, wepchnął ją do pokoju i zamknął je za nią. Mały, skromnie umeblowany pokój tonął w półmroku, bo lampa była osłonięta gazetą. Był to pokoik tak mały i skromniutki jak pokój pensjonarki, stało w nim wąskie, niskie łóżeczko, w oknach wisiały gładkie firanki, na podłodze leżały spłowiałe, ale czyste dywaniki — różnił się też bardzo od zbytkownej sypialni Scarlett o ciężkich rzeźbionych meblach, różowych brokatowych draperiach i dywanie w róże.

Melania leżała w łóżku, malutka i płaska pod kołdrą jak mała dziewczynka. Dwa czarne warkocze spływały po obu stronach jej twarzy, a zamknięte oczy były wpadnięte i podkrążone czerwonymi obwódkami. Na jej widok Scarlett stanęła jak wryta i musiała oprzeć się o drzwi. Mimo mroku w pokoju widziała, że twarz Melanii jest woskowożółta. Krew z niej odpłynęła, a nos dziwnie jakoś wystawał. Do tej chwili Scarlett miała nadzieję, że doktor Meade się myli. Teraz jednak wiedziała. Podczas wojny zbyt wiele napatrzyła się w szpitalach na twarze o dziwnie wystających nosach, aby nie wiedzieć, czego to jest nieomylną wróżbą.

Melania umierała, ale Scarlett nie chciała jeszcze w to uwierzyć. Melania nie mogła umrzeć. Niemożliwe było, aby umarła. Bóg nie pozwoli jej umrzeć, kiedy ona, Scarlett, potrzebuje jej tak bardzo. Nigdy dotąd nie myślała o tym, że potrzebuje Melanii. Teraz jednak prawda objawiła jej się i wypełniła ją całą. Opierała się na Melanii w równym stopniu jak na samej sobie, choć nigdy o tym nie wiedziała. Teraz Melania umierała i Scarlett zrozumiała, że nie da sobie bez niej rady. Teraz dopiero, kiedy na palcach przechodziła od drzwi do małego łóżka, a strach szarpał jej serce, zrozumiała, że Melania była jej mieczem i tarczą, ucieczką jej i siłą.

„Muszę ją zatrzymać! Nie mogę jej pozwolić odejść!” — myślała i z szelestem spódnic osunęła się przy łóżku. Szybko pochwyciła bezwładnie leżącą na kołdrze rękę i znowu przestraszyła się, że jest tak chłodna.

— To ja, Melu — powiedziała.

Mela odemknęła trochę oczy, a potem, jak gdyby przekonawszy się, że to naprawdę Scarlett, zamknęła je znowu. Po pewnej pauzie zaczerpnęła oddechu i wyszeptała:

— Przyrzekniesz mi?

— O tak, wszystko!

— Beau, opiekuj się nim.

Scarlett skinęła tylko głową, bo nie mogła mówić i na znak zgody lekko uścisnęła dłoń Meli.

— Daję go tobie. — Na twarzy ukazał się słaby ślad uśmiechu. — Dałam ci go już raz, pamiętasz, nim się urodził.

Czy pamiętała? Czy mogła o tym kiedykolwiek zapomnieć? Prawie tak wyraźnie, jak gdyby ten okropny dzień wrócił, poczuła duszny upał wrześniowego południa, przypomniała sobie strach przed Jankesami, usłyszała marsz cofających się wojsk i głos Melanii, błagający ją, aby uratowała dziecko, gdyby ona nie przeżyła porodu — przypomniała sobie także, jak bardzo tego dnia nienawidziła Meli i jak pragnęła jej śmierci.

„Zabiłam ją — myślała z zabobonną rozpaczą. — Tak często pragnęłam, aby umarła, aż Bóg wysłuchał mnie i pokarał”.

— Och, Melu, nie mów tak, proszę! Wiesz, że wyjdziesz z tego...

— Nie. Przyrzeknij.

Scarlett przełknęła ślinę.

— Wiesz dobrze, że przyrzekam. Będę go uważała za własnego syna.

— Liceum? — zapytał słaby głos Melanii.

— O tak! Uniwersytet, Harvard i podróż do Europy, i wszystko, czego zechce i... i... kucyk... i lekcje muzyki... Och, błagam cię, Melu, postaraj się! Zrób wysiłek!

Znowu zapadło milczenie. Na twarzy Melanii widać było ślady walki, aby znowu zebrać siły i mówić.

— Ashley — powiedziała. — Ashley i ty... — Głos jej załamał się i umilkł.

Na dźwięk imienia Ashleya serce Scarlett zamarło, stało się zimne jak granit. Melania wiedziała przez cały czas! Scarlett opuściła głowę na kołdrę i łkanie, które nie chciało się wydobyć, schwyciło ją za gardło. Melania wiedziała. Scarlett nie mogła się już teraz wstydzić, nie mogła czuć nic prócz dzikich wyrzutów sumienia, że raniła to słodkie stworzenie przez tyle długich lat. Melania wiedziała — a przecież została jej oddaną przyjaciółką. Och, gdybyż mogła przeżyć wszystkie te lata na nowo! Nigdy by więcej nie spojrzała na Ashleya.

„O Boże — modliła się szybko — pozwól jej żyć. Wynagrodzę jej to wszystko. Będę dla niej bardzo dobra. Nigdy więcej nie odezwę się do Ashleya, dopóki żyć będę, jeżeli pozwolisz jej żyć!”

— Ashley — powiedziała Melania słabo, wyciągnęła rękę i dotknęła palcami pochylonej głowy Scarlett. Kciukiem i palcem wskazującym pociągnęła ją za włosy, z nie większą siłą niż niemowlę. Scarlett wiedziała, co to znaczy, wiedziała, że Melania chce, aby podniosła głowę. Nie mogła jednak — nie mogła spojrzeć Meli w oczy i wyczytać w nich przykrej prawdy.

— Ashley — wyszeptała znowu Melania i Scarlett opanowała się wreszcie. Gdy będzie patrzyła w dniu Sądu Ostatecznego w twarz Boga i wyczyta w Jego oczach wyrok na siebie, nie będzie to w połowie tak straszne. Wiła się w bólu, ale głowę podniosła.

Zobaczyła tylko te same ciemne, kochające oczy, zapadnięte i zamglone śmiercią, te same słodkie usta, z trudem łapiące oddech. Nie było w nich wymówki ani oskarżenia czy obawy — tylko niepokój, że nie będzie miała siły mówić.

Przez chwilę Scarlett była zbyt zdumiona, aby odczuć jakąkolwiek ulgę. Potem, kiedy mocniej objęła dłoń Melanii, wypełniła ją fala ciepłej wdzięczności do Boga i po raz pierwszy od czasów dzieciństwa zmówiła w duchu pokorną modlitwę.

„Dziękuję ci, Boże. Wiem, że nie jestem tego warta, ale dziękuję Ci, żeś nie dopuścił, by się dowiedziała”.

— Co z Ashleyem, Melu?

— Czy... będziesz się nim opiekowała?

— Ach, tak!

— On się łatwo... zaziębia.

Nastąpiła pauza.

— Pilnuj jego interesów, czy rozumiesz?

— Tak, rozumiem. Będę pilnowała.

Melania zrobiła wielki wysiłek.

— Ashley nie jest... praktyczny.

Tylko śmierć mogła Melanię skłonić do takiej nielojalności.

— Opiekuj się nim, Scarlett, ale... nie daj mu tego nigdy poznać. Poddawaj mu tylko pomysły.

Melania uśmiechnęła się z wysiłkiem, ale był to uśmiech tryumfu, gdy znowu spojrzała na Scarlett. Spojrzenia ich przypieczętowały układ, że obowiązek chronienia Ashleya Wilkesa przed zbyt okrutnym światem przechodzi z jednej kobiety na drugą i że jego męska duma nigdy nie ucierpi.

Teraz wyraz wysiłku ustąpił ze zmęczonej twarzy, jak gdyby po przyrzeczeniu Scarlett wróciła Meli otucha.

— Ty jesteś taka mądra — taka odważna — byłaś dla mnie zawsze dobra...

Na te słowa łkanie wyrwało się wreszcie z gardła Scarlett — musiała zamknąć sobie ręką usta. Nie, nie będzie ryczała jak dziecko, nie krzyknie: — Byłam podła! Skrzywdziłam cię bardzo! Nie dla ciebie to robiłam! To wszystko było dla Ashleya!

Porwała się na nogi i zaczęła gryźć palce, aby odzyskać panowanie nad sobą. Przyszły jej znowu na pamięć słowa Retta: „Ona cię bardzo kocha. Niechaj to będzie twoim krzyżem”. Krzyż stał się teraz jeszcze cięższy. Było źle, że starała się wszystkimi siłami zabrać Meli Ashleya. Gorzej jednak było, że Melania, która przez całe życie ufała jej ślepo, nawet i w chwili śmierci darzyła ją tą samą miłością i zaufaniem. Nie, nic jej nie powie. Nawet już nie powtórzy: „Postaraj się żyć”. Musi pozwolić jej odejść lekko, bez walki, bez łez, bez smutku.

Drzwi uchyliły się trochę, doktor Meade stanął na progu wzywając ją rozkazująco. Scarlett pochyliła się nad łóżkiem, przełknęła łzy i podnosząc rękę Melanii przyłożyła ją do swego policzka.

— Dobranoc — powiedziała — a głos jej brzmiał mocniej, niż się spodziewała.

— Przyrzeknij mi — szept Meli był już bardzo cichy.

— Wszystko, kochanie.

— Kapitan Butler... bądź dla niego dobra. On... tak cię kocha. „Rett?” — pomyślała Scarlett ze zdumieniem; słowa te były dla niej pustym dźwiękiem.

— Tak, rozumie się — rzekła machinalnie i lekko pocałowawszy rękę Melanii, położyła ją na kołdrze.

— Powiedz tym paniom, żeby od razu weszły — szepnął doktor, kiedy mijała go w drzwiach.

Przez zamglone łzami oczy zobaczyła, jak India i Pitty wchodzą za doktorem do pokoju przytrzymując spódnice na bokach, aby nie szeleściły. Drzwi zamknęły się za nimi i w domu znów zapadła cisza. Ashleya nigdzie nie było widać. Scarlett oparła głowę o ścianę, jak postawione do kąta niegrzeczne dziecko, i rozcierała sobie bolące gardło.

Za zamkniętymi drzwiami Melania odchodziła ze świata, a z nią siła, z której czerpała bezwiednie przez tyle lat. Dlaczego, ach, dlaczego nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo kochała i potrzebowała Melanii? Któż by jednak mógł pomyśleć, że mała, nieładna Melania jest źródłem siły? Melania, którą do łez onieśmielali obcy, która nigdy nie chciała wypowiadać własnego zdania, bała się krytyki starszych pań, nie miała odwagi przeciwstawić się nikomu. A przecież...

Myśli Scarlett cofnęły się o wiele lat do cichego popołudnia w Tarze, gdy szary dymek unosił się nad trupem w niebieskim mundurze, a Melania stała u szczytu schodów z szablą Karola w dłoni. Scarlett przypomniała sobie, że pomyślała wtedy: „Jakie to śmieszne! Mela nigdy nie mogła unieść tej szabli!” Teraz wiedziała jednak, że w razie konieczności Melania zbiegłaby po schodach i zabiła Jankesa lub sama została zabita.

Tak, Melania dnia tego była gotowa walczyć ze Scarlett z szablą w małej dłoni. Teraz, patrząc ze smutkiem w przeszłość, Scarlett zrozumiała, że Melania zawsze stała u jej boku z szablą w dłoni, nieodstępna jak cień, kochająca ją, walcząca za nią ze ślepym, namiętnym oddaniem, zwalczająca Jankesów, pożar, głód, biedę, opinię publiczną i nawet ukochaną rodzinę.

Kiedy Scarlett zrozumiała, że miecz, który ją odgradzał od świata, został na zawsze złożony do pochwy, uczuła, że odpływa z niej odwaga i wiara w siebie.

„Mela jest jedyną przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam — myślała z rozpaczą — jedyną kobietą, poza matką, która mnie naprawdę kochała. Podobna jest też do mojej matki. Wszyscy, którzy ją znali, czepiali się fałd jej sukni”.

Nagle wydało jej się, że to Ellen leży za zamkniętymi drzwiami i po raz wtóry schodzi ze świata. Nagle znowu znalazła się w Tarze, i znowu miała świat cały przeciw sobie, była przerażona świadomością, że bez straszliwej siły słabych, łagodnych, czułych serc nie potrafi się przeciwstawić życiu.

Stała w hallu bez ruchu, niezdecydowana, przerażona, a ogień płonący jasno na kominku w salonie rzucał zamglone cienie na ściany dokoła, niej. Dom był zupełnie cichy — cisza wsiąkała w nią jak drobny, chłodny deszcz. Ashley! Gdzie jest Ashley?

Poszła w stronę salonu jak zmarznięte zwierzę, które chce się ogrzać przy ogniu — ale tam nie było Ashleya. Musi go odszukać. Odkryła siłę Melanii i swoją zależność od niej po to tylko, aby stracić je w tej samej chwili — ale jeszcze pozostał jej przecież Ashley. Ashley był silny i mądry. W Ashleyu i jego miłości była teraz jej siła, o którą oprze swoją słabość — odwaga, która ukoi jej strach — pociecha dla jej smutku.

„Musi być w swoim pokoju” — pomyślała i przeszedłszy na palcach przez hali zapukała cicho do drzwi. Nie było odpowiedzi, więc je otworzyła. Ashley stał przed toaletą i patrzył na pocerowane rękawiczki Melanii. Najpierw podniósł jedną i przyjrzał jej się, jak gdyby nigdy jej dotąd nie widział. Potem odłożył ją ostrożnie, jak przedmiot ze szkła, i wziął do ręki drugą.

Zawołała drżącym głosem: — Ashleyu! — Odwrócił się powoli i popatrzył na nią. Senna otępiałość znikła z jego oczu, które teraz były szeroko otwarte i szczere. Wyczytała w nich strach, który dorównywał jej strachowi, bezradność większą jeszcze od swojej, zdumienia głębsze, niż mogła przypuszczać. Przerażenie, jakie odczuła w hallu, pogłębiło się, gdy spojrzała mu w oczy. Szybko do niego podeszła.

— Boję się — powiedziała. — Och, Ashleyu, przytul mnie. Tak się boję!

Nie poruszył się wcale, tylko patrzył na nią, mocno w obu rękach ściskając rękawiczkę. Położyła mu rękę na ramieniu i szepnęła: — Co to?

Oczy jego wpatrywały się w nią uparcie, szukając, szukając czegoś, czego nie znajdował. Wreszcie odezwał się głosem, który zabrzmiał obco.

— Chciałem cię widzieć — powiedział. — Chciałem biec do ciebie, jak dziecko, które szuka pociechy, a widzę dziecko jeszcze bardziej przerażone, które przybiega do mnie.

— Ty nie... ty nie możesz się bać! — zawołała. — Tyś się nigdy niczego nie bał. Ale ja... Byłeś zawsze taki silny...

— Jeżeli kiedykolwiek byłem silny, to dlatego, że ona stała za mną — powiedział; głos mu się łamał, patrzył na rękawiczkę i prostował jej palce. — A teraz cała moja siła uchodzi wraz z nią.

W cichym jego głosie brzmiała nuta tak szalonego strachu, że Scarlett puściła jego ramię i cofnęła się o krok. W ciężkim milczeniu, które zapadło, poczuła, że teraz dopiero rozumie go naprawdę po raz pierwszy.

— Ależ — powiedziała wolno. — Ależ, Ashleyu, ty kochasz ją, prawda?

Mówił z widocznym wysiłkiem:

— Ona jest jedynym moim marzeniem, które żyło, oddychało i nie znikło w zetknięciu z rzeczywistością.

„Marzenia! — pomyślała z nawrotem dawnej irytacji. — Zawsze tylko marzenia! Nigdy nie mówił do rzeczy!”

Z sercem ciężkim i pełnym goryczy powiedziała:

— Byłeś bardzo niemądry, Ashleyu, niemądry. Dlaczego nie rozumiałeś, że ona jest milion razy więcej warta ode mnie?

— Scarlett, proszę cię! Gdybyś wiedziała, co przeszedłem od chwili, gdy doktor...

— Co przeszedłeś! Czy przypuszczasz, że ja... Och, Ashleyu, powinieneś był od lat wiedzieć, że kochasz ją, a nie mnie! Dlaczegoś tego nie rozumiał? Wszystko byłoby zupełnie inne, zupełnie... Och, powinieneś był to wiedzieć, a nie trzymać mnie w napięciu swoimi słowami o honorze i poświęceniu! Gdybyś mi to powiedział przed laty, ja... Zabiłoby mnie to może, ale może bym to jakoś przetrzymała. Czekałeś jednak aż do teraz, aż do ostatnich chwil Meli, żeby zrozumieć — gdy teraz już jest na wszystko za późno. Och, Ashleyu, to mężczyźni powinni wiedzieć takie rzeczy, nie kobiety! Powinieneś był jasno wiedzieć, że przez cały ten czas ją kochałeś, a mnie tylko pragnąłeś — jak Rett pragnął Belli Watling!

Wzdrygnął się na jej słowa, ale jeszcze ciągle patrzył jej w oczy, błagając o milczenie, o pociechę. Każdy rys jego twarzy potwierdzał prawdę jej słów. Bezradne zwieszenie ramion wskazywało, że sam robił sobie cięższe zarzuty niż te, które mógł od niej usłyszeć. Stał przed nią w milczeniu, ściskając rękawiczkę, jak gdyby to była współczująca dłoń; w ciszy, która zapadła po jej słowach, minęło jej oburzenie, i litość, zaprawiona pogardą, pojawiła się na to miejsce. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Kopała zbitego i bezradnego człowieka — a przyrzekła Melanii, że będzie się nim opiekowała.

„I zaraz po przyrzeczeniu jej tego powiedziałam mu złe, bolesne rzeczy, których nie powinnam była powiedzieć mu ani ja, ani nikt inny. Zna prawdę i zabija go ona — pomyślała w rozpaczy. — On nie jest dorosły. Jest dzieckiem jak ja i jest nieprzytomny ze strachu, że traci Melę. Mela wiedziała, że tak będzie, Mela znała go znacznie lepiej niż ja. Dlatego prosiła mnie, abym opiekowała się nim i Beau, prosiła o to jednym tchem. Jak Ashley to wszystko przetrzyma? Ja — przetrzymam. Ja potrafię wszystko przetrzymać. Już tyle przeszłam. On jednak nie może — on nie potrafi żyć bez niej”.

— Przebacz mi, kochanie — powiedziała łagodnie, wyciągając do niego ręce. — Wiem, jak cierpisz. Pamiętaj jednak, że ona o niczym nie wie, nigdy nawet nie podejrzewała. Bóg był dla nas do­bry.

Podszedł do niej szybko i mocno ją objął. Wspięła się na palce, aby ogrzać go swoim policzkiem, i pogładziła go po głowie.

— Nie płacz, kochany. Ona chce, abyś był silny. Zawoła cię za chwilę, musisz więc być odważny. Nie powinna widzieć, żeś pła­kał. To by ją zmartwiło.

Trzymał ją w tak mocnym uścisku, że nie mogła oddychać. W uszach jej zabrzmiał jego zdławiony głos:

— Co ja teraz pocznę? Nie mogę, nie mogę bez niej żyć!

„I ja nie mogę” — pomyślała wzdrygając się na myśl o długich latach bez Melanii. Ale opanowała się już po chwili. Ashley jej zaufał, Melania jej zaufała. Podobnie jak dawniej, w księżycową noc w Tarze, kiedy była wyczerpana i pijana, pomyślała: ciężary są dla ramion dość silnych, aby je dźwigać. Jej ramiona były sil­ne, a Ashleya słabe. Wyprostowała się, jak gdyby nadstawiając je pod to nowe brzemię, i z pozornym spokojem pocałowała go w wil­gotny policzek — bez podniecenia, namiętności czy miłości, chłod­no i łagodnie.

— Damy sobie jakoś radę — powiedziała.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i doktor Meade zawołał ostro:

— Ashleyu! Szybko!

„Mój Boże! — pomyślała Scarlett. — Odeszła! A Ashley nie zdążył się z nią pożegnać! Ale może...”

— Spiesz się! — zawołała na głos popychając go, bo patrzył na nią jak skamieniały. — Śpiesz się!

Otworzyła drzwi i pociągnęła go za sobą. Zelektryzowany jej słowami, wybiegł do hallu, ciągle jeszcze trzymając rękawiczkę. Przez chwilę słyszała jego szybkie kroki, potem zamknięcie drzwi.

Powiedziała znowu na głos: — Mój Boże — i wolno podszedłszy do łóżka usiadła na nim i złożyła głowę na rękach. Poczuła się na­gle zmęczona, bardziej zmęczona niż kiedykolwiek w swoim życiu. Z trzaskiem zamykanych drzwi napięcie, które ją podtrzymywało i dawało jej siłę, nagle minęło. Czuła się wyczerpana fizycznie i wyprana z wszelkich uczuć. Teraz nie odczuwała smutku ani wy­rzutu, strachu ani zdumienia. Była zmęczona i myśli jej krążyły tępo, mechanicznie, w kółko, jak wskazówki zegara na kominku.

Po chwili zarysowała się wyraźniej jedna myśl. Ashley nie kochał jej, nigdy jej nie kochał — i to wcale nie bolało. Powinno ją było boleć. Powinna być zrozpaczona, złamana, gotowa do skarg na swój zły los. Tak długo wierzyła w jego miłość, która podtrzymywała ją w tylu strasznych chwilach. A jednak jej nie kochał. Taka była prawda. Nie kochał jej i wcale ją to nie obchodziło. Nie obchodziło ją, bo go nie kochała. Nie kochała go, więc nie raniło ją nic, co robił czy mówił.

Położyła się na łóżku i złożyła zmęczoną głowę na poduszce. Na nic się nie zda duszenie tej myśli i powtarzanie: „Ależ ja go kocham. Kochałam go przez tyle lat. Miłość nie może zmienić się w jednej chwili w obojętność”.

Widocznie jednak może, bo się zmieniła.

„Ashley istniał właściwie tylko w mojej wyobraźni — myślała ze znużeniem. — Kochałam coś, co sama stworzyłam, coś, co teraz umarło razem z Melą. Stworzyłam sobie piękne ubranie i zakochałam się w nim. A kiedy Ashley przejechał koło mnie, taki piękny, taki inny, włożyłam to ubranie na niego i kazałam mu je nosić, choć na nim źle leżało. Nie chciałam go widzieć takim, jakim jest naprawdę. Kochałam ciągle piękne ubranie — a wcale nie jego”

Teraz mogła już patrzeć wstecz, na przeszłe lata: widziała się w zielonej kwiaciastej sukience perkalowej, stojącą w słońcu w Tarze, zachwyconą młodym jeźdźcem, którego blond włosy świeciły jak srebrny hełm. Widziała teraz zupełnie jasno, że był tylko dziecinną zachcianką, wcale nie ważniejszą od ochoty posiadania kolczyków z akwamaryn, które wreszcie wyprosiła u Geralda. Bo kiedy już miała kolczyki, straciły dla niej natychmiast wartość, jak traciło ją wszystko raz zdobyte, z wyjątkiem pieniędzy. Tak więc i Ashley przestałby ją pociągać, gdyby w owych dawnych czasach miała przyjemność odmówienia mu swej ręki. Gdyby kiedykolwiek zdał się na jej łaskę, gdyby widziała, jak rozkochuje się, staje natrętny, zazdrosny, nachmurzony jak inni chłopcy — szalone zadurzenie, które ją ogarnęło, przeszłoby z pewnością w chwili spotkania innego mężczyzny, rozwiałoby się lekko jak opary poranne pod promieniami słońca.

„Jakaż ja byłem głupia — myślała z goryczą. — A teraz muszę za to płacić. To, czego życzyłam sobie tak często, zdarzyło się wreszcie. Chciałam, aby Mela umarła i abym ja mogła mieć Ashleya. A teraz ona nie żyje, mogę go mieć i nie chcę go wcale. Jego przeklęty honor skłoni go do zapytania mnie, czy chce się rozwieść z Rettem i wyjść za niego. Wyjść za niego? Nie chcę go, choćby go ozłocono! Ale i tak będę go miała na karku do końca moich dni. Dopóki będę żyła, będę się musiała nim opiekować i uważać, aby nie umarł z głodu i aby ludzie nie ranili jego uczuć. Będzie się trzymał mojej spódnicy jak jeszcze jedno dziecko. Straciłam ukochanego, a zyskałam nowe dziecko. I gdybym nie przyrzekła Meli, nie zmartwiłabym się wcale, gdybym go więcej nie miała widzieć!”

## ROZDZIAŁ LXII

Usłyszała jakieś szepty za drzwiami i wyjrzawszy zobaczyła w kuchennym korytarzu przerażonych Murzynów — Dilcey, uginającą się pod ciężarem śpiącego Beau, płaczącego wuja Piotra i kucharkę ocierającą fartuchem szeroką twarz. Wszyscy troje patrzyli na nią niemo, pytając jak gdyby, co teraz poczną. Spojrzała przez hali w stronę jadalni i zobaczyła Indię i ciotkę Pitty, milczące, trzymające się za ręce. India po raz pierwszy w życiu straciła swoją przyrodzoną sztywność. Podobnie jak Murzyni, patrzyły na nią błagalnie, oczekując jakichś instrukcji. Weszła do salonu i obie kobiety zbliżyły się do niej.

— Och, Scarlett, co... — zaczęła ciotka Pitty, a jej grube i dziecinne wargi drżały.

— Niech ciocia do mnie nie mówi, bo zacznę krzyczeć — powiedziała Scarlett. Napięcie nerwowe sprawiło, że głos jej zabrzmiał ostro, a dłonie zacisnęły się w pięści. Myśl, że będzie musiała mówić o Melanii, że będzie musiała wydawać zarządzenia, które są następstwem każdej śmierci, znowu spowodowała skurcz gardła. — Nie odzywajcie się do mnie ani słowem.

Słysząc stanowczość w jej głosie cofnęły się i na twarzach ich ukazał się wyraz bezradności i urazy. „Nie chcę płakać w ich obecności — myślała Scarlett. — Nie mogę się teraz załamać, bo i one zaczną płakać, a potem Murzyni, i wreszcie wszyscy poszalejemy z rozpaczy. Muszę się wziąć w garść. Tyle mam do roboty. Powinnam iść do przedsiębiorcy i zająć się urządzeniem pogrzebu, dopilnować, aby dom był sprzątnięty, i rozmawiać z ludźmi, którzy będą płakali w moich objęciach. Ashley, Pitty ani India nie wyręczą mnie. Wszystko to muszę zrobić sama. Och, jakież to ciężkie brzemię! Cudze ciężary zawsze spadają na mnie — zawsze tak było!”

Spojrzała znowu na osłupiałe, urażone twarze Indii i Pitty i ogarnął ją żal. Melania miałaby jej za złe, że jest taka szorstka dla tych, które ją kochały.

— Przepraszam, że się uniosłam — powiedziała, ledwie mogąc mówić. — To dlatego, że... przepraszam, że byłam zła, ciociu. Wyjdę na chwilę na ganek. Muszę być sama. Potem wrócę i zajmiemy się...

Pogładziła ciotkę Pitty po ręce i szybko ją mijając poszła ku frontowym drzwiom, wiedząc, że gdyby choć minutę dłużej została w pokoju, straciłaby panowanie nad sobą. Musiała być sama. I musiała się wypłakać, aby jej serce nie pękło.

Wyszła na ciemny frontowy ganek i zamknęła za sobą drzwi, poczuła na twarzy chłodną wilgoć powietrza. Deszcz przestał padać i panowała zupełna cisza, przerywana tylko spadaniem kropli z okapu. Świat spowity był w gęstą, chłodną mgłę, która pachniała zamierającym latem. Domy po przeciwnej stronie ulicy były ciemne, prócz jednego okna; światło palącej się w nim lampy, padające snopem na ulicę, przebijało się z trudem przez mgłę; w promieniach jego wirowały złote pyłki. Wydawało się, jak gdyby świat owinięty był nieruchomym całunem szarego dymu. Panowała śmiertelna cisza.

Scarlett oparła głowę o jeden ze słupków ganku i chciała zapłakać, ale łzy wcale nie napływały jej do oczu. Strata jej była zbyt wielka. Drżała na całym ciele. Jeszcze miała w uszach huk dwóch walących się nie zdobytych twierdz swego życia, które teraz rozsypywały się w proch. Przez chwilę stała bez ruchu, przywołując na pomoc dawne swoje zaklęcie: „Pomyślę o tym wszystkim jutro, kiedy będę to mogła lepiej znieść”. Zaklęcie straciło jednak swoją siłę. Musiała myśleć teraz o dwóch rzeczach — o Meli i o tym, jak bardzo była jej droga i potrzebna; o Ashleyu i upartej ślepocie, wskutek której nie chciała go widzieć takim, jakim był naprawdę! Wiedziała, że myśli te będą tak samo bolesne jutro i we wszystkich jutrach jej życia.

„Nie mogę wrócić tam teraz i rozmawiać — myślała. — Nie mogę widzieć dzisiaj Ashleya ani go pocieszać. Nie dziś. Jutro rano przyjdę wcześnie i zrobię wszystko, co trzeba, dam im słowa pociechy, jakich ode mnie czekają. Byle nie dziś. Nie mogę. Pójdę do domu.

Dom odległy był tylko o kilka przecznic. Nie będzie czekała, aż szlochający Piotr zaprzęgnie bryczkę, nie poczeka, by doktor Meade podwiózł ją do domu. Nie mogła znieść łez Piotra ani milczącego potępienia doktora. Szybko zeszła po ciemnych schodkach, bez płaszcza i kapelusza, prosto w mglistą noc. Skręciła za rogiem i zaczęła iść pod górę w stronę Brzoskwiniowej, idąc przez cichy, wilgotny świat, przesuwając się przezeń bezszelestnie jak cień.

Kiedy tak szła pod górę ze ściśniętą od nie przelanych łez piersią, ogarnęło ją poczucie nierealności, wrażenie, że była już kiedyś na tych chłodnych ulicach, w podobnych okolicznościach — nie raz, ale wiele razy przedtem. „Jakie to dziwne” — myślała niespokojnie, przyśpieszając kroku. Nerwy odmawiały jej posłuszeństwa. Ale wrażenie nie mijało, tylko przenikało ją całą. Rozglądała się niepewnie wkoło — wrażenie spotęgowało się jeszcze, niejasne, ale znajome, i raptem podniosła głowę jak zwierzę czujące niebezpieczeństwo. „Jestem po prostu przemęczona — myślała, aby się uspokoić. — Noc jest dziwna, upiorna. Nigdy w życiu nie widziałam tak gęstej mgły, tylko... tylko...”

Nagle zrozumiała i strach ścisnął jej serce. Już wiedziała. W setce koszmarów nocnych uciekała przez taką mgłę, przez nawiedzony pusty kraj, osnuty grubą, nieprzeniknioną mgłą, zaludniony widmami i cieniami. Czyżby znowu śniła, czy też sprawdził się jej dawny sen?

Na chwilę opuściło ją poczucie rzeczywistości i zgubiła się zupełnie. Ogarnęło ją dawne, znane z koszmarów uczucie, silniejsze niż zwykle, i serce jej zaczęło walić jak szalone. Znalazła się znowu między ciszą a śmiercią, jak już raz przedtem w Tarze. Wszystko, co miało dla niej wartość w świecie, odeszło, życie było w gruzach, w sercu jej wył strach niczym zimny wicher. Groza, kryjąca się we mgle, wzięła ją w posiadanie. Zaczęła biec. Podobnie jak setki razy we śnie, biegła teraz, biegła na ślepo, nie wiedząc dokąd, gnana nie nazwanym strachem, szukając w szarej mgle bezpieczeństwa, które gdzieś się kryło.

Uciekała w górę mrocznej ulicy, z opuszczoną głową, walącym sercem, smakiem wilgoci na wargach — konary drzew zastopowały jej drogę. Gdzieś, gdzieś daleko w tym dzikim bezmiarze wilgotnej ciszy znajdowała się bezpieczna przystań! Dysząc ciężko biegła pod górę, mokre spódnice uderzały ją po kostkach, płuca pękały, ciasno zasznurowany gorset ściskał żebra.

Potem przed oczyma jej zamajaczyło światło, rząd świateł migotliwych i mdłych, ale mimo to rzeczywistych. W koszmarze swoim nigdy nie widziała świateł, była w nim tylko szara mgła. Uczepiła się myślami tych świateł. Znaczyły ocalenie, ludzie, rzeczywistość. Nagle przestała biec, zacisnęła pięści, zaczęła walczyć ze sobą, aby opanować strach, i wpatrzyła się bacznie w rząd lamp gazowych, który mówił, że to już Brzoskwiniowa, że jest w Atlancie, a nie w szarym świecie mar i widm.

Usiadła ciężko dysząc na słupku przed jakimś domem i starała się opanować nerwy rozedrgane jak struny.

„Biegłam — biegłam jak obłąkana! — Myślała trzęsąc się jeszcze ciągle od ustępującego strachu, zamroczona prawie gwałtownym biciem serca. — Ale dokąd biegłam?”

Oddychała teraz swobodniej, siedząc z dłonią przyciśniętą do serca. Popatrzyła w górę ulicy. Tam, na szczycie pagórka, stał jej dom. Wydało jej się, jak gdyby wszystkie okna były oświetlone, jak gdyby światła rzucały wyzwanie mgle, że nie zaćmi ich blasku. Dom! Był zatem realny! Popatrzyła na majaczące w oddali jego zarysy z wdzięcznością, z tęsknotą i ogarnął ją względny spokój.

Dom! Tam właśnie chciała iść. Tam właśnie biegła. Do domu, do Retta!

Kiedy to pojęła, wydało jej się, że opadają z niej krępujące ją łańcuchy, z nimi zaś mija strach, który nawiedzał ją w snach od owej nocy, kiedy dowlokła się do Tary, aby zastać ruinę swego świata. U kresu drogi do Tary nie znalazła ani bezpieczeństwa, ani siły, mądrości, czułości czy zrozumienia — wszystkiego tego, co, uosobione w Ellen, stanowiło podporę jej dzieciństwa. I mimo że odtąd zyskała materialne zabezpieczenie, w snach swoich była nadal przerażonym dzieckiem, szukającym straconego bezpieczeństwa w świecie, który przeminął.

Teraz zrozumiała, co jest przystanią, której szukała w snach — ciepłem, bezpieczeństwem, które zawsze kryło się przed nią we mgle. Nie był to Ashley — ach, skądże znowu Ashley! Posiadał nie więcej ciepła niż błędny ognik na bagnach, był nie bardziej pewny od lotnych piasków. Był to Rett — Rett, który miał mocne ramiona i szeroką pierś, gdzie może złożyć umęczoną głowę, i drwiący śmiech obracający wniwecz wszystkie jej kłopoty. U niego znajdzie zupełne zrozumienie, bo Rett prawdopodobnie jak ona potrafi widzieć prawdę, nie przysłoniętą mało istotnymi zasadami honoru, poświęcenia czy wzniosłej wiary w człowieka. Rett ją kochał! Dlaczego nie rozumiała, że kocha ją mimo wszystkich dokuczliwych zaprzeczeń? Melania to wiedziała i w ostatnim tchnieniu powiedziała jej: „Bądź dobra dla niego”

„Och — pomyślała — nie tylko Ashley był ślepym głupcem. Ja też nic nie widziałam”.

Przez całe lata opierała się o mocny mur miłości Retta, uważała ją za tak oczywistą jak miłość Melanii i schlebiała sobie, że siłę swoją czerpie z samej siebie. I tak samo jak wcześniej tego wieczora zrozumiała, że Melania stała przy niej we wszystkich gorzkich walkach jej życia, tak teraz pojęła, że milcząco w cieniu stał za nią Rett kochając ją, rozumiejąc, śpiesząc zawsze z pomocą. Rett z owej pierwszej wenty, kiedy wyczytał niecierpliwość w jej oczach i poprosił do tańca. Rett, który pomógł jej wyzwolić się z pęt żałoby, Rett, który wyprowadził ją przez pożary i wybuchy w dniu zdobycia Atlanty, Rett, który pożyczył jej pierwsze pieniądze, Rett, który uspokajał ją, gdy budziła się w nocy krzycząc z przerażenia przed koszmarem — ależ żaden mężczyzna nie zrobiłby tego, gdyby nie kochał kobiety do szaleństwa!

Z drzew kapały na nią krople, ale nie czuła tego. Mgła kłębiła się dokoła niej, ale nie zwracała na nią uwagi. Bo kiedy pomyślała o Recie, o śniadej jego twarzy, białych zębach i ciemnych, żywych oczach, ogarnęło ją drżenie.

„Kocham go — pomyślała i jak zwykle przyjęła prawdę bez zdziwienia, jak dziecko, które dostaje podarunek. — Nie wiem, od kiedy go kocham, ale wiem, że to prawda. I gdyby nie Ashley, zrozumiałabym to już dawno temu. Nigdy nie widziałam świata, jakim jest naprawdę, bo na przeszkodzie stał mi zawsze Ashley”.

Kochała Retta — drania, łotra, człowieka bez skrupułów i honoru — przynajmniej honoru w rozumieniu Ashleya. „Niech licho porwie honor Ashleya! — pomyślała. — Honor Ashleya zawsze mnie zawodził. Tak, od samego początku, kiedy przyjeżdżał do mnie, chociaż wiedział, że musi się ożenić z Melanią. Rett nigdy mnie nie zawiódł, nawet owego strasznego dnia, kiedy było przyjęcie u Melanii, chociaż powinien był mi kości połamać. Nawet kiedy zostawił mnie na środku drogi, gdy zdobywano Atlantę, wiedział, że będę bezpieczna. Wiedział, że jakoś dam sobie radę. Nawet kiedy udawał, że chce, abym mu się oddała za pieniądze. Nie tknąłby mnie nawet. Chciał mnie tylko wypróbować. Kochał mnie przez cały czas, a ja byłam dla niego zawsze niedobra. Raniłam go ciągle na nowo, on zaś był zbyt dumny, aby się do tego przyznać. A kiedy Bonnie umarła... Och, jakże ja mogłam?!”

Wstała, wyprostowała się i popatrzyła w stronę domu na wzgórzu. Jeszcze pół godziny temu sądziła, że straciła wszystko na świecie prócz pieniędzy, wszystko, co stanowiło urok życia — Ellen, Geralda, Bonnie, Mammy, Melanię i Ashleya. Musiała ich wszystkich stracić, aby zrozumieć, że kocha Retta — kocha go, ponieważ jest silny i nie ma skrupułów, ponieważ jest namiętny i przyziemny jak ona.

„Powiem mu wszystko — pomyślała. — Zrozumie mnie. Zawsze mnie rozumiał. Powiem mu, jaka byłam głupia i jak bardzo go kocham, i wszystko mu jeszcze wynagrodzę”.

Nagle poczuła się silna i szczęśliwa. Nie bała się już ciemności ani mgły i wiedziała z radością w sercu, że już nigdy się ich nie ulęknie. Choćby nie wiedzieć jakie mgły skupiały się dokoła niej w przyszłości, znała już przystań. Poszła szybko w stronę domu i droga wydała jej się bardzo długa. O wiele za długa. Podniosła spódnicę do kolan i zaczęła lekko biec. Teraz jednak nie pędził jej strach. Biegła, ponieważ na końcu ulicy czekały na nią objęcia Retta.

## ROZDZIAŁ LXIII

Drzwi frontowe były lekko uchylone. Wbiegła do hallu i zatrzymała się na chwilę pod rzucającym tęczowe blaski kryształowym kandelabrem. Mimo zapalonych świateł dom był bardzo cichy, nie była to jednak pogodna cisza, tylko czujne, zmęczone, trochę złowrogie milczenie. Jednym rzutem oka ustaliła, że Retta nie ma w salonie ani w bibliotece, i serce w niej zamarło. A jeżeli nie ma go w domu — jeżeli jest u Belli czy w innym jakimś miejscu, gdzie spędzał wieczory, gdy nie zjawiał się do stołu? Tego nie przewidziała.

Zaczęła iść na górę, aby go poszukać, kiedy spostrzegła, że drzwi jadalni są zamknięte. Serce jej ścisnęło się wstydem, na ten widok, bo przypomniała sobie, ile wieczorów w ciągu ostatniego lata Rett spędził tam sam, pijąc do utraty przytomności, póki Pork go nie zabrał i nie ułożył do snu. To była jej wina, teraz jednak wszystko będzie inaczej — może Bóg zrządzi, że nie jest dzisiaj pijany. Jeżeli jest pijany, nie uwierzy jej i wyśmieje ją, a to złamie jej serce.

Cicho otworzyła drzwi jadalni i zajrzała. Rett siedział przy stole, rozwalony na krześle; przed nim stała zakorkowana, pełna karafka i czysty kieliszek. Dzięki Bogu, był trzeźwy! Otwarła drzwi wstrzymując się z trudem od rzucenia mu się w objęcia. Ale kiedy spojrzał na nią, spojrzenie jego zatrzymało ją u progu drzwi, zmroziło jej słowa na wargach.

Patrzył na nią przenikliwie ciemnymi oczyma, podkrążonymi ze zmęczenia, ale nie pojawił się w nich żaden błysk. Mimo że włosy spadały jej na ramiona, pierś wznosiła się bez tchu, a suknia była uwalana błotem do kolan, nie zmienił wyrazu twarzy, nie zapytał o nic, nie uśmiechnął się drwiąco. Siedział bezwładnie na krześle, ubranie fałdowało mu się nieporządnie na brzuchu — każdy szczegół jego osoby świadczył o ruinie pięknego ciała i zniszczeniu mocnej twarzy. Trunek i rozpusta wyryły ślady na jego rzeźbionym profilu i teraz nie był to już profil młodego pogańskiego księcia na nowej złotej monecie, lecz głowa zmęczonego, dekadenckiego cezara na miedziaku startym przez długie użycie. Popatrzył na nią, kiedy długo stała bez ruchu, z ręką na sercu — popatrzył ze spokojem, prawie z dobrocią, i to ją przeraziło.

— Chodź tutaj i usiądź — powiedział. — Czy umarła?

Skinęła głową i zbliżyła się ku niemu z wahaniem, zaniepokojona teraz tym nowym wyrazem jego twarzy. Nie wstając odsunął nogą krzesło od stołu. Scarlett usiadła. Żałowała, że od razu wspomniał Melanię, Nie chciała teraz o niej rozmawiać ani przeżywać na nowo rozpaczy ostatniej godziny. Miała przed sobą resztę życia na rozmowy o Melanii. Teraz zaś, kiedy rozpierało ją pragnienie wykrzyknięcia: „Kocham cię!”, zdawało jej się, że ma tylko tę noc, tę godzinę na wyznanie Rettowi wszystkiego, co leżało jej na sercu. Coś jednak w jego oczach powstrzymało ją od tego i nagle zawstydziła się, że chce mówić o miłości, gdy ciało Melanii jeszcze nie ostygło.

— Panie świeć nad jej duszą — powiedział Rett ze smutkiem. — Była jedyną prawdziwie dobrą istotą, jaką znałem.

— Och, Rett! — zawołała z rozpaczą, bo słowa jego zbyt żywo przypominały jej wszystko, czego od Meli doznała. — Dlaczego nie poszedłeś tam ze mną? To było straszne — i tak mi ciebie brakło!

— Nie mógłbym tego znieść — powiedział z prostotą i umilkł na chwilę. Potem przemówił znowu cicho i z widocznym wysiłkiem: — Była bardzo wielką damą.

Odwrócił od Scarlett smutny wzrok. W oczach jego wyczytała to samo, co przy świetle pożaru Atlanty, kiedy powiedział jej, że idzie z cofającą się armią — zdziwienie człowieka, który zna siebie na wylot, a przecież odkrywa w sobie lojalność i wzruszenia, o które się nie podejrzewał, i czuje się trochę śmiesznym z powodu tego odkrycia.

Nachmurzone jego oczy spoczęły gdzieś poza Scarlett, jak gdyby widział Melanię cicho przechodzącą przez pokój. W jego pożegnalnym spojrzeniu nie było smutku ani bólu, tylko zdziwienie nad samym sobą, tylko ostre przeżywanie wzruszeń zastygłych od lat. Powtórzył znowu: — Była bardzo wielką damą.

Scarlett zadrżała i z serca jej uszedł żar, przyjemne ciepło, zachwyt, pod którego wpływem biegła do domu ile sił w nogach. Na wpół tylko pojmowała, co dzieje się w duszy Retta przy żegnaniu jedynej osoby, którą szanował — i znowu poczuła rozpacz z powodu tej straty, rozpacz zupełnie pozbawioną egoizmu. Nie mogła całkowicie zrozumieć ani zanalizować tego, co Rett odczuwał, ale wydało jej się, jak gdyby i ją lekko musnęły szeleszczące suknie w ostatniej, miękkiej pieszczocie. Widziała w oczach Retta przemijanie nie tylko kobiety, ale legendy łagodnych, nieśmiałych, niezłomnych kobiet, na których Południe opierało się podczas wojny i do czyich kochających i dumnych objęć wróciło po klęsce.

Rett spojrzał teraz na Scarlett i głos mu się zmienił. Brzmiał teraz swobodnie i chłodno.

— A więc umarła. To się dobrze składa dla ciebie, prawda?

— Och, jakże możesz mówić takie rzeczy! — zawołała, bardzo dotknięta, i łzy napłynęły jej do oczu. — Wiesz dobrze, jak ją kochałam!

— Nie, tego nie mogę powiedzieć. To bardzo niespodziewane i bardzo dobrze o tobie świadczy, że mimo swego upodobania do hołoty potrafiłaś i ją wreszcie ocenić.

— Jakże możesz tak mówić? Rozumie się, że ją ceniłam! Tyś jej nie cenił. Nie znałeś jej tak jak ja! Nie jesteś wcale w stanie jej zrozumieć... jaka była dobra...

— Rzeczywiście? Może masz słuszność.

— Myślała zawsze o wszystkich, z wyjątkiem siebie. Ostatnie jej słowa ciebie dotyczyły.

W oczach Retta błysnęło prawdziwe wzruszenie, kiedy zwrócił się do Scarlett.

— Co powiedziała?

— Och, nie teraz, Rett.

— Powiedz mi.

Mówił obojętnie, ale ścisnął ją za rękę tak mocno — że aż zabolało. Nie chciała tego powiedzieć, nie w taki sposób chciała skierować rozmowę na temat swojej miłości, ale ręka jego mocno ją ściskała.

— Powiedziała... powiedziała: „Bądź dobra dla kapitana Butlera. On bardzo cię kocha”.

Popatrzył na nią i puścił jej dłoń. Opuścił powieki i twarz mu pociemniała. Nagle wstał i podchodząc do okna odsunął firanki i popatrzył na ulicę, choć nic nie mógł widzieć poza szarą mgłą.

— Czy jeszcze coś mówiła? — zapytał nie odwracając głowy.

— Prosiła mnie, aby zaopiekowała się małym Beau, więc przyrzekłam jej, że będę go uważała za własnego syna.

— Co jeszcze?

— Powiedziała — o Ashleyu — prosiła, abym zaopiekowała się Ashleyem.

Zamilkł na chwilę, a potem roześmiał się cicho.

— To bardzo przyjemnie mieć zgodę pierwszej żony, prawda?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Odwrócił się do niej. Mimo zmieszania zdziwiła się, że w twarzy jego nie było szyderstwa. Nie malowało się też na niej większe zainteresowanie niż na twarzy człowieka, który widzi ostatni akt niezbyt zabawnej komedii.

— Myślę, że to zupełnie jasne. Pani Mela umarła. Z pewnością możesz zebrać dostateczną ilość dowodów przeciw mnie, aby się ze mną rozwieść, a opinię masz tak niedobrą, że rozwód nic ci nie zaszkodzi. Nie jesteś już wierząca, więc Kościół nie ma dla ciebie znaczenia. A zatem Ashley i spełnienie marzeń pobłogosławione przez panią Melę.

— Rozwód? — krzyknęła. — Nie! Nie! — Niespokojna, zerwała się na nogi i podbiegając ku niemu schwyciła go za ramię. — Och, mylisz się bardzo! Nie chcę rozwodu... Ja... — przerwała, ponieważ nie mogła znaleźć innych słów.

Położył jej rękę pod brodę, spokojnie odwrócił jej twarz ku światłu i popatrzył jej przez dłuższą chwilę w oczy. Patrzyła na niego wzrokiem pełnym namiętności, a wargi jej drżały, kiedy starała się mówić. Nie mogła jednak znaleźć słów, bo wypatrywała w jego twarzy jakiegoś wzruszenia, jakiegoś błysku nadziei czy radości. Z pewnością domyślał się już teraz wszystkiego! Jednak układna i mroczna obojętność, która zdumiewała ją tak często, była jedynym, co widziały jej szalone, niecierpliwe oczy. Puścił ją wreszcie, wrócił do krzesła i rozparł się na nim znowu, zwiesiwszy głowę na piersi, z zainteresowaniem patrząc na Scarlett spod lekko zmarszczonych brwi.

Podeszła załamując ręce i zatrzymała się przed nim.

— Mylisz się, Rett — zaczęła znowu, znajdując wreszcie słowa. — Rett, dziś, kiedy zrozumiałam, biegłam do domu, aby ci to powiedzieć. Och, kochanie, ja...

— Jesteś zmęczona — powiedział nie przestając jej obserwować. — Połóż się lepiej spać.

— Ale muszę ci to powiedzieć!

— Scarlett — powiedział poważnie — nie chcę słyszeć... nic.

— Nie wiesz przecież, co chciałam powiedzieć!

— Złotko, to jest wyraźnie wypisane na twojej twarzy. Coś czy ktoś sprawił, żeś zrozumiała, iż nieszczęsny pan Wilkes jest jednak dla ciebie owocem Morza Martwego. I to samo zrozumienie ukazało ci nagle moje wdzięki w nowym ponętnym świetle — westchnął lekko. — O tym zaś nie warto mówić.

Zachłysnęła się prawie ze zdumienia. Prawda, że czytał w niej łatwo. Dotąd była tym zawsze urażona, teraz jednak, po pierwszym zdumieniu, że jest tak wnikliwy, odetchnęła z zadowoleniem i uczuciem ulgi. Wiedział, rozumiał, więc zadanie jej zostało znakomicie ułatwione. Nie warto o tym mówić?! Pewnie, że miał jej za złe długie zaniedbywanie go, pewnie że nie miał przekonania do tej nagłej zmiany. Będzie musiała zdobyć go dobrocią, przekonać go dowodami mocnej miłości — i z jakąż radością to zrobi!

— Kochanie, chcę ci wszystko powiedzieć — zaczęła kładąc ręce na poręczy jego fotela i pochylając się ku niemu. — Tak się myliłam, taka byłam głupia...

— Scarlett, nie rób tego. Nie upokarzaj się przede mną. Nie mogę tego znieść. Zostaw trochę godności, trochę dyskrecji we wspomnieniu o naszym małżeństwie. Zaoszczędź mi przynajmniej tego.

Wyprostowała się raptownie. Zaoszczędzić tego? Co to ma znaczyć? Przecież to miał być początek, pierwsze jej wyznanie!

— Ale ja chcę ci powiedzieć — zaczęła szybko, jak gdyby w obawie, że Rett położy jej rękę na ustach i nakaże milczenie. — Och, Rett, najmilszy mój, jakże ja ciebie kocham! Kocham cię z pewnością od wielu lat, tylko byłam tak głupia, że o tym nie wiedziałam. Rett, musisz mi uwierzyć!

Spojrzał na nią, stojącą tak przed nim, i patrzył długą chwilę. Dojrzała w oczach jego przekonanie o prawdzie jej słów, ale mało zainteresowania. Och, czyżby znowu, właśnie teraz, chciał być zły i wstrętny? Czy będzie ją znowu dręczył, odpłacał własną jej monetą?

— Och, wierzę ci — powiedział wreszcie. — A cóż Ashley Wilkes?

— Ashley! — zawołała i zrobiła niecierpliwy ruch ręką. — Nie, nie zdaje mi się, abym go kochała naprawdę od wielu lat. Było to może czymś w rodzaju nawyku z czasów dzieciństwa. Rett, nigdy by mi się nawet nie zdawało, że go kocham, gdybym wiedziała, jaki jest naprawdę. Jest takim bezradnym, zalęknionym człowiekiem mimo całej swojej gadaniny o prawdzie, honorze i...

— Nie — rzekł Rett. — Jeżeli chcesz już go widzieć takim, jakim jest naprawdę, bądź sprawiedliwa. Jest tylko dżentelmenem, który dostał się w świat dla siebie nieodpowiedni i stara się doń przystosować nie przestając żyć wedle prawideł świata, który przeminął.

— Och, Rett, ale nie mówmy o nim! Jakież to ma znaczenie... teraz? Czy nie jesteś rad z tego, że... Teraz, gdy ja...

Kiedy znowu spojrzał na nią, przerwała z zakłopotaniem, nieśmiała jak podlotek w obecności pierwszego kochanka. Gdybyż chciał jej to ułatwić! Gdybyż wyciągnął ręce, aby mogła wdrapać się na jego kolana i złożyć mu głowę na piersi! Pocałunkiem powiedziałaby mu to wszystko lepiej niż urywanymi słowami. Ale kiedy przyjrzała mu się dokładniej, zrozumiała, że nie zachęca jej nie tylko dlatego, że chce jej dokuczyć. Wyglądał jak człowiek zupełnie zobojętniały, dla którego słowa jej nie miały żadnego znaczenia.

— Rad? — zapytał. — Kiedyś postem dziękowałbym Bogu za te twoje słowa. A teraz już mi wszystko jedno.

— Wszystko jedno? O czym ty mówisz? To nie jest wszystko jedno! Rett, kochasz mnie, prawda? Musisz kochać? Mela przecież tak powiedziała.

— Tak, miała rację, mówiła to, co wiedziała. Ale, Scarlett, czy nie przyszło ci nigdy na myśl, że nawet najbardziej nieśmiertelna miłość może się wyczerpać?

Patrzyła na niego oniemiała, z ustami otwartymi w duże O.

— Moja wyczerpała się już — ciągnął dalej — przez Ashleya Wilkesa i twój morderczy upór, który każe ci trzymać się zębami wszystkiego, czego pragniesz... Moja się wyczerpała.

— Ale miłość nie może się wyczerpać!

— A jednak skończyła się twoja dla Ashleya...

— Ja nigdy nie kochałam Ashleya naprawdę!

— No więc, bardzo dobrze naśladowałaś miłość... aż do dzisiaj. Scarlett, ja cię nie oskarżam, nie robię ci wymówek ani cię nie potępiam. Minęła na to pora. Zaoszczędź mi więc słów obrony i wyjaśnień. Jeżeli możesz mnie słuchać przez kilka minut nie przerywając mi, wytłumaczę ci, co mam na myśli. Chociaż, Bóg jeden wie, czy potrzeba wyjaśnień. Prawda jest bardzo prosta.

Usiadła, a ostre światło lampy padało na jej bladą, zdumioną twarz. Patrzyła w oczy, które tak dobrze znała — i tak mało, słuchała jego spokojnego głosu, który mówił słowa nie mające dla niej zrazu żadnego znaczenia. Po raz pierwszy od czasu, gdy się znali, mówił do niej jak człowiek do człowieka, bez docinków, drwin czy zagadek.

— Czy zdawałaś sobie z tego sprawę, że kochałem cię tak bardzo, jak może kobietę kochać mężczyzna? Kochałem cię przez długie lata, zanim cię wreszcie zdobyłem. Podczas wojny wyjeżdżałem i starałem się o tobie zapomnieć, nie mogłem jednak i zawsze musiałem wracać. Po wojnie naraziłem się na areszt, byle wrócić i ciebie odnaleźć. Kochałem cię tak bardzo, że zabiłbym prawdopodobnie Franka Kennedy'ego, gdyby w porę nie zginął. Kochałem cię, ale nie wolno mi było wyznać ci tego. Jesteś bardzo brutalna w stosunku do tych, którzy cię kochają, Scarlett. Bierzesz ich miłość i trzymasz ją nad ich głowami niczym bat.

Z tego wszystkiego zrozumiała to tylko, że Rett ją kochał. Ogarnęło ją znowu podniecenie, kiedy usłyszała słabe echa namiętności w jego głosie. Siedziała bojąc się oddychać, słuchając, czekając.

— Wiedziałem, że mnie nie kochałaś, kiedyśmy się pobrali. Wiedziałem wszystko o Ashleyu. Ale jak głupiec wierzyłem, że potrafię cię w sobie rozkochać. Śmiej się, jeżeli masz ochotę, ale chciałem się tobą opiekować, psuć cię i pieścić, dawać ci wszystko, czego chciałaś. Chciałem ożenić się z tobą, aby móc się tobą opiekować i pozwalać ci na wszystko, co ci sprawi przyjemność... tak jak pozwalałem Bonnie. Tyle się w życiu namęczyłaś, Scarlett. Nikt lepiej ode mnie nie wiedział, ile przeszłaś, chciałem więc, abyś przestała walczyć ze światem i pozwoliła mi, abym cię wyręczał. Chciałem, abyś się bawiła jak dziecko — bo byłaś dzieckiem: odważnym, przestraszonym, upartym dzieckiem. Sądzę, że jeszcze dotąd nim jesteś. Tylko dziecko może być tak bezwzględne i nieczułe.

Głos jego był spokojny i zmęczony, ale w brzmieniu jego były tony, które zbudziły w Scarlett jakieś wspomnienia. Słyszała już podobny głos w innej przełomowej chwili swego życia. Gdzie to było? Był to głos człowieka patrzącego na siebie i na świat bez przejęcia, bez wzruszenia, bez nadziei...

Ależ... to przecież Ashley w zimnym, wietrznym sadzie Tary mówił o życiu i teatrze cieni ze znużonym spokojem i w brzmieniu jego głosu było więcej tragizmu, niż gdyby był pełen rozpaczy i goryczy. Podobnie jak wtedy głos Ashleya natchnął ją obawą przed sprawami, których nie mogła pojąć, tak teraz głos Retta przyprawił ją o bolesny skurcz serca. Głos jego i zachowanie się więcej niż treść słów zmieszały ją, uświadomiły jej, że przyjemne podniecenie sprzed kilku chwil jest nie na czasie. Coś się zepsuło, bardzo zepsuło. Nie wiedziała, co to takiego, ale słuchała z rozpaczą, nie odrywając oczu od jego ciemnej twarzy, spodziewając się ciągle, że wreszcie usłyszy słowa, które rozwieją jej obawy.

— Było oczywiste, że jesteśmy dla siebie przeznaczeni. Tak oczywiste, że to właśnie ja byłem jedynym z kręgu twoich znajomych, który mógł cię kochać, chociaż wiedziałem, jaka jesteś naprawdę — chciwa, bezwzględna, pozbawiona skrupułów, jak ja. Kochałem cię, więc zaryzykowałem. Przypuszczałem, że obraz Ashleya zblednie w twym sercu. Ale — wzruszył ramionami — próbowałem wszystkiego i nic się nie udawało. A tak bardzo cię kochałem, Scarlett. Gdybyś mi na to pozwoliła, kochałbym cię bardziej delikatnie i czule, niż kiedykolwiek mężczyzna kochał kobietę. Nie mogłem jednak dać ci tego poznać, bo wiedziałem, że wyda ci się, że jestem słaby, i wyzyskasz wtedy moją miłość przeciw mnie. I zawsze, wiecznie prześladował mnie Ashley. Doprowadzało mnie to do obłędu. Nie mogłem siedzieć naprzeciw ciebie wieczorem przy stole, bo wiedziałem, że żałujesz, iż to nie Ashley zajmuje moje miejsce. I nie mogłem cię trzymać w ramionach w nocy, gdyż wiedziałem — no, ale teraz to nie ma znaczenia. Teraz dziwię się, że to tak bolało. To mnie pchnęło ku Belli. Ma się pewną świńską pociechę ze stosunku z kobietą, która kocha z całego serca i szanuje cię za to, że jesteś wytwornym dżentelmenem — chociaż jest analfabetką i dziewką. To schlebiało mojej próżności. Ty mi nie pochlebiałaś nigdy, moja droga.

— Och, Rett... — zaczęła, jak zwykle nieszczęśliwa na wzmiankę o Belli, ale gestem nakazał jej milczenie i ciągnął dalej:

— A potem, tej nocy, kiedy zaniosłem cię na górę, sądziłem... miałem nadzieję... tak szaloną nadzieję, że bałem się spojrzeć ci w oczy następnego ranka, aby się nie zawieść, aby się nie dowiedzieć, że jeszcze mnie nie pokochałaś. Tak bardzo się bałem, że mnie wyśmiejesz, że wyszedłem z domu i upiłem się. A kiedy wróciłem, trząsłem się ze strachu; gdybyś mnie wtedy ośmieliła, dała mi jakieś słowo, padłbym ci z wdzięczności do nóg. Ale tyś tego nie zrobiła.

— Ależ Rett, chciałam to zrobić, ale ty byłeś taki wstrętny! Kochałam cię! Sądzę, tak, sądzę, że wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, że cię kocham. Nigdy już odtąd nie dbałam naprawdę o Ashleya, ale tyś był tak niedobry, że...

— No, dobrze już... — powiedział. — Nigdyśmy się nie mogli zrozumieć, prawda? Ale teraz, to już nie ma znaczenia. Mówię ci to tylko po to, abyś się nigdy nie dziwiła. Kiedy byłaś chora z mojej winy, stałem za drzwiami twego pokoju z nadzieją, że mnie zawołasz, ale nie zawołałaś mnie, i wtedy zrozumiałem, że byłem głupcem i że wszystko skończone.

Przerwał, popatrzył na nią i poprzez nią, daleko, jak często to robił Ashley, na coś, czego nie mogła dojrzeć. Wpatrywała się więc bez słowa w jego zamyśloną twarz.

— Wtedy jednak miałem Bonnie, wiedziałem więc, że jeszcze nie koniec wszystkiego. Wyobrażałem sobie, że Bonnie jest tobą, małą dziewczynką, taką, jaką byłaś, zanim zepsuły cię wojna i nędza. Była tak do ciebie podobna, taka samodzielna, odważna, wesoła i mądra — i mogłem pieścić i psuć — tak samo, jak chciałem pieścić ciebie. W przeciwieństwie jednak do ciebie, ona mnie kochała. Było to błogosławieństwem dla mnie, że mogłem tę miłość, której tyś nie chciała, dać jej... Kiedy odeszła, zabrała wszystko.

Nagle poczuła litość dla niego, tak wielką litość, że znikł wobec niej własny jej żal i obawa przed całkowitym zrozumieniem jego słów. Po raz pierwszy w życiu litowała się nad kimś nie gardząc nim jednocześnie, bo po raz pierwszy zrozumiała innego człowieka. Mogła zrozumieć jego upartą dumę, która nie pozwalała mu się przyznać do miłości z obawy przed zawodem.

— Ach, kochanie — rzekła idąc ku niemu w nadziei, że wyciągnie ręce i weźmie ją na kolana. — Kochanie, tak bardzo mi przykro, ale wszystko to ci wynagrodzę! Możemy jeszcze być szczęśliwi, teraz, kiedy już znamy prawdę — i... słuchaj, Rett... popatrz na mnie, Rett! Możemy mieć jeszcze inne dzieci... nie takie jak Bonnie, ale...

— Dziękuję ci, nie — rzekł Rett tak, jak gdyby dziękował za kawałek chleba. — Nie narażę swego serca po raz trzeci.

— Rett, nie mów tak! Och, cóż mam powiedzieć, abyś zrozumiał? Powiedziałam ci, że tak bardzo żałuję...

— Kochanie, jesteś wielkim dzieckiem. Wydaje ci się, że mówiąc „przepraszam” uleczasz wszystkie omyłki i błędy minionych lat, że wymazujesz je z pamięci, że zmywasz truciznę z dawnych ran. Weź moją chusteczkę, Scarlett. Nigdy, w żadnej przełomowej chwili życia nie masz przy sobie chusteczki.

Wzięła chusteczkę, wydmuchała nos i usiadła znowu. Było jasne, że Rett nie weźmie jej teraz w objęcia. Zaczynała rozumieć, że to wszystko, co mówił o miłości do niej, nie miało znaczenia. Była to bajeczka o czasach dawno minionych i Rett opowiadał ją, jak gdyby dotyczyła kogoś zupełnie obcego. To było przerażające. Patrzył na nią z dobrocią i skupieniem w oczach.

— Ile masz lat, moja droga? Nigdy mi nie chciałaś powiedzieć.

— Dwadzieścia osiem — odpowiedziała niewyraźnie, zasłonięta chusteczką.

— To nie jest jeszcze wiek podeszły. Dość nawet młody wiek jak na kobietę, która zdobyła cały świat i straciła duszę, prawda? Nie bój się. Nie mam na myśli ognia piekielnego, w którym będziesz płonęła za swoją miłostkę z Ashleyem. Mówię w przenośni. Od chwili gdy cię poznałem, chciałaś tylko dwóch rzeczy, Ashleya i dość pieniędzy, aby móc plunąć na cały świat. Teraz jesteś dość bogata, dość się już przeciwstawiłaś światu i możesz mieć Ashleya, jeżeli zechcesz. Ale to wszystko nie zdaje ci się teraz wystarczać.

Scarlett była przerażona, lecz nie z powodu groźby ognia piekielnego. Myślała: „To Rett jest moją duszą i jego teraz tracę. A jeżeli stracę jego, wszystko inne przestanie mieć znaczenie! Wszystko — przyjaciele — pieniądze — i reszta. Gdybym jego mogła odzyskać, nie wahałabym się znowu być biedna. Nie, nie wahałabym się cierpieć znowu głodu i zimna. Och, on chyba nie mówi serio... To niemożliwe!”

Otarła oczy i powiedziała z rozpaczą:

— Rett, jeżeli kiedyś kochałeś mnie tak bardzo, musisz przecież mieć dla mnie jeszcze jakieś uczucie!

— Z tego wszystkiego okazuje się, że zostały mi dwie rzeczy — te, których najbardziej nienawidzisz — litość i uczucie pewnej dobroci.

„Litość! Dobroć! Och, mój Boże! — myślała z rozpaczą. — Wszystko inne, byleby nie litość i dobroć”. Ilekroć miała dla kogoś te dwa uczucia, towarzyszyła im jeszcze i pogarda. Czy i Rett nią gardził? Wszystko byłoby od tego lepsze. Nawet cyniczny jego chłód z czasów wojny lub pijany szał owej nocy, kiedy na rękach niósł ją na górę, a twarde jego palce gniotły jej ciało — czy ostre, przeciągłe słowa, pod którymi kryła się gorzka miłość... Wszystko — z wyjątkiem tej obojętnej dobroci, która tak wyraźnie wypisana była na jego twarzy.

— Czy... czy to ma znaczyć, że zniszczyłam to wszystko, że już mnie wcale nie kochasz?

— Tak, to właśnie znaczy.

— Ale — powiedziała z uporem jak dziecko, które nie przestaje wierzyć, że stwierdzenie pewnego życzenia równa się jego spełnieniu. — Ależ ja ciebie kocham!

— Na tym polega twoje nieszczęście.

Spojrzała na niego szybko, żeby sprawdzić, czy za słowami tymi kryje się szyderstwo. Nie, stwierdził po prostu fakt. Był to jednak fakt, w który jeszcze nie chciała uwierzyć — nie mogła uwierzyć. Patrzyła na niego skośnymi oczyma, w których płonął rozpaczliwy upór, i nagle wysunęła naprzód podbródek, zdecydowanym, twardym ruchem Geralda.

— Nie bądź niemądry, Rett! Potrafię...

Podniósł dłoń w udanym przerażeniu i czarne jego brwi uniosły się w dawne, sardoniczne łuki.

— Nie miej miny tak zdecydowanej, Scarlett! Przerażasz mnie. Widzę, że naprawdę zamierzasz przenieść swoje burzliwe uczucia z Ashleya na mnie, i zaczynam się obawiać o swoją wolność i całość. Nie, Scarlett, nie chcę, abyś mnie prześladowała tak jak nieszczęsnego Ashleya. Poza tym zaś postanowiłem wyjechać.

Usta jej zadrżały bezradnie. Wyjeżdża? Nie, tylko nie to! Czymże będzie życie bez niego? Wszyscy od niej odeszli, wszyscy, na których jej zależało, prócz Retta. On odejść nie może. Jakże go jednak zatrzyma? Była bezradna wobec jego chłodu i jego obojętnych słów.

— Wyjeżdżam, Scarlett. Miałem ci to powiedzieć, gdy wrócisz do domu z Marietty.

— Opuszczasz mnie?

— Nie udawaj zaniedbanej, dramatycznej żony, Scarlett. Nie odpowiada ci ta rola. A zatem, jak rozumiem, nie chcesz rozwodu czy separacji? No więc, będę przyjeżdżał często, aby ludzie nie plotkowali.

— Cóż mnie plotki obchodzą! — zawołała gwałtownie. — Zależy mi na tobie. Zabierz mnie ze sobą!

— Nie — odparł i głos jego zabrzmiał bardzo stanowczo. Przez chwilę chciała wybuchnąć głośnym, dziecinnym płaczem. Chciała rzucić się na podłogę, kląć i krzyczeć, i kopać. Powstrzymywała ją od tego jakaś resztka dumy czy zwykłego rozsądku. Pomyślała: „Jeżeli to zrobię, będzie się śmiał albo popatrzy na mnie obojętnie. Nie będę płakała, nie będę żebrała. Nie mogę zrobić nic, czym zasłużyłabym na jego pogardę. Musi mnie szanować, choćby — choćby mnie nawet nie kochał”.

Podniosła głowę i zapytała z pozornym spokojem:

— Dokąd pojedziesz?

W oczach jego błysnął pewien podziw, gdy odpowiedział.

— Może do Anglii lub do Paryża. Może do Charlestonu, aby postarać się pogodzić z rodziną.

— Przecież ich nie cierpisz! Śmiałeś się z nich tak często i..

Wzruszył ramionami.

— W dalszym ciągu się śmieję, ale nie mogę już być włóczęgą, Scarlett. Mam czterdzieści pięć lat, Scarlett, a to wiek, kiedy mężczyzna zaczyna szanować wiele rzeczy, które lekko odrzucał w młodości — przywiązanie do rodziny, honor i bezpieczeństwo, korzenie, zapuszczone głęboko... Och, nie! Nie zarzekam się niczego ani nie żałuję swoich postępków. Bawiłem się w życiu znakomicie... tak dobrze, że mi się to wreszcie sprzykrzyło i pragnę teraz czegoś innego... Nie, nigdy nie mogę się zmienić do gruntu. Tęsknię jednak do zewnętrznych pozorów, jakie znałem dawniej, do śmiertelnej nudy przyzwoitości — przyzwoitości innych ludzi, kochanie, nie swojej własnej — do spokojnej godności życia ludzi dobrze urodzonych, do wdzięku dni, które minęły. Kiedy żyłem w tym wszystkim, nie rozumiałem łagodnego ich uroku...

Znowu Scarlett przypomniała sobie dzień w sadzie w Tarze, znowu oczy Retta miały taki sam wyraz jak wtedy oczy Ashleya. Słowa Ashleya brzmiały jej w uszach tak wyraźnie, jak gdyby to on mówił, nie Rett. Ułamki słów przypomniały jej się i zacytowała jak papuga: — Czar, doskonałość, symetria jak w greckiej rzeźbie.

Rett zapytał ostro: — Dlaczego powiedziałaś to właśnie? Miałem to na myśli...

— To słowa, które... które Ashley kiedyś powiedział o dawnych czasach...

Wzruszył ramionami i błysk znikł z jego oczu.

— Zawsze Ashley — rzekł i na chwilę umilkł. — Scarlett, kiedy będziesz miała czterdzieści pięć lat, zrozumiesz może, o czym mówiłem, i wtedy może i ty będziesz zmęczona imitowaną arystokracją, złymi manierami i tanimi przyjemnościami. Wątpię o tym jednak. Przypuszczam, że zawsze będzie cię bardziej pociągał blichtr niż złoto. W każdym zaś razie nie mogę czekać dość długo, aby się o tym przekonać. I nie mam na to wcale ochoty. Po prostu mnie to nie interesuje. Chcę szukać w starych miastach i starych krajach zapachu dawnych czasów, który się tam jeszcze unosi. Taki jestem sentymentalny... Atlanta jest dla mnie zbyt ordynarna, zbyt nowa.

— Przestań — powiedziała nagle. Ledwie słuchała tego, co mówił. Z pewnością zaś mało co z tego zapamiętała. Wiedziała jednak, że nie będzie mogła dłużej znieść dźwięku jego głosu, w którym nie było już dla niej miłości.

Przerwał i popatrzył na nią dziwnie.

— Przypuszczam, żeś zrozumiała sens moich słów? — zapytał wstając od stołu.

Wyciągnęła do niego ręce z otwartymi dłońmi, w odwiecznym geście błagania.

— Nie! — zawołała z głębi serca. — Wiem tylko, że mnie nie kochasz i że odchodzisz! Och, kochanie, cóż pocznę, gdy ciebie przy mnie nie będzie?

Przez chwilę zawahał się, jak gdyby zastanawiając się, czy miłe kłamstwo jest na długą metę lepsze od prawdy. Potem wzruszył ramionami.

— Scarlett, nigdy nie lubiłem cierpliwie zbierać połamanych kawałków i zlepiać ich razem, i wmawiać sobie, że sklejona całość jest równie ładna jak nowa. Co jest złamane — zostanie złamane — i wolę wspominać to takim, jakim było w najlepszych chwilach, niż sklejać i przez całe życie patrzeć na ślady połamań. Może, gdybym był młodszy... — westchnął. — Jestem jednak za stary, aby wierzyć w tak sentymentalne brednie jak zmazywanie win i zaczynanie od początku. Jestem za stary, aby dźwigać ciężar stałych kłamstw, które towarzyszą życiu w uprzejmej ułudzie. Nie mógłbym żyć z tobą i okłamywać ciebie. Z pewnością zaś nie potrafiłbym okłamywać samego siebie. Nawet teraz nie mogę ci skłamać. Bardzo bym chciał, aby obchodziło mnie więcej to, co zrobisz i dokąd pójdziesz, ale nie mogę się tym przejąć.

Zaczerpnął oddechu i powiedział lekko, ale łagodnie:

— Kochanie, nic mnie to nie obchodzi.

W milczeniu patrzyła za nim, gdy wchodził na schody, i czuła, że udławi się z bólu. Z cichnącym odgłosem jego kroków na górze zgasła ostatnia rzecz na świecie, która była dla niej ważna. Wiedziała teraz, że ani uczucie, ani rozsądek nie skłoni chłodnego umysłu Retta do zmiany swego postanowienia. Wiedziała teraz, że każde jego słowo było szczere, chociaż niektóre z nich powiedział jakby mimochodem. Wiedziała o tym — bo wyczuwała w nim siłę, nieustępliwą, nieubłaganą — wszystkie te zalety, których szukała w Ashleyu i znaleźć nie mogła.

Nigdy nie rozumiała tych dwóch mężczyzn, których kochała, i dlatego straciła ich obu. Miała niejasne przeczucie, że gdyby kiedykolwiek rozumiała Ashleya, nie mogłaby go kochać, gdyby rozumiała Retta, nie straciłaby go nigdy. Zaczęła się z rozpaczą zastanawiać, czy w ogóle rozumiała kogokolwiek na świecie.

W myślach jej panowało teraz otępienie, które, jak wiedziała z doświadczenia, ustąpi wkrótce miejsca ostremu bólowi.

„Nie chcę o tym teraz myśleć — postanowiła posępnie, przyzywając dawne swoje zaklęcie. — Oszaleję, jeżeli będę myślała o stracie Retta. Pomyślę o tym jutro”.

„Ale — krzyczało jej serce, odsuwając zaklęcia i zaczynając boleć. — Nie mogę mu pozwolić odejść! Musi się znaleźć jakieś wyjście”.

„Nie chcę o tym teraz myśleć — powiedziała znowu, starając się odsunąć rozpacz, starając się znaleźć jakąś tamę, która by wstrzymała nowy napływ bólu. — Jutro — jutro pojadę do domu, do Tary...” I trochę wzmocniła się na duchu.

Pojechała kiedyś do Tary w przestrachu i klęsce i wyszła z jej mocnych murów silna i uzbrojona do zwycięstwa. To, co zrobiła już raz — zrobi z pomocą Boga znowu! Jak — jeszcze nie wiedziała. Nie miała ochoty teraz o tym myśleć. Pragnęła jedynie zakątka, gdzie by się mogła ukryć, spokojnego miejsca, gdzie by mogła zaleczyć rany, przystani bezpiecznej, gdzie by mogła obmyślić nową kampanię. Pomyślała o Tarze i wydało jej się, jak gdyby chłodna, łagodna dłoń spoczęła na jej sercu. Widziała biały dom, witający ją z daleka przez gąszcz poczerwieniałych jesiennych liści, poczuła ciszę wiejskiego zmierzchu, ogarniającą ją jak błogosławieństwo, poczuła rosę opadającą na pola zielonych, usianych białymi gwiazdkami krzaczków, widziała ostrą barwę czerwonej ziemi i ciemną, ponurą piękność sosen na łagodnych pagórkach.

Poczuła się trochę pocieszona, pokrzepiona tym obrazem, a ból i gwałtowny żal ustąpiły teraz. Przez chwilę przypominała sobie fragmenty Tary — aleję ciemnych cedrów, prowadzącą do dworu, kępy krzewów jaśminu, jaskrawozielone na tle białych ścian, powiewające na wietrze białe firanki. I Mammy tam będzie. Nagle zatęskniła rozpaczliwie do Mammy, jak tęskniła do niej, gdy była małą dziewczynką, zapragnęła przytulić głowę do jej szerokiej piersi, poczuć na swoich włosach dotknięcie jej sękatych czarnych dłoni. Mammy, ostatnie ogniwo, łączące ją z przeszłością…

Podniosła głowę z odwagą właściwą swojej rasie, właściwą ludziom, którzy nie chcieli uznać klęski, choćby zaglądała im w oczy. Potrafi odzyskać Retta. Czuła, że potrafi. Nie było takiego mężczyzny. którego nie potrafiłaby zdobyć, jeżeli raz to sobie postanowiła.

„Pomyślę o tym wszystkim jutro, w Tarze. Zniosę to wtedy lepiej. Jutro pomyślę, jak go odzyskać. Mimo wszystko, życie się dzisiaj nie kończy”.

1. Barbakoa — zabawa na wolnym powietrzu, połączona z pieczeniem wołów na rożnie, z wypitką i tańcami. [↑](#footnote-ref-1)
2. A. K. P. — Armia Konfederacji Południa. [↑](#footnote-ref-2)
3. Scallawag — dosłownie „łajdak”; nazwa określająca południowców, którzy po kapitulacji Południa stali się republikanami. [↑](#footnote-ref-3)
4. Nazwa Jankesów przybyłych na Południe celem łatwego dorobienia się majątku. [↑](#footnote-ref-4)
5. Macbeth, II, 2. Tłum. J. Paszkowski. [↑](#footnote-ref-5)